

**ANDRZEJ ANONIMUS**

**NIE NADAJE SIĘ, PRZECIEŻ TO  
JESZCZE SZCZENIAK**

Uwaga: książka stanowi fikcję literacką i osoby oraz nazwiska w niej występujące są wymyślone, a wszelkie podobieństwa do osób żyjących lub nie, całkowicie niezamierzone i przypadkowe.

## **Zamiast przedmowy**

- Dziadku, czy to znaczy, że ty byłeś mordercą, że ty zabijałeś ludzi? Jak możesz z tym teraz żyć, czy sumienie cię nie prześladowuje? Jak możesz wytrzymać pamięć o tych zabitych, o przelanej krwi? Nie chcę przebywać z tobą, sama myśl mnie przeraża i odpycha.

- Muszę cię rozczarować, ale sumienie zupełnie mi nie dokucza, w każdym razie nie w tym miejscu. Owszem, mam swoje brzemię, ale z innych powodów, a między innymi także dlatego, że zdołałem zrobić tak mało, że byłem taki marny. Gdybym był wart chleba, który zjadłem, gdyby na moim miejscu był ktoś lepszy, na poziomie, zdobyłby się na więcej. Powiem ci tak, jak wasza TV, ja byłem po stronie aniołów. To znaczy, była wojna i ja byłem żołnierzem, chociaż bez munduru. Ze wszystkich sił starałem się bronić mojej ziemi i moich bliskich. -

- Ale wojna jest głupia, zawsze, - z przejściem mówił chłopiec, - a zabijanie się jest najgłupsze ze wszystkiego. Gdybyście nie walczyli ale od razu się poddali, nawet się nie bronili, to nie byłoby żadnej wojny. Gdyby napastnicy nie mieli z kim walczyć, to po pewnym czasie przestaliby wymachiwać bronią i uspokoiili, a nawet też poczuli głupio. -

- Obawiam się, że nie. Wszędzie na świecie, w całej naturze, gdzie jest życie jest i zabijanie, a ludzie są tylko częścią natury. Czy sądzisz, że gdyby ofiara padła przed tygrysem na kolana i poddała się, to on by ją oszczędził? Albo, że indyki powinny wywiesić białą flagę przed dniem dziękczynienia i czuć się bezpiecznie? Poza tym, są takie drapieżniki, które zabijają tylko po to, żeby nasycić głód. Na przykład lwa albo wilka można oswoić, dostarczając mu pożywienia. Ale są i takie, które zabijają zawsze jeżeli mogą i jak długo mogą, nawet wbrew własnym interesom. Nie można zaprzyjaźnić się z rosomakiem albo skorpionem, bo taka jest ich natura.. Sądzisz, że zbój, bandyta albo terrorysta zawstydzą się i może nawet poprawią, jeżeli ludzie pozwolą się zabijać i rabować? Ależ przeciwnie, poczują się wspaniale, wielcy, potężni, na skrzydłach sukcesu i to ich zachęci do działania, Już nie wspominając o typach patologicznych, którym samo zabijanie, albo wydawanie rozkazów zabijania sprawia satysfakcję.

- Poszanowanie życia oznacza właśnie, że mamy prawo go bronić. I nie tylko swojego, ale i innych też. Na przykład jesteś bardzo przywiązany do swojej matki. To oczywiste, bo zawdzięczasz jej życie i to nie tylko dlatego, że cię urodziła, ale i potem, nie przeżyłbyś ani jednego dnia bez jej troski i opieki. Stawiała twoje potrzeby przed swoimi, nawet jeżeli sama była chora albo przemęczona albo na przykład głodna. Więc powiedzmy, że zawdzięczasz jej życie nie raz, ale wiele razy, mniejsza o to, czy dziesiątki, czy setki. Gdyby ktoś jej zagroził. to broniłbyś jej odruchowo, instynktownie, nawet nie myśląc o

niebezpieczeństwie. To samo dotyczy ojca i poszerzając, rodziny, a przez dalszą ekstrapolację ojczyzny i w końcu całej ludzkości. To rozszerzenie przychodzi stopniowo i w różnym stopniu, ale sam odruch nie jest ani cnotą, ani zasługą, to jest instynktowne, naturalne zachowanie. Czasami nie ma wyjścia, trzeba walczyć i albo zabić, albo samemu zginąć. Jeżeli nie zrobi się nic, pozostanie obojętnym, to właśnie ponosi się współodpowiedzialność za tych, którzy z tego powodu zginęli.

- Jako dziecko, marzyłem o tym, aby zostać wspaniałym i nieustraszonym bohaterem. Właściwie, to z początku chciałem zostać świętym, ale matka wytłumaczyła mi, że się do tego zupełnie nie nadaję, a tak w ogóle, to na głowie zaczęły mi już rosnać małe różki, tylko chwilowo są jeszcze mało widoczne. Przez jakiś czas, starannie sprawdzałem głowę w lustrze, a także badałem, czy nie ma zadatków kopytek i ogona. Na szczęście, nic się nie stało, ale próby poprawienia się też się jakoś nie powiodły.

Zostać bohaterem też się nie udało. Początkowy sukces, napęczniony nadzieją powodzenia, gdy dostałem konia na biegunach i szabelkę, okazał się jedynym i ostatnim. Z początku zrzucałem to na brak okazji, żalując gorzko, że urodziłem się w nieodpowiednich czasach i miejscu. W takim spokojnym okresie, nie można było zrobić czegoś wielkiego, ani też bohaterowie nie byli potrzebni. Ale wkrótce, nagle, taki czas nadszedł i znalazłem się w samym środku piekieł. Chodziło ni mniej ni więcej, tylko o rzekome ulepszenie całej rasy ludzkiej, to znaczy zastąpienie bezwartościowej części stada najlepszym, wyselekcjonowanym materiałem hodowlanym. W tym celu, należało wyeliminować w samej Europie jakieś trzysta do czterystu milionów osób. Nic dziwnego, że wymordowanie na początek kilkunastu milionów dla zapewnienia posłuszeństwa, dla przykładu i postrachu, traktowano jako rzecz bez większego znaczenia. Po prostu planowy terror, wzorem wielkiego Dżyngis-Chana.

- Właśnie Polska ucierpiała pierwsza i najgorzej, a to dlatego, że otrzymawszy „zaszczytne” zaproszenie do grona agresorów, odmówiła. „Niewdzięcznicy”, nie tylko nie skorzystali z wspaniałomyślnej oferty, w pojęciu szalonego dyktatora nie do odrzucenia, zostania rzeźnikiem zamiast baranem, ale przez swój bezrozumny opór zepsuli najbardziej genialny plan, błyskawicznego podboju Europy i zapewne świata. To też musieli być przykładowie ukarani, cała mordercza furia spadła najpierw na nich..

- Legenda głosi, że Polska pierwsza stawiała czoło Hitlerowi i potem niezłomnie walczyła aż do końca wojny. To prawda, ale nie cała. Najpierw Polska jednak usiłowała uniknąć konfrontacji i została do niej zmuszona, gdyż pozostał jej tylko wybór między udziałem we wojnie po stronie Hitlera albo przeciw. A potem, po klęsce, z początku jednak

Polacy złożyli broń i czynna walka wygasła, ale musieli podjąć ją na nowo. Niemcy nie pozostawili im wyboru, mordując rozbrojonych w postępie geometrycznym. W rezultacie Polska utraciła około 20% populacji, parędziesiąt razy więcej niż w całej kampanii 1939r. To mniej więcej tak, jakby wymordowano cztery miliony ludzi w Australii, albo pięćdziesiąt w USA. Jednak reszta ocalała, gdyż przy rosnącym oporze i jednoczesnym zaangażowaniu na innych frontach, Niemcy nie zdołali wydzielić dostatecznych sił, aby zabić ich więcej. Natomiast wyginęli Żydzi, którzy właśnie byli pacyfistami i kierowali się takim szlachetnymi zasadami, jak ty wymieniałeś na początku. Po prostu stali się łatwiejszym celem, nie stawiając oporu.

- Jak widzisz, samo dno piekła to nie żadna przenośnia literacka. Byłem tam i widziałem je, ale i tak nie powiodło mi się zostać bohaterem. Przekonałem się, że bohaterowie zrobieni są z całkiem innego, lepszego materiału. To bardzo frustrujące, ale nic nie można poradzić, podobnie jak nie da się przeskoczyć samego siebie. Mogłem mieć tylko pretensję do Pana Boga, że tyle, a nie więcej we mnie włożył. A poza tym, człowiek zawsze jest albo jeszcze za młody. albo już za stary. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się być we właściwym wieku. Więc choć starałem się ze wszystkich sił, nie wiele dokonałem. Właściwie zaledwie minimum, żeby nie wstydzić się przed samym sobą.

- Ale przepychając się z całych sił do przodu, usiłując znaleźć dla siebie miejsce w czynnej walce, chociaż udało się to tylko na krótko, zaledwie parę miesięcy, jednak dużo widziałem po drodze. Spotkałem też wielu ludzi, niektórych wspaniałych, jak starożytni bohaterowie, innych być może świętych. Niestety, przerastali mnie tak bardzo poziomem, że nie potrafiłem ich zrozumieć, ani tym bardziej opisać, najwyżej zewnętrzny wygląd. Ale także tak złych, że szatan zzieleniałby z zazdrości, albo podłych ponad wszelkie wyobrażenia.

- Już pewnie się domyślasz, że zamierzam ci o tym opowiedzieć, ale nie w postaci ciągłej relacji, tym bardziej biografii czy książki historycznej. To byłoby zbyt nudne. Na wojnie zwykle czeka się na wydarzenia beznadziejnie długo, prawie do obłędu, a potem wypadki następują tak szybko i licznie, że nie sposób nadażyć i zorientować się. Więc raczej wybrałem to, co lubisz, formę powieści sensacyjnej. Nie istnieje bardziej sensacyjny temat, a co do horrorów, to najbardziej makabryczne i wymyślne, w porównaniu do rzeczywistości codziennego życia wtedy mogą budzić tylko wzruszenie ramion i politowanie. Dzieci zastrzelone na śniegu tylko dla pochwalenia się celnym okiem, stos rozstrzelanych na ulicy z zagipsowanymi ustami, trupy wiszące na rynku miasta na pokaz, rzędami po dziesięciu, wagony zamrożonych zwłok na kolei, jeszcze powoli konający jeńcy i już trupy za rzędami

drutów kolczastych. Mówiło się zwyczajnie: „synku, nie chodź tam dzisiaj, bo mogą cię zastrzelić”, albo tylko „złapać i wywieźć”

W tej chwili ukazują się istny potop kryminałów, trilerów i horrorów. Co wyróżnia te dobre? Wydaje się, że zmysł obserwacji i własne doświadczenia autora. Bywają książki, składające się z funta papieru i w nich też papierowe trupy, sztuczne sytuacje, bzdurne intrygi i szablonowa akcja, które żuje się powoli do końca z nadzieją, że jednak trafi się wreszcie coś interesującego. Są pisarze, którzy piszą po prostu na wagę i wszystko w tym samym typie. Ale są też tacy, którzy wiedzą o czym piszą, naprawdę znają temat i tło. Jeden może pisać o koniach i wyścigach, bo sam był dobrym zawodowcem i zna tą część świata, inny dużo wie o psach i nawet jeżeli trochę przesadzi, to robi to doskonałym nowojorskim slangiem, a jeszcze inny spędził kilkadziesiąt lat na sali sądowej i nawet taki, wydawałoby się trudny i nużący temat umie wspaniale przedstawić.

- Ja przedstawiam jakby szereg oddzielnych sytuacji i scen, tak jak je widziałem i zapamiętałem. Coś w rodzaju zdjęć migawkowych. Nie tworzą one dokładnego ciągu wydarzeń, bo taki byłby za długi i prawdopodobnie rzuciłbyś go w kąt. Nie seria, ale raczej dowolna składanka zdarzeń i faktów, jakby nowo złożona puzzle. Natomiast autentyczność poszczególnych obrazów i sytuacji nie trudno odczuć, bo wprost bije w oczy i mówi sama za siebie. Ludzi nie przedstawiam, bo tego nie potrafię, więc wszystkie postaci pozmieniałem i pomieszałem, oczywiście za wyjątkiem znanych postaci historycznych, których nie można było pominąć.

- W sumie jakby abstrakcyjny, anonimowy reportaż, pokazujący świat nieznaną i obecnie bardziej niezrozumiałą i tajemniczą, niż najbardziej egzotyczne i niedostępne zakątki ziemi.

- A więc życzę ciekawej lektury i mocnych wrażeń.

To ostatnia niedziela, wkrótce się rozstaniemy..... na wieczny czas.

### **Rozdział I. Ostatnie dni tamtego świata.**

26 sierpnia 1939. W soboty ojciec Angusa wracał z pracy wcześniej, około pierwszej. Po szybkim obiedzie, Angus z rodzicami wyruszył na Dworzec Zachodni. Było to zaledwie 5 min niespiesznego marszu skrótem od placu Waszyngtona przez pokryty zielenią teren Międzynarodowych Targów Poznańskich, dostępny przez prawie cały rok z wyjątkiem dwudziestuparu dni, kiedy akurat targi trwały. Ewentualnie, można było też iść w dół cichej ul Śniadeckich, przy której mieszkali i na końcu skręcić w lewo, na ruchliwą ulicę Marszałka Foche'a. To było trochę dalej, ale niewiele, razem niecałe 10 min. Każda z tych tras była tak obsadzona zielenią, że można było przebyć ją nie wychodząc z pod cienia drzew, ale nie było

w tym nic nadzwyczajnego. Poznań był tak zielony, że jeśli ktoś chciał, mógł nie wychodząc z pod drzew przejść z dowolnego końca miasta aż na drugi. Na większości ulic znajdowały się po dwa rzędy drzew, na niektórych tylko jeden, uliczki bez drzew zdarzały się rzadko. Nawet niektóre linie tramwajowe, wydzielone od ulicy, biegły wśród oddzielnych rzędów drzew. Dlatego właśnie Angus uwielbiał przejażdżkę w otwartym wagonie do Gołęcina i z powrotem, jeżeli mógł sobie pozwolić na szaleńczy wydatek dwudziestu groszy, równoważność czterech lodów w rożkach. To kosztowna przyjemność, prawdziwa ruina, ale warta każdego grosza biorąc pod uwagę, że za wyjątkiem godzin szczytu było zwykle sporo miejsc siedzących, względnie możliwość stania na otwartych balkonikach z przodu i tyłu pojazdu, dosłownie muskanych przez gałęzie.

Ale nie ma się czym tak podniecać, to zdarzało się rzadko, codziennym środkiem lokomocji Angusa były po prostu nogi.auta trafiały się, lecz na przykład gdy siedział w domu przy otwartym oknie, czasem wyglądał na ulicę słysząc przejeżdżający wóz konny, ale zawsze podbiegał do okna gdy doszedł go głos motoru. Młodzieży można wyjaśnić, że w tych dawnych czasach wynaleziono już taksówki, ale bez porównania liczniejsze były konne powozy do wynajęcia zwane dorożkami. Na dole ulicy Śniadeckich, przy postoju czekało zwykle 5-10 dorożek, a rzadko kiedy stała tam taksówka. Chcąc wynająć taksówkę, szło się zwykle dalej aż do dworca, albo też ulicą Marszałka Foche'a w prawo do przystanku za schodami do parku Wilsona.

Obecnie Angus śpieszył do pociągu, który po pięciu przystankach i około 45 minutach miał pozostawić ich na zachód od miasta, na stacji Dopiewo. Jedne z wielu odwiedzin rodzinnych, do cioci i wujka którzy mieszkali w Podłazinach. Jak zwykle Agnus z rodzicami jechali drugą klasą i mieli dla siebie cały przedział, pociąg lokalny miał tylko przedziały drugiej i trzeciej klasy, pierwszej nie było wcale, a i druga była słabo obsadzona.

Ojciec Angusa pracował w dyrekcji kolei i dlatego miał zniżkę, a ponad to co roku prawo do dwunastu bezpłatnych biletów powrotnych osobiście i trzech dla rodziny. Dzięki temu Angus miał znakomite wakacje, dużo podróżował i praktycznie poznał pobieżnie prawie całą Polskę, a w każdym razie przynajmniej widział wszystkie województwa. Również tego roku, podobnie jak i poprzednich, na długo przed wakacjami Angus, ogromnie podniecony studiował mapy i codziennie projektował i przedstawiał rodzinie nowe plany. Nawet te odrzucone, sprawiały ogromną frajdę i przez jakiś czas stanowiły przedmiot fantazji i marzeń. Zwykle, ojciec miał miesiąc wakacji, natomiast Angus z matką zostawali, w najlepszym z wybranych miejsc, jeszcze przez drugi miesiąc. A więc właściwie Angus powinien być jeszcze daleko, ale tego roku wakacje skrócono do jednego miesiąca w górach z powodu

niepokojącej sytuacji politycznej. Tak więc cały sierpień spędzał w Poznaniu lub raczej najbliższej okolicy, bo wykorzystywano każdą okazję do krótkich wyjazdów podmiejskich. Raz był to Rogalin, ale z reguły Podłaziny, przy czym zwykle Angus pozostawał tam przez kilka dni, czasem aż do końca tygodnia, podczas gdy rodzice wracali do miasta aż do następnego weekendu. Nie protestował przeciwko takiemu systemowi, jeżeli tylko miał dostateczny i zawsze świeży zapas książek do czytania.

Angus usiadł przy oknie obok matki, naprzeciwko ojca. Przez całą drogę meldował wszystkie dostrzeżone sygnały kolejowe, które ojciec nauczył go rozpoznawać. W czasie drogi udało mu się nie przegapić i nie pomylić żadnego, w każdym razie ojciec ani razu go nie poprawił. Angus był dumny z ojca, przypisywał mu wszelkie możliwe i niemożliwe zalety, uważał za nadzwyczajnego i wspaniałego człowieka. Jeżeli nawet to duża przesada, to jednak było coś rzeczywiście niezwykłego w tym, że prosty chłopski syn z raczej zacofanej części Polski, wioski Barszczewo koło Białego Stoku zdołał o własnych siłach ukończyć gimnazjum w mieście, utrzymując się przy tym sam korepetycjami. Faktem jest, że miał tylko jeden talent, do matematyki, w tym był zawsze najlepszy i najszybszy. Nie miał właściwie żadnych innych zdolności lecz nadrabiał to pracą, był perfekcjonistą.

Północno-wschodnia Polska, gdzie urodził się ojciec Angusa, była wówczas pod zaborem rosyjskim. Po dwuletniej szkole podstawowej nauczyciel, jeden z ukrywających swe przekonania, gorących patriotów i członek podziemnej „Macierzy Polskiej”, organizacji zajmującej się kształceniem dzieci (o tradycjach pozytywistycznych i personalnie powiązanej z endecją, chociaż w założeniu bezpartyjnej i niepolitycznej), przekonał rodziców, że uzdolniony chłopiec powinien kształcić się w gimnazjum. Choć z oporem, rodzice zgodzili się ulegając zorganizowanemu naciskowi, ale nie byli w stanie finansować tego projektu, dość że zgodzili się stracić parę rąk potrzebną w gospodarstwie. Udało się znaleźć sponsorów którzy pokryli wysokie opłaty za pierwszy rok nauki. Wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności, jeżeli można to nazwać szczęściem, bo w rzeczywistości pierwszy rok był potwornie ciężki. Sama droga do gimnazjum wynosiła ponad dziesięć km, około dwu godzin, a dla przemęczonego dziecka więcej z powrotem, zawsze za mało snu i za mało jedzenia. Ale znowu przebił się na pierwsze miejsce z matematyki i to całe szczęście, bo po pewnym czasie już jako uznany korepetytor zaczął się w pałacu Branickich i ostatecznie pozwolono mu tam zamieszkać. Miał kilku uczniów, najpierw dzieci oficjalistów i tak zaczęła się kariera. Na koniec dostąpił zaszczytu uczenia samych hrabiczów, to był naprawdę szczyt, zapewniający dobre życie w ostatnich latach nauki. Ale po skończeniu gimnazjum widoki były czarne, praktycznie nie istniały możliwości dalszego kształcenia się w tej części Polski. Mimo



wszystko, po długich poszukiwaniach i staraniach udało mu się zostać studentem Instytutu Kolejnictwa w Petersburgu, uczelni politechnicznej kształcącej inżynierów kolejowych, jednej z niewielu wyższych szkół nie dyskryminującej żadnych narodowości, nawet Polaków i stosującej zasadę przyjęcia na podstawie egzaminów konkursowych, z silnym naciskiem na matematykę. Ale wnet szczęście się odwróciło, pierwszego roku nie ukończył. Będąc przyzwoicie dobrym Polakiem, z głębokiej prowincji i bez żadnych doświadczeń konspiracyjnych, został wkrótce wyrzucony z powodu podejrzania uczestnictwa w Polskich kółkach studenckich. Skończyło się tylko na tzw. wilczym bilecie, to znaczy raz na zawsze nie miał prawa być przyjęty na żadną szkołę w Rosji; śledztwo nie dostarczyło konkretnych dowodów, tylko same podejrzania, więc uniknął szczęśliwie więzienia.

To doprowadziło do drugiego, gorszego kryzysu, przez następne pół roku żył z niczego i w nędzy, na dnie. Za nic nie chciał wrócić i przyznać się do niepowodzenia we wsi rodzinnej. W końcu szczęście znowu się odwróciło. Znalazł niezłe stanowisko w nowo powstałym, mieszanym, Rosyjsko-Francuskim przedsiębiorstwie do eksploatacji wód mineralnych, które ogłosiło nabór pracowników w otwartym konkursie. Znowu był niekwestionowanie najszybszy, chociaż tym razem tylko ze zwykłej rachunkowości, nie matematyki. Wprawdzie oznaczało to ostateczne pożegnanie się z ambicjami, ale przynajmniej trafił na dobrą posadę i mógł żyć wygodnie aż do pierwszej wojny światowej. Stanowisko inspektora w Mineralnych Wodach, przedsiębiorstwa posiadającego oddziały w całej Rosji, głównie na Podkaukaziu, wymagało ciągłego podróżowania zarówno po europejskiej, jak i azjatyckiej części Rosji, w większości Podkaukazie, Kaukaz oraz wybrzeża morza Kaspijskiego, ale nie tylko. Był to dziki świat i niebezpieczne życie, pełne przygód, ale zapewniało dobre zarobki, mógł pomagać rodzinie i sporo odłożyć. Ale wszystkie oszczędności zniknęły w czasie rewolucji, jedyną pożyteczną inwestycją okazała się duża łapówka, którą zapłacił, - nazywało się to posmarowaniem ręki - w wojskowej komisji lekarskiej. Dzięki temu uniknął poboru i służby w armii zaborcy, z pewnością najlepsza operacja finansowa życia.

Z tego barwnego świata i okresu życia pozostał jeszcze jeden kapitał, niewyczerpany zapas interesujących opowiadań dla syna jako urozmaicenie bajek wieku dziecięcego. Ale wkrótce popyt przekroczył podaż, Angus zamęczał ojca, domagał się ciągle opowiadań. Niektóre znał już na pamięć, jak na przykład o nagłej burzy na morzu Kaspijskim, koło Czarnych Skał przy podejściu do Baku; albo o lasach Podkaukazia, złożonych całkowicie z drzew owocowych, głównie jabłoni i grusz, gdzie przy nadejściu jesieni tysiące niedźwiedzi schodziło z gór do owoców, łamiąc gałęzie i czasem całe drzewa, lasy opанowane przez

armię niedźwiedzi, żaden człowiek nie odważał się wówczas wkroczyć. Były też opowiadania o rosyjskich trampach zwanych „boska” którzy nie mieli i nie chcieli mieć niczego, nigdy nie zrobili nic złego ani ludziom ani żadnym stworzeniom, do głębi dobrzy, być może prawdziwie święci ludzie w rodzaju świętych hinduskich lub buddyjskich. Nigdy też nie byli napadani ani prześladowani nawet przez najgorszych bandytów, ani przez ludzi na wpół dzikich, od których aż się roilo. Były też historie o tych na wpół dzikich plemionach, w rzeczywistości wspinających wojownikach o wolność, ciągle jeszcze walczących z władzą cara i z armią rosyjską, niestety skłóconych również i walczących między sobą przez co nie mogli odnieść sukcesu; a jednak nigdy nie napadali ‘boski’. O ich wioskach w górach, aulach obronnych, niektóre z nich stanowiły prawdziwe fortece, naprawdę nie do zdobycia. Drogą wojenną, od Władykaukazu do Groznego, podróżowano w dużych grupach pod eskortą wojska.

Kiedy już ojciec Angusa nie mógł wytrzymać ciągłych żądań opowiadania bez przerwy, spróbował znaleźć chwilową ulgę w czytaniu synowi książek przygodowych. I w ten sposób Angus rozwinął przemożny i zgubny nałóg, prawdziwe uzależnienie od książek, czytania absolutnie bez przerwy. Najgorsze zaś w tym wszystkim było, że Dyrekcja Kolei w Poznaniu miała dużą bibliotekę, w rezultacie stała się ona jakby niewyczerpanym zapasem narkotyków dla narkomana i tak doszło w końcu do sytuacji bez wyjścia, aż do niewybaczalnego występku czytania nawet pod ławką w szkole.

Wszystkie opowieści ojca niezmiennie kończyły się przed rewolucją. Ojciec zawsze odmawiał opowiadania o tym okresie mówiąc że to jest coś, czego po prostu nie byłby w stanie wytrzymać żołądek i to nie tylko słuchającego chłopca, ale nawet dorosłego mężczyzny, że on sam chciałby zapomnieć o tym koszmarze i nigdy do niego nie wracać. Tylko raz później, a było to podczas najgorszego terroru niemieckiego, powiedział że on widział już gorsze rzeczy i że Niemcy mogliby się jeszcze dużo nauczyć, jeśli chodzi o prawdziwe okrucieństwo. Może zresztą powiedział to tylko dla pokrzepienia ducha rodziny. Właśnie podczas najgorszego okresu rewolucji bolszewickiej rodzice Angusa spotkali się po raz pierwszy w pociągu ewakuacyjnym który wyruszył do Polski z dalekiego zakątka południowo-wschodniej Ukrainy, z autonomicznego kraju Kozaków Dońskich czy Kubańskich. Pociąg był stosunkowo najbezpieczniejszym miejscem, niemniej wiele razy życie wisiało na włosku i nieraz rzeczy przybierały bardzo zły obrót, zanim uchodźcy dotarli do Kijowa, gdzie znaleźli pomoc i opiekę Komitetu Polskiego. Stamtąd, już następnym pociągiem dotarli do Polski.

To wszystko teraz to tylko kilka słów, ale w rzeczywistości to były miesiące i miesiące koszmaru, prawie stale na krawędzi przepaści i wiele razy przeżyli tylko dzięki wyjątkowo szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Wiadomo, że niektóre pociągi ewakuacyjne wprawdzie wyjechały, ale nigdzie i nigdy więcej się nie pojawiły. Lecz, jeżeli ktoś miałby zastrzeżenia, że zbyt duży zbieg szczęśliwych okoliczności jest nieprawdopodobny, lepiej od razu wyjaśnić to wprost: zawsze są tacy co mieli szczęście i tacy co go nie mieli, ale tylko ci pierwsi mogą o tym opowiadać, a ci mniej szczęśliwi nie mówią. I to dotyczy nie tylko tej sprawy, ale także całej książki, nie ma potrzeby więcej tego powtarzać.

Oni właśnie mieli dużo szczęścia, ale też bardzo go potrzebowali. Jest faktem, że to był jeden z ostatnich pociągów ewakuacyjnych który dotarł do Polski, zanim zaczęła się wojna na pełną skalę. Inne transporty i ludzie, których spotykali po drodze, nawet umawiali się w Polsce, nie pojawili się, jakby rozplynęli się w powietrzu.

Już w Polsce postanowili się pobrać i zamieszkali najpierw w Środzie, małym mieście koło Poznania, skąd pochodziła mama. W krytycznym okresie wojny bolszewickiej ojciec zgłosił się ochotniczo do wojska. Ale to tylko krótki przerywnik, zakończony w szpitalu po pierwszych dniach bitwy warszawskiej. Będąc, może nie małym, ale na pewno nie zbyt wielkim i silnym mężczyzną, nie nadawał się właściwie do artylerii. A tam właśnie służył i to bynajmniej nie jako szybki matematyk, jak być może się spodziewał, ale raczej jako zwierzę transportowe do noszenia amunicji i innych ciężarów. Nadmierny wysiłek w czasie bitwy spowodował rozległą rupturę i tak oto okres wielkich czynów skończył się, zanim się zaczął. To rzeczywiście pech, wylądować w szpitalu po pierwszej bitwie i to nawet nie będąc ranionym przez nieprzyjaciela! O tym również nie chciał opowiadać i robił się zły, kiedy syn nalegał, Jeszcze przed tym wydarzeniem i znów po powrocie z wojny, rozpoczął pracę na kolei. W odrodzonym państwie polskim, brak było kwalifikowanego personelu i nawet niepełne wyższe studia w instytucie kolejowym w Petersburgu (tak, już wtedy używano takiego żargonu, śmiesznego, gdyż dotyczyło to tylko pierwszego i to nie ukończonego roku) stanowiły dobrą rekomendację. Również i tym razem zdecydowała umiejętność szybkiego liczenia, komputery wtedy nie istniały. Po kilku latach ustabilizował się na dogodnym stanowisku w Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Poznaniu, faktycznie jako prawa ręka szefa wydziału budynków, gdzie jego umiejętność była w stałym użyciu.

Odkąd sięgała pamięć Angusa, ojciec był zawsze człowiekiem o pedantycznie uporządkowanym życiu i pracy. Wstawał niezmiennie przed godz. 6 rano, robił staranną toaletę i szczególnie czyścił buty i ubranie, to był stała rutyna bez względu na to, czy potrzebna czy nie. Po tym kolej przychodziła na śniadanie i drogę do pracy. Zawsze szedł

pieszo, nazywał to spacerem dla zdrowia i nie korzystał z żadnego środka komunikacji nawet, jeżeli była taka okazja. Zaczynał pracę o godz. 8, ale zwykle o pół godz. wcześniej, wyjątkowo tylko 20 min. Kończył o 3 po południu, ale zwykle kwadrans później. Nigdy nie zostawał dłużej, lecz jeżeli zdarzała się pilna praca, brał ją czasem do domu albo też szedł do Dyrekcji drugi raz wieczorem. To jednak zdarzało się bardzo rzadko, normalnie wszystko było gotowe przed terminem.

Był całkowicie zadowolony ze swego stanowiska, chociaż nie wysokiego, i kilkakrotnie odmawiał awansu, być może dlatego, że spowodowałyby ona konieczność zadeklarowania się po stronie regimie. Natomiast ojciec był zdeklarowanym endekiem i zdecydowanie przeciwnym Sanacji, krytycznie oceniał samego Piłsudskiego, a tym bardziej jego zauszników i następców, ale tylko w zaciszu domowym, nie udzielał się publicznie.

Ogólnie mówiąc, taki poglądy podzielała też żona, ale gwałtownie oponował przeciw nim syn, który traktował je prawie jak bluźnierstwo. Pod wpływem szkoły, stał się on gorliwym zwolennikiem Piłsudskiego (którego nazywał, naśladując pół - oficjalne terminy, „dziadkiem”, co bardzo denerwowało rodziców, nie poczuwających się do pokrewieństwa). W gronie rodzinnym dochodziło do gorących dyskusji, niemniej Angus zachował prawo do swobodnego wypowiedzenia swoich opinii i myśli.

Za wyjątkiem dyskusji w wewnętrznym kręgu, ojciec unikał demonstrowania swoich przekonań a tym bardziej aktywnej działalności politycznej. Z drugiej strony nigdy nie zrobiłby ani nie powiedział niczego wbrew swoim przekonaniom, zwłaszcza nigdy dla awansu. Właściwie unikał polityki, cenił spokój. To był najlepszy okres w jego życiu i nie miał dalszych ambicji, jak tylko doczekać emerytury i przeżyć cicho resztę życia. A to wydawało się całkiem realne.

Tym bardziej, że dodatkowo ubezpieczył się w prywatnym towarzystwie włoskim, co miało podwyższyć i tak dobrą emeryturę przeszło dwukrotnie. Oczywiście, nikt wówczas nie przewidywał, że wszystkie te piękne perspektywy obrócą się w proch i pył, a reszta życia i we wojnie i potem będzie wyłącznie nieszczęśliwą wegetacją. Zresztą nie inaczej, niż życia wielu innych Polaków, zwłaszcza ucziwych i przyzwoitych.

Na razie jednak warunki materialne i finansowe rodziny układały się pomyślnie. Pensja ponad 300 zł miesięcznie i stale podnoszona każdego roku, (co według ówczesnego przelicznika odpowiadało ok. 60 \$ (ale przy zupełnie innej wartości pieniądza - za 1 złoty można było kupić mniej więcej tyle, co obecnie za 10 \$)). Połowa tej sumy wystarczała na utrzymanie, oczywiście przy skromnym życiu, bez ekstrawagancji ale i bez biedy. Złoty stanowi naprawdę mocną walutę, najbardziej stabilną w Europie po franku szwajcarskim. W

porównaniu do złotych, funty i dolary były chwiejne, nie mówiąc już o frankach francuskich osadzonych na lotnym piasku.

Normalnie powinno to przynieść dobre skutki dla rozwoju gospodarczego, ale tak się nie stało. W rzeczywistości spowodowało to zadziwiający paradoks, że pieniądze te zachowały część wartości jeszcze długo potem, gdy przestała już istnieć instytucja, które je emitowała. Nie tylko w czasie wojny, jeszcze przez pewien czas po niej to, można powiedzieć, widmo pieniądza zachowało zaufanie wielu ludzi, zwłaszcza na Bałkanach i Bliskim Wschodzie. Prawdopodobnie dlatego, że zapamiętali oni dobrą opinie tej waluty i jej stabilność, raz tylko została ona zdevaluowana w czasie światowego kryzysu, jako ostatnia z wymienialnych walut i to tylko dlatego, że po dewaluacji funtów wielkie banki międzynarodowe zastosowały nacisk wprost, któremu Bank Polski nie mógł się przeciwstawić.

Smutne wspomnienie, ale nie ze względów sentymentalnych. Chodzi o to, że właśnie to zaufanie i doskonała opinia waluty ułatwiły w przyszłości okupantowi najłatwiejszy, prosty sposób wykrwawiania polskiej gospodarki. Oczywiście, rabowano też wprost co się dało, zarówno majątek publiczny jak i prywatny, ale najwygodniej było po prostu drukować złote, a pierwszorzędna opinia złotego robiła ten proceder szczególnie opłacalnym i szkodliwym.

Przez wszystkie te lata ciągle na nowo stawiane było pytanie czy rząd Polski, czy ówczesny establishment zrobił wszystko, co było możliwe, czy istniała możliwość lepszego przygotowania się do wojny. Otóż jednak istniała: uzbroić się za cenę zdevaluowania własnej waluty. Do diabła ze względami ekonomicznymi i moralnymi, mniejsza o to kogo to zrujnuje, nie ważne że to publiczne oszustwo i nieuczciwość, inni też tak robią - trzeba było zbroić się za każdą cenę. Wszystko jest dozwolone w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. To była jedyna desperacka możliwość rozwiązania niemożliwego problemu. Zresztą i tak wszyscy ufni i uczciwi zostali w końcu zrujnowani, a jedyna różnica polega na tym, że na dewaluację przeprowadził i zysk z niej zgarnął agresor.

To okropne, że zarówno polityka zagraniczne jak i ekonomiczna spoczywała w rękach ludzi bez wyobraźni, naiwnych i uczciwych, otwarcie mówiąc, głupców wierzących w uczciwość, zwracających uwagę na honor i odpowiedzialność. Ludzi którzy zachowywali się przyzwoicie wchodząc w aliansy z łgarzami i oszustami i wierzyli swoim partnerom - gdy zaufanie oznaczało samobójstwo. Tak jest, z początku Hitler nie miał żadnych szans, napadając na Polskę włożył szyję wprost w pętlę. Hazard oparty na pewności, że alianci nie odważą się jej zacisnąć, że boją się cokolwiek zrobić.

Prawdą było to w co wierzyli wówczas wszyscy Polacy: wojna byłaby do wygrania w ciągu miesiąca, najwyżej paru, gdyby sojusznicy wypełnili swoje zobowiązania. Wydawało się, że nie powodu wpadać w panikę, przerywać rozpoczynającą się nareszcie, po tak trudnych wysiłkach, dobrą passę w gospodarce.

Ale trzeba umieć ocenić partnerów, którym się zaufało, z którymi związało się swój los. Hitler okazał się psychologiem lepszym niż Polacy. Rezultat wynikał nie z aktualnego stosunku sił, ale ze znajomości natury ludzkiej.

Tymczasem jednak traktowano stabilną walutę jak świętość. Angus namówił rodziców, żeby pozwolili mu zaprowadzić księgowość rodzinną i rezultaty głęboko go zdumiały, bo stwierdził, że rodzina ma więcej pieniędzy, niż jest w stanie wydać żyjąc wygodnie choć skromnie. Niezwłocznie też zaczął snuć plany jak zostać milionerem, tym razem jednak nie na podstawie ksiązek ale raczej filmów, „po amerykańsku” tzn. przez odkładanie i zdrowe inwestycje. Dzisiaj już prawie zapomniano jaki wpływ na przenoszeniu wzorców i idei miały popularne filmy amerykańskie.

Jedną ze stałych pozycji w wydatkach był czynsz za mieszkanie; dosyć tani. Parę lat przed urodzeniem Angusa, a więc jeszcze przed początkiem świata, rodzice kupili udział w spółdzielni mieszkaniowej, to coś zbliżonego do kondominium w USA, za dość znaczną kwotę 800 zł w złocie (Angus nie rozumiał właściwie tego wyrażenia i wyobrażał sobie coś bardzo wspaniałego i kosztownego, w rodzaju skarbu piratów; w rzeczywistości to tylko termin prawny, oznaczający po prostu że jeżeli wartość waluty się zmieni, zostanie ona automatycznie przeliczona według aktualnego stosunku do złota).

Po zbudowaniu nowych domów na ul. Śniadeckich (1924/5 r.) wynajęli pięciopokojowe mieszkanie na parterze, Właściwie było ono za duże na dwie, później trzy osoby, więc postanowili jeden pokój wynajmować, albo jak się w tych czasach mówiło, przyjmując gościa za opłatą. Położenie było korzystne, nie mówiąc o tzw. dobrym adresie. Przy tej ulicy zbudowano właśnie dwa wydziały uniwersyteckie, a w położonym obok parku Wilsona wydzielono tereny sportowo-rekreacyjne Uniwersytetu oraz Studium Wychowania Fizycznego, okna od tyłu mieszkania wychodziły wprost na te boiska.

Wynajęty umeblowany pokój sublokatorski pokrywał czynsz za cały apartament, ale z drugiej strony powstała konieczność przyjęcia pomocy domowej. Więc po kilku latach rodzice zdecydowali się przenieść do mniejszego trzypokojowego (+ oczywiście kuchnia i łazienka) mieszkania na drugim piętrze. bez dziewczyny służącej i bez wynajmowania pokoju, a za to więcej spokoju. Prowadząc, chociaż tylko dla zabawy, księgowość rodzinną Angus wykrył, że przy czynszu wynoszącym obecnie 63 zł (na poprzednim mieszkaniu 119

zł), główne stałe wydatki były w przybliżeniu równe, a mianowicie: 60 zł czesne za jego szkole i mniej więcej tyle samo koszty utrzymania, to jest głównie zakup żywności.

Rodzice Angusa posyłali go do prywatnej dobrej szkoły, ale on nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, że to był taki ogromny wydatek. Uważał to za zupełnie niepotrzebną, potworną stratę, bo przecież mógł chodzić do państwowej szkoły powszechnej za darmo. Starał się przekonać rodziców, dosłownie błagał ich czując ciężar odpowiedzialności za taką potworną rozrzutność, wszystko przez niego. Ale rodzice pozostali uparci. Z wyrzutami sumienia postanowił przynajmniej uczyć się za całą wartość tej wysokiej opłaty, zwłaszcza że dzieci urzędników państwowych mogły ubiegać się o 50% zniżkę, jeżeli przeciętna ocen przekraczała dobrze. Decyzję tą podjął z ciężkim sercem, gdyż oznaczała ona, że konsekwentnie musi też zrezygnować z czytania pod ławką. Człowiek dorastający zaczyna stopniowo dostrzegać, na jakim okrutnym i bezlitosnym świecie żyje.

Dziwnym zbiegiem okoliczności czas pokazał, że to uparci rodzice mieli rację, a w ich szaleństwie była jednak metoda. Niemcy zrabowali cały majątek rodzinny, od gotówki i akcji, od mebli do pościeli i od ubrań i bielizny do spiżarni, prawie do gołej skóry. Faktycznie członkowie tej rodziny dwa razy uszli tylko z życiem, wyrzuceni z domu nie mogli ani nie mieliby do czego wrócić, zaczęli wszystko na nowo od zera, raz na początku i potem jeszcze na końcu wojny. A następnie, chociaż w bardziej pośredni sposób, rabowani byli przez Sowieców i ich sługusów. Jedyną trafną i dobrą inwestycją okazały się wydatki na wykształcenie, chociaż właściwie tylko podstawy, wymagające uzupełnienia, ale dobre i trwałe, szkielet który stopniowo wypełniono.

Pozostała, trzecia część prawie równych wydatków to koszty utrzymania, „życia”, czyli w zasadzie żywności. Za ok. 60 zł miesięcznie co odpowiada ok. 2 zł dziennie cała rodzina mogła jeść dobrze, faktycznie za dobrze i za obficie. Będąc krajem rolniczym, Polska przez cały czas miała wysoką nadprodukcję żywności. Z konieczności więc żywność była i tania i doskonałej jakości, musiała taka być, by producent mógł ją sprzedać. Na przykład, doskonały chleb „pytłowy” i mleko z dobrej mleczarni, jakie kupowali kosztowało po 20 groszy, a wiele innych gatunków można było kupić za dziesięć do kilkunastu groszy, jeszcze taniej na rynku lub od rolników, prawie wszyscy piekli własny chleb. Jajka na rynku od 2 do 5 groszy itd. Ale nie trzeba było nawet iść na rynek, ulicą jeździły wozy sprzedające różne warzywa, rozlegał się głos woźnicy „Pyyyrkii na fuuunty, trzy kilo za dwadzieścia groszyyyy!” ale i okazyjnie w sezonie „po grrroszemu! po grrroszemu!”. Czasem mama krzyknęła z okna i posyłała Angusa po sprawunek, na ul Śniadeckich nie wypadało po prostu opuścić z okna

koszyka, jak to widywał czasem gdzie indziej. Jedyne towary konsumpcyjne nie tanie, to były alkohol i cukier, lecz to oczywiście z powodów podatkowych.

**[Kapsuła z wyjaśnieniami, można czytać lub opuścić] Gospodarka polska a położenie geograficzne.**

Dla polskiej gospodarki czynnikiem krytycznym był brak rynku dla produkowanej żywności. Z powodu nadprodukcji rolnicy, zarówno drobni jak i wielcy mieli kłopoty i to w konsekwencji odbijało się na innych dziedzinach, przemyśle, kurczeniu się handlu, zamieraniu sfery finansowej, nieobecności wielkiego kapitału. Zjawiska całkowicie nielogiczne, absurdalne, bo po obu stronach znajdowały się ogromne rynki i to tradycyjnie nastawione na polską żywność, na obu istniał ogromny popyt i praktycznie nieograniczona chłonność. To za słabo powiedziane, tam były miliony głodujących i wielu dosłownie ginących z głodu. Ale granice z obu stron były szczelnie zamknięte i to nie ze względów ekonomicznych, ale politycznych.

Po wschodniej stronie granica właściwie nie przypominała granicy, ale zastygły front z czasu wojny. Jakakolwiek normalna wymiana handlowa była z pewnością niemożliwa choć od czasu do czasu dochodziło do zawarcia niewielkich traktatów handlowych na drodze rokowań dyplomatycznych, każda transakcja traktowana jako element polityki i propagandy. Dlatego właśnie wykluczone było, żeby strona rosyjska wpuściła polską żywność.

Przeciwnie, Sowiety przez cały czas forsowały organizowany przez państwo eksport żywności i płodów rolnych do zachodniej Europy i to tanio, po dumpingowych cenach i nie zaprzestały tego nawet wtedy, kiedy miliony ludzi ginęło z głodu, a zginęło tylko w czasie największego z nich, co najmniej 15 - 20 milionów. Oczywiście mowa o zorganizowanym celowo i sztucznie wielki głódzie na Ukrainie, lecz nie brakło też mniejszych głodów i to nawet nie spowodowanych planowo przez państwo. Możliwe, że przez cały okres istnienia władzy sowieckiej zginęło z głodu 40 - 45 milionów. Zbrodnia eksportu żywności w tych warunkach (a część w ogóle marnowała się podczas gromadzenia, to jest zabierania siłą i transportu) popełniona została z powodów politycznych i ideologicznych, chociaż może potrzebne też były i dewizy do budowanego właśnie, bez względu na ofiary, przemysłu zbrojeniowego. Propaganda głosiła, że Sowiety są rajem dla klasy robotniczej, wymysły o głódzie to kłamstwa wrogów, ludzie odżywiają się dobrze i żyją lepiej, niż w krajach kapitalistycznych. Ci co ośmielili się być głodni, byli po prostu rozstrzeliwani tysiącami. Nie wolno ulegać burżuazyjnym kłamstwom. Władze nigdy nie pozwoliłyby na żaden import żywności, za żadną cenę, za nic..



Zwłaszcza za nic. Jakakolwiek bezinteresowna pomoc była szczególnie podejrzana jako prowokacja i wroga dywersja prowadzona w oszukańczych celach ideologicznych, szkodliwa propaganda (to może się nie mieścić w głowie, ale rzeczywiście misje Czerwonego Krzyża zostały zamordowane, niestety jak ze wstydem wspominał Angus, zdarzyło się to po obu stronach, złe emocje wzięły górę także w Polsce, na co wpływ miała wielka liczba uciekinierów, którzy widzieli, lub żyli w Rosji.

Oficjalna propaganda głosiła, że to Wielki Kraj Rad pomaga ludziom w innych krajach, żyjących w okropnych warunkach, w biedzie, głodzie i ucisku, nienawidzących kapitalistów, którzy jedynie mogą sobie pozwolić na kupno najbardziej luksusowej żywności. Naturalnie, jeżeli akurat w danej chwili woleli ją od krwi ludzi pracy, którą pijali w złotych kubkach jako ulubiony odświeżający napój. Angus nawet nie znał tych bzdur, rodzice też nie, ani ogromna większość ludzi w Polsce. Co więcej, nawet gdyby kto je powtórzył albo napisał, nikt by mu nie uwierzył, traktując to jako głupią kaczkę dziennikarską.

Jakie są granice ludzkiej głupoty? Może się wydawać, że kompletne szaleństwo nie może być przyjęte przez zdrowy umysł. Ale zanim określi się coś za zbyt absurdalne, niemożliwe do akceptacji, trzeba pamiętać, że przecież za naszych czasów, całkiem niedawno w krajach bloku komunistycznego oficjalna propaganda głosiła, że plaga stonki występuje wyłącznie z powodu tajnych operacji amerykańskich i że to amerykańskie okręty podwodne, samoloty i co tam jeszcze przywożą ją i rozprawdają. Idiocyzm? Tak, a przecież w tej sprawie uchwalano masowe protesty i przesyłano je drogą oficjalną. A ktokolwiek odważyłby się wyrazić wątpliwości, ryzykował więzienie. To i tak ogromny postęp w stosunku do Związku Radzieckiego, gdzie niedowiarkom nie zezwalano żyć, a działała tam wysoko wykwalifikowana inkwizycja. A czyż oficjalnie nie głoszono, że Mao pływał z szybkością 40 węzłów i jeszcze układał przy tym poematy, które natychmiast po wyjściu z wody podyktował swemu sekretarzowi. A sam Stalin, czy nie miał jeszcze bardziej zadziwiającego i uniwersalnego umysłu? Zasady zdrowego rozsądku nie mają zastosowania pod przymusem dyktatury.

Na przykład jest dobrze znanym obecnie faktem, że podczas wielkiego głodu na Ukrainie (wywołanego sztucznie) duże okręgi zostały otoczone i odcięte przez GPU, zwykle z pomocą podporządkowanych jednostek armii, cała komunikacja wstrzymana, uciekinierzy tłumnie rozstrzeliwani. Ludzi zmuszono do pozostania i umierania w ich domach, skutecznie przeszkodzono im w ucieczce - mogliby szukać pomocy w miastach, może szerzyć panikę i rozpuszczać wiadomości. Po prostu trudno uwierzyć, że w jednym z najurodzajniejszych krajów świata, zginęły miliony, od dziesięciu do dwudziestu milionów zmarło wtedy z głodu

a nieznaną liczbą została rozstrzelana. Ludożerstwo zdarzało się i to nie wyjątkowo lecz dość często. To i tak zdumiewające, że nie stało się ono w tych warunkach powszechnie.

Krótko mówiąc, zamiast budowania obozów śmierci cały ten kraj podzielono na kilka rejonów, jakby ogromnych obozów i trzymano w izolacji, aż część ludzi wymarła. Jednak mimo izolacji i wytłumienia przepływu wiadomości, zawsze zdarza się kilka przeżyć, pozostały też wspomnienia, nawet pamiętniki i po latach informacja o tym niewyobrażalnym piekle jednak się rozszerzyła i przetrwała. Już w tych latach, do blisko położonej Polski przenikały pogłoski, przyjęto je z niedowierzaniem, jedni potwierdzali, inni zaprzeczali.

Innym przykładem jest przemyt. Mimo wszelkich zabezpieczeń, istniał szlak przemytniczy z Niemiec do Rosji na kokainę i inne (sacharyna, kamienie do zapalniczek itd.), a z powrotem złoto, kosztowności i dzieła sztuki. Napisano też na ten temat kilka interesujących książek. Jednym z takich autorów, dobrze zorientowanych na podstawie osobistego udziału w procederze był odsiadujący wyrok na tzw. Świętym Krzyżu (jedno z najcięższych więzień) Sergiusz Piasecki. Istnieją też jeszcze nie publikowane pamiętniki sławnego Robin Hooda Polesia, Carton de Wiart'a i chyba staną się bombą wydawniczą w krajach anglojęzycznych, gdy wywiad brytyjski pozwoli wreszcie wyjąć je z zamrażarki. (Sir Adrian sam nie uczestniczył oczywiście w szmuglu, ale zatrudniał często ludzi z branży).

Krótko i węzłowato: jeżeli w ZSRR złapano przemytnika z kokainą lub innymi narkotykami, mógł się on spodziewać dłuższego pobytu w obozach na dalekiej północy, podobnie jeżeli przenośli złoto lub kosztowności. Ale jeżeli złapano go z żywnością, to w ogóle nie przekazywano go wymiarowi sprawiedliwości (co za śmieszne słowo), ale zwłoki zakopano na miejscu. To był wróg klasowy, najgorszy prowokator i podstawowym zadaniem było nie dopuścić do rozpowszechniania fałszywych wiadomości, że w krajach kapitalistycznych rzekomo jest obfitość żywności. W takiej sytuacji żaden człowiek o zdrowych zmysłach po obu stronach granicy nie podejmował takiego ryzyka. Nie warto.

Z przeciwnej, zachodniej strony, granica z Niemcami nigdy nie była zamknięta, jednak sytuacja była trudna i skomplikowana. Niemcy nie głodowali, w każdym razie nie ginęli z głodu, ale owszem, chodzili głodni i źli, a jedli marnie. Przez ostatnie stulecie, gdzieś od wojen napoleońskich, Berlin, Prusy i wielka część Niemiec stały się naturalnym rynkiem zbytu dla płodów rolnych z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, to jest tej części Polski, która pozostała pod zaborem pruskim; stopniowo także żywności sprowadzanej z dalszych części Polski, podległej ówczesnej Rosji. Ten rynek istniał nadal i zapotrzebowanie na żywność było większe, niż kiedykolwiek, ale granica teraz została potraktowana z krańcowym protekcjonizmem, jeszcze gorzej, po kilku latach zaczęła się tzw. „wojna taryfowa” lub celna,

wojna ekonomiczna na pełną skalę. Kolejne rządy niemieckie starały się za wszelką cenę nie tylko wykluczyć import z Polski, ale także przeciąć tranzyt z Polski do innych krajów, w szczególności Europy Zachodniej przez krańcowo niekorzystną taryfę opłat kolejowych. Wpływ na polską gospodarkę był wyjątkowo katastrofalny. Niewątpliwie Polska była krajem mniejszym, bez porównania słabszym ekonomicznie i bardziej wrażliwym na ciosy. Jednak, jeżeli nawet silniejsza gospodarka niemiecka mogła łatwiej znieść ten ciężar, właśnie tam ludność ucierpiała bardziej.

\* \* \*

Matka Angusa urodziła się w Wielkopolsce, a więc pod zaborem pruskim, uczyła się w niemieckich szkołach w języku niemieckim (pod przymusem) i miała przyjaciółki, dawne koleżanki szkolne, mieszkające po obu stronach granicy, także w Berlinie (przeważnie Polki, ale również i Niemki). Także i w Poznaniu zawarła bliską przyjaźń z Panią Balcer, Niemką z Berlina, która wyszła za mąż za Polaka, p. Balcera i w konsekwencji została obywatelką polską. Rodzina Balcerów mieszkała w tym samym domu, początkowo wprost naprzeciwko, drzwi w drzwi, a potem po tej samej stronie ale o dwa poziomy niżej (rodzice Angusa przenieśli się na drugim piętrze). Obie Panie spędzały na długich rozmowach kilka godzin dziennie i zaprzyjaźniły się do tego stopnia, że pani Balcer poproszona została na chrzestną matkę Angusa.

Otóż chociaż pani Balcer była sympatyczna, bystra i dzielna, nigdy nie zdołała nauczyć się poprawnie polskiego a lubiła sobie pogadać i była szczęśliwa mogąc rozmawiać po niemiecku, usta jej się nie zamykały. A z drugiej strony matka Angusa chętnie skorzystała z tej okazji, uważając, że w ten sposób może zachować znajomość języka niemieckiego na poziomie. Po latach spędzonych w domu zapomniała wiele z francuskiego, większość z rosyjskiego, który zresztą i tak nauczyła się tylko praktycznie i z konieczności, natomiast jej niemiecki był nadal doskonały, a z biegiem czasu po prostu nikt nie mógłby odróżnić jej od rodzonej Berlinerin. Nic dziwnego, panie gadały i gadały codziennie z zawrotną szybkością, o życiu i w ogóle o wszystkim, śpiewnie gruchającym głosem tak, że Angus nie był w stanie wyróżnić konkretnych słów. Dlatego jako dziecko nazywał przyjaciółkę matki panią „nein nein, ja ja”, bo to były jedyne dźwięki jakie zdołał usłyszeć. Otóż pani Balcer często odwiedzała Berlin i swoją rodzinę, a matka Angusa od czasu do czasu towarzyszyła jej.

Zabierały zawsze ze sobą torbę lub dwie żywności, tyle ile wolno było zabrać podróżnemu dla własnego użytku i dzięki temu zawsze były witane jako mili goście. W gruncie rzeczy, matka z torbą żywności, która w Polsce prawie nic nie kosztowała, czuła się tam jak jaśnie pani. Po powrocie z takiej podróży, zwykle była to okazja do kilku

dodatkowych godzin rozmowy, a potem, gdy już pani Balcer wyszła, Angus mógł usłyszeć końcowy komentarz po polsku: - Berlin to wspaniałe i bardzo piękne miasto, ludzie są tam mili i sympatyczni, wiele się można nauczyć i to przy dobrej rozrywce, ale z całą pewnością w Polsce żyje się lepiej. Gdyby Polacy musieli tak kiepsko - po prostu podle - jadać, jak ludzie mieszkający w Berlinie, doszłoby do buntów i zamieszek. Bez żadnych wątpliwości, tu się nie ma co śmiać - Polak jak głodny to zły.

Te wyjazdy ustały trochę przedtem, zanim Angus zaczął chodzić do szkoły, a właściwie gdy Hitler doszedł do władzy i zaczął rządzić „tysiącletnią Rzeszę”. Paniom wyjaśniono, że rodzina zawsze jest rodziną, a i przyjaciele przyjaciółmi, ale tymczasowo, oczywiście tylko na krótki czas, lepiej byłoby zaprzestać tych wizyt. To po prostu zdrowy rozsądek, bo o gościach z Polski teraz się szeroko mówi i to jest trochę kłopotliwe. Ten nowy wiatr na pewno wkrótce ustanie, a na razie po co budzić podejrzenia. Jednak nowy wiatr wcale nie ustał, a co więcej stopniowo to sama pani Balcer przestała odwiedzać swoich rodziców i rodzinę.

Tego już matka Angusa nie mogła zrozumieć:

- Co za bzdury, to jest przykład niemieckiego porządku, dyscypliny. Niewątpliwie ludzie przesadzają, są zbyt bojaźliwi. Łatwo nimi kierować, słuchają, ulegają i w rezultacie tresuje się ich i ujeżdża jak łysą kobyłę w cyrku. To nigdy nie mogłoby się zdarzyć w Polsce. Jakim prawem ktoś mógłby dyktować mi, kogo mogę przyjmować w domu? Niechby tylko spróbował, już ja bym mu pokazała! - Po latach zobaczyła na własne oczy to, w co przedtem nie mogła uwierzyć i wtedy jej komentarz się zmienił: - Co oni zrobili z tymi ludźmi, z całym krajem, z innymi krajami. To po prostu niepojęte, jak się to mogło stać. Byliśmy ślepi, cały świat był ślepy że wcześniej tego nie dostrzegł. Cały ten okres powinien być szczegółowo zbadany i opisany, powinni o tym uczyć w szkołach.

Jednak to właśnie Hitler przerwał wojnę ekonomiczną przeciw Polsce. Głównie dlatego, że okazała się nieskuteczna. Powodowała straty po obu stronach, chociaż znacznie dotkliwsze dla słabszej gospodarki polskiej. Jednak w ten sposób nie dało się osiągnąć żadnych ustępstw, przeciwnie, zgodnie z charakterem narodowym Polaków działało to odwrotnie. Ale tak naprawdę dla Hitlera ważne było co innego - spektakularny efekt natychmiastowego podniesienia warunków życia zwykłych ludzi, co od razu dodało mu popularności. Zwłaszcza w okręgu berlińskim i ośrodkach przemysłowych Śląska, także w innych wielkich miastach sytuacja żywnościowa się poprawiła, ceny spadły. To wszystko przypisano zasługom Partii (skąd my to znamy?), ale nie wyjaśniając tego inaczej, jak tylko nową lepszą administracją. Dokładnie to samo mogły zrobić przed Hitlerem inne rządy i

zyskać taki sam wzrost popularności, ale nie zdecydowały się na ten krok. Natomiast Hitler chciał choćby małego sukcesu, ale natychmiast, zaraz po dojściu do władzy i miał go. Bez względu na przyczyny, wielu Niemców zapamiętało tylko, że za Hitlera warunki życia się poprawiły.

Polacy, początkowo uszczęśliwieni z powodu zakończenia nonsensu wojny celnej, zbyt późno zauważyli, że właściwie nie była to zmiana na lepsze, bo cały handel zagraniczny, rozliczenia walutowe itd. funkcjonowały obecnie na innych zasadach. Podstawowa różnicą było, że marka niemiecka przestała być walutą wymienną, ze wszystkimi skutkami tegoż. To już nie był wolny handel, strona Niemiecka zastosowała rygory planowania państwowego, wprowadzono kontyngenty, kwoty, szczegółowe zezwolenia. Brzmi to prawie komunistycznie, ale w rzeczywistości stosowano stare wzorce biurokratyczne z czasów I Wojny Światowej. Ponieważ i normy komunistyczne wzięły się z tych samych niemieckich wzorów, stąd podobieństwo.

Polska nie była przygotowana na taki rozwój wypadków. Gospodarka kontrolowana była tu wcześniej nieznaną i nie istniały odpowiednie instytucje biurokratyczne, a po ich powołaniu były to tylko zaczątki, więc już to samo dawało Niemcom lepsze pozycje. Teoretycznie, wymiana handlowa powinna być zrównoważona. W rzeczywistości jednak, import do Niemiec płatny był w nowych markach, których nie można było wymienić na dewizy. Lecz ponadto, eksport towarów przemysłowych do Polski celowo manipulowano w zakresie drogiej cen. Stał się on zbyt drogi i tylko z trudem znajdował nabywców, w rezultacie polski eksport był stale większy od importu z Niemiec, z rosnącą nadwyżką na korzyść - cóż za paradoksalne określenie, w tej sytuacji było akurat odwrotnie - strony polskiej. (według dawnych poglądów była to korzystna sytuacja, ale obecnie chodziło o nadwyżkę w markach, nie przyjmowanych na rynku walutowym).

Rentenmarki mogły służyć tylko do zakupów w Niemczech. W rzeczywistości więc była to zapłata na niby, nadwyżka nigdy nie została spłacona,. W ten sposób polscy rolnicy, nie zdając sobie a tego sprawy, zostali wrobieni w finansowanie kredytu na pewną część niemieckich zbrojeń, przygotowań wojennych. W przyszłości zostali spłaceni niemieckimi kulami i może bombami wyprodukowanymi za ich należności. Krótko mówiąc to była pułapka finansowa i Polska dostała się w dławiący uchwyt.

Jak się to stało, że koła rządowe, a także ekonomiczne i sami przedsiębiorcy polscy tego nie dostrzegli? Jak mogli postępować tak głupio?

Cóż, nie ma na to prostej odpowiedzi.

Niemcy były pierwszym krajem które zastosowało tą nową strategię, wykorzystując słabość własnej waluty jako atut. Później już często kraje totalitarne, zwłaszcza z bloku komunistycznego powtarzały tą metodę, ale bez powodzenia. Mowa o skali międzynarodowej, bo od wieków proceder ten był często używany przy małych brudnych interesach. I nie tylko sama Polska wpadła w taką pułapkę. Także inne kraje zbyt późno dostrzegły, że weszły na pole minowe z którego nie da się wycofać bez strat. W podobnej sytuacji znalazły się praktycznie wszystkie kraje wschodniej i południowej Europy, od Bałtyku do Bałkanów, a nawet sprzymierzone z Niemcami faszystowskie Włochy. Kiedy raz przekroczyło się to błędne koło, nie było dobrej drogi wyjścia. Jedyne możliwe, to byłoby pogodzić się z dotychczasową stratą i wrócić do punktu wyjścia, rozpoczynając handel zagraniczny od zera na dawnych zasadach. Ale to była zbyt gorzka pigułka do przełknięcia dla krajów o kruchej gospodarce.

Teoretycznie, te kraje miały zdrowy i korzystny bilans handlowy i nadwyżkę walutową. Faktycznie miały w ręku tylko zły kredyt, dług nie do odzyskania wspomagający niemiecki budżet. Budżet zbrojeń wojennych.

### **Kapsuła: Ekonomiczne zarzewie przyszłej wojny**

Jednak to drobny żart w porównaniu do gigantycznego szwindlu, największego w dziejach oszustwa którego ofiarą padła śmietanka najwyższej finansjery świata, w tym bogatych krajów zachodu, w szczególności USA i UK. Miyczny autor, któremu powszechnie przypisuje się ojcostwo ostrej zagrywki czy zgrywy to „czarodziej finansowy Niemiec” Hjalmar Schacht, ale w rzeczywistości krętaństwo rozwijało się długo i stopniowo. Jak to zwykle bywa miało wielu ojców. Schacht był tylko ostatnim z nich, ale niewątpliwie najbardziej pomysłowym i zdolnym - do wszystkiego. To artysta, który doprowadził niską fuszerkę szalbierstwa do perfekcji wyrafinowanej sztuki. A przy okazji prawdopodobnie został też wynalazcą drobniejszych sztuczek, których ofiarą padły wzmiankowane mniejsze i uboższe kraje położone na wschód i południe.

Kwestia niemieckich długów jest obecnie zapomniana. Wielu ludzi w ogóle o niej nie słyszało, albo tylko jakieś niejasne plotki. Przeciwnie, inni demonizują sprawę, podszeptując, że to wstrętnei kapitaliści - a niektórzy wolą w to miejscu wstawiać plutokrację żydowską - świadomie i celowo dostarczyli Hitlerowi nieograniczone środki materialne, aby mógł rozpętać wojnę światową. Oczywiście po to, żeby im przypadły niebotyczne zyski wojenne, zbiory kapitału wyrosłe na krwi i krzywdzie.

Jest to krańcowo kretyński pomysł oparty na ciemnocie. Nie może być innego komentarza ze strony ludzi, którzy widzieli ówczesne wydarzenia na własne oczy, ale takich

jest już coraz mniej. Źródłem tego wymysłu stało się, być może właśnie to, że nabrani wówczas frajerzy i dupki, a mowa tu o kwiecie ówczesnej finansjery, elicie banków i bankierów i to nie jednego kraju, ale całego świata, zrobili wszystko, żeby zamazać i przyćmić obraz. Upokorzeni wspomnieniami własnej głupoty, próbowali je usunąć i pogrzebać na zawsze. Oczywiście, ukrywanie prawdy wywołuje najgorsze domysły. A prawda jest prosta. Chodzi o znany od dawna problem złych długów - oraz złych dłużników.

Zwykły zły dług to zmartwienie dla dłużnika, ale jeśli przekroczy pewną wysokość, to staje się zmartwieniem i dla dłużnika i dla wierzyciela, obawiającego się o swoją należność. Jeżeli zaś przekroczy dalszy poziom, granice wiarygodności finansowej i możliwości płatniczych, to staje się już wyłącznym kłopotem wierzyciela, dla dłużnika w najlepszym razie źródłem śmiechu, a w najgorszym dochodu przez szantaż.

Jak wiadomo, Niemcy wyszły z I Wojny Światowej osłabione i zrujnowane. W dodatku nastąpiło potem kilka lat wewnętrznego zamieszania i wynikła sprawa odszkodowań wojennych. Sytuacja była zbliżona, jak sytuacja Francji po przegranej wojnie w latach 1970/1, jednak Francja spłaciła uczciwie swe zobowiązania.

A przy okazji jeszcze jedna ciekawostka: najbardziej szacowna instytucja finansowa współczesnych czasów, Bank of England, bynajmniej nie powstała, dużo dawniej, w celu zarządzania jakimiś fantastycznymi bogactwami, jak można by się spodziewać, ale wprost przeciwnie, dla obsługi ogromnych długów wojennych.

Zresztą nie tylko Niemcy, które rozpoczęły i przegrały I Wojnę Światową, wyszły z niej osłabione i zadłużone, także i zwycięzcy alianci mieli ogromne długi. Koszty wojen ciągle rosły, aż doszły do kolosalnych rozmiarów. Nie wspominając już o tym, że działania wojenne toczyły się wyłącznie na terytorium napadniętych, Niemcy więc praktycznie nie ucierpiały w ogóle w tym zakresie.

Angus zawsze uważał, że jakiegokolwiek porównanie sytuacji powojennej Polski z Niemcami byłoby absurdem. Cały jego kraj został nie tylko zrujnowany, ale kompletnie zdewastowany przez front, który przetaczał się kilkakrotnie niemal przez wszystkie ziemie. Co więcej, bezpośrednio po I Wojnie Światowej, nastąpiły jeszcze śmiertelne zmagania wojenne z Sowietami, usiłującymi przez trupa Polski podać rękę rewolucji w Niemczech. Temu towarzyszyły zniszczenia, przekraczające jakiegokolwiek cywilizowane wyobrażenia i znowu, front dwukrotnie przetoczył się przez większą część Polski. Ta wojna zakończyła się zwycięstwem, ale za jak cenę! I to wszystko spadło na państwo istniejące dopiero od około roku, nie mające zorganizowanego zaplecza finansowego, bez żadnych rezerw, właściwie

funkcjonujące dzięki dobrowolnym ofiarom. Nic dziwnego, że ta zwycięska wojna ostatecznie zrujnowała zarówno polską gospodarkę, jak i walutę na szereg lat.

A na dodatek trzeba było walczyć również z Niemcami, które może i straciły potęgę w przegranej wojnie, ale jeszcze ciągle miały jej aż za wiele w stosunku do organizującej się dopiero Polski. Doszło wtedy do powstania w Wielkopolsce, jedyne zwycięskiego w historii, a potem do trzech, powstań śląskich, niestety nie zwycięskich, ale bardzo krwawych. A jakby tego wszystkiego nie było dosyć, odradzająca się Polska została zaraz na wstępie obciążona brzemieniem długów za sumy, których nigdy nie poczyniła.

Krótkie wyjaśnienie: ani Polacy, ani Państwo Polskie nigdy nie zaciągali ani nie otrzymali, ani nie widzieli tych pożyczek. Były to długi wrogów Polski, którzy w XVIII wieku pobili Polskę i zajęli ją, okupując przez stokilkadziesiąt lat jej terytorium. Otóż te międzynarodowe długi zostały w wyniku Traktatu Wersalskiego częściowo przeniesione na Polskę, proporcjonalnie do odzyskanego terytorium. Tak przyjęta zasada powodowała, że długi po Rosji były nieznaczne, ponieważ proporcja ziem polskich w porównaniu do ogromu Rosji była mała, ale w wypadku zobowiązań niemieckich przeciwnie, stosunek ten był zdecydowanie niekorzystny, gdyż mniej gęste zaludnienie odzyskanych ziem polskich powodowało, że wielkość zobowiązań na głowę ludności była wyższa, niż w Niemczech. Niewątpliwie takie przeniesienie długów było niesprawiedliwie i wręcz nieuczciwie, to tak jakby rozbójnicy zajęli czyjś dom i po jego odzyskaniu, prawowity właściciel miał spłacać porobione przez nich długi. Jednak Polska, odzyskująca wolność po półtora wieku niewoli, musiała przyjąć takie warunki, (zgodziła się na każdy dyktat) i uczciwie je wypełniała.

Nic dziwnego, że po takich doświadczeniach, około 70 lat później, Polacy nie mieli wielkiej ochoty powtarzać tego raz jeszcze, przejmować odpowiedzialności za długi zrobione przez marionetkowy rząd sowiecki, który po I Wojnie Światowej po złamaniu zbrojnego oporu krwawym terrorem obcej armii został narzucony przemocą i to przy zgodzie i pomocy dawnych sojuszników. Oczywiście to czyniło go nielegalnym przez cały czas i od samego początku, a więc jego działania i zobowiązania nieważne. Nie mówiąc już o tym, że znaczna część tych pożyczek albo w ogóle do Polski nie trafiła, albo też została następnie odsyfonowana bezpośrednio, albo pośrednio, po przetworzeniu, do Sowietów. Poszerzając poprzednią analogię to tak, jakby mieszkańcy jednej ulicy umówili się w sprawie wspólnej obrony przed bandytami i jeden z nich następnie brał udział we walce, dobrze i lojalnie wypełnił swoją część obowiązku, został przy tym ciężko pobity i poniósł straty, a wtedy jego partnerzy nie tylko zostawili go bez pomocy, ale zgodzili się na oddanie jego domu bandytom, pomogli im go zająć i na koniec, kiedy szczęśliwie udało mu się odzyskać swą



własność, domagali się od niego zwrotu pieniędzy, które pożyczyci tym bandytom pod zastaw cudzego domu.

Nie jest to więc tylko kwestia złamanych traktatów sojuszniczych, użycia instrumentalnego sojusznika jako piorunochronu zbierającego pierwsze uderzenia bez zamiaru udzielenia mu pomocy, a więc zawarcia porozumień od początku w złej wierze i następnie zdrady, rzucenia go wilkom już po wojnie. Także wszystkie transakcje i zobowiązania powstałe w wyniku takiego działania są nielegalne, nieistniejące i niesłuszne, głęboko niemoralne, a formalnie i prawnie nie mają żadnych podstaw, po prostu nie powinny i nie mogą się utrzymać. Jeżeli więc Polska zawarła porozumienie w tej sprawie i zgodziła się uznać część z tych długów, to rzeczywiście zrobiła więcej, niż należało.

Wprawdzie dobra opinia jest cenna, ale tego już za dużo i za drogo kosztuje. Każdy kij ma dwa końce. Przesadnie uczciwy może też być uznany za głupiego, a to już jest nie taka dobra rzecz, w rezultacie nie ma końca żądań. Takim przykładem może być sprawa polskiego złota, zdeponowanego na czas wojny u aliantów. Afera opisywana była jeszcze przez prasę komunistyczną i dlatego nie wiadomo, czy prawdziwie, ale podobno Wielka Brytania zgłosiła swoje roszczenia, żądając pełnej zapłaty za broń i zaopatrzenie dla wojsk polskich walczących w składzie armii brytyjskiej. Było to akurat wojsko zaproszone przez Churchill'a po kapitulacji Francji dla obrony Anglii, rozpaczliwie wtedy potrzebne i które dobrze spełniło swoje zadanie a potem walczyło nadal w składzie wojsk brytyjskich skutecznie i (to według oceny dowództwa brytyjskiego) bardzo dobrze. Co jednak dodaje specjalnego posmaku tej aferze, to fakt, że wiele z żądań finansowych dotyczyło broni i sprzętu, który sami Anglicy dostali bezpłatnie od USA, na zasadzie „Lend and lease”, w celu wspólnej walki z wrogiem nazistowskim. Według wiadomości podawanych przez prasę komunistyczną, z powodu bardzo złego przyjęcia tego przez opinię światową, która uznała postępowanie W. Brytanii za wręcz nieprzyzwoite, Anglicy częściowo się wycofali i wynegocjowano jakieś porozumienie. Trudno ocenić czy te wiadomości odpowiadają ściśle faktom. Jaka by jednak nie była prawda, faktem jest że złota nie zwrócono prawowitemu właścicielowi, ale marionetkowemu rządowi podporządkowanemu Sowietom i to tylko częściowo. A więc klasyczny przypadek sprzeniewierzenia w znowie - złoto zniknęło, a mydlenie oczu zatarło tylko informację, kto właściwie zagarnął jaką część łupu.

\* \* \*

W porównaniu do Polski, Niemcy nawet po przegranej I Wojnie Światowej były nadal krajem bogatym, szczęśliwym, potężnym, po prostu wspaniałym. Owszem, niektórzy ludzie byli wyczerpani, wygłodzeni, ponieśli straty, byli też zabici i ranni. Ale niemiecka ziemia

była nietknięta przez terror i zniszczenia wojenne, te okropności wyeksportowano wyłącznie do innych krajów. Cały horror wojny, przetaczenie się frontu przez bezbronne ziemie, zniszczone przez ostrzał artyleryjski miasta, spalone wsie, domy zniszczone z trupami ludzi wewnątrz, chłopci obdarci do kości, bez dobytku, konfiskaty, kontrybucje, nawet kościoły bez dzwonów (o ile nie spłonęły) i ołtarze pozbawione „kriegswichtiges Metall” - to wszystko spotykało nie Niemcy, lecz wyłącznie sąsiednie kraje. A najbardziej ucierpiała właśnie Polska chociaż niewątpliwie niektóre, niewielkie części Francji zostały zniszczone bardziej intensywnie.

Pewnie, Niemcy też ponieśli straty. Potraktowali przecież wojnę jak spekulację na zysk, tymczasem interes okazał się ryzykowny i niebezpieczny. Trudno oczekiwać, że inne narody nie będą bronić swego terytorium, strzelać też, kiedy do nich się strzela. Zabici padali po obu stronach frontu, nie po jednej. Ogromne wydatki na broń, sprzęt wojskowy, amunicję i inne ponosiły obie strony, straszliwy ciężar spoczął i na zwycięzcach i zwyciężonych. Ponadto istniało zawsze ryzyko, że jeżeli wojna przybierze zły obrót, ludzie którzy przeżyli, a których własność została zarekwirowana, zabrana, zrabowana lub zniszczona mają prawo zadać odszkodowania. Po prostu dokonano złej inwestycji, ten business się nie udał.

Sedno sprawy leży w tym, że Niemcy były twardo zdecydowane, nigdy nie spłacić tych zobowiązań. I - incredible dictu - pomimo tak słabej pozycji przetargowej i wielkich trudności ostatecznie to osiągnęły. Lecz ta droga doprowadziła prosto do II wojny Światowej. Ten prymitywny program był w Niemczech bardzo popularny, uważano go za uniwersalne panaceum. Długi wojenne precz, na to zwalano wszystkie niepowodzenia, to była przyczyna wszelkiego zła i to hasło stało się ogólnym konsensusem. Nie było partii, która odważyłaby się go nie podpisać. A najbardziej konsekwentna była NSDAP.

Logicznym przedłużeniem tego rozumowania stały się dwie, sprzeczne ze sobą tezy: pierwsza, że I Wojna Światowa nie była wynikiem agresji, druga, że Niemcy nigdy jej nie przegrały, lecz mogły nadal walczyć i ostatecznie zwyciężyć, gdyby nie zdrada i defetyzm na tyłach. Pierwsza z tych tez jest dość absurdalna, biorąc pod uwagę fakt, że przez cały czas wojny żaden nieprzyjacielski żołnierz nie stanął na niemieckiej ziemi, za wyjątkiem skrawków formalnie wtedy należących do Niemiec, ale przyłączonych przemocą po odebraniu ich Polsce i zamieszkiwanych przez polską ludność.

Co do drugiego twierdzenia, to prawda, że Niemcy były nie tknięte, a same zdobyły ogromne terytoria, lecz zużyły cały swój potencjał militarny i lepiej było skapitulować jeszcze wcześniej zaraz po niepowodzeniu ostatniej ofensywy. Od tej chwili, czas pracował dla przeciwnej strony, proporcja sił coraz bardziej przechylała się na rzecz aliantów i armii

niemieckiej groziła całkowita zagłada. Armie niemieckie na zachodzie, utrzymywały front napięty do granic ludzkiej wytrzymałości, nie mając szans ani na dalszą obronę, ani na wycofanie się. Ofensywa Focha' a już zaczęła zwijać ten front i nie wielu niemieckich żołnierzy zdołałoby żywych przekroczyć z powrotem Ren, najlepsze możliwe dla nich wyjście to obóz jeniecki. Zostali uratowani w ostatniej chwili przez inteligentną, odważną i błyskotliwą decyzje swoich generałów.

Chapeaux bas! Jakiegokolwiek błędne decyzje podjęli ci generałowie przedtem, przynajmniej okazali na koniec odwagę cywilną wziąć na siebie odpowiedzialność za klęskę i w ten sposób ocalili swoją ojczyznę od ostatecznej tragedii, a swoich ludzi od zagłady. Inną alternatywę wybrał później Hitler, który uważał, że razem z nim mogą i powinni zginąć całe Niemcy. Na szczęście, nie miał już władzy żeby to doprowadzić do końca, ale i tak przedłużył konanie i ludzkie cierpienia o kilka tragicznych miesięcy. Kilka miesięcy, to się może niewiele w porównaniu do piekła które sprawiał innym narodom przez lata, ale śmierć jest jednakowa, nie można jej rozróżnić.

Wojsko na wschodzie było w lepszym położeniu, jednak i tak niektóre oddziały na dalekich, południowo-wschodnich ziemiach Rosji nie zdołały się już wycofać, Rodzice Angusa wspominali mu, że w czasie podróży pociągiem ewakuacyjnym słyszeli o całych transportach niemieckich żołnierzy, które zniknęły w drodze. Oficjalnie wyjaśniano to wielkimi mrozami i śniegami oraz mówiono o całych stadach wilków. Jeżeli to i prawda, to może zantagonizowana ludność, która wiele wycierpiała, miała jakiś udział w rzuceniu żeru tym wilkom.

Faktycznie więc wstępne warunki kapitulacji, że wszystkie niemieckie wojska mają się wycofać z obcych terytoriów, był dla nich ocaleniem. Wszystkie inne warunki miały być ustalone później, na konferencji pokojowej.

Dla gospodarzy tej konferencji, Francuzów, przyczyny i korzenie tej wojny, leżały w poprzedniej wojnie 1870/1 i traktowali oni ją jako dalszy ciąg, a więc warunki powinny być wzorowane na tamtych. Otóż poprzednio Francja musiała zapłacić niespotykaną dotąd ogromną kontrybucję. To te kolosalne bogactwa pozwoliły stworzyć niemiecki przemysł i jego ekspansję. Ale tym razem opinia światowa była zdecydowanie przeciwko jakimkolwiek kontrybucjom i Francja nie zdołała tego przeforsować. Jedynie odszkodowania za własność zrabowaną lub zniszczoną, uznano za sprawiedliwe. Ale praktycznie i tych zobowiązań nigdy nie udało się wyegzekwować.

Po siedmiu i pół miesiącach rokowań, podpisany 28 czerwca 1919 Traktat Wersalski zwolnił Niemcy od wszelkich obowiązków odszkodowania na wschodzie. Rosji już nie było,

a Sowiety, przekształcając z ręcznie własną słabość w sukces propagandowy, zadeklarowały rezygnację z odszkodowań uznając tą sprawę za głęboko niemoralną. Faktycznie najbardziej poszkodowana była Polska, żaden kraj tak bardzo nie ucierpiał, chociaż pewne części Francji zostały zniszczone gorzej, ale stosunkowo niewielka część, w porównaniu do ok. 75% Polski. Ale ponownie przywracana do istnienia Polska, nie mogła stawiać żądań, z konieczności musiała akceptować wszelkie warunki, a nawet przejąć część niemieckich długów - jak już wspomniano wyżej, proporcjonalnie do odzyskanych terenów.

Ostatecznie więc Niemcy szczęśliwie dla nich, a nieszczęśliwie dla krajów poszkodowanych, zostały gładko zwolnione z jakiegokolwiek odpowiedzialności za wszystkie zniszczenia, rabunki i ruinę, za wyjątkiem ograniczonej strefy po stronie zachodniej. Ale i tam Francja zapewniła sobie pierwsze miejsce, dalekie drugie zajmowała Belgia, chociaż ona też ucierpiała mocno z rąk Niemców. Krótko mówiąc odszkodowania nie tyle uzależnione były od wyrządzonego zła, ile od faktycznej siły stawiającego żądania.

Charakterystyczne, że również Niemcy, początkowo akceptowali natychmiast wszystkie warunki francuskie, ale protestowali i bardzo twardo odrzucali pretensje mniejszych i słabszych państw. Co więcej, Niemcy rozpoczęli niezwłocznie spłacanie pewnych sum Francji, jeszcze nawet zanim ustalono i podpisano traktat, jako zadatek na przyszłość oraz rękojmię dobrej woli, pozorów pojednania. Faktycznie Niemcy przekupiły w ten sposób Francję, która, coraz bardziej zainteresowana w otrzymaniu lwiej części odszkodowań, jednocześnie chroniła Niemcy przed innymi żądaniami.

Po podpisaniu traktatu pokojowego, taktyka ta ulega zmianie. Wprawdzie początkowe spłaty, raczej symboliczne i nieduże, nie zostały od razu wstrzymane, ale po trochu zmniejszane, potem jeszcze trochę, zredukowane coraz bardziej. Towarzyszyła temu hałaśliwa propaganda, podkreślająca fatalny stan gospodarki, ruinę finansową oraz wiele innych powodów, dla których kontynuowanie płatności staje się chwilowo niemożliwe, mimo najlepszych chęci, niestety. To samo dotyczyło także wszystkich innych niemieckich długów.

Z pewnością, gospodarka niemiecka nie rozkwitła po przegranej wojnie. Ale to samo dotyczy i zwycięskiej koalicji, pierwsze lata były ciężkie dla wszystkich. Nieoczekiwanie długa i kosztowna wojna, zrujnowała zarówno pokonanych jak i zwycięzców, z wyjątkiem jedynie USA, które tylko przez krótki czas były zaangażowane, gdyż właściwie one przeważały szalę, a dysponowały ogromnymi rezerwami. Niemniej każde państwo musiało udźwignąć ogromny ciężar zadłużenia wojennego, a jednak tylko Niemcy jawnie głosiły, że nie są w stanie go spłacić, mimo że mają naturalnie najlepsze intencje.

W tej sytuacji Francja zareagowała zgodnie z precedensem, stworzonym przez Niemcy w roku 1870/1. Wtedy Francja zmuszona była zapłacić nieprawdopodobną kontrybucję 5 miliardów franków w złocie. Trzeba pamiętać, że wówczas frank był twardą walutą o wysokiej wartości (na przykład, parę lat temu USA kupiły całą Alaskę za ok. 1/300 tej sumy - tak, nie wspominając już o Luisianie wraz z Nowym Orleanem, jeszcze znacznie taniej, ale to było dawniej i od tego czasu wartość waluty się zmieniła). Otóż suma ta była tak „kolossal”, że sami Niemcy nie wierzyli, aby możliwe było zgromadzenie takiej masy kapitału i jako zabezpieczenie okupowali znaczną część Francji, w tym okrąg Paryża do czasu pełnej spłaty okupu. Teraz więc, działając według tegoż wzoru, armia francuska okupowała Saarę, był to wprawdzie tylko mały skrawek Niemiec, ale bogate zagłębienie węglowe. Natomiast Francji bardzo potrzebny był węgiel i nawet zgadzała się przyjąć część spłat węglem.

Skończyło się to na niczym, bo była pewna drobna różnica: okupacja niemiecka Francji, to był krwawy okres twardych rządów wojska, z rozstrzeliwaniem zakładników i brutalnym traktowaniem ludności. Natomiast w Saarze właściwie przez cały czas trwały zamieszki i zorganizowane bunty, ale jakaś zdecydowana akcja armii francuskiej byłaby bardzo źle przyjęta przez opinię światową, a nawet francuską prasę. Rządy demokratyczne są bardzo wrażliwe na opinię, a historia nigdy nie powtarza się dokładnie w ten sam sposób.

Poza tym, Niemcy miały wówczas świetnych polityków i negocjatorów, którzy cały czas zapewniali o swych dobrych intencjach - i naprawdę w to wierzyli. Wszystko miało być zapomniane i wybaczone, zaczynała się nowa era Strasemana i Brianda.

Jeżeli Niemcy nadal nie były w stanie spłacić swych długów, to trzeba było im dopomóc, najpierw unowocześnić i zwiększyć wydajność niemieckiego przemysłu. Należało odbudować, przebudować, rozbudować, zmodernizować, podnieść poziom i umocnić go w każdym kierunku. Potrzebny był zastrzyk kapitałowy dla przywrócenia zdrowia. Początkowy strumień spłat długów i odszkodowań, który i tak skurczył się do rozmiarów wolno sączącej się strużki, teraz zaczął płynąć w odwrotną stronę. Trzeba było najpierw włożyć walutę w niemiecki przemysł i finanse, żeby funkcjonowały.

W tym wypadku także była pewna analogia w przeszłości. Po wojnie 1870/1, amerykańskie banki udzieliły Francji wielkich pożyczek, była to pierwsza masywna ekspansja kapitałowa na stary kontynent i z doskonałym rezultatem, zwróciła się szybko i z dobrym zyskiem. Francja nie zdołałaby zapłacić kontrybucji i odbudować kraju bez tej pomocy.

Tym razem jednak zaszło inne zjawisko: obfity napływ kapitału do Niemiec spotykał się z coraz mniejszym i bardziej skąpym sączeniem się spłat. Niemieckie długi rosły

zawrotnie. Niemcy jeszcze ciągle były zbyt biedne, żeby je spłacić, ale już prawie, prawie osiągały właściwy poziom. Jeszcze trochę pomocy i wszystko pójdzie dobrze.

Gdy jednak te niebotyczne długi nadal rosły, atmosfera zaczęła się robić nerwowa. Zwołano międzynarodową konferencję finansową, która opracowała plan rekonstrukcji niemieckich długów, potem następną i następną, każda z nich autoryzowana przez wielkie nazwiska, najwybitniejszych ówczesnych ekonomistów i finansistów i za każdym razem połączoną z zastrzykiem nowych pieniędzy. Prawdopodobnie w chwili wielkiego kryzysu Niemcy straciły już wiarygodność finansową, mimo to ten mechanizm funkcjonował dalej. Przy poważnym zagrożeniu całego światowego systemu kredytowego, byłby to zły moment do spisania niemieckich długów na straty. Mogłoby to uruchomić nową reakcję łańcuchową bankructw, prowadzącą do upadku wielkich banków i korporacji.

Natomiast naprawdę zdumiewające jest, że ten nielogiczny paradoks trwał dalej nawet gdy światowa gospodarka wyszła już z kryzysu, a nawet jeszcze parę lat po dojściu Hitlera do władzy. To niewątpliwie jest osobistą zasługą Hjalmar'a Schacht'a, który już w latach dwudziestych zdobył ostrogi zręcznego i pomysłowego negocjatora, został człowiekiem roku w czasie wielkiego kryzysu i ostatecznie uczczony przez Hitlera, który delegował mu pełnię władzy w sprawach finansowych. Dopiero teraz rozwinął skrzydła jako mistrz tworzenia złudzeń, łącząc najwyższej klasy rzemiosło aktorskie z błyskotliwym wyczuciem psychologii, znajomością natury ludzkiej i darem nawiązywania trwałych kontaktów osobistych. Przy Hitlerze jawnie łamiącym Traktat Wersalski i publicznie ogłaszającym wszelkie porozumienia finansowe i długi niemieckie jako nieważne i nie istniejące - to zakrawa wprost na czarną magię. Jednak faktem jest, że Hitler absolutnie nigdy nie odczuł braku środków finansowych, walut, kredytów lub po prostu pieniędzy, gdy rozpoczął program zbrojeń i przygotowań wojennych, trwający przecież latami.

Prawda, że wielka transfuzja kapitału zmalała w latach trzydziestych, ale nie zbyt dotkliwie. Z drugiej strony, zakorkowano skutecznie właśnie odpływ z powrotem. Zmiana waluty niemieckiej miała prawdopodobnie wiele celów, ale przede wszystkim czyniła jakikolwiek transfer pieniężny niemożliwym, a raczej bezcelowym. Były też dodatkowe korzyści, jak wspomniana wyżej pułapka finansowa, a także lepsze możliwości obdarzenia z oszczędności własnych obywateli. Ale one miały raczej drugorzędne znaczenie. Niemcy zgromadziły już wystarczające fundusze, aby przygotować i rozpocząć wojnę. A mimo to wciąż jeszcze trwało, choć na bardziej ograniczoną skalę, prywatne kredytowanie niektórych wybranych niemieckich przedsiębiorstw, programów i przedsięwzięć

Ten oczywisty paradoks trwał, ponieważ nikt nie miał interesu domagać się oficjalnego bankructwa. Oznaczałoby to mnóstwo nieprzyjemności, zaczęłyby się poszukiwanie kozłów ofiarnych, potoczyłyby się głowy, zniszczone kariery. Lepiej siedzieć cicho, nie burzyć fal i nie rozhuścić łódki, w której się siedzi. Można sobie doskonale wyobrazić siwego, dostojnego dyrektora banku, przekonującego swego zastępcę:

- Myślę, że lepiej odłożyć tę sprawę na później, tak, z pewnością lepiej poczekać jeszcze trochę. Mam zamiar w przyszłym roku przejść na emeryturę, a ty masz niezłą szansę wskoczyć na moje miejsce, z moją rekomendacją to pewne. Mieliśmy piękne wyniki tego roku i dobre perspektywy na przyszłość, ale jeżeli teraz to gówno trafi w wentylator, możesz sobie wyobrazić, jak i się zrobi smród i jak my będziemy wyglądać, cali w ciapki. Trudno byłoby się z tego oczyścić. A przecież to nie nasze dzieło i nie nasza wina, my już odziedziczyliśmy ten problem. Dlaczego mamy za niego odpowiadać. Najlepiej poczekać na właściwy moment i wtedy zwłoki po cichu pochować. Ostatecznie jeżeli straciło się już tyle miliardów, paręset milionów więcej nie robi dużej różnicy.

Oczywiście, to zmyślona rozmowa, ale tło prawdziwe. Długi niemieckie odłożono do lodówki aż do wybuchu wojny, a po jej zakończeniu, nie było już dłużnika. Za to powstało wiele nowych i ważniejszych problemów. Moment był odpowiedni, sprawę ostatecznie pogrzebano.

W rzeczywistości, kompletną brednią jest pomysł, że mógł istnieć jakiś szatański spisek, kapitalistyczny czy inny, w celu rozpętania wojny i że ktokolwiek inwestowałby celowo pieniądze, żeby dopomóc w tym Hitlerowi. Prawda jest znacznie prostsza: właściciele świata też są tylko ludźmi - i od czasu do czasu bywa, że działają jak kretyni i to ciężko upośledzeni - ale nikt nie odważa się o tym pamiętać. A zrobili wszystko co mogli, żeby ten epizod zapomniano. Utrata twarzy szkodzi w interesach.]

\* \* \*

Naturalnie ani Angus, ani Polacy, ani inni ludzie nie zdawali sobie wówczas z tego sprawy, nawet wielcy tego świata widzieli zaledwie mniejsze lub większe fragmenty całości. Te małe skrawki, które znał Angus, opierały się na gazetach i książkach. Gazety co jakiś czas komentowały międzynarodowe konferencje i wszystkie nowe plany i zalecenia w sprawie dalszego zarządzania niemieckimi długami, zawarte porozumienia międzynarodowe, nowe drogi uregulowania kwestii i genialne propozycje.

Plan Dawes'a, plan Young'a, moratorium Hoover'a, konferencja w Lozannie. Od dawna temat przestał być traktowany serio, stał się tematem dowcipów i niewybrednych kpín. Oczywiście było, że nie istnieje zadawalające rozwiązanie. Początkowo na każdy splanony

dolar Niemcy pożyczają 1,6 dolara, potem 2,5 do 3, wreszcie tylko zobowiązywały się do spłat, a pożyczki płynęły nadal. Kiedy Angus zaczął czytać gazety, o ile dobrze pamiętał wymieniano sumę 34 miliardów dolarów, natomiast w 1939 roku niektóre pisały o 80 miliardach, inne o 180. Praktycznie to było to samo, fantastyczna cyfra przekraczająca wyobraźnię, którą mógłby posługiwać się tylko jakiś uczonec, z tych co obliczali odległość do słońca i gwiazd. Tak, astronomiczna cyfra, to właściwe słowo. „Tysiącletnia Rzesza” nie zdołałaby spłacić takiej sumy w ciągu tysiąca lat. nawet gdyby jakimś cudem zaczęła postępować uczciwie. Całe to jałowe gadanie to tylko utrzymywanie pozorów, ale dekoracje były tak przejrzyste, że aż śmieszne. Bardzo zabawne, nikt jakoś nie przewidział, że następny logiczny krok, częsty w historii, to będzie usiłowanie zabójstwa wierzących, albo chociaż popędzenia im kota, żeby nie ważyli się stawiać jakichś nierozsądnych żądań. Zwrot pożyczek, co za bezczelność.

Co do książek, informacje o tej sprawie znalazł Angus u Bertrand’a Russel’a. Pisarz ten był właśnie modny w Polsce, mniej więcej na równi z Hemingway’em i Kisielewskim (mowa tu o autorze „Ziemia gromadzi prochy”). W Podłóżinach kupowano zwykle nowe głośne książki, - prawdopodobnie dlatego, że nie mogli tak wygodnie jak on korzystać z biblioteki - komentował Angus, uszczęśliwiony, że on mógł mieć wszystko nie wydając pieniędzy.

To nie była akurat jego ulubiona lektura, ale przyzwyczajony do czytania wszystkiego co wpadło mu w rękę, zaczął od „Pochwały próżniactwa”, zachęcony przez tytuł który bardzo mu się spodobał. Potem zabrał się do „Drogi do pokoju”, a następnie jakiejś trzeciej, z wydartą i zgubioną kart tytułową. Nie odpowiadał mu pisarz i jego książki. Niektórych rzeczy nie był w stanie zrozumieć, inne uznał za godne pogardy, coś w rodzaju uaktualnionego credo z „Chaty wuja Toma”, - jeżeli niewolnik będzie posłuszny, nigdy nie odważy się na bunt i pokornie ucałuje dupę swego pana, to może dostanie mniej batów. Jednak tam znalazł wreszcie rzeczowe wyjaśnienia sprawy niemieckich długów i kolejnych etapów rokowań na ten temat, bo gazety opisywały sprawę w taki sposób, że trudno było się zorientować, raczej skupiając się na humorze czystego nonsensu. Ale i tak, jedyny interesujący go wtedy fragment książek, to były informacje o uprawach hydroponicznych. Próbował więc porozmawiać na ten temat z wujkiem, jako ekspertem w dziedzinie rolnictwa i upraw. Ku rozczarowaniu Angusa, wujek nie był zainteresowany, powiedział że może i jest to odkrycie naukowe, ale jeszcze długo nie będzie miało praktycznego znaczenia.

Kilka lat później, już w czasie wojny „Drogi do pokoju” omawiano w prasie podziemnej i niektóre fragmenty oceniano bardzo wysoko. Teraz już Angus więcej rozumiał i



też docenił koncepcję. Tym niemniej, nadal nie zmienił zdania, uważając że jest to przykład myślenia według chęci a nie realiów, a autor fatalnie interpretuje psychologię nie mając o niej pojęcia.

Otóż w sprawie Hitlera, Russel wyraził pogląd, że jest to nie dojrzała emocjonalnie osobowość, typowa dla chłopca w wieku dojrzewania. On sam, Russel, w tym wieku miał podobne marzenia i przekonania, doskonale więc go rozumie. Hitlera nie należy traktować na serio, ale też nie wolno denerwować, jeżeli będziemy tego unikać, wszystko skończy się dobrze.

Hitler wprawdzie popełnił wiele błędów jako wódz - i chwała Bogu - ale z całą pewnością nie był człowiekiem, który pozostawiał cokolwiek przypadkowi, a nazywanie go niedojrzałym to absurd. Miał dużo czasu na rozmyślanie i wymyślił system diabelski, ale na pewno zgodny wewnątrznie, logicznie zwarty, jasny, prosty, można powiedzieć wzorowo zorganizowane piekło zaplanowane w każdym szczególe i sekundzie działania i dokładnie jak szwajcarski zegarek. Jeżeli można coś skrytykować, to plan był zbyt dokładny i w rezultacie sztywny, brak w nim było giętkości, elastycznego dopasowania się do okoliczności. W rezultacie pękł w momencie, gdy Hitler musiał improwizować i to za pierwszym razem. To znaczy właśnie w tym momencie, teraz. Z powodu zwłoki, spowodowanej przez Polskę.

Aż do roku 1939 Hitler kroczy od sukcesu do sukcesu i to bardzo szybko. Wyglądało to jakby spadał prosto w dół najkrótszą drogą do celu, jak skała której nie sposób zatrzymać. Od włóczęgi w podartych portkach do herszta bandytów, z którym lepiej nie zaczynać, choć o lokalnym znaczeniu, wkrótce potem wpływowego polityka, wkrótce sięgającego po władzę w państwie, zaraz potem przyznającego ją sobie trwale, na zawsze i całą - i już trzymał całe Niemcy w garści. O wiele mocniej nie tylko niż ostatni cesarz Wiluś, ale niż ktokolwiek dotąd w historii, a to w wypadku tego mocno zdyscyplinowanego, autokratycznego społeczeństwa nie mało.

Jeszcze na wiosnę 1935, rozpoczynając intensywną zbrojenia, Hitler nakazał sporządzenie szczegółowej prognozy sytuacji ekonomicznej i wojskowej. Według pierwszej, posiadane środki z pożyczek i rezerwy przeznaczone pierwotnie na spłaty, wystarczały w pełni na rozbudowę przemysłu zbrojeniowego, uruchomienie produkcji i zbrojenia oraz przygotowania wojenne aż do roku 1941, z małymi brakami, nie zbyt poważnymi, nawet na jeden rok dłużej. Według drugiej, Niemcy mieli osiągnąć szczyt potęgi w roku 1940, jeszcze ciągle z pewnymi brakami i dalsze zbrojenia zwiększałyby nadal własną siłę, ale względna przewaga nad przeciwnikami miała po tym roku maleć. Na tej podstawie Hitler postanowił rozpocząć wojnę w 1939r, choć było to jeszcze przed osiągnięciem pełnej gotowości.

Dalszym subiektywnym, ale mający dla niego wielki znaczenie czynnikiem było jego zdrowie. Był przekonany, że będzie fizycznie sprawny i w pełni władz umysłowych (cokolwiek przez to rozumiał) do lat 1942,43. Uwzględniając to wszystko, opracował szczegółowy, prawie godzinowy rozkład - nie kolei, autobusów lub lotów, - ale zbrodni, wojen i rabunków, nie było w nim miejsca na przypadek. Początkowo wszystko szło gładko, nawet lepiej, niż oczekiwał. Zaplecze finansowe ciągle w pełni zadawalające dzięki Schachtowi, który wprowadził własne udoskonalenia planów. Jeszcze pozostały znaczne rezerwy z dawnych oszukańczych pożyczek, a już wpłynął nowy poważny zastrzyk z pierwszych rabunków. Austria i Czechosłowacja były małymi państwami, ale rabunkom podlegało wszystko co się w nich znajdowało, nie tylko majątek państwowy, a zasoby bankowe i prywatne były imponujące. Poza tym opracowano metody systematycznego rabowania, przy pierwszych ofiarach jeszcze wiele łupu przeciekło między palcami albo się zmarnowało, ale na początek to nieuniknione, następne ofiary wyciśnięto już jak cytryny. Jednocześnie udało się tą część zadania zrealizować przed czasem i to było najważniejsze, teraz poważnie wzmocnione Niemcy powinny wykonać tylko krótkie, druzgoczące uderzenie ma demokracje zachodnie i już miałyby wolną rękę i drogę do swego dziejowego zadania, do ogromnych urodzajnych ziem na wschodzie, przyszłego „Lebensraumu” dla co najmniej stu milionów nowych Niemców, prawdziwego kwiatu wybranych i starannie wyhodowanych przedstawicieli czystej rasy nordyckiej.

Po prostu komiczne jest, że te wszystkie swoje plany i wizje przedstawił tak jawnie i otwarcie, że absolutnie nikt w to nie wierzył. Na krótki dystans Hitler z całą pewnością był najbardziej dwulicowym, kłamliwym i zdradliwym politykiem wśród zanieczyszczających wraz z nim ziemię, a to nie małe osiągnięcie, biorąc pod uwagę tylko Stalina wśród zawodników o pierwsze miejsce. Szefowie organizacji szpiegowskich mogliby zapisać się na kursy korespondencyjne u Hitlera, jak zachować tajemnicę i ukrywać planowane posunięcia. Nawet najbliższe otoczenie było często zaskakiwane nieoczekiwanymi posunięciami i nie miało pojęcia, co nastąpi dalej. A jednak przy tym wszystkim nie mógł oprzeć się pokusie, żeby otwarcie nie przedstawić całości swoich zamiarów i swego credo w drukowanej w ogromnych nakładach książce. Próżność zachowania dzieła geniusza dla potwornej przyszłości, jaką miał nadzieję zbudować.

Kapsuła: Sytuacja polityczna w latach 1935-9(tzn. odkąd Angus zaczął czytać gazety).

Hitler początkowo w ogóle nie uwzględniał w swoich planach wojny z Polską, ponieważ zamierzał użyć ją jako współnika swych zbrodni. To miała być istotna i integralna

część opracowanej przez niego strategii, oczywiście tylko przejściowo, na krótki czas, ale element ten uważał za nieodzowny właśnie teraz.

Niemieckiemu sztabowi generalnemu zawsze spędzał sen z oczu koszmar wojny na dwa fronty - i historia potwierdziła te obawy. Hitler był przekonany, że ma rewelacyjne rozwiązanie w ręku - od początku chciał użyć Polski jako chwilowej tarczy od wschodniej strony, przed Sowietami, aż do czasu zakończenia kampanii i ułożenia stosunków na zachodzie. Nie była to żadna zasadniczo nowa myśl, pomysł zrodził się ponad sto lat temu w Berlinie, kiedy w czasie powstania listopadowego Polacy walczyli z Rosją bardziej skutecznie, niż ktokolwiek z ekspertów wojskowych przewidywał, parokrotnie byli bliscy sukcesu. W następnym dziesięcioleciu koncepcję tą skierowano do studiów i następnie przekazano do planowania, ale porzucono, gdyż w okresie „Wiosny Ludów” okazało się, że Polacy bili się z zaborcą niemieckim z takim samym entuzjazmem, jak z rosyjskim.

Ponownie, jako tzw. plan Boesslera, wyciągnięto go z archiwów w roku 1917, za późno i bez powodzenia, ponieważ Polacy przerzucili już swoje serca i wszystkie nadzieje na stronę aliantów. Ale taki plan mógłby rzeczywiście zadziałać, gdyby Niemcy zaczęli go na serio realizować wcześniej, zanim jeszcze pobili Rosję, na przykład w 1914 r. Hitler wiedział o tym planie i postanowił go zrealizować teraz, ale konsekwentnie i porządnie. W rzeczywistości Hitler nie był wcale oryginalnym twórczym myślicielem, raczej wykorzystywał wybiórczo znane elementy które dostrzegł w historii do złożenia nowej układanki, - „puzzle” - tak, by pasowała do jego celów. Wynalazek polegał na nowej kombinacji znanych już uprzednio elementów a nie na tworzeniu czegoś zasadniczo nowego.

Fakty wskazują, że Hitler usiłował od samego początku zawrzeć porozumienie z Polską i jeszcze więcej. Natychmiast po dojściu do władzy, zakończył „wojnę celną i taryfową”, zresztą bardzo korzystnie dla siebie. Następnie, przez cały czas nadając przyjazne sygnały w pierwszym możliwym momencie, po śmierci Hindenburga i odsunięciu tradycyjnych nacjonalistów, zaproponował i bez zwłoki podpisał traktat o nieagresji z Polską. Traktatu oczywiście nie zamierzał dotrzymywać, ale przedstawiał go jako przykład swojej dobrej woli. Jednocześnie skutecznie wyciszył ostrą kampanię prasy nacjonalistycznej, dotychczas stale domagającej się „naprawienia” granicy z Polską, co oznaczać miało ponowne wcielenie do Niemiec polskich prowincji z których poczęła się Polska, jak Wielkopolska, Śląsk i od Kujaw do morza, okupowanych przez ponad wiek, a teraz znowu stanowiących część powstałego na nowo Państwa Polskiego.

Trudna sprawa i nikt inny nie mógłby sobie na to pozwolić, a nawet i on sam naraził się na gwałtowne napaści wściekłych nieprzejednanych, którzy zarzucali mu zdradę

niemieckich interesów. Jedyne dziwne było to, że tym razem krytycy nie byli bici w obozach koncentracyjnych, lecz z wyjątkową łagodnością tylko nazwani „unnuetz Taugenichts”, coś jakby dobrze myślący przygłupy, nie umiejące nic sami zrobić.

To nie była tylko hipokryzja wilka w owczej skórze. Hitler uważał, że odkrył rozwiązanie najtrudniejszego problemu, wojny na dwa fronty i gotów był przez pewien czas ponosić poważne ofiary, byle dobić targu z Polakami (który oczywiście dotrzymałby tak samo, jak traktatu przyjazni z Rosją). Zdawał też sobie w pełni sprawę z podstawowej trudności. Otóż Polska od pierwszego momentu ponownej egzystencji została sojusznikiem Francji i to nie był konwencjonalny związek dla wygody i korzyści, ale głęboka i gorąca miłość, choć tylko z jednej strony. W oczach Polaków, Francja, kraj wolności, równości i braterstwa, druga tylko po Polsce w rozwinięciu systemu nowoczesnej demokracji przedstawicielskiej, była uważana za, jeżeli nie rodzoną, to co najmniej za mleczną siostrę Polski. W latach 1792 i zwłaszcza 1794 kampanie w Polsce ocaliły rewolucję francuską w krytycznym momencie.

Od tego czasu, polscy żołnierze na wygnaniu zawsze walczyli po stronie Francji, a Francuzi zawsze ofiarowywali wyrazy sympatii i zrozumienia podczas polskich powstań, chociaż nic więcej. Nigdy nie zdarzył się brak lojalności ze strony Polaków. Pod koniec ery napoleońskiej, wódz armii polskiej, Józef Poniatowski, dosłownie i w przenośni przeprowadził samobójczą akcję pozostając do końca wierny Francuzom, mimo bardzo korzystnych propozycji tylko za same wstrzymanie się od uczestnictwa w walce. Było to właściwie wbrew interesom jego i całego kraju, ale nigdy nikt nie robił mu takiego zarzutu, przeciwnie, przeszedł do legendy jako „Książę bez skazy”, wzór prawdziwego rycerza. A właśnie teraz, parę lat temu podczas kryzysu w sprawie Nadrenii, Polska przez specjalnego wysłannika zapewniła Francję o swojej pełnej lojalności, intencji dochowania wszelkich wojskowych zobowiązań sojusznicznych. Przedobrzone działanie, Francuzi popełniając celową niedyskrecję, postarali się o to, żeby wiadomość o nim dotarła do Hitlera.

Jednak Hitler zignorował ten incydent i nadal kontynuował starania o pozyskanie Polski. Był tak przekonany o sukcesie, że dosłownie postawił wszystko na tę kartę. Był absolutnie pewny, że jego geniusz podoła wyzwaniu, że przygotował i zdoła w właściwej chwili wysunąć przynętę tak wspaniałą, że po prostu zbije ona przeciwników z nóg i oszołomi ich kompletnie.

A tymczasem roztaczał nadal zatruty czar, który potrafił działać, skoro w Monachium tak wpłynął na Chamberlain'a i Daladier'a i nadal wysyłał najwyższe osobistości Niemiec i swoich najbliższych współpracowników do Polski. Publicznie też składał oświadczenia, że

on, Hitler osobiście jest Austryjakiem, a Austryjacy nie są zarażeni bakcylem „pruskiej mentalności” i nieracjonalnej wrogości do Polski. Przeciwnie, stara się o nawiązanie przyjaźni i już tego dowiódł w dotychczasowych działaniach.

Druga osoba w Niemczech, Herrman Goering, kilkakrotnie przyjeżdżał do Polski zarówno nieoficjalnie, jak i oficjalnie, z pomniejszych po prostu gdy jeden wyjeżdżał, od razu zapowiadano następną wizytę. W latach wojny, gdy ostro krytykowano działania dawnego rządu polskiego, bardzo ostro i nawet niesprawiedliwie przypominano również i to, przyjmowanie niemieckich przywódców, urządzenie balów, bankietów, polowań - rzekomą nadmierną usłużność i próby przypodobania się, „całowanie ich w...”. W rzeczywistości Polacy zrobili tylko tyle, ile musieli. Żaden z czołowych polityków lub przywódców polskich, z wyjątkiem ministra spraw zagranicznych do którego obowiązków to należało, nie rewizytował nigdy Niemiec.

Polityka zagraniczna na pewno nie zmieniła się, a tym bardziej opinia publiczna i sympatie pro francuskie. Jedyna różnica może polegała na tym, że teraz Polska starała się nie wychylać, co po doświadczeniu z Nadrenią, było chyba zrozumiałe. Polska nadal bazowała na sojuszu z Francją i była temu bezwzględnie wierna, ale to nie znaczyło, że ma sama narażać się Niemcom. Nie miała dostatecznej siły, armia polska nie mogłaby sama oprzeć się armii niemieckiej. W czasie kryzysu austriackiego i czeskiego Polska nie angażowała się, bo tak postąpiła Francja, ale dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że biła by się razem z Francją w wypadku wojny.

Być może najbardziej kontrowersyjną sprawą jest fakt, że po ogryzieniu przez niemieckiego wilka ryby czechosłowackiej, Niemcy wypluły mały ogryzek i rzuciły go Polsce, a ona to przyjęła. Angus nie wiedział, jak zostało to przyjęte w innych częściach Polski, ale w Wielkopolsce ludzie byli po prostu wściekli. Rodzice w domu, koledzy w szkole, sąsiedzi, dalsza rodzina, znajomi, wszyscy uważali to za obrazę w połączeniu z obelgą, a postępowanie rządu za niegodne i przynoszące wstyd. Gorące głowy mówiły, że Polska powinna wystąpić w obronie Czechosłowacji. Lecz oczywiście, to było nierealne. Nawet nie ze względu na proporcję sił. Polska razem z Czechosłowacją miałyby lepszą szansę, niż zupełnie sama Polska w 1939, zwłaszcza że i Niemcy były znacznie słabsze, nie dozbroiły się jeszcze w czeską broń, której Hitler zagarnął dużo i w najlepszym gatunku. Armia czechosłowacka była uzbrojona najnowocześniej w Europie i mówiło się, że Czesi nie musieliby wcale walczyć, wystarczyłoby, żeby przekazali swoją broń Polakom. Tak najwyraźniej myśleli także niektórzy uciekinierzy czescy, bo właśnie tak postąpili, tworząc Legion Czeski w Polsce. Niestety, Polska i Czechosłowacja nigdy nie były związane

sojuszem ani żadnym traktatem, i to z całą pewnością nie z powodu braku chęci ze strony Polski, która kilkakrotnie proponowała bardziej przyjazne kontakty, lecz zawsze spotykała się z zimnym przyjęciem. Oba państwa miały pośrednie powiązanie przez sojusz z Francją, ale nie zmieniało to postawy Czechów którzy zachowywali się tak, jakby to była dodatkowa kość niezgody. Jakby to była konkurencja o pierwsze miejsce, absurdałna zazdrość o przyjaźń Francuzów, a nie poczucie że przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi.

W takiej sytuacji, wszystko zależało od Francji i niewątpliwie był to najlepszy moment i sposób zatrzymania Hitlera. Zarazem pierwszy raz, kiedy małe, ale bardzo wpływowe sprzysiężenie generałów niemieckich pod przywództwem byłego Szefa Sztabu Generalnego Ludwika v. Beck'a zdecydowało aresztować i odsunąć od władzy Hitlera w momencie, gdy rozpocznie wojnę z Francją i koalicją, w składzie której znalazłaby się też Polska. Ale Francja nie skorzystała z tej wyjątkowej sytuacji, zachowała się tak, jakby głęboka pogarda jak odczuwał Hitler do państw demokratycznych w ogóle, a do Francji w szczególności była usprawiedliwiona.

To jeszcze nie wszystko. W Monachium Francja nie tylko porzuciła swego dotychczasowego przyjaciela, gorzej, sprzymierzyła się wraz z Hitlerem przeciw niemu i wymogła jego kapitulację. Przynajmniej Polska nigdy nie wzięła udziału w tej obrzydliwej zdradzie. Zaś wymieniony skrawek terenu, Zaolzie, tak czy owak stracony był dla Czech i miał przejść pod władzę niemiecką, a był zamieszkały przez ludność Polską. Więc w takiej sytuacji, pozostawienie go Niemcom było też złym, może nawet gorszym wyborem. Wszystko to wydarzyło się już po Monachium i nie miało żadnego wpływu na tamte haniebne decyzje, nie wpłynęło też na bieg historii (chyba tylko lokalnej i to na krótko).

Niemniej Hitler wykorzystał to do propagandowego zademonstrowania, że nie dąży do zaboru ziem nie zamieszkałych przez Niemców. I korzystając z tego efektu, zaraz też przedstawił swoją wspaniałą ofertę dla Polski. posługując się znanymi skąd innąd wzorami, ujął ją jako wielką i niespodziewaną wygraną losu, uśmiech szczęścia, coś w rodzaju zajęcia pierwszego miejsca na nie ogłoszonym konkursie marketingowym. Polska otrzymała zaproszenie i prawo do przystąpienia do tzw. Paktu Antykominternowskiego, utworzonego najpierw przez Hitlera i Mussoliniego ze wszystkimi prawami, przywilejami i korzyściami. Natomiast pokusą i wielką nagrodą miało być przywrócenie historycznych granic polskich na wschodzie, z czasów wielkiej potęgi.

Niewątpliwie pokuszenie było obliczone na kolosalną skalę i z nadzwyczajną wizją, Hitler nie wierzył, żeby ktokolwiek mógł się oprzeć takiej ofercie. To miało być mistrzowskie posunięcie, takie jak pomoc jaką oferował Mussoliniemu w przywróceniu Imperium

Romanum i ponownej zamianie Morza Śródziemnego na Mare Nostrum. Polska, zanim czasowo zniszczona i zagrabiona w XVIII wieku., przez długi czas stanowiła jedną z wielkich potęg centralnej i wschodniej Europy, z terytorium o rząd wielkości większym, niż obecnie. Ściśle mówiąc to nie była całkiem Polska, lecz wielka federacja różnych narodów, z Polakami zajmującymi pierwsze miejsce (i faktycznie upadła z tego powodu, że Polacy coraz bardziej zabierali dla siebie wszystkie przywileje po głowach innych narodów). Niewątpliwie, tęsknoty do dawnej wspaniałości były obecnie bez sensu, ale irracjonalne mrzonki nie łatwo giną i wielu ludzi w Polsce wspominało i tęskniło do dawnej wspaniałej przeszłości, uważało tradycję za świętą. Cóż, także i Angus czytając książki historyczne lub pamiętniki, nieraz marzył o wspaniałej przeszłości, tocząc przy tym zwycięskie wojny. Trzeba jednak dodać, że były to nie tylko kampanie na wschodzie, często marzył także o odzyskaniu utraconych ziem na zachodzie, gdzie też polskie tereny sięgały kiedyś daleko za Odrę i tam też toczył w wyobraźni liczne zwycięskie bitwy, aby odzyskać te ziemie, ale tym razem od Niemców. Ciekawe, czy Hitler zdawał sobie sprawę, że historyczny kij ma dwa końce?

Krótko mówiąc, istota propozycji sprowadzała się do zmiany sojuszków. Lecz, znając osobliwe poczucie honoru Polaków (aż idiotyczne jak wspomniano powyżej), Hitler nie próbował namawiać do bezpośredniej zdrady dotychczasowych sojuszników. Nie żądał, żeby Polska wystąpiła przeciw Francji, takie propozycje byłyby z góry nierealne. Polska miała tylko przystąpić do paktu Antykominternowskiego i w ten sposób stać się członkiem obronnego sojuszu przeciw Sowieciom. Sprzymierzyć się z Niemcami tylko w tym zakresie.

- Czyż - argumentował Hitler - Rosja nie była zawsze naturalnym i stałym wrogiem Polski? Czyż jeszcze niewiele lat temu, sowiecka inwazja nie dotarła głęboko do samego serca Polski, stwarzając śmiertelne zagrożenie? Czyż sami Polacy nie oceniają tego jako prawdziwego cudu, bezpośredniej interwencji Boskiej, że zdołali się obronić? Czy większość fortyfikacji nawet teraz nie znajduje się po stronie wschodniej Polski? Cóż więc bardziej naturalnego, jeżeli teraz zawrze formalnie sojusz obronny od tego największego zagrożenia, nawet z Niemcami?

- Polska będzie miała tylko jedno zobowiązanie, gdyż w ten sposób osłoni Niemcy przed Sowieciami. Ale przecież faktycznie robi to i tak od dawna bez żadnych formalnych układów i zarówno Niemcy, jak i osobiście on, Hitler, w pełni to doceniają. Przecież gdyby nie polska armia, to Sowiety już w 1920 roku byłiby w Berlinie. A więc właściwie nie jest to żadne nowe obciążenie. A ponieważ Fuehrer umie to docenić, dlatego teraz oferuje dwa wielkie zobowiązania: pierwsze, to trwałe i na wieki uznanie polskich granic na zachodzie, z Niemcami. Tylko on, Hitler może zagwarantować taki traktat, wiadomo z jakimi oporami

przyjmą to Niemcy. Po drugie, oferuje pełną pomoc jakiej Niemcy są w stanie udzielić, w tym zaangażowanie wszystkich sił militarnych Niemiec i udział w przyszłej wojnie z ZSRR w celu odzyskania dawnych historycznych granic Polski na wschodzie. Od morza do morza, to znaczy, do Czarnego. - Takie były propozycje i argumenty Hitlera. Pierwsza ogólna i mglista oferta tego rodzaju została złożona natychmiast po Monachium i w połączeniu z potraktowaną propagandowo sprawą Zaolzia. Starając się usilnie o zrobienie dobrego wrażenia, Hitler dołączył je jako małą przynętę do swego syreniego śpiewu, w którym obiecywał wszystko, o czym jego zdaniem mogli marzyć Polacy. Niewątpliwie oferta z jego punktu widzenia bardzo wspaniałomyślna, a gotów był dorzucić jeszcze więcej, w razie targów oferować jeszcze nawet całe Niderlandy, ponieważ teraz właśnie bardzo potrzebował Polski do realizacji swoich dalszych celów. Mógł przeznaczyć około pół roku na ułożenie spraw z Polską, zakładając że do jesieni 1939 należało rozprawić się z Francją i ułożyć, albo też skutecznie zneutralizować Anglię i w 1940 zrealizować główny cel - podbój ZSRR. Ale do tego niezbędna była choćby bierna pomoc Polski, no a potem, tak czy inaczej mógłby zdominować słabszego sprzymierzeńca i zrobić z nim, co by chciał. Bardzo możliwe, że nawet zgodziłby się panować pośrednio nad znaczną częścią zdobytych wschodnich terytoriów, powierzając je czasowo Polakom - zwłaszcza jeżeli pacyfikacja tych ziem kosztowałaby dużo krwi.

W ostatnim kwartale 1938 ta ogólna oferta została uściślona i przedstawiona szczegółowo za pośrednictwem drugiej osoby Rzeszy, Hermana Goeringa, który dwukrotnie składał wizyty, rzekomo przyjeżdżając na polowania do prezydenta Mościckiego. Jednocześnie rozpoczął się korowód wizyt wysokich osobistości i dygnitarzy niemieckich, a w ślad za nimi także i drugiego garnitur, do którego na przykład wtedy zaliczał się późniejszy gubernator Hans Franck. Ta prawdziwa procesja była tak niezwykła i zwracała uwagę, że aż władze Rzeszy uważały za stosowne zabrać głos w tej sprawie motywując to poprawą stosunków niemiecko-polskich po rozwiązaniu trudnego problemu czeskiego.

Jest faktem, że rząd polski ani na chwilę nie traktował tej oferty na serio. I to nawet nie dlatego, żeby miał wysokie zasady moralne, albo też taktował Hitlera jako awanturnika bez szans, zamierzającego napaść na silniejszych od niego. Rząd polski był raczej w pozycji Odysa, słuchał tego słodkiego syreniego śpiewu przywiązany do masztu. Po prostu nastroje społeczeństwa były takie, że opcja po stronie Hitlera spowodowałaby upadek rządu prawdopodobnie najdalej w 48 godzin. Scenariusz byłby taki sam, jaki później, już w 1941 wydarzył się w Jugosławii.



Nie było takiej siły, która mogłaby zmusić Polaków do współpracy z Hitlerem. Może, gdyby jeszcze przez kilka lat mógł on nastawiać swoją tubę propagandową o rzekomej przyjaźni do Polski, nastroje by się stopniowo zmieniły. Ale na to nie było czasu. W sprawie Czechosłowacji Hitler trochę wyprzedził swój harmonogram, lecz dawało mu to rezerwę tylko kilku miesięcy.

Tym niemniej, dyplomacja polska stanęła przed trudnym zadaniem. Nawet pomijając wszystkie te wspaniałe perspektywy, trudno powiedzieć nie na ofertę nie do odrzucenia, składaną przez znacznie silniejszego zalotnika. Pierwsza najprostsza możliwość, to zwłoka, spróbować przeczekać. Ale Hitler nie mógł czekać, rok 1939 przeznaczył na pokonanie demokracji zachodnich, a przynajmniej Francji, a to było niewykonalne z polską armią na tyłach. Przecież Berlin leżał tak blisko granicy polskiej, że zbudowano tam fortyfikacje, zwane małą linią Zygfrйда.

Ponadto Hitler rzeczywiście starał się uniknąć konfliktu z Anglią, którą uważał za kraj germański i po szybkim pokonaniu Francji, przewidywał że konflikt z Anglią ograniczy się do poziomu werbalnego i zakończy, gdy kraj ten niegotowy do wojny znajdzie się w przymusowym położeniu. Wtedy był gotów ofiarować „korzystne i zaszczytne warunki”, w tym gwarancje nienaruszalności imperium i pomoc w każdej potrzebie - licząc że i tak przejmie cały spadek, a Anglia zostanie sprzymierzeńcem i faktycznie pierwszym sługą Niemiec. W gruncie rzeczy miała być to taka sama linia postępowania, jak z Polską, tylko na większą skalę. Obecnie zaś na fali powszechnego entuzjazmu w 1940 miał nastąpić atak na ZSRR i jednocześnie ułożenie pojednania ze zwasalowanymi państwami zachodu, krucjata lub wspólna „obrona kultury” przed państwem, które od dawna w wielu kręgach nie budziło bynajmniej entuzjazmu i przyjaznych uczuć - na tej fali utrwalenie hegemonii Niemiec. Jednak żeby to osiągnąć, trzeba było zrealizować najpierw wariant z Polską, a w miarę upływu czasu sprawy nie posuwały się naprzód, projekt coraz bardziej okazywał się nierealny - „wistfull thinking”.

\* \* \*

Już po klęsce kampanii wrześniowej, wielu Polaków, w tym również i matka Angusa obsypywała i rząd, i prezydenta i zwłaszcza ministra spraw zagranicznych najgorszymi inwektywami za to, że „wpuszczali tych wszystkich paskudów do Polski, zapraszali na polowania i rauty, obsypywali ich dziczyzną i podlewali szampanem i to kogo: marszałka lotnictwa który przyjeżdżał wypatrzeć, co najlepiej zbombardować, przyszłego gubernatora dla podbitych niewolników, zwierzchników gestapo i budowniczych obozów śmierci i różnych innych, co przyjeżdżali szpiegować i przy okazji najeść się, napić. Zamiast ich

wszystkich pozamykać i wypuścić dopiero jak do wszystkiego się przyznają, to nadszkwiali im tak, że mało się sami nie obrobili.”

Akurat te zarzuty nie były słuszne, polska dyplomacja przedłużała tylko grę starając się przy tym zachować obowiązki grzecznościowe i osłodzić uprzejmością coraz dalsze odkładanie decyzji. I to była dobra gra, przyniosła wolnemu światu więcej, niż późniejsza walka armii polskiej w wrześniu 1939. W sumie Polska zabrała cały rok 1939 i zamiast rezerwy czasowej, Hitler znalazł się w niedoczasy, decydującym o niepowodzeniu. Dlatego w 1940 roku na realną groźbę inwazji Anglii było już za późno, a Churchill mógł powiedzieć te słynne słowa, że „Pan Hitler spóźnił się na autobus”.

Niestety. podejmując słuszne w skali globalnej decyzje - to nie przejęzyczenie ani przesada, w tych trudnych chwilach właśnie zachowanie Polski miało decydujące dla świata znaczenie, jak nigdy przedtem i nigdy potem w historii, dyplomacja polska popełniła poważny błąd, nie zabezpieczając interesów własnego kraju. Za to - i tylko za to ciężką winę ponosi ówczesny minister spraw zagranicznych Beck. Rodzina Becków, dzieląca się na dwie linie, niemiecką i polską, obie raczej skromne, wyróżniały się jedną niezwykłą cechą, to właśnie ci od tradycji świętego Grała (dokładnie tego, którego poszukiwał Hitler). I rzeczywiście minister Beck zachował się ze świętą naiwnością, jak błędny rycerz na świecie pełnym kłamców, oszustów i złodziei, traktując podle zwierzęta czy raczej jednak podłych ludzi, bo zwierzęta nie umieją tak kłamać i zdradzać, jak dżentelmenów, zachowując przepisy honoru i oczekując, że partnerzy również zechcą postępować honorowo. Gdyby stosował ten kodeks tylko we własnym życiu, można by mu współczuć, Ale on zastosował te zasady w polityce zagranicznej i za to zapłaciła Polska, ta próba dziejowa zamieniła się w takie piekło, jakie nie dotknęło żadnego innego kraju, sześć milionów trupów, prawie 20 % żyjącej ludności i potem los, jakiego nie doznali nigdy ci co przegrali wojnę, najgorsza klęska w historii choć teoretycznie po stronie zwycięskiej. W porównaniu do tego dawne 150 lat niewoli to był raj.

Do tego doprowadziła próba zachowywania po prostu zwyczajnej ludzkiej przyzwoitości zarówno przez kraj, jak i jego ministra spraw zagranicznych w którego rękach polityka zagraniczna rzeczywiście spoczywała. Ktoś, mówiący o honorze i jeszcze gorzej, sam w to wierzący, nie ma prawa pełnić takiej funkcji. Pod tym względem przykładem mądrości i geniuszu może być postawa największego męża stanu, jakiego wydała Francja. Przez cały czas de Gaulle traktował sojuszników jak oszustów i złodziei, można powiedzieć, że nie dowierzał nikomu i sprawdzał nieustannie wszystko, nie tylko przysłowiowe srebrne łyżeczki, ale ilość pozostałych palców po każdym ściśnięciu ręki. Znany jest komentarz

Roosevelta do Churchilla, że de Gaulle znacznie więcej czasu poświęca na walkę z sojusznikami, niż z Niemcami. Nawet do Francji wrócił po wyzwoleniu w najgłębszej konspiracji przed sprzymierzeńcami mówiąc do swoich ludzi, że nie zgłaszając w ogóle lotu mają znacznie lepsze szansę na uniknięcie pomyłkowego zestrzelenia przez myśliwiec aliancki niż gdyby to zrobili. To nie paranoja, po prostu wiedział, w jakim towarzystwie się znalazł i umiał odpowiednio postępować. Podobno nawiązał do śmierci Sikorskiego mówiąc, że najprostszym sposobem uniknięcia płatności zobowiązań jest pozbycie się wierzyciela. O ocenie decyduje fakt, że takie postępowanie odniosło skutek i Francja znajdująca się w wyjątkowo trudnym położeniu, w pełni odzyskała swoją dawną pozycję.

Minister Beck starał się tylko, żeby gwarancje dla Polski i układy sojusznicze były uzupełnione szczegółowymi umowami sztabowymi: co i w jakim terminie zrobi Polska w razie ataku na Francję i odpowiednio Francja w razie agresji niemieckiej na Polskę, podobnie jakimi siłami i w jakim terminie podejmie działania angielskie lotnictwo, aby zaangażować część lotnictwa niemieckiego, jakie konkretnie mają być wzajemne obowiązki koalicjantów itp. Nigdy nie wziął pod uwagę takiej możliwości, że sojusznicy po prostu podpisują umowy, z których ani jedna nie zostanie dotrzymana. Że po prostu płacą czekami bez pokrycia, nie mając od początku uczciwych intencji, ani w sprawach wojny ani następnie pokoju.

\* \* \*

Hitler Hachę wziął pod pachę, Zaprowadził na kielbachę. Hacha za to dał mu Czechy i Morawy i Sudety, Takim wierszykiem powitali Angusa koledzy w klasie po dramatycznych wydarzeniach 15 marca 1939. Przypadkiem słuchał tego dnia po południu radia w pokoju balkonowym, od czasu kiedy rozgłośnia poznańska zaczęła nadawać bardzo interesujące słuchowiska dla dzieci często spędzał czas na fotelu ze słuchawkami na uszach, czytając jednocześnie książkę. Tym razem przerwał czytanie i po chwili zawołał rodziców, przyszedł tylko ojciec i założył drugą parę słuchawek, mama nie przerwała swoich zajęć, zrelacjonował jej później wiadomości z pamięci. Rodzice nie komentowali przy nim sytuacji oprócz tego, że trzeba poczekać na dalsze wiadomości, ale usłyszał, jak mama mówiła do ojca, że się to jej bardzo nie podoba.

Ale następnego dnia w klasie sytuacja była jasna: będzie wojna. Zapamiętał dokładnie ten sam nastrój, który powtórzył się kilka lat później po likwidacji gett: teraz przyszła kolej na nas, my następni, trzeba się bić, my nie damy się bez walki.

Tego powszechnego przekonania nie zmieniły optymistyczne wiadomości prasy - zapewnienia przyjaźni ze strony Niemiec, znowu drobne ochłapy rzucone w prezencje Polsce i urzędowa radość, że „mamy wspólną granicę z Węgrami”.

Tydzień później próba definitywnego pozyskania Polski przez Hitlera osiągnęła apogeum przy okazji tzw. kryzysu kłajpedzkiego. 22 marca Hitler w czasie pokoju nakazał zajęcie siłami zbrojnymi portu i miasta Kłajpeda, należącego do Litwy. Polska została o tej akcji powiadomiona i jednocześnie zaproszona, zapewniono ją, że Niemcy będą przychylnie patrzeć na zajęcie części lub nawet całego terytorium Litwy. To miał być wstęp i ostateczna zachęta do odzyskania dawnych historycznych granic na drodze gwałtu i zaboru. Początek ekspansji Polski na wschód, która miałaby przebiegać pod patronatem Hitlera i ostatecznie pchnąć Polaków w jego ramiona.

Podobnie jak w wielu innych krajach Europy, również w Polsce ideologia i propaganda hitlerowska miała pewien wpływ i znalazła krąg ludzi pod wrażeniem skuteczności metod i początkowych sukcesów. Z tym, że na razie to koło było bardzo szczupłe, znacznie mniejsze nawet od angielskich faszystów, znikome w porównaniu z innymi krajami Europy. Największa tradycyjna partia tzw. narodowa, Endecja zdecydowanie odcinała się od ideologii hitlerowskiej i w sprawie która mogłaby nawiązać jakiś cień porozumienia, tendencji antysemickich, zdecydowanie przeciwstawiała się jakimkolwiek zachętom do gwałtów. Na zachęty takie ze strony zwolenników przemocy odpowiedziała hasłem „bij Żyda, ale tylko po kieszeni”, albo jeszcze gorzej (z punktu widzenia propagandy hitlerowskiej) - „nie kupuj u Żydów i Niemców”. Tylko w przybudówce młodzieżowej endecji, tzw. ONR (Obóz Narodowo Radykalny) nastąpił rozłam, w wyniku którego odłączyło się kilka grup o tendencjach faszystowskich, ale nawet one wołały nawiązywać do faszyzmu włoskiego lub hiszpańskiego a odcinały się od niemieckiego, bo ten był niestranny dla społeczeństwa polskiego. (Z podobnych względów, oprócz dygnitarzy niemieckich, do Warszawy jako orędownik przyciągnięcia Polaków do Paktu Antykominternowskiego przyjechał również hrabia Ciano, minister spraw zagranicznych w włoskim rządzie Mussoliniego, osobistość dosyć barwna i zdecydowanie budząca więcej sympatii w Polsce, niż ministrowie hitlerowscy). W każdym razie, liczebność osób do których trafiała faszystowska ideologia nigdy nie osiągnęła cyfry 1 promila, tzn. około 30 tys. a więc była naprawdę znikoma. Wprawdzie grupy te, zgodnie z faszystowską tradycją były aktywne a nawet hałaśliwe, również i teraz usiłowały zmanifestować swoje stanowisko, ale ich wpływ polityczny był zerowy, a na opinię publiczną minimalny.

W dniach 23 i 24 marca w Warszawie i kilku innych miastach odbyły się krzykliwe manifestacje tych niedużych grup, a wieczorem pochody z pochodniami wyraźnie wzorowane na faszystowskich. Natomiast hasła „Wodzu, prowadź!” i „Na Kowno!” adresowane było

oczywiście do marszałka Rydza Śmigłego, przewidzianego na naczelnego wodza w razie wojny, bardzo przypominało zwroty do Fuehrera.

\* \* \*

Koniec marca 1939 był krytycznym okresem stosunków polsko - niemieckich, a sprawa litewska ostatnią próbą przechylenia opinii publicznej i decyzji politycznej na korzyść Niemiec. Skończył się okres zwlekania, sfery rządzące zostały przyparte do muru i musiały udzielić odpowiedzi, już nie językiem dyplomatycznym ale czynami jaką drogę wybierają. Ostatnie kuszenie Polski. Hitler pragnął popchnąć ją do wkroczenia do Litwy, zaboru i od tej chwili znalazłaby się już na równi pochyłej, prowadzącej do ekspansji na wschodzie, oczywiście przy zachęcie, poparciu i ostatecznie w sojuszu z Niemcami. Akcja Kłajpeda nie miała w ogóle sensu, gdyby nie chodziło o popchnięcie, sprowokowanie do współudziału Polski.

Dla Polski trudna chwila, nie dlatego żeby musiała podejmować decyzję, przyjęcie obietnic, propozycji i namów Hitlera było niemożliwe - ale dlatego, że kończył się okres zwłoki. Polacy zostali przyparci do muru i musieli okazać, jaką drogę wybierają. Od tej chwili kończyły się zaloty i zaczynał się okres nacisku, a w perspektywie gwałtu, prowadzący do wojny. A nie było mowy, żeby Polska mogła samotnie wygrać wojnę z Niemcami, w to wierzył tylko Angus i jego szkolni koledzy.

Polska związana była politycznie i wojskowo sojuszem z Francją, ale ostatnio wartość tego sojuszu okazała się wątpliwa. Taki sam sojusz miała Czechosłowacja, a obecnie ten kraj nie istniał, dlatego, że został nie tylko opuszczony, ale wprost zdradzony przez sojusznika, który działając wspólnie z agresorem zmusił go do kapitulacji.

To też Polska starała się zwlekać z ostateczną odpowiedzią i przyjmowała przyjazne gesty i zabiegi Hitlera milcząco z konieczności, a nie z sympatii. Wyglądało na to, że na sojusz nie ma co liczyć, że Francji nie zależy. A nawet, że zdradziwszy jednego sojusznika, może teraz rzucić na pastwę Hitlera drugiego za cenę dobrych stosunków i jeśli nie przyjaźni, to chociaż krótkiego uniknięcia wojny. Każdy miesiąc, tydzień, może nawet dzień zwłoki był cenny.

Zwłaszcza, że Polska miała własne negatywne doświadczenie z sojusznikiem w czasie wspomnianego kryzysu Nadreńskiego. Gdy przedstawiciel Polski udał się do Francji dla przekazania posłania, że Polska jest przygotowana do wykonania zobowiązań sojuszniczych i jeżeli Francja znajdzie się w stanie wojny z Niemcami, automatycznie dotyczy to będzie również Polski. Zaś Francja nie tylko pogodziła się z wprowadzeniem wojsk do strefy zdemilitaryzowanej i złamaniem traktatu pokojowego, składając tylko dyplomatyczny protest,

ale postarała się też o to, żeby wiadomość o stanowisku Polski dotarło do Berlina. Z kolei Hitler postarał się o to, żeby wiadomość o takiej reakcji Francji dotarła do Polski z komentarzem, że on nie ma o to żadnych pretensji. Najwyraźniej był zadowolony mogąc pokazać Polakom jak postępuje ich sojusznik. Potraktował to jako dobry krok w działaniu, które miało prowadzić do zmiany nastrojów i przeciągnięcia Polski na jego stronę.

Ale Hitler miał o wiele większy apetyt, nie chodziło mu tylko o parę kąsków w środkowej Europie, ale zwłaszcza o tłustą, bogatą Europę Zachodnią - i to tylko na początek, dla nabrania sił i dalszego zaostrenia apetytu. Wielką przyszłość Niemiec widział dopiero na niezmiernych obszarach Rosji i z tymi zamiarami wcale się nie krył, taki program głosił w swojej książce, choć nikt nie traktował tego na serio.

Dopiero gdy 15 marca demokracje zachodnie przeżyły wstrząs i obudziły się z ręką w nocniku, ta świadomość do nich dotarła.

Dotyczyło to zwłaszcza Francji. Przez lata międzywojenne bezpieczeństwo jej opierało się na systemie sojuszy. Francja wraz z Polską i Francja z Czechosłowacją (oba te sojusze były traktowane oddzielnie, a co więcej, rozgrywane wzajemnie w sposób konkurencyjny i to był wielki błąd), miały dużą przewagę militarną nad Niemcami, wszystko jedno czy rozbrojonymi czy nie. Ponadto Niemcy po doświadczeniach I Wojny Światowej miały prawdziwy kompleks, obawę wojny na dwa fronty. I bardzo słusznie. Ale teraz Francja własnymi rękami rozmontowała jedno z tych zabezpieczeń i sama pomogła zlikwidować jednego ze swoich sojuszników. I wbrew lepszym spodziewaniom, wcale nie nasyciło to głodnego wilka. Jeżeli teraz Hitlerowi udałoby się pozyskać jeszcze Polskę, to tłusta owieczka francuska, która już dwukrotnie wycofała się okazując strach w znacznie lepszej sytuacji, a w Nadrenii i ostatnio w Monachium zniosła hańbiące upokorzenie, nie miałaby żadnych szans.

Hitler dążył do konfrontacji już w najbliższym czasie, na wiosnę 1939 kiedy Francja i Anglia były jeszcze nie przygotowane, na daremnie poświęciły Czechosłowacja i dały się zwieść, że to jest koniec żądań i teraz nastanie pokój dla całego pokolenia. Zamiast tego znalazły się naprzeciwko dozbrojonego i wzmocnionego przeciwnika, który chciał tylko zabezpieczyć sobie na krótki czas plecy - dla tego starania o przekupienie Polski obietnicą odbudowy rozległego historycznego imperium na wschodzie - i jednym skokiem mógł zająć Francję a następnie albo zająć, albo przymusić do układów Anglię, która w 1939 nie miałaby jeszcze na pewno szans obrony i zdawała sobie z tego sprawę.

A jakie szansę miałyby następnie ZSRR, gdyby atak niemiecki nastąpiłby o rok wcześniej, jeżeli obecnie uważa się (i słusznie) że to ten miesiąc lub półtora zwłoki jakie dała Jugosławia uratowało skórę Rosji w 1941 r.?

Nie mówiąc już o tym, że według planów Hitlera w tej kolejnej zbrodni miałyby ponosić współwinę armia polska, może słabo uzbrojona, ale jednak najbitniejsza z tych, z jakimi walczyli Niemcy do 1941 r. Armia, która mimo braku czołgów i samolotów, zadała potem wojskom hitlerowskim większe straty, niż wyniosły one łącznie we wszystkich innych kampaniach, duńskiej i norweskiej, belgijskiej, holenderskiej i francuskiej, afrykańskiej, jugosłowiańskiej i greckiej aż do czerwca 1941r. W dodatku armia, dobrze znająca swojego wschodniego sąsiada, teren, warunki i ludzi - a także zimy.

\* \* \*

**Kapsuła: Ostatnia rozgrywka; fałszywa licytacja i wprowadzenie w błąd partnera.**

W tym krytycznym momencie rząd polski jeszcze raz rozważył sytuację i posługując się analogią historyczną, znalazł aktualne położenie porównywalne do okresu tzw. wojny północnej, kiedy Rzeczpospolita wbrew swojej woli i interesom, została wciągnięta w konflikt między Rosją i Szwecją, wojnę która toczyła się głównie na terytorium Polski i przyniosła jej ogromne zniszczenia, zapoczątkowując upadek. Konkluzja brzmiała, że w żadnym wypadku nie wolno dać się wciągnąć w konflikt między Niemcami i ZSRR, do czego w gruncie rzeczy propozycje się sprowadzały, a w ostateczności bronić do końca swego terytorium licząc na to, że w takim wypadku druga strona we własnym interesie udzieli pomocy. Formalnie Polska miała dokładnie takie same stosunki z obu sąsiadami, pakt o nieagresji, które nawet w treści ujęte były w ten sam sposób. Należało więc nadal utrzymywać ścisłą równowagę w stosunkach. Nie można odmówić logiki tej koncepcji, ale gdyby w historii władcy i ich politycy stosowali praktycznie logikę, świat byłby całkiem inny i lepszy, a ludzkość uniknęłaby większości nieszczęść.

Na razie starano się uspokoić sytuację i jeszcze przeczekać. Demonstracje nadgorliwych zwolenników marszu na Kowno zostały szybko rozproszone przez policję, były nawet aresztowania, ale tak, że nikomu nie stała się krzywda. Po raz pierwszy Angus usłyszał słowa uznania, wypowiedane przez rodziców pod adresem władz, dotąd zawsze rodzice nastawieni byli silnie krytycznie i opozycyjnie. Zresztą w całym Poznaniu, który był ostoją Endecji, mówiło się podobnie. Jednocześnie rząd polski starał się udać, że nie odrzuca propozycji Hitlera i wystosował ostre ultimatum do Litwy, domagając się natychmiastowego...nawiązania stosunków dyplomatycznych, które dotychczas między tymi

państwami nie istniały. Wykonano nawet demonstracyjne ruchy wojsk, ściśle na swoim terytorium i w znacznej odległości od granicy litewskiej, Litwa ultimatum przyjęła i na tym ten ambarasujący dla obu stron incydent się zakończył. Polska postarała się przekazać do Niemiec odpowiednie podziękowanie, lecz oczywiście mistyfikacja ta nie wprowadziła w błąd Hitlera, była zbyt przejrzysta.

Wkrótce sytuacja się zmieniła o tyle, że zachodni sojusznicy dostrzegli, że obecnie nie tyle Polska potrzebuje ich, ale to oni właśnie potrzebują Polski i to natychmiast, za wszelką cenę. Z tym, że nie tyle jako sojusznika, ale raczej chłopca do bicia, pierwszą ofiarę, kogoś kto wzięłby na siebie pierwsze uderzenie i dał im czas na przygotowanie się do wojny, zatrzymując choć na krótko Hitlera.

Jeżeli nawet Francuzi, zapatrzeni w swoją Linie Maginot'a nie zrozumieli tego od razu, to Anglicy byli szybsi. 31 marca parlament angielski uchwalił gwarancje terytorialne dla Polski.

Angus pamiętał, że ludzie przyjęli to z lekkim zdziwieniem, ale jednocześnie z zadowoleniem. Żadne oficjalne wiadomości o propozycjach Hitlera nie przeniknęły dotąd do prasy, tylko ilość wizyt dostojników niemieckich była uderzająco wysoka i zwracała uwagę, ale sam Hitler wyjaśnił to rozwojem przyjaznych stosunków i swoją osobista wdzięcznością za spokojne zachowanie się Polski podczas kolejnych kryzysów czeskiego i przedtem austriackiego. Teraz Hitler niezadowolony z przeciągających się rokowań przeszedł od roztaczania wspaniałych perspektyw do nacisku i wysunął żądania terytorialne, wprawdzie początkowo bardzo skromne, raczej symboliczne. Właściwie żądał tego, co już uprzednio posiadał, bo Gdańską, w którym władzę pełnił i tak jego zagorzały zausznik Greiser. Więc formalne przyłączenie wolnego miasta, w którym i tak miał władzę, do Niemiec nie miało praktycznego znaczenia, a Polska korzystała tylko w Gdańsku z kilku przywilejów, na których zachowanie nadal Hitler proponował udzielić gwarancje.

Jednak to był tylko początek i stopniowo dodawano dalsze żądania. Po prostu Hitler, który miał napięty rozkład jazdy i któremu się śpieszyło, przez minione pół roku stosował perswazję i kuszące perspektywy gdyż w tym czasie miał jeszcze inne sprawy do załatwienia. Obecnie jednak należało przejść do Paryża i ewentualnie Londynu, chociaż to ostatnie przewidywał tylko w razie jeżeli Anglia, jak to określał, nie okaże rozsądku. Skoro dotychczasowe starania dyplomatyczne nie przynosiły skutku, postanowił użyć bardziej stanowczych metod. Dotychczasowy bieg wypadków przekonał go, że jest w stanie zawsze pokonać początkowy opór jeśli nie perswazją, to groźbą i siłą.



Z drugiej strony Polacy zawsze odnosili się do Hitlera podejrzliwie i teraz żądania i nawet z początku jeszcze lekką groźbę potraktowali jako odkrycie prawdziwej twarzy. Dotychczasowe przykłady wytworzyły w nich przekonanie, że jakiegokolwiek ustępstwo pod groźbą siły prowadzi do następnych żądań i jest to wejście na równię pochyłą do całkowitej kapitulacji. Powstała powszechna i ogólna zgoda, że należy od razu przyjąć, bardzo umiarkowane granice postępowania i w miarę możliwości niczym nie prowokować niebezpieczeństwa, ale też poza te minimum nie ustępować ani na najmniejszy krok i w razie konieczności bronić się do upadłego. Krótko mówiąc, Hitler rozegrał tą sprawę fatalnie pod względem psychologicznym, ciągnąc osła za ogon - ale też na bardziej subtelne rozgrywki nie mógł sobie pozwolić z braku czasu.

W tej sytuacji, oferta Anglii była bardzo pożądana, zwłaszcza że po spadku zaufania do Francji, Anglia wydawała się bardzo stabilnym i rzetelnym partnerem. Taka była powszechna opinia z jak stykał się Angus, jak też i wielokrotnie powtarzany frazes, że Anglia zawsze wygrywa ostatnią bitwę. Rząd polski nie chciał jednak korzystać z jednostronnych gwarancji, uważając że podważałoby to image Polski i zaproponował raczej zawarcie sojuszu obronnego, jak między równorzędnymi partnerami. Oczywiście można to uważać za przecenianie względów prestiżowych albo manię wielkości, należało raczej zażądać konkretnej pomocy zaraz, choćby tylko materialnej.

Tymczasem faktycznie to Polska wspierała na początku Anglię materialnie w zakresie swoich skromnych możliwości (flota i to właśnie w tym zakresie, który był najbardziej potrzebny - małe okręty konwojowe aż do kontrtorpedowców, obrona przeciwlotnicza jak znane działka Bofors itp.). Zresztą w sensie prawnym sojusz z Anglią stanowił logiczne umocnienie istniejących już więzów, gdyż zarówno Polska jak i Anglia sprzymierzone były z Francją i dyplomacja polska od wielu lat zabiegała o taki sam sojusz z Anglią, jak dotąd daremnie. Obecnie takie wzmocnienie związku z demokracjami zachodnimi przyjęto więc bardzo dobrze. Poza tym opinia publiczna była jednomyślna, że Polska wprawdzie sama nie dałaby rady znacznie większej armii niemieckiej, ale ma dobre szanse przeciwko, powiedzmy połowie tej armii, szczerze mówiąc panowało powszechne przekonanie, że w razie czego można spodziewać się zwycięstwa. Wśród kolegów, Angus spotykał się oczywiście z innym sądem który i sam podzielał, że armia polska sama też dałaby sobie radę i pobiła każdego agresora. Chłopcy w wieku szkolnym marzyli teraz o przywróceniu historycznych granic, ale nie na wschodzie tylko na zachodzie, no może ostatecznie bez samego Berlina, wystarczy do Odry.

Był tylko jeden szkopuł: przy tak oczywistym braku szans Hitler się na pewno wycofa, przecież nie jest szaleńcem. Wielu poważnych ludzi było przekonanych, że wojny jednak nie będzie. To jest właściwa metoda postępowania z takimi szaleńcami, dawno trzeba było stanowczo postawić sprawę. No a jeżeli rzeczywiście Bóg odebrał rozum Hitlerowi, to trudno, pobijemy go.

I rzeczywiście dzisiaj nie ulega wątpliwości, że gdyby Francja i Anglia wykonały uczciwie swoje zobowiązania sojusznicze, Hitler zostałby pobity po kilku miesiącach zamiast po sześciu latach. Ale to tylko pół prawdy, bo w cieniu pozostawał jego ukryty inspirator. Hitler nie działał sam.

Mimo wszystko nacisk ze strony Hitlera nie ustawał, ale przeciwnie, nasilał się. Do Gdańska dołożył żądanie eksterytorialnej autostrady do Prus Wschodnich i wreszcie sprawę mniejszości niemieckiej w Polsce, wyraźnie według wzorów sudeckich. To był najbardziej złowróżbny argument, ponieważ łączyły się z nim konkretne skojarzenia - w innym wypadku poruszanie sprawy mniejszości w Polsce nie miało sensu, bo korzystała ona przez cały czas ze specjalnego uprzywilejowanego statusu. Niestety, zdarzały się i w Polsce czasem wypadki niewłaściwego traktowania mniejszości, ale to dotyczyło wyłącznie mniejszości o słabej pozycji, na przykład Białorusinów i czasem Ukraińców. Natomiast pozycja takich mniejszości jak Żydzi była dobrze ugruntowana, a już w wypadku Niemców postanowienia traktatowe stwarzały im uprzywilejowaną pozycję i wielu Polaków mówiło wręcz, że chcieliby mieć tyle przywilejów jak Niemcy.

Raz jeszcze pośrednictwa podjął się hrabia Ciano, który wysunął propozycję, że wszystkie kwestie sporne mogłyby być załatwione przy dobrej woli, na przykład sprawa autostrady do Prus Wschodnich można by rozwiązać budując tunel albo estakadę, co nie przyczyniłoby żadnych utrudnień Polsce. Najistotniejsze jest tylko przystąpienie Polski do paktu Antykominternowskiego. Otrzymał odpowiedź, że Polska jest związana z ZSRR paktem o nieagresji takim samym, jak z Niemcami i dlatego tego paktu musi dotrzymać, ale wysoce ceni sobie propozycję i gotowa jest ponownie omówić tą sprawę po wygaśnięciu terminu paktu z ZSRR.

Wkrótce potem, w maju nastąpiło znane wystąpienie ministra Becka w sejmie, które ostatecznie przypieczętowało stanowisko Polski. Pogłoski o rokowaniach i tak przedostały się już do wiadomości i trzeba było coś na ten temat ujawnić. Beck powiedział to, co powiedzieć musiał i czego całe polskie społeczeństwo oczekiwało, dodał górne słowa o honorze i o charakterze Polaków które bardzo się podobały wszystkim, łącznie z opozycją. W tej sprawie istniała powszechna jednomyślność. Jednak ze zrozumiałych względów starał się nie

zadrażniać sprawy i nie przedstawił pełnego jej tła. Mimo to odpowiedź Hitlera nie pozostawiała już żadnej wątpliwości.

W czerwcu rozpoczęła się powszechna zbiórka ofiar na obronę, ale FON pozostał już niewykorzystany. Podobnie nie starczyło już czasu na efektywne użycie funduszy pożyczki wewnętrznej na dobrojenie. W każdym razie Angus kupił bony za całe oszczędności zbierane na kupno roweru i wiatrówki, a rodzice również złożyli większą część ze znacznej sumy swoich oszczędności w banku, KKO przy Parku Wilsona, gdzie poszli całą rodziną załatwić obie sprawy.

Cóż, zamiast zbierać spóźnione ofiary obywateli, których już nie zdołano wykorzystać, trzeba było schować dumę narodową do kieszeni wraz z pożyczką zagraniczną najpóźniej w kwietniu. Wtedy pieniądze te dałyby się jeszcze uruchomić w przemyśle obronnym i mogłyby przynieść wymierny efekt w uzbrojeniu.

\* \* \*

Mimo napiętej sytuacji i możliwej wojny, rodzice z Angusem wyjechali jednak na wakacje, które spędzili tym razem nieco bliżej, w Białym Dunajcu na Podkarpaciu, tak żeby w razie czego bez przesiadek jednym pociągiem wrócić do Poznania. Nie było tego lata drugiego wakacji miesiąca, sierpień w Poznaniu, ale Angus nie żałował tego gdyż Biblioteka kolejowa, z której dzięki ojcu korzystał, sprowadziła dużo nowych książek, z zapasem których spędzał świetnie czas w Podłożinach, dokąd i teraz jechali. Oprócz książek przygodowych, bardzo gorliwie wyszukiwał i czytał znowu wszystko co dotyczyło gazów bojowych, ponieważ miał nadzieję, że posiadzie bardzo cenną w czasie wojny specjalizację która pozwoli mu stać się przydatnym. Zdawał sobie bowiem sprawę, że w jego wieku raczej nie ma szans na przyjęcie do wojska. Już dwa lata wcześniej zapoznał się z tym tematem który go wtedy zainteresował w czasie wojny abisyńskiej, ale obecnie sprawę traktował śmiertelnie poważnie, nie szczędził sił ani pracy. W domu po prostu zamęczał matkę i zwłaszcza ojca, który na kolei przechodził obowiązkowy kurs obrony przeciwgazowej, bardziej szczegółowymi informacjami i ciągłym sprawdzaniem przyswojonych przez nich wiadomości. Tak, to nie pomyłka, Angus uzurpował sobie rolę domowego wykładowcy i instruktora, ciężka próba cierpliwości dla rodziców. Podobnie stał się prawdziwą plagą dla czworga starszych kuzynów w Podłożinach, z tym że starsi i silniejsi chłopcy potrafili skutecznie obronić się od prób zanudzenia, także jedna z kuzynek reagowała bardzo energicznie, najwięcej znosić musiała najstarsza która nie tylko miała gołębie serce i nigdy nie dała klapsa natrętowi, ale w dodatku była już studentką medycyny miała więc ogólne przygotowanie i co więcej, także przeszła odpowiedni kurs.

\* \* \*

Gdy pociąg wjechał na stację w Dopiewie, przed budynkiem czekał już powóz z Podłozin. Angus niezwłocznie wdrapał się na wysoki kozioł i usiadł obok stangreta. To było jego uprzywilejowane miejsce i prawie zawsze dostawał lejce i mógł kierować parą koni, moment kiedy czuł że żyje prawdziwą pełnią życia. W pełni zgadzał się ze znaną piosenką:

„Wszystkich dziś ciekawość budzi kto jest najszczęśliwszym z ludzi, a ja mówię, że nad pana jest szczęśliwszy los furmana...”

Z początku, mama tylko z trudem pozwoliła mu siadać na kozle i przez całą drogę słyszał nieustannie - Jędrusiu, tylko nie spadnij -, - Jędrusiu, bądź ostrożny, - Jędrusiu, trzymaj się mocno.- Wtedy jeszcze największą emocję sprawiało mu, kiedy nad wyszcotkowanymi brązowymi zadami unosiły się do góry ogony i dobrze karmione konie, nie przerywając klusa, wysypywały na drogę ciemno-żółte pączki. Jak one potrafią robić to w biegu? Człowiek by tak nie umiał!

W miarę jak rósł, mama przywykła i przestała się niepokoić, a stangret pozwalał mu potrzymać końce lejców, a potem zgadzał się dać mu na krótko nawet całe lejce, stopniowo dłużej, udzielając rad i pomagając od czasu do czasu, a już od paru lat Angus mógł mieć lejce przez prawie całą drogę. Obecnie kierował końmi właściwie całkiem samodzielnie, tylko w wyjątkowych wypadkach, gdy na drodze pojawiał się samochód albo jakaś inna maszyna mogąca spłoszyć konie, stangret zabierał lejce. Angus nie jeździł jeszcze konno, tłumaczono mu że ma jeszcze nogi za krótkie żeby dobrze siedzieć i w ogóle mogłyby się mu wykrzywić. Dał sobie to wmówić między innymi dlatego, że zdecydowanie wolał powozić i podobno szło mu to całkiem nieźle.

Niestety droga była krótka, tylko 20 - 25 minut, ale przecież będzie jeszcze droga powrotna na stację. A ponadto jutro jest niedziela i wszyscy pojedą do kościoła. Wprawdzie nie ma mowy o tym, żeby mógł zajechać przed kościół, już kiedy zbliżą się do Konarzewa będzie musiał oddać lejce, ale na pewno chociaż przez część drogi dostanie je do ręki, to był jego uświęcony przywilej i nie przeżyłby, gdyby to go ominęło. A raczej trudno by było przeżyć tym, którzy mieliby z nim spędzić resztę takiego fatalnego dnia.

Ten dzień był wyjątkowo piękny i ciepły, specjalnie jechał wolno żeby przyjemność trwała jak najdłużej, ale i tak po 25 min wjechali na wielki czworokątne podwórze, które z trzech stron ograniczały zabudowania gospodarskie, a z czwartej niskie zielone sztachety z wąskim pasem roślinności i za nimi podłużny, niewysoki dworek.

Wydawał się niższy dlatego, że trochę już osiadł. Przez ganek wchodziło się do centralnego korytarza na krótszej osi budynku, z lewej strony w dwu amfiladach znajdowały

się - trzy sypialnie, na końcu cioci i wujka, przed nią kuzynek i przy korytarzu kuzynów, a w drugim ciągu od frontu tylko dwa, ale duże pokoje, salon i jadalnia. Po przeciwnej stronie korytarza naprzeciw jadalni gabinet wujka i biblioteka, za nim biuro. Zaś naprzeciw sypialni wielka kuchnia, przez którą przechodziło się do krótszego korytarza ustawionego poprzecznie w stosunku do centralnego, prowadził do drzwi bocznych, z jednej strony znajdowały się różne pomieszczenia gospodarcze, a z drugiej biuro folwarku i pokój zajmowany przez krewnego wujka, pana Józefa, który pełnił funkcje rządcy. Pomieszczenia były stosunkowo niskie, a na górze budynku znajdowały się tylko dwa pokoje nad środkową częścią, całą resztę stanowił bardzo rozległy i zagracony strych, na którym niestety Angusowi nie było wolno się bawić, choć miejsce uważał za szalenie ciekawe.

Ale właściwie dom był tylko jakby dodatkiem do werandy, od wiosny aż do jesieni, całe życie i wszyscy mieszkańcy domu skupiali się zwykle na ogromnej, całkowicie oszklonej przestrzeni na końcu krótkiego centralnego korytarza, naprzeciw ganku frontowego.

Z lewej strony, przy ścianie domu były też szklane drzwi wyjściowe do ogrodu, następnie po tej stronie stał długi stół i przy nim z jednej strony ława, a naprzeciwko pięć krzeseł i dwa na końcach, w razie potrzeby można było dostawić dalsze dwa a na upartego nawet cztery. Zazwyczaj przy tym stole jadano wszystkie posiłki w domowym gronie, a wieczorami na tym stole stały zwykle dwie, rzadko tylko jedna duża lampa naftowa z okrągłym, cylindrycznym knotem. Lampy te dawały bardzo silne światło, wcale nie gorsze od elektrycznego, do którego Angus przywykł w mieście. Były duże, na metalowych ozdobnych podstawach i miały malowane pojemniki oraz abażury, jeden abażur pod wpływem ciepła powoli się obracał, rzucając na ścianę kolorowe cienie.

Druga połowa werandy mieściła kilka wielkich donic z ozdobnymi drzewkami i asparagusy oraz lekki owalny stół, a przy nim trzcinową plecioną kanapka i dwa także fotele, poza tym kilka pojedynczych różnie przestawianych krzeseł i mały okrągły stolik. Przy owalnym stole czasami odrabiano lekcje i wtedy wieczorem stała tam trzecia lampa, o ile kuzynostwo nie woleli raczej pracować w ciszy i spokoju, w swoich pokojach. Poza tym, jeżeli do posiłku siadało więcej osób, czasami drugi stół służył dla młodzieży i nazywano go wówczas folwarkiem.

Lecz oczywiście w tak ładny dzień, na werandzie, na trzcinowych fotelach z poduszczkami zasiadły tylko ciocia i mama Angusa żeby sobie swobodnie pogadać. Mama Angusa była najstarszą córką w licznej rodzinie i w związku z tym długo pełniła rolę wiceszefowej przy matce, a ciocia jako druga z kolei objęła po niej tę odpowiedzialną funkcję. Siostry więc były sobie najbliższe i przez całe życie doskonale się rozumiały.

Obie siostry były tęgie, to w ogóle cecha rodzinna, z tym, że matka Angusa była średniego wzrostu, natomiast ciocia, jak się to mówiło, imponująca kobieta, wysoka, zdecydowanie górowała także nad większością mężczyzn, w tym własnym mężem. Natomiast co napełniało Angusa zdumieniem, to że wujostwo chyba w ogóle nigdy się nie kłócili. Pod tym względem Angus przywykł do czegoś innego, miał inny obraz w domu rodzinnym. Ojciec i matka stanowili na pewno dobre małżeństwo w tym sensie, że byli zawsze lojalni i trzymali się razem, byli też dobrymi i dbałymi rodzicami, aż za bardzo, ale sprzecali się często i to nawet o drobnostki, a czasem zdarzały się gwałtowne kłótnie z trzaskaniem drzwiami i głosami podniesionymi do fortissimo, prawdziwe burze z piorunami. Z tym, że nie trwały długo.

Matka Angusa była prędką i popędliwą, myślała szybko ale i działała szybko i często też zmieniała zdanie, była niekonsekwentna. Ojciec bardziej odpowiadał wyobrażeniom Angusa o tym, jaki powinien być mężczyzna, konsekwentny, starał się trzymać stałej linii, ale też czasem po prostu był zmuszony bronić swego zdania. Właściwie Angus czuł się związany z ojcem koleżeństwem mężczyzn i częściej przyznawał mu w myślach rację, ale uważał, że po prostu takie już są kobiety i trzeba się z tym pogodzić. Po prostu zaczął uważać taki stan za normalny i naturalny. Przynajmniej konflikty nie trwały długo.

Natomiast w wypadku wujostwa, po prostu zdumiony był tym, że nigdy nie widział nawet cienia konfliktu. Jakoś uzgadniali oboje zdanie prywatnie, nie wiadomo kiedy i gdzie - i potem byli zawsze zgodni i prezentowali dokładnie ten sam pogląd. Po prostu nie zdarzyło się, żeby Ciocia podważyła kiedykolwiek opinię Wujka lub odwrotnie, już nie mówiąc o otwartej różnicy zdań. I co więcej, w tym wypadku to raczej Ciocia stanowiła czynnik konsekwentny i stabilny, a wujek był impulsywny i prędko - czasem jak wulkan, ale nigdy nie zdarzyło mu się nawet warknąć na żonę, coś nieprawdopodobnego.

Ojciec Angusa wyszedł z wujkiem, ale potem miał sobie sam pospacerować po okolicy, bo wujek miał przed sobą jeszcze wiele zajęć, jako staranny gospodarz. Ojciec miał zamiar dojść do lasu i może znaleźć trochę grzybów, to było jego ulubione zajęcie. Na przykład wszystkie wyjazdy na wakacje wybierane były pod tym kątem, czy w tamtych stronach mogą być grzybne tereny, tego roku dlatego właśnie Biały Dunajec a nie Zakopane - i choć to raczej wczesna pora, ojciec wytropił miejsca gdzie rosły rydze.

Angus wziął ze sobą aż sześć książek - więcej niż zdoła przeczytać przez resztę dzisiaj i jutro, ale lubił mieć zapas, czuł się jak smakosz mogący wybierać sobie różne przysmaki - teraz wziął koczyk i wybrał sobie miejsce w parkowej części ogrodu. Przylegający do domu teren był porośnięty drzewami i krzakami, oprócz tego dwa trawniki i jedna mała jakby

polanka wśród drzew. Na niej, bardzo blisko, może 30 m od drzwi werandy stały drążki gimnastyczne z dwiema drewnianymi poprzeczkami, Starszy z dwóch kuzynów, Mieczek postanowił koniecznie po maturze wstąpić do Szkoły Morskiej, a wymagano tam doskonałych warunków fizycznych. Dlatego oprócz nauki szkolnej, a właśnie zdał małą maturę i to też dużo pracy, nie przerywał przez cały czas intensywnych ćwiczeń fizycznych, traktował je bardzo serio i z wielkim zaangażowaniem. Właściwie wujek chciał, żeby starszy syn przejął po nim dziedzinę i przez pewien czas była to przyczyna znacznego napięcia w domu, ale syn też był uparty i zdecydowany, gdyby nie wybuch wojny postawiłby na swoim.

Angus nieraz przyglądał się ćwiczeniom Mieczka, ale nawet nie próbował ich naśladować, nie miał żadnych złudzeń, na pewno, by nie potrafił. Jednak przyswoił sobie kilka najprostszych. Choć z trudem, zdołał wciągnąć się najpierw na dolną, a potem na górną poprzeczkę, zrobić zwis na nogach lub na rękach i potem albo ponownie usiąść na poprzeczce, albo zeskoczyć na trawę. Na tym jego umiejętności się kończyły. Jednak polubił przez kilkanaście sekund do może minutę wisieć głową na dół, zaczepiony nogami i stwierdził, że po takiej pozycji ma świeży umysł i dobrze mu się myśli lub czyta. Teraz zaczął od minuty na drążkach i potem rozłożył koc na trawie parę metrów dalej, ale jeszcze co parę godzin robił sobie małe przerwy i podchodził do drążków. Krótki zwis, zeskok i znów lektura.

Wczesny podwieczorek jak zwykle spożyto na werandzie, natomiast na kolacji tego dnia mieli być goście i wobec tego kolację miano jeść w jadalni. Nie była to żadna formalna wizyta tylko zwykłe odwiedziny sąsiedzkie - ale i tak oznaczały, że będzie wszystko, czego Angus okropnie nie lubił: najpierw trzeba będzie się oczyścić, umyć, przebrać, uczesać i stanąć przed mamą do oględzin. Dobrze jeszcze, jeżeli udało się załatwić sprawy z samą mamą, gorzej, jeżeli do inspekcji przyłączyłaby się Panna Zofia, guwernantka i wychowawczyni kuzynostwa. Była to nieduża pani już w wieku pobalzakowskim, bardzo obowiązkowa i gorliwa, naładowana energią jak dynam maszyna - a przy tym niestety bardzo spostrzegawcza, bystra - prawdziwe sokole oko. Jeżeli pech zrządził, że była akurat w krytycznym momencie w pobliżu, to poprawki murowane. Nic nie uszło jej uwagi.

Właściwie kończyła ona już swoje obowiązki wychowawcze, pozostał jej jeszcze tylko jeden podopieczny, najmłodszy z czwórki kuzynów, obecnie w połowie gimnazjum. Z guwernantki więc stała się w dużej mierze stałą rezydentką, tym więcej miała czasu i starała się być pożyteczna. Zwykle wyszukiwała sobie sama i precyzyjnie wypełniała różne funkcje domowe, od opieki nad psami a do doraźnego przyjmowania różnych zleceń Cioci, jeżeli o czymś należało pamiętać, to była niezawodna. Ale Angus starał się zejść jej z oczu i obchodził dużym łukiem, bo wzrok miała bystry, no i doświadczenie, znała się na

wychowaniu chłopców niestety aż za bardzo, umiała z góry wszystko przewidzieć. Po prostu jakby miała oczy wokół głowy.

Ale nawet po trudach doprowadzenia się do tego, co nazywano przyzwoitym wyglądem, kiedy umyty, przebrany i ulizany Angus przeszedł lustrację i wykonał wszystkie polecenia polustracyjne, łącznie z wymianą chusteczki na świeżą, koszmar dopiero się zaczynał. Od chwili wejścia do jadalni należało się zachowywać, wejść wolnym i spokojnym krokiem, poczekać aż wszyscy usiądą i potem już siedzieć cały czas sztywno i równo na krześle, nie kręcić się i najgorsze, w ogóle nie odzywać. Wprawdzie zawsze „dzieci i ryby głosu nie miały”, ale teraz nawet okazyjnego słowa, jeżeli ktoś się do niego nie zwrócił. W dodatku nie mógł nawet pomarzyć, wyobrażać sobie różnych przygód, zwykle dodawanych do tego, co ostatnio przeczytał, bo cały czas musiał skupiać uwagę na prawidłowe manipulowanie różnymi przedmiotami na stole. A przy tym jeszcze nie wolno było się garbić, grzebać na talerzu, zostawić jedzenia i w ogóle mnóstwa innych rzeczy. Angus siedział jak na torturach i gorąco pragnął aby się to skończyło. A tu tymczasem na gorąco był właśnie pieczony drób, który bardzo trudno zjeść w wymagany sposób. Może to i dobre ćwiczenie dla chirurgów, którzy chcą wyćwiczyć pewność ręki, ale nie dla normalnych chłopców. A gdyby nic nie wziął, to zaraz usłyszałby uwagi od mamy. Pewnie, kuzynki obok dają sobie świetnie radę, o mało nie zapytał starszej, jak jej poszły ostatnio sekcja, ale w porę ugryzł się w język. Pewnie, wujek może sobie żartować, że kaczka to strasznie głupi ptak - „bo to dla jednego za dużo, a dwóch nie ma czym podzielić” jemu nawet gdyby coś źle zrobił, to i tak nikt nie ośmieliłby się zwracać uwagi.

Dobrze chociaż, że nie siedział koło mamy, bo bez przerwy by się nim interesowała, nie musiał też spróbować kropli wina i określić, co to jest. Ale Panna Zofia siedziała obok młodzieży i na pewno dostrzegła wszelkie jego potknięcia.

Angus jak każdy chłopiec w jego wieku potrafił być czasem łakomy, ale jego surowo potępianym i zwalczanym dążeniem było raczej podjadanie czego dobrego - horrible dictu! - przy czytaniu. Przekarmiany z reguły, nie lubił raczej jeść i starał się tą czynność jak najszybciej mieć za sobą, poza tym mama często wpychała mu różne zdrowe i dobre rzeczy, na które wcale nie miał ochoty. W rezultacie jadł bardzo szybko, i zwykle za dużo, a już zupełnie nie mógł zrozumieć, jak można celebrować jedzenie. To było okropnie nudne, wolałby za karę siedzieć sam, nawet gdyby musiał pisać wypracowanie. Na szczęście, mógł słuchać rozmowy, a ta oczywiście dotyczyła rozwoju sytuacji politycznej i bardzo go interesowała, choć nie mógł wtrącić uwag.



Dzisiaj ojciec Angusa miał swój wielki dzień. Zwykle wstrzemięźliwie zabierał głos, ale dzisiaj najpierw robił tajemnicze miny osoby dobrze poinformowanej, która jednak nie może mówić, bo jest zobowiązana do tajemnicy, aż w końcu oznajmił, że największe niebezpieczeństwo wybuchu wojny było właśnie ubiegłej doby, już się zmniejszyło i nadal maleje, właściwie prawie minęło i chyba wojny nie będzie. Te słowa zostały przyjęte z pełnym szacunkiem jako od osoby mającej wgląd w najważniejsze sprawy od wewnątrz. Niewątpliwie, na wojnie najważniejszy jest transport, a w Polsce był to jeszcze ciągle transport kolejowy, rozwinięty i na dobrym poziomie, naprawdę sprawny jak zegarek, natomiast motoryzacji Polska była prawie pozbawiona. Urzędnik dykcji zachodniego, przyfrontowego okręgu był niewątpliwie u samego źródła informacji, jeżeli nie zaraz z pierwszej, to w każdym razie co najmniej z drugiej ręki. Ojciec przeżywał dzisiaj swój wielki dzień, wszystko co powiedział, a mówił rzeczywiście mało, ostrożnie i lakonicznie - przyjmowane było jak objawienie. Tylko Angus czuł, że mało nie pęka z dumy.

Zresztą będzie wojna czy nie, wszyscy i tak byli zdania, że Hitler nie ma szans przeciwko koalicji Polski, Francji i Anglii. Szkoda, że brak Czechosłowacji, chociaż z drugiej strony padła opinia, że postąpili całkiem sprytnie, odzyskają wkrótce niepodległość bez ryzyka.

Tylko Pan Józef, zarządca majątku i krewny Wujka, zachował swoje odrębne zdanie. - Nie zdajecie sobie sprawy, jakie potężne są Niemcy. To będzie straszna wojna i potrwa długo. Cała nadzieja, że Hitler wycofa się, nie rozpocznie przeciw tak potężnej koalicji, której pobić nie zdoła. Daj Boże, żeby tak było. Przecież Niemcy też ucierpią, szczęścia to nikomu nie przyniesie.

Angus był zaszokowany, pierwszy raz usłyszał głos, jak sądził, prawdziwego defetysty. On sam nie miał najmniejszych wątpliwości co do wyniku wojny i tylko jedno pragnienie, żeby jeszcze przez rok, aż skończy 12 lat, trwał pokój. Postanowił niezwłocznie jutro, na mszy w kościele zwrócić się w tej sprawie do Pana Boga, obmyśli do tej pory jakąś odpowiednią ofiarę albo ślubowanie. Niewątpliwie w wieku 12 lat chłopiec staje się już prawie dorosłym mężczyzną i może się bić, a nawet zginąć bohaterską śmiercią, jak w książkach.

Nie tylko Angus uważał usłyszane słowa prawdy, rozsądną i uczciwą ocenę sytuacji, za jawny defetyzm. Przy stole zapanowało kłopotliwe milczenie, potem zmieniono temat na tegoroczny, bardzo dobry urodzaj oraz perspektywy na rok przyszły. Wujostwo zaproponowali przejście do sąsiedniego salonu.

Kolację zjedzono dość wcześnie i na dworze było jeszcze jasno, ale okna jadalni i salonu były dość niskie i przysłonięte bujną roślinnością, dlatego w jadalni paliły się już lampy, a obecnie zapalono je również w salonie. Angus skorzystał z okazji gdy mógł już wstać od stołu, żeby natychmiast zniknąć, ale naprawdę wcale nie udał się w stronę samotnego budyneczku położonego o kilkadziesiąt metrów od domu w gęstej kępie bzów, na wprost wyjścia z pomocniczego korytarza w części gospodarczej. Chciał po prostu wyrwać się z oficjalnej atmosfery i wrócił dopiero, kiedy rozpoczynał się kwadrans muzyczny. Panna Zofia po krótkim, z góry beznadziejnym oporze sterroryzowała najmłodszego z czwórki kuzynów, żeby zagrał na skrzypcach, starszy akompaniował na fortepianie, ale po chwili sama Panna Zofia usiadła do akompaniamentu.

Zwykle po występie miała ona stałe opowiadanie o jakimś wirtuozie, po którego występie słuchacze na jakiś czas zupełnie oniemieli i właśnie ten brak braw stanowił największe brawa. a na zakończenie morał, że skrzypce są naprawdę niezwykłym instrumentem i przy żadnym innym taki efekt i stopień zachwyty nie mógłby się zdarzyć. Tym razem jednak jakoś odpuściła tą historią, do fortepianu usiadła zaraz jedna z kuzynek, a potem goście zaczęli się już żegnać, woleli wyjechać za widna. Żegnanie trwało dość długo, jak zwykle na koniec i gospodarze i goście przypomnieli sobie jeszcze różne rzeczy o których jakoś nie było okazji jeszcze pomówić i rozmowa nagle się bardzo ożywiła, ale definitywnie przerwało ją oznajmienie - Jaśnie Państwo, konie zajechały!

Tą stałą formułą Angus pamiętał od wczesnego dzieciństwa. a także i to, że uważał wówczas konie za jakieś bardzo ważne figury, no bo „Konie zajechały” kończyło wszystkie zajęcia, odkładało wszystko na bok, nawet mama pozwalała, ba, nawet kazała wstać od stołu przy którym miał siedzieć aż nie zje swojej porcji, a na wszystkie pytania słyszał odpowiedź, - trudno, musimy się śpieszyć, już wychodzimy, bo konie zajechały.- Teraz oczywiście wiedział, że to zwykle chodziło o konie na stację, ale i tak pozostał odruch warunkowy, hasło - „konie zajechały” rozumiało się, że nie wolno dopuścić, aby konie czekały.

Przez resztę tego wieczoru Wujek, Pan Józef i Ojciec grali w preferansa, początkowo w salonie, ale potem doszli do przekonania, że długi stół w jadalni i wysokie wyścielane krzesła będą wygodniejsze. Angus w tym okresie bardzo interesował się preferansem, który później mu obrzydł, więc czuł się uszczęśliwiony gdy pozwolono mu prowadzić zapis. Wyszukał ołówek i kartkę papieru, podzielił ją dwiema przekątnymi liniami na cztery trójkąty i zaznaczył rubryki.

W czasie gry mógł patrzeć w karty, ale oczywiście bez odzywania się i zachowując się tak żeby nie przeszkadzać, a nawet nie rozpraszać grających. Nie było mowy o taryfie

ulgowej. Zresztą nie tylko kibica obowiązywała dyscyplina, komentarze dopuszczalne były tylko po rozgrywce, a rozmowa po zakończeniu partii którą obliczał Angus, a aprobując sprawdzał ojciec. Jeżeli wszyscy byli w dobrym humorze a on zachowywał się nienagannie, - a prawdziwy kibic powinien być niewidzialny, bezgłośny i bezwonny - to w nagrodę czasem pozwalano mu rozgrywać tzw. mizerkę, wyjątkowy przypadek kiedy rozgrywający starał się nie wziąć ani jednej lewy. Angus specjalizował się i wcześniej nauczył się osiągać dobre rezultaty dzięki wąskiej specjalizacji. Ale już Null over - podobna rozgrywka ale wyższa, była rozgrywana przez dorosłych bez jego udziału.

Wujek licytował i grał szybko, czasem sapnął lub roześmiał się tubalnie, dorzucił słowo lub tylko jakiś dźwięk, pozostali partnerzy spokojniej, najwyżej w przełomowych momentach postukując kartami przy zbieraniu lew, ojciec czasem z chwilą namysłu, bardzo nie lubił popełnić nawet najmniejszego błędu.

Właśnie w tej chwili ojciec rozgrywał i postukiwał zbieranymi kartami odkładając lewy, co z pewnością znaczyło, że był zadowolony. Ale w następnym rozdaniu, po chwili wahania zdecydował się na odzywkę, partnerzy spasowali, podniósł przykup i chyba przestał być zadowolony. - Jeżeli się zgadzacie, to Angus może rozegrać mizerkę, - powiedział. - Nie patrzył na razie nikomu w karty.

Mizerka była drobną grą, o wartości prostego bez atu i rozgrywana przez wszystkich graczy indywidualnie tylko ze swoich kart, nawet jeżeli jeden z oponentów przejął inicjatywę, jak się to mówiło przyzwał drugiego, to w tym wypadku oznaczało tylko wzięcie odpowiedzialności za wynik na siebie, a kart nie otwierano i przyzywający nie miał możliwości wyjść ani podyktować wyjścia swojemu partnerowi. Każdy znał tylko swoje karty, a więc grał na wyczucie. Podobnie jak przy Null over, rozgrywający starał się nie wziąć ani jednej lewy, a przeciwnicy starali się oddać ich jak najwięcej, ale przy Null over, którego wartość odpowiadała siedmiu bez atu, jeden z oponentów otwierał karty a drugi odpowiadał za grę, co od razu wyjaśniało sytuację, zwykle po paru wyjściach a czasem w ogóle bez gry uzgadniano wynik, gdy był on z góry oczywisty. Niekiedy umawiano się, że grywa się też tzw. wielkie Null over o wartości osiem bez atu, wszystkie karty otwarte i także przykup nie odkładany, analogicznie jak wielki totus. Ale ojciec uważał, że to jest czyjś wymysł i nie ma tego w regułach gry, w każdym razie w klubach się tak nie grywa. - Rzeczywiście,- śmiał się wujek,- bo w klubach już się w ogóle w preferansa nie grywa, ostatni taki klub odkopano w Egipcie i siedziały w nim same mumie, trzymając karty do preferansa w rękach. - Teraz Angus dostał karty z lukami, mówiło się dziurawe. Raczej nie było szansy wygrać tej gry, a można było ponieść kompromitującą klęskę. Zdecydował się odłożyć wcale nie najsilniejsze

karty, ale takie, które mogłyby prawdopodobnie sprawić kłopot zaraz na początku. Dzięki temu, pierwsze lewy pomyślnie oddał i przy tym udało mu się zrzucić parę kart, które najbardziej go niepokoiły. Ostatecznie wziął jedną lewą, co nie było złym rezultatem. Przy grze z odkrytymi kartami musiałby wziąć co najmniej trzy.

Po drugiej partii nastąpiła krótka przerwa, wujek napełnił dwa małe kieliszki jakimś trunkiem Baczewskiego. Ojciec zwolniony był od tego obowiązku, mówił że nie znosi smrodu alkoholu, ewentualnie to mija po pierwszym kieliszku, ale w takim razie po co ma zaczynać. Nawet w większym towarzystwie lub przy stole tylko symbolicznie manewrował kieliszkiem, jeżeli go opróżnił, to dyskretnie i nie do ust. Natomiast wujek twierdził, że karta lubi smród, zarówno alkoholu jak i tytoniu, chociaż też pił umiarkowanie i tylko dobry alkohol. Podobnie przy okazji ciotka i matka, a najdziwniejsze było to, że matka uczyła i wymagała od syna, żeby rozróżniał chociaż zasadnicze gatunki, zarówno win jak i mocniejszych trunków - oczywiście nie było mowy o picciu, raczej musiał próbować ich jak kiper i robił to z niechęcią. Nie wiadomo, które z tych postępowania spowodowało ten skutek, że w przyszłości również Angus nie interesował się do alkoholami, może z wyjątkiem win. Ale tutaj do ocen doszedł całkiem samodzielnie, matka jak wiele kobiet lubiła słodkie wina, okropność!

Wujek zapalił cygaro i poczęstował również Pana Józefa, palił okazyjnie, po dobrym obiedzie lub kolacji. Natomiast ojciec wolał papierosy i zdecydowanie te, które sam robił, używał maszynki którą napełniał gilzy Morwitan i tytoniu Najprzedniejszy Turecki. Palił raczej sporo, ale wyznaczał sobie dzienny limit napełniając rano papierośnicę i nigdy go nie przekraczał, pozwalał sobie uzupełnić tylko wyczęstowane papierosy. Na dzisiejszy wieczór, zostawił sobie rezerwę ze zmniejszonej porcji dziennej.

- Jutro możemy też pograć,- powiedział wujek. Bo dzisiaj zrobimy jeszcze ze dwie partyjki i chętnie wyciągnę się w łóżku. Czuję w kościach dzisiejszy dzień.

- Ja też nie zamierzam siedzieć długo. Ale jutro wieczorem muszę być w Poznaniu, - odpowiedział ojciec.

- Dlaczego? - zdziwił się wujek, - moglibyście pojechać w poniedziałek rannym pociągiem z dziewczynami. Starsza ma wstąpić na Uniwersytet i potem załatwi coś dla Frani (to Ciocia), a Bożenka dowiedzieć się, jak i kiedy zaczynają się zajęcia (starsza była po pierwszym roku medycyny, a młodsza zaczynała studia).

- Tak, ale następnej nocy mam dyżur w Dyrekcji Kolei.

- Dyżur? W nocy?

- Tak się czasem zdarza, to nic nadzwyczajnego. Wezmę ze sobą termos i trochę kanapek, a połowę nocy i tak można się zdrzemnąć. - Spojrzał wymownie na Angusa, - ale mówiąc o zdrzemnięciu się, na ciebie już czas zbierać się do spania.

Angus zupełnie nie miał ochoty na spanie - Jak to przecież daleko jeszcze nawet do wpół do dziesiątej!

- Tak, ale o dziesiątej masz być już w łóżku. A przedtem masz jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia, umyć się, wyjść tam gdzie król piechotą chodzi, ułożyć wszystko, przebrać się. Nie jesteś u siebie w domu i wszystko będzie trwało dłużej, jak teraz zaczniesz to zdązysz akurat na czas. No, nie ma gadania, idź!

- A zamiast tej księgowości, pogramy sobie trochę na żetony - dorzucił wujek. - Po co trzymać taki duży komplet i tak rzadko go używać -, mówiąc to wyciągnął z etażerki pudełko pełne różnokolorowych krążków, kwadratów i prostokątów. Wujek w ogóle wołał żetony, natomiast ojciec uważał, że przypomina to hazard, upodabnia się do gry o pieniądze.

Było jeszcze naprawdę dość wcześnie i Angus uważał, że spotkała go głęboka niesprawiedliwość, ale wiedział, że nie należy spierać się z ojcem. Ojciec wydawał bardzo niewiele poleceń, ale trzeba je było wykonać - w odróżnieniu od matki, która często zasypywała go poleceniami, następne padało zanim jeszcze zdołał wykonać poprzednie, ale można było wykonać tylko niektóre, dopiero kiedy powtarzały się po kilka razy, a i wtedy jeszcze należało się targować. Jednak tym razem nabrał podejrzeń. Czyżby chcieli się go tu pozbyć?

Powiedział dobranoc i wyszedł dość głośno, a po cichu wrócił i stanął przy umyślnie nie domkniętych drzwiach. Wprawdzie podsłuchiwanie albo podglądanie było niegodne prawdziwego mężczyzny, ale oczywiście nie w sprawach wojny, na wojnie i w miłości (to naturalnie tylko pusty wyraz, kto by tam zajmował się głupstwami) wszystko jest dozwolone.

Rzeczywiście usłyszał koniec zdania; - pewnie, że tego się nie rozgłasza, ale teraz możesz mówić, znasz nas przecież, sami pewni ludzie i nikt nie ma długiego języka. -

- Ale czy naprawdę potraficie dochować tajemnicy?

- Oczywiście!

- No właśnie! I ja też - zaśmiał się ojciec.

- No nie wygłupiaj się, mów wreszcie co wiesz!

- Wojna już się dzisiaj zaczęła i praktycznie zakończyła. Wczesnym rankiem regularna armia niemiecka, nie żadna grupa dywersyjna ale kompania piechoty wkroczyła na polskie terytorium od strony dawnej Czechosłowacji z wyznaczonym zadaniem zajęcia przełęczy i tunelu, a więc jako przednia szpica dalszego uderzenia. Nie zdołali jednak

osiągnąć celu, polskie wojsko ich powstrzymało i następnie otoczyło. Kiedy przyszedłem dzisiaj do pracy, kolej była już postawiona w stan wojenny. Jednak polski dowódca nie nakazał likwidacji otoczonego oddziału i nie rozpoczął bitwy nawet choć Niemcy strzelali. Po paru godzinach rokowań niemiecki generał dowodzący wojskami na tamtym terenie przysłał oficjalne przeproszenie i prośbę o pozwolenie wycofania się. Prośbę tą uwzględniono i zgodzono się również nie podawać tego zdarzenia do publicznej wiadomości. A Niemcy powoływali się przy tym na pomyłkę w rozkazach i utratę orientacji z powodu mgły, której w ogóle nie było, cały czas piękna pogoda.

- Oczywiście nie można jeszcze niczego przesądzać, ale mówi się, że krytyczny moment już minął i nastąpiło odprężenie. Chyba nie należy spodziewać się, żeby bezpośrednio po takiej kompromitacji i ujawnieniu planów nastąpił ponowny atak. Sądzi się, że jeżeli taka sytuacja potrwa jeszcze przez parę tygodni, to Niemcy już w tym roku nie rozpoczną wojny. Być może jakiś niemiecki oficer działał zbyt gorliwie i przedwcześnie odkrył przygotowania, w ten sposób popsuł plany wyższych sztabów. - Rozumie się, że wszystkie te „sądzi się” i „mówi się” były rzucone takim obojętnym tonem jakby to co najmniej szef sztabu zasięgał poufnie opinii i porady u ojca. No cóż, wyraźniej nie mógł tego zaznaczyć, reszta była milczeniem.

\* \* \*

Rzeczywiście, Hitler wyznaczył datę rozpoczęcia wojny na 26 sierpnia 1939, ale następnie jednak się zawahał i odwołał już wydane rozkazy. Oficjalnie twierdzi się obecnie, że spowodowało to podpisanie sojuszu Polsko-Brytyjskiego, a także wiadomość, że Włochy nie są gotowe i nie wypowiedzą wojny koalicji, potrzebują jeszcze znacznych dostaw uzbrojenia (być może, dyplomacja polska mogłaby tu się czegoś nauczyć, może pozornie trzeba było przyjąć propozycje niemieckie uzależniając to równie od dostaw uzbrojenia podobnie jak Włosi, targować się przy tym. Hitlerowi bardzo zależało na Polsce i kto wie, czy nie pogodziłby się jeszcze z dalszą zwłoką, przecież na przykład Włochom udało się na pewno uniknąć wojny, gdyby Mussolini nie doszedł do wniosku, że Hitler wygrywa i nie przestraszył się, że może wygrać bez niego).

W rzeczywistości Hitler chciał tylko jeszcze raz zweryfikować informacje wywiadu, czy w zmienionej sytuacji politycznej i mimo udziału Anglii nadal pewne jest, że armia francuska się nie ruszy i nie grozi wojna na dwa fronty, czego Niemcy obawiali się i chcieli za wszelką cenę uniknąć.

Rozkaz odwołujący rozpoczęcie działań wojennych dotarł na czas wszędzie z wyjątkiem rejonu przełęczu Jabłonkowskiej, gdzie oddział piechoty mający opanować

wyznaczone cele, wyruszył przez góry i las jeszcze wieczorem dn. 25 sierpnia, tak żeby ok. godz. 5 rano następnego dnia rozpocząć natarcie, a wysłanym następnie łącznikom nie udało go się odszukać. Dalszy ciąg zdarzeń przedstawiał się tak, jak w opowiadaniu. Mniej znany jest fakt, że wyprawę prowadził ten sam oficer, który w lipcu 1941 r jako niemiecki dowódca ukraińskiego batalionu „Nachtigall” dywizji Waffen SS Galicjen przeprowadził akcję wymordowania profesorów Uniwersytetu Lwowskiego, w tym uczonych światowej sławy.

\* \* \*

Angus mechanicznie dotarł do łóżka, przytłoczony ciężarem ogromnej tajemnicy, za którą czuł się teraz współodpowiedzialny. A więc wojny w tym roku nie będzie! To właściwie dobrze, do przyszłego roku zdąży się lepiej przygotować. Bo że wojna być musi, w to nie wątpił ani na chwilę. Zazdrościł dorosłym, którzy żyli dawniej i mieli okazję wykazać się swoimi czynami i postępowaniem. Niestety, czasy obecne były spokojne, za spokojne, w takich czasach nie dało się zostać bohaterem, nie było warunków. Tak, to właśnie to, nie wystarcza sama chęć, choćby największa, nie wystarczyłyby nawet przymioty osobiste, zakładając że je miałby na prawdę - a to jeszcze nie wiadomo - trzeba jeszcze trafić na sprzyjający splot okoliczności. Ciekawe, co by zrobili ci wszyscy, starsi i prawdziwi bohaterowie, gdyby musieli żyć w takich bezpiecznych, ułożonych czasach jak on. Tamci po prostu trafili na koniunkturę, okazji mieli w bród. Ale to wielkie szczęście, że wojna się przesunęła. Teraz, jeszcze ciągle jest za młody i za mały, ale rośnie szybko. To dobrze, że nie będzie jutro musiał składać specjalnych ślubowań które nie łatwo byłoby potem wypełnić, gdyż w takiej sprawie nie mógłby obiecywać byle czego.

Czy trzeba dodawać, że potem, w pierwszym okresie wojny Angus robił sobie gorzkie wyrzuty, że czuł straszne brzemie winy za wybuch tej wojny? Dlaczego nie wykorzystał wszystkich możliwości? Dlaczego zrezygnował z pierwotnego zamiaru? Czyż nie powinien był umówić się z Panem Bogiem, zaofiarować coś naprawdę poważnego, choćby tysiąc różańców i to nawet na kolanach? Gdyby wtedy ofiarował coś, na czym Panu Bogu by zależało, no nie, tak nie wolno mówić, raczej co by się Panu Bogu podobało, to na pewno zgodziłby się On odłożyć jeszcze trochę termin wybuchu wojny!

Przecież w niedzielę, jak zwykle, dwoma powozami pojechali do kościoła w Konarzewie, ale on uznał, że umowy z Panem Bogiem są niepotrzebne i nieaktualne, bo kryzys minął i sprawa załatwiła się sama. Przez długi czas, prześladowało go prawdziwe natręctwo myślowe. Tym bardziej, że to była rzeczywiście ostatnia niedziela, rozstanie na bardzo długo. Nawet tych osób, którym udało się przeżyć, nie spotkał więcej do końca wojny.

## **Rozdział II. Ucieczka.**

Wtorek, 5 września 1939, piąty dzień wojny, trzeci ewakuacji. Angus leżał na plecach między brudami ziemniaków, patrząc na intensywnie niebieskie niebo, na którym dwa samoloty, dwumotorowe bombowce, pozornie małe na znacznej wysokości, wolno zawróciły i teraz leciały z powrotem po jego stronie pociągu, ostrzeliwując go i okolicę ogniem karabinów maszynowych. To już była zwykła, codzienna rutyna, lecz dzisiaj samoloty spóźniły się, było już znacznie po 10 rano.

Nie było wielkiego niebezpieczeństwa. Po pierwszym nalocie i pierwszym przeżytym szoku, właściwe zachowanie automatycznie weszło w krew. Pociąg nie mógł podróżować w dzień, z powodu pozrywanych szyn. Stał więc w dzień aż do zmierzchu, a ludzie biwakowali po obu stronach pociągu. Na pierwszy krzyku: - Lecą! wszyscy zrywali się i biegli w pole, aby paść na ziemię jak najdalej od pociągu. Tylko za pierwszym razem były ofiary wśród tych, którzy nie odbiegli dostatecznie daleko. Potem już zawsze biegło się tak długo, ile zdołały jednym zrywem unieść nogi i aż skończył się dech, zwykle 300-500 m. Od czasu gdy ludzie przywykli do takiego zachowania, więcej ofiar nie było.

Dopiero gdy było się już w bezpiecznej odległości, padło w wybranym miejscu na ziemię i odzyskało oddech, był czas przyjrzeć się temu, co robią samoloty, gdzie lecą i jakie zdradzają zamiary. Zwykle większość leciała dalej ignorując ich, a kilka, zwykle dwa albo trzy odłączały się aby zająć się pociągiem. Angus słyszał komentarze, że to samoloty wracające po wypełnieniu swoich zadań i najwidoczniej lotnicy postanowił zużyć całą amunicję przed powrotem do bazy. Zrzucano mało bomb i bardzo mało celnych, w ciągu całego tego czasu, tylko dwa wagony trzeba było wyłączyć ze składu i zepchnąć na bok torów. W gruncie rzeczy Angusowi to wszystko bardzo się podobało, przeżywał prawdziwą wielką przygodę. Usiłował wpychać się wszędzie i pomagać, niestety matka nie pozwalała i trzymała go przy sobie, a dorośli byli wyraźnie niesprawiedliwi, brali jej stronę i mówili, żeby się nie pętał i nie przeszkadzał, tu trzeba dorosłych silnych mężczyzn, a nie dzieciaków. Doprawdy krzywdzące, przecież każda pomoc była potrzebna, a on bardzo starał się nie przeszkadzać, tylko być pożyteczny. Zresztą skąd wziąć tych zdrowych i silnych mężczyzn, przecież tacy poszli na wojnę jak jego ojciec i mieli co innego do roboty.

Lecz matka mówiła również, że chwilowo jest jedynym mężczyzną w rodzinie, ponosi pełną odpowiedzialność za wszystko i powinien przede wszystkim opiekować się starą i słabą matką, nie oddalać się od niej i stale na nią uważać, na wypadek, gdyby potrzebowała pomocy.

Była to z jej strony tak zwana dyplomacja, próba manipulacji i Angus nie był aż tak naiwny, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy. Mama wprawdzie nie była młoda, urodziła



Angusa w rekordowym wówczas wieku 45 lat, a więc miała teraz 56, lecz wszystko było w porządku z jej zdrowiem, nie licząc trochę nadwagi, mówiąc krótko za dużo i za dobrego jedzenia, zbyt wygodne życie i za mało ruchu (dokładnie to samo dotyczyło i syna, przesadnie chronionego i chowanego pod kloszem). Teraz, właśnie podczas ewakuacji choroba serca, reumatyzm i wszystkie inne dolegliwości zniknęły. Przy kilku biegach po zdrowie dziennie, stała się sprawna jak nigdy i doprawdy nie łatwo przychodziło nie stracić jej z oczu, dotrzymać kroku, kiedy uciekała z linii ognia. Nigdy dotąd nie udało się Angusowi zająć lepszej pozycji, niż drugie miejsce po starcie do biegu na hasło „leczę”<sup>4</sup>. Teraz leżała też o jakieś 30 m. do przodu, inni ludzie rozproszeni podobnie. Pole kartofli było najlepszym miejscem podczas ostrzału.

Teraz też nie rzucano bomb, Niemcy ograniczali się tylko do wygodnego ćwiczenia w strzelaniu do żywych celów z wysokości może 2000m. To był jeden z ostatnich pociągów ewakuacyjnych i nie miał szans odjechać daleko, faktycznie był już złapany w pułapce i mogli go traktować jako swój łup. Nie było celu bombardować go i niszczyć. Ostrzał z karabinów maszynowych to tylko mała rozrywka, rodzaj polowania i może do fasonu należało wracać dopiero po zużyciu całej amunicji.

Obrócony od słońca i patrząc wprost na samoloty Angus widział przez większość czasu migotanie drobnych iskierek na bokach. Uczucie było raczej dziwne, czytać o tym w książkach to jednak nie to samo. Wiele razy marzył o tym, żeby znaleźć się naprawdę pod ogniem, oczywiście zachowując się odważnie jak bohater. W książkach bywali zawsze dzielni bohaterowie w mundurach przestrelonych wielokrotnie, pełnych dziur od kul. Dla nich to była drobnostka. A on tutaj czuł się nagi i całkowicie bezbronny, po prostu kurczył się starając stać się jak najmniejszy i próbował zgadnąć, gdzie trafi go pierwsza kula, w rękę, czy w brzuch czy w jedno z innych miejsc, których miał o wiele za dużo. Nie chciał obrócić się na brzuch, ani nawet zamknąć oczu, uważał że byłby to wstyd wobec nieprzyjaciela, a jednak wymagało wysiłku żeby patrzeć spokojnie, najchętniej wcisnąłby się w ziemię. Jednocześnie przez cały czas zdawał sobie sprawę, że nie znajduje się w naprawdę niebezpiecznej strefie, że kule padają bliżej pociągu, ale to było jeszcze gorsze. Czy mógł być w gruncie rzeczy tchórzem, jak to pisano, zwykłym nędznym tchórzem? Czy wszystkie jego marzenia miały być daremne? Co miał zrobić ze sobą, gdyby okazało się że jednak jest takim drugorzędnym śmieciem? Może chociaż zdoła udawać odwagę, nie pokazać tego strachu w środku, jeżeli to co czuł to jest naprawdę strach. Ale może, miejmy nadzieję, że to jest tylko takie dziwne uczucie z powodu nowej sytuacji do jakiej jeszcze nie przywykł, dlatego jest mu nieswojo. Powinien czuć się szczęśliwy, przecież przechodzi właśnie ten, jak to w książkach nazywano,

chrzest ogniowy. To o czym marzył wiele razy i na pewno się do tego przyzwyczai. Skąd miał wiedzieć, jak to wygląda na prawdę, po prostu brakowało mu doświadczenia...

Nagle jakieś bliski ruch przerwał jego myśli. Co to było? Rozejrzył się dokoła, ale nic nie dostrzegł oprócz małego obłoczku pyłu już opadającego przy sąsiedniej bruździe ziemniaków. Czyżby ukrywało się tam jakieś drobne zwierzątko które nagle w panice uciekło? Ale gdyby to był królik, już nie mówiąc o zającu, powinien coś więcej zobaczyć, znikającego w oddali. Jakiej wielkości są małe króliczki, dzieci? Za mało wiedział o przyrodzie, chłopak z miasta. Wyciągnął rękę, ale to nie wystarczało i musiał obrócić się i unieść ramiona i głowę. Nie było tam nory, ani nic się nie ukrywało, ale odniósł wrażenie, jakby w tamtym miejscu piaszczysta ziemia była nieco cieplejsza, tak, wyraźnie cieplejsza gdy wcisnął palce głębiej. Po chwili, dotknął czegoś gorącego i odruchowo cofnął rękę. Zaczął teraz grzebać głębiej, obu rękami i w pół minuty znalazł - mały kawałek metalu i położył go obok do ostygnięcia, ciągle niedowierzając, - mój Boże, więc ten brzydki ciemny kawałek metalu, trochę zdeformowany, to ma być kula? Na filmach, bohaterowie czasami pokazywali kule - były piękne, błyszczące, wyglądały po prostu kosztownie. Taka kula powinna utkwic w notatniku lub książce do nabożeństwa na mojej piersi. albo w medalionie na sercu, bo przecież papierośnica narazie nie wchodzi w rachubę. Przecież to bzdura, żaden święty medalion nie mógłby tego zatrzymać, ani książka, chyba, że miałyby co najmniej 10 cm, nie, 20 cm grubości. Ci co robią filmy i piszą książki nie zdają sobie sprawy, jaką energię niesie taka kula, przecież musiałem grzebać bardzo głęboko. Chyba do nich tak naprawdę nigdy nie strzelano.

Jednak postanowił ją zatrzymać na pamiątkę, po wyczyszczeniu i wypolerowaniu powinna wyglądać lepiej. Będzie miał co pokazywać, jeżeli jego koledzy nie uwierzą, że naprawdę był pod ogniem, że strzelano do niego na wojnie. Zmierzył jeszcze odległość: kula uderzyła na długość jego ramienia, na pewno znacznie poniżej 1 m. Czy mógł powiedzieć, że to było około pół metra? Lecz przecież przed chwilą znajdował się jeszcze bliżej tego miejsca, parokrotnie zmieniał położenie, kręcił się w czasie nalotu. Z całą pewnością był bliżej. Może 30 cm, albo tylko 20? A czy nie mógłby powiedzieć, choć nie całkiem prawdziwie, że kula uderzyła dokładnie w to miejsce, gdzie przed chwilą leżał, tylko jakiś wewnętrzny głos kazał mu się przesunąć? No. ale przecież tak nie było, i ten wewnętrzny głos, ale prawdziwy, mówiłby mu potem, że jest oszustem i łgarzem. Z drugiej strony, to nie byłoby całkiem kłamstwo, w zasadzie prawda, tylko trochę przesadzona - a o ile piękniejsza. Postanowił przemyśleć tą sprawę i nie wspominać o niej, póki nie znajdzie najlepszego rozwiązania. Kula może tymczasem poleżeć w jego kieszeni. Prawdopodobnie, chciał po

prostu zawrzeć jakiś układ z własnym sumieniem, znaleźć wersję która nie będąc nieprawdą, wypadalby najefektowniej.

W tych okolicznościach zapomniał o nalocie i otoczeniu i wrócił do rzeczywistości dobre 15 min później, gdy samoloty już odleciały i po zwykłych wołaniach, - „czy ktoś jest ranny?”, „Są trafieni?”, „czy ktoś potrzebuje pomocy?”. Ludzie podnosili się i zaczęli ciągnąć z powrotem w pobliże pociągu. Pogoda tego dnia była piękna, podobnie jak we wszystkie te dni niestety. Wspaniały koniec lata i potem niemniej piękna jesień. To akurat nikogo nie cieszyło, ludzie modlili się o pogorszenie pogody. Wyglądało na to, jakby same niebiosy sprzyjały agresorom, niemieckie samoloty mogły działać cały czas bardzo skutecznie. Taka pogoda dawała wszystkie atuty w ręce zmotoryzowanej i zmechanizowanej armii napastnika, wszystkie urządzenia i maszyny działały doskonale. Nie mieli najmniejszych trudności ani z łącznością, ani transportem, ani komunikacją. Wiadomo było ogólnie, że Polska była znacznie uboższym krajem i nigdy nie czyniła przygotowań wojennych, prócz obronnych. Wojsko miało wysoki standard moralny, ale bardzo słaby stan uzbrojenia, a zwłaszcza nowoczesnego. W ostatnim okresie podjęto pewne wysiłki dla unowocześnienia armii, ale było to ograniczone możliwościami ekonomicznymi. Cały roczny budżet Polski wynosił ok. 2 miliardy zł, (równoważne nie całym 400 milionów dolarów) z tego na wojsko przeznaczano ponad 1/3 to jest około 700 mil jonów zł, (a więc nie całe 140 milionów \$.), trzeba więc było dokazywać cudów, dbając i namyślając się nad każdym groszem.

Jak na tak skromne środki, i tak osiągnięto niezły rezultat. Czy jednak wykorzystano wszystkie możliwości? Dopiero teraz można powiedzieć, że nie, wtedy jednak niektóre uważano za wykluczone. Po klęsce 1939, rząd był potępiany i przeklinany, ale właściwie odpowiedzialni ludzie nie byli winni, chyba tylko braku przenikliwości i szerszej wyobraźni. Zamiast pokładać ufność w traktatach i sojuszach, które nie zostały dotrzymane, powinni zejść z wysokiego konia, postępować bardziej praktycznie i poprosić o natychmiastowa pomoc materialną jako rękojmię dobrej wiary. Tak jest, jako wstępny warunek, jeżeli piękne słowa i zapewnienia, a następnie umowy międzynarodowe miały być traktowane uczciwie i serio. Gdyby na przykład puste i fałszywe gwarancje Brytyjskie byłyby poparte jakimś tajnym paragrafem, zapewniającym pożyczkę natychmiast, nawet drobną sumę w porównaniu do brytyjskich wydatków na wojnę, ale o wiele wydajniej i oszczędniej zużyta w Polsce, przemysł zbrojeniowy mógłby jeszcze dostarczyć wiele brakującej broni pracując pełną parą. Polska jeszcze w 1939r musiała sprzedać za granicę ok. 70 nowo wyprodukowanych myśliwców, prawie wszystkie doskonale działa przeciwlotnicze na licencji Boforsa produkcji polskiej (znaczną większość z nich właśnie do Anglii na kredyt) itd.

Okolo 70% polskiej produkcji zbrojeniowej trzeba było sprzedać, żeby utrzymać przemysł i resztę produkcji przeznaczyć dla własnej armii. Prawdziwy paradoks, że najbiedniejszy z krajów koalicji pomagał bogatym jej członkom, nic za to nie otrzymując w zamian. (jak uprzednio wspomniano, podpalacze świata otrzymali obfitą pomoc ekonomiczną która wykorzystali na zbrojenia; natomiast jego pierwsi obrońcy nie dostali nawet krótkoterminowej pożyczki, małego ułamka w porównaniu do sum obróconych na agresję; nie było równej szansy, ani choćby jej pozorów). Krótco mówiąc, Niemcy uzbroiły się aż po zęby na kredyt, Polska nigdy nie miała takiej możliwości, przeciwnie, sama kredytowała jeszcze bogatą Wielką Brytanię, przynajmniej na początku. Na przebieg wojny ogromny wpływ miała sytuacja ekonomiczna. Znacznie większy, niż liczba ludności czy obszar. Jeżeli każda złotówka w Polsce wykorzystana była kilkakrotnie efektywniej niż np. we Francji, W Brytanii i innych krajach, wliczając w to nawet i Niemcy, gdzie armia postępowała gospodarnie, to jednak nie można było w ten sposób nadrobić dysproporcji środków, wynoszącej kilkadziesiąt, a może kilkaset razy.

Ale o tym wszystkim teraz nie myślano, duch był ciągle silny. Nikt nie oczekiwał, że Polska będzie sama walczyć z całą potęgą niemiecką, to byłoby niemożliwe, zbyt duża dysproporcja sił, ale z częścią można sobie poradzić. „Szaleni Polacy” często w ostatnich wiekach stawiali na gorsze stawki, często walczyli przeciw dużej przewadze liczebnej i przeciw lepiej uzbrojonym wrogom. Czasem musieli najpierw odbierać broń wrogom i dopiero potem nią walczyć, mimo to niekiedy nawet odnosili zwycięstwa, a zawsze walczyli dobrze. Właściwie tym razem Polska miała wyjątkową szansę, biła się nie sama, ale ze sprzymierzeńcami, którzy w rozsądnym czasie zwiążą część niemieckich sił, więc ten odwrót, ewakuacja, są tylko tymczasowe. Tak naprawdę to Niemcy są bez szans. Absolutnie wszyscy wierzyli nadal w zwycięstwo i to bardzo szybkie, sami byli gotowi do ofiar i poświęceń, znosili trudności bez skarg jako coś zrozumiałego, pełni optymizmu i patriotyzmu. Zresztą trzeba się jakoś bronić, nie ma innej możliwości.

Rozłożywszy się znowu przy pociągu, Angus miał wrażenie jakby brał udział w interesującym, pełnym przygód pikniku. Żywe były wspomnienia sprzed dwu dni, kiedy wsiadając do pociągu, mijał ulice zapchane tłumem ludzi krzyczących, wiwatujących na cześć aliantów, którzy właśnie po nieoczekiwanej długiej zwłoce, jednak w końcu trzeciego dnia wojny zdecydowali się spełnić zobowiązania i przyłączyć się. Przez kilka godzin ludzie śpiewając i prawie tańcząc na ulicach, szli przed konsulaty Francuski i Brytyjski okazać swoje uczucia. Wyjazd nastąpił w momencie, gdy sprawy zaczynały przyjmować dobry obrót.

Matka Angusa długo się namyślała i zdecydowała na ewakuację dopiero jednym z ostatnich pociągów. Miał on wywieźć maszyny z warsztatów kolejowych, ale rodziny pracowników kolei mogły się zabrać. Ta podróż zapowiadała się bardzo ciekawie. Angus nigdy dotąd nie jechał w ten sposób, na odkrytych platformach między ustawionymi na nich, wielkimi ciężkimi kształtami przykrytymi grubym szarym albo zielonym płótnem. To naprawdę wspaniała przygoda, ze spaniem pod gwieździstym niebem, mama wzięła zapas jedzenia, tylko pociąg za mało jechał i najgorsze, nie było żadnej okazji przyłączyć się do walki, o czym nieustannie marzył Angus. Także i teraz.

Nadal nie było bombardowań, tylko zwyczajny ostrzał z karabinów maszynowych, na szczęście nieefektywny, gdyż platformy kolejowe i masywne maszyny były niewrażliwe na kule, strzelano tylko ze względu na żywe cele, ale te zdążyły uciec w porę. Nic nowego, ale teraz Angus już fachowym i doświadczonym okiem dostrzegał małe obłoki pyłu, gdzie uderzyły kule. Po jeszcze dwóch nalotach i zachodzie słońca, o zmierzchu wdrapał się na swoje miejsce na platformie pociągu i udając, że śpi, powrócił do rozważania najważniejszego tematu, co postanowić w sprawie kuli.

Życiowym celem Angusa było dostać się do wojska. Tylko to jedno liczyło się teraz, wszystko inne nieważne. Nie oczekiwał, że będzie łatwo, ale z pewnością ktoś z doświadczeniem, o wypróbowanej odwadze i zaznajomiony z kulami i ogniem, powinien mieć lepsze szansę, nawet jeżeli jest trochę za młody. Jeżeli do tego najważniejszego celu może mu pomóc małe kłamstwo, to w tym wypadku będzie usprawiedliwione.

Czytał przecież o chłopcach nie wiele starszych od siebie, którzy jednak potrafili zachować się bohatersko w razach niebezpieczeństwa, w czasie powstań lub przy wielkich nieszczęściach, czasem poświęcając własne życie dla wyższych celów. I on też nie chciał postąpić gorzej. Wiele razy uprzednio bardzo żałował, że nie żyje w takich czasach, że nie mógł dokonać takich wielkich, no, choćby tylko średnich czynów. Teraz nadszedł taki czas. Podjął postanowienie. Jutro pokaże kulę mamie i innym ludziom, ilu tylko zdoła i opowie im, że ta kula dosłownie musnęła go po włosach, dotknęła głowy, ale on akurat w tym momencie poruszył lekko głowę w drugą stronę i to prawie cud, że nie został trafiony. Postanowił nawet sfabrykować małą bruzdę na głowie i rozsunać włosy, żeby miał co pokazać. Potem zawrze znajomość z jakimkolwiek żołnierzem, którego spotka, postara się, żeby usłyszał on o chłopcu, który ma szczęście z kulami, nie boi się ich i przy pierwszej okazji ruszy za nim, może udając, że się zagubił i szuka rodziny. To oczywiście na początek, później reszta zależy od niego, musi się jakoś wykazać, może przynosić meldunki albo przeprowadzać wywiad w

terenie, albo robić inne rzeczy które zwykle robią chłopcy w takich wypadkach. Jego matka będzie się z początku niepokoić, ale za to potem będzie dumna.

Po rozwiązaniu tego najpilniejszego zagadnienia, i podjęciu postanowienia, myśli Angusa wróciły do poprzednich dni. Pierwszy dzień wojny, wyjazd ojca, potem dwa pierwsze bombardowania, rano i w południe. Najpierw wszyscy schodzili do schronów w piwnicach bloków, ale potem gdy niedaleko bomba przebiła kamienicę aż do piwnic, zaniechali tego. Lepiej zginąć od razu, niż konać przysypany pod ziemią. Cały czas Angus nadsluchiwał radia. Po prostu szalał z niecierpliwości, ale jedyne wiadomości to, że walki trwają, Westerplatte wciąż się broni i ten sam apel Naczelnego Wodza, - „Żołnierze strzelajcie wolno, żołnierze strzelajcie celnie.”- Żadnych wiadomości o sprzymierzeńcach, nie spieszyli się z pomocą. Żadnych wiadomości o sytuacji na froncie, a miał nadzieję, że nasi dzielnie biją Niemców. Ciągłe wiadomości o nalotach, jakieś litery i cyfry szyfrem i że nadchodzi, albo przeszło. Nie poszedł nawet obejrzeć strąconych samolotów czekając na jakąś ważną i dobrą wiadomość, zresztą spadły daleko, mama i tak by go nie puściła.

Już spał i obudził się tylko na chwilę, kiedy po paru godzinach wysiłku udało się naprawić szyny na tyle, że pociąg powoli ruszył w mrok. Następnego ranka obudził się, gdy pociąg znowu stał, tym razem na skraju lasu, kilka drzew znajdowało się też po drugiej stronie osłaniając wagony. Po kilku godzinach nadeszły wieści: chwilowo dalsza droga jest niemożliwa, w nocy skręcili przed Wrześnią na Gniezno, ale i tu nie ma przejazdu, postoją kilka dni. Byli teraz niedaleko Gniezna, a najbliższe miasteczko to Czarniejewo i można tam dojść pieszo. A jeszcze bliżej znajduje się majątek Żydowo i tam właściciele oferują tymczasowe schronienie uchodźcom. Kiedy pociąg będzie mógł jechać dalej, wiadomość przekaże się do Żydowa.

Matka Angusa zdecydowała się przenieść tam, ale trzeba było rozwiązać sprawę bagażu. Nie podobna dźwigać ze sobą ogromnych tobołów i waliz, a tutaj dorożek nie było. Nie można było też znaleźć nikogo do pomocy, gdyż wszyscy mieli podobne problemy. Trzeba było się przepakować, biorąc ze sobą tylko co najniezbędniejsze i najcenniejsze, pozostawić resztę na miejscu i mieć nadzieję, że nic nie zginie do powrotu. To zajęło sporo czasu i byli gotowi dopiero po południu, wyruszając w ostatniej grupie. Angus niósł dwie lżejsze torby, mama tylko jedną, ale dużą i ciężką walizkę, zostawała więc w tyle a Angus oddalał się do przodu. Grupka ludzi w której szedł zatrzymywała się od czasu do czasu, czekając na pozostających z tyłu i rozmawiając o wojnie, co bardzo zajmowało Angusa. Chciał wiedzieć, ile czasu zajmie Francuzom przejście przez całe Niemcy.

Byli na zwykłej wiejskiej drodze, ziemnej, wysadzonej drzewami z obu, a czasem tylko z jednej strony, gdy trafiały się drzewa stare i ogromne. Samolot nadleciał niespodziewanie, bardzo nisko, dosłownie wyskoczył z za horyzontu z nieprawdopodobną szybkością. Zupełnie inaczej, niż wielkie bombowce, które wysoko i pozornie powoli, prawie majestatycznie nadlatywały na pociąg sygnalizując swoją obecność dużo wcześniej. Tym razem wszystko nastąpiło tak szybko, że nie zdążył się w ogóle zorientować. Tylko raz w życiu widział Angus coś podobnego, to był polski samolot, bez uzbrojenia, z dwoma pilotami siedzącymi w otwartej kabinie, prawdopodobnie jeden z cywilnych aparatów zmobilizowanych do przenoszenia rozkazów lub może obserwacji. Przeleciał on trzeciego dnia wojny nad pociągiem, tuż nad głowami, przyjęty ogromnymi wiwatami i okrzykami przez uchodźców, jedyny polski samolot jaki widzieli podczas wojny. On też lecąc nisko sprawiał wrażenie dużej szybkości, zniknął zanim zaczęli krzyczeć, poruszał się szybciej niż najszybszy automobil jaki Angus widział na wyścigach. Ledwie zdążył dojrzeć kątem oka dwie głowy w skórzanych pilotkach i okularach, drugi pilot machał ręką.

Ale jeżeli tamto wydawało się dużą szybkością, to obecnie przypominało błysk pioruna. Angus jeszcze był w powietrzu padając do płytkiego rowu, kiedy ciemny cień go przesłonił i kule wzbily podłużną chmurę kurzu wzdłuż drogi, a ryk motoru uderzył go w tej samej chwili - i już wszystko znikło, Ale samolot wracał, nie, nie całkiem, zrobił wcześniej gwałtowny zwrot, jeszcze jeden i po chwili zniknął za horyzontem.

Angus rzucił się biegiem w stronę, gdzie ostatnio widział matkę i zobaczył ją stojącą, całą i zdrową, chociaż ziemia dokoła usłana była odłamkami drzewa, kory oraz mniejszych i większych gałęzi. Nawet się nie trzęsła, tylko była trochę blada i Angus musiał zawołać ją kilka razy, zanim go usłyszała.

- Nie bałam się strzałów, - mówiła - bo drzewo jest tak grube, że całkiem mnie zasłaniało, myślałam sobie że strzelanie do mnie jest głupie. Ale obawiałam się, że ten łajdak uderzy swoim samolotem w drzewo i wszyscy zginiemy. Trzeci raz był najgorszy, byłam zupełnie pewna, że teraz wpadnie na drzewo, po prostu nie wierzę, że zdołał je minąć. A jeszcze do tego, kiedy biegałam wokół drzewa, obawiałam się, że się potknę i upadnę na tych wszystkich drzazgach i kawałkach, które odstrzelił w dwóch pierwszych nawrotach. - Nadeszło więcej ludzi, ktoś podniósł bagaż który rzuciła kiedy wystartowała do drzewa, wszyscy mówili na raz. Trudno było coś zrozumieć, ale stopniowo okazało się, że wszyscy są zdumieni, dlaczego niemiecki lotnik zadał sobie aż tyle trudu, usiłując zabić jedną kobietę. Matka Angusa przypuszczała, że to z powodu jej kapelusza.

- Niemożliwe, nie jest aż tak brzydki, żeby lotnik na jego widok wpadł w amok.-

- Tak, ale ma jasno-zielonkawy kolor, może pilot wziął mnie za żołnierza.-

- To śmieszne przypuszczenie, tylko gdyby myślał, że są tu legionści legii cudzoziemskiej. Przecież to nie przypomina zupełnie koloru polskich mundurów, a jeszcze do tego biała woalka. Jeżeli to się z czymś kojarzy, to chyba z Marleną Dietrich we filmie „Maroko” - brzmiał komentarz i wszyscy się roześmiali. Nie żeby to było takie śmieszne, ale śmiech odprężył i poprawiał samopoczucie.

Jednak inne komentarze nie były tak wesołe: - czy Niemcy mają aż tyle samolotów i amunicji, że mogą dla zabawy polować na pojedyncze osoby, w dodatku cywilne i to kobietę? Ten lotnik zmarnował amunicję za paręset marek, może nawet tysiąc. - To wszystko w czasie, kiedy polskie radio wciąż powtarzało, w krótkich odstępach, apel polskiego naczelnego wodza do wojska, o oszczędzanie amunicji: - Żołnierze, strzelajcie wolno. Żołnierze, strzelajcie celnie!

Angus z matką mieli prawdziwe szczęście, że wybrali pociąg i to jednym z ostatnich. W ten sposób ominęli najgorsze piekło, zapchanych dróg z ciągłymi korkami i objazdami, i ciągłymi uderzeniami lotnictwa. To było najgorsze, co może się przydarzyć, drogi z niekończącymi się kolumnami uciekinierów, pieszo, z wózkami i na wozach konnych, czasami samochodach i co tam było - oraz samoloty, zawsze ukazujące się niespodziewanie, na małej wysokości i strzelające do wszystkiego co się rusza, czasem zrzucające też kilka małych, „personalnych” bomb, zostawiając drogi sparaliżowane i pokryte ciałami, martwymi końmi, potrzaskanymi wozami, bagażem i wszelkimi możliwymi odłamkami.

Dopiero znacznie później, podczas rozmów z innymi uciekinierami pojęli, co ich ominęło. Ten na szczęście tylko jeden przypadek, dla innych to była codzienność, jak chleb z masłem. Ale takie zdarzenia miały miejsce teraz dobre sto km bardziej na wschód. Angus z matką właściwie byli już na ziemi niczyjej. Armia Poznań, zgodnie z otrzymanymi rozkazami cofnęła się już daleko bez walki. W rzeczywistości żołnierze błagali swych dowódców, a z kolei dowódca armii, gen Kutrzeba codziennie proponował i sugerował Naczelnemu Wodzowi zwrot w tył a potem w prawo i przyjęcie bitwy, właściwie rozpoczęcie jej samemu, ale dotąd bezskutecznie. Niemiecka ofensywa posuwała się na południe i północ od Wielkopolski i w rezultacie całe jej terytorium było praktycznie wolne od wojska, ale także i Niemcy nie śpieszyli się z wejściem w tym kierunku. Tym nie mniej ten teren mogli już uważać za swój, nie było więc sensu niszczyć łupu, chyba tylko zabijać ludzi. Prawdopodobnie również i ten pilot w drodze powrotnej zdecydował się na trochę rozrywki, polowanie na upatrzonego i dla jednej osoby zrobił to, co stanowiło jego stałe zajęcie dalej na wschodzie.



Jednak Angus faktycznie nie miał obaw o matkę. Oczywiście, troszczył się o nią i rzuciłby się z gniewem na lotnika, gdyby mógł. Ale z drugiej strony, taka przygoda to coś normalnego na wojnie. A poza tym miał przekonanie, że matka jest niezniszczalna, zabicie jej wykluczone. Przecież na filmach i w książkach, wychodziło się cało z gorszych niebezpieczeństw, a matka nie miała nawet podziurawionego ubrania ani tego kapelusza. Żeby znaleźć rzeczy podziurawione przez kule trzeba by sięgnąć do porzuconej walizki. Więc w zasadzie była bezpieczna - a jaka wspaniała przygoda ją spotkała!

Był dumny ze swej matki. Ale jeszcze bardziej, chociaż starał się usilnie zdusić w sobie to uczucie, głęboko w środku po prostu zieleniał z zazdrości. To było niesprawiedliwie, jego matka naprawdę zachowała się bohatersko, a teraz w ogóle się tym nie chwaliła, więcej, zachowywała się tak, jakby nic się jej nie przydarzyło i jakby tego sobie w ogóle nie ceniła. No pewnie, przecież ona nie miała wstąpić do wojska i walczyć z Niemcami. To właśnie on powinien być na jej miejscu i po prostu skręcał się na myśl, co go ominęło. Dałby wszystko, żeby tam być zamiast niej, no, może nie aż rękę albo nogę, bo wtedy nie mógłby potem pójść do wojska i walczyć, ale na pewno trzonowe zęby albo każdą część ciała, nieistotną we walce. Gdyby tak się zdarzyło! A ona mogłaby opowiadać wszystkim, jaki dzielny jest jej syn i jak przeszedł prawdziwy chrzest ogniowy nie okazując najmniejszego strachu. Na pewno szanse na przyjęcie do wojska wzrosłyby ogromnie. Dlaczego ten diabelski samolot nie wybrał jego, któremu tak na tym zależało, tylko mamę, której to wcale nie było potrzebne ani nie cieszyło. Mój Boże, jak źle urządzony jest świat.

No, a jaką wartość ma teraz jego kula, ta która uderzyła koło niego, w porównaniu do setek które uderzały koło jego matki. Gdyby choć o tym wspomniał. po prostu by się ośmieszył. Z desperacją włożył rękę do kieszeni i wyrzucił swój skarb. Dopiero teraz zrozumiał, o co tutaj chodziło. To była dla niego kara Boska. Chciał kłamać, oszukiwać, chwalić się tą kulą. Jeszcze nie zdążył tego zrobić, ale w sumieniu już czuł się winny. Więc to było dla niego ostrzeżenie. Jeżeli się poprawi, Pan Bóg ześle mu następną szansę.

\* \* \*

Było po południu gdy dotarli do Żydowa. Wszystkie budynki i sam pałac otwarte dla uchodźców, już się zappełniły. Majątek był w posiadaniu rodziny Chełmickich, którzy wyszli witać uciekinierów, wskazywali miejsce pobytu i starali się zadbać o wszystko. Powitali również matkę Angusa, która w krótkiej rozmowie wspomniała swą siostrę Franciszkę i jej męża. Zanim jeszcze osiedli w Podłozinach, jeszcze w czasie I Wojny Światowej i parę lat po administrowali oni pobliskim majątkiem Iwno. Z tego powodu byli tu znani i matka została potraktowana jako gość i zaproszona do głównego stołu na kolację z rodziną właścicieli i ich

znajomymi. Znalazła wymówkę, że nie może ubrać się stosownie po stracie bagażu, więc na razie otrzymała mały, ale osobny pokój w samym pałacu gdzie mogła odpocząć i gdzie dzisiaj przyniesiono jedzenie, a zaproszenie do stołu zostało przesunięte na jutro. Poszła na śniadanie, ale sama, wymówiła syna, z powodu słabego zdrowia i przemęczenia po tych wszystkich przejściach. Angusowi powiedziała wprost, że ma wątpliwości czy potrafi się zachować przy wysokim stole. Angus był z tego bardzo zadowolony. Pamiętał kilka obiadów i kolacji w Podłazinach, kiedy przy gościach posiłki były celebrowane i przy stole trzeba było się zachowywać formalnie. Dla chłopca było to nieznośnie długie, niewygodne i okropnie nudne. Na dodatek jakby się nie starał. to i tak musiał potem wysłuchiwać uwag, co źle zrobił i że w jego wieku powinien już to wiedzieć i umieć zachować się lepiej.

Natomiast co go bardzo ucieszyło, to pozwolenie na zabawy z dziećmi właścicieli, zwłaszcza że były one młodsze i wkrótce wyrobił sobie pozycję „pierwszego między równymi”. Początkowo słysząc nazwisko, miał nadzieję że może spotka kolegę szkolnego, w jego klasie był też Chełmicki, jeden z czterech utytułowanych. Wyjątkowo wysoki odsetek, prawie 12 % uczniów pochodziło z arystokratycznych domów. Niemniej duch w klasie był absolutnie demokratyczny, chłopcy oceniali siebie według własnej osobowości i zasług, w pierwszym rzędzie według siły i odwagi, znacznie mniej na podstawie zdolności i stopni, natomiast nigdy według pozycji rodziców. Tak się złożyło, że jeden z tych czterech był niekwestionowanym przywódcą, ale to dlatego, że był śmiały, szybki, wprawdzie nie akurat najsilniejszy, ale zawsze postępował tak jakby był. Krótko mówiąc, nazywano go Tarzan i nie bez powodu. Nikt nie zajmował się jego rodziną, może z wyjątkiem jednego chłopca. Otóż pradziadek pierwszego, był bohaterem narodowym i generałem w jednym z powstań (choć pechowym), a jeszcze przedtem adiutantem i jednym z zastępców Garibaldiego sławnym i zasłużonym w włoskich wojnach o wolność, a pradziadek drugiego jego przyjacielem i towarzyszem.

### **Tradycje walki o wolność**

Takie zestawienie nie było niczym niezwykłym. Wielu Polaków, w przerwach między powstaniami narodowymi, walczyło o wolność innych narodów i o demokrację na całym świecie. A podczas powstań polskich i w okresach między nimi, głoszone hasło „Za wolność naszą i waszą”.

I tak na przykład, w klasie do której uczęszczał Angus - a na pewno nie była to pod tym względem jakaś wyjątkowa klasa, było aż trzech chłopców, których dziadowie walczyli we włoskich wojnach o wolność. Jednym z nich był właśnie wymieniony wyżej, adiutant i w końcu jeden z zastępców Garibaldiego, a tak się złożyło, że ich synowie i potem wnukowie

byli w zbliżonym wieku Tak ustaliła się tradycja rodzinna, taka sama przyjaźń łączyła później ojców a obecnie i wnuków, którzy akurat chodzili razem do tej samej szkoły i klasy.

Dziadek trzeciego chłopca to już inna historia, też uczestniczył w wojnach włoskich, lecz nie miał żadnych związków z poprzednimi, nawet się nie spotkali. Nie pochodził z bogatej, ani nawet zamożnej rodziny, zwykły prosty człowiek, poszedł jako ochotnik i służył po prostu w piechocie. Choć mniej błyskotliwa kariera, na pewno jeszcze trudniejsza, miał długą, ciężką drogę i tylko swoje przekonania. Zdany na własne siły, bez pieniędzy, żadnego poparcia, czy powiązań rodzinnych.

A pradziadek jeszcze innego chłopca walczył w powstaniu węgierskim. Oczywiście nie trzeba dodawać, że o wiele więcej - praktycznie wszyscy chłopcy z klasy mieli rodziny, które walczyły w powstaniach polskich. Również rodzina Angusa nie była wyjątkiem.

Żaden z tych chłopców nie opowiadał ani tym bardziej nie chwalił się swoją rodziną, to byłoby w złym stylu. O tych szczegółach Angus dowiedział się dopiero w ostatnim roku nauki, na dyskusji na lekcji historii, prawie mimochodem. Ale to było po prostu naturalny sposób myślenia. Na przykład Angus jeszcze dwa lata wcześniej, zanim o tym w ogóle usłyszał, to znaczy mniej więcej trzy lata od bieżącej chwili, dokładnie przy końcu drugiej klasy szkoły podstawowej napisał pierwszy w swoim życiu list polecony zaadresowany osobiście do rąk Króla Królów, Hailie Selassie - krótko mówiąc, samego Negusa Abisynii. Czytelnik się uśmiecha, ale dla małego chłopca to nie były żadne żarty, autentyczna ciężka i mordercza praca, które trwała prawie miesiąc. Pamiętajmy, że musiał zachować pełną tajemnicę, zwłaszcza przed rodzicami i niczym się nie zdradzić. Musiał dowiedzieć się, jak się pisze listy, ułożyć przekonująco tekst i przepisać go czysto i kaligraficznie, starając się nie popełniać błędów ortograficznych, a przecież nawet dowiadując się, jak się pisze poszczególne wyrazy musiał to rozłożyć w czasie i zachować ostrożność, żeby się nie nasunąć skojarzeń.

W tym liście Angus zgłaszał się jako ochotnik do wojska abisyńskiego, motywując to przekonaniem, że Abisyńczycy są stroną napadniętą i niesprawiedliwie prześladowaną, a jak to dobrze wiadomo, Polacy zawsze walczyli o wolność innych narodów, kiedy akurat nie walczyli o własną. Ponieważ zaś teraz Polska jest wolna i bezpieczna, wobec tego może i sądzi, że właśnie powinien pomagać w walce innym. Zaznaczył, że chociaż jest jeszcze bardzo młody, zapoznał się naprawdę dobrze z tematem gazów bojowych, przeczytał wszystkie dostępne książki i nawet chodził czasem z ojcem na kurs obrony przeciwgazowej i może pełnić funkcje instruktora, wie jak rozpoznać, unikać i uchronić się przed gazami. Szczególnie przed iperytem, który Włosi użyli w tej wojnie z pogwałceniem norm

międzynarodowych i humanitarnych. Oczywiście, wyraża tu tylko swoją sugestię, jak mógłby okazać się najbardziej pożyteczny, ale akceptuje każdą czynność i zgłasza się po prostu jako zwykły żołnierz, mając nadzieję że już dzięki własnym zasługom zostanie oficerem. Dodatkowo chciałby jeszcze oferować dla wspólnej sprawy datek pieniężny, ale niestety ma skromne środki i dowiedział się, że przekaz pieniężny do Abisynii jest drogi, lepiej więc będzie, jeżeli to co ma przywiezie ze sobą i oferuje osobiście. Niestety, Król Królów widocznie w natłoku spraw wojennych nie zdążył przeczytać tego listu, a może miał trudności ze znalezieniem tłumacza i dlatego Abisynia przegrała wojnę nie doczekawszy się pomocy Angusa. Mimo to, w rok później złożył jeszcze raz podobną ofertę Czang-kai - szek'owi, który niestety również nie odpowiedział.

Oczywiście teraz, z perspektywy swoich jedenastu lat (nie licząc ponad dwóch miesięcy) Angus jeżeli w ogóle przypominał sobie te zdarzenia, to tylko z zażenowaniem i uśmiechem zakłopotania, jako śmieszny pomysł niedowarzonego dzieciaka. Pewnie, gdyby tak łatwo było zostać bohaterem, każdy by chciał. Ale teraz, chłopiec który już ukończył całe 11 lat mógł się już uważać za prawdziwego mężczyznę, jeżeli jeszcze nie całkiem fizycznie, to przynajmniej umysłowo. Na swoje dawne pomysły spoglądał z góry i przyznawał, że miał wszelkie zadatki na małego Don Kichote'a, chociaż tylko ze względu na brak rozsądku, bo emocje były prawidłowe. Głowa pusta, ale serce po właściwej stronie.

Obecnie sytuacja była całkiem inna. Teraz miał do wypełnienia obowiązki wobec swego kraju, podobnie jak wszyscy inni mężczyźni. A to pilna sprawa, nie mógł przecież dopuścić, żeby Hitlera pobito bez niego, a ciągle wierzył, że trzeba się śpieszyć, bo wojna długo nie potrwa. Jak mógłby spojrzeć ludziom w oczy, gdyby wojna skończyła się, zanim on zdąży dostać się do wojska. Niestety jednak, to nie była prosta sprawa, istniały pewne obiektywne i poważne trudności, musiał dobrze ruszyć głową, żeby to jakoś rozwiązać.

To dlatego tak pragnął spotkać choćby jednego ze swoich kolegów szkolnych. No, oczywiście, były i fantastyczne marzenia, w ciągu dni spędzonych na, czy też koło pociągu, nawet na polu pod ogniem karabinów maszynowych dużo marzył. Zwłaszcza wracał do tego, jak wspaniale byłoby wyruszyć na tą wojnę z całą swoją klasą, albo też na przykład zabarykadować się w budynku szkolnym i bronić się tam całymi dniami, a może tygodniami, aż do śmierci, ale najlepiej aż nastąpi wreszcie przełom we wojnie i polskie wojsko wróci z odsieczą. Oczywiście, zdawał sobie sprawę że marzenia, to tylko sposób skrócenia czasu dla tych, co nie potrafią zdobyć się na prawdziwe działanie. Trzeba było coś wymyślić i to szybko, a potem przeprowadzić jakąś zdecydowaną akcję. Byłoby to o wiele lżej, gdyby miał z kim podzielić się myślami, naradzić, zawsze co dwie głowy to nie jedna.

Najbardziej ze wszystkiego dolegało mu to uczucie zupełnej samotności. W żadnym wypadku nie mógł pomówić o tym z matką, bo to na pewno uniemożliwiłoby jego zamiary. Myśl o tym bardzo mu dolegała. Nie był wyrodnym synem, oczywiście kochał matkę i uważał jej życie za bez porównania ważniejsze od swojego - choć z kolei ona usiłowała go przekonać, że ona jest już starym drzewem, które w razie czego i tak niewiele już ma przed sobą, a to on właśnie stanowi przyszłość. Ale tu nie o to chodziło, takie dyskusje były jałowe. Był pewien, że matka ma wielki zasób sił i energii i potrafi dać sobie radę, a on wbrew wszystkim pustym słowom tylko ją obciąża. Dodatkowy bagaż a nie opieka czy wyręka. Przychodziła taka chwila, kiedy dorosły już człowiek (powiedzmy, że prawie), musi sam podjąć decyzję, sam pójść za głosem swego sumienia. Rodzice zawsze uważają dzieci za dzieci, nawet drugie jedenaście lat też tego by nie zmieniło i zawsze przychodzi moment, kiedy dzieci muszą stać się samodzielne. Miał oczywiście nadzieje, że wróci szczęśliwie i wszystko zdoła matce wszystko wynagrodzić, ale gdyby nawet nie miał szczęścia, to i tak mama będzie miała wspomnienie, które będzie z dumą jej towarzyszyć, to może nawet więcej, niż znaczyłby on cały i zdrowy.

Nie mógł też porozmawiać o tym ze swoimi nowymi przyjaciółmi, to były naprawdę bardzo miłe, ale jeszcze zupełne dzieci. Nawet najstarszy z nich, chłopiec, był przeszło rok młodszy i jeszcze dziecinny, na pewno nie nadawałby się do prawdziwego działania, choć nie z braku chęci. Był teraz pewnie na takim etapie, jak Angus kiedy wysyłał swoje listy z ofertami. Poza tym dwie dziewczynki, jedna z nich całkiem mała, chyba pięcioletnia. Owszem, bawił się z nimi wszystkimi chętnie, po pierwsze była to duża przyjemność, a po drugie uważał, że jest też zobowiązany jakoś odwdziaczyć się ich rodzicom za gościnność.

Dlaczego więc, zanim nadejdzie czas wielkich i trudnych spraw, nie sprawić im trochę przyjemności, a szczerze mówią i sobie też. A idealnym miejscem do zabaw był wielki ogród, właściwie prawdziwy park, przez który przepływał też prawdziwy strumyk, tworząc po drodze kilka małych oczek, zastępujących jeziora albo wielkie morza, podobnie jak zarośla krzaków i drzew wielkie puszcze. Kilka zaprzyjaźnionych psów i kotów z odrobiną fantazji mogły spełniać funkcje dzikich tygrysów i groźnych lwów wśród lasów tropikalnych, poprzecinanych rzekami i jeziorami. Założyli nawet specjalne linie komunikacyjne do przewozu, oczywiście osobnego, ludzi i strasznych bestii. Jedno z tych towarzystw, o nazwie KKW (Kocia Komunikacja Wodna) upadło niestety, gdyż okazało się, że w odróżnieniu od psów, które można było ugłaskać i namówić, koty nie chciały dać się przewozić w drewnianej wanie, przeciąganej na linie przez wodę i po prostu uciekały.

Krótko mówiąc, całe dni był tak zajęty, że bardzo by się przydało, gdyby miały one po kilka godzin więcej. Jednak dzieci miały też inne obowiązki oraz prywatnych nauczycieli. Jeden z nich realizował normalny program szkolny, a druga, pani, uczyła języków, przede wszystkim francuskiego. Przedtem w programie były również początki angielskiego, ale obecnie, ponieważ zabrakło pani Angielki, dzieci choć ze zrozumiała niechęcią przeszły na początki języka niemieckiego.

Angus nie dołączył do lekcji, gdyż w szkole był już znacznie dalej zaawansowany, ukończył piątą klasę (właściwie o rok za wcześnie), a tu najstarszy chłopiec zaczynał właśnie czwartą. Natomiast w językach był kompletnym zerem, nie uczył się dotąd żadnego i nie miałby tam co robić, tylko by przeszkadzał. Tak więc, miał po kilka godzin dziennie tylko dla siebie i wykorzystał je do rozejrzenia się po okolicy. I właśnie wtedy uśmiechnęło się nareszcie szczęście, trafił na wymarzoną złotą żyłę, odnalazł poszukiwany cel życia.

Otóż ostatnio Wojsko Polskie, oprócz tradycyjnych jednostek, powołało tak zwane Kompanie Obrony Narodowej. W zasadzie miały one stanowić jednostki szybkiego uzupełnienia i rezerwy, ale zgodnie z koncepcją mogły być też użyte jako czasowe wsparcie dla wielkich jednostek oraz do osłony terytorialnej. Krótko mówiąc coś zbliżonego do Home Guard w UK, albo Gwardii Narodowej w USA, jednak z tą różnicą, że ich organizacje kończyła się na poziomie kompanii, a rzadko batalionu, ponieważ zakładano, że nie będą one używane samodzielnie. Jeżeli brały udział w akcji, a nie tylko do szybkiego uzupełnienia ludźmi oddziałów regularnych, to zakładano, że oddziały ON walczyć będą wraz z oddziałami regularnymi jako siła kombinowana pod komendą oficerów większych jednostek. Dlatego też żołnierze ON uzbrojeni byli tylko w broń osobistą i ewentualnie lekką broń piechoty.

Jak wyjaśniono, Armia Poznań wycofała się już w tym czasie z prawie całego terytorium Wielkopolski, a ofensywa niemiecka, posuwała się po jego obu stronach (północnej i południowej) równolegle, tak, że Wielkopolska stała się właściwie „ziemią niczyją”. Mimo to, Niemcy bardzo ostrożnie i z ociąganiem wchodzili na jej terytorium. Trudno powiedzieć, czy z powodów taktycznych, czy też pamiętając jeszcze niedawne powstanie z 1918 r nie chcieli wplątywać się w jakąś małą wojnę partyzancką, która mogłaby przeszkadzać w szybkim pochodzie - a która, biorąc pod uwagę patriotyczne nastroje ludności, a także zdarzenia, które rzeczywiście miały później miejsce, była bardzo prawdopodobna.

Tak czy owak, na tym w zasadzie pustym terytorium znajdowały się jeszcze tu i ówdzie drobne oddziały Obrony Narodowej; albo te, które nie zdążyły się jeszcze

zmobilizować i zorganizować, albo zapomniane w szybkim odwrocie, albo do niektórych nie dotarły rozkazy. Taki wypadek miał też miejsce właśnie tutaj, w Żydowie. Z tyłu w zabudowaniach gospodarczych, koło stajni, na kwaterze stało około dziesięciu żołnierzy Obrony Narodowej pod dowództwem podoficera.

Dotychczas Angus bardzo trudno zawierał znajomości i nowe przyjaźnie, ponieważ matka bardzo mocno ograniczała jego kontakty, trzymała go w izolacji, pozwalała na znajomość tylko z dziećmi tych rodziców, których znała osobiście i w pełni aprobowała, a to zdarzało się rzadko. Nawet i w tych wypadkach, po pewnym czasie wynajdywała jakieś rzekome złe wpływy. Z biegiem lat, Angus coraz bardziej tracił umiejętność nawiązania przypadkowej znajomości a nawet rozmowy, tracił umiejętność współżycia, stawał się samotnikiem i nawet sam się odsuwał, godził z izolacją. Ale nie w tym wypadku, przy tak wielkiej motywacji. Tym razem zadziałał od razu z marszu jak natchniony przez Ducha Świętego piorun, w minucie był już wśród żołnierzy i ze wszystkich sił starał się im podlizać.

Realizując wcześniejszy plan, należało wybrać najbardziej sympatycznego i przyjaźnie nastawionego, nie przestając oczywiście podlizywać się wszystkim. I rzeczywiście znalazł wkrótce takiego, z którym przypadli sobie wzajemnie do gustu i wkrótce zostali dobrymi znajomymi.

Od tej chwili, w każdym wolnej chwili pędził prosto do żołnierzy, zawsze zabierając ze sobą coś dobrego. Jakikolwiek przysmak dostawał, nie zjadał ich teraz sam, ale za każdym razem mówił mamie:

- O, to jest świetne, ale jeszcze lepiej będzie mi smakowało na świeżym powietrzu! -

- Dobrze, widzę, że to powietrze rzeczywiście doskonale ci służy. jeszcze nigdy nie miałeś takiego wspaniałego apetytu, weź jeszcze trochę na zapas.

Żołnierze mieli wprawdzie obfite i zdrowe, ale raczej proste pożywienie. Dla ludzi czekających na rozkazy i chwilowo beczynnych, jedzenie stanowi istotną część życia, więc dodatek jakichś ekstra przysmaków, chociaż mały, znikomy do podziału na dziesięciu ludzi, jednak stanowił miłe urozmaicenie. Także i oni częstowali go swoim jedzeniem i Angus starał się już na przyszłość polubić wojskowy groch z mięsem.

Zupełnie instynktownie, bez zastanawiania się i szukania, Angus odkrył na nowo starą prawdę, że przyjaźnie zawiera się najszybciej w przyjemnych chwilach, a zwłaszcza przy stole. Inna przynętą były papierosy, które odkupywał od jednego ze służących, chociaż z początku ten oburzył się i nie chciał zaopatrywać tak młodego palacza. Ale Angus wyjaśnił sytuację i obie strony dochowały milczenia.

Wszyscy chłopcy interesują się bronią i było całkiem naturalne, że jego nowy przyjaciel, żołnierz obiecał pokazać Angusowi swoją broń, polski karabin piechoty. Dla Angusa to był początek nowego życia, wprost fruwał po niebie, wszystko układało się dokładnie tak, jak sobie wymarzył.

Na początek Angus dostał do rąk rozładowany i oczywiście sprawdzony karabin, zapoznał się z rygłem do zamka, otwieraniem i zamykaniem, skrzydełkiem bezpiecznika z tyłu, iglicą sprężyną i stopniowo z całym mechanizmem zamka. Potem przyszła kolej na rozbieranie zamka i składanie go z powrotem. Musiał to najpierw powtarzać na czas, aż do uzyskania odpowiedniej szybkości, a potem nie patrząc, z zasłoniętymi oczyma albo z rękoma i karabinem pod kocem. Ale prawdziwe poczucie dumy i trzymania w ręku wielkiej siły przyszło dopiero przy ładowaniu broni. Ówczesny polski karabin z Radomia (podobnie jak inne, także i niemieckie itp.) miał magazynek wbudowany na stałe, który mieścił pięć naboí. Można je było ładować także pojedynczo, ale zasadniczo naboje przytrzymywane były przez tzw. łódkę (był to podłużny pasek metalu zaopatrzony po bokach w dwa prowadzenia, między które wsuwało się wręby tylnej części łuski) po pięć sztuk; z tej łódki zgarniało się jednym naciśnięciem dłoni wszystkie naboje i wciskało je do magazynka. Skórzane albo czasem parciane ładownice, wielkości sporej portmonetki mieściły zwykle po trzy łódki to jest 15 naboí, Żołnierz miał zwykle 6 ładownic, a więc zapas 90 naboí.

Po załadowaniu naboí do magazynka, przesunięcie rygla podawało po jednym naboju do komory, a skręcenie blokowało i uszczelniało ją. Jednak oprócz regulaminowego załadowania magazynku, istniała jeszcze możliwość załadowania dodatkowego szóstego naboju wprost do lufy, co z pięciostrzzałowej broni czyniło chwilowo sześciostrzzałową. Jednak pozostawianie na dłużej szóstego naboju było niedozwolone, można to było czynić tylko doraźnie, na krótko przed sytuacją w której zakładało się użycie broni, przed bitwą.

Znowu praktyczne ćwiczenia, mające na celu swobodne i szybkie ładowanie i „wypompowywanie” po jednej kul z magazynka aż do rozładowania, monotonne, aż do uzyskania automatycznej sprawności. Oczywiście na czas, ale nie tylko to: jednocześnie „pułapki” na ćwiczącego z podawaniem fałszywych poleceń, próby zmylenia. Chodziło przy tym o głębokie wpojenie wprost do podświadomości podstawowej zasady, że absolutnie zawsze i bez względu na inne okoliczności, zanim cokolwiek zrobiło się za zamkiem, należało najpierw sprawdzić, czy komora naboju jest, czy nie jest pusta. To sprawdzenie było obowiązkowe i miało stanowić pierwszy wpojony odruch warunkowy przed którym nie wolno przejść do następnych czynności, nawet wtedy, jeżeli robiło się to już przed chwilą i doskonale pamiętało, jak to było przed tą chwilą. Prowadzący szkolenie popędzał przy tym



ćwiczącego, wydawał mu różne dodatkowe polecenia i starał się zmylić go i sprowokować do nieprawidłowego postępowania.

Angus na całe życie uwielbił naukę o broni. Nic nie mogło się z tym równać. Już w Podłożinach pozwalano mu niekiedy dotknąć strzelby, a raz nawet z niej wystrzelić, ale to była strzelba myśliwska, zupełnie co innego. Nie był nigdy na polowaniu, a całą sympatię rezerwował dla zwierzyny.

Nauczył się także nakładać bagnet, ale okazało się, że jest jeszcze za słaby żeby swobodnie władać i wymachiwać takim zestawem. Zrezygnował więc, bez większego żalu. Wydawało się, że przy skuteczności strzeleckiej, jedynie w małym procencie zdarzeń mogło dojść jeszcze do walki wręcz. Niestety, inna rzecz była gorsza. Trzeba było pominąć także najbardziej istotną część szkolenia, prawdziwe strzelanie. Jednak na szczerą rozpacz Angusa, jego starszy przyjaciel zgodził się zabrać go na ćwiczenia w polu, z pozorowanym „strzelaniem” z pustego karabinu.

Wyszli razem na dalszy spacer i na pustym polu Angus zaczął naukę prawidłowego trzymania, mierzenia, i niby „strzelania na sucho” z pustego karabinu, wyczuwanie oporu cyngla, kontrolowanie naturalnego mimowolnego drgania rąk i ciała, tak, żeby moment strzału zmieścił się między nimi. No i naturalnie prawidłowej oceny odległości.

- Wyceluj w tamten krzak. Nie, nie tamten. Widzisz to duże drzewo. Wskaż je ręką i weź teraz siedem kciuków w lewo. Widzisz? Twoje palce są mniejsze od moich, lecz i ramię krótsze, to się mniej więcej wyrównuje. Jak oceniasz odległość?

- Myślę, że 500 m.

- Źle, zupełnie źle, jest na prawdę 800 m., porównaj swój wysunięty palec z wielkością człowieka. Czy już rozumiesz? To jest odległość za duża na czysty strzał, można strzelać tylko salwą w grupie, licząc, że któraś kula jednak trafi, albo ze specjalnego karabinu z celownikiem optycznym, ale takiego nie mamy. Ale teraz i tak tylko udajemy strzelanie, więc wyobraź sobie, że strzelasz salwą w grupie. Zmierz, pokonaj pierwszy opór, wczuj się teraz w rytm swego oddechu i ciała, wczekać na spokojny ułamek sekundy i naciśnij cyngiel do końca.

- Nie było najgorzej na pierwszy raz, wszyscy popełniamy podobne błędy, ale musisz ci powiedzieć, że to byłby cud, gdyby tym razem udało ci się w coś trafić. Po pierwsze za mocno pracujesz i czekasz w takim napięciu, aż cały zaczynasz drgać. Staraj się nie napinać mięśni, a przynajmniej nie przez cały czas i w ogóle nie koncentruj się niepotrzebnie, a zostaw to na sam moment strzału. Za długo celujesz, im usilniej i dłużej to robisz, tym celność się pogarsza a nie polepsza. Trzymaj karabin lekko, swobodnie i delikatnie, tak,

jakbyś go lubił, albo jakby to był bukiet kwiatów dla dziewczyny. Nie na siłę, ale tak od niechcienia. I nie staraj się być wyciosany z kamienia przez cały czas, jeżeli już musisz, wystarczy że znieruchomiejesz tylko na krótki moment końcowego naciskania cyngla. Najważniejsze to rozluźnić się, trzymać karabin swobodnie i jak już pokonałeś pierwszy opór cyngla, za pierwszym razem kiedy dostrzeżesz cel prawidłowo i czujesz rytm ciała, nie czekaj, tylko delikatnie ściśnij dłoń. Nie palec na cynglu, bo muszka zejdzie ci z celu, ale całą dłoń, jakbyś witał przyjaciela!

- No, dalej, widzisz teraz tamto małe drzewo, trzy kciuki na lewo. mierz do niego. Stój, poczekaj! Najpierw określ odległość. Lepiej niż przedtem, ale ciągle masz tendencję do niedocenia odległości - naprawdę jest o sto metrów więcej. Więc nastaw poprawnie celownik i do dzieła.

I tak dalej, aż Angus by zupełnie wykończony. Swobodne trzymanie karabinu udało mu się dopiero, kiedy wątpił już czy w ogóle da radę jeszcze ćwiczyć, ledwie miał siłę na najwyżej jedno lub może dwa uniesienia karabinu.

- Na razie dosyć, ale będziemy jeszcze to powtórzyć po obiedzie. Pierwszy raz ci się poszło jak trzeba. - Po południu w drodze Angus zapytał, - Jeżeli teraz pójdzie lepiej, to czy mógłbym tylko jeden raz wystrzelić na prawdę?

- Niestety nie. To już nie zależy ode mnie, nawet ja nie mogę. Żołnierzowi nie wolno strzelić bez rozkazu. Poza tym nie wiadomo, w co taka zabłąkana kula może trafić. Zrozum, że to nie strzelba na polowanie, to są silne naboje z dużym ładunkiem prochowym i kula niesie potężną energię, leci bardzo daleko i może zagrozić komuś, kogo nie dostrzegłeś. Poza tym, jeżeli już mówimy o dużym ładunku prochowym i wielkiej energii, to odpowiednio silny jest i odrzut broni. Nie chcę cię narazić na złamanie obojczyka albo wybicie zębów. Ten problem sam się rozwiąże w miarę, jak rozwiną ci się właściwe mięśnie, musisz możliwie codziennie ćwiczyć. Nie, ze strzelaniem trzeba jeszcze poczekać, ale za to pokaże ci przed samym powrotem jeszcze coś nowego, co można zrobić z karabinem w razie wyjątkowej potrzeby, choć mało kto o tym wie i w ogóle to jest zabronione.

- Ale po co w ogóle uczyć się tylko teoretycznie, jeżeli nie będę mógł w ogóle strzelić z karabinu. I skąd będę wiedział, czy już się wzmocniłem dostatecznie, jeżeli nigdy nie spróbuję.

- W tym jest coś racji, ale na razie wierz mi na słowo, że jest jeszcze za wcześnie. Nie śpiesz się za bardzo, problem sam się rozwiąże z upływem czasu i to wcale nie znaczy, że masz czekać aż urośniesz większy - ale mięśnie rozwijają się właśnie przy ćwiczeniach. Rozumiesz, mięśnie wzmocniają ci się na bieżąco, właśnie teraz i w miarę ćwiczeń zbliżasz

się do celu. Ćwicz najwięcej jak możesz i za parę dni, jeżeli zobaczę że władasz lekko karabinem, może zorganizuję jeden nadliczbowy nabój dla ciebie. Jak wiesz, mamy ich po 90 i z tego trzeba się wyliczyć, ale mam nadzieję, że uda mi się zdobyć dodatkowy. To nie obietnica, mówię tylko, że spróbuję. Ale najpierw popraw jeszcze trzymanie broni i chwyt. A po południu pokażę ci coś naprawdę niezwykłego.

Już po ćwiczeniach, w zasadzie podobnych do poprzednich, żołnierz wrócił do sprawy:

- Tego co teraz usłyszysz nie uczą na żadnym kursie, bo to jest nieprawidłowe, zakazane i oficjalnie nie istnieje. Ale jeżeli znajdziesz się w samym środku walki z bliska, twoje życie może od tego zależeć. To jest umiejętność szybkiego strzelania z karabinu prawie jak z rewolweru, no powiedzmy, że starego typu. Cała siła ognia prosto przed siebie. Robisz to w ten sposób, że w ogóle nie skręcasz i nie zamykasz rygła, tylko jednym klapsiem lewej ręki przeładowujesz nabój i już strzelasz, następny klaps i znów strzelasz, przy nie zamkniętym zupełnie i nie zabezpieczonym zamku. To dokładnie tak wygląda, jak ci rewolwerowcy z Dzikiego Zachodu i z bardzo dawnych czasów, co to mieli jeszcze antyczne rewolwery wymagające za każdym razem napięcia kurka. Kule nie mają pełnej siły, bo trochę gazów ucieka jednak z tyłu i odrzut też jest trochę słabszy, ale musisz uważać, żeby się nie oparzyć i nie upuścić broni. Tym niemniej, w krytycznej sytuacji możesz bardzo szybko wywalić wszystkie pozostałe naboje jakie ci zostały, zupełnie jak starożytni kowboje. Możesz nawet kogoś ciężko przestraszyć. Tego nauczył mnie jeden stary żołnierz, który walczył jeszcze w I Wojnie Światowej, ale i wtedy mało kto wiedział o tym sposobie, tak, że...

Tu nagle przerwał, bo usłyszeli, a potem zobaczyli nadlatujący samotnie samolot prosto, niezbyt szybko i niezbyt wysoko, może na wysokości 800 m.

- O Matko Boska, czy ty widzisz to co ja widzę? Tego diabła z podwójnym czarnym krzyżem? On sobie leci jak na wycieczkę, a jest w zasięgu ognia. Polowałem na ptaki i jestem prawie pewien, że potrafię wziąć odpowiednią poprawkę. Dzisiaj mamy już ósmy dzień wojny, a ja jeszcze nie miałem okazji ani razu strzelić do wroga. Taka okazja sama pcha się w ręce, trudno, ja tego nie wytrzymam. Ale czy mógłbym oprzeć karabin na tobie? Do drzewa nie zdążymy, mamy tylko kilka sekund w dobrej pozycji...

- Ależ oczywiście, będę uszczęśliwiony.

Żołnierz przykląkł na jedno kolano nie przestając mówić, - Teraz spróbuj tak jak to przedtem niepotrzebnie robiłeś, zamienić się w kamień... - Potem cały świat eksplodował, rozpadł się i przestał istnieć.

Po wielu wiekach, a może milionach lat coś zaczęło tworzyć się na nowo. Powstała nowa mgławica, a w niej nowe gwiazdy.

W końcu Angus zdołał otworzyć oczy. Nad nim wznosiło się niebo tak samo niebieskie i bez żadnych pęknięć. Słońce też było na dawnym miejscu, drzewa i pola dokoła, tylko to wszystko przesłaniała zaniepokojona twarz żołnierza, który puścił karabin i trzymając go za ramiona, poruszał ustami, ale zupełnie bez żadnego dźwięku. Widok tak dziwnie nierealny, jakby patrzył na malowany obraz zupełnie nie mający nic wspólnego z rzeczywistością. Stopniowo wracała pamięć, rozejrzał się i wychrypiął.

- Czy samolot dostał? -

- Poleciał. - Chociaż bardzo słabo, dźwięki zaczęły do niego docierać, zwłaszcza jeżeli patrzył wprost na mówiącego. Podobnie i z pozycją ciała, mógł stać tylko z otwartymi oczami, jeżeli je przymknął, tracił zupełnie poczucie równowagi. Czuł się tak, jakby pływał, lub raczej unosił się we wodzie.

- Straciłem głowę i postąpiłem bez namysłu. Głupio się stało. Nie powinienem opierać karabinu o ciebie i strzelać tak blisko przy twoim uchu. Bardzo mi przykro, przepraszam.

- To nic. Trochę mną wstrząsnęło, ale już słyszę z każdą chwilą lepiej.

To się zgadzało. Pozostał tylko jeden trwały ślad, mianowicie zakłócenia równowagi, które trwały latami, a właściwie nigdy nie ustąpiły całkowicie i ograniczały trochę jego sprawność w przyszłości. Ale póki miał otwarte oczy, to była niewielka dolegliwość i prawie niedostrzegalna.

Nieoczekiwanie, zostali zaskoczeni przez głos podoficera, który nadbiegł od strony majątku:

- Strzelec Skalski, meldujcie co to były za strzały! Do czego strzelaliście? -

- Do samolotu, panie kapralu! -

- Jak śmieliście strzelać bez rozkazu! Ty głupi s...synu, ty świński półgłówku, jesteś głupszy niż na to zezwala ustawa! Nigdy nie powinieneś zostać przyjęty do wojska. To już nie o to chodzi, że zmarnowałeś nabój bez żadnego pożytku. Byłby to istny cud, gdybyś przy tej odległości, wysokości i zwłaszcza elewacji zdołał coś trafić, nawet cel taki duży. Ale gdyby nawet ten cud się zdarzył, kula doleciałaby utraciwszy szybkość i większość energii. Nie zdołałaby nawet przebić metalowych ścianek. to byłoby tak, jakbyś zapukał do pilota. Co sobie myślałeś w swojej kapuścianej głowie, że on ci odpowie, - proszę bardzo - i uchyli drzwi? Przecież to był niemiecki samolot obserwacyjny i mam tylko tę nadzieję, że on kiepsko obserwował i w ogóle nie zauważył ciebie i twojego durnego postępkę. Bo jeżeli dostrzegł strzelającego żołnierza, to jak myślisz, czego można się spodziewać? Chyba tego, że

skieruje tu parę bombowców i te zrzucą po drodze bomby także na te tutaj domy. W nich mieszkają ludzie i ci ludzie przyjęli nas jak braci, chyba nie po to, żebyśmy ściągali im bomby na głowy. Myślisz pewnie, że to będzie w porządku, jeżeli spowodujemy, że Niemcy spalą im dach nad głową, albo stanie się coś gorszego? A to wszystko będą zawdzięczać twojemu niezdyscyplinowanemu zachowaniu!

Angus, stojący obok żołnierza na baczność, skrzeknął:

- Panie kapralu! Proszę pozwolić mi zameldować! - Podoficer wzdrygnął się - A ty tu czego, do diabła? -

....- Panie kapralu, melduję posłusznie, że to całkowicie moja wina. To ja go namówiłem. Zaklinałem go, żeby prędko strzelał, to był mój pomysł i tak go namawiałem że w końcu to zrobił, a wszystko przeze mnie! -

- Do ciebie nie mówię, bo chłopcy mają prawo być głupi i każdy to wie. Ale żołnierz, powinien wiedzieć co można a co nie. To nie jest pukawka, tu nie piaskownica ani my nie jesteśmy na majówce. Jest wojna i życie wszystkich może zależeć od tego, czy potrafimy działać jak palce jednej ręki. Wyjątkowo nie ukarzę cię, chociaż kilka godzin ćwiczeń bardzo dobrze by ci zrobiło. Ale właśnie nadeszły rozkazy. Idź na kwaterę i staraj się odpocząć, jutro i tak wszyscy będziemy mieli dosyć ćwiczeń. Mamy przed sobą długą drogę, jutro o tej porze będziesz pewnie na wpół żywy ze zmęczenia i dosyć ukarany, a my wszyscy też. Ale zapamiętaj: jeszcze jedna taka samowolna akcja, i ja osobiście, na własną odpowiedzialność wyrzucam cię z wojska, dla dobra oddziału. Wojsko obejdzie się bez ciebie, ty trafisz z powrotem do domu, ja będę szczęśliwy, że mam największego głupka z głowy, a wszyscy inni będą bezpieczniejsi. To wszystko, odmaszerować!

Szli w milczeniu przez pola. Angus z przerażeniem myślał:

- ...więc to koniec moich planów, tak dobrze wszystko szło i nagle jak piorun z jasnego nieba. Teraz, jeżeli jeszcze w ogóle, muszę się odezwać, powiedzieć o co mi chodzi, a zupełnie nie jestem na to gotowy. Jakbym znajdował się w jakimś koszmarze nocnym, nie wiem co zrobić, a cokolwiek zrobię albo powiem od razu wydaje się beznadziejne.-

- Jak tu zacząć, a jeżeli nie zacznę zaraz, to już nie będę miał okazji w ogóle. Wszystko jedno, zostały sekundy, i tak nie mam już nic więcej do stracenia.

W końcu powiedział: - Chcę pójść z wojskiem i do wojska. Chcę walczyć o mój kraj. -

- Teraz chcesz, ale jakbyś znalazł się pod prawdziwym ogniem, miałbyś pełne portki i pewnie wołałbyś mamę na pomoc. To nie dla dzieci.-

- Wcale nie. Byłem już pod ogniem wiele razy.-

- Co ty mi tu bajesz?-

- Pociąg ewakuacyjny był sześć, nie, siedem razy ostrzeliwany z karabinów maszynowych przez samoloty, a jeszcze raz w nocy, z ziemi. A także bombardowany. A jeszcze potem samolot myśliwski polował na nas, moją matkę i mnie specjalnie, zrobił trzy nawroty i wystrzelił setki kul. Naprawdę! - Ta prawda była trochę wątpliwa, tyle, że teraz identyfikował się ze swoją matką na „my” Ale nie było czasu na rozszczepianie włosów na czworo, to był ostatni rzut, orzeł albo reszka - cały cel i sens życia jako stawka.

- Ach, coś słyszałem. To właśnie tobie się przytrafiło? - A więc to zdarzenie z samolotem, który zawiał się na pojedynczą kobietę (może z dzieckiem, choć tego nikt nie wspominał) i koniecznie chciał ją ustrzelić, było już znane. No cóż, to mały świątek i wieści się rozchodziły.

- Przepraszam, nie wiedziałem. Z tego wynika, że masz więcej doświadczenia niż ja, jak na razie. Ale i tak nic się nie da zrobić. Do wojska nie przyjmują chłopców w twoim wieku. Jakbyś miał ze 17 lat, no, może chociaż ze 16, może byłaby jakaś szansa, ale nawet wtedy byłoby trudno. -

- Chcę wyruszyć jutro z wami. Przecież znane są wypadki, kiedy chłopcy zostawali czasowo przy wojsku, na przykład jako synowie pułku czy jakoś podobnie. Czytałem o tym. Zrobię wszystko, żeby bym był przydatny, na przykład mogę chodzić na zwiady, albo przynosić rozkazy. Przecież mały chłopiec może to robić nawet lepiej niż dorosły, choćby dlatego że jest mniejszy i łatwiej mu się prześlizgnąć, w mniejszy cel trudniej trafić.

Żołnierz zatrzymał się, dochodzili już do budynków gospodarczych.

- Słuchaj, ja cię rozumiem i w pełni sympatyzuję. Powiem więcej, ja sam też jestem ochotnikiem i nie zostałem powołany do wojska. Ale właśnie dlatego, że nie jesteś już małym dzieckiem, zachowaj się jak mężczyzna i zrozum, że to jest niemożliwe. Nawet gdybym ci chciał pomóc, to nie w mojej mocy. Mam dowódcę, muszę go słuchać i do niego należą decyzje. A jeżeli myślisz, że pójde do niego przedstawić twoją prośbę, to wybij sobie to z głowy. Zrobiłbym to, gdyby była najmniejsza szansa na pomyślny wynik. Ale sam rozumiesz, zwłaszcza po naszej ostatniej przygodzie, że moje wstawienie wcale nie byłoby dla ciebie pomyślne, przeciwnie, jeszcze pogorszyłoby sprawę. Co więcej, odradzam ci usilnie także to, żebyś sam zwracał się do niego z taką prośbą, tylko go zdenerwujesz i na pewno cię wyrzuci. Jeżeli w ogóle istniałaby jakaś szansa na rozmowę, to nie teraz, ale dopiero jak ta nasza przygoda trochę przyschnie. A co najważniejsze, jeżeli nadeszły rozkazy, to on teraz jest zajęty i ma ważniejsze sprawy na głowie, nie można zwracać mu głowy głupstwami. Zrób wysiłek i spróbuj myśleć: nic się nie da zrobić, w żaden sposób. Przykro mi, ale mogę ci tylko życzyć więcej szczęścia następnym razem. Teraz się nie udało, ale próbuj dalej. -

- Przecież to nie żadne głupstwa, w każdym razie nie dla mnie. Zdaję sobie sprawę z mego wieku, ale i z tego, że są różne zadania, do jakich chłopiec może się nadawać i to lepiej niż ktokolwiek inny. I nie boję się śmierci, no, może troszeczkę ale już na nią patrzyłem i wiem, że potrafię się opanować. Jedyna rzecz której boję się panicznie, to właśnie to, że nie wypełnię mego obowiązku, że stracę jedyną szansę. Gdyby tak się stało, to życie nie będzie miało żadnego celu i tak straci całą wartość. To wszystko, co w ostatnich dniach robiłem, to właśnie po to, dotąd o tym nie mówiłem, bo czekałem na okazję. To jest jedyna szansa jaką znalazłem i nie spodziewam się następnej. -

- Powtarzam, że rozumiem cię lepiej niż myślisz, sam też jestem ochotnikiem. Ale bądź praktyczny, co możemy zrobić? Zaczekaj tutaj na mnie, niech trochę pomyślę. Najpierw muszę pójść na kwaterę i dowiedzieć się wszystkiego dokładnie. Wkrótce wrócę i spróbujemy to jeszcze raz przemyśleć. Zastanowimy się, czy nie istnieje jakaś możliwość.

Wrócił po, wydawało się, bardzo długim czasie, w rzeczywistości nieco ponad 15 min.

- Wyruszamy o 6 rano. Rozważałem kilka możliwości, ale żadna z nich nie wydaje się obiecująca. Może jest taka mała ewentualność, ale nie obiecuj sobie nic, bo równie dobrze może się zdarzyć, że góra urodzi mysz. To już zależy od ciebie czy chcesz spróbować, bo możesz trafić na złoto, ale bardziej jest prawdopodobne zwykłe g...o. Jeżeli poszedłbyś teraz do dowódcy, to z całą pewnością każe cię zaraz odprowadzić do mamy. Ale jeżeli po drodze znajdziemy zagubionego chłopca, to może ten chłopiec będzie mógł pójść pod naszą ochroną, zwłaszcza jeżeli idzie do pobliskiego celu. Zwłaszcza, gdyby okazało się, że razem z matką postanowili ewakuować się dalej i matka jest gdzieś z przodu, a on został i zgubił się. Więc twoja mama postanowiła udać się dalej, powiedzmy do Kutna, a ty jakoś miałeś pecha. Ale pamiętaj, ja nie powiedziałem ci ani słowa dokąd idziemy i ty nie wiesz nic na ten temat. Jest ryzyko, że będziemy musieli cię zostawić nawet jeżeli nie spotkamy twojej matki po drodze. W takim razie naprawdę możesz się zgubić i zostaniesz sam. Ale jakby do tego przyszło, będę próbował ci pomoc i myślę, że moi koledzy też. Nie chcę ci przedstawiać upiększonych perspektyw, musisz zdać sobie sprawę z poważnego ryzyka i zastanowić się, czy chcesz na nie pójść. Jest więcej na nie, niż na tak. -

- Spróbuję, bardzo dziękuję. -

- No dobrze. To teraz szczegóły. Wyruszamy dokładnie o szóstej, ty idź za nami, ale nie zbyt blisko. Zwykle w marszu robi się krótką przerwę co godzinę, ale lepiej nie zbliżaj się podczas pierwszej. Druga przerwa trwa dłużej, bo zwykle po takim czasie zaczyna się odczuwać buty, bagaż i to jest zwykle czas, żeby to wszystko poprawić i dopasować. A ty będziesz mógł po takim czasie lepiej ocenić, czy dasz sobie radę. Jeżeli okaże się, że nie

starczy ci sił, to jeszcze dasz radę wrócić i trafić z powrotem. A teraz zła wiadomość. Mamy rozkaz bardzo się śpieszyć i jutro mamy przebyć podwójną odległość, pełne 60 km. To naprawdę nie zabawa, niewielu daje radę i bardzo ci zalecam, lepiej zrezygnować, to naprawdę mądrzej.-

- Dziękuję bardzo, ale akurat chodzenie jest moją najmocniejszą stroną. - rzeczywiście, Angus często odbywał długie wycieczki z ojcem, choćby na grzyby).

- Za wcześnie na podziękowania, najpierw zobaczymy, czy jest za co. Bądź tutaj dokładnie o szóstej, nie pokazuj się, tylko idź za nami, będzie jeszcze ciemno, a kiedy wszędzie słońce, zwiększ odstęp. Będziesz widział nas lepiej niż słońce wszędzie, ale potem my będziemy mieli lepszy wgląd do tyłu od ciebie, weź to pod uwagę. Trzymaj się z dala aż do drugiego postoju. Wiesz wszystko? Więc dużo szczęścia, będziesz go jutro potrzebować.

Był jeszcze wczesny wieczór, ale trzeba było przygotować się i podjąć liczne decyzje. Angus rozumiał, że nie może nic dać poznać matce, to by się fatalnie skończyło. Więc z krwawiącym sercem, postanowił napisać krótki list, wyjaśniając że musiał teraz odejść, ale obiecywał na wszystkie świętości, wrócić wkrótce cały i w jednym kawałku. Będzie naprawdę bardzo ostrożny i zastosuje się do wszystkich dobrych rad, którymi jego matka tak szczerze go obdarzała. Potem odłożył dyskretnie na bok trochę zapasów z kolacji i wcześniej poszedł do łóżka, mówiąc że czuje się dziś wyjątkowo zmęczony. Oczywiście, to było tylko udawanie, w ogóle nie mógł zasnąć, a właściwie przysypiał tylko na krótko budząc się spocony ze strachu, żeby broń Boże nie przespać szóstej. W końcu doszedł do wniosku, że trzeba już wstawać i po cichu się ubrać.

Położył na poduszce list i wolno, ostrożnie wykradł się z pokoju, a potem z pałacu. Było jeszcze ciemno, ale nie zupełnie, widział dobrze dokoła, a ptaki śpiewały zdumiewająco głośno. Angus znalazł sobie schowanie w krzakach koło stajni. Teraz pozostawało tylko czekać, był co najmniej pół godziny przed czasem, w kwaterze było zupełnie ciemno i głucho. Czy żołnierze nie powinni już się budzić, ubierać, myć, jeść śniadanie i w ogóle szykować do drogi? Czekał i czekał, wreszcie po wiekach nadeszła dziewczyna z kuchni, otworzyła drzwi i zaczęła sprzątać.

Na pytania Angusa powiedziała: - Żołnierze wyszli dawno temu, tak, jeszcze przed czwartą i bardzo się śpieszyli, nawet śniadania porządnie nie zjedli, tylko zabrali trochę jedzenia na drogę. Mówili coś biedacy, że śpieszą się do bitwy. Nie, nie mówili w którą stronę idą ani ona nie wie, jaką drogą. - Więc Angus wyszedł, oparł się o ścianę i tak stał, zastanawiając się, co teraz zrobić. Pierwsza myśl to gonić za nimi, ale którędy? Zupełnie tego nie wiedział, może tylko znał ogólny kierunek. Musiałby rozpytywać się o drogę i o nich,



tracić czas, prawdopodobnie parę razy pomylił drogi i potem naprawiał błędy. Ale nawet gdyby oświecony przez ducha świętego wybrał od razu dobrą drogę i ani razu się nie pomylił, to jaką szansę miał po dwu godzinach, a teraz już prawie trzech, dogonić zdrowych i silnych, wytrenowanych piechurów, śpieszących się ze wszystkich sił do bitwy?. To beznadziejne, równie dobrze mógłby gonić ptaki.

Był zziębnięty, a mimo to kompletnie spocony, trząsał się cały. Czuł się słaby i chory, a przede wszystkim opuszczony i oszukany, zdradzony, sam na obcym świecie. Nie miało sensu tu stać, trzeba wracać do domu. To był dzień w którym nie należało w ogóle wstawać z łóżka, zły dzień. Przy powrocie napotkał paru ludzi, ale w tym chociaż dopisało mu szczęście, że matka jeszcze spała i udało mu się schować list i położyć do łóżka. Choć taki nieszczęśliwy, mokre oczy jakoś mu się zamknęły, niespodziewanie zasnął twardo i obudził się późno.

W następnych dniach zmienił jednak zdanie. Prawdopodobnie nikt w ogóle nie chciał go oszukać, a jeżeli nawet, to na pewno nie była to żadna zdrada. Po pierwsze rzeczywiście już od poprzedniego dnia rozpoczęła się bitwa, w której właśnie wzięła udział cofająca się dotąd bez walki, tylko na rozkaz naczelnego wodza, i nie naciskana przez Niemców Armia Poznań

Jak wspomniano parokrotnie, niemiecka ofensywa przebiegała po obu stronach Wielkopolski, ale bardziej niebezpieczne uderzenie szło po stronie południowej, klin pancerny i za nim siły 8 Armii Polowej skierowane najkrótszą drogą na Warszawę, jakby Niemcy nie zdawali sobie sprawy, że polska Armia Poznań wisi nad ich liniami komunikacyjnymi i tyłami. Generał Kutrzeba prawidłowo oceniając położenie już od czwartego września składał propozycje, potem nalegał i w końcu wprost błagał o pozwolenie na ofensywę pełnymi siłami w bok na skrzydło niemieckie. Po wielu odmowach w końcu zezwolono mu na ograniczone uderzenie przy użyciu tylko trzech dywizji, z perspektywa użycia dalszych sił dopiero wtedy, kiedy zacznie się przyobiecane uderzenie francuskie, które zgodnie ze zobowiązaniami traktatowymi miało zacząć się najpóźniej dziesiątego dnia wojny. Nie ulega wątpliwości, że przy istniejących dysproporcjach ludzi i uzbrojenia, samotna ofensywa musiała skończyć się samobójczo. Ale gdyby koncepcja gen Kutrzeby była zrealizowana tak, jak proponował, to ta samobójcza akcja powinna jednak przynieść korzyści taktyczne. Decydująca bitwa toczyłaby się wówczas gdzieś koło Łodzi i bez żadnych wątpliwości zarówno korpus pancerny, jak i niemiecka 8 armia zostałyby w pierwszej fazie zaskoczone i pobite. To oczywiście nie wystarczyłoby do zwrotu w tej wojnie i po pewnym czasie również Armia Poznań przestałaby istnieć. Ale to i tak była już sprawa przesądzona, od

chwili gdy zwróciła na siebie uwagę Niemców. Tak samo można zginąć za duży, jak i za mniejszy sukces.

Tak jak się sytuacja rozwinęła, jedna niemiecka dywizja została rozbita i jedna poważnie ucierpiała, a korpus pancerny pod Warszawą czasowo unieruchomiony bez amunicji i paliwa. Następnie Niemcy zorganizowali zaopatrzenie lotnicze, a większość sił pancernych zawrócono z kierunku na Warszawę i razem ze ściągniętymi ze wszystkich stron posiłkami użyto przeciw Armii Poznań, co w końcu musiało skończy się dla niej fatalnie. Niemniej, dzięki tej bitwie, zdołano zorganizować na czas okrężną obronę Warszawy i także cudowne ocalenie pobitej Armii Łódź, która pod dowództwem zastępcy dowódcy, gen Thomee zniknęła tajemniczo w lasach Skierniewickich i następnie, ku ogólnemu zdumieniu i zaskoczeniu obu stron, niespodziewanie zmaterializowała się na przedpolach Warszawy, o potem obsadziła fortecę w Modlinie. Tak więc nic nie wskazuje, że przyjaciel Angusa po prostu musiał się pozbyć kłopotliwego chłopaka. Gdyby tylko o to chodziło, nie musiałby wspominać o bitwie a zwłaszcza wskazywać na Kutno, tymczasem wszystko co mówił okazało się prawdą, może więc nieoczekiwanie nastąpiła zmiana planów z powodu wyższej konieczności. Jednak wbrew wszelkim przewidywaniom, chociaż dopiero po latach, Angus znalazł swoje miejsce w tej wojnie i wiele zawdzięczał swojemu pierwszemu nauczycielowi.

Z pewnością nikt by wtedy nie uwierzył, że wojna będzie trwała tyle lat i przyniesie tak zadziwiające zwroty. Angus nie użył takiej broni, na jakiej się uczył, ale niemniej wszczęte prawidłowe zasady i umiejętność ogólnego postępowania zawdzięczał temu człowiekowi i jego naukom. Granica między życiem a śmiercią jest bardzo skomplikowana, trudno powiedzieć co byłoby gdyby, ale zawsze uważał się za winnego życie, co najmniej raz.

\* \* \*

Po tych wszystkich zdarzeniach Angus mocno zasnął, a matka obudziła go dopiero, kiedy wróciła z dalszej wyprawy i oznajmiła: - Jutro wracamy do domu. -

- Ale dlaczego - i jak? -

- Okazało się, że w Czerniejewie została jeszcze jedna taksówka i właśnie stamtąd wracam. Nie ma szans na ucieczkę, jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni przez Niemców, którzy wkrótce tu będą. Jeżeli tak, to już lepiej być u siebie, w domu. -

- Przecież to niemożliwe! Pobjemy Niemców! -

- Ja też w to wierzę, ale to może potrwać dłużej, niż się spodziewaliśmy. A tymczasem trzeba gdzieś żyć. - Wobec tego postanowił wyłączyć się, zapomnieć o złym świecie i resztę dnia spędzić na zabawie w raju ogrodu. Bawił się z dziećmi, a przy końcu pożegnali się ciepło, obiecując napisać do siebie po zakończeniu wojny, oczywiście z wyjątkiem

najmłodszej dziewczynki, która jeszcze nie umiała. Los zrządził inaczej, nic z tego nie wyszło.

Następnego dnia kierowca taksówki, właściwie już staruszek i w aucie też na emeryturze, starym Citroenie z przed 1928, starszym od Angusa, przywiózł szokujące nowiny.

- Dzisiaj armia niemiecka wkracza i okupuje nasz teren.-

- Nie mogę w to uwierzyć, to niemożliwe!-

- Niestety, ksiądz ogłosił to w kościele. Mówił też, że ludność cywilna powinna być bardzo ostrożna i zachowywać się tak, żeby nie dać najmniejszego pretekstu, bo Niemcy tylko czekają na okazję żeby rozpocząć najgorsze prześladowania. - To okazało się prawdą, a ksiądz miał niestety rację. Małe miasteczko Czerniejewo, po zupełnie drobnym incydencie w którym żaden niemiecki żołnierz nawet nie został ranny, a tym bardziej nie zginął, zostało częściowo spalone, a wielu ludzi zabitych. Także i sam ksiądz nie przeżył długo, zginął w jednym z niemieckich obozów koncentracyjnych. Również w Żydowie zginęli ludzie, choć oczywiście nie aż tylu, co w pobliskim Kiszkuwie.

### **Rozdział III. Martwy, pusty świat.**

Angus obudził się w zupełnej ciemności. Przez chwilę nie mógł zorientować się, gdzie jest. Było jeszcze coś dziwnego, niezrozumiałego. To zaskakujące uczucie polegało na tym, że w pełnej ciemności, w nieznanym miejscu i zupełnie sam, w ogóle niczego się nie bał.

To było rzeczywiście niezwykle. Angus, chłopiec w wieku 11 lat i paru miesięcy i z nadzwyczaj żywą wyobraźnią, jeszcze bardziej rozwiniętą przez czytanie książek często strasznych, fantastycznych, pełnych niesamowitych historii, od najwcześniejszego dzieciństwa dosłownie wierzył we wszystkie bajki. Z początku lękał się złych czarownic, smoków, wilkołaków i diabłów. Z wiekiem przestał wierzyć w krasnoludki i podobne bajeczki, ale zainteresował się okultyzmem, światem astralnym, czarną i białą magią i wszystkimi możliwymi lub raczej niemożliwymi podobnymi zjawiskami aż po nekromancję i z kolei zaczął bać się bardziej skomplikowanych zjawisk, jak wampiry, ożywione trupy, gule, larwy, upiory, różne rodzaje duchów i zjaw, pełen asortyment demonów, wszystko co najbardziej koszmarna wyobraźnia autorów tych okropności zdołała wymyślić. Cały wachlarz widma, zaczynając od prawie niewidzialnych, śmiertelnie groźnych prawdziwych widm aż do karykaturalnych, lecz nie mniej niebezpiecznych zjawisk i emanacji, jak głowy na pajęczych nogach itp.

Jak powszechnie wiadomo, prawdziwy mężczyzna powinien być nieustraszony. A tym bardziej dotyczy to kandydata, który dopiero ma zostać mężczyzną i musi na to miano

zasłużyć. Tchórz - to było wstrętne pełzające stworzenie bez kręgosłupa, godny pogardy degenerat przynoszący hańbę całej swojej rodzinie. Lepiej dziesięć razy zginąć, niż raz okazać strach.

Otóż to właśnie był jego dylemat: co miał zrobić, jeżeli w ciemnościach nie tylko wierzył w te wszystkie okropne rzeczy, ale dosłownie znajdował się wśród nich, widział je, czuł ich dotyk na swojej skórze, a gorący lub lodowaty oddech na karku. Pewna pociechę stanowiło to, że hańbą było nie tyle czuć strach, ale zdradzić się z tym, okazać go swoim postępowaniem.

W książkach nawet wielcy bohaterowie czuli czasem wewnętrzny strach, ale potrafili go opanować i mimo to dokonywali wielkich czynów. Więc i dla niego istniała jeszcze nadzieja, jeżeli potrafi się odpowiednio zachować.

Jako mały chłopiec, jeżeli któreś z rodziców kazało mu np. coś przynieść wieczorem, przy czym musiał przejść przez ciemny korytarz i wejść do ciemnego pokoju, zawsze zdołał to zrobić nie okazując żadnych uczuć. Ale wracając z obojętną twarzą, był blady i zaciskał zęby aż do kurczu szczęk, tak, że odzywał się nienaturalnym głosem. Mama mówiła wówczas: - Och synku, widzę, że znowu się przeziębiesz. Pewnie będziesz chory. Trzeba na ciebie bardzo uważać, musisz się wzmocnić - i zwykle usiłowała mu wmusić jakiś smaczny kąsek.

W wieku około siedmiu lat Angus rozwiązał problem ciemnych pokoi w ten sposób, że w każdym z nich umieścił co najmniej jednego ze swoich misiów. To byli absolutnie wierni przyjaciele, pewni i lojalni. Mógł zawsze polegać na nich na śmierć i życie (tak, jak oni na nim), więc teraz już nigdy nie był sam. Strachy odeszły z mieszkania na dalszy dystans, ale nie znikły zupełnie tylko pozostały przyczajone, chociaż z daleka i tylko niekiedy. W czasie ostatnich wakacji zdołał głęboką nocą wykraść się z pokoju i przejść przez cmentarz, a potem za drugim razem, na rozstajnych drogach, koło lasu przygotował pentagram i nie zważając na zimny pot, dosłownie ciekący mu po grzbiecie, wywoływał demony według sztywnej ceremonii, dokładnie odpisanej z jakiejś książki. Najwidoczniej jednak musiał popełnić jakiś drobny błąd w rytuale, gdyż nic się nie zmaterializowało oprócz cieni i paru jakby odległych błysków. Już przy powrocie do domu doszedł jednak do wniosku, że albo powiedzenia „włos mu się jeżył” lub „stał dęba” są przenośnią literacką, albo też może dotyczą tylko niektórych ludzi, gdyż nic takiego u niego nie wystąpiło, a nie zdołałby sobie wyobrazić bardziej intensywnych powodów.

Teraz nagle cały ten nadnaturalny świat okazał się nieprawdą, był pusty, w ogóle nie istniał - więcej, był zwykłym oszustwem, pokracznym, śmiesznym wymysłem. Znikł

dokładnie w momencie, kiedy Angus zaczął go potrzebować. Owszem, diabły, potwory, złe demony i okropne kręgi piekła istniały, ale tutaj. Były całkiem inne, materialne, w ludzkiej postaci, z krwi i kości i tylko one się naprawdę liczyły.

Te ucieleśnione złe moce zajęły jego kraj, miasto które kochał i właśnie niszczyły inne, mordowały i rabowały jego rodaków, najszerzej pojętą rodzinę, ale w tym oczywiście również dosłownie rodzinę i bliższą i dalszą - przecież strzelali i próbowali zabić matkę i także jego. Ale najgorsza, nie do zniesienia była myśl, że stało się coś niemożliwego, przekraczającego wyobraźnię, oni pokonali polskie wojsko. Z pewnością to nie mogła być prawda, to musiała być część koszmarnego snu, z którego zaraz się obudzi.

O gdyby tylko to, w co kiedyś wierzył - jeszcze tydzień, a może kilka temu, bo wydawało się teraz, że przed laty - gdyby naprawdę istniały diabły, szatany, złe demony, jakie wszystko byłoby proste. Mógłby zawrzeć z nimi umowę, sprzedać swoją duszę, a na dodatek także ciało i krew i co tylko by chciały, za cenę tymczasowego przymierza przeciw Niemcom. Co tam jedno życie, zgodziłby się na wieczne potępienie, na tortury piekła. Więc gdzie do wszystkich diabłów były te wszystkie diabły? Był gotów natychmiast dobić z nimi targu. A dodatkowo za podobną przysługę gotów był ofiarować się każdemu wampirowi, wilkołakowi czy jakimkolwiek złemu duchowi, jaki się trafi - zaraz, natychmiast, który pierwszy ten lepszy. Wyprzedaj po obniżonych cenach. Ale brak było ofert, popytu, w ogóle zainteresowania, nie istniał żaden rynek na dusze i wszystko inne, co miał do zbycia.

Tak, teraz już wiedział, gdzie się znajduje. Z powrotem w Poznaniu, w swoim mieszkaniu, w swoim - nie, to akurat było łóżko jego ojca i pokój też. Było kompletnie ciemno dlatego, że okno było hermetycznie zasłonięte, nawet nie z powodu wojny, bo nie było żadnych bombardowań, ani terenów zajętych przez Niemców, ani zajmowanych uprzednio, nawet tych blisko Anglii lub granicy francuskiej, a co dopiero w takiej odległości, w 1939r. byłoby to jeszcze technicznie niemożliwe. A polskie lotnictwo w ogóle nikogo nie bombardowało, oprócz niemieckiej broni pancernej na froncie. Jedynym powodem było niemieckie zarządzenie. Jeżeli gdzieś przebijało światło, w najlepszym wypadku ryzykowało się strzał w okno, albo też wizytę niemieckiej policji, co mogło skończyć się jeszcze znacznie gorzej.

Obecnie już Poznań i prawie cała Wielkopolska były terytorium okupowanym. A on znajdował się sam w mieszkaniu, ponieważ matka zaraz na drugi dzień po odwiezieniu go do domu postanowiła wrócić do pociągu ewakuacyjnego i spróbować odzyskać pozostawione tam bagaże, choćby tylko częściowo.

Napływały wspomnienie ostatnich dni. Najpierw jazda w taksówce z Żydowa do Poznania - niewiarygodnie krótka. Podróż w tamtą stronę trwała tydzień. No nie, to już razem z pobytem w Żydowie, pociągiem jechali trzy dni. A z powrotem tylko około godziny. Ale niestety złe wiadomości się potwierdziły: tego dnia niemiecka armia wkroczyła do Poznania. Tego dnia i następnego pozostawali za zamkniętymi drzwiami, nie wychodząc z mieszkania, z wyjątkiem najniezbędniejszych zakupów.

Angus nie mógł pogodzić się z rzeczywistością, wierzył przez cały czas, że coś musi się zdarzyć. No trudno, Polskie Wojsko musiało się wycofać dla jakichś ważnych choć niezrozumiałych względów strategicznych, ale dlaczego mieszkańcy nie bronili się sami, dlaczego pozwolili tak po prostu wkroczyć Niemcom. Przecież honor wymagał, żeby przynajmniej spróbować.

Cały pierwszy dzień Angus na przemian to marzył o tym, lub planował jak jeszcze można by to zrobić. Co za szkoda, że on chodził do prywatnej szkoły, wszyscy koledzy mieszkali daleko, większość rozjechała się w ogóle poza Poznań, gdyby tak teraz mogli zebrać się razem, na pewno zorganizowaliby obronę swojej szkoły. Podobnie, jak wybiegające na przerwę klasy, które starały się pierwsze zająć rogi boiska i traktowały je jako swoje warowne obozy, a te co wybiegły później zawierały koalicje i starały się te obozy zdobyć (w ich szkole chłopcom wolno było walczyć na boisku i jak długo odbywało się to przy zachowaniu poprawnych reguł, nauczyciele nie interweniowali). Jak pięknie byłoby teraz bronić naprawdę swego terenu, przecież nawet gdyby budynek szkoły zamienił się w ruinę, to w ruinach można nadal się bronić - aż do zwycięskiego powrotu Polskiego Wojska. Przecież nawet bez jedzenia, z małym osobistym zapasem, zdołaliby jakoś wytrzymać z tydzień, może jeszcze dzień lub dwa, w tym czasie musiała nadejść odsiecz. A gdyby nawet wszyscy zginęli, z pewnością pozostaliby w pamięci społeczeństwa, i miasta, zasłużyliby sobie na publiczny pogrzeb, a może nawet na tablicę pamiątkową. Rodziny mogłyby być z nich dumne.

Oczywiście ani Angus, ani nikt inny w tym czasie nawet nie potrafiłby sobie wyobrazić makabrycznego terroru okupacyjnego po prostu dlatego, że współczesny cywilizowany człowiek po prostu nie był sobie w stanie wyobrazić podobnego barbarzyństwa, cofającego normy i zwyczaje o całe tysiąclecia. Ale już tego dnia - i jeszcze więcej w dniach następnych, pojawiło się afiszy ogłaszających, że jeżeli zdarzy się jakikolwiek wypadek strzelaniny lub walka z nieregularną grupą, to za każdego zabitego Niemca, w publicznej egzekucji zostanie rozstrzelanych stu zakładników z pośród ludności cywilnej, zakładnicy ci zostali już zatrzymani. Mieszkańcy Poznania dowiedzieli się dopiero

później, że w wielu miasteczkach Wielkopolski nie tylko Niemcy po wkroczeniu wzięli zakładników, ale nawet od razu ich rozstrzelali bez żadnego innego powodu, jak tylko dla przykładu i następnie wzięli nowych zakładników. To, co teraz co jakiś czas pisze się o współczesnych terrorystach to po prostu małe piwo, nie warte wzmianki drobnostki.

Również odczucia i emocje Angusa nie były bynajmniej wyjątkowe. Podobne wypadki, o jakich marzył, już się rzeczywiście zdarzyły i oczywiście pociągnęły za sobą tragiczne skutki. Także i w Wielkopolsce, mieszkańcy próbowali stawiać opór wkraczającej armii niemieckiej, wzmiankowano już o Czerniejewie i o tragicznym losie Kłęcka, ale do marzeń Angusa najbardziej zbliżony jest wypadek wieży spadochronowej w Katowicach. gdzie postanowili się bronić miejscowi harcerze. Bronili się i to skutecznie przez dwa dni i oczywiście wszyscy zginęli, zresztą była to w założeniu akcja samobójcza, ale nie wzięli pod uwagę strasznych represji, które dotknęły ich rodziny, a także całkiem przypadkowych znajomych, sąsiadów i wielu innych ludzi.

Podobnie w Czerniejewie, gdzie kilku rolników postanowiło bronić swoich domów, położonych na dalekich peryferiach, właściwie już za miastem i to przy pomocy dubeltówek. To co nastąpiło, nie przyniosło żadnej szkody Niemcom, tym niemniej znaczna część miasta została spalona i starta z powierzchni ziemi, a mieszkańcy zginęli.

Faktycznie to nie była żadna wojna między Niemcami a Polską, w klasycznym znaczeniu i to nie tylko dlatego, że wojska niemieckie zaatakowały Polskę bez żadnego wypowiedzenia wojny, ale dlatego, że nadal nie zachowywały żadnych praw międzynarodowych, To była na gigantyczną skalę zorganizowana napaść rabunkowa i morderstwo, zupełnie świadomie i celowo prowadzona w najbardziej barbarzyński sposób. Nie miało to nic wspólnego z wojną w pojęciu prawa międzynarodowego.

Gdyby ktoś wątpił w groźbę wymordowania setek i tysięcy zakładników, traktując to jako przesadną pogrózkę, której cywilizowani ludzie jednak zawahaliby się wypełnić, zbyt nieludzką - armia niemiecka po wkroczeniu wzięła we wszystkich miasteczkach Wielkopolski po kilkudziesięciu zakładników (w większości miejsc po 30) i rozstrzelała ich publicznie dla przykładu. Stało się to bez żadnego innego powodu, jak tylko dla pokazania, że mogą to zrobić i groźby są całkiem realne. Wywołało to początkowo szok, chociaż w porównaniu do tysięcy i milionów zamordowanych później to była właściwie kropla w morzu i ci pierwsi zabici zostali prawie zapomniani.

Oczywiście w tym czasie Angus jeszcze nic o tym nie wiedział. Dopiero po kilku tygodniach zetknął się z rodzinami zakładników (w tym również rodziną swojej matki). Natomiast w Poznaniu nie doszło do publicznego rozstrzeliwania zakładników, chociaż

sprawa ta wisiała na włosku i zakładnicy byli już wyznaczeni, a raczej wyznaczyli się sami, bliższe okoliczności przedstawione są dalej. Jednak i bez publicznych egzekucji, Gestapo pracowało w pocie czoła na swą straszną sławę, aresztowano i masowo więziono ludzi w prowizorycznym wielkim więzieniu urządzonym w Forcie VII. Wielu z nich zamordowano sekretnie bez żadnego sądu albo po parodii sądu policyjnego (wystarczyło do tego, że zebrano się 3 funkcjonariuszy). Rzadko kto, przy dużym szczęściu zdołał wyjść stamtąd cało.

Drugiego dnia po powrocie do miasta, ukazały się niemieckie gazety. Matka kupiła Posener Tageblatt i siedziała nad nią długo nic nie mówiąc, nie odpowiadając na natrączywe pytania Angusa, jak sparaliżowana. Lecz ilustracje w gazecie mówiły same za siebie. Widać było marsz triumfalny niemieckich oddziałów i niemiecką ludność zamieszkałą w Poznaniu, witającą wkraczających nieprzyjaciół kwiatami i dekoracjami, Stary Rynek i Ratusz obwieszane niemieckimi flagami. Angus oczywiście zdawał sobie sprawę, że w mieście żyła niemiecka mniejszość. W mieście, liczącym przed wojną 280 tys. ludzi, było ok. 7-10 tys. Niemców. Nie zbyt wielka liczba, ale bardzo dobrze zorganizowana, w wielu towarzystwach, klubach i organizacjach - i o dużych wpływach ekonomicznych. Przeważnie bardzo zamożni ludzie, a także ich organizacje zajmowały wiele reprezentacyjnych budynków.

Jednak to nie ta manifestacja była przyczyną palącego wstydu, który odczuwał Angus, Tak jak podane powyżej rozbieżności cyfr, to nie tylko kwestia dokładności danych. Sprawa ta dotyczy tzw. „Volksdeutschwów” i wymaga osobnego wyjaśnienia.

Polacy wymieniali zawsze jako przedmiot dumy i zasługi to, że przez wszystkie lata wojny nie doszło nigdy do kolaboracji z okupantem, jak w innych krajach podbitych przez Hitlera. Że nigdy nie powstały tu żadne formacje na usługach Niemców ani organizacje głoszące potrzebę współpracy z nazistami. Krótko mówiąc że tylko oni przez cały czas okupacji zachowywali się honorowo, nawet za cenę największych ofiar. Niewątpliwie jest to historyczna prawda, ale jednak nie cała. Nie oznacza ona, że polskie społeczeństwo było zasadniczo lepsze i różniło się tym od innych narodowości. W zasadzie wszystkie narody zawierają zbliżony procent złych i dobrych, a także bardzo złych i bardzo dobrych ludzi, być może układa się to według krzywej Gaussa.

W tym konkretnym wypadku jedną z ważnych przyczyn był też sposób postępowania Hitlera. Po zakończonym niepowodzeniem, staraniach o przeciągnięcie Polski na swoją stronę - co faktycznie stanowiło jego pierwszy poważny błąd i porażkę po długiej serii sukcesów i to w punkcie, który traktował jako całkowicie pewny i w swoich rachubach zakładał, że z pewnością da się osiągnąć przy odpowiedniej zachęcie - a który ostatecznie zawalił cały szczegółowy rozkład zdobycia za jednym uderzeniem zarówno Francji jak i



Anglii - jego megalomania została dotkliwie urażona. Od tej chwili traktował Polaków wyłącznie jako naturalnych, biologicznych wrogów wszystkich Niemców, co jednocześnie wyjaśniało i jego osobistą porażkę. Uważał więc jakąkolwiek współpracę, albo nawet tymczasowe ułożenie stosunków za niemożliwe bo zakładał, że gdyby nawet nastąpiło, to i tak Polacy zwrócą się przeciw niemu w najbardziej krytycznym momencie. Krótko mówiąc uznał, że cały naród polski należy zlikwidować, za wyjątkiem tych jednostek, które będzie można zgermanizować.

W tym właśnie celu ustanowiony został status „Volksdeutschów” przeznaczony dla ludzi, którzy nie tylko zechcą służyć, ale również przyjąć narodowość niemiecką. Oczywiście, jeżeli te osoby miały jakieś, nawet odległe pokrewieństwo niemieckie - a w końcu mieszane rodziny nie były rzadkością i jeżeli poszukało się dostatecznie daleko, to często jakieś pokrewieństwo się trafiło - to miało znaczenie, ale nie było bynajmniej konieczne. Prawie każdy podpisujący deklarację był przyjmowany bez kwestii, często nawet chociaż nie umiał wcale po niemiecku. Znacznie bardziej liczył się wygląd fizyczny, a zwłaszcza tak zwany typ nordycki, który był częsty w Polsce, właściwie nawet występował częściej, niż w Niemczech

. Na przykład gdy szła klasa Angusa, widać było prawie same jasne głowy, tylko kilku chłopców, w tym Angus, ciemnowłosych, w całej Wielkopolsce ogóle była przewaga jasnowłosych. Po prostu trudno uwierzyć, ale Niemcy wprost wariowali na punkcie typów nordyckich, tak jakby obawiali się, że sami nie mają dość ludzi o takim typie i prawidłowym dziedzictwie krwi, odpowiadającym szaleńczej rasistowskiej teorii.

Ostatecznie, ta akcja nie przyniosła sukcesu, Z początku tylko mały procent Polaków zdecydował się na taką ostateczną zdradę. W wypadku tych nielicznych, którzy to zrobili, przyniosło to nieoczekiwany efekt, ludzie ci bowiem zerwali z polskim społeczeństwem, stracili z nim kontakt. W rezultacie okupanci stracili źródło potencjalnych informatorów, kolaborantów i szpiegów, w zamian zyskując wątpliwej wartości element, nie przynoszący im istotnego pożytku. W rezultacie mogli mieć szpiegów informujących tylko o czasie przeszłym, gdyż aktualnie Polacy ich się wystrzegali. Dla społeczeństwa polskiego był to proces samo oczyszczenia, przypominający naturalną sedymentację, przy której osiadający brud i szlam trafiały do Niemców. Co więcej, nawet słabi ludzie kiedy już raz zdecydowali tego nie robić, byli mniej skłonni w przyszłości ulec pokusie i rzadko decydowali się później na współpracę z Niemcami nawet w okresie ich największych sukcesów.

Faktem jest, że po pewnym czasie okazało się, że działanie to przynosić tak kiepskie rezultaty, że Niemcy zastosowali przymus, przypisując Volksdeutschów do różnych kategorii, a w tym do III i IV nawet bez pytania, na drodze administracyjnej (każdy protest był

oczywiście bardzo niezdrowy). To zaś zupełnie skompromitowało całą akcję, stała się ona nie tylko nieatrakcyjna, ale często wprost zniechęcająca. Faktem jest, że w późniejszych latach na terenach włączonych do Rzeszy, wśród osób skazanych za walkę z Niemcami, przewagę i to wielokrotnie mieli ludzie uznani za pochodzenia niemieckiego, formalnie Niemcy. Krótko mówiąc, jest to przykład sprowadzenia do absurdu szalonej koncepcji, która uległa degeneracji i przyniosła całkowicie odwrotny od zamierzonego skutek.

Ale w tym czasie Angus nie zdawał sobie sprawy z tych wszystkich okoliczności, Wiedział tylko jedno: że byli Polacy, którzy dobrowolnie chcieli zostać Niemcami, co wydawało się absolutnie niepojęte - i że byli też Niemcy, którzy udawali dotąd Polaków, a obecnie zrzucili maskę. To ostatnie było zresztą raczej rzadszym wypadkiem, gdyż Niemcy nie mieli żadnego powodu ani interesu, aby udawać Polaków. Jest faktem, że obywatele polscy narodowości niemieckiej mieli, w każdym razie faktycznie, a w niektórych punktach nawet i formalnoprawne (dzięki przepisom o ochronie mniejszości), dodatkowe przywileje i większe prawa nawet od obywateli polskich narodowości polskiej i bez wątpienia umieli z tego pomysłowo korzystać. Przeciętnemu Niemcowi w Polsce powodziło się lepiej, niż przeciętnemu Polakowi. To zresztą była jedna z przyczyn uprzedniej niechęci do Niemców, może nie wynikającej z wyższych pobudek, a zwykłej zazdrości, ale ludzie są tylko ludźmi.

Tak więc jedyny powód, żeby Niemiec udawał przed wojną Polaka to mogła być przynależność do V kolumny, potrzeba ukrycia swojej działalności - i to jeszcze mógł sobie Angus wyobrazić. Ale najbardziej bolące i niepojęte było, jak to możliwe, że są Polacy którzy teraz chcą zostać Niemcami. To wydawało się absurdalne i potworne, jak jakaś straszna choroba umysłowa. Nie tylko nie umiał tego zrozumieć, ale nie potrafił sobie tego ogóle wyobrazić, względnie jego wyobrażenia były fantastyczne, nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Nieznane, niepojęte przeraża. Czy to było szaleństwo, czy po prostu głupota, czy jakaś forma aberacji, może fascynacja złem? Ale przede wszystkim czuł straszny wstyd i rozpacz, że żyje na takim świecie i że społeczeństwo, które dotąd tak wysoko oceniał i z którego był dumny, w chwili próby znalazło w sobie takich wyrzutków.

W ogóle za dużo rzeczy nie rozumiał, nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Powinien niezwłocznie wyjść z domu i zobaczyć własnymi oczami, co właściwie dzieje się i jak wygląda miasto, a także jak naprawdę wyglądają ci Niemcy, bo właściwie dotąd widział tylko samoloty. albo ilustracje. Dzisiejszy dzień koniecznie powinien na to wykorzystać, był sam, wprawdzie matka kazała mu siedzieć w domu i w ogóle nie wychodzić, ale pewnie nie zdawała sobie z tego wszystkiego sprawy, on też dopiero teraz przemyślał sytuację i zdecydował. Właśnie miał okazję.

Przez ostatnie dni nie dążył do niczego, nie miał żadnego planu, przyjmował tylko biernie wydarzenia, które przekraczały wszystko, co mógł pojąć i na co był przygotowany, były niepojęte, po prostu nie mogły się zdarzyć.

Na razie wrócili z matką do swojej norki i schowali się w niej. Teraz trzeba było nareszcie wyjść, rozejrzeć się, starać się zrozumieć, rozpoznać sytuację i ułożyć jakiś nowy plan, zapominając o tych, które się nie powiodły.

Angus zdawał sobie sprawę, że na pewno nie należał do tych błyskotliwych jednostek, które instynktownie i natychmiast znajdują właściwą drogę w szybko zmieniającej się sytuacji. On potrzebował czasu do zastanowienia się, a najlepiej jeszcze potem na spokojne przespanie analiz i wniosków i ponownego przemyślenia po raz wtóry, Na razie, korzystając z nieobecności matki, powinien obejść miasto i własnymi oczami zobaczyć, co się naprawdę dzieje, Zebrać informacje i potem decydować.

Z tą myślą ubrał się szybko i wyszedł na ulicę. Na jego ulicy nic się nie zmieniło, tylko liście na drzewach zaczęły już przedwcześnie opadać, ale to z powodu dłuższego braku deszczu. Jednak nawet chodniki były jak zawsze czysto zamiecione. Przeszedł ulicą Śniadeckich najpierw w dół, a potem w drugą stronę, budynki Gimnazjum Handlowego i Uniwersytetu były zamknięte i ciche, na ulicy nic się nie działo. Wrócił dwoma małymi parczkami czy też zielonymi placami koło Collegium Chemicum i Anatomicum, przeszedł koło starego, nieczynnego cmentarza żydowskiego. Wstąpił do małego sklepiku spożywczego w domu, z którego wyszedł, kupić chleb i mleko na śniadanie, Sklep był czynny jak zawsze, zaopatrzone we wszystko, ceny też się nie zmieniły, dwadzieścia groszy za mleko i tyleż za chleb. Na razie wrócił do domu i po śniadaniu postanowił wyprawić się dalej.

Tym razem po wyjściu z domu, przyłączył się najpierw do paru grupek chłopców na placu przed dawnym browarem Huggera, koło wejścia do parku Wilsona i terenów sportowych Studium Wychowania Fizycznego Byli to chłopcy starsi od niego, chodzący do innych szkół i z którymi zazwyczaj matka nie pozwalała mu się bawić, chociaż z drugiej strony on starał się uniknąć tych zakazów lub przynajmniej przypatrywać się, jak na tym placu na narysowanym na ziemi boisku grali w piłkę, w dwa ognie.

Tym razem też mieli piłkę, ale jeszcze nie grali, zamiast tego kilku z nich, trzymając oburącz kije, wyjaśniało innym zasady walki na bagnety. Angus nie umiał ocenić, czy te zasady były prawidłowe, natomiast przekonał się już, że waga karabinu znacznie różni się od wagi kija, wynosiła ponad 5 kg, a z bagnetem nawet koło 6 i że ani on, ani chłopcy w jego wieku lub nieco starsi nie byłiby w stanie swobodnie nim władać i skutecznie się posługiwać, a już na pewno nie walczyć z dorosłym mężczyzną. Tym samym ta sprawa go nie

interesowała, Za to on wiedział, jak posługiwać się karabinem w sposób do jakiego został zrobiony, strzelając z niego. Stał więc spokojnie koło jednej z grupek, nie komentując demonstracji pchnięć, zamachów, osłon i przejścia po odepchnięci bagnetu, do niespodziewanego uderzenia kolbą, mając nadzieję, że po wyczerpaniu tematu, będzie miał okazję pograć w piłkę, Jednak niespodziewanie zamiast gry, rozległy się okrzyki: - tam jest Niemiec! Nie grajemy! Z Niemcami nie grajemy! Grupka wpatrywała się w jakiegoś chłopca, który najwyraźniej miał taką minę, jakby miał się rozplakać, albo już łykał łzy.

Być może, był on rzeczywiście dzieckiem rodziców, którzy zapisali się na Volkslistę, ale równie dobrze mógł mieć na przykład niemieckie nazwisko, Angus sam miał też kolegów o nazwiskach brzmiących z niemiecka, a którzy okazali się bardzo dobrymi Polakami, choć może ich przodkowie byli niemieckiego pochodzenia. Faktem jest, że w ciągu wielu lat wzajemnych stosunków niektórzy Polacy zniemczyli się i śladem tego były wyraźnie polskie nazwiska niektórych Niemców, Ale chyba jeszcze więcej Niemców osiadłych w Polsce spolszczyło się i to tak gruntownie, że nawet zostawali bardzo gorliwymi polskimi patriotami. To jest o tyle dziwne, że o ile to pierwsze zdarzało się zwykle dla doraźnych korzyści, to drugie ich absolutnie nie przynosiło, zgoła przeciwnie, w okresie niewoli przynosiło poważne kłopoty, Mimo to, widocznie polskie środowisko miało dużą zdolność asymilacyjną, choć trudno powiedzieć na czym mogła polegać atrakcja.

Na przykład, nawet w klasie Angusa kilku chłopców miało nazwiska niemieckie, albo spolszczone, najwidoczniej niemieckiego pochodzenia. Jednak w czasie wojny, żaden nie zmienił narodowości, a jeden zginął w walce. Mniej więcej podobnie wyglądały stosunki w całym mieście. Z drugiej strony, Volksdeutscheami zostawali ludzie nie mający kropli krwi niemieckiej (bez względu na przepisy) i umiejący słabo lub wcale po niemiecku, dopiero uczący się języka, Jednym słowem nie mający żadnych związków z Niemcami, oprócz chęci wzięcia udziału w rabunku, łupie i być może bezkarnych zbrodniach. A ponieważ zapisując się na Volkslistę przestawali zaliczać się do Polaków i to stawało się ogólnie znane, rezultatem było oczyszczenie i stabilizacji polskiego społeczeństwa i stąd wynikała właśnie ta niespotykana w Europie jednolita postawa, bez jakiegokolwiek kompromisu, walka do ostatniego pozostałych.

Jednak było przy tym i negatywne zjawiska. Faktem jest, że na początku wytworzyła się psychoza, łatwo podejrzewano ludzi. Podobnie, jak już przedtem rzucano podejrzenia o zdradę w tłumach uchodźców. W warunkach klęski, zwłaszcza niespodziewanej i nie oczekiwanej, łatwo padają oskarżenia i wiele niesprawiedliwych. Najprościej wyjaśnić przegraną zdradą.

Faktem jest że V kolumna istniała i to zorganizowana na wielką skalę, ale w gruncie rzeczy okazała się mało skuteczna, często wprost kompromitująco. Jeden żołnierz dawał sobie radę z kilkoma dywersantami. Psychoza podejrzliwości i poszukiwanie winnych wszystkiemu zdrajców wyrządziło chyba więcej szkód, Czasem wystarczało że w tłumie uchodźców znalazł się człowiek z daleka, mówiący inną gwarą, lub tylko akcentem. Powiedzmy, Ślązak. Także Poznaniakowi mogło się to przytrafić, gdy w ucieczce dotarł daleko na wschód lub południe Polski. Podobnie histeryczna podejrzliwość zapanowała początkowo odnośnie Volkslisty. Być może więc, że ten chłopak był osądzany bez podstaw, na przykład miał niemieckie nazwisko.

Jednak zdarzenie to wstrząsnęło Angusem, bo dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie może otwarcie rozmawiać z nieznajomymi bo rzeczywiście może źle trafić. Tych chłopców i W ogóle chłopców ze swojej ulicy W ogóle nie znał. bo matka na to nie pozwalała. A ze swymi kolegami ze szkoły nie miał możliwości nawiązać kontaktu.

Tymczasem grupka się rozproszyła i on również poszedł dalej, w górę ul. Śniadeckich, potem koło ZOO i aż do ul. Dąbrowskiego. Słyszał, że poznański „drapacz chmur”, chociaż właściwie była to tylko skromna imitacja, po prostu wyższy od okolicznych gmach, dawna siedziba Ubezpieczalni Społecznej została zajęta przez Gestapo. Rzeczywiście, budynek trzeba było obchodzić drugą stroną ulicy, przed wejściem wisiały dwie niezwykle długie flagi, z pokracznym Hakenkreuzem w kole na środku. Widok, jaki znał dotąd tylko z ilustracji, wywoływał skondensowany gniew, nienawiść i obrzydzenie. Przez chwilę pomyślał, żeby podskoczyć i ściągnąć na dół jeden z tych symboli zła, mniejsza o to, że wartownicy zaraz by go zastrzelili. Ale zaraz doszedł do wniosku, że to byłby gest bez znaczenia, za który nie warto ginąć - a poza tym jego waga, nawet gdyby przy podskoku zdołał dosięgnąć flagi, prawdopodobnie nie wystarczyłaby do zerwania jej. Prawdopodobnie więc jedyny skutek, jaki mógłby osiągnąć, to pochwała dla tego z wartowników, któryby go pierwszy zastrzelił.

Obszedł budynek z dala i przyjrzał się ruchowi dokoła. Było to pierwsze miejsce, gdzie zobaczył niemieckie mundury, także i wojskowe, ale więcej egzotycznych, brązowych i czarnych, a niektórzy mężczyźni w normalnych ubraniach, mieli na ubraniach opaski ze swastyką. Gestapo było określeniem uproszczonym, najwyraźniej usadowiły się tu różne siły policyjne i być może partia, zresztą tylko przejściowo.

Poszedł dalej w stronę śródmieścia. Przy moście Teatralnym zobaczył gniazdo z worków piasku i dwóch żołnierzy niemieckich z karabinem maszynowym. Za mostem skręcił w prawo, zobaczył jeszcze jedną długą flagę przy zamku i potem już nie spotkał ani jednego

Niemca, chociaż wiedział, że przed Kaponierą, naprzeciwko Kolegium Minus, mieścił się Dom Niemiecki, jedna z wielu siedzib różnych organizacji działających przed wojną legalnie w Poznaniu. Ale nie było tam żadnego ruchu. Być może, wszyscy tutejsi Niemcy zgromadzili się koło Ratusza, gdzie odbywały się wypadki, wzmiankowane dalej. Angus poszedł aż do gmachu Dyrekcji Kolejowej, gdzie przed wojną pracował jego ojciec. Główne wejście wydawało się zamknięte i nie było widać żadnego ruchu, ale ze zdziwieniem zobaczył, że boczne drzwi na dole, prowadzące do biblioteki, którą często odwiedzał, były szeroko otwarte. Biblioteka, choć bez klientów, była czynna. Sądził, że nie będzie mógł z niej skorzystać, bo nie wziął kart i w dodatku limit na dwie karty wynosił 6 książek, a tyle mieli już w domu, ale okazało się, że wyjątkowo można jeszcze pożyczać dowolną liczbę książek. To oczywiście było to, co najbardziej potrzebował do przetrwania, ważniejsze nawet od jedzenia. Jeśli pozostawało mu tylko beczynnienie czekać w swoim mieszkaniu aż Wojsko Polskie z powrotem przepędzi Niemców, którzy - oczywiście tylko chwilowo - zajęli Wielkopolskę, to najłatwiej było wytrzymać przy czytaniu.

Przez najbliższe godziny rzucił się więc na katalog i wybrał górę książek, aż zaczęło mu się wydawać, że bibliotekarze dziwnie mu się przyglądają. Rzeczywiście, część wybranych książek musiał zostawić, gdyż wszystkich nie mógł unieść, pożyczył przeszło 20. (Wkrótce potem biblioteki publiczne zostały zamknięte, a książki przeznaczone na przemiał i w większości zniszczone, chociaż jednak nie wszystkie zdążyli Niemcy zniszczyć i część dotrwała zmagazynowana do końca wojny. Bibliotekarze wypożyczając w tym okresie książki bez ograniczeń, starali się po prostu uratować co się da. Angus mógłby przyjść po jeszcze większy ładunek książek, ale nie chciał przesadzać i nie zdawał sobie sprawy z sytuacji. Zresztą w jego domu książki też nie zdołały ocaleć.)

Mimo, że ładunek książek nie był aż tak ciężki, to jednak niewygodny i rozsypywał się, więc Angus dotarł do domu zmęczony. Poza tym zobaczył już wszystko, co chciał, a raczej czego wolałby nie widzieć. Na razie nie było nic więcej do zrobienia, pozostawało tylko czekać, dotrwać wreszcie do momentu, kiedy Niemcy będą uciekać z powrotem. Na razie trudno przewidzieć, kiedy ta chwila nastąpi, ale był pewien, że niedługo. Lepiej więc oszczędzać siły, bo kto wie, kiedy się przydadzą.

Dopiero znacznie później, Angus miał okazję dowiedzieć się, co w tych dramatycznych dniach poprzednich i dzisiaj działo się w mieście. W najkrótszych słowach, dla wyjaśnienia tła: po ewakuacji wojska, Poznań pozostawał przez prawie tydzień miastem właściwie porzuconym, bo wszystkie władze cywilne i także komisaryczny, narzucony przymusowo zarząd miejski ewakuowały się pośpiesznie, nie dbając o los

ludności. W tej sytuacji Rada Miejska przywróciła do urzędowania wybitnego, poprzedniego Prezydenta Miasta, Cyryla Ratajskiego. Nie miejsce tu na wspomnienie tej wielkiej postaci, związanej z historią całej Polski, dość wspomnieć, że to na niego spadł obowiązek, po prawie tygodniowym pełnieniu zupełnie suwerennych funkcji jakby głowy państwka, kapitulacji przed armią niemiecką.

Jak to już wspomniano, Poznań był jedynym miejscem w Wielkopolsce, gdzie Armia Niemiecka po wkroczeniu nie rozstrzelała publicznie zakładników. Jednak okoliczności były dramatyczne, zakładników brano kilkakrotnie, a raczej zgłaszali się oni sami. Mianowicie dowodzący generał niemiecki, widocznie miał zamiłowanie do efektownych przedstawień, bo urządził takie przy okazji obejmowania w swoją władzę miasta, a do tego potrzebował także urzędującego prezydenta. Przez kilka dni dotychczasowy cywilny zarząd miast pozostawiono - jemu też polecono wybranie zakładników. Wtedy zgłosił się sam Ratajski oraz solidarnie wszyscy jego współpracownicy, w tym rada miejska. Tego wyboru nie zatwierdził niemiecki generał, który traktował jako kompromitację osobistą rozstrzeliwać zaraz kogoś, od którego świeżo przyjmował mocno rozreklamowane poddanie miasta. Poza tym, Niemcy specjalnie mieli zamiar rozstrzelać zwłaszcza Straż Obywatelską, powołaną na czas gdy nie było żadnej innej władzy przez Ratajskiego, dla zapewnienia ochrony mieszkańcom. Według niemieckiej wykładni, była to uzbrojona formacja nie będąca armią, a więc nie podlegająca żadnej ochronie prawnej. Wtedy ponownie Ratajski zgłosił siebie jako rzekomo, obok Celichowskiego pełniącego funkcje dowódcze, a wraz z nim znowu zgłosili się inni członkowie Zarządu Miasta, podając swoje związki, lub po prostu zmyślane funkcje w Straży. Ta sytuacja powtarzała się kilkakrotnie, ostatecznie zakładnicy nie zostali rozstrzelani, natomiast Zarząd Miasta został usunięty.

Angus nie wychodził już więcej z domu, czytał cały czas aż do następnego dnia wieczorem, kiedy wróciła matka, bardzo zgnębiona. Nie udało się jej odzyskać niczego, a nawet zbliżyć do pociągu, Niemcy ustawili tam straż i wszystko traktowali jako zdobycz. Z drugiej strony, podobno w ostatniej chwili przed wkroczeniem Niemców mieszkańcy okolicznych wsi zabrali podobno wiele rzeczy z pociągu, niektórzy podjeżdżali nawet wozami. To matka całkowicie akceptowała, dobrze, że chociaż część tego mienia nie dostała się Niemcom, ale miała nadzieję, że uda się znaleźć tych, co zabrali jej rzeczy i chociaż podzielić się z nimi. Jednak nie udało się jej znaleźć nikogo, kto zabrał jej dobytek. To znaczy jeżeli tak w ogóle było, bo nie udało się nic stwierdzić. Próbowala i to właśnie zabrało jej tyle czasu, lecz daremnie. Ale nie to było powodem jej widocznego przygnębienia, lecz bliższe przyjrzenie się armii niemieckiej.

- Nie wiedzieliśmy, z jaką ogromną siłą mamy do czynienia, Wierzyliśmy w to, w co chcieliśmy wierzyć.-

- Mamo, nie przejmuj się. Tak czy owak, Niemcy są w beznadziejnej sytuacji, walczą naraz z trzema państwami, nie tylko z nami. Pewnie, że są silniejsi od nas samych, choćby to, że mają 86 milionów ludności w porównaniu do naszych 37. Ale przecież my nie jesteśmy sami, a w stosunku do połączonych sił Polski, Anglii i Francji, Niemcy nie mają żadnych szans. Wkrótce muszą przegrać i wojna się skończy - pocieszał ją Angus.

- Pewnie, że w końcu przegrają, ale nie jestem pewna, czy tak prędko. Nie wiesz jeszcze wszystkiego, dzisiaj podali wiadomość o wielkiej bitwie, którą podobno wygrali. Nie chciałam ci tego pokazywać, ale tu są gazety, które schowałam, żeby cię nie martwić.

Matka wyciągnęła gazetę, zadrukowaną kanciastymi, ostrymi literami, zupełnie niepodobnymi do normalnego, ludzkiego alfabetu, do jakiego przywykł on i większość Europy. Pokraczne litery uniemożliwiały nawet odczytanie słów, które i tak były niezrozumiałe. Na przykład litery n, e i r wydawały się zupełnie niemożliwe do odróżnienia, innych też nie mógł odgadnąć.

Matka powiedziała mu, co podawała gazeta, a potem stopniowo zaczęła tłumaczyć, zdanie po zdaniu, komunikaty wojenne, komentarze i opisy. Dotyczyły one wielkiej bitwy, określanej „w łuku Wisły”, a która do polskiej historii przeszła jako bitwa nad Bzurą albo pod Kutnem. Niemcy pisali, że armia polska próbowała tam przejść do ofensywy i w wyniku, po kilku dniach trwających bojach większość całości sił polskich została tam otoczona i obecnie oczekuje ją zniszczeni. Oceniali to jako koniec zorganizowanego oporu i W ogóle wojny, zaznaczając jednak, że obecnie wciąż toczą się ciężkie walki i przeciwnik walczy z uporem i wielkim zaangażowaniem, często powtarzały się określenia „z fanatyzmem” albo „z wściekłością” a nawet „atakuję samobójczo” lub „nie zważając na straty”.

- Mamo! Nie wierz temu, co tam piszą, - błagał Angus. Oni kłamią jak psy! Czy nie widzisz, co z tego wynika? Rzeczywiście, toczy się tam ciężka bitwa, ale najwyraźniej Niemcy dostają w niej lanie! Patrz, jak oni opisują polskich żołnierzy - jak bezrozumnych drapieżców, rzucających się na pewną śmierć albo potworów. Przygotowują już usprawiedliwienie dla swojej klęski. Zrozum, na to czekaliśmy cały czas i wreszcie się zaczęło, dostają w skórę. Za parę dni zobaczysz, jak uciekają. - Przez kilka kolejnych dni matka kupowała niemieckie gazety, czytała je i tłumaczyła Angusowi. Niestety, wiadomości były coraz gorsze i widać było, że się stopniowo potwierdzają, Niemcy opisywali to w taki sposób, że właściwie pokonane już uprzednio Wojsko Polskie zgromadziło wszystkie pozostałe siły i wbrew rozsądkowi i wszelkim zasadom sztuki wojennej rzuciło je do



desperackiego ataku. Był on rzeczywiście nieoczekiwany, bo nie można było przewidzieć, najwidoczniej samobójczych, działań przeciwnika i z tego powodu w pierwszej chwili powstało pewne zamieszanie i przejściowo wytworzyła się krytyczna sytuacja. Z tego powodu, der Fuehrer przerwał zajęcia rządowe i osobiście udał się na front, aby objąć dowodzenie. Natchniona geniuszem Hitlera, armia niemiecka wkrótce odzyskała swoje pozycje, a odcięte oddziały, zwłaszcza pancerne, zostały zaopatrzone w amunicję i paliwo przez lotnictwo. Oprócz szybkiego zgromadzenia posiłków, geniusz Hitlera objawił się przede wszystkim w zastosowaniu na niespotykaną dotąd skalę i zupełnie przełomowy, twórczy sposób lotnictwa. Skoncentrowano wszystkie możliwe siły i masowo użyto je na najważniejszych kierunkach.

W wyniku tego, podstawowa większość żywych sił przeciwnika została otoczona i unieruchomiona, nie ma szans na wycofanie się i kontynuowanie walki. Ich zniszczenie lub kapitulacja jest tylko kwestią czasu, choć wciąż jeszcze stawiają one opór przekraczający granice rozsądku i nie zważają na straty. W ten sposób natchnienie wielkiego wodza, którego niebo zesłało Niemcom, rozstrzygnęło i zakończyło całą kampanię.

O bitwie pod Kutnem wzmiankowano kilkakrotnie, a poza tym istnieją na ten temat fachowe opracowania. Nie ma więc sensu dodawać uwag laika. Co do opisów w gazetach niemieckich, być może, że był to początek kampanii reklamowej, promującej Hitlera, jako natchnionego wodza i wielkiego stratega, którego przeznaczeniem jest poprowadzenie Niemiec do ostatecznego zwycięstwa i w którym żołnierze mogą pokładać absolutne zaufanie.

Zarazem jednak z tych opisów wzięło się, być może zbyt pochopne przekonanie, że tym razem Niemcy byli bardzo blisko klęski i że wystarczyłoby nie tylko pełna ofensywa armii francuskiej, do której rozpoczęcia głównymi siłami Francja zobowiązała się najpóźniej dziesiątego dnia wojny, ale nawet tylko interwencja lotnictwa, na przykład brytyjskiego, co z kolei wynikało z traktatu z W. Brytania. Na podstawie tych niemieckich źródeł uważano, że gdyby chociaż tylko przez kilka krytycznych dni, w pierwszej części bitwy, alianci zaangażowali niemieckie lotnictwo, to doszłoby do porażki Niemców.

Jest faktem, że Armia Poznań, która na początku wojny dysponowała skromną liczbą, 15 samolotów myśliwskich, w pierwszym dniu bitwy miała już ich tylko 6, wliczając możliwe do naprawy, a w parę dni później żadnego. Niemcy przez cały czas mieli zapewnione całkowite panowanie w powietrzu i jeszcze ściągnęli wszystkie dostępne samoloty. Niemiecki korpus pancerny, który początkowo został odcięty na podejściach do Warszawy i którego los wydawał się już przesądzony, otrzymał bez przeszkód pełne

zaopatrzenie z powietrza i mógł, rezygnując z daremnego ataku na Warszawę, przeciąć linie komunikacyjne walczącej polskiej armii.

Oczywiście porażka, nawet przejściowa klęska Niemców, w tym wypadku zupełnie realna, nie mogła zmienić wyniku całej kampanii. Przy zerowym zaangażowaniu pozostałych członków koalicji dysproporcja sił między samą Polską i Niemcami była zbyt wielka. Wynikało to choćby z liczby ludności i związanej z nią liczebności armii, ale zwłaszcza uzbrojenia. Kolejne dni przynosiły wciąż nowe, szczegółowe wiadomości o bitwie. Stopniowo dla Angusa stawało się jasne, że najbardziej gorące pragnienia i wiara nie mają wpływu na rzeczywistość, że Wojsko Polskie rzeczywiście ponosi ciężkie straty. Dwie armie zostały pobite. A wkrótce nastąpiło najgorsze: Armia Czerwona w przymierzu z Niemcami uderzyła na Polskę z drugiej strony.

Gazety niemieckie ogłosiły to z triumfem bezpośrednio po zakończeniu tej bitwy, To wydawało się nieprawdopodobne, niewiarygodne, wprost niemożliwe. Przez cały okres swego istnienia, komunizm i faszyzm odnosiły się wzajemnie już nie z programową, ale wprost zoologiczną wrogością. Faszyzm wyraźnie uczynił z tej wrogości cechę ideologiczną, więcej, usprawiedliwienie swego istnienia. Z drugiej strony, komuniści usiłowali wyjść z izolacji, w której (już wtedy!) się znaleźli na cywilizowanym świecie z powodu nieludzkich zbrodni i piekła, („raju”, jak to oni nazywali, na 1/6, czy też 1/7 globu). Montowali tzw. front ludowy, a raczej wiele takich frontów. Miały to być szerokie porozumienia ludzi, którzy na gruncie demokracji i humanitaryzmu przeciwstawiają się zbrodniom faszyzmu.

Obie strony stawiały sobie zarzuty o tak makabryczne czyny, że przeciętnym ludziom wydawało się to propagandowym wymysłem. W każdym razie Angus spotkał się czasem z tzw. kryptokomunistycznymi wydawnictwami, na przykład pożyczył raz cały stos od sąsiadów wakacyjnych, a także z wydawnictwami filofaszystowskimi, przy okazji szukania informacji o wojnie domowej w Hiszpanii (nawiasem mówiąc, wcale nie faszyści, ale także pravicowa prasa katolicka, na przykład z Niepokalanowa mocno popierała Franco i czasem powołując się nawet na źródła faszystowskie). Otóż po przeczytaniu tego co obie strony sobie nawzajem przypisywały, Angus doszedł do wniosku, że to jest kompletnie niemożliwe. Po prostu licytacja kłamstw, obrzucanie się błotem, wylewanie brudów, obustronna kampania zohydzenia w połączeniu z licytacją grozy i koszarnej fantazji. Podobne zdanie słyszał od rodziców i otoczenia, jednak z komentarzem, że przesadzają, tego na pewno nie można brać na serio, ale nie ma też dymu bez ognia i jeżeli tylko niewielki procent tych danych jest prawdziwych, to świat wcale nie poprawił się w ciągu wieków, ale stał się o wiele gorszym miejscem. Tymczasem to wszystko okazało się prawdą, a nie żadną propagandą i wzajemnym

oczernianiem. Nie było mowy o fantazji, o żadnych wymysłach, to nie redaktorzy z chora wyobraźnią wymyślali bujdy, to kompetentni i rzeczowi fachowcy opisywali to, co dobrze znali u siebie, a przypisywali, też trafnie, drugiej stronie. Wszystko, co komuniści pisali o faszyzmie było rzetelną prawdą. Ale również i to, co przyjmowano za niemiecką propagandę, uczciwie oddawało rzeczywistość ZSRR. Jeżeli w ogóle można coś zarzucić, to, że informacje obu stron były dla braku miejsca zbyt skrócone i fragmentaryczne, za blade w stosunku do życia.

Jednocześnie, największym pragnieniem obu tych systemów była obrona zagrożonej ludzkości przed swym przeciwnikiem. Jedna strona wzywała do skupienia wszystkich uczciwych ludzi do obrony wartości cywilizacji europejskiej przed krwawą dziczą bolszewizmu, a drudzy głosili, że bez komunistów, obrona świata wartości demokratycznych i humanitarnych przed faszyzmem będzie niemożliwa. W oficjalnej doktrynie komunistycznej określano imperializm jako najwyższe stadium złego kapitalizmu, a faszyzm jako zezwierzęconą, zdegenerowaną formę imperializmu, który musi zostać zniszczony. Z drugiej strony Hitler w swojej książce Mein Kampf otwarcie przedstawił pokonanie i rozbięcie ZSRR, zajęcie szerokich przestrzeni Rosji i Ukrainy jako najważniejszy cel Niemiec, ich misję dziejową.

Idea połączenia sił Rosji i Niemiec. Koncepcja Lenina.</font

Myśl o współdziałaniu Niemiec z ZSRR wydawała się absurdem, czymś w rodzaju zgody ognia z wodą. A jednak oba te państwa łączył nadrzędny cel: było nim rozpętanie II Wojny Światowej. Każde z nich zamierzało opanować świat. Lecz żadne nie było w stanie rozpocząć wojny tylko własnymi siłami.

Faktem jest, że to nie sam Hitler zaczął II Wojnę Światową. Owszem, usiłował - i taka groźba na wiosnę 1939 stała się realna, ale została skutecznie zablokowana przez dyplomację brytyjską. Udzielenie gwarancji, a następnie podpisanie przymierza z Polską stawiało Niemcy w położeniu patowym, w impasie. Nie mogły one wykonać pierwszego ruchu, zdecydować się na wojnę na dwa fronty. Wprawdzie Hitler osobiście bardzo nisko i niestety słusznie oceniał demokracje zachodnie. Wierzył, że nie dotrzymają układów sojuszniczych i nie zrobią nic, a on będzie mógł bić wrogów po kolei. Jednak dla Dowództwa Wehrmachtu i znacznej większości Niemców było to ryzyko nie do przyjęcia, a wódz zdawał sobie sprawę, że nie zdołałby pociągnąć za sobą podwładnych i to nawet swoich zwolenników do tak ryzykownego kroku. (We wrześniu 1939 nie było w Niemczech nawet cienia entuzjazmu w momencie wybuchu wojny; zupełnie zapomina się to obecnie, że Niemcy dali się w nią

wepchnąć posłusznie, ale bardzo niechętnie). Zmieniły to dopiero początkowe zwycięstwa i stworzenie obfitej możliwości rabunków.

Stalin także dążył do wojny, ale Armia Czerwona utraciła siłę uderzeniową po krwawej łaźni, jaką jej zgotował w 1937 r. Nie była w stanie dokonać inwazji Europy tak szczegółowo zaplanowanej i od dawna zamierzanej, w każdym razie jeszcze nie teraz, Trzeba wziąć pod uwagę, że na rozkaz Stalina niedawno wymordowano praktycznie wszystkich wyższych dowódców wojskowych, także około 90% w stopniu pułkownika i ponad 60 tysięcy niższych oficerów. Nawet dywizje pancerne SS, gdyby znieścacka wtargnęły wprost do sztabów ZSRR, nie zdołałyby osiągnąć podobnego wyniku. Mimo zapewnień potakiwaczy, Stalin zdawał sobie sprawę, że armia nie nadaje się do poważniejszych walk i starał się zyskać jeszcze trochę czasu, Lecz nawet i te jego oceny, jak dowodzą późniejsze wydarzenia historyczne, były nieuzasadnionym optymizmem. Dlatego Stalin poparł wprawdzie Hitlera wszelkimi dostępnymi środkami i umożliwił mu rozpoczęcie wojny, ale sam nie wysuwał się na pierwsze miejsce, trzymał się ostrożnie z tyłu. Wypełniając układ z Hitlerem wziął udział w agresji, ale z wyraźnym ociąganiem - i dopiero wtedy, gdy wynik największej bitwy był już przesądzony. Przez pewien czas jeszcze angażował się tylko w stosunkowo niewielkie akcje bez ryzyka, po napaści na Polskę wybierając do tego celu Finlandię (jednak ryzyko okazało się za duże, a próba wypadła wprost kompromitująco) i następnie Rumunię, formalnie związaną sojuszem z Polską, która jednak nie była w stanie wypełnić zobowiązań wojskowych, choć w miarę możliwości starała się Polsce pomagać.

Można powiedzieć, że Stalin starając się odbudować armię i prowadząc intensywne zbrojenia, wypróbował dopiero ostrożnie jej przydatność, aby w przyszłości wejść do rozgrywki w momencie, gdy inni uczestnicy wojny będą już wyczerpani. Najlepiej byłoby zająć już gruzy i pobojowiska, ale można też wesprzeć przegrywającą stronę w krytycznym momencie, albo wybrać inny dogodny moment - to jeszcze zależało od okoliczności. Może uda się opanować nareszcie całą Europę, a plan minimum zakładał co najmniej uchwycenie Niemiec, tej upragnionej ziemi obiecanej komunizmu, wskazanej przez Lenina.

Od początku istnienia państwa komunistycznego i niezmiennie potem, ciążyło ono zawsze do Niemiec. Można powiedzieć, że złączenie sił Rosji i Niemiec stanowiło obsesję najpierw Lenina, a potem jego następców.

Powszechnie twierdzono, że Lenin i kierownictwo partii komunistycznej zostali przetransportowani przez terytorium Niemiec i następnie neutralnej Szwecji do Rosji z konkretnym zleceniem - aby dokonać tam rewolucji i rozbić to państwo. Porównywano nawet te metody niemieckiego sztabu generalnego do czegoś w rodzaju wojny bakteriologicznej -

podrzucenia na terytorium wroga śmiertelnej zarazy albo niebezpiecznej trucizny. To oczywiście złośliwe uproszczenia, chociaż w pewnej części mające nieco podstaw, ale jak wiadomo wszystkie kłamstwa aby się przyjąć i być skuteczne muszą zawierać trochę prawdy.

Faktem jest, że Lenin jeszcze przed i także podczas przejazdu przez Niemcy przeprowadził rokowania z niemieckim sztabem generalnym zawierając z nim porozumienie (w dodatku na dość niskim poziomie, co dowodzi, jak bardzo początkowo był niedoceniany) Następnie zaś uczciwie, lub raczej rzetelnie, wykonał to zobowiązanie i wyeliminował Rosję z wojny. Ale faktem jest też, że Lenin był zbyt wybitną i inteligentną jednostką, żeby uważać go tylko za agenta. Wykonał kontrakt, ale nie z powodu zlecenia, ale dlatego, że leżało to w jego własnych planach. Pierwszej ich części, bo druga dotyczyła Niemiec.

Skutecznie rozbił i następnie wyprowadził z wojny Rosję nawet mimo tego, że jego zleciodawcy sprawili mu wiele kłopotów, wycofując się z uzgodnionych warunków i w ostatniej chwili podnosząc cenę w kontrakcie Brzeskim. Lenin jednak szczerze odstąpił dalsze wielkie tereny ziem rosyjskich właśnie dlatego, że jego strategicznym celem było z kolei przejście Niemiec, Podobnie jak przedtem w stosunku do Rosji, wojsko niemieckie stało się obiektem, do którego zastosowano skutecznie wypróbowane już metody bolszewickiej propagandy. Im więcej wojsk niemieckich i im głębiej znalazło się na ziemiach rosyjskich, tym lepiej. Zwłaszcza, że stosunki wzajemne pozostawały nadal bardzo dobre, chociaż oparte na zasadzie daleko idącej usłużności dla Niemców. Skromni i gotowi do wszelkich usług bolszewicy znaleźli wspólny język i bardzo dobrze porozumiewali się, zwłaszcza z niższymi szarżami wojsk okupacyjnych - i bez najmniejszej wątpliwości, jeszcze przed zakończeniem wojny duża większość wojsk niemieckich na wschodzie, może poza korpusem oficerskim, została zbolszewizowana. Powszechnie przyjęto nawet formalne wzory komunistyczne, tworząc rady żołnierskie lub rady żołniersko-robotnicze.

Wypadki nie dają się przewidzieć do końca i historia nie potoczyła się tak, jak oczekiwał Lenin. Po pierwsze, I Wojna Światowa skończyła się zbyt wcześnie. Niemcy skapitulowały, zanim komuniści dostatecznie przygotowali grunt. Rewolucja niemiecka, która rozpoczęła się wkrótce po zawarciu rozejmu (w drugiej połowie listopada i pierwszej grudnia 1918) nie doprowadziła do przejścia władzy przez komunistów, choć były poważne szanse i przez pewien czas losy się ważyły. Kolejne, lepiej obmyślane próby miały miejsce wtedy, kiedy akurat w samej Rosji bolszewicy, pozbawieni pomocy i wsparcia swoich dotychczasowych protektorów, musieli rozpaczliwie walczyć o życie. W Rosji sytuacja ułożyła się odwrotnie, tam bolszewicy ostatecznie zwyciężyli, chociaż biali przez pewien czas mieli spore szanse. Można powiedzieć, że komuniści odnieśli połowiczny sukces, utrzymali

się w Rosji ale nie byli w stanie udzielić skutecznej pomocy towarzyszom w Niemczech, właśnie wtedy, kiedy nawet ograniczona pomoc mogła przechylić szalę.

Natychmiast po rozstrzygnięciu wojny domowej, Lenin zgromadził wszystkie siły, jakimi dysponował, zmobilizował co tylko się dało i rzucił całą Armię Czerwoną w kierunku granicy Niemiec. Celowo nie wymieniał Polski, bo nie chodziło mu bynajmniej o Polskę. Lenin zostawiłby Polskę w spokoju, gdyby nie to, że leżała na drodze, odgradzała Niemcy - po połączeniu z którymi rewolucja miała opanować świat. To właśnie, a nie jakieś drugorzędne spory terytorialne, ani nawet nie apetyty Polaków do wyjścia poza aktualną granicę etniczną i odzyskania dawnych, daleko na wschód wysuniętych granic historycznych uczyniło wojnę nieuniknioną. Może i polityka Piłsudskiego podobnie jak dążenia części Polaków do odzyskania dziedzictwa historycznego, a czasem i swego osobistego, trochę ułatwiły kierownictwu rosyjskiemu sytuację. Ale nawet gdyby Polska zachowała się najbardziej wstrzemięźliwie, zrezygnowała ze wszystkich ziem, które w ciągu półtora wieku niewoli i bezwzględного nacisku uległy już rusyfikacji, gdyby posunęła się nawet do oddania ziem etnicznie zdecydowanie polskich, przyjęła granice na Bugu, a nawet i na Wiśle, nic by to nie zmieniło. Do Berlina, gdzie leżała świetlana przyszłość komunizmu, nie było innej drogi, jak po trupie Polski.

Ta agresja przeciw Polsce spotkała się z pełną aprobatą i poparciem Niemiec. Wprawdzie pokonane i częściowo już rozbrojone Niemcy nie mogły wziąć czynnego udziału we wojnie, może za wyjątkiem lokalnych walk na Śląsku, ale udzielały Rosji wszelkich form poparcia, oprócz bezpośredniego zbrojnego. Nie przepuszczały transportów od państw koalicji w chwilach, kiedy zaopatrzenie stało się dla Polski najbardziej palącą sprawą (i to dotyczyło nie tylko transportu kolejowego, ale również portu w Gdańsku, formalnie stanowiącym oddzielne wolne miasto, które miało uwzględniać potrzeby gospodarki i transportu Polski, jednocześnie zachowując całkowitą wolność wewnętrzną). Wzmogły też stan napięcia wzdłuż całej granicy niemieckiej, co powodowało konieczność utrzymywania tam pewnych sił, życiowo potrzebnych na froncie. W składzie Armii Czerwonej walczyły pułki ochotników niemieckich (które, być może stały się później wzorem dla tzw. brygad międzynarodowych; jednak ten fakt raczej nie stanowił inicjatywy niemieckiej, a jedynie tych tylko Niemców, którzy nie zdołali przedtem ewakuować się z Rosji. Raczej niewielu z nich trafili do Armii Czerwonej ze względów ideologicznych, większość po prostu korzystała z jedynej dostępnej drogi na zachód). Publicznie manifestowano też poparcie dla Armii Czerwonej. Każdy jej sukces prasa niemiecka przyjmowała z entuzjazmem, co było o tyle dziwne, że przecież rząd niemiecki dopiero co z trudem pokonał u siebie komunistów,

bynajmniej nie ostatecznie i powinien się obawiać się, że zbliżanie Armii Czerwonej znowu ich zaktywizuje i zapowiada poważne kłopoty.

Rosjanie zaś całkiem oficjalnie zapowiedzieli, że po zwycięstwie, połączonym z utworzeniem komunistycznej Polski, która tak, jak inne podobnie „niepodległe” republiki weszłaby niewątpliwie w skład ZSRR, ziemi polskie dawnego zaboru pruskiego, tzn. Pomorze, Śląsk i Wielkopolska, zostaną ponownie przekazane Niemcom. Polskim komunistom (bo naturalnie i tacy byli po stronie rosyjskiej), wyjaśniano, że w przyszłym zjednoczonym państwie sprawa granic i tak będzie miała drugorzędne znaczenie, doraźnie zaś chodzi o cel taktyczny: pozyskanie sympatii Niemców.

Po zwycięskiej wojnie i ustanowieniu granicy przyjaźni, Niemcy miały być najpierw infiltrowane, przy rozwijaniu dotychczasowych przyjaznych stosunków i wykorzystaniu poprzednio nawiązanych kontaktów oraz oczywiście nawiązaniu łączności z komunistami niemieckimi, którzy zdołali uzyskać w Niemczech duże wpływy. Krótko mówiąc, chodziło o doprowadzenie do końca procesu, który okazał się tak skuteczny w stosunku do wojsk okupacyjnych, a został przedwcześnie przerwany z powodu kapitulacji Niemiec. Jednocześnie wspólna granica umożliwiałaby Armii Czerwonej przekazywanie pomocy, w uzbrojeniu i materiałach, komunistom. Towarzysz Radek zapewniał Lenina, że to na pewno wystarczy i że równowaga sił sama nieuchronnie przechyli się na stronę niemieckich komunistów, którym Armia Czerwona udzieliłaby bratniej pomocy tylko w razie jakichś nieprzewidzianych okoliczności.

Polacy oczywiście nie patrzyli na to w tak syntetyczny, ogarniający wszystkie aspekty sprawy sposób, nie rozważali daleko sięgających konsekwencji. Dla nich była to po prostu obrona konieczna. Zostali znów napadnięci przez tego samego zaborcę, który już kilkakrotnie nachodził ich wojną, zwyciężył uprzednio i półtora wieku trzymał w niewoli. Teraz groził im ten sam los.

Jednak bitwa pod Warszawą, którą Piłsudski najwyraźniej oparł na niezrealizowanych dawnych planach Prądzyńskiego jeszcze z 1831 r. (dalekiego obejścia prawą stroną i zaatakowania tyłów armii idącej na Warszawę), zadecydowała co najmniej na 18 lat o kształcie Europy. Piłsudski może i nie miał fachowego przygotowania wojskowego, ale bardzo dokładnie studiował historię, strategię i taktykę powstań 1863 i 1830 r. Nie powstało wielkie komunistyczne mocarstwo, łączące Rosję i Niemcy. W decydującym momencie przyszłość świata przechyliła się na inną stronę. ZSRR i Niemcy pozostały odgradzone, zamiast utworzyć potęgę, która gwarantowałaby zwycięstwo rewolucji w reszcie Europy i

dalej. Niewątpliwie określiło to dalsze dzieje świata i zdarzenie to jeszcze i teraz wpływa na współczesne losy, chociaż trudno dokładnie sprecyzować, jak dalece.

Najpierw przestał istnieć mocodawca, niemiecki sztab generalny, a w parę lat później umarł także Lenin. Ale plan połączenia sił, jakby wspólny testament, nadal zachował dla obu stron swoją atrakcję. Przecież jeszcze niedawno Niemcy, przez ponad cztery lata przeciwstawiały się całej reszcie świata, a nawet okresami wydawało się, że wygrywają. Czego mogliby dokonać, mając Rosję za sobą a nie przeciw sobie, dysponując tak ogromnymi rezerwami ludzi, ziem i surowców. Znali wartość tych zasobów, bo w 1918 r już zaczęli z nich korzystać, ale jeszcze nie zdążyli wprowadzić należytej organizacji, planowania i niemieckiego porządku. Ale i tak korzystanie z zasobów Rosji przyniosło poważną ulgę nadwyrężonej już gospodarce niemieckiej.

A młody i drapieżny, głodny bolszewizm też walczył ze wszystkimi dookoła i poważnie planował rozniesienie swego panowania na cały świat, szykował się do ekspansji bez względu na cenę. Czego mógłby dokonać wsparty niemiecką organizacją, techniką i technologią, produkcją przemysłową. Idea współpracy była pociągająca dla obu stron. Nie wyjaśniono tylko jednego drobnego szczegółu: kto w tym związku miał być koniem, a kto jeźdźcem. Ale obie strony miały wyrobione zdanie na ten temat i spodziewały się, że dalszy rozwój wydarzeń wyjaśni to po ich myśli.

W ten sposób doszło do tajnego traktatu w Rafallo, zawartego przez spadkobierców władzy po obu stronach. Współpraca wojskowa nie mogła przybrać zbyt widocznych dla całego świata rozmiarów, ale i tak miała dla obu stron doniosłe znaczenia i następstwa. Mało kto na przykład pamięta dzisiaj, że czołowi niemieccy lotnicy, prawie wszyscy Eichenlaubtraeger mit Schwerter und Brillanten z Moelders'em i innymi asami zostali wyszkoleni w Rosji (a właściwie dalekiej wschodniej Ukrainie, akurat tam, skąd w 1918 r. wyruszały i czasem docierały do Vaterlandu a czasem nie pociągi ewakuacyjne Wehrmachtu). Tak na przykład adiutant Hitlera, Nicolaus von Below, lotnik też wyszkolony w ZSRR - w swoich pamiętnikach wspomina, że, oprócz normalnych raportów drogą służbową - opowiadał o tym również Hitlerowi, który w rozmowie interesował się wszelkimi szczegółami.

Niemiecko-sowiecki sojusz, a ściślej mówiąc pakt przyjaźni i współpracy nie były żadną zadziwiającą improwizacją Hitlera, ale miały za sobą długą tradycję. Wydawało się jednak, że Hitler tradycję tą definitywnie pogrzebał, tymczasem on nieoczekiwanie wyciągnął ją ponownie, jak asa z rękawa (lub królika z kapelusza).

### **Rosja i Niemcy, twórczy wkład Hitlera i Stalina.**



Hitler doszedł do władzy po trupach niemieckich komunistów. Bez nich nigdy władzy by nie zdobył. Po przegranej wojnie i szybkim rozprzestrzenieniu się komunizmu w Niemczech, powstały głównie do walki z nim mniejsze i większe prywatne armie, tzw. Freikorpsy. Werbowaly one doświadczonych (w zabijaniu) żołnierzy frontowych, którzy po powrocie nie znaleźli dla siebie miejsca w społeczeństwie, ani środków utrzymania. W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że Hitler, zatrudniony jako referent KO i propagandzista, najpierw dorobił ideologię do potrzeb Freikorpsów. Potem wzbogacił ją o hasła populistyczne, przemawiające do najniższych instynktów, zapożyczone wprost od komunizmu, w celu dodania ideologii i otwarcia na masowego odbiorcę o niskim poziomie umysłowym.

Odniósł w tym sukces i pozyskał ludzi z byłych Freikorpsów, uzupełniając ich szeregi całą masą mocnych prymitywów. Przejął ich metody pracy, ulepszając je o nowe wzory prosto z ZSRR. Początkowo walczył głównie z komunistami i ulice niemieckich miast dosłownie spłynęły krwią. Ze względu na skuteczność w zbrodniach, patroni dawnych Freikorpsów przenieśli mecenat na Hitlera. Po dojściu do władzy, praktycznie całkowicie zniszczył tę najliczniejszą niemiecką partię, wzbogacając bestialskie metody terroryzmu państwowego, wypróbowanymi wzorami radzieckimi. Już wtedy wywołało to obrzydzenie cywilizowanego świata, ale wielu ludzi nie zwracało na to uwagi, twierdząc, że metody może i są nieludzkie, ale stosowane do takich ludzi, którzy sami też je stosują, a nawet pierwsi je wprowadził, teraz zaś poznają smak własnego lekarstwa. Dopiero kiedy przy braku ofiar, Hitler przeniósł terror na wszelką opozycję, a także rozpoczął masowe prześladowania Żydów oraz, na razie jeszcze indywidualne ich mordowanie, dotarło to do opinii światowej.

Wyraźna aberacja umysłowa jaką była teoria rasistowska powodowała, że Hitler w ogóle nie brał dotąd pod uwagę współpracy z Rosją, nawet pod zwierzchnictwem Niemiec. Zakładał, że w ogóle nie istnieje żaden naród rosyjski, a tylko nieokreślona i bezwartościowa mieszanina różnych ras i nie nadaje się ona nawet do roli konia z Niemcami w siodle, a jedynie jako mięso, pokarm dla wzmocnienia narodu niemieckiego. A najlepiej nawóz do użyznienia ziemi, rozległych rosyjskich ziem, które miały w przyszłości wyżywić sto, a docelowo dwieście milionów Niemców i to wyhodowanych według specjalnego planu, który w przyszłości miał odtworzyć czystą rasę nordycką.

Najdziwniejsze wydaje się to, że Stalin nie tylko biernie patrzył, ale nawet skrycie, aktywnie poparł wytępienie przez Hitlera komunistów w Niemczech. Stalin miał różne możliwości udzielenia choćby ograniczonej pomocy towarzyszom niemieckim, od wsparcia materialnego. przez różne działania konspiracyjne i wywiadu, aż do udzielenia im

schronienia, azylu politycznego. Tymczasem nic z tych rzeczy. Przeciwnie, w najgłębszej tajemnicy działał na ich zgubę, uzupełniając praktycznie akcję Hitlera. Właśnie jego dyrektywy i polecenia udaremniły ostatnią, już rozpaczliwą akcję buntu komunistów, przejścia władzy w Turyngii gdzie mieli szanse. Stalin wymienił siatkę wywiadowczą i agentury w Niemczech, a nowej wydał polecenie nie tylko unikania jakiegokolwiek pomocy dla niemieckich komunistów, co w końcu możnaby uzasadnić, ale nakazał wręcz likwidowanie po cichu wybitniejszych przywódców i silniejszych komórek organizacyjnych.

Niemiecka partia komunistyczna dotąd najliczniejsza, nie mogła się ostać pod ciosami obucha Hitlera i jednocześnie jadowicie kłasnana przez Stalina, którego przecież uznawała za nadrzędnego przywódcę wszystkich komunistów. Uciekinierzy, którzy spodziewali się znaleźć schronienie w Rosji, nie przeżyli, z wyjątkiem tych, którzy zgodzili się śledzić i wydawać swoich kolegów, pomagać katom GPU, a później NKWD. Resztę tych uciekinierów Stalin wydał wprost w ręce Gestapo jako gest dobrej woli wobec Hitlera, w jesieni 1939, już po wspólnym podboju Polski i bezpośrednio po wspólnej defiladzie zwycięstwa w Brześciu. Pozostawił tylko nielicznych, wypróbowanych prowokatorów, współpracowników NKWD i współmorderców swoich kolegów. Później im właśnie polecił odbudowanie nowej partii komunistycznej. Do dziś nie są jasne motywy działania Stalina. Zresztą nie łatwo zrozumieć jego mroczną psychikę: Czy wspierał on Hitlera widząc w nim przydatne i potrzebne, nieświadome narzędzie które rozwali wreszcie ustalony porządek w Europie, aby na gruzach i cmentarzach powstały wreszcie warunki do zwycięstwa komunizmu? Pług, który zorze ziemię wraz z krwią i ciałami pod nowy zasiew? Czy też była to wielka nieodwzajemniona miłość jego życia, odkrycie bratniej duszy, fascynacja drugim potworem? Jedno zresztą nie wyklucza drugiego: każdy z tych, dla braku słów powiedzmy że ludzi, chciał zawładnąć światem, a więc tylko jeden mógł ostatecznie przeżyć. Ale istnieją zboczenia umysłowe, kiedy planuje się zniszczenie kogoś, kogo się podziwiał i uwielbia właśnie dlatego, gdyż podnosi to poczucie własnej wartości, przewagi. Na zasadzie: taki to potężny i sławny łowca, a jednak ja go zjadłem, a nie on mnie, Obie te możliwości są dla normalnego człowieka trudne do przyjęcia. Pierwsza jest mało prawdopodobna, gdyż zakładałaby, że Stalin miał nadzwyczajną zdolność przewidywania wypadków i znajomość ludzkiej psychologii: wyhodować tygrysa, dbając o to żeby stał się mocny i wielki, podkarmiając go nawet mięsem swoich towarzyszy i to tak, żeby on tego nie zauważył - wszystko to w założeniu, że ten tygrys da się skierować w wyznaczoną stronę i zaatakuje niedosięgalnych innymi sposobami wrogów, a przy tym i sam zostanie ciężko poraniony? To wydaje się wprost niewiarygodne, a co więcej Stalin nie wykazał się nigdy dotąd umiejętnością tak skomplikowanego, dalekiego

planowania. Zresztą temu tygrysowi sam dał się zaskoczyć i omal nie został pożarty. Popęnił przy tym tak oczywiste i głupie błędy, że nie pasują one do obrazu umysłu, zdolnego do snucia tak misternej, szatańskiej inspiracji przez całe dziesięciolecie.

Drugie przypuszczenie wydaje się po prostu fantastyczne. Jedyne co za nim przemawia, to niespotykane, kompletne załamanie się, kiedy wbrew chciejstwu, przekonaniu i ocenom Stalina, ten sygnalizowany od dawna atak tygrysa nastąpił. Nigdy dotąd Stalin nie zdradzał objawów takiej głębokiej depresji i chyba paniki (przez kilkanaście dni nie był w stanie pełnić swoich funkcji), a przecież miał za sobą wiele innych niepowodzeń, nawet katastrof wszystkich planów.

Stalin był typowym nieudacznikiem, psuł wszystko, do czego się zabrał. Do znaczenia doszedł jako wykonawca i zausznik, natomiast absolutnie nie nadawał się do samodzielnych zadań. Tak na przykład on właśnie spowodował katastrofę Armii Czerwonej pod Warszawą, gdyż odciągnął Konarmię Budionnego, jedyną rezerwę którą Tuchaczewski mógł dysponować, do drugorzędnych celów. Zamierzał odnieść choć jedno samodzielne zwycięstwo, zdobyć Lwów a w rezultacie nawet tego lokalnego zwycięstwa nie odniósł i ostatecznie doprowadził do klęski również i Konarmii pod Komarowem. Na szczyt trafił jako zero, które umieścili tam rywalizujący po śmierci Lenina ważniejsi działacze, przekonani, że tak mały i marny człowiek nikomu z nich nie zagrozi.

Wtedy jednak okazało się że ma jedną zdolność i zamiłowanie, które dopiero teraz mogło się rozwinąć, a to do posługiwania się śmiercią. Stalin nie tylko mordował masowo dla strategicznych, a nawet i taktycznych celów, jak Hitler. Stalin mordował z zamiłowaniem również swoje najbliższe otoczenie, może po prostu nie umiał inaczej, bo taka była jego natura - jak w wypadku znanej opowieści o skorpionie.

Zlikwidował najpierw swoich protektorów i prawie wszystkich dawnych przywódców partii, wszystkie omal osoby, z którymi stykał się albo współpracował przed dojściem do władzy. Potem wymieniał swoich podwładnych, zawsze w ten sam sposób. Szansę na przeżycie w jego bliskości mieli tylko ludzie, nawet nie tyle całkowicie ulegli, bo temu też nie dowierzał, ale wyraźnie ustępujący mu umysłowo, jeszcze bardziej prymitywni i którym od czasu do czasu nie udawało się wykonać poleceń. Jednym słowem jeszcze więksi nieudacznicy, najwyraźniej nie zdolni do żadnej samodzielnej akcji. Tak np. ze starych współpracowników przeżył Budionny, a po wielokrotnej wymianie i likwidacji szefów bezpieczeństwa, na nieoczekiwanie długi czas ustalił się Beria, tak przeżył Chruszczow, który, jak kiedyś Klaudiusz, tylko udawał głupka.

Na liście masowych morderców Stalin zajmuje niekwestionowane pierwsze miejsce. Starożytni okrutni władcy, o których przetrwały opowieści, to tylko drobni detaliści. Dzingis-Chan i Tamerlan, których Hitler stawiał za wzór wojsku, rozpoczynając wojnę z Polską, to też małe piwo. Nawet sam Hitler zajmuje dalekie drugie miejsce. No tak, ale gdyby Hitler miał tyle czasu, co Stalin, poprawiłby zapewne swój wynik. Miał jednak do dyspozycji tylko kilka lat, razem z wojną około dekady, a Stalin rozwijał się i doskonalił kilka dziesięcioleci. W samym ZSRR, nie licząc wojny wymordował, a właściwie spowodował śmierć zapewne co najmniej czterdziestu milionów ludzi (wraz z ofiarami sztucznie spowodowanego głodu). To on, wspólnie z Hitlerem przygotował i wywołał II Wojnę Światową, więcej, to on był spiritus movens, zainspirował szaleńca i włożył mu do rąk ogień do podpalenia świata. Nie licząc tego, co zrobił w innych krajach, w tym również i w Polsce, bo, w porównaniu do przestępstw wewnętrznych to była znacznie mniejsza skala: w Polsce, wliczając wszystkie okresy liczba spowodowanych przez niego ofiar nie przekroczyła 1,5 miliona, a we wszystkich innych krajach razem z Niemcami, była znacznie mniejsza.

Z pewnością mord w takiej skali musi być aberracją umysłową której my, zwykli ludzie, nigdy nie zdołamy pojąć. Uważa się, że albo rozwinęła się ona z instynktu przywódcy stada, lub dzikiego kacyka, który już z góry eliminuje każdą potencjalną konkurencję, albo też z potrzeby kompensacji kompleksu niższości. Mogłoby na to wskazywać na przykład odszukanie w najgłębszej tajemnicy i sprowadzenie do Moskwy szczątków Hitlera, którego czaszkę kazał Stalin przechowywać. Zresztą i później, Beria podobno zepsuł zamach na Tito nie tylko dlatego, że był nieudolny, ale ponieważ Stalin zażądał głowy Tito bynajmniej nie w przenośni (w tym wypadku Beria bardzo się starał, ale znów dowiódł że jest nieudacznikiem jeszcze większym od samego Stalina, dlatego sam nie tylko przeżył, a nawet poprawił swoją pozycję).

Hitler przeciwnie, nie odczuwał wzajemnej fascynacji dla osoby Stalina. Wyrosły, a właściwie już w dojrzałym wieku wzmocniony i wykarmiony na mięsie komunistów, a jednocześnie kopiujący ich metody, po prostu konsekwentnie trzymał się tej drogi, która doprowadziła go do sukcesu. Jak już wspomniano, karierę rozpoczynał jako najemny ideolog dla band najemnych morderców.

W tej roli okazał się tak przekonujący, że zdołał ich zjednoczyć i został czymś w rodzaju proroka. Sekret był prosty, obiecywał łatwo i dużo, ale przy tym umiał wyczuć, na czym komu najbardziej zależy. To - i wiele innych metod postępowania przejął wzorując się właśnie na komunizmie (podobnie Lenin wysunął najbardziej wówczas popularne hasła, ziemia dla chłopów i koniec wojnie, lecz gdy doszedł do władzy całą ziemię chłopom zabrał,

a wojna dla Rosji przedłużyła się, można powiedzieć dwukrotnie, krwawe rzezie trwały jeszcze lata, gdy reszta świata żyła już w pokoju). Także wiele innych praktycznych rozwiązań i haseł ideologicznych przejął Hitler od komunistów.

Pod tym względem nie miał najmniejszych oporów, przejmując od każdego to co uważał za skuteczne w działaniu. Hitler miał umysł eklektyczny, stworzony przez niego system był wynalazkiem polegającym na nowej kombinacji znanych uprzednio elementów, nie miał ani czasu ani zdolności do stworzenia czegoś od podstaw nowego. Toteż zapożyczał szczerze i to nie tylko od komunistów. Stawiał za wzór Czyngis-chana i Tamerlana, ale także zwrócił uwagę na bezwzględność, a także skuteczność Cezara, stawiał swemu otoczeniu jako wzór metody, jakimi Rzymianie wytępilli do końca Kartagińczyków i prawie Helwetów, traktując ich najpierw formalnie jako Sprzymierzeńców Narodu Rzymskiego i wydając niemożliwe do spełnienia polecenia, następnie zmuszając do rozbrojenia i w końcu tępiąc do końca lub wpędzając w położenie, gdzie musieli zginąć. Jednocześnie był zafascynowany mafią, ale jeszcze bez porównania bardziej różnymi dawnymi tajnymi stowarzyszeniami od Różokrzyżowców do Okrągłego stołu i narzucał szalone programy badań w nadziei znalezienia jakiegoś przydatnego wzoru, kazał też studiować metody działania gangsterów amerykańskich, a także pitagorejczyków.

Jednym słowem, nie zanieczywał żadnej ewentualności, a przy tym nie dbał, czy stworzona konstrukcja jest ze sobą spójna, chodziło tylko o to czy fragmenty przynoszą doraźną korzyść. Po tym po prostu przechodził do dalszych, większych planów jak gracz który wbrew systemom po wygranej stale powiększa stawkę.

Oczywiście, nie byłby w stanie wypełnić obietnic złożonych bandom zbójów i gangsterów, które wyniosły go do władzy, nawet gdyby został jednocześnie Aleksandrem Wielkim, Cesarzem Chin i Imperium Rzymskiego. Dlatego powołał wyspecjalizowaną, początkowo wąską i otoczoną tajemnicą chociaż formalnie jawną organizację poświęconą sztuce zabijania i kultowi śmierci i wierności (to ostatnie oczywiście do swojej osoby). Początkowo ograniczone do stu tysięcy czarne SS poszczute na SA, sprawiło taką rzeź wśród ponad trzech milionów brązowych bandytów, które wyniosły go do władzy i oczekiwały zapłaty, że po wymordowaniu przywódców żaden dawny SA-man nawet w myśli nie odważył się niczego żądać a tym bardziej nie być pokornie posłusznym.

Jest znanym faktem, że każdy przestępca ma skłonność do powtarzania swoich pierwszych zbrodni, zwłaszcza jeżeli zakończyły się powodzeniem. Hitler także tęsknił do smaku krwi komunistów nawet wtedy, kiedy w opanowanym już kraju ich zabrakło. Właśnie ta krew, zapewniła mu najpierw napływ środków materialnych i ciche, a czasem nawet i

jawne poparcie ludzi wpływowych, ustosunkowanych, bogatych i potężnych. Ludzi, którzy uważając komunizm za esencję zła i niebezpieczną zarazę, nie mieli nic przeciwko wyhodowaniu potwora który pożre inne potwory. Na tym Hitler oparł swoją dotychczasową karierę - i teraz nie miał zamiaru jej poprzestać, ale przeciwnie, rozwinąć ją dalej na skalę światową.

W samych Niemczech to zadanie już wypełnił i może przestałby być potrzebny, ale tak urósł w siły, że nie potrzebował pomocy, sam już mógł brać sobie wszystko, co zechciał. A potrzeby miał ogromne, bo choć nie nagroził dawnych kompanów, to potrzebował poparcia i musiał wciąż kupować nowych zwolenników i przynajmniej niektórym coś rzucić na zachętę. Zabierał swoim dawnym protektorom, ale jeszcze nie wszystko, zachowując w tym wypadku pewien umiar.

Ale od wielu wieków, ofiarami rabunków i prześladowań na ziemiach niemieckich, i nie tylko, byli Żydzi, którzy dlatego przez pewien okres dziejów emigrowali prawie kompletnie do Polski, a po dotrwanu do czasów bardziej cywilizowanych, znowu częściowo wrócili na zachód. Doświadczenia historyczne podpowiadały, że jest to kąsek tłusty i bogaty, a przy tym słaby i bez szans skutecznej obrony. Ich mienie najłatwiej mógł zrabować i rzucić swoim wyznawcom - bo kult Hitlera (podobnie jak Stalina) zagubił już pozory racjonalne i nabrał cech jakiejś fantastycznej quasi-religii. Trudno zrozumieć dalszy rozwój wypadków. Ale historia zna przypadki, kiedy bezbronność i brak jakiegokolwiek oporu ze strony ofiar, powodowały właśnie wściekłość i zapamiętanie oprawców. Na przykład irlandzcy mnisi, którzy z początku też byli dla wikingów tylko łatwą ofiarą, a stopniowo stali się zwierzyną ściganą w sposób przekraczający zarówno zapal łowiecki jak i zdrowy rozsądek, po prostu z jakimś niepojętym szaleństwem mordowani aż do granic ówczesnego świata i nawet dalej. Tak samo stało się z Żydami. Poza granicami Niemiec, Hitler nadal mógł liczyć na wielu wpływowych i bogatych patronów, chociaż teraz już zdecydowanie woleli oni pozostawać w cieniu. Nie jest więc bynajmniej absurdem, że jeszcze później, w czasie wojny usiłował porozumieć się z niektórymi przeciwnikami i odwrócić sojusze, upatrując taką szansę znowu w walce z komunizmem, staniu się jej czołową postacią, przywódcą, pozał się Boże, krucjaty. Spodziewał się, zupełnie konkretnie, że sympatie do niego odżyją znów, kiedy wreszcie da tym potężnym i możnym, cichym sympatykom to, czego zawsze najbardziej chcieli - bliską likwidację komunizmu. Ale Hess trafił do zamkniętych drzwi, a potem za inne.

Jedno jest pewne, Hitler nigdy nie cierpiał na kompleks niższości jak Stalin. Przeciwnie, przez cały czas sądził, że jest geniuszem i nigdy tego nie ukrywał. Nie mówił tylko głośno, że ludzie dookoła, to po prostu stado głupców, których był w stanie

doprowadzić gdzie zechce, bo po prostu nie potrafią się posługiwać własnym umysłem. Zrozumiał to po raz pierwszy dopiero w czasie I Wojny Światowej, kiedy jako goniec kompanii i później batalionu, przeżył bez trudu poczwórny okres połowicznego zaniku dla gońców - po prostu dlatego, że postarał się roznosić rozkazy i meldunki po zmroku - co właściwie powinno być dla każdego najzupełniej oczywiste, a jednak nie było. Jakimi durniami byli ci nadęci, zarozumiali, wykształceni oficerowie, jaki idiotyczny był regulamin. Tylko kapitan Hess zgodził się wysłuchać rozsądnej propozycji i potrafił ją zrozumieć. A po pewnym czasie, zezwolił żołnierzowi trzymać małego pieska. Tchórzliwego małego pieska, którego Hitler musiał nosić na rękę, ale który miał dobry nos, z daleka wyczuwał obecność nieprzyjaciela na ciemnym przedpolu i zaczynał się trząść ze strachu. Zupełnie niezgodnie z regulaminem, ostrzegał swego pana jak radar (później, mały piesek nie pasował do image wielkiego Fuehrera, wypadło żeby to był co najmniej wilk). Ale jeden kapitan nie mógł wygrać całej wojny. Może i byli gdzieś inni rozsądni oficerowie, ale Hitler ich nie widział. A co do generałów i wyższego dowództwa, to nie tylko Hitler, ale właściwie wszyscy żołnierze frontowi nie mieli złudzeń. Oczywiście Niemcy mogłyby, powinny wygrać wojnę dziesiątki razy, gdyby na górze był ktoś z głową. On sam zwyciężyłby sto razy, po prostu eliminując najbardziej niedorzeczne, absurdałne sposoby prowadzenia działań. Ale na szczęście i wrogowie nie byli ani trochę mądrzejsi. Dopiero na samym końcu wojny, kiedy było już za późno, w ostatniej ofensywie Niemcy zastosowali trochę rozsądnych metod. Potem, po wojnie też sprawy powinny być dla każdego oczywiste. Bolszewicy zdobywali wpływ na masy po prostu dlatego, że mówili ludziom to, co ci chcieli usłyszeć, obiecywali to, czego ci od początku pragnęli. Należało po prostu zrobić tak samo, wybrać i przejąć najbardziej popularne hasła - no i oczywiście podkreślić, że druga strona tylko kłamie - też prawda. Samo tylko przeciwstawienie oddziałów najemnych morderców masowemu ruchowi nie mogło wystarczyć, ale przy dwóch masowych ruchach i przy bezwzględnych zbrodniarzach po obu stronach, lepiej opłacane bandy morderców powinny zapewnić przewagę. Opłacana zawodowa lub regularna siła jest dobrym atutem, jak to widać było już przedtem na przykładzie Rosji, gdzie sama obecność wojsk niemieckich zapewniła początkowo uprzywilejowaną sytuację bolszewików.

Te jego przewidywania się sprawdziły - zresztą ani przez chwilę nie miał w tej sprawie żadnych wątpliwości - i w wyniku pochwycił władzę (prawdopodobnie nie zdając sobie sprawy z pomocnej roli Stalina). Dalszą drogę widział przed sobą, jak na dłoni. Otaczały go przecież państwa i kraje rządzone przez idiotów lub niedołęgów, nad którymi miał nieskończoną przewagę. Nie tylko to, trudno nawet mówić o rządzeniu, ci ludzie nie

mieli przecież prawdziwej władzy lecz tylko wydzierali sobie nawzajem jej strzępy. Zajęci wyłącznie walką między sobą, gotowi byli sprzymierzyć się nawet z diabłem, byle tylko wyprzedzić najbliższych konkurentów. Tak, to było właśnie to, byli gotowi do każdego układu, byle tylko wysunąć się do przodu, poprawić swoją pozycję. Choćby dzięki temu, że oni potrafili porozumieć się z nową siłą, z kimś kto mógłby okazać się niebezpieczny, gdyby nie ich zdolności. To oni będą zabiegać o jego względy, prześcigać się w okazywaniu swej usłużności i dbałości o jego dobro, bo tamci inni nigdy by się na to czy owo nie zgodzili, ale oni zawsze dbali i będą dbali nadal o dobre stosunki. Nie dadzą, nie ustąpią, ale sami posłusznie zaaportują każdą rzecz, którą mógłby zechcieć i będą szczęśliwi, jeżeli przyjmie ją z ich rąk. Nazwano to appeasement, czyli podlizanie.

Był jeszcze ten błazen, za oceanem. Ośmiesza się tylko, kiedy przybierając moralizatorski, napuszony ton wtrącał się do Europy i poucza jego, prawdziwego geniusza. To nawet było denerwujące. Na szczęście miał tyle problemów wewnętrznych na swoim podwórku, że nie było mowy o skutecznej interwencji. W każdym razie nie teraz. co innego, gdyby Niemcy wplątały się w długotrwałą wojnę. Ale on, Hitler wszystko dokładnie obliczył i przewidział, miał precyzyjny plan na każdy dzień i godzinę. Tylko Stalin ma prawdziwą władzę, ale to przecież nie równy przeciwnik, geniusz, a tylko prymitywne, choć krwawe zwierze, nad którym ma nieskończoną przewagę intelektualną. Doskonale go rozumie, tak, jakby mógł zajrzeć wprost do jego głowy i zawsze potrafi go wykołować, jeżeli zechce.

A właśnie trzeba tego dowieść. W 1936 r Hitler dopiero na serio zaczynał zbrojenia, zaś ZSRR już je kończyło. W ciągu 15 lat Rosjanie, kosztem nieprawdopodobnych wyrzeczeń, ofiar, klęsk głodu, śmierci albo z wyczerpania, albo od kuli i bata - zbudowali wprost nieprawdopodobną, najsilniejszą na świecie armię. Armię świetnie uzbrojoną i wyszkoloną. Armię, której uprzywilejowani oficerowie naprawdę zjednoczeni byli esprit de corps, a indoktrynowani żołnierze głęboko wierzyli, że to oni rozniosą wielką rewolucję światową i w większości pragnęli tego. Armię, która dysponowała wszystkim, o czym gdzie indziej teoretycy wojskowi dopiero rozważali: wielkie jednostki wojsk spadochronowych - na manewrach pod Kijowem przeprowadzano desanty całych dywizji w jednym rzucie, kiedy na zachodzie Europy uważano za zdumiewający wyczyn zrzuć jednej kompanii, a w Niemczech gen Student dopiero przekonywał Hitlera o przydatności wojsk spadochronowych; całe korpusy pancerne i zmechanizowane, kiedy w Niemczech prowadzono jeszcze ćwiczenia z tak wyśmiewanymi później drewnianymi makietami czołgów, a Guderian przedkładał dopiero swoje studia nad organizacją dywizji pancernej. Lotnictwo ZSRR przewyższało niemieckie co najmniej dziesięciokrotnie, nie mówiąc o lepszych typach maszyn. w ogóle



Armia Czerwona miała bardzo nowoczesne uzbrojenie, przeważnie projekty opracowane i uzyskane niejasną drogą z USA, jak na przykład ręczna broń maszynowa, która nie weszła jeszcze w skład uzbrojenia żadnej armii, nawet USA, a jedynie w skład uzbrojenia gangsterów, a pionierskie prace nad jej zastosowaniem przeprowadził Al Capone (który niewątpliwie wniósł znaczny wkład w taktykę stosowania broni maszynowej w warunkach miejskich). Albo też czołg o zdumiewająco nowoczesnej konstrukcji i znajdujący się w masowej, seryjnej produkcji, najwyraźniej dostosowany do zachodnioeuropejskich dobrych dróg, a mało użyteczny na bezdrożach Rosji i Ukrainy. Tak, ta armia była już prawie gotowa i wkrótce mogła być użyta.

Czyż ci wszyscy głupcy nie zdawali sobie z tego sprawy? A Niemcy absolutnie nie byli jeszcze zdolne do wojny, nawet do obrony, nie mówiąc już o wyprzedzającym ataku. Hitler polecił przeprowadzenie studiów, wynikało z nich, że tym razem Armia Czerwona zdolna jest pokonać Polskę w ciągu kilku miesięcy. Nawet ograniczona pomoc w działaniach opóźniających nie mogła uratować Niemiec. W dodatku Armia Czerwona nie musiała czekać na zajęcie Polski - po co zorganizowano wielkie jednostki spadochronowe, po co skonstruowano i wprowadzano latający czołg (właściwie prawidłowo powinien nazywać się szybujący, zdolny tylko do jednego lądowania, po czym odrzucał skrzydła przy pomocy ładunków wybuchowych). Zresztą i te zwyczajne szybkie czołgi (BT znaczyło właśnie bystrochodnyj tank), gdy dotrą do dobrej i gęstej sieci drogowej, to w jednym dniu zdolne są przebyć Niemcy aż do Linii Maginot'a.

Na szczęście,- rozważał Hitler,- Stalin jest ostrożny i nieufny, albo raczej tchórzliwy, na pewno nie potrafi się zdecydować tylko będzie czaił się i wyczekiwał. Najpierw wszystko musi być związane na ostatni guzik, potem będzie chciał, żeby go przekonywano że tak jest na prawdę, a w końcu żeby najpierw w Europie zrobiło się gdzieś jakieś poważne zamieszanie. A ponieważ to właśnie on, Hitler, robi te zamieszania a wszyscy inni siedzą cicho, więc na razie kontroluje sytuację. Przez pewien czas będzie dużo i głośno mówił o trwałym pokoju. On na miejscu Stalina by nie czekał, kiedy wszystko jest gotowe, to zaczyna być już przestarzałe. Armia jest bardzo kosztownym instrumentem, który tworzy się do konkretnego celu. Kiedy jest gotowa, powinna walczyć, albo sama niszczyć. Jeżeli uda się przeciągnąć ostateczną rozprawę o kilka lat, to Armia Czerwona z maksimum zejdzie na opadający odcinek krzywej, a przeciwnie, Wehrmacht znajdzie się przed maksimum na rosnącym.

Dobrze byłoby znaleźć jakieś zajęcie dla Stalina, podsunąć mu jakiś problem. Co mogłoby go najbardziej zainteresować? - Na to pytanie nie trudno odpowiedzieć. Najwyraźniej od chwili dojścia do władzy, Stalin widział w otoczeniu tylko bandy

zwyrrodnialców, zaprzańców, zboczeńców i oczywiście zdrajców i zajmował się rozgramianiem ich (według jego własnych słów, right from the horse mouth). Zabijał na gigantyczną skalę i tutaj Hitler dopiero miał zbliżyć się do podobnego poziomu. Stalina najbardziej pociągało najbliższe otoczenie, po prostu ludzi których znał i widział automatycznie podejrzewał, nie umiał się temu oprzeć. Pierwsza myśl przy kontakcie z kimś kto znalazł się w pobliżu to było „Czy on może mnie zabić?”, a druga „A czy ja zdążę to zrobić pierwszy?” Logiczne było podsunąć podejrzenia, że w Armii Czerwonej jest coś nie w porządku, w kierownictwie, wśród ludzi znanych mu osobiście.

Hitler polecił w najgłębszej tajemnicy i to nawet nie wywiadowi niemieckiemu, ale nowo utworzonemu, swojemu jakby prywatnemu wywiadowi SS przygotowanie fałszywych dokumentów, wskazujących na spisek w Armii Czerwonej. Wykorzystywano w tym poprzednie, w tej chwili już faktycznie nieistniejące powiązania z Reichswehrą. Tak spreparowane materiały pozwolono następnie wykraść wywiadowi czeskiemu. Prezydent Benesz, który usilnie dbał o dobre stosunki z ZSRR, przekazał je Rosjanom.

### **Rozwój, świetność i katastrofa Armii Czerwonej**

Faktem jest, że nawet Hitler nie oczekiwał aż takiej reakcji Stalina. Przeszła ona jego najśmielsze oczekiwania. Przez kilka następnych lat najsilniejsza armia świata po prostu przestała się liczyć, utraciła siłę bojową. To znaczy, ani liczebność tej armii ani jej budżet nie zmniejszyły się w sposób widoczny, ale została ona zdekapitowana, pozbawiona kadry fachowej i kompetentnego dowództwa. Gdy, na początku roku 1939 część „mniej winnych” generałów, którym udało się przeżyć w obozach, w związku z alarmującym zagrożeniem wojennym wypuszczono i pod ścisłym nadzorem, znów przywrócono do funkcji, musieli oni praktycznie zaczynać od zera. W pamiętnikach, wysławiających propagandowo bohaterskie czyny w czasie tzw. „wojny zimowej” tzn., w Finlandii (najwyższy stopień trudności, ale mowa nie o wojnie, lecz opisach, biorąc pod uwagę fakt, że dotyczyły one walk między krajami o kilku i o kilkuset milionach ludności, w której ogromna armia ZSRR ponosiła początkowo same klęski) - znaleźć można wzmianki, jak powracający od „innych zadań” z trudem odnajdywali i poznawali swoje jednostki.

Elitarne dywizje, w tym tzw. gwardyjskie, stacjonujące np. w samym Leningradzie, miały wprawdzie nominalny stan, ale był to zdemoralizowany tłum bez przygotowania wojskowego. Praktycznie nie prowadzono wyszkolenia bojowego, a jedynie serio traktowano polityczne i ideologiczne. A dla żołnierzy najważniejsze było zdobycie żywności na własne potrzeby. Zaopatrzenie, również we wszystkie inne materiały, nadchodziło wprawdzie, ale nieregularnie i właściwie nie można było przewidzieć co będzie w następnych dostawach (i to

nie wynik żadnego sabotażu, a rozstrzeliwanie co jakiś czas resztek oficerów służb kwatermistrzowskich i logistycznych nie poprawiało sytuacji). Wojsko we własnym zakresie starało się też remontować i budować kwatery, a problem ten szczególnie silnie występował podczas wyjazdów letnich, bo właściwie nie były to już manewry, żołnierze starali się jakoś przeżyć, większość czasu zabierały im sprawy bytowe.

Żołnierze nie mieli również pojęcia o obsłudze sprzętu, zwłaszcza nowoczesnego, bo brak było wykształconych i przeszkolonych fachowców. Nie sami bowiem oficerowie padali ofiarą czystek, podejrzany był także każdy wykształcony fachowiec. W tych warunkach kierowano się zasadą „nie ruszaj bo zepsujesz”, zwłaszcza że uszkodzenie też łatwo mogło być potraktowane jako „celowa akcja wrogich elementów”. Sprzęt wprawdzie znajdował się na stanie (choćby dlatego, że spisanie strat łączyło się z odpowiedzialnością) - ale tylko część była sprawna, a i tu wiele usterek, które wprawdzie nie pozwalały uznać go za nieprzydatny, ale czasowo ograniczały jego użycie. Wszystkie służby specjalistyczne, podobnie jak kwatermistrzowskie, logistyczne itd. była przeciążone - to znaczy, że to co z nich zostało, znalazło się w stanie rozkładu, nie działało. Panował pełny bałagan.

Oczywiście żaden powracający dowódca nie odważył się zameldować o tym, co naprawdę zastał - byłoby to samobójstwo w obrzydliwej formie. Musiał sam sobie radzić, z perspektywą powrotu do gułagu w razie fiaska. Powtarzano więc powiedzenie, że im więcej potu podczas ćwiczeń, tym mniej krwi na polu bitwy - a pot trzeba było naprawdę wyciskać nie tylko ze siebie, ale i z podwładnych, jeżeli miało znów powstać prawdziwe wojsko.

Zachodzi pytanie, czy ten cały łańcuch wydarzeń, tak mocno wpływający na dalszą historię, został wywołany rzeczywiście przez prowokację Hitlera? Czy był to niespodziewany przypadek, czy też szatańskie, perfidne ale i genialne posunięcie? Czy było coś, co prowokacja Hitlera odsłoniła? Czy naprawdę w Armii Czerwonej istniał jakiś spisek?

Pytanie to do dzisiaj pozostaje bez odpowiedzi i prawdopodobnie nigdy nie zostanie wyjaśnione, Jak się to mówi, nie ma świadków. W tym wypadku, nie przeżył nawet żaden znajomy znajomych lub krewny krewnych, który mogłyby cokolwiek wiedzieć o tej sprawie. Była ona tak niebezpieczna, niż najbardziej śmiertelna zaraza.

Można tylko oprzeć się na logicznym rozumowaniu, które wskazuje, że żadnego spisku raczej nie mogło być. Po pierwsze, nigdzie nie doszło do zorganizowanej próby oporu, buntu - a przecież gdyby naprawdę istniała jakaś zorganizowana grupa, to w obliczu zagrożenia - i to zagrożenia ostatecznego, kiedy nie ma już absolutnie niczego do stracenia, musiałaby ona podjąć próbę walki. Nawet po wpadce, nawet w ostatniej chwili, kiedy już wszystko się waliło, gdyby istniała jakaś organizacja, to musiałyby podjąć rozpaczliwe

działania. Nic takiego się nie zdarzyło. A przecież tępienie kadry generalskiej, a potem oficerskiej trwało przez co najmniej dwa lata, przez cały rok 1937 i 8, nie licząc jeszcze stosunkowo niedużej liczby ofiar w roku 1936.

Po drugie, przed zniszczeniem kadr Armii Czerwonej, Stalin jednak przyniósł jej wielkie korzyści. Był nie tylko wysoko cenionym i potrzebnym człowiekiem, ale wprost mężem opatrnościowym. Powód jest bardzo prosty. Każda armia to bardzo kosztowna zabawka, potrzebuje pieniędzy, pieniędzy i jeszcze więcej pieniędzy. Z drugiej strony, nigdy w historii najbardziej zmilitaryzowane ustroje i reżimy nie potrafiły sobie tych pieniędzy zapewnić, wydawać by się mogło, jakby wykształcenie ekonomiczne i wojskowe stanowiły wewnętrzną sprzeczność. Od czasu Imperium Rzymskiego, ile razy wojsko próbowało bezpośrednio rządzić jakimś krajem, zwykle w krótkim czasie doprowadzało go do ogólnej ruiny, w wyniku czego ucierpieć musiała następnie i armia. Z tego powodu, panem armii jest w rzeczywistości ten, kto trzyma w ręku worek z pieniędzmi i jest w stanie zapewnić jej potrzebne środki.

Rosja po strasznych przejściach rewolucji, była krajem zupełnie zrujnowanym, o absolutnie najniższym poziomie dochodu narodowego przez wiele lat. Mimo tego jednak, że ludzie żyli tam w skrajnej nędzy i głodzie, Stalin potrafił skutecznie zmusić ich do pracy wręcz nad siły i wycisnąć, być może 40 - 50% dochodu narodowego na potrzeby wojska w szerokim sensie, tzn. wraz z przemysłem zbrojeniowym i zapleczem badawczym i konstruktorskim. Obojętnie, na ilu milionach trupów je zbudowano, wielkie piece w Magnitogorsku, fabryki tzw. traktorów gąsienicowych w Charkowie i Stalingradzie (z tajnymi oddziałami, produkującymi BT, Bistochodnyje Tanki) itp. musiały powstać w terminie. Żadne tłumaczenie lub wręcz opóźnienie nie było tolerowane. W latach 1935 i 6 Armia Czerwona doszła do takiej potęgi, jakiej aż do wojny nie osiągnęła później armia hitlerowska. Żaden inny człowiek nie byłby w stanie dostarczyć potrzebnych do tego środków. bo nikt nie potrafiłby zastosować takiego przymusu, zmusić do posłuszeństwa i morderczego wysiłku. Do poświęcenia wszystkiego dla zbrojeń, do pracy aż do zupełnego wyczerpania, czasem do śmierci, w głodzie i bez nadziei.

Hitlerowskie hasło „Kanonen statt Butter” to była drobnostka, Rosja nie dostawała kredytów, pożyczek, nie zbroiła się za cudze pieniądze, cały ten potworny ciężar nałożono robotników i chłopów jako przodujące klasy, ale i na wszystkich innych bez wyjątku, w tym w coraz większym stopniu na niewolników (więźniów obozów). Tak jak w wierszu „Car Piotr wbić kazał sto tysięcy słupów...i na tych słupach i trupach Moskali...”, tylko że teraz nowe miasta i nowe zakłady budowano na całych milionach trupów.

Na tle ogólnego piekła, uprzywilejowaną elitę stanowiła Armia Czerwona. Żyli aż dotąd lepiej od innych, nie głodowali na pewno, pracowali wprawdzie też bardzo ciężko, ale z poczuciem sensu. Przygotowywali się do wielkich zadań, może do poświęcenia życia i zdali sobie sprawę ze swojej wartości, że to oni „zajeżdżą kobyłę historii”, że cały świat będzie ich. Łączyło ich coś więcej nawet, niż zwykły „esprit de corps” - poczucie, zamieniające się w pewność, że są wybrani, że już wkrótce się zacznie. Ogólna ofensywa na wszystkich frontach, której nikt i nic nie zdoła powstrzymać. To oni byli ostrzem rewolucji, powołani do jej spełnienia i już wkrótce cały świat o nich usłyszy, a potem zobaczy. To była armia stworzona i nastawiona wyłącznie na ofensywę, na dojście do Atlantyku jednym potężnym uderzeniem bez względu na straty. Nie mówiono już o obronie rewolucji. Koncepcja obrony własnego terytorium coraz bardziej szła w zapomnienie, teraz oni mieli przewagę i inicjatywę. A te wszystkie możliwości dał im Stalin, armia była tego świadoma i dlatego bezwzględnie lojalna, na razie.

Owszem, być może kierownictwo Armii Czerwonej, po wojnie, zwycięstwie i opanowaniu świata, albo znacznej jego części, liczyło się z ewentualnością odsunięcia i zastąpienia Stalina, który przestałby już być potrzebny po wypełnieniu swojej roli. Jest faktem, że sam Tuchaczewski i jego współpracownicy mieli wyrobiony sąd o Stalinie, uważali go za zupełnie niekompetentnego w sprawach taktyki i strategii, co okazało się tak bardzo fatalne w wojnie polskiej.

Zresztą Tuchaczewski sam też nie był orłem. Był urodzonym żołnierzem, kompetentnym i wzorowym oficerem, nawet dobrym generałem, ale na wodza się nie nadawał. Był posłusznym wykonawcą rozkazów bez większych ambicji osobistych, czego bardzo przekonująco dowiódł w czasie masakry zbuntowanych marynarzy w Kronsztadcie. Wypełnił dokładnie i dosłownie instrukcje, chociaż sam brzydził się wpychaniem tłumu jeńców pod lód. Ani przez chwilę nie brał pod uwagę możliwości dokonania zamachu stanu, mimo że miał wtedy w ręku wszystkie atuty i rzeczywistą siłę, mógł pochwycić pełnię władzy, z dobrymi szansami na utrzymanie jej. Jednak pozostał posłusznym wykonawcą, tyle, że nie pozwalał nikomu wtrącać się w swoje kompetencje i psuć roboty, którą wykonywał. W sprawach armii starał się zachować samodzielność nawet i wobec Stalina - ale tylko w zakresie fachowym.

Angus pamiętał, że gdzieś w 1937 r. usłyszał rozmowę rodziców na temat procesu Tuchaczewskiego (i kilkunastu innych najwyższych dowódców), które odbył się publicznie i pokazowo, powiadomiono korespondentów zagranicznych, a prasa zamieszczała szczegółowe relacje z sprawy, będącej światową sensacją. Ojciec powiedział, że nie rozumie, jak to

możliwie, że oskarżeni w ogóle się nie bronili i do wszystkiego przyznali. Na to matka, że to nic nowego, bo na procesach czarownic też tak było, przyznawały się do wszystkiego i nawet dodawały same nowe oskarżenia.

- Tak - powiedział ojciec - ale to były słabe kobiety, a tutaj sami silni, twardzi mężczyźni, zahartowani, odważni żołnierze, którzy wiele razy patrzyli śmierci w twarz. Wszyscy byli na wojnie, awansowani na polu walki, najlepsi...

A jednak rzeczywiście nie tylko sami się przyznawali, ale oskarżali siebie i innych, wskazywali następnych. Dziesiątki pierwszych oskarżonych jeszcze przed śmiercią wymieniło setki innych, te setki wskazały na tysiące, a potem już ruszyła lawina, obywając się bez publicznych i często w ogóle bez jakichkolwiek procesów. Formalności załatwiano często dopiero po śmierci podejrzanych. Nazywało się to czystką w armii.

Podobne czystki odbywały się uprzednio, choć nie tak wielką skalę, w siłach bezpieczeństwa. Kolejni komendanci Czeka, GPU, później NKWD i w końcu KGB, nazwy się zmieniały ale nic poza tym - nieodmienni kończyli w celi śmierci. Jeżow, Jagoda, poprzednich Angus nie pamiętał, był jeszcze zbyt mały, żeby się tym interesować. Potem zabijano ich współpracowników i następnie przeprowadzano „czystkę”. Albo „wymiana”, w podobny sposób batalionów ścisłej ochrony Kremla Łotyszów, Chińczyków (na wzór obcych gwardii królów francuskich, Stalin początkowo czuł się lepiej wśród ludzi nie mających żadnych więzów ze społeczeństwem wokół). Teraz GPU było już widocznie dostatecznie oczyszczone i mogło zająć się armią.

Flota już poprzednio przeszła gruntowną czystkę, jeszcze po Kronsztadzie i buntach marynarzy czarnomorskich, dlatego tym razem nie ucierpiała tak poważnie i zachowała zdolność bojową.

Przez dłuższy czas wydawało się, że ocaleje również armia dalekiego wschodu, stojąca w gotowości bojowej naprzeciwko wojsk japońskich. Dowódcą jej był legendarny bohater wojny domowej, prawdopodobnie największy strateg ZSRR, chociaż jednocześnie, trochę podobnie jak Mac Arthur, trudne dziecko - Bluecher. Pozostawał on w złych stosunkach z samym Tuchaczewskim, ale miał zbyt wielkie zasługi i sławę (podobno przewyższał samego Frunze'go), aby się go pozbyć, więc Tuchaczewski wyznaczył go na to samodzielne, lecz dalekie stanowisko. W tym czasie dochodziło już do częstych incydentów między Armią Kwantuńską i Armią Czerwoną, w podobnym scenariuszu rozpoczynały się współczesne działania wojenne na dużą skalę. Na wiosnę 1938 Bluecher złożył publiczne oświadczenie, że wojska ZSRR na dalekim wschodzie postawiono w stan bojowy, przygotowane są one na każdą ewentualność i zdolne do odparcia agresji. Oświadczenie to

stało się sensacją dla prasy całego świata, a w świetle późniejszych zdarzeń zapewne można je uważać za próbę ocalenia własnej głowy (nie zmienia się wodza armii przed bitwą).

Precz, Japonio, precz, Mandżuko

Wnet Sowiety cię zatłuką!

Tak w marsowej, groźnej pozie

Japończykom Bluecher grozi.

.....

Jedno słowo, generale:

Czy nim przytniesz wrogom palce, Sam nie spocznieś gdzieś, w Łubiance...

(Łubianka, przed wybudowaniem Lefortowa, była centralnym więzieniem i miejscem kaźni GPU)

Ten kalambur, który Angus przeczytał chyba w Małym Dzienniku Katolickim z Niepokalanowa, okazał się później fatalnie proroczy. Nawet w obliczu tak krytycznej sytuacji na dalekim wschodzie, Stalin nie miał zamiaru przepuścić ostatniemu wielkiemu dowódcy. Najpierw jako zastępcę Bluechera wysłał zaufanego swego, nieznanego dotąd generała Żukowa. Nie wyróżnił się on dotąd zdolnościami, a przypominał trochę, nawet fizycznie Tuchaczewskiego: też silny, prawie atletyczny - i również bez dyskusji, dosłownie wykonujący każdy rozkaz. Wkrótce potem Bluecher został wezwany na naradę do Moskwy, wyjechał publicznie i uroczyście ze wszystkimi honorami i świtą specjalną salonką, ale do Moskwy te wagony nigdy nie dotarły, przynajmniej oficjalnie. Wszystkie zniknęły po drodze wraz z pasażerami i nigdy się więcej nie pojawiły. Jakby na kpiny zarządzono oficjalne poszukiwania, znowu prasa całego świata miała kolejną sensację i ubaw. Jednak tym razem nie było ani oficjalnego procesu, ani lawiny dalszych aresztowań.

W Polsce komentowano to różnie, albo Bluecher okazał się prawdziwym mężczyzną i nie załamał nawet na torturach, albo też zbyt szybko umarł, nie wytrzymując tortur. To drugie było o tyle dziwne, że przy torturach ważnych osobistości obowiązkowa była asysta lekarza (zaszczytna funkcja, mówiło się wręcz, że to prosta droga do uzyskania stopnia akademika, o ile oczywiście lekarz nie popełnił błędu).

W każdym razie proces Bluechera nie odbył się, nigdy więcej w tej sprawie nie usłyszano i oczywiście nikt nie odważył się zapytać ani wątpić w to, że generał po prostu zdematerializował się w drodze. Nie przyznał się i nie wskazywał dalszych winnych, nie było więc fali aresztowań i armia dalekiego wschodu ocalała. Może zresztą dlatego, że wkrótce potem rzeczywiście rozpoczęła się japońska inwazja.

Żukow bardzo dokładnie zrealizował opracowany przez Bluechera plan i pobił Japończyków. Zapoczątkowało to jego wielką karierę. Niewątpliwie wiele się nauczył i skorzystał przy tej okazji, co dało mu wielką przewagę nad innymi radzieckimi generałami, wysuniętymi w tym czasie przez Stalina. Taki na przykład Timoszenko, któremu Stalin powierzył całość armii, pojmował atak jako operację siłową, dosłownie trykanie głową w ścianę - a planowanie oznaczało dla niego obliczenie wielkości, masy i przybliżonej wytrzymałości tej ściany, ilości potrzebnych głów i ich gęstości, nasycenia na poszczególnych odcinkach. Być może jeszcze zaplanowanie ilości i rodzaju potrzebnych hełmów i następnie środków opatrunkowych - ale to już tylko w wypadku, jeżeli Stalin osobiście zaakceptował i zezwolił na zwłokę.

Wprawdzie również i Żukow nadal w dużej mierze pozostał zwolennikiem rozwiązań siłowych. Jednak już samo zetknięcie się z takim mistrzem manewru, jakim był Bluecher - i następnie nawet tylko pośmiertne wykonanie jego planów - ogromnie poszerzyło horyzonty Żukowa. Wykonał te plany skrupulatnie i wiernie. A choć oczywiście nie osiągnął poziomu mistrza, bo tego nie można się nauczyć, potrzebne jest jeszcze wrodzone wyczucie, predyspozycja którą następnie doświadczenie rozwija - i tak wystarczyło to żeby zostać gwiazdą pierwszej wielkości. Na ówczesnym bezrybiu i rak był wspaniałą rybą.

Gdy 17 września Armia Czerwona uderzyła na Polskę z ponad tygodniowym opóźnieniem w stosunku do układów z Hitlerem, zwykle traktowano to jako ostrożność ze strony Stalina, który wolał odczekać aż szala wyraźnie przechyli się na korzyść jego sojusznika (konkretnie na zakończenie bitwy pod Kutnem). Jednak prawdopodobnie była to sytuacja przymusowa. Zapewne Stalin sam nie zdawał sobie sprawy, do jakiego katastrofального stanu doprowadził armię. Choć od kilku miesięcy zakończono egzekucje i nie dokonywano nowych aresztowań, nikt nie odważyłby się przedstawić Stalinowi prawdziwego stanu rzeczy. Mimo, że usiłowano armię odbudować, nawet jeszcze przez szereg dni po 17 września ZSRR nie był w stanie wprowadzić na terytorium Polski żadnej a wielkich jednostek. Ponieważ jednak niewykonanie rozkazu było niemożliwe, a próba zameldowania o przyczynach zwłoki równoznaczna z obrzydliwym samobójstwem, generałowie ZSRR wysunęli i sprzedali Stalinowi nowatorską koncepcję, tworzenia tzw. grup bojowych - zbiorczych oddziałów przez doraźne wydzielenie z wielkich jednostek pododdziałów, zdolnych do służby i znajdujących się w stosunkowo najlepszym stanie. Te grupy bojowe, zbliżone do tzw. oddziałów wydzielonych w Wojsku Polskim przekroczyły obecnie granicę, podczas gdy wielkie jednostki zdołano podnieść i uruchomić dopiero o kilka dni, do tygodnia później.



Zebrane na prędcie pododdziały znajdowały się w bardzo różnym stanie i stąd zapewne wzięły się opowiadania o bosych i obdartych czerwonoarmistach z karabinami na sznurkach. Ojciec Angusa, który po zbombardowaniu i rozbiciu pociągu ewakuacyjnego Dyrekcji Kolejowej już za Warszawą na trasie do Brześcia, dotarł do swych rodzinnych stron i wkroczenie Armii Czerwonej przeżył w Białymstoku, opowiadał mu to, co widział osobiście. Angus wielokrotnie przekonał się, że relacjom tym można bezwzględnie wierzyć i ojciec po prostu nigdy nie mijał się z prawdą, choć mógł coś skrócić lub pominąć. Otóż ojciec spotykał rzeczywiście oddziały piechoty, jeżeli nie całkiem bose, to na wpół, niektórzy żołnierze w łapciach i z przysłowiowymi sznurkami u karabinów. Także i żołnierzy, którzy z początku wchodzili do kilku sklepów i kupowali w każdym po trochę chleba, nie wierząc i nawet nie mogąc sobie wyobrazić, że żywność jest ogólnie dostępna i można ją po prostu kupić, ile się zechce. Ale widział także oddziały dobrze się prezentujące i sprawne, wyglądające jak prawdziwe wojsko. Nie było reguły, bywało tak i owak, różnie.

Jednak nawet i takie zbierane grupy miały do pokonania niewielki opór, najpierw tzw. strażnice (na południu, koło Ukrainy nazywane też stanicami) KOP'u, w których pozostały tylko szkieletowe oddziały, liczące po 20 - 30 ludzi. W związku z sytuacją na froncie niemieckim, większość sił KOP'u została tam ściągnięta i w tej chwili biła się, trzeba przyznać, że bardzo dobrze, na niespodziewanie przedłużonym skrzydle w górach, na granicy ze Słowacją. Radzieckie grupy bojowe wyznaczały do uderzenia na strażnice stereotypowo po 250 wybieranych żołnierzy, to jest ok. 10% stanu (grupy bojowe liczyły zwykle 2 - 3 tys. ludzi), atak przeprowadzono wszędzie nieco po godz. 2 w nocy, nieliczni obrońcy nie mieli żadnych szans, jeńców nie brano. Rosjanie mieli pewne straty właściwie tylko od własnych granatów, bo od tego zgodnie z instrukcją wszędzie zaczęli atak. Potem, grupy bojowe Armii Czerwonej nie napotykały już zorganizowanego oporu, ponieważ dowództwo Wojska Polskiego wydało rozkaz, unikania walk z Armią Czerwoną i nie zezwalało na użycie broni za wyjątkiem obrony koniecznej. Tylko w nielicznych wypadkach doszło do walk, jak na przykład w okolicy Wilna, gdzie młodzież ze szkół średnich, nie zmobilizowana i bez rozkazu, samorzutnie w poczuciu obowiązku patriotycznego stawiała przez dwa dni opór, podobnie jak wspomniane wyżej grupy harcerzy na Śląsku czy w Wielkopolsce. Do poważniejszych walk doszło w Grodnie, gdzie po odejściu garnizonu pozostały mobilizujące się dopiero oddziały tyłowe. Te oddziały przez kilka dni skutecznie broniły Grodna, odpierając rosyjskie ataki - i w końcu, zgodnie z dyrektywami przerwały walkę, przebiły się z otoczenia i wyruszyły w kierunku frontu niemieckiego, choć nie zdołały tam dotrzeć i złożyły broń na granicy litewskiej. Zdarzyło się jeszcze kilka takich odosobnionych przypadków, ale

w zasadzie Wojsko Polskie wypełniło rozkazy dowództwa i nie stawiało oporu Armii Czerwonej, traktując ją jako przyszłego możliwego sprzymierzeńca, choć w istniejących okolicznościach nie było to nawet pobożne życzenia, ale wręcz absurd. Tak na przykład Lwów, broniący się przez pięć dni przed Niemcami, złożył broń dopiero po podejściu jednostek rosyjskich i przed nimi.

Prawdopodobnie takie postępowanie zostały polskiemu powództwu zasugerowane przez sojuszników. Czy było to postępowanie słuszne i rozsądne, o tym najlepiej mówią skutki. Chociaż podstawowe siły polskie walczyły z Niemcami, to i tak do niewoli rosyjskiej dostało się ponad 20 tys. oficerów i ok. 115 tys. żołnierzy, w przybliżeniu ok. 15% stanu armii (składało się na to oddziały dopiero mobilizujące się i tyłowe, szkieletowa obsada terytorialna, złożona z wojska oraz z KOP'u, który, chociaż właściwie był wzmocnioną strażą pograniczną, stanowił jednostkę zmobilizowaną i podlegał dowództwu wojskowemu, a więc w czasie wojny częścią wojska. I wreszcie cofające się przed Niemcami, rozbite oddziały a także uciekinierzy, którzy znajdując się w sytuacji beznadziejnej w walce z Niemcami, woleli raczej poddać się Armii Czerwonej, jak obrońcy Lwowa. Popełnili fatalny błąd. Jeńcy niemieccy, mimo długiego uwięzienia w obozach i często złego traktowania, jednak w większości zdołali jakoś przeżyć. Natomiast jeńcy rosyjscy, prawie wszyscy zostali wymordowani. Jeńcy niemieccy czasem byli traktowani z naruszeniem prawa międzynarodowego, natomiast w ZSRR nigdy nie naruszono przepisów prawa międzynarodowego, bo go w ogóle nie stosowano.

O losie oficerów, w Katyniu i innych obozach radzieckich, wiadomo już teraz ogólnie - choć przez kilkadziesiąt lat rozpuszczanie tak „szkalujących Związek Radziecki kłamstw i oszczerstw” zagrożone było ciężkimi karami, a w latach bezpośrednio po wojnie nawet dokładnie tym samym losem jak w Katyniu, Mniej znany jest fakt, że z 115 tys. jeńców bez stopnia oficerskiego, zginęło 100 tys. a przeżyło tylko 15 tys. Można powiedzieć, że szansa przeżycia w niewoli dla oficerów wynosiła ok. 12 %, a dla zwykłych żołnierzy ok. 17%, właściwie niewielka różnica, tyle, że oficerowie zginęli szybciej. W jednym przypadku szanse w ZSRR były trochę lepsze: dla żołnierzy lub oficerów, którzy zdecydowali się ratować indywidualnie, zrzuciwszy mundur, początkowo w ZSRR było łatwiej uciec i ukryć się bo panował większy bałagan, ale to nie trwało długo, bezpośrednio za wojskiem wchodziła ogromna i w pełni sprawna machina GPU i wkrótce zapanował terror znacznie gorszy, niż na terenach okupowanych przez Niemców.

Próba „appeasment” w stosunku do Sowietów skończyła się dla Polaków równie tragicznie, jak próba Żydów ułożenia sobie możliwych stosunków z Niemcami. To, co może

przynieść dobry skutek w stosunku do normalnego człowieka, tylko zachęca i sprawia satysfakcję patologicznemu oprawcy. Stalin oceniał ludzi według innych kryteriów: Pierwsza kwestia to czy mogą być niebezpieczni? I druga (a może właśnie pierwsza) - czy można ich zabić? Próbę przyjaznego zachowania traktował jak skorpion - przy próbie appeasement skorpion lub grzechotnik ukąsi swoją ofiarę nie raz, ale wiele razy. Faktem jest że Polska, być może właśnie w wyniku tego postępowania, poniosła ofiary znacznie większe, niż Niemcy czy Austria (w strefie, które przypadły ZSRR). Także większe, niż kraje bałkańskie, które, co prawda w przymusowej sytuacji i nie z własnej chęci, ale jednak zmuszone zostały do wojny przeciw ZSRR, do stanięcia po stronie Hitlera.

Jest oczywiste, że Polska, napadnięta w czasie śmiertelnych zmagania z Hitlerem przez jego sprzymierzeńca - i to ze złamaniem umów międzynarodowych, w tym paktu o nieagresji - automatycznie znalazła się w stanie wojny z ZSRR. Hitler też złamał taki pakt, ale Hitler przynajmniej ogłosił przedtem, że go wypowieda, mniejsza o to, że to też było bezprawne; a Stalin w ogóle się nie fatygował, napadając podstępnie państwo, z którym taki pakt podpisał. Rząd Polski powinien był ten fakt publicznie ogłosić, a Wojsko Polskie, mimo beznadziejnej sytuacji, stawiać opór dopóki broń była w rękach.

Jeżeli nawet nie dla szczytnych zasad, to choćby dlatego, że wzięci do niewoli żołnierze mieliby status jeńca wojennego a nie więźnia, którego najlepiej było bez rozgłosu się pozbyć. Być może, że i to nic by im nie pomogło. Jeżeli tak, to nawet w beznadziejnej sytuacji lepiej jest ginąć w walce, niż po niewyobrażalnych cierpieniach zostać po cichu zamordowanym i ukrytym jak kompromitujący odpad. Poza tym, nie znam bitwy w której nikt by nie przeżył, ani nawet takiej, w której śmiertelność wynosiłaby 90%.

Z drugiej strony i Polacy i zapewne cały świat oceniał jeszcze bardzo wysoko Armię Czerwoną w skali, aktualnej przed paru laty: jako ogromną, wprost niewyobrażalną potęgę. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że obecnie nie była ona wcale tak groźnym przeciwnikiem, że w tej chwili to już tylko resztki tego świetnego wojska, ruina złamana i zniszczona przez Stalina. W sporadycznych starciach, do których doszło czasem mimo rozkazów, oddziały polskie radziły sobie dobrze nawet przeciw dziesięciokrotnej przewadze, Parę łatwych, choćby tylko lokalnych sukcesów, nowa źródło zdobyczej broni, to raczej mogło tylko pomóc wciąż walczącej armii polskiej.

Dopiero poważniejsza, tzw. zimowa wojna z Finlandią ujawniła całemu światu, że ZSRR właściwie był w tej chwili bezbronny - i to mimo już podjętych wielkich wysiłków odbudowy armii od początku 1939 r. Przecież Finlandia była tylko małym krajem, który nigdy nie prowadził zbrojeń, a jej armia, wprawdzie dobrze dowodzona i szkolona, nie miała

doświadczenia wojennego i przeznaczona była wyłącznie do obrony terytorialnej. ZSRR miał dwudziestokrotną przewagę ludności i znacznie większą, kilkudziesięciokrotną w liczebności sił zbrojnych. Pchali na front tyle wojska, ile tylko mogło się zmieścić nie przeszkadzając sobie nawzajem, względnie na ile pozwalał transport (bo na północy był to głównie problem linii komunikacyjnych). Tymczasem te masy oddziałów wracały nic nie wskórawszy i w takim stanie, jakby świeżo przeszły przez maszynkę do mięsa. I ten nieprawdopodobny stan trwał i trwał, całymi miesiącami. To chyba od tego czasu datuje się utrata wiarygodności dowództwa Armii Czerwonej u mas żołnierskich, który tak fatalnie zaważył na początkowym okresie późniejszej wojny z Hitlerem (nie mówiąc o tym, że Finlandia nie sprzymierzyłaby się z później Niemcami, nie doszłoby więc do tragicznej blokady Leningradu itd.).

Nie ulega wątpliwości, że w tym okresie nawet średniej wielkości państwo mogło bić ZSRR z rękami w kieszeniach - no, powiedzmy że aż do chwili, kiedy z odsieczą nadeszłyby dywizje syberyjskie i z dalekiego wschodu.

\* \* \*

Z powyższego wynika, że gdyby Polska w 1939 r. uległa naciskowi Hitlera i przystąpiła do Paktu Antykominternowskiego oraz zgodziła się na zachowanie neutralności w czasie planowanego uderzenia na Francję, to jest osłonięcie jego pleców i faktyczną zmianę sojuszków, to z zagrożeniem ze strony ZSRR byłaby w stanie sobie poradzić.

Są to jednak rozważania czysto teoretyczne, gdyż taka możliwość ani przez chwilę nie istniała, a to z powodów nie tyle rzeczowych, co psychologicznych, powszechnego i silnego koncenzusu Polaków. Nastroje były tak zdeterminowane, że gdyby rząd zgodził się na współpracę z Hitlerem, to i tak nie byłby w stanie tego dopełnić, gdyż zostałby obalony w ciągu 24 - no, może 48 godzin. Doszłoby do takiego samego scenariusza, jak w 1941 w Jugosławii.

Trzeba uwzględnić, że wprawdzie Piłsudski rządził autorytatywnie i parę razy przełożył siłę nad prawo, ale formalnie zachował zasady demokratyczne, a miał silne poparcie wielu osobistych zwolenników i dzięki temu silną pozycję. Lecz po jego śmierci, grupa rządząca utrzymała się z wysiłkiem przy władzy, dzięki zmianom ustrojowym - i powiedzmy szczerze, oszustwom wyborczym. Gdyby coraz liczniejsza opozycja uzyskała poparcie krajów zachodnich i do tego wysunęła zarzut zdrady narodowej, rząd nie miałby żadnych szans. Rządy mające słabe poparcie muszą spełniać oczekiwania społeczne i nie mogą sobie pozwolić na niepopularne posunięcia. To przemówienie Becka spowodowało, że opozycja zaniechała walki i wysunęła hasło zgody narodowej i solidarności.

Jednak od drugiej połowy września zaczęto znowu winić rząd, chociaż wciąż nikt nie wątpił w końcowe zwycięstwo. Wobec klęski to zrozumiałe, ale trzeba stwierdzić, że miał on bardzo małe pole manewru i robił to, co musiał. Nie odrzucając od razu żądań Hitlera, grając na zwłokę, zyskał dla sojuszników więcej czasu, niż przyniosła następnie walka Wojska Polskiego na straconej pozycji. W 1939 r Hitler nie zdołał już rozpocząć kampanii na zachodzie, co ostatecznie udaremniło jego plany. Jednak Polska zapłaciła za to wyjątkowo ciężką cenę. Nic dziwnego że z upływem czasu coraz częściej zastanawiano się, czy była ona uzasadniona, czy nie można było uniknąć lub przynajmniej zmniejszyć straszliwej hekatombi, jakiej poza Żydami nie doznał żaden więcej naród. Czegoś, co ludzie żyjący w innych państwach nawet dzisiaj nie są w stanie sobie przedstawić.

No cóż rząd polski nie miał wiele wyboru, ale popełnił błędy, inni wprawdzie też je popełniali, ale nie zapłacili za to tak drogo. Na przykład, wojna rozpoczęła się w najbardziej niekorzystnym momencie, jeszcze na początku lat trzydziestych Polska miała liczną i nieźle uzbrojoną armię, raczej przeważając nad sąsiadami. Uzbrojoną nie ze słabiutkiego budżetu, ale z pożyczek francuskich. Prawda, że w ramach tych pożyczek przychodził głównie przestarzały i wycofany z uzbrojenia sprzęt, duża część jeszcze z I Wojny Świat., Francuzi mieli na widoku głównie doskonały interes. Lecz sąsiedzi też nie dysponowali wtedy lepszą bronią. Hidenburg osobiście brał udział w ostatnich przed swą śmiercią manewrach, które podobno wykazały, że w razie konfliktu Niemcy nie zdołają się obronić, a Prusy Wschodnie zostałyby stracone. Oczywisty nonsens, Polska nie dążyła do zdobyczy lecz pragnęła własnego bezpieczeństwa. Być może, że prasa niemiecka rozpisywała się o tym celowo, aby uzasadnić rozpoczęcie zbrojeń. Od połowy lat trzydziestych zagrożenie zaczęło gwałtownie rosnać, lecz pożyczki francuskie skończyły się z powodu zapaści finansowej Francji wywołanej ostateczną odmową spłaty długów niemieckich i astronomicznymi kosztami budowy Linii Maginota.

Wprawdzie trudno oczekiwać, żeby wojna rozpoczęła się w dogodnym dla Polaków momencie, bo termin zawsze wybiera agresor. Ale było jeszcze trochę czasu, żeby Polska zdążyła otrzymać doraźną pomoc ze strony sprzymierzeńców, jeżeli nie w sprzęcie wojskowym, to pilną finansową, choćby tylko na pełne wykorzystanie własnego przemysłu obronnego przez okres ostatnich miesięcy i przeznaczenia produkcji dla własnej armii.

Można się też zastanawiać, czy Polska nie mogła jeszcze trochę przedłużyć gry o czas, pozornie przyjmując żądania Hitlera, a potem tak jak Włochy stwierdzając, że nie jest jeszcze dostatecznie przygotowana i uzbrojona i żądając pomocy, dostaw z Niemiec. Być może nawet Hitler, któremu wtedy bardzo zależało na Polsce, zgodziłby się na odstąpienie np. części

czeskiego uzbrojenia, którego ze względu na jednolite wyposażenie nie wykorzystał Wehrmacht, albo dopiero znacznie później, po istotnych przeróbkach. Dopiero po zaangażowaniu niemieckich armii na zachodzie, Polska z opóźnieniem, jednak wypełniłaby swoje zobowiązania traktatowe. Może taka rozgrywka byłaby wysoce niemoralna, ale skuteczna. To nie zasady lecz skuteczność powinna cechować ministra spraw zagranicznych, stanowisko nie jest przeznaczone dla gentlemanów. Przecież Anglia i Francja też tak postąpiły, najpierw zwlekały z wypowiedzeniem wojny do momentu, aż okazało się, że koncentracje niemieckich sił rzeczywiście kieruje się na Polskę, a potem gorzej, nie wypełniły swoich zobowiązań wojskowych. No cóż, wydaje się, że Polacy przez długi czas pozbawieni własnego państwa, stracili instynkt polityczny, zapomnieli przetłumaczyć z języka obcego znaną zasadę - „z wrogami trzeba sobie radzić samemu, ale obroń nas Panie Boże przed przyjaciółmi”.

Właściwie Polska położona między programowymi wrogami miała trzy możliwe opcje: sprzymierzyć się z jednym przeciw drugiemu, z drugim przeciw pierwszemu, lub zachowywać ścisłą neutralność, zgodnie z już zawartymi paktami, licząc na pozycję buforową i na to, że jeżeli jedna ze stron złamie taki pakt, to druga we własnym interesie i także dlatego, że zapewni jej to w przyszłości uprzywilejowaną pozycję będzie starała się przywrócić naruszoną równowagę i przyjdzie z pomocą. W historii takie wypadki się zdarzały, rząd polski trzymał się konsekwentnie tego kursu i popierała go także opozycja. Rozumowanie poprawne, ale trzeba też uwzględnić zasadę ograniczonego zaufania. Gdyby ludzie kierowali się rozsądkiem, dzieje wyglądałyby całkiem inaczej, a ten okres historii wykazuje szczególnie mało logiki i rozsądku. Według znanego powiedzenia, II Wojna Świat. stanowiła w gruncie rzeczy, napad wściekłych bandytów na dom obłąkanych.

### **Pierwotny plan Hitlera, błyskawicznego podboju Europy z pomocą Polski.**

Hitler bowiem zasadniczo zmienił kolejność celów polityki niemieckiej. Dotychczas Niemcy starały się o dobre stosunki z silnymi państwami zachodu, natomiast o izolowanie i w perspektywie wymuszone odebranie strat terytorialnych od nowych państw, powstałych na wschodzie. W pierwszym rządzie koncentrowały ostrze tej polityki na Polsce. Natomiast Hitler miał ambitniejszą wizję i przekonany był, że zdoła pokonać zachód, a w takim razie automatycznie zmusi do uległości sąsiadów na wschodzie. Ale jedno i drugie uważał tylko za wstęp, najważniejszym celem miało być już nie pokonanie, ale zdobycie ZSRR i wykorzystanie ogromnych terytoriów i zasobów do rozmnożenia rasy germańskiej (oczywiście najwartościowszej, nordyckiej odmiany) i budowy ogromnej potęgi, która na tysiąclecia panowałaby nad światem.

W tych planach zakładał, że bardziej opłaca mu się pozyskanie niż pokonanie Polski, gdyż jej pomoc uprości i ułatwi realizację tych celów. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że we właściwej chwili potrafi przedstawić tak świetne perspektywy i poczynić tak hojne obietnice, że Polacy nie zdołają im się oprzeć, na pewno ich nie odrzucą. Na razie, zaraz po dojściu do władzy, rozpoczął od wygładzania napięć polsko-niemieckich, zakończył wojnę taryfową i ekonomiczną, nie zapominając jednak wycisnąć z tego maksimum korzyści i autorytatywnie zakazał ataków prasowych. Przez cały czas wysyłał przyjazne sygnały do Warszawy, akcentując usilnie nową politykę w stosunku do Polski.

Po opisanych wydarzeniach w czasie kryzysu nadreńskiego skorzystał z okazji do okazania Polakom, jak egoistycznie i krótkowzrocznie postępuje Francja i jak niepewnym jest sojusznikiem. Jednocześnie zaproponował zawarcie paktu o nieagresji, jako wstępu do przyszłych lepszych stosunków i przyjaźni.

Polacy mieli cele wyłącznie defensywne i chętnie przyjęli tę ofertę. Zrobili jeszcze więcej, bo zawarli pakt o nieagresji z obu sąsiadami, zarówno Niemcami jak i ZSRR (czego Hitler bynajmniej nie planował). Oba te pakt okazały się kłamstwem i zamierzonym oszustwem, żaden nie został dotrzymany. Jednak każdy przyjazny gest ze strony Niemiec znajdował odpowiedź w tak samo przyjaznym geście ze strony Polski i stosunki zaczęły układać się pozornie bez uprzedniej wrogości. Niezwykle często składali wizyty przyjaźni najwyżsi dygnitarze niemieccy i byli przyjmowani maksymalnie uprzejmie, jednak bez rewizyty. Trzeba powiedzieć, że starania Hitlera były na ogół dobrze obmyślane i początkowo wydawały się przebiegać pomyślnie. Poza tym, przy szybko wzrastającym potencjale wojskowym Niemiec, Polska nie mogła ich drażnić.

Z drugiej jednak strony zamiary Hitlera były całkowicie nierealne, niemożliwe i od początku skazane na niepowodzenie i to z prostego, chociaż pozaracjonalnego powodu: wielkiej, choć nie odwzajemnianej miłości Polaków do Francji. Od czasu wojen napoleońskich, a nawet jeszcze wcześniej, od rozbiorów Polski i początku Rewolucji Francuskiej Francja w przekonaniu Polaków stała się krainą wolności i nadziei. Teraz uważali jeszcze, że zawdzięczają jej ponowne powstanie państwa, chociaż w rzeczywistości był to raczej skutek oświadczenia Wilsona i łańcucha innych wydarzeń. Francja miała w tym niewielki udział, ale i tak ona skasowała kredyt moralny. Wszyscy, 100% Polaków uważało ją za najlepszego przyjaciela, a co najmniej 25% wręcz za drugą ojczyznę - swoją i w ogóle wszystkich wolnych ludzi, gotowi byli za nią walczyć i umierać tak jak za Polskę (być może tak wysoki odsetek był aktualny tylko w tym środowisku, z którym Angus się stykał).

Inicjatywa Hitlera miała mniej więcej takie szanse powodzenia, jakie np. w XVII wieku miałyby sułtan turecki, który zaplanowałby nawrócenie całej Polski na wiarę muzułmańską, aby następnie zapewnić sobie jej pomoc w podboju środkowej Europy. Żaden najbardziej starannie obmyślony plan, żadna najlepiej wybrana okazja, genialny pomysł, dogodny moment, złotousta perswazja nie mogły tego zmienić. To nie była sprawa rozumowania czy kalkulacji, to była sprawa uczuć naturalnych i wpojonych od pokoleń, prawie wyssanych z mlekiem matki. Nie miało znaczenia, że Francja wielokrotnie wykorzystywała te uczucia na swój użytek w zmian ofiarując tylko gesty bez znaczenia, jak w 1830 i jeszcze przedtem za Napoleona oraz wszystkich innych okazjach. Po prostu Francja przez lata niewoli stała się zastępczą ojczyzną dla ludzi, którzy ulokowali tam serca.

Krótko mówiąc, gdyby nawet ówczesny polski rząd doszedł do wniosku, że proporcja sił zmusza go do zmiany sojuszu albo z jakichkolwiek innych powodów ugiął się przed Hitlerem, to i tak nie zdołałby tego zrealizować. Upadłby mniej więcej tak, jak jugosławiński wczesną wiosną 1941 r. Istniał pełny koncensus, że nie można iść z Hitlerem, a rząd polski, który, powiedzmy to szczerze, wprawdzie deklarował stosowanie zasad demokratycznych, ale nie zawsze je stosował, miał słabe oparcie wśród współobywateli. Otóż właśnie rządy o niepewnej podstawie, z konieczności muszą być wrażliwsze na opinię publiczną, niż rządy solidnie osadzone.

Nawiasem mówiąc, najwyraźniej także Niemcy podobnie interpretowali wynik gry dyplomatycznej, gdyż już po podboju Polski wyrażali opinię, że Fuehrer budował Polakom złote mosty i proponował im świetną przyszłość, a oni zaślepieni nie chcieli z tego korzystać i woleli słuchać takich podżegaczy wojennych, jak Churchill, Eden i Duff Cooper. Ta kampania wojenna była zupełnie niepotrzebna, gdyby jeszcze żył Piłsudski to nigdy by do tego nie doszło, ale jego następcy nie mieli takiego autorytetu i nie odważyli się wziąć na siebie odpowiedzialności, nie mieli dość odwagi i wyobraźni żeby pójść za Hitlerem.

Tą opinię dwu oficerów niemieckich powtórzyła dość szczegółowo Angusowi matka, którą w czasie podróży wzięli oni za rodzoną mieszkankę Berlina, ze względu na akcent i język (władza nadal świetnie niemieckim gdyż nie straciła wprawy dzięki ciągłym ploteczkom z matką chrzestną Angusa). Nie odpowiedziała im oczywiście, dopiero teraz przy Angusie skomentowała, że choć nie lubiła Piłsudskiego, przebieg kampanii przy nim może byłby inny, ale tylko o tyle, że Niemcy przynajmniej raz lub parę razy dostaliby porządne lanie i nie byli tacy pewni, bo jednak Piłsudski kierowałby się własnym zdaniem dowodząc wojskiem, a nie dał sobą tak manipulować na odległość, i to jeszcze głupio, bez znajomości faktów i warunków na miejscu.



Natomiast jeżeli ktoś wyobraża sobie, że swój autorytet rzuciłby na szalę Hitlera, to właściwie powinien udać się zaraz do lekarza.- Omal mu nie powiedziałam:”Du bist verrueckt, mein Kind, du musst nach Stralsund, wo die Verrueckten sind, da wirst du gesund”.(w wolnym przekładzie - zwariowaliście.) - Matka nie umiała tylko wyjaśnić Agnusowi, co to za Duff Cooper, żadne z nich akurat tego nazwiska nie pamiętało.

Jeszcze później bardzo podobne opinie niemieckie zostały przedstawione w wydawnictwie propagandowym, jakby białej księdze Ribbentrop’a, „Dokumente zur Vorgeschichte des Krieges”. A także przez wielu niemieckich żołnierzy, ostatecznie starsi Poznaniacy wszyscy znali dobrze niemiecki i rozmowy się zdarzały, zwykle powtarzały się takie wypowiedzi „Tak, żołnierz polski bił się dobrze, ale zawiodło kierownictwo polityczne i potem wojskowe. Fuehrer miał najlepsze intencje, gdyby żył jeszcze wasz Marszałek Piłsudski, na pewno by się porozumieli i tego wszystkiego by nie było.” Angus sam nie znał języka, ale takie wypowiedzi słyszał w tłumaczeniu i bardzo go denerwowały.

\* \* \*

Po 20 września, na wszystkich domach i ulicach rozlepiono gęsto afisze, paskudne, przedstawiające kalekiego żołnierza polskiego, z obandażowaną głową, o kulach, okrwawionego i obszarpanego z wielkim, krzyczącym napisem: „Twoje dzieło, Anglio!”. Polacy bardzo źle przyjęli ten plakat, wyłącznie odwracali się i spluwali, skrót propagandowych kłamstw nie trafił do celu. Nie przyjęty do wiadomości nawet mimo to, że rzeczywiście Polska walczyła samotnie wystawiona na uderzenia silniejszego wroga, a sojusznicy nie wykonali postanowień traktatowych, ani nie próbowali udzielić jakiegokolwiek pomocy. Nie zachwiało to w niczym zaufania. - Widocznie nie mogli,- mówiono,- my po prostu nie znamy całej sytuacji, ale wkrótce Niemcom pokażą. Każdy, kto pozwoliłby sobie na uwagi krytyczne o sojusznikach, co najmniej straciłby przyjaciół, jeżeli nie naraził się w ogóle na podejrzenia, że sprzyja Niemcom, może to zdrajca.

Jedynie rozsądne wyjaśnienie tego tonu wypowiedzi niemieckich, to że propaganda niemiecka najwidoczniej z góry przygotowała Niemców na to, że Polacy będą im pomagać, pójdą z nimi i teraz musiała wyjaśnić tą rzekomą zmianę stanowiska, ba, „zdradę przewrotnych Polaków, którym perfidny Albion zapłacił czekiem bez pokrycia i jednocześnie dał jakby „cart blanche” na popełnianie wszelkich możliwych okropności w stosunku do Niemców. Podludzie, wstrętne dzicz bez szczypty kultury na których nie można polegać. Całe szczęście, że Fuehrer zorientował się w porę i teraz postąpi z nimi tak jak na to zasługują.

Jedno jest pewne, Polska w żadnym wypadku nie mogła znaleźć się w obozie Hitlera. Bez względu na późniejsze wyjaśnienia, to właśnie była pierwsza pomyłka Hitlera, któremu

dotąd wszystko się udawało tak, jak sobie zaplanował. Der Fuehrer nie mógł popełnić błędu, miał zawsze rację? A tu najwyraźniej nie tylko się mylił, ale trwało to na tyle długo, stracił tyle czasu, że aż wypadł z rozkładu jazdy.

Urażona megalomania, oto powód wścieklej, patologicznej nienawiści którą kierował się już do końca w stosunku do Polski i Polaków. Hitler, podobnie jak Stalin, stopniowo tracił kontakt z rzeczywistością. Dyktatorzy, tak samo jak kiedyś absolutni władcy, otoczeni zamkniętym gronem osób, przebywający w odgradzonym obszarze, po pewnym czasie widzą tylko to, co chcą widzieć i słyszą to co chcą słyszeć. Z ich otoczenia eliminuje się obiektywnych ludzi, zostają bezkrytyczni potakiwacze. W końcu nikt nie pozwala sobie na wyrażenie odmiennego zdania lub poglądu, wręcz stara się myśleć tak jak dyktator i nawet z góry przygotować do tego, co wielki naczłowiek prawdopodobnie pomyśli i co mogłoby się mu spodobać.

Hitler ułożył z góry plan działania i ten plan nie był bezsensowny. W tym planie wyznaczył określone cele i spodziewał się, że Polska, a następnie Anglia spełnią konkretne role do realizacji jego zamiarów. Na ówczesnym poziomie znajomości rzeczy, pomysły te nie były ani głupie, ani beznadziejne, ale stopniowo stawało się jasne, że ani Polska, ani Anglia nie zachowają się tak, jak Hitler zakładał. Pojawiały się nowe okoliczności, ale Hitler nie przyjmował ich do wiadomości i zareagował ślełą wściekłością na „winnych”, którzy zachowali się nie tak, jak ON raczył przewidzieć. To nie ON się pomylił, bo ON nie mógł się mylić, to była wina tych nędznych robaków, którzy nie docenili JEGO GENIUSZU, i to oni pomylili się fatalnie. Należało ich surowo ukarać, tak żeby świat to zapamiętał i żeby ten przykład długo pozostał w pamięci. I Polska i Anglia musiały być surowo ukarane, tylko że Anglii nie mógł na razie dosięgnąć, ale Polskę jednak tak.

### **Spekulacje, co mogłoby się zdarzyć, gdyby prowokacja litewska Hitlera się udała.**

Mimo wszystko wyobraźmy sobie, jak wyglądałaby historia świata, gdyby 22marca jednak doszło do tego niemożliwego wariantu i gdyby Polska przyjęła propozycje Hitlera. Jak przebiegałaby wówczas II Wojna Światowa i czy sama Polska ucierpiałaby w takim wypadku mniej. Zakładamy, że wynik końcowy musiałby być taki sam, bo zwycięstwo Hitlera oznaczałoby koniec ludzkości, a w każdym razie koniec naszej cywilizacji, powstałby świat koszmaru na którym i tak nie warto byłoby żyć.

Początkowy scenariusz jest oczywisty: na wiosnę 1939 Hitler uderza na Francję i oczywiście zajmuje ją jeszcze łatwiej, niż w 1940. Wtedy pozostaje jeszcze tylko Anglia, która w 1939, a nawet jeszcze na wiosnę 1940 była całkowicie nieprzygotowana na odparcie inwazji. Ponieważ angielski korpus ekspedycyjny jeszcze nie istniał i angielska krew jeszcze

by się nie poląła (no, może jakaś niewielka ilość), zaś sytuacja nie rokowałaby żadnych szans na skuteczną obronę, być może że Anglia zdecydowałaby się wówczas na rokowania i zawarcie jakiegoś porozumienia. Faktem jest, że Hitlerowi bardzo na tym zależało. Po pierwsze uważał Anglię za kraj z gruntu germański, a ponadto liczył na zakończenie wojny na zachodzie, zanim uderzy na wschód. Dlatego przecież wypuścił w 1940r Anglików z Dunkierki, a eskapada Hess'a też nie było nagłym szaleństwem, ale próba ze strony najwierniejszego współpracownika uratowania drugiego z pomysłów genialnego Fuehrera, który też nie wypalił (po pierwszym dotyczącym Polski). W 1939 r Hitler mógłby liczyć jeszcze na podzieloną opinię w Anglii, pozostałoby tam jeszcze sporo jego zwolenników (choć w mniejszości, ale wielu wpływowych; natomiast w 1940 r. już nikt nie przyznawał się do sympatii do Hitlera), a większość mogłaby uznać, że nie zdołają się obronić. To zresztą byłoby prawdą i jeżeli rokowania, w których Hitler zapewne proponowałby bardzo dobre warunki, nie dałyby wyniku, to bez wątpienia zdołaby zająć wyspę i ustanowić jakiś rząd marionetkowy, podczas gdy legalny rząd przeniósłby się, na przykład do Kanady i z stamtąd nadal kontynuował wojnę.

W każdym razie Niemcy opanowałyby całkowicie zachodnią Europę i nie musiałyby w najbliższej przeszłości obawiać się drugiego frontu. Jakieś odległe niewielkie działania wojenne nie stwarzałyby zagrożenia, teraz można by zająć się ZSRR

Polska do tego czasu miałaby pozostać neutralna, bo nawet Hitler w najbardziej szaleńczych marzeniach nie wyobrażał sobie, żeby Polacy walczyli przeciw Francji i w ogóle nie występował z takim projektem. Polska miała zabezpieczać go przed atakiem ze strony ZSRR, dopóki nie ureguluje spraw na zachodzie Europy i sam będzie gotowy do napaści, a przy stanie, w jakim znajdowała się rosyjska armia, zadanie to nie przekraczało polskich możliwości.

Zresztą prawdopodobnie Stalin swoim zwyczajem zwlekałby i miał trudności z podjęciem decyzji. Jeżeli w ogóle, to podjąłby ją dopiero, kiedy Niemcy rozpoczęłyby inwazję Anglii i przerzucili przynajmniej część armii za morze. Ale nawet wtedy, Polska mogłaby mieć kłopot jedynie z powodu masy jeńców rosyjskich. Przecież jeszcze w r 1941 część czerwonoarmistów poddawała się po prostu dlatego, że mieli nadzieję, że każda zmiana może już być tylko na lepsze, oni już poznali piekło. W Polsce nie mogłoby dojść do mordowania jeńców, a przecież trzeba było dopiero zwierzęcej krwiożerczości Hitlera, żeby obrzydzić im wszelką myśl o poddaniu się.

Teraz jednak nadeszłaby kolej na atak Hitlera. Początkowy szybki sukces i nowa fala jeńców, ale wkrótce Rosjanie już wiedzieliby, że żarty się skończyły, że o wiele lepiej

umrzeć, niż dostać się do niewoli. Jednak Niemcy początkowo posuwaliby się szybko do przodu, aż do niespodzianki, jaką byłyby usytuowany około 100 km od granicy, potężny pas umocnień.

Znany był jako linia Stalina, ale został zbudowany wcale nie przez niego, ale przez bardzo kompetentnych wojskowych, natomiast z rozkazu Stalina konsekwentnie rozbierany, demontowany i burzony od chwili zajęcia, w przymierzu z Hitlerem, połowy Polski, czyli przez jesień i zimę 1939, cały 1940 i aż do 22 czerwca 1941 r, a właściwie dłużej, bo Stalin rozkazów nie odwołał, a nikt nie śmiał się zapytać i fortyfikacje rozbierano jeszcze tuż przed zbliżającymi się dywizjami niemieckimi. Trudno powiedzieć, czym właściwie kierował się Stalin, gdy skacząc do tak niespokojnej wody, kazał zniszczyć pas ratunkowy. Można tylko spekulować, czy miał to być gest całkowitej uległości wobec Hitlera, coś w rodzaju tego, jak pies który kładzie się na wznak i odsłania gardło. brzuch i wszystkie najwrażliwsze strefy ciała wobec swego pana, czy też przeciwnie, gest palenia za sobą łodzi, na znak, że teraz albo nigdy, będzie tylko ofensywa, żadnej obrony ani odwrotu. Nie ma sensu ani możliwości rozstrzygnąć tego, jest natomiast bezsporne, że była to najbardziej obłąkańcza decyzja, która kosztowała Rosję wiele milionów ofiar i bezprzykładne zniszczenia. To bardziej idiotyczne, niż gdyby monter pracujący przy instalacji elektrycznej, celowo kazał ekipie zdjąć buty i rękawice izolacyjne wiedząc, że wkrótce włączony zostanie prąd o śmiertelnym napięciu.

Ostatecznie, jego sprawa, gdyby zrobił to sam, ale o swoje bezpieczeństwo zadbał w porę, to inni zginęli, miliony z powodu tego bezsensownego gestu. Już to samo wystarcza żeby Rosja wiecznie przeklinała pamięć człowieka, który ściągnął na nią tak okropne nieszczęście w tej wojnie, nawet gdyby nie dopuścił się innych zbrodni.

W każdym razie żadna na świecie armia pancerna czy zmechanizowana nie zdołałaby w 1939 roku przełamać linii Stalina, tym bardziej z marszu. Umocnienia może nie były tak nowoczesne technicznie i kosztowne, jak Linia Maginot'a, ale miały nad nią nieskończoną przewagę dzięki temu, że zbudowane zostały w niedostępnym terenie, który celowo pozostawiano nadal w pierwotnym stanie i urzutowane były na głębokość kilkudziesięciu kilometrów. Taką przeszkodę mogła szturmować tylko piechota na własnych nogach, a zaraz za nią musiałyby posuwać się wojska inżynieryjne, budując przejścia i płacąc obficie krwią. Krótko mówiąc, drugie Verdun na gigantyczną skalę. Hitler gorąco pragnął, aby jego ostateczne zwycięstwo nad komunizmem było „kolossal”, a pamięć o największym wodzu i bohaterze wszystkich czasów przewyższyła legendy Czyngis-Chana i Tamerlana. Do tego potrzebne były rzeki krwi i coraz bardziej stawało się jasne, że dotychczasowe zwycięstwa uważał za zbyt łatwe. Ale nie koniecznie musiała to być tylko krew niemiecka. Jasne, że jako

oddziały zmiękczające i szturmowe, pchnęły do pierwszej linii polską piechotę a niemieckie linie z tyłu pełniłyby raczej dozór i zachęcały pierwszą linię do posuwania się strzałami w plecy.

Oczywiście, polskie dowództwo przeciwstawiałoby się i Polska usiłowała wyjść z tej wojny. Dalej nastąpiłby taki scenariusz, jaki później znamy np. z Budapesztu, niespodziewany atak na Zamek i siedzibę rządu, może nawet też pod wodzą Skorzenego. Utworzono by rząd kolaborancki dla dostarczania, teraz już bez żadnych osłon, mięsa armatniego, a w kraju zaczęłyby się opór zbrojny. Hitler potraktowałby to też jako zdradę ze strony Polaków i to zdradę, którą tłumaczyłby wszystkie niepowodzenia swoich planów, za co oczywiście tym bardziej chciałby się zemścić, stworzyć odstraszący przykład, najlepiej nie zostawiając nikogo żywego. A jeszcze gorsze byłoby to, że jednocześnie z represjami w kraju zaczęłyby się też wojna domowa, bo Niemcy znaleźliby przez ten czas zwolenników i kolaborantów, a może nawet w dobrej wierze działających zwolenników silniejszego, którzy wierzyliby że po prostu działają rozsądnie i wybierają mniejsze zło, starając się ratować, co się da. Po pewnym czasie, wystąpiłoby podobne zjawisko, jak po wojnie pod okupacją rosyjską.

Krótko mówiąc, skutki udziału we wojnie po stronie Niemiec byłyby jeszcze bardziej tragiczne, Chociaż paradoksalnie, właśnie pod okupacją ZSRR los Polaków stałby się zapewne lżejszy. Stalin szczególnie obawiał się i tępił ludzi bez zarzutu, natomiast pokonani „winowajcy” mogli liczyć na lepsze traktowanie, jeżeli tylko chcieli wierną służbą i prześladowaniem innych naprawić swoje „winy” (jak sam mówił, nie ufał wprawdzie nikomu, ale jednak trochę bardziej tym, na których miał haka).

Wprawdzie taki rozwój wydarzeń nie mógł się zdarzyć, gdyż był odrzucany przez całe polskie społeczeństwo. Jednak istniała pewna odmiana tego scenariusza o tyle groźniejsza, że przez moment mogła zostać akceptowana przez mały odłam radykalnych nacjonalistów.

Mowa tu o próbie zachęcenia Polski do ekspansji i popchnięcia jej do polityki zdobyczy terytorialnych, które miały się zacząć od zajęcia Litwy. Wymaga to bliższego wyjaśnienia, bo sprawa Litwy budziła w ówczesnych pokoleniach Polaków wyjątkowe emocje. Otóż Polska i Litwa miały za sobą 500 lat wspólnej historii, łączyła je najpierw unia, potem wspólne nieszczęście niewoli i wspólna walka o niepodległość, w tym wspólne powstania. Dopiero w końcu 19 wieku nastąpił na Litwie rozłam między zwolennikami kontynuowania unii, a zwolennikami oddzielnej, własnej państwowości. Po zakończeniu I Wojny Światowej i odzyskaniu niepodległości, ten wewnętrzny spór bardzo się nasilił, a jego przeciwpolskie ostrze zaostrzyło dzięki wysiłkom Niemieckiego Sztabu Generalnego, który

dokładał starań, aby po wycofaniu się wojsk niemieckich, władza dostała się w ręce ludzi, z którymi zawarto uprzednio odpowiednie porozumienia. Nie ma tu mowy o agentach, bez wątplenia chodzi o ludzi o autentycznych własnych poglądach i autentycznie samodzielnym zapleczu, ale wyszukiwanych i dobieranych selektywnie, takich, którzy byli skłonni do rokowań i zawarcia odpowiednich porozumień, odpowiadającym Niemcom. Zresztą podobne ugody przed wycofaniem wojska, sztab niemiecki starał się zawierać we wszystkich krajach, także i w Polsce - to była powszechnie przestrzegana reguła.

Wywiad niemiecki dokładał nadal starań i znaczne środki pieniężne, aby podsycać na Litwie nastroje nacjonalistyczne i antypolskie. Leżało to w interesie Niemiec z powodu położenia geograficznego Prus Wschodnich, które w okresie jedności Państwa polsko-litewskiego były mu częściowo, lub całkowicie podporządkowane. Niemcy żywiły obawy, że w razie powstania wspólnego państwa, historia może się powtórzyć. Nie na drodze siły, lecz jako naturalna konsekwencja rozwoju ekonomicznego i korzystnych powiązań gospodarczych w wypadku graniczenia tego kraju tylko z jednym państwem. To też Niemcy, podtrzymując finansowo Prusy Wschodnie, podtrzymywały także i Litwę i dbały o specjalne stosunki z nią. Oczywiście Litwę pozostającą w złych stosunkach z Polską.

Z drugiej jednak strony, znaczna część ludności Litwy i to właśnie tradycyjnej Litwy centralnej, albo nadal pragnąc podtrzymania tradycyjnej unii, albo w ogóle spolszczona wybrała wspólnotę z Polską, z początku jako samodzielne państwo pod nazwą Litwy Środkowej, a następnie pełnej integracji. Właściwie Angus też czuł się zaangażowany emocjonalnie, gdyż podejrzewał, że rodzina jego ojca jest być może litewskiego pochodzenia, (albo spolszczeni Litwini, albo Litwini którzy na trwale opowiedzieli się za unią; chociaż ojciec, którego w tej sprawie starał się wy badać, odpowiedział że cała rodzina uważała się zdecydowanie za Polaków i to z mocną tradycją narodową, powszechną na Podlasiu). Natomiast jak wiadomo, takim Litwinem uznającym unię z Polską, albo może spolszczonym, był właśnie Piłsudski, pierwszy Naczelnik Państwa i Marszałek Polski - i dlatego sprawa przywrócenia jedności obu ojczyzn bardzo leżała mu na sercu. Podobnie jak i wielu Polakom - z drugiej strony byli i zwolennicy odcięcia się, twierdzący, że Polska zawsze poświęcała swoje interesy, dbając najpierw o litewskie, Unia się nie opłacała.

Tak więc dla znających ten problem i ówczesne napięcia emocjonalne, jest oczywiste, że akcja Niemców na Kłajpedę (Memel) została przeprowadzona wyłącznie po to, żeby zachęcić Polskę do współdziałania i agresji na Litwę, zaboru oraz przyłączenia do Polski jej terytorium. Akcji którą cały cywilizowany świat by potępił, natomiast Niemcy (i zapewne faszystowskie Włochy) udzieliły pełnego poparcia.

Niemcy nie miały absolutnie żadnego innego powodu, żeby tak postępować, przecież Litwa pozostawała cały czas wiernym i pewnym klientem Niemiec, a Memel, jeszcze jako Kłajpeda, prawie monopolizowała cały zagraniczny handel Litwy. Niemcy cieszyli się tam wszelkimi możliwymi przywilejami i wielkimi korzyściami materialnymi, doskonale zarabiali, a na zmianie granic tracili. Z drugiej strony dla posłusznej i lojalnej Litwy, taki nagły zwrot, warknięcie bez powodu i dotkliwe ugryzienie ze strony dotychczasowego przyjaciela i patrona to był po prostu szok.

Ale to oczywiście nie miało najmniejszego znaczenia dla Hitlera, który traktował sprawę jak drobnostkę dla osiągnięcia ważniejszego celu. Przedtem, gdy paszcza niemieckiego wilka zgryzła wreszcie głowę czeskiej ryby, rzucił Polsce parę drobnych ochłapów dla pobudzenia apetytu. Tutaj zachował dla siebie tylko kawałek z niemiecką ludnością, a całą zdobycz ofiarował na tacy Polsce.

Po raz pierwszy była to dobrze obmyślana i dlatego niebezpieczna kombinacja. Znalazła ona trochę autentycznego odzewu w kołach skrajnych nacjonalistów, ale ponadto także wielu zaangażowanych emocjonalnie Polaków i Litwinów, zwolenników unii. A zwłaszcza w szeregach gorącej a niedoświadczonej młodzieży.

Gdyby udało się rozbudzić zaborcze apetyty nawet tylko wśród części Polaków, przekonać ją, że można szukać ekspansji i sukcesu we współpracy z Niemcami - sam podział opinii publicznej mógł by stać się bardzo niebezpieczny. Na szczęście do tego nie doszło, i rząd i społeczeństwo polskie zachowało się dojrzałe i wyszło z próby obronną ręką. Najgorsza rzecz, jaka w ogóle mogłaby się zdarzyć, to podział wewnętrzny i w dalszej perspektywie wojna domowa, w której po stronie Niemców, oprócz normalnego procentu zdrajców i elementów kryminalnych, znalazłby się jakiś odłam Polaków, działających zgodnie ze swoim przekonaniem z pobudek ideowych. Przerazająca wizja.

Żeby już wyczerpać ten temat, istnieje przypuszczenie, że cała ta prowokacja to osobisty „genialny” pomysł Hitlera, który szukając nowatorskiego i absolutnie niezawodnego rozwiązania, ułożył go specjalnie pod Piłsudskiego, który był zwolennikiem unii. Dlatego właśnie uważał, że z Piłsudskim zdoła się na pewno porozumieć, mając w zanadrzu taką wspaniałą przynętę. Piłsudski nie może się bronić z za grobu, ale na pewno nie był zwolennikiem Hitlera i te bezpodstawne rachuby obrażają jego pamięć. Nie można nikogo winić za to, co wyobraził sobie o nim niebezpieczny szaleniec. Hitler miał tendencję do „Vorgefasste Meinung”, oceniał często z góry ludzi, których w ogóle nie spotkał, na podstawie swojej wyobraźni, czasem jego intuicja była dobra, ale nie zawsze. Na przykład podobnie, z góry upatrzył sobie generała Antonescu, który również nie był jego

zwolennikiem, ale w beznadziejnej dla Rumunii sytuacji, w końcu zgodził się na współpracę, zapewne dla zminimalizowania zła któremu nie mógł zapobiec. W dodatku to jego poświęcenie rzeczywiście przyniosło pewne rezultaty, zmniejszając rozlew rumuńskiej krwi.

Co do Piłsudskiego, to niewątpliwie był człowiekiem czynu i czasem mijał się z zasadami demokratycznymi, kiedy uważał to za konieczne posługiwał się „action directe”, bo tak ukształtowała go działalność w warunkach konspiracyjnych. Ma na swoim sumieniu wojskowy zamach stanu i potem jeszcze ze dwa wypadki złamania prawa siłą, ale na pewno nie był dyktatorem i zachował struktury demokratyczne. Stanowi raczej jakby pierwszy model De Gaulle’a, w żadnym wypadku nie bratnią duszę Hitlera.

\* \* \*

Ta analiza wskazuje, że Polska właściwie nie miała wyboru, swoimi działaniami nie mogła uniknąć tragedii po prostu dlatego że znajdowała się w złym czasie na fatalnym miejscu. W zasadzie postępowała słusznie. Ale z drugiej strony, choć zasadniczych spraw nie dało się zmienić, można było inteligentnej rozegrać nawet te kiepskie karty, jakimi dysponowano. Jak wiadomo, diabeł siedzi w szczegółach.

Po pierwsze, po zaistnieniu już uprzednio - i to nie bez uzasadnionych powodów, podejrzeń co do dobrej wiary i uczciwości sojuszników, trzeba było targować się przy rokowaniach i zawrzeć lepsze traktaty. To prawda, że Polska bardzo potrzebowała sojuszników i od dawna starała się o bliższe z nimi stosunki, za każdą cenę, rozpaczliwie i daremnie. Ale w końcu nadeszła chwila, kiedy właśnie Francja i Anglia potrzebowały Polski, rozpaczliwie, za każdą cenę i natychmiast.

Gdyby zaś Francja nadal ślepo wierzyła w swoją Linie Maginot’a, a Anglia w wyspiarskie położenie, to można było poddać próbie tą wiarę. Ratować Francję dopiero, kiedy Linia Maginota była by już przełamana, a Hitler swoim zwyczajem skoncentrowałby tam całą armię i pozostawił na innych kierunkach tylko słabe siły osłonowe, bo ani przez chwilę nie wierzył, żeby ktoś odważył się podjąć decyzję i zaatakować go. To ostateczna możliwość, ale niewątpliwie nawet do niej by nie musiało dojść, bo dowództwo francuskie nie wierzyło na serio ani w Linie Maginota ani w ogóle w możliwość skutecznej walki, nie mówiąc już o zwycięstwie, odczuwało wprost paniczny strach przed Hitlerem. (Wprawdzie nie tylko zwykli Francuzi nie chcieli się bić, ale zwykli Niemcy też. Po doświadczeniach I Wojny Światowej to zupełnie zrozumiałe. Jednak Hitler stopniowo sobie z tym poradził, a dowództwo francuskie mu to ułatwiło).

W przymusowej sytuacji Francja i Anglia poszłyby na każde warunki. Trzeba było postawić swoje wymagania. Że niby nie wypada się targować? Bzdura, gdy chodzi o życie.



\* \* \*

**Wielkie oszustwo. Narzucony przez Francję, plan wojny: wciągnięcia sił niemieckich w głąb Polski i decydującej ofensywy na bezbronne tyły od zachodu.**

Faktycznie ówczesne dowództwo francuskie miało tylko jedną nadzieję: że wykorzystując mit niezdobytej Linii Maginot'a, uda się przez pewien czas prowadzić działania z daleka od Francji, na przykład w Polsce, potem może na Bałkanach, (Gen Gamelin i Georges pisali, że idealna byłaby Rumunia), Bliskim Wschodzie lub dalekiej północy, a w tym czasie cały wolny świat będzie nadsyłał i stopniowo nagromadzi tyle środków i sił, że w końcu zyskają znaczną przewagę nad szaleńcem. Wtedy można przystąpić do uzgodnienia warunków pokoju nawet bez rozgrywania batalii. Do tego jednak trzeba było znaleźć więcej takich frajerów, którzy zgodzą się nadstawiać... powiedzmy, że karku i odbierać cięgi. Ale w tej chwili nie było absolutnie żadnego kandydata do bicia, oprócz Polski. Dlatego właśnie dowództwo francuskie i za nim również rząd spełniłoby każde życzenie Polaków. Najłatwiej zaś płacić obietnicami bez zamiaru ich dotrzymania i tak właśnie Francuzi postąpili.

A przecież wypadek Polski to jeszcze nic w porównaniu do bezprzykładnej zdrady sprzymierzeńca, jak to się stało z Czechosłowacją. Tam Francuzi współdziałając z agresorem i biorąc jego stronę, zmusili własnego sojusznika do poddania się i nawet odmówili wysłuchania go. Z takim sprzymierzeńcem trzeba zachować daleko idącą ostrożność. Tymczasem Polacy traktowali nadal sojuszników, jeżeli nie jak rycerzy bez skazy - to jednak jako uczciwych partnerów i to właśnie był największy błąd rządu polskiego.

Francja i Francuzi mogli być i często bywali wspaniali, ale jednak nie wszyscy i akurat wtedy na ich czele stały nieuczciwe i wyjątkowo nędzne kreatury. Zresztą także i w kraju gentlemanów, właśnie tych zabrakło w rządzie. Pech. A może niedopuszczalna łatwowierność, naiwność i lekceważenie własnych interesów. Samopoświęcenie w cudzej sprawie.

Dowództwo francuskie, nie traktując na serio możliwości walki i nie wierząc w sukces, stawiało się z góry na przegranej pozycji pomimo, że przez cały czas połączone siły alianckie na zachodzie były większe od całej armii niemieckiej. Hasło na francuskich afiszach propagandowych - zwyciężymy bo jesteśmy silniejsi, udekorowane mapą świata, bynajmniej nie było sloganem propagandowym. Francja miała dużo więcej czołgów i armat, a nawet samolotów, łączna liczba żołnierzy alianckich też przewyższała siły niemieckie. Natomiast w chwili, gdy Hitler rzucił prawie 90% wojsk przeciw Polsce, przewaga francuska była: na początku kampanii około 20-krotna, a przy końcu wciąż jeszcze 10-krotna. Ponadto przecież Linia Maginota istniała naprawdę. Może nie żadna cudowna, zaklęta linia, której nie można

przekroczyć lub zdobyć, ale pomijając bzdury propagandowe, jednak silna fortyfikacja, w oparciu o którą można wygodnie rozpocząć ofensywę, a w razie niepowodzenia bezpiecznie się wycofać. Po prostu komfortowa sytuacja do działań zaczepnych przy minimum ryzyka.

Nie mieści się w głowie, jak można było mając w rękę takie karty i przeciwnika który tylko blefował z samymi blotkami, nie wygrać tej partii. Więcej, od razu spasować, nawet nie próbując rozgrywki. Już w następnym rozdaniu, w 1940 r karty rozłożyły się inaczej - ale to przecież było z góry do przewidzenia. Jednak nawet i wtedy, przy wyrównanych bardziej szansach, alianci zachowali pewną przewagę, ale dowództwo francuskie, ogarnięte już nie strachem, ale po prostu paniczną trwogą - jak zahipnotyzowane albo jakby za sprawą jakiegoś złego uroku - odnosiło się do Hitlera jak do fatum, którego nie można zwyciężyć. Po prostu zoologiczna panika owiec w obliczu złego wilka. Stopniowo ten kompromitujący zapach strachu dowództwa podziałał na całe wojsko. Czego właściwie ci ludzie mogli się aż tak bać? Przecież nawet nie własnej śmierci, nie wszyscy byli fizycznymi tchórzami, a niektórzy w obliczu klęski wybrali tak zwane honorowe wyjście.

Są tylko dwa możliwe wyjaśnienia. Jedno to wypadek jakiejś niezrozumiałej zbiorowej psychozy, która wbrew logice czasem się zdarza. Drugie, że obawiali się ujawnienia prawdy o sobie, o swojej marności, braku kwalifikacji, tego, że byli tylko zerami. Konieczności podjęcia jakiegokolwiek decyzji, tego że ta decyzja może okazać się zła i spowoduje upadek z Olimpu, na który najróżniejszymi metodami zdołali się wspiąć czy raczej wślizgnąć.

Jest faktem, że od wielkiej rewolucji, która wzburzyła fale i od samego dna wyrzuciła nowe, wybitne jednostki, wystarczająco na epopeję napoleońską, Francja nie miała szczęścia do generałów. A raczej żołnierze mieli permanentne nieszczęście znajdować zły los, klęskę i śmierć pod fatalnymi dowódcami. Odtworzyła się kasta zawodowych dowódców wojskowych, jakby dziedziczna, gdzie każde kolejne pokolenie było bardziej ograniczone, bardziej pyszałkowate i pewne swojej pozycji.

W sumie ewolucja na odwrót, w degeneracji. Część pochodziła z dawnej arystokracji, której wielki, wspaniały świat przestał istnieć i dlatego szukali zastępczego, gdzie znów jak bogowie mogli panować nad stadem bydła-żołnierzy. Korpus oficerski utracił więź ze zwykłymi żołnierzami, był ponad nimi i hojnie szafował ich życiem, bo po pierwsze nie wiele ono znaczyło, a po drugie nie umiał inaczej. Fakt, że przez cały okres I Wojny Światowej, straty francuskie były zawsze większe od niemieckich. We wszystkich bitwach, nawet obronnych i to przy obronie ufortyfikowanych pozycji, nawet pod Verdun, co raczej jest

trudne do osiągnięcia i dziwne. To też żołnierze - całkiem słusznie - dawno utracili zaufanie do zawodowych dowódców wojskowych.

Na szczęście korpus oficerski niemiecki też nie był dużo lepszy, w większości też tępy, butny i oparty na tradycji rodowej, ale jednak tam było trochę więcej miejsca dla zdolnych i kompetentnych fachowców. Zamknięty krąg ludzi, którzy dostali się do niego nie z własnych zasług, ale z urodzenia i oczywiście protekcji, pozycji rodziny, czasem siły pieniędzy, którzy uważali, że są z zupełnie innego, cenniejszego materiału od żołnierzy nad którymi mieli prawo życia i śmierci, że zajmują miejsce które im się słusznie należy. Krótko mówiąc ludzi którzy niczego się nie nauczyli i nawet nie uważali za potrzebne się uczyć. Jednak tam łatwiej było dostać się ludziom nowym. Ludziom, którzy traktowali swój zawód i pracę z punktu widzenia fachowego, a nie tylko zajmowali się własną pozycją, rozgrywkami wewnątrz kręgu i przetasowywaniem kart lub raczej tromfów.

Ostatecznie to przecież Niemcy wnieśli tak ważne nowości, jak wysunięcie broni maszynowej do przodu, przed czoło własnych oddziałów. Potem pierwsi opanowali zasady wojny pozycyjnej. W końcu też oni pierwsi znaleźli sposób na nowe, indywidualne rozczłonkowanie ludzi i inteligentne przeniknięcie przez linię okopów zamiast masowych ataków i kładzenia hekatomb trupów fala za falą w zdyscyplinowanym, karnym ataku. No tak, ale to nastąpiło dopiero po długim i krwawym trykaniu głową w Verdun. A konkretnie, kiedy ku zdumieniu dowództwa i sztabu, Niemcy nieoczekiwanie, przypadkiem lub przez pomyłkę, zajęli fort Drummont, ciesząc się sławą straszego, niezdobytego „wieka trumny”. Pluton bez dowodzącego oficera i bez strat, z wyjątkiem od ognia własnej artylerii zajął twierdzę, pod która poległy tysiące. Ale te nowości techniczne i organizacyjne wprowadzono powoli i z oporami, a żadna z osobna nie była aż tak doniosła, żeby zapewnić na trwale dużą przewagę. Ponadto po niedługim czasie, przyjmowały się one i po drugiej stronie frontu.

Tym niemniej, właśnie ostatnia ofensywa niemiecka w lipcu 1918 r., z inteligentnym wykorzystaniem rozczłonkowanych pododdziałów, które uzyskały prawo swobodnego manewrowania zależnie od sytuacji w polu, a nie sztywnego wykonywania rozkazów, była właśnie najgroźniejsza i z łatwością osiągnęła cel, dotąd uważany za niemożliwy - przerwanie stałych pozycji frontu. Na szczęście Niemcy były wyczerpane, miały już krótki oddech i żadnych sił w rezerwie, a do Francji napływała wtedy nowa armia, amerykańska.

Niestety właśnie wygrana wojna spowodowała zastój, marazm i samouwielbienie w sztabie francuskim. Po skromnym, uczciwym normalnym człowieku, Marszałku Fochu, który w trudnych chwilach doszedł do szczytu dzięki własnym talentom, najwyższym autorytetem

został Marszałek Petain. Poprzedni Naczelnny Wódz z 1917r, zwolniony na nalegania sprzymierzeńców, bo oczywiście zdanie własnych ludzi się nie liczyło.

Nie wyróżnił się on na wojnie żadną nową myślą czy planem, a jedynie jako utalentowany żandarm, sędzia i kat swoich żołnierzy, twardy człowiek o żelaznej ręce. Budził przerażenie we własnej armii a zdowolenie wrogiej, gdyż między innymi to on właśnie osiągnął ten, chyba niepobity dotąd wynik, jak przy obronie twierdz dojść do półtora tysiąca zabitych własnych żołnierzy na tysiąc atakujących napastników i to tylko wystawiając karne wojsko na bezsensowną śmierć. A to wszystko osiągnął, nawet nie uwzględniając w rachunku egzekucji, ciał przywiązanych do słupków do rozstrzeliwań i ciężko pracujących plutonów egzekucyjnych. Jednym słowem skupił w swojej osobie wszystkie najgorsze cechy korpusu oficerskiego. Trzeba mu jednak przyznać i pewne zalety: był równie surowy dla siebie jak i dla innych i w trudnej sytuacji, ostatecznie dyscyplinę utrzymał, bez względu na koszty.

W rezultacie stał się już nie tylko autorytetem i koryfeuszem, ale wzorem i prawie Bogiem dla całego korpusu oficerskiego. Często ludzie osobiście uczciwi, ale o ciasnym umyśle są bardziej szkodliwi od inteligentnych łotrów, a szczególnie, gdy są długowieczni, Świat bez naturalnej śmierci ze starości stałby się prawdziwym piekłem.

Formalnie Marszałek Petain nie pełnił już służby i można by uważać go za zwapniałego emeryta, ale faktycznie nic w armii nie działo się bez jego aprobaty. Jego dom choć skromny i jeżeli nie spartański, to najwyżej mieszczański, stał się dworem na którym generałowie zabiegali o względy i opinię Marszałka, intrygowali przeciw sobie, a oficerowie marzyli aby uzyskać prawo dostępu, choć jeden, jedyny raz. Bowiem jedno słowo, spojrzenie decydowało o ich karierze i dalszych losach.

Niestety, wynik wojny, chociaż osiągnięty raczej nie dzięki, ale mimo fatalnego dowodzenia, spowodował, że wady i Marszałka i całej kadry dowódczej, uważano wprost za zalety. Rozdział między mierzwą zwykłych żołnierzy, a wspaniałymi oficerami, którzy w końcu wygrali wojnę (nikt nie odważyłby się pytać, jak strasznym kosztem) - utrwalił się i pogłębił. A w pamięci zwykłych ludzi, obywateli demokratycznego państwa którzy w czasie wojny mieli stać się znów bezwonnymi żołnierzami, tkwiła głęboko pamięć straszliwej ceny, jaką ich pokolenie zapłaciło swoimi życiami albo co najmniej cierpieniem i ciężkim losem. Także świadomość, że to zupełnie nie obchodziło ich oficerów, ludzi którzy powinni być przywódcami i nauczycielami, a których w rzeczywistości trzeba było często wystrzegać się bardziej, niż wroga na polu bitwy. I nie ma w tym żadnej przesady, bo sam Petain i jego wybrańcy za źródło prawidłowej dyscypliny uważali właśnie, żeby własny dowódca dla swoich żołnierzy był bardziej niebezpieczny od wroga.

Nic nowego, taka myśl - nie, bezmyślna bzdura pokutowała w historii, ale nie jako jedyna, zwykle towarzyszyła im jakaś koncepcja, a nie tylko tępy umysł. Sam Petain był z przekonania monarchistą i zwolennikiem oświeconego absolutyzmu, wszelką demokrację uważał za zgubną i dlatego uważał, że Francja jako kraj całkowicie pozbawiony dyscypliny nie ma żadnych szans w walce z Niemcami o silnej władzy.

Z drugiej strony, takie stosunki w sztabie francuskim i kadrze dowódczej, możliwe były rzeczywiście tylko z powodu słabego i chwiejnego, często zmienianego rządu. Siłę demokracji stanowi oczywiście możliwość najszybszego i stosunkowo najłatwiejszego przebicia się jednostek nowych, wybitnie uzdolnionych. Jej największą przewagą nad innymi ustrojami jest to, że wymiana w górnych kręgach władzy przebiega instytucjonalnie i niejako w sposób naturalny, bez wielkich wstrząsów. Przynajmniej tak powinno być. Natomiast w innych systemach, ludzie permanentnie pozostający przy władzy, stopniowo odrywają się od społeczeństwa i tracą kontakt z rzeczywistością.

Jednak znana jest też w historii, wielokrotnie zdarzająca się forma degeneracyjna demokracji, polegająca na dużym rozdrobieniu wielu stronnictw i partii, uniemożliwiająca ukształtowanie się stabilnej władzy. Zamiast niej powstaje natomiast stabilny i zamknięty krąg stale tych samych ludzi, którzy zmieniają się przy władzy albo bardzo blisko jej, w potencjalnym zasięgu i zajmują się głównie tworzeniem ciągle nowych kombinacji, wzajemnym zwalczaniem.

Krótko mówiąc wciąż się tasują, ale to wciąż ta sama talia i nowi zdolni ludzie nie mogą się przebić do tego zamkniętego grona. Na szczycie trwa ciągła karuzela, a chociaż to formalnie jeszcze demokracja, w rzeczywistości ma wszelkie wady oligarchii przy braku takich zalet, które mają ustroje o silnej, stabilnej władzy. Jednym słowem wyłącznie cechy ujemne, a zwłaszcza słabość wewnętrzna i chwiejność, uniemożliwiająca zorganizowane działanie.

Tak sytuacja zdarzała się już wiele razy i zwykle prowadziła do katastrofy ustrojów opartych na reprezentacji demokratycznej. Rządziej, podobna niemoc występowała i w demokracjach bezpośrednich. W ówczesnej Polsce też wystąpiło takie typowe zjawisko i zamach stanu, dokonany przez Piłsudskiego w 1926 r. miał na celu przerwanie tego stanu rzeczy. Jak dotąd, jedyne skuteczne rozwiązanie tego problemu to dwubiegunowy model i system wahadła, przyjęty w Anglii i USA, dotychczas skutecznie blokujący powstanie takiego zamkniętego, błędnego koła. Ponieważ umysł ludzki stale wymyśla i tworzy, a potem sprowadza do absurdu coś nowego, trzeba odczekać, czy to rozwiązanie pozostanie skuteczne i w przyszłości.

Francja od lat nie miała stabilnego rządu i nie była zdolna do żadnego konsekwentnego działania (niektórzy twierdzą, że przez zabójstwo Barthou faszyci wyeliminowali jedyne polityka wielkiego formatu, (to osobne zagadnienie, czy jeden zamach terrorystyczny może naprawdę zmienić kierunek, jakim zmierza wielkie państwo?). Właśnie dlatego sztab generalny z armią uzyskały silną, niezależną pozycję, jak państwo w państwie - lecz nie tylko to, w ogóle spełniał jakby funkcje drugiego, nieoficjalnego superrządu i sam ustalał własne kompetencje, nie tylko w sprawach wojskowych. Zdanie sztabu i przyszłego (w razie wojny) Wodza Naczelnego było decydujące, Nie było mowy, żeby rząd uczynił coś wbrew ich opinii - lecz oni nie reprezentowali żadnej myśli oprócz paralizującego strachu, wykluczającego jakąkolwiek decyzję, nie mówiąc już o działaniu.

Najwyższy guru, Marszałek Petain dorobił do tego specjalną mętną teorię, o przewadze ognia nad ruchem. Na początku swojej kariery był on, jak jego współcześni koledzy, zwolennikiem ataku za wszelką cenę, oczywiście ataku surowo zdyscyplinowanych i karnych, zmasowanych formacji, które nie zważając na straty, muszą dojść i złamać front przeciwnika. Zastosowanie broni maszynowej spowodowało, że ten sposób walki doprowadził do niebywałej hekatombi. W czasie I Wojny Światowej Francja straciła prawie 5 milionów żołnierzy, głównie z powodu tępoty i nieumiejętności dostosowania się do nowych czasów generałów. Po tych doświadczeniach Petain zmienił zdanie i uznał, że siła ognia nowoczesnej broni wzrosła do tego stopnia, że każdy atak na zorganizowaną obronę prowadzi do klęski.

Nie zauważył w ogóle, jak łatwo ostatnia ofensywa niemiecka w 1918 r, zorganizowana według nowych zasad, w rozczłonkowanych pododdziałach i zespołach, którym zezwolono na polu polegać na własnej inteligencji i inicjatywie, przeniknęła przez zorganizowany według klasycznych zasad wojny pozycyjnej front francuski. Ani także tego, jak potem z kolei ofensywa Focha zdeorganizowała i zrolowała front niemiecki. Ani wreszcie nowych zmian pola walki, które wniosło zastosowanie broni pancernej i lotnictwa. Marszałek Petain twardo wierzył, że strona która pierwsza zacznie atak poniesie klęskę. Żeby zwyciężyć, wystarczyło oczekiwać na ruch przeciwnika.

W tym punkcie całkowicie zgodny z nim był Wódz Naczelnny Armii Francuskiej, gen, Gamelin, który nawet nie dopuszczał myśli o ofensywie. Jednak mimo, że zaaprobowany przez Marszałka Petain'a i cieszący się jego poparciem i zaufaniem, różnił się w innej drobnej kwestii. Nie wierzył również w skuteczność obrony. Francja wydała na budowę fortyfikacji nieprawdopodobne wprost sumy, za które można by wystawić i uzbroić najpotężniejszą armię świata, albo też za małą część dobroić sprzymierzeńców i walczyć następnie cudzymi

rękami. Wprawdzie mówi się, że międzywojenną Francję zgubiły afery finansowe, a niewątpliwie tak gigantyczne prace inżynieryjne też się bez tego nie obeszły. Jednak sam Maginot był osobiście uczciwy, a jego wizja i dzieło konstrukcyjne naprawdę niezwykle i obecnie za mało doceniane. Z drugiej strony, nie podobna nawet ocenić nieprawdopodobnych zapętleń i zawirowań wielkich interesów, jakie pociągnęły za sobą takie ogromne pieniądze. Budowa chińskiego muru była bez porównania mniej kosztowna, a dłużej skuteczna. Panuje opinia że ten wydatek nad siły zrujnował Francję.

Faktem jest, że Francja po I Wojnie Światowej planowała wszystko z uwzględnieniem odszkodowań wojennych, które nigdy się nie zmaterializowały. Francja poniosła ogromny koszt zwycięskiej wojny obronnej, a agresor nie zapłacił nawet za zniszczenia ani nie zwrócił zrabowanych kontrybucji, a następnie nie płacił długów i żadnych należności. Początkowo we Francji sytuacja wydawała się doskonała i przeprowadzono zbyt optymistyczny rachunek. Wszyscy usiłowali odzyskać swoje, albo urwać ile się da dla siebie, więcej niż było i to zbyt optymistyczna ocena stała się powodem zapaści finansowej.

Generał Gamelin postępował w sposób nie odbiegający od ustalonych wzorów, a znakomicie umiał i dopominać się o pieniądze i liczyć, to była jedyna dziedzina, w której naprawdę był mistrzem. Zaczął od żądania nieprawdopodobnych sum i ostatecznie otrzymał je od zdesperowanego parlamentu.

Niestety i te pieniądze zostały zmarnowane. Gamelin miał duszę kolekcjonera, chciał dostać mnóstwo nowych zabawek po prostu, żeby się nimi nacieszyć i potrzebował na to pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Nie na żadne prowadzenie wojny. Żadnej z tych nowych zabawek nawet nie zamierzał użyć, żeby się broń Boże nie zepsuły. Na sam widok tego wyposażenia, wróg powinien paść na kolana i poddać się.

Sam chorobliwie niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji, tępił generałów i oficerów z inicjatywą. Przed klęską w 1940 Francja miała wraz z sojusznikami więcej żołnierzy na froncie. A nawet bez sojuszników, sama tylko Francja, dwa razy więcej od Niemiec czołgów. Samolotów także więcej (nie wszystkie nowoczesne, ale dotyczyło to i drugiej strony), nie mówiąc o bardzo dużej, prawie dwukrotnej przewadze w artylerii. Ale ten sprzęt, przeważnie niewykorzystany i nowy, stał się zdobyczą niemiecką i dozbroił niemiecką armię. Gen. Gamelin dawał się bić w każdym miejscu i czasie i w ogóle nie reagował.

Hitler kolejno wykonał wszystkie ruchy, które Gamelin uważał za niemożliwe, niestosowne, nieprawdopodobne i sprzeczne ze sztuką wojenną, ogromnie niebezpieczne i narażające na zgubę armię, która je wykona. Uważał słusznie, ale tak mogło się stać tylko w wypadku, gdyby Hitler miał jakiegoś przeciwnika.

Dla Polaków najbardziej bolesne było niewątpliwie to, że poświęcenie z jakim wzięli na siebie cały ciężar pierwszego roku wojny, kosztem najstraszniejszych klęsk i ofiar, wydawało się daremne. Na szczęście nie zdawali sobie wówczas z tego sprawy i wierzyli, że ich walka i ofiary były potrzebne i konieczne, że osłonili własnymi ciałami sprzymierzeńców w krytycznym okresie i dali im czas do przygotowania się, zorganizowania oporu.

Prawdę poznali dopiero w następnym roku, kiedy minął już szok własnej klęski i utrwaliło się przekonanie, że bez względu na wszystko walka trwa i musi się zakończyć zwycięstwem. Tym niemniej, jeszcze raz po klęsce Francji, przez całą Polskę przeszła fala rozpacz i samobójstw, w tym bardzo wielu wybitnych i wartościowych ludzi. Ta fala samobójstw w połowie czerwca 1940, po straszliwej chwili, kiedy rozległ się pogrzebowy dźwięk dzwonów, który zdawał się oznajmiać nie pokój, lecz koniec świata - dotknęła nie tylko polskiej inteligencji - siłą rzeczy warstwy najbardziej podatnej, wrażliwej, w części nawet neurotycznej i słabej - ale również młodzieży. Angus też przeżył te chwile, w których wydawało się, że jego świat przestał istnieć i pozostało już tylko umrzeć. Na szczęście wśród młodzieży przeważało zdanie, że lepiej zginąć z ręki wroga niż własnej, a jeżeli już ginąć, to w walce, przynajmniej ma to jakiś sens. Potem dodano jeszcze, że do walki trzeba się przygotować i wybrać odpowiednią chwilę i w ten sposób zbyt pochopna i ostateczna decyzja się odwlekała.

Wszystko to mogło wydarzyć się w 1940 r. tylko dlatego, że obecnie, w 1939 r. sztab francuski nie tylko nie wykonał umów i traktatów sojuszniczych i nie tylko nie wykorzystał niepowtarzalnej okazji szybkiego wycięstwa i zakończenia wojny, ale także nie wykorzystał czasu, jaki dała mu najpierw swoją grą dyplomatyczną, a następnie samotną walką Polska.

Sztab ten niczego się nie nauczył z przebiegu kampanii 1939r, nie zapoznał się z nią i nie wyciągnął żadnych wniosków. A przecież niektóre najprostsze spostrzeżenia narzucały się same. Choćby zablokowanie głównych dróg przez tłumy uchodźców w warunkach stosowania przez Niemców bezwzględного terroru lotniczego przeciw ludności cywilnej, to było oczywiste i można było temu w przyszłości jakoś zapobiec. Albo bitwa pod Kutnem, w której atak z boku na wysunięty niemiecki klin pancerny omal nie doprowadził do ciężkiej porażki Niemców i zagłady ich prestiżowej broni szpicy pancernej, a w każdym razie udaremnił cel taktyczny. To była po prostu wzorcowa lekcja riposty na przerwanie się korpusu pancernego i można ją było powtórzyć przy przedarciu się broni pancernej przez Ardeny. Podobne uderzenie mogło łatwo odciąć broń ofensywną Niemców. Pod Kutnem Niemcy zdołali opanować sytuację tylko dzięki całkowitemu panowaniu w powietrzu, a i tak sytuacja była na tyle poważna, że trzeba było aż osobistego przybycia i interwencji Hitlera,



który skupił tam całe operacyjne lotnictwo. Natomiast we Francji, Niemcy nigdy nie mieli tak całkowitego panowania w powietrzu. Przeciwnie, francuskie lotnictwo, chociaż pozbawione ducha ofensywnego, miało jednak ilością przewagę.

W każdym razie aż do chwili niespodziewanej ofensywy samolotów niemieckich przeciwko lotniskom aliantów. Ale dlaczego niespodziewanej? Przecież i tego można było nauczyć się z kampanii polskiej, z tą różnicą, że tam analogiczne uderzenie niemieckie trafiło w próżnię. Polska miała bez porównania mniej samolotów, jednak zniszczone zostały one w walce a nie na lotniskach, bo Polacy jednak przewidzieli, że w czasie wojny można się spodziewać ataków na lotniska i to rzecz całkiem naturalna, a nie jakieś niestosowne naruszenie dobrych obyczajów. Elementarne Dlatego lotniska stały puste, a samoloty jako cenna broń zostały rozdzielone i przeniesione na często zmieniane lotniska polowe. W rezultacie liczba zestrzelonych samolotów niemieckich w tej kampanii była większa niż polskich i to mimo znacznej różnicy jakościowej sprzętu. Nie tylko w odniesieniu do własnych żołnierzy, dowództwo francuskie grzeszyło pychą i głupotą.

Według traktatu sojuszniczego i stanowiącej jego integralną część umowy sztabowej, Francja zobowiązana była w ciągu tygodnia, a najpóźniej dziesiątego dnia wojny rozpocząć na froncie ofensywę głównymi siłami swej armii. Takie samo zobowiązanie miała i Polska. To właśnie niedopełnienie tego zobowiązania stanowiło pierwotnie jedyne żądanie Hitlera wobec Polski. Dalsze zostały dodane później, po odpowiedzi, że aż do końca ważności traktatu sojuszniczego Polska swoje zobowiązanie bezwzględnie wykona, a dopiero po jego wygaśnięciu może rozważyć wspaniałomyślne propozycje Niemiec. Wtedy Niemcy od „przyjaznych” propozycji przeszli do nacisku.

Ze strony Anglii, podobna możliwość interwencji nie istniała, ale w czasie wizyty gen. Ironside'a w Polsce w lecie 1939, w imieniu sztabu brytyjskiego deklarował on udzielenie pomocy w postaci działań lotniczych i zaangażowania części niemieckiego lotnictwa.

Jak wiadomo, te umowy i traktaty zostały przez aliantów niedotrzymane i to nawet bez żadnego zachowywania pozorów, po prostu tak, jakby w ogóle nie istniały. Francja mogła bez najmniejszych przeszkód, zgodnie z planem zmobilizować swoją armię, a na froncie miała, jak już wspomniano, ponad dziesięciokrotną przewagę, bo Hitler rzucił na Polskę 80 wielkich jednostek, a na granicy zachodniej pozostawił początkowo siedem i to drugorzędowych dywizji piechoty, tylko częściowo wyposażonych w sprzęt, jeszcze w trakcie mobilizacji i organizujących się ze starszych roczników. Dopiero w końcu miesiąca, gdy kampania w Polsce dobiegała końca, Niemcy doprowadzili na zachód ilość wielkich jednostek do 23, ale ciągle nie było tam żadnej pancernej. Jednak we wszystkich

komunikatach z frontu zachodniego wspomina się tylko o sporadycznej działalności patroli, żadnej ofensywy nawet nie rozpoczęto.

W rzeczywistości Francuzi wysłali z za umocnień kilka patroli piechoty, w tym najliczniejszy złożony z 27 ludzi. Gdyby było to 27 dywizji, można by zapytać, czy te 27 dywizji uważają za główne siły armii, ale w tej sytuacji... Patrole te bez żadnych prób stawiania oporu ze strony Niemców posuwały się swobodnie do przodu aż do chwili, kiedy zaniepokojone tym dowództwo francuskie kazało im się zatrzymać. Następnie na zajęty teren przesunięto kilka mniejszych jednostek, gdy jednak Niemcy nadal nie podjęli żadnych kroków, faktycznie nie dysponując niezbędnymi siłami, dowództwo francuskie doszło do wniosku, że przeciwnik szykuje jakąś straszną pułapkę i nakazało odwrót. Wycofanie się z powrotem na Linie Maginot'a nastąpiło w porządku i nadal bez nacisku ze strony Niemców, a w całej operacji łączne straty francuskie wynosiły 5 zabitych przy wymianie ognia z broni ręcznej w przypadkowych zetknięciach się patroli i sporo jeńców, którzy bez walki poddawali się do niewoli (zwłaszcza w nocy).

Natomiast jedyna akcja lotnictwa brytyjskiego ograniczyła się do dwóch lotów nad terenem północnych Niemiec, podczas których zrzucono ulotki. Minister propagandy Rzeszy wspominał o tym w jednym z przemówień, mówiąc że wojna rzeczywiście pociągnęła za sobą pewne utrudnienia w zaopatrzeniu ludności, między innymi wystąpiły lokalne braki papieru toaletowego, dlatego akcja Anglików była bardzo na czasie.

Z drugiej strony możliwe, że lotnictwo brytyjskie nie było jeszcze w stanie podolać ciężarowi zobowiązań sojuszniczych. Jeżeli istotnie tak właśnie było, to nie trudno sobie wyobrazić, w jakiej sytuacji znalazłaby się Anglia, gdyby Polska nie stawiała w 1939 r oporu i gdyby uderzenie niemieckie skierowało się na zachód. Po szybkim zajęciu Francji, armia niemiecka rozpoczęłaby przygotowania do inwazji Anglii, a lotnictwo niemieckie naloty. Do żadnej bitwy o Anglię nawet by nie doszło. gdyż nie byłoby się z kim bić, skoro lotnictwo brytyjskie było jeszcze niezdolne do podjęcia akcji.

Ale nawet porzucenie i zdrada sprzymierzeńca to nie wszystko, gorsze od niedopełnienia obowiązków traktatowych było wprowadzenie w błąd, narzucenie fałszywej koncepcji planowania wojny przez świadome podanie fałszywych danych, co spowodowała tak tragiczny rozmiar klęski. Mówiąc wprost celowe okłamanie sojusznika, wpuszczenie go w maliny.

Rząd polski, jak również i Naczelnny Wódz, Marszałek Rydz-Śmigły bezkrytycznie przyjął za dobrą monetę informacje i wskazówki francuskiego Sztabu i jeszcze gorzej, zastosował się do jego dyrektyw. Właściwie przestał działać jak Wódz naczelny

niepodległego państwa i dobrowolnie przyjął rolę dowódcy jednego z frontów względnie wydzielonego odcinka, naiwnie sądząc, że działa we wspólnym interesie, dla wspólnej sprawy. Tą rolę aż do końca kampanii wypełniał najlepiej jak umiał, a był w tym dobry, znakomicie nadawał się na dowódcę wydzielonego odcinka któremu powierzono ważne zadania. Tym powinien być, a nie samodzielny Wodzem Naczelnym..

Sztab francuski nalegał na głęboki odwrót armii polskiej, bez staczania bitew i najlepiej uprzedzając jeszcze ofensywę niemiecką co najmniej do linii Wisły, a nawet jeszcze dalej, aż do samego południowo - wschodniego narożnika Polski i dopiero tam stawienie ostatecznego oporu. To była zgubna taktyka. Nie tylko dlatego, że opuszczenie własnego kraju i pozostawienie ludności cywilnej na pastwę terroru i represji nie przestrzegającego norm międzynarodowych napastnika bez bitwy, bez przynajmniej próby oporu było nie do pomyślenia, mogło wywołać rozpad wojska lub bunt w obliczu wroga, a na pewno pozbawiłoby go najważniejszej cechy: zaangażowania patriotycznego i motywacji, jedynej przewagi jaką miała polska armia.

Ale w ogóle daleki odwrót piechura przed zmotoryzowaną armią był nierealny. To był najbardziej zgubny, głupi plan jaki można sobie wyobrazić. Najlepszy żołnierz nie jest w stanie maszerować nocami, ścigając się z motorami i potem walczyć w dzień. Po prostu człowiek nie jest maszyną, wcześniej traci siły i potrzebuje więcej czasu na ich odzyskanie.

Polacy od początku byli w bardzo trudnej sytuacji i co do tego nie mieli żadnych wątpliwości. Jediną alternatywą było bić się do końca jak długo zdołają utrzymać broń w ręku. Uporczywie walczyć na miejscu. Zapomnieć o odwrocie, bez względu na to jaka jest ogólna sytuacja i czy gdzie indziej nieprzyjaciel zdołał się przedrzeć, czy nie.

Rzeczywiście, w takich właśnie sytuacjach sprawdzali się najlepiej i mieli stosunkowo najbardziej wyrównane szanse, bo większe znaczenie miała wartość samych ludzi. Westerplatte to oczywiście najczęściej wymieniany przykład, ale zupełnie wyjątkowy i raczej już symbol, więc zamiast na to się powoływać, wybierzmy jeszcze inne. Na przykład cała obrona wybrzeża jest wspaniałym przykładem celowego i bardzo skutecznego działania, wojsko nie cofało się, tylko walczyło uparcie i ginęło na powoli kurczącym się terenie i w końcu Hel kapitulował jako ostatni skrawek polskiego terytorium dopiero w październiku, mimo przewagi wroga, której lepiej nie wymieniać, bo wyda się niewiarygodna. Jest wiele innych przypadków takich bardzo skutecznych działań obronnych, z których najbardziej znane to raczej mało praktyczna, obrona wielkich miast, Warszawy i Lwowa. Jedyne działanie mające sens, to bić się na miejscu i wytrwać w upartej obronie mimo, że stopniowo

w różnych miejscach będzie się ona kruszyć. Oczywiście, przy wielokrotnej przewadze Niemców Polska w końcu musiałaby przegrać, ale walka trwałaby dłużej.

Czy straty byłyby w takim wypadku większe? Oczywiście, że nie, bo dopiero pokonanych i rozbrojonych Polaków zaczęli Niemcy na masową skalę mordować, działania wojenne przynosiły mniejsze straty. Zbyt późno dotarło do nas, że bezbronnych zabija się łatwiej i szybciej. Chyba nawet wśród wojska ilość ofiar byłaby mniejsza, bo w polowaniu na śmiertelnie wyczerpanych odwrotem, ginęło więcej ludzi niż we walce obronnej. Wreszcie, kiedy Niemcy na wielką skalę rozpoczęli mordować ludność cywilną, to właśnie ponowne podjęcie walki i to w znacznie trudniejszej sytuacji, właśnie zmniejszyło a nie podwyższyło straty.

Napad hitlerowski to nie była żadna wojna cywilizowana. Niemcy na okupowanym terytorium nie przestrzegali konwencji międzynarodowych o ochronie ludności cywilnej - ani w ogóle żadnych praw ludzkich czy boskich. To było jak walka zakubańskich kozaków o jakich kiedyś opowiadał Angusowi ojciec, za wszelką cenę należało utrzymać się do końca na nogach, bo leżący miał małe szanse na przeżycie. Polacy, oraz Żydzi zostali zakwalifikowani do wytopienia w pierwszej kolejności. Żydzi, którzy nie stawiali oporu zostali całkowicie wymordowani. Polacy walczyli dalej i tylko dlatego przeżyli, mimo ciężkich strat. Po prostu Niemcom nie wystarczyło już sił, żeby zrealizować plany. Na pewno nie przeżyliby w innym wypadku.

Być może, bijąc się do końca na miejscu, poszczególne odizolowane fragmenty armii polskiej zdołałyby przetrwać aż do zimy, a wtedy ponownie odzyskać utracone terytorium, bo armia niemiecka była zupełnie nieprzygotowana do wojny w warunkach zimowych i w ostrej zimie 1939/40r. całkowicie bezradna i bezbronna. Może za wyjątkiem strzelców alpejskich. Nie doszłoby zapewne do przeniesienia działań wojennych na terytorium Niemiec, ale większą część Polski zapewne dałoby się odzyskać.

To nie jest żadne fantastyczne przypuszczenie, nikt, kto przeżył w Polsce zimę 1939/40 i widział na własne oczy wojska okupacyjne nie może mieć co do tego żadnej wątpliwości. Były one niezdolne do żadnej akcji, nawet wartownicy w ogromnych butach plecionych z warkoczy słomy, których widok był szokująco śmieszny, nie mogli ustać na mrozie i chowali się do pomieszczeń opuszczając posterunki. Jeden pluton polskiej piechoty w tych warunkach mógł wziąć do niewoli cały batalion Niemców. To dlatego oddział majora Hubala (nie ujmując Mu osobistych zasług), ostatni ciągle niepokonany „oddział wydzielony” armii polskiej, lub pierwszy oddział partyzancki, mógł staczać potyczki, przy których

pokonywał nawet dwudziestokrotnie liczniejszego przeciwnika i przetrwał w polu aż późnej wiosny 1940.

Jest faktem, że armia niemiecka była kompletnie niezdolna do prowadzenia kampanii zimowej. Hitler, którego doświadczenia z frontu zachodniego to było przeważnie błoto, chłody i opady, wyjątkowo śnieg który wkrótce topniał, po prostu nie miał zrozumienia dla wymogów ostrej zimy, a swoją generację osiodłał w 1934 i po raz drugi w 1938 r. do tego stopnia, że nikt nie ośmielił się zwrócić uwagi na najbardziej oczywiste błędy.

Jeszcze raz, w dwa lata później, zima zaskoczyła Niemców, bo nawet w 1941 r armia nie była należycie przygotowana do kampanii zimowej. Ale wtedy jednak było już dużo lepiej. Co za postęp, co za ogromny postęp w porównaniu z rokiem 1939. Natomiast w 1939 r. od drugiej połowy grudnia, armia niemiecka była jak sparaliżowana.

\* \* \*

### **Zakończenie kampanii 1939r. Biada oszukanym.**

Obecnie jednak, w trzeciej dekadzie września 1939 działania wojenne wprawdzie odsunęły się daleko, ale bynajmniej nie straciły na intensywności. W Lubelszczyźnie, na Roztoczu i Pokuciu prawie bez przerwy trwały bitwy, przeważnie z oddziałami armii polskiej które unikając walki (zgodnie z rozkazem) z Armią Czerwoną, usiływały przedrzeć się przez terytorium już zajęte przez Niemców. Bitwy toczono z rozpaczą, szczególnie zacięte i krwawe, czasem wprost samobójcze ataki z generacją i oficerami na czele oddziałów. Nie wszystkie też kończyły się reklamowanymi w gazetach, zwycięstwami niemieckimi. Na przykład, pierwszy sformowany oddział nowych wojsk - (Waffen SS a nie Wehrmacht), pułk „Germania” został w ostatnim chyba w tej wojnie ataku na bagnety, w nocy, z zaskoczenia i bez strzału, wybity prawie do nogi. SS nawet nie usiływało nigdy odtworzyć tej jednostki, a nieliczni ocaleni zwolnieni z wojska znaleźli się pod opieką lekarską z powodu rozstroju nerwowego.

Ostatnią bitwę pod Kockiem stoczono 2 października, oddziały polskie po sukcesie, pobiciu dwu dywizji niemieckich musiały kapitulować z powodu całkowitego wyczerpania amunicji. Jeszcze dłużej walczył Hel, gdzie po upartej obronie zebrały się resztki innych oddziałów z wybrzeża, a nieco wcześniej, 28 września kapitulowała Warszawa.

Wódz Naczelny, marszałek Rydz Śmigły wraz z rządem i władzami państwa przeszedł granicą po napaści radzieckiej, po hamletowskich wahaniach i kilkakrotnej zmianie decyzji. Kilkakrotnie chciał wracać, zakończyć walkę i życie w kraju, wybrał nawet ochotników z towarzyszącymi mu oficerów i pobrał dla siebie i nich broń długą. Ostatecznie dał się przekonać, że będzie bardziej potrzebny na emigracji i musi kierować tam dalszą walką. To

był oczywiście najbardziej tragiczny błąd jego życia. Dyplomaci i prawnicy rządowi wmówili mu, że ponieważ to on podpisywał umowy sztabowe, stanowiące załączniki traktatów, jest nieodzowne, żeby wystąpił osobiście przed rządem francuskim jako sojusznik i strona tych umów. Może w ten sposób osiągnąć szybsze odtworzenie polskiej armii i polepszyć jej status, a także los żołnierzy i oficerów, którzy też opuszczają kraj aby kontynuować walkę.

Ale właśnie to, że był tym zdradzonym naiwnym i wiernym sojusznikiem, który dokładnie wypełnił wszystko, czego od niego żądano, stawiało go na straconej pozycji. Sprzymierzeńcy nie chcieli go widzieć, był kłopotliwy. Mimo wszelkich poręczeń i gwarancji, Rydz Śmigły nigdy nie zdołał wyjechać z Rumunii do Francji. Został przez sojuszników rumuńskich i na życzenie, a raczej kategoryczne żądanie sprzymierzeńców francuskich internowany. Wraz z rządem i władzami polskimi, znalazł się w pułapce, którą tylko niektóre osoby zdołały opuścić, ale dopiero po oficjalnym zrzeczeniu się funkcji.

Nowy rząd emigracyjny we Francji został utworzony ze stronnictw, które faktycznie już poprzednio miały większość, ale dzięki druczkom prawnym w parlamencie znajdowały się dotąd w opozycji. Teraz Francuzi wymogli zmianę ekipy, bynajmniej nie dlatego żeby wspomóc demokrację, los Polaków był im oczywiście obojętny. Woleli rozmawiać z nowymi ludźmi, a nie dopuścić do głosu partnerów, z którymi się umawiali i których cynicznie zdradzili. Którzy mogliby wysuwać jakieś żądania.

Z drugiej strony, zmiana była szczęśliwa, gdyż na czele rządu stanął przywódca o ogromnym autorytecie, autentyczny mąż stanu wielkiego formatu którego dotąd Polska była pozbawiona, generał Sikorski. Spotkało się to z pełnym poparciem społeczeństwa w kraju. Dość powiedzieć, że na przykład Angus przez całą wojnę nie spotkał nikogo, kto odnosiłby się krytycznie do Sikorskiego, ani nie słyszał o takiej osobie.

Ostatni rząd polski, tzw. „sanacyjny”, z pewnymi zmianami pozostający u władzy od czasu zamach stanu Piłsudskiego przed trzynastu laty, już wcześniej nie miał poparcia społecznego, a po poniesionej klęsce był wprost znienawidzony i obarczany wszelkimi możliwymi i niemożliwymi winami, nawet całkiem niesłusznymi. Także i wódz Naczelny, marszałek Rydz Śmigły był powszechnie potępiany za przegraną kampanię, za fatalne dowodzenie, za złe przygotowanie wojska, a zwłaszcza za to, że nie zginął z honorem w dniach klęski.

On sam, internowany obecnie w sprzymierzonym kraju i przez przyjaciół Rumunów na usilne naleganie przyjaciół Francuzów, wiele razy analizował obecnie każdy szczegół i nie widział niczego, co mógłby zmienić, przez cały czas robił to, co musiał. Wykonał najlepiej jak mógł instrukcje francuskiego Sztabu Generalnego. W krytycznym momencie zakazał

nawet gen. Kutrzebie bitwy, która mogła skończyć się sukcesem. Zezwolił jedynie na ograniczone natarcie częścią sił, trzema dywizjami uszykowanymi w „schody” i wprowadzanymi kolejno do bitwy, minimalizując czynnik zaskoczenia. Od początku celem jego było doprowadzenie wojska - lub raczej to co z niego po morderczym odwróceniu zostało na drugi brzeg Wisły i teraz walczyło ono dokładnie tam, gdzie żądał sprzymierzeńiec. Trudno to była wojna i najcięższe ofiary były konieczne dla końcowego, ostatecznego zwycięstwa. Nie czas było żałować ludzi, żołnierze i oficerowie są od tego, żeby ginąć za kraj. Kosztem ogromnych ofiar zrobił dokładnie to, czego od niego żądano, wyciągnął za sobą całą prawie armię niemiecką aż do najdalszego końca Polski, w teren prawie bez dróg i infrastruktury, skąd ciężki sprzęt na pewno nie da się szybko wyplątać. To miało sens i warte było ciężkich strat, trzeba było poświęcić mniej ważny odcinek dla decydującego. Teraz wojska francuskie mogły po prostu spacerem wejść do Niemiec, nie było mowy, żeby Hitler zdołał na czas wyekstrahować swoją armię, przetrzymać ją z Polski nad Ren. W tej chwili wojna była prawie wygrana, ofiara nie daremna, choć to nie jemu przypadnie chwała decydującego uderzenia. A tymczasem mijały kolejne dni i żadne uderzenie francuskie nie rzuciło Niemców na kolana.

Powiodł swą armię na zgubę, zupełnie bez celu. To było wprost niepojęte. Po co, dlaczego sztab francuski rzucił na pożarcie wilkom swego sprzymierzeńca, podał mu błędne informacje i instrukcje. Wpuścił go w maliny lub raczej pchnął prosto w przepaść, nie konsumując teraz korzyści, jakie z tego wynikły. Przecież gdyby znał prawdziwe zamiary Francuzów, biłby się zupełnie inaczej, skuteczniej i oczywiście dłużej. Przecież Francja tylko by na tym skorzystała, gdyby Polska biła się dłużej i zadała agresorom większe straty.

A jednak wbrew wszelkim logicznym argumentom koszmar nie chciał się skończyć. Mijały dni i z nimi resztki nadziei, coraz bardziej jasne stawało się że właśnie ta potworna, niemożliwa ewentualność okazuje się rzeczywistością, że żadna reakcja ze strony Francji nie nastąpi. A on sam musi pozostać tutaj, w klatce, owszem nawet nie specjalnie nędznej ani uciążliwej, ale odizolowanej tak, że nawet gdyby ktoś jeszcze chciał słuchać jego głosu, ani jedno słowo usprawiedliwienia nie wydostanie się z tego zadupia. Wszyscy, cały naród i armia obarczają go najstraszniejszą odpowiedzialnością, a on nie mógł podać ani jednego słowa obrony. Postarali się o to ci sami sojusznicy, którzy go tu doprowadzili. Nikt go nie słyszy, ani nie chce.

\* \* \*

**Niemiecki rycerz, życie bez skazy i tragiczny los.**

W tych samych dniach drugiej połowy września, jeszcze jeden generał oczekiwał w napięciu na pierwszą wiadomość o ofensywie francuskiej, wypatrywał pierwszych jej oznak z frontu zachodniego. Był to najwybitniejszy strateg, jakiego posiadały wówczas Niemcy, chociaż raczej teoretyk o analitycznym umyśle, ścisły, bystry i ogarniający błyskawicznie szerokie horyzonty, natomiast może o nieco mniejszej ilości wewnętrznej energii i bardziej skłonny do refleksji niż do natychmiastowego, szybkiego działania (lecz absolutnie nie pozbawiony zdolności do podejmowania decyzji, jak gen Gamelin). Chodzi tu o generała pułkownika Ludwig von Beck'a, byłego szefa Sztabu Generalnego, którego Hitler odsunął ze stanowiska i w ogóle z czynnej służby z powodu jego sprzeciwów w czasie kryzysu czeskiego.

Ludwig von Beck był przedstawicielem starej szkoły z czasów, kiedy Sztab generalny nabierał coraz większego znaczenia i stopniowo stał się najważniejszą instytucją, prawdziwą Mekką Armii Niemieckiej. Nie tylko głową z której wychodziły wszystkie dyrektywy i polecenia, ale jakby najwyższą akademią i instytutem wychowawczym, przez który powinni w zasadzie przejść wszyscy wyżsi dowódcy. Nawet więcej, jakby zamkniętym i zaklętym kręgiem, prawie jakby stowarzyszeniem lub zakonem (choć nigdy nie istniały żadne formalne albo tajne formy organizacyjne, oprócz silnej tradycji). Krótko mówiąc, staż w Sztabie Generalnym miał elicie korpusu oficerskiego nie tylko pozwolić nabrać najwyższych kwalifikacji zawodowych, ale i określonych cech charakteru, lub może raczej wykazać się cechami koniecznymi dla wyższych dowódców.

Tak pozostało nawet w okresie, kiedy Sztab Generalny formalnie został rozwiązany po przegranej pierwszej Wojnie Światowej, a faktycznie funkcjonował nadal pod nazwą Truppenamt'u. Także i w pierwszym okresie władzy hitlerowskiej, choć część istotnych uprawnień Sztabu Generalnego przeniesiono do Oberkommando des Heeres (OKH).

Sztab Generalny był centralnym i wyłącznym ośrodkiem dyspozycyjnym wojska, w dużym stopniu niezależnym czy też równorzędnym do naczelnego dowódcy którego polecenia miał wykonywać (a który z reguły też przeszedł przez Sztab Generalny). Zresztą to oczywiste, skoro Sztab był jedynym organem, który przekazywać mógł te rozkazy, a nawet i formalnie Szef Sztabu ponosił za nie odpowiedzialność na równi z dowódcą. To też Hitler, który w żadnym wypadku nie godził się na żaden podział władzy, musiał złamać kręgosłup Sztabu Generalnego i ogóle całej nieformalnej hierarchii wojskowej.

Niemiecki Sztab generalny nie miał zbyt dobrej opinii w reszcie świata, od czasu pierwszej wojny światowej. Faktycznie jednak ulegał on korzystnej ewolucji, jak wiele ginących instytucji stawał się w schyłkowym okresie zbiorem ludzi o coraz wyższym



poziomie intelektualnym i moralnym. Jego epigon, Ludwig von Beck (bo instytucja o starej nazwie w czasie dalszych rządów Hitlera nie była już dawnym Sztabem Generalnym) był człowiekiem wybitnym - prawym, szlachetnym, głęboko wykształconym i światłym. Nie jest to tendencyjna opinia Polaka, bo Von Beck nie był przyjacielem Polski i Polaków, przeciwnie odnosił się do nich z nieuzasadnioną wrogością i to może jedyny jego minus. Był konserwatystą, uważał że ziemie raz zagarnięte podczas rozbiorów Polski powinny nadal pozostać przy Niemcach, a odzyskanie ich przez Polskę stanowiło szczególnie złośliwą formę upokorzenia i zemsty ze strony zwycięskiej Francji, coś w rodzaju wsadzenia bolesnego ciernia w poniesione rany. Był też nadal zwolennikiem monarchii, czy raczej cesarstwa Narodu Niemieckiego, choć oczywiście w zmodyfikowanej formie i nie uwielbiał bynajmniej ostatniego cesarza. Ale nadal uważał Bismarka za wielkiego człowieka, a swego poprzednika Moltkego za absolutny wzór do naśladowania, choć raczej nieosiągalny.

Z drugiej strony poczytywał jedynie wojnę obronną za usprawiedliwioną i zupełnie szczerze wierzył, że jedynym zadaniem wojska powinna być obrona własnego kraju i narodu. To też Hitlera uznał po prostu za ucieleśnienie zła. Bardzo szybko rozpoznał jego dążenia, zorientował się o wiele szybciej i o wiele dalej jakie będą konsekwencje, że oto nastał człowiek, który zniszczy wszystko, czego tylko potrafi dosięgnąć. Zarówno wartości które przez dziesiątki lat i wieki rozwijała jego klasa i środowisko, jak też instytucje i w końcu całą armię - i jeszcze o wiele więcej, całą jego ojczyznę i tyle świata, na ile zdoła położyć ręce. Niebezpieczny szaleniec, ale przy tym podstępny i przebiegły, który za nic nie wypuści władzy i pociągnie za sobą do katastrofy nie tylko człekokształtny zwierzyniec, który go otaczał i bandy zbójów w brunatnych uniformach, ale całe Niemcy.

Von Beck przewidywał, a raczej widział to wszystko naprzód, ale już wielokrotnie stwierdził, że ludzie którzy mają większą zdolność przewidywania, „Besserwisser’zy”, nie są akceptowani przez otoczenie, a ich słowa trafiają do głuchych uszu. Nikt nie jest prorokiem we własnym domu. Nie mógł oczekiwać że nawet najbliżsi znajomi i przyjaciele tylko na jego słowo zechcą przeciwstawić się Hitlerowi.

A był to bez wątpienia ogromnie niebezpieczny przeciwnik. Niedawno bez zmużenia oka kazał zamordować Schleicher’a i von Bredow’a, a przecież Schleicher był nie byle jakim graczem, najbardziej przebiegłym i pomysłowym lisem jakiego wydała epoka i ponadto żywą legendą Reichswehry, która ceniła jego imię. Wkrótce potem usunął z celowo sfabrykowanym przez wywiad SS hańbiącym piętnem Blomberg’a i Fritsch’a (ten ostatni został zrehabilitowany gdy okazało się, że oskarżenie jest całkowicie fałszywą prowokacją, ale

dowódca armii został przywrócony do funkcji dowódcy pułku, i to artylerii fortecznej czyli daleko i w zapomnieniu).

Von Beck wyszedł stosunkowo szczęśliwie, tylko przeniesienie do rezerwy bez żadnych represji, generałowie mieli nadzieje, że Hitler stopniowo się cywilizuje. Ale von Beck wiedział, że zawdzięczał to tylko legendzie o Świętym Graalu. Po prostu niesamowicie, Hitler rzeczywiście wierzył w tę średniowieczną bajkę i obawiał się zlikwidować człowieka, którego ród od wieków rzekomo strzegł tego cudownego przedmiotu. Hitler po pierwsze nie chciał narażać się cudownej mocy, a po drugie wciąż żywił nadzieję, że zdoła zyskać zaufanie i w końcu rodzina Beck'ów doprowadzi go do celu. Kiedyś nawet w rozmowie zaznaczył, że rozumie i szanuje milczenie von Becka, ale gdyby kiedyś w przyszłości ktoś zawierzył mu i oddał w jego ręce podobnie wielką moc, to byłoby to wielkie błogosławieństwo dla Niemiec i całego świata, a on umiałby się odwdziaczyć.

Wtedy po raz pierwszy von Becka przeszedł dreszcz i poczuł, że patrzy w oczy szaleńca nie tylko w potocznym znaczeniu, ale chorego rzeczywiście cierpiącego na chorobę umysłową, która zapewne się rozwija. Jednocześnie przeniknęło go uczucie, że ma przed sobą człowieka który będzie, jeżeli nie tańczył, to jednak deptał po jego grobie.

Hitler rzeczywiście w tajemnicy nakazał prowadzić na wielką skalę poszukiwania legendarnych cudownych przedmiotów, takich jak arka przymierza i puchar zwany Świętym Graalem oraz innych, nie koniecznie chrześcijańskich czy żydowskich, każda głośna legenda była równie dobra. Przeznaczał na ten cel ogromne środki, chociaż nie aż takie, żeby umniejszać zbrojenia, niestety. Twierdził, że wprawdzie traktuje sprawy sceptycznie zakładając, że prawdopodobieństwo sukcesu jest niewielkie, to jednak warto zaryzykować, bo gdyby jednak choć raz się powiodło... Przekonania, w które wierzyło tak wielu ludzi i które rozpowszechniły się i trwały wieki, zapewne musiały mieć jakieś podstawy. Może podania dotarły do niego już przekręcone i zmienione, ale coś mogło - musiało - w nich być.

Jednym słowem, filmy Spielberga to nie tylko zabawny wymysł. Natomiast w jaki sposób dyktator mógł jednocześnie wierzyć w moc arki przymierza i mordować Żydów, albo wierzyć w największą, bajeczną relikwię chrześcijańską i otaczać pogardą oraz dążyć do wyeliminowania idei i religii chrześcijańskiej, pozostanie na zawsze zagadką chorego umysłu.

Ludwig von Beck czuł ten zimny dreszcz, przecucie śmierci jeszcze wiele razy. Ale był człowiekiem mężnym i miał poczucie obowiązku. Zdawał sobie sprawę, że jego kraj, jego ojczyzna jest we władzy umysłowo chorego potwora, a on sam i jeszcze niewielu ludzi zna tą pilnie strzeżoną tajemnicą. Jediną siłą, jaka mogła go usunąć, była armia, a jedynym człowiekiem, który miał w armii dostateczny autorytet i świadomość sytuacji był on sam.

Dlatego na niego spadał obowiązek działania i sumienie nie pozwalało mu uciec ani szukać wymówek. Bał się tego zupełnie nieprzewidywalnego degenerata, ale opanował własny strach. Nie chodziło tylko o dręczące go przeczucia, bo te starał się odrzucić jako nieracjonalne, nie zwracać na nie żadnej uwagi. Kierując się przeczuciami, zniżyłby się sam do poziomu Hitlera. Ale lęk był w pełni uzasadniony, zdecydował się na coś, z czego miał minimalne szanse wyjść żywy, przebywanie w klatce tygrysa albo wraz z grzechotnikiem groziłoby bez porównania mniejszym niebezpieczeństwem. Godził się jednak z własną śmiercią, byle tylko nie zginąć daremnie, byle ocalić w porę Niemcy i resztę ludzkości przed najgorszym. Jednocześnie jednak nie chciał sam zabijać, dokonać krwawego zamach stanu i to było w tej sytuacji może szlachetne, ale nieracjonalne.

Każde odebranie życia jest ostatecznym, największym złem, ale jednak zarówno człowiek, jak i całe społeczeństwo ma prawo do obrony, czasem nie da się uniknąć zabójstwa broniąc życia własnego lub innych. Czasem jedna śmierć może zapobiec śmierci, uratować życie wielu niewinnych ofiar. Tak w każdym razie usprawiedliwia swój własny bieg życia autor.

Tak więc von Beck dokładnie zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, a jednak postanowił wypełnić swój obowiązek. Niestety narazie był bezsilny, on sam widział wyraźnie czarną przyszłość, ale inni jeszcze ciągle nie. Hitler znajdował się wciąż na fali powodzenia i miał wielu zagorzałych stronników, więcej, był bardzo popularny i większość Niemców go uwielbiała.

Czasem zarzuca się von Beck'owi, że był kunktatorem, ale to po prostu niepoważne. Nie mógł postępować inaczej bo, gdyby spróbował obalić Hitlera podczas jego passy powodzenia, nawet znaczna część elity przywódców wojskowych, uznająca autorytet Beck'a, prawdopodobnie odmówiłaby mu poparcia. Nic by nie osiągnął, tylko zniszczył w ten sposób ostatni ośrodek opozycji, pomijając już, własne praktycznie jakby samobójstwo zapewne w wyjątkowo obrzydliwej formie. Mógł mieć szansę na powodzenie, na skuteczny zamach stanu tylko przy pierwszym niepowodzeniu dyktatora. Nieudana próba umocniłoby jeszcze bardziej władzę Hitlera i pogrzebało ostatnią nadzieję.

Po raz pierwszy przygotowania do usunięcia Hitlera poczyniono właśnie podczas kryzysu Czechosłowacki ego. Przewidując energiczną reakcję mocarstw zachodnich, a co najmniej zagrożenie wojną ze strony Francji i jej sojuszników (automatycznie także i Polski), wojną na dwa fronty w której Niemcy nie mieliby szans i której cała ludność się obawiała, von Beck przygotował uwięzienie Hitlera przez armię, potem miał zostać wydany komunikat

o złym stanie zdrowia wodza, który miał zostać umieszczony w szpitalu psychiatrycznym. Plan prosty i niewątpliwie racjonalny. Można powiedzieć, idealny.

Po raz drugi, różniący się tylko w niewielkich szczegółach plan został przygotowany już po wybuchu wojny i miał zostać urzeczywistniony natychmiast po rozpoczęciu ofensywy francuskiej we wrześniu 1939r. Miał zostać przeprowadzony możliwie szybko, tak żeby przewidywana klęska armii jeszcze nie nastąpiła i Niemcy zachowały jeszcze pozycje przetargową w czasie rokowań pokojowych. Również tym razem nie zakładano zabicia Hitlera, ale już nie precyzowano dokładnie, jak postąpić, gdyby zaistniała możliwość uwolnienia go.

Von Beck nie mógł oczywiście przewidzieć nieprawdopodobnej kapitulacji i bezprzykładnego złamania sojuszy w Monachium, ani też zdrady sojusznika polskiego w krytycznej fazie wojny. Oba te fakty były całkowicie irracjonalne, nie mieściły się w granicach zdrowego rozsądku.

To było wprost nieprawdopodobne, Hitler w samym środku Europy zachowywał się jak pijany opryszek, który wtargnął do pełnej pasażerów poczekalni kolejowej i zaczął ich po kolei rabować, a nawet ci więksi i silniejsi od niego odsuwali się tylko na bok i robili mu miejsce. Jeden bandyta terroryzował cały świat jakby w ogóle nie zostało na nim żadnego prawdziwego mężczyzny. W każdym razie aż do czasu Churchill'a, no i tych głupich, łatwowiernych Polaków.

Niestety tak dobra okazja pozbycia się Hitlera nie powtórzyła się, stopniowo w armii do znaczenia dochodziła nowa kadra jego zaufanych ludzi i powołanych przez niego dowódców. Podobnie oficerowie i żołnierze, młodszych roczników wychowani byli w kulcie Hitlera i przez nazistowskie organizacje, a reszcie utworzona zostało nowe, niezależne wojsko, fanatycznie oddane wodzowi, Waffen SS. Wpływy i możliwości von Beck'a kurczyły się ciągle, poza tym wiedział doskonale, że poddany jest stałej, szczegółowej obserwacji, zarówno przez Gestapo jak i SS. To, że mimo wszystko nie zrezygnował, że nadal przetrwał lata nieprawdopodobnego napięcia, znalazł i utrzymał sposób, żeby uchronić kontakty i w końcu podjąć próbę ocalenia kraju, dowodzi najlepiej nie tylko niezwykłego charakteru, ale i wprost cudownych uzdolnień. Nie miał szczęścia i zginął, do ostatniej chwili nie rezygnując, jak prawdziwie wielki człowiek.

Hitler wprawdzie nie miał już możliwości ani czasu tańczyć na jego grobie, ale kazał nakręcić film i oglądał kilkakrotnie okrutną, prawie średniowieczną egzekucję. Obecnie Von Beck stał się symbolem honoru Niemiec w tamtym czarnym okresie.

\* \* \*

W końcu października dopiero, z opóźnieniem dowiedział się Angus o egzekucjach zakładników. Z pierwszego źródła, bo jego zamieszkały w Środzie wujek był jednym z 36 zakładników, których wzięli Niemcy i 20 października rozstrzelali 30 z nich. Podobnie postąpili we wszystkich miasteczkach Wielkopolski, tylko w niektórych mniejszych miejscowościach rozstrzelali czasem 20 zamiast 30, Nie było absolutnie żadnych podstaw ani oskarżeń pod adresem tych zamordowanych osób, Niemcy wybierali po prostu najbardziej znanych i szanowanych ludzi, był to czysty akt terroru. Sami Niemcy określali to jako akcję prewencyjną, jednocześnie ponownie rozlepili ogłoszenia, że w razie zabicia jakiegokolwiek Niemca, w odwecie rozstrzelanych zostanie stu Polaków. Ponieważ na innych ziemiach polskich Niemcy początkowo takich akcji nie przeprowadzali, można przypuszczać, że zdawali sobie sprawę z wysokiego stopnia patriotyzmu ludności Wielkopolski i zaplanowali tą zbrodnię wbrew wszelkim prawom oraz obowiązującym konwencjom międzynarodowym aby zastraszyć cywilną ludność i odebrać jej chęć do oporu.

Mowa nie o działaniach zbrojnych, bo do takich nie było warunków, a Wielkopolanie nie należeli nigdy do szaleńców, nie bili się w sytuacji całkiem bez szans, natomiast na ogół bardzo skutecznie w odpowiednim momencie. Chodziło o zgnębienie ludzi od pierwszej chwili i uczynienie z nich pokornych niewolników.

Tak się nie stało, Wielkopolska jak zawsze zapisała piękną kartę poświęcenia i patriotyzmu, ale jednak w poszczególnych wypadkach zламаło ludzi. Angus wprost nie mógł poznać wujka, który przez jedną noc oczekiwania na egzekucję zmienił się wprost nie do poznania i to nie tylko psychicznie ale nawet fizycznie. Ten duży i tęgi mężczyzna jakoś skurczył się i posiwiał, postarzał nie do uwierzenia. Głośny i rubaszny dotąd a także wesoły i trochę raptus, prędki w języku i działaniu teraz prawie się nie odzywał i wyglądało, jakby bał się własnego cienia. Przykro powiedzieć, stał się pokorny wobec Niemców i przez całą wojnę nie zrobił nic dla ruchu oporu, miał takie propozycje i odrzucał je. Z drugiej strony jednak, nigdy nie zrobił też niczego przeciw swojemu narodowi i nie zdradził, choćby na przykład tych propozycji i dawnych przyjaciół którzy je przedstawili. Jednym słowem nie szkodził Polakom i nie wysługiwał się Niemcom, ale zachowywał się bez ikry, jak ujarzmiony sługa. Angus nie mógł zrozumieć, jak człowiek może się zmienić do tego stopnia w jedną noc.

Ciotka ze Środy opowiadała wtedy, jakie to szczęście miał jej mąż że był nadliczbowy, Niemcy zatrzymali 36 zakładników a mieli rozkaz rozstrzelać tylko 30, więc pozostałych, zatrzymanych później, zwolnili. Ani ona, ani wujek nie odważyli się wtedy pisać ani słowa o prawdziwym przebiegu wypadków i rzeczywistej przyczynie zwolnienia nawet do najbliższej rodziny. Dopiero po wojnie dowiedział się Angus prawdy.

Otóż rzekome „szczęście” wujka polegało na tym, że miał szybko myślącą żonę. Ta natychmiast odszukała miejscowego komendanta wojskowego, Hauptmann’a (kapitana) Wehrmachtu, mimo przeszkód nie uspokoiła się, póki do niego nie dotarła. Czy przeszkody po drodze pokonała również przy pomocy pieniędzy o tym już nie wspominała, ale do kapitana dotarła nie z pustą ręką. Zaraz na początku rozmowy wysypała wszystkie złote monety, były to tzw. „świnki”, jak nazywano złote 10-markówki niemieckie jeszcze z przed I Wojny Światowej ze względu na podobiznę Kaizera Wilusia, w sumie 12 sztuk, co odpowiada około trzem uncjom czystego złota, nieco więcej niż trzy złote dwudziestodolarówki (monety niemieckie tego okresu miały nieco wyższą próbę). Rodzina wujka, który był zamożnym kupcem, część oszczędności na czarną godzinę trzymała w twardych walorach, a ta godzina właśnie nadeszła.

Ciotka najpierw wręczyła te pieniądze i dopiero potem przedstawiła swoją, a właściwie swego męża sprawę, prosząc nie dosłownie o uwolnienie, ale tylko o zapoznanie się z okolicznościami i oczywiście ze zwykłym dodatkiem, że to z pewnością nieporozumienie, że to człowiek cichy i spokojny (wtedy jeszcze nie był), który nigdy nie przekroczyłby najmniejszych przepisów i zawsze szanował zarządzenia wszystkich władz (to bez znaczenia, wszyscy zakładnicy mieli absolutnie czyste konto, dobierano specjalnie ludzi najbardziej znanych i szanowanych lub zamożnych).

Ciotka usiłowała dołączyć jeszcze swoją osobista biżuterię, ale tej kapitan stanowczo nie przyjął, dał się uprosić i pozwolił zostawić tylko monety, jednak obiecał tylko zapoznać się ze sprawą. Powiedział, że on tylko wypełnia rozkazy i niestety musi, nie może więc zagwarantować niczego, ale rozpatrzy sytuację. I tak, tylko słuchając sam się naraża, bo gdyby kiedykolwiek jedno słowo z tego wyszło poza to miejsce, to wszyscy bez najmniejszych wątpliwości ponieśliby śmierć, on także. Jeżeli będzie miał jakąkolwiek możliwość pomóc nie narażając własnego życia, to spróbuje.

Tak się dziwnie złożyło, że następnego dnia wujek znalazł się wśród sześciu zwolnionych, na rynku w Środzie rozstrzelano trzydziestu zakładników. Ciotka była bystra i szybko się orientowała, ale nie ona jedna. Już po wojnie dowiedziała się, że inni zwolnieni też szybko złożyli okup, chociaż nie zdołała dowiedzieć się, czy wszyscy (ale chyba tak). W każdym razie trzy osoby na pewno też to zrobiły, a nawet dały więcej.

Natomiast żona jednego z rozstrzelanych, jej przyjaciółka opowiedziała jej też po wojnie, jak ona również próbowała tej drogi i złożyła okup, było to pięć świnek, pierścionki i znaczna kwota w złotych polskich, które wtedy jeszcze ciągle miały prawie niezmienny kurs, jak przed wojną i były wszędzie przyjmowane, ale zapewne w większej ilości były

niewygodne dla niemieckiego oficera. Otóż ta biedna kobieta, uważała oficera za bardzo porządnego, ludzkiego i uczciwego, bo po egzekucji wszystko jej oddał i powiedział, że starał się jak mógł, ale niestety nic nie zdołał wskórać.

Prawdopodobne jest, że na tle państwowego terroryzmu, bo nie można inaczej określić rozstrzeliwania na postrach zakładników cywilnej ludności okupowanego kraju zaraz po wkroczeniu wojsk okupacyjnych, dowodzący oficer nieco poszerzył tą akcją tak, żeby uszczknąć korzyść i dla siebie. Zakładników wybierano jako przykład, co może spotkać innych, więc wybór ludzi zamożnych i znanych był całkiem naturalny. Wysłani na taką akcję żołnierze - właściwie zbójce - bo tymi się faktycznie stali, dostali spisy obejmujące większą ilość osób, niż przewidywana do egzekucji i zapewne, niż zdołali pochwycić, bo niektórzy znajdujący się na liście mogli jeszcze nie powrócić lub z różnych powodów nie znajdować się w domach.

Potrzebnych było trzydzieści trupów na jutro, więc wysłano, powiedzmy dziesięć patroli, z których każdy dostał po pięć adresów i z tego brali, kogo znaleźli nie wiedząc, jak powiodło się innym. W rezultacie Niemcy dostali w swe ręce trzydziestu sześciu jeńców, ale na razie nie zwalniano żadnych, wszystkim oznajmiono, że jutro mają zostać rozstrzelani. Następnie dowodzący oficer urządził faktycznie rodzaj prywatnej licytacji, przyszłe wdowy wpłaciły wadium i sześciu najwięcej dających zostało zwolnionych, zaś prawdziwe wdowy dostały zwrot swoich pieniędzy bo kapitan nie chciał żadnych kłopotów, a zwłaszcza żeby sprawa stała się głośna. Trudno powiedzieć, czy rzeczywiście coś ryzykował w tym wypadku, czy też w Wehrmachcie był to typowy, choć otoczony dyskrecją sposób postępowania. Jednak w żadnym razie nie pochwalono by go za rozgłos.

W tym wypadku co najmniej jedna konkretna wdowa uznała go za dobrego i uczciwego człowieka i była wdzięczna - starał się, chciał pomóc ale nie dało się nic zrobić, więc zwrócił pieniądze i zapewne wyraził nawet współczucie.

A więc dowodzący akcją oficer, przy minimalnym wysiłku i bez ryzyka, bo milczenie ofiar miał zapewnione, zgarnął ładną kupkę złota. Być może, była to jedyna i niepowtarzalna okazja, ale mogła też zachęcić do szukania podobnych w przyszłości. Jest niekwestionowanym faktem, że Niemcy przyjęli wybuch wojny absolutnie bez entuzjazmu, przeważnie z ciężkim sercem. Stopniowo ta sytuacja zaczęła się zmieniać.

Hitler świadomie, umożliwiając udział w rabunku, jakiego dokonywał w wielkiej skali na czele państwa i wojsk Niemiec również poszczególnym wykonawcom, pozyskiwał coraz więcej zwolenników. Stopniowo coraz więcej Niemców dochodziło do wniosku, że wojna i agresja to dobry interes. Dzięki celowej demoralizacji, Hitler zapewnił sobie popularność i

autentyczne uwielbienie wojska. Oto herszt, pod którym mniejszym bandytom też dobrze się wiedzie, nie brak okazji do rabunku, kradzieży i wymuszeń. Jednocześnie uwiarygadniało to obietnice, jakich nie szczędził na okres powojenny, Każdy z Niemców miał mieć prawo do udziału w łupach, otrzymać jeśli zażąda znaczny obszar ziemi albo przedsiębiorstwo odebrane właścicielom z podbitych krajów, których obywatele mieli pracować na niemieckich panów jako niewolnicy, sługi lub w najlepszym razie pracownicy trzymanymi mocno w karchach i bez żadnych praw.

Pierwszym miejscem rozpoczęcia masowego, powszechnego rabunku miała stać się Wielkopolska i dlatego należało przerazić ludność, żeby nie protestowała.

\* \* \*

Od końca września, po kapitulacji Warszawy do Poznania zaczęli wracać uciekinierzy, którzy rozpoczęli ucieczkę wcześniej i dotarli dalej niż Angus z matką. Słuchając tych opowiadań doszli do wniosku, że sami mieli jednak dużo szczęścia. Strata rzeczy osobistych i zabranego ze sobą mienia to była niewielka cena w porównaniu z tym, co przeszli ci ludzie. Niemcy od początku rozpoczęli terrorystyczną wojnę lotniczą przeciw ludności cywilnej, a powstała panika i drogi pełne, wręcz zapchane tłumami uciekinierów stwarzały do tego idealne warunki. W ostatniej dyrektywie do dowódców wojskowych przed wybuchem wojny, Hitler osobiście i kategorycznie nakazał, że celem nie jest zajęcie jakiegoś określonego terytorium, ale właśnie zadanie Polakom jak największych strat. Stawiał jako przykład Dżingis-chana i Tamerlana, którzy zabili miliony, a obecnie świat pamięta głównie ich wielkie zwycięstwa. Stwierdził, że stanowczo nie zezwala na żadne humanitarne bzdury przy prowadzeniu wojny.

W odróżnieniu od armii, w której przynajmniej część kadry i dowódców zachowała poczucie honoru żołnierskiego i wpojonych w okresie przed Hitlerem norm i wartości, lotnictwo było bronią nową, utworzoną przez Hitlera i jego prawą rękę, Goeringa i nie miało żadnych zahamowań. Wykonało tą nakazaną akcję terrorystyczną, co wobec pełnego panowania w powietrzu przypominało polowanie z nieograniczoną kwotą odstrzału ludzi zamiast zwierzyny. Wielu pilotom taka wojna, bez żadnego ryzyka i w komfortowych warunkach jak na strzelnicy sprawiała wręcz satysfakcję, dostarczając rozrywki i dreszczyku.

Trzeba przyznać, że niezależnie od pogwałcenia wszelkich praw międzynarodowych, którymi i tak Hitler nigdy się nie przejmował, to działanie jednak przynosiło efekty. Podobnie jak później na zachodzie, panika wśród ludności cywilnej i tłumy uchodźców, które kłębiły się i miotaly w różne strony pod ostrzałem lotnictwa, blokowały skutecznie główne drogi i utrudniały ruchy wojsk.



Zaś różnica polegała na tym, że w Polsce działania terrorystyczne przeciw ludności cywilnej niemieckie lotnictwo rozpoczęło zaraz od pierwszego dnia, nawet bez żadnego wypowiedzenia wojny. Natomiast w walkach na zachodzie i potem przy nalotach na Anglię atakowano z początku tylko cele strategiczne i dopiero po dłuższym czasie, na rozkaz Hitlera rozpoczęto polowanie na bezbronną ludność i akcje terrorystyczne.

Być może chodziło mu o to, żeby Francuzi, Belgowie, Holendrzy i Brytyjczycy sądzili, że ich to nie może spotkać, że takie barbarzyńskie metody można stosować tylko w jakichś dalekich krajach, w Polsce i jeszcze w Abisynii. Że w sercu Europy Niemcy nie zdecydują się przekroczyć granic cywilizacji. A przecież widząc co stało się w Polsce, winni z tej lekcji skorzystać, z innych także. Tymczasem tylko Brytyjczycy wyciągnęli właściwe wnioski i przygotowali się należycie. Tam niemieckie myśliwce nie mogły oddawać się swoim ulubionym rozrywkom polowania na bezbronne ofiary, bo miały pełne ręce roboty. Ponadprzeciętny udział mieli w tym polscy piloci dzięki temu, że już wcześniej poznali nawyki i metody walki Niemców. Został terror bombardowań, ale za tą przyjemność trzeba było drogo płacić.

W Polsce bardziej niż bombowce - i nawet niż nurkujące bombowce, tzw. Stukasy, które z przejmującym gwizdem czy wyciem osłon i hamulców aerodynamicznych, doprowadzającym niektórych ludzi do rozstroju nerwowego, spadały na cel i dopiero z bliska zrzucały - w gruncie rzeczy dość ograniczony zapas bomb, najbardziej niebezpieczne dla zwykłych ludzi były właśnie myśliwce. Pojawiały się znienacka z ogromną szybkością, tak, że nie było czasu uciec z drogi i rzucić się na ziemię i zostawiały za sobą drogi zablokowane trupami. Angus raz zetknął się z takim myśliwcem, który następnie zabawił się w polowanie na upatrzonego na jego matkę. Tam na szczęście otoczenie zapewniało osłonę, ale mógł sobie wyobrazić, co działo się w zbitym tłumie, albo na otwartej przestrzeni.

Natomiast nie podobały mu się krytyczne komentarze o obronie Warszawy. Ci uchodźcy z którymi się zetknął twierdzili, że to była czysta głupota. Gest, który dużo kosztował, a nie miał znaczenia strategicznego, bo Niemcy po pierwszych nieudanych atakach, odpartych z dużymi stratami, zaprzestali prób zdobywania miasta, a przystąpili do systematycznego niszczenia go ostrzałem ciężkiej artylerii i bombardowaniem lotniczym, przeciw czemu obrona była bezsilna. Dlatego - twierdzili - trzeba było zakończyć sprawę, kiedy skończyły się aktywne działania broni pancerniej, którą z początku rzucali Niemcy na miasto. Błąd z ich strony trzeba było wykorzystać i do tego momentu działania wojenne opłacały się, ale potem przestały. Angus wówczas był oburzony takim rozumowaniem, ale i później, kiedy mógł spokojnie i bez emocji rzecz przemyśleć, nie podzielał tego poglądu.

Obrona Warszawy może i była działaniem desperackim, ale oprócz znaczenia strategicznego, które wcale nie było małe, miała też ogromne znaczenie moralne i to zarówno dla reszty walczącego kraju jak i dla całego wolnego świata.

Bez żadnej przesady skupiła uwagę opinii światowej jako najważniejsze wydarzenie wojny. W porównaniu do powstania warszawskiego w 1944r, obrona w 1939r kosztowała znacznie mniej ofiar, a jej efekt moralny i propagandowy był większy. Krótko mówiąc przyniosła większy zysk mniejszym kosztem i już raczej, należało ją jeszcze o parę tygodnie przedłużyć, a wtedy może nie byłoby potrzebne powstanie w 1944r.

Wszyscy młodzi ludzie z którymi Angus się zetknął i którzy nie zdążyli wziąć udziału w wojnie, najbardziej żalowali, że nie brali udziału w obronie Warszawy.

Drugim tematem który wciąż powtarzał się w opowiadaniach, była zdrada i działalność niemieckiej V kolumny. Do tego Angus odnosił się dość krytycznie, gdyż z książek wiedział, że każdej przegranej wojnie towarzyszy zwykle psychoza, a czasem prawdziwa histeria odnośnie zdrady. To jest najłatwiejszy sposób wytłumaczenia klęski.

Bez wątpienia, V kolumna istniała i działała w Polsce rzeczywiście, zwłaszcza że ludność niemiecka dopingowana była do działań nie tylko samymi wezwaniami hitlerowców, ale nakazami a często pogroźkami, a wszyscy dobrze wiedzieli, że pogroźki te nie są daremne. W ogóle Niemcy bardziej od Polaków są zdyscyplinowani, a dla nich wówczas Hitler reprezentował władzę. Jednak z drugiej strony wydaje się, że działalność V kolumny nie przynosiła dużych efektów i nie miała większego znaczenia na przebieg walk, wartości bojowej, gdyż Niemcy jakoś nie mają we krwi umiejętności walki partyzanckiej. Co do wskazywania celów i nadawania sygnałów dla lotnictwa, to miały one miejsce, ale to był raczej zmarnowany wysiłek, lotnictwo niemieckie tego nie potrzebowało, bo nie szukało i nie wybierało celów strategicznych, ale kierowało ataki terrorystyczne na wszystkie miejsca, gdzie zgromadziło się dostatecznie dużo ludzi. Zdecydowanie wolało ostrzeliwać czy bombardować cywilów niż żołnierzy, to było i wygodniejsze i bezpieczniejsze.

Trzeci i chyba najczęstszy temat rozmów to potępienie poprzedniego rządu polskiego i Naczelnego Wodza. Potępienie nie całkiem sprawiedliwie, jak już przedstawiono uprzednio. Ale zrozumiałe po poniesionej klęsce, powszechne i jednomyślne. Nie chodzi o przegraną kampanię, bo nie można było jej wygrać - ale o kiepski styl, w jakim została przegrana i o czas - wszystko razem miesiąc i kilka dni. W odczuciu Polaków to była nie tylko klęska, ale i kompromitacja.

W następnym roku Francja wraz z Belgią i Holandią z pomocą wojskową W Brytanii, mając siły i obszar bez porównania większe, zostały pobite i zajęte w czasie 6 tygodni, a więc

tylko o osiem dni dłuższym, przy znacznie mniejszych stratach Niemców i w stylu bez porównania gorszym. Uczucie wstydu znikło, lecz zamieniając się w rozpacz.

Angus usilnie starał się doszukać kontrowersji, odmiennych zdań, gdyż on nie tylko uwielbiał Wojsko Polskie, ale, podatny na oficjalny głos prasy, radia i także szkoły aprobował, wbrew opinii rodziców przedwojenny rząd polski. Trudno mu przyjąć teraz tak zupełną zmianę wartości. A jednak, choć bardzo gorliwie szukał, nie znalazł absolutnie nikogo kto by nie potępiał rządu i dowództwa wojskowego. To był pełny konsensus wszystkich obywateli i trudno się dziwić. Prawda że rządzący państwem nie mieli dużego wyboru, prawda, że Polska przez cały ten okres była w fatalnym położeniu - "rydwan państwa żeglował po wulkanie". Prawda wreszcie, że sprzymierzeńcy nie tylko zdradzili, ale celowo wprowadzili w błąd swoich sojuszników, dostarczyli fałszywych informacji i skierowali ich w stronę przepaści.

Ale to wszystko nie stanowi żadnego usprawiedliwienia dla półgłupów, którzy podejmują się ważnych funkcji państwowych. Wiele państw znajdowało się i nadal, aktualnie znajduje w trudnym położeniu, a politycy rzadko postępują uczciwie. Zwykle przy tym starają się oszukać nie tyle wrogów, bo to trudniej, ale przede wszystkim przyjaciół. Wreszcie kto chce sprawować władzę - i to na dodatek za wszelką cenę, nawet wątpliwymi metodami (a tak przecież było ze sprawującą w Polsce rządy tzw., „sanacją” przynajmniej od czasu po śmierci Piłsudskiego, a może i wcześniej), ten musi być przygotowany na ponoszenie odpowiedzialności. W przypadku sukcesu jego autorzy zapewne nie uciekaliby od poklasku, wobec klęski nie mogą mieć pretensji o potępienie.

Także i wódz naczelny, choć nie był tchórzem ani głupkiem i postępował uczciwie, jednak nie dorósł do swoich funkcji i zadania. Nie powinien był dowodzić samodzielnie, powinien komuś podlegać, mieć nad sobą czyjś autorytet i rozkazy. Gdy mu tego, do czego był przyzwyczajony, zabrakło - podporządkował się bezkrytycznie Gamelin'owi. To największy błąd i wina jego życia

Mimo wszystko nic nie zachwiało powszechnej wiary w zwycięstwo i to już w najbliższym czasie. Przecież Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom, a więc chcą dotrzymać swoich zobowiązań, nie zrobiłyby tego kroku, gdyby nie miały intencji walczyć. Jeżeli dotąd nie skorzystały z okazji, jaką stworzyła im samotna walka Polski, to widocznie dlatego, że mają jeszcze lepszy plan.

Tym bardziej - mówiono - Niemcy nie mają żadnych szans i rozpadną się przy pierwszym uderzeniu. My tutaj nie wiemy wszystkiego, nie znamy całej sytuacji, nie mamy wglądu w ważne informacje i decyzje sztabowe - ale tam pracują nad tym ludzie mądrzejsi,

najwybitniejsi fachowcy. Przecież Francja już raz pobiła Niemcy - i to wtedy, gdy były one większe i potężniejsze, a Francja mniejsza i słabsza.

Polacy mieli bezwzględne zaufanie do geniuszu francuskiego, do honoru Francji i oczywiście do Dowództwa i Sztabu generalnego armii francuskiej. A Anglia wiadomo, czasem przegrywa bitwę, ale nigdy wojny - jeżeli Anglia jest po naszej stronie, to marny los Hitlera. Wkrótce ten szalony malarz pokojowy (bezpodstawna złośliwość, bo Hitler malował jednak obrazy i to raczej małe, które sprzedawał z trudem, ale to zdarza się wielu malarzom i nie przynosi ujmy - w odróżnieniu od działalności po przekwalifikowaniu się) przegra wojnę i pożałuje.

Pewne różnice występowały tylko w opiniach, ile czasu potrwa jeszcze wojna. Optymiści, do których zaliczał się oczywiście Angus, uważali, że kilka tygodni. Natomiast pesymiści dopuszczali, że może przedłużyć się ona na całe miesiące. Przez sześć lat, sytuacja się zmieniała ale ta wiara nigdy. To tak, jak człowiek niosący ciężar ponad siły, stale upatruje celu już za najbliższym zakrętem. Nie tracić nadziei, jeszcze trochę wytrzymać, najgorsze już minęło, potęga Niemiec wkrótce zacznie się sypać, a po pierwszym pęknięciu zawali się, ich klęska będzie jeszcze bardziej błyskawiczna, niż zwycięstwa.

Bardzo zabawne. Ale przecież to przekonanie nie było bezpodstawne, ani też zupełnie niepotrzebnie długa, makabryczna i idiotyczna wojna nie była ich winą.

Matka Angusa była zupełnie niemożliwą pesymistką, uważała, że wojna może się przedłużyć nawet do wiosny przyszłego roku. Poza tym widziała już jedną wojnę światową, miała doświadczenie. Zdawała sobie sprawę, że nadchodzi trudny okres, który trzeba jakoś przeżyć, zwłaszcza że po wojnie też z początku czasy będą ciężkie. Tym bardziej bolała nad stratami materialnymi. Wróciła z synem cała, miała więcej szczęścia od wielu innych i jej dom też był cały. Ale w mieszkaniu pozostały tylko meble i część gorszych rzeczy, których nie było warto albo po prostu nie była w stanie zabrać ze sobą.

Na syna nie ma w ogóle co liczyć - tak uważała zawsze, przedtem i potem; oczywiście taki sąd był absurdalny, niesprawiedliwy i bardzo krzywdzący, ale z drugiej strony wynikał z niego wygodny podział pracy i dlatego Angus zbytnio nie protestował; ważne sprawy, na przykład polityka światowa i wojna należały do jego kompetencji, ale codzienne troski zgadzał się pozostawić matce.

Zabrała aż dziesięć walizek, licząc na to, że to przecież pociąg ewakuacyjny dla pracowników kolei i kolej jakoś się nimi zaopiekuje - a do domu mogła już w ogóle nie wrócić, albo tego domu mogło nie być. Zabrała wszystkie lepsze rzeczy osobiste łącznie z bielizną, także pościelową i stołową, część pościeli i trochę z zapasów żywności. Wprawdzie

tych zapasów nie było dużo, bo matka nie ulegała początkowo panice zakupów żywności, uważając że tutaj żywności nigdy nie zabraknie, wojna czy nie. To tak, jakby martwić się o węgiel na Śląsku, tutaj było zagłębie żywnościowe i tutaj nie było nigdy głodu, nawet w I Wojnie Światowej, która przecież ciągnęła się i ciągnęła aż cztery lata. A przez ten cały czas i jeszcze potem to Wielkopolska żywiła Berlin.

Przed Powstaniem Wielkopolskim, najgorszą groźbą której Niemcy zwykle ulegali, to ewentualność wstrzymania dostaw żywności. A potem, stosunkowo szybki rozejm też nastąpił nie tylko z powodu nacisku zwycięskiej koalicji, ale także i dlatego, że potrzebne było jaknajszybsze przywrócenie normalnych transportów żywności. Dla obu stron. Bez tego, w Berlinie panował głód i rosło napięcie, a wielkopolscy rolnicy nie mieli komu sprzedawać i ceny żywności spadły poniżej poziomu opłacalności, niesłychana sytuacja po wojnie, wprost katastrofa. Rynek i transport do reszty Polski, gdzie żywność też była potrzebna, jeszcze nie był zorganizowany. Późniejsza wojna ekonomiczna, która przyniosła tyle szkód dla obu stron - to też nie tylko próba nacisku na Polaków, ale właśnie planowe wymuszenie zmiany starych mechanizmów rynkowych.

Siłowe ustalenie nowych kierunków dostaw, uniezależnienia się od polskiej żywności. To był niezbędny krok do przygotowania się do prawdziwej wojny, gdyby Berlin nadal potrzebował dostaw z Wielkopolski, wojna stałaby się niepopularna. A więc już wcześniej odcięto ten kierunek aby spowodować powstanie mechanizmów rynkowych z innej strony - dlatego lata powojenne stały się tak trudne w Niemczech, co ułatwiło dojście do władzy Hitlera.

Zapasów żywności więc matka Angusa nie gromadziła, za wyjątkiem soli, bo sól przywożono z daleka. Teraz też żywności nie brakowało, wydawało się że miała rację. Najważniejsze to było odtworzyć stan posiadania, a potem zrobić jeszcze trochę zapasów, tak, żeby bez kłopotów doczekać końca wojny i przeżyć okres powojenny. Pamiętała, jak było przedtem: na pewno nie będzie można kupić nawet nici, nie mówiąc już o materiałach, odzieży czy obuwiu, za to pieniądze pewnie stracą wartość. W Środzie, jeden z jej krewnych po tamtej wojnie sprzedał dom i po pewnym czasie kupił za to akurat dwa kartony zapalek.

Teraz Angus słyszał to codziennie: Mój Boże, przecież miała 24 obrusy, w tym 6 ręcznie haftowanych, a zostało 5. A bielizna pościelowa? Same stare prześcieradła i powłoczki, ręczniki też. Nawet chusteczek do nosa nie wystarczy do końca wojny, zwłaszcza, że mydła też nie będzie. Ubrać się w ogóle nie ma w co, to cud, że Angus i ona mogą jeszcze wyjść na ulicę. Na szczęście zostały płaszcze i ciepłe rzeczy, bo były ciężkie a ona była pewna że przed zimą wojna się skończy. Jeżeli zima będzie ciężka, a ogrzewanie pewnie

marne, bo spółdzielnia nie ma dużych zapasów koksu, to futra się przydadzą, Angus będzie mógł cały schować się w futro ojca. Ale na razie ciągle pogoda jest piękna i ciepło, tym bardziej trzeba to wykorzystać i natychmiast zacząć kupować, najpierw rzeczy do ubrania i potem zapasy dla domu.

Przynajmniej ma pieniądze. Ojciec zostawił prawie w całości otrzymaną wypłatę na czas wojny, a ponadto zdążyła przed wojną wybrać z KKO kilka tysięcy oszczędności pozostałych po wykupieniu pożyczki FON-u no i wreszcie zawsze lubiła mieć ukryte zaskórniaki. W czasie ucieczki wydała właściwie tylko pieniądze na powrotną taksówkę, od bo od uchodźców nikt nie chciał w ogóle brać pieniędzy. Teraz postanowiła te wszystkie pieniądze jak najszybciej zużyć, zanim stracą wartość, kupić wszystkie potrzebne rzeczy i zapasy jak na długotrwałe oblężenie, żeby w razie czego zamknąć się w domu i nie wychodzić.

Jeden z kuzynów mamy miał dom towarowy, właściwie nazywało się to Dom Odzieżowy przy Starym Rynku. Właściwie przedtem matka nie chodziła tam i nic nie kupowała, urażona że odmawiał on konsekwentnie rabatu licznej rodzinie. Ale teraz sytuacja się zmieniła, biedna uciekinierka, która wszystko straciła mogła kupować po cenach fabrycznych, a potem nawet poniżej, ustalono, że płaci połowę ceny - ale wprost do ręki właściciela, omijając kasę. Nie była to bynajmniej filantropia ani przyptyw uczuć rodzinnych, przedsiębiorcy i więksi kupcy, podobnie jak właściciele ziemscy znali już niejasne pogłoski, że wkrótce mogą się spodziewać przymusowych zarządców niemieckich, tzw. Traeuhänderów. Oczywiście, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że jest to wstępny krok do zrabowania całego majątku bez żadnego odszkodowania i przekazania go Niemcom. Tym niemniej, ludzie zamożniejsi byli zaniepokojeni i woleli już nieco wcześniej wymienić część stanu posiadania na anonimowe pieniądze. W zeszłej wojnie, rekwizycje były na porządku dziennym, a kwity wystawiane skrupulatnie przez niemieckich płatników nie doczekały się nigdy realizacji.

Teraz też się to mogło zdarzyć, chociaż z drugiej strony Niemcy nie utworzyli jeszcze aparatu rozliczeniowego i kontrolnego, nawet nie drukują kwitów na rekwizycje, więc jest jeszcze trochę czasu. O tym, że tym razem obejdzie się bez tych zbędnych formalności, że Niemcy zastosują rabunek w czystej postaci bez żadnych kwitów i procedury, a zwyczajnie pod groźbą nabite broni, nie pomyślano.

I to nie ograniczyło się bynajmniej do większych fortun. Oczywiście najsmaczniejsze kąski, zakłady przemysłowe lub handlowe, majątki ziemskie, wymagały najpierw ustanowienia powierników niemieckich, bo tego nie rozdawano tak łatwo i byle komu. W

przyszłości miały one przypaść Niemcom szczególnie zasłużonym lub umiejącym stanąć do przetargu (nie z pustą ręką). Decydować miały organy partyjne różnego szczebla, chociaż praktycznie wszystko załatwiano na poziomie Gau'u (tzn. prowincji, które Niemcy zwykle ustanawiali większe od polskich województw), a Gauleiter'zy mieli w nich pełnię władzy i administracyjnej i partyjnej.

Ale jeszcze większym zaskoczeniem było to, że bezpośredni rabunek bez żadnych zbędnych formalności dotknął nie tylko ludzi majątnych, ale stosowany był powszechnie i wobec wszystkich Polaków. Po prostu pewnego dnia odbierano dotychczasowemu właścicielowi jego dom lub mieszkanie, jego gospodarstwo rolne lub warsztat pracy, w ogóle wszystko co miał. Już następnego dnia w jego jeszcze ciepłe buty wchodził jakiś Niemiec i odtąd to był jego dom, mieszkanie lub gospodarstwo, także i buty..

To było zupełnie nowe stawianie sprawy, nawet w czasie wędrówek ludów germańskich po upadku Cesarstwa Rzymskiego, lub we wczesnym średniowieczu, np. podczas podboju normañskiego, dawnym właścicielom zabierano część majątku, a część pozostawiano. Teraz ludność podbitej i okupowanej ziemi nie miała żadnych praw, także do własności prywatnej. Matka Angusa, nie mając pojęcia co ją spotka, w pocie czoła kupowała to wszystko i urządziła dom dla jakiejś rodziny niemieckiej, która otrzymała jej mieszkanie na nowo wyposażone i wzorowo zadbane, ze wszystkimi zapasami.

Wstępna akcja mordowania zakładników nie miała na celu likwidację określonych Polaków. Masowe ludobójstwo na skalę przemysłową miało dopiero nastąpić i miliony trupów zatarły później wspomnienie o tych kilkuset ofiarach, to była po prostu drobnostka, mała akcja ostrzegawcza mająca przerazić ofiary jeszcze przed rabunkiem i zapewne dlatego wybierano ludzi zamożnych i znanych.

Matka Angusa pracowała tymczasem ze wszystkich sił, regularnie dwa razy dziennie wychodziła po zakupy i wracała obładowana tyloma sprawunkami, ile tylko zdołała unieść. Następnie trzeba było to wszystko rozpakować i zagospodarować w domu. W związku z tym przeszli teraz na późny obiad, pozostałe posiłki robił i podawał Angus. Nie miał z tym kłopotu, wszystkie produkty żywnościowe były dostępne i w obfitości, mimo, że teraz Wielkopolska żywiła coraz większą chmarę wygłodzonych Niemców, którzy ze zdumieniem zauważali różnicę zaopatrzenia i wysyłali paczki do rodzin w Faterland'zie. Ceny na razie ani drgnęły, za mleko, chleb i bułki nadal płać grosze. Nie brakło masła ani mięsa. Jedynie trudniej było kupić kawę, co zupełnie nie obchodziło Angusa, chociaż bardzo jego matkę.

Podobno rozpoczęto naukę w niektórych szkołach powszechnych, ale szkoła Angusa nadal była zamknięta, a matka kategorycznie nie chciała, żeby poszedł do innej. Tym

bardziej, że te czynne szkoły miały teraz prowadzić naukę według wymogów i nakazów niemieckich, to znaczy bez wszelkich niepotrzebnych dla Polaków przedmiotów. Miały przygotowywać niewolników, służących lub niewykwalifikowanych robotników dla Niemców. Wystarczy, żeby Polak umiał pisać, czytać i trochę rachować. Z nowych programów usunięto nie tylko historię, geografii itd., ale nawet tak neutralne przedmioty jak np. przyrodę i fizykę. W tym wypadku, Angus całkowicie zgadzał się z matką, taka szkoła to nie szkoła. Brakowało mu kontaktu z rówieśnikami - ale i tak nie spotkałby tam swoich kolegów, przez dłuższy czas byłby obcy i musiał nawiązywać nowe znajomości.

Obecnie matka sprzeciwiała się jego wyjściu do miasta, bo Poznań w szybkim tempie przestawał być znajomy, sympatyczny i bezpieczny. Gwałtownie przybywało Niemców, tylko idąc ulicą można się narazić. Wprowadzono wiele upokarzających przepisów, nawet w tramwaju nie wolno było jechać Polakom w pierwszym wozie, na ulicy Polak obowiązany był ustępować drogi Niemcowi i jeszcze odkryć przed nim głowę, czego Angus raczej by nie zrobił. Niezastosowanie się mogło prowadzić - od doraźnego pobicia aż do poważnych kłopotów. Dlatego matka nalegała, żeby Angus wychodził tylko na swoją ulicę i ewentualnie kilka sąsiednich, w dobrze znanym najbliższym otoczeniu. Nie chciała go nawet zabierać jako pomoc do noszenia sprawunków, twierdząc, że tylko by jej przeszkadzał w zakupach.

Angusowi pozostało wyczekiwanie, kiedy wreszcie Anglia i Francja zdecydują się pobić Niemców i wojna się skończy. Przeczytał już wszystkie pożyczone ostatnio książki, potem domowe i jeszcze raz pożyczone, ale nie mógł ich wymienić, bo biblioteka była już zamknięta, a zbiory przeznaczone na przemiał. Tak było wszędzie, ale masa książek tak duża, że niektóre wielkie magazyny, zwykle w zamkniętych kościołach przetrwały całą wojnę. Pożyczył ostatni raz różne książki. niektóre miały tzw. praktyczny charakter, jak np. książka o napojach, jak należy je podawać i pić, wziął ją, bo wstępne wiadomości objaśniała mu matka, a on chciał mieć przewagę. Rzeczywiście różnych informacji było tam więcej, nawet o różnych koktajlach, sorbetach i innych egzotycznych mieszankach, może będzie okazja podać je dla uczczenia zwycięstwa. Była też książka o chiromancji, zapoznał się z każdą linią na dłoni i byłby w stanie wróżyć teraz z ręki, niespodziewanie miało mu się to w przyszłości przydać.

Ale najwięcej wziął oczywiście książek przygodowych i dla młodzieży, a szczególnie cenił sobie te, opisujące historyczne walki o niepodległość. Zwłaszcza dwie o powstaniu z 1848 r. czytał wielokrotnie. Jedna, tragicznie się kończąca i smutna książka pt „Stach Wichura”, o chłopcu, któremu udało się dostać do oddziałów powstańczych i w końcu zginął w tragicznej obronie Księcia wraz z całym oddziałem. Wszyscy bili się tam do końca i



umierają, gdy już nie mogą utrzymać broni, Miasteczko zostaje spalone, wśród zgliszczy i trupów, nawet ranni dobito. Czytał to wielokrotnie i zawsze nie mógł powstrzymać łez. Tak bardzo pragnął walczyć i zginąć podobnie.

Angus miał czas dokładnie przemyśleć sytuację i doskonale wiedział, co ma robić dalej. Polska była już w niewoli, przetrwała 150 lat wciąż walcząc o wolność. Należało jak najprędzej przystąpić do jakiejś tajnej organizacji i ze wszystkich sił starać się przydać w ruchu oporu. Przygotować przyszłą walkę z okupantem i w odpowiednim czasie chwycić za broń. To było proste i jasne, oczywiste.

Tylko nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. Nie mógł przecież rozpytywać się o tajną organizację. Tu nawet nie chodziło o to, że stanowiłoby to coś niewłaściwego, czego nie wypada robić - ale takie działanie nie przyniosłoby skutku. A przy panującej psychozie zdrady, ktoś rozpytujący się o tajną organizację mógłby zostać podejrzany o szpiegostwo na rzecz Niemców. Zapewne sprawdzono by go szczegółowo i te podejrzania by upadły, ale bez wątplenia zostałby uznany za człowieka nieodpowiedzialnego, z którym raz na zawsze nie należy mieć nic do czynienia. Może nawet za wariata, przygłupa lub idiotę. Nadgorliwość mogła prowadzić do fałszywego kroku, który raz na zawsze zamknąłby mu drogę do ruchu oporu.

Teoretycznie, według książek, kandydat do tajnej organizacji otrzymuje propozycję przystąpienia od kolegów, którzy go dobrze poznali i mogli poręczyć że się nadaje. No, ale taka droga dla niego nie istniała. Nie miał żadnych kontaktów z kolegami, ani w ogóle z ludźmi, widywał innych tylko jak za szybą w akwarium. Powiedzmy, że to przesada, szyby nie było - ale możliwość nawiązania bliższej znajomości podobna.

Właściwie od powrotu do Poznania rozmawiał tylko z matką, a raczej wątpił, czy matka nawiąże kontakt z jakąś tajną organizacją. Wnioskował tak z wzmianek, wspomnień z dawnych czasów, gdy Polska była jeszcze w niewoli. Powiedziała kiedyś, że zbyt często do tych rzeczy zabierają się ludzie którzy się nie nadają, a potem cierpią za nich naiwni prości i porządni ludzie którzy im zawierzyli. Zbyt często toleruje się, że głupota przynosi szkodę a nawet zgubę innym ludziom, a ten co to spowodował jest tolerowany. Mówiła to tak, jakby sama miała kiedyś jakieś doświadczenia, które ją zraziły. To też Angus był pewien, że w krytycznej sytuacji odruchowo zareagowałaby prawidłowo, jak dobra Polka, ale do tajnej organizacji na pewno nie przystąpi, a np. gazetkę zaraz by spaliła.

Ale nawet gdyby stało się inaczej, gdyby została głową jakiegoś sprzysiężenia, to na pewno nie ułatwi synowi kontaktu i za nic nie pozwoli mu wstąpić do tajnej organizacji. Samo poruszenie tego tematu byłoby błędem, utrudniło w przyszłości działanie.

Tak więc decyzja była łatwa i jasna, ale jej wykonanie trudne.

Istniała jeszcze jedna możliwość: czasem bohater książkowy przez czysty przypadek miał szczęście znaleźć się w środku akcji i zetknąć się z organizacją. Prawdopodobieństwo małe, a Angus nie miał czasu na czekanie. Wojna tak długo nie potrwa. Po długich namysłach, doszedł do wniosku że skoro nie zdoła trafić i przystąpić do tajnej organizacji, to musi sam taką założyć. Nawet nieduża grupa ludzi ma o wiele większą szansę na kontakt niż jedna osoba. Nie wiedział jeszcze jak ta przyszła organizacja ma działać, ale trzeba zacząć od tworzenia. To pierwszy krok, a potem się zobaczy.

Przy ich ulicy mieszkał chłopiec nieco starszy, skończył też piątą klasę, choć w innej szkole. Jeden z nielicznych, z którymi matka pozwalała mu się bawić, znała rodzinę, ale Angus nie był dotąd zainteresowany. Ten chłopiec miał zostać muzykiem, nosił długie włosy, a był chyba jeszcze większym maminsynkiem, niż Agnus. Prawie bez przerwy grał na skrzypcach, Angus, któremu słoń na ucho nadepnął, nie umiał tego docenić. Teraz jednak spróbował zawrzeć bliższą znajomość i przy okazji porozmawiać poważnie. Skutek był negatywny. Chociaż Angus nie przedłożył jeszcze konkretnych propozycji, chłopiec widocznie powtórzył wstęp swojej matce. Angus odczuł, że jego towarzystwo stało się źle widziane.

Piętro niżej w tej samej bramie co Angus, mieszkał chłopiec nieco młodszy, chodził czwartej klasy w innej szkole, ale z nim Angus się przyjaźnił i często odwiedzali się nawzajem w domu, grając w różne gry. Częściej u niego, bo miał w domu prawdziwy bilard. Ten chłopiec nie mieszkał stale w Poznaniu, tylko na czas nauki u cioci, sympatycznej starszej pani i nie było go w Poznaniu, ale Angus poszedł się o niego dowiedzieć, a ta pani przyjęła go bardzo dobrze, cały czas siedziała samotnie w mieszkaniu i nie miała z kim pogadać.

Od tej pory Angus wpadał tam codziennie, a już co najmniej co drugi dzień i przynosił jej wszystkie zasłyszane nowiny. Zaraz też postanowił rozszerzyć takie postępowanie, skoro nie miał kontaktu z kolegami, postanowił nawiązać takie kontakty, jakie się da, choćby z paniami które poznał w sąsiedztwie. Piętro wyżej mieszkały trzy samotne starsze panie, pracujące w kancelarii notarialnej, a obecnie też przebywające stale w domu. One również chętnie pogadały sobie, chociaż z dzieckiem sąsiadów. W krótkim czasie Angus miał stały kontakt z sześcioma starszymi paniami, które chętnie rozmawiały o wojnie (Angus miał co opowiadać) i ciekawe też były nowych wiadomości, jakie znosił. Chociaż poglądy ich były w zasadzie zgodne, na pewno byłyby głęboko zdumione, gdyby wiedziały, że w zamiarach

Angusa stały się kandydatkami na członkinie tajnej organizacji. Na razie jednak nie powiedział im tego.

Stopniowo codzienne pogawędki przekształciły się jakby w serwis wiadomości, powtarzał wszystko co usłyszał, informacje lokalne i zwłaszcza o wojnie, z jakimś dodatkiem dla pokrzepienia serc. Takie pocieszające plotki krążyły w poczcie pantoflowej, a to o wielkich przygotowaniach Francji i Anglii, które wkrótce się ruszą, a to o potężnych nalotach na Niemcy, a to wypowiedzi różnych mężów stanu na temat Polski, oczywiście pełne najwyższego uznania.

Angus powtarzał to wszystko, nawet, jeżeli sam w coś nie wierzył. Tak czy owak, przecież Niemcy poniosą wkrótce klęskę, ale tymczasem ludzie cierpią i rozpaczają. trochę pokrzepiających wiadomości pozwoli przetrwać najgorsze. Chodzi o to, żeby nie załamali się tuż przed zwycięstwem. Prawdziwe czy nie, pocieszenie było potrzebne.

Kierując się tą zasadą, Angus sam zaczął wymyślać wiadomości na wzór zasłyszanych, np. o bitwach morskich, starannie ukrywanych przez Niemców, bo oczywiście zakończyły się porażką, albo o spadku produkcji zbrojeniowej z powodu nalotów i sabotaży, głodzie w Niemczech (przesadzone, ale za dobrze tam się nie żyło), o nowym cudownym czołgu francuskim, wkrótce będzie ich wiele itd.

Jeden wymysł Angusa okazał się tak udany, że obiegił chyba pół Poznania. Już po kapitulacji Warszawy i wygaśnięciu walk w Polsce, wciąż jeszcze bronił się półwysep Hel. W jednym z serwisów Angusa, jego załoga otrzymała wsparcie floty angielskiej. Brytyjczycy nie tylko przysłali okręty, ale także wsparcie lotnicze, zaopatrzenie i w najbliższym czasie wesprą Polaków desantem.

- Ale czy to pewne? - Proszę pani - przekonywał z ogniem Angus, - Niech Pani sama pomyśli. Przecież te kilka tysięcy ludzi i kilka armat, samolotów w ogóle już nie mamy, nasza flota też odplynęła, bo był za mała. Czyż oni mogliby sami dać sobie dotąd radę, przeciw takiej potędze? Przecież dla Niemców to kolec w boku i do tego kompromitujący, a mają potężne lotnictwo, także znacznie silniejszą marynarkę, nawet gdyby polskie okręty wszystkie zostały i tak mogliby w każdej chwili wylądować w dowolnym miejscu. W jaki sposób nasi żołnierze mogliby się tak długo bronić? Jasne, że flota i samoloty angielskie im pomagają. I to oczywiście nie bez powodu. Przecież to jest przyczółek, na którym wyląduje Polska Armia z Francji, jak kiedyś Halerczycy. Alianci będą bili Niemców na zachodzie, a nasza armia wkroczy na Pomorze.

Widocznie wersja Angusa była przekonywująca, bo kilka dni później matka Angusa przyniosła ją do domu, jako zasłyszaną z pewnego źródła. Niestety zaraz potem, 4

października Hel kapitulował po długiej obronie. Ostatni kawałek Polski zajęty przez Niemców. Anglików i angielskich okrętów Niemcy nie zdołali złapać, ani nawet zauważyć, tak sprawnie się wycofali. Jeżeli Anglików tam nie było, Angus się tym nie przejmował. Tym gorzej dla Anglików, powinni być. W końcu pomoc, a nawet wysadzenie desantu na Helu miałyby więcej sensu, a stanowiło tysiąc razy mniejsze ryzyko niż desant na Dardanele, a przecież Pierwszy Lord był właśnie tym samym człowiekiem, który kiedyś w I Wojnie Światowej, był najgorętszym zwolennikiem tamtego ryzykownego kroku. Prawdziwy hazardzista z gorącą głową, chyba że na starość stracił jaja. Taka wyjątkowa okazja, efekt na cały świat, pokazowa, bohaterska akcja i to umiarkowanym kosztem

To wszystko jednak zbladło w porównaniu z nową rewelacją. Oto sam Pan Bóg zezwolił na cud. 8 grudnia, w święto Królowej Korony Polskiej, Matka Boska miała wskrziesić Polskę. Przepowiednia bardzo dokładnie sprawdzała się, mówiła o wszystkim, co się dotąd zdarzyło (wprawdzie już po fakcie). Wszyscy ją powtarzali. Ale Angusowi nie podobała się data. 8 grudnia, wojna miałyby trwać jeszcze ponad dwa miesiące? Przecież to absurd. Chyba, że 8 grudnia podpisany będzie sam układ pokojowy, już po rokowaniach, a Niemcy pobite już wcześniej. Ale i sama koncepcja cudu też mu nie odpowiadała. Był bardzo religijny, podobnie jak ojciec, a bez porównania bardziej od matki. Jednak wydawało mu się, że jeżeli Pan Bóg wtrąca się czasem w ludzkie losy, to robi to bardzo dyskretnie, tak, żeby tego nie dostrzegli.

Nie zdarzyło się dotąd, żeby nastąpił taki jawny i do tego z góry zapowiedziany cud, ani ogóle w historii, ani też konkretnie dla uratowania Polski, a przecież okazji do tego nie brakło. Choćby 150 lat niewoli. Owszem, mówiło się o cudzie nad Wisłą, ale to właśnie był cud dobrze przygotowany przez ludzi, a Pan Bóg udzielił dyskretnego poparcia. Teraz zaś nie widział konkretnych sił, którym Królowa Korony Polski miałyby sprzyjać.

Podzielił się nawet tymi wątpliwościami z matką i otrzymał bardzo dziwną odpowiedź. Otóż matka poradziła mu, żeby swoje prywatne zdanie zachował dla siebie i nie afiszował się z nim, ponieważ ludzie bardzo nie lubią, kiedy ktoś wątpi w to, co wierzą wszyscy. Natomiast ona uważa, że wojna potrwa do przyszłego roku. I to nie dlatego, żeby Francuzi nie mogli ruszyć się wcześniej - na pewno mogą - ale oni najwidoczniej mają swoje własne plany, a Polska i los Polaków ich nic nie obchodzi. Najchętniej dogadaliby się teraz z Hitlerem, ale będą musieli się bić, bo Hitler ma na nich właśnie apetyt, a brak następnej ofiary do rzucenia w jego paszczę. To było prawdziwe, straszne bluźnierstwo, nie w stosunku do Pana Boga, ale Francji. Angus omal nie rzucił się na matkę z pięściami.

Od października w kościołach rozpoczynały się nabożeństwa różańcowe, ale obecnie były one zupełnie wyjątkowe. Kościoły były przepełnione szlochającymi ludźmi, wszyscy klęczeli. Agnus nie widział jeszcze niczego podobnego i zachował wspomnienia do końca życia. Wydawało mu się, że przestawał być sobą, że stawał się częścią zbioru. Wszyscy błagali Boga nie o swój los, lecz o wolność kraju, to się udzielało i czuło. Pierwsze nabożeństwa kończyły się śpiewem pieśni patriotycznych, zwłaszcza „Boże coś Polskę”, wtedy też pierwszy raz usłyszał Angus „Z dymem pożarów”. Po pewnym czasie jednak ksiądz prosił modlących się, żeby nie śpiewali, jeżeli nie chcą spowodować zamknięcia kościoła i fatalnych skutków dla całej parafii. Przestano śpiewać, ale sam płacz robił jeszcze większe wrażenie.

Angus chodził do kościoła pod wezwaniem św. Michała Archanioła, ale słyszał, że podobnie jest w całym Poznaniu. Nawet matka przyznała, że to robi wstrząsające wrażenie, ale nie chciała więcej chodzić, powiedziała że ją to za bardzo szarpie i smuci. Angus chodził codziennie przez pół miesiąca, potem zaabsorbowało go coś innego. Znalazł nowe zajęcie, które zajmowało stopniowo coraz więcej czasu, tak, że musiał ograniczać z konieczności inne czynności, nawet czytanie.

Na ulicy Śniadeckich i to akurat po drodze do Kościoła, w górnej części, naprzeciwko Collegium Anatomicum znajdował się wielki i nowoczesny, wybudowany przed kilkoma laty gmach Gimnazjum i Liceum Handlowego. Obecnie w tym budynku umieścili Niemcy jakiś ważny sztab wojskowy. Budynek strzegła podwójna warta, pracowało tam wielu oficerów i podjeżdżały samochody. Z pewnością chodziło o ważne rzeczy, niestety Angus nie mógł się dowiedzieć nic konkretnego. Nie był też w stanie przeczytać pokracznych liter napisów, zresztą zapewne nie zawierały one zapewne informacji, lecz jakieś zakazy i nakazy.

Jednak od pierwszej chwili był przekonany, że nawet tak niedoświadczony gówniarz jak on, może poczynić jakieś obserwacje które mogą mieć znaczenie dla kompetentnych i mądrzejszych od niego ludzi, jeżeli w przyszłości uda mu się nawiązać taki kontakt. Długo się nad tym zastanawiał, w końcu postanowił na początek zapisywać numery podjeżdżających tam samochodów. Przedtem myślał o tym, żeby chodzić regularnie na pobliski dworzec kolejowy i obserwować przejeżdżające pociągi. Ale matka nie pozwalała mu chodzić w tamtą stronę, mógłby wymknąć się kilka razy, ale to nie były warunki do stałej, systematycznej obserwacji. Tutaj, na swojej ulicy, blisko domu miał idealne warunki. Postanowił wychodzić w miarę możliwości co godzinę, a w każdym razie nie rzadziej niż co dwie, zapamiętywać numery samochodów i po powrocie do domu zapisywać je w zeszycie. Z początku sprawiało to pewne trudności, ale po pewnym czasie wyrobił sobie pamięć, ulepszył technikę

zapamiętywania, kojarząc cyfry lub numery z różnymi znanymi rzeczami obrazami i zjawiskami.

Ciekawe, że zostało mu to potem na całe życie (choć raczej w odniesieniu do numerów telefonicznych, samochodowe stały się niepotrzebne). Doszedł do tego, że z krótkiego wyjścia wracał, dochodząc w porywach bezbłędnie nawet do 5 numerów, potem dodał jeszcze kolor wozu i typ - chociaż czasem trafił się tylko jeden numer, albo żadnego.

Coraz bardziej przekonywał siebie samego o celowości tej akcji. Oczywiście, nie nadawał się jeszcze na prawdziwego asa wywiadu, ale wiedział, że każde działanie składa się także z anonimowej, mrówczej pracy nie znaczących, zwyczajnych ludzi i że oni umożliwiają błyskotliwe czyny asów. Z całych sił pragnął wierzyć że to co robi, drobnostki bez znaczenia, przyda się kiedyś. W ten sposób, w mniej więcej trzy tygodnie Angus zapełnił cały zeszyt i ukrył go w piwnicy, w od początku wojny przygotowanej skrytce przy węglu. Obok najcenniejszej pamiątki rodzinną, książki, która według tradycji rodzinnej podobno należała kiedyś do Kościuszki.

W dniu 8 listopada, koło godziny 9 Angus na rogu ul. Śniadeckich i drogi do parku Wilsona, przy pawilonie wystawowym tzw. Polonii Zagranicznej lub Amerykańskiej, który wykorzystywany był następnie jako magazyn, zobaczył samochód, czarnego Mercedesa 170. Samochód stał pusty, w znacznej odległości od obserwowanego sztabu niemieckiego i początkowo Angusa nie zainteresował. Ale ponieważ nie trafiło nic ciekawszego, wracając zatrzymał się przy nim i zaczął przyglądać.

Zauważył, że na tylnym siedzeniu leżały dwa pliki papierów o formacie pół arkusza, a z jednego stosu zesunęło się kilka luźnych kartek. Zajrzał bliżej przez szybę, wyglądały na jakieś formularze, ale i tak nie był w stanie ich odczytać. Dostrzegł jednak, że w środku druku ręcznie wpisane były nazwiska i chyba nazwa ulicy. Tak, to była ul. Śniadeckich. Więcej nie rozpoznał, a nie chciał dłużej zatrzymywać się przylepiony do szyby samochodu aby nie zwrócić na siebie uwagi.

Poszedł wolno w stronę domu, ale po chwili nadeszła refleksja, wrócił jeszcze raz i rozejrzawszy się wokół znów na chwilę przywarł do szyby. Tak, na pustych liniach w środku wpisane było nazwiska i adresy. Śniadeckich i numer. Na jednej kartce rozpoznał nazwisko z sąsiedniej bramy, reszta była też podobna ale nie mógł dokładnie odczytać. Jak błyskawica mignęło mu skojarzenie równie oczywiste i precyzyjne, jak to z flotą angielską koło Helu. To na pewno są nakazy aresztowań, cała masa. Na ich ulicy Niemcy szykują masowe aresztowania. Tylko on wie o tym i musi wszystkich ostrzec.

Zaczął od wstąpienia do tej bramy i sprawdzenia, czy rzeczywiście pod odpowiednim numerem figurowało dostrzeżone przez niego nazwisko. Zgadzało się i w pierwszej chwili chciał od razu zadzwonić i przekazać ostrzeżenie. Zreflektował się: co ma im powiedzieć, czy uwierzą prawie obcemu chłopcu? Wiadomość, że mają zaraz uciekać przed aresztowaniem, mogą uznać za głupią albo w ogóle za prowokację. Zresztą tych nakazów było wiele, co najmniej ze sto albo więcej, jedno ostrzeżenie nic nie znaczy.

Musi to lepiej przemyśleć i dowiedzieć się więcej. Obserwować samochód. Tak, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, a parokrotne podchodzenie do samochodu i przyglądanie się leżącym na tylnym siedzeniu pismom, tym bardziej sprawdzenie klamki byłoby działaniem prymitywnym. Gdy przez przypadek stał się jedynym posiadaczem ważnej informacji, musi postępować ostrożnie.

Wrócił do domu i spróbował prowadzić obserwację z okna, lub wychylając się z balkonu. Ale chodniki i sam samochód przesłaniały drzewa, widział właściwie tylko jezdnię. Jednak po godzinie, zauważył dwóch mężczyzn, przechodzących jezdnię tam gdzie stał samochód i po chwili z powrotem. Wydawało mu się, że szli do samego końca przeciwległego bloku, tam, gdzie mieściły się biura Spółdzielni mieszkaniowej. Zszedł ponownie na ulicę. Czarny mercedes stał na tym samym miejscu, ale na tylnym siedzeniu coś się zmieniło. Teraz leżał tylko jeden gruby stos papierów, a obok płaszcz skórzany, taki, jaki podobno nosili gestapowcy. A więc sądząc, że te dwie sylwetki szły do tego auta chyba się nie mylił. Jeżeli mieli coś do załatwienia w biurze spółdzielni, czy nie było to sprawdzanie książek meldunkowych? A papierów nie brali ze sobą, nie pokazywali, żeby przedwcześnie nie uprzedzać o zamiarach. Mogli robić notatki, albo po prostu kazać sporządzić odpisy, bez żadnych uzasadnień.

Pewnie, to wszystko było zgadywanie. Wyobraźni Angus miał sporo i właśnie teraz pracowała ona pełną parą. Spacerował jeszcze chwilę po ulicy, potem posiedział na ławce przy skwerku Washington'a, skąd mógł widzieć zarówno wejście do Spółdzielni, jak i na ulicę. Do domu wrócił ok. godz. 11. O 12 wyszedł ponownie, samochód wciąż stał na miejscu. O 13 już go nie było, nie zauważył momentu odjazdu.

Do tego czasu Angus zbudował sobie, na podstawie fragmentarycznych i w gruncie rzeczy niedostatecznych danych wyimaginowany obraz sytuacji oraz kompletny scenariusz przyszłych wydarzeń. Nie miał żadnych wątpliwości, że Niemcy szykowali na ulicy Śniadeckich i to właśnie w blokach, w których mieszkał, masowe aresztowania. Naprawdę masowe, sądząc po grubości pliku formularzy, które uznał za nakazy aresztowań jeśli nie wszystkich, to co najmniej połowy mieszkańców. A więc trafił się taki, jeden jedyny,

fantastyczny przypadek, o jakim czytał w książkach. Los sprawił, że właśnie on dowiedział się o tajemnicy.

Jest w stanie to udaremnić, musi ostrzec wszystkich mieszkańców. Wszystko składało się wprost nadzwyczajnie, bo miał też w ręku odpowiednie narzędzie do tego celu. Jego agencja informacyjna, wszystkie te starsze panie do których przynosił zasłyszane wiadomości i plotki. W krótkim czasie bloki będą aż huczeć od nowej informacji, każdy zostanie ostrzeżony co najmniej po kilka razy z różnych źródeł, wraz z uprzedzeniem, żeby nikt kto ma najłżejsze podstawy do obaw, nie nocował w domu tej i następnej nocy. Angus nie zdawał sobie sprawy, że ludzie bezkrytycznie wierzą w nieprawdopodobne, nawet zupełnie absurdalne wiadomości, gdy chcą w nie wierzyć, natomiast odrzucają to, w co wierzyć nie chcą.

Co może zdarzyć się potem? Gestapo na pewno się wścieknie i będzie szukało ofiar. Nie ma sposobu zapewnić wszystkim kryjówki, będzie to typowe ratuj się kto może, więc część mimo wszystko złapią, ale przynajmniej część zdoła uciec. Ale jego opinie i pozycja będzie już ugruntowana, teraz będzie pora na przeprowadzenie otwartych rozmów i założenie tajnej organizacji. Już wiedział, jak to zrobić, oczywiście on, jedenastoletni chłopiec nie mógł być szefem, nawet po takim pokazowym osiągnięciu. Nikt by tego nie akceptował, na pewno nie w świecie dorosłych. Ale miał na to sposób, przecież mógł być tylko łącznikiem, który przekazuje słowa i polecenia tajemniczego szefa. Człowieka, którego twarzy nikt nie może zobaczyć, bo pracuje na niebezpiecznej i bardzo odpowiedzialnej pozycji, w otoczeniu, ba, w samym środku wrogów. Dlaczego wybrał właśnie jego? Bo tak najbezpieczniej, dzieciaka najmniej się podejrzewa.

Oczywiście, Angus nie miał zamiaru przeciągać tej mistyfikacji dłużej, niż do nawiązania kontaktu z jakąś prawdziwą tajną organizacją. Nie wątpił, że obecna sprawa nabierze rozgłosu wśród Polaków, którzy dowiedzą się, że ktoś nad nimi czuwa i opiekuje się. Wtedy ktoś rzeczywiście postara się nawiązać z nim kontakt. Angus wytłumaczy, że działał tak, jak musiał, nie miał innej możliwości. Miał nadzieję, że go przyjmą i pozwolą mu coś robić, choćby najprostsze rzeczy, takie, jak dotychczasowa obserwacja przyjeżdżających samochodów i zapisywanie ich numerów.

Chyba zacznie z nienajgorszą opinią, a potem będzie się starał jak potrafi najlepiej. Może, stopniowo, będzie mógł uczestniczyć w prawdziwych akcjach, niebezpiecznych i trudnych. Wprost zdumiewające, jak bardzo dorośli dyskryminują młodszych, zupełnie jakby to nie byli ludzie, ale opisywano przecież wyjątki. Niektórzy chłopcy zdołali jednak wyrobić sobie zaufanie i zrobili dużo dobrego, przynajmniej tak pisano w książkach.



Oto perspektywa tego, co uważał za swoje powołanie, cel i sens życia. Martwy, pusty świat w którym wegetował dotąd w biernym oczekiwaniu, miał przejść do przeszłości. A co leżało przed nim?

Złudne nadzieje! Próżno uchem męża pytają ziemi. W ziemi spokój głuchy. Czasami zda się, że dźwięczy oręż - nie, to niewolnik potrząsa łańcuchy I wiele rzeki, wiele wód uniosły lecz ani flota, ni zbawcze zastępy....

#### **Rozdział IV. Obóz koncentracyjny.**

11 listopada 1939, w nocy. Przyszli w końcu, choć późno. Była mniej więcej 11-ta godzina., ale nie o to chodzi. Faktycznie o dwa dni, a co najmniej o jeden za późno, żeby uratować reputację Angusa. Od dwu dni przekonywał on, matkę, sąsiadów, każdego kto zechciał go słuchać, że wszyscy mieszkańcy tego domu i w ogóle wszystkich domów w całym bloku zostaną aresztowani 9 listopada, albo najpóźniej następnej nocy. Absolutnie nikt mu nie uwierzył, nikt nie chciał potraktować go poważnie.

A potem nic się tej zapowiadanej nocy nie zdarzyło, ani też następnej. Czuł się tak głupio, że po prostu wstydził się odezwać do zaprzyjaźnionych starszych pań, mieszkających w tym domu w mieszkaniach powyżej i pod jego mieszkaniem, nie mówiąc już o innych dalszych znajomych. Jego informacje okazały się zwykłą bzdurą, pewnie źle zrozumiał czy raczej zgadł. Cała nadzieja, że może po pewnym czasie to pójdzie w zapomnienie.

Tego dnia, kiedy starsza, już dorosła kuzynka Stefcia odjechała, (tak, żeby dotrzeć do Podłozin jeszcze przed godziną policyjną), Matka i on debatowali jeszcze długo o wszystkim i o niczym. Matka zajmowała się też rozpakowywaniem ciężkiej walizy, którą przywiozła Stefcia, tyle trwałej żywności ile była w stanie unieść.

- Angus, zjedz trochę. Mamy teraz za dużo, nie damy rady zjeść tego do końca wojny, choćby trwała jeszcze miesiącami. - Mama, będąca z natury pesymistką, mówiła o całych miesiącach. Angus i prawie wszyscy wierzyli twardo, że to będą tygodnie.

- Kiedy mam, naprawdę nie mogę. Mieliśmy najpierw kolację, a potem zrobiłaś jeszcze herbatę i kanapki kiedy przyszła Stefcia. Jestem już przejezdony. A poza tym to są trwałe wędliny, nie zepsują się nawet przez lata. Możemy je śmiało zostawić na po wojnie.

Rzeczywiście szynka, kielbasy i inne wyroby mięsne były bardzo suche i mocno wędzone, najlepszy gatunek prawdziwych wiejskich robionych na własny użytek. Takie nie trafiały się w sklepach, niektóre tak twarde, że ciężko było je ukrajać nawet ostrym nożem, łatwiej już pokruszyć uderzeniem bijaka.

- Ale przecież mamy inne zapasy, nie takie trwałe. Kiedy teraz dostaliśmy te wspaniałości, możemy zjeść trochę z tych poprzednich. Naprawdę myślę, że powinienes się

wzmocnić, ostatnio wyglądasz marnie. - Ale Angus naprawdę nie mógł. Pomyślał, że tak jest zawsze z mamą, która go przekarmiła i w ogóle jest nadopiekuńcza. Poza tym naprawdę interesowała go tylko wojna i samorzutnie przeszli na ten temat. Mama nie zapomniała podkreślić ze swego własnego doświadczenia, że wojna powoduje zawsze głód, który trwa jeszcze i po wojnie, dlatego należy jeść, póki można.

Przy takiej rozmowie i rozmieszczaniu zapasów, poważna i trudna sprawa, bo mieszkanie było doprawdy nimi przepełnione, mama opowiadała dalej o ciężkich czasach podczas i po I Wojnie Światowej, co zabrało dużo czasu.

Faktycznie od szeregu tygodni, zdopingowana tymi wspomnieniami matka kupowała jak wściekła. Nie tylko zapasy żywności. Były istne góry mydeł, proszki do prania i czyszczenia, zapasy nici, materiałów i wszelkich innych możliwych i niemożliwych rzeczy upchane w każdym kącie i dostępnym miejscu. Na przykład masło, matka topiła i kilkakrotnie przemywała ciepłą wodą, potem zlane do kamionkowych garnków podobno mogło być przechowywane latami. Sklepy nadal były pełne towarów, chociaż także Niemcy, kiepsko karmieni w Faterland'zie i nie przywykli do obfitości tego, co ku swemu zaskoczeniu zobaczyli w okupowanej Polsce, ostro współzawodniczyli w zakupach. U siebie w Niemczech mieli „armaty zamiast masła”.

Było więc znacznie po zwykłej godzinie, 10 wieczorem, kiedy Angus znalazł się w łóżku. Wtedy właśnie usłyszał odgłos wielu motorów. Zgasiwszy światło, odsunął zaciemnienie i wyrzwał na ulicę. Była zapchana mnóstwem aut, cała kolumna jedno przy drugim i koło nich żołnierze. Wkrótce też rozległo się głośnie łomotanie do bram domu.

- Przyszli po kogoś, - matka jeszcze nie połapała się w sytuacji, nie zrozumiała celu nocnej napaści. Walenie w bramę stawało się coraz donośniejsze, a po paru chwilach zatrzęsły się także drzwi ich mieszkania. A więc przyszli po nich wszystkich! Całe szczęście, że kuzynka Stefa nie została na noc! Chociaż zszokowany, Angus odczuł pewną satysfakcję, że jego informacje się potwierdziły. Ale teraz nie było czasu o tym myśleć. Zaczął się ubierać.

- Aufmachen! Schnell!! - otwierać, szybko - było trzech żołnierzy, w tym podoficer i jeden cywil z papierami w ręku.

- Name? Ja, es stimmt - (w porządku). Jest tu ktoś jeszcze?-

- Dobrze, macie teraz 15 minut na ubranie się, możecie wziąć trochę rzeczy osobistych, ale pamiętajcie, macie przed sobą długą i ciężką drogę. Jeżeli nie będziecie w stanie iść, będzie z wami źle. No dalej, wychodzić na ulicę i tam dostaniecie dalsze rozkazy. Ruszać się!

- Ale o co chodzi? Za co jesteśmy aresztowani?

- Nie jesteście aresztowani, tylko zatrzymani. To jest Reichssache - sprawa państwowa, macie słuchać rozkazów, ich naruszenie wird mit dem Tode bestraft - jest karane śmiercią.

Mówił cywil, matka tłumaczyła dodając, że Angus ma się jak najszybciej ubierać i być gotowy do wyjścia. Nie miała czasu powiedzieć nic więcej, zabrano ją do sąsiedniego pokoju i żądano jakichś papierów, wypytywano o coś, minęło już zapowiadane 15, potem 20 minut i więcej. Wreszcie, zwolniono z wrzaskiem - Los! Schnell! - dalej, szybko!

Znaleźli się na ulicy późno, większość ludzi już była załadowana do pojazdów, pozostałym „pomagano” niezbyt delikatnie kolbami. Jedne z drzwi otworzyły się koło nich, na szczęście była to nie ciężarówka, ale autobus, tak, że matka Angusa zdołała szybko wsiąść. Angus, który szykował się bronić ją w razie potrzeby, co oczywiście było głupim pomysłem, wskoczył za nią. Drzwi zamknięto i zabezpieczono z zewnątrz i prawie natychmiast kolumna ruszyła.

W ciemnym wnętrzu autobusu, wieziony przez nieprzyjaciela do ciemnego przeznaczenia z nieznanymi przyczynami i w nieznanym celu, Angus czuł się głęboko, przejmująco szczęśliwy, wprost w absurdalnej euforii. Najbardziej ze wszystkiego obawiał się, że matka zmusi go do schowania się do niszy, którą tak pracowicie szykowała i że tam w pełnym bezpieczeństwie będzie musiał siedzieć aż do końca wojny.

W końcu, będąc tylko kobietą, nie zdawała sobie sprawy, że mężczyzna nie może tak postąpić. Byłaby to hańba gorsza od śmierci i to nie raz, ale wiele, wiele razy. Nadszedł czas wielkiej narodowej potrzeby, ojczyzna w niebezpieczeństwie - tak jak w książkach, ale naprawdę. Tak jak już wiele razy zdarzało się w historii i ta chwila była decydująca dla przetrwania narodu. Nie wolno się oszczędzać, chować.

Było wielkim przywilejem żyć w takich czasach i każdy musiał wypełnić swój obowiązek. Dotyczy to także jego. Gdyby zrobił to, co żądała jego matka, schował się za jej spódnicą, przez całe życie uważałby się za szczura, za wesz. Ale jakie miał szanse wytłumaczyć to on, szczeniak, swojej matce? Lecz istniała jeszcze straszniejsza ewentualność.

A jeżeli naprawdę w głębi serca był właśnie tchórzem, gotowym do przyjęcia tego, co matka zaplanowała, przeżyć wygodnie wojnę zasłaniając się, dla zachowania pozorów i przed własnym sumieniem matką? Jeżeli naprawdę tylko szukał wymówek, w sytuacji która naprawdę mu dogadzała? Nie był pewien siebie samego, jego natura mogła mieć drugie dno. Gdyby naprawdę tak miało być, gdyby był takim pełzającym robakiem, to znaczyłoby, że

świat bez niego stanie się lepszym i piękniejszym miejscem. Postanowił, jeżeliby się co do tego upewnił, nie czekać ani chwili i skończyć z życiem zanim straci resztę zdecydowania i zanim ktokolwiek zauważy tą podłą duszyczkę, zanim zasłuży na pogardę prawdziwych, dzielnych ludzi.

Ale tej listopadowej nocy, wróg rozwiązał za niego i za matkę ten problem. Nie będzie chowania się, szukania własnego bezpieczeństwa. Zostali pojmani, prawdopodobnie znajdują się w więzieniu. Teraz możliwa była już tylko dalsza walka i los przerzucił ich właśnie do pierwszej linii.

Pomyślał, że chyba tak zaraz nie jada na rozstrzelanie. Gdyby tak było Niemcy nie mieliby powodu robić sobie tyle wydatków i ceremonii, jak ta kolumna samochodów. Co więcej, jeszcze w mieszkaniu usłyszał krótką salwę strzałów z tyłu budynku, prawdopodobnie dochodzącą z terenu między parkiem i starym browarem Huggera. Dowodzący osobnik (oficer w cywilu?) powiedział wtedy do matki coś w rodzaju - tak postępujemy z indywiduami, które próbowały nie słuchać niemieckich rozkazów i uciekać -. To zdarzenie było później omawiane wśród uwięzionych. Mówiono, że jakieś osoby nie mieszkające przy ulicy Śniadeckich, być może spóźnieni goście chcieli przenocować ze względu na godzinę policyjną. A może ktoś ukrywający się i poszukiwany próbował schować się, czy też uciekać? Podawano różne liczby, jedni twierdzili że zastrzelono pięć osób, inni wymieniali aż dziewięć. Ponieważ jednak wszyscy ludzie zostali zabrani, nikt nie pozostał w tych domach, nie można było tego potwierdzić, ani w ogóle dowiedzieć się niczego konkretnego.

Niemcy z pewnością sprzątnęli trupy przed przyjazdem nowych mieszkańców, teraz już swoich rodaków. Mówiono, że ci nowi osadnicy, nie świadomi tego co się tu naprawdę wydarzyło, byli zdumieni i wzruszeni, że otrzymali nie tylko możliwość osiedlenia się, ale wszystko tak wspaniale przygotowane na ich przyjazd. Co za świetna, prawdziwie niemiecka organizacja, kompletne wyposażenie i zaopatrzenie, nawet spiżarnie pełne, mleko i bułeczki czekające na śniadanie, łóżka z pościelą. Specjalna delegacja nowych osiedleńców udała się z podziękowaniem za tak nieoczekiwane kompletne i wygodne przygotowanie przydzielonych im mieszkań.

- To normalne, - usłyszeli - Niemcy pamiętają o was, bo spodziewają się, że i wy odwdzięczycie się Niemcom teraz, gdy trwa wojna o byt, będziecie pracować i walczyć. Po zwycięstwie, nie taką nagrodę otrzyma każdy dobry syn Niemiec, więc starajcie się z całych sił wypełniać wolę wielkiego Fuehrera.

Obecnie - kończył rozważać sytuację Angus - skoro nie zostaną zapewne rozstrzelani z miejsca, nie pozostaje im żadna inna ewentualność niż walka do końca. Jeżeli przedtem

niektórzy ludzie, jak na przykład jego matka, nie byli przygotowani do wybrania tej drogi, to teraz nie mają już nic do stracenia. Uwięzieni i pozbawieni wszystkiego, mogli już tylko ryzykować nagim życiem i starać się drogo sprzedać swą skórę. Jeżeli Niemcy zwyciężą, to nie mamy przed sobą żadnej przyszłości, ani żadnej nadziei. Może to sam Pan Bóg wskazał tą drogę, wysłuchawszy jego modlitw, zechciał położyć kres jego bezsilnej rozpacz i męce bezczynności.

Jednocześnie poczuł gorącą sympatię, więcej, poczucie jedności i wspólnoty z wszystkimi znanymi i nieznanymi ludźmi w autobusie, we wszystkich autobusach i ciężarówkach w całej kolumnie. Rozszerzenie osobowości, oni wszyscy byli razem, jakby stanowili rodzinę.

Jedynie rzeczy, jakie zabrał ze swego domu oprócz ubrania, to był koc w jednej ręce i funtowa puszcza landrynek w drugiej, nawet nie dla siebie, bo zdecydowanie nie lubił słodczy, ale przewidując, że mogą się przydać w drodze. Teraz poczęstował nimi sąsiadów i poprosił o podanie dalej, wokół autobusu.

Po ostatnich rozkazach krzykach i klątwach niemieckich, po zamknięciu wszystkich drzwi i ruszeniu autobusu, wszyscy w środku siedzieli jak osłupiali, bez słowa, bez ruchu, w ogóle się nie kontaktując, każdy pogrążony w sobie. Teraz automatycznie brali i dziękowali, może nawet niechętnie, żeby być zostawieni w spokoju. Ale jednocześnie mimo woli otrząsnęli się z pierwszego szoku, otrzeźwili i zaczęli znów funkcjonować jak żywi ludzie. Padały pierwsze słowa.

Nie rozumieli, co się właściwie stało. Czy byli wszyscy aresztowani, wszystkie bloki, cała ulica? Jak to możliwe, za co? Sąsiad Angusa z naprzeciwka, prawnik pracujący dotąd w Sądzie Okręgowym - wyjaśniał autorytatywnie że to musi być jakieś nieporozumienie i za kilka godzin, w najgorszym razie po jednym lub dwu dniach muszą zostać zwolnieni i powrócą do swoich domów.

- Może z wyjątkiem niektórych, jeżeli Niemcy właśnie ich szukają i mają jakieś podejrzenia. Ale istnieje przecież prawo i ludność okupowanego terytorium jest chroniona przez międzynarodowe postanowienia, które uznały i podpisały także Niemcy, więc bezwzględnie muszą je respektować. Cokolwiek złego można o Niemcach powiedzieć, zawsze bardzo ściśle przestrzegali porządku i dokładnie trzymali się przepisów prawa, Stosują prawo, chociaż czasem ustanawiali to prawo złe. Krótko mówiąc, cokolwiek by powiedzieć, to nie są przecież dzicy ludzie, osiągnęli pewien poziom cywilizacyjny i takie postępowanie jest absolutnie niemożliwe. Przecież to zupełna anarchia, złamanie wszystkich norm i porządku. Może polecono wykonać akcję policyjną i jakiś niedoświadczony młody

urzędnik, bo przecież na razie obsada personalna jest jeszcze tymczasowa i niezbyt dobrze zorganizowana, zareagował nadgorliwie. Zostanie on pouczony i odpowiednio ustawiony przez wyższe czynniki, nadzór, a w ostateczności nawet Rząd Niemiecki, bo przecież taka sprawa nie da się ukryć i nabierze szerokiego rozgłosu. To nie taka łatwa sprawa i winny przekona się o tym. Nawet gdyby zaraz, natychmiast chcieli ten błąd naprawić, to pod względem prawnym znaleźli się już w bardzo nieprzyjemnym położeniu. - Mecenas był tego absolutnie pewny i powiedział, że gotów jest poręczyć swoją zawodową opinią, że w bardzo krótkim czasie ten przypadek musi zostać wyjaśniony.

### **Poglądy przemądrzałego smarkacza o tle historycznym konfliktu.**

Angus słuchał w milczeniu, szczeniak nie mógł się wtrącać w rozmowy dorosłych, tym bardziej im zaprzeczać. Ale w duchu uważał to wszystko za głupie, absurdalne, wprost śmieszne gadanie. Co to znaczy - niemożliwe, niedopuszczalne? Nie takie rzeczy Niemcy robili. Przecież wiedział z historii i czytał w poważnych książkach naukowych (bynajmniej nie powieściach, przygodowych lub innych), jak liczne szczepy czy też narody Zachodnich Słowian, żyjące pomiędzy Polakami i Niemcami, zostały całkowicie wymordowane, do ostatniego, wszelkimi środkami, od wojny do zdrady i trucizny w czasie pokoju.

Jeżeli niektórym udało się ocalić życie, uciekali na terytorium blisko spokrewnionych, mówiących podobnym językiem plemion polskich (Polska w tym czasie jeszcze nie istniała). To właśnie ci uchodźcy zaalarmowali Polaków i pod wpływem tych wieści proces jednoczenia się przyspieszył. I rzeczywiście następnie przyszła kolej i na Polskę. Dopiero po wielu latach zawziętej i okrutnej wojny udało się powstrzymać Niemców, dzięki desperackim wysiłkom największego z polskich królów, Bolesława Chrobrego.

Było to prawdopodobnie zarówno szczęście, jak i wynik bardzo bystrego rozumowania, że pierwsi polscy królowie znaleźli potężnego sojusznika i trochę jakby protektora - papieży i kurię rzymską. Zarówno wzajemny interes, jak i nadzwyczaj kosztowna opieka, jednak niewątpliwie opłaciła się w tym momencie i także w przyszłości.

Ale i tak powódź udało się zatrzymać tylko chwilowo. Jeżeli nawet Niemcy nie powtórzyli już tak pełnego, powszechnego wysiłku, jak w pierwszym dwudziestoleciu jedenastego wieku, to jednak „Drang nach Osten” nadal pozostał programem przynajmniej dla części Niemców i nadal był kontynuowany. (Niemcy walczyli następnie głównie między sobą, ale i Polacy też, Polska też była podzielona). W rezultacie nawet tylko część sił niemieckich to było za dużo, Polska straciła trwale wszystkie zachodnie prowincje, nie wspominając już o dwóch królach (ściślej o jednym królu i jednym księciu-seniorze), zamordowanych w czasie zaprzysiężonego pokoju przez najemników z terytorium Niemiec.

Następnie sytuacja stała się naprawdę krytyczna z powodu akcji, jak uważał Angus, wyspecjalizowanych formacji śmierci, odpowiednika i prekursora obecnego SS - Zakonu Krzyżackiego. Znowu rozpoczęło się masowe ludobójstwo i eksterminacja całych narodów, najbardziej wyrazistym przykładem było zupełne wyćpienie Prusów. Naród Prusów był prawdopodobnie najbardziej zadziwiająco osobliwością Europy. Ludzie, którzy jako pierwsi zrealizowali w pełni tak obecnie modny, chociaż tylko w słowach, styl życia w pełnej harmonii ze środowiskiem i naturą, a ponadto jeszcze wykształcili pełną demokrację wewnętrzną, we formie zwanej dzisiaj prymitywną demokracją, z rozwinięciem swobód obywatelskich i osobistych prawie do granicy idealnej teoretycznej anarchii. Bardzo dojrzałe uformowane społeczeństwo, ściśle mówiąc tak wyspecjalizowane, że nie potrafiło już reagować elastycznie w krytycznej sytuacji i w konfrontacji z nieoczekiwanym wyginęło.

Angus mimo starań, zdobył mało informacji na ten temat. Nic w tym dziwnego, bo w ogóle niewielu ludzi coś o tym słyszało, niestety. A jest to nadzwyczaj ciekawy i pierwszorzędny naukowo temat, rozwoju i historycznego kształtowania się społeczeństw (na przykład zadziwiająca zbieżność podobnych zasad funkcjonowania i zwyczajowych instytucji ze Szwajcarią, w tym nawet coś w rodzaju referendum, także opór w przyznaniu praw kobietom itd. Ponieważ możliwość kontaktów między dawnymi szczepami czy plemionami Helwetów i Baltów wydaje się nieprawdopodobna, nasuwa się przypuszczenie, że istnieje jakaś naturalna droga rozwoju demokracji w małych, izolowanych społeczeństwach). Angus nie miał oczywiście tych specjalistycznych wiadomości, po prostu uważał dawnych Prusów za coś pośredniego między dawnymi czerwonoskórymi Indianami, a ówczesnymi Tarzanami.

Rzeczywiście, byli to wspaniali ludzie, mogliby służyć jako model „supermana” dla komiksów. Także i ówczesni Polacy mieli okazję wielokrotnie przekonać się o tym we wojnach. Kilkakrotnie zajmowali oni Prusy przy pomocy liczniejszej, lepiej uzbrojonej, zorganizowanej i zdyscyplinowanej armii, i chociaż właściwie nie napotykali na zbrojny opór, za każdym razem musieli się wycofywać z porozbijanymi głowami i zakrwawionymi nosami. Silna armia bez trudu mogła zająć Prusy, ale następnie nie mogła się tam utrzymać. Było równie trudno i niezdrowo tam pozostać, jak wracać, zwłaszcza w jednym kawałku a przy tym wszystkim prawie nie widziało się przeciwnika. I to wszystko mimo faktu, że nawet w czasach największego zagrożenia Prusowie nie obierali wspólnego wodza i nie znali żadnej dyscypliny. Owszem, istnieli uznani naturalni przywódcy, ale pełnili funkcje raczej doradcze niż dowódcze, dzięki doświadczeniu i osobistemu autorytetowi. Nikt nie miał obowiązku słuchać nikogo, a jeżeli mu się coś nie podobało, mógł w każdej chwili odejść. Każda rodzina miała własne terytorium, oddzielone i umocnione w sposób stanowiący uzupełnienie

naturalnego, nie było w nim jednej stałej siedziby lecz wiele, pełniących różne funkcje i rozproszonych w terenie, przeważnie tzw. pólziemianek trudnych do znalezienia. Kuchnia o pół kilometra od sypialni, ale łącznie nieraz o kilka kilometrów i to w różne strony, dbałość o higienę zdumiewała ludzi średniowiecza. Zapasy żywności też rozproszone w kilku oddzielnych pomieszczeniach. Na swoim terytorium znali każde zwierze i każdą roślinę, dbali o przyrodę mając na oku własne korzyść, ale właściwie nie stosowali rolnictwa ani też hodowli. Mimo to poziom życia był niespodziewanie wysoki.

A jednak ta rasa Tarzanów, prawdziwych super-menów została tak kompletnie zlikwidowana przez formację śmierci Zakonu Krzyżackiego, że pozostała po nich jedynie nazwa. Natomiast wprost nieludzką ironią wydaje się fakt, że nazwa wymordowanych przetrwała właśnie jako nazwa potomków ich morderców, względnie w najlepszym razie potomków sprowadzonych przez ludobójców kolonistów niemieckich. Osiedlali się oni po całkowitym zniszczeniu pierwszych mieszkańców razem z całym ich środowiskiem i otoczeniem, lasów wraz ze wszystkim co w nich żyło, tylko ryb w jeziorach nie zabijano. Następnie rozpoczęła się budowa najpierw zamków i dopiero potem całej infrastruktury, osad, gospodarstw i ewentualnie miast.

Po opanowaniu Prus, Zakon zwrócił się przeciw Polsce. Nigdy dotychczas wojny nie były prowadzone w tak okrutny sposób, nawet współcześni byli zaskoczeni. Niewątpliwie niedawna inwazja tatarska (właściwie Mongołów) też stosowała planowany terror, ale jedynie w celu sparaliżowania obrony, miał na celu przerazić obrońców i na tym się kończył, stosowano go z pewnym rozsądkiem, można powiedzieć racjonalnie. W porównaniu z tym, rajdy Krzyżaków były czymś niesłychanym i wydawało się, że ich jedynym celem jest śmierć wszystkich, zarówno uzbrojonych jak i ludności bezbronnej, kobiet, dzieci. Więcej, bo uczestnicy rajdów zabijali nawet własnych rannych, żeby ich nie obciążali i nie hamowali szybkości pochodu. Nie oszczędzano ani kościołów ani księży, mimo, że nominalnie napastnicy byli chrześcijańskimi zakonnikami. Z powodu tego ostatniego, pozostały tak szczegółowe dane, gdyż kuria Kościoła Katolickiego kilkakrotnie przeprowadzała swoje własne dochodzenia, wysyłając niezależnych delegatów i oni to spisali wstrząsające protokoły.

Tym razem Polska utraciła nie tylko zewnętrzne prowincje, centralna Polska została głęboko przeniknięta i zniszczona. Kujawy i Wielkopolska, kolebka gdzie uformowało się państwo polskie ucierpiały najwięcej, Kujawy nawet na pewien czas włączono do terytorium Zakonu. Właściwie w dużym stopniu dzięki stanowisku Kościoła i opinii jaką przedstawił on w ówczesnej Europie udało się je odzyskać. Ale także, na szczęście najwyższe



niebezpieczeństwo napotkało równie zdecydowane, desperackie środki obrony. Po ciężkim kryzysie, Polska zjednoczyła się znów i zaczęła odzyskiwać siły.

Gdy Polska zdolna stała się do lepszej obrony, Zakon zwrócił się przeciw Litwinom. Litwini byli blisko spokrewnieni z Prusami, ale żyli w zupełnie innym porządku społecznym. Prusowie rozwinęli stabilną strukturę społeczną, opartą na krańcowo rozwiniętych wolnościach osobistych i bezpośredniej demokracji prymitywnej, graniczącej ze zinstytucjonalizowaną anarchią. To wszystko w niezwykle bliskim kontakcie z naturą i ochronie i współżyciu ze środowiskiem - można powiedzieć, że sami świadomie stali się częścią środowiska naturalnego. To społeczeństwo prawie hermetycznie wyizolowane, rozwijało się w wyspecjalizowany sposób, perfekcjonistycznie i nie przyjmowało ani nie było zainteresowane żadnymi zmianami. Litwini zaś byli młodym narodem wojowników, właśnie wtedy u szczytu ekspansji. Wprost eksplodowali wówczas na terytoria, zajęte i podbite świeżo przez Mongołów, a zamieszkiwane przez plemiona Wschodnich Słowian.

Wynikła sytuacja podobna, jak kiedyś w przypadku Polski. Litwini zostali najpierw ostrzeżeni przez uciekinierów i niedobitki Prusów, którym udało się ująć z życiem, a mówiąc prawie tym samym językiem zdołali uprzedzić swoich pobratymców. Mimo tego sytuacja rozwijała się początkowo tak źle, że Litwini przeprowadzili coś w rodzaju narodowej debaty lub referendum, czy lepiej nie porzucić ogóle swej ojczyzny i nie szukać nowej w odległych krajach, na przykład w świeżo zdobytych prowincjach ruskich. Ale jakoś, broniąc się ze zmiennym szczęściem zdołali wytrzymać aż do czasu, gdy doszło do logicznego rozwiązania: Litwini i Polacy, doprowadzeni prawie do ostateczności, zjednoczyli się przeciw Zakonowi Krzyżackiemu (co załatwiono przez małżeństwo Wielkiego Księcia Litewskiego z polską Królową). Po latach zawziętych walk, zdołano zatrzymać ofensywę krzyżacką przeciw centralnej Litwie i obronić jej stolicę, Wilno, a następnie w jednej z największych bitew w centralnej Europie, cała armia krzyżacka została kompletnie zniszczona pod Grunwaldem.

Zwycięzcy nie byli przygotowani na to zwycięstwo i nie oznaczało ono ani końca istnienia Zakonu, ani większych zmian terytorialnych, nawet zwrotu zrabowanych przedtem dzielnic. Ale położyło kres ekspansji Zakonu, chociaż stan wojny jeszcze wielokrotnie powracał. Z drugiej strony, od tej chwili rozpoczął się nadzwyczajny rozwój nowego państwa połączonych narodów, które stało się jedną z największych potęg Europy. Jako na owe czasy bardzo liberalna, wielonarodowa i wieloreligijna organizacja, niezmiernie silnie przyciągała zarówno ludzi, jak i wiele całych narodów - można powiedzieć, że na podobnej zasadzie, jak obecnie USA. Najlepszym tego przykładem jest, że nawet ludność niemiecka, mieszkająca na terenie Zakonu Krzyżackiego, postanowiła położyć kres jego twardych, bezwzględnych

rządów i przejść pod atrakcyjne, bo prawie nominalne panowanie Polski i Litwy, gdzie państwo prawie nie wtrącało się do życia i działalności poddanych, rządziło minimalnie (i pobierało minimalne podatki). Właśnie to powstanie ludności niemieckiej, a także i ujarzmionej uprzednio polskiej spowodowało ostatecznie rozpad państwa zakonnego, a Niemcy którzy przeszli do Polski nigdy nie mieli powodu żałować swojej decyzji i faktycznie stali się nie tylko lojalnymi obywatelami, ale nawet silnie zaangażowanymi patriotami nowego państwa związkowego.

Zresztą nie było w tym nic dziwnego, bo przez całe wieki każdy, kto mógł, od pojedynczych ludzi czy rodzin do wielu małych narodów, lub odłamów dużych - starał się przyjść i żyć w tym liberalnym i stosunkowo bardzo wolnym kraju.

Jednak stopniowo państwo to uległo degeneracji z powodu głupoty, krótkowzroczności i egoizmu warstwy uprzywilejowanej i mającej wyłączny wpływ na jego politykę - w pierwszym rzędzie szlachty polskiej, ale również szlachty innych narodowości, ani litewska ani żadna inna nie postępowały ani odrobinę lepiej. Krótko mówiąc, stopniowo państwo to przestało być dobrym miejscem dla wszystkich do życia, a wraz z polonizowaniem się warstw wyższych, głównie szlachty, kończył się okres wolności i tolerancji, rósł nacjonalizm i dochodziło nawet do ucisku religijnego i ograniczania praw mniejszości. Teraz trend się odwrócił, ludzie nie napływali lecz przeciwnie, emigrowali, inne narodowości starały się oderwać. Takim wymownym przykładem mogą być Żydzi. przez wieki Polska i potem połączone państwo skupiało znacznie ponad 90%, właściwie praktycznie całą populację Żydów europejskich. Obecnie rozpoczął się ich odpływ, początkowo głównie reemigracja do Niemiec i Austrii, następnie także dalej. Innym przykładem mogą być walki na Ukrainie, gdzie ostrze oporu przeciw uciskowi szlachty niewątpliwie ukraińskiej, ale spolszczonej, obróciło się przeciw Polakom.

Doszło do tego, że nowi przybysze byli niechętnie i źle przyjmowani, a w kraju dotąd pełnej swobody religijnej wystąpił przypływ fanatyzmu i zamieszek religijnych, chociaż nadal w skali absolutnie i nieporównywalnie mniejszej, niż w reszcie Europy. Być może jest rzeczą naturalną, że każde społeczeństwo przeżywa swój krytyczny czas upadku. A najgorsze nieszczęścia nastąpiły właśnie, kiedy rozpoczęła się już regeneracja. Przez długi czas granica polsko-niemiecka była spokojna i nieruchoma, stosunki między tymi krajami poprawiły się. Lecz teraz nowe, gwałtownie ekspandujące i drapieżne Prusy zaproponowały gwarancje i sojusz obronny przeciw Rosji, który w rzeczywistości okazał się prowokacją, od początku fałszywa grą i zdradą.

Te rzekomo sprzymierzone Prusy, zaniepokoiwszy w ten sposób Rosję, dokonały następnie wraz z Rosją zbrojnej napaści i podzieliły się łupem, początkowo cała Polska dla Prus (za wyjątkiem południowej części, którą odstąpiono Austrii ze względów dyplomatycznych i bez walk), a cała Litwa dla Rosji. Pewne zmiany nastąpiły po wojnach napoleońskich, gdyż stosunkowo małe jeszcze Prusy nie będąc w stanie utrzymać całej Polski, podzieliły się nią jeszcze raz z Rosją, która otrzymała większą część wraz z Warszawą. Niemcy zaś zatrzymali bogatszą i gęściej zaludnioną część pierwotnej Polski, z historycznymi stolicami Poznaniem i Krakowem.

To, że Polacy zdołali mimo wszystko przeżyć i zachować swoją indywidualność, było prawdopodobnie wynikiem, bardziej niż poczucia patriotyzmu - ich wrodzonego, krańcowego indywidualizmu i niezdyscyplinowani, wrodzonego sprzeciwu wobec nacisku, które stanowią prawdopodobnie istotę ich charakteru, najważniejszą cechę osobowości. Równolegle z przymusem rósł opór, pokolenie po pokoleniu powstawało i walczyło - tylko po to, żeby zostać pokonane lub zginąć, po czym nowe pokolenie zaczynało od tego samego. Niepraktyczni frajerzy, głupcy. Przez długi czas sytuacja pozostawała beznadziejna, jedynym skutkiem był pewien efekt na opinię światową. Jednak w końcu to poskutkowało, po pierwszej Wojnie Światowej odtworzenie Polski uznano powszechnie za sprawiedliwe i potrzebne.

Także i krewni Angusa walczyli w ostatnim powstaniu 1918-9 r., nareszcie zwycięskim, niektórzy stracili życie, więc ono było dla Angusa czymś bardzo osobistym. Nie mówiąc już o tym, że półtora wieku niewoli znalazło odbicie w literaturze i czytał o tym wiele książek, dla niego były to czasy heroiczne, czasy w których gorąco pragnął żyć i walczyć, czasy jego pragnień i marzeń.

Właściwie to, że wiedział wszystko z góry i najlepiej, spowodowały książki, to one ukształtowały Angusa, dając mu akurat tyle realizmu, że w lepszym, bardziej bezpiecznym świecie mógłby zostać z powodzeniem dublerem Don Kichot'a. Ale to nie był czas komedii.

Oczywiście, poglądy Angusa na historię stosunków polsko-niemieckich były krańcowo jednostronne. Opierały się na części prawdy a nie całej prawdzie, a jak wiadomo, najbardziej pokrętne i niebezpieczne kłamstwa to takie, które zawierają część prawdy (inne nie mają siły przebicia i nie przyjmują się). Dopiero przy końcu wojny miał okazję przekonać się, że i wtedy i niewątpliwie zawsze byli też prawi, a nawet szlachetni Niemcy, wspaniali ludzie z sercem we właściwym miejscu. A także i tacy, prześladowani nie mniej od Polaków, głęboko nieszczęśliwi, deptani ponad ludzką wytrzymałość i cierpiący, jak żaden człowiek nie

powinien. Przeżył wówczas szok, jakby świat stanął na głowie. Pozostawała ciągle alternatywa zabić lub zostać zabitym, ale wróg miał odtąd ludzką twarz.

Niemniej, chociaż ta pierwsza ocena była niesłuszna, skrajnie nacjonalistyczna, a nawet szowinistyczna, należy uwzględnić, że Angus był wówczas chłopcem nie wiele starszym, niż jedenaście lat. W warunkach ówczesnej sytuacji również i wielu dorosłych dzieliło ten uproszczony, biało-czarny obraz. Można to potraktować jako, jak mówią uczeni, model roboczy, świata, hipotezę która przez szereg najbliższych lat dobrze tłumaczyła wszystkie zdarzenia i wykazywała zgodność z wszelkimi obserwacjami.

Na tej podstawie można też logicznie założyć, że również i przywódcy nazistowscy kierowali się właśnie takim światopoglądem zakładając, że „Drang nach Osten” jest wyższą koniecznością, która musi być konsekwentnie realizowana za pomocą wszelkich, najbardziej radykalnych i barbarzyńskich środków. Prawdopodobnie te idee przeniknęły z kolei na polską stronę, niemiecka propaganda rasistowska przez pewien czas wywarła wpływ na umysł Angusa. Z tą drobną poprawką, że uważał on Polaków za wyższą i lepszą rasę, a Niemców za niższą, właśnie za podludzi.

\* \* \*

Wobec powyższego Angus uznał obecny wykład za głupi, wprost śmieszny absurd. To nie była żadna normalna wojna, i nawet nie dlatego, że nie została formalnie wypowiedziana - to był po prostu zwyczajny napad rabunkowy z perspektywą wymordowania napadniętych. Aby stosować prawo, trzeba by najpierw pojmać przestępców, a oni właśnie byli teraz panami, zwyciężyli. Jednak, choć tak naiwna, opinia prawnika wyraźnie wywierała uspakajający wpływ na wstrząśniętych ludzi.

- Panie mecenasie, - zapytała jedna z pań, - wierzę, że ma Pan rację i szybko wrócimy do domów, ale czy ja odzyskam moją biżuterię? Oni zaraz na początku zażądali, żeby okazać wszystkie złoto i dewizy, powiedzieli, że jeżeli cokolwiek zatają i oni znajdą coś ukrytego, grozi mi kara śmierci za złamanie przepisów władz niemieckich. -

- To już niestety inna sprawa. Mam nadzieję, że ma Pani jakieś zaświadczenie, albo inny dokument na piśmie?

- Nie. Prosiłam o wystawienie pokwitowania konfiskaty, ale ich przywódca chwycił rewolwer i powiedział, że może dać mi zaświadczenie lepsze, niż na papierze. -

- No tak. A Pani prawdopodobnie nie ma żadnych świadków, za wyjątkiem członków własnej rodziny. Po pierwsze, prawdopodobnie zostaną uznani za mało wiarygodnych, a po drugie narażą ich Pani na niebezpieczeństwo. Trzeba to dokładnie przemyśleć i naradzić się, kiedy już wrócimy do domu. Cóż, trzeba myśleć realistycznie, czasy są takie, że zdarzają

się wypadki wymuszenia albo nawet zwykłego rabunku bardzo trudne do udowodnienia. Sama próba udowodnienia może stać się niebezpieczna... - Osobliwe, ale ta właśnie opinia jeszcze bardziej przekonała i uspokoiła słuchaczy. Oto mówił człowiek naprawdę doświadczony, głowa nie od parady i nie kierujący się jakimś tanim optymizmem, ale przedstawiający trzeźwą opinię prawną. Trochę cynizmu dodawało wagi do jego sądom. Jeżeli należało spodziewać się, że czegoś nie da się odzyskać, tym bardziej prawdopodobne wydawało się, że inne straty nie będą całkowite. Większość otrząsnęła się już z szoku i rozmawiali bezładnie, ale coraz bardziej żywo, zgadując dokąd jadą i co ich tam oczekuje.

Okna były zakryte blachą albo może tylko zamalowane, ale było kilka szpar i zbliżywszy do nich oko, można było zauważyć coś na zewnątrz. Z drugiej strony było ciemno, a kolumna poruszała się z przyciemnionymi światłami, reflektory częściowo zamalowane tak, że świeciła tylko dolna połowa albo w ogóle tylko wąska linie światła, trudno więc było zorientować się i rozpoznać otoczenie.

- Wygląda na to, że nie wiozą nas do więzienia. Może do jednego z fortów? Ale to nie w stronę fortu nr 7. - Fort nr 7 zdobył już najgorsze miano jako dodatkowe więzienie i miejsce masowych morderstw.

Ale zgadywanie nie trwało długo. Wkrótce autobus zwolnił, skręcił i po chwili się zatrzymał. Uzbrojeni żołnierze w mundurach otworzyli drzwi i rozległy się okrzyki: - Alle raus! Schnell! Schnell!! - Angus wyskoczył jeden z pierwszych i pomógł wyjść matce, a następnie przez chwilę stał, oślepiiony światłem wielu reflektorów i lamp po prawie całkowitej ciemności. Nadbiegli żołnierze, „pomagając zaprowadzić porządek” uderzeniami, kopniakami i czasem także kolbami. Gdy oczy przyzwyczaiły się do światła, zobaczył, że ludzi pędzono od rzędów pojazdów na środek dużego placu. Rozległa się komenda: - Frauen und Kinder nach links! Maenner and Jungs over 14 formen die Kolumn rechts! - Segregacja poważnie zaniepokoiła tłum. Rozległy się okrzyki: - Nie damy się rozdzielić! Jeżeli mamy umrzeć, to lepiej razem, tutaj i teraz!

Ale tłumacze wyjaśniali: - To nie wstęp do egzekucji! My też jesteśmy Polakami, wzięto nas wczoraj, tak samo jak was i widzicie, że jeszcze żyjemy. To tylko takie zarządzenie, kobiety i mężczyźni mieszkają w osobnych barakach. Ale po godzinie siódmej rano wolno chodzić po obozie i odwiedzać się, rodziny odnajdą się bez kłopotu. Więc lepiej posłuchajcie ich i to szybko, bo inaczej zostaniecie pobici. I tak rozdziela was siłą. - Tak więc rozpoczął się podział na dwie kolumny. W międzyczasie Angus miał możliwość rozejrzeć się dookoła. Reflektory które ich oświetlały to nie były reflektory samochodów, zresztą te były trwale przyciemnione. Te reflektory świeciły nad nimi, niektóre z nich zawieszono wysoko na

drutach, ale niektóre się poruszały, zainstalowane na dziwnych konstrukcjach, jak domki Baby Jagi na wysokich nogach, podobne do dużych pudeł albo małych kiosków na czterech palach. Zauważył tam ciemne sylwetki ludzi w dziwnych dużych kapeluszach, trzymających coś w rękach, jakby rury podziurawione wieloma otworami. Z jednej strony jakieś niskie budynki, z drugiej rząd ciężarówek i autobusów i na ich tle bariera, nie, ogrodzenie z wysokich pali połączonych kablami, w rzeczywistości był to drut kolczasty, ale tego teraz nie odróżnił. A światła części reflektorów wciąż się poruszały, omiatając cały teren - tak, już chwycił, wiedział, gdzie są! To był obóz koncentracyjny, taki jak o tym czytał, jaki widział na rysunkach! Nieprawdopodobne!

Teraz Angus z żalem spojrzał na kolumnę mężczyzn. Ale cóż, mając tylko 11 lat, musiał pójść z kobietami i dziećmi. Gdyby tak miał chociaż o dwa lata więcej, mógłby chociaż spróbować. Ale trudno, a zresztą matka naprawdę mogła go teraz potrzebować, nie była to właściwa pora, żeby próbować urwać się i dostać do mężczyzn. Mama naprawdę była jakaś oszołomiona, jakby nie w pełni pojmowała co się stało. Nawet nie całkiem trafiało do niej to że stracili wszystko, myślała i żałowała poszczególnych rzeczy.

Kolumny więźniów ruszyły, mężczyźni gdzieś dalej, a kobiety i dzieci do dwu najbliższych budowli i tam podzieliły się między nimi. Angus wraz z matką i innymi znalazł się w długim, niskim baraku, słabo oświetlonym przez szereg małych żarówek, wiszącym w jednym rzędzie wzdłuż większej osi budynku. Podłoga była cementowa, lecz wzdłuż ścian wprost na ziemi położono deski tworząc dwie podłużne platformy o szerokości ok. 1,75m, podzielone niskimi drewnianymi listwami na odcinki po ok. 7m długości (przewidziane miejsca do spania dla dziesięciu osób). Na razie jednak barak nie był wypełniony, było dużo miejsca i tej nocy można było kłaść się i ewentualnie spać, jeżeli ktoś potrafił, dowolnie. Dopiero później, gdy baraki się wypełniły, dosłownie całe sekcje musiały spać na tym samym boku i ewentualnie zmieniać pozycję, przewracając się wszyscy jednocześnie. Na środku baraku ciągnął się długi stół, a wzdłuż niego dwa rzędy ławek, między ławkami i miejscami do leżenia przejścia szerokości może 80 cm

Tutaj wylądowali i powiedziano im, że teraz nie mają siedzieć, tylko położyć się pod ścianami i być cicho, najlepiej niech spróbują zasnąć. Po godzinie wpół do siódmej będzie można wyjść za ew. potrzebą, a od siódmej już normalnie wychodzić, ale każdy kto spróbuje wyjść w nocy może zostać zastrzelony, a już zwłaszcza jeżeli zbliży się do ogrodzenia. Nie pozostawało im nic innego, niż słuchać. Deski, chociaż twarde, były jednak lepsze od cementu, przynajmniej jakaś izolacja od wilgoci podłogi. Matka położyła jedyną kołdrę, jaką wzięła, na podkład i na tym ulokowali się w ubraniach, przykrywając lekkim kocikiem.

Matka zaczęła od razu żale, dlaczego nie pomyślała, żeby wziąć choć jedną poduszkę, przecież miała ich w mieszkaniu - ...naście, nie - chyba jednak o jedną więcej? Nie mówiąc już o tych małych. Czy Angus nie mógł o tym pomyśleć, skoro ona nie miała czasu?- Natychmiast też zaczęła tłumaczyć, dlaczego ona sama tego nie zrobiła.

- Powiedzieli mi najpierw, że mam 15 min na ubranie się i spakowanie niezbędnych rzeczy, ale najpierw kazali przedłożyć wszystkie posiadane dewizy, gotówkę, złoto i kosztowności. - Matka, sterroryzowana przez uzbrojonych żołnierzy, a jeszcze bardziej przez cywila z pistoletem w ręku, przyniosła do przejrzania teczkę oraz wielką kopertę, zawierające wszystkie obligacje, pożyczki i akcje, jakie posiadała i oni rzucili się na to i zaczęli grzebać, odrzucając kolejne papiery z rozczarowaniem. Akcje i bony różnych przedsiębiorstw, nawet obligacje Banku Polskiego uznali za bezwartościowe, ponieważ i tak wszystkie te instytucje i przedsiębiorstwa przeszły już pod tymczasowy zarząd niemiecki, a w przyszłości miały podlegać zaborowi i stać się albo własnością państwa niemieckiego, albo zostać przekazane Niemcom, a więc dawni akcjonariusze względnie właściciele i tak nie będą mieli żadnych praw ani pożytku z własności... - Ale bardzo podniecił ich widok dużych i pięknie wydrukowanych podwójnych arkuszy tak zwanych „dolarówek”, które w rzeczywistości były normalnymi pożyczkami państwowymi, a tylko o wartości nominalnej podanej nie w złotych, ale w dolarach amerykańskich jako standardowej walucie światowej. (Te pożyczki w takim standardzie emitowano jeszcze przedtem, zanim polski złoty wykazał się, jako faktycznie jedna z najbardziej stabilnych walut w Europie i również na całym świecie, ściślej mówiąc po franku szwajcarskim i tylko w okresie między I i II Wojną Światową) W każdym razie Niemcy nie mogli się w tym połapać i trzeba im było długo tłumaczyć. Kiedy wreszcie do nich trafiło, bardzo się rozżalili i część papierów podarli. W końcu zadowolili się zabraniami pierścionków i gotówki, pozwolili matce zabrać teczkę z resztą papierów.

Rzeczywiście w przyszłości nie było z nich żadnego pożytku, okazały się zupełnie bezwartościowe i już po wojnie matka je spaliła. Ale rewizja zabrała czas, całe dozwolone 15 min i nawet przekroczyła go. A potem wyrzucono ich natychmiast, w największym pośpiechu. W rezultacie nie zdążyła chwycić wiele więcej niż syn, właściwie tylko tą teczkę z papierami którą miała w ręku, do tego jedną powleczoną koldrę i trochę zimnego mięsa i chleba, podobnie jak Angus jeden koc i puszkę landrynek.

W rzeczywistości było jeszcze coś, ale miała tyle rozsądku, żeby nie wspomnieć o tym nawet słówka ani synowi, ani żywej duszy. Pomimo niebezpieczeństwa i terroru, zdołała ukryć w porę i przemycić tylko jeden, ale naprawdę cenny egzemplarz biżuterii, złoty medalion (ponad 1 1/2 uncji) ozdobiony brylancikami, zawierający fotografię i trochę włosów

jej zmarłego wcześniej synka, brata Angusa, którego nie miał on okazji poznać, tylko ze słyszenia od rodziców. Matka nie zdołała zachować tej pamiątki, musiała później ją sprzedać, ale dzięki temu przeżyli najbardziej krytyczne miesiące wojny, a zachowała mimo wielu burzliwych i niespodziewanych przejść samą tylko fotografię i pukielek włosów i na jej ostatnie życzenie, po wielu latach włożono je do trumny.

Nie da się ukryć, że Angus mało znał swą matki. Dopiero po latach dostrzegł, że pod dość zwyczajną powierzchownością, w stosunku do której czuł opiekuńczą wyższość, znajdowała się druga osoba. Nawet kiedy to zauważył, nigdy nie potrafił tego w pełni zrozumieć. Na przykład, chociaż rozmowna i nawet wygadana, nigdy nie powiedziała zbędnego słowa, nie wyrwała się niechcący z czymś, czego nie chciała powiedzieć. Angus na przykład nie mógł utrzymać języka jako dziecko, ale jeszcze i wtedy, gdy uważał się już za w pełni dorosłego, ba, doświadczonego konspiratora - nadal nie potrafił się kontrolować. Jeżeli miał coś do powiedzenia i akurat nie mógł tego zrobić, po prostu kusilo go, żeby chociaż rzucić jakąś tajemniczą wzmiankę albo dającą do myślenia uwagę, chociażby tylko do najbardziej zaufanych osób. Walczył ze sobą, gryzł się w język, ale daremnie. Matka wprost przeciwnie, jakby zapominała natychmiast wszystko, o czym nie należało, albo tylko o czym sama nie uważała za potrzebne mówić.

Być może Angus mógł przypuszczać coś podobnego od pierwszych dni wojny, a ściślej dni ewakuacji. Matka zupełnie „zapomniała” i nigdy sama nie wzmiankowała o tym samolocie myśliwskim, który nagle zmaterializowawszy się znikąd, wybrał ją sobie na cel i ostrzeliwał z karabinów maszynowych, trzy razy uparcie zawracał specjalnie do niej. Kiedy opowiadał o tym Angus - a robił to niechętnie, bo szczerze mówiąc zazdrościł jej z całego serca - zbywała to krótką wzmianką i szybko odwracała temat rozmowy, zupełnie jakby chodziło o jakąś niestosowną propozycję zrobioną przez pilota. W końcu powiedziała Angusowi, żeby dał wreszcie spokój i znalazł inny temat. Doprawdy trudno to zrozumieć, Angus na jej miejscu chwaliliby się takim zdarzeniem bez przerwy.

Kiedyś zaskoczył ją przy paleniu jakichś dokumentów, już po powrocie do Poznania i gdy podano do wiadomości o wkraczaniu armii niemieckiej. Angus zdołał na nie spojrzeć i dobrze je zapamiętać, przynajmniej pierwsze z nich, które były oficjalnymi podziękowaniami i wyrazami uznania od Naczelnej Rady Ludowej oraz Dowództwa Powstania, datowane w 1920 i 1922 r. Angus był oczywiście ogromnie ciekawy i nie ustawał w zadawaniu pytań i wracaniu do tej sprawy, ale nigdy nie otrzymał odpowiedzi, nawet i po wojnie. Był tym bardziej ciekawy, że wyliczył sobie, że przecież w czasie Powstania rodzice byli jeszcze daleko od Wielkopolski, jeszcze wiele miesięcy spędzili w pociągu ewakuacyjnym z Ukrainy.



Wszystko co zdołał podchwycić na ten temat to, że już po zakończeniu walk i ustaleniu linii rozejmowej w maju 1919, a prawdopodobnie w 1920 i w 1921 r. kilkakrotnie podróżowała ona do Niemiec, przebywała przez pewien czas w Berlinie i dalej nad Renem aż do granicy francuskiej a także we Francji.

Ale nawet i tego dowiedział się nie wprost, ale z fragmentów jej opowiadań dla wnuczek, opowiadań nie o swoim życiu, ale z małych wzmianek, na przykład jak wyglądały ogródki przydomowe w północnej Francji i jak Francuzi lubili tam zjeść szybkie śniadanie, albo co jadali w tym czasie berlińczycy, a co mieszkańcy Nadrenii i jakie były wówczas warunki życia tu i tam. Natomiast aż do wieku stu lat, odpowiadała zawsze wymijająco na bezpośrednie pytania syna. - Nie ma o czym mówić - nic ważnego - odwiedzałam koleżanki z młodości, - albo nawet - rozglądałam się za jakimś zajęciem - lub,- nie pamiętam dokładnie -. Krótko mówiąc aż do późnej starości nie puściła pary z gęby, a potem już naprawdę zaczęła tracić pamięć.

W warunkach nagłego zagrożenia, potrafiła zachować zadziwiająco zimną krew. Jeżeli to twierdzenie budzi wątpliwości, jeszcze jeden przykład: Otóż w maju 1945, pod okupacją sowiecką, Urząd Bezpieczeństwa wysłał funkcjonariuszy w celu aresztowania Angusa. Nie zastawszy go, założyli w domu kocioł, trzymając matkę pod ścisłym dozorem przez dwa dni. Jednak mimo tego, matka zdołała bezbłędnie przesłać mu wiadomość, aby nie wracał już do domu. Być może, to ocaliło mu życie, bo koledzy Angusa, byli żołnierze AK w podobnych wypadkach nie wyszli z więzienia. Czekający na Angusa łapacze straszili matkę - już go Pani więcej nie zobaczy - i to ją zdopingowało.

Z drugiej strony zdecydowanie nie lubiła ona żadnych niebezpiecznych przygód i każdą taką możliwość omijała z daleka, absolutnie brakowało jej niespokojnego ducha, nie ceniła dreszczyka silnych przeżyć. Poza tym starała się w miarę możliwości izolować od ludzi, stopniowo stawała się mizantropką. Może pod tym wpływem Angus całe życie pozostał też kiepskim mikserem, z trudem zawierał znajomości i nie szukał nowych; w dużej mierze żył we własnym wyimaginowanym świecie i nie rozumiał dobrze tego realnego, który go otaczał. Jego matka izolowała go od dziecka, od rzekomych złych wpływów. Była krańcowo nadopiekuńcza, nie zdając sobie sprawy ze złych skutków takiego wychowania, hodowała typowego maminsynka. Dopiero wojna rozwiązała ten problem.

Teraz słuchając jej, zasnął.

\* \* \*

Ranek był ciemny i mglisty, dni już krótkie i noce zimne, choć później pogoda nadal słoneczna. Lecz bez względu na warunki, Angus nie mógł się doczekać, żeby wyjść z

budynku i zorientować się w całym obozie. Najbliższe otoczenie baraku było spartańskie: prymitywne latryny, a z drugiej strony dwa długie koryta i nad nimi kilka kurków z zimną wodą. Zdjąwszy wierzchnie odzienie i koszulę, umył się najlepiej jak potrafił bez mydła w przejmująco zimnej wodzie, pospacerował chwilę żeby wyschnąć i rozgrzać się i wrócił do baraku, gdzie matka dostała już na śniadanie tak zwaną „ersatz-kawę”, właściwie ciemną, ale jednak ciepłą wodę. Miał pewną satysfakcję, gdyż jednak jego puszka od cukierków bardzo się teraz przydała, przecież nie można by dostać kawy w puste ręce. Później matka kupiła jeszcze drugą puszkę, okazało się, że i w obozie pieniądze zachowały wartość, chociaż ceny były niewspółmiernie wyższe. Dowiedzieli się też, że później dostaną jeszcze po kawałku chleba na cały dzień i zupę na obiad, a gorącą wodę na kolację. Oczywiście nie mogło się też obyć bez komentarzy mamy: - Jak mogliśmy nie zabrać chociaż paru kubków i miseczek, nie mówiąc już o chociaż jednej łyżce. Dlaczego nie wzięłaś choćby tego twojego pudełka z sztuczkami, które dostałaś na...- etc. etc.

- Ależ mammo, przecież z pewnością wytrzymamy kilka dni niewygody. To jest bardzo interesujące przeżycie, podejdź do tego z humorem. Tym przyjemniej będzie wrócić do domu, będziemy mieli co świętować. Nikt nam nie uwierzy, że widzieliśmy naprawdę obóz koncentracyjny od wewnątrz, kiedy już wyjdziemy!

- Tak, ale kto wie, kiedy to będzie i co zastaniemy w domu. -

- Nawet jeżeli będą jakieś straty, odpowiedzialni za nie są Niemcy i po przegranej wojnie będą musieli płacić odszkodowanie. To już nie potrwa długo, do tej pory Francuzi na pewno są gotowi i w najbliższym czasie przetrzepią Niemcom skórę. My swoje uczucie zrobiliśmy. Nie rozumiem co ich tak długo zatrzymuje, ale może już właśnie przekraczają Ren, a my jeszcze nic o tym nie wiemy. Jeszcze nigdy pogoda nie utrzymywała się tak długo, w sam raz na szybką ofensywę. - Przykład chciejstwa, naiwności, typowego myślenia według życzeń. Ale to nie był izolowany przypadek, wszyscy rozumowali podobnie i właściwie nie bez racji. Chociaż najlepszy moment dla armii francuskiej do wygrania wojny jedną ręką, dosłownie z palcem w nosie, już minął (na początku kampanii w Polsce stosunek sił na froncie francuskim wynosił ponad 20:1, przy końcu ok. 10:1), wciąż jeszcze miała ona przewagę. Niemcy ponieśli straty w ludziach, a zwłaszcza w ciężkim sprzęcie. Co więcej, większość tego sprzętu wymagała napraw lub pilnej konserwacji i utkwiała głęboko w różnych odległych zadupiach, skąd jeszcze przez długi czas nie dało się go wyekstrahować i przetransportować na front zachodni. To przecież właśnie dlatego Hitler zmuszony był zaniechać działania przeciw Francji, na które koniecznie należał jeszcze późną jesienią 1939 i

to rzucając na szalę najsilniejszy osobisty nacisk, jaki zdołał. Jednak w tym roku okazało się to niewykonalne, nawet lotnictwo wymagało uzupełnień i remontów.

Co więcej, armia francuska nigdy nie była gorzej uzbrojona od niemieckiej, raczej przeciwnie. Nie było w ogóle mowy o tym, żeby jak w Polsce walczyć karabinami przeciw armatom, a szczupłą artylerią przeciw czołgom i samolotom. Biorąc pod uwagę, że armia niemiecka była nieodpowiednio rozmieszczona i dopiero musiała się przegrupować, a poza tym poniosła świeżo znaczne straty i nie miała czasu jeszcze ich uzupełnić, straty większe niż we wszystkich późniejszych kampaniach roku 1940, armia francuska miała pełną swobodę działania. Więcej, także pełną możliwość wyboru miejsca i czasu uderzenia. Jeszcze nawet obecnie, w listopadzie, przy niespotykanych, wprost idealnych warunkach pogodowych Francuzi mogli z marszu zająć połowę Niemiec, a druga połowa nie wytrzymałaby długo wojny, pozbawiona ciężkiego przemysłu utraconego nad Renem. Ale broń nie walczy sama, zabrakło ludzi z odwagą i zaangażowaniem, aby ją podnieść.

Nikt w Polsce nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie, nikt by przenigdy nie uwierzył, że Francuzi po prostu nie chcą i nie będą się bić. Gdyby zaś taki ktoś się znalazł, to jego słowa byłyby potraktowane jak bluźnierstwo, świętokradztwo. Jeżeli taka osoba - nawet tutaj, w tym obozie - nie zostałaby na miejscu rozszarpana, zlinczowana, to w każdym razie byłaby potraktowana jak niemiecki sprzedawczyk, judasz na służbie Goebbels'a.

Tymczasem sojusz obronny i traktaty z Polską, a także związane umowy sztabowe itd. były od początku zawarte w złej wierze. Miały na celu tylko skanalizowanie niemieckiej agresji, choćby tylko czasowe odwrócenie jej od zachodu i użycie polskiej armii jako pierwszych shock-troops dla wykrwawienia i osłabienia atakującego, ale bez najmniejszego zamiaru wypełnienia zobowiązań i udzielenia zagwarantowanej pomocy. Zgubna, samobójcza taktyka, a najgorsze, że Francja rzucając Hitlerowi Polskę na ofiarę, nie odniosła nawet z haniebnego postępowanie żadnej korzyści, nie wykorzystwała czasu okupionego zgubą sojusznika na przygotowanie się, ani nawet niczego się nie nauczyła, ba, nawet nie usiłowała nauczyć się z przebiegu kampanii. Po upadku Polski, Francuzi rozglądali się po prostu za następnym kandydatem, którego (dupę) mogliby podsunąć Hitlerowi do bicia, ale to już się nie mogło udać, zabrakło chętnych. Rumunia po takim przykładzie wołała podporządkować się Hitlerowi, a starania o namówienie do udziału w tej zabawie Turcji nie miały szans. Tylko Anglia, chociaż jej postępowanie też nie było honorowe, przynajmniej wykorzystwała racjonalnie zyskany dzięki walce Polaków czas.

\* \* \*

Po prowizorycznych drewnianych kładkach koło zerwanych mostów na Warcie, ciekł cienki lecz ciągły strumyczek ludzi z tobołkami, torbami i różnymi pakunkami. Tramwajem można było dojechać tylko do Starego Rynku i stąd już wszyscy nieśli pieszo paczki dla uwięzionych. Najpierw do Środki, następnie ulicą Główną do granic miasta aż do Szosy Okrężnej i dalej w kierunku na Czerwonak, z lewej strony znajdował się obóz koncentracyjny. Od dwóch dni za zezwoleniem niemieckiej Komendantury Obozu działał tu Komitet Pomocy, współpracujący z Komitetem Obozowym, który pełnił jakby funkcje samorządowe i zajmował się sprawami gospodarczymi, pod warunkiem skrupulatnego wypełniania zarządzeń niemieckiej administracji.

Znowu, jak przedtem podczas ewakuacji, matka z Angusem trafiła można powiedzieć, na wyjątkowo spokojną niszę, w początkowym okresie. Owszem, obóz miał typowy wygląd i zaprojektowany był tak samo, jak wszystkie obozy hitlerowskie. A więc trzy, a w części przyległej do kwatery straży tylko dwa rzędy drutów kolczastych, między nimi wysokie strażnice z karabinami maszynowymi, baraki dla więźniów, uzbrojone patrole po zmroku (także i z psami) itd. Najważniejsza różnica dotyczyła obsady, straży: do tego celu wyznaczono tymczasowo tyłowa kompanię, składającą się ze starszych roczników. Wprawdzie łasych na własne korzyści, ale nie krwiożerczych.

Krótko mówiąc przez pewien czas był to wprawdzie obóz koncentracyjny, ale jednak nie obóz śmierci, masowej zagłady, bo takich obozów jeszcze w Polsce nie urządzono. Póki znajdował się pod dozorem Wehrmachtu, był prowadzony jak normalny obóz dla internowanych, na zbliżonych zasadach, jak dla jeńców wojennych. Stąd też zgoda na organizację wewnętrzną. Oczywiście, wszystkie warunki zewnętrzne i pozory musiały być ściśle zachowane, ale poza tym żołnierze niemieccy starając się mieć minimum kłopotów i maksimum wygody, kierowali się zasadą „leben und leben lassen”. Praktycznie była to zgoda na wewnętrzną administrację, którą w tym wypadku zamiast najstarszego stopniem lub wybranego „starszego”, pełnił Komitet Obozowy, współpracujący ściśle z Komitetem Opieki, (właściwie swoista osobliwość, bo ten działając nieformalnie na terenie Poznania, a w praktyce jawny był tylko na terenie obozu). Otóż Komitety te uzyskały zgodę, aby uwięzieni mogli otrzymywać żywność i inne potrzebne rzeczy od rodzin, krewnych i przyjaciół, praktycznie bez ograniczeń.

Oczywiście, paczki były kontrolowane przez straż obozową i to była bardzo pożądana, dosłownie łakoma funkcja, sprawdzając otrzymane produkty, często nawet w obecności ofiarodawcy lub otrzymującego, dzielono je dość sprawiedliwie, zwykle pół na pół. Często sami kontrolujący demonstracyjnie odkładali sobie tylko mniejszą część, ponieważ faktycznie

nie byli w stanie tego ani sami przejeść, ani podarować znajomym, ani też wysłać odpowiednio dużych i ciężkich paczek dla swoich kiepsko odżywionych rodzin we Faterlandzie (nie głodujących, w Niemczech nie było głodu - ale jednak „Kanonen statt Butter”). Można powiedzieć, że dla nich rzeczywistością stała się przypowieść o mannie spadającej z nieba albo o pieczonych gołąbkach, to też na wiele rzeczy przymykali oczy, żeby tego nie zepsuć.

A jednocześnie, niezależnie od indywidualnych paczek, okólną drogą, przez Naramowice, jechały wozy z żywnością od piekarzy, rzeźników, właścicieli sklepów i hurtowni, ofiarowane Komitetowi Opieki jako całość i znowu, po kontroli i w znacznej części trafiające do kuchni obozowej lub ogólnego podziału. Tylko kilka pierwszych dni było naprawdę głodnych, na normalnym obozowym wicie.

To, co pozostawało, było na razie bardziej niż wystarczające dla więźniów. Sprawa wyżywienia miała ogromne znaczenie dla życia więźnia, bo przy krańcowym niedożywieniu, a jak wiadomo normalna dieta obozowa wynosiła ok. 1000 kalorii i stopniowo obniżono ją do 800, ale to teoretycznie, praktycznie zawsze mniej, czasem tylko 500 kalorii, musiało to prowadzić do stopniowego zaniku funkcji życiowych, nie mówiąc już o wcześniejszym zaniku odporności wyniszczonego organizmu. To była główna przyczyna wysokiej śmiertelności, zwykle w obozach średnia życia więźnia wynosiła ok. 12 miesięcy, zależnie również od temperatury, rodzaju wykonywanej pracy, tzn. od poziomu wydatków energetycznych organizmu. Tutaj śmiertelność właściwie nie odbiegała od normalnego poziomu, kilka dni głodu na początku nie miały większego wpływu, zwiększona ilość zgonów, zwłaszcza osób starszych w pierwszych dniach, raczej spowodowana była szokiem, a nie warunkami życia.

Niestety ten okres dobrych stosunków między strażą obozową i więźniami nie trwał długo, już w grudniu 1939 Wehrmacht przestał pełnić funkcje strażnicze i dozór obozu przejęły wyspecjalizowane służby policyjne. Od tej pory stosunki bardzo się pogorszyły i śmiertelność więźniów gwałtownie wzrosła, zbliżając się do przeciętnej w obozach koncentracyjnych, do 10% miesięcznie, nawet mimo tylko krótkiego okresu przebywania w tym obozie. Natomiast obecni więźniowie mieli wprawdzie lepsze warunki, ale żadnego pojęcia jak długo tu pozostaną, ani co się z nimi stanie potem.

Również ilość darów dla obozu uległa zmniejszeniu z przyczyn naturalnych. Wprawdzie społeczeństwo polskie zachowało od początku aż do końca wojny wielką solidarność i ofiarność, przez cały czas pomagało ofiarom z takim poświęceniem, jakie prawdopodobnie obecnie nie zdarzyłoby się i dla wielu współczesnych jest niezrozumiałe,

wręcz niepojęte. Ale zmniejszały się stopniowo możliwości, podczas gdy ilość ofiar rosła. Najpierw przedsiębiorstwa handlowe, produkcyjne i gastronomiczne przestały funkcjonować i w ogóle istnieć jako własność polska. Przeszły z początku pod kontrolę, następnie przymusowy zarząd i wreszcie stały się własnością niemiecką, a ich byli właściciele sami potrzebowali pomocy, wielu znalazło się w tym samym obozie.

Krótko mówiąc coraz mniej było tych, którzy mogli pomagać, zwłaszcza że przecież w pierwszej kolejności Niemcy rabowali majątek ludzi zamożnych i oni najczęściej stawali się kolejnymi ofiarami. Jednocześnie, Wielkopolska przestała też być terenem pełnym nadmiaru żywności. Niemcy zorganizowali aparaturę ssącą i coraz więcej zabierali i ślali do Niemiec. Już od roku 1940 wystąpił brak żywności i nawet głód, z początku jeszcze nie zbyt ostry, ale stopniowo się pogłębiał. Tak więc pomoc ograniczyła się tylko do indywidualnych paczek, które stawały się coraz skromniejsze, gdy ofiarodawcom coraz trudniej było odjąć sobie coś od ust. Z drugiej strony, straż obozowa przy zmniejszaniu się objętości paczek, zabierała sobie coraz większą ich część. Jednocześnie bardzo ostra zima i zapotrzebowanie energetyczne organizmu zwiększyły śmiertelność.

To że matka i Angus trafili na sam początek istnienia obozu, stanowiło prawdziwe szczęście w nieszczęściu. Podobnie jak przy ewakuacji, ponieśli straty materialne ale wyszli cało. Wyjątkowy zbieg szczęśliwych przypadków? Nie, logiczna kolej rzeczy, gdyby to oni znaleźli się w wagonach pełnych zamrożonych trupów, jakie w zimie 1940 dojeżdżały do Krakowa, Radomia, Rozwadowa czy innych stacji, książka nie mogłaby powstać. Pisać mogą tylko ci, którym udało się przeżyć.

Wracając do chwili obecnej, matkę Angusa odszukał jakiś chłopak z wiadomością, że na wydzielonym i ogrodzonym terenie koło Komitetu Opiekuńczego, czeka na nią siostra z siostrzenicą. Matka poprosiła żeby ją tam zaprowadził, poszła sama, gdyż Ciocia Franja wymieniła jako osobę wzywana tylko matkę, Angus musiał zaczekać na zewnątrz. Jednak odprowadził matkę na miejsce i przy okazji zobaczył ten, jeden z mniejszych baraków, gdzie z jednej strony znajdowały się pomieszczenia obu komitetów, a druga strona budynku, z osobnym wejściem, mieściła się niemiecka administracja obozowa.

Angus miał od początku inne plany w związku z obozem. Jednak niezależnie od tego, trafiała się teraz okazja stania się aktywnym i pożytecznym. W czasie, gdy matka poszła na widzenie, Angus sprężył się i zgłosił do biura komitetu, z którego wyszedł już jako wolontariusz - goniec, zakładając, że mama wyrazi na to zgodę. Trochę zastrzeżeń było, ale zdołał ją przekonać.

Matka wróciła obciążona przyniesionym przez Ciocię i Kuzynkę zaopatrzeniem. Dotarły one do obozu bardzo zmęczone, oprócz podróży ponad dwie godziny pieszego marszu z ciężkim ładunkiem. Nie było rozsądne, żeby mężczyźni z rodziny pchali się niepotrzebnie do miasta, bezpieczniej było trzymać się z daleka. O dziwo, aż dotąd w Podłożinach nie pokazał się ani jeden Niemiec, ani cywilny ani wojskowy, cała okolica była absolutnie nieskażona, po prostu inny kraj, jakby jeszcze ciągle żyli w wolnej Polsce. Bardzo życzyli sobie, żeby tak było jak najdłużej, ale to już oczywiście nie mogło trwać. Tym bardziej nie należało leżeć w oczy i dlatego dźwigały to wszystko kobiety. Wyjechały w chłodzie ranka, ale teraz było już południe i to gorące, aż dotąd trwała piękna słoneczna pogoda, nigdy dotąd ani potem nie było takiej jesieni, jak w 1939r. Angus pomyślał sobie, że gdyby nawet Wojsku Polskiemu udało się przetrwać o miesiąc a nawet dwa dłużej, to i tak nie miałyby szans doczekać utknięcia niemieckich maszyn w błocie jesieni i trudnych warunkach atmosferycznych. Nie tylko sprzymierzeńcy, także i los odwrócił się od Polaków.

Matka z Angusem wracali - jak na obozowe warunki, jako ludzie majątni, wprost uginając się pod ciężarem przyniesionych pościeli, żywności i odzieży. Aż trudno było uwierzyć, że Ciocia z córką dały radę unieść to wszystko, zwłaszcza przez końcowa, długą pieszą drogę, a przecież teraz już częścią ciężaru „zaopiekowali się” Niemcy. Matka z Angusem ledwie dali radę unieść pozostały ładunek i po drodze odpoczywali kilka razy. Niezależnie od tego, Angus dowiedział się później, że Cioci udało się dyskretnie przekazać Matce spory zaskórniak.

W obozie pieniądze nadal zachowały wartość i wiele rzeczy można było za nie kupić, ale obecnie matka tego nie potrzebowała, to raczej ona mogła teraz częstować więźniów z sąsiednich legowisk, a także zrezygnować z dodatkowej żywności dzielonej przez Komitet.

Jednak dla Angusa najważniejsze było, że od tej chwili zaczęła się nowa epoka, okres aktywnego życia i ponadto okazja do dokładnego poznania całego obozu. Jego funkcje rozpoczynały się po śniadaniu i zwykle trwały do obiadu, czasem także w innych porach, a polegały na tym, że zgłaszał się o wyznaczonym czasie w Komitecie i zwykle po chwili biegł wyszukać i powiadomić osoby, które miały odwiedziny. Czasami, zwłaszcza w wypadku ludzi starych i bezradnych lub słabo zorientowanych w otoczeniu, prowadził ich z powrotem, częściej jednak nie było to potrzebne i wtedy zostawał jeszcze chwilę w tym lub innym baraku i starał się nawiązać nowe znajomości.

Wkrótce znał obóz, jak własna kieszeń, niestety liczne nawiązane znajomości były raczej powierzchowne. Próbował więc, chociaż częściowo odbudować coś w rodzaju swojej prywatnej agencji informacyjnej, powtarzał wszystkie zasłyszane wiadomości, a zwłaszcza

komentarze dotyczące sytuacji wojennej. Było ich tak dużo, że nie potrzebował wymyślać już własnych. Z początku spotykał się kilkakrotnie z próbami dania mu czegoś, oczywiście uważał że to nie do przyjęcia, a wprawiało go w duże zakłopotanie. Po pewnym czasie ułożył sobie kilka sposobów grzecznej odmowy, a poza tym, w wypadku drobnego poczęstunku, nosił zawsze coś ze sobą, żeby go odwzajemnić.

Zrozumiałe, że najbardziej pociągał go barak męski. Był największy i na początku działalności Angusa mieścił ok. 800 ludzi, a przy końcu ponad podwójną ilość. Budynek był nie tylko większy, ale i znacznie wyższy i w związku z tym inaczej urządzone. Środkiem biegły tory kolejowe, a zamiast legowisk zbudowano kilkupoziomowe prycze, przeważnie trzypiętrowe, ale miejscami nawet czteropiętrowe - jak półki w magazynach. Podłoga była wymurowana na różnych poziomach i w związku z tym urządzenie w różnych miejscach się różniło.

Teoretycznie więźniowie obozowi podlegali obowiązkowi pracy. Praktycznie obowiązek ten dotyczył mężczyzn umieszczonych w tym baraku, ale i to traktowane było dość ulgowo, ograniczając się na razie do tego, że więźniowie wykonywali w obozie wszystkie prace gospodarcze. A więc oni właśnie wykonali urządzenie tego baraku i innych, w całym obozie, także obsługa wewnętrzna wraz z przygotowaniem obozowych racji żywnościowych itd. Nie była to więc ciężka, zabójcza praca, która w innych obozach i przy niewystarczającym pożywieniu, prowadziła do zabójczego wyniszczenia organizmu i powodowała, że średni okres przeżycia więźniów wynosił tam 6 - 12 miesięcy. Tutaj na razie nie było głodu, a praca nie stanowiła nadmiernego wydatku energetycznego.

Ponadto praca ta była wykonywana głównie na własny użytek i wobec tego z pełnym zaangażowaniem, jak na przykład dostarczenie słomy i rozłożenie jej na deskach legowisk w ogólnych barakach, dzięki czemu noclegi stały się całkiem znośne. Wykonujący to słyszeli same słowa wdzięczności od kobiet z dziećmi i osób starszych, które spędziły już, jak Angus, trzy noce na twardych deskach. Albo budowa piętrowych pryczy w baraku męskim, gdy śpiący w jednej warstwie na podłodze byli bardzo stłoczeni.

Niemiecka straż, zadowolona aktualnym stanem rzeczy, a zwłaszcza obfitością żywności, która dostawała się im jak za sprawa czarów i w takiej obfitości z jaką się dotąd nie spotykali, właściwie skorumpowana tym, nie wtrącała się do niczego i nie narzucała się z dozorem. W każdym razie rzeczywiście żołnierze niemieccy nie gnębili więźniów i pod tym względem to był wyjątkowy obóz wśród obozów koncentracyjnych. Nawet dzieci nie chowały się po kątach, ale goniły albo bawiły w podchody na otwartym terenie. Można powiedzieć, obóz w którym panowała idylla - do czasu.



\* \* \*

Oдноśnie dalszych planów Angusa, to chyba nie ma nawet potrzeby ich wyjaśniać, rzecz była oczywista. Bohaterowie książek przygodowych, nieraz trafiali do niewoli albo bywali pochwyceni, uwięzieni, czasem wrzuceni do lochów albo nawet zakuci w łańcuchy, często tylko cudem unikali śmierci - a następnie zawsze zdołali się uwolnić i natychmiast przystępowali do walki z wrogiem, dokonując wiekopomnych czynów. Tu po prostu nie było miejsca na żadne wątpliwości, to było zwykłe, standardowe postępowanie i żadna inna ewentualność nie mogła być brana pod uwagę. Elementarne, drogi Watsonie.

Trudność polegała na tym, żeby dobrze zrobić, mądrze obmyślić i zaplanować akcję. Na początek, należało dobrze poznać sam obóz i wszystkie szczegóły położenia - i tutaj Agnus był już na właściwej drodze. Potem trzeba ułożyć inteligentny plan, przygotować potrzebne środki i w końcu go zrealizować. Funkcja, jaką Angus pełnił, nie dawała mu żadnych formalnych uprawnień lub przywilejów. Ale ułatwiała mu poruszanie się po obozie w tym sensie, że mógł dotrzeć prawie wszędzie. Nawet w miejscach zakazanych, mógł na poczekaniu wymyślić jakieś usprawiedliwienie i praktycznie ryzykował najwyżej dostanie po karku lub kopniaka. Na początek Angus skoncentrował się zwłaszcza na trasie patroli obchodzących obóz. Specjalnie interesowały go te, chodzące po zmroku. Stwierdził, że odbywa się to rutynowo, w dokładnie powtarzający się a więc przewidywalny sposób i faktycznie dość niedbale. Nie powinno sprawić większych trudności, żeby kilku zdecydowanych ludzi zdołało zniemacka zaskoczyć i rozbroić taki patrol. On sam spróbował, naturalnie tylko podejść blisko i udało się.

Niewątpliwie to byłby dopiero pierwszy krok. Ale sam fakt, że to było całkiem realne, dosłownie leżało w zasięgu ręki, bardzo go podbudował. Teraz już mógł zastanawiać się, co dalej - a przy nadzwyczaj silnej wyobraźni Angusa to naprawdę nie sprawiało kłopotów, raczej już musiał się hamować.

Oczyma duszy widział się już jako mściciela, nieuchwytnego ducha puszczy, postrach okupantów. Na jego plus trzeba jednak powiedzieć, że był świadomy swoich wad i stanowczo odłożył na bok marzenia i wytwory wyobraźni. Postanowił nie dać się ponieść i szczegółowo przemyśleć każdy krok i dopiero po nim następny, a wizję całości odłożyć na później. Krótko mówiąc, prowizorycznie posługiwać się tylko ogólnymi ramami planu i wypełnić dokładnie to, co w tej chwili jest możliwe, a nad każdym następnym etapem zastanawiać się dopiero, kiedy poprzedni zostanie zaplanowany absolutnie bezbłędnie, nie tyle fullproof, co „foolproof”.

Pierwsza z tych kolejnych kroków nasuwał się sam i był oczywisty. Potrzebował pomocy co najmniej kilku silnych i zdecydowanych mężczyzn. Mały chłopak nie mógł sam napaść i obezwładnić patrolu, nawet składającego się tylko z dwu ludzi, nie mówiąc o zaatakowaniu trzyosobowego z psem. Jego siła fizyczna nie wystarczałaby prawdopodobnie do pokonania ani jednego dorosłego mężczyzny, nawet z zaskoczenia.

Przyjął, że dla skutecznego i szybkiego obezwładniania, potrzebny co najmniej jest stosunek dwa do jeden, a więc co najmniej czterech mężczyzn i to sprawnych i silnych. Chodziło przecież o wykonanie tego tak, żeby wszystko odbyło się bez najmniejszego hałasu i szybko, a przy tym nikt nie mógł ponieść najmniejszej trwałej szkody, również Niemcy. Jeden okrzyk, a nawet głośny dźwięk, na przykład uderzenia, a tym bardziej szamotaniny mogły zwrócić uwagę straży na wieżyczkach i ściągnąć reflektory. Podobnie jedna zwichnięta ręka lub noga mogły popsuć wszystko, cały dalszy plan.

Co do Niemców, to należało ich ogłuszyć, a potem zwięzać i oczywiście zakneblować, ale nie mogło im się stać nic złego. Tu nie chodziło tylko o to, że zachowywali się oni, w porównaniu do innych okupantów, stosunkowo przyzwoicie i zasługiwali na to, żeby ich też tak traktować. Ponadto, to była ogólnie przyjęta norma postępowania. Pozytywni bohaterowie z książek nigdy nikogo nie zabijali, jeżeli nie byli do tego zmuszeni. Nawet i wtedy, jedyny dopuszczalny wyjątek to było w otwartej walce i tylko, jeżeli inaczej absolutnie się nie dało. Zabić kogoś niespodzianie, z zasadzki - nie, to wykluczone, tak robili tylko ludzie źli i podli. A z kolei tacy ludzie, chociaż może nawet i zasługiwali, żeby ich zabić, zwykle ginęli z powodu swojego własnego postępowania, sami to na siebie ściągali.

Może to i naiwny pogląd na sposoby prowadzenia wojny, ale trzeba wziąć pod uwagę, że Angus był dopiero szczeniakiem i to wynikało nie tylko z książek, ale też całego systemu wychowania, wpojonego mu światopoglądu i nawet z wpływu religii. To wszystko było ze sobą powiązane i po prostu nie było miejsca na inne koncepcje. Jeżeli Niemcy nie zachowywali żadnych zasad w sposobie prowadzenia wojny, to nie zwalniało to jeszcze nikogo innego od moralnych obowiązków. Odplacać pięknym za nadobne, postępować w ten sam sposób, znaczyłoby to upodobnić się do nich, zniżyć do ich poziomu.

Jednak sprawne i przy tym ciche obezwładnienie jest znacznie trudniejsze, niż zabicie, względnie nawet ogłuszenie dopuszczające możliwość „wypadku przy pracy”. Potrzeba było do tego ludzi o dużej sprawności fizycznej i nie tylko, również o odpowiednich cechach charakteru, Śmiałych, szybko myślących i z inicjatywą. Jeżeli tak, to tym bardziej nie należało ustalać już teraz szczegółowego planu działania, ale ułożyć go dopiero wspólnie z nimi i przy ich udziale. Nie miało sensu snuć teraz fantastycznych wizji, wszelkie spekulacje

były na razie przedwczesne, należało ograniczyć się do najbardziej zasadniczych ram, tyle, żeby wiedzieć, jakich właściwie szuka się kandydatów.

Oczywiście Angus nie mógł na serio myśleć o roli przywódcy, to byłoby nie tylko nierealne, ale wprost śmieszne. Mógł tylko starać się znaleźć i nawiązać porozumienie z ludźmi podobnie myślącymi, którzy zdecydują się na szybkie i radykalne działanie. Jasne, że przywódcą musiał być ktoś dorosły i najlepiej nadający się. To leżało w ogólnym interesie i Angus nie tylko to uznawał, ale bardzo pragnął znaleźć kogoś, na którego barki mógłby przerzucić dalszą odpowiedzialność. Szczerze mówiąc, obawiał się jej trochę, ciągle jeszcze nie miał zaufania do swojego rozsądku i oceny sytuacji. I słusznie. Właściwie myślał trochę podobnie, jak np. Piotr Wysocki - należy zacząć, a potem podporządkować się komuś bardziej doświadczonemu. A to nie jest dobre założenie.

Teraz już jasne jest, w jakim celu Angus tak ciągnął w stronę baraku męskiego. Tylko tam mógłby znaleźć odpowiednich kandydatów. Barak ten w ogóle przypominał oddział wojskowy, skoszarowany, zorganizowany, podzielony na grupy jak pododdziały i ujęty w wewnętrzną dyscyplinę itd. W marzeniach, które teraz zdecydowanie rozdzielił od praktycznego działania i sam przed sobą określił jako piękne, lecz nierealne, zupełnie nie przeznaczone do myślenia na serio, ale do opowiadania sobie czegoś w rodzaju miłej bajki, wyobrażał sobie przeprowadzenie z taką siłą prawdziwego powstania. Oczywiście duszy widział jak rozbrajają Niemców, opanowują i uwalniają cały obóz i następnie uderzają na miasto i rozpoczynają powstanie w całym Poznaniu. Ponieważ w snutyach na własny użytek bajkach mógł sobie wybierać zakończenie, więc tutaj kończyło się triumfalnym wkroczeniem wojsk francuskich wraz z odtworzoną we Francji armią polską.

Zupełnie świadomie pozwolił sobie na marzenia, o których wiedział że są nierealne, po to, żeby zachować całkowicie jasną głowę przy wykonywaniu zaplanowanego zadania, które miało stanowić jakby plan minimum i to oparty tylko na dokładnie ustalonych faktach, stuprocentowo pewny, bez grama fantazji. Jednak ta szersza perspektywa, ogólnego powstania była taka piękna, że zaczął się modlić o nią. Ostatecznie, dla Pana Boga nie było nic niemożliwego, mógł nawet sprawić cud.

W ten sposób żył jednocześnie w dwóch światach: marzeń, który służył tylko jako chwila wytchnienia i odprężenia i do której wkładał różne pomysły tylko wtedy, jeżeli uznał, że naprawdę nie dadzą się zrealizować oraz drugim, w którym starał się oceniać wszystko z największą ostrożnością, nie pozwalając sobie na żadne spekulacje myślowe czy w ogóle optymizm. Tu nie było miejsca na żadne pobożne życzenia (chciejstwo, jak to nazywał Wańkowicz) tu wszystko musiało być dokładnie i wielokrotnie sprawdzone. Żeby nie ulegać

pokusie, założył sobie nawet, że jakikolwiek pomysł, zaliczony raz do świata ułud nie może już wrócić do realnego, że marzenia bez pokrycia przynoszą pecha i próba zrealizowania takich prowadzi do nieszczęścia. To oczywiście nie miało żadnego logicznego uzasadnienia, ale było podyktowane ostrożnością, ponieważ zauważył już, że ma zbyt dużą skłonność do marzeń i obawiał się, żeby nie przekroczyć granic rzeczywistości.

Na razie pewien był jednego: że rzeczywiście można zaskoczyć patrol niemiecki. Dokładnie to sprawdził i przekonał się o tym osobiście, znał czas i trasę i parokrotnie obserwował przejście z tak bliska, że na pewno mógłby taki patrol zaskoczyć. Natomiast sam nie miał pojęcia, w jaki sposób ich następnie obezwładnić. Oczywiście Old Shatterhand załatwiłby to dwoma uderzeniami pięści, tylko że to też był Niemiec. Więc może Winnetou kolbą swojej nabijanej srebrnymi gwoździami strzelby. Ale Angus, choć walka na pięści była podstawową rozrywką chłopców w szkole, nie spotkał się dotąd z prawdziwym knock-out'em, natomiast wiedział, że nawet prawdziwym bokserom udaje się to rzadko. Jakoś nie wierzył, żeby mógł jednym uderzeniem pozbawić kogokolwiek przytomności. Wyszadzanej srebrem strzelby też nie miał, ale może uderzenie czymś ciężkim w głowę dałoby rozsądne szanse. Patrole wprawdzie chodziły w hełmach, ale pamiętał, że w jakiejś starożytnej armii na Bliskim Wschodzie, może babilońskiej czy też asyryjskiej, przed operacją „usypiano” rannych w ten sposób, że wkładano im na głowę hełm, a odpowiednio wyszkolony kapłan uderzał weń następnie ciężką pałą. Ale to nie rozwiązało wszystkich wątpliwości.

Nieodzowny następny etap, to zwerbowanie ochotników. W obozie był już znany i to chyba z tej lepszej strony, biegając i wzywając, a często prowadząc różnych ludzi do krewnych lub innych osób przynoszących im paczki. Teraz popołudnia zaczął coraz częściej przesiadywać w baraku męskim, jednym z pretekstów była gra w warcaby.

Po obowiązkowej pracy, część mężczyzn sporządziła własnej roboty szachownice i pionki ulepione z chleba. Karty raczej należały do rzadkości, szachów nie spotkał, gdyż trudno było je zrobić, więc gra w warcaby stała się dosyć popularna. I bardzo dobrze, bo Angus wprawdzie palił się do szachów, ale posiadał tylko początki, tyle, co nauczyli go kuzyni w Podłożinach, którzy w drodze łaski zgadzali się czasem zagrać ze smarkaczem. Natomiast grywał w warcaby z ojcem i nauczył się grać całkiem dobrze. Tutaj wkrótce został uznany za dobrego gracza, przeważnie wygrywał, zwłaszcza w ciekawszej odmianie, gdzie bije się zarówno do przodu jak i do tyłu.

To też chętnych do gry nigdy nie musiał długo szukać, a przy tym była okazja do pogadania, czasem nawet pożyczanie czegoś do czytania (niektórzy mieli książki i były one stale w obiegu). Dla Angusa lektura była jak woda na pustyni, ale wstrzymywał się często od

czytania po to, żeby te pożyczone książki pożyczać z kolei innym i w ten sposób zawierać dalsze znajomości.

Mimo prawidłowego początku, dalej szło mu jak po grudzie, brak postępów. Po pierwsze, nie umiał nawiązać do trudnego tematu, nie wiedział, w jaki sposób rozpocząć szczerą rozmowę. Po drugie, zupełnie nie potrafił oceniać ludzi. Nie tylko nie miał wycucia, i psychologii, ale pod tym względem stanowił klasyczny antytalent. Pierwszy wybrany kandydat, najwyraźniej pozujący na popularnego aktora filmowego Dymśkę, wygadany, podśpiewujący patriotyczne piosenki i w ogóle robiący wrażenie swojskiego i prędkiego chłopaka - nawet nie chciał rozmawiać na niebezpieczne tematy. Uważał, że coś zrobić można dopiero, „kiedy wybije godzina”, że on sam „pójdzie, gdy wszyscy pójdą”, angażowanie się obecnie w cokolwiek uważa za ciężki błąd.

Dobrze się stało, że nie wysłuchał tego, co Angus miał dopowiedzenia. Tak się złożyło, że Angus miał okazję zetknąć się z nim jeszcze. Ten człowiek aż do samego końca wojny czekał na właściwą godzinę i nigdy w nic się nie zaangażował, unikał najmniejszego ryzyka, jak diabeł święconej wody. Lecz zawsze starał się robić wrażenie wielkiego kozaka.

Potem parokrotnie Angus był potraktowany z góry, jak głupi dzieciak. Właściwie słusznie, ale znowu nie zdołał nawet przedstawić, o co mu właściwie chodzi. Najgorsze w tym było, że zaczął tracić zaufanie do samego siebie, wpadać w kompleksy. Zaczęło mu się wydawać, że to on jest winien i skazany na niepowodzenie, bo nie potrafi właściwie przedstawić sprawy, wszystko, co próbuje powiedzieć, jest bez sensu, głupie, wprost beznadziejne. Stał się mniej efektywny, nawet nawiązanie nowej znajomości zaczęło stawać się progiem nie do przeskoczenia. Dni mijały, zakładany czas się kończył, należało się śpieszyć, a on nie mógł ruszyć z miejsca. Zawiódł całkowicie.

W tym właśnie momencie zdarzyło się coś, co uznał za niespodziewanie pomyślny traf. W czasie porannego przebiegania obozu z wezwaniem, niespodziewanie napotkał kolegę ze swojej klasy. Ten kolega mieszkał nawet na tej samej ulicy, Śniadeckich. Znalazł się w obozie nieco później, bo jego rodzina zawędrowała dalej podczas ewakuacji i wrócili też później, po czym zostali odwiezieni wprost do obozu.

Właściwie nie byli bliskimi kolegami. Zresztą kolega ten, podobnie jak i sam Angus, nie był blisko żyty z nikim, i to nie z tego powodu, że był niekwestionowanym prymusem klasowym, co jak wiadomo utrudnia bliższe koleżeństwo. Raczej powody były inne i trochę podobne, jak u Angusa. Również i on był późnym dzieckiem, stosunkowo starszej matki, a ponadto miał także starsze siostry. Wychował się w domu kobiet, dla których był zawsze oczkiem w głowie - a specjalnie matka wiązała z nim ogromne nadzieje, ale też i stawiała

wysokie wymagania. Właściwie nie miał czasu nawet dla siebie, tym bardziej na zaprzyjaźnienie się, zawarcie bliższej znajomości z nikim. Owszem, miał dobry stosunek do kolegów i nigdy nie zrobił niczego, co stawiałoby go w złym świetle albo mogło kogoś dotknąć, nie okazywał swojej wyższości starał się być dobrym i miłym kolegą. Co z tego, kiedy można było zamienić z nim tylko kilka słów w przelocie, po kilku minutach stwierdzał zwykle, że musi gdzieś pędzić. Miał rzeczywiście dużo pracy, niezależnie od tego, że musiał być najlepszym uczniem, uczył się jeszcze mnóstwa dodatkowych rzeczy - gry na fortepianie, dwóch języków, nawet rysunku, a jeżeli akurat były dni wolne od szkoły, to miał zaplanowane lekcje tańca, albo konnej jazdy, względnie początki tenisa, bodaj nawet szermierki lub innych podobnych lepszych i pięknych sportów.

I to nie żadne wymówki, rzeczywiście miał ściśle wyznaczony i zaprogramowany czas, a każdy z tych obowiązków traktował śmiertelnie poważnie, zawsze musiał być pierwszy - a jeżeli przypadkiem nie był, to zarówno matce, jak i jemu samemu spędzało sen z oczu. Starał się usilnie, wykorzystywał każdą sekundę i każdą okazję - i zwykle osiągał cel.

Angus potraktował to spotkanie jak skinienie opatrności. Nareszcie ktoś dobrze znany, kolega z jego klasy, z którym mógł mówić szczerze i nie owijając niczego w bawełnę. W dodatku kolega, którego cenił, niewątpliwie inteligentny i szybko myślący. Jeżeli nawet Angus nie wszystko do końca przemyślał, zresztą celowo, nie chciał budować sztywnych planów na wyrost - to teraz będą mogli sprawę przedyskutować, co dwie głowy to nie jedna. zaproponował mały spacer i niezwłocznie przystąpił do prezentacji swojego planu. Po pierwsze, uzyskał już dobre rozeznanie terenu i tego, co i gdzie się dzieje. Sprawdził dokładnie każdy szczegół i może ręczyć własną głową, że zaskoczenie i rozbrojenie niemieckiego patrolu jest realne i możliwe.

- To akurat nie jest najlepsze poręczenie - powiedział Jurek - bo gdyby się coś nie udało i tak nie będziesz miał głowy, ani ci co cię posłuchają, też nie. Ale mów do końca, co dalej?-

- Oczywiście, to początek, ale trzeba zawsze od czegoś zacząć, prawda? Dalej proponuję rozbrojenie jeszcze jednego patrolu, co już powinno pójść łatwiej, a potem przedostanie się do garaży. Nie wiem jeszcze, czy jest on strzeżony, tak daleko jeszcze nie doszedłem. Ale nie sadzę, nawet naszego obozu Niemcy nie pilnują zbyt porządnie, wyraźnie zaniedbali się. A tej odgradzonej części, gdzie są ich kwatery, a także pomieszczenia gospodarcze i garaże, nie pilnują się wcale, tam czują się pewnie. Choć jeszcze nie byłem sam, rozmawiałem z chłopakami, którzy wykradają się poza obóz i potem wracają, przynoszą różne rzeczy na sprzedaż, albo za pieniądze przenoszą listy, wiadomości i przyjmują różne

zlecenia. Nawet mnie namawiali, żebym poszedł z nimi, ale wtedy nie mogłem. Szczerze mówiąc, nie zdecydowałem się dlatego, że nie wiem, czy bym się nadawał. To są sprytni i zręczni chłopaki, przeważnie z uboższych rodzin. Mniejsi ode mnie ale bystrzy i wcisną się wszędzie, a raczej przeciskają się, nie wiem czy ja tak potrafię, ale będę musiał spróbować. Już się nawet umówiłem z takim jednym, obrotnym, obiecał że będzie moim przewodnikiem. Nawet sobie myślałem, czy by nie zaproponować mu czegoś i nie powiedzieć więcej, świetnie się tam orientuje, prawdopodobnie w akcji byłby bardziej pożyteczny ode mnie. W ten sposób bylibyśmy wolni, uzbrojeni i mogli uciec samochodami. A dalej? Istnieje kilka różnych możliwości, ale chciałbym, żebyśmy razem się zastanowili.-

- Ja wyobrażałem to sobie tak, że w ciągu nocy odskoczmy jak najdalej samochodem i potem ukryjemy się gdzieś w trudno dostępnych lasach, tam zbudujemy schronisko albo kilka kryjówek i od czasu do czasu będziemy robić wypady, jakąś akcję przeciw Niemcom i potem znów się ukryjemy. W ten sposób przetrwamy do końca wojny, być może nawet przez całą zimę. Gdzie, to trzeba dopiero się naradzić, ale ja chciałem zaproponować wschodnią Polskę, a konkretnie Polesie. Nigdy tam nie byłem, ale pamiętasz, jak w zeszłym roku nasza klasa zaprosiła chłopców ze szkoły w Pińsku, każdy z nas gościł przynajmniej jednego Poleszuka? Ten co mieszkał ze mną, opowiadał że niedaleko od niego, koło Pińska są takie miejsca, że można się tam dostać tylko zimą, kiedy zamarzną błota, albo przy wysokim stanie wody łódką. Prawie zupełnie niedostępne i nikt tam nigdy nie bywa. Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą i jestem pewien, że by nam pomógł, nawet pokazał drogę. Nie wiem, czy to dobry wybór, ale tak sobie myślałem, że w Wielkopolsce właściwie nie ma niedostępnych lasów, najbliżej są na Pomorzu, ale tam za blisko Niemców i zbyt wielu się teraz napchało. Myślałem też o górach, ale ja nie jestem zbyt dobry w górach, a w lesie czuję się prawie jak w domu. Poza tym to też bardzo daleko, dalej niż na Polesie. Ale niczego nie przesądzam ani się nie upieram, to tylko taka propozycja.

- Jak się tam dostaniemy? Właśnie niemieckimi samochodami. Oni się tego nie spodziewają, prawie nie kontrolują dróg, najwyżej wozy i ludzi. Uważają, że wszystko co ma motor i jeździ, jest na pewno niemieckie. Zanim się połapią, pierwszej nocy odskoczmy ze dwieście pięćdziesiąt km. Potem szukaj wiatru w polu, zaszyjemy się w jakimś lesie, na przykład puszczy Kampinoskiej, a oni będą przetrząsać okolice Poznania. Drugiej nocy przejedziemy resztę drogi. Tak, wiem, że po drodze jest granica, a właściwie nawet dwie, ale ja bym proponował, żeby działać szybko i po prostu staranować przeszkody, zanim zaczną strzelać będziemy już daleko. Grunt to tempo i zdecydowane działanie, jeżeli nie będziemy zwlekać i namyślać się, to mamy dużą szansę, że wszystko się uda. -

- Jeżeli masz inny projekt to powiedz, albo przemyśl. Chciałem dodać, że wydaje mi się, że potrzebowalibyśmy dwa samochody, jeden duży i ciężki, może nawet być to ciężarówka do taranowania przeszkód, jeżeli drogi będą gdzieś przegrodzone. Dobrze byłoby dodać z przodu jakiś duży zderzak albo w ogóle coś ciężkiego do tego taranowania, Drugie to szybkie auto osobowe. Jeżeli rozwalimy to pierwsze auto, to przesiadamy się do drugiego i uciekamy dalej. Z tego wynika, że grupka nie powinna liczyć więcej, niż 7-8 osób. Ja oczywiście muszę zabrać matkę, ona naprawdę dobrze się trzyma i później pomoże nam się wyżywić. Nie wiem, jakie ty masz projekty, ale myślę, że powinniśmy znaleźć ze czterech mocnych ludzi, co najmniej dwóch musi umieć prowadzić samochód. - Ale Jurek Macheusz miał całkiem odmienne zdanie.:

- Ten twój pomysł nie może być wykonany. Tu wcale nie chodzi o stopień ryzyka, chociaż moim zdaniem oceniasz je też niewłaściwie. Jeżeli nawet miałbyś 75% szans, że pierwszy patrol uda ci się załatwić bezbłędnie i bez wywołania alarmu, to przy dwóch kolejnych jest już tylko około połowy szansy, a każde następne działanie, na przykład dostanie się do garażu, ucieczka, ewentualne taranowanie przeszkody itd. oznacza mnożenie tego wyniku przez kolejny ułamek szansy. Tak, że w końcowym wyniku zostanie może kilka %. A niby jak chcesz obezwładnić ten patrol? Chyba nie zamierzasz ich zabijać? -

- Ale pomijając już sprawę ryzyka, czy ty wyobrażasz sobie, co się stanie z więźniami, którzy pozostaną w obozie - i to bez względu, czy ci się powiedzie czy nie? Przypuśćmy nawet, że wszystko się uda. W tej chwili ten obóz jest wyjątkowo łagodny. Czy chcesz, żeby tysiące ludzi, którzy na razie mają zupełnie możliwe widoki na doczekanie końca wojny, przeklinało ciebie i twój pomysł? Przecież możesz przewidzieć, jak Niemcy zareagują: natychmiast zmienia całą straż obozową, przyślą tutaj najgorszych kryminalistów i sadystów takich jak w Dachau czy innych obozach. Zmienia to, na razie spokojne i niegroźne miejsce w piekło na ziemi. Prawdopodobnie zaczną też śledztwo, będą szukali współwinnych i spisku - i zapewne znajdą, po torturach będą tacy co się przyznają i wskażą innych i tak dalej. A jeżeli nawet niechcący uszkodzisz albo zabijesz jakiegoś Niemca, nie można zagwarantować co się zdarzy w zamieszaniu walki, to znasz i widziałeś ogłoszenia. Za każdego Niemca, zostanie rozstrzelanych stu Polaków, zakładników. Chcesz to wziąć na siebie? Dlatego już nie względu na tych innych ludzi nie można tego robić. Ja się absolutnie nie zgadzam. - Angus był zaskoczony. Rzeczywiście wielu tych rzeczy zupełnie nie wziął pod uwagę, A przecież powinny one być od początku jasne i oczywiste. Ale mimo to próbował argumentować dalej. Mimo wszystko, jego wewnętrzne przekonanie nie zmieniło się, chociaż nie umiał jeszcze tego wyrazić, nie przygotował się na takie argumenty.



- Nie pomyślałem o rozstrzelaniu zakładników, ale i bez tego ani przez chwilę nie chciałem przy ucieczce nikogo zabić. Wiem już, jak trzeba to zrobić. - Tu krótko wspomniał o starożytnych metodach „narkozy” przez uderzenie po hełmie. - Obawiałem się jedynie, że uderzenie hełmu pałką albo czymś podobnym będzie głośnie i rozlegnie się w nocy jak dzwon alarmowy. Ale już coś wymyśliłem. Chodź, to ci pokażę.

Zaciągnął kolegę na ustronny teren, gdzie koło kępy krzaków leżał stary, dziurawy garnek i powiedział,- popatrz i posłuchaj.- Wsunęła w zarośla, leżała torebka napełniona piaskiem, chwycił ją i z całej siły uderzył w garnek. Nie było to głośnie uderzenie, odgłos dał się słyszeć, ale słabo.

- Ciotka przyniosła dla mnie ręcznie robione pończochy z grubej wełny, na zimę. Jestem pewien, że jak nasypie się je piasku albo żwiru, będą idealne. Takie uderzenie na pewno będzie bezpieczne, przecież w hełmie jest jeszcze wkładka, nie ma mowy, żeby kość została uszkodzona. Zresztą i tak musimy to najpierw na kimś wypróbować, a ja będę pierwszym ochotnikiem. - Obaj zgodzili się odłożyć rozmowę na później, żeby się zastanowić i po paru godzinach spotkali się ponownie. Jednak obie strony zostały przy swoim, a Jurek Macheusz usztywnił jeszcze bardziej swoje stanowisko.

- Przemyślałem to wszystko i twojego planu nie uważam za niewykonalny ani całkiem głupi. Sama ucieczka mogłaby nawet się udać, ale mimo to musisz z niej zrezygnować, właśnie ze względu na tych, co tu zostaną. Wolno by ci ryzykować własną skórę i ewentualnie tych, którzy na takie ryzyko by się zdecydowali, ale nie zapytasz przecież o zdanie pozostałych współwięźniów. A Niemcy na pewno zemszczą się na nich, nawet jeżeli jeszcze dokładnie nie wiemy, jak. Krótko i węzłowato, albo z tego rezygnujesz, albo idę wprost do twojej mamy i jej wszystko powiem, a ty sobie z nią pogadasz i już ona ci wyperswaduje. - To była oczywiście argumentacja nie do odrzucenia. I ciężko cios, można powiedzieć poniżej pasa, tym bardziej bolesny, że poparty mocnymi argumentami rzeczowymi. Rzeczywiście, jak mógł myśleć tylko o własnych szansach, własnym ryzyku - a w ogóle nie brać pod uwagę losu innych ludzi. Jednak choć zmuszony do wyrażenia rezygnacji i Angus pogodził się z nią, nie szukał odtąd kontaktów z tym kolegą. I to właśnie dlatego, że przyznawał mu sporo racji i że jego argumenty w tej sprawie były lepsze i słuszniejsze. To zresztą ogólnoludzka słabość, racja nie pozostawia miejsca na sympatię.

Z drugiej strony, po dalszym przemyśleniu sprawy i wszystkich nowych aspektów, Angus wciąż jeszcze nie był pewien, czy należy zrezygnować z zamiarów. To co mówił Macheusz miało pozory słuszności, ale jednak... Przede wszystkim, był przekonany że po Niemcach tak czy owak nie można spodziewać się niczego dobrego, bez względu na to jak

Polacy będą postępować. Oni i tak zaczęli od mordowania, publicznego rozstrzeliwania zakładników bez żadnej przyczyny oprócz tego, że mogli, zdolni byli to zrobić i chcieli to pokazać, Obecnie grozili dalszym mordowaniem, ale to nie znaczy, że bez powodu nie będą tego robić. Mordowali tylu, ile aktualnie było wygodnie. Po prostu maszyna do mordowania jeszcze nie była gotowa i nie ruszyła pełną parą.

Ten obóz był nowy i Niemcy nie mieli od razu gotowej ekipy oprawców, specjalne jednostki do wykonania tego zadania nie zostały jeszcze zorganizowane. Dlatego tymczasowo użyli tyłową jednostkę Wehrmachtu, w której znajdowali się normalni ludzie - mający swoje słabostki, nawet szukający osobistych korzyści i zadowoleni z ich osiągnięcia - ale trzeba jednak przyznać, że nie żadne potwory. Jednak była to tylko sytuacja przejściowa i należało oczekiwać, że w najbliższym czasie zmieni się ona niezależnie od tego, czy więźniowie coś zrobią, czy nie.

Czyżby wszyscy są ślepi, nie widzą tego? Szczerze mówiąc, Angus nie spodziewał się, że wyjdą z obozu żywi. Przecież jeżeli Niemcy obrabowali ich kompletnie ze wszystkiego, to nie mieściło się to w żadnych normach wojny ani prawa, międzynarodowego czy w ogóle jakiegokolwiek, to był zwykły złodziejski rabunek, zwykłe przestępstwo kryminalne. Ofiar takiego bezprzykładnego postępowania, gwałcącego wszelkie zwyczaje i normy prawne, lepiej nie wypuszczać z życiem, żeby później nie protestowały, nie opowiadały o tych wydarzeniach, nie wpływały na opinię publiczną, krótko mówiąc nie przynosiły wstydu za, nazywając rzeczy po imieniu, niski występki. Zamordowani nie mogą opowiadać o swoich krzywdach, protestować ani odwoływać się do nikogo.

Po kompromitującym czynie, logiczna jest likwidacja świadków, to typowy sposób postępowania wszystkich szanujących się gangsterów. Faktycznie później Niemcy wkroczyli na tą piekielną drogę, ale konsekwentnie zastosowali ją dopiero w stosunku do Żydów. Rozumowanie Angusa nie było więc pozbawione podstaw, ale jeszcze zbyt daleko biegło w przyszłość. W tym momencie, Niemcy nie byli jeszcze przygotowani do tego etapu i przejście na nową technologię miało potrwać dłużej, niż Angus przypuszczał.

Oba te punkty widzenia, Angusa i Jurka Macheusza, były odbiciem głębokiego podziału i wątpliwości jakie nurtowały wtedy całe polskie społeczeństwo. Angus, reprezentując wtedy pragnienie walki bez przerwy i w każdej chwili, właściwie bez głębszego rozumowania, raczej instynktownie lub na podstawie papierowych, wyczytanych wzorów, należał wówczas do mniejszości. Natomiast Jurek podzielał przeważające wtedy w społeczeństwie przekonanie, że w tej chwili nie ma możliwości czynnej walki i trzeba czekać na rozpoczęcie działań przez sprzymierzeńców.

**Psychologia przetrwania, unikania konfrontacji, nadzieja, że mnie/nas zostawią w spokoju.**

Plan Angusa nie był ani absurdalny ani nierealny, choć jeszcze niedojrzały. W każdym razie dotyczyło to pierwszej części, ucieczki. Natomiast dalsza część, prowadzenie walki przeciw okupantom, była niewykonalna dlatego, że spotkałaby się z powszechnym sprzeciwem i potępieniem, a prowadzenie takiej akcji bez aprobaty i poparcia społecznego jest niemożliwe.

To nie powiodło się nie tylko małym gówniarzom, do jakich wtedy zaliczał się Angus, ale nawet wielkim ludziom i prawdziwym bohaterom, na przykład samemu Hubalowi. Major Hubal jako jedyny dowódca samodzielnej jednostki wojskowej, zdołał przetrwać kampanię jesienną i następnie już stosunkowo łatwo zimę, do której faktycznie armia niemiecka była kompletnie nieprzygotowana i praktycznie bezradna w warunkach polowych, a oddział Hubala był w stanie bić ją wtedy w każdym miejscu i czasie, bez względu na stosunek ilościowy. Lecz mimo zwycięstwa w każdej walce, Hubal nie był w stanie chronić następnie ludności cywilnej po odejściu oddziału przed okrutnymi represjami. I on sam i inni winili go za to.

W ogóle Polacy często przedstawiają siebie obecnie jako naród, który ani na chwilę nie zaprzestał bohaterskiej walki od samego początku wojny aż do ostatecznego zwycięstwa nad Hitlerem. Nie ujmując nikomu dzielności i uczuć patriotycznych, trzeba jednak szczerze powiedzieć, że to nie polega na prawdzie.

Szok, spowodowany straszną klęską i to niewytłumaczalną, bo wszystkie rozsądne prognozy i przewidywania wskazywały raczej, że Niemcy powinni przegrać już pierwsze starcie, a Polacy walczyli z pełnym zaangażowaniem, wiarą i wolą zwycięstwa - był tym gorszy, że niespodziewany. Nikt nie był w stanie odpowiedzieć, dlaczego Polska prowadziła tę walkę zupełnie sama, a żaden ze sprzymierzeńców nie przeprowadził nawet pozorowanej akcji, choćby tylko ze względów przyzwoitości nie udał jakiejś próby wykonania traktatów i postanowień sojuszniczych.

Jeszcze straszniejszy szok spowodowało zastosowaniem przez okupanta okrutnego, pokazowego terroru. Terroru nie spotykanego w cywilizowanym świecie, ani w ogóle we współczesnych czasach, wzorowanego ściśle na epoce barbarzyńskiej według historycznych wyobrażeń Hitlera. To Hitler zamienił znów Polaków w nieustraszonych bohaterów, gdyż wobec zagrożenia całkowitą zagładą nie mieli nic do stracenia. Na tej samej zasadzie, jak spowodował później, że żołnierze rosyjscy przestali się poddawać, woleli śmierć od niewoli.

Masowy terror jest obosieczną bronią, po przekroczeniu pewnej granicy przestaje odstraszać, motywuje do walki do śmierci. Ale to jeszcze miało potrwać.

Fakty przedstawiają się tak: w 1939 r terror niemiecki po zakończeniu działań wojennych właściwie nie dotknął jeszcze na serio centralnej Polski, głównie skupił się na włączonych od razu do terytorium Rzeszy, dzielnicach zachodnich. Liczba zamordowanych wynosiła może 20 tysięcy osób. W 1940 roku Niemcy zorganizowali już służby specjalne i techniczne wyposażenie, w tym także wielkie obozy śmierci. Mimo zaniechania zbrojnego oporu i czynnej walki, liczba ofiar wzrosła do 150-200 tysięcy i na początku 1941 nadal rosła, w postępie geometrycznym. Stało się jasne, że wszyscy Polacy mają być wytępieni. Od chwili uderzenia na Rosję, rozpoczął się ponownie opór zbrojny. Z powodu zaangażowania wszystkich wolnych sił na froncie, Niemcy nie byli w stanie dalej wzmacniać sił specjalnych i policyjnych, a okazało się, że mają one ograniczone możliwości, przystosowane raczej do mordowania bezbronnej i nie stawiającej oporu ludności.

W tych warunkach, mimo terrorystycznych represji okupanta okazało się, że walka zbrojna zmniejsza a nie zwiększa ogólną liczbę ofiar, gdy działanie maszyny do mordowania ulega zakłóceniu i staje się ona mniej wydajna.

Wrażenia poszczególnych osób mogły być inne, gdyż Niemcy oczywiście starali się skupić terrorystyczne działania w tych miejscach gdzie doszło do przejawów oporu, ale takie improwizowane interwencje zakłócały wykonanie planów w innych miejscach. W skali całego kraju aparatura śmierci zaczęła kuleć i funkcjonować mniej sprawnie. Wtedy Niemcy przerzucili jej działanie na Żydów, którzy byli łatwiejszymi bo bezbronnymi ofiarami i nie stawiali oporu. Aż do schyłku 1941 r Żydzi właściwie nie byli mordowani, choć oczywiście Niemcy stworzyli im koszmarnie warunki wegetacji. Do tego czasu wydawało się, że to tylko Polacy mają zostać wymordowani, natomiast Żydzi wykupią się, że zostaną tylko ograbieni z całego majątku.

Momentem przełomowym był niemiecki eksperyment, ostatecznego rozwiązania tzw. „Kwestii Polskiej” na ograniczonej powierzchni Ziemi Zamojskiej. Planowano tam całkowitą likwidację ludności polskiej i osadzenie na jej miejscu nowych osadników. Eksperyment ten nie powiódł się, wywiązała się bezwzględna walka na zupełne wyniszczenie, w której zarówno Polacy jak i Niemcy ponieśli wielkie straty. Przerzucanie nowych sił z innych odcinków wzmogło jednocześnie ataki, głównie na niemiecki transport w reszcie kraju. Ponieważ tereny Polski stały się bardzo wrażliwym zapleczem frontu wschodniego i Niemcy po prostu nie mogli sobie pozwolić ani na rozszerzenie się ostatecznej wojny do pełnego wyniszczenia na całe to terytorium, ani też nie dysponowali niezbędnymi do opanowania

sytuacji posiłkami, od tego momenty ograniczyli akcję mordowania Polaków i jednocześnie rozpoczęli akcję propagandową, wykorzystując stare, ograne i nieudane melodie z przed wojny, wspólnej walki przeciw czerwonemu niebezpieczeństwu, dzikim hordom ze wschodu. Oczywiście to nie mogło podziałać na Polaków, nikt nie był aż na tyle głupi żeby w to uwierzyć.

Jednak chwilowa ulga była ogromna. Jednocześnie wszyscy dobrze rozumieli, że Niemcy wrócą do akcji wymordowania Polaków, kiedy tylko pozwoli na to sytuacja i będą dysponowali dostatecznymi siłami. Zbudowane w tym celu zaplecze techniczne i infrastruktura, w tym wielkie fabryki śmierci zostały wykorzystane do ostatecznego rozwiązania „Kwestii Żydowskiej”. Prawdopodobnie to miała być druga faza planu, teraz została przesunięta na pierwsze miejsce dlatego, że była łatwiejsza, a obozy i wielkie inwestycje powinny pracować, postój przynosił straty.

Żydzi zaskoczeni takim krokiem Niemców dawali się początkowo mordować bez oporu, często kilku wyrostków z Hitlerjugend prowadziło całą kolumnę na śmieć. Psychicznie i psychologicznie Żydzi też byli nieprzygotowani, w r 1942 i 1943 w stanie podobnego szoku, jaki społeczeństwo polskie przeszło w latach 1940 i 1941. Propozycję współpracy i wspólnej walki zbrojnej, która mogłaby dać jakieś szanse lub chociaż utrudnić akcję niemiecką traktowali jak prowokację. Ponieważ to zdanie może budzić kotrowersje, zacytuję kilka wypowiedzi znanych przywódców i autorytetów:

Przywódcą syjonistów, Menachem Kirszbaum, kwiecień 1942:

- ...można z całą pewnością przyjąć, że... w sercu Europy Niemcy nie zdobędą się na takie postępowanie. Nie igrajmy z ogniem. Pamiętajmy o odpowiedzialności zbiorowej getta. Nie sprowadzajmy sami na siebie nieszczęścia. - Historyk dr Ignacy Szyper, jeszcze w lipcu 1942:

- Samoobrona jest równoznaczna z zagładą całego getta. Wierzę, że uda się zachować podstawową część getta. Jest wojna, każdy naród musi ponosić ofiary, żeby zachować istotną część narodu. Gdybym był przekonany, że nie zdołamy zachować tej podstawowej części, wyciągnąłbym inne wnioski. - Przywódca religijny ortodoksów Zysie Frydman, też w lipcu 1942:

- Wierzę w Boga i wierzę, że nastąpi cud. Powinniśmy czekać, czekać na cud. Walka z Niemcami jest nonsensem. Niemcy wytrzebią nas w ciągu kilku dni. Pytam was, przyjaciele moi, którzy wierzycie aliantom, czemu ogarnia was rozpacz? Wszak wierzycie, że alianci zwyciężą i przyniosą wam wolność. - Zdziwiająca jest, jak podobnie reagowały obie społeczności, polska i żydowska w obliczu niebezpieczeństwa zagłady. W tej chwili, w 1939r

to właśnie Polacy czekali na cud. Więcej, bo nawet wiedzieli dokładnie, kiedy ten cud nastąpi: 8 grudnia 1939. Także na każde słowo, wyżej zacytowane, można by znaleźć odpowiednik wśród wypowiedzi wybitnych przedstawicieli społeczeństwa polskiego w latach 1939 i 40. Przełom psychologiczny wymaga czasu.

\* \* \*

To ostatecznie wyjaśnia, dlaczego plan Angusa w części dotyczącej podjęcia walki i to bronią, zdobytą na Niemcach był nierealny. Społeczeństwo polskie nie miało jeszcze doświadczeń z następnych lat, nie było na tym etapie i potraktowałoby taką próbę, jako ściąganie nieszczęścia, a może nawet inspirowaną przez wroga prowokację. Może tylko część, dotycząca samej ucieczki z obozu, mogła się udać.

W razie powodzenia, prawdopodobnie sam Angus przypisywałby sobie winę za dalszą eskalację niemieckich represji. Winiłby siebie, za zmianę dotychczasowej straży niemieckiej w obozie na bandę zawodowych oprawców z jednostek specjalnych. Zmianę, która od dawna była zaplanowana i wkrótce nastąpiła, chociaż on jej nie sprowokował, nie wykonał przecież ostatecznie żadnego ruchu. Zapewne nawet te wagony zamrażniętych trupów w czasie niesłychanie ostrej zimy, obciążąłyby w wyobrazeniach niedojrzałej fantazji jego sumienie.

Żeby wyjaśnić do końca sprawę, Niemcy wcale nie mieli zamiaru wytepić tylko Polaków i Żydów. Po wygranej wojnie, Hitler miał podobne zamiary także w stosunku do innych narodów Europy. Zastanawiające, przecież idee rasistowskie były jasno przedstawiane w „Mein Kampf” oraz wielu materiałach propagandowych, jak to możliwe, że nikt nie zdawał sobie sprawy z oczywistych, wynikających z nich konsekwencji. W istocie rzecz sprowadza się do zastosowania sprawdzonych w hodowli zwierząt zasad również w stosunku do ludzi. Logiczne i radykalne rozwiązanie polegało na wybici lub stopniowej likwidacji mało wartościowego stada i zastąpieniu go najbardziej wartościową rasą, za jaką Hitler uważał rasę nordycką (zastanawiające, co myślał patrząc na siebie w lustrze).

W tych warunkach, może tylko Holendrzy mogli się czuć stosunkowo mało zagrożeni. Jeden z teoretyków rasizmu twierdził na przykład o Francuzach, że nie są i nie byli nigdy żadnym narodem, ponieważ rasowo są wyjątkowo skundleni. Każdy najeźdźca, który wszedł do Francji (wyrażenie obsceniczne, powiedzmy gwałcił) kogo chciał, nawet teraz mieszają się z Arabami, Murzynami i żółtkami, genetyczne dziedzictwo plemion germańskich prawie zupełnie się rozplynęło. Zapewne po zwycięstwie niemieckim, szansę na przeżycie mieliby tylko nieliczni niebieskoocy blondyni, a i to pewnie pod warunkiem, że zaakceptowałyby powrót do rzekomo germańskich korzeni.

Nawet i Anglików, klasyfikowanych jako rasa germańska, uważano za niemożliwą mieszanekę, darujemy sobie dalsze przykłady, gdyż to są stosunkowo najlepsze oceny, inne narodowości zakwalifikowano jeszcze gorzej. Tym niemniej do celów hodowlanych przewidywano wyciągnięcie wartościowego materiału genetycznego i na przykład stąd instytucja Volksdeutschów w Polsce, gdzie procent tego, co szaleńcy uznawali za typ nordycki był wyższy niż w samych Niemczech.

Oczywiście na świecie trwa naturalna selekcja i ewolucja gatunku ludzkiego, a sztuczne zabiegi hodowlane nawet w wypadku zwierząt nie stanowią często postępu, raczej zakłócają proces naturalny i genetycznie prowadzą w ślepą uliczkę. Chociaż dla celów gospodarczych doraźnie korzystne może być wyhodowanie odmian, dostarczających np. więcej mleka, albo delikatniejszego mięsa. Natomiast jeżeli chodzi o cechy intelektualne, to wydaje się że to raczej mieszanie jak najodleglejszych cech daje lepsze rezultaty. W każdym razie na razie natura jest mądrzejsza i ewolucja następuje samorzutnie. W odległej analogii można powiedzieć, że to wygląda podobnie jak przewaga wolnego rynku nad gospodarką marksistowską. W obu tych wypadkach, radykalne stosowanie wymyślonych koncepcji doprowadziło do makabrycznych następstw.

Dopóki tylko pisało się o tej teorii, nikt się tym specjalnie nie przejmował. Tymczasem Hitler traktował tą sprawę śmiertelnie poważnie, tak, właśnie śmiertelnie, śmiertelnie poważnie. I nie uznawał żadnych półśrodków.

\* \* \*

Tymczasem Angus bił się z myślami. Walka była tak zaciekła, że głowa mu mało nie pękła. Prawie nie spał tej nocy, a od rana następnego dnia wyszedł z baraku i wałęsał się samotnie po odległych miejscach. Nie chciał nawet jeść, co poważnie zaniepokoiło mamę. Dzień był bardzo zimny, rano mgła - nic dziwnego, zbliżał się koniec listopada, i tak pogoda utrzymywała się wprost nieprawdopodobna, właściwie tej jesieni prawie nie padało, chociaż niewielkie opady w końcu się zdarzyły właśnie tego dnia. Ale Angus nawet tego nie zauważył, mimo poleceń mamy nie ubrał się też ciepło i teraz już mocno pociągał nosem. Cały skupiony był na jednym, na wczorajszej rozmowie, wynajdował wciąż nowe argumenty i prowadził ją dalej, sam.

Dał wprawdzie słowo, że zrezygnuje, ale to była zbyt poważna sprawa. Jeżeli byłaby jakaś szansa i możliwość wystąpienia przeciw Niemcom, to pal diabli jego słowo, jego dobre imię i reputację. Mógł żyć bez honoru, albo w ogóle nie żyć, to nie miało znaczenia. Najważniejsze było, co robić dalej. Wczoraj uznał wagę i prawdziwość przeciwnych racji, ale

cała jego istota, wszystkie pragnienia i uczucia wołały co innego. Ostatnie dni żył tylko tym nowym celem, który wydawał się osiągalny, bliski, prawie w zasięgu ręki.

Czy rzeczywiście nie można, nie wolno walczyć teraz z Niemcami? Czy to prawda, że sprowadzi nieszczęście, może zgubę innym ludziom, że nie ma prawa ich narażać? A jak postąpili oblężeni Głogowianie, gdy wojska niemieckie przywiązały na maszynach oblężniczych ich własne dzieci oraz innych polskich jeńców? Odprawili nabożeństwa za ginących i walczyli dalej, nie poddali się, obronili miasto.

Ponieważ i tak nie mógł zasnąć tej nocy, wiercił się wciąż i przeszkadzał innym (w baraku był teraz tłok i na każdą przegrodę wypadał komplet, dziesięć osób śpiących jedna koło drugiej, a czasem i więcej, nie można było zmienić pozycji żeby wszystkich nie obudzić), a był pewien, że i tej nocy nie zaśnie, więc zamiast biegać tego przedpołudnia z zawiadomieniami o paczkach i widzeniach, po raz pierwszy wziął dyżur nocny w biurze Komitetu. Wieczorem, już wyraźnie przeziębiony zgłosił się tam, zabierając pożyczoną książkę, Faraona Prusa, ponad osiemset stron, w innych okolicznościach już z góry by się cieszył, ale teraz czytanie też mu nie szło.

Niespodziewanie okazało się, że na tym dyżurze nie będzie siedział sam, ale razem z innym chłopakiem. Takich gości obozowych jak Angus było kilkunastu, większość nieco starsza od niego Tego chłopaka jeszcze nie spotkał, na imię miał Heniek i skończył już 15 lat, był więc dużo starszy od wszystkich, na dobrą sprawę powinien już pracować z dorosłymi mężczyznami a nie pełnić funkcje pomocnicze w Komitecie. Był przy tym bardzo wyrośnięty, naprawdę robił wrażenie dorosłego i to dużego mężczyzny. Na ten widok, Angusowi przyszło do głowy, że może powinien jeszcze porozmawiać z kimś na dręczący go temat.

Najpierw jednak trzeba zorientować się, z kim ma do czynienia, zbliżyć się i zapoznać. Rozmowę rozpoczął od książek. Owszem Heniek czytał, ale głównie komiksy i od razu pokazał dwa duże stosy, które przyniósł ze sobą. Przeczytanie książki było bardzo męczące. Ale dla Karola Maja robił wyjątek, z trudem, ale prawie się udało. Karola Maja Angus też czytywał, natomiast komiksy miał osobiście w głębokiej pogardzie i uważał ich czytanie za poniżej swojej godności, chociaż miał kolegów, którzy przeciwnie, kupowali je i czytali. Może więc był to nieuzasadniony przesąd. Tym razem wziął do ręki mocno wyświechtane zeszyty i spróbował się w nie zagłębić, ale jakoś mu to nie szło. Odłożył je więc i wrócił do rozmowy, dowiedział się z niej przynajmniej, że tamten chłopak też chciałby przeżyć przygody, to już było coś. Poza tym dowiedział się jeszcze, że musi się on już co tydzień golić, oraz że pali, nawet w czasie tego dyżuru wychodził na papierosa.



Trzeba wyjaśnić, że w tych czasach nie było mowy, żeby chłopiec pozwolił sobie na zapalenie papierosa w miejscu publicznym, co traktowano jako nieprzystojne zachowanie. Przyjęte było, że każdy dorosły miał prawo zwrócić szczeniakowi uwagę, a nawet w poważniejszych razach go skarcić. Nie było mowy, żeby ktoś przeszedł w takim wypadku obojętnie, odwrócił się w drugą stronę albo szybko się oddalił, co teraz jest normalną reakcją. To oczywiście nie znaczy, żeby młodzież stawała się przez to lepsza, ale przynajmniej młody hooligan musiał poczekać, aż dorośnie i nie rzucać się w oczy. Chłopcy naturalnie palili tym bardziej, że to było zastrzeżone dla dorosłych, ale palić mogli tylko w ukrytym miejscu, zwykle w ustępie. Angus nie palił, bo kiedyś ojciec złapał go z papierosem, ale jako jedyną karę kazał mu wypalić go do końca, potem jakoś stracił ochotę.

To nie były punkty na minus, mogły wskazywać na bliską dorosłość. Chłopak wprawdzie nie był czytany ani nie wydawał się zbyt inteligentny, wyglądał na dużego i silnego prymitywa, ale kto wie, jego mięśnie robiły wrażenie, a co do głowy, to Angus mógłby mu użyczyć swojej. To, że był ciekaw świata i przygód, Angus uznał za obiecujące. Gdzieś przy końcu nocy, zdecydował się więc delikatnie spróbować.

- Wiesz - powiedział - słyszałem, że podobno są tacy, co chcieliby uciec z obozu. Co o tym myślisz? - Heniek, który siedział rozwalony na krześle, odsunął od siebie górę komiksów, naprężył się i znieruchomiał, szeroko otworzył oczy i nastawił uszy.

- Kiedy to było? Gdzie? Kto? Wiesz coś konkretnego?

- No nie. Tak tylko słyszałem i sam jestem ciekaw. Widzę, że i ty chciałbyś wiedzieć.

- Słuchaj, musisz koniecznie się dowiedzieć! Ja zaraz polecę z tym do Niemców. Już raz próbowałem się z nimi porozumieć, ale nie miałem nic konkretnego i na dodatek nie umiem niemiecku, więc tylko dostałem kopniaka. Ale taka wiadomość będzie dla nich ogromnie ważna, więc postaraj się! Podzielimy się nagrodą.

Angus myślał, że się przesłyszał, albo dobrze nie zrozumiał. - Co ty mówisz?! -

- Czy ty nie pojmujesz, jaka to okazja? Ja tu przyszedłem nie dlatego, żebym lubił biegać z głupimi poleceniami, ale cały czas miałem nadzieję, że trafię na jakąś ważną wiadomość. A potem może Niemcy przyjmą mnie jako swego wywiadowcę. Słuchaj, umówmy się tak: cała nagroda dla ciebie, ja nie wezmę nic, a tylko zaniosę ją do Niemców. A potem, jak już nawiążę stosunki, nie zapomnę o tobie, będziemy współpracować.

Angus poczuł się tak, jakby nagle stracił ziemię pod nogami i znalazł się w zupełnie innym, nieznanym świecie. Jak to, czy to możliwe, czy to nie on coś przekreślił, albo może zwariował, albo ma gorączkę i majaczy. Ten starszy od niego chłopak, Polak jak on i to nawet nie umiejący ani słowa po niemiecku chce zostać zdrajcą, aż się do tego pali i jemu też

proponuje zdradę? Tak po prostu, jak coś zupełnie naturalnego? I jeszcze do tego nagrodę! Od Niemców!

W wyobraźni Angusa, zdrajcy wyglądali zupełnie inaczej, właściwie nie wiedział dokładnie jak. Nigdy nie widział żadnego, ale wyobrażał sobie, że to ludzie słabi i właściwie nieszczęśliwi, którzy albo nie zdołali wytrzymać fizycznie tortur, albo chcieli ocalić kogoś, kogo kochali, bliska rodzinę, lub, wiedział że tak bywało, choć tego dobrze nie rozumiał, kobietę, może znaleźli się w nędzy tak, że nie byli w stanie tego przeżyć. Może zmuszono ich inaczej, na przykład szantażem, wreszcie może po prostu byli tchórzami.

Jednym słowem ludzie godni pogardy, ale i pewnego politowania, nieszczęśliwi, złamani. Jak pisał Mickiewicz:

Z bramy więzienia wywożą pod strażą ze czterech desek zbitą trumnę białą.

Rzucają na wóz, za miasto wieść każą

.....

Mogile jego na drodze rozstajnej pielgrzym ze zgrozą i ze wstrętem mija, nie zmówi nawet modlitwy zwyczajnej trzy razy Zdrowaś Maryja.

Jego samego, kiedy w marzeniach wyobrażał sobie przyszłą działalność w tajnych organizacjach oraz walkę z Niemcami, prześladowała i przerażała jedna myśl: czy gdyby został aresztowany, potrafi wytrzymać wszystkie męki aż do samej śmierci, czy na pewno nie powie ani słowa i nie wyda nikogo. Panicznie bał się, nie samych mąk, ale tego, że może czasem - oczywiście nie przy zwykłym biciu - ale przy jakichś wymyślnych torturach, o których słyszał albo czytał i wyobrażał sobie, nie wytrzymać, nie zdołać nad sobą zapanować, załamać się. Nawet w sekrecie przed wszystkimi, starał się ćwiczyć w opanowaniu uczucia bólu, na przykład wchodząc umyślnie w rosnące tu, wysokie pokrzywy, albo starając się nie wypuścić z ręki, zapalonych kawałków papieru. Albo patrząc na siebie tak, jakby jego własne ciało nic go nie obchodziło, kłuł się igłą lub szpilką. Albo po prostu starał się wytrzymać w niewygodnej pozycji, nie zmieniać postawy nawet jeżeli mu doskwierała aż wprost drętwiał lub dostawał kurczu. Chciał wyrobić w sobie wytrzymałość na ból, dzielność, umieć swemu ciału narzucić nieczułość, żeby potrafić wytrzymać wszystko i śmiać się w twarz oprawcom jak Indianin. Natomiast obawiał się, że może jednak wykonany jest z marnego kruszcu, kto wie czy nie załame się w śledztwie i nie będzie mówić, zdradzać. To był koszmar który prześladował go czasem lub zły sen, po którym budził się zlany zimnym potem i długo nie mógł przyjść do siebie.

Czy to możliwe, żeby napotkał prawdziwego zdrajcę? I to zdrajcę, który uważa zdradę za wielką okazję? Chwilę, na która od dawna czekał?

- No, dobrze - odpowiedział. - Ale ja słyszałem tylko taką pogłoskę i zastanawiałem się, czy to w ogóle jest możliwe. Myślałem, że to właśnie ty mi coś powiesz. -

- Możliwe, tak, bo są takie dzieciaki co wykradają się z obozu i potem wracają. Właśnie to usiłowałem Niemcom powiedzieć, ale nie wiedziałem, że oni widocznie opłacają się straży i dlatego oberwałem, zamiast coś zarobić. Ale prawdziwa ucieczka, to byłoby coś innego.

Angus nie mógł już wytrzymać tutaj, w tym pomieszczeniu i w tym towarzystwie ani sekundy dłużej.

- Wiesz, czuję że się mocno przeziębilem, mam chyba gorączkę i muszę się położyć. Czy mógłbyś dokończyć dyżur sam i potem powiedzieć, że ja zachorowałem? Jeżeli się coś dowiem, to cię odszukam, przyjdę tutaj.

Gdy Angus wyszedł na zewnątrz, była jeszcze głęboka noc i bardzo ciemno. Ale normalnie, znał każdy centymetr kwadratowy obozu i nie powinno mu to zrobić najmniejszej różnicy. Przygotowując się do swych zamierzeń, postarał się, żeby po prostu dotknięcie każdego krzaka albo chwastu, nawet kawałka ziemi pozwalało mu zorientować się, automatycznie przywołać wszystko co jest z przodu i z tyłu, z każdej strony, wprost widzieć z zamkniętymi oczami jakby plastyczną mapę terenu miał wyrytą w głowie.

Jednak tym razem naprawdę miał wysoką gorączkę, trząsał się cały i jakby pływał w zupełnie nieznanym świecie. Czasem wydawało mu się, że naprawdę, to leży w łóżku i majaczy. Trudno powiedzieć, czy był to wynik przeziębienia, bo bez żadnych wątpliwości przeziębził się tego dnia poważnie, czy też ta ostra gorączka była rezultatem silnej reakcji nerwowej. W każdym razie aż trudno uwierzyć, ale naprawdę wtedy zablądził i przez pewien czas błąkał się po obozie, jak gdyby znajdował się w całkiem nieznanym miejscu.

Wreszcie dotarł do swojego baraku i wzdłuż szeregu ław, które otaczały ciągnący się środkiem stół do swego odcinka legowisk, ale nadal nie pozbył się uczucia obcości, nie rozpoznawał miejsca i co chwilę wydawało mu się, że jest tu pierwszy raz. Wszyscy spali, nikt nie obudził się przy jego przyjściu i nie było już miejsca na legowisku. Usiadł na ławce, oparł się o stół a potem opadł nań i poczuł, że się gdzieś zapada.

Wydawało mu się, że jedzie szybką windą, a zamiast kolejnych pięter, mija kolejne światy, z ziemią, niebem, nawet chmurami, budynkami i ludźmi, lecz każdy z tych światów jest jakby kolejnym piekłem, okropny, wstrętny, mimo że nie pusty, ale panowała w nim, okropna nuda, uczucie mdłości przy samym spojrzeniu, nie mówiąc o obrzydzeniu przy dotknięciu, to już było jakby zarażenie się trądem. Chciało mu się krzyczeć, ale przez cały czas zaciskał zęby, nie wolno mu było wydać ani jednego odgłosu, w ogóle otworzyć ust, a w

żadnym wypadku powiedzieć żadnego słowa. Rzeczywiście miał wysoka gorączkę i majaczył, nie wiedział w ogóle, kiedy obudziła się matka, przestraszyła się na jego widok i położyła go na legowisku, nie słyszał ani nie rozumiał, co do niego mówiła, jednak wypił, kiedy posadziła go i przyłożyła kubek do ust.

Przez cały następny dzień i noc leżał chory i obudził się dopiero następnego ranka, jeszcze z gorączką ale już przytomny. Dowiedział się, że matka opłaciła dwie osoby z ich legowiska, żeby poszukały sobie na kilka dni innego miejsca i położyła go wygodnie i luźno na skraju przy desce oddzielającej ich dziesięcioosobowy odcinek. Czuł, jak ponownie wracał na świat. Wprawdzie miał silny kaszel i wprost fantastyczny katar, ciekło mu z nosa bez przerwy, ale gorączka była mniejsza. Pamiętał zdarzenia ostatniego dnia, ale nie chciał o nich myśleć i jakby go nie obchodziły. Wmówił sobie, że ta ostatnia rozmowa, której każde słowo pamiętał, to był głupi kawał, tamten chłopak oczywiście nie mógł tak myśleć na serio, przecież to wykluczone. Po prostu spotkał mniejszego od siebie i chciał z niego zakpić. Urządził sobie głupia zabawę i naopowiadał bredni, żeby się później śmiać, kiedy Angus weźmie to na serio. To go trochę uspokoiło, bo inaczej kompletnie nie potrafiłby zrozumieć świata; ale i tak postanowił, że nigdy w życiu nie zbliży się nawet do Heńka i będzie go omijał z daleka.

Jednak miał spotkać go jeszcze parę razy w życiu i przekonać się, że nie było żadnej pomyłki ani nikt niczego nie udawał. Każde z tych spotkań miało fatalny przebieg, aż w końcu spotkali się ostatni raz, o jeden za wiele. Ale to już sprawa dalekiej przyszłości.

Nie da się ukryć, że i zarówno wtedy i właściwie przez całe życie, Angus był absolutnie marnym psychologiem. Nie rozumiał ludzi, ponieważ z reguły przypisywał im swoje uczucia i swój sposób myślenia, gdyż to wydawało mu się naturalne i w rezultacie jedyne możliwe.

O podobnych ludziach jak Heniek, mówiło się już po wojnie, gdy kraj dostał się w szpony kolejnego okupanta, a poziom ludzi niestety poważnie się obniżył w wyniku długotrwałej ujemnej selekcji podczas wojny i długiej nocy 44 lat niewoli: on na prawdę wcale nie ma przekonań komunistycznych, po prostu robi karierę; albo: to nie żaden komunista, robi to tylko dla kariery. Jakby usprawiedliwiało albo coś tłumaczyło. Otóż Heniek wcale nie był żadnym hitlerowcem, ani Niemcem, w ogóle nie umiał ani słowa po niemiecku i choć bardzo chciał, nie mógł się jakoś nauczyć. Zresztą nie rozumiał też znaczenia wielu słów polskich, nie miał pojęcia co oznacza ideologia, a tym bardziej nie znał żadnej. On to po prostu chciał robić tylko dla kariery.

Poczucie solidarności grupowej jest wynikiem rozszerzenia własnego egoizmu lub, jak wolą to ująć inni, rozszerzenia poczucia własnej osobowości najpierw na bliskie osoby, na rodzinę i następnie na coraz szersze grupy osób, ostatecznie na społeczeństwo i naród, ewentualnie na całą ludzkość. Właściwie solidarność i egoizm nie są przeciwstawne, pierwsza wynika z rozszerzenia drugiego. Ale oczywiście u różnych ludzi ten proces przebiega inaczej i jest różnie zaawansowany. Heniek nawet w stosunku do swego najbliższego otoczenia i rodziny, nie odczuwał solidarności a tylko konkurencję. Uważał, że należy mu się więcej a otrzymuje za mało. Konkurencję z otoczeniem przegrywał, bo faktycznie nie był ani bystry, ani inteligentny, nie miał też przyjaciół. Nawet w rodzinie brał ile udało mu się wyrwać nie zważając na innych i zawsze uważał, że otrzymuje za mało, że należy mu się więcej (choć matka, bo ojca stracił, starała się jak mogła i głodu nigdy nie zaznał, jak to widać było zresztą na pierwszy rzut oka). Był głodny życia, a dotąd dostawał same kuksańce i musiał wracać na swoje miejsce.

Teraz nareszcie trafiła się doskonała okazja. Czuł się zdolny do zrobienia tego, czego inni nie potrafią. Mógł zająć należne mu miejsce, pokazać tym wszystkim durniom, którzy uważali się za lepszych, spychali go albo w ogóle lekceważyli, zabierali to, co jemu się należało - kto naprawdę będzie panem. Czekala go kariera, gdyż czuł, że do zajęcia miejsca, jakie sobie upatrzył potrzebne jest akurat to w czym był dobry, gdyż nie miał żadnych bzdurnych zahamowań. Bez trudu potrafi wyprzedzić tych wszystkich nadętych idiotów z ich dziecinnymi skrupułami. Nareszcie się okaże, kto jest najmądrzejszy. Heniek wiedział czego chce i jak to zdobędzie.

\* \* \*

Przez kilka dni Angus był jeszcze mocno chory, ostre przeziębienie i chyba grypa, choć żadnej epidemii nie było. Dopóki trwała gorączka, nie potrzebował niczego, ale kiedy opadła zabrał się do czytania. Przeczytał Faraona i nie mając nic innego zaczął go czytać po raz drugi i potem trzeci. Nawet po kilku razach, książka go nie nudziła. Wreszcie przy końcu, przez dwa dni, choć znał już książkę omal na pamięć, urządził sobie coś w rodzaju konkursu czytania szybkościowego. Czytał uważając na każde zdanie, tak żeby nie opuścić ani słowa, wyłącznie po to, żeby ustanowić rekord. Ostatniego dnia czytał, albo przynajmniej tak mu się wydawało, ponad dwa tysiące stron, omal trzy razy całą książkę. Nie zdając sobie z tego sprawy, nauczył się sam szybkościowego czytania, ogarniając jednym spojrzeniem po kilku liniach tekstu. Kiedy po latach dowiedział się, że istnieje technika szybkościowego czytania, nie miał czego więcej się nauczyć. Zresztą ta technika jest wprawdzie użyteczna, ale

tylko w ograniczonym zakresie, umożliwiła tylko szybkie przeszukanie tekstu, ale nie przemyślenie, zastanowienie się i przyswojenie go do świadomości.

Szybko przychodził do siebie, pozostał mu tylko lekki katar, ale matka bardzo się nim nadal opiekowała, kazała mu się ciepło ubierać i zachęcała do jedzenia. Do Komitetu na razie się nie pokazał, natomiast po południu już odwiedzał barak męski, na warszawy i rozmowy, pożyczał też książki. Przypadkiem spotkał rodzinę Balcerów, swoją chrzestną matkę, urodzoną w Berlinie Niemkę, która też siedziała w obozie, bo oświadczyła, że chce być i czuje się Polką. Matka i Angus bardzo jej współczuli, ale jakoś nie starali się odnowić bliskich stosunków, sytuacja była niezręczna. Biedna kobieta, nigdy nie zdołała nauczyć się porządnie po polsku, a rozmawiać po niemiecku nikt w tych warunkach nie miał ochoty. w rezultacie siedziała samotna i oczy miała czerwone od ciągłego płaczu. Każdy wiedział, że czuła się Polką i zachowała bardzo dobrze, ale jednak nikt się nie zbliżał.

W ostatnich dniach listopada, zaczęły się rozchodzić pogłoski, że wszyscy więźniowie mają być gdzieś wywiezieni. Nikt nie wiedział nic dokładnie. Jedni mówili, że przewiozła ich do innego obozu, drudzy, że mają wypuścić ich na wolność, w części Polski nie wcielonej narazie do Niemiec. Angus w to nie wierzył, nadal sądził, że jedyna możliwość to uwolnić się samemu, ale to była mowa do głuchych uszu, więc nawet się nie starał.

Jednak wiadomości nie ustawały, a rankiem pierwszego grudnia oficjalnie polecono przygotować się do transportu. Angus, mimo przedpołudniowej godziny, popędził do baraku męskiego. Nikt nie wyszedł tego dnia do pracy, wszyscy się szykowali i oczywiście trwała ożywiona dyskusja. Nagle, gdzieś przed godziną 12 rozległ się niespodziewanie ogłuszający huk, brama do baraku męskiego się rozleciała, jakby eksplodowała, a do środka wpadła najpierw chmura dymu i pary, kompletnie zasłaniając widoczność. Za nią coś wdarło się do obniżonego środka baraku, gdzie przebiegały podwójne tory kolejowe. Parę sekund zaskoczenia i rozległy się okrzyki:

- Francuzi! Francuzi przyszli! W samą porę.

To oczywisty absurd, ale taka była wiara we Francję i tak silne przekonanie i oczekiwanie na nadejście sojuszników, że samorzutnie wszyscy więźniowie zerwali się z miejsc i wyprężeni na baczność, zaczęli śpiewać Marsyliankę. Akurat zdążyli odśpiewać pierwsze dwie linie, które Angus pamiętał i zaczęli i zaczęli trzecią, która w jego wykonaniu brzmiała „contrenun de la tyrannie”, kiedy dookoła pociągu, który z rozpędu wjechał do wnętrza przed otwarciem bramy, rozbijając ją, ukazały się niemieckie hełmy i mundury. Pieśń się urwała, a właściwie stopniowo wygasła, bo nie wszyscy się jednocześnie zorientowali i zapanowała bardzo kłopotliwa cisza.

Na szczęście straż obozowa w ogóle nie zareagowała, zachowała się tak, jakby niczego nie słyszeli ani nie zauważyli. Właściwie to był ostatni i niewątpliwie przyjazny gest ze strony niemieckich żołnierzy, gdyby potraktowali to jako wrogą demonstrację i złożyli doniesienie, niewątpliwie następstwa byłyby bardzo przykre, a Gestapo zajęłoby się tą sprawą. Jednak bardzo przyzwoicie, żołnierze woleli nie składać żadnego meldunku.

Po wyjaśnieniu sprawy, Angus ruszył z powrotem do mamy. Okazało się, że zostali wyznaczeni do pierwszego transportu. Ich pociąg stał gdzie indziej, na otwartym placu, na torowisku, przechodzącym przez obóz. Transport składał się z wagonów towarowych, tylko za lokomotywą i na końcu znajdowały się wagony osobowe dla konwoju. Na wagonach towarowych znajdowały się jeszcze polskie napisy z czasów początku wojny: „8 koni albo 40 osób”, to też gdy Angus pomógł mamie zanieść i teraz odbierał od niej podawane pakunki, usłyszał, jak ktoś żartuje: - widzisz, stary koniu, jak ty tu wejdiesz to zabieramy jeszcze tylko 32 ludzi i będziemy mieli wygodną podróż.-

Podłoga wagonów została wyścielona słomą, przyniesioną z baraków. W rogu wagonu, przy jednym z podłużnych, wąskich okienek zawieszono zasłonę, a duża puszka stanowić miała prowizoryczną ubikację. Więźniowie w każdym wagonie dostali po dwa wiadra z wodą i po pół bochenka chleba na głowę. Następnie drzwi zostały zamknięte i odrutowane, a pasażerowie ostrzeżeni, że w razie próby otwarcia, konwojenci mają rozkaz strzelać bez uprzedzenia. Jeszcze około godziny oczekiwania i wreszcie pociąg ruszył. Angus leżał koło matki i jechał w nieznane, z nową nadzieją, że wreszcie doczeka się jakiejś akcji, że kiedyś, gdzieś, ktoś się wreszcie zdecyduje. Wkrótce zaczął zapadać zmrok i stojący przy okienkach przestali opowiadać pozostałym, co widzą.

W pierwszym szeregu walczących, Ojczyzny miłej od wroga bronić mężnie i paść, piękny zaiste to los. Gród zaś rodzinny rzuciwszy i żyzne pola ojczyste, z dala tułaczy jeść chleb, gdzie taki ból jak ten? **Rozdział V. Na etapie i pierwsze dni wygnania.**

Tej nocy pociąg jechał przez cały czas, prawie się nie zatrzymując. W każdym razie, ilekroć Angus się budził, znajdował się w ruchu, niezbyt szybkim, ale stałym. Angus po ostatnich przeżyciach zasnął wcześniej, ledwie się ściemniło i spał długo, kiedy się obudził było już jasno. Noc była chłodna, dlatego w wagonie pozasłaniano małe okienka i powietrze było ciężkie, ale teraz już je odsłonięto, przy każdym tłoczyli się ludzie, usiłując wyrzeć i zorientować się, dokąd jadą.

W każdym razie na wschód i obecnie musieli już zostawić za sobą ziemie polskie, wcielone bezpośrednio do Niemiec, ale oczywiście nadal byli na terytorium okupowanym przez Niemców. W dzień stopniowo zaczęło się robić coraz cieplej, to też najpierw dwa, a

potem wszystkie cztery okienka zostawiono szeroko otwarte i świeże powietrze przewiewało wagon. Pociąg zatrzymywał się teraz kilka razy, zawsze w polu i panowały sprzeczne opinie, gdzie teraz są: jedni twierdzili, że wkrótce będą w Warszawie, inni, że to absolutnie nie jest trasa do Warszawy. Angus nie usiłował docisnąć się do okienek, znajdowały się zbyt wysoko i musiałby się wspinać, a nie było na co. Zresztą nie zależało mu, jechał w nieznaną i bardzo dobrze. Tylko czasem, gdy wyglądający mieli już dosyć, widział niebo i na nim czasem kilka małych obłoczków czasem słupy przy torze, albo gałęzie pobliskich drzew. Czuł się rozluźniony, stres i napięcie ostatnich dni zostały daleko za nim i myślał o tym, że przy końcu drogi, gdziekolwiek ona będzie, znowu będzie potrzebował wszystkich sił, więc teraz wypoczywał. Wolał puścić wodze wyobraźni, pomarzyć sobie, zwłaszcza że ostatnio prawie sobie na to nie pozwalał. Będzie co będzie, potem się zobaczy.

Po południu tego dnia, żołnierze niemieccy pozwolili otwierać drzwi od wagonu. Kiedy pociąg stał, korzystano z tego chętnie. Niesamowite, to już drugi dzień grudnia, a ciągle jeszcze pogoda była, przynajmniej w środku dnia, tak ciepła jak w lecie.

Pociąg powoli przetoczył się przez most na wielkiej rzece i po pewnym czasie stanął jak zwykle w polu. ale tory się zwielokrotniły i w oddali widać było zabudowania. Więźniowie rozpoczęli rozmowy i po pewnym czasie rozeszła się wiadomość, jak się później okazało, błędna, że minęli dolinę Wisły i znajdują się w pobliżu Puław. Chociaż konwojenci niemieccy w miarę przejechanej drogi stawali się coraz mniej gorliwi, dotychczas nie pozwalali zbliżać się do wagonów postronnym osobom. Obecnie jednak więźniowie uzyskali zezwolenie na podawanie wody, oczywiście sami nie mogli wyjść z wagonów, ale po raz pierwszy pozwolono podawać i następnie odbierać wiadra przypadkowym przechodniom. Była przy tym okazje na krótką rozmowę, okazało się, że pociąg przejechał rzeczywiście Wisłę, ale nie na południe, a na północ od Warszawy i stał teraz na trasie do Małkini.

Wkrótce potem pociąg ruszył dalej, ale od tej pory Niemcy pozwalali już nie tylko na otwieranie drzwi, ale na rozmowy i podawanie wody. Jedyne zakaz który nadal obowiązywał dotyczył wychodzenia z wagonów, za to nadal groziła śmierć, strzał bez ostrzeżenia. Drzwi mogły pozostawać otwarte aż do zmroku, potem ponownie je zamknięto i zaplombowano.

Otóż właśnie przy końcu krótkiego dnia grudniowego Angus był świadkiem dość niezwykłego zdarzenia: Pociąg stał o kilkadziesiąt metrów od zarośli, koło których biegła ścieżka. W pewnej chwili na tej ścieżce pojawił się grupka ludzi z tobołkami, przerwa, potem druga grupka i trzecia i potem już ciągły łańcuszek. Wyglądało to tak, jakby ci ludzie czekali aż pociąg sobie pojedzie, ale kiedy nie ruszał, postanowili kontynuować drogę. Niemieccy



konwojenci nimi się nie interesowali. Po pewnym czasie pojawiła się też mniejsza grupa, zmierzająca w odwrotną stronę.

W ciszy zapadającego wieczoru głos się rozniósł i każde słowo słyhać było z daleka.

- Ludzie, skąd idziecie? - usłyszał Angus.

- Z raju. A wy? -

- Do raju. -

- Nie bądź głupi, wracaj. Będziesz żałował do końca życia, krótkiego. Nie wiesz, jak tam jest!-

- A ty zobaczysz, jak tu będzie, - Uciekinierzy minęli się, wąż przybywających i mała grupka, idąca w przeciwną stronę. Można przypuszczać, że pociąg znajdował się niedaleko granicy, dzielącej strefy okupacji niemieckiej i rosyjskiej, która najwyraźniej nie była jeszcze zbyt szczelna. Wieczorem, po zamknięciu drzwi, a pociąg ruszył w przeciwną stronę, a potem znowu zmienił kierunek. Następnego dnia ponownie przejeżdżali Wisłę, węższą, tym razem rzeczywiście koło Puław. Potem pociąg znowu stawał i długo stał koło jakiegoś lasu, w ogóle przejeżdżali teraz dużo lasów, a w nocy przeważnie stali, kilkakrotnie ruszali ale na krótko, Angusowi przypominało to pociąg ewakuacyjny na początku września. Tyle, że nie wyskakiwali z niego z powodu nalotów, przeciwnie, teraz właśnie wyskoczenie, a wtedy pozostanie mogło przynieść w zysku kulę.

Tym razem długo nie mógł zasnąć. Marzył oczywiście o walce z Niemcami, ale ponieważ i tak nie mógł przewidzieć, gdzie i w jakich warunkach się znajdują, więc raczej wyobrażał sobie czasy Mieszka i Bolesława. Właśnie miał zostać pasowany na rycerza za wielki czyn, a nawet zdobył już zbroję, gdy wreszcie zasnął, cały wagon pogrążony był już dawno we śnie.

Następnego dnia pociąg stał w polu, gdzieś między Radomiem i Skarżyskiem. Ranek był mocno chłodny i dzień też, po raz pierwszy tej jesieni pochmurny i mokry. Najwyraźniej Niemcy nie podjęli jeszcze decyzji, co mają zrobić z tym transportem, bo nadal głównie stali, a od czasu do czasu jechali w zmiennych kierunkach.

Wreszcie, już przy końcu krótkiego, grudniowego dnia, wjechali na jakąś większą stację i po kilkunastu minutach postoju, konwojenci niemieccy zaczęli otwierać drzwi i wołać:

- Alle raus! Schnell! Schnell! - Zaskoczyło to więźniów, którzy nie mieli pojęcia, że dojechali do miejsca przeznaczenia, ani też, że teraz właśnie nadszedł moment ich zwolnienia. Spodziewali się raczej, że zostaną popędzeni do jakiegoś nowego obozu lub więzienia. Tymczasem Niemcy najwyraźniej zainteresowani byli tylko szybkim opróżnieniem pociągu,

natomiast zupełnie przestali interesować się ludźmi, którzy już wysiedli. Nikt nie zatrzymywał grup, które odrywały się od kłębiącego się przy wagonach tłumu, nie bronił ucieczki tym, którzy z niedowierzaniem nagle się na to decydowali. Po pewnym czasie dopiero stało się oczywiste, że każdy mógł sobie pójść, gdzie chciał. To znaczy gdzie?

Ponieważ koniec podróży był zupełnie niespodziewany, więźniowie nie byli na to przygotowani, teraz dopiero zbierali i pośpiesznie pakowali rozłożone w wagonie rzeczy. Następnie podając je i schodząc sami, blokowali drzwi, które znajdowały się dość wysoko nad torowiskami, a nie było przy nich żadnych schodków ani drabinek. Zwłaszcza dla osób starszych, zejście nie było łatwe i to nawet mimo pomocy tych, którzy już znaleźli się na dole. Tymczasem gdy wagon już był częściowo rozładowany, do wnętrza weszło kilku konwojentów niemieckich, najwyraźniej zniecierpliwionych i zaczęło ponaglać krzykiem, a następnie i kolbami karabinów wypychać jeszcze wysiadających. Wprawdzie trzeba uczciwie przyznać, że nie były to uderzenia, konwojenci nie bili kolbami, a tylko popychali dotychczasowych więźniów. Jednak i tak matka Angusa, osoba dosyć ciężka i starsza, która z początku jakoś nie mogła się zmobilizować do zeskoczenia i stała na skraju, podczas gdy Angus i rzeczy już były na dole, pchnięta kolbą spadła na dół. Pomimo próby Angusa podtrzymania jej, przewróciła się razem z nim i uderzyła przy tym głową o szynę. Wstała wprawdzie dość szybko, ale jakaś oszołomiona i teraz to Angus musiał ją prowadzić i pierwszy raz w życiu, naprawdę się nią opiekować.

### **Ofiarność i solidarna postawa społeczeństwa polskiego w nieszczęściu.**

Trzeba wyraźnie powiedzieć, że w tamtych czasach społeczeństwo polskie, przynajmniej dopóki nie utraciło najlepszych jednostek, wymordowanych w pierwszej kolejności, wykazało wysoki stopień solidarności, reagując na nieszczęścia prawidłowo i szybko. Jest faktem, że w ciągu swojego dalszego, niespodziewanie długiego życia, Angus nigdy i nigdzie nie spotkał się z takim zaangażowaniem, naturalnym poświęceniem i inteligentną organizacją. I to powszechnie, zwykłych ludzi. Także i tym razem. Przecież transport więźniów został dopiero co przywieziony do Ostrowca Świętokrzyskiego (Angus zobaczył napis na tablicy, na budynku ekspedycji towarowej), zatrzymał się i został szybko i raczej niespodziewanie wyładowany nie przy samym dworcu, ale opodal, na torach towarowych. A jednak już po mniej niż pół godzinie, przy kłębiącym się tłumie oszołomionych i w dużej części bezradnych, świeżo zwolnionych więźniów pojawili się doraźnie skrzyknęci, przedstawiciele różnych komitetów i organizacji opiekuńczych, a także i prywatne osoby, które dowiedziały się o transporcie i przyszły udzielić pomocy.

Ten przykład nie wyczerpuje sprawy: po klęsce, po przegranej wojnie wszędzie pełno było ofiar, rannych, uchodźców, uciekinierów, często bez środków do życia, po prostu bezmiar nieszczęść. Ci, co przeżyli i ocaleli, bez chwili wahania starali się pomóc jak mogli, nie zważając na siebie, ani uszczerbek materialny, ani żadne inne własne sprawy i to było naprawdę powszechne. Ludzie i wtedy nie składali się z samych aniołów, ale nawet ci mniej altruistyczni nie mogli się wyłamać przy takim przykładzie. Nigdy potem taka wzajemna pomoc i po prostu prześciganie się w dobrych intencjach i czynach już się nie powtórzyły i w dzisiejszych czasach mogą wydać się wprost nie do wiary.

W niedużym mieście, oprócz licznych uchodźców znajdowały się już tłumy rannych żołnierzy z oddziałów, rozbitych w pobliskich bitwach, nie mówiąc już o zbombardowanych, rannych cywilach, ukrywających się uciekinierach itp. Do tego w krótkich odstępach czasu i bez uprzedzenia, Niemcy przywieźli i po prostu wyrzucili z wagonów trzy duże transporty, kilka tysięcy ludzi obrabowanych ze wszystkiego, bez żadnych środków do życia, oczywiście bezdomnych i w znacznej części bezradnych, dzieci lub starych i chorych. A jednak wszystkim zapewniono schronienie, nikt nie pozostał opuszczony ani też głodny czy spragniony - choć naturalnie trzeba było improwizować, działać prowizorycznie i to szybko. Chyba jednak świat i ludzie na nim byli wtedy inni, na różnym poziomie niż obecnie. Teraz trudno byłoby spodziewać się i to zarówno w Polsce, jak i w innych społeczeństwach takiej reakcji.

Część ludzi przyjęli od razu do siebie okoliczni mieszkańcy. Spontanicznie, mimo, że zdawali sobie sprawę, że biorą do swoich mieszkań lub domów kogoś, kogo może być trudno pozbyć się w przyszłości, bo nie mają i także w przyszłości nie będą mieli dokąd pójść, a więc po pewnym czasie mogą stać się bardzo kłopotliwym obciążeniem. Prawda, że nadal wszyscy wierzyli, że wojna potrwa krótko, na wiosnę, a najdalej w lecie Niemcy będą pobite.

Innych powstałe doraźnie komitety pomocy lub po prostu różne grupki prowadziły do lokali różnych miejscowych organizacji, od towarzystw pomocy szkolnej do kółek różańcowych, otwarto też natychmiast pobliskie budynki szkolne i publiczne, oczywiście te, które nie były zajęte przez armię niemiecką. Nawet kaplice.

Matka z pomagającymi osobami i grupą innych ludzi ruszyli mokrymi i ciemnymi ulicami. Angus za nimi, a ponieważ nie był w stanie sam unieść wszystkich rzeczy, jemu też pomagali przechodnie. Wstyd przyznać, ale Angus stale rozglądał się za pakunkami tak, jakby obawiał się, że ci pomagający mu, mogą je ukraść. Po prostu pierwszy raz był w takiej sytuacji, kiedy na nim spoczywała cała odpowiedzialność, opiekował się matką i jednocześnie

musiał ją zastępować, uważać na wszystko - nie umiał się znaleźć, a przy tym obawiał się, że jeżeli coś zaniedba albo w ogóle pokręci, potem matka będzie przypisywać mu winę.

Po kilkunastu minutach, znaleźli się przy hotelu fabrycznym Zakładów Ostrowieckich. Właściwie był on jeszcze nieczynny, remont zakończono tuż przed wojną. Matka z synem umieszczona została na razie w jednym kącie dużego pustego pokoju, w pozostałych trzech kątach umieszczono jeszcze trzy inne rodziny. Obiecano, że jutro dostarczone zostaną jakieś meble, chwilowo była tylko nowa i jeszcze czysta podłoga. Natomiast czekały już na nich duże garnki z gorącą kawą, chleb i coś do tego, co się dało szybko zebrać, w każdym razie nikt nie został głodny. Najważniejsze, że były czynne łazienki i można było się nareszcie umyć.

Mieli ze sobą pościel i ciepłą odzież, bo chociaż z domu nie wiele mogli wziąć, lecz już w obozie zostali zaopatrzeni przez rodzinę, głównie ciocię i kuzynkę z Podłozin, które przywiozły im to i różne inne rzeczy osobiście. Teraz więc rozłożyli się na podłodze, do czego już zdążyli przywyknąć w obozie (choć przydałoby się trochę słomy) i poszli spać.

Następnego dnia rano, matka wysłała Angusa po zakupy. Co za niesamowite wrażenie, po prostu móc pójść do sklepu i kupić mleko, świeże bułki i różne inne rzeczy, zupełnie tak jak kiedyś, gdy jeszcze mieszkał w domu. Po prostu szczyptał się po drodze, żeby przekonać się, że to mu się nie śni. Teraz mógł sam zrozumieć, jak czują się świeżo wypuszczeni więźniowie.

Po śniadaniu, starał się namówić matkę, żeby położyła się chociaż na jeden dzień, bo nadal miała zakłócenia równowagi i bolała ją głowa. Proponował, że on sam poszuka lekarza, już w sklepie dowiadywał się o adres. Ale matka nie dała się przekonać.

Kobiety są dziwne i Angus nigdy nie umiał ich zrozumieć. Matka uparła się, że musi zawiesić coś przynajmniej na jednym oknie, tym bliższym do ich kąta - i to zaraz, natychmiast. Nie miała wprawdzie prawdziwych firanek, ale wyszukała coś, co nadawało się na tymczasową zasłonę. Angus po prostu nie mógł tego pojąć, dla niego okno samo, jako takie, było najzupełniej naturalne i nawet ładniejsze, obwieszanie go jakimiś kawałkami materiału uważał za niedorzeczność. Tymczasem wszystkie kobiety z rodziny, także i przyszłej, dostawały po prostu jakiejś manii, na widok okna musiały natychmiast czymś go obwiesić.

Teraz też, najpierw matka kazała mu wejść na krzesło (rzeczywiście, z samego rana dostali parę i stolik, łóżka miały ewentualnie zostać dostarczone później) i coś wieszać, poprawiać, zmieniać. Nie dość tego, nie zadowolona z rezultatu sama weszła na stolik i próbowała upiąć to według własnego wyobrażenia. Nie zwracała uwagi na protesty Angusa.

To się musiało źle skończyć. W pewnym momencie, przewróciła się razem ze stolikiem i krzesłem i mimo próby złapania jej przez Angusa, znowu, po raz drugi uderzyła mocno głową o podłogę. Tym razem na dobre straciła przytomność.

Duże zamieszanie. Obecni w pokoju mieszkańcy pozostałych trzech kątów rzucają się z pomocą, jedni układają ją na posłaniu i rzeczach w kącie, inni przynoszą wodę, każdy ma własne zdanie i doradza coś innego. Całe szczęście, że Angus miał już ten adres lekarza, chociaż nie zdołał przedtem namówić matki, żeby zamówiła wizytę albo sama poszła. Teraz, nie czekając nawet na cucenie zemdlonej ani na wyjaśnienie, czy to rzeczywiście zemdlenie, zostawił wszystko i wszystkich i biegiem ruszył przez mokre ulice, padał drobny „kapuśniaczek”, najwyraźniej pogoda na dobre się zmieniła. Po drodze minął jakiś mały kościół lub kaplicę, ale nie zatrzymał się nawet na sekundy, poprosić o pomoc Pana Boga. Chociaż wtedy jeszcze był bardzo religijny. I bardzo przerażony. Po raz pierwszy po prostu odchodził od siebie z desperacji, dotychczas nigdy nie bał się o matkę, pod gradem kul był zupełnie pewien, że jej absolutnie nic nie grozi, że jest tak niezniszczalna, jak sama ziemia.

A teraz nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, bez rozsądnego powodu, zupełnie nie spodziewanie, zniecka, jak piorun z jasnego nieba, bez najmniejszej chmurki, w jedną sekundę - w poprzedniej wszystko było w porządku, jak zawsze - a w sekundę potem świat się zawalił - kiedy - dlaczego. Teraz, po drodze nie zdążył nawet obmyślić, co mógłby obiecać Panu Bogu, czym Go skusić, przekupić - powtarzał tylko bez przerwy - Panie Boże weź lepiej moje życie, moje zamiast Mamy, przecież ja mógłbym żyć dłużej, to ja chcę, powinienem, wolę sto razy umrzeć - ale zdawał sobie sprawę, że mówi właściwie bez sensu, przecież nie popełni samobójstwa, a co za sens ofiarować Panu Bogu coś, co i tak zależy tylko od Jego Woli, to znaczy jeżeli to wszystko, w co dotąd wierzył, trzyma się jakoś kupy, jeżeli świat ma jakiś sens.

Choć tak zagubiony w sobie, nie zagubił się w drodze, nie zatrzymując się biegł po mokrych chodnikach i kamieniach, po drodze rzucając krótkie pytania o ulicę i dom, najkrótszą drogą do celu jakby sam był takim kamieniem, spadającym wprost na określone miejsce, roztrzacając przeszkody. Lekarza akurat zastał wychodzącego, śpieszył do szpitala. Angus sam właściwie nie zdawał sobie później sprawy, jak zdołał go przekonać, przecież tamten miał wiele i to być może gorszych wypadków, była wojna i wiele innych ofiar. Nie pamiętał też, kiedy złapał dorożkę i wyjaśniał Panu Doktorowi, że nie stracą ani minuty, bo odwiezie go potem prosto do szpitala i nadrobią stratę czasu, może nawet Pan Doktor będzie o parę minut wcześniej.

Udało się, przywiózł lekarza, a matka żyła, na szczęście. Odzyskała przytomność, w każdym razie w pewnym stopniu, bo nie była świadoma gdzie jest i co się stało. Nie mogła się też podnieść, przewracała się natychmiast nawet gdy tylko próbowała usiąść. Ale jednak przyjechali w porę, nie umarła.

Doktor przypuszczał, że to wstrząs mózgu, ale uznał, że konieczne jest prześwietlenie czaszki, a zwłaszcza jej podstawy. Dlatego tą samą dorożką, pojechali razem do szpitala. Tam Angus długo czekał i właściwie niczego nie mógł się dowiedzieć, a w końcu tylko, że matka musi tu parę dni pozostać.

W tym czasie Angusowi nareszcie udało się pomodlić, ale przeszkadzało mu teraz zimno, po prostu nie mógł opanować trzęsienia się, nie zdawał sobie sprawy z temperatury i dopiero teraz zaczął to odczuwać. Całe szczęście, że pokój w którym czekał był ogrzewany, nie tylko ciepły, ale nawet gorący.

Po paru godzinach, matka znalazła się w małej salce na dole, gdzie mieściło się osiem łóżek. Zdumiewające, ale Angus nie zapamiętał, ba nawet nigdy nie poznał nazwiska lekarza, który faktycznie ich uratował, a teraz krótko ale życzliwie powiedział mu, żeby się nie martwił, wstrząs mózgu powinien ustąpić w ciągu jakiegoś tygodnia, a nic nie wskazuje na dalsze komplikacje, zdjęcia są w porządku i świadomość też wróciła. Wpisał i jego, Angusa, jako chorego, silne przeziębienie z możliwością zagrożenia płuc, ale właściwie tylko dlatego, żeby tymczasem mógł zostać przy matce, tym bardziej, że to wpłynie na nią uspakajająco. Jeżeli potem będzie lepiej, to Angus może zawsze pomóc trochę przy rannych, ale póki jest przeziębiony, to niech do nich tymczasem się nie zbliża. Lekarz żartował sobie, mówił do Angusa - kolego - i dodał jeszcze: - sam rozumiesz, że nie mogłem inaczej postąpić z kimś, kto udzielił mi tylu dobrych rad, no i w ogóle, w ciągu tego krótkiego czasu doksztąpił mnie lepiej, niż kilka wykładów uniwersyteckich. - Angus tym razem w ogóle nie otworzył ust, tylko kłaniał się chyba kilkanaście razy. Szczerze mówiąc, wydawało mu się, że i przed tem mało mówił, przecież starał się odpowiadać tylko na pytania i to jak najkrócej.

Matka pozostała w szpitalu nie tydzień, ale trzy, chociaż Angus nie miał żadnych wątpliwości, że po tygodniu przyszła już do siebie. Pozostałe dwa bezwstydnie wykorzystywała sytuację, po prostu symulowała. Angus naturalnie czynił jej z tego powodu gwałtowne i gorzkie wyrzuty - wytłumaczyła mu po prostu, że za dalszy pobyt w szpitalu wniosła opłatę, pieniądze jeszcze miała, a dobrze, że znalazła ką, gdzie mogą wreszcie przyjść do siebie i wcale jej się nie śpieszy z wyjściem. Jeżeli trochę przesadza, to robi to też po prostu ze względów przyzwoitości, także żeby i lekarzy nie stawiać w niezręcznej sytuacji. A w porządku ze zdrowiem jeszcze nie jest.

Nowy i duży budynek Szpitala Ubezpieczalni Społecznej funkcjonował jako Szpital Polowy Czerwonego Krzyża i przez pewien czas zajęty był całkowicie przez rannych, którzy wprost nie mogli się pomieścić, zajmowali każde wolne miejsce, korytarze, komórki, poddasze i piwnice. Ale to był już trzeci miesiąc i rannych ubywało, więc kilka pokoi na parterze można już było oddać dla można powiedzieć, stałych pacjentów dotychczasowego szpitala rejonowego. W jednym z tych pokoi, w którym pomieszczono teraz aż osiem łóżek, między parawanami, umieszczono matkę, a potem jakoś wepchnięto jeszcze mniejsze łóżko dla Angusa i też odgrodzono parawanem.

Tam właśnie miała miejsce ta trudna i cicha (ze względu na innych) rozmowa. Oczywiście, Angusa to wcale nie przekonało i nadal uważał dalsze zajmowanie miejsca jeżeli nie za przestępstwo, to w każdym razie wielkie nadużycie. Ale z drugiej strony był tak szczęśliwy z tego powodu, że wszystko dobrze się skończyło, że nie wiercił tego tematu zbyt długo.

Rzeczywiście trzeba przyznać, że znowu, podobnie jak i w czasie ewakuacji, matka i syn mieli cały czas niezwykle szczęście, trafiając na stosunkowo najbezpieczniejszą niszę. Także i pobyt w obozie przebyli w czasie, kiedy warunki były jeszcze całkiem znośne. Przede wszystkim służbę strażniczą pełniły jeszcze normalne, tyłowe jednostki Wehrmachtu, a nie bestie w ludzkiej skórze. Poza tym dary społeczeństwa zapewniły jeszcze wystarczające wyżywienie, a ciepła pogoda wyjątkowej jesieni znośną temperaturę w lekkich barakach. Wreszcie i transport wypadł na ostatnie dni pięknej jesieni. Już w parę tygodni później trzy dni podróży, nawet w wagonie osobowym (bo takie, przynajmniej częściowo, dołożono teraz w okresie mrozów dla transportowania więźniów) stały się strasznym przeżyciem. A jeszcze trochę później, w czasie wielkich mrozów, transport w wagonach towarowych, które nadal też były w użyciu oznaczał prawie pewną śmierć. W styczniu, lutym do Radomia, Skarżyska, stacji krakowskich przychodziły całe wagony towarowe pełne zamrożonych, sztywnych trupów. Angus na podstawie swych własnych doświadczeń z podróży miał wątpliwości, czy ci ludzie naprawdę zmarli z zimna, czy też raczej się podusili. Pamiętał zaduch, jaki panował przy uszczelnionych okienkach i także uwagi, że od smrodu jeszcze nikt nie umarł, a od świeżego powietrza wielu. A przecież właśnie przy niskiej temperaturze, zapotrzebowanie tlenu jest największe. (Tu jeszcze raz uwaga, swoje przeżycia mogą wspominać tylko ci, którym dopisało szczęście. O tych, co szczęścia nie mieli, można tylko snuć przypuszczenia, nie ma kogo pytać.)

Pierwsze dni Angus spędził prawie nie wychodząc z pokoju, zwłaszcza że matka była rzeczywiście niezwykle cicha i spokojna i robiła wszystko jak automat, nawet jadła w ten

sposób, ale często go przywoływała. Ale już po kilku dniach zaczęła rozmawiać, a pokój był pełen starszych osób, które lubiły sobie pogadać, bo to była ich jedyna rozrywka i urozmaicenie. Angus obserwował to ze zdziwieniem, atmosfera była naprawdę osobliwa. Ludzie starsi, obojga płci (z konieczności, trzeba było teraz chorych tak przyjmować i pomieścić, jak pozwalało miejsce) rozmawiali tak, jakby przez ostatnie lata zawodowo zajmowali się chorowaniem i często gościli właśnie w tym szpitalu. Z początku różne szczegóły były nawet ciekawe, ale po pewnym czasie wydawały się nieco dziwne. Mieli swoje własne, oryginalne poglądy na medycynę i funkcje ludzkiego organizmu, na przykład katar Angusa (był rzeczywiście przeziębiony, raczej normalne przy zmianie pogody i nietypowych warunkach - to posłużyło jako oficjalna podstawa do wpisania go jako chorego z zagrożeniem itd. itd.) jeden ze starszych panów z trochę dziwnym akcentem komentował: - to bardzo dobrze, katar oczyszcza mózg i dzięki temu rozwija inteligencję.- Angus nie komentował tego stwierdzenia, chociaż miał pewne wątpliwości, podobnie jak i co do metody leczenia wątroby i serca przez naświetlania w beczce obudowanej żarówkami i jeszcze kilka, raczej niezwykłych skojarzeń.

W ogóle, byli to ludzie z różnymi dolegliwościami starszego wieku i przywykli do pobytu w szpitalu dla okresowego podreperowania się. Przy tym chyba raczej trudni pacjenci, mający o wszystkim własne zdanie i często nie zgadzający się z lekarzami w czasie porannych obchodów. Zresztą i o lekarzach też mieli często krytyczne zdanie, a już zwłaszcza o młodszych i o kobietach. Tak się zdarzyło, że ten pokój miała pod opieką właśnie „Pani Doktooor”.

Angus słuchał tego wszystkiego ze zdumieniem i początkowo nawet zainteresowaniem, ale wkrótce przestał na to zwracać uwagę, obchodziło go tylko, czy i kiedy odzywała się matka. Była wstrzemięźliwa w słowach, ale jednak odzywała się i to z sensem, a więc wszystko było na dobrej drodze. Najwyraźniej przychodziła do siebie i już nawet aklimatyzowała się w tym osobliwym towarzystwie, zaczęła też rozmawiać i jego potrzebowała coraz mniej.

Z drugiej strony Angus czasem nie mógł już wytrzymać w pomieszczeniu. Jego ubranie znajdowało się w przegródce koło łóżka, a nie miał żadnych zaleceń ani też zakazów. Jeżeli tu dłużej pozostanie to czuł, że mimo oczyszczającego wpływu kataru mózg przestanie mu funkcjonować. Ubrał się więc i wyszedł, najpierw obejrzeć budynek szpitalny. Chociaż oczywiście ciągnęło go do rannych żołnierzy, pamiętając słowa lekarza nie chciał tam chodzić, póki nie minie przeziębienie. Natomiast wymknął się trochę na ulicę. Na krótko.



Przeszedł tylko najbliższymi ulicami, Kilińskiego i Trzeciego Maja. Właściwie nie widział jeszcze Ostrowca. Nie było to duże miasto i w ten pochmurny i wilgotny, dość ciemny dzień nie wyglądało najlepiej, choć później uznał je za piękne. Oczywiście, w porównaniu do Poznania domy były niewielkie i raczej skromne, kamienic właściwie wcale, a dużych budynków mało. Nie było także tramwajów, ani komunikacji publicznej, na ulicach widać było tylko wozy i pojazdy konne oraz stosunkowo dużo rowerów: samochody były oczywiście niemieckie. Doszedł do mostu na Kamiennej i niespodziewanie obok zobaczył, bardzo interesującą wiszącą kładkę dla pieszych, spacerową, prowadziła tylko do wału przeciwpowodziowego na drugim brzegu rzeki. Potem poszedł jeszcze kawałek główną ulicą, aż do bramy Zakładów Ostrowieckich i wrócił z powrotem, poznając drogę, która przedtem jechał dorożką. Po drodze zauważył liczne gazety, wydawane przez Niemców w języku polskim dla Polaków, tak zwane gadzinówki. Kupił z ciekawości, a także przejrzał kilka wywieszonych numerów i dopiero wtedy dowiedział się, że rozpoczęła się wojna fińsko - bolszewicka.

Typowe. To oczywiście, rzekomo Finlandia napadła na ZSRR, ostrzeliwując jego terytorium ogniem ciężkiej artylerii, a potem jeszcze wykrętnie twierdziła, że przecież takiej artylerii w ogóle nie posiada na lądowym odcinku granicy, jedyne ciężkie działa ustawione są w pobliżu portów na stałych stanowiskach, do obrony wybrzeża. Naturalnie, te kłamstwa na nic się nie przydały, ZSRR z oburzeniem odrzucił także obłudne propozycje utworzenia dwustronnej komisji dla dokonania wspólnej inspekcji strefy przygranicznej.

Gazety były pisane paskudnie, wychwalały Niemców i płaściły się przed nimi, a także sławiły sojusznika Niemiec, bohaterską Armię Czerwoną, jej siłę, sprawność itp. Dziwne było tylko, że druzgoczące zwycięstwa odnoszone były ciągle w tych samych miejscach. Także i mapki z rysunkami frontów nie zmieniały się. To wyglądało po prostu tak, jakby Armia Czerwona rozpoczęła ofensywę i zwyciężała, nie ruszając się z miejsca. A przecież takie zwycięstwa odnosi się co najwyżej w bitwach obronnych, a nie w natarciu. Z drugiej strony, trudno sobie wyobrazić, żeby malutka Finlandia mogła mieć najmniejszą szansę w walce z tak potężnym przeciwnikiem, przecież to przewaga ilościowa wprost niewyobrazalna, no, powiedzmy kilkadziesiąt razy. Więc pomyślał sobie, że chociaż biją się dzielnie, nie zdołają się bronić dłużej, niż jeszcze jeden tydzień, góra dwa.

Drugą interesującą wiadomością była bitwa morska koło Montevideo, Niemcy stracili lub w najbliższym czasie mieli stracić jeden pancernik, ale właściwie nie miało to dużego znaczenia, od początku był przekonany, że w walce z Flotą Brytyjską są bez szans. Reszta, opisy nadludzkiego męstwa niemieckich marynarzy, umiejętności i poziomu dowództwa,

sukcesy w bitwie i ciężkie straty Anglików to była oczywiście osłoda gorzkiej pigułki, oczywiste bzdury, plewy które należało odsiać od faktów. Ale gdyby nawet Niemcy tracili codziennie jeden okręt, to jeszcze ciągle nie zmusi ich do kapitulacji i to jeszcze ciągle nie jest prawdziwa wojna. W każdym razie coś się zaczęło dziać, mała rzecz a cieszy.

Gazety podarł i wyrzucił. Te wiadomości nie miały dużego znaczenia, a nie chciał przynosić i pokazywać takich wstrętnych szmat ani matce, ani nikomu innemu.

Ale już wracając, dokonał wspaniałego odkrycia. Otóż na ulicy Kilińskiego natrafił na otwartą wypożyczalnię książek dla młodzieży - Bibliotekę Macierzy Szkolnej. Co więcej, podano mu tam adres jeszcze jednej położonej w pobliżu biblioteki, Towarzystwa Czytelní Ludowych. W obu tych bibliotekach udało mu się zapisać bez żadnych trudności i podobnie jak kiedyś w Poznaniu mógł zaraz wybrać i wziąć po kilka książek, zaś niewielkie kaucje zgodne z regulaminem pobrano tylko za jedną. Powody tego postępowania poznał jeszcze w Poznaniu i wcale go to nie zdziwiło, również i te biblioteki czekało zniszczenie. Po prostu Niemcy jeszcze do nich nie dotarli. Mimo wszystko, na razie to najlepsza rzecz, jaka spotkała go od miesiąca. Najlepsza jaka w ogóle mogła go spotkać, z wyjątkiem oczywiście gdyby udało mu się wziąć udział we walce. Teraz przynajmniej mógł spokojnie czekać na zwycięstwo, łatwiej przeboleć, że nie udało mu się dotąd wnieść swojego wkładu.

Wrócił do szpitala z zapasem strawy duchowej i na kilka dni pogodzony ze światem, chociaż to tylko taka sobie lektura przygodowa. Ale dopiero w kilka dni i kilka pożyczonych książek później trafił na taką, która faktycznie zadecydowała o jego dalszych życiach. Nie była to nawet książka, ale stos wydawanych co tydzień zeszytów, powieść Buyano-Arctowej dla młodzieży pt „Wyspa mędrców” z gatunku tak zwanej obecnie fantastyki naukowej. Angus oczywiście czytywał już podobne książki, chociażby Juliusza Verne’a. Ale ta właśnie, stanowiła dla niego prawdziwe objawienie. Wyprzedzała ona na pewno swoją epokę, co wcale nie znaczy, żeby była aż taka dobra. Zawierała czasem wizje wprost genialne, ale obok tego fragmenty przeciętne, a czasem nawet bzdurne albo płaskie. Jednym słowem była bardzo nierówna, może niedojrzała albo niedopracowana. Z drugiej strony, przez zwykłą eliminację, inteligentny skrót, dobre cięcia redaktorskie, mogłoby z niej powstać dzieło w swoim gatunku naprawdę wybitne, lepsze o całą klasę od dotychczas istniejących (choć prawdopodobnie obecnie ten rodzaj twórczości osiągnął jeszcze lepszy poziom).

Dla Angusa było to otwarcie się nowego świata dlatego, że te dobre (albo też, które on uważał za najlepsze) fragmenty dokładnie odpowiadały temu, o czym on sam od dawna marzył, ale w sposób nieudolny, sam jeszcze nie umiejąc tego sprecyzować. Zobaczył przed sobą świat, który go oczarował, cudowny świat cudownych wynalazków.

Ta książka dawała nową wizję świata, ukształtowanego przez świadomość, przez potęgę ludzkiego umysłu. To wszystko, co działo się na ziemi, w każdym razie jeżeli chodzi o ludzkość i jej działania, było wynikiem osiągnięcia pewnego progu umysłowego, poziomu świadomości. To rozwój myśli prowadził do nowych skojarzeń, rozwiązań i dróg, część z nich przy dalszym rozwinięciu zostawała sprowadzona do absurdu i zanikała sama z siebie, niektóre ulegały zapomnieniu, ponieważ nie pasowały do współczesności i czasem wracały po latach lub wiekach, inne stawały się naturalną częścią życia i działalności ludzi, a w przyszłości podstawa nowych rozwiązań. Wszystko wynikało w sposób naturalny jedno z drugiego.

Jedno nowe rozwiązanie mogło znaczyć więcej dla dziejów świata, niż wygrane lub przegrane bitwy czy wojny, a dysponując paroma, a może nawet tylko jednym wielkim wynalazkiem można by zapewne osiągnąć potęgę większą, niż dowódcy wielkich armii lub władcy państw czy dawni królowie.

Książka rzucała wiele idei takich możliwych, wielkich wynalazków, wystarczyłoby znaleźć rozwiązanie chociaż jednego z nich, żeby zmienić świat. Niestety, dopiero teraz zaczął sobie zdawać sprawę jak mało jest do tego przygotowany. Nie wiedział nic, co do tego celu potrzebne.

Angus ukończył dopiero pięć klas szkoły powszechnej (i tak przeskoczył jedną klasę, według wieku powinien by dopiero teraz być w piątej). Nie uczył się więc ani fizyki, ani chemii, nie miał też żadnego przygotowania technicznego. W piątej klasie, jako nowy przedmiot weszła dopiero tzw. przyroda nieożywiona, opisująca niektóre zjawiska natury, przygotowanie do przyszłej fizyki i chemii. Więcej, niż z programów szkolnych, skorzystał z czytania, w tym wypadku książek dla młodzieży, tzw. popularno-naukowych lub oświatowych, a także podobnych książek dla profanów, tzw. lekkoduchów lub pięknych pań, aby mogli zaimponować słuchaczom w rozmowie i do tego celu potrzebowali wiedzieć akurat tyle, żeby móc lekko prześlizgnąć się po jakimś temacie tak, jakby rzeczywiście coś wiedzieli.

Angusa w przeszłości najbardziej interesowało, jak się robi różne rzeczy - od cementu, szkła i stali aż do na przykład świecy, mąki czy tkanin. Czytał książki i gromadził różne wiadomości bez wyboru, to znaczy te fragmenty które zdołał zrozumieć. W rezultacie miał w pamięci różne szczegóły i strzępy informacji, a między nimi przepaści pustki. Dla przykładu, choćby z wspomnianych uprzednio książek Bertrand'a Russel'a, wybrał i zapamiętał jako cenny fragment o hydroponicznej hodowli roślin, który zrobił na nim fantastyczne wprost wrażenie. Podobnie przyswoił sobie wiadomości na przykład z takich, wymieniając tylko

lepsze i na poziomie książki dla młodzieży, jak „Wielcy twórcy cywilizacji” Sprague de Camp’a, a także „Historia odkryć”, „Historia wynalazków” itp. itp., ba, dokopał się nawet starego wydania „Dziejów świecy „Faraday’a. Czytał wiele pseudo-naukowych lub -technicznych opisów w czasopismach, od „Tęczy” aż do książki w podobnym stylu, „Bocznej anteny” Winawera.

Oczywiście, nie było w tym żadnej systematyki ani powiązania, wszystko to przypominało raczej kupę śmieci, z których starał się wybrać i odłożyć w pamięci części, dostępne i zrozumiałe i które, miał nadzieję, mogły przydać się w przyszłości. Nie tracił nadziei, że kiedyś staną się one użyteczne. Jeszcze w Podłożinach usiłował namówić wujka żeby spróbował hydroponicznej hodowli roślin. A już wcześniej planował na przykład, jak zgromadzić opał i tanim kosztem, własnymi rękami wyprodukować wapno i cement, albo chociaż jakąś prostą zaprawę hydrauliczną w rodzaju robionych w starożytności, a także cegły i zbudować tajemniczą kryjówkę w zagajniku, albo ukrytą wieżyczkę czy strażnicę, lub może coś w rodzaju bocianiego gniazda na starym, gęstym drzewie. Zbudować lunetę z soczewek (przygotował projekt) a także samemu zgarbować skórę i zrobić coś w rodzaju mokasynów itd. itd. Takich projektów miał całe dziesiątki, niestety zawsze tak się pechowo składało, że nie mógł nikogo namówić do współpracy. Ponieważ zaś sam nie był dostatecznie przygotowany, trzeba było odłożyć to na później.

Nie trzeba wyjaśniać, że ze strony odmawiających była to nie żadna złośliwość, ale zdrowy rozsądek, jego pomysły miały mniej więcej taką wartość, jak tygrysi skok Mao. Byłaby to próba produkcji przemysłowej, metodami nawet nie rzemieślniczymi, bo każdy rzemieślnik, nawet czeladnik czy uczeń, musi zdobyć pewne doświadczeni i wiedzę praktyczną, ale używając starego określenia cechowego, tzw. partactwa.

Teraz to było coś zupełnie innego. Musiał zdobyć potrzebną wiedzę, dysponować informacją, uzupełnić braki, żeby następnie móc opracować te wielkie wynalazki. Potem dysponując nimi, będzie mógł, w razie potrzeby nawet sam jeden, pokonać zło i zmienić świat. Gdyby w przyszłości miał urodzić się drugi Hitler (bo obecnemu i tak nie zostało już wiele czasu, wkrótce zostanie pokonany), to nie będzie miał żadnych szans.

Przede wszystkim musi wprowadzić jakiś porządek, ułożyć systematycznie te strzępy wiadomości, jakimi już dysponuje i przynajmniej zorientować się, jakie luki między nimi istnieją. Nie wątpił, że kiedy uzupełni braki i zdobędzie odpowiednie przygotowanie, potrafi rozwiązać problemy techniczne, a to z następującego powodu: W książkach popularna naukowych i opisach rozwoju techniki prawie zawsze udawało mu się z góry przewidzieć z góry ciąg dalszy na podstawie tego, co dotąd przeczytał. Antycypować co będzie dalej, jak

dalej będzie wyglądał rozwój, albo przynajmniej jak powinien być. To się zwykle dokładnie zgadzało, a Angus nie zdawał sobie sprawy, że po prostu te książki starają się ukazać postęp w logiczny sposób, ułożyć według zasad, które stały się oczywiste i jasne dopiero „post factum”, a nie były takie przedtem, kiedy powiązania nie były jeszcze wyjaśnione ani przewidziane.

Od czegoś trzeba zacząć. Zdecydował się więc najpierw wstąpić do księgarni i przejrzeć podręczniki do wyższych klas szkolnych. Na początek wybrał podręcznik do kolejnej, szóstej klasy, potem dokupił jeszcze do siódmej. Znalazł tam podstawy fizyki, w tym także rozdziały o elektryczności i magnetyzmie, wraz z rysunkami prostych urządzeń, także motorów i dynamo-maszyn itd., W oparciu o to, miał nadzieję stworzyć pierwsze plany swoich wynalazków, o których na razie wiedział tylko, do czego mają służyć, to jest jakie chciałby, żeby były - o ile to możliwe. Dokupił też kilka zeszytów, ołówków i gumkę.

Nie ma w tym nic dziwnego, że Angus był naiwnym dzieckiem, bo ostatecznie jaki miałby być mając 8 grudnia, w dzień zapowiadanego cudu i końca wojny, akurat jedenaście i pół lat bez dwudziestu dni. Z drugiej strony, najbardziej nawet naiwna wiara we własne siły nie jest wadą i nie koniecznie musi być uważana za skrajną głupotę. On zakładał, że jeżeli zacznie próbować swych sił od zaraz, to może nie zaraz, ale kiedyś, w końcu musi znaleźć, albo chociaż przypadkiem trafić na potrzebne rozwiązanie. Oczywiście, trzeba wiele się dowiedzieć i nauczyć, ale może to równie dobrze robić, próbując coś osiągnąć, nawet jeżeli te próby zaraz od samego początku nie będą pomyślne, nie przyniosą efektu.

Przecież kolega po przyszłym fachu, Edison też zaczynał jako dziecko i nie mając, jak to się mówi, pojęcia o wyobrażeniu. Angus nigdy nie wątpił w siebie. Co jak co, ale nigdy nie cierpiał ani na kompleks niższości, ani na wrodzoną, przesadną skromność.

Podręczniki przeczytał w kilka dni i niezwłocznie zaczął rysować i obmyślać (często w takiej właśnie kolejności) plany przyszłych wynalazków. W pierwszej kolejności miały to być wynalazki wojenne. Większość z nich dotyczyła jednego: motorów dostarczających wielkiej ilości energii, praktycznie nieskończonej i to oczywiście z niczego. Krótko mówiąc perpetuum mobile. Oczywiście, przyczyna była prosta: Angus nawet po zapoznaniu się z rysunkami i zasadami działania różnych prostych urządzeń mechanicznych i także elektromagnetycznych, jak dynamo, motor, komutator itd., ciągle nie miał pojęcia o zasadzie zachowania energii, a tym bardziej rozpraszania energii, o tym że jej przejście możliwe jest tylko z postaci bardziej do mniej zorganizowanej.

Owszem, wiedział już, że nikomu nie udało się zbudować perpetuum mobile, ale dla niego to jeszcze nie oznaczało, że to nie powiedzie się w przyszłości. A już zupełnie nie

chciał przyjąć do wiadomości, że energia może się tylko rozpraszać, dla niego wydawało się oczywiste, że jeżeli coś daje się rozproszyć, ale nadal istnieje, to może być znowu skupione. Owszem, to może być trudne. Ale to nie znaczy, że się nie uda, zwłaszcza jemu.

Od tej pory nie tylko w czasie obecnego pobytu w szpitalu, ale przez następne miesiące, zwłaszcza zimowe, obmyślał, wyobrażał sobie i rysował różne konstrukcje, głównie perpetuum mobile, od najprostszych do bardzo złożonych, mając nadzieję, że któreś z tych wymyślonych urządzeń powinno działać, to się wydawało na rysunkach po prostu pewne.

Te najprostsze opierały się na różnych złożeniach i rozłożeniach sił, przenoszenia wektorów według właśnie poznanych zasad graficznych w taki sposób, żeby w końcu doprowadzić do pary sił nierównej wielkości albo o różnych miejscach przyłożenia, co ostatecznie miało zapewnić ciągły lub obrotowy ruch danego ciała lub urządzenia. W innych projektach chciał wykorzystać siłę przyciągania, czasem także elektrycznego lub magnetycznego, nie zdając sobie sprawy, że siły te są zawsze wzajemne: wyobrażał sobie, że jedno ciało może przyciągać drugie, a to drugie pierwszego nie, względnie można będzie uzyskać oddziaływanie o różnej sile; w takim razie zwykłe umocowanie tych ciał na wspólnym prowadzeniu mogłoby spowodować samoistny ruch takiego układu.

Bardzo ciekawił go też ewentualna możliwość, utworzenia pojedynczego bieguna magnetycznego, monopolu. Przeczytał, że to niemożliwe, że zawsze przy podziale powstają dwubiegunowe magnesy, ale zastanawiał się nad bardzo długim magnesem, tak, żeby oba bieguny znalazły się naprawdę daleko od siebie. Na niektórych rysunkach, próbował połączyć je długim, elastycznym drutem, mając nadzieję, że taki układ pozwoliłby na stałe czerpanie energii na koszt ziemskiego pola magnetycznego. Niby nie prawdziwe perpetuum mobile, ale coś, jakby czerpanie wody z ogromnego, praktycznie niewyczerpalnego źródła. Tylko czy wydajność byłaby na tyle znaczna, że warto się tym zajmować? Nie miał najmniejszego pojęcia, jak to zmierzyć lub policzyć.

Próbował też przedstawić inteligentną amunicję, kierującą się lub kierowaną przez umieszczony przed czubkiem pocisku, w układzie kaczka, mały sterowniczek aerodynamiczny. Jeżeli problem wysyłania, a zwłaszcza odbierania sygnału przez takie urządzenie okazałby się zbyt trudny, to uproszczone warianty obejmowały pocisk poruszający się po liniach krzywych, na przykład karabin maszynowy strzelając na wprost mógłby dać efekt ognia flankującego zaporowego. Do tego wystarczyłoby stałe nastawienie urządzenia. Możliwe sporządzić, choćby na podstawie prób, celownik z poprawką boczną do takiej amunicji. Ewentualnie inna możliwość: wyprostowania na pewnym odcinku toru

balistycznego pocisku, tak, żeby aż do znacznego wyczerpania prędkości przebiegał on bardziej płasko.

Być może, wspomnianie tych i wielu podobnych projektów stanowi tylko stratę czasu, gdyż ich jedyną znaczącą cechą stanowi połączenie fantazji z ignorancją, oczywiście. Tym niemniej Angus rozpoczął to teraz, w szpitalu, a do końca zimy zappełnił trzy bruliony. Dopiero wtedy przeprowadził pierwszy i ostatni eksperyment, ważąc na zwykłej wadze osobno magnes, kawałek żelaza oraz zeszyt, a następnie ten sam kawałek żelaza, położony z magnesem (przedzielone zeszytem). Powtarzał to z rosnącym rozczarowaniem w różnych wariantach (np. podwieszając elementy do wagi, niestety, waga końcowa zawsze była sumą wag składników, żadna kombinacja tego nie zmieniała. To był druzgoczący cios, bo gdyby wystąpiła chociaż jakaś mała różnica, mógłby się pocieszać, że np. trzeba tylko skonstruować silniejszy magnes, myślał już o budowie elektromagnesu przy którym można by urozmaicić program eksperymentów. Ale przy takim wyniku, doszedł do wniosku, że w jego projektach jest coś zasadniczo nie tak, niestety.

Trzeba się jeszcze wiele nauczyć. Przez pewien czas potem przechowywał jeszcze bruliony, potem je zniszczył, uznając, że gdyby nawet między śmieciami tkwił gdzieś prawdziwy brylant, to i tak nie potrafi go rozpoznać. Natomiast gdyby te zeszyty wpadły w niepowołane ręce, (a właśnie rozpoczął się okres masowych aresztowań i przy tym także rewizji) to mógłby jeszcze, nie daj Boże, natchnąć jakiegoś Niemca. Tym nie mniej, sprawa ta zostawiła głęboki ślad w psychice Angusa i właściwie zdeterminowała jego drugie, a zwłaszcza trzecie życie.

[Określenia, pierwsze, drugie życie itd. rozumie się tu jako okresy życia, rozgraniczone zdarzeniami, w których Angus logicznie rzecz biorąc powinien zginąć, nie miał liczących się szans na przeżycie, a jednak jakoś przeżył, właściwie nie wiadomo, dlaczego.]

Ten sam okres, pobytu w szpitalu zapoczątkował jeszcze jedno odkrycie, ale osobiste, całkiem innego rodzaju. Dokonał go Angus na własnym ciele. Pierwsze dni, spędzone wyłącznie w pokoju szpitalnym i prawie cały czas w łóżku odgrodzonym i zasłoniętym parawanem, obawa zaśnięcia nawet na krótko i zabójcze, nerwowe oczekiwanie na każde odezwanie się matki, przy braku możliwości zajęcia się czymkolwiek spowodowały, że zaczął obserwować sam siebie, badać swoje odruchy.

W tym czasie Angus był jeszcze niedojrzały płciowo, także całkowicie, ale to absolutnie i zupełnie, nieświadomiony. Mieszkając w mieście, nie miał okazji zaobserwować nawet rozmnażania się zwierząt, a rodzice, zwłaszcza matka, czuwali, żeby syn nie zetknął się z nieodpowiednim towarzystwem, nie prowadził niewłaściwych rozmów, nie używał, nie

tylko wulgarnych, ale tzw. niewymownych wyrazów, czyli unikał nazywania rzeczy wprost. Nie czytał nieodpowiednich książek lub pism, bo choć w zasadzie wywalczył sobie prawo do swobodnej lektury, ale wyjaśniono mu, że pewne tematy są w ogóle „grzechem”, więc będąc aż przesadnie religijny, sam ich unikał. Kiedy raz usiłował od kolegów lepiej uświadomionych (choć szczerze mówiąc, niewiele, później stwierdził, że też pletli bzdury), dowiedzieć się, skąd biorą się dzieci, jego rodzice spowodowali dochodzenie w szkole, dla niego strasznie nieprzyjemne przeżycie, kompromitujące w oczach całej klasy. Potem rodzice opowiedzieli mu trochę o rozwoju dziecka w łonie matki, ale w taki sposób, jakby to był proces naturalny i przypadkowy, a mężczyzna nie spełniał przy tym żadnej roli.

Tak więc gdy obecnie Angus ze zdziwieniem zauważył osobliwe reakcje i wrażenia przy badaniu strefy organów płciowych, zupełnie nie łączył tego ze sprawami rozrodczymi ani nawet związkiem między kobietą i mężczyzną. Nie był też na tyle fizjologicznie dojrzały, żeby te manipulacje mogły dać jakiś efekt końcowy, nawet nie był pewien, czy wrażenia są przyjemne, czy też nie. Ale zainteresowanie pozostało i doprowadziło do rezultatów po pewnym czasie.

Jednak po tygodniu pobytu, sytuacja się zmieniła. Matka właściwie całkiem wydobrzała i zadomowiła się wśród leżących w tym pokoju, chorych. On sam, też całkowicie pozbył się przeziębienia i uznał, że nie roznosi już żadnych bakterii. Nareszcie mógł udać się do rannych żołnierzy.

### **Szpital polowy w Ostrowcu i ranni żołnierze.**

Pierwsza nieśmiała wizyta na górnych piętrach polegała na tym, że przeszedł tylko przez sale, usłużnie pytając, czy mógłby być w czymś pomocny, podać coś, przynieść albo poczytać, lub chwilę posiedzieć i porozmawiać. Jedni mówili nie, inni tak, nawiązał pierwsze znajomości.

Po paru dniach znał już wszystko i wszystkich i spędzał na górnych piętrach każdą wolną chwilę, wychodząc tylko w porze posiłków i oczywiście snu. Dowiedział się też dziejów wszystkich pacjentów, przeważnie od początku wojny, czasem tylko od przybycia do szpitala, a czasem aż od urodzenia.

Na pierwszym piętrze, po obu stronach klatki schodowej drzwi otwierały się na korytarz, dookoła którego znajdowały się szeroko otwarte pokoje, tak że z każdej strony całość tworzyła jakby połączoną wspólną wielką salę. Podobnie z drugiej strony schodów. Tak samo było również na drugim piętrze. Takie urządzenie pozostało jeszcze siłą rozpędu z okresu, kiedy szpital przepelniony był rannymi i trzeba było wykorzystać każdy, najmniejszy skrawek miejsca. Natomiast na trzecim piętrze, właściwie mansardowym poddaszu,



urządzano już ponownie pokoje biurowe Ubezpieczalni Społecznej, Rannych zostało tam niewielu i właśnie byli przenoszeni. W tej chwili w szpitalu znajdowało się niespełna trzystu pacjentów i nadal ubywało, przy końcu roku zostało ich około dwustu. Ostatecznie był to już trzeci miesiąc po zakończeniu walk i stan się zmniejszał, w tej chwili nie było już przepełnienia, w każdym razie w porównaniu z tym co było jeszcze niedawno, bo według założeń i projektu budowlanego, według tego, do czego szpital był pierwotnie przeznaczony to tak.

W szpitalu nie było ani jednego oficera, wyłącznie ranni żołnierze i to w większości również prości ludzie. Ranni oficerowie, a także wyższe szarże podoficerskie, zostali przewiezieni gdzie indziej i nawet po wyleczeniu, trafiali do obozów jenieckich (tzn. jeżeli w porę, gdzieś do końca września, nie zorientowali się w sytuacji i nie zniknęli sami). Więc chociaż w szpitalu znalazłoby się jeszcze paru sierżantów, podawali się oni za kaprali, a kaprale za szeregowców, gdyż rannymi zwykłymi żołnierzami na razie się Niemcy nie interesowali i po wyleczeniu, wypisywano ich do domu. Inna sprawa, że pozostały do teraz same prawie ciężkie wypadki, co prawda śmiertelność już się bardzo zmniejszyła, ale wielu inwalidów z trwałym kalectwem. Wiele ciężkich tragedii, niektórzy nie chcieli w ogóle pokazać się w domu i nawet nie zawiadomili rodziny ani nie pisali.

Historia tych ludzi właściwie była bardzo podobna: zmobilizowani zostali już w czasie wojny. Armia rezerwowa (odwodowa) „Prusy” była właśnie tą, na których losie fatalnie zaważyło odwołanie mobilizacji w dniu 26 sierpnia na wspólną interwencję ambasadorów państw sojuszniczych, Anglii i Francji (wymogli oni tą decyzję na rządzie polskim jako samobójczy gest dobrej woli wobec Hitlera). Armia „Prusy” według planów miała osiągnąć stan gotowości i ześrodkować się w dziewiątym dniu mobilizacji, a więc 9 września, ale już przedtem została pobita, zanim osiągnęła nawet połowę planowanych stanów, a ułamek nasycenia bronią ciężką. Do walki weszła praktycznie od 6 września, ale już przedtem wobec stanu wyższej konieczności, specjaliści wysłannicy Naczelnego Wodza wyrwali z organizujących się dopiero oddziałów poszczególne najbardziej zaawansowane w mobilizacji pododdziały i doraźnie kierowali je na najbardziej zagrożone kierunki, do działań osłonowych. Wobec wymuszonego odwrotu Armii Łódź i Kraków w rozbieżnych kierunkach, we froncie polskim wytworzyła się szeroka luka, powodując, że od 6 września Armia „Prusy, na długo przed osiągnięciem gotowości bojowej przestała być rezerwą, a stała się faktycznie armią frontową.

W dniach 6 września i poprzednich, improwizowana obrona przed atakiem z zachodu przynosiła niespodziewanie dobre rezultaty. Doraźnie wyrwane z zespołu i wysłane naprzód

oddziały, wraz z zebranymi, skąd się da, posiłkami, biły się na miejscu bardzo dobrze i odnosiły sukcesy, a Niemcy porażki i znaczne ofiary. Ale katastrofa, jak zwykle w tej wojnie, przysłała gdy w trakcie odwrotu rozpoczął się wyścig między pieszym żołnierzem i motorami. Korpus szybki gen Hoth'a, którego nazwisko stało się później głośnie, obszedł pozycje polskie od południa, zajął Opatów i właśnie Ostrowiec Świętokrzyski i odciął Polakom drogę w stronę Wisły. W dniach 8 i 9 września, kończyła się bitwa w lasach Iłżeckich i Starachowickich, w której odcięte jednostki polskie starały się przebić do Wisły, lecz prawie pozbawione ciężkiej broni, zostały rozbite przez niemieckie czołgi i piechotę zmotoryzowaną. Większość znajdujących się w ostrowieckim szpitalu rannych, zaczęła to spływać właśnie z bitwy pod Iłżą, począwszy od dnia 8 aż do 15 września.

Szpital rozwinięty jako polowy, już przedtem mieścił pewną liczbę rannych, zarówno żołnierzy jak i cywilów. Jednak po 10 września zamienił się po prostu w krwawe piekło. Dostarczono tutaj ponad ośmuset, mówiono że nawet ośmusetpiecdziesięciu rannych, których nie było gdzie pomieścić ani udzielić im pomocy. Również i teraz, jak w poprzednio opisywanych wypadkach, sytuacja choć z trudem, została uratowana dzięki masowej pomocy społeczeństwa. Gromady ludzi przynosiły łóżka, żywność, wszelką pomoc i sprzęt jaki mieli. Wszyscy lekarze z miasta zgłosili się jako wolontariusze, a masa ludzi jako ochotniczki lub ochotnicy do pomocy personelowi. Stan osobowy wciąż się zmieniał, z jednej strony starano się zmniejszyć przepelnienie przez odsyłanie lżej rannych, a wielu ciężko rannych umierało, z drugiej strony nowi wciąż przybywali.

Podobno w szczytowym okresie, szpital mieścił jednocześnie aż do 600 rannych, co Angusowi wydawało się wprost niemożliwe. Obecnie, po trzech miesiącach, jeszcze ciągle był pełny, ale wszyscy mieścili się dość wygodnie, a po znacznym rozładowaniu i w porównaniu do tego, co było, wielu uważało obecne warunki za omal komfortowe.

Pacjenci byli na ogół dobrego zdania o kierownictwie szpitala, chociaż Pani dr Brandtowej zarzucali czasem arbitralność decyzji, pośpiech i pewną oschłość. Z drugiej strony, zrobiła ogromnie dużo i trzymała wszystko w garści, nie szczędziła sobie i poradziła sobie w najtrudniejszym okresie kiedy, jak się mówiło, nikt inny nie zdołałby. Personel lekarski był bardzo wysoko oceniany. I chyba słusznie. Po tej nieprawdopodobnej zaprawie, po trwających dzień i noc ćwiczeniach praktycznych, kiedy lekarze pracowali dosłownie aż padli z nóg, niektórzy przy stole operacyjnym, z tego właśnie szpitala wyszło całe grono wybitnych lekarzy. Zwłaszcza chirurgów, którzy następnie już po wojnie wyrobili sobie znakomite imię i zajmowali katedry uniwersyteckie m in. w Warszawie i Poznaniu.

Niestety, wielu nie doczekało końca wojny, nie przeżyło do tego czasu. W szczególności dotyczy to lekarzy żydowskich, którzy, jak mówiono, w tym trudnym okresie wśród lekarzy-wolontariuszy stanowili większość, choćby z tego prostego powodu, że Ostrowiec Świętokrzyski liczył duży procent ludności żydowskiej, a wśród lekarzy zdecydowana większość była pochodzenia żydowskiego. W chwili, gdy Angus tam przebywał, lekarze żydowscy już w szpitalu nie pracowali. Kierownictwo szpitala musiało ulec nakazom władz niemieckich, nie było odwołania, opór byłby szaleństwem.

Chociaż mówiono, że i sama Pani dr Brandt była mieszanego pochodzenia, według ustaw norymberskich i jej groziło usunięcie. (O żadnych innych niebezpieczeństwach nikomu jeszcze nawet się wtedy nie śniło). A wśród pacjentów szpitala, nawet i w pokoju w którym umieszczono matkę i Angusa, a także wśród rannych żołnierzy znajdowali się Żydzi i przynajmniej na razie, władze niemieckie dotąd nie zainteresowały się i nie interweniowały w tej sprawie, nie było więc w ogóle żadnego widocznego podziału. Nikogo zresztą nie interesowało takie rozróżnienie, gdy wszyscy dotknięci byli tym samym nieszczęściem.

Na przykład jedyne co zauważył Angus to był swoisty slang, ale nie chodzi w tym wypadku o jyddisch (średniowieczną odmianę gwary niemieckiej, jaką przed wiekami uciekinierzy żydowscy przynieśli ze sobą do Polski). Ta stara mowa przetrwała w swojej anachronicznej postaci przez wiele setek lat. W Polsce nigdy nie istniała żadna dyskryminacja czy ucisk językowy, jak np. w Niemczech, gdzie za odezwanie się w miejscu publicznym w obcym języku, można było zostać oficjalnie ukaranym, albo w ogóle narazić się na fatalne następstwa (i to nie tylko w Niemczech hitlerowskich, ale i w dawnym cesarstwie z przed 1914r). Podobnie było w pewnych okresach i w Rosji, no i oczywiście w Związku Radzieckim.

Tą starą mowę słyszał Angus podczas wyjazdów na wakacje, zwłaszcza w miasteczkach wschodniej i południowej Polski, natomiast zupełnie egzotyczne wrażenie robiła często słyszana mowę mieszaną, jyddisch przeplatane ze słowami polskimi, względnie nawet białoruskimi lub rosyjskimi.

Wydaje się, że ewolucja językowa jyddisch przebiegała nie tyle w sensie zmian języka, bo forma nadal przypominała stary, średniowieczny niemiecki, tak przynajmniej twierdziła matka, ale raczej na dodawaniu słów polskich, często bardzo obficie. Mieszanka słów stała się tak normalna, że często trafiała i do języka pisanego, np. w prasie. Dla zilustrowania: chyba na dwa lata przed wojną, podczas wakacji w Druskiennikach, Agnusowi wpadła w ręce gazeta, częściowo pisana całkowicie yddisch, którego w ogóle nie rozumiał,

ale w niektórych fragmentach jyddisch było obficie mieszane ze słowami polskim, jak w zapamiętanym fragmencie wiersza:

- De lyżwes myt der kul kies

- to jest ein feines sport

- da łames rękas, nogies

- und auch die kepeł dort.

- Tam Tate wraz z małżonką,

- bachores mit der tant... itd., więcej Agnus nie pamiętał. Matka znająca dobrze niemiecki uzupełniła mu słowa i okazało się, że był to zabawny wierszyk o wrotkach.

Egzotyczne czy nie, ale takie mieszane teksty to na pewno najlepszy i najszybszy sposób przyswojenia sobie obcych języków. Współcześni lingwiści mogliby wrócić do tego starego a dobrego pomysłu. Jeszcze bardziej można by ulepszyć go przez wprowadzenie w książkach o bardzo ciekawej treści lub akcji, stopniowo coraz większego procentu obcych słów, w ten sposób przełamanie bariery językowej mogłoby następować prawie bez oporów, w sposób naturalny. Jak u dzieci.

Jednak w Ostrowcu, Angus ani razu nie słyszał czystego jyddisch, którego zresztą zapewne nie potrafiłby rozróżnić od niemieckiego, nie znając ani starej ani nowej formy tego języka. Co więcej, nie słyszał również ani razu mowy mieszanej. Trudno powiedzieć, czy to przypadek, czy mała liczba kontaktów, po okresie szpitalnym właściwie mało miał okazji do spotkania Żydów, ale ci których spotkał mówili wyłącznie dobrą polszczyzną, najwyżej używali czasem własnej, trochę nietypowej gramatyki. Np. ranny żołnierz mówił: - Panie Doktor, ja nie mogę to jeść, ja nie mam zęby.-

Biedak, stracił nie tylko zęby, ale i szczękę, a to że już mówił, świadczyło nieźle o umiejętnościach lekarza, który go operował. Zresztą wówczas częściej niż obecnie zdarzały się różne odchylenia językowe, teraz telewizja i radio ujednostajniły mowę i jednocześnie zubożyły ją. Ten pechowiec nie wiele wyróżniał się w mowie, natomiast bardzo dobrze grał w szachy, za dobrze jak na Angusa, to były bardziej lekcje niż wyrównana gra, nawet, gdy dawał duże fory.

Jeżeli chodzi o personel pomocniczy, to zarówno personel stały jak i wolontariuszki (których ilość zmniejszyła się, ale jeszcze były; natomiast wolontariuszy chyba już nie, w każdym razie Angus żadnego nie spotkał) wykazywał nie mniejsze poświęcenie, pracował z zaangażowaniem, można powiedzieć, nie zważając na siebie. Bardzo różne środowisko: trafiały się panie, mające jakby specjalny status, może dzięki stosunkom lub znajomościom. A z drugiej strony, przeważnie tzw. panie z towarzystwa, dawały się komenderować nie tylko

lekarzom ale i personelowi pomocniczemu i ani się nie oszczędzały, ani nie wymawiały od gorszych obowiązków. Ciekawe jednak, że ranni bardziej cenili sobie pomoc prostych ludzi, a ponadto żołnierze jakoś nie zwracali się i jakby unikali sióstr zakonnych. Właściwie nie wiadomo dlaczego, bo można powiedzieć, że świeciły one przykładem i starały się bardzo. Może właśnie za bardzo i może już samym wyglądem przypominały o życiu wiecznym, a żołnierze akurat nie lubią tego tematu. A może żołnierze czuli się skrępowani.

Angus też początkowo starał się służyć pomocą, od podawania tzw. kaczek, do różnych innych drobnych posług dla rannych, ale stwierdził, że wkracza w dobrze działającą, już utarty mechanizm wzajemnej pomocy i właściwie, jest małe zapotrzebowanie na jego dobre chęci. Czytanie też miało mały popyt i nawet gra w warcaby nie była tu specjalnie popularna. Chociaż parę partii rozegrał i zyskał dobrą opinię. Natomiast zupełnie niespodziewanie wielu, blisko połowa rannych grała w szachy. Dosłownie miejscowa specjalność, jakby wszystkich opanował jakiś szal mody szachowej. Chyba większość z tych graczy, zaczęła naukę dopiero w szpitalu, bo przeważnie partie nie stały na wysokim poziomie. Ale i tak za wysokim, jak na Angusa, który chociaż nie całkiem początkujący, grywał okazjnie od paru lat, ale bardzo rzadko, właściwie wiedział tylko jak ruszają się poszczególne figury i poza tym nie wyszedł poza skromne początki. W szachy grali starsi od niego i trudno było ubłagać kogoś, żeby zechciał pograć ze smarkaczem. Zwykle w ciągu roku, mógł policzyć takie okazje na palcach.

Ale tutaj nie odbiegał poziomem aż tak bardzo, żeby przy daniu mu pewnych for (zwykle miał prawo wyboru jednej figury przeciwnika, a czasem dwu, z wyjątkiem królowej, oczywiście), nie mógł nawiązać walki. To, że częściej przegrywał, nie było wcale wielką wadą i po pewnym czasie, kiedy zaczął już grać lepiej, nadal sam czasem się podkładał, bo to najwyraźniej poprawiało humor partnerom. A dość szybko zaczął grać lepiej, bo przez te dni pracował dosłownie w pocie czoła od rana do wieczora. Zaczynał losowo w jednej ze sal i zwykle kilku żołnierzy skinęło na jego widok. Przegrywał więc najpierw kilkanaście, a potem kilka partii aż do przerwy posiłkowej i potem pokazywał się na następnej sali, następnego dnia szedł na inne piętro i tak dalej. Z czasem partie robiły się ciekawsze, a on miał coraz więcej chętnych, wprost nie nadążał i często umawiał się z góry na następny dzień.

Przy okazji, w przerwach gry starał się uszczknąć trochę wspomnień, naciągnąć partnerów na opowiadania. Rzeczywiście, w miarę jak stawał się znajomą twarzą, prawie sprzętem codziennym, coraz częściej żołnierze rozmawiali z nim, zresztą nie tylko o swoich wojennych przeżyciach, co najbardziej pasjonowało Angusa, ale i o całym życiu. W tym samym czasie, odbywały się i ważniejsze zajęcia, przed którymi szachy musiały ustępować

miejsca. Ranni w lepszym stanie i mogący się poruszać (a w końcu, po trzech miesiącach większość była podleczone na tyle, o ile w ogóle mogli się spodziewać powrotu do zdrowia) przygotowywali wielką szopkę świąteczną. W tej chwili to było najważniejsze lokalne wydarzenie, twórcy tekstów i wykonawcy byli naprawdę zaangażowani, odczytywali fragmenty, omawiali je z kolegami, ćwiczyli. Oczywiście wszystko otoczone było najgłębszą tajemnicą, sprawy bardzo osobiste i prywatne, dla wielu głęboko emocjonalne - ale na ogół nie kryli ich przed Angusem, jego traktowali jako stały składnik sali, prawie jak szachownicę albo łóżko.

Niektórym zresztą ta aktywność wydawała się niepoważna, zainteresowania nie tyle twórcze czy literackie, co wprost dziecinne. Ale Angus rozumiał tych ludzi bardzo dobrze. Wszyscy mieli pecha, dotknęło ich nieszczęście i to dopadło ich ekspresem w kilka dni, zanim zdążyli dobrze się zorientować, co się dzieje. Czasem na progu życia, ich wszystkie plany zostały zakończone, jeszcze nie zdążyli nic osiągnąć lub zdziałać, a już nie będą mogli nic więcej zrealizować, skończyło się. Niektórzy nie powiadamiłi nawet rodzin, woleli odłożyć tę chwilę, gdy żona zobaczy kalekę bez nóg, albo obcą, zeszcpeoną twarz. Może matka jeszcze ucieszy się, że widzi syna tylko bez jednej ręki lub nogi. Ale rodzice, zamiast na stare lata doczekać się pociechy ze syna, sami będą musieli się o niego troszczyć. Czy dzieci nie przestraszą się na widok ojca? Woleli, żeby w domu pamiętano ich jeszcze takimi jak byli, czekano na ich powrót, niż żeby litowano się nad nimi.

Tutaj byli między sobą. Szpital polowy, mimo wszystko, stał się dla nich chwilową przystanią, gdzie zapewniono im opiekę, kąt do spania i wyżywienia. Ale bodaj najważniejsze, ważniejsze od pomocy i wszystkiego co mogli im dać lekarze, było towarzystwo, to że byli wśród takich samych jak oni nieszczęśników. Przy innych, w grupie, nieszczęście nie było takie wyjątkowe, ich los najgorszy. Krótko mówiąc, było to miejsce, gdzie odzyskiwali równowagę psychiczną, a nie tylko leczyli rany. Ale teraz i to się kończyło, trzeba będzie powiedzieć cześć i odejść, a nie wszyscy byli jeszcze gotowi. Byli naturalnie tacy, co rwali się do domu i chcieli wracać, gdy tylko lekarze pozwolą, ale byli i tacy, co po prostu bali się wracać i najchętniej pozostaliby nawet i na zawsze. Nie wiedzieli, co ich „TAM” czeka i niczego dobrego w życiu już się nie spodziewali. Tu byli sami pokrzywdzeni losem i co ważniejsze, każdy mógł znaleźć takiego, w porównaniu z którym sam jeszcze uważał się za szczęśliwca.

To tutaj, gdy w rozmowie jeden z partnerów zapytał Angusa, skąd on się tu wziął i Angus zdał krótką relację, rozmówca zapytał następnie, na ile ceniłby sobie oko, albo rękę, albo nogę czy nerkę i pocieszał go w ten sposób, - nie martw się tą stratą, jesteś wciąż jeszcze

bardzo bogatym człowiekiem, wielu chciałoby się z tobą zamienić. - Angus, co prawda, nie potrzebował tej uwagi, on akurat o swój los się nie trapił.

W każdym razie, dzień wigilijny zakończył się pełnym sukcesem, po wieczery wigilijnej szopka trwała kilka godzin. To był ostatni wielki akcent, zwłaszcza, że ci co występowali, prawie wszyscy byli już na wylocie i przed nowym rokiem mieli opuścić szpital. Wspominali go bardzo szczegółowo, wszystkie dobre i złe momenty w szopce, którą oni oraz widzowie winni zapamiętać i długo wspominać. Wspominali przeważnie bardzo dobrze i to nie była bynajmniej niewdzięczność, gdy po prostu dodawali sobie odwagi, na zakończenie śpiewając i to kilkakrotnie, że po wyjściu -

„...Wzniesiemy sztandar do góry!

Bodajby nikt nie doczekał

Powrócić w szpitalne mury!”

Następne dwa dni, to był najpracowitszy okres, jaki kiedykolwiek spędził Angus przy szachownicy. Po prostu jakiś szalony maraton szachowy. Wiele mówiono, ale wyłącznie o tematach neutralnych. Na przykład chwalono i komentowano szopkę. Ale absolutnie nikt nie poruszył sprawy przyszłości, nikt nie mówił o swoich planach, nikt też się nie żegnał.

\* \* \*

Sanki jechały głębokim wąwozem, wykopanym w śniegu. Z drugiej strony nasypu, utworzonego przez odrzucony śnieg, wila się wydeptana ścieżka dla pieszych. Droga musiała być przejezdna i śnieg odrzucono w ramach obowiązkowych prac, zarządzonych przez okupantów. Natomiast ścieżka została po prostu wydeptana i dlatego położona była wyżej. Poza tym, powłoka śnieżna nie była równa, miejscami uformowały się spore zasy. Droga biegła w tym miejscu głębszym wykopem, natomiast ścieżka przebijała się czasem wąskim tunelem, przechodzeń nad głowa miał dach ze śniegu. Ale przechodni prawie nie było. Kilkunastostopniowy mróz i niespotykane od lat opady śniegu spowodowały, że życie prawie zamarło. Nikt nie wychodził z domu na ulicę, chyba że musiał z jakiegoś wyjątkowo ważnego powodu.

Zresztą było jeszcze na wpół święto, po Bożym Narodzeniu i sobota, 28 grudnia. Zima i tak była w ówczesnej Polsce porą, kiedy życie ogóle spowalniało się, kiedy nie wiele się robiło, okresem odpoczynku, długiego snu, regeneracji sił i planowania nowego okresu aktywności na wiosnę. „Niech no tylko zakwitną jabłonie”. Ludzie bardziej przystosowywali się do natury, nie forsowali, no, powiedzmy prawie, niczego na siłę. Angus, mieszkając w dużym mieście, nie odczuwał dotąd tej zmiany rytmu, ale na wsi był to naturalny porządek rzeczy i zgodny z funkcjami i potrzebami ludzkiego organizmu. Natomiast w mniejszych

miastach, zazwyczaj coś pośredniego: jeżeli nie był to okres spokoju, odpoczynku i ewentualnie zabawy, to jednak aktywność znacznie się zmniejszała.

Zwłaszcza tego roku, przy tak nagłym i gwałtownym nadejściu zimy najrozsądniej było siedzieć w domu, jeżeli tylko miało się nagromadzony zapas opału i nie wychodzić, jeżeli miało się zapas jedzenia. Toteż na drodze w głębokim wykopie śnieżnym jechały tylko jedne samotne sanki prawie nie spotykając innych pojazdów, ani przechodniów. Za woźnicą, popędzającym jedyne, rosłego i silnego konia, jechały dwie ciepło opatulone osoby, kobieta i spory chłopak, wioząc ze sobą kilka pakunków ręcznego bagażu.

- Zamykaj usta i oddychaj nosem, - przerywała matka Angusowi każde pytanie lub uwagę. - Będziemy rozmawiać, jak dojedziemy, a zresztą i tak sam wszystko zobaczysz.

Wszystko odbyło się, można powiedzieć, z zaskoczenia. Matka wczoraj ubrała się i wyszła ze szpitala. Wprawdzie to już po raz drugi, ale przedtem wybyła tylko na krótko, a wczoraj nie było jej przez pół dnia. Dzisiaj ponownie znikła na dłużej. Właściwie nic nie mówiła o swoich planach ani nie wyjaśniała zamiarów, dopiero potem okazało się, że wynajęła sanki, lub może dorożkę, bo to był właśnie dorożkarz, który chwilowo zamienił koła na sanie - i objechała okolicę, szukając pokoju do wynajęcia. W mieście było raczej trudno, jeżeli gdzieś były wcześniej takie możliwości, to teraz już zajęte przez innych wygnańców, którzy mogli zająć się poszukiwaniami wcześniej. Na szczęście matka bardzo słusznie wykombinowała, że skoro szkoły są nieczynne, to puste są również stancje, wynajmowane dla młodzieży i kazała pojechać tą samą trasą, jaką dorożkarz zwykle jeździł z rodzicami, którzy przywozili swoje dzieci do szkół i szukali dla nich stancji.

Ostrowiec Świętokrzyski miał kilka średnich szkół, w tym dwa gimnazja i rodzice z okolicznych mniejszych miejscowości, zarówno mieszkańcy miasteczek jak i obywatele wiejscy, zamożni chłopcy itp., słowem wszyscy, których stać było na kształcenie dzieci w szkole średniej, bo to był jednak znaczny wydatek i po ukończeniu szkoły powszechnej, tylko poniżej 25% trafiało do gimnazjum, przywozili tu dzieci na dalszą naukę. Jeżeli mieszkali w niewielkiej odległości, to nie było problemu. Z tych, którzy mieszkali za daleko na codzienne dojsie lub dojazd rowerem, niektórzy przywozili dzieci wozami lub powozami, a byli też młodzieńcy, którzy przyjeżdżali sami na tzw. linijce, to jest wąskim, podłużnym wózku, jakby ławeczce na kołach, ciągniętej przez jednego konia. Ale to były wyjątki. Normalne postępowanie to było rozejrzenie się po pobliskich domach, których gospodarze, a właściwie głównie gospodynie przygotowywały jeden, czasem nawet kilka pokoi i przyjmowały za odpowiednią opłatą uczniów na tzw. stancję. Rzadko kiedy uczeń mieszkał w pokoju sam, zwykle mieściło się w jednej izbie kilku, jadalni oni na miejscu posiłki i w ogóle traktowani



byli jak członkowie rodziny, w tym również podlegali opiece tej rodziny. Opłata za stancję, zależnie od standardu, wynosiła najmniej 30 - 40 zł, wyjątkowo do 100 zł, a przeciętnie 50 - 60 zł. Wyżywienie uczniów było też różne, ale na ogół nawet to najtańsze było proste, lecz obfite i pożywne, bo w całej Polsce żywność była tania, na przykład często zalewajka, a na śniadanie nabiał, ser i jajka zamiast wędlin, ale tej zalewajki czy też mleka można było sobie samemu brać do woli.

Rodzice wynajmując stancję, zwykle powierzali także funkcje wychowawcze, gospodarze byli in loco parentis. Najczęściej ojciec odjeżdżając zapowiadał nawet głośno, że w razie potrzeby, pozwala zerznąć synowi skórę. To oczywiście był pusty gest, wykluczone żeby ktoś mógł potraktować to poważnie. A w ogóle, starsi i zwłaszcza zamożniejsi chłopcy nie pozwalali sobie w kaszę dmuchać i często wykorzystywali pozycję, przynoszącego dochód klienta. Dlatego stancje, przynajmniej teoretycznie były także pod kontrolą szkoły i często, choć nie zawsze, parafii. Przeważnie była to opieka symboliczna, gospodarz klasy powinien był co najmniej raz, a w zasadzie dwa razy w roku sprawdzić, w jakich warunkach mieszkają jego uczniowie. Ksiądz zaś zwykle zaczynał wizyty po kolędzie od tych domów, w których mieszkali dzieci na stancjach. Chociaż ten dozór był tylko formalnością, liczyła się jednak opinia, jaką szkoła i ewentualnie parafia udzielała rodzicom dowiadującym się, gdzie mogą powierzyć swoje dzieci. Dlatego gospodarze stancji we własnym interesie bardzo dbali o opinię, zarówno szkoły jak i kościoła.

Większe z ostrowieckich gimnazjów, mieściło się w nowo zbudowanym dużym i nowoczesnym gmachu, właściwie już poza zabudową miejską, przy szosie biegnącej na zachód, w kierunku Starachowic. Było tam bardzo dużo miejsca dokoła, na boiska i przyszły rozwój, także naprzeciwko zbudowano wielką szkołę, a dookoła rozciągały się puste tzw. błonia, położenie niewątpliwie doskonałe i zdrowe. Tylko, że w najbliższej okolicy właściwie nie było domów. Ale dłuższy spacer jest zdrowy dla młodzieży, a niecały kilometr dalej za miastem, już przy lesie, zbudowano bursę uczniowską, częściowo ze składek społecznych i przeznaczoną głównie dla uboższej młodzieży (i to głównie ze starszych klas). Bursa miała tylko kilkadziesiąt miejsc, ale wywarła wielki wpływ na inne normalne stancje, konkurencja wpływa dodatnio na jakość.

Szosa starachowicka skręcała i wchodziła między las, jakieś sto metrów dalej po lewej stronie znajdowała się bursa, natomiast przed zakrętem i na skraju lasu, w prawą stronę odchodziła ulica Piaski. Właściwie ulica to za dużo powiedziane, był to szeroki pas drogi gruntowej, po lewej przylegająca do lasu i miejsca, gdzie rozpoczęto budowę nowego kościoła, a dalej znajdował się rozległy ogród i wielki dom, lub raczej dwór dawnych

właściciele wioski Piaski. Po drugiej stronie ciągnął się szereg domów i domków chłopów, dawnych mieszkańców wioski, a także pracowników Zakładów Ostrowieckich i paru urzędników państwowych, którzy woleli mieszkać za miastem, na własnym kawałku ziemi. Domy bardzo różne, na ogół jednopiętrowe, stały w szeregu, natomiast ogródki przed nimi czasem wychodziły daleko do przodu, czasem tylko kilka metrów, a czasem w ogóle nie było ogródków, a w każdym razie ogrodzeń, bo samych ogródków i tak nie było można odróżnić w głębokim śniegu, widoczne były, tylko wyższe, otaczające je płoty.

Teraz sanie zatrzymały się właśnie przed takim wysokim parkanem szczelnie zbitym z desek, który najdalej wybiegał na ulicę, poważnie zawężając drogę. Furtka i brama były zamknięte, ale na głos dzwonka i głośnego ujadania psa, który działał jako wzmacniacz, z domu wybiegła oczekująca przybyłych kobieta w narzuconej, zielonej wełnianej chuście i wprowadziła matkę z Angusem po drewnianych schodkach z boku domu, na sień. Za nimi dorożkarz pomógł wnieść bagaże i po chwili odjechał, a gospodyni zdjęła wełnianą chustę i otworzyła jedne z dwojga drzwi prowadzących z sieni do wnętrza, nie licząc drewnianych schodów prowadzących w górę. Weszli do kuchni, w której paliło się już światło, lampa elektryczna, a w piecu ogień, który przez ozdobne otworki wycięte w metalowych górnych drzwiczkach pieca rzucał migotliwe błyski, mimo, że zmrok jeszcze nie zapadł i zarówno lampa jak i okno dostarczały światła.

Gospodyni zaproponowała, żeby przybysze poszli najpierw zobaczyć swój pokój, rozebrali się i umyli, a ona przygotuje zaraz kolację. Pokój, który im wskazała przylegał do kuchni, drzwi do niego znajdowały się zaraz za piecem kuchennym, a tylna ściana tego pieca, zbudowana z ozdobnych kafelków, ogrzewała ten pokój i to całkiem dobrze, pomimo mrozu, było w nim bardzo ciepło. Pokój był nieduży, podłużny i prostokątny, miał tylko 14 m. kw. powierzchni i przed wojną służył jako stacja dla 2 uczniów, ale teraz całkowicie wystarczał dla matki z synem. Był cały wybielony i umeblowany skromnie, ale dość wygodnie: mieścił dwa łóżka, szafę, stół i parę krzeseł, a ponadto drewnianą umywalkę, na której stała miednica i mydelniczka, a pod nią wiadro z czystą wodą i drugie, do brudnej. Zapas wody, w dwu wiadrach, stał na niskiej ławeczce w kuchni, a przynosiło się ją ze studni na podwórzu, zakrytej daszkiem zaopatrzoną w drzwiczki i drewniany kołowrót z żelazną korbą, na który nawinięty był łańcuch do opuszczania zawieszzonego na nim wiadra. Natomiast pomyje wnosило się na położoną za domem, budynkami gospodarczymi i podwórzem, oraz niższym płotem z furtką gnojówki na terenie ogrodu warzywnego.

Całe obejście składało się z trzech części: wspomnianego podwórza, na którym stał dom, następnie budynek gospodarczy mieszczący komórkę na opał, piekarnię z piecem

chlebowym i za nią pralnię, dalszy z obora i stajnią i za nimi mały chlewik. Dalej był płotek i wejście do ogrodu warzywnego, przy którym znajdowała się gnojówka i za następnym płotem, duży oparkaniony kawał pola stanowić miał sad, lecz na razie większość młodych drzew jeszcze nie zaczęła owocować. W sumie całość, ogrodzona od zewnątrz wysokim płotem, miała kształt prostokąta o wymiarach około 50 m x 250 m., z tego podwórze wraz ze znajdującymi się na nim budynkami stanowiło prawie kwadrat, ogród warzywny był najmniejszy, może 40 m, i za nimi sad ciągnął się na długości co najmniej 150 m. Natomiast dom zwrócony był bokiem do ulicy, a wejście doń prowadziło przez drewniany ganeczek ze schodami z boku, od strony podwórza. Właściciele gospodarstwa i domu, zajmowali mieszkanie po lewej stronie od wejścia. Drzwi ze sieni, prowadziły do kuchni, w której właściwie przez cały dzień koncentrowało się życie rodziny. Obecnie w zimie przez cały dzień palił się tu ogień, kiedy indziej ogień zapalano dwa razy dziennie, rano i w południe.

Po przyjeździe, Angus poznał panią domu, Marię Misor i jej dwie córki: Violet w wieku prawie jedenaście lat i siedmioletnią Anisję. Potem, po pełnym emocji i przeżyć dniu i podróży na mrozie, gdy ich organizmy rozdelikacły się w szpitalu, matka po rozlokowaniu się kazała mu się zaraz położyć do łóżka. Nawet kolację, składając się z dzbanka gorącego mleka, wiejskiego chleba z masłem i jajecznicą Angus zjadł już w łóżku, podczas gdy matka mówiła do pani domu, że oni nie są wybredni i podobne śniadanie będzie całkiem wystarczające. Potem mógł jeszcze trochę poczytać, podczas gdy przy szeroko otwartych drzwiach do kuchni jeszcze toczyły się rozmowy, do których i on starał się wetknąć swoje trzy grosze.

Wreszcie nadjechał wozem i gospodarz domu i po wyniesieniu przywiezionych worków zboża i innych zapasów, oraz wyprężeniu i zadbaniu o konia, przyszedł do kuchni na kolację. Zmarznięty i zapewne zmęczony, mówił raczej mało, natomiast chodząc głośno stukał drewnianą, prawą nogą. Jan Misor był inwalidą, stracił nogę i został odznaczony za odwagę na wojnie bolszewickiej w 1921 r.

Rodzina Misorów miała za sobą okres dobrej prosperity, aż do wojny szczęście im sprzyjało. To wszystko dokoła to był ich wspólny dorobek, stworzony dosłownie własnymi rękami, własną pracą praktycznie od zera. Nie tylko nie próżnowali, byli naprawdę bardzo pracowici, ale też potrafili to robić z sensem. Właśnie mogło się już wydawać, że weszli już na stabilną i pewną drogę, jednak wojna tragicznie miała przekreślić tą perspektywę

Jan Misor był dzieckiem biednych chłopów, komorników, jednak przynajmniej dzień swego urodzenia wybrał tak rozsądnie, że młody i silny chłopak, był jeszcze za młody na pierwszą wojnę światową. Natomiast w krytycznym okresie wojny bolszewickiej, na apel

przywódcy chłopskiego Witosa, zgłosił się jako ochotnik do wojska. Jak prawdziwy chłopski syn był wytrzymały i silny, a przy tym i odważny, a tacy narażają się najbardziej.

„A na wojnie świszczą kule, lud się wali niby snopy.

A najdzielniej biją króle, a najgęściej giną chłopcy.”

Wprawdzie nie zginął, ale stracił nogę. Własnymi słowami opisywał to tak (Angus oczywiście nie dał mu spokoju, póki nie usłyszał choćby krótkiej relacji): - serie z kulomiotów padały tak nisko, że biegliśmy jak najszybciej przed siebie i nie warto było padać, bo lepiej stracić nogę niż głowę.- Oczywiście mowa o ogniu zaporowym przy ataku. Dokładnie tak się też stało.

Inwalida wojenny otrzymał bardzo małą rentę, tylko kilkadziesiąt złotych, bo państwo które tą rentę płaciło miało zbyt małe środki i zbyt wielu poszkodowanych. Jak już wspomniano, Polska była krajem szczególnie ciężko dotkniętym przez wojnę i tą Światową i potem jeszcze bolszewicką, front kilkakrotnie przetaczał się przez jej ziemi w tę i na powrót. Po prostu otwarty teren, dogodny do walki, wprost kusi każdego zdobywcę i tak było od wieków, piersi obrońców nie zawsze wystarczały.

Jednak pewnym uzupełnieniem renty była tzw. koncesja, to znaczy koncesjonowane prawo zakupu alkoholu. (W ramach monopolu alkoholowego, prawo nabywania napojów o zawartości ponad 4,5% alkoholu mogły uzyskać tylko osoby o tzw. nienagannej opinii, gwarantujące, że spożycie tych alkoholi odbywać się będzie w sposób nie naruszający norm prawnych i moralnych; zasada pozornie bardzo zdrowa i zapewne przydałaby się i dzisiaj; praktycznie jednak stała się tylko pustym frazesem, choć z drugiej strony, ponieważ sprzedaż alkoholu osobie małoletniej albo znajdującej się już w stanie upojenia było karane z reguły odebraniem koncesji, przynajmniej te przepisy zostały skutecznie wymuszone. Faktycznie jednak właściciel koncesji stawał się czymś w rodzaju redaktora odpowiedzialnego w gazetach, nie wykonywał sprzedaży alkoholu sam, ale wchodził w cichą spółkę z właścicielem restauracji lub lokalu rozrywkowego, albo z właścicielem sklepu prowadzącego sprzedaż alkoholi. Restaurator albo kupiec płacił właścicielowi koncesji ustaloną w umowie prywatnej stawkę, w zamian za co korzystał z jego prawa do nabywania napoi alkoholowych. Misior znalazł takiego cichego współnika najpierw za stawkę 50. potem 80 i w końcu nawet 100 zł miesięcznie, nie szukał najwyższych stawek ale ostrożnie dobierał partnerów i koncesji nie stracił, miał więc jakby stałą dopłatę do renty, w sumie sto kilkadziesiąt złotych, za to już dało się żyć.

Ale nawet zanim te sprawy zostały uregulowane, dziewczyna Jaśka, która uważała najpierw, że warto czekać, a teraz, że jej chłopak, nawet niekompletny jest wart więcej niż

inni cali, zaraz po wyjściu ze szpitala zaciągnęła go prosto do ołtarza. Podobno zanim stało się nieszczęście, najbardziej obawiała się, że jakaś inna odbije jej chłopaka, że nie uda się jej go zatrzymać, może więc miał jakieś ukryte zalety. W każdym razie teraz nie czekała na pozwolenie rodziców, którzy mieli inne zdanie, zdecydowanie przeciw kalece. Trzeba przyznać, że Maria Misor jeszcze teraz, po dwudziestu latach była zgrabną i przystojną kobietą, a przy tym pracowitą, zdrową i silną, dobrą gospodynią - i jeszcze nadal, jak się to mówi, nie widziała świata poza swoim chłopem.

Do małego płachetka ziemi Misiora, doszło następnie jeszcze kilka hektarów z reformy rolnej, parcelacja wielkich majątków wlokła się wprawdzie, ale on jako żołnierz i inwalida dostał ziemię w pierwszej kolejności. Ale ze wsi przeniósł się do miasta z tego powodu, że znalazł zajęcie jako woźnica, przy budowie obiektów przemysłowych COP. Miał dwa konie i wóz, sam też nadal silny jak koń i zdrowy, mimo braku nogi radził sobie doskonale. Przy tym był nie tylko zawzięty na robotę, ale właśnie ta praca odpowiadała mu doskonale i sprawiała przyjemność. Zarabiał dobrze, mimo że jeździł też uprawiać swoją ziemię i opiekować się rodzicami, a kiedy umarli, nadal siał i zbierał, ale przy swojej ziemi pozostawił tylko stodołę i stajenkę, a dom zbudował w Ostrowcu.

A kiedy dom już stanął, żona przekonała go, że warto urządzić stancję dla uczniów zbudowanego w pobliżu gimnazjum. Potrafiła zakręcić się i wszystko załatwić, zadbała o dobrą pozycję w parafii, a ze szkołą i tak nie było kłopotu, bo rodzina ochotnika i inwalidy wojennego automatycznie miała dobrą opinię. Wynajmowali pokoik na dole, ten, w którym zamieszkała teraz matka z Agnusem, oraz dwa pokoje na górze, gdzie miała miejsce nawet na pięciu, chociaż rzadko udało się wszystkie miejsca wynająć. Przeważnie miała 1 - 2 pensjonariuszy na dole i 3 - 4 na górze.

Później Angus patrzył ze zdumieniem, jak jedna kobieta zdążyła to wszystko zrobić. Rano doła krowy, bo świeże mleko potrzebne było na śniadanie. Ledwo zdążyła obrządzić dobytek, już trzeba było szykować śniadanie, a przecież Matka z Agnusem nigdzie się nie śpieszyli, to nie to, co poprzednio, nawet do siedmiu szybko rosnących chłopaków z wilczym apetytem. Poza tym, męża zawsze karmiła i podawała mu śniadanie, to był stały rytuał i starała się specjalnie. Angusa to nawet trochę dziwiło, ojciec w domu poprostu brał sobie sam śniadanie jak wszyscy, nie cieszył się takimi specjalnymi względami.

A przecież, żeby przyrządzić śniadanie, a potem obiad, trzeba było przynieść wodę i drzewo lub chrust do pieca, w międzyczasie nakarmić też dwa świniaki, gotując im ziemniaki, do których dodawano różne pozostałe resztki i pomyje, które miały wartość odżywczą.

Raz albo dwa razy w tygodniu piekla też świeży chleb. To już był prawdziwy obrządek i prawie nabożeństwo, od zarobienia poprzedniego dnia ciasta w dużej dzierzy, już to ciasto traktowano z szacunkiem, aż do rozpalenia wczesnym rankiem pieca chlebowego, w osobnym pomieszczeniu w budynku gospodarczym. Ten piec trzeba było najpierw umyć, a następnie jeszcze raz starannie oczyścić po wygarnięciu żaru, podsypać mąką i potem wkładało się uformowane, okrągłe bochenki. Świeży chleb za każdym razem udawał się znakomicie, Angus uważał go za wyborny i chwalił pod niebiosa. A to, że chleb był naprawdę dobry, stanowiło przedmiot dumy gospodyni, w ogóle nie była ona zarozumiała, ale na tym punkcie jednak tak. To tak, jakby za każdym razem sprawdzała swa wartość, wydawało się wprost, jakby traktowała to magicznie i była zadowolona z udanych czarów. Jedyna chwila, kiedy potrafiła skarcić własne córki, a potem także i Angusa, to jeżeli na przykład zachowywali się hałaśliwie, kiedy w domu rosło ciasto albo właśnie piekł się chleb. A swoją drogą, warto było nawet zachowywać się grzecznie, żeby potem spróbować trochę tego świeżo upieczonego chleba, czasem specjalnie dla dzieci wkładało się parę małych kawałków ciasta do pieca, nigdy przedtem ani potem żaden chleb nie miał takiego smaku.

Gdy rodzice Jana Misiora już nie żyli, Maria zaopiekowała się następnie swoimi. To właśnie jej rodzice mieszkali obecnie w mieszkaniu po drugiej stronie sieni, naprzeciwko. Ta rodzina, a dokładniej matka i dwie siostry Marii nie miały szczęśliwego życia, bo ojciec był prawdziwym tyranem. Dawniej, jak oceniał Angus, musiał być prawdziwym okazem samca, „macho”, ciężkiego dla całego otoczenia, a już szczególnie używającego sobie na członkach własnej rodziny, żonie i córkach. Obecnie już na emeryturze, przedtem był maszynistą kolejowym, a więc tym, o czym marzył skrycie i ojciec Angusa. Imponujący i prawdziwie męski zawód, a przy tym i dobra, wysoko płatna praca. Pracę tą wykonywał obowiązkowo i wzorowo, bo inaczej by jej nie otrzymał, ani później nie utrzymał się przy funkcji, na pewno też był bardzo wymagającym szefem. Ale swoje zarobki wydawał na siebie wyłącznie, uważając że słusznie mu się to należy, a żonę i rodzinę miał do posług.

Przed pierwszą wojną światową zaangażował się w ruch socjalistycznym, brał udział w rewolucji 1905/6 r. i później był członkiem bojówki PPS. Po wojnie, nadal był czynny w PPS, ale chyba zawiedziony, oczekiwał konkretnych dowodów uznania, więc stał się jeszcze bardziej radykalny, nie został komunistą, ale był za kontaktami z nimi. W środowisku męskim ceniony i popularny, miał wielu kolegów, którym na ogół okazywał wyższość, ale i tak dbał o nich więcej, niż o własną rodzinę. Jednak stracił ich, przestali tolerować jego zachowanie, gdy on przestał fundować. To znaczy, gdy przestał dobrze zarabiać, przeszedł na emeryturę. Wtedy dopiero okazało się, że najlepszą rzeczą było właśnie małżeństwo córki, któremu był

tak przeciwny i o którym nie chciał słyszeć, mówiąc że głupia dziewczyna wyszła za gołodupca, parobka od gnoju i do tego jeszcze kalekę. Przedtem uważał, że taki zięć nie pasuje do jego pozycji.

Ojciec i matka Marii mieszkali teraz w nieco mniejszym mieszkaniu, składającym się z pokoju i kuchni. W kuchni sypiała ponadto obecnie najstarsza córka, Władka, która słuchała ojca i została starą panną. To ona jedyna fizycznie wdała się w ojca, prawdziwa chłopobaba, równie jak ojciec wysoka. Chociaż mimo wieku, to ojciec nadal trzymał się bardziej prosto, ubrany prawie zawsze w mundur kolejarski, w butach z cholewami i w okrągłym kaszkiecie na głowie.

Raczej nie nabrał serca do zięcia, ale jednak przyznawał teraz, że się pomylił nie doceniając go; zresztą to była jasna i oczywista sprawa. Nadal starał się być użyteczny i coś robić, a trzeba przyznać, że znał się na mechanice i potrafił wszystko naprawić. W każdym razie emeryturę, dopóki ją dostawał, nadal wydawał wyłącznie na siebie, żona raczej miała wszystko od córki.

Angus przez pewien czas żywił nadzieję, że może uda mu się namówić starszego dziadka na pomoc w projektowanych wynalazkach bo sam przez całe życie miał dwie lewe ręce i trudno ukryć, że brakowało mu daru do mechaniki, w każdym razie praktycznie, bo w teorii mógł być mocny. Pomoc więc albo i nauka u prawdziwego majstra-złotej rączki byłyby bezcenne. Ale nic z tego, starzec potraktował go ostro i w skrócie powiedział, że kto nie pracuje ten też niech nie je, a kto sam nie umie coś robić niech nie zawraca głowy innym, bo jest tylko niepotrzebnym ciężarem, pasożytem i smarkaczem. No tak, ale niby skąd w takim razie mieli brać się ci wspaniali mężczyźni, przecież nikt się taki od razu nie rodzi.

Matka Marii Misiór była obecnie pogodzoną z życiem staruszką i raczej myślała o życiu przyszłym. Przeszła ciężkie chwile, gdy rodzice na siłę oddali ją człowiekowi, którego nie chciała i potem, gdy ten człowiek tresował ją i zmuszał do posłuszeństwa. Urodziła mu czworo dzieci, z których trzy córki przeżyły, a syn umarł młodo i za to także mąż obciążał ją winą. Ale teraz jakoś wszystko się zmieniło na lepsze, mąż też przestał się nad nią znęcać, a z córką rozumiały się dobrze i po raz pierwszy w życiu ktoś o nią dbał. Tyle, że zdrowie już nie dopisywało, szykowała się do śmierci i stała się bardzo pobożna, ale bez nadmiernej bigoterii. Tym nie mniej, Angus był czasem zaskoczony bystrością jej obserwacji i niespodziewanie głębokim sądem, nawet jeżeli czasem się nie zgadzał i uważał go za osobliwy.

Teraz cieszyła się jeszcze z jednego: że znowu, u schyłku życia, będzie miała koło siebie wszystkie trzy córki. Trzecia najmłodsza córka, Nina, siostra Marii i Władki od początku miała lepsze życie, bo była oczkiem w głowie, nie tylko dla matki. Nawet ojciec

traktował ją mniej surowo, inaczej naraziłby się wszystkim domownikom, a zwłaszcza starszym już dorosłym siostram. To właśnie Maria wraz z mężem Janem, chociaż wtedy dopiero na dorobku, dopomogła jej w kształceniu się. Nina jedyna z rodziny skończyła szkoły i zdała maturę w Gimnazjum Handlowym w Ostrowcu rok przed wojną i rozpoczęła praktykę w biurze Zakładów Ostrowieckich. Tam poznała równie początkującego urzędnika, Henryka Słodką i wkrótce wyszła za mąż. Nina dostawała wszystko gotowe od losu i od opiekunów. Brała też wszystko, co się dało i uważała że to się jej słusznie należy, a od życia chciała wciąż więcej, wszystko i to szybko. Jednym słowem wyrosła na pierwszorzędną egoistkę i postawiła sobie jasny cel: zrobić karierę i to zaraz. Pod tym względem dobrali się z mężem, mieli ten sam cel i pełną zgodność charakterów.

Angus na razie nie miał okazji jej zobaczyć, ale już tego pierwszego dnia wieczorem nasłuchiwał się wiele od pani Misiorowej, która wielokrotnie wzmiankowała, wręcz nie przestając wychwalać siostry: - Jaka ona jest ładna, po prostu gasi inne, jaka mądra i wykształcona, jak dobrze uczyła się w szkołach i jakie miała i na pewno jeszcze mieć będzie przed sobą wspaniałe perspektywy.- Teraz, wkrótce znowu zamieszka z całą rodziną, bo na czas wojny nie ma żadnej przyszłości dla pracowników Zakładów Ostrowieckich, wszyscy podlegają wzmożonej, wojennej dyscyplinie, pracować mają więcej, a pensje zostały zamrożone. O awansach nie ma nawet co marzyć, bo Zakłady pracują teraz dla Niemców i wszystkie ważniejsze stanowiska obsadza się Niemcami. Polacy będą mieli coraz gorzej, wprowadzono przymus pracy i wkrótce będą musieli pracować jak niewolnicy na wpół darmo (jakże naiwnie wyobrażano sobie, że Niemcy na tym poprzestaną i pozostawią Polakom aż połowę realnych zarobków).

W tej sytuacji, Słodkowie skorzystali z tego, że akurat kończył się termin rocznej umowy praktykanckiej, stałego zatrudnienia jeszcze nie mieli i nawet otrzymali wypowiedzenia, gdyż po ślubie, tylko jedno z nich, według własnego wyboru, mogło zostać w biurze. Mając okazję odeszli oboje, nie mieli zamiaru marnować sobie życia przykuci do marnej posady, obecnie bez perspektyw. W tej chwili jeszcze nie zdecydowali, co będą robić, więc na pewien czas zamieszkają z rodziną, a w międzyczasie rozejrzą się za zajęciem, odpowiednim dla ich poziomu - i ambicji.

Mieli zamieszkać w pokojach na górze, które wynajmowane były na stancje, a obecnie i tak stoją puste. Angus zobaczył ich dopiero w kilka dni później, wychwalana Nina była rzeczywiście ładną, może nawet piękną kobietą, bardzo śniadą brunetką o ognistych oczach, wyróżniała się od razu jakby hiszpańskim wyglądem. Jej mąż przeciwnie, jakby wybrała go specjalnie dla kontrastu, albo dla podkreślenia własnej urody, wprawdzie nieco więcej, niż



średniego wzrostu, ale blady, prawie wymoknięty, o szybko poruszających się, głodnych oczach. Przyjechali w poniedziałek na krótko, tylko zostawić swoje rzeczy, bo Nina miała zobowiązania towarzyskie, małżeństwo obowiązkowo musiało być na przyjęciu noworocznym. Bardzo ważne, nie chodziło tylko o przyjemność, ale z tego mogło coś wyniknąć, jakieś nowe perspektywy.

Cała rodzina cieszyła się na ten ich przyjazd, zachwycając się najmłodszą siostrą, która jest na najlepszej drodze i niewątpliwie najdalej w życiu zajdzie. Nikomu nawet przez sekundę nie przyszło na myśl, że lepiej byłoby temu domowi, gdyby pod jego dachem zamieszkali - i to wspólnie, Judasz wraz z Kainem.

\* \* \*

Następnego dnia od rana, Angus zapoznawał się bliżej z domownikami i całym otoczeniem, a oczywiście najbliższą znajomość zawarł z dziećmi. Ponieważ był już starszy i znacznie bardziej wykształcony, ukończył już przecież piątą klasę szkoły powszechnej, obiecał z góry pomagać dziewczynkom w dalszej nauce. Natomiast dla przypodobania się dorosłym, a zwłaszcza ich piękniejszej części, odświeżył sobie w pamięci wyczytane z pożyczonej jeszcze we wrześniu w Poznaniu książki, wiadomości o wróżbach i zaczął wróżyć, najpierw z rąk, bo to zapamiętał lepiej, a następnie również z kart. Niespodziewanie z wielkim powodzeniem, tak, że wkrótce wyrobił sobie właściwą technikę: zaczynał od zasad, zapamiętanych z książki - znaczenie poszczególnych linii na ręce, względnie poszczególnych kart i ich prostych kombinacji, a potem uważnie obserwował reakcje osób słuchających wróżby, zwykle po pewnym czasie padały też jakieś uwagi albo komentarze, jeszcze częściej szczegółowe pytania i to już stanowiło doskonałą wskazówkę, co mówić dalej. Angus traktował to jako rozrywkę i zabawny sposób na popularność, ale w przyszłości okazało się, że jego wróżby, zawsze optymistyczne, znajdowały duże uznanie, przychodzili stopniowo znajomi i sąsiedzi. Angus doszedł do tego, że mógłby jak nic zostać zawodowym wróżbitą i zawsze potrafiłby znaleźć dość naiwnych, żeby nawet zarobić na utrzymanie. Oczywiście, nigdy nie miał takich planów, sam zdając sobie sprawę, że jest to zwykle oszustwo, gdyby wziął za to pieniądze, byłaby to nieuczciwość.

Natomiast faktem jest, że w tym pierwszym okresie Angus bardzo usilnie starał się podliznąć wszystkim dookoła, jak najszybciej przystosować do nowego otoczenia, ponieważ naturalnie nie zrezygnował z dawnych planów i pragnął jak najszybciej przystąpić do tworzenia tajnej organizacji. Tylko, że na razie nie miał z kim, domowników jakoś nie widział w tej roli, a w miarę jak zima robiła się coraz ostrzejsza, mróz i opady śniegu powodowały, że prawie nie wychodził z obejścia, mama nie pozwalała. Jedyne, co dotąd zobaczył, to kawałek

ulicy Piaski, skraj lasu po drugiej stronie, a dokładnie naprzeciwko, podwórze i ogród dawnego dworu rodziny Kawiorskich, kiedyś właściciele wsi Piaski. Tam chodziło się do studni, mieli oni podobno najlepszą i najzdrowszą wodę w okolicy. Pani Misiorowa, miała stałe pozwolenie (i faktycznie jakby przywilej, chodzili tu po wodę i inni mieszkańcy z okolicy, państwo Kawiorscy na ogół nie odmawiali; ale jednak nie wszyscy, można powiedzieć że przy tej studni bywała tylko śmietanka ulicy Piaski). Wprawdzie Misiorowie mieli własną studnię w obejściu, ale wodę z naprzeciwka brało się wyłącznie do picia, była czysta i smaczna, podobno zdrowa i można było pić ją nawet nie przegotowaną, a herbata np. była na tej wodzie smaczniejsza. No, i jednak była to też sprawa lokalnego prestiżu. Angus chodził pomagać pani Misiorowej, kręcił korbą (studnia była znacznie głębsza i kręcić trzeba było dłużej), ale oczywiście nie był w stanie jeszcze unieść dwóch pełnych wiader i tylko pomagał (albo przeszkadzał) je nieść, na zmianę, to z jednej strony, to z drugiej.

Poza tym, zawarł znajomość na terenie obejścia, nie tylko z ludźmi, ale i ze zwierzętami, z krowami, koniem, kurami, nawet świniakami i „bardzo złym psem”, wilczurem, którego gospodarze, demonstrując swoje, przed wojną antysanacyjne stanowisko wołali „Bek”, co nawet podobno spowodowało jakieś interwencje i mandat, ale Misiorowie na swoim nie ustąpili. Angus całe życie szybko zawierał znajomości i przyjaźnie z psami, miał jakiś dar i szło mu to bez porównania lepiej, niż z ludźmi, ale tutaj niestety musiał zrezygnować. Bek miał być „złym psem”, to należało do jego obowiązków służbowych i psucie pracy wychowawczej przez jakiegoś dyletanta zostało zakazane, niestety. Ponieważ zaś obie strony przypadły sobie do serca, Angus nie tylko otrzymał zakaz podchodzenia do psa, ale także wieczorem, kiedy spuszczano Beka z łańcucha, żeby się wybiegał, Angus nie mógł wychodzić.

Nowy rok obchodzono bardzo skromnie, złożono sobie tylko życzenia szybkiego końca wojny i żeby Hitlera nareszcie diabli wzięli i nawet nie czekało się do północy. Natomiast Jan Misior, który i poprzednio i obecnie, często jeździł do swojego gruntu, bo z wozem się teraz w mieście nie pokazywał, ale w gospodarstwie zawsze było coś do zrobienia, co się przedtem odkładało, na przykład ostatnio najrzeć dach, czy taki duży śnieg nie jest zbyt ciężki, albo i przywieść zapas zboża, zarówno na przemiał, jak i na paszę, tego wieczoru stał się trochę bardziej rozmowny. Powiedział przy tym coś, co wszystkich zaskoczyło, wydawało się wprost niemożliwe:

- W lasach jest jeszcze Polskie Wojsko. Na wiosnę nie sami Francuzi będą bili Niemców, a my nie musimy czekać na Polskie Wojsko, które odtworzono we Francji.

Nawet jego żona wątpiła:

- Co ty mówisz? Przecież sam nie widziałeś? -

- Byli tacy co widzieli. Całe oddziały, i piechoty, i konnicy. To nie uciekinierzy, regularne wojsko. Ludzie rozmawiali z żołnierzami, widzieli oficerów, - stanowczo upierał się Misior.

Angus nie wiedział, co o tym sądzić. Sam nieraz powtarzał pocieszające plotki, nawet sam je czasem wymyślał. Ale tutaj wyglądało to na powiedziane serio. Z drugiej strony, to się wprost nie mieściło w głowie, nieprawdopodobne. A jednak, później dowiedział się, że to prawda, chodziło o oddział Hubala, ostatni oddział regularny, resztki pułku kawalerii, który faktycznie stał się pierwszym oddziałem partyzanckim, tak, że ciągłość walki na ziemiach polskich faktycznie ani na chwilę nie została przerwana. Oczywiście w tym okresie wrażenie na mieszkańcach robiło to ogromne.

Wkrótce potem, po nowym roku Angus usiłował koniecznie przekonać matkę, żeby pozwoliła mu choć raz na wyprawę saniami. Chciał pojechać z panem Janem, kiedy ten znów wyruszy do swojej stodoły i gruntu. Ale matka była stanowcza, nie miał szans.

- Sam nie wiesz, co mówisz. W tych strasznych mrozach, temperatura spada poniżej 30 stopni, dla dzieciaka (przełknął tą zniewagę, żeby nie rozmieniać dyskusji na drobne) to by było samobójstwo. Duży, silny mężczyzna to co innego. Ale tobie nigdy nie pozwolę, to by była karygodna głupota. - Angus oczywiście nawet nie wspomniał o swoich rzeczywistych zamiarach - pogadania sobie po drodze po męsku z panem Misiosem, dotarcie do tych co widzieli i może, w przyszłości, nawiązanie kontaktu z oddziałem. Przekonywał tylko, jak bardzo chciałby pojechać sankami, taka okazja i takie piękne okolice, śliczne lasy, a jakie zdrowe powietrze. Może już nigdy w życiu nie znajdzie takiej wspaniałej możliwości. A przecież pojechałby pod dobrą opieką i to na sankach, które ostatnio wiele razy przebywały tą trasę. Może ubrać się grubo, we wszystkie ciepłe rzeczy, które ma. Jaka choroba, przecież już dawno nie ma ani kataru, ani kaszlu, jeżeli teraz czegoś mu do zdrowia brakuje, to tylko trochę ruchu i świeżego powietrza.

Ale nic nie wskórał. natomiast sama matka, zdecydowała się właśnie teraz na podróż, nie zważając ani na trudne warunki, ani na te mrozy i śniegi, ani na ryzyko, niebezpieczeństwo jawnego zlekceważenia wszystkich niemieckich zarządzeń. Postanowiła, ni mniej ni więcej, tylko wyruszyć teraz do Poznania. Oczywiście nie do swojego domu. To już teraz nie był ich dom i pokazanie się tam oznaczałoby natychmiastowe uwięzienie, z którego raczej nie wychodziło się. Ale postanowiła dotrzeć do siostry i rodziny w Podłożinach i jeszcze raz poprosić o pomoc.

Sprawa była prosta. Miękkie lądowanie w Ostrowcu zawdzięczali temu, że w chwili wysiedlania, zdołała ukryć i przemyścić trochę z posiadanej gotówki, pomimo gróźb rabusiów i związanego z tym ryzyka. Potem, gdy siostra i siostrzenica dostarczyły jej do obozu żywność i najpotrzebniejsze rzeczy, także zasiliły ją dodatkowo, zostawiając więcej pieniędzy. Ale w Ostrowcu były pewne niezbędne wydatki, na przykład należność za pobyt w szpitalu, a następnie, nie targując się w ogóle, zapłaciła odrazy za pół roku z góry za mieszkanie wraz z utrzymaniem. Na razie nie było sensu umawiać się na dłużej, gdyż nawet najwięksi pesymiści nie przypuszczali, żeby Niemcy byli w stanie opierać się dłużej. Co więcej, ponadto jeszcze pewną sumę pożyczyła, a właściwie włożyła we wspólny z Misiorami business, o którym mowa dalej. Te wszystkie bardzo udane posunięcia i trafne decyzje podejmowała sama, nawet nie informując o nich syna.

Tak więc bez zmruczenia oka zapłaciła pani Misiorowej od razu 1500 zł, po 250 zł za sześć miesięcy, a więc znacznie więcej, niż dotąd wynosiła najwyższa opłata za pensję, bo uważała, że pierwsza i najważniejsza rzecz, to zabezpieczyć sobie najbliższą przyszłość, a potem się zobaczy, co dalej. Wkrótce potem ceny, które aż do grudnia mało się zmieniały, poszły w górę i odtąd zaczął się ich stały ruch. Ale państwo Misiorowie też na tym nie stracili, oni właśnie od lata pozbawieni byli gotówki, bo wszystkie źródła z których dotąd czerpali akurat wyschły. A bardzo potrzebowali pieniędzy, bo akurat otwarły się pewne możliwości zarabiania, ale do tego trzeba było dysponować pewnym kapitałem od zaraz. Więc wpłata z góry i jeszcze pożyczka, zapewniły potrzebny kapitał obrotowy.

No dobrze, ale teraz matka została tylko z małą rezerwą i to ją bardzo niepokoiło, bo zawsze uważała, że jakąś rezerwę bezpieczeństwa trzeba mieć. a poza tym tego kapitału obrotowego też było mało, wkładając więcej, możnaby uzyskać lepsze wyniki. Dopiero teraz porozmawiała z Angusem, informując go, że mają tu zapewnione i zapłacone, wikt i mieszkanie do połowy roku, a gdyby z jakichś powodów coś ją zatrzymało dłużej, to dla samego Angusa nawet na cały rok, a potem jeszcze będzie mógł odebrać od gospodarzy pożyczoną sumę wraz z oprocentowaniem, a raczej udziałem w zysku. Ocenia, że są to ludzie porządni i uczciwi - o ile w dzisiejszych czasach w ogóle komuś można wierzyć, to im. Oczywiście matka ani razu nie użyła słów - gdybym nie wróciła, starała się mówić tak, jak gdyby myśl o jakichś niebezpieczeństwach w ogóle nie istniała, jakby to była najnormalniejsza przejażdżka dla przyjemności, a na przykład ciocia tam jej nie będzie chciała wcześniej puścić.

- Wrócę na pewno najdalej za dwa tygodnie, a jeżeli się uda, to nawet za tydzień.-  
Angus zorientował się, choć trzeba powiedzieć że nie w pełni, co to znaczy i błagał ją, żeby

tego nie robiła, tym razem bardzo na serio, był na prawdę przerażony tym pomysłem. Ale podobnie jak przedtem, jego argumenty nie na wiele się zdały.

Oceniając tą sytuację o wiele później, Angus doszedł do wniosku, że jego matka musiała mieć i wtedy wykorzystwała specjalne życiowe doświadczenie. Nigdy nie powiedziała słowa na ten temat, nawet i wiele lat po wojnie i aż do swojej śmierci, więc to wszystko jest zgadywane, ale to jest jedyne przypuszczenie, jakie się trzyma kupy: wydaje się, że te jej podróże do Niemiec, aż do granic Francji i do samej Francji we wczesnych latach dwudziestych, spalone podziękowania i zaświadczenia, jakie widział we wrześniu 39r i małe strzępy wspomnień przekazywanych wnuczkom można logicznie wyjaśnić tylko tym, że przewoziła wtedy materiały i polecenia, krótko mówiąc pełniła służbę kurierską do organizacji polskich w Westfalii. Jest faktem, że w swoich komentarzach bardzo źle i surowo oceniała, wyłącznie w interesie Francuzów propagowane i często moralnie wymuszone przeniesienie górników polskich z Westfalii do Francji tak, jakby sama brała w tym udział i potem oceniła, że ta sprawa spowodowała szkody i krzywdę dla wielu rodzin, które były w Westfalii zadomowione, tam się urządziły, znalazły tam dobre warunki, miały nawet swoje ośrodki i organizacje polonijne itd. A potem zostały wmanipulowane w nową tyłczkę. Wyglądało jakby wtedy właśnie zniechęciła się do tajnych organizacji w ogóle, uważając, że często podejmują one różne akcje nie przemyślane, źle zorganizowane, a cierpią na tym prości ludzie, ci, co mają najlepsze chęci i są najbardziej wartościowi, albo naiwni. Takie przekonanie zostało już jej na całe życie, a szkoda, bo gdyby podjęła współpracę z ruchem oporu, to pewnie mogłaby dokonać wielkich rzeczy.

Ale teraz wyjechała, podejmując szalone ryzyko, w pełni przekonana że potrafi sobie poradzić w każdej sytuacji, z silną motywacją w interesie rodziny, a szczerze mówiąc, losu swojego syna, bo dla siebie zapewne by się nie zdecydowała. Nie mając żadnych dokumentów, uprawniających do przekraczania granic ani nawet wymaganych wówczas zezwoleń od Kreishauptamtu na podróż, bez zmruczenia oka przeszła przez kontrolne punkty graniczne, podróż odbyła w wagonach „tylko dla Niemców” i to w pierwszej klasie, kupowała bilety, których większa część podróżnych w ogóle nie mogła otrzymać - i to wszystko posługując się tylko doskonałym niemieckim z wyraźnym berlińskim akcentem i bezczelną pewnością siebie. Ale Angusowi nie pisnęła nawet słowa i po powrocie też, dowiedział się tego od cioci po wojnie (bo z siostrą jednak sobie pogadały), stąd też usłyszał, że ciężkie warunki atmosferyczne, długie przerwy i nieregularne kursowanie pociągów raczej ułatwiły sytuację. A jednak co za szkoda, że taki wspaniały potencjał nie został później wykorzystany w konspiracji.

Na czas swego wyjazdu, matka przekazała gospodarzom opiekę i władzę rodzicielską, specjalnie przy tym zastrzegając, że nie pozwala w żadnym wypadku na wyprawę saniami, z którą Angus łączył takie ważne plany. Niestety, taki niesprawiedliwy jest ten świat: matka (i to mówiąca o sobie, - „stara”) rusza w podróż na setki km, wiele dni i nocy, w najgorszych mrozach i warunkach komunikacyjnych (z prawdziwych niebezpieczeństw Angus jednak nie zdawał sobie sprawy), a zakazuje synowi, młodemu i pełnemu sił, krótkiej wycieczki parugodzinnej, drobnych kilkunastu kilometrów. Być może, Angus przedobrzył sprawę, gdyby nie namawiał tak usilnie matki, może już po jej wyjeździe łatwiej dogadałby się z panem Misiorem. Oczywiście jak dalej potoczyłyby się sprawy, nie wiadomo.

Ale przynajmniej małe spacerunki po najbliższej okolicy, po samej ulicy Piaski i w pobliżu, nie były zakazane. Mniej więcej kilometr od zbiegu tej ulicy z szosą starachowicką, znajdował się wspomniany gmach gimnazjum, zajęty obecnie przez jakieś jednostki armii niemieckiej i naprzeciwko gmach dużej szkoły powszechnej, użytkowany obecnie jako Deutsches Heim (coś jakby klub i hotel dla przejeżdżających żołnierzy i oficerów). Angusowi nasunęło się skojarzenia z okresem, kiedy próbował amatorsko działalności wywiadowczej przy Gimnazjum i Liceum Handlowym w Poznaniu, na ulicy Śniadeckich. Nic z tego wtedy nie wyszło, ale to nie była jego wina, był pewien, że podejście było prawidłowe.

Parokrotnie na spacerunki wychodził w kombinezonie narciarskim zamiast płaszcza, chociaż nigdy dotąd nie próbował sił na nartach. Dostał go jeszcze w obozie jako ciepłą odzież, po kuzynie. Przy tej okazji, kilkakrotnie mówiono mu, że wygląd ni to jak chłopak, ni dziewczyna.

Krótko mówiąc strzelił mu do głowy wyjątkowo idiotyczny pomysł, żeby spróbować dostać się na teren tych budynków i spenetrować je, o ile zdoła, przebrany za dziewczynę.. Przebranie nie było rzeczą trudną, wystarczyłoby, wyszedłszy na spacer w kombinezonie narciarskim, inaczej, bardziej fantazyjnie założyć szalik i trochę się przypudrować, w tych czasach młode dziewczyny malowały się minimalnie albo wcale. Nie przyszło mu nawet do głowy, że gdyby udało mu się, jako dziewczynie dostać do niemieckich koszar, to wkrótce odkryłoby, że nie jest dziewczyną. Niemcy na pewno nie potraktowałiby go, jak naiwnie sądził, z rycerskim szacunkiem, całkiem naturalnie taka wizyta przyjęliby jako zachętę, może nawet odwiedzin profesjonalne.

Jednak coś pokrzyżowało te plany.

Wyszedł późnym rankiem, po drugim śniadaniu. Dzień był mroźny, ale słoneczny. Na początek, już kilka domów dalej, przekręcił szalik i wypuścił luźno końca, „robiąc się” na dziewczynę. Ulica była całkiem pusta, a zresztą tutaj prawie nikt nie znał go jeszcze z

widzenia. Ale zupełnie nieoczekiwanie dalej, w miejscu gdzie ulica kończyła się przy szosie, zobaczył małą grupkę ludzi i jeszcze ze dwie osoby, śpieszące w tamtą stronę. Podeszedł zainteresowany, bo przy tych mrozach, rzadko spotykało się nawet pojedynczego przechodnia. Tymczasem oni stali nieruchomo, mężczyźni mimo mrozu z odkrytymi głowami, patrząc przed siebie na jedno miejsce. Leżał tam - to dziwne, chyba kupka gałganków, jakieś szmaty porzucone na śniegu, dlaczego wszyscy tu stoją, na co tak patrzą? Zapytał się jakiejś kobiety: - Co się stało? -

- To Niemiec, żołnierz niemiecki zastrzelił małą Żydówkę, dziewczynkę. -

- Jezus, Maryja! - Dopiero teraz dostrzegł. Te rozrzucone rzeczy - widocznie włożyła na siebie, przy tym zimnie, wszystko co tylko miała, przykrywały szczupłą dziewczynkę, mniejszą od niego. Krwi prawie wcale nie było, widać wsiąkła w śnieg, albo też poruszony śnieg ją przysypał.

Usłyszał relację, to wszystko zdarzyło się niedawno, może kilkanaście minut temu, prawdopodobnie wkrótce przedtem, zanim wyszedł z domu.

Szosa szła, w stronę miasta trzech Niemców. Nagle jeden zaczął głośno krzyczeć i zawołał do siebie tą dziewczynkę, która podeszła do niego. Coś mówił i nagle wyciągnął pistolet i strzelił, dwa razy. Potem gestami przywołał kilka osób, które słysząc krzyki i strzały ostrożnie wyglądały z domów i nakazał, żeby zwłoki leżały w tym miejscu cały dzień i jeszcze jutro. jeżeli nie, to on przyjdzie tu jeszcze raz osobiście i dopilnuje, żeby te domy spłonęły. Powiedział też, że ta dziewczyna, żydówka, popełniła przestępstwo przeciw prawu, bo wyszła z getta i chodziła po ulicach bez żółtego znaku i gwiazdy Dawida, widocznie umieszczonej na ubraniu. Jego dwaj koledzy, poświadczali to i jeszcze go chwalili, a może podlizywali się szefowi, podziwiali jego bystrość, jak też niezawodne oko itd. Tymczasem, dzieciak, może nawet miał to oznakowanie, tylko okrywając się dodatkowo od mrozu, mogła je przysłonić.

To zdarzenie więc to był z jednej strony popis ze strony wyjątkowego łajdaka, ale z drugiej ilustracja jakie są te niemieckie prawa, jeżeli takie czyny, nawet tylko indywidualne i przynajmy, jeszcze wyjątkowe, nie tylko uchodziły bezkarnie, ale były pochwalane pod hasłem „Ordnung muss sein”. Tak wyglądał niemiecki porządek, miał to być spokój cmentarza.

Właśnie to zdarzenie i te zwłoki, choć przecież tylko jedno z wielu jakie widział, wywołały największe wrażenie i prawdziwy szok u Angusa. Zapamiętał je na całe życie, jeszcze po latach widział dokładnie każdy szczegół. Tam i wtedy, przyszła mu do głowy - przeczytana kiedyś książka historyczno-przygodowa dla młodzieży, „Kapitan Łamigłowa”, z

wojny burskiej, scena kiedy przy zwłokach rozstrzelanych, przechodnie klękają i dotykają ich krwi, żeby towarzyszyła im w dalszym życiu. Zapragnął zrobić tak samo, kilka kobiet przyklękło, podszedł bliżej i ukląkł również, ale krwi nadal nie mógł dostrzec, jakby jej nie było. Więc odruchowo sięgnął do własnej szyi i zerwał cienki, szczerze mówiąc dość tandetny łańcuszek srebrny z małym medalikiem, ten łańcuszek zrywał się już sam kilka razy, ale zawsze jakoś znajdował się w ubraniu.

Teraz wcisnął go w martwą dłoń dziewczynki. Dopiero wiele później uświadomił sobie, że ten odruchowy gest mógł stanowić obrazę dla religii żydowskiej, którą wyznawała ta dziewczynka. Wtedy nie pomyślał o tym, zupełnie nie miał żadnych złych intencji i potem tego żałował. Działał po prostu odruchowo, chciał jakoś wyrazić swój żal i współczucie. Ale chyba żaden Bóg nie poczytał tego współczucia i odruchu za obrazę. Zresztą wszyscy dokoła szepotali krótką modlitwę za umarłych, dlatego odkryli głowy i to nie obrażało niczyjej religii.

Po pewnym czasie, Angus ruszył dalej w stronę gmachu Gimnazjum, ale był tak roztrzęsiony, że zrezygnował i zawrócił do domu. Opowiedział, co widział, a pani Maria poprosiła go, żeby nie powtarzał tego córkom. Sama zarzuciła chustę i razem z siostrą, poszły w tamtym kierunku. Zwłoki rzeczywiście leżały cały dzień i dopiero na drugi zostały zabrane. A więc, horrible dictu, Niemcy faktycznie traktowali to jako odstraszący przykład, lekcję wychowawczą. Wtedy to był niezwykle przypadek, ale potem już takie zdarzenie nikogo by nie zdziwiło, zwłoki częściej leżały na pokaz na ulicach.

W miejscu, gdzie leżał trup, pojawiło się wkrótce kilka kwiatów, które zmarzły na mrozie. Potem pojawiły się jeszcze kilka razy, aż dziwne było, skąd brano je w tak ostrą zimę. Potem tak bywało jeszcze wiosną, aż stopniowo miejsce to zostało zapomniane. I ten zwyczaj też się później powtarzał: na miejscach, gdzie odbyły się publiczne egzekucje i gdzie leżały zwłoki, zawsze pojawiały się później kwiaty. Można powiedzieć, w skali hurtowej, jeżeli przyjmiemy, że tamto początkowe zdarzenie to był początek, skala detaliczna. Wprawdzie w Ostrowcu, aż do ostatniego roku okupacji, prawie nie było publicznych egzekucji przez rozstrzelanie, nawet przy wielkiej egzekucji na rynku zakładników powieszono, a zwykle pojawiały się tylko typowe plakaty z zawiadomieniami o egzekucji i zaraz potem następne z nazwiskami nowych zakładników, albo też podające od razu, na jednym arkuszu, nazwiska już zamordowanych i oczekujących na zamordowanie. Ale w roku 1944 jeździły już także, typowe poprzednio w innych miastach kryte ciężarówki, tzw., budy, z których eskorta wyprowadzała jedną lub kilka dziesiątków więźniów i ich rozstrzeliwała, a ciała pozostawiano na ulicy, zwykle do drugiego dnia. Te miejsca, zawsze pokryte były kwiatami.



Jednak zdarzenie to spowodowało, że Angus zaczął panicznie wprost bać się o swoją matkę, która wyjechała, jak podejrzewał, nie zdając sobie w pełni sprawy z grozy sytuacji, prosto w paszczę wilka. Modlił się rozpaczliwie i składał wielkie w swoim pojęciu ślubowania, właściwie większe, niż był w stanie wypełnić. Prawie całe dni spędzał teraz na modlitwach, jeszcze nigdy w życiu przedtem ani również potem nie był taki pobożny. Właściwie przez kilka dni przestał się czymkolwiek innym interesować. Zamiast w stronę niemieckich koszar, wydeptywał teraz ścieżkę w przeciwną stronę, do kaplicy prowadzonej przez siostry zakonne około półtora km od końca ulicy, w stronę Iłży, ale oczywiście daleko jeszcze przed linią lasów iłżeckich, po drodze mijało się tylko pokryte wysokim śniegiem pola i jeden większy zagajnik z prawej strony.

Im słońeczko wyżej, tym Sikorski bliżej...

### **Rozdział VI. Oczekiwanie, nadzieja i pewne sprawy prywatne.**

Na niebie, kołowały nieprawdopodobne stada ptaków. To widowisko powtarzało się dwa razy dziennie, rano i wieczorem, ale za drugim razem bez porównania bardziej imponująco. Przed zapadnięciem zmroku, chyba wszystkie wrony z całego Ostrowca zbierały się i udawały na spoczynek do lasu po przeciwnej stronie ulicy. Rano odlatywały, ale to odbywało się mniej widowiskowo, szybki i zdecydowany odlot. Natomiast wieczorem, nadlatujące wrony przez pewien czas krążyły, widocznie szukając i wybierając sobie wygodne miejsca. Albo też był to jakiś rytuał towarzyski, jedna chmura ptaków za drugą, wiry wolno obracały się łączyły ze sobą, tysiące i dziesiątki tysięcy ptaków, wyglądało to, jakby całe niebo zaczęło się obracać, jakby miał rozpocząć się cyklon.

Zdumiewające, że mrozy zupełnie nie miały wpływu na ten codzienny ceremoniał. A mrozy nadeszły fantastyczne i, choć to wydawało się niemożliwe, co dzień silniejsze. Już od kilku dni rtęć w termometrze skrzepla, temperaturę odczytywano na starym termometrze alkoholowym, przybitym po drugiej stronie ganeczku. Termometr ten, chyba jeszcze z czasów carskich, pokazywał temperaturę w stopniach Reaumire'a i trzeba dopiero było przeliczać ją na skale Celsiusza. A ponieważ z wiekiem termometr ten stał się pesymistą i jego ciemno-niebieski słupek cieczy trwale się obniżył, trzeba było następnie do wyniku dodać stałą poprawkę. W każdym razie, skoro rtęć skrzepla temperatura musiała być niższa od -39 °C, a z przeliczeń doświadczonych znawców alkoholowego zabytku wynikało, że wczesnym rankiem mróz wynosił od -42 do nawet -46 stopni C. Takich mrozów nie pamiętali najstarsi ludzie. Nawet zakładając, że ci najstarsi ludzie i tak niewiele pamiętali, to jednak było coś. Pierwsza zima w życiu Angusa, 1928/9 r też podobno była bardzo mroźna, ale

opowiadano mu, że wtedy mrozy przekraczały w porywach 30 stopni, co i tak uważano za niebywałe. Teraz było aż o kilkanaście stopni zimniej.

Ludzie różnie tłumaczyli tą zadziwiającą anomalię. Znaczna większość winiła za to niemieckie lotnictwo, twierdząc, że to codzienne przeloty tysięcy samolotów tak wymieszały atmosferę, albo w ogóle zmieniły naturalną cyrkulację powietrza. Angus powątpiewał, a jeszcze bardziej upewnił się w tym, kiedy w następnym roku, chociaż lotnictwo niemieckie latało teraz w drugą stronę, zima też była bardzo surowa. Wszystkie zimy do końca wojny były bardzo ostre, lecz nigdy aż tak, jak pierwsza, stopniowo łagodniały.

Inni znów, ale to znikoma mniejszość, wyjaśniali to, zdaniem Angusa bardziej racjonalnie tym, że po gorącym lecie i zwłaszcza wyjątkowo ciepłej, pogodnej i długiej jesieni, która po prostu nie chciała się skończyć, bardzo ostra zima to po prostu powrót natury do równowagi. Średnia roczna w ten sposób wracała do normy. Jeżeli jednak podobne, też bardzo mroźne, choć jednak wyraźnie łagodniejsze zimy następnie się powtarzały, to podobna jesień, która tak fatalnie zaważyła na przebiegu kampanii w Polsce, już nigdy. To był niewątpliwie wyjątkowy fenomen natury.

Od czasu zapanowania mrozów, Niemcy przestali być widoczni, jakby ich chwilowo w ogóle nie było. Samochody, mimo zarządzonego obowiązku odgarniania szosy, nie jeździły, gdyż podobno nie dało się w ogóle uruchomić motorów. Te wielkie mrozy nie były jakoś specjalnie dotkliwe, powietrze spokojne, wiatrów prawie wcale i przez cały czas świeciło słońce, co poprawiało nastrój.

Dzieciaki, zwłaszcza łobuziaki z uboższych domów przy ul Piaski, prawie codziennie biegały przyglądać się niemieckim koszarom w dawnym gimnazjum i szkole naprzeciwko. Przynosiły zabawne wiadomości. Prześmiewali wartowników przed budynkiem, ubranych nieprawdopodobnie grubo, tak, że prawie wcale nie mogli się ruszać. Zwłaszcza komiczne wrażenie robiły bardzo grube, ponad półmetrowe buty, uplecione z warkoczy słomy, w których właściwie nie było można chodzić. Doszło do tego, że grupy młodych łobuzów prześmiewały i wprost prowokowały wartowników, a pewnego razu nawet obrzuciły ich śnieżkami. Żołnierze zerwali karabiny albo tylko grozili nimi, być może chcieli strzelać, ale bez skutku, mimo majstrowania broń nie chciała wypalić.

Za drugim razem, w podobnej sytuacji, wartownicy wezwali grupę żołnierzy, którzy widocznie czekali już na to w ogrzanych pomieszczeniach. Cała grupa wybiegła, najwidoczniej była to przygotowana zasadzka na dzieciaki, ale bezskutecznie, dzieciaki uciekły, a żołnierze szybko wrócili do budynku bez rezultatu. Tym razem padło kilka strzałów, ale nie z karabinów, te nadal nie odpalały, lecz z broni krótkiej. Być może były to

tylko strzały w powietrze, na postrach, chociaż oczywiście dzieci mówiły co innego, a po niedawnym zastrzeleniu na szosie tej dziewczynki żydowskiej, rzeczywiście można było spodziewać się wszystkiego. W każdym razie więcej tego nie próbowano, bo gdy sprawa stała się głośna, rodzice chłopaków spuścili im lanie i kategorycznie zabronili tak ryzykownych wygłupów.

Angus nie widział osobiście tych zdarzeń, znał je tylko ze słyszenia, ponieważ w ciągu tych dni zmienił kierunek drogi. Gdy wychodził, kierował się teraz w przeciwną stronę, od szosy dalej polną drogą, do kaplicy, prowadzonej przez siostry zakonne. Przy zbiegu ulicy Piaski i szosy, rozpoczęto już budowę nowego kościoła, ale na razie wykonano tylko fundamenty i zwieziono stopy cegieł, a przewidziany na przyszłego proboszcza, ksiądz superior (cokolwiek to znaczyło) Młynkowski odprawiał na razie nabożeństwa w kaplicy i mieszkał także przy niej. Miał tam zresztą lepiej, niż później na probostwie, bo zarówno te siostry, jak też i wszystkie okoliczne „panie z towarzystwa”, a także mające pretensje, żeby się do nich zaliczać, bardzo o niego dbały. Ksiądz właśnie w czasie wyjazdu matki, chodził już po kolędzie i dotarł do domu Misiorów. Przyjmowany z wielkim staraniem i rewerencją, poświęcił najpierw absolutnie wszystko, co się dało, potem usiadł do stołu w dużym pokoju, porozmawiał też łaskawie z Agnusem i zalecił mu modlić się. Angus akurat robił to i tak, aż nadmiernie; zarówno u siebie w pokoju, jak i chodząc co dzień do kaplicy.

Pomimo mrozu spacer do kaplicy był po prostu piękny. W słońcu i przy czystym niebie, szło się ok. 2 km ścieżką głęboko wydeptaną w śniegu, który od czasu do czasu opadał poniżej głowy i umożliwiał rozejrzenie się, a czasem był wyższy, nawet tworząc tunel, nad głową miało się sklepienie ze śniegu. Ale Angus nie chodził dla podziwiania pięknych widoków, ogromnie niepokoił się o matkę. Co do ojca, to chociaż już od kilku miesięcy nie mieli żadnej wiadomości, był pewien, że ojciec poradzi sobie w każdej sytuacji. Ojciec bywał już w gorszych sytuacjach, przecież pamiętał je jeszcze z opowiadań, krótko mówiąc uważał nadal ojca za nadczołwieka, nie trzeba dodawać, że zupełnie niedorzecznie. Ale co do matki, niepokoił się bardzo, a będąc bezsilny, mógł tylko się modlić. To też robił to tak intensywnie, że pewnego dnia w kaplicy zemdlął i ocknął się, leżąc na podłodze. Na szczęście było pusto i nie zrobił ze siebie widowiska.

Gdyby nie ta sprawa, leżąca mu kamieniem na sercu, życie byłoby bardzo ciekawe i przyjemne. Wszystko w domu i całym gospodarstwie Misiorów bardzo mu się podobało, więcej, właściwie był zachwycony i oczarowany. Angus czuł się w tym środowisku bardzo dobrze, do tego stopnia, że doszedł do wniosku, że w mieście i to nawet w dobrych warunkach, jakie miał do wojny, jednak życie było niepełne, a tutaj stało się znacznie

ciekawsze. Na przykład, mimo konieczności noszenia wody, wylewania potem pomyj, palenia ognia, rąbania drzewa itp. bliski kontakt z otaczającym światem był odświeżający, sprawiał że żyło się bardziej intensywnie i odczuwało otoczenie i naturę. Samo wyjście rano, na deski drewnianego ganeczku, spojrzenie na zamrożony termometr rtęciowy po lewej stronie drzwi i potem odczytanie wielkiego termometru alkoholowego po prawej, przeliczenie na przykład -42 st., Reaumire'a na stopnie Celsiusza i odliczenie poprawki na błędne wskazanie granatowego słupka, stanowiło atrakcję, nawet bez dodatkowego przykładania wilgotnego palca do klamki (tylko raz dał się nabrać na język). A potem można było odkopać śnieg z ganku i zrobić dróżkę aż do szopki z drzewem. Na rąbanie, niestety, Angus nie miał pozwolenia, mógłby skaleczyć się, wywijając siekierą.

W tym czasie, pani Misiorowa doiła krowę, jedną z dwu, bo druga wkrótce miała mieć cielątko. Przynosiła całe wiaderko mleka, w ciągu dnia było go około 20 l., brali ile chcieli rodzice i zwykle kilka litrów sprzedawała sąsiadom. Na śniadanie było gorące mleko i zupa mleczna, czasem z makaronem albo ryżem, ale najczęściej zacierka i trzeba dodać, że specjalność gospodyni, bardzo smaczna. Jedno wiaderko mleka zwykle zostawało na kwaśne, potem zbierano śmietanę i robiono twaróg.

Natomiast robienie masła należało bez kwestii do specjalności jej matki naprzeciwko. po drugiej stronie sieni. To wszystko na własny użytek, właśnie nabiał był podstawą pożywienia, twaróg, ser biały ale także różne inne sery, najczęściej smażony, to wszystko w różnych odmianach i przyprawach, do tego oczywiście jaja i okazjnie kura. Mięso jedzono tylko na obiad co drugi dzień, nigdy przy innych posiłkach. W sumie więc typowe, proste wiejskie jedzenie, z tym, że wszystko świeże, obfite i naprawdę smacznie przyrządzone, gospodyni miała ten dar. Poprzednio posiłki jadano zwykle przy dużym stole w pokoju obok kuchni, tak było jeszcze gdy prowadziła stancję. Potem stopniowo przyjął się zwyczaj, że matka z Angusem brali śniadanie do pokoiku, a obecnie gdy Angus został sam, jadał razem z p. Misiorową i córkami przy stole w kuchni, bo pan Misior zawsze jadał śniadanie wcześniej i w czasie ogólnego śniadania, albo już wyjechał, albo pracował w obejściu. Tylko obiad zawsze jedli po staremu razem, w stołowym, kolację różnie, ale częściej też w kuchni. Specjalnością pani Misiorowej, oprócz porannej zacierki, była zwłaszcza tzw. zalewajka. której dotąd Angus nie znał, można powiedzieć że skrzyżowanie kartoflanki z żurem, oraz cała kolekcja zup jarzynowych, zawsze mocno zabielałych. Mięsa zaś gotowane albo duszone, prawie wcale nie było pieczonego, nawet drobiu. Jeżeli nie było mięsa, to zwykle jarzyny nadziewane farszem z jaj, często pierogi i inne potrawy z sera i jaj. Kuchnia zupełnie odmienna od tej, którą dotąd Angus znał, ale bardzo mu odpowiadała. Chwalił ją tak, że aż

matka zwracała mu na boku uwagę żeby nie przesadzał, bo ona wprawdzie nie miała zastrzeżeń, ale przecież to tylko proste potrawy. Może i tak, ale Angusowi to właśnie pasowało. O chlebie własnego wypieku wspomiano już wcześniej.

Drewniany dom, mimo wielkich mrozów zadziwiająco dobrze trzymał ciepło. A wynajęty pokoik, położony przy kuchni i ogrzewany kaflową, tylną ścianą pieca kuchennego, był chyba najcieplejszym pomieszczeniem w domu - oprócz samej kuchni, oczywiście. Prawda, że w piecu kuchennym, zaopatrzonym w wielki okap, (co Angus też dotąd rzadko widywał, właściwie tylko na wakacjach) ogień palił się właściwie cały dzień. Po śniadaniu pokrywano zwykle żar popiołem i potem wystarczyło trochę rozgarnąć i dołożyć drobne drzewo na wierzch; podobnie po obiedzie do kolacji. Pokój stołowy miał własny piec, ale palono w nim tylko od czasu do czasu, zwykle wystarczały szeroko otwarte drzwi od kuchni, gdzie okap bardzo skutecznie wciągał zapachy i nie rozchodziły się one po pomieszczeniach. Natomiast w sypialni gospodarzy, oddzielonej korytarzykiem, zwykle palono w piecu, ale nie zbyt mocno, sypialnię utrzymywano najwyraźniej chłodniejszą, ale zimno i tam nie było.

Palenie ognia miało dużo uroku, a Angusa najbardziej fascynowało rozpalanie w piecach kaflowych, zwykle przez przenoszenie pełnej łopatką żaru z kuchni. Rozpalał też czasem ogień w kuchni, ale nigdy nie mógł dorównać pani Misiorowej, ona chyba знаła jakieś specjalne czary, kilka ruchów rąk i ogień palił się niezawodnie.

Piec kuchenny, oprócz wymienionego okapu, miał wmontowany na stałe prostokątny kociołek, zawsze pełen ciepłej wody (mieścił dwa duże wiadra). Matka i Angus, mieli w pokoju umywalkę i zwykle myli się tam, natomiast rodzina gospodarzy zwykle w kuchni, mniejsza miednica stała zawsze, a do rannych lub wieczornych ablucji ustawiano na drewnianym stołku w przejściu między piecem i stołem kuchennym wielką miednicę. Ale zwykle po pieczeniu chleba, jedna lub parę osób kąpało się we wannie, właściwie drewnianej balii, wykorzystując ciepłe pomieszczenie i wciąż jeszcze gorący piec chlebowy, do którego wstawiano garnki z wodą. Wprawdzie w balii nie szło się zanurzyć, a wodę trzeba było przynieść i potem wynosić, więc używano tylko kilka wiader (także i do miednic, nalewało się wodę oszczędnie). Przynajmniej na pokrytą cegłami podłogę można było chlapać dowoli, podczas gdy w domu należało uważać na podłogę.

Mimo tych atrakcji, życie w oczekiwaniu było dla Angusa dodatkowo trudne z powodu braku książek do czytania. Miał parę własnych, jak zakupione podręczniki oraz książki wypożyczone z czytelnicy, których już nie zwrócił, bo nie było komu. Biblioteki spotkał ten sam los, powtórzyła się ta sama historia, co przedtem w Poznaniu. Zostały zamknięte, a książki przeznaczone na przemiał. Dlatego też i tutaj, w tych ostatnich dniach działalności

czytelnie wypożyczały książki właściwie bez ograniczeń, bo tylko wypożyczone mogły ocaleć. Jednak tym razem Angus miał tylko książki przygodowe, bez istotnej treści, nie mógł czytać ich w kółko bo jak znało się już akcję, przestawały być ciekawe. W tej sytuacji spróbował sam napisać książkę przygodową na wzór Karola May'a, który sam też przecież niczego nie widział, a jednak stworzył niezłe opisy geograficzne na wzór przeczytanych, tylko wymyślając wartką akcję. Ale to mu nie wyszło. Chciał przedstawić ucieczkę z Syberii, wykorzystując doskonale opisy Ossendowskiego, tymczasem okazało się, że nie pamięta, co chwila staje przed mnóstwem niewiadomych, brakowało mu mnóstwo szczegółów i elementów, a nie miał możliwości dotarcia do źródeł ani nawet innych podobnych książek. Beznadziejna sprawa.

Natomiast w domu było raczej mało książek i dziwny wybór. Wyłożona na specjalnym stoliku, najwidoczniej do celów reprezentacyjnych, leżała wielka i gruba, starannie i bogato wydana biblia in folio. Angus otrzymał specjalne pozwolenie przeczytania jej, czego chyba żaden z domowników dotąd nie próbował. To było pełne wydanie, dobrze ponad tysiąc stron wielkiego formatu, obficie ilustrowane rycinami. Jednak niespodziewanie okazało się, że do czytania ta księga nie bardzo się nadaje, wprost trudno ją strawić. Angus nie miał dotąd pojęcia, że istnieje tyle różnych grzechów, występków, win i okropności, wprost koszmar, odechciewało się żyć. Ludzkość wydawała się zbiorowiskiem samych najgorszych łajdaków i potworów, w którym z trudem usiłowało przeżyć paru normalnych ludzi starając się zachować choćby najprostsze formy przyzwoitości. Ale to udawało im się tylko od czasu do czasu, natomiast bardzo łatwo wpadali w grzech i to nawet mimo bezpośredniej pomocy Pana Boga, który wtrącał się i interweniował co chwila. Jednak mimo oczywistych cudów, dobrych przykładów i kar, zwyczajny motłoch w ogóle na to nie zważał, jeżeli nawet czasem znalazł się pod wrażeniem czegoś nadzwyczajnego, to tylko na krótko i szybko o tym zapominając, grzeszył dalej. Najwyraźniej zniecierpliwiony tym Pan Bóg, w rezultacie postępował bardzo okrutnie. Wiele drastycznych opisów budziło zastrzeżenia, po prostu nie zgadzało się z tymi naukami zasad wiary chrześcijańskiej, które dotąd Angusowi wpajano.

Za dużo krwawej makabry, a zbrodni byłoby się z czego uczyć. Z drugiej strony, Angusowi przychodziło na myśl, że gdyby tak Pan Bóg zechciał teraz zesłać ze dwa niedźwiedzie, żeby rozdarły Hitlera i Stalina, zamiast dzieciaków, prawda, że bardzo niegrzecznie naśmiewających się z proroka, taki przykład byłby o wiele bardziej zbawienny i skuteczny dla całej ludzkości. Oczywiście, bardzo surowo potępiał sam siebie za takie myśli, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że nie jest w stanie dostosować się do poziomu Pana Boga

na tyle, żeby Go rozumieć, a tym bardziej Mu doradzać. Jednak jedynym sposobem na takie myśli, było odłożyć lekturę, bo nasuwały się myśli niewłaściwe i wręcz buntownicze.

Jeszcze osobliwszy był zestaw literatury, który w zaufaniu pożyczyła mu Violet. Kilka książek popularnego przed wojną wydawnictwa „Rój” takich, jak „Wielkie kurtyzany”, „Caryce” itp., oraz nie znane bliżej, obdarte z okładek „Kult ciała”, „Żołnierz Pański” i parę podobnych, które można by właściwie określić jako zbliżające się do pogranicza pornografii, z tym, że granicy nie przekraczały, opisy urywały się w kulminacyjnym momencie i były tak ujęte, że Angus nie mógł się właściwie domyślić, o co dokładnie chodzi. W gruncie rzeczy, wiele miejsc wydawało mu się wprost paradoksalnych lub absurdalnych. Dla czego niby jakaś dama przyjęła księcia Buckingham’a siedząc na nocniku i to jeszcze złotym i z lusterkiem, a on, zamiast surowo zareagować, obsypał ją za to bogactwami i klejnotami, które wymieniano dalej na prawie całej stronie? Albo w jakim celu caryca kazała ustawiać przed sobą żołnierzy i wybierała jednego lub kilku najprzystojniejszych na noc, skoro nocą i tak niewiele widać? To było równie niedorzeczne, jak wzmianka o pieszczaniu wnętrza kwiatu ustami, bez sensu.

O tym, że poziom uświadomienia seksualnego Angusa był zerowy, wspomniano już poprzednio. Tymczasem akurat wówczas odkrywał on i obserwował na sobie nowe wrażenia i zjawiska, których absolutnie nie umiał sobie wytłumaczyć. Bierne oczekiwanie, wiele czasu, którego nie był w stanie wypełnić, to wszystko powodowało, że kontynuował na sobie doświadczenia, zapoczątkowane w bardzo podobnych okolicznościach w szpitalu. Zostały one przerwane gdy miał książki i dużo zajęcia, wprost nie starczało mu czasu. Teraz to znów się zmieniło. Będąc jeszcze nie dojrzały fizycznie, dochodził tylko do erekcji, nie do ejakulacji, jednak i tak wrażenia były silne i niezwykle. Odczuwał to tak, jakby te ciekawe reakcje prowadziły go do skraju jakiejś przepaści, której na szczęście nie był w stanie przekroczyć.

Biorąc pod uwagę zarówno zmuszającą do pozostawania w domu przez znaczną większość czasu pogodę, jak i wyjazd matki, spędzał zbyt dużo czasu w łóżku, więcej, niż był w stanie przespać. Z drugiej strony, rozmyślania i niepokój były często tak ciężkie i deprymujące, że po prostu aby od nich uciec i przerwać daremne natręctwa myślowe, wolał zająć się czymś innym - i wracał do przerwanych doświadczeń na sobie.

Właściwie miał pewne niejasne obawy, czy to co robi nie jest czasem czymś niewłaściwym, ale nie miał się kogo zapytać. Czasem wydawało mu się, że przekracza możliwości swojego organizmu i coś może się źle skończyć. Jednak tego wszystkiego, co było wstępem do tzw. w tamtych czasach samogwałtu, całkowicie powszechnego u chłopców zjawiska, które wówczas otoczone było niesłychanym pomieszaniem i poplątaniem pojęć i

często wręcz demonizowane - Angus nadal nie kojarzył z seksem.. Miarą jego niewiedzy o stosunkach między kobietą i mężczyzną może być przykład, że wyobrażał sobie, iż posiadane przez niego dwie kuleczki stanowią właśnie to, co nazywane było „nasieniem męskim”. Przypuszczał, że akt poczęcia polega na urwaniu tego, jak przypuszczał, nasiona i zasadzeniu go w kobietę, gdzie dalej rośnie i się rozwija. Ten drugi fragment płciowy, zapewne służy do umieszczenia i przystemplowania tegoż. Ponieważ zaś stwierdził, że już samo ciągnięcie się za domniemane nasionka jest bardzo bolesne, wyprowadził wniosek, że zapewne poczęcie dziecka musi być czynem bardzo dzielnym, aktem wielkiego poświęcenia. Chociaż i tak, zapewne mniej bohaterskim, niż następnie sam poród, którego dokonuje sama kobieta i o którym już coś nie coś wiedział.

Przy takim modelu, Angus nie bardzo rozumiał, na czym polega atrakcja dziewczyn lub kobiet. Wy tłumaczył to sobie w ten sposób, że chodzi o utworzenie rodziny, posiadanie dzieci, więzy rodzinne. To uważał za coś bardzo naturalnego i doskonale rozumiał. Sam też przekładał ojca lub matkę nad swoją osobę i nie potrafił sobie wyobrazić modelu życia bez rodziny, gdyby ktoś był tego pozbawiony, to zrozumiałe, że musiał dążyć do utworzenia własnej rodziny.

Z drugiej strony, on już miał rodzinę i czuł się bardzo mocno związany. O zakładaniu nowej, własnej, w ogóle nie mogło być mowy, przy najmniej teraz. To nie była właściwa chwila, żeby zawracać sobie głowę dziewczynami albo kobietami. Dopóki trwała wojna, dziewczyny mogły tylko przeszkadzać, chyba, że spotkałby jakąś wyjątkowo dzielną, odważną, która sama też chciałaby walczyć. Krótko mówiąc, jeszcze lepszą od niego i z którą można by wspólnie zająć się tym najważniejszym, walką z Niemcami. Angus pragnął całkowicie skoncentrować się na działalności - konspiracyjnej, niepodległościowej, bojowej, wywiadowczej - cokolwiek trafi się najpierw, skorzystać z pierwszej możliwości. Żył tylko w tym celu. Wobec tego powinien zdecydowanie unikać wszystkiego, co mogłoby go odciągać lub rozpraszać. Tymczasem tak się pechowo zdarzyło, że znalazł się w domu, gdzie nie było żadnego chłopca, a tylko same dziewczynki.

Siedmioletnia Anisia była jeszcze dzieckiem, które po prostu snuło się jak cień za siostrą, a później czasem także za Angusem, ale nie było z nią absolutnie żadnego kłopotu, była potulna i grzeczna. Natomiast starsza, Violet, była wprawdzie prawie rok (właściwie osiem miesięcy) młodsza od Angusa, ale znacznie bardziej od niego uświadomiona i doświadczona. Chociaż Angus był jak na swój wiek, wyjątkowo wysoki i duży, ona osiągała prawie równy wzrost. Dziewczyny w wieku dziesięciu, jedenastu lat rozwijają się i rosną szybciej od chłopców. Violet była strzelisą i prostą blondynką o ładnych rysach i niebieskich



oczach, miała długie włosy koloru dojrzałej pszenicy, które zwykle splatała w warkocz i owijała wokół głowy, albo układała na pół kręgu, tzw. diadem nad czołem. Była sprawna fizycznie i zdecydowanie ładna, a znacznie ponad swój wiek doświadczona. Można powiedzieć, że Angus jak ślepy głupiec przeszedł koło wielkiej okazji, dowiedzenia się czegoś w dziedzinie, gdzie był wyjątkowym ignorantem. Miał pod ręką wybitną nauczycielkę.

Violet również nie osiągnęła jeszcze - i przez dalszych parę lat nie miała osiągnąć dojrzałości płciowej. Mieszkając i żyjąc tak blisko w jednym domu, Angus kilkakrotnie, mimo woli, wszedł w nieodpowiednich chwilach, gdy dziewczyna myła się w kuchni, podobnie i jej zdarzało się zaskoczyć Angusa przy toalecie. W każdym razie nie było to krępujące, tors Violet był na razie identyczny z torsem Angusa, chłopięcy, nie było jeszcze nawet zadatku na kobiece piersi.

Chociaż współżycie płciowe nie wchodziło w rachubę, to jednak dobrze wyrosnięta i ładna dziewczyna stała się już obiektem zainteresowania ze strony starszych od niej chłopców, uczniów gimnazjum mieszkających na stacji w domu jej rodziców. Nie było to jeszcze nic bardziej konkretnego, niż wstępne ćwiczenia i nabieranie wprawy. Została jakby sparring-partnerem treningowym, przy czym i jej horyzonty w tych sprawach bardzo się poszerzyły. Taka sytuacja rozwijała się przez kilka lat, pierwsze dość niewinne pieszczoty i zabawy w łaskotanie zaczęły się jeszcze z ośmioletnim dzieckiem, ale dopiero w ostatnim roku posunęły się poważniej do przodu, jednak jeszcze ciągle nie przekraczając pewnych granic. Violet bardzo odpowiadała ta zabawa, z pełnym entuzjazmem gotowa była spędzić całe godziny półmroku policzek przy policzku, lubiła się przytulać, siadać na kolanach, zezwalać na bardziej intymne dotknięcia, gładzenie skóry pod sukienką lub pończochą, nawet przy stole w jadalni użyczać sąsiadom swoje stopy, przyciskać łydki lub nogi. W drodze łaski, pozwalała czasem mniej lub bardziej rozebrać się, popatrzeć na siebie, a dopiero w ostatnim roku, zgodziła się nawet odwiedzić łóżka chłopców, szereg razy takie seanse odbyły się na piętrze, kiedy sytuacja w domu na to pozwalała. Całkowicie panowała nad sytuacją, odkryła, że ma niezawodną broń: jeżeli ktoś chciał przekroczyć wyznaczoną przez nią granicę, wystarczyło się obrazić i przez jakiś czas potem unikać go i ignorować.

Rodzice nie pilnowali na razie specjalnie córki, traktując ją jako dziecko, którego nie trzeba jeszcze pilnować. Poza tym, jest faktem, że w tej stronie Polski ludzie jednak byli chyba bardziej pełnokrwisci. W Wielkopolsce, sprawy seksu otoczone były pruderią, a jakakolwiek swoboda surowo potępiana. Natomiast tutaj, traktowane one były jako coś naturalnego i ludzkiego. Może nie mówiono o tym szeroko, ale ceniono dobrych

zawodników. Trochę dziwne, jak się to godziło z dużym wpływem kościoła (choć nie aż tak silnym, jak w Wielkopolsce), ale i kościół był tu bardziej tolerancyjny, a później Angus miał okazję stwierdzić, że i niektórzy księża nie świecili przykładem.

Violet ta sytuacja coraz bardziej się podobała, czuła się jak królowa, o której względu zabiegano. Uczyła się wszystkiego co mogła się nauczyć z pełnym zaangażowaniem, zaczynając od elementarza techniki, aż do taktyki i strategii postępowania. To była nie tylko wspaniała zabawa i nauka, zdecydowała się wybrać drogę życiową i postanowiła zostać gwiazdą pierwszej wielkości w tej dziedzinie. Stąd też ten dobór literatury, traktowała przyszłą karierę bardzo poważnie i przygotowywała się również i teoretycznie. Czuła że jest coraz lepsza, bez trudu i w sposób naturalny szła od sukcesu do sukcesu, miała nadzieję w przyszłości przewyższyć te wszystkie znakomite poprzedniczki, o których czytała i starała się jak najwięcej dowiedzieć. Trenowała pilnie i przy każdej okazji, jak do mistrzostw sportowych, tak żeby w pełni panować nad swoim ciałem.

Nie miała łatwego zadania, bo w końcu starsi chłopcy mieli jednak przewagę fizyczną. Z początku nie pozwalała się zbyt długo łaskotać lub męczyć, ale starała się przystosować do coraz większych dawek i coraz więcej znieść i wytrzymać. Musiała nauczyć się panować nad własnym ciałem, ukrywać niekontrolowane odruchy i czułe miejsca, bo okazanie słabości stanowiło wprost zachętę dla partnera, lub czasem partnerów. To była twarda walka i z początku to ona musiała prosić o czas. Jednak miała duże fory, i to zarówno ze względu na swoją pozycję - córki gospodarzy, jak i ze względu na prawa popytu i podaży. Żadne dziewczyny oczywiście nie mogły przychodzić na stancję chłopców, była więc jedyna wśród wielu chętnych i miała zapewniony monopol.

Stopniowo zdobywała przewagę, może i dlatego, że nie odczuwała jeszcze prawdziwego pociągu płciowego. Nie pozwalała oczywiście na nic ostatecznego i także nie zgadzała się na to żeby partnerzy zabawy doszli aż do ejakulacji. Kiedy zdarzyło się czasem mimo woli, że nie zdołali nad sobą zapanować, Violet obrażała się na nich i przez pewien czas bojkotowała, ale w końcu pozwalała się przeprosić. W rzeczywistości była nawet zainteresowana, ale nie chciało posuwać się za daleko, a także przekonała się, że określenie z góry granicy i postawienie twardych wymogów, zapewnia jej przewagę i dominującą pozycję. Ponieważ jednak miała naprawdę wrodzone zdolności, szybko nauczyła się podstawowych chwytów i zasad gry i coraz częściej udawało się jej pokonać partnerów, tak, że to oni nie mogli wytrzymać i musieli przerywać zabawę. Oczywiście, chłopcy masturbowali się później sami, co zresztą normalne w ich wieku. I tak, robili to od dawna.

Dopiero w tym roku naprawdę zdecydowała się na wybór drogi życiowej i wiedziała, że robi postępy i rozwija się, że idzie od sukcesu do sukcesu. Miała rzeczywiście naturalny talent i czuła, że jest na najlepszej drodze, w stanie dojść do szczytu kariery, a wybrana pozycja to jest właśnie to, co może zapewnić jej satysfakcję i szczęście. Nic wspanialszego nie mogła sobie wyobrazić, już teraz czuła się wspaniale, otoczona sympatią i względami. Jak dobra królowa, starała się być hojna, chciała, żeby wszyscy dokoła też byli szczęśliwi. Krótko mówiąc, nauczyła się też najważniejszej rzeczy, nie tylko brać, ale i dać ze siebie jak najwięcej. Rozwinęła w sobie autentyczny altruizm, lubiła sprawiać przyjemność. To jest właśnie to, co decyduje o prawdziwej wielkości.

Przy tak dobrze zapowiadającym się początku, wspaniałym samopoczuciu i już poznanym smaku powodzenia, wojna była dla niej klęską osobistą. Coś zupełnie niepojętego przekreśliło jej plany życiowe. Bardzo brakowało jej chłopców i to nie tylko jako partnerów do sekretnych zabaw, ale także z powodu więzów przyjaźni i przywiązania. Na bezrybiu i rak ryba. Skoro mimo wszystko, los zrządził szczęśliwie, że jednak w domu pojawił się jakiś chłopiec, może łatwiej zdoła znieść pechowy okres.

Ale uparty pech trwał nadal i sprawił, że ten chłopiec okazał się nie tylko głupi i ograniczony, nie tylko nie wiedział jak i co, ale w ogóle nie chciał się uczyć.

Angus miał przed sobą dokładnie wytyczony, zupełnie inny program życiowy: chciał walczyć z najeźdźcą i dokonać jeszcze nie określonych bliżej, ale na pewno wielkich czynów. Nie było tu miejsca na niepotrzebną stratę czasu, angażowanie się w jakieś dwuznaczne afery z dziewczynami, które mogłyby stworzyć komplikacje, albo nawet odciągać go od tego, co najważniejsze. Z tego powodu on nie był zainteresowany - i to wcale nie dlatego, żeby Violet mu się nie podobała. Przeciwnie, wprawdzie nie interesował się dotąd dziewczynami, ale jak dotychczas była to najładniejsza dziewczyna, jaką spotkał. Szereg razy sam upominał się surowo, stwierdziwszy, że jednak patrzy na nią z przyjemnością i zainteresowaniem, które powinien zwracać w inną stronę. Ale ostatecznie, nikomu nie szkodziło, ani nie wywoływało żadnych konsekwencji, że czasem spoglądał na linię jej kolana, najchętniej na linię łydki i tylnej części stawu kolanowego, podobała mu się również bosa stopa, względnie pomagał jej szcزتkować i zaplatać włosy, przyjemne w dotyku i kolorze. Właściwie było to kilka kolorów, bo poszczególne pasemka trochę się różniły, najciemniejsze były koloru jasnego mosiądzu, a większość jaśniejsza, słomiano-złotawa, wszystkie puszyste i obfite. Ale to, że nawet nauczył się zaplatać warkocze, to już absolutnie koniec. Dalej nie chciał się posunąć.

Zrealizowanie tego postanowienia też nie było łatwe, wymagało taktu i dyplomacji, a tego Angusowi brakowało. Nie chciał przecież urazić dziewczyny, powinien utrzymać dobre

koleżeńskie stosunki z dziećmi i konsekwentnie również z ich rodzicami. Na dłuższą metę to się nie mogło udać i ostatecznie skończyło fatalnie. Na razie, jako najprostsze wyjście, postanowił udawać głupka. Nie zdawał sobie sprawy, że tak naprawdę nie wiele musiał w tym wypadku udawać.

Mnóstwo czasu spędzali razem, ale raczej starał się przenieść kontakty na pole rozmowy. Ponieważ on już skończył piątą klasę, a ona dopiero czwartą, zaproponował ewentualną pomoc w przerabianiu programu piątej klasy. Dziewczyna zgodziła się, ale nie była naprawdę zainteresowana, nawet gdy zaczęli od tak opisowego materiału, jak geografia i historia Polski, co wydawało mu się na początek najbardziej interesujące i ciekawe. Co do opowiadań o własnych przygodach w czasie wojny, to Angus był wprost zaskoczony, bo odczuł to tak, jakby wiele z tego co opowiadał, poczynawszy od samego opisu życia w wielkim mieście, a już szczególnie wysiedlenie, późniejszy pobyt w obozie koncentracyjnym itd. traktowane są z pewnym niedowierzaniem. Zupełnie, jakby opowiadał bajki. Zresztą, podobne wrażenie odnosił często również, jeżeli chodziło o dorosłych. Być może, sama myśl, że ktoś może tak zwyczajnie przyjść do naszego domu i po prostu, bez żadnego dania racji, zabrać wszystko i wyrzucić właściciela, wydawała się normalnym ludziom niemożliwa. Zaczynali domniemywać, że za tym wszystkim kryje się jeszcze coś niedopowiedzianego i że może ofiary, same dały jakiś powód do takiego postępowania.

Ale podobną rezerwę odczuł Angus także, gdy mówiąc o historii Polski, wspomniął o roli Poznania i Wielkopolski, nawet gdy wspomniął, że Poznań i Gniezno były pierwszymi stolicami Polski. Także i wtedy, gdy opisywał geografię i gospodarkę rejonu, najwyższy stopień rozwoju - a przecież trzymał się tylko faktów, ściśle według podręcznika.

Próba przeniesienia kontaktu na strefę intelektualną raczej nie okazała się więc zbyt owocna. Natomiast ze swojej strony, Violet w tym czasie przeszła do zdecydowanej ofensywy. Ponieważ Angus nie wykazywał inicjatywy, to ona starała się wypełnić dłużyzny dygresjami bardziej namacalnymi, od gładzenia, pocałunków, przyłgnięcia a czasami wprost przyssania się do interlokutora, aż do zdecydowanego sięgania do jego ciała. I to nie tylko do ręki, nogi, karku czy ewentualnie torsu, ale stopniowo także w rejony trudniej dostępne i zakryte. Angus znalazł się w defensywie, a ponieważ z oślim uporem trzymał się raz powziętego postanowienia, musiał zdecydowanie się bronić, aż sam poczuł się głupio i śmiesznie w tej roli. Krytyczny moment nastąpił, gdy w parę dni po wyjeździe jego matki i kiedy rodziców Violet również nie było w domu, złożyła mu ona wizytę rano, kiedy jeszcze leżał w łóżku w swoim pokoiku. Wysławszy młodszą siostrę do kuchni z poleceniem uważania, kiedy mama będzie wracać od udoju, wpakowała się prosto do łóżka Angusa.

Angus zachował się jak prostak, wyskoczył z łóżka i przemówił, jak Józef kuszony przez Putyfarę, w najbardziej napuszony i oficjalny sposób:

- Panno Violet, nie zachowuje się Panna jak dama, takich rzeczy nie wypada robić...- itd., aż do - Jeżeli to nie ustanie, to nasza znajomość jest skończona.-

Może i Angus nie miał takich intencji, jak wiadomo dobrymi chęciami piekło brukowane, a jemu chodziło tylko o to, żeby się nie rozpraszać, pragnął poświęcić się wielkim sprawom. Tak czy owak, jego zachowanie było nie tylko głupie, ale i niedelikatne, wprost chamskie i obraźliwe, niedopuszczalne dla mężczyzny. Tylko, że on nie był mężczyzną, a jedynie ograniczonym chłopakiem, który sztywno trzymał się wymyślonych przez siebie, idiotycznych teorii i tzw. zasad z kretyńskim uporem. Zresztą nie tylko w tym wypadku, później w życiu popełniał podobne błędy, w imię swoich idiotycznych pomysłów często, ranił innych ludzi i trudno było z nim wytrzymać.

Tym bardziej dziwne jest, że w tym wypadku Violet przyjęła ten wybryk i reprimendę w pokorze. Trudno powiedzieć, czy też i w zawstydzeniu, chociaż faktem jest, że Angus nigdy w życiu nie widział jeszcze takiego rumieńca, przynajmniej w tym zakresie opisy książkowe nie przesadzały. Dosłownie ze łzami. Zawarli jednak pokój i ustalili warunki: dopuszczalne są tylko niewinne pieszczoty, jak przytulanie się, pogłaskanie i niewinne pieszczoty, pocałunki, ale nie usta-usta. Angus całkiem szczerze zapewnił Violet, że podoba mu się i jest wybitnie ładna, właśnie w jego typie, a także że ją lubi i chciałby, żeby koleżeństwo i sympatia pozostały. To rzeczywiście była prawda, choć nie cała. O swoich zamiarach przyszły konspirator nie mógł przecież nikomu opowiadać, a zresztą uważał, że dziewczyna i tak nie byłaby w stanie tego zrozumieć.

Od tej pory sytuacja pozostała dokładnie na wynegocjowanym poziomie. Angus traktował obie dziewczyny po koleżeńsku, bawił się z nimi zarówno w domu jak i w obrębie gospodarstwa. Jedynie dalej wychodził, przynajmniej podczas wielkich mrozów, przeważnie sam. Violet zaprzestała zdecydowanych akcji, ale lubiła słuchać opowiadań, albo prowadzić rozmowy siedząc przytulona całym ciałem i policzkiem do policzka. Szczerze mówiąc, to było trudno wytrzymać, siedział sztywno, jak kawałek drzewa i po pewnym czasie robiło mu się niewygodnie i gorąco. Ale trudno, takie były uzgodnienia, więc musiał, może nie tyle cierpieć, raczej cierpnąć w milczeniu. Zresztą to, że od napięcia zaczynały go boleć i cierpnąć mięśnie, szczęśliwie się składało, bo dzięki temu łatwiej było znosić drobne pocałunki i lekkie gładzenie. Mimo całego wysiłku, kilka razy nie potrafił opanować dreszczy, a pocałunki za uszami i zawiasem szczęki, wywoływały czasem gęsią skórkę, nie dającą się ukryć. Dlatego niewygodną pozycję, zeszywnienie mięśni i nawet ból, spowodowany gorszym obiegiem

krwi, traktował jako ukryte błogosławieństwo, bo pozwalały skoncentrować się na czymś innym, zapomnieć o pieszcotach.

Wybiegając w tym miejscu do przodu, można odrazą wyjaśnić, że Angus wytrwał do końca w swym uporze. Zachował się dokładnie, jak najgłupszy z osłów, który im bardziej zachęcany jest do ruszenia z miejsca, tym bardziej zapiera się kopytami w ziemię. O wiele za późno poznał bezmiar swojej głupoty, która w rezultacie ściągnęła właśnie te komplikacje, których chciał unikać i trwale poróżniła całe obie rodziny. Ponadto zaś także spaczyła, na szczęście nie na trwale, psychikę samego Angusa. To typowe dla niego zachowanie, nie tylko w tej, ale także w wielu innych sytuacjach życiowych: dorobienie sobie jakiejś bzdurnej teorii, nie zgadzającej się z prawdziwym życiem i następnie trzymanie się jej za wszelką cenę, zamiast naturalnego, prostego zachowania. Książkowy Don Kichot, sam sprowadzał na siebie ciężki i na tym się kończyło. Natomiast Angus, zatruwał życie innym i ściągał kłopoty na otoczenie, a przez cały czas był przekonany, że tak właśnie powinien się zachowywać.

Jedenastego dnia pod wieczór, gdy Angus, wciąż jeszcze nie otrząsnąwszy się z fascynacji, patrzył przez okno na wirujące niebo pełne ptaków, przed domem zatrzymały się sanki z których wysiadła matka. Bóg go wysłuchał, wróciła szczęśliwie.

Najpierw opowiadała wszystkim co widziała, ale nie zbyt długo, zmęczona wycofała się do pokoiku zanim zrobiło się późno. Tam jednak, jeszcze przed zaśnięciem, opowiedziała dopiero teraz Angusowi, co stanowiło właściwy cel i sens wyprawy. Dwa razy przejechała granicę Rzeszy Niemieckiej, posługując się tylko swoją doskonałą znajomością języka i niepowtarzalnym berlińskim akcentem - oraz instynktowną szybką reakcją i bezczelnością. To, że pociągi chodziły nieregularnie, a podróż (i zwłaszcza przerwy w niej) była szczególnie utrudniona i odbywała się w niezwykle trudnych warunkach, że panowało kompletne zamieszanie i bałagan, ułatwiło jej zadanie.

- W Polsce - komentowała, - według pociągów można było nastawiać zegarek. Nigdy, ale to nigdy nie mogło się zdarzyć, żeby pociąg spóźnił się ponad pół godziny, no, może godzinę w razie katastrofy albo klęsk naturalnych. Wprawdzie nie trzęsień ziemi ani wybuchów wulkanów, ale nie tylko w czasie srogich zim, nawet i podczas powodzi, mimo zerwanych mostów i podmytych torów, Polskie Koleje Państwowe sprężyły się i pociągi kursowały prawie regularnie. A teraz co? Zupełny bałagan i dezorganizacja z powodu zwykłego śniegu i mrozu. Jechałam pociągiem, nie żeby spóźnionym o kilka czy nawet kilkanaście godzin, ale wczorajszym i raz nawet przedwczorajszym. To ma być niemiecka organizacja? Oni sobie nie radzą, nie potrafią zachować cywilizacji, po prostu jak zwykłe dzikusy. Wszystko im się rozsypuje, są bezradni.-

Bardzo interesujące uwagi, ale Angus już to i sam zauważył. Całe życie był przekonany, że gdyby choć jedna dywizja polska ocalała, w czasie tej zimy bez trudu mogłaby zająć Berlin.

W Poznaniu matka wolała się w ogóle nie pokazywać, lecz bardzo rozsądnie pojechała dalej do Podłożin. Jej siostra wraz z rodziną jeszcze gospodarzyli na majątku, ale dostali już niemieckiego Traeuhaendera. Nie orientował się on jeszcze w całości i nie wiele się wtrącał, ale zdawali sobie sprawę, że ich dni na majątku są policzone. W każdym razie, po raz drugi rodzina wsparła ją według swoich możliwości.

Ale nawet potem, matka nie wróciła zaraz do Ostrowca, ale pojechała jeszcze do Warszawy i tam otrzymała jeszcze pomoc od brata, który ponadto ułatwił jej korzystną sprzedaż wzmiankowanego uprzednio, złotego medalionu. W rezultacie wracała z poważną sumą pieniędzy, która w obecnych warunkach z łatwością wystarczałaby na przeżycie do samego końca wojny. Jednak doświadczenie z poprzedniej wojny i lat potem podpowiadało jej, że pieniądze będą wkrótce miały tylko wartość papieru. Faktycznie, niewielki ruch cen już się zaczął.

Jak zwykle, Angus niezwłocznie wystąpił z dobrą radą. Jednak tym razem, jedynym w życiu, matka nie tylko wysłuchała go do końca, ale nawet zapytała o wiele dalszych szczegółów, tak, że stopniowo pomysł rozwinął się w prawdziwą business-plan, nad którą matka zgodziła się zastanowić. Pomysł nie był zbyt oryginalny, wynikał ze skojarzenia poczynionych w międzyczasie obserwacji.

Otóż powód, dla którego rodzina Misiorów potrzebowała gotówki od razu i z góry i tak chętnie przyjęła płacących gości, zwłaszcza, że ci jeszcze byli w stanie dodatkowo pożyczyć dodatkową sumę, był prosty: koncesja inwalidzka, upoważniająca do dokonywania zakupów alkoholu.

Niestety, w spożyciu i zapotrzebowaniu na alkohol, Polska lokowała się na wysokiej pozycji. W kraju rolniczym, produkcja z natury była łatwa. Wprawdzie alkohol nie był narodowym wynalazkiem, ani jego produkcja przemysłem narodowym, jest jednak faktem, że to Polacy jako pierwsi, jeszcze w średniowieczu, rozpoczęli rynkową produkcja czystego alkoholu. Polska nazwa jego roztworów wodnych, „wódka”, przyjęła się na całym świecie, a sam produkt coraz bardziej stawał się polską specjalnością. To oczywiście nie jest żadnym powodem do dumy. Ale z drugiej strony nie jest niczym nagannym osiągnięcie postępu technicznego w metodach wytwarzania i oczyszczania alkoholu etylowego jako substancji. Angus wiedział to wszystko od jednego z wujków, który był inżynierem gorzelnym, a w

wolnych chwilach oprowadził go po galerii malarstwa i zbiorach w Pałacu Rogalińskim i właściwie nauczył patrzeć na obrazy.

Otóż gdy obecnie zaczął się ruch cen, w pierwszym rzędzie zaczęły rosnać ceny wyrobów alkoholowych, wyprzedzając znacznie żywność i inne towary. To osobliwe zjawisko polegało na tym, że przetwory alkoholowe są w zasadzie trwale i mogą być długo przechowywane, ba, niektóre nawet stają się lepsze przy przechowywaniu. Wprawdzie jeszcze zaufanie do wyjątkowo stabilnej waluty, polskiego złotego, nie zostało poważnie podważone, ale już bardziej przewidujący ludzie zaczęli rozglądać się za ewentualną rezerwą. Otóż alkohol i jego wyroby, nadawały się dobrze do tezauryzacji.

To znowu specyficzne polskie zjawisko. Od setek lat, beczka starki zakopana pod klepiskiem stodoły, pozwalała na odbudowanie tej stodoły, gdy została ona spalona - czy to podczas wojen napoleońskich, czy walk powstańczych, Czy setki lat temu przez najazd tatarski, czy setki później przez ekspedycję karną jeszcze dzikszych kozaków.

### **Starka.**

Wprawdzie od początku wieku, dokładniej od zmian regulacji prawnych i ustanowienia monopolu spirytusowego zniknął i zwyczaj i sam „polski koniak”, jak nazywano żartem starkę (bo czas dojrzewania to najmarniej dwadzieścia lat, a dobre powinny mieć znacznie więcej, najwyżej cenione były stuletnie). Obecnie pod nazwą starki wytwórnice produkują przemysłowo tylko kiepską imitację, na którą znawcy tylko machają ręką i nie chcą jej nawet próbować. Podobno nie można jej w ogóle porównać z dawnymi „wykopaliskami”. Inna sprawa, że nie tylko po tym, podobno najcenniejszym a najrzadszym obecnie alkoholu pozostało tylko wspomnienie, ale i ci znawcy też powymierali. Ale kiedyś mówiono, że każda starcka ma swoją własną indywidualność i różnią się one bardzo między sobą, a w wypadku tych najbardziej udanych, puste beczki mogły czasem uzyskać taką cenę jak zawartość, bo taka stara beczka gwarantowała, że następne starki też będą udane. Po wiekach doświadczeń, wprowadzono taki system, że beczki odkopywano co dwadzieścia lat, odlewano połowę najstarszej i uzupełniano z młodszej, tą z kolei uzupełniano z jeszcze młodszej itd., aż na końcu zakopywano jeszcze jedną, surową. Otóż teraz wytwórnice przemysłowe posługują się podobną metodą, kaskady beczek, ale oczywiście czasy leżakowania zostały wielokrotnie skrócone, a dla przyśpieszenia procesu dobiera się sztucznie warunki. Wytworzony w ten sposób produkt tak się ma do prawdziwej starki, jak imitacja do prawdziwego dzieła sztuki. Ta dygresja, dotyczy zapewne jednej z największych osobliwości świata. Wątpię, czy w Polsce, albo gdziekolwiek indziej, można by znaleźć obecnie choćby kilka butelek prawdziwej starki, zapewne łatwiej byłoby np. o szkielet dodo.



Oczywiście, także wtedy, na początku 1940 r., nie chodziło o starkę. W tej chwili istniało zapotrzebowanie po prostu na jakiegokolwiek wódki w butelkach. Wprawdzie hurtownia w Ostrowcu od początku wojny była pusta, ale w pobliżu znajdowała się jedna z najbardziej znanych i największa wytwórnia wysokogatunkowych alkoholi nie tylko w Polsce, ale i w Europie.

### **Złote jabłko Łańcut i skarb w zastępczym pieniądzu.**

Wytwórnia i rozlewnia wódek, rosolisów i likierów w Łańcucie, sama w sobie mogłaby stanowić tło do powieści sensacyjnej i Agnus nasłuchał się wiele takich opowiadań od pani Marii Misiorowej. Łańcut był w ogóle najlepiej zachowaną rezydencją magnacką w Polsce. Nie dlatego, żeby tak było zawsze, ale te większe i wspanialsze, zostały zniszczone, a Łańcut miał dużo szczęścia i zachował się. Do tego w drugiej połowie ubiegłego wieku jeden z Potockich, zamiast tracić majątek za granicą, co zwykle zdarzało się polskiej arystokracji, niespodziewanie miał dużo szczęścia i zyskał wielki kapitał. W większej części został on użyty na odnowienie i uświetnienie rezydencji rodowej, ale część użyto na cele inwestycyjne. Między innymi, powstała wtedy wymieniona wyżej wytwórnia i to bez uwzględniania polskich tradycji. Wykorzystano raczej najnowsze i najlepsze doświadczenia francuskie, zakupując zarówno całe technologie i know-how, sprowadzając najwybitniejszych fachowców, z wielkim rozmachem. Zakupiono też prawo używania oryginalnej nazwy wielu napojów i szlachetnych trunków, jak na przykład autentycznej benedyktyнки, jedyne w Europie miejsce na wschód od Renu i poza zakonem, znanego likieru Chartreuse i wielu innych. Wydawało się z początku, że rozmach i nakład finansowy jest nadmierny, jednak te i inne wyroby stopniowo weszły trwale na rynek krajów, należących wtedy do Monarchii Habsburskiej i następnie, także ościennych. Przedsiębiorstwo stopniowo wyrobiło sobie dobrą lokatę i stało się opłacalne.

W wolnej Polsce przedsiębiorstwo przeżywało poważne trudności, polski rynek okazał się za mały, a eksport niestety utrudniony. Zachował się tylko ograniczony rynek węgierski. Wytwórnia miała kłopoty, z powodu zamrożenia kapitału w zapasach drogich, wysokogatunkowych trunków. Wreszcie wynikła sprawa konkurencji, wygrywały ją w samej Polsce trunki Baczewskiego - a wszystko zaczęło się od Wielkiej Wystawy w Poznaniu w 1929r, kiedy dwie firmy dążyły do uzyskania najbardziej eksponowanego miejsca, a mianowicie niemiecka, produkująca żarówki i wymieniona rozlewnia wódek. W rezultacie, powstał napis, wielkie, z dużą widoczną literą: OSRAM LAMPE, J. A. BACZEWSKI. Obejrzało go, lekko licząc, 4,5 mil. ludzi, wszyscy zwiedzający biegli na Plac Wolności,

podobno przyjechał specjalnie sam Baczewski, ale nie miał zastrzeżeń. Ubawiona większość zachowała wrażenie, że chyba wytwórnia robi napoje, szybko uderzające do głowy.

Na początku okupacji, zarówno same majątki Potockich jak i zakłady przemysłowe, zagrożone były przejęciem przez Niemców, natychmiastowym ustanowieniem niemieckiego zarządu. Ale na razie, a właściwie aż do końca wojny. Potoccy radzili sobie z tym zagrożeniem zadziwiająco dobrze, wykorzystując zarówno swoje zagraniczne koneksje i pokrewieństwo z arystokracją niemiecką, jak i łapówki, duże operacje finansowe i nawet często snobizm wysokich oficerów i urzędników. Trzeba było poświęcić część stanu posiadania, żeby na pewien czas zachować resztę.

Wielki remanent szlacheckich trunków, przez długi czas martwy ciężar, teraz zamienił się w prawdziwy skarb. Ale skarb ten leżał na widoku i w każdej chwili można go było utracić, a przecież miał posłużyć do uratowania innych, ważniejszych wartości. Krótko mówiąc, choć w większej skali, podobna sytuacja jaką widział Angus w Poznaniu, u tamtejszych kupców. Lepiej szybko zmienić majątek na bezimienną gotówkę, zwłaszcza że trzeba zaraz i później użyć rozsądnie tej gotówki. Wytwórnia i rozlewnia rozpoczęły więc natychmiast wyprzedaż zapasów, właściwie kontynuowały ją. Tylko że przedtem rynek ich nie mieścił, a teraz zapotrzebowanie wzrosło i na rynek trafiały remanenty najdroższych wyrobów, gromadzone od lat. Sprzedaż odbywała się oczywiście ściśle legalnie, według obowiązujących dotąd przepisów polskiego prawa, wyłącznie uprawnionym właścicielom koncesji i po niezmiennych jeszcze cenach z przed wojny. Tyle, że obecnie nie trzeba było szukać klientów, ani organizować transportu. przed bramą czekali chętni, którzy płacili żywą gotówką i bez grymaszenia, brali wszystko, nawet najdroższe i najbardziej wyszukane trunki.

W parę dni po otrzymaniu wpłaty od matki Angusa, Jan Misiór odwiózł ją na dworzec, a następnie on i teść, nie zważając na czterdziestostopniowe mrozy, wsiedli do pociągu w odwrotną stronę. To była bez porównania krótsza podróż, nawet nie sto km, ale jednak dwie przesiadki, nigdy nie można było przewidzieć, czy i kiedy pojedzie pociąg. Dlatego obecność byłego maszynisty kolejowego, który znał i był za pan brat z większością kolejarzy, a przy tym mimo wieku jeszcze krzepkiego, była bardzo cenna. A co do sił, to znowu Misiór, mimo że bez nogi, potrafił jak nic unieść dwa worki zboża, sto kg.

Wrócili po dwóch dniach, przez ten czas koń i sanki czekały w znajomej stajni koło dworca. Przywieźli ze sobą i wnieśli do domu dwa mocno obwiązane sznurem, wiklinowe kosze i jedną walizę, wypchane sianem i nie tylko. Jan Misiór najpierw wyprzągnął i zaprowadził do stajni konia i nasypał mu obroku (choć koń miał ze sobą zapasy - ale nie wypowiadał się, czy i ile dostał). Dopiero potem wrócił do domu, gdzie stopniowo zdejmował

czapkę i kozuch, ściągnął rękawice i grubą, wełnianą kominiarkę, zakładaną na głowę, która pozostawiała tylko widoczny okrągły otwór na oczy i część twarzy. Potem pozbywał się kolejnych, dalszych warstwy odzieży, aż do spodni i w końcu odpiął nogę. W tym czasie, na piecu płonął już wielki ogień, a na stolku przy nim stała ogromna, parująca miednica po czym osoby postronne opuściły kuchnię.

Angus słyszał tylko przez uchylone drzwi odgłosy wielkiego chlupotania i parskania, przeplatane chrząkaniem, odkaszliwaniem i przedmuchiwaniami nosa, a do kuchni wrócił dopiero, kiedy gospodarz, już przebrany i z przypiętą, inną nogą, zakończoną kopytkiem, siedząc przy kuchennym stole, przyczesał przed małym stojącym lustrem rzadkie i wciąż mokre włosy, podczas gdy jego żona czekała już z wazą gorącej zupy i z talerzem. To był jednak człowiek o żelaznym zdrowiu i siłach, po takiej wyprawie nie tylko się nie przeziębził ani nie wyczerpał, ale położył się tylko na godzinkę lub dwie w sypialni, gdzie obiegała go żona, po czym wstał i obszedł gospodarstwo, żeby jeszcze przed zapadnięciem wczesnego zmroku sam wszystkiego dojrzeć i obrządzić.

Jego teść również nie poniósł żadnej szkody, za wyjątkiem tego, że omal nie utracił wąsów. Trzeba je było powoli i cierpliwie odmrażać, na szczęście innych odmrożeń nie było. Dopiero potem pani Misiorowa podała późny obiad. Gdy go zjedli, Angus z niecierpliwością oczekiwał opowiadań z podróży i jak wygląda teraz kolej dworce i w ogóle co widzieli po drodze, ale nie doczekał się tego, gdyż akurat rozległo się pukanie.

Pani Misiorowa poszła otworzyć i wróciła powiedzieć że właśnie przyszedł Moszek, potencjalny odbiorca towaru. Był to mężczyzna nie całkiem jeszcze w średnim wieku, ubrany z miejska, w płaszczu i kapeluszu mimo takich mrozów. Zaproszony do stołu, zdjął płaszcz i kapelusz i usiadł, ale poprosił tylko o herbatę.

- Ale skąd pan wiedział, że towar już jest. Przecież niedawno przyjechaliśmy i dopiero chcieliśmy zawiadomić. I jak pan się tu dostał, wszystko jest pozamykane i nawet pies spuszczone. Wszyscy boją się Beka.-

- Proszę mnie nie zawstydząć, - odpowiedział Moszek. - A pies jest groźny i wielki, ale i mądry, umie poznać porządnego człowieka. - Angus przyglądał się z ciekawością. Właściwie nigdy nie poznał nazwiska przybyłego człowieka, wszyscy mówili wyłącznie, pan Moszek albo Mosiek. Wyrażał się on całkowicie czystą polszczyzną, nawet bez takich małych potknięć gramatycznych, jakie trafiały się niektórym stałym pacjentom szpitala. Chyba raczej zupełnie świadomie i celowo, stylizując się, wtrącił raz „uś” i raz „aj waj”, a to przy pytaniu, co myśli o ogólnej sytuacji i czy będzie musiał przenieść się do getta, oraz co może być dalej. Odpowiedział na to tylko: - Lepiej o tym nie mówić i nawet nie myśleć, póki ten czas nie

przyjdzie. - Moszek mieszkał o kilka domów dalej, też przy ulicy Piaski, gdzie wynajmował pół domu od jednego z gospodarzy. Miał rodzinę i kilkoro dzieci. Ponadto mieszkaly tam jeszcze trzy starsze osoby, albo jego rodzice i matka żony, albo odwrotnie. Tylko te starsze osoby częściowo i czasem, wkładały tradycyjne żydowskie stroje, Moszek zawsze ubrany bywał w miejski garnitur marynarkowy i przy krawacie.

Od kilku pokoleń, jeszcze dziadkowie i pradziadkowie Moszka byli zaufanymi pośrednikami, wtedy mówiło się „faktorami” rodziny Kawiorskich. To jeszcze w czasach, kiedy Piaski były małą wioską koło Ostrowca, należąca do majątku Kawiorskich. Od tej pory wiele się zmieniło, Kawiorscy zachowali tylko swój dawny dworek z wielkim ogrodem i kawał lasu obok, część z tego lasu, przy zbiegu ulicy z szosą właśnie przed samą wojną ofiarowali na budowę kościoła, natomiast sąsiednią na przyszłe probostwo sprzedali, z tym, że do wojny otrzymali tylko zadatek.

Rodzina Moszka, prowadziła mały sklep, ale to nie był główny środek utrzymania, ponieważ nie zamieszkiwało tu zbyt wielu ludzi, więc i sklep miał mały obrót. Sam Moszek był nadal pośrednikiem, zajmował się wszystkim co się trafiło i załatwiał nie tylko sprawy Kawiorskich, tradycyjnie, lecz obecnie raczej rzadko, ale praktycznie także wszystkich mieszkańców okolicy. Miał bardzo dobrą opinię i dbał o nią, bo zresztą taki image konieczny był z powodów profesjonalnych. Pani Misiorowa, która była głównym źródłem informacji w tej i wielu innych sprawach, parokrotnie wspominała Angusowi, że Moszek to wyjątkowy Żyd i człowiek. Na jego słowie można zawsze polegać, bez względu na to, czy miałyby zyskać, czy nawet stracić na interesie. To główny powód, dla którego warto korzystać z jego pośrednictwa. Oczywiście, taka opinia - bezwzględnej uczciwości - była mu potrzebna ze względów zawodowych, ale też, wyrobiwszy ją sobie, bardzo o nią dbał. W rezultacie, radził sobie doskonale i to on właściwie utrzymywał całą, ośmioosobową rodzinę. Musiał też być bardzo sprawny fizycznie, choć na to nie wyglądał. Angus nie był pewien, czy on sam, a i wielu innych ludzi, potrafiliby sobie tak łatwo poradzić z trzymetrowym parkanem, nowo ustawionym z mocnych, ostro ściętych u góry desek i w dodatku uwieńczonym drutem kolczastym. Bo co do psa, to może też potrafiłby się szybko porozumieć, psy rozumiał i łatwo się z nimi zaprzyjaźniał.

W tydzień później, Misior wyjechał po raz drugi, tym razem wraz z teściem i szwagrem. Najmłodsza siostra Marii, Nina wraz ze swoim bezbarwnym mężem wprowadzili się już i zamieszkali na górze i nazywało się, że na razie, z braku lepszego zajęcia, będzie on pomagał w tych wyprawach. Szczerze mówiąc, trudno byłoby sobie wyobrazić równie dochodowe zajęcie. Tym razem przywieźli prawie podwójny ładunek, rozlewnia sprzedawała

maksymalnie do stu litrów gatunkowych wódek jednorazowo, a zresztą i tak nie mieli więcej pieniędzy, to nie zwykła „czysta”, przeważnie wysokogatunkowy towar. W sumie zapłacili ponad 1400 zł, całość znowu odebrał Moszek i zapłacił podwójną cenę. Na wszelki wypadek Misior sprawdzał w mieście ceny i możliwości, to była jednak najlepsza oferta i do tego co za wygoda. Blisko, dogodne położenie i natychmiastowy odbiór i płatność. Perspektywy układały się na pozór korzystnie.

Tak więc obecnie, gdy matka opowiedziała Angusowi o swoich przeżyciach i przygodach, a także ocenie możliwości przetrwania do końca wojny i może jeszcze pierwszych trudnych miesięcy po wojnie, Angus miał już gotową propozycję: - Mamo, postaraj się też o koncesję, jak pan Misior. - Matka, w pierwszej chwili zachnęła się: - Nonsens, przecież ja nie mam żadnych podstaw. Nie jestem nawet inwalidką...-

- To nie ma żadnego znaczenia, na pewno da się załatwić. Przecież widziałas, jacy są Niemcy, tylko czekają na to, żeby ich przekupić, za pieniądze gotowi są zrobić wszystko. To jeszcze i tak dobrze, kiedy czekają, bo jak nie złodzieje i oszuści, to zwykle bandyci. Przecież tu, do zdobytego kraju, starali się przyjechać przede wszystkim ci, którzy mają nadzieję się obłowić. Sam najgorszy element. Jestem pewien, że wielu z urzędników nie miało jeszcze okazji, bo tutaj na razie nie ma prawie nikogo, kto ich rozumie, no, może z trudem. I oni też nikogo nie rozumieją. Więc dotąd mają mało propozycji łapówek, a nie każdy urzędnik jest w takiej sytuacji, żeby sobie sam mógł brać, rabować albo ukraść. Najłatwiejszy byłby szantaż, ale na razie pewnie mają za mało rozeznania, do tego trzeba najpierw zebrać informacje. Zresztą co cię będę uczył, orientujesz się na pewno lepiej ode mnie i potrafisz to załatwić. W każdym razie można spróbować, tylko postaraj się rozmawiać w cztery oczy, jakby się nie udało, to zawsze możesz wykręcić kota ogonem i wycofać się. - Angus normalnie uważałby podobne postępowanie za samo zło, propozycję niegodną i niehonorową. Ba, gdyby to chodziło o polskiego urzędnika w wolnej Polsce, to nie tylko sam by nigdy o tym nie pomyślał, ale uważałby za moralny obowiązek przeszkodzić, gdyby przypadkiem dowiedział się o podobnym czynie. Ale w przypadku Niemców, nie miał takich skrupułów. Przeciwnie, skorumpowanie Niemca, spowodowanie, żeby zrobił on coś sprzecznego z interesem swej zwierzchności i przełożył ponad to swój osobisty interes, uważał za moralnie usprawiedliwione. Gdyby mógł, szerzyłby wśród nich nie tylko zarazę moralną, ale i fizyczną, na przykład trąd.

W końcu, matka potraktowała sugestie Angusa na tyle poważnie, że zgodziła się wypytać gospodarzy o wszystkie szczegóły. A gdy się potwierdziły, wybrała się do miasta po informacje urzędowe. Oczywiście, to nie leżało w kompetencjach lokalnych, ale tym bardziej

trzeba było dowiedzieć się, gdzie i jak takie sprawy są obecnie załatwiane. Dotychczasowe województwo polskie, z siedzibą w Kielcach, nie istniało. Obecnie Ostrowiec należał do District'u Radom i tam pojechała zorientować się w możliwościach, ale dopiero w końcu stycznia, gdy sama na własne oczy obejrzała następny transport wódek i kolejną transakcję z Moszkiem, na pniu.

Wróciła bardzo przygnębiona. Jechała znów przez Skarżysko i podczas przesiadki, zobaczyła tam wagon zamrażanych trupów, wyjmowanych z wagonu towarowego. To był dokładnie taki sam wagon, jakim i ona jechała, odczepiony z transportu przesiedlanych. W wagonach osobowych ludzie jakoś przeżyli, ale w towarowych, część była całkowicie zamrożona, trupy nie dawały się ułożyć i nawet wyciągnąć, bo zachowywały naturalne pozy i często były ze sobą splątane. Dziwne, że jednak w niektórych wagonach towarowych ludzie przeżyli, a w innych nie. Ale kolejarze mówili, że to jeszcze nic, podobno na stację Kraków Płaszów przyjechały dwa składy wagonów towarowych, całe dwa pociągi w których znajdowali się zamrożeni ludzie, przesiedleńcy. Tylko w ogrzewanych wagonach osobowych eskorty, żołnierzy niemieccy byli w dobrej formie, chociaż podobno też nie uszczęśliwieni, przeklinali psią służbę.

Trzeba tutaj wyjaśnić, że stopniowo do transportowania wysiedlonych wprowadzano coraz więcej wagonów osobowych, a towarowe wycofywano. Ale jest też faktem, że nawet w czasie największych mrozów, transporty więźniów, którym odebrano domy i w ogóle wszystko, wysyłano nadal, a z powodu niespotykanych mrozów, które zupełnie dezorganizowały komunikację, podróż trwała dłużej. Angus miał okazję rozmawiać później ze znajomymi, którzy jechali takim transportem i nawet w wagonie osobowym z trudem przeżyli, zwłaszcza że mieli ze sobą małe dzieci. Ale z drugiej strony, mówili oni, że eskorta pozwalała nawet matkom z dziećmi wejść do ich ogrzanego wagonu i trochę odtajać, nawet chociaż to dla nich samych łączyło się z niebezpieczeństwem, stanowiło naruszenie obowiązującej dyscypliny i przepisów. Ta znajoma twierdziła, że bez tego jej dzieciak na pewno by nie przeżył, a z drugiej strony Niemcy wyraźnie się bali, nie wie dokładnie, co im mogło grozić, gdyby sprawa się wydała. ale najwyraźniej nie pogłaskano by za to ich po głowie i nie pochwalono.

W Radomiu, matka wprawdzie dotarła do Niemca, w którego kompetencji leżały obecnie sprawy koncesji i udało jej się porozmawiać z nim prywatnie. Jednak żądania, jakie on postawił, były podobno kompletnie nierealne. Angus nie zdołał się w ogóle dowiedzieć, ile wynosiły. Ale z tego, co mówiła matka wynikało, że albo w ogóle przekraczały posiadany przez nią kapitał, albo były bardzo blisko tego, a ona jednak miała zahamowania, obawiała się

ryzykować cały stan posiadania. Ale rokowania zostały nawiązane i w drugiej połowie lutego miała ponownie pojechać do Radomia. Miała nadzieję, że może urzędnik niemiecki rozpoczął od wysokich żądań także dlatego, aby zorientować się we własnych kompetencjach i sposobie załatwiania sprawy, gdyż na razie jako człowiek nowy nie znał procedury. Miał wprowadzić władzę, ale musiał posługiwać się wprowadzonymi w tok urzędowania Polakami.

Wybiegając od razu do przodu, trzeba powiedzieć, że matka, po kilku jeszcze wyjazdach ostatecznie dobiła targu w marcu, a w końcu kwietnia rzeczywiście stała się właścicielką koncesji, całkiem bezprawnie, w zamian za wpłaconą łapówkę 2000 marek niemieckich, których wymianę po urzędowym kursie załatwił tenże urzędnik. Koszty w sumie wyniosły ok. 4000 zł plus dodatkowe opłaty za wymianę, w sumie prawie 5000 zł. Ponieważ jednak w międzyczasie skończyły się możliwości zakupów wprost w Łańcucie, a posiadaczom koncesji wyznaczono miesięczny przydział, w hurtowni w Ostrowcu, który następnie stopniowo ograniczano - interes nie okazał się aż tak dobry, jak wyobrażał sobie Angus. Mimo wszystko jednak, umożliwił przetrwanie tego i następnego roku wojny. Niewiele na tym zyskali, jeżeli w ogóle, ale przynajmniej nie stracili z powodu gwałtownej inflacji, która matka trafnie przewidziała. Gdy zostali przywiezieni do Ostrowca i tutaj wypuszczeni, pieniądze jeszcze miały dobrą wartość, na przykład masło kosztowało jeszcze ciągle 2 zł za kg, ale na początku roku już 4 zł, wiosną 14 zł, a przy końcu roku 41 cena dochodziła do 40 zł. Gdyby więc majątek ulokowali w jakimś nie ulegającym zepsuciu, towarze, rezultat byłby taki sam bez tych dodatkowych starań i wysiłków. Jednak z drugiej strony, po pierwsze nie mieli pojęcia jaki to mógłby być towar ani nie mieli go gdzie przechować, a po drugie matka już raz tak próbowała zrobić, właśnie w Poznaniu i tam zarówno wszystkie nagromadzone zapasy, jak i samo miejsce ich przechowywania zabrali Niemcy. To doświadczenie zniechęcało do podobnego postępowania. Natomiast przy obecnej spekulacji, włożone pieniądze zwracały się przez dłuższy czas, po coraz wyższych cenach, Właściwie skutek taki, jakby kupić coś od razu i potem odbierać w ratach. Podobnie jak przy zapłacie za locum z góry - gdyby tego nie zrobili, pieniądze do końca roku straciłyby ok. 90% wartości.

\* \* \*

W pierwszej połowie lutego, mrozy trwały nadal, ale jednak nieco mniejsze, zwłaszcza w dzień. Słońce już się czuło, gdyż niebo prawie przez cały czas było pogodne. Angus, ubrany ciepło w grube wełniane skarpety do kolan (te, które dostał w obozie od cioci i napelnił piaskiem, a potem ćwiczył uderzenia w garnek, wyobrażając sobie, że są to hełmy straży niemieckiej). oraz równie grubą wełnianą bieliznę, którą matka zdążyła już dorobić na

drutach i na to tylko kombinezon narciarski, próbował zjeżdżać na nartach z pagórków w najbliższym lesie po drugiej stronie ulicy.

Niestety, matka w dalszym ciągu kategorycznie nie pozwalała mu na dłuższy, całodzienny wyjazd na saniach z panem Misiorem, do czego Angus starał się doprowadzić. Jako rekompensatę, postarała się o narty dla syna i przynajmniej pozwalała mu na krótsze wycieczki w okolicy. Angusowi bardzo zależało na utrzymaniu się we formie, wzmocnieniu się, gdyż wciąż wierzył, że w końcu uda mu się wziąć udział we walce, a wtedy trzeba być silnym i sprawnym.

Jednak na razie szło mu kiepsko, wprawdzie na płaskim terenie nauczył się poruszać i narty mu się nie plątały, ale zjazd zawsze przerywany był licznymi upadkami, po prostu nie potrafił utrzymać równowagi. Powodem tego był wciąż jeszcze ten strzał przy prawym uchu, z karabinu opartego o jego ramię, we wrześniu 1939 r. Wprawdzie minął czas, kiedy w położeniu pionowym mógł się utrzymać tylko z otwartymi oczami, ale trwało jeszcze lata, zanim odzyskał wyczucie równowagi. Jazda na nartach była bardzo utrudniona, a później okazało się jeszcze, że w żaden sposób nie potrafi utrzymać się na rowerze. Tym nie mniej uparcie próbował i do domu wracał wyczerpany, a o to przecież chodziło.

Oprócz tego, chodził również na wycieczki piesze. W pierwszym rzędzie, prawie codziennie do kaplicy, musiał przecież wypełnić obietnice złożone Panu Bogu, kiedy tak okropnie obawiał się o los matki, a teraz dodatkowo złożył jeszcze nowe obietnice w intencji ojca, o którym jeszcze ciągle nie było żadnej wiadomości. W związku z tym przeżywał okres wzmożonej nabożności. A oprócz tego dręczyły go pewne obawy, miał jeszcze nadzieje, że niepotrzebnie, ale odkładał chwilę, kiedy wreszcie zapyta się o nie.

Chodził też w przeciwną stronę, do szosy i dalej za nią, do dawnej bursy gimnazjalnej. Obecnie w bursie tej zamieszkało wiele rodzin wysiedlonych z Poznania, a w kuchni na dole, Komitet Opieki zorganizował wydawanie bezpłatnych posiłków dla wszystkich wysiedlonych. Agnus uważał wprawdzie, że on i matka są w stosunkowo lepszej sytuacji i nie powinni korzystać z tej formy pomocy. Wielu ludzi, zaskoczonych nocą w domu, nie miało tyle przytomności umysłu i zdecydowania, jak matka, nie zdecydowali się na ryzyko grożące śmiercią, ukrycia części pieniędzy lub kosztowności i pozwolili się całkowicie ograbić. Potem zaś nie wszyscy mieli rodziny, które mogły udzielić im pomocy. Doraźna pomoc należała się przede wszystkim tym pechowcom. Ostatecznie Agnus dał się dopiero przekonać, kiedy matka obiecała mu, że gdy tylko zaczną zarabiać pieniądze, oferuje na Komitet odpowiedni dar, pokrywający z nawiązką to co teraz wezmą i może więcej, zależnie od tego, jak ułoży się sytuacja. Uspokoiwszy w ten sposób sumienie, Agnus raz dziennie przynosił w menażce



gorącą zupę zwykle kapuśniak lub krupnik, w lepszych czasach grochówkę. Zupę tą pani Misiorowa zwykle ulepszała albo dodawała do gotowanej przez siebie i po uzupełnieniu, podawała na obiad. Dla wielu znajdujących się w krytycznej sytuacji osób, taka zupa w południe oraz gorący ciemny płyn zwany kawa i kromka chleba rano i wieczorem były jedynymi posiłkami tej ciężkiej zimy. Ale wszyscy pocieszali się, że byle do wiosny, gdy słońce przygrzeje, zacznie się oczekiwana ofensywa francuska. Jakoś wytrzymają do tego czasu, jeszcze miesiąc lub dwa.

Sprzymierzeńcy mieli dość czasu, żeby się solidnie przygotować, zgromadzić siły, mają wszystko jak nowe, nie ponieśli dotąd żadnych strat, więc szybko pobiją Niemców. Wtedy skończy się wreszcie ten koszmar, wrócą do swoich domów, a Niemcy będą musieli wszystko zwrócić co im zabrali, a jeżeli czegoś będzie brakować, to za to zapłacić. - Nie daruję im nawet jednego garnka ani poduszki,- potrzasała ręką jakaś staruszka stojąca w kolejce po zupę, - choćbym miała osobiście pojechać do Berlina i upomnieć się. Jeżeli czegokolwiek w domu będzie brakowało, będą musieli dać mi odszkodowanie.-

Agnus nie odzywał się, tylko wzruszył ramionami. To się samo przez się rozumiało, nie warto tracić słów na oczywiste rzeczy. Tylko, żeby uzyskać sprawiedliwość, trzeba było najpierw pobić Niemców.

W tym właśnie cały problem. On osobiście, jak dotąd ani o cal nie zbliżył się do swego celu, nie znalazł żadnej organizacji prowadzącej, albo choćby tylko przygotowującej się do przyszłej walki. Nie nawiązał żadnych znajomości, brak mu było kontaktów z ludźmi i nie widział możliwości w tym zakresie. W tej chwili nie miał szans, trzeba szybko zrobić coś zdecydowanego.

Zastanawiał się, czy nie spróbować rozmowy z gospodarzem, Janem Misiosem, ale po namyśle zrezygnował z tego. Misior miał dużo zalet, ale był inwalidą, wypełnił już swój dług wobec ojczyzny i teraz było mało prawdopodobne, żeby chciał się ponownie angażować. Agnus miał jeszcze świeżo w pamięci rannych w szpitalu. Inwalidzi, kalecy uważali, że ich droga już się skończyła, obowiązek wypełnili aż w nadmiarze, teraz kolej na innych. Słyszał to kilkakrotnie, kiedy ostrożnie naprowadzał rozmowę na temat, czy oni, do niedawna żołnierze, uważają walkę za zakończoną.

Inna sprawa, gdyby mógł pojechać z nim do jego gospodarstwa i wsi, nie wiedział dokładnie gdzie, ale gdzieś w stronę Kunowa. Misior twierdził z całą pewnością, że widziano tam oddziały Wojska Polskiego. Na pewno zdołałby trafić na jakiś ślad..

Ponieważ do teścia Misiora w ogóle nie było sensu się z czymkolwiek zwracać, takie wrażenie pozostało zaraz po pierwszych próbach nawiązania rozmowy, pozostawała

możliwość, spróbować szczęścia z Henrykiem Słodkiem. Na szczęście do tego nie doszło, między innymi dlatego, że Angusowi nie udało się jakoś spotkać go samego, a zawsze w towarzystwie żony. To po prostu łaska Boska. Nawet nie wyobrażał sobie, że człowiek ten był konfidentem gestapo. Chociaż prawdopodobnie został nim dopiero później, kiedy wydawało się, że Niemcy już wygrały wojnę.

W takich okolicznościach, doszło do najbardziej niefortunnego i kompromitującego wydarzenia w całej młodości Angusa. Próbował powtórzyć to, co już raz robił w Poznaniu i co, chociaż nie doprowadziło do zamierzonego celu, z początku wydawało się obiecujące. Ale tym razem sytuacja nie powtórzyła się, lecz zakończyła idiotycznie.

Parę dni wcześniej, pani Misiorowa opowiadała o jednej ze swoich znajomych, pani Wybylskiej. - Po drodze, podniosła kilka kamieni i schowała do torebki. A potem, kiedy mieliśmy skręcić z szosy, ona zatrzymała się i ułożyła te kamienie na takim małym stosie, pod drzewem, gdzie śnieg był odgarnięty. Zdziwiona spytałam po co to robi, a ona na to: Przecież jak Niemcy będą na wiosnę uciekali, to właśnie po tej szosie, to będzie ich droga odwrotu, na zachód, prosto do Niemiec. Więc czym miałabym ich obrzucić, może kwiatami? Wybieram kamienie w sam raz pasujące do ręki i mam je już przygotowane, będą potrzebne.-

Potem Agnus dowiedział się jeszcze, że wymieniona pani jest wielką patriotką, a także żoną podoficera zawodowego, który obecnie trafił do niewoli, ale ponieważ nie ma stopnia oficerskiego, a stopień podoficerski podał niższy, więc jest nadzieja, że może zostanie zwolniony i wróci jako chory. To też gorący patriota i wspaniały człowiek, kolega jej męża, razem poszli na wojnę bolszewicką, tylko on miał więcej szczęścia i wrócił cało, no a potem został we wojsku.

Oczywiście, Agnus postarał się dowiedzieć, gdzie leżą te kamienie i przy okazji również, że ta pani mieszka przy ulicy Traugutta. To była taka mała boczna uliczka, położone w samym środku zalesionego terenu, mniej więcej dwieście kroków od bursy w stronę miasta.

Podczas następnej wycieczki narciarskiej, Agnus odszukał tę uliczkę, a także dom i nawet prawdopodobne drzwi, a potem zaczął układać sobie, co i jak ma powiedzieć. Tym razem, usłyszawszy, z jaką osobą będzie miał do czynienia, postanowił od razu przedstawić sprawę jasno, zaczynając od chęci natychmiastowego rozpoczęcia jakichś działań przeciw Niemcom. Nie wiedział wprawdzie jeszcze, co konkretnie mógłby zrobić, ale miał nadzieję, że nad tym zastanowią się już wspólnie, a może ta pani podpowie mu, jaki rodzaj akcji jest możliwy i czy złożyć organizację i zająć się poszukiwaniem kontaktu, czy też może właśnie ona może go skierować do czegoś, bo na pewno takie organizacje muszą już istnieć i działać. Przez cały dzień i następną noc, której prawie wcale nie przespał, układał sobie, jakich słów

użyć, jakie argumenty przedstawić, zwłaszcza jeżeli chodzi o swój wiek, bo tu przewidywał trudności.

Postanowił rozpocząć od tego, co mówiono o gorącym patriotyzmie całej rodziny i jej osobiście i że słyszał, że gotowa jest rzucić się na Niemców choćby z kamieniami (co oczywiście traktował jako pewną przenośnię, wyrażenie intencji). Od razu też chciał przedstawić jej wszystko o swoich dotychczasowych poszukiwaniach, próbach i planach działania. W Poznaniu popełnił błąd, rozpoczynając okólne, ostrożne rozmowy, wyobrażając sobie, że nawiązawszy kontakty z kilkoma starszymi paniami, przygotowuje pierwszy krok do utworzenia tajnej organizacji, gdy tymczasem one traktowały go po prostu jak dziecko, które coś tam sobie gaworzy. Może nie mając nic więcej do roboty i siedząc w domu, były zadowolone mając z kim sobie pogadać, ale to wszystko. Nie brały go w ogóle na serio. Przecież w krytycznej chwili kompletnie zlekcewały jego wcześniejsze ostrzeżenia, że wszyscy, cała ulica zostaną zabrani z domów przez Niemców. Wprawdzie pomylił się o parę dni i sam potem zwątpił - ale komentarz, który usłyszał potem, że dzieci mają jednak czasem przecucia, podobnie jak psy i koty! To już było za dużo, obelga połączona z obrazą!

Więc tym razem postanowił od początku postawić sprawę jasno, opowiedzieć nawet o próbach bez powodzenia, w Poznaniu. W końcu to wszystko co próbował zrobić, nie było bez sensu i gdyby potraktowano go na serio, mogłoby stanowić niezły początek prawdziwej działalności wywiadowczej. Tyle, że nie udało mu się wtedy znaleźć nikogo, komu mógłby przekazywać zdobyte przez siebie informacje.

Kiedy wreszcie po długim przygotowywaniu przemowy w lesie, gdzie chodząc na nartach Agnus kolejno zwracał się przejętym szeptem do poszczególnych drzew, polerując poszczególne zwroty i zdania, dalsze zastanawianie się i tak już nic by nie ulepszyło ani nie zmieniło, następny dzień wyznaczył jako decydujący. Oceniając szanse, spodziewał się raczej powodzenia.

Ze słów pani Misorowej wywnioskował, że nieznana osoba, do której miał się zwrócić, nastawiona jest dokładnie tak samo, jak on. Oczywiście, nie spodziewał się natychmiastowej akceptacji. Zakładał, że prawdopodobnie na początku zostanie potraktowany podejrzliwie, kto wie, czy nawet nie jak niemiecki prowokator. Miał nadzieję, że podając od razu na wstępie szczegółowo wszystkie dane o sobie, gdzie i u kogo mieszka, skąd się tu wziął (że jest jednym z ograbionych i wysiedlonych przez Niemców i siedział w obozie koncentracyjnym, z którego dopiero niedawno wyszedł) - zdoła rozwiać te wątpliwości.

Ewentualnie liczył na sprawdzenie siebie i rodziny, dyskretne zaznajomienie z matką, gotów był poczekać dni albo tygodnie, aż wszystko, co o sobie powiedział się potwierdzi. W

najgorszym razie przyjąłby nawet odpowiedź negatywną lub wymijającą, licząc, że po pewnym czasie się zmieni. Natomiast w głębi duszy miał nadzieję, że żona zawodowego wojskowego może mieć jakieś znajomości i jeżeli nie sama, to przynajmniej wspomni o nim komuś, kto faktycznie bierze udział w działalności niepodległościowej. To wydawało się logiczne, przecież jej środowisko w pierwszym rządzie powinno mieć takie kontakty.

Tak przygotowany, naładowany i spięty, czy raczej pod wysokim napięciem, Agnus następnego dnia przed południem schował narty w lesie i udał się wprost do upatrzonego domu, zapukał do drzwi i zapytał otwierającej, nieznannej kobiety, czy jest tą osobą, o którą mu chodzi. Oznajmił, że prosi tylko o kilka minut rozmowy, koniecznie prywatnie i w cztery oczy, ponieważ ma coś bardzo ważnego do powiedzenia, zaraz wszystko wyjaśni.

- Ale ja nie mam nic do powiedzenia i nie chcę niczego słyszeć, nie życzę sobie żadnej rozmowy - odpowiedziała ta pani.

- Dlaczego, przecież jeszcze nic nie powiedziałem, nawet nie wie Pani, o co chodzi? - Agnus był całkowicie zbity z tropu.

- Dlatego, że nie prowadzę żadnych sekretnych rozmów z młodymi kawalerami, - tu drzwi się zatrzasnęły.

Agnus stał oszołomiony, niczego nie rozumiał. Wydawało mu się, że wszystko przewidział i szczegółowo obmyślił. Idąc tutaj miał znane wrażenie, że jak kamień spada wprost do celu. Po raz pierwszy to uczucie zawiodło. Śpieszył się, chciał jak najszybciej powiedzieć wszystko, co przygotował, wypełnić przemyślany wiele razy scenariusz. Po prostu zwykła formalność, tyle razy przerabiał to w myślach i chciał jak najszybciej przejść do istotnej części rozmowy. Tymczasem nawet nie udało się jej rozpocząć.

Potrząsając głową i wymachując rękami, bezgłośnie mówiąc sam do siebie, wrócił do pozostawionych nart, ciągle żałując, że nie powiedział o parę słów więcej albo inaczej. Doszedłszy do domu, otworzył furtkę, ale cofnął się znowu i poszedł naprzeciwko, do lasu, aby tam, w samotności, między drzewami jeszcze raz wszystko przemyśleć. Nic nie rozumiał, nie mógł pojąć, dlaczego już na samym początku spotkał się z taką nieoczekiwaną reakcją.

Tymczasem gdy po małej godzinie wrócił do domu i otworzył drzwi od kuchni, stanął zaskoczony, nie wierząc własnym oczom. Przy stole w kuchni, siedział oczekujący go areopag: ta pani, z którą próbował porozmawiać, obok pani Misiorowej i jego matki. Rozpoczęło się przesłuchanie.

Najpierw matka zapytała go, czy był właśnie w domu tej pani. Nie mógł zaprzeczyć. Następne pytanie, po co tam poszedł i co takiego chciał powiedzieć. Agnus milczał przez chwilę, zastanawiał się jak postąpić. Jedno było pewne, nie mógł powiedzieć, że chciał

założyć tajną organizację, lub prosić o kontakt do jakiejś istniejącej. Nie chodziło nawet o dochowanie tajemnicy, bo przecież nie istniała jeszcze żadna tajemnica do dochowania. Ale jedno wydawało się pewne, gdyby teraz odpowiedział na to pytanie, to raz na zawsze zamknąłby sobie drogę, nigdy w życiu nie mógłby liczyć na przyjęcie do żadnej tajnej organizacji. Musiał milczeć.

W końcu oświadczył, że nie może odpowiedzieć na to pytanie i nie ma sensu go powtarzać, bo dopóki żyje niczego więcej nie powie. Mimowolnie, wypowiedział prawie te same słowa, które od dawna przygotowywał sobie na wypadek, gdyby w związku ze swoją wymarzoną działalnością, znalazł się na badaniach w gestapo. Potem już się nie odzywał.

Następny tydzień, należał do najtrudniejszych w życiu Angusa. Całe otoczenie bez przerwy indagowało go i usiłowało nakłonić do mówienia. Tyle, że nikt nie poddał go prawdziwemu naciskowi fizycznemu, inaczej mówiąc nie dostał lania, ale sto razy wołałby, żeby tak się stało. Czuł się tak, że wołałby faktycznie być badany przez gestapo, do czego się od miesięcy przygotowywał. Tutaj otaczała go presja w najlepszej wierze i to od swojego najbliższego otoczenia, stres ogromny i żadnego wyjścia.

Niespodziewanie po kilku dniach, matka zmieniła front i stanęła po jego stronie. Powiedziała, że zna swojego syna i jest pewna, że nie miał żadnych niewłaściwych intencji. Zresztą to jeszcze dziecko, ma dopiero 11 lat i jest absolutnie niedojrzały, ale dziecko o dobrych podstawach i absolutnie bez niewłaściwych tendencji. Natomiast często miewał głupie pomysły, zwykle z książek i pewnie tak jest i teraz, dlatego nie chce nic powiedzieć. Ale wie - i to nie jest wiara bezkrytycznej matki, ale oparta na dokładnej znajomości, że nie chodziło o nic niestosownego. Więc na tym, uważa sprawę za zamkniętą.

To trochę ułatwiło przetrwanie, ale jeszcze przez dłuższy czas czuł, że jest poddany bacznej inwigilacji, obserwowany nawet przez dzieci - jak pod mikroskopem. Cokolwiek zrobił albo powiedział na jakikolwiek temat, traktowano podejrzliwie.

Powoli sensacja szła w zapomnieniu.

\* \* \*

- Nie tak zwyczajnie głupi. On jest tak głupi, że aż trudno w to uwierzyć, nawet sobie nie wyobrażasz, do jakiego stopnia głupi. Najgłupszy dzieciak, dziewięcioletni, ośmioletni, ba, siedmioletni w porównaniu z nim... Nie, to się nie da powiedzieć. On chyba jeszcze wierzy w bociany. Czy ty sobie wyobrażasz, że on nic, ale to zupełnie nic nie wie o chłopakach i dziewczynach - i nie tylko, nie chce wiedzieć, zupełnie nic do niego nie trafia. Nie można z nim nawiązać żadnego kontaktu, zupełnie jakby nie żył dotąd na ziemi, a nagle spadł tu z księżycy. Opowiada jakieś bzdury, przechwala się swoim Poznaniem, jakby to był

jakiś inny świat, jakby wszystko było tam lepsze. Wymyśla bujdy, a sam jest taki głupi, zupełnie nic nie wie, poniżej małego dziecka. Kto wie czy to nie jakiś upośledzony? - Agnus nie słyszał wszystkiego, co mówiła Violet, ale tylko od czasu do czasu urywki, poszczególne fragmenty. Jednak nie miał najmniejszej wątpliwości, do kogo się odnoszą.

Siedział w swoim pokoju, ale zamiast się czymś zająć, nie potrafił odkleić ucha od drzwi, od dziurki do klucza. Podśluchiwał, co cichym głosem, ale szybko i z wielkim przejściem opowiadała Violet siedzącemu obok niej chłopakowi.

Od kilku dni wielkie mrozy puściły, wprawdzie leżało jeszcze mnóstwo śniegu, który czasem topniał, a czasem przymarzał, ale drogi były przetarte. Do domu przyjechał jeden z mieszkających tu przedtem na stacji gimnazjalistów i został serdecznie powitany przez wszystkich. Miał jakieś sprawy w Ostrowcu, a po długiej podróży wstąpił, żeby trochę odpocząć, ogrzać się i zjeść śniadanie, no i przy okazji trochę pogadać. Zwłaszcza Violet powitała go z ogromnym entuzjazmem, gdy matka po śniadaniu wyszła do gospodarstwa, prawie na siłę zatrzymała jeszcze trochę i już prawie pół godziny siedzieli sami w kuchni przy stole. Chłopiec wspominał, że musi już jechać, ale ona trzymała go za ręce i nie dawała wstać, siostrę też odesłała, coś jej obiecawszy.

### **Szkola życia - tajna historia przedwojennej stacji.**

Ten chłopiec nie był główną sympatią, po prostu jeden z uczestników zabaw. Tak naprawdę, to uwielbiała Staszka Halparka, który zresztą na stacji zajmował specjalne miejsce, między innymi dlatego, że zaliczał się do wyższego świata. Halparkowie mieli majątek kilkanaście km od Ostrowca, a chociaż w Polsce formalnie nie miało to już znaczenia - ale w tzw. towarzystwie wielkie, zaliczali się do tzw. szlachty. Choć z drugiej strony, nie za bardzo dawnej. Wśród prawdziwej starej szlachty mówiono, że nie są z dobrej starej szlachty, krótko mówiąc dorobkiewiczze i nawet (używając terminologii Krasickiego) przechrzty, wspięli się dopiero od kilku pokoleń, dużo możnaby powiedzieć. Prawda, że pod Wiedniem nie byli, dopiero przy samym schyłku dawnej republiki dorobili się jako zarządcy dóbr magnackich, a potem na dzierżawach. Jednak niewątpliwie bywali w towarzystwie, powiązani i spokrewnieni z wieloma ziemskimi rodzinami, w końcu złośliwych nigdy nie brakowało i każdemu można przypiąć jakąś łatkę

W każdym razie, Halpark był uprzywilejowanym można powiedzieć honorowym gościem na stacji Misiorów. Najpierw mieszkał w pokoju na dole, właśnie tym, w którym obecnie, przylepiony do drzwi z drugiej strony, znajdował się Agnus. Przyjechał z krewniakiem i kolegą, uboższym krewnym, który kształcił się na koszt majątnej rodziny, a jego rodzice, przedtem dziadowie, byli zaufanymi i pełnili, można powiedzieć różne funkcje,

przy swoich bogatych powinowatych. Stach Halpark był niekwestionowanym szefem, a Ziętek Kopytkowski jego alter ego, wiernym piętazkiem, chociaż właściwie chodzili do tej samej klasy i byli kolegami. Po kilku latach, starsi już chłopcy dobrali sobie jeszcze jednego kolegę, który też całkowicie uznał autorytet Halparka i zamieszkali w trójkę w dużym pokoju na górze, tym zajęty obecnie przez Słodków. Mieli tam nie tylko więcej miejsca, ale i swobody. W drugim pokoju na górze mieszkali dwaj inni uczniowie z tej samej klasy, a na dole młodszy nowicjusz.

Prawdopodobnie u siebie, w majątku, dobrze rozwinięci, silni i muskularni chłopcy mieli już za sobą pierwsze doświadczenia seksualne. Jednak oczywiście tutaj nie tylko nakaz rodziców, ale i regulamin szkolny zupełnie wykluczały możliwość, żeby jakaś dziewczyna przekroczyła próg stancji dla chłopców. Nawet gdyby gospodarze mieli na ten temat bardziej liberalne zdanie, to i tak nie zaryzykowaliby utraty aprobaty i zgody szkoły na prowadzenie stancji - do tego nie trzeba było wiele, wystarczyła utrata dobrej opinii.

Na miejscu, były tylko córki gospodarzy, jeszcze nie dojrzałe dzieci. Zaczęło się od niewinnych zabaw, przeważnie wzajemnego łaskotania, zawodów, kto potrafi więcej wytrzymać.

Dopiero ostatniego roku szkolnego, Violet szybko wystrzeliła w górę i bardzo wyładniała, chociaż ciągle była jeszcze zupełnie niedojrzałą dziewczyną i nie miała jeszcze zadatków na kobietę. Nadal przyjaźniła się z chłopcami i odwiedzała ich, a także lubiła bawić się w łaskotania, a obecnie, w dużym, oddzielnym pokoju na górze warunki były dużo łatwiejsze.

Mniej więcej rok temu, kiedy najsilniejszy Kopytkowski przytrzymał ją i łaskotał, a ona trzymała się dzielnie i ze wszystkich sił starała się po sobie nie okazać żadnej reakcji, Stach Halpark powiedział, że chociaż nie piszczy ani rzeczywiście się nie broni, to jest bardzo naprężona. Żeby to zbadać, położył na niej rękę, a po jej gwałtownym odruchu, wsunął je z przodu pod kołnierzykiem na tors. Nie był to gest nieprzyzwoity, miała nadal tors chłopięcy. On też niczego nie szukał ani nie chwycił, nie starał się też dodatkowo łaskotać, ale nagle sam dotyk tych rąk, które właściwie nic nie robiły, zupełnie załamał jej wytrzymałość. Przeszyło ją jakby sto elektrycznych prądów i zaczęła piszczeć, jak dziecko (który przecież była), a następnie ugryzła go z całej siły w marynarkę i ramię. Potem dalej ryczała, tłumiąc się w gryzaniem, aż całkiem zabrakło jej oddechu, a nadal nie była w stanie złapać powietrza. Mówiła później że zdawało się jej, że zaraz umrze, że się zatchnęła i już nigdy nie zdoła odetchnąć.

- Cicho, cicho - uspakajał ją Stach, - przecież ja nic nie robię, wcale nie poruszam rękami.- Rzeczywiście, jego palce prawie się nie przesuwały, bardzo minimalnie, ale uczucie, że tego dotyku wprost nie potrafi wytrzymać, nie ustępowało. Nawet wolno, ledwie poruszające się ręce co chwila dotykały nowego nerwu i czuła, jak powoli zbliżają się do następnego, a kiedy go dotkną po prostu nie była sobie w stanie wyobrazić tej chwili, chyba świat przestanie istnieć. Kiedy w przerwach udało się jej zaczerpnąć trochę powietrza, bezładnymi słowami błagała o litość, próbowała wytłumaczyć, że już nie potrafi tego więcej znieść, że uznaje swoją przegraną, że jest tylko małą, słabą dziewczynką, że zawsze będzie grzeczna, ale żeby ją już puścili.

Wtedy Halpark powiedział że zgoda, jeżeli się rozbierze.

- Tak, ja już wiem, co wy chcecie zrobić! Jak się rozbiorę, będziecie mnie mogli wszędzie gilać, jak się wam spodoba. Ja już teraz nie mogę, przecież w ogóle nie mogłam złapać tchu, na pewno się zatchnę i umrę.-

- Obiecuję, że będziemy cię łaskotać tylko trochę, tyle, ile będziesz mogła wytrzymać. Jak będzie za dużo, to powiesz i zaraz przestaniemy, no, nie całkiem, ale pofolgujemy. A poza tym ty też będziesz mogła nas łaskotać, my też się rozbierzemy,-

Nadal pełna podejrzeń i obaw, jednak w końcu usłuchała, bo nie mogła inaczej, nie miała wyboru, nie mogła wytrzymać i zgadzała się na wszystko, żeby tylko na chwilę przestali i mogła zaczerpnąć powietrza.

Rzeczywiście, Stach Halpark dotrzymał słowa, było trochę łaskotania, ale tyle, że jakoś to wytrzymała, tylko od czasu do czasu przekraczali granicę i wtedy jeden, dyżurujący z poduszką przy jej głowie przyciskał ją do jej twarzy, żeby nie było słychać kwiku, a dwaj leżący koło niej folgowali. Ale oprócz łaskotania, było dużo przytulania się, głaskania i pieszczot, a kiedy się już zmęczyli, chłopcy oglądali ją szczegółowo i chwalili wygląd, mówili, że rozpoczyna się czas urody. Violet z początku nie miała czasu myśleć o wstydzie, a potem przestała go zupełnie odczuwać, chociaż przedtem była bardzo wstydliva tak jak dzieci, nie łącząc tego zupełnie ze sprawami płci, a raczej uważając pokazanie się goło za coś szokującego - nawet kota wyganiała, żeby nie patrzył. Ale tutaj w łóżku i towarzystwie chłopców, również rozebranych, przestała odczuwać skrępowanie.

Jedynie w przyszłości, gdy kiedyś zawołali kolegów mieszkających obok i pokazali ją również im, przez chwilę bardzo chciała się schować, ale później i to przeszło.

Tego samego dnia Halpark zaproponował reguły na przyszłość, Jeżeli będzie miała ochotę, mogą spotykać się w tajemnicy i zabawiać podobnie co jakiś czas. Obiecał, że on i inni chłopcy nie zrobią jej nic złego, w szczególności nie naruszą jej i nie będą usiłowali



odbyć stosunku, może nie w tych dokładnie słowach, ale sprawa była jasna. Wszyscy od początku byli uświadomieni od małego dziecka choćby dzięki bliższemu kontaktowi z naturą. Na przykład wystarczyło obserwować zwierzęta, żeby wiedzieć, jak wyglądają te sprawy. Zresztą traktowano je po prostu i nikt tu niczego nie ukrywał, to tylko dzieci z miasta mogły być wychowywane w nieświadomości.

Więc postanowili, że nie posuną się zbyt daleko, nie chcieli szukać kłopotów. Dobra zabawa i przygotowanie się do dorosłego życia, nic więcej (choć chłopcy onanizowali się następnie, ale bez wątplenia robili to i dawniej, jak wszyscy w ich wieku).

Jeżeli chodzi o Violet, to pierwsze doświadczenie było wyczerpujące i dziwne, ale stopniowo zaczęła być coraz bardziej zainteresowana tym co się zdarzyło, tym bardziej, że kazali jej czekać prawie dwa tygodnie, aż sama się garnęła. Potem ustalili stały dzień tygodnia, kiedy ich koledzy mieszkający w sąsiednim pokoju mieli zajęcia i oni byli na górze sami. Przeważnie tego się trzymali, nie licząc oczywiście przygodnych, prywatnych okazji. Dziewczyna była coraz chętniejsza, tym bardziej, że Stach Halpark, któremu się całkiem podporządkowała i była zafascynowana, opiekował się nią i starał traktować dobrze. Wprawdzie to było męczące i nieraz trudne, na przykład za pierwszym razem była tak zmęczona, że chcąc przyjść do siebie, przed powrotem do domu przycupnęła na chwilę w obórcie i momentalnie usnęła, Obudziła ją dopiero matka gdy przyszła wydoić krowę, ale wytłumaczyła się bez trudu, matka uważała ją ciągle za dziecko.

Violet starała się ze wszystkich sił i coraz więcej uczyła. Nie było to takie proste, bo chociaż z początku chłopcy starali się ją oszczędzać, stopniowo stawali się coraz bardziej wymagający. Najpierw nauczyła się sama tłumić krzyk w poduszce i czasem ją gryźć, potem coraz więcej wytrzymywać, aż w końcu sama zachęcała partnerów i zdradzała swoje słabe punkty, bo zależało jej, żeby byli zadowoleni i chwalili ją. Starła się też ze wszystkich sił wypełniać wszystkie polecenia i rozkazy, a nie brakowało wciąż nowych pomysłów.

Zresztą teraz i ona potrafiła zająć się chłopcem tak skutecznie, że nieraz gwałtownie przerywał zabawę i wyskakiwał z łóżka jak z procy, rzekomo żeby zamienić kolegę stojącego na straży w sąsiednim pokoju, bo do łóżka z dziewczyną szło dwu chłopców, a trzeci kolejno stał na straży. Krótko mówiąc odkryła, że chłopcy też mają swoje słabe punkty i choć niby silniejsi, można sobie z nimi poradzić. Tylko Stach Halpark zachował nad nią bezwzględną przewagę, samo jego dotknięcie powodowało, tak jak na początku przepływ prądów elektrycznych i to się nie zmieniło. Oczywiście fizycznie nie była jeszcze zdolna osiągnąć szczytu, ale wielkie podniecenie powodowała samą jego obecność. A przy tym, potrafił być dosyć delikatny i bardziej miły, nawet nie zbyt wymagający, dziwne, bo przecież specjalnie

starala się na każde jego skinienie i z całą pewnością skoczyłaby w ogień i wodę, gdyby tego zechciał.

Zresztą był naturalnym przywódcą i prędzej czy później wszyscy mu się podporządkowywali, również i chłopcy. Obecnie to on zaproponował reguły gry i także zasady ostrożności. On zajął się też teoretycznym podkształceniem Violet. On po pewnym czasie pokazał rozebraną Violet mieszkającym w sąsiednim pokoju kolegom i zaprosił ich do wspólnych zabaw, chociaż te dotychczasowe, tylko w trójkę, odbywały się nadal w głębokiej tajemnicy co tydzień. Co do dodatkowych okazji, Violet sama decydowała, na co i komu pozwoli. Zdobywając doświadczenie, radziła sobie coraz lepiej. Co do nowych, to ich uczestnictwo zapewniało dyskrecję, zabezpieczając przed przypadkowym zdradzeniem się, które przy tak bliskim sąsiedztwie było możliwe, a na dłuższą metę wysoce prawdopodobne. Nowi partnerzy stali się obiektem jej doświadczeń i eksperymentów, dzięki temu uczyła się jeszcze szybciej. Odkryła też jakie to wspaniałe uczucie, być otoczoną przez nadskakujących jej i starających się o jej względy, jak królowa pszczół wśród trutniów.

Ten ostatni rok przed wojną był najszcześniejszym w jej życiu, nic podobnego nie miało się powtórzyć, mogła już tylko tęsknić i wspominać. Przegrana wojna, tragedia całego narodu, owszem, to do niej dotarło, ale tak w pełni tego nie rozumiała. Ale to była też jej osobista tragedia. Trafila na swoją wielką szansę, szła od sukcesu do sukcesu, była na fali i widziała przed sobą wymarzoną wspaniałą przyszłość. Zrozumiała, czego chce i szła prosto do celu. Czuła, że potrafi osiągnąć, co zechce, warto było starać się ze wszystkich sił dla tak pięknych perspektyw. I nagle wszystko się zawaliło, cały jej świat zniknął. Nie było w ogóle żadnych chłopców, nie mogła mieć tego, do czego przywykła, co stanowiło sens jej życia. Jeżeli nawet gdzieś byli jacyś chłopcy, to po pierwsze daleko, nieosiągalni, a po drugie mieli teraz w głowie tylko zabijanie i tą wstrętną wojnę, a nie dziewczyny.

Kiedy na końcu trafił się jakiś chłopak, to do niczego, pokraka i jakiś dziwny, może nienormalny.

Agnus faktycznie nie zdawał sobie sprawy, że nie tylko ma koło siebie dziewczynę głęboko nieszczęśliwą, lecz że i on się do tego przyczynił, stał się źródłem zawodu i coraz większej frustracji. Violet próbowała wszystkiego, co się nauczyła, starala się przełamać barierę, którą narzucił i w końcu zaczęła wątpić sama w siebie.

Teraz Violet nie chciała wcale obmawiać go złośliwie za plecami, ale próbowała uzyskać dobrą radę od jednego z dawnych nauczycieli, Starala się dowiedzieć i zrozumieć, co ona źle robi, dlaczego nie uzyskuje żadnych rezultatów, czy to jej wina, czy też pechowo

trafiła na jakiś rodzaj drewnianej kukły tylko pozornie przypominającej chłopca, a może na osobnika z odchyleniami.

Biedna dziewczyna, utraciła szczęścia w życiu. Wszystko, co dobre zaczęło się bardzo wczesnie i jeszcze szybciej się skończyło. Tym bardziej, żałowała tego, czego nie zdążyła do końca doświadczyć. A teraz nie miała złych intencji i nie chodziło jej o to, żeby kogoś oczerniać. Z resztą, miała sporo racji, w tym co mówiła.

Natomiast Agnus, choć słyszał tylko piąte przez dziesiąte, po prostu pękał ze złości. Zupełnie nie brał pod uwagę, że to przecież on sam, zupełnie świadomie, zdecydował się udawać głupka, żeby mieć spokój od dziewczyn i skoncentrować się na tym, co najważniejsze, przyszłej walce z Niemcami. Przecież jeżeli tak postanowił i zrobił, to powinien być zadowolony, że mu się tak dobrze udało. Obecna wściekłość była nielogiczna.

Nie mówiąc już o tym, że tak naprawdę to niczego nie musiał udawać, bez wątpienia był zdumiewająco głupim smarkaczem. Inna sprawa, że to wina jego wychowania. Przez całe swoje dotychczasowe życie wyrastał w świętoszkowatej atmosferze nieprawdopodobnego zakłamania, fałszywej pruderii. Tzw. Wiktoriańska atmosfera to w porównaniu zupełnie zero. Dzisiaj chyba normalny człowiek, nawet dzieciak, nie potrafi tego w ogóle zrozumieć - i bardzo dobrze. Dość powiedzieć, że Agnus nic, ale to nic nie wiedział nie tylko w sprawach męsko-damskich, ale w ogóle w najprostszycy kwestiach biologii i fizjologii. Nawet rannym można było być w głowę lub pierś, ostatecznie w rękę lub nogę, ale nie wypadało gdzie indziej.

Tak więc wszystko co mówiła dziewczyna to była czysta prawda i miała do tego pełne prawo. Agnus był nie tylko głupim smarkaczem któremu parę lekcji bardzo by się przydało, ale i paskudnym egocentrykiem który nie zauważał innych ludzi i ich przeżyć wewnętrznych, pragnień i potrzeb. Ta cecha miała pozostać, nawet kiedy ją już dostrzegł.

Ale najgorszy moment tego czystego szaleństwa i paskudnego zachowania Angusa miał dopiero nastąpić. Agnus kipiał, bulgotał z wściekłości, ale wciąż jeszcze siedział cicho. Dopiero kiedy Violet wspomniała o jego ostatnim fatalnym niepowodzeniu, na dodatek z takim komentarzem, że próbował zaczepiać starszą panią, to była kropla która przepełniła czarę. Agnus szarpnął drzwi i wyskoczył ze swego pokoju jak diabeł z pudełka.

W pewnym sensie, była to wściekłość kontrolowana. Z początku Agnus miał zamiar nie reagować, tylko ciężko się obrazić i zerwać wszelkie kontakty w przyszłości. Kiedy jednak usłyszał tą ostatnią insynuację, uznał, że musi na nią zareagować, że przekroczona została granica tego, co można znieść i gdyby pozostawił to bez odpowiedzi, utraciłby godność i szacunek (dosłownie taka śmieszna myśl przeleciała przez głowę dzieciaka). Ocena

dopuszczalnej granicy jest bardzo względna i właściwie prawie zawsze, ile razy reagował na zasadzie podobnego mechanizmu, zawsze okazywało się to błędem. Jednak często podobne błędy popełniali inni ludzie, a nawet całe państwa.

Szukał dopiero słów, nie umiał wyrazić tego, co chciał powiedzieć, mówił bezładnie i dość niezrozumiale. - Violet cały czas mówi o mnie, więc ja też chcę powiedzieć coś o niej. Przede wszystkim, ona jest beznadziejnie tępa, nic nie wie i nie rozumie... - zaczął.

Kopytkowski też zerwał się od stołu. Wszystko co dotąd usłyszał, interesowało go serdecznie mało. Obecnie Violet nie była przydatna, a tylko zabierała czas. Ale istniał pewien kodeks zachowania i nie mógł tolerować obrażania dziewczyny w jego towarzystwie.

Niewątpliwie, Agnus dostałby wtedy zdrowo po pysku, zwłaszcza, że w obecnym nastroju nie zareagowałby w jedyny racjonalny sposób i nie wycofał się. Raczej rzuciłby się pierwszy na starszego około pięciu lat chłopaka. Jednak w tym momencie, do kuchni wróciła pani Misorowa. Prowadząc szereg lat stancję, nabrała doświadczenia i teraz zareagowała momentalnie.

- Agnus, natychmiast do swojego pokoju. Zamknij za sobą drzwi i siedź tam. Nie jesteś tu mile widziany i nie chcę, żebyś tu przychodził. Zentek, przejdź do pokoju stołowego. Jesteś tu gościem i nie masz co wysiadywać w kuchni. Już! - krzyknęła.

Agnus cofnął się, czując się jeszcze głębiej upokorzony. Zentek i Violet z panią Misorowa przeszli do stołowego pokoju, drzwi się za nimi zamknęły i rozmowy nie było słychać. Wkrótce potem Kopytkowski zaczął się żegnać i odjechał do miasta.

Kopytkowski, od dziecka towarzysz zabaw i następnie kolega szkolny i protegowany Halparka, a także jego daleki powinowaty skazany był na to przez los, który odmówił mu własnego majątku, niestety. Ale nie wątpił, że to sytuacja przejściowa i że zrobi w życiu karierę i zdobędzie odpowiednią pozycję, która mu się słusznie należy. Na razie był zaufanym Stacha i całej rodziny Halparków i bardzo starał się, żeby wszyscy go cenili.

W tych sferach, najprostszym sposobem zrobienia kariery było korzystne małżeństwo, znalezienie bogatej i dobrze usytuowanej kandydatki na żonę, co nazywało się zrobieniem dobrej partii. Zentek miał odpowiednie warunki: był wysoki, wyższy od Stacha i znacznie silniejszy, chociaż brakowało mu tej skoncentrowanej energii która cechowała Halparka i ustępował mu też intelektualnie. Nie miał jednak kompleksów, uważał, że ma wiele innych zalet, na przykład jest przystojniejszy. Bardzo starał się też o rozwinięcie i ulepszenie talentów towarzyskich, na przykład jeździć konno równie dobrze, jak tańczyć. Od czasu, kiedy matka opowiedziała mu o pewnym kawalerze fortuny, który na balu najlepiej prowadził mazura, ani na chwilę nie spoczął, tańcząc aż do białego rana i wkrótce potem ożenił się z

autentyczną i bogatą hrabianką, naukę tańca traktował bez porównania poważniej niż szkołę. Violet uważał za sparring-partnera, dzięki któremu mógł nabrać biegłości w obchodzeniu się z dziewczynami i osiągnąć odpowiedni poziom techniczny. Bez sentymentów, czysto instrumentalnie, bo choć miła dziewczyna, przecież nie majątna. W domu Misiorów więcej się nie pokazał. Nie było obecnie warunków na kontynuowanie treningu, a nie miał czasu na rozwiązywanie problemów życiowych dziewczyny ani udzielanie porad.

Natomiast tak się dziwnie złożyło, że w cztery lata później zetknął się z Angusem. Nie poznał go wtedy, bo Angus bardzo wyrósł, a po ciężkiej chorobie wyglądał, jak śmierć na urlopie. Natomiast Kopytkowski był już dorosłym mężczyzną, ciężko przystojnym, ogromnie obiecującym i roztaczającym, według własnej oceny, nieodparty urok. Był grudzień 1943r., Kopytkowski wraz z innym złotym młodzieńcem oczywiście nie dorównującym mu, przyjechał sankami do miasta i w drodze powrotnej wstąpił do przydrożnej knajpki, żeby się posilić. Agnus pełnił obowiązki barmana i za kontuarem podawał napoje i przekąski, normalnie wysłuchując co klienci mieli do powiedzenia i czasem dodając krótką uwagę lub tylko pomruk. Kopytkowski wciąż jeszcze nie znalazł odpowiedniej partii, chociaż najwyraźniej był ulubieńcem kobiet i duszą towarzystwa, także obecnie przyjechał wypełnić kilka poleceń i drobnych usług, które powierzyły mu panie. Znał wszystkich i o wszystkich mówił po imieniu, często z dodatkiem kuzynka lub kuzyn. Niestety, w przyszłości sytuacja tak się pokomplikowała, że cały ten wysiłek się zmarnował, nie zdołał związać się z odpowiednim domem, bo rynek gwałtownie się skurczył i nie miał nic do zaoferowania. Prawdopodobnie więc pozostał nadal obiecującym młodzieńcem.

Natomiast jego dawny patron, Stach Halpark znajdował się wtedy w niemieckim więzieniu. Wprawdzie Kopytkowski twierdził, że to tylko przejściowe i wkrótce zostanie zwolniony, bo rodzina już podjęła starania, żeby go wykupić. Wiadomo było, że Niemcy byli na ogół bardzo przekupni i przy odpowiednio dużych pieniądzach, można było wszystko załatwić. Widocznie jednak Halpark miał pecha, bo zmarł w więzieniu. Zostawił po sobie dobre wspomnienia, mówiono, że pełnił poważne funkcje w konspiracji, a padł ofiarą Peters'a, szefa gestapo w Ostrowcu.

\* \* \*

Paradoksalnie, w tym samym czasie, kiedy Angus, we własnym mniemaniu, tak racjonalnie, z powodów zasadniczych, aby móc całkowicie skoncentrować się na najważniejszym zadaniu swego życia, postanowił czasowo nie interesować się dziewczynami - pakował się w znacznie gorsze komplikacje. Błądzenie po ciemku, brak jakichkolwiek rzeczowych informacji - a właściwie nawet celowe dostarczenie fałszywych informacji, przy

równie umyślnym odcięciu istotnych prawdziwych danych, doprowadziło do wytworzenia absurdalnego, zniekształconego obrazu rzeczywistości. To z kolei fatalnie zaciążyło na paru latach jego życia, wpychając go w ślepy zaułek i szereg razy doprowadzając do granicy samozagłady.

Prawdziwe piekło na ziemi. Bez wątpienia też, żadna najbardziej pechowa przygoda z dziewczyną nie mogłaby tak skutecznie zahamować dążeń do tego najważniejszego, wymarzonego celu, tak go zezmacić, do tego stopnia sfrustrować i pozbawić poczucia jakiegokolwiek wartości, godności i wiary w siebie.

Najbardziej śmieszne lub smutne jest to, że te wszystkie, gigantyczne i zawsze przegrane walki ze sobą, napawające go rozpaczą i pogardą dla siebie, rodzące przekonanie, że jest tylko bezwartościowym śmieciem, który oczywiście nie nadaje się do żadnego wielkiego celu - były nie tylko niepotrzebne, ale w ogóle bez sensu.

Agnus rozpoczął badania i obserwacje oraz doświadczenia przy swoim penisie jeszcze w czasie pobytu w szpitalu i następnie kontynuował te manipulacje także w nowym domu. Jak już wspomniano, początkowo dostarczało to tylko dziwnych, nieznanych dotąd wrażeń, które jednak nie przypominały uczucia rozkoszy, ani tym bardziej nie kończyły się ejakulacją, ponieważ nie był fizycznie wystarczająco rozwinięty. Właściwie był to tylko eksperyment podyktowany ciekawością.

Stopniowo, doznania i odczucia stawały się coraz silniejsze, aż w pewnym momencie uderzał jakby o niewidzialną ścianę, której nie mógł przekroczyć. Wrażenie było takie, jakby dochodził do granicy możliwości życia - utrata oddechu, czasem nawet na sekundę utrata świadomości, czarno przed oczyma. Zauważył też, że robi się czerwony i czasem pokrywa potem. Odnosił wrażenie, że zbliża się do czegoś niebezpiecznego, nawet trochę przestraszył i na pewien czas przestał. Niewątpliwie, występowały zmiany ciśnienia i akcji serca, z czym jednak młody, rozwijający się organizm szybko sobie radził i wszystko wracało do normy. Prawdopodobnie dopiero przy schyłku życia mogłyby stać się rzeczywiście niebezpieczne.

Przerwa nie trwała jednak długo i wrócił do tego do czego już przywykł. Gdzieś w końcu stycznia, nieoczekiwanie nie zatrzymał się, ale przebił tę niewidzialną ścianę i przez kilka chwil spadał, leciał w przepaść, a potem nastąpiło uczucie ulgi i odprężenia. Początkowo wydawało mu się, że ten efekt spowodowany został silnym wyprężaniem nóg i wyprostowaniem, rozciągnięciem wszystkich kości. Dopiero po pewnym czasie zauważył, że występuje przy tym wydzielenie paru kropel przezroczystego, wodnistego płynu. Przypuszczał, że pod wpływem silnych emocji dochodzi do wydzielenia paru kropel moczu, zwłaszcza że to zdarzało się dopiero po kilku sekundach.

W ogóle po przekroczeniu tej niewidzialnej granicy, organizm reagował jakby samodzielnie, nie był w stanie na to wpływać ani powstrzymać, przerwać już rozpoczynającej się reakcji. Raz czy dwa mianowicie zdarzyło się, że do pokoju nieoczekiwanie ktoś wszedł, zdołał odwrócić się na łóżku i podnieść ręce tak, że głowę miał schowaną między ramionami, ale rozpoczęty proces lotu w otchłań trwał dalej i nic nie mógł zrobić aż sam się nie skończył. Po krótkiej chwili, odwrócił się i zapytał o co chodzi, udając że zasnął.

Krótko mówiąc, Agnus odkrył samodzielnie onanizm nie zdając sobie sprawy co to jest i zupełnie nie kojarzył tego ze sprawami płci. Nigdy nie słyszał o żadnych plemnikach i nie wiedział, co to za zwierz. Zresztą najprawdopodobniej w wydzielanym płynie, nie było jeszcze dojrzałych plemników. Absolutnie nie wyobrażał sobie też, żeby jakaś malutka, niedostrzegalna gołym okiem drobina mogła powodować zapłodnienie i poczęcie dziecka. Właściwie prawie na 100% był przekonany, że zarodkiem dziecka jest jedna z dwu kuleczek w worku moszynowym i które, jak sądził, po umieszczeniu w brzuchu kobiety, rosną i rozwijają się. Zapewne, mężczyźni odrastają one na nowo lub regenerują się po pewnym czasie. Wprawdzie taka hipoteza nie wyjaśniała rodzenia się trojaczków i czworaczków, nie mówiąc już o tak głośnych przed wojną pięcioraczkach kanadyjskich, ale takie wypadki były niezmiernie rzadkie, mogły występować pewne osobnicze różnice w ilości kulek. Do wyjaśnienia pojedynczych dzieci i czasem bliźniaków ta hipoteza wystarczała.

Podobnie też, Angus nie miał najmniejszych podejrzeń, że to co robi, stanowi według norm religijnych grzech. Przeciwnie, był właśnie w bardzo religijnym okresie życia i często zwracał się do Boga w różnych sprawach, jak np. teraz, z powodu tak ryzykownej, właściwie szaleńczej eskapady matki do Rzeszy Niemieckiej i z powrotem, dwa razy przez granicę bez żadnych zezwoleń i papierów. Bardzo dużo się modlił, między innymi wypełniając poczynione obietnice i ślubowania. Często klękał do modlitwy albo przed aktem onanizmu, albo wkrótce po nim, czasami nawet dokonywał go w okresie przerwy, krótkiego odpoczynku między długimi modłami.

Właśnie to spowodowało pierwsze wątpliwości Angusa. Nie był pewien, czy dotykanie, w końcu raczej wstydliwego, nieprzystojnego miejsca bezpośrednio przed lub po modlitwie nie stanowi braku szacunku. Podobnie jak np. załatwienie potrzeby fizjologicznej, raczej chyba powinno być oddzielone pewną przerwą czasową, może kwadrans albo pół godziny. Gdyby wtedy widział kościoły amerykańskie, zaopatrzone w sanitariaty, zapewne te wątpliwości by mu się nie nasunęły. Ale w Polsce, koło kościołów nie było toalet.

Z drugiej strony to mogła być przesada, nadmierna skrupulatność z jego strony. Dla wyjaśnienia wątpliwości, postanowił zapytać się księdza przy najbliższej spowiedzi.

Właściwie, spowiedź przebiegła tak, jak można się spodziewać, ksiądz Młynkowski powiedział zapewne to co powinien, zgodnie z normami. Najpierw wypytał go szczegółowo, gdyż dokładny opis czynności napotykał na pewne zahamowania, Agnus stopniowo wyczuwał że coś jest bardzo nie w porządku i trzeba było wyduszać z niego szczegóły. Nie spodziewał się jednak aż do końca, tak surowej oceny: okazało się bowiem, że to co robił stanowiło ciężki grzech, jeden z najgorszych.

Wprawdzie dotąd jeżeli rzeczywiście popełniał go nieświadomie (wydawało się, że właśnie w tym zakresie, nieświadomości, ksiądz ma pewne wątpliwości i dlatego tak długo indagował Angusa), to aż dotąd nie był to grzech śmiertelny. Ale od tej chwili tak, bo kwestia już została wyjaśniona.

Obecnie musi więc z tego zrezygnować. Nie można być jednocześnie wierzącym katolikiem i w tym samym czasie popełniać spokojnie, można powiedzieć stale, bez zahamowań i wyrzutów, grzechów śmiertelnych. Albo - albo. Musi zwalczyć ten zgubny nałóg. Tu nie chodzi tylko o jego duszę, którą skazuje przecież na wieczne potępienie. Obraża bezpośrednio Pana Boga i za każdym razie bezpośredni rani Jezusa, który przecież już tyle dla niego wycierpiał, przeżył męki i śmierć... itd. itd.

Agnus był głęboko wstrząśnięty. Tak bardzo, że o nic więcej nie pytał, ani nie prosił o dalsze wyjaśnienia. A przecież nadal, nie widział żadnego związku między tym co robił, a szóstym lub dziewiątym przykazaniem. Przecież nie miało to żadnego związku z cudzołóstwem ani w ogóle z kobietami. Ale trudno, skoro ksiądz Młynkowski tak twierdził, to musiał wiedzieć lepiej, przecież był ekspertem od tych spraw (a rzeczywiście był, i to większym niż Agnus przypuszczał, choć to inna historia).

W każdym razie, jeżeli ksiądz wyjaśnia, że to co robił było strasznym grzechem to musiał przyjąć i uznać to pouczenie. Całe szczęście, że popełniał go nieświadomie. Dotąd jeszcze nigdy nie miał na swoim sumieniu grzechu śmiertelnego, same powszednie. Oczywiście, że już nigdy tego więcej nie zrobi. Bardzo żałuje, że robił dotąd. Nie chciał nigdy obrażać Pana Boga ani przysparzać cierpień Panu Jezusowi. Gdyby wiedział, nigdy, przenigdy by się to nie zdarzyło, bezwzględnie przyrzeka poprawę.

Z początku nie wyglądało to tak źle. Raczej to szczęście, że się w porę dowiedział. Teraz to koniec. Ludzie popełniają błędy, tego nie da się uniknąć.

Wkrótce jednak Agnus przekonał się że nie tak łatwo zerwać z grzechem. Próbował wiele razy i przeważnie udało mu się wytrwać około tygodnia, najwyżej do dziesięciu dni. Nie brakowało mu dobrych chęci, ale wśród dni i godzin, które tak wolno mijały, zwykle znalazła się jedna krótka chwila słabości. Albo zbyt usilnie się obserwował usiłując



kontrolować swoje reakcje, albo przeciwnie, gdy usiłował nie myśleć lub nastawić się na coś innego, unikając niewłaściwych skojarzeń, natchodziło go prawdziwe natręctwo myślowe, a wszystko zmierzało w jednym kierunku.

Przy kolejnej spowiedzi, poprosił o radę. - Chwila słabości, to nie jest żadne tłumaczenie,- usłyszał. - Każdy zbrodniarz, przestępca mógłby powiedzieć, że przez ogromną większość czasu żyje jak normalny, porządny człowiek. Tylko przez krótką chwilę dał się ponieść złu, na przykład kogoś zamordował, albo wydał rozkaz zamordowania ludzi. To mogło trwać tylko kilka, albo kilkanaście sekund, a przedtem i potem był bardzo dobrym człowiekiem, karmił ptaszki, lubił dzieci i nawet mógł chodzić do kościoła.

- Pewnie, że napotykasz trudności, to szatan zsyła na ciebie pokusy. Ulegając grzechowi śmiertelnemu, gubisz swoją duszę i zły duch nie chce zrezygnować z łupu. Musisz walczyć z całych sił, aż zwyciężysz. To nie łatwe zadanie, ale tym większa zasługa, gdy się uda.-

Więc Agnus nadal próbował, ale z podobnym rezultatem, a raczej bez. Ponieważ takie ciągle bieganie do spowiedzi i powtarzanie tego samego stało się wprost żenujące, po kolejnym niepowodzeniu postanowił najpierw się poprawić, wytrwać za wszelką cenę i przyjść ponownie dopiero wtedy, kiedy uda mu się pokonać pokusy. Nie mógł i nie chciał uwierzyć że jego wola nie wystarczy, że może się załamać, że jest tak słaba. Wytrwał cały tydzień i kiedy już sądził, że jest na dobrej drodze, ponownie poszedł do spowiedzi i komunii. Jednak przy końcu następnego tygodnia, utracił stan łaski i ponownie splamił swoją, znów śnieżno-białą duszę.

Po takich załamaniach, gdy sądził, że jest tak czy owak potępiony i zgubiony, grzeszył wielokrotnie. Jeżeli już i tak przegrywał to przynajmniej chciał osiągnąć jakąś rekompensatę. Ale niestety, przekonały się wtedy, jak podstępny i fałszywy jest szatan: Pierwszy grzech który zdarzał się wbrew jego woli, po długim wstrzymywaniu się, oporze, gigantycznych walkach ze sobą, zwykle przy przekonaniu, że będzie to tylko krótkie dotknięcie lub poprawienie nieznośnie dolegającej mu części ciała, że zdoła się w porę powstrzymać - dostarczał wstrząsającego wrażenia, przyjemności wprost przekraczającej zdolność pojmowania, aż do chwilowej utraty świadomości. Ale już następne razy były mniej przyjemne, a ostatni, na przykład ósmy albo czasem dziesiąty raz, tylko zaczynał się wspomnieniem tego co było i potem po prostu sprawiał rozczarowanie. Gdy zły duch już miał go w swoich szponach, przestawał się starać.

Wtedy spróbował też zupełnie wyczerpać swój organizm, tak, żeby zupełnie się rozczarować i pozbawić wszelkich chęci na przyszłość, przymuszając jeszcze nawet, gdy już

czuł przesył. Skutkowało, ale na kilka dni, a potem znowu zaczynała się beznadziejna walka ze samym sobą.

Wybiegając w przód, można powiedzieć, że okres najgłębszego załamania przeszedł Agnus w 1940 roku, gdy po dalszych miesiącach zaczął się obawiać, że sobie nie poradzi. To wydawało się wprost niemożliwe, nieprawdopodobne, a jednak raz za razem się załamywał, każda nowa próba kończyła się niepowodzeniem. Nie chciał i wprost nie mógł się z tym pogodzić, że ma tak słabą wolę.

W końcu doszedł do wniosku, że chodzenie do spowiedzi, obietnice poprawy są z jego strony kłamstwem i obłudą, nigdy nie zdoła wyrwać się z nałogu. Oczywiście, czuł szczerzy żal, ale jak obiecywać poprawę, wiedząc z góry, że i tak tego nie dotrzyma.

Poczuł do siebie najgłębszą pogardę i obrzydzenie. Mniejsza o jego duszę, niech się smaży w piekle, na nic innego nie zasługiwał. Ale zdradził swego Boga, ranił Pana Jezusa - a potem chodził skamlać o przebaczenie i na nowo robił to samo.

W godzinach próby okazało się właśnie to, czego w głębi podświadomości obawiał się najbardziej, że jest nędznym stworzeniem bez charakteru, śmieciem. Jeżeli zdradził swojego Boga i wszystko, w co głęboko wierzył, to nie nadawał się również do innych celów, nie mógłby zrealizować swoich zamiarów i marzeń. Mógłby zdradzić najgoręcej ukochaną sprawę, wolność ojczyzny, o którą chciał walczyć - i swoich ewentualnych kolegów, gdyby takich znalazł. Gdyby na prawdę znalazł się w Gestapo, tak jak to sobie niekiedy wyobrażał, to pewnie nie zdołałby zachować się jak bohater. Może przez pewien czas próbowałby się opierać, milczeć, ale potem wyśpiewał wszystko, zdradził wszystko i wszystkich, ratował za każdą cenę swoje wstrętne ciało. Jak to jednak dobrze, że nie udało mu się nawiązać kontaktu z żadną tajną organizacją, przecież stanowiłby po prostu zagrożenie publiczne.

Już od dawna postanowił, że jeżeli przekona się że nie zasługuje na życie, że brudzi tylko i zohydza świat, będąc wstrętnym i podłym gadem, to trzeba będzie ten świat od siebie uwolnić. Najwyraźniej ten czas nadszedł.

Ale jest to oczywiście wybieganie w przyszłość, na razie nie zrezygnował i jeszcze próbował ze sobą walczyć. Przegrywał, ale starał się i był pewien, że w końcu wygra.

\* \* \*

Tymczasem, serię niepowodzeń przerwało radosne wydarzenie. Kiedy po kolejnej wycieczce wracał do domu - śniegi już stopniały lub miejscami jeszcze się topiły, nawet lody na rzece pękły, a wszędzie brnęło się we wodzie - na progu powitała go wiadomość, że wrócił jego ojciec. W pierwszej chwili odpowiedział: - Przecież Prima Aprilis był przedwczoraj! - A

jednak to była prawda. Ostatni, ogromny dar od Boga, który przyjął jego błagania i ślubowania.

Ojciec wyglądał wprost fatalnie, bardzo zmarnowany, zapadnięta twarz, w złym stanie fizycznym, nędznie ubrany, jak włóczęga lub żebrak. Ubranie i płaszcz, które zabrał w dniu wyjazdu, strasznie się zniszczyło, a zamiast kapelusza, przyjechał w starej czapce narciarskiej z nausznikami. Wszystkie pozostałe rzeczy mieściły się w małym plecaku typu wojskowego. Ale zapewniał że jest całkowicie zdrowy, nic mu nie jest i szybko przyjdzie do siebie.

Przede wszystkim, matka przygotowała coś do zjedzenia i już przy stole, ojciec opowiedział najkrócej, w jaki sposób zdołał ich znaleźć bo to wydawało się wprost niepojęte. W międzyczasie, w piekarni rozpalono ogień i grzała się ciepła woda, żeby mógł się gruntownie umyć i zrzucić brudne łachy. Ojciec przebrał się, biorąc trochę rzeczy Angusa i dopożyczając coś nie coś od Misiorów. Na szczęście, udało mu się uniknąć wszy.

Na wstępie dowiedzieli się, że przeszedł przez zieloną granicę w grupie uciekinierów z „raju”, prowadzonej przez przewodnika. Jak i gdzie, tego dokładnie nie wie, szli nocą. Może jednak było to nawet w pobliżu tego miejsca, które Agnus widział z pociągu, w pobliżu Małkini.

Na terenie okupacji niemieckiej, na szczęście, działały jeszcze punkty Czerwonego Krzyża. Tutaj zostali nakarmieni i dostali adresy, gdzie chwilowo mogą się zatrzymać. Tutaj podał nazwisko i dotychczasowy adres rodziny, bo nie wiedział, że zostali wysiedleni i prosił o przesłanie im wiadomości do Poznania. Potem pojechał do Warszawy i spędził tam dwa dni, ściśle mówiąc nie w Warszawie, ale w pobliżu, w Zielonce. Już tam, też za pośrednictwem Czerwonego Krzyża otrzymał wiadomość, że żony i syna nie ma w Poznaniu, że zostali wysiedleni, a dalej dowiedział się, że transport wywieziony został do Ostrowca. W końcu znalazł ich adres dzięki temu, że zarejestrowali się na posiłki, które Agnus odbierał w kuchni bursy. Całe szczęście, że matka uparła się posyłać Angusa po te obiady. Zresztą w ogóle pasmo wyjątkowo szczęśliwych trafów, jeden za drugim.

Ale zwłaszcza, ojciec nie przestawał chwalić Czerwonego Krzyża. Ta organizacja kończyła już swoją działalność. Formalnie Niemcy ją rozwiązali i nie zezwolili na dalsze działanie. Jednak w związku z likwidacją, nazywało się że trzeba jeszcze dokończyć różne rozpoczęte czynności, uporządkować akta itd. Niemcy mieli ducha biurokratycznego i lubili porządek. Faktycznie Czerwony Krzyż pod tym pozorem działał dalej. Ojciec twierdził, że uratowali mu życie nie raz, ale co najmniej kilka razy. Nie tylko bez tej pomocy zginąłby marnie po drodze, nie odnalazł rodziny, ale na pewno wpadł w łapy Niemców, którzy już w tym czasie wszystkich uciekinierów z raju podejrzewali o szpiegostwo (w odróżnieniu od

Rosjan, którzy takich natychmiast likwidowali, nawet nie podejrzewając). Dostał też jakieś antedatowane zaświadczenie, którym się legitymował i różne pisemka, dzięki którym podróżował, właściwie nie miały one żadnej mocy prawnej, ale kolejarze jednak je respektowali. Ci ludzie, właściwie już byli pracownicy Czerwonego Krzyża, podobno po prostu dokonywali cudów choć sami nic nie mieli i żyli niczym, po prostu spalali się w nieustannym poświęceniu, dawno już oddali to, co mieli własnego, i dalej działali z jałmużny; od czasów pierwszych chrześcijan nic podobnego na ziemi nie istniało, kto tego nie widział nigdy nie potrafił sobie wyobrazić. (tak brzmiała relacja ojca, ale potem zainteresowany tym Agnus słyszał podobne z także innych źródeł; niestety nie udało mu się spotkać samych bohaterów, ich z początku na pół legalna, a potem całkiem nielegalna działalność łączyła się z wysokim ryzykiem. Potem na bazie pozostałych w dużej mierze zorganizowano Żegotę, też bardzo wysoka śmiertelność).

Bardziej szczegółowe opowiadania ciągnęły się w dalszych dniach. Niemal publiczne odczyty, bo nie tylko rodzina, ale wszyscy mieszkańcy domu (choć nie wszyscy na raz), byli ciekawi i przychodzili posłuchać. Widzieli i wiedzieli, a w każdym razie słyszeli jak jest w tej części Polski, zajętej przez Niemców, Natomiast nikt nie miał pojęcia, jak naprawdę jest w „raju”. Dochodziły z tamtą różne wieści, od umiarkowanie złych do najgorszych, a więc może przesadnych.

W gruncie rzeczy, ojciec Angusa chyba uwielbiał tą sytuację. Był wprawdzie, i sam zawsze to podkreślał, raczej skromnym, małomównym i umiarkowanym człowiekiem, ale kiedy już zabrał głos, lubił gdy wszyscy słuchali go z uwagą. Prawie tak, jak ostatnie soboty przed wojną w Podłozinach, był u Źródła Informacji i z satysfakcją, łaskawie odsłaniał ją profanom.

Ponieważ ich pokój był za mały, nawet kuchnia często nie mieściła całego audytorium, quasi-zebrania przeniesiono na schody w sieni, gdzie na drewnianych, zawsze wymytych stopniach mogło wygodnie zająć miejsca więcej osób.

Była jeszcze jedna przyczyna: ojciec teraz bardzo dużo palił i to bardzo nędznych papierosów. Nie było mowy o ściśle wyznaczonej, dziennej porcji, ani o starannym doborze dobrego tytoniu. Ojciec Angusa w tym trudnym okresie życia wprawdzie się nie rozpił - nadal był całkowitym abstynentem - palił co najmniej cztery, albo i pięć razy więcej, niż dawniej. Po pierwsze, przywykł do tego w świecie, gdzie wszyscy dużo palili i to był często jedyny bezpieczny pretekst do odezwania się do drugiego człowieka; po drugie, kto nie pił i nie palił był podejrzany, a więc on, jako niepijący już był w połowie, gdyby jeszcze i nie palił, byłoby z nim kiepsko...

Przywykł do najgorszych papierosów, takich, których przedtem brzydziłby się wziąć do ręki. Byle były mocne. Powtarzał przy tym, podobno szeroko znany w „raju”, kawał: „W Konarmii dają strasznie kiepski, zepsute siano, aż biedne konie chorują. Potem się to zgarnia, suszy i takie właśnie papierosy z tego wychodzą.” Obecnie przestawił się na „Machorkowe”, w porównaniu były to podobno luksusowe papierosy, a jednak najtańsze. W całym domu właściwie nikt inny nie palił, albo tylko okazyjnie, a matka Angusa żądała, żeby coś z tym zrobił, chociaż ograniczył papierosy. Na to on odpowiadał, że owszem ale później, dużo przeszedł, a papieros go uspakaja. Na schodach mógł palić bez protestów.

Oczywiście, Agnus był najbardziej pilnym i gorliwym słuchaczem w zmieniającym się gronie. Zadawał wiele pytań, właściwie inni też. Nie były to odczyty, ani nawet długie monologi-opowiadania. Zaczynało się od pytań i z tego wywiązywała się ogólna rozmowa, w którą wplatały się fragmenty wspomnień, obrazy tego, z czym ojciec się zetknął albo co widział na własne oczy. Komentarzy raczej nie dodawał, dlatego, że te komentarze były oczywiste i zwykle opierałyby się i tak na wspólnych, ogólnie podzielanych przekonaniach. Najwyżej czasem podkreślał jakieś zjawisko, szczególnie paradoksalne lub karykaturalne, w które wprost trudno było uwierzyć i które, na zdrowy rozsądek, nie mogłoby się zdarzyć. Absurd, ale urzędowo nakazany.

Agnus bardzo usilnie starał sobie wyrobić jakiś obraz, to był świat którego nigdy nie widział i nie umiał sobie wyobrazić, nawet mimo tego, że wiele fragmentów i szczegółów znał z przed wojny z książek i gazet - i jedno i drugie trudno było złożyć w jakiś zwarty obraz. Klucz do tego znalazł dopiero po latach, kiedy po wojnie Polska znalazła się w rękach Sowieców i sam musiał żyć w nieprawdopodobnym, absurdalnym świecie.

Największą różnicą w stosunku do okupacji niemieckiej był znacznie intensywniejszy i prawie natychmiast, bez odstępu czasowego wprowadzony, powszechny terror. Ton wypowiedzi ojca był mniej więcej taki: - To tutaj to ma być terror? No to cieszcie się, że nie widzieliście jeszcze prawdziwego terroru.-

W skrócie, pociąg ewakuacyjny, którym podróżował się ojciec kilka razy przeżył naloty i dopiero za Warszawą, parędziesiąt km przed Brześciem został rozbity przy bombardowaniu. Kilka dni, a raczej nocy próbowano zestawić pozostałość, ale ponowne bombardowanie załatwiło sprawę, spalono resztę papierów (komiczne, ale ojciec nadal uważał to za ogromną stratę) i transport został rozwiązany, czyli mówiąc obrazowo, ratuj się kto może. Do Brześcia doszedł właściwie na piechotę, w mieście nie było już władz rządowych, była za to zerwana komunikacja i mówiono o drugim pierścieniu niemieckiego głębokiego okrążenia, a wkrótce jeszcze o uderzeniu nowego wroga, Sowieców. W tej

sytuacji, ojciec zawrócił i forsownie dotarł do Białegostoku, a następnie do Barszczewa, gdzie miał rodzinę. Wkroczenie Sowietów przeżył w Białymstoku.

Bezpośrednio za wkraczającą Armią Czerwoną, szły wojska specjalne GPU. Co więcej, czerwonoarmiści sami, bali się panicznie tych wojsk. Przeciętny żołnierz rosyjski często był całkiem sympatycznym człowiekiem, ale w grupie przestawał, bo byli podporządkowani prawdziwie wilczym prawom i wilczej hierarchii. Tylko w ten sposób, dostosowując się mogli przeżyć, zresztą od pokoleń żyli jak niewolnicy, a ostatnio przeżycie stało się o wiele trudniejsze.

Rosjanie wymagali powszechnego i radosnego powitania. Pytanie, - wam się coś nie podoba,- albo bardziej konkretnie - wam się może ustrój nie podoba? - oznaczało bezpośrednio, poważne zagrożenie życia. Rosjanie nie mordowali na pokaz jak Niemcy, ale po cichu i znacznie więcej, nie mieli powodu straszyć bo i tak wszyscy bali się dostatecznie.

Wojska GPU, zorganizowane w wielkie jednostki i wyposażone w broń ciężką, to była wtedy absolutna nowość. Niemcy dopiero zaczęli tworzyć wojska SS (wcześniej wspomniano o pierwszej chyba takiej jednostce, pułku Germania, który całkowicie zginął podczas kampanii wrześniowej).

Ojciec miał okazję przyjrzeć się batalionowi motocyklistów GPU, który kilka dni zatrzymał się w Choroszczy. Odróżniali się oni na pierwszy rzut oka wyglądem. Żołnierze byli dobrze, nawet starannie ubrani, co więcej zawsze wyglądali poprawnie, czysti (choć motocykliści!), ogoleni, wielu (być może tylko szarże) nawet pachniało wodą toaletową, choć z drugiej strony te wody miały przenikliwy zapach i dość dziwny. Byli też widocznie lepiej odżywieni i bardzo zdyscyplinowani.

W odróżnieniu od Waffen SS, wojska GPU z zasady nie brały udziału w walkach na froncie, a jedynie z własną armią. Szły za oddziałami frontowymi i jeżeli te nie zdołały wykonać postawionych zadań, wtedy wojska GPU wkraczały i robiły porządek, czasem tylko dziesiątkując, a czasem masakrując cofających się swoich.

W wojnie z Polską takiej potrzeby nie było, gdyż Polacy mieli wyraźny rozkaz nie prowadzenia walki z Armią Czerwoną (co było ze strony Rządu Polskiego ciężkim błędem politycznym i przysporzyło wielu ofiar). Jednak blisko Białegostoku, w Grodnie mało jeszcze zdyscyplinowane, mobilizujące się oddziały polskie stawiały spontaniczny i początkowo skuteczny opór, to też doszło do interwencji wojsk GPU, które dokonały rzezi wśród tych oddziałów Armii Czerwonej, które nie wykazały ducha bojowego i cofnęły się. Jednocześnie dokonano masowych egzekucji wśród ludności cywilnej, którą posądzano o wspomaganie

polskich oddziałów. To nie były wprawdzie informacje z pierwszej ręki, ale do Białegostoku dotarły wiadomości o tych wydarzeniach i nawet ludzie stamtąd.

Natomiast potem mówiono, czy raczej szeptano, że nadzwyczaj krwawe ofiary Armii Czerwonej w kampanii fińskiej spowodowane były tym, że atakujący Rosjanie, nawet w beznadziejnej sytuacji mieli tylko do wyboru zginąć od kuli fińskiej z przodu albo od kuli GPU z tyłu. Dlatego walki odbywały się w sposób, wprost przeczący zdrowemu rozsądkowi. Gorzej niż w I Wojnie Światowej, masa piechurów szła w teren przestrzeliwany przez broń maszynową i ginęli, bo z przodu jeszcze ciągle mieli nadzieję, że niektórzy ocaleją, natomiast ci co się cofnęli nie mieli takiej szansy. (Jeżeli to prawda, to być może taka sytuacja powtarzała się i później w wojnie z Niemcami; Rosjanie początkowo byli specjalistami od nadzwyczaj krwawych ataków nie przynoszących żadnego widocznego pożytku, same straty; dopiero w końcowej fazie wojny zaczęli bardziej rozsądnie gospodarować materiałem ludzkim.)

Te oddziały wojskowe, które widział ojciec Angusa, przedstawiały się bardzo różnie. Były oddziały, które wyglądały naprawdę jak wojsko, ale były też takie, które robiły po prostu dziadowskie wrażenie. Między innymi osobiście widział całe grupy piechoty, gdzie może połowa nie miała butów, szli wydawało się w pozbieranych na śmietnikach łapciach, a niektórzy mieli na nogach autentyczne plecionki z łyka (o przyczynach takiego rozpadu najpotężniejszej jeszcze parę lat temu armii świata patrz rozdział III). Ojciec nie umiał powiedzieć, jak przedstawiał się stosunek liczbowy, uważał jednak, że przeważało normalne wojsko.

Podobnie jak Niemcy w Wielkopolsce, żołnierze rosyjscy zaskoczeni byli obfitością żywności i zaopatrzeniem w sklepach, ale przeciwnie niż Niemcy, z początku kupowali bardzo ostrożnie, na przykład chodzili do kilku sklepów i w każdym brali po ćwiartce lub połówce chleba, jakby obawiali się, że więcej kupić nie wolno. W ogóle kupowali wszystko co mogli za urzędowe ceny i właściwie bezwartościową walutę, na szczęście i tych pieniędzy o wartości papieru mieli mało. Najwyraźniej wielu rzeczy w ogóle nie znali i stąd zdarzały się dziwaczne sytuacje i pomyłki, oczywiście złośliwie komentowane i ośmieszane przez ludność, jak np. przysłowiowe koszule nocne jako wytworne suknie, itp. Po pewnym czasie, sklepy opustoszały i zabrakło wszystkiego.

Ponadto ojciec widział jeszcze coś, co robiło szczególnie wstrząsające wrażenie. Karne bataliony. Czegoś takiego nie było w Wojsku Polskim. W ogóle, takie jednostki tworzy się czasem doraźnie w czasie wojny, ale przecież, chociaż Armia Czerwona wystąpiła wtedy

przeciw Polsce wspólnie z Hitlerem, to faktycznie nie musiała prowadzić żadnych działań bojowych, wtedy już wszystko się kończyło.

Taki batalion przez parę dni, można powiedzieć, biwakował na polach koło Barszczewa, bo żołnierzom nie wolno było kwaterować we wsi (tylko dowództwo). Ci ludzie mieli na sobie coś, co wyglądało jak stare, podarte mundury, a zamiast karabinów łopaty i poza tym nic, nawet namiotów. Nie mieli kuchni, w nocy leżeli na ziemi na dworze. Nie myli się ani nie golili i chyba nie jedli, przychodzili ukradkiem do chat prosząc o wrzątek i przy tej okazji dostawali coś do jedzenia. Ale potem okazało się, że dawanie im czegokolwiek nie ma sensu, oni nienawidzili wszystkich, zarówno swoich jak obcych, a tych co im dali jeść jeszcze bardziej za to, że mieli co dawać. Można powiedzieć że zamieniono ich w prawych komunistów, sami nie mieli nic i gotowi byli zabić każdego, kto coś miał. W gruncie rzeczy to jak znaleźć się w towarzystwie chorych, wściekłych zwierząt. Trudno opowiedzieć komuś kto nie widział.

Ludnością cywilną nie zajmowali się jednak żołnierze, ani Armii Czerwonej, ani wojsk GPU. To były tylko mięśnie, zaplecze siłowe, gwarantujące sprawne działanie służb GPU, bez porównania sprawniejszych i czynniejszych od Gestapo. W tym okresie który ojciec opisywał, końca 1939 i początku 1940 r. Sowieci, konkretnie GPU, wymordowało znacznie więcej ofiar, niż Niemcy. Niemcy rozpoczęli od bestialskiego, pokazowego mordowania zakładników, ale na razie pastwą ich padło tylko kilka tysięcy ludzi, razem z tymi wymordowanymi bez rozgłosu jeszcze kilkanaście, dopiero rozpoczęli przygotowania, budowę wielkich fabryk śmierci.

Rosjanie nie wprowadzali żadnej nowej technologii, nadal rzemieślnicze metody zabijania, ze względu na ilość zatrudnionych można by poszczególne placówki nazwać manufakturą. Jedynym ulepszeniem było wprowadzenia zasad wyścigu pracy.

Niezwłocznie po zajęciu kraju, służby GPU podjęły swoje czynności dokładnie jak w Rosji. Ludzi zatrzymywano, wsadzano do więzienia i po normalnej, biurokratycznej obróbce mordowano w piwnicy strzałem w tył głowy, porządnie jednego za drugim. Norma wynosiła dziesięciu dziennie, ale dobry kat-pracownik wyrabiał i 400-500%, co zapewniało dobrą ocenę, nagrody, premie i perspektywy awansu. Nie robiono niczego na pokaz, raczej po cichu a skutecznie. Często ludzie po prostu ginęli, w każdym razie w mieście (tzn. Białymstoku). Wyszli rano do pracy, jak zwykle, ale z ich zakładu wysyłano zapytanie, czemu naruszyli dyscyplinę pracy (to była specjalna, bardzo represyjna ustawa, pracownik podlegał takim mniej więcej obostrzeniom, jak niewolnik na plantacjach) i nie stawili się, po paru dniach przychodziło karne zwolnienie za nieusprawiedliwioną nieobecność. O tych ludziach nikt



więcej nie słyszał. Władze zwykle odpowiadały dowiadującej się rodzinie, że taka osoba nie została zatrzymana i nie ma jej w żadnym z więzień.

Z jednym takim wypadkiem, ojciec zetknął się osobiście, gdyż dotyczył on dalekiego powinowatego z pobliskiej Choroszczy, Delikwent niespodziewanie wrócił po po miesiącu, chory i w fatalnym stanie, ale nawet rodzinie nie powiedział ani słowa, gdzie był i co się z nim działo, w ogóle nie chciał rozmawiać. Tak się akurat złożyło, że był to prawosławny, z rodziny przymusowo „nawróconych” kiedyś unitów. Ci ludzie przeszli już raz prawdziwą tragedię podczas przymusowej rusyfikacji za carskich czasów i w końcu ulegli, żeby przeżyć. Niestety trzeba powiedzieć, że polskie społeczeństwo zachowało się niewłaściwie, bardzo okrutnie, potraktowało ich jak odszczepieńców i poddało ostracyzmowi. Z prawosławnymi nie utrzymywano żadnych stosunków, posądzano ich o zdradę narodu i wysługiwanie się zaborcy - a przecież byli tylko ofiarami przemocy, nie każdy potrafi zdobyć się na akt bohaterstwa - może nierozsądku. W tym wypadku podobnie, tylko dlatego że był to prawosławny, pomawiano go że poszedł na współpracę z GPU i dlatego został wypuszczony. Oczywiście nonsens, jakby GPU uznawało jakąkolwiek religię. Chociaż tutaj ojciec powiedział, że, paradoksalnie, Stalin jako władca Rosji, formalnie był głową kościoła prawosławnego, tak jak przedtem car - ale tej władzy bezpośrednio nigdy nie wykonywał, zcedował ją, dokładnie nie wiadomo komu.

(Wybiegając od razu wprzód, trzeba jednak powiedzieć, że jakiegokolwiek posądzenia okazały się bezpodstawne, ten człowiek nigdy nikomu nie zaszkodził. Może tylko jeden z członków jego rodziny, wtedy jeszcze nie żyjący, miał dokuczyć w przyszłości podatnikom, ale to już inna historia).

W międzyczasie na to, normalne mordowanie, nałożyły się dwie makabryczne akcje masowe, pierwsza z nich w listopadzie do grudnia 1939 r. Zabierano wówczas nie pojedyncze osoby, ale tysiące i dziesiątki tysięcy, w skali całego kraju zapewne setki tysięcy i w nieludzkich warunkach przesiedlano na Sybir. Nie przypominało to nawet akcji prowadzonej przez Niemców, Głównie z tego powodu, że to daleka droga i bardzo trudna podróż. Bardzo wysoka śmiertelność. Nie było wiadomo dokładnie, ale z tego co przeniknęło, mówiło się, że szanse wynosiły mniej więcej pół na pół, około połowy uwięzionych to przeżyło, między innymi dlatego, że na Syberię jechali w zimie. Przede wszystkim, katastrofa ta dotknęła inteligencję, ale nie tylko. Także wszystkich, można powiedzieć zawodowo związanych z Państwem Polskim, a więc np. zawodowych (także byłych) żołnierzy, policjantów, a także większość nauczycieli, urzędników państwowych i wszelkich organizacji, samorządowych itd. Ponieważ w tym czasie ojciec nie pokazywał się w Białymstoku, ani w Choroszczy,

pracował wraz z bratem w gospodarstwie rodziców, formalnie był robotnikiem rolnym, ta akcja szczęśliwie go ominęła.

W parę miesięcy później, w lutym 1940 rozpoczęła się następna jeszcze większa i o wyższej przeciętnej śmiertelności akcja i wtedy ojciec został ostrzeżony, że milicja i zapewne również GPU zainteresowały się nieznanym człowiekiem, który zamieszkał i pracuje w jednym z gospodarstw wiejskich we wsi Barszczewo, ale przybył tu niedawno i podejrzewa się, że nie jest robotnikiem rolnym lecz inteligentem, może nawet z tych poszukiwanych kategorii. Więc rodzina złożyła się na dość wysoką opłatę dla zawodowego przewodnika, przeprowadzającego uciekinierów z terenu okupacji rosyjskiej do niemieckiej. Zresztą, pozostając na miejscu, narażałby nie tylko siebie, ale również rodzinę, gdyż ta, ukrywając podejrzany element, co najmniej zakwalifikowana zostałaby także na sybirną przejażdżkę, jeżeli nie tym, to następnym transportem.

Ostrzeżenie, jakie ojciec i rodzina otrzymali, pochodziło od miejscowych, znajomych Żydów, o ile Agnus zapamiętał, chyba z Choroszczy.

### **Żydzi na terenie okupacji ZSRR.**

Tutaj konieczne jest krótkie wyjaśnienie. Otóż mówiło się wtedy, że GPU było instytucją bardzo silnie obsadzoną przez Żydów, a nawet więcej, że to Żydzi mieli tam decydujący wpływ, że właściwie prowadzili, a nawet że faktycznie kierowali działalnością GPU. Z tego, rzeczywiście prawdą było, że proporcjonalnie do składu narodowościowego ZSRR, procent Żydów w GPU był bardzo wysoki.

Z tego powodu, na terenach pod okupacją ZSRR w niektórych środowiskach polskich wysuwano w stosunku do Żydów zarzut zdrady, który po latach zaczęto powtarzać także na innych terytoriach polskich. Zarzut oczywiście niesłuszny, bo przecież wypadki zdrady zdarzały się wśród Polaków w stosunku do Polaków i czasem Żydów, także wśród Żydów w stosunku do Żydów i czasem Polaków.

Ogółem, Niemcy wymordowali w czasie okupacji około 6 milionów obywateli polskich, a Sowieci szacunkowo do półtora miliona, ale to dlatego, że do dyspozycji mieli znacznie mniej czasu. Na początku wojny, Sowieci byli znacznie niebezpieczniejsi, mordowali ludność cywilną sprawniej, w bez porównania wyższym tempie. W tym czasie Niemcy dopiero stopniowo wzmagali tempo zabijania, a zielone światło dla swoich sił specjalnych, zespołów wyszkolonych morderców, dali dopiero, kiedy już wyraźnie zarysował się sukces na zachodzie, parę tygodni przed kapitulacją Francji, licząc na to, że zwycięzców nie sądzą i pozostanie to bezkarne.

Otóż Państwo Polskie, nie było bynajmniej jednolite narodowościowo, przeciwnie, miało znaczny procent mniejszości narodowych. Na pierwszym miejscu znajdowała się mniejszość żydowska, przekraczając 10% ludności. Przyczyny historyczne zostaną omówione osobno. Obecnie w skrócie można powiedzieć, że od prawie 1000 lat, a zwłaszcza w ostatnich 700, Polska była jedynym krajem w Europie, gdzie Żydzi mogli osiedlać się, mieszkać i żyć swobodnie, nie podlegając prześladowaniom ani rabunkom i gdzie, nie licząc normalnych zadrażnień, jakie zdarzają się zawsze między ludźmi, nigdy nie istniała wrogość między Polakami i Żydami.

Sytuacja ta skomplikowała się w zaborze rosyjskim, tzw. Kongresówce, gdzie w drugiej połowie 19 wieku carska ochrana, zajmująca się zwalczaniem polskiego ruchu niepodległościowego, wprowadziła bardziej wyrafinowane metody prowokacji, mające na celu rozbudzenie antagonizmów i w miarę możliwości walk narodowościowych. Przynajmniej w jednym wypadku przyniosło to zamierzone rezultaty: udało się, początkowo z inspiracji i za pieniądze ochrony, rozbudzić antagonizm między Polakami i Litwinami, który dalej rozwijał się już samorzutnie i doprowadził do zerwania prawie 500-letniej unii tych narodów.

Natomiast metoda ta zawiodła w przypadku Polaków i Żydów, ich wzajemna lojalność pozostała nienaruszona. Wyrażało się to, między innymi we wspólnej obronie przed tzw. pogromami - organizowanym w Rosji przez władze i tzw. „czarną sotnię” napadami na ludność żydowską i bardzo często, także na polską. Pogromy takie nigdy nie zdarzyły się na terenach, gdzie etnicznie przeważała ludność polska, ani, gdzie ludność polska i żydowska razem stanowiły znaczny procent. Z drugiej strony, Żydzi polscy wzajemnie zachowywali się lojalnie i nawet brali ochotniczo licznie, czynny udział w walkach o odzyskanie niepodległości i powstaniach narodowych (mimo, że tradycyjnie w dawnej Rzeczypospolitej ludność żydowska nie brała udziału w walce i zwolniona była ze służby wojskowej). Jednak od znanego Berka Joselewicza i tragicznej obrony Pragi, która przecież w czasach powstania kościuszkowskiego była typowym przedmieściem żydowskim poza granicami Warszawy, aż do Legionów i POW, wielu ochotników żydowskich walczyło wspólnie z Polakami, a także uczestniczyło w tajnych organizacjach i konspiracji. Na przykład, ewenementem tamtych czasów był fakt, że po upadku Rzeczypospolitej i przyłączeniu dawnej Litwy do Rosji, Kahał Wileński - wówczas naczelną władzą samorządu żydowskiego na Litwie, ogłosił dwumiesięczną, publiczną żałobę. To akt niebywalej cywilnej odwagi w czasie, gdy np. biskup Kossakowski starał się lizać powiedzmy, stopy Katarzyny Wielkiej.

Z drugiej strony, ludność żydowska nie była bynajmniej jednolita. Powyższe uwagi odnosiły się do Żydów polskich, ale inaczej sytuacja przedstawiała się w wypadku ludności napływowej, głównie z terenów rosyjskich.

Żydzi zamieszkiwali granice, odpowiadające dawnym granicom polskim, ściślej mówiąc dawnej Rzeczypospolitej. Po zaborze wschodnich terenów przez Rosję nie wolno im było przenosić się dalej do Rosji, mogli tylko nadal pozostawać na tych ziemiach, a i tam podlegali licznym restrykcjom. Część próbowała nadal przetrwać na ziemi, gdzie się urodziła, mimo prześladowań i niebezpieczeństw. Część zdecydowała się na emigrację lub raczej reemigrację, bo obecnie kierunek wędrówki się odwrócił, Żydzi kierowali się teraz na zachód. Pierwszym naturalnym etapem na tym kierunku były znowu ziemie polskie. Tutaj część Żydów pozostawała, a część wyjeżdżała dalej, do Niemiec, zachodniej Europy, albo dalej, za ocean. W taki sposób, do Polski napływała nowa fala Żydów, zwanych Litwakami, ponieważ pochodzili przeważnie, choć nie tylko, z dawnych ziem Litwy, związanych ongiś unią z Polską. Jednak mimo nazwy, byli to Żydzi zruszczeni, od kilku pokoleń żyjący pod władzą rosyjską i wśród ludności rosyjskiej lub ruskiej. Nie mieli już związków z Polakami, raczej identyfikowali się z ludnością ruską, a lojalność czuli do władz rosyjskich, mimo prześladowań i nawet pogardy, jakich od niej doznali. Ponieważ usiłowali się wkupić we względy władz rosyjskich, pełnili czasem funkcje policyjnych donosicieli i szpiegów (choć za zdrajcami nie można ich nazwać), co oczywiście wywoływało negatywne reakcje Polaków.

Poza tym, ci nowi przybysze byli w większości niewykształceni i bardzo prymitywni, w części zerwali nawet z tradycją żydowską, w większości bez majątku i środków do życia. Jednym słowem, część z nich stanowiła dla społeczeństwa polskiego element wysokiego ryzyka, gotów na wszystko, żeby przeżyć. Bliższy rys historyczny opisuje między innymi wybitny historyk żydowski i jednocześnie polski, Szymon Askenazy, który jednocześnie usiłował w ten sposób wyjaśnić powstałe w drugiej połowie XIX wieku wśród pewnej części Polaków nastroje antysemityczne, dotąd nieznanne.

Z całym szacunkiem dla znakomitego uczonego i autora, wyjaśnienie to chyba nie wyczerpuje sprawy. Oczywiście, sprawy narodowościowe i konflikt na tle wzajemnej lojalności przedstawiony został trafnie, ale chyba większe znaczenie miały powody ekonomiczne. Po prostu obciążenie tą ludnością napływową było zbyt duże, zwłaszcza, że ziemie polskie w sensie państwowym w ogóle nie istniały, a w sensie etnograficznym bardzo się skurczyły. Przekroczone zostały możliwości adaptacji i samoregulacji ekonomicznej społeczeństwa. Tymczasem po odzyskaniu niepodległości i powstaniu Państwa Polskiego, nadal trwał napływ uciekinierów ze wschodu, przeważnie prymitywnych i biednych. Według

danych statystycznych w roku 1921 wkrótce po powstaniu Państwa Polskiego, w Polsce mieszkało około 1,8 miliona ludności żydowskiej, a w roku 1939 około 3,5 miliona i to mimo dalszej emigracji części Żydów. Dane te raczej są zaniżone, gdyż uciekinierzy, często przekraczający granicę nielegalnie, starali się unikać przynajmniej przez pewien czas wszelkich spisów i kontaktów z władzami i to mimo, że Polska nigdy nie wydała uciekinierów, ani ze wschodu, ani, w ostatnich latach, także z zachodu, z Niemiec hitlerowskich.

Niestety, dalsza emigracja na zachód uległa w tym czasie dużym utrudnieniom, państwa zachodnie drastycznie ograniczyły dostęp dla uciekinierów i w rezultacie Polska stała się gigantyczną poczekalnią w tej wędrówce. Żydzi majątni łatwiej dawali sobie radę z wyjazdem, względnie adaptowali się w środowisku polskim, niekiedy osiągając nawet wielkie sukcesy w skali światowej (np. znany przypadek rodziny Bloch'ów). Natomiast beznadziejnie przedstawiały się sprawy tłumów żydowskiej biedoty. Nawet gminy żydowskie, na które w pierwszym rzędzie spadał tradycyjny obowiązek udzielania pomocy, nie mogły temu podołać, zwłaszcza przy małym zaangażowaniu państwa i nie wiele większej pomocy humanitarnej z zagranicy od organizacji żydowskich. Ogromnie powiększył się obszar nędzy, gdy obok majątnych Żydów, masy biedoty z największym trudem dotarły do Polski i pozostały tutaj, starając się jakoś przetrwać w desperacji i rozpacz, nie widząc wyjścia.

Wynikiem tego był w Polsce dalszy wzrost nastrojów antysemitycznych z powodów czysto ekonomicznych. Także i ostra konkurencja między szybko rosnącą po powstaniu wolnego państwa inteligencją polską, a inteligencją żydowską zaogniała sprawę. Faktycznie kraj nie był w stanie zapewnić utrzymania takiej ilości przybywających Żydów, którzy przecież tradycyjnie zajmowali się dotąd drobnymi operacjami finansowymi, względnie utrzymywali się z działalności małych przedsiębiorstw, a pewna część uprawiała wolne zawody - jak wiadomo, żaden Żyd nie pracował, np. w rolnictwie.

Co więc mieli robić ci, faktycznie nieszczęśliwi rozbitkowie życiowi? Właściwie nie mieli żadnej nadziei, Powiedzmy szczerze, w najlepszym razie mogli zająć się przestępczością. Przed wojną, jednym z bestsellerów i hitów literackich stały się pamiętniki, właśnie Litwaka, znanego włamywacza i bandyty, Urke Nachalnika. Mimo, że z pewnością nie były przeznaczone dla młodzieży, Agnus też je czytał.

A w najgorszym? Był to przecież obfity rezerwuar ludzi zdesperowanych, niektórzy z nich gotowi na wszystko. Obecnie sytuacja zmieniła się, służby specjalne na całym świecie, za przykładem CIA, szukają kandydatów na uniwersytetach, także Rosja nie jest wyjątkiem. Za czasów Stalina, a właściwie już od Dzierżyńskiego, GPU, GRU i inne agentury kierowały

się przy rekrutacji inną zasadą: podstawowym warunkiem było, żeby przyszedł współpracownik był całkowicie zdesperowany, doprowadzony do rozpacz, na dzień - najlepiej o krok od samobójstwa, a przynajmniej zobojętniały na śmierć. Przecież pierwszy szef Czerezwyczajki też zajął się bezdomnymi sierotami, żyjącymi po rewolucji w straszliwych warunkach nie z pobudek humanitarnych, ale właśnie dlatego, żeby z tych prawdziwie wilczych band wybrać najniebezpieczniejszych do GPU.

W dodatku część uciekinierów, mimo wszystko czuła się nadal związana ze środowiskiem i otoczeniem, w którym wyrosła. Łatwiej więc było im dogadać się z Rosjanami.

Z drugiej strony, wśród tych Żydów, którzy nadal zdecydowali się pozostać na terytorium ZSRR otworzyły się nowe możliwości dlatego że podczas rewolucji Rosjanie wymordowali większość swojej inteligencji i po prostu nie mieli ich kim zastąpić. Zaś z drugiej strony, przynajmniej w słowach, deklarowali zniesienie wszelkich form ucisku narodowościowego, w tym również dyskryminacji Żydów. Wprawdzie cały kraj zmienił się w jedno wielkie piekło, ale i w piekło są różne stopnie i różne miejsca w hierarchii. Żydzi nie mogli wprawdzie żyć po staremu i prowadzić dotychczasowej działalności gospodarczej, ale mogli od tej chwili wstępować w służbę państwową i także agenturalną. Faktycznie, niektórzy szybko robili tam wielką karierę.

Dopiero teraz zrozumiałe stało się opowiadanie ojca Angusa.]

- Otóż, - wyjaśniał ojciec - Żydzi zachowywali się różnie. Wiadomo było powszechnie, że wielu ważniejszych, a większość zwykłych funkcjonariuszy GPU byli Żydami. Np. w milicji, spotkać można było sporo Białorusinów, Rosjan, Ukraińców, nawet i zaprzańców-Polaków, właściwie wszystkie narodowości zamieszkałe w ZSRR, w GPU zdarzało się to bardzo rzadko. Ale to nie byli polscy Żydzi. Z tych, znaczna większość zachowywała się wprawdzie ostrożnie, ale w porządku. Zwykle od dawna zamieszkałego w Polsce Żyda, a już z reguły ortodoksyjnego, można było odnosić się z zaufaniem i nawet szukać pomocy w nagłej potrzebie. Czasem nie pomogli, bo się bali - całkiem zrozumiałe - ale raczej nie wydali.

Zresztą to, co się mówiło o żydowskiej solidarności, to po prostu zwykłe bajki. Być może, że dogadywali się trochę lepiej między sobą i polscy Żydzi byli trochę lepiej traktowani niż Polacy ale zdarzały się też akcje wymierzone specjalnie przeciw Żydom i wtedy ci, na służbie, specjalnie starali się wykazać bezwzględnością. (Angus już później, widząc działalność wysługującej się Niemcom, żydowskiej policji w gettach, może nie tyle rozumiał, ale pojął to lepiej.)

Trzeba dodać, że wtedy ojciec nie mógł oczywiście znać największej tragedii, jaka miała dotknąć polskich Żydów na terenie ZSRR w czerwcu 1940. Gorszej niż wszystko, co dotąd spotkało Polaków, przypuszczenia o jakimś ulgowym traktowaniu okazały się wielkim nieporozumieniem.

Tak czy inaczej, otrzymane ostrzeżenie zapewne uratowało ojcu życie. Ale sprawa nadal nie była taka prosta, musiał jeszcze odczekać na swoją kolejkę do przejścia zielonej granicy. Zajęcie to dla przewodników stawało się coraz niebezpieczniejsze, bardziej ryzykowne i przewodnicy nie podejmowali się teraz prowadzenia większych grup - a w ogóle tylko na swoich warunkach i w wybranym przez siebie czasie. Żadna zapłata, stwierdził krótko fachowiec, nie jest warta śmierci.

Resztę lutego i połowę marca spędził ojciec przesiadując w poczekalniach różnych urzędów, gdzie interesanci spędzali dni oczekując na załatwienie różnych spraw, których urzędy nie załatwiały, ani nie podejmowały żadnej decyzji. Tłum tłoczył się, w obłokach dymu tytoniowego na brudnej i zaplutej podłodze, której nikt nigdy nie sprzątał. Tu można było najłatwiej się ukryć, trzeba było tylko zachowywać się jak wszyscy, nie podpaść, bo naturalnie i tutaj trafiali się donosiciele - i zwłaszcza dużo palić. Przynajmniej GPU ani milicja nie szukały tam nikogo.

W tym czasie wyrobił sobie pozwolenie na przejazd koleją do Brześcia i z powrotem, w jakiejś wymyślonej sprawie, do wyższej instancji. To przydało mu się bardzo, gdyż część dojazdu do granicy odbył koleją. Natomiast o samym przejściu kategorycznie nie zgodził się nic powiedzieć, słowo to słowo. Zrozumiały rozsądek, wiele razy zdarzało się, że gadatliwość w podobnych wypadkach bardzo zaszkodziła także innym ludziom.

Może zresztą ta wstrzeźliwość była wynikiem nie tylko zasad i dojrzałości, ale także i tego, że każda sensacja powoli blednie. Na domowe konferencje, przychodziło coraz mniej ciekawych, coraz częściej wypadały różne zajęcia. Stopniowo zdarzało się, że wraz z Angusem na schodach siedziały tylko jedna lub dwie osoby, nawet matka przestała się pojawiać. A jednak możliwość wygadania się, bardzo podbudowała psychicznie ojca Angusa i chyba chętnie kontynuował by to dalej. Wyraźnie się odprężył i poprawił, resztę zrobiło regularne dokarmianie i odpoczynek.

Zakończenie nadeszło w sposób naturalny, jedna sensacja wyparła drugą. W tydzień po tym powrocie, gazety doniosły, że wojska niemieckie uderzyły na Danię i Norwegię. Skończył się martwy sezon, wojna wróciła na pierwsze miejsce.

Tak łatwo można wyzwolić się z nędzy istnienia...

## **Rozdział VII. Trwanie bez nadziei.**

Gdy Pan Bóg ma kogoś ukarać, najpierw odbiera mu rozum. Polacy przyjęli atak na Danię i Norwegię z radością, nie dlatego, że pół roku biernego oczekiwania, w poniżeniu i niewoli, to więcej, niż mogli wytrzymać - ale przede wszystkim dlatego, że uważali to za czyn szaleńca. Triumfalne komunikaty o sukcesach Hitlera niczego nie zmieniały. Oczywiście, kilkumilionowa Dania, spokojny, mały kraik, przylepiony do Niemiec, nie miała szans obrony. Tylko gdzie tu sens, przecież w poprzedniej wojnie utrzymywanie poprawnych stosunków z tym neutralnym krajem okazało się korzystne dla Niemiec, chociażby ze względu na możliwości wymiany towarowej, dostępu do zagranicznych surowców. A już inwazja Norwegii to oczywisty nonsens, długi, wąski i górzysty kraj, wojsko trzeba przesuwac 2 tys. km po górskich drogach, podczas gdy na całej długości najłatwiejszy dostęp i transport jest od strony morza. A na morzu, wiadomo, panuje flota brytyjska.

Niemcy z zaskoczenia odnieśli pewne powodzenie. Ale na dłuższą metę, to musi obrócić się przeciwko nim. To absurd, rozdrabniać siły, wysyłać kilkanaście, a może kilkadziesiąt dywizji na podbój dalekich i zupełnie nieszkodliwych ludzi, przysparzać sobie nowych wrogów, gdy zapewne w tej chwili szykuje się potężne uderzenie alianckie, które niedługo rzuci Niemców na kolana. A może już się zaczyna?

Mimo zawodu w 1939 r. Polacy nadal bezwzględnie wierzyli aliancom i w aliantów. Prawda, że świetna armia francuska zblamowała się w zeszłym roku, zrobili wszystko co można żeby nie wygrać tej wojny (to znaczy nic). Widocznie za bardzo rozleniwili się, utyli w beczynności. Polska dała im mnóstwo czasu na przygotowanie się, prawie trzy czwarte roku. A jeżeli mieli jeszcze jakieś złudzenia. to teraz i oni i cały świat mógł się ostatecznie przekonać, z kim mają do czynienia. Hitler to po prostu bandyta, drapieżny wilk, napadający każdego. Nikt nie jest bezpieczny, jeżeli będą beczynnie czekać, to i im przegryzie gardło. Trzeba zacząć się bić, albo marnie zginąć.

Taka opinia panowała niepodzielnie, Angus słyszał ją od największych znawców i autorytetów strategii, stojących w ogonku po zupę w kuchni bursy gimnazjalnej. Zresztą nie tylko, wypowiedali się także i ci, którzy odebrali już swoją porcję i zamiast nieść menażki do domu, dołączali do tłumku, który stopniowo gęstniał i dyskutował, choć ostrożnie, bo w końcu nigdy nie wiadomo, kto słucha.

Nawet i ojciec, jako ekspert od komunikacji, podzielał to zdanie. Jednak po kilku dniach okazało się, że nadal trzeba jeszcze poczekać na oczekiwany rozwój sytuacji. Tymczasem ojciec Angusa nie chciał dłużej pozostawać beczynny i na początek podjął się pożytecznego uczenia dzieci: własnego syna oraz córek gospodarzy. To, że dzieci nie chodziły do szkoły, oznaczało przecież dla nich dużą stratę, a on, jako człowiek wykształcony



miął kwalifikacje, w każdym razie na pewno wystarczające jak na szkołę powszechną. Wprawdzie zespół trochę niedobry, trzy różne klasy i trzech uczniów. Cóż, trzeba zastosować metodę, jak w zbiorczych klasach wiejskich, wszyscy uczniowie siedzą razem, a nauczyciel kolejno wyznacza im zajęcia i potem sprawdzał, głównie pracę pisemną, albo tekst przeczytany samodzielnie. Od czasu do czasu wynikały pogawędki, w których wszyscy brali udział.

Ojciec kupił osobiście w księgarni na rynku, podręczniki do arytmetyki i języka polskiego. Na początek, wszyscy mieli po dwie godziny rachunków i godzinę polskiego, głównie pisanie - małe wypracowania, skróty z czytanek, właściwie tego nie ma w programie, ale ojciec Angusa twierdził, że umiejętność szybkiego skrócenia tekstu, albo zrobienia notatek jest bardzo ważna i pożyteczna. Do tego częste krótkie dyktanda dla przyswojenia sobie pisowni, głównie u i ó, rz i ż. Coś w rodzaju:

„Gdy zaświstał w orzech pusty, wnet szurnęło między chrusty.

Król miał służbę znakomitą: wiewióreczki z rudą kitą”...itd.

Oczywiście to pisali tylko Violet i Agnus, Anisia z wysiłkiem i pomagając sobie językiem, przepisywała po parę linijek za swojej książki, lub czasem z bajek.

Dzieci siadały przy dużym stole w pokoju stołowym zwykle o godzinie 9 rano i z krótkimi przerwami, lekcje trwały do południa. Potem, czasem jeszcze godzinkę lub dwie po obiedzie, jeżeli pogoda była brzydka. Jednak, jeżeli pogoda była znośna, a zwykle była, ojciec po południu zabierał Angusa na dalszy spacer. Chciał dojść do sił, a uważał, że dziewczynki nie dałyby rady. Zresztą fakt, że i Agnus wracał zwykle zmęczony.

W stosunku do Angusa ojciec był zawsze bardziej wymagający, może pokazowo. Nie tylko dawał mu trudniejsze zadania, to naturalne, przecież chodziło o szóstą klasę, ale dwukrotnie, często nawet trzykrotnie więcej. Musiał pracować dosłownie w pocie czoła, nie było mowy o przerwie, i tak ledwie się wyrabiał mimo pośpiechu.

Po paru dniach, ze zdziwieniem poczuł nogę Violet przyciśniętą do swojej - i od tej pory powtarzało się to stale, co najwyżej zmiana polegała na tym, że chwytiała jego nogę obu swoimi i przytrzymywała mocno. Czyżby oferta pokoju, propozycja wybaczenia?

Od chwili krótkiego spięcia, wywołanego podsłuchaną rozmową, która tak dotknęła Angusa, że aż zachował się w niewybaczalnie chamski sposób, utrzymywała się między nimi zła atmosfera. Angus nie starał się niczego naprawić, czynił tylko, raczej chybione wysiłki, żeby ta zdecydowana wrogość, nie przeniosła się na inne osoby i nie popsowała stosunków między rodzinami. Skutki były mieszane, po stronie Violet i przeciw Angusowi opowiedziała się niezameżna ciotka Violet, natomiast matka, pani Misiorowa, zachowywała przez cały czas

spokój i neutralność. Najwidoczniej nabrawszy doświadczenia przez prowadzenie stacji pozostawiała tą sprawę do załatwienia przez samych zainteresowanych między sobą, zakładając że interwencja lub wtrącanie się dorosłych nic nie poprawi.

Jeżeli jednak noga Violet została zaofiarowana jako gałązka oliwna, Agnus nie zareagował, gdyż miał obecnie znacznie poważniejsze kłopoty. Żył przecież obecnie w grzechu śmiertelnym i musiał przede wszystkim skoncentrować się na tym, jak się z niego wydobyć. Tymczasem z rosnącym zdumieniem, a potem przerażeniem i rozpaczą stwierdził, że to nie takie proste i może sobie z tym poradzić.

Nie miał czasu na głupstwa, z takim ciężarem na karku. Próbował cofnąć, uwolnić nogę i odsunąć się, ale bez rezultatu, po chwili Violet ponowiła kontakt. Nie chcąc szarpać się, zwrócić uwagi ojca, małej Anisi i ewentualnie innych osób, musiał się z tym pogodzić. Tolerował więc dotyk, ale siedział, jak z drewna. Z drugiej strony, wtedy właśnie zaczął reagować, odczuwać to w inny sposób niż dotąd, to znaczy przelotną uciążliwość.

Gdy nadeszła wiosna i zrobiło się coraz cieplej, Violet nie wkładała pończoch i rzadko skarpetki. Podobnie i Agnus, który chodził wciąż jeszcze w krótkich spodenkach. Dotyk, skóra do skóry, bezpośredni przepływ ciepła i jakiejś formy energii, jakby promieniowania albo niewidocznej emanacji, którą wyczuwało się jeszcze nawet przed bezpośrednim zetknięciem, potem krążenie krwi pod skórą i wycucie najdrobniejszych, delikatnych ruchów mięśni, to wszystko robiło wrażenie. Zwłaszcza, że skóra była gładka i przyjemną. Violet wciąż jeszcze ubierała się jak dziecko, a może poprostu ostatnio szybko rosła, nosiła dość krótkie, plisowane spódniczki, prawie dokładnie do kolan i często odsłaniające kolano przy ruchu albo z przodu, albo z tyłu, oraz lekkie pantofle na bosej nodze. Trudno było nie zauważyć, że nogi miała bardzo zgrabne, długie, z dobrze umięśnioną łydką i ładne stopy. Skóra była jeszcze lepsza, chociaż absolutnie bez żadnych starań, jeszcze by też, nawet u starszej byłaby to niedopuszczalna próżność. Krótko mówiąc, choć Agnus wciąż nie wiedział, co właściwie chłopak może robić z dziewczyną, to widok nóg Violet prześladował jego wyobraźnię, a dotyk zaczął wyprowadzać z równowagi, dręczyć. Oczyma duszy, widział je wcale nie patrząc, wyobrażał sobie grę mięśni, uniesioną, wspartą tylko na palcach, stopę...

Obraz doskonałego piękna. Bez rozsądnego powodu, odczuwał przy tym podniecenie płciowe - właśnie to, z czym tak walczył i próbował za wszelką cenę opanować. Niestety, przeważnie przegrywał, najczęściej wieczorem przed zaśnięciem. Miał wtedy takie wrażenie, jakby w jego ciele zagnieździło się zupełnie autonomiczne, żywe stworzenie, które potrafiło nieznośnie znęcać się nad nim, aż nie poprawił położenia i nie dotknął go, po chwili to zaczynało się znowu i znowu, za każdym razem coraz silniej. Czasem walczył tak ze sobą

kilka godzin, daremnie starał się zasnąć, sen nie nadchodził, w końcu musiał je jakoś ugłaskać a im dłużej to trwało, tym bardziej wzrastało ciśnienie, prawie tracił świadomość, w końcu stawało się. Im bardziej się ze sobą, czy raczej z tym samodzielny tworem przy ciele, zmagał, tym eksplozja rozkoszy stawała się silniejsza. Nie było mowy, że to wydziela się tylko kropla lub parę moczu, z powodu silnego przeżycia. Wraz z wiosną, wprost zabrzmiał sokami, jak drzewo w którym ciepło przyspieszyło rozpoczęcie wegetacji, chociaż płyn nasienny nadal był wodnisty i przezroczysty, nie przypominał treściwej i gęstej spermy.

A zaraz potem, gdy wrócił do przytomności, zaczynało się poczucie winy. wstyd za swoją słabość, coraz silniejsze przekonanie o swojej nędzy moralnej i psychicznej, samopotępienie i pogarda dla siebie. W końcu zasypiał w rozpaczy, pragnąc nigdy więcej się nie obudzić, spadał w otchłań klęski, katastrofy, ze łzami.

Rano budził się przyciębiony, z obrzydzeniem do siebie i nie oczekując niczego dobrego. Nie mógł pogodzić się z tym, że nie zdołał dotrzymać postanowień, że zawodzi, że jest aż takim śmieciem bez woli. Postanawiał zacząć na nowo i wytrzymać za wszelką cenę, prosił Boga o przebaczenie, zdając sobie sprawę, że nie zasługuje na nie. Błagał o pomoc, o sprawienie cudu, wspomóżenie jego nędznej woli. Tyle, żeby choć z trudem, wytrwał jakoś tak, jak normalni ludzie.

Szereg razy chodził też do spowiedzi, ale słyszał coraz surowsze nauki, chociaż nie aż tak surowe, jak sam siebie oceniał. W ogóle miał wątpliwości, czy ma prawo chodzić jeszcze do kościoła, ale tutaj ksiądz powiedział, że każdy zbrodniarz może się modlić i on również powinien. A także jak najczęściej kajać się przed Bogiem i żałować, gdyż to może dodać mu sił w walce z grzechem.

W kaplicy starał się zająć miejsce w najciemniejszym kącie, a dojrawszy księdza, szedł na drugą stronę ulicy. Oczywiście wiedział, że ksiądz związany jest tajemnicą, ale świadomość, że ten człowiek wie o nim wszystko, gdy inni jeszcze mogą mieć złudzenia, uważać go za zwykłego chłopca, podczas gdy naprawdę jest parszywą owcą, nędznikiem pokrytym trędem moralnym i nie mającym tyle sił, żeby wstać z błota, w które, wprawdzie nieświadomie wpadł, ale teraz świadomie pozostaje, była druzgocząca. Ten ksiądz mógł mieć tylko pogardę, może trochę litości dla grzesznika, ale tego nie okazywał i przynajmniej to było szczęście w nieszczęściu, litość byłaby najgorsza ze wszystkiego.

Nadal nie stracił nadziei, zresztą nie miał innego wyjścia, jak za wszelką cenę wyrwać się z otchłani grzechu i zła. Właściwie nie rozumiał, jak to się działo, że mimo wszelkich wysiłków, wciąż ponawianych postanowień, nie potrafił się wyzwolić, tkwił w obrzydliwym grzechu. Nigdy nie przypuszczał, że jest aż do tego stopnia nędzny i słaby. Może to zły sen?

Przedtem, zanim dowiedział się na spowiedzi jak ciężko grzeszy, żałował że nie ma z nim ojca, do którego mógłby zwrócić się ze swymi wątpliwościami. Ale teraz, kiedy dowiedział się, jak straszny grzech popełnia, nie śmiał wspominać o tym ojcu po jego powrocie. Jego ojciec był bardzo religijny, wprost do granic bigoterii. Często modlił się godzinę i dłużej, zachęcał też do dłuższych modlitw Angusa, ale ta zachęta nigdy nie miała cech przymusu, raczej propozycji ewentualnego przyłączenia się, gdyby miał ochotę. Agnus rzadko miał i zwykle odmawiał, nie uznawał długich modłów. Traktował te sprawy jako osobisty kontakt, krótki, szefowi nie zabiera się zbyt dużo czasu, chyba, że się coś chce. Jednak czasami zdarzało się, głównie, żeby przypodobać się ojcu, albo gdy miał do wykonania jakąś obietnicę Panu Bogu, różaniec odmawiali wspólnie. Natomiast matka, też wierząca i religijna nie lubiła „długiego klepania pacierzy” i zewnętrznych form okazywania swych osobistych uczuć.

Teraz, podczas długich spacerów popołudniowych, ojciec powiedział Angusowi, że wytrzymał wszystkie przejścia i nie załamał się głównie dzięki modlitwie. Często, nawet w jaskini, może nie lwa, ale raczej hien, w poczekalniach sowieckich urzędów, udawał że drzemie, a naprawdę się modlił. Jasne, że Agnus nie mógł powiedzieć ojcu, jakim przeklętym potępieńcem stał się jego syn, jak dostał się w moc szatana. Musiał sam zmagać się ze złym duchem.

A jednak kontakt z ojcem podniósł Angusa na duchu. Bardzo mu przedtem tego brakowało. Chociaż te długie spacery były zbyt forsowne i połowę z nich by skrócił, chętniej posiedział trochę w lesie - rozmowy to wynagradzały.

Co prawda ojciec bardzo się zmienił. Na przykład kiedyś w Poznaniu, na spacerach za miasto nieraz opowiadał synowi, już nie swoje własne przygody, ale o jakiejś postaci z historii powszechnej (raczej nie z polskiej, bo tego przecież Agnus uczył się w szkole). Teraz, na sugestie Angusa, nieoczekiwanie powiedział, że to przeważnie same kłamstwa, a prawdziwa jest historia ludzkiej podłości i zła. Na przykład, Ryszard Lwie Serce, o którym ostatnio mówili i który stanowił jednego z ulubionych bohaterów Angusa - tak, wyruszył na krucjatę i był sławnym bohaterem, zasłużył na swój przydomek. Ale kiedy wracał, został zdradziecko uwięziony przez jednego ze swoich dawnych towarzyszy broni, arcyksięcia austriackiego, który najwidoczniej zbyt mało zrabował na wojnie. Arcyksiążę, wiadomo, Niemiec, nie tylko obrabował jeńca, dawnego towarzysza broni, ale i zażądał za jego uwolnienie i życie ogromnego okupu. Próbował też ukryć wiadomość, kto jest prawdziwym zbójcem i przedstawić się jako pośrednik, który usiłuje pomóc ofierze i wykupić ją od rozbójników. Ale brat Ryszarda, któremu on powierzył rządy w Anglii, wcale nie miał ochoty

go wykupywać, przeciwnie, ta sytuacja była mu bardzo na rękę, sam chciał zostać królem. Niby zaczął zbierać pieniądze na okup, a faktycznie przywłaszczył je sobie. Gdyby nie to, że jednemu z wiernych przyjaciół króla, sławnemu poecie, udało się uciec, i ujawnić wszystko, gdyby nie zaalarmował pół Europy i narobił tym łajdakom wstydu na wszystkich wielkich dworach zaczynając od papieskiego, to prawdopodobnie Ryszard nigdy nie wyszedłby z lochu. Nikt by o nim więcej nie usłyszał, zaduszono by go po cichu w lochu, brat może nawet by coś zapłacił, ale za zamordowanie a nie za zwolnienie króla, a historycy pewnie zastanawialiby się do dzisiaj nad zagadkowym zniknięciem tak wielkiej postaci. Tylko rozgłos, jakiego nabrała sprawa na dworach europejskich, gdzie Ryszard był uznany za bohatera, uratowała go, ale arcyksiążę nie miał żadnych skrupułów ani wstydu, pieniądze wziął. Złożyli się na nie po raz drugi wierni poddani w Anglii, bo pierwszych brat nie oddał. Tak, historia to jedna kupa gówna, a historycy starają się to nieco przysłonić. Wszystko dlatego, że ludzie tak naprawdę są podli i źli, świat mógłby być całkiem inny i piękny, a stał się przedsięwzięciem piekła.

Chociaż z opowiadań historycznych, które Agnus dawniej lubił słuchać nie wyszło, bo ojciec był zbyt rozgoryczony, to jednak pogadali sobie i to sporo. Głównie na tematy aktualne. Przede wszystkim, usłyszał Agnus detaliczne opisy i relacje z zupełnie innego świata, z ówczesnego ZSRR.

Synowi przedstawił o wiele szczegółów i faktów, niż w ogólnych opowiadaniach, Tak, że Agnus mógł wyobrazić sobie to wszystko, jakby naprawdę to widział. Ale to nie znaczy zrozumieć, to był świat makabry i absurdu, nabrał cech realnych dopiero, kiedy Agnus zobaczył taki na własne oczy już po wojnie.

Nie chodziło o różne okropności, te były naturalne z prostego powodu, że uważał, Niemców jak i Sowietów za zdolnych do każdego zła. Cokolwiek by zrobili, czegoś takiego można się było po nich spodziewać. Poza tym, również Rosja za caratu stosowała podobne metody, tylko nie aż na tak wielką skalę. Też mordowali, też wywozili na Sybir, przy bardzo wysokiej śmiertelności, czytał przecież opisy i oglądał także obrazy, odtworzone przez artystów, którzy widzieli to na własne oczy i jeśli przeżyli, malowali ze swoich wspomnień. (W rodzaju „Śmierć na etapie” itp.)

Lecz wtedy ginęły tysiące, a teraz setki tysięcy. Nawet Murawiew-wieszateli w najgorszych okresach wydawał po kilka wyroków dziennie, wprost drobnostka w porównaniu do obecnych czasów. Teraz, sama sprawozdawczość z przeprowadzonych egzekucji obejmowała grube pliki wykazów dziennie, archiwa GPU (potem NKWD i kolejno KGB) pękały od całych skrzyń, które nigdy nie miały ujrzeć światła dziennego. Skala jak 1 do 100,

przypuszczał Agnus, w rzeczywistości to był jeszcze za niski szacunek. Mimo wszystko, co dotąd zrobili Niemcy, tutaj jeszcze była względna oaza spokoju. Na razie.

Niestety na dalsze zapytania, trochę nawet ostrożne nalegania w sprawie walki z okupantem, ojciec miał negatywną opinię. Odpowiadał stereo typowo, że nie nadszedł jeszcze czas i że on pójdzie kiedy wszyscy pójdą. Wprawdzie nie jest już młody, ale był żołnierzem i przyda się w razie czego, a jeśli już do tego przyjdzie to pomyśli i o synu, chociaż szczerze mówiąc ma wątpliwości. To będzie zależało od rozwoju sytuacji.

Szczerze mówiąc, była to odpowiedź wymijająca, ojciec przeszedł już swoje i na pewien czas miał dosyć, wolałby, gdyby reszta obyla się bez niego. Ale z kolei tego nie mógł powiedzieć synowi, nie chciał go rozczarować, jak dotąd sprzyjało mu szczęście, wprost nadzwyczajnie, ale w ciągu życia dużo widział, a doświadczenie życiowe mówiło, że szczęście się kiedyś wyczerpuje i nie można na nie liczyć wiecznie. W trudnych sytuacjach, najpierw giną ci, co nie mieli szczęścia, a potem ci, co mieli i bezkrytycznie mu zaufali. Miał nadzieję, że wystarczy, jeżeli zachowa się jak poprawny Polak i lojalny urzędnik Państwa Polskiego, nie zbrudzi sobie rąk nawet pośrednio, nie współpracą, ale nawet zwykłą pracą na rzecz władz okupacyjnych (dlatego przez wszystkie lata okupacji, trzymał się z dala od kolei), a alianci jakoś zdołają pobić Niemców bez jego pomocy. Ostatecznie to na nich teraz pora. Potem Polska oczywiście zostanie przywrócona, on powróci do swojej pracy na kolei, może dostanie nagrodę lub medal, bo wszystkie obowiązki wypełniał nienagannie i nikt mu niczego nie może zarzucić. W perspektywie chciał doczekać wymarzonej emerytury i wcale nie miał ochoty niepotrzebnie nadstawiać karku, chyba że rzeczywiście wszyscy, wtedy trudno, taki los. To był po prostu rozsądny program, niczego nadzwyczajnego od losu nie wymagał. A tak czy owak, należała mu się jakaś przerwa, jeszcze nie przyszedł do siebie po poprzednich przeżyciach.

No cóż, nikt wtedy nie przewidywał, że nawet po klęsce Niemiec, Polskę oczekiwać będzie los gorszy, niż te kraje, które ugięły się przed Hitlerem, a nawet te, które stanęły po jego stronie i zostały aktywnymi sojusznikami agresora. Co tu gadać o sojusznikach! Dużo gorszy od losu samych agresorów i to nawet w tej części, która także wpadła w łapy Stalina. Paradoksalnie przyszłość ułożyła się właśnie w taki zupełnie irracjonalny sposób. Zupełnie jak w znanej bajce, wśród serdecznych przyjaciół psy zjadły.

\* \* \*

Wbrew lepszym spodziewaniom, kampania norweska nie przynosiła Niemcom porażki. Pierwsza próba interwencji aliantów pod Bergen, miała po prostu kompromitujący przebieg. Właściwie tylko Norwegowie jeszcze walczyli. Po pierwszym zaskoczeniu i klęsce

sił obrony wybrzeża, pomimo dezorganizacji i zdrady, pozbierali jakoś niedobitki i z poświęceniem hamowali posuwanie się wojsk niemieckich. Ta pozostała garstka żołnierzy biła się śmiało i skutecznie, mimo fatalnego stosunku ilościowego. Natomiast ściągnięte doraźnie siły alianckie zostały, jakby po trochu wrzucone w wodospad, mówiąc delikatnie. Dopiero na samym północnym końcu, w Narwik, wojska alianckie też zaczęły od mało skutecznych działań, mimo zmarnowania pierwszej i najlepszej okazji, zaczęły jednak wgryzać się w pozycje niemieckie i wyglądało, że Hitler dostanie tam w skórę. Także i flota brytyjska zaczęła działać na serio, obie strony poniosły duże straty, ale dla Wielkiej Brytanii były one wciąż jeszcze do przyjęcia, natomiast Niemcy nigdy już nie zdołali ich odtworzyć, właściwie od tej pory flota niemiecka (nawodna) utraciła zdolność ofensywną. Mimo wszystko Niemcy - co przyznawali nawet znawcy w Ostrowcu - bili się dobrze w uporczywej obronie, podczas gdy ich odsiecz powoli defilowała po górskich drogach wzdłuż wybrzeży Norwegii, wstrzymywana przez improwizowany i nieregularny, ale zdecydowany opór ostatnich grup żołnierzy norweskich.

Często wyrażano zdziwienie, że nie interweniuje Szwecja. Kiedyś oba te kraje, Szwecja i Norwegia, stanowiły jeden organizm i nadal prawie nie obowiązywała między nimi granica dla mieszkańców. Wprawdzie rozwód na początku wieku nie odbył się bez paru zgrzytów, ale do walk ani wzajemnej wrogości nie doszło, wszystko przebiegło w sposób cywilizowany. Oba państwa nadal blisko współpracowały i prowadziły jednolitą politykę ścisłej neutralności przy wzajemnym poparciu. Szwedzi byli zaszokowani napaścią na sąsiadów i ich sympatie były zdecydowanie po stronie ofiar, a opinia publiczna, podobnie jak przedtem w wojnie fińskiej, domagała się udzielenia pomocy. Jest też faktem, że postawili swoje siły zbrojne w stan pogotowia. W wypadku zdecydowanej akcji w obronie Norwegii, siły niemieckie były niewystarczające i zostałyby szybko zepchnięte do morza. To też dyplomacja aliancka, robiła wszystko co mogła żeby zachęcić Szwedów, w tym obiecywała także zwiększenie wsparcia.

Tak, ale po kampanii w Polsce, dyplomacja aliancka kompletnie utraciła wiarygodność. Poza tym, Szwecja nie miała swobody ruchów, sama znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Od chwili zakończenia kampanii fińskiej, Szwecja była bezpośrednio i silnie zagrożona przez najbliższego obecnie przyjaciela i sojusznika Niemiec, ZSRR. Bazy ofensywne, jakie Rosja uzyskała po drugiej stronie Finlandii, od półwyspu Hanko do wysp aleuckich, były niedwuznacznie wymierzone w Szwecję, a Stalin aż się palił, żeby nadal pomagać czynnie Hitlerowi i traktował to jak wspianą okazję, stosunkowo taniego powiększania własnych zdobyczy. W tej sprawie, kilkakrotnie składał odpowiednie

oferty, lecz Hitler nie miał najmniejszej ochoty wpuszczać sojusznika, któremu ani przez chwilę nie dowierzał, do Skandynawii. Jednak gdyby wojska niemieckie i jego osobisty autorytet znalazły się w beznadziejnej sytuacji, mógłby skorzystać z tej oferty.

Wiadomo było od dawna, że Skandynawia, podobnie jak Turcja, była tradycyjnym celem i najbardziej pożądanym obiektem ekspansji rosyjskiej, chociaż dotąd nieosiągalnym. Mimo olbrzymiej długości zewnętrznych granic, Rosja wciąż odczuwała brak zadowalającego wyjścia do komunikacji ze światem. Bosfor albo Sund, to był cel. Porty na dalekiej północy nie były na pewno komfortowe.

Krótko mówiąc, Szwecja z najwyższym wysiłkiem starała się przygotować obronę własnego terytorium i jak najdłużej zachować neutralność, zaś szanse nie wyglądały dobrze. Agnus miał swoje własne zdanie: uważał, że najlepszą pomocą dla Norwegii, byłaby szybka ofensywa na zachodzie i złamanie głównych sił niemieckich. Wtedy rzucone na daleki i drugorzędny front, ekspedycyjne wojska niemieckie i tak będą musiały kapitulować - a potem oczywiście pozostać w niewoli tak długo, aż nie naprawią wszystkich wyrządzone szkody i zniszczenia. W tym sensie, uważał dotychczasowy przebieg kampanii za korzystny. Alianci, prowadząc działania aż gdzieś do koła polarnego, skutecznie odciągnęli i zwięzali, na tym teatrze wojennym znaczne siły niemieckie, na tą wyprawę Hitler musiał wysłać ze dwadzieścia dywizji, podczas gdy alianci zaangażowali znacznie mniejsze siły, na pewno poniżej 5 dywizji. I to raczej zbieraninę, drugorzędne oddziały.

Że ponoszą porażki? Tak, ale odciągają część sił armii niemieckiej daleko, zabraknie ich później na głównym kierunku. Sami mogą znacznie szybciej i łatwiej przerzucać swoje wojsko panując na morzu, nie mówiąc o ciężkim sprzęcie, z którym Niemcy na pewno nie zdążą, a Anglicy z palcem w nosie. Agnus słyszał też, że pod Narwikiem bije się polska brygada i to bije, naturalnie, bardzo dobrze. W tym wypadku, Agnus oczywiście robił wyjątek, to nie żaden drugorzędny oddział ale wyborowy. Ale nie wielki, Francuzi musieli dołożyć trochę rodzynek do ciasta.

W tym czasie, Agnus z ojcem przenieśli się do przejściowego pokoju na górze. Większy za nim zajmowali Słodkowie, ale szczerze mówiąc, nie często ich widywali, Słodkowie pojawiali się rzadko, przechodzili i zaraz znikali za zamkniętymi drzwiami. Cały pokój na dole, dla trzech osób za mały. został teraz zagospodarowany przez matkę. Wiosna robiła się cieplejsza, więc trzeciego dnia po powrocie ojca, wraz z Angusem, napchali nowo kupione sienniki, świeżą słomą w stodole. Na górze, w dawnej stancji stały dwa drewniane łóżka z położonymi poprzecznie deskami, na nie kładło się sienniki. To była atrakcja, siennik,



dobrze wypchany świeżą słomą, bardzo wygodny. Trzeba było go tylko co dzień „wzruszyć” (choć nie do łez).

Natomiast w pokoiku na dole, otwarto bezpośrednie drzwi, prowadzące na dwór, do małego ogródka przed domem, gdzie zakwitły już pierwsze kwiaty. Przez całą, wyjątkowo ostrą zimę, drzwi te były zamknięte na głucho i zabezpieczone przez drewniane, zewnętrzne okiennice z żelaznymi hakami, a przestrzeń między nimi i drzwiami tak wypełniona, że stanowiła jeden z najcieplejszych odcinków ściany. Obecnie, po ich otwarciu, można było wygodnie przysiąść na trzech drewnianych schodkach. W dzień Angus i ojciec przeważnie przebywali na dole, tam też z reguły jedli.

W międzyczasie, matka Angusa jeszcze parą razy wyjeżdżała do Radomia i mimo spodziewanej, szybkiej klęski Niemców zdecydowała się jednak na dobicie targu z urzędnikiem niemieckim w sprawie koncesji na alkohol. Ostatecznie, wartość pieniądza już leciała na łeb, a wyjazdy do Łańcuta zapewniały szybki zwrot kosztów. Nieoczekiwanie wynikły nowe formalności, obecnie lokalne władze niemieckie zażądały, żeby każdy uprawniony właściciel koncesji prowadził osobiście lokal z wyszynkiem alkoholu, nie można było odstępować tego prawa innemu właścicielowi. Ponieważ jedna restauracja mogła być prowadzona przez kilku współników, formalnie przepis można było ominąć.

Dotyczyło to również i Misiorów. Padła więc propozycja, że Słodkowie będą prowadzili lokal gastronomiczny, a obie koncesje będą z nim związane. Lokal taki, mały oddzielny baraczek na rogu Piasków i szosy, znaleziono szybko i tanio, panował zastój i było wiele sklepów w likwidacji albo już pustych. Wspólnymi siłami i kosztem, urządzono go szybko i już w końcu kwietnia i pierwszej połowie maja, dwie kolejne wyprawy do Łańcuta (w których uczestniczył również ojciec Angusa, chociaż sam stwierdził, że nie wiele było z niego pożytku, do dźwigania ciężarów jeszcze się nie nadawał) wróciły z obfitym łupem. Oczywiście towar został od razu sprzedany na pniu, nie trafiając do otwartego lokalu, który pełnił tylko funkcje dekoracyjne.

Teraz jednak wynikły nieporozumienia, mianowicie Słodkowie stwierdzili, że oni uważają się oddzielnie za współników z Misiorami, z którymi dzielą się na połowę i również oddzielnie po połowie z rodzicami Angusa. Innymi słowy, z całej puli, chcą 50% zysku, a dla Misiorów i dla matki Angusa (bo formalnie koncesja była wystawiona na nią) pozostawiają po 25%. Misiorowie nawet byli skłonni się podporządkować, ale matka Angusa gwałtownie zaprotestowała, dla niej równy podział oznaczał, że wszyscy dostaną równo, po 1/3 i o niczym innym nie chciała słyszeć. Ponieważ zaś Słodkowie, jako już wprowadzeni w sprawy handlowe załatwiali transakcje i obecnie nie chcieli oddać pieniędzy, na tym współpraca się

zakończyła, mimo pojednawczych starań Misiorów, którzy dziwnie bezkrytycznie słuchali swoich krewniaków, może i bardziej inteligentnych i wykształconych, ale przecież dosłownie przygarniętych w ciężkiej sytuacji i to bez własnego wkładu, można powiedzieć, gołych i bosych. Matka Angusa trafnie oceniła sytuację, stwierdzając że z tymi ludźmi lepiej nie mieć nic do czynienia i należy trzymać się od nich jak najdalej. Miała wycucie, chociaż wtedy nie byli jeszcze informatorami gestapo. Matka zadziałała zdecydowanie i bardzo szybko, chociaż ojciec miał wątpliwości i wahał się, natychmiast znalazła i wynajęła inny wolny lokal, trochę dalej, na ulicy Wspólnej i załatwiła równie szybko i pomyślnie wszelkie formalności.

Wkrótce potem sytuacja rynkowa się zmieniła, gdy wytwórnia w Łańcutcie zaprzestała wyprzedawać swoje remanenty i możliwość indywidualnych zakupów tam skończyła się.

### **Złote jabłko Łańcut c.d.**

Właściciele zdążyli akurat w porę przed przejściem zakładu przez Niemców, co zresztą biorąc pod uwagę kontakty i poziom wiedzy, umiejętność zdobycia informacji oraz wielkość środków jakimi dysponowali, nie jest zaskakujące. Podobno znaczną część zasobów, zdołali wycofać z magazynów i ukryć, co zapewniło im potem przez dalszy okres okupacji zapas środków materialnych i możliwości operacyjne].

Obecnie pozostała tylko możliwość zakupów na miejscu, w Ostrowcu, w hurtowni Rolnika. Wprowadzone jednak zostały tzw. maksymalne przydziały miesięczne, które stopniowo kurczyły się i w lecie roku 1941 ustały zupełnie. Potem już wódkę sprzedawano tylko przy okazji oddawania tzw. kontyngentu zbożowego, przymusowej daniny w naturze, ściąganej przez władze okupacyjne.

Chociaż sprawy bytowe były życiowo ważne i decydowały o ich dalszym losie, Agnus prawie tego nie zauważał, bo zaczęła się wreszcie wojna na zachodzie, której wszyscy z takim utęsknieniem oczekiwali. Nie ma potrzeby opisywać tutaj jej przebiegu, a zresztą szczegóły i tak do Angusa nie docierały, nie miał pojęcia o planie Mannstein'a, o zmienionych zadaniach i celach operacyjnych, ani o grupach armii A i B. Właściwie nawet nie potrafił dokładnie usytuować nie tylko większości wymienianych miejscowości, ale nawet Ardenów i Wogezów, dysponował tylko ogólnymi mapami z atlasu szkolnego. Ogromnym rozczarowaniem było, że nie sławna, bohaterska armia francuska zaczęła ofensywę, ale Niemcy natarli pierwsi i najwyraźniej z powodzeniem posuwali się naprzód. Wprawdzie ojciec opowiedział mu jeszcze raz jedną ze swoich ulubionych historyjek, jak pewien spokojny flegmatyk pozwolił zaczepiającemu go łobuzowi uderzyć się raz i drugi i dopiero kiedy nie miał już innego wyjścia, oddał tak, że tamten przewrócił się tyle razy, ile przedtem zaczepiał - ale tutaj nie wyglądało, żeby ta historia znalazła analogię.

Logicznie to alianci powinni zaatakować pierwsi i to wtedy, gdy Niemcy zajęci byli gdzie indziej. Jeżeli kompletnie zmarnowali szansę łatwego i triumfalnego wkroczenia do Niemiec w jesieni 1939 r. to przecież w kwietniu 1940 r. mieli jeszcze drugą, chociaż znacznie gorszą szansę. Mimo, że Hitler zaangażował w Danii i Norwegii tylko niewielką część swoich sił, to jednak przygotowania na zachodzie musiały na tym ucierpieć, zresztą ruszył kiedy tylko ukończono koncentrację sił, a nawet zanim, podczas gdy Francuzi dawno byli gotowi. Ponadto to już była ostatnia okazja, żeby żołnierze francuscy chcieli się jeszcze bić. Po długim, beczynnym i, powiedzmy szczerze, idiotycznym staniu w rzekomej gotowości bez żadnej akcji i ruchu, każda armia na świecie uległaby demoralizacji. Jednak bandycka i niczym nieusprawiedliwiona napaść Hitlera na spokojne i tradycyjnie neutralne, małe kraje bez żadnego dania racji. poruszyła opinię publiczną na całym świecie, w tym również i we Francji. Gdyby armia francuska ruszyła się zaraz, no powiedzmy jeszcze w tydzień po tej gangsterskiej napaści, która nie pozostawiała już żadnej wątpliwości co do intencji Hitlera i że jedyna alternatywa, to albo walczyć, albo zdać się na łaskę i niełaskę, to pewnie wojsko by się biło.

Wielkich sukcesów Francuzi i tak by nie odnieśli, z takim dowódcą było to niemożliwe. Prawdopodobnie po pewnym czasie ofensywa utknęłaby i zamieniła się w wojnę pozycyjną. Należy jednak pamiętać, że fatalne doświadczenia z 1914/8 roku, które wpoily wstręt i obawę przed wojną pozycyjną, mieli nie tylko Francuzi. Absurdalna rzeź, przecząca zdrowemu rozsądkowi, dotknęła wszystkich uczestników, w tym bardzo mocno także i Niemców. Hitler miał duże trudności z namówieniem Niemców do wojny, jeżeli nie było czynnego oporu, to z początku uderzający brak entuzjazmu. Dopiero prowadząc ich od sukcesu do sukcesu, znalazł masowe poparcie. Gdyby na początku poważniejszych działań, zarysował się obraz tego, czego tak się obawiali, długich, beznadziejnych zmaganiań pozycyjnych, żołnierze niemieccy też nie chcieliby się bić, a opozycja generalska wreszcie znalazłaby możliwość działania. Przy przeciąganiu się działań, sam ciężar większej ilości broni (tak, nawet czołgów) i ludzi po stronie aliantów, dopływ nowych sił i możliwość zciągania rezerw z połowy świata musiałyby dać się odczuć.

Nie jest więc prawdą, że to akurat Francuzi nie chcieli się bić, bo to dotyczyło wszystkich. Natomiast prawdą jest, że armia francuska zaczęła psuć się od głowy, a żołnierze są na to wrażliwi. Jedyne ratunek, to byłoby postąpić tak, jak w okresie Wielkiej rewolucji, zgilotynować dowódców i powołać nowych zdolnych ludzi, choćby z szeregów. To oczywiście nierealne i brzmi jak gorzki dowcip, a przecież chodzi o ludzi, których życie

stanowiło zagrożenie dla życia tysięcy ich podkomendnych i potencjalnie całego społeczeństwa. Społeczność, podobnie jak jednostki, powinna mieć prawo do obrony.

Gen. Gamelin może i miał kwalifikacje na niezłego administratora, umiał dopominać się o budżet, wyklócać o finanse i zamawiać wciąż nowe zabawki. Armię traktował jako podstawę swojego prestiżu i wpływów. Miał nadzieję, że sama przewaga wojskowa i demonstracja siły wystarczy do odstraszenia przeciwnika. Nigdy na serio nie brał pod uwagę możliwości, że będzie musiał się bić. Bał się tego panicznie, zapewne nawet nie z powodu własnej osoby, bo przecież w czasie wojny Naczelny Wódz jest najlepiej chronionym człowiekiem w kraju i w całej nowoczesnej historii chyba nigdy nie było wypadku, żeby zagrożiło któremuś poważne niebezpieczeństwo. Raczej zapewne zdawał sobie sprawę, że nie dorasta do takiego zadania, w wypadku ordynarnej bijatki czuł się po prostu bezradny.

To też przez cały czas starał się ze wszystkich sił nie popełnić niczego, co mogłoby skłonić przeciwnika do niestosownego zachowania. Kiedy jednak ten przeciwnik, zupełnie niesprawiedliwie, mimo to, jednak go zaatakował, nie widział innego wyjścia, jak doradzać natychmiastowe przerwanie działań wojennych, prośbę o pokój, poddanie się. Kiedy zaś przekłęci politycy nie zastosowali się natychmiast do fachowej opinii światłego stratega, na nich zrzucił całą winę i faktycznie przestał dowodzić. Od tej chwili nie reagował na to, co się działo, pozostawiając wojsko bez rozkazów, z papierowymi planami przygotowanymi w przewidywaniu zupełnie innych ruchów Niemców.

Hitler, przyjmując plan Mannstein'a, dużo ryzykował. Elita jego wojsk, pięć pancerna nie tylko łatwo mogła zostać obcięta, ale faktycznie przez co najmniej pięć dni, nie była przytwierdzona do ramienia, nie miała za sobą żadnej konkretnej siły, działała bez wsparcia i zabezpieczenia tyłów. Nawet słabe siły francuskiej piechoty mogły odtworzyć front i zamknąć za jej plecami wyłom, a przy zorganizowanym przeciwuderzeniu broń pancerna, pozbawiona zaopatrzenia i odcięta od zaplecza, wyczerpałaby możliwości walki i albo musiała poddać się do niewoli, albo w najlepszym wypadku przebić się z powrotem do własnych linii, pozostawiając na miejscu ciężki sprzęt. Ale Hitler trafnie wyczuł przeciwnika i rzucił wszystko na jedną szalę, zakładając, że gdy jeden chce się bić, a drugi za wszelką cenę stara się tego uniknąć, proporcja sił nie ma tu nic do rzeczy. W tych dniach, ale dopiero potem kiedy generał Gamelin już faktycznie przestał dowodzić, rząd francuski powołał nowego Wodza Naczelnego, który jednak dopiero musiał przyjechać z Syrii. Właśnie te krytyczne pięć dni! Nowy Wódz Naczelny jeszcze nie przyjechał, poprzedni niby formalnie dowodził, ale tak naprawdę do niczego się nie wtrącał (tak, jak i przedtem, ale teraz mógł

przynajmniej udawać obrażonego), a w całym sztabie nie znalazł się ani jeden generał z inicjatywą.

Tymczasem Agnus, widząc, że wojna źle idzie i prawdopodobnie się przedłuży, przestał rzucać się na informacje, a nawet czytywać gazety, przynajmniej do czasu aż Niemcy nie zaczną dostawać w skórę. Nadal nikt z Polaków nie wierzył w zwycięstwo Hitlera. Nikt nie chciał wierzyć, nawet brać pod uwagę takiej możliwości. Nie mógł on zwyciężyć. Gdyby tak się stało, to świat przestałby istnieć. W każdym razie, w przekonaniu Angusa i właściwie wszystkich, z którymi rozmawiał, dla nich, bo na tym świecie nie byłoby miejsca dla Polaków. Hitler traktował dosłownie „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy” i konsekwentnie, nie pozostawiłby żywych Polaków, a wobec tego dalszy ciąg przestałby ich interesować. A więc należało odczekać, aż nadejdzie wielki dzień - w końcu musiał nadejść - a do tego czasu najlepiej zająć się innymi sprawami.

Wobec tego Agnus postanowił skupić się na swojej prywatnej wojnie z szatanem. Doświadczenia nauczyło go już, że nie można spodziewać się łatwego sukcesu, ale jeszcze nie stracił nadziei. Ostatecznie nie mógł przecież na zawsze pozostać w szponach śmiertelnego grzechu. Podobnie jak jego rodacy w tej wojnie, nie miał wyboru, mógł tylko zwyciężyć lub zginąć. Teraz nadszedł czas, musi natężyć całą siłę woli i przewyciężyć się, już i tak zbyt długo zawodził, nie potrafił się zmobilizować, ulegał diabłu. Gdyby był choć w części taki, jakim chciał być w swoich marzeniach, nigdy nie załamywałby się tak żałośnie po każdej próbie poprawy i nie grzązł coraz głębiej w bagnie nieprawości.

Mobilizował się więc z całych sił, zadbał o mocne postanowienie poprawy, stan łaski, pomoc Pana Boga, Jezusa i Najświętszej Jego Matki, złożył nawet obietnice wielu Świętym. Teraz tylko naprzód, w imię wszystkiego co dobre i przeciw szatańskiemu złu. Gdyby zawiódł, znaczyłoby że nie jest i nigdy nie zostanie prawdziwym człowiekiem, że na zawsze pozostanie wyrzutkiem, czymś czym trzeba się brzydzić i pogardzać.

Oczywiście, przy takim naprężeniu psychicznym nie miał najmniejszych szans odniesienia sukcesu, to była prawdziwa obsesja. Zbyt mocno się starał, za bardzo wysiłał, to musiało prowadzić do klęski i najgłębszego załamania w życiu. W gruncie rzeczy świat Angusa był bardzo prosty, nawet prymitywny, wszystko dzieliło się na białe i czarne, bez pośrednich odcieni i ten obraz traktował on bardzo zasadniczo i absolutnie serio. Podobnie jak i w innych dziedzinach, nie było tu miejsca na żadne wątpliwości. W końcu był jeszcze dzieckiem, a obraz świata zbudował sobie z teorii i na zasadzie dedukcji. Wszystko wynikało logicznie z najwyższych, jedynie słusznych zasad.

Obecnie podjął postanowienie, którego po prostu nie był w stanie wykonać, podobnie jak nie byłby na przykład w stanie siłą woli zatrzymać innych fizjologicznych funkcji organizmu. Być może, że uprzednio wymusił zbyt wcześnie rozpoczęcie tych właśnie funkcji przez zabawy na sobie, ale to nie takie pewne, rósł i rozwijał się szybko. W każdym razie obecnie produkcja spermy nie tylko się już zaczęła, ale na wiosnę, pod wpływem światła i ciepła wzmagała się w sposób naturalny. Może, proces dojrzewania przeciągnąłby się z pół roku. Może też, gdyby nie utworzona już ścieżka dostępu w systemie nerwowym, zadziałałby inny mechanizm, na przykład marzeń sennych i polucji we śnie. Obecnie jednak najgorsze było to, że nastawił się tak silnie przeciw, że po nieuniknionej klęsce, prowadziło to wprost do aberracji umysłowej.

Gdy okazało się, że najwyższy wysiłek, pełne napięcie wszystkich władz umysłu i woli też zawiodły, Angus absolutnie całą winę przypisał sobie i frustracja zaczęła przemieniać się w autoagresję. Zaczęło się od marzenia, żeby okupić swój grzech, zostać męczennikiem za wiarę, albo chociaż zginąć dla jakiegoś wielkiego celu, poświęcić życie za innych ludzi lub najlepiej za Ojczyznę, w ostatniej chwili jeszcze wzbudzić w sobie szczerą żal i zaraz potem umrzeć. Stopniowo jednak zaczął czuć coraz większe obrzydzenie dla siebie i uznał, że nie zasługuje na taką łaskę Bożą. Pragnął się sam ukarać i wybierał dla siebie najokrutniejsze tortury, o jakich kiedykolwiek czytał, lub nawet opuszczał te miejsca w książkach, ponieważ wtedy napępniały go niesmakiem i odrazą. Niespodziewanie dla samego siebie, stwierdził, że te jego agresywne marzenia obracają się również przeciw Violet, dlatego tylko, że mu się podobała i, mimo wszystko, nadal garnęła się do niego, stwarzała pokusy, chociaż nadal ze sobą nie rozmawiali (biedna dziewczyna, nie umiała wytrzymać bez tego, co stało się treścią jej życia i po prostu wędła bez jakiegokolwiek chłopaka, to oczywiście wcale nie musiał być Angus; ale innego nie było w zasięgu, chociaż więc nadal nie rozmawiali ze sobą i miała słuszne prawo czuć się obrażona, dawała znać, że jest gotowa przebaczyć).

W kolejnych marzeniach, nawracał również i ją, wyjaśniał jej otchłań upadku i grzechu, po czym oboje postanawiali to odpokutować, najpierw on ją pocieszał i podtrzymywał na duchu, gdy wspólnie karali jej ciało za to, że jest piękne i budzi grzeszne żądze. a potem z kolei on karał sam siebie, a ona podtrzymywała go na duchu i dodawała odwagi.

Jednym słowem wpadł w pułapkę pragnień sado - masochistycznych, znowu nie zdając sobie z tego sprawy. To pragnienie agresji tak się w nim nasiliło, że gdy kiedyś mieli coś przynieść z ogrodu, chyba chrust do kuchni i ona pochyliła się, żeby coś unieść, odsłaniając kształtny fragment tylnej części kolana, nagle uderzył ją różgą. Natychmiast zaczął

ją przeproszać i zapewniać, że stało się to przypadkiem, niechcący, że miał na celu osę czy też baka, a może chodziło o jakiś chwast rosnący w ogrodzie. W każdym razie Violet w to nie uwierzyła i chyba to co mówił było chaotyczne i nieprzekonywujące. A jednak nie poskarżyła się w domu, zachowała sprawę dla siebie i włożyła zaraz dłuższą sukienkę, tak, żeby czerwona pręga nie była widoczna. Angus był zaskoczony swoją nagłą, zupełnie nieplanowaną agresją, a jeszcze bardziej po paru dniach, kiedy znowu pod stołem, przy którym odrabiali lekcje, poczuł nogę Violet przylegającą do swojej.

To zdarzenie i własne zachowanie przestraszyło go. Jeszcze bardziej zaś gdy zauważył, że marzenia o pokucie niezmiennie prowadzą wprost do nowego grzechu. Wtedy poczuł, że nie ma już dla niego żadnej nadziei. To nawet nie chodziło o to, że musiał być na wieki potępiony. Ostatecznie należało mu się, odpowiadał za swoje winy i powinien zostać ukarany zarówno na ziemi, jak i w piekle, chociaż perspektywa pozostawania w piekle na zawsze była trochę przygnębiająca. Ale najbardziej bolało to, że nie potrafił dochować wierności swojemu Bogu i zdradził wszystko co szczerze kochał i w co wierzył. A jeżeli tak, to również bez żadnej wątpliwości nie potrafiłby, w godzinie próby dochować wierności Ojczyźnie i w ogóle nie jest godny za nią walczyć. Wszystkie dawne obawy o to czy nie jest czasem tylko marnym robakiem lub inna niższą formą życia, niestety zamieniły się w pewność. Zanieczyszczał tylko i plugawił świat, nie powinien zabierać na nim miejsca. Tą sprawę już raz rozważał i postanowił. Nie mógł pozwolić na to, żeby taki gad, płaz, czy inne obrzydlistwo plamiło ziemię, nie mógł też dopuścić, żeby pogardę, jaką sam dla siebie żywił, podzielili inni ludzie, a zwłaszcza, żeby jego bliscy dostrzegli, jaki jest naprawdę i wstydzili się za niego. Została tylko jedna droga wyjścia. Możliwie najszybsza autodestrukcja.

Lecz jak przyjmą jego samobójstwo rodzice? Matka wiele razy opowiadała, jakim okropnym przeżyciem i bólem było dla niej, gdy we wczesnym dzieciństwie umarł jego starszy brat. To było znacznie przed jego urodzeniem i nie chciała potem żyć, ale niespodziewanie w wieku, w którym to już się nie zdarza, Bóg dał jej jeszcze jedno dziecko i dlatego tak się nad nim trzęsie ze swoją nadopiekuńczością, bo gdyby po raz drugi utraciła syna, na pewno by tego nie przeżyła. Trzeba wymyślić jakiś sposób, przecież nie mógł, zwłaszcza rodzicom, powiedzieć całej prawdy o sobie.

Tylko ta jedna rzecz go obecnie zatrzymywała. Patrzył na otoczenie, jak na coś, co już wkrótce zostanie za nim, jakby miał gdzieś wyjechać. Tylko konkretnie, jak to zrobić? Nieszczęśliwy wypadek nie wchodził w rachubę, to nie ulżyłoby matce. Może tak rzucić się na jakiegoś Niemca i dać się zastrzelić? Ale, żeby być pewnym skutku, powinien przynajmniej mu czymś zagrozić, na przykład chociaż nożem. Jednak, znane jest

obwieszczenie władz okupacyjnych, że za każde zabójstwo Niemca, a nawet usiłowanie zginie 100 polskich zakładników. On wprawdzie nie chciał żyć, ale nie miał prawa narażać stu innych ludzi, którzy prawdopodobnie chcieli.

Tym bardziej, że nie były to puste groźby. Po okresie względnego spokoju, mniej więcej od 20 maja, gdy tylko na froncie zachodnim zarysował się wyraźny sukces wojsk niemieckich - w Polsce, czy raczej w Generalnej Gubernii, bo tak nazywała się część ziem polskich, nie włączona do Niemiec, rozpoczęła się masowa akcja tępienia Polaków. Wymierzona była specjalnie w polską inteligencję i wszystkich, którzy w rozumieniu władz niemieckich mogliby potencjalnie stać się autorytetem albo naturalnymi przywódcami przeciętnych ludzi. Mordowano szeroki wachlarz, od księży i nauczycieli, do byłych oficerów, nawet w stanie spoczynku, ludzi z wyższym wykształceniem, o ile podali te dane przy poprzednich rejestracjach, ale także np. przywódców związkowych i samorządowych, ludzi znacznych, znanych i otoczonych poważaniem, chociaż raczej nie bogatych, ci zwykle mieli szansę się wykupić, podobnie jak kiedyś w Wielkopolsce (Niemcy, jeżeli to możliwe, stali się jeszcze bardziej przekupni).

Ogółem w tzw. akcji AB, jak nazywała się oficjalnie pierwsza masowa fala terroru, zginęło ponad 50 tys. osób. Chociaż nie było takich pokazowych egzekucji, jak w Wielkopolsce i innych ziemiach wcielonych do Rzeszy, gdzie masowy terror rozpoczął się wcześniej, już w poprzednim roku, ukazywały się liczne ogłoszenia o wykonanych wyrokach śmierci. Szerzyły się też ponure wiadomości o znacznie szerszym zasięgu mordów, niż podany w ogłoszeniach. Oczywiście, wszystko to dotarło do publicznej wiadomości ze znacznym opóźnieniem już po zaplanowanej i wykonanej akcji.

Zarówno te, jak i coraz gorsze informacje z frontu słabo docierały do Angusa, gdyż od połowy czerwca i tak pożegnał się ze światem i teraz tylko oczekiwał na odpowiednią okazję. W tych ostatnich dniach udało mu się wreszcie wyłączyć się i na określony czas zapomnieć o wszystkich problemach, gdyż dotarł do książek. W pobliżu miejsca, gdzie Piaski łączyły się z szosą, ok. 200 m. pod kątem mieszkał starszy pan, były nauczyciel i jednocześnie działacz samorządowy i społeczny, na szczęście na tyle mniej znany, że akcja AB do niego nie dotarła. Pan Grankowski od kilkudziesięciu lat zbierał książki i zgromadził pokaźną bibliotekę. Obecnie, gdy biblioteki publiczne były zamknięte, a zbiory książek przeważnie już zniszczone przez okupantów, udostępnił on swoją bibliotekę okolicznym czytelnikom. Ustalił nawet godziny i zapisywał książki do kart bibliotecznycy, wszystko jak w prawdziwych bibliotekach, chociaż ta prowadzona była całkowicie bezinteresownie. Pierwszy dowiedział się o tym ojciec, po czym i on i Angus zaraz skorzystali z okazji. Upalne dni i ciepłe



wieczory, z wyjątkiem godzin lekcji (tych przybyło, gdyż obecnie ojciec zwiększył tempo i zwykle dodawał dwie godziny po obiedzie), Angus spędzał teraz zwykle w pokoju na górze, z książką w ręku, leżąc na sienniku. Nie brał do ręki żadnej poważnej książki, nie było już warto. Przeważnie czytał nowy dla siebie i raczej kiepski rodzaj powieści, jakieś bzdury o szarych i czerwonych eminencjach, tajemnych przejściach i lochach, ucieczkach i pościgach. Krótko mówiąc tzw. sieczkę, która jednak pozwalała mu całkowicie odłączyć się od rzeczywistości i nie myśleć.

Koniec świata nadszedł nagle i niespodziewanie. Dwudziestego któregoś (chyba było to dwudziestego czwartego?) czerwca, przez szeroko otwarte okna, wtargnął dźwięk dzwonów kościelnych z miasta, do których stopniowo dołączały się dalsze echa z za horyzontu. Mieszkańcy wyszli na dwór żeby nasłuchiwać ale nikt nie wiedział co to znaczy. Po jakimś czasie rozeszła się wiadomość: to wojna się skończyła, Niemcy zwyciężyli, Francja już podpisała kapitulację i poprosiła o pokój.

To nie mogła być prawda. Przenigdy!

\* \* \*

Jednak następne dni, nie pozostawiły żadnych wątpliwości. Gazety przynosiły ciągle nowe opisy, jakie to upokorzenia musieli przełknąć Francuzi prosząc o pokój, jak ich żołnierze rzucali broń i na kolanach błagali o życie, a potem jak wdzięczni byli Niemcom za dobre traktowanie. Jeńców poczęstowano papierosami!

Hitler od początku deklarował zamiar zmycia tego, co uważał za hańbę - zawieszenia broni z 1918 i Traktatu Wersalskiego. Teraz osiągnął cel, mógł upokorzyć Francję i nie żałował sobie. Rozkazał nawet wyciągnąć z muzeum wagon Foche'a z Compiègne i tam stawić się francuskim wysłannikom traktując ich nawet nie jak psy, a jak niższe formy życia, nie mające prawa się odezwać i nie godne usłyszeć głosu wielkiego wodza. Dalszą zemstę chwilowo odłożył na później gdyż teraz potrzebował Francji do dalszego podboju świata.

Dla Polaków, była to chyba największa tragedia narodowa, gorsza nawet od przegranej kampanii w 1939 r. Nawet po utracie własnej ojczyzny, przygnębienie, ból i rozpacz nie były aż tak wielkie.

Dla jednych z nich, był to po prostu koniec wszelkich nadziei. W 1939 r. ulegli przewadze, ale jednak bili dzielnie do końca i starali wykonać swoje zadanie, jak można najlepiej. Z jakichś nieznanых powodów, udzielenie pomocy ze strony sprzymierzeńców nie było możliwe, nie wykonano ustalonych uprzednio planów i tylko dlatego, Niemcy odnieśli przejściowy sukces. Ale pozostał sprzymierzeniec, który chociaż spóźnił się z pomocą, ale za to miał czas dobrze się przygotować i powinien łatwo pobić już nieco osłabione Niemcy.

Tymczasem stała się rzecz straszna, niepojęta - murowany koń, na którego postawiono absolutnie całą fortunę i przyszłość, nie dobiegł do mety.

Dla drugich - i jeżeli ci pierwsi, rozumujący prymitywnie, może stanowili większość, to właśnie ci drudzy kształtowali i reprezentowali opinię publiczną, Francja była prawie drugą ojczyzną i siostrą Polski. Prawda, że ta wielka i irracjonalna miłość była nieodwzajemniana i że to tylko Francja odnosiła korzyści z działań Polaków, a oprócz paru przychylnych słów od czasu do czasu nie zrobiła nic wzajemnie dla nich.

Gdy Polska traciła niepodległość, w wojnach 1792 i zwłaszcza 1794, w sposób znaczący odciążała swą walką Rewolucję Francuską i, być może, uratowała ją w krytycznym momencie, dzielając jej ideały ale i ściągając na siebie wojska jej wrogów. Legiony i Polacy na emigracji dostąpili zaszczytu, pozwolono im bić się za Francję. Potem Napoleon, znalazł rezerwar żołnierzy absolutnie wiernych, choć może nie równie mądrych, którzy wytrwali przy nim do końca. W 1830 r. znowu, polskie powstanie przekreśliło interwencję Świętego Przymierza, gdy car Mikołaj rozpoczynał już koncentrację sił, które miały wkroczyć do Francji (i Belgii). Polacy nigdy nie otrzymali wzajemnie żadnego konkretnego poparcia, oprócz głosów sympatii wyrażanych prywatnie. Już w rok po powstaniu, które bądź co bądź uratowało skórę rządu, usłyszeli oficjalnie z ust rzecznika francuskiego, że „porządek panuje w Warszawie.” Ponieważ zaś działania Polaków przynosiły Francji korzyści bez wysiłku czy kosztów, więc pogłaskano ich czasem i mogli usłyszeć parę słów nieoficjalnej sympatii. Tylko tyle - ale potrzebowali chociaż tego. Francuzi byli jedynymi ludźmi na tym twardym świecie, którzy odnosili się do nich z pewną sympatią, interesowali się, czasem doradzali, choć nie zawsze najlepiej. Gdzie uciekinierzy z kraju, najliczniej w czasie Wielkiej Emigracji, ale także przedtem i potem, mogli znaleźć schronienie - o ile oczywiście mieli pieniądze.

No i ostatecznie - wprawdzie to postępową opinię światową, mądrze zdyskontowana przez Wilsona dla uzyskania szerszego poparcia politycznego przez dorzucenie dawki popularnych haseł do programu politycznego, przesądziła o odbudowie Polski. Jednak Francja poparła inicjatywę Wilson'a i zaangażowała się w realizację tym chętniej, że była to korzystna. Zyskała absolutnie pewnego i wiernego partnera do swego systemu asekuracyjnych sojuszy europejskich. Sojusznika, który faktycznie ściągnął na siebie pierwsze pioruny, w godzinie próby podłożył się pod lufę i zatrzymał własnym ciałem napastnika praktycznie przez cały rok 1939. O wiele lepsza inwestycja od Linii Maginota - i o ileż tańsza.

**Paryż i Gdańsk, kto miał za co umierać.**

Dopiero później dowiedzieli się Polacy, o szczególnie niesprawiedliwym, pokrętnym, nieuczciwym hasle wymyślonym przez propagandę hitlerowską, ale niestety przyjętym i powtarzonym przez wielu Francuzów - „Nie będziemy umierać za Gdańsk”. Jaki Gdańsk? Przecież gdyby Polska zgodziła się pozostać neutralną, zdradzając Francję, to Hitler w 1939 r. pozostawiłby ją w spokoju i o żadnym Gdańsku nie byłoby w ogóle mowy. Hitler miał apetyt na bogate kraje zachodnie, na Paryż i Londyn, a nie Gdańsk. Dopiero gdy Polacy odpowiedzieli, że nie przyjmują jego wspaniałomyślnych propozycji, będą bić się razem z Francuzami i za Francję umierać, Hitler wyciągnął Gdańsk jako pretekst, środek nacisku. Właściwie dość mało przekonywujący biorąc pod uwagę, że Gdańsk już przedtem de facto miał w ręku i formalna aproba Polski była mu niepotrzebna.]

W najbardziej miarodajnych, opiniodawczych środowiskach Polaków panowała ugruntowana wiara, trwałe przekonanie, że Francja jest tradycyjnym i wiecznym przyjacielem, a w trudnych okresach zastępczą ojczyzną. Prawie każdy Polak marzył, żeby chociaż raz w życiu móc zobaczyć Francję, a w tzw. wyższych sferach, większość miała osobiste związki z tym krajem, przyjaciół lub nawet krewnych.

Wreszcie pewna część Polaków, w ogóle uważała Francję za ojczyznę wszystkich ludzi wolnych, światło i nadzieję ludzkości, nadrzędną nawet w stosunku do lokalnych lojalności. Francja, w ich pojęciu, tworzyła postęp i kulturę dla całej ludzkości, bez niej na świecie zapanowałyby noc barbarzyństwa. To też przyjęli upadek Francji jako klęskę uniwersalnych wartości, podobnie jak upadek Grecji lub Rzymu. Koniec kultury w której żyli i początek nowych ciemnych wieków, albo jeszcze gorzej, nie daj Boże, Tysiącletniej Rzeszy Hitlera. To też dla nich to, co się stało, było szczególnie straszne.

„O zaprawdę, ponad światem

Zawisł czarny los, jak kruk, Skoro (parafrazując Ramajadę, zmieńmy na)...siostrę bohatera

Śmie bezcześcić jego wróg.”

\* \* \*

Pierwszą reakcją na potworne wieści było oszołomienie jak po uderzeniu obuchem w głowę. Kilka dni później, akurat w przeddzień ukończenia 12 lat. Agnus poprosił rodziców o rozmowę w ważnej sprawie, Zaproponował, jako najlepsze wyjście, zbiorowe samobójstwo.

- Przecież i tak nie będziemy mogli żyć na tym świecie, który pozostał. Nasz świat przestał istnieć. Jeżeli Niemcy zwyciężyły, to znaczy, że dla Polaków nie będzie już miejsca na ziemi. Po co mamy trwać w tej nędznej egzystencji, dać się poniewierać, niepotrzebnie cierpieć i w końcu i tak umierać z ich ręki w rozpacz i poniżeniu, wdeptani w ziemię.

Umrzeć razem, to nic strasznego, po prostu urządzimy sobie przyjemny dzień lub dwa, a potem zaśniemy i już się więcej nie obudzimy. Nikt nie będzie po nikim tęsknił ani rozpaczał. To najlepsze i najrozsądniejszej, co możemy zrobić, - argumentował Angus.

Rodzice wysłuchali go nad podziw spokojnie, nie wybuchali oburzeniem ani nawet nie przerywali. Spoglądali tylko co chwilę po sobie, ale Angus nie umiał odczytać tych spojrzeń. Chociaż podobne spojrzenia widywał już kiedyś, jeszcze jako dziecko, kiedy wypowiedział jakąś nieoczekiwaną, niekiedy także niespodziewanie trafną uwagę. Nie umiał się zorientować czy to aprobatą, czy coś wręcz przeciwnego.

Dość często zdarzało się Agnusowi jakby wyprzedzał ducha czasu. Teraz także, uprzedzając zaistniałe wypadki, podjął postanowienie o swojej śmierci już wcześniej i z innych, całkiem osobistych powodów, ale tendencja dla jego planów była pomyślna, wiatr wiał akurat w takim kierunku. Przez całą Polskę przeszła prawdziwa fala samobójstw. Popelniali je w dużej części ludzie ogólnie znani, szanowani, uważani za wzór i autorytet moralny. Także i w Ostrowcu, niektórzy przedstawiciele inteligencji, ludzie twórczy i ofiarni, wybrali teraz śmierć. Sprawa przede wszystkim dotyczyła inteligencji i młodzieży, faktycznie najmniej odpornych psychicznie i wrażliwych, ale nie tylko. W lasku po przeciwnej stronie ul, Piaski, znaleziono dwóch wisielców. Jednego z nich widział także i Agnus, był to miejscowy kościelny, o ile można użyć takiego określenia, gdzie na razie istnieje tylko kaplica. Nieszkodliwy pijaczek o raczej nietypowym nazwisku, Klemens, to też niektórzy mówili, że nie powiesił się on wcale z rozpacz po upadku Francji, ale z powodu nieporozumień domowych, podobno żona nie chciała już tolerować jego pijaństwa. To o nim dawniej, zanim jeszcze doszło do tragedii, opowiadano sobie w formie dowcipu, że kiedy ksiądz odwrócił się przy ołtarzu i zaintonował: „O, clemens, o, pius,“ żona upominała go potem: - widzisz, już nawet ksiądz się dowiedział.

Tego właśnie, pechowego pijaczka Agnus pobiegł oglądać gdy usłyszał o jego znalezieniu i szczerze mówiąc był to nieprzyjemny, wprost odrażający widok; a jeszcze bardziej z powodu gromady dzieciaków z ulicy, które przybiegły też obejrzeć zwłoki i stały wymieniając niewiarygodnie rzeczowe i cyniczne uwagi. Angusa prześladowała później myśl, że może zachodzi tu jakaś analogia i że może ten żaloszny wrak człowieka też tak naprawdę był ofiarą nałogu pijaństwa (o ileż mniej grzesznego), i również powiesił się wcale nie z powodów wypadków historycznych, ale wykorzystując okazje, tak samo, jak on to chce zrobić. Wspomnienie widoku też go prześladowało, miał tego absolutnie dość i nie poszedł oglądać drugiego trupa, który był podobno żołnierzem zawodowym, podoficerem, później dowiedziano się, że niedobitkiem z oddziału Hubala.

Angus postanowił, że cokolwiek by się stało, on wieszając się nie będzie. Obmyślił sobie inny rodzaj śmierci, mianowicie dawne przygotowanie z zakresu gazów bojowych, podsunęło mu myśl ogólną o zatruciach, przygotował dwie wersje, obie proste. Pierwsza to zaczadzenie, wprawdzie było obecnie raczej gorąco i w piecach się nie paliło, ale w kuchni ogień utrzymywany był cały czas i można było to zorganizować, zgromadzić dużo żaru, wytworzyć bogatą w czad mieszkankę i przymknąć komin. Można by też otruć się w inny sposób, wykluczając większość znanych trucizn. Aby wykluczyć cierpienia i mało estetyczny widok, decydował się na dodatek środków nasennych. Niewielką ilość tych środków dałoby się kupić, wprawdzie nie dość do otrucia się, ale mogły ułatwić zaczadzenie. Jeżeli uda się przekonać rodziców, to razem postarają się o trochę barbituranów. W rezerwie miał jeszcze inną możliwość, pewien łatwo dostępny środek, który, nie będąc silną trucizną sam w sobie, staje się nią, jeżeli w organizmie znajduje się też dawka alkoholu. Jak zapamiętał to Agnus, pod wpływem alkoholu jego toksyczność wzrasta ponad 50 razy. Mogłoby to ująć za wypadek.

Teraz chciał przedstawić szczegółowo te opracowane przez siebie plany, ale rozmowa jakoś utknęła. Słowa padały coraz rzadziej, rosły mu w gardle. Mimo, że rodzice nadal się nie odzywali, wyczuwał, że to co mówi jest odbierane bez entuzjazmu i stopniowo zamilkł, nastąpiło ciężkie milczenie i po chwili ojciec, uprzedzając matkę która też otwierała usta, zaproponował trochę odłożyć dalszą rozmowę, żeby mógł sobie ją przemyśleć. To co mówi Agnus to ważna decyzja i on prosi o parę dni na zastanowienie się.

Agnus był przygotowany do dyskusji i spodziewał się gwałtownej opozycji, miał w zanadrzu wiele argumentów na każdą ewentualność. Pewien swojej racji, był gotów przekonywać, wykazać słuszność swojej koncepcji. Taka odpowiedź go zaskoczyła, ale była racjonalna i oczywiście, nie mógł odmówić. Zgodził się więc, zaznaczając, że ma silne argumenty i chce je rozwinąć.

Zasadnicza rozmowa odbyła się następnego dnia po południu, na spacerze, tylko z ojcem. Poprzedniego dnia po południu, ojciec po raz pierwszy od przyjazdu wyszedł do miasta i wrócił z paczką książek, po czym nawet jej nie rozpakował.

Teraz, od chwili gdy koło krzyża na Piaskach skręcili w lewo w stronę kolonii, a potem znów w prawo do starego lasu, rozpoczęła się intensywna wymiana myśli. Ojciec był dla Angusa wielkim autorytetem. Rozczarowanie, jakie zwykle przeżywają chłopcy w wieku dojrzewania, kiedy stwierdzają, że w większości spraw mają inne zdanie niż rodzice i stają się silnie krytyczni, jeszcze się nie pojawiło. Tym nie mniej, ani w tym okresie ani w ogóle, ojciec nie usiłował przelać na Angusa swego doświadczenia uważając, że doświadczenia tak

na prawdę nie da się przekazać, każdy człowiek musi zdobyć własne i poczuć je na własnej skórze. Owszem, lubił udzielać rad i wskazówek, powołując się na przypadki własne i cudze, które widział. Ale w gruncie rzeczy nie oczekiwał skutku przekonany że i syn i inne osoby, zrobią i tak po swojemu, a dopiero potem będą tego żałować. Nie lubił też powtarzać - przecież ci mówiłem.-

Właściwie tylko dwa razy w życiu na serio usiłował przekazać synowi swoje życiowe doświadczenie, i tylko ten jeden raz mu się udało, a efekt był zarówno pozytywny jak i długotrwały. Teraz zajął pozycję rozsądnego kunktatora, który chce odczekać i odłożyć decyzję na dłużej, do wyjaśnienia sytuacji.

Wstępnie uznawał racje przedłożone przez syna, nie zaprzeczał im ani nie usiłował obalić wniosków, nie sprowadzał do absurdu ani nie zarzucał głupoty, wreszcie nie rzucał gromów i nie potępiał. W rzeczowy sposób, zgodził się że część rozumowania może być logiczna, ale nie znamy jeszcze wszystkich faktów i na decyzję jest zbyt wcześnie. Należy odczekać na dalszy rozwój wydarzeń. Mając zbyt mało danych nie należy podejmować ostatecznej decyzji, bo to najczęstsze źródło błędu. Chociaż sam był, aż przesadnie religijny, jednak dopiero na drugim miejscu postawił argument, że religia katolicka stanowczo zakazuje samobójstwa. Po prostu tych rzeczy nie można pogodzić.

Agnus na ten drugi argument był przygotowany i odpowiedział najpierw na niego. - Przecież ja nie chcę popełnić samobójstwa dla przyjemności ani dlatego, że znudziło mi się życie. Tym bardziej was bym na to nie namawiał. Po prostu jesteśmy w położeniu przymusowym, bez wyboru. Tak czy owak nie mamy żadnej szansy, musimy zginąć. Już w tej chwili praktycznie jakbyśmy nie żyli, tylko zamiast dawać satysfakcję i przyjemność Niemcom, a raczej ich zawodowym katom, uprzedzamy ich i umrzemy nieco wcześniej z własnej inicjatywy. Po co mamy oglądać okropności, które nastąpią i obrzydzać sobie świat i ludzi, umierać w poczuciu bezsilności, klęski i nieszczęścia. Tylko trochę przyspieszymy to, co i tak jest nieodwracalne. - Agnus uwzględniał, że ojciec znany jest z tego, że lubi odkładać trudne decyzje w nadziei, że sprawa sama się wyklaruje. Ponadto w tym wypadku, uwagi o niedostatecznej jeszcze ilości danych były słuszne, ale inaczej, niż zakładał ojciec. Nie zdawał on sobie sprawy, że syn ma dodatkowe powody, że on już przedtem nie chciał żyć, gdyż stanął przed niemożliwym dylematem i nie potrafił go rozwiązać, ani z nim pozostawać. Ale tego przecież nie mógł ojcu powiedzieć. Przeciwnie, chciał zakończyć sprawę jak najszybciej właśnie dlatego, żeby rodzice nigdy się nie dowiedzieli, jak nisko upadł ich syn. W jego pojęciu wszystko było już przesądzone, Agnus chciał tylko przygotować rodziców, zmniejszyć szok, jaki ich spotka.

Zapytał więc krótko, czy ojciec widzi jakąkolwiek szansę, żeby sytuacja mogła się zmienić, teraz, kiedy Niemcy zwyciężyli ostatecznie. Przecież Hitler nie krępował się dotąd, tym bardziej nie będzie dalej, on nie ma żadnych skrupułów i stosuje radykalne metody, a to co zrobił dotąd to tylko mały wstęp. Wkrótce po Polakach zostanie tylko wspomnienie, jak po Słowianach Zachodnich albo dawnych Prusach. Przecież Hitler właśnie stawia za wzór metody dawnego „Drang nach Osten”, wysławia i chce wrócić do historycznych, wypróbowanych metod, właśnie te ziemie skolonizować. Więc czy ojciec wyobraża sobie, żeby sytuacja po zwycięstwie Niemców mogła się zmienić - i niby jak?

- Tego akurat teraz nie wiem - odpowiedział ojciec, - nigdy ci nie opowiadałem, ale ja, na przykład byłem już w sytuacji, w której wydawało się, że nie pozostało żadne wyjście. Nawet i niedawno, a pamiętaj, że i przedtem, prawie do końca 1919 byłem w Rosji gdzie trwała powszechna rzeź, znacznie gorsza od wszystkiego co dotąd widziałeś i mam nadzieję, nigdy nie zobaczysz. Nie bez powodu, nie chciałem nigdy tego wspominać. Byłem skazany na śmierć, czekałem na wykonanie wyroku i nie tylko żegnałem się z życiem, ale tak, jak ty teraz, zastanawiałem się, czy warto czekać. Nie mówiąc już o tym, że parę razy stałem przed wylotem luf i byłem pewien, że za kilka sekund padnie strzał, a koło mnie przebijano ludzi bagnietami i też niczego lepszego się nie spodziewałem, albo ciągnięto mnie do rzeki i musiałem nieść kamień na szyję. Mimo to, widzisz że jestem tu i żyję.

Z tego wniosek, że nie można przewidzieć co się stanie. Nie jestem prorokiem i nie podejmuję się przepowiadać przyszłości, ale właśnie dlatego warto poczekać, ciekawe, co naprawdę się zdarzy. A pole dla fantazji zawsze jest, na początek mógłbym wymienić dwie możliwości. Jedna, wydaje mi się najbardziej prawdopodobna, że może uda nam się wyjechać, lub uciec - i potem emigrować. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat, wielu Polaków musiało uciekać i emigrować z Polski, duża część z nich nadal pozostała Polakami i gorącymi patriotami. I dawniej i teraz, w armii polskiej na zachodzie, było wielu ochotników emigrantów, którzy przyszli, by bić się za ojczyznę. Ty również możesz pozostać dobrym Polakiem, a jeżeli zechcesz, to przy najbliższej okazji będziesz mógł wrócić i bić się z Niemcami w następnej wojnie. Na pewno okazji nie zabraknie.

Jest druga możliwość, że nawet teraz w którymś momencie Hitlerowi podwinie się noga. Przecież to jest typowy hazardzista, im więcej wygrywa, tym więcej będzie ryzykował, nie potrafi zadowolić się tym, co zyskał. W pewnym momencie rozciągnie siły zbyt cienko, przekroczy własne możliwości i wtedy spotka go to, co zwykle takich ludzi. Myślę, że jest co najmniej 25% szansy, że to ty możesz się doczekać, aż on popełni samobójstwo.

Cokolwiek bym Ci teraz mówił to czyste spekulacje. Po prostu możliwości jest wiele i nikt nie potrafi tego przewidzieć. Chcę ci zrobić całkiem poważną propozycję.

Istnieje możliwość, że będziemy emigrować i nie wyobrażaj sobie, że to łatwe, niesłychanie trudno jest zaczepić się w nowym miejscu. To nie ładna przygoda, nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to ciężkie. Chcę ci przekazać tą umiejętność, dzięki której mnie zawsze udawało się utrzymać na fali nawet tam, gdzie inni szli na dno. Myślę o matematyce. Wiem, że ty miałeś dotąd dobre stopnie i w szkole sobie radziłeś. Ale szczerze ci powiem, że to jest prawie zero, a ja proponuję ci, że przekażę ci tyle, co sam umiem. W nowym życiu, w nowym świecie może ci się to bardzo przydać.

Uprzedzam, że to też nie łatwe, kto wie, czy wytrzymasz. Ciężka praca jakiej nie znasz. Miałeś dotąd łatwe i wygodne życie, a ja właśnie przeciwnie. Proponuję ci taką umowę: przez kilka miesięcy popracujemy razem na serio, nie dla zabawy, ale jak dorośli ludzie, dasz z siebie wszystko co potrafisz i poznasz zupełnie nowe doświadczenia. Z kolei ja, jeżeli to twoje przewidywania miałyby się sprawdzić, uznam twoje racje i bardzo poważnie rozważę twoje propozycje. Jeżeli rzeczywiście sytuacja tak się rozwinie, jak ty myślisz, jestem gotów poprzeć twoje propozycje i spróbuję wytłumaczyć je matce.

Więc co, decydujesz się trzymamy sztamę? W tym, co mówisz, może być coś racji, ale jeszcze nie wiadomo, jeszcze na dwoje babka wróżyła. Proponuję współpracę na zasadzie - coś za coś. Wypróbuj najpierw moją propozycję i drogę, która mnie wydaje się najbardziej obiecująca. Jeżeli ona zawiedzie, wypróbujemy twoją. Bardzo możliwe, że to ty masz rację, ale z twoim rozwiązaniem nie musimy się śpieszyć, mamy jeszcze czas. A gdybyśmy zaczęli od wypróbowania twojej propozycji, to potem nie moglibyśmy już zbadać mojej.-

Angus ponownie zaskoczony, takiej rozmowy się nie spodziewał. Raczej oczekiwał, że będzie upierał się przy swoim, zostanie surowo pouczony, przekonywany, może potępiony, oboje rodziców wystąpi przeciw niemu, będą usiłowali go zdecydowanie przekrzyczeć. Jedynym pozytywnym skutkiem może być to, że kiedy popełni samobójstwo, na które był całkowicie zdecydowany, bo przecież nic innego mu nie pozostało, przynajmniej będą trochę przygotowani, szok nie będzie taki ciężki.

Już sam ton wypowiedzi, dyskusja jak z równorzędnym partnerem bardzo mu pochlebily. Poczul się jak ktoś kto ma prawo do własnego zdania i z którym rozmawia się, jak równy z równym. A po drugie, nie mógł odmówić racji rozumowaniu ojca. Wreszcie, szczerze mówiąc różne możliwości go zainteresowały, pobudziły jego wyobraźnię, zawsze bardzo bujną. Momentami, wyobrażał już sobie, jak przemykają się przez granicę mimo wszelkich grożących im niebezpieczeństw, jak podróżują do Ameryki, rozumie się, że do



USA, - chociaż nie, wybrał w myślach Kanadę, nie tylko dlatego że to teraz sojusznik, ale tam zostałby drwalem, pracował w lasach. Jak wiadomo drwale są wielcy, co do wzrostu zapowiadał się bardzo dobrze - i strasznie silni. Wyrobiłby sobie taką właśnie siłę, a potem przy pierwszej okazji, gdziekolwiek zdarzyłaby się wojna z Niemcami, zgłosił się jako ochotnik. Może uda mu się pomóc pozostałym jeszcze Polakom odzyskać wolność, to byłby wspaniały cel, za który warto umierać.

Tak czy owak, mógł odłożyć swoje pierwotne zamiary na jakiś czas, poświęcić trochę czasu ojcu, którego autorytet uznawał i pod którego wpływem był i nadal chciał być. Mógł przynajmniej zobaczyć, co ojciec ma na myśli. Właściwie tak przedstawił sprawę, że nie mógł odpowiedzieć nie, czuł się zobowiązany zgodzić. A jeżeli nawet, za cenę kilku miesięcy zwłoki, najgorszy w tej chwili problem, jak przyjmą jego samobójstwo rodzice, sam się rozwiąże, to warto jeszcze jakiś czas się pomęczyć.

Porozumienie zostało zawarte.

\* \* \*

Okazało się, że książki, które przyniósł ojciec to podręczniki: arytmetyki do klasy siódmej oraz jeszcze jeden, starszy, zbiór zadań dodatkowych, jeszcze kilka różnych podręczników arytmetyki, wszystkie jakie się trafiły do szkół zawodowych i zbiory zadań do nich. Ojciec obszedł księgarnie, wybierając zapas podręczników, także i do geometrii, ale zwłaszcza obliczenia arytmetyczne. Do tego stosik zeszytów.

Zaczęli od tego, że oprócz dotychczasowych zajęć, Angus dostał drugą, mniej więcej taką samą porcję do liczenia po południu. Nadal chodzili razem na spacer, ale teraz wybierali jakieś miejsce w lesie lub na skraju, rozkładali przyniesiony koc i przez jakieś 3 - 4 godz., Angus liczył zadania, a ojciec nie wtrącał się, tylko sprawdzał, w międzyczasie czytając sobie książkę. Po paru dniach Angus uznał to za mało ciekawe, a bardzo niesprawiedliwe, a wtedy ojciec podwoił ilość zadań. Właściwie Angus już przedtem, na lekcjach domowych czuł się pokrzywdzony, bo nie tylko miał trudniejsze zadania, ale już wtedy ojciec wyznaczał mu dużo większe porcje, niż Violet. Teraz miał jeszcze drugą turę, a kiedy się poskarżył - ojciec ponownie podwoił obciążenie. Obecnie wyznaczał mu nawet do 15 stron zadań dziennie, to zbierało cały czas od rana do wieczora. Tyle, że ostatnie pół godziny, rzadko godzinę przed nocą mógł sobie trochę poczytać, żeby spokojnie zasnąć. Ale i tak nawet w nocy, śniły mu się rachunki.

W pierwszych dniach lipca, ojciec zakończył lekcje w domu, nadszedł czas normalnych ferii. Ale nie dla Angusa. Teraz, jeżeli pogoda dopisywała (a prawie cały czas tak właśnie było), szli razem do lasu i Angus bez przerwy liczył, a ojciec wciąż nie był

zadowolony i narzucał zwiększenie tempa. Klasa siódma nie była zasadniczo trudniejsza od szóstej, tyle że położono większy nacisk na szybsze metody obliczeń, prawie wciąż reguła trzech, nawet po kilka razy w jednym zadaniu, które stopniowo stawały się dłuższe i bardziej pracochłonne. W geometrii zaś, Angus po raz pierwszy spotkał się z wzorami literowymi, tyle, że nie były to jeszcze prawdziwe wzory i nie przekształcało się ich, tylko na miejsce liter wstawiało się odpowiednie wartości cyfrowe, aby otrzymać rozwiązanie. Były to jakby recepty na wykonanie obliczenia, proste algorytmy.

Kiedy tylko skończyli książkę do siódmej klasy, mimo, że było jeszcze kilka zbiorów zadań w rezerwie, ojciec ponownie obszedł księgarnie i kupił arytmetykę do klasy I gimnazjalnej i kilka nowych zbiorów zadań. Powoli Angus zaczął liczyć jak maszyna, a nie mieszcząc się mimo to nigdy w czasie, zaczął wiele obliczeń pośrednich wykonywać szybko w pamięci.

W tym czasie doszedł i szczęśliwie przeszedł przez stan jakby oszołomienia lub ogłupienia, pracując jak automat, tylko z krótkimi przerwami na jedzenie i potrzeby fizjologiczne nawet z tym i innymi czynnościami, np. z myciem, musiał się śpieszyć. Jedynie po obiedzie, ojciec zezwalał, a nawet zachęcał do krótkiego odpoczynku, ok. pół godziny, gdyż stwierdzał, że przez pewien czas po posiłku, wydajność i tak nagle spada. Stopniowo zrobił się to prawdziwy koszmar, świat zewnętrzny jakby przestał istnieć, Angus czuł się jak niewolnik przykuty do tacek i wciąż poganiany. Przywykł i do tego koszmaru, ogarniał teraz zadanie jednym rzutem oka, układał sobie plan i liczył coraz szybciej, coraz częściej przeskakując poszczególne fazy w pamięci. Poza tym, ani na chwilę nie przestając liczyć częścią umysłu potrafił jednocześnie zdobyć się na krótką refleksję lub myśl, coś jakby podział świadomości. Zdarzało się też, że odczuwał prawdziwą satysfakcję, jeżeli udało mu się zrobić jakieś eleganckie albo szybkie uproszczenie, lepiej niż zwykle uporać się z zadaniem. Ojciec też miał coraz więcej zajęcia, czasem nawet sprawdzał na papierze fragmenty, rozwiązane przez syna w pamięci. Miał teraz mało czasu na czytanie książek, ale mimo to stale naciskał na wzmożenie tempa. Angus dochodził i w porywach przekraczał 30 stron z książki, ale zajmowało to też tyle samo lub niewiele więcej w zeszytach, gęsto zagryzonym ołówkiem. Wykorzystywał tam każdy kawałek miejsca, a przy prostszych zadaniach, notował czasem od razu gotowy wynik. Ojciec nadal skrupulatnie sprawdzał każde zadanie, a przy bardziej skomplikowanych Angus musiał wyjaśnić jak je rozwiązał i jeżeli było kilka dróg, dlaczego wybrał właśnie tą (choć oczywiście, nie miało to wpływu na ostateczny wynik).

Ojciec z zasady żądał, żeby zapisany był przynajmniej sam wynik cząstkowych obliczeń, a także nie tolerował żadnej drobnej, nawet przypadkowej pomyłki, nawet tylko przestawienia cyfr. Błąd to był zawsze taki sam błąd, liczył się wyłącznie dobry rezultat, nie było żadnych usprawiedliwień czy okoliczności łagodzących.

W końcu sierpnia ciężiej już nie mogło być, bo teraz to ojciec często nie nadązał ze sprawdzaniem, miał równie zajęty czas jak Angus i poczytać też mógł krótko wieczorem. Robili już po 40 stron, coraz trudniejszych. Właściwie Angus nie miał już się czego nauczyć od ojca, w końcu młody umysł bardziej elastycznie dostosował się do obciążenia. Krótko mówiąc ojciec przekazał prawie wszystko co miał do przekazania, chociaż szalony wysiłek trwał jeszcze nadal.

Zadania z I kl. gimn. wymagały przemyślenia, ułożenia sobie planu, czasami okazywało się że pierwsza próba nie prowadzi do rozwiązania, ale np. kończy się na tożsamości, albo obliczenia nie tej wartości, o którą się pytano. Zwłaszcza zbiory zadań konkursowych stały się skomplikowane i węzlaste, jedna strona wymagała czasem więcej pracy, niż kilka dawniej. W końcu sierpnia dało się też odczuć wyraźne skrócenie dnia.

\* \* \*

Pierwszy dzień września 1940, rocznicę wybuchu wojny, Agnus spędził nie w lesie, ale samotnie (tzn. rano i przed południem) w jasnym, słonecznym i cichym, podłużnym pomieszczeniu, w którym stały cztery stoliki i piętnaście krzeseł, a pod ścianą naprzeciwko drzwi i wielkiego okna wystawowego, bufet i szafka za nim. Nie było nikogo i nikogo też się nie spodziewał, więc na jednym ze stolików rozłożone były książki i zeszyt, a zamiast ołówka, kałamarz i pióro. Dni wielkiego wysiłku minęły, ale wciąż jeszcze z rozpędu kilka godzin dziennie liczył. Pozostały mu do ukończenia fragmenty z podręcznika do I kl. gimn. oraz jeden czy dwa zbiory zadań konkursowych, naprawdę skomplikowanych i często z umyślnie myląco ułożonymi zadaniami. Bardziej łamigłówek niż zadania, w każdym masa danych, ale tylko niektóre potrzebne do prawidłowego rozwiązania, wiele obliczeń cząstkowych, które prowadziły do rezultatu tylko wtedy, jeżeli dobrze zrozumiało się pytanie i cały czas pamiętało o celu. Po przeczytaniu zadania, trzeba było ułożyć sobie plan jego rozwiązania, inaczej po przeprowadzeniu wielu obliczeń, można było znaleźć się w ślepych zaułku, albo też otrzymać rezultat prawdziwy, ale niepotrzebny. Cała gama możliwości i pułapek, od obliczenia jakiejś wielkości, która już była podana w tekście, stwierdzenia że jakaś liczba równa się samej sobie, aż do stwierdzenia, że zamiast godziny przybycia statku, otrzymuje się wagę jego ładunku, liczbę pracujących, albo nawet przysłowiowy wiek kapitana.

Jeszcze około miesiąca temu, gdy wraz z ojcem dokonywali szaleńczych, heroiczych wysiłków, bijąc wciąż nowe rekordy w liczeniu, matka działając samodzielnie, wynajęła i urządziła lokal, w którym teraz się znajdował. Stanowił on wyłącznie dekorację, wymagany dodatek do koncesji. Od lipca, matka rozwiązała spółkę ze Słodkami i przestała posługiwać się prowadzonym przez nich lokalem, a otworzyła własny. W tym samym czasie Moszek z rodziną musiał już ostatecznie przenieść się do getta, w żaden sposób i za żadną cenę nie dało się już przedłużyć tymczasowego zezwolenia na dalsze zamieszkiwanie na Piaskach. Ostatnia transakcja, którą zrobił, to skontaktowanie matki z odbiorcą alkoholu na lipiec - i na przyszłość. Odbiorcą tym okazała się pani Róźdzkarska, która prowadziła bardzo dobrze prosperującą restaurację przy szosie, naprzeciwko ul Piaski i także baraczku, w którym małżeństwo Słodkowie otworzyli piwiarnię. Pani Róźdzkarska miała wybitny talent do stwarzania dobrej atmosfery, a jej restauracja nadzwyczajne powodzenie i budziła zazdrość, zarówno Słodków jak i trzeciego właściciela podobnego lokalu pana Wasikowskiego. Trzy lokale blisko siebie, dwa zwykle puste, a trzeci pełny i wesoły, wprost pękał w szwach. U pani Róźdzkowskiej panowała jakaś taka atmosfera, że wszyscy walili do niej, jak do rodziny, zarówno miejscowi, jak i przejeżdżający szosą. Nie miała koncesji i oficjalnie nie prowadziła sprzedaży alkoholu, ale faktycznie spożycie było wysokie i w związku z tym zapotrzebowanie. Za pośrednictwem Moszka, matka została stałym dostawcą, cały kontyngent alkoholu zaraz w dniu zakupu wędrował do tej pani.

Natomiast lokal, w którym obecnie znajdował się Angus, położony przy ul Wspólnej, równoległej do szosy i odległej niecały kilometr na północ, przez cały sierpień był zamknięty, a od początku września, w szafkach i na bufecie ustawiono kilka paczek landrynek i butelek lemoniady. Na wypadek, gdyby pojawił się jakiś klient i chciał kupić wódkę, należało odpowiadać, że albo zapas właśnie się skończył, albo nowa dostawa jeszcze nie nadeszła. Ale klienci nie przychodzili, w każdym razie Angus nie widział dotąd żadnego. Agnus przychodził ok. godziny 9 rano trzymać fort, którego nikt nie oblegał, do popołudnia. Po obiedzie przychodził ojciec i sprawdzał zadania, teraz to on raczej nie nadązał i miał zaległości, syn liczył szybciej od ojca. Zaś ojciec stopniowo tracił entuzjazm, liczyli tyle, żeby nie wyjść z wprawy, bez przemęczania się. Najlepszy dowód, że zapas książek się skończył, a ojciec nie poszedł na poszukiwanie nowych. Owszem dokupił nieco książek z 7 klasy, ale raczej ciekawych do czytania, jak biologia, geografia itp. Niektóre były wprost świetne, właściwie siódma klasa była przeznaczona tylko dla tych uczniów, którzy na niej kończyli naukę, nie szli do gimnazjum lub do innych szkół. Dlatego program opracowano tak, żeby stworzyć okazję i dać posmakować samodzielnej pracy, poszerzyć horyzonty i

przynajmniej wskazać, jakie źródła informacji o świecie istnieją i gdzie ich szukać. W sumie, dać nie tyle światopogląd, co raczej ogólny szkielet różnych pojęć oraz potrzebnych w przyszłym samodzielnym życiu informacji, choć z konieczności bardzo skondensowanych.

Właściwie, matka chciała teraz też, po tak skutecznych działaniach ojca, nauczać czegoś syna, ale niestety to coś to miał być język niemiecki. Agnus jednak zaparł się kopytami, absolutnie nie chciał się zgodzić. Przypomniawszy że miał już z ojcem konkretną umowę, wywiązał się ze swojej części i może pora na drugą stronę. Dla Angusa, koncepcja nauki języka niemieckiego była wstrętna, jako wstęp do najczarniejszego scenariusza, Poza tym, nie widział żeby taka umiejętność mogła mu być kiedykolwiek przydatna, bo w przyszłości albo nie będzie tu Niemców, albo jego (bez względu, czy to znaczy w ogóle na świecie, czy też tylko części świata, jeżeli uda się zrealizować projekt emigracji).

Po bardzo burzliwej dyskusji, matka musiała zrezygnować, chociaż tłumaczyła, że umiejętność zrozumienia wrogów jest najbardziej potrzebna. Użyła też swego koronnego argumentu, że pszczołki nawet z trującego kwiatu potrafią zebrać dobry miód, a język niemiecki to nie tylko język hitlerowców, Niemcy stworzyli i wnieśli wiele wartości ogólnoludzkich. Angus nie negował tego, ale dla niego nauka języka niemieckiego teraz, miała okropny posmak i budziła skojarzenia, o których lepiej nawet nie myśleć.

Więc do obowiązków Angusa należało otwarcie lokalu i dyżur na wszelki wypadek. Miał trochę zajęć, ale i dość czasu dla siebie. To ojciec zaczął się opuszczać. Przyjdzie tu po południu i będą razem siedzieli do siódmej, zaczynając od sprawdzania zadań, ale zaległości gromadziły się i pewnie dzisiaj znowu urosną, bo po jakiejś godzinie lub dwu, przyjdzie pan Buczkowski grać w preferansa. Pan Buczkowski nie był klientem, lecz wyłącznie partnerem do kart, a poza tym emerytowanym urzędnikiem państwowym i doktorem praw Uniwersytetu Krakowskiego. Matka wprawdzie niezbyt chętnie widziała „galicyjskiego doktora”, ale ojciec znalazł sobie odpowiednie towarzystwo i zwłaszcza partnera do kart, na grę w które coraz bardziej się przestawiał. Oczywiście grę wyłącznie dla satysfakcji, nigdy o pieniądze - tak, jak przed wojną. Najwyraźniej, ojciec ostatnio uległ głębokiej depresji, później niż Angusa, ale też go chwyciło. Dosłownie zdiadział i zmarniał, nawet przestał zwracać uwagę na wygląd, on przed wojną taki pedantyczny. Agnus zaczął martwić się o niego, czuł szczere współczucie i rozumiał go. Na razie nic nie zapowiadało opcji, o których ojciec wspominał, przeciwnie, przyszłość rysowała się coraz ciemniej. Gra w karty stanowiła zapewne wspomnienie relaksu i komfortu psychicznego z przed wojny, pozwalała mu wyłączyć się, zapomnieć.

Gdy rozmawiali po grze, pan Buczkowski nastrojony był pesymistycznie. Uważał, że Anglia nie ma szans pokonać Niemców, chociaż zapewne obroni przez pewien czas samą

wyspę. Anglicy będą się starali pokazać, że są w stanie się obronić po to, żeby zawrzeć pokój na dobrych warunkach. Możliwe też jest, że jak za czasów napoleońskich będą trzymać się nawet kilkanaście lat, ale nam, Polakom, to i tak nic nie pomoże, nie mamy na co liczyć. Ojciec właściwie nie miał na to co odpowiedzieć, chociaż z uporem powtarzał swoje, że nie można przewidzieć przyszłości, wszystko jest możliwe i jeszcze się zobaczy. Najwyraźniej nie chciał wchodzić w szczegóły i kończył, starając się wrócić do gry.

Angus był trzecim do preferansa, i o ile kiedyś bardzo lubił grać, uważał to też za zaszczyt, to teraz grał tylko ze względu na ojca. Grając ciągle w trójkę, wkrótce poznali się wzajemnie, nikt nie popełniał błędów i gra stała się automatyczna i nieciekawa. Jednak nie dla ojca, który analizował następnie każdą możliwość i każdą, najmniej prawdopodobną ewentualność. To było jedyne, o czym chciał rozmawiać, a poza tym dużo palił - zresztą pan Buczkowski nie wiele mniej. Po zamknięciu sklepu, gdy wracali z Agnusem do domu, ojciec ciągle rozmawiał tylko o kartach, wspominając każde rozdanie i układ. Z każdego innego tematu zbaczał.

Matka, przeciwnie, funkcjonowała bez zakłóceń i sprawnie. To, że nie odczuwali żadnych braków, było całkowicie jej zasługą, a jak wiadomo, łatwiej znieść nawet wielkie nieszczęścia z pieniędzmi, niż bez nich. Koncesja co miesiąc przynosiła stały i dobry dochód, chociaż wartość pieniądza spadała coraz szybciej. Istniały dwa systemy cen, urzędowy, utrzymywany sztucznie nakazami okupanta i najsurowszymi karami, ale w rzeczywistości całkowicie nierealny i drugi rynkowy, z którego korzystali absolutnie wszyscy, chociaż teoretycznie mogli za to być ukarani nawet śmiercią. Faktycznie, Niemcy nie egzekwowali tych przepisów, był to tylko wygodny pretekst do rabunku w majestacie prawa, każdy Niemiec mógł zabrać żywność każdemu Polakowi i zagrozić mu karą śmierci gdyby protestował, wręcz niby świadczył dobrodziejstwo, puszczając go wolno. Mimo przymusowych kontyngentów i stałych rabunków, ziemie polski pozostały wielkim producentem żywności i taki stan utrzymał się przez całą wojnę, była bieda i z tego powodu wielu odżywiało się kiepsko, ale samej żywności nigdy nie brakło, dopiero komuniści potrafili dokonać tego cudu, że Polska musiała sprowadzać żywność.

Agnus z rodzicami nie mieli w tym okresie kłopotów materialnych. Odczuwając z tego powodu wyrzuty sumienia, przypomniał matce jej obietnicę i dopilnował, żeby złożyła sporą ofiarę dla Komitetu opiekuńczego i zwłaszcza kuchni, z której korzystali, wartość otrzymaną wraz z odpowiednim naddatkiem. Matka uznała, że trzeba wynieść się od Misiorów i urządzić się na swoim, opłacony okres dobiegł końca. Wprawdzie gospodarz oraz jego żona zachowywali się cały czas poprawnie i chyba byliby skłonni umówić się na dłużej,

ale Agnus podzielał jej zdanie. Przecież to on wniósł pierwsze zadrażnienie, przez dumne i wybitnie nie dżentelmeńskie zachowanie wobec Violet. Po rozwiązaniu spółki, doszła jeszcze wrogość ze Słodkami; chociaż Misorowie usiłowali się w to nie mieszać, jednak to najbliższa rodzina.

Słodkowie zmienili swoje stanowisko, zgadzając się na równe udziały, ale teraz matka, która już załatwiła wszystkie formalności, usamodzielniała się i do niczego ich nie potrzebowała, nie chciała już o tym słyszeć. Stwierdziła wprost, że takich ludzi trzeba się wystrzegać, trzymać z daleka i nie mieć nic wspólnego, dlatego zmianę mieszkania. (Miała, niestety, makabrycznie dużo racji, w przyszłości to oni wydali i z pomocą gestapowców zamordowali Misiora.) Teraz, gdy Słodek próbował na siłę i wbrew jej woli, rozmówić się jeszcze w jej nowym lokalu na Wspólnej, zawołała tamtejszego gospodarza, właściciel domu, był także granatowym policjantem. Ten nie tylko wyrzucił nieproszonego gościa, ale i zagroził mu, że jeżeli jeszcze raz go tu zobaczy, albo jeżeli ta pani złoży skargę, to się z nim porachuje. Słodek próbował jeszcze raz zaczepiać matkę na drodze, ale zareagowała ostro, pierwsza zagroziła mu użyciem siły, a Słodek, w gruncie rzeczy tchórzliwy, wycofał się.

Pierwsze samodzielne mieszkanie, właściwie pokój z używalnością kuchni, wynajęła matka na ulicy Żeromskiego. Była to boczna uliczka, idąc od Piasków szosą w stronę miasta około 500 m., skręcało się w prawo (następna za ul Traugutta). Na sporej, zalesionej parceli stał niewielki, w nowoczesnym stylu, drewniany domek. Zamieszkiwał go samotnie, dosyć zabiedzony i opuszczony staruszek, bardzo potrzebujący pieniędzy. Pozostawił on sobie małą komórkę i kuchnię, a wynajął duży, pusty pokój. Opłata z początku była dość wysoka, stopniowo stawała się wobec ruchu cen bardziej umiarkowana, w każdym razie wystarczała mu na życie. Mieszkał z białym psem, bardzo głośnym szpicem. Ciąpek szybko się zaprzyjaźnił z Angusem. Oprócz tego trzymał jeszcze, nie wiadomo po co, bardzo mizerną i słabą kobyłkę, która nie była w stanie uciągnąć nawet lekkiego wozu, sama ledwie chodziła. Albo miał dobre serce dla zwierząt, albo zdziwaczał na starość, a zapewne i jedno i drugie.

Jak już wspomniano, dla Angusa i rodziców był to czas względnego dobrobytu. Mimo to, można zaryzykować określenie, degeneracja sił fizycznych i umysłowych ojca postępowała szybko. Właściwie przestał się on czymkolwiek interesować, nawet mało się odzywał, zjadał co mu podsunęła matka, po czym starał się tylko zorganizować partię w karty. Po kilku dniach, pan Buczkowski przychodził codziennie od rana i potem po obiedzie, jeżeli go zabrakło, ojciec grał z samym Angusem i tzw. dziadkiem, a jeżeli to też było niemożliwe, to sam układał pasjansa. Praktycznie nie wypuszczał kart z ręki od rana do wieczora. Matka też nie mogła nic poradzić, natomiast Angus, w silnym poczuciu

współczucia i jedności, starał się jak mógł żeby być na podporządku i grał chociaż zdecydowanie przestał lubić to, co dotąd uwielbiał.

Wiadomości o sytuacji wojennej ograniczały się do wzmianek o wielkich bombardowaniach Anglii, godzinowe gazety oczywiście twierdziły, że Niemcy odnoszą wielkie sukcesy. Gazetek podziemnych Angus wtedy nie widywał, ale oczywiście docierały pogłoski o wielkich stratach Niemców i o tym, że polscy piloci biorą udział w walce i należą do najlepszych. Jednak sytuację oceniano pesymistycznie, zakładając że są to ostatnie przygotowania do inwazji na Anglię, albo też że Anglicy nie wytrzymają tych nalotów i zawrą w końcu pokój. Po dotychczasowych doświadczeniach, mało kto wierzył, że samotna Anglia wytrzyma. A przecież była to ostatnia, wąta nitka nadziei, w sytuacji, gdy przedtem pękły silne liny. Hitler pokonał przecież przeciwników, dysponujących wielokrotnie większymi i silniejszymi armiami.

### **Próba inwazji Anglii?**

Rozchodziły się wprawdzie i takie wieści, że Niemcy próbowali już inwazji i ponieśli wielką klęskę, Mówiono, że niemiecka flota inwazyjna załadowana wojskiem spłonęła, gdy Anglicy wylali na morze benzynę, naftę i inne paliwa i podpalili je. Dziwne, że te pogłoski rozpowszechniły się szeroko, nie tylko w Polsce. Powtarzano je w innych krajach, a nawet i w Anglii, a przecież nic nie wiadomo, żeby taki incydent zdarzył się gdziekolwiek, nawet w małej skali. W gazetkach podziemnych, ani w komunikatach radiowych (posiadanie radia karane było tak jak posiadanie broni, albo gazetek, karą śmierci) też nigdy nie zamieszczono takiej wiadomości. Angus był zdziwiony, gdy już po wojnie rozmawiał z ludźmi, którzy w tym okresie byli w Anglii, albo Francji i Norwegii. Wszędzie słyszeli tę samą pogłoskę. Nigdy nie znalazł żadnego wyjaśnienia.]

Przeprowadzka na nowe mieszkanie mimo wszystko rozproszyła trochę ten ponury nastrój. Dużo zajęcia, ale nie z przenosinami, właściwie wszystko trzeba było kupić, bo nie mieli niczego. Przecież przyjechali tylko z tym, co mieli na sobie, praktycznie bez bagażu, gdyż z domu prawie nic nie pozwolono im zabrać. Ojciec jeszcze gorzej, nawet odzienie trzeba było wyrzucić. Upřednio zamieszkiwali w umeblowanym pokoju, teraz wynajęli pusty. Zaczęli od stolika, paru krzeseł i trzech własnoręcznie wypchanych sienników, które położyli na ziemi. Kuchnia, którą mieli prawo używać, była w takim stanie, że matka po obejrzeniu z niej zrezygnowała, gospodarz nie grzeszył czystością. Na szczęście, na sąsiedniej ulicy, im. Traugutta, pani Godniewska prowadziła posiłki domowe. Matka niezwłocznie wykupiła miesięczny abonament na obiady i później go ponawiała.



Dom pp. Godniowskich, zbudowany i urządzony z wyjątkowym smakiem, był własnością oficera Wojska Polskiego, podpułkownika znajdującego się obecnie w obozie jenieckim, oraz dziełnej żony. która radziła sobie obecnie, jak mogła. Cała ulica Traugutta zamieszkała była przez wojskowych, przy końcu stał dom, w którym mieszkała ta pani, którą Agnus spotkał na początku roku w tak niefortunych okolicznościach. Starał się więc omijać to miejsce z daleka.

Początkowo rodzice z Angusem chodzili razem na obiady, potem ojciec zaczął zapadać w coraz gorszy nastrój i nie chciał nigdzie iść, wolał układać pasjansa. Matka także coraz częściej zostawała w domu i sam Agnus przynosił obiady w menażkach. Nie czuł się dobrze, siadając do stołu sam, więc zaczął zabierać i swój obiad, a właściwie żałował tego, bo i dom i ludzie bardzo mu się podobali, wręcz imponowali. Z drugiej jednak strony miał silne zahamowania, bo dręczyła go myśl, że może opowieść o fatalnym nieporozumieniu z tą panią na początku roku dotarła i tutaj i wszyscy przypatrują mu się podejrzliwie. Prawdziwy pech, bo tam i teraz mógłby znaleźć gorąco patriotyczne środowisko, którego szukał. Niestety, zaczął od złego końca i sprawa się ryła. Chociaż czy nadawałby się do czego, to inna sprawa, miał duże wątpliwości.

Małym osobistym sukcesem Angusa, który przywrócił mu trochę wiary w siebie, stała się sprawa kupna łóżek. Pilne stało się załatwienie wielu spraw na raz, Agnus podjął się wyszukania stolarza, mimo, że rodzice wąpili w jego umiejętności. Trafił najpierw w miejsce, gdzie niedawno mieszkał stolarz Żyd, który jednak musiał przeprowadzić się do getta. Angus ruszył tym tropem, w tym czasie wstęp do getta był dozwolony w godzinach dziennych. Odnalazł stolarza, ale na początku spotkał się z niedowierzaniem. Młody chłopiec, czego on naprawdę chce, czy może złożyć zamówienie?

W końcu udało mu się przekonać stolarza, brodatego Żyda, który ze swoimi narzędziami wyglądał tak łudzaco podobny do świętego Józefa z obrazu, wiszącego kiedyś w Poznaniu nad łóżkiem, że Angus aż się uszczypnął. Uwiarygodnił sprawę niewielki zadatek, trzeba było zaraz od tego zaczynać. Potem, występując już jako pracodawca, asystował przy wypisywaniu przepustki dla rzemieślnika z pomocnikiem, nawet nie wiedząc dokładnie, w jakiej instytucji był, coś podpisał, choć znowu patrzono na niego z niejakim powątpiewaniem. W końcu wszystko załatwił samodzielnie i przyprowadził stolarza do domu, a ten szybko i dobrze wykonał dwa proste łóżka, drewniane, prowizorycznie pomalowane na brązowo. Następnie jeszcze kilka najpotrzebniejszych mebli, które służyły dobrze do końca wojny, a część znacznie dłużej. Rodzice byli tak zadowoleni, że ponownie ściągnęli tego samego majstra, gdy w maju przyszłego roku przeprowadzali się na inne mieszkanie.

Natomiast ojca, z stanu apatii i abnegacji wyprowadziła i przywróciła do życia, akcja rąbania drzewa. Otóż pokój, który wynajęli, był nie opalany przez całą poprzednią, ciężką zimę. Mimo, że dom był drewniany, jednak przemarzył i zawilgocił się. Na ścianach i zwłaszcza w kątach widać było zacieki, na szczęście jeszcze żadnej pleśni, ale jeśli zakradnie się grzyb, to koniec. Trzeba było szybko pokój osuszyć, w lecie nie zrobiono tego, lub niewystarczająco. Poza tym, było już zimno i na pewno niezdrowo. Piec wyczyszczono i naprawiono, ale trzeba teraz zacząć w nim palić, i to intensywnie, żeby doprowadzić dom do możliwego stanu, zanim zacznie się zima. To była męska sprawa, ojciec zakupił wóz drzewa, potem drugi i trzeci i zabrał się do roboty. Angus pomagał wedle swoich możliwości, zwłaszcza przy piłowaniu, bo rąbanie szło mu z początku fatalnie i ojciec nie pozwalał, mówiąc że jak nic utnie sobie nogę, a mięso źle się pali, natomiast okropnie śmierdzi. Ojcu zaś rąbanie szło sprawnie i stopniowo poduczył także Angusa, a praca fizyczna i ruch na świeżym powietrzu, po prostu cudownie postawiły go na nogi. Brak wygód, proste prace domowe, nawet tylko przynoszenie wody i wynoszenie pomyj (co było obowiązkiem Angusa), może i jest trochę uciążliwe, jednak po dłuższym czasie ożywia, to składniki zdrowego sposobu życia. Trochę podobnie, jak z docenianym obecnie wyprowadzaniem psa z domu, jak wiadomo właściciele psów są zdrowsi i żyją dłużej.

Dla Angusa, rąbanie drzewa miało dodatkową atrakcję, gdyż spodziewał się, że przyda się w przyszłym zawodzie drwa w Kanadzie. Więc starał się pomagać ojcu. Układali porąbane drzewo w wysokie warstwy wzdłuż ścian. Palili też w piecu i to dwa razy dziennie i stale wietrzyli pokój, ale mimo to wilgoć się utrzymywała, zacieki nie chciały zniknąć.

Wreszcie ojciec kupił palone wapno i porozkładał w metalowych pudłach po pokoju. Po tygodniu, bryły wapna rozpadły się na proszek, który potem rozsypali w ogródku i między sosnami. Rodzice byli rozczarowani, bo wydawało się, że to nie daje żadnego efektu, wapno pozornie wcale nie zwilgotniało. W rzeczywistości, nie tylko pochłonęło wodę, ale i przywróciło zdrową atmosferę w pokoju.

Ale najbardziej, atmosferę psychiczną poprawiły dwa ważne wydarzenia: Przy końcu października stało się wyraźne, że pomimo opisywanych w gazetach, rzekomych zwycięstw w wojnie powietrznej, Niemcy nie zajmą Anglii. Na inwazję robiło się stanowczo zbyt późno. Drugą wiadomością, która dotarła z opóźnieniem, było pierwsze w tej wojnie zwycięstwo wojskowe.

Wyzwolenie Abisynii i zdobycie Adis-Abebbi mogło wydawać się wielu ludziom czymś odległym i bez większego znaczenia, ale nie Angusowi, który jeszcze w drugiej klasie ogromnie przejmował się wojną abisyńską, słał listy do Negus'a Negesti i doskonale pamiętał

oburzenie i gniew, kiedy barbarzyńcy z Europy napadli kraj prastarej cywilizacji, królowej Saby, państwa współczesnego Faraonom i potem legendarnego chrześcijańskiego króla Jana. Napadli? Mordowali, może i nieco zdziczałych (w naszym pojęciu) i podupadłych mieszkańców, którzy przecież bronili tylko swojej ziemi. Mordowali przy pomocy najbardziej niehumanitarnej, podstępnej i podlej broni, jaką dotąd człowiek zdołał wymyślić. To dlatego Agnus chodził z ojcem, oczywiście nieformalnie i prywatnie, na kurs obrony przeciwgazowej, po czym natychmiast, choć bez powodzenia zaoferował swoje usługi Armii Abisyńskiej. Niestety, oddziały gwardii cesarskiej, regularnie wyszkolone i uzbrojone, oraz ubrane w mundury typu angielskiego, ale bosa i między innymi także dlatego bardziej wrażliwe na działanie w terenie iperytu, nie doczekały się jego pomocy. Padli ofiarą pierwszego masowego ludobójstwa.

A poza tym, to wcale nie mały sukces wojskowy. Przecież Włosi, licząc się z możliwością zamknięcia kanału Suezkiego, rozbudowali jeszcze swoją armię (od ok. 300, razem ze służbami pomocniczymi do 500 tys. ludzi) i zgromadzili zapasy zaopatrzenia, potrzebne do długotrwałej walki w całkowitej izolacji. (Ten wysiłek sprawił, że reszta wojsk włoskich odczuwała chroniczne braki wyposażenia w dalszych kampaniach.) Prawda, że ta armia kolonialna siedziała jak na gorących węglach, we wrogim kraju i wciąż szarpana w małej wojnie, dzięki czemu Anglicy mogli przeprowadzić świetną, modelową operację małymi siłami, przystosowanymi do warunków nowoczesnej wojny, ruchliwymi i nasyconymi mnóstwem broni maszynowej. Ponadto, wielkie znaczenie miały dostawy broni dla miejscowej guerilli.

Największym efektem było psychologiczne przełamanie złej passy. Okazało się, że Anglicy naprawdę potrafią się bić - i mają zamiar to robić, także teraz.

Gazety oczywiście sławiły bohaterski odwrót wojsk włoskich do Adis-Abeby, jej późniejszą obronę itd. Z dość niejasnych i zawikłanych relacji i komunikatów, Agnus wywnioskował, że to musiało przypominać trochę kampanię w Polsce, też wyścig pieszych żołnierzy z motorami, ale całkiem inne proporcje ilościowe stron, tam jeden terenowy samochód z karabinem maszynowym zawieszonym na kardanie, ścigał setki piechurów, właściwie dość dziwna sytuacja. W końcu, po pewnym czasie, bohaterski garnizon Adis-Abeby wraz z przybyłymi zewsząd oddziałami, wyczerpawszy wszystkie możliwości walki oraz amunicję, ruszył do ostatniego desperackiego ataku na bagnety, który zakończył w obozach jenieckich.

\* \* \*

Gdzieś w tym okresie, pochmurnego i ciemnego ranka, Agnus otwierając rano lokal na Wspólnej, znalazł zatkniętą pod drzwi cienką ulotkę czy pisemko. Początkowo sądził, że to tajna gazetka (w tym czasie, rzadko widziało się podziemną prasę), więc rzucił się na nią skwapliwie. Ze zdziwieniem zobaczył, że pisemko ma datę z 1938 r. i było rzekomo wydane przez jakieś nieznane towarzystwo medyczne czy lekarskie, nie było jednak ani adresu, ani pełnej nazwy tego towarzystwa, wydawcy, ani autorów, właściwie anonimowe. Rzecz dotyczyła onanizmu. Broszura adresowana do rodziców, lecz zdaniem Angusa stanowiła dla nich nieodpowiednią lekturę, więc ukrył ją i przeczytał sam.

Zasadniczą tezę było, że dla młodzieży (mówiono tylko o synach), szkodliwy i nawet zgubny jest nie sam onanizm, ale prawdziwa psychoza, jak na ten temat się rozwinęła. Jedyna, zresztą dość kiepska ilustracja, to była twarz młodego człowieka wprost pokryta ciemnymi plamami i przy tym cytat z rozpowszechnionego i podobno typowego komentarza w rodzaju: „spójrzcie na tego młodego człowieka, na jego ołowiane spojrzenie, zapadłe oczy, głębokie cienie, niepewne ruchy, tępe i bezmyślne zachowanie... itd. itd. Zaraz odgadłem, co niszczy jego umysł...” Dalej opisy straszliwych konsekwencji, które miały rzekomo obejmować „uwięź rdzenia, trwale uszkodzenie mózgu, upośledzenie i debilizm” itd. Autor lub autorzy wyjaśniali, że rzeczywiście ogromne szkody wyrządza, jednak nie sam onanizm, ale właśnie ta psychoza strachu, przygnębienia i w końcu upokorzenia i desperacji. Agnus przeczytał, że w normalnych warunkach onanizm jest po prostu koniecznością dla młodego organizmu i że wprawdzie nie wszyscy, bo oczywiście występują różnice osobnicze, ale średnio około 90% chłopców przed rozpoczęciem życia płciowego, zaczyna od onanizmu. Naturalnie wszelkie nadmierne ekscesy mogą być szkodliwe, także przy normalnym życiu płciowym i właściwie każdej innej funkcji organizmu, nawet takich jak jedzenie albo uprawianie sportu. Ale zwyczajny, normalny onanizm na pewno nie powoduje żadnych szkód, nie mówiąc już o spustoszeniu. Natomiast obłudne straszenie i wpędzanie w stany neurotyczne i głębokie kompleksy naiwnych i łatwowiernych, początkujących adeptów tej czynności na pewno źle, a czasem fatalnie odbija się na ich zdrowiu i umyśle.

Pewnej części terminów medycznych Agnus nie rozumiał, ale to nie było konieczne. On akurat nie był straszony okropnymi konsekwencjami onanizmu, ani się tym nie przejmował, to sprawa drugorzędna. Najważniejszy był stan grzechu śmiertelnego i zdrada ideałów religijnych, oraz własna bezsilność i słabość. Na pewno nie do pogodzenia ze standardem silnego człowieka, bohatera jakim kiedyś, dawno temu, chciał zostać.

Dowiedział się jednak, że sprawa jest rozpowszechniona i nie jest wyjątkowo podłym gadem, wyrzutkiem, renegatem; kupą brudu na powierzchni ziemi, którą należy jak

najprędzej usunąć, aby świat stał się lepszy i piękniejszy. Nie był wyjątkiem, byli jeszcze inni, którzy też wpadli w tę szatańską pułapkę i było ich dużo, może nawet większość (nie wiedział, czy dane są wiarygodne, ale to już nie takie ważne, czy 90, czy może np. 75, albo tylko 65, lub nawet 55%). W każdym razie większość oznaczała że jest to może zjawisko złe, ale normalne, choć nie zmieniało faktu, że należało dołożyć starań, aby przejść do tej lepszej mniejszości. Trzeba starać się poprawić, ale może nie koniecznie zabijać się z tego powodu.

A więc motyw samobójstwa, przynajmniej z tego powodu, odpadł. Pozostała sytuacja kraju, ale skoro wojna jednak trwała, to i tutaj należało odczekać, może jednak ojciec miał rację. Zapewne powinien więc być wdzięczny ojcu, że, chociaż w tak ciężki sposób, pomógł mu jednak przetrwać kryzys. Bez tego, nie miałby okazji dokonać tej rekapitulacji.

Oczywiście, Agnus nadal pragnął i nie tylko, starał się wyzwolić z grzechu. Był nadal bardzo religijny, wzorując się w tym na ojcu, bo matka chociaż też wierząca i praktykująca (ale bez przesady), zastrzegła sobie prawo do własnego sądu w sprawach wiary i czasami nawet wyrażała wątpliwości, na przykład w sprawie dogmatu o nieomyślności Papieża. Jednak teraz traktował to inaczej, alternatywą nie musiała być samozagłada.

Agnus podejmował wciąż na nowo próby podniesienia się z grzechu i wytrwania we wstrzemięźliwości. Chociaż miał zamiar udać się do spowiedzi dopiero, kiedy mu się to uda, poszedł jednak do miasta, do innego, nieznanego księdza i przedstawił swoje wątpliwości, że nie jest w stanie obiecywać poprawy, ponieważ robił to już szereg razy i nigdy mu się nie udało, prawdopodobnie będzie tak i teraz. Trafił na bardziej ludzkiego księdza, który odpowiedział, że każdy człowiek ma swoje słabości, chodzi nie o to, żeby coś zagwarantować, ale żeby chcieć i nadal próbować. Więc Agnus próbował, wprawdzie nie osiągnął powodzenia, ale za to wiele przeżył.

Kultura chrześcijańska i europejska, nawet świętoszkowata moralność typu wiktoriańskiego, w rzeczywistości dodały wiele atrakcji przeżyciom seksualnym. Walka ze sobą, wstrzymywanie się aż do granic możliwości, uleganie dopiero w ostateczności bardzo zwiększa odczucie rozkoszy. Ludzie wychowani w innych tradycjach lub okresach kultury, zapewne nie zdają sobie sprawy ile stracili lub nigdy nie poznali. Bez względu na to, czy cnotliwy młodzieniec długo starający się postępować cnotliwie jest za to wynagradzany, czy też to szatan aby wreszcie pochwycić oporną duszę, podwyższa ofertę i gotów jest zapłacić więcej - w każdym razie różnica między tym, czego doznaje grzesznik po długiej walce ze sobą, a takim sobie, łatwym grzechem bez większych oporów, jest kolosalna.

Angusowi nieraz udało się wytrwać cały tydzień, a nawet i ponad dziesięć dni, potem jednak nadchodziły okresy takiej nadwrażliwości, że pokusy zapewne nie były mniejsze, niż u

świętego Antoniego. Z tą różnicą, że św. Antoni w końcu zwyciężał, a Agnus jednak nie. Starał się walczyć ze sobą, gdy dotknął ręką dręczącego go miejsca, cofał ją zaraz po poprawieniu położenia, ale po chwili musiał to powtórzyć, w końcu wchodził na drogę, z której nie było odwrotu, jeszcze próbował się cofnąć, aż wreszcie wykonał o jeden ruch za wiele. To zdarzało się nawet w drodze na ulicy, albo nawet przy stole nad książką, raz nawet przy stole przed posiłkiem, gdy czekał aż usiądą rodzice. Za każdym razem wrażenia wprost wstrząsające, co za szkoda, że nie dają się zachować w pamięci.

W każdym razie teraz Agnus nie wpadał w desperację i kompleks po fakcie. Nie załamywał się i nie onanizował taśmowo, tylko dlatego, że i tak wszystko stracone, należy się piekło i już wszystko jedno, czy za jeden raz, czy za dziesięć. Obecnie, kiedy napięcie stawało się zbyt silne to trudno, ale przynajmniej starał się nie grzeszyć, kiedy nie musiał. Okazało się, że to nie tylko sprawa moralności, ale i optymalizacji przyjemności.

Żeby już ostatecznie zamknąć ten temat, dodać trzeba, że chociaż Angus nie znalazł wtedy rozwiązania problemu, istnieje ono i właściwie okazało się dość proste. Odkrył to, właściwie przyszło samo w parę lat później. Mianowicie bardzo duży wysiłek fizyczny wygasza aktywność seksualną. Być może, gdy organizm jest w przymusowej sytuacji, produkcja hormonów przestawia się z płciowych na anaboliczne. Konieczność regeneracji tkanki mięśniowej dla utrzymania życia zyskuje przewagę nad funkcjami płciowymi. Ale oczywiście, mowa o wielkim wysiłku i pełnym zaangażowaniu, trochę ćwiczeń od czasu do czasu nie wystarcza.

\* \* \*

Rozpalanie ognia, palenie w piecach, to nie tylko zwykłe czynności dnia codziennego, ale i sprawa umiejętności i wiedzy. Ta ważna dziedzina, należała zwykle do zakresu obowiązków Angusa. Otóż żeby piece dobrze grzały, nie zależy tylko od właściwego obrządku, umiejętnego palenia, odpowiedniego otwierania i przymykania dostępu powietrza itd., ale także użytego paliwa. Odpowiednie drzewo powinno najpierw dobrze wyschnąć i przez kilka miesięcy podlegać sezonowaniu. Porąbane drzewo, bo w kłodach schnie wolno, układano w stosy i zostawiano na parę miesięcy, przykryte, ale w miejscach, zapewniających krążenie powietrza. Najlepiej robić to jeszcze latem, ale na to było już za późno. Obecnie znaczną część zakupionego drzewa pilowali z ojcem na odcinki po 30-40 cm długości i potem rąbali na polana, albo rąbali pniaki wprost z wozu, ponad metrowe, na długie szczapy i potem cięli jesiekierą. Robił to ojciec, a w miarę szkolenia również Agnus. Codziennie, jeżeli tylko dopisywała pogoda, rąbał i układał dalszy zapas. Otóż jeszcze w październiku i listopadzie, a

nawet w grudniu do rąbiącego dochodziło jakby dalekie echo, albo inny odgłos, jakby uderzeni z lasu na dole.

Dom w którym mieszkali, a przy ul Żeromskiego były tylko dwa, stał w lesie, zresztą poprzedni też. Ulica ta odchodziła od szosy w kierunku południowym, mając po jednej stronie młody las, a po drugiej wielki plac, a na nim, otoczony boiskami, obszerny trzypiętrowy budynek dawnego gimnazjum, obecnie zajęty przez żołnierzy niemieckich. Angus miał okazję oglądać wprost z wielkiego poczwórnego okna, oczywiście przysłoniętego firanką, drużyny lub plutony piechoty, ćwiczące na boisku z drugiej strony ulicy. Stanowiska tam służyły do rzutów granatem, małe, płytkie odcinki okopu, do których żołnierze starali się trafić, albo wyskakiwali szybko z okopu, gdy wpadł granat, czasem zaś starali się go złapać i odrzucić. - Ciekawe, czy mieliby dość ikry, żeby tak chwytac prawdziwy granat,- komentowała matka.

Ulica Żeromskiego, obniżając się stopniowo, od szosy dochodziła do drewnianego mostu na kanale, doprowadzającym wodę z rzeki do Zakładów Ostrowieckich, potem po dalszych paruset metrach przekraczała rzekę Kamienną i dalej biegła, jako droga, w stronę Szewnej. Dom, w którym obecnie mieszkali, drugi po prawej stronie, schowany był w lesie. Po obu stronach rosły młode sosny, za domem mały plac, za nim po lewej ręce drewniana szopka i stajnia, po prawej ubita ziemia i parę pieńków służących właśnie jako stanowisko do rąbania drzewa. Dalej parcela kończyła się stromym, prawie pionowym urwiskiem, około 3-3,5 m. w dół, gdzie też ciągnął się las, drzewa jeszcze dość młode, na oko 20-30 lat. Nie było żadnego ogrodzenia, tylko na samym skraju rósł rząd krzaków, obecnie nagie pręty bez liści.

Gdy Angus przerywał rąbanie i podchodził do skraju, słyszał odgłosy wyraźniej. Posunąwszy się jeszcze dalej w prawo, ujrzał prawie pod sobą wznoszącą się piłkę, a te odgłosy, to właśnie były uderzenia rękami w piłkę. Mógł też widzieć, w skrócie z góry, przysłonięte drzewami, sylwetki graczy. Od tej pory, szereg razy podchodził i przypatrywał się z góry, gra zaczęła go pociągać. Zwłaszcza, że gra była na dobrym poziomie, wyraźnie czuło się rytm piłki. Chociaż nie znał i nie oglądał dotąd siatkówki, ten rytm zaczął odczuwać nie tylko uchem, ale całym ciałem.

Nie miał wówczas pojęcia, że ci grający na dole chłopcy i dziewczyny, stanowili serce i mózg II Kompanii Ostrowieckiej Związku Walki Zbrojnej, a następnie wydzielonego Oddziału Dywersyjnego Armii Krajowej. Właściwie, serce biło tam często, a umysł pojawiał się od czasu do czasu.

Otóż wzmiankowana, sąsiednia ulica Traugutta, z początku równoległa do Żeromskiego, kończyła się drogą wśród lasu, która dalej skręcała i w końcu, przed mostem,

dochodziła do ul Żeromskiego, podczas gdy wydeptana ścieżka, a raczej szlak, odchodził w przeciwną stronę i wzdłuż kanału, kończyła się przy mostach na Romanowie. Droga leśna zagłębiała się we wąwóz lub kotlinkę, która pod domem, zamieszkiwanym przez Angusa rozszerzała się tworząc spory plac, obok drogi. Plac ten stał się boiskiem do siatkówki, wystarczyło wkopać dwa słupki i trochę wyrównać teren.

Czepiając się drzew i krzaków, Agnus zszedł po urwisku na dno kotlinki. Ewentualnie wygodniejsze, wcięte w piaszczysty stok zejście, znajdowało się kilkadziesiąt metrów w lewo za szopką. Agnus parę razy przyglądał się grze z pewnej odległości, bliżej chwilowo nie podchodził. Dawniej nie był nieśmiały i w takich warunkach skorzystałby z każdej okazji do zawarcia znajomości, ale ten rok odbił się fatalnie, stracił pewność siebie, stał się mizantropem i jeszcze wciąż, widział się bardziej niż krytycznie. To jeszcze za słabo powiedziane. Był na dnie i odpowiednio się czuł.

Zresztą, pogoda się pogorszyła i wkrótce potem zaczęła się już zima, minęła okazja do patrzenia na grę. Jednak kończył się też, prawie roczny okres, najgorszy w dotychczasowym życiu Angusa. Oczywiście w porównaniu do nieszczęść, które spadały na kraj i naród, nie mówiąc już o świecie, to zero bez znaczenia. Z drugiej strony, ten okres nędznej, niechcianej wegetacji, który właściwie zdołał przetrwać tylko dzięki oparciu, a właściwie przytrzymaniu siłą za kołnierz z zewnątrz, zredukował może i głupiego, naiwnego, wypchanego papierową teorią i gotowymi receptami zachowania, ale przedsiębiorczego i zawsze pełnego optymizmu chłopaka do kupki nieszczęścia, mokrej szmaty. Prawie poziomemu rośliny, która wprawdzie pozostała przy życiu, ale która prawie nie myślała i było jej wszystko jedno, biernie pozwalała się przesadzać i podlewać. Angus faktycznie przestał uważać się za człowieka, we własnym pojęciu żył w upodleniu, zrezygnował ze wszystkich planów - nawet w marzeniach, bo choć te powstawały w głowie niezależnie od jego woli, to traktował je w tym okresie jak bajki, których nigdy nie będzie w stanie zrealizować. Zrezygnował z każdej akcji, bo uważał, że jest najgorszym możliwym kandydatem, może tylko sprowadzić nieszczęście, w krytycznej sytuacji na pewno się załamie, zresztą załamany był już dawno, więc biorąc udział w jakiegokolwiek działalności, stanowiłby publiczne zagrożenie dla ludzi. To było absolutne dno i nawet w to dno był głęboko wdeptany, bardziej poniżony już nie mógł być, teraz już tylko mógł się podnosić. I rzeczywiście, nie zdając sobie jeszcze z tego sprawy, stał już u progu odkrycia nowego życia, nowego świata i nowych horyzontów, a pasmo kolejnych sukcesów miało wkrótce przywrócić mu równowagę i pewną część dawnej osobowości. Chociaż, faktycznie, nigdy nie odzyskał nawet połowy tej siły przekonań, wiary w siebie i energii, z jaką zaczynał ten rok.



\* \* \*

Jeszcze bardziej ciemnego i zimnego, bo już listopadowego poranka rodzice odbyli z Angusem rozmowę o dalszych planach. Samobójstwo stało się nieaktualne. Lecz oni zadecydowali, że syn powinien systematycznie uczyć się dalej. Ojciec nie podejmował się prowadzenia sprawy, stwierdził, że przerwa czasowa od jego nauki w gimnazjum jest już za duża i nawet programy się zmieniły, nie mówiąc o tym, co zapomniał, odchodząc od rzeczy, których nie używał i nie mających zastosowania. Korzystając z podręczników, mógłby gdyby musiał, ale ma wątpliwości co do wyniku. To nie jest sprawa samopoczucie, on z dołka już też wyszedł, ale lepiej rozwiązać to tak: wyszukali z matką bardzo dobrego korepetytora, zresztą to się zobaczy. Lekcje mogą rozpocząć się od dziś, trzy razy w tygodniu po dwie godziny. Potem pomyślimy, co dalej.

Po północnej stronie szosy, naprzeciw linii lasu ciągnącej się do ul. Żeromskiego i potem na wprost terenów Gimnazjum, a konkretnie między ul. Piaski i Pierackiego, ciągnął się rozległy, pusty obszar Błoń, przerwany tylko naprzeciw Gimnazjum równie wielkim, lecz bardziej nowoczesnym gmachem szkoły powszechnej, też zajętej przez Niemców. Zaraz przy szkole, w małym domku z czerwonej cegły, mieszkała rodzina wysiedlonych, której członkowie pracowali w niemieckiej kuchni, a przylegał doń nowy, piętrowy dom w dużym ogrodzie, otoczony wysokim parkanem, własność robotnika Zakładów Ostrowieckich.

W parę lat po Wielkim Kryzysie, rozpoczęła się w Polsce budowa tzw. COP-u, Centralnego Okręgu Przemysłowego. Miał on zapewnić produkcję uzbrojenia i wyposażenia obronnego kraju, a ponadto wszelkich materiałów i produktów strategicznych. Prawie się udało, zbudowano nowoczesne fabryki o wysokim poziomie technologicznym, ale nie zdążyły już one wyprodukować potrzebnej ilości doskonałej, nowoczesnej broni. Cała strefa budowy COP-u stała się obszarem prosperity, a robotnicy, zwłaszcza dobrzy fachowcy, cenieni byli na wagę złota. Tzw. arystokracja robotnicza, np. kwalifikowany kowal, frezer, pracownik obsługujący bardziej skomplikowaną obrabiarkę, nieraz osiągnęli zarobki większe od dyrektora pomniejszego zakładu lub średniej firmy, kilka razy więcej od przeciętnego urzędnika. Tysiąc zł miesięcznie wcale nie należało do rzadkości, a zdarzało się, że dobry fachowiec osiągał kilkakrotnie wyższą wypłatę, w porównaniu np. do nieco ponad trzystu zł pensji ojca Angusa, za które ta rodzina żyła wygodnie.

Wprawdzie Zakłady Ostrowieckie były fabryką nie nową, a przeciwnie, z długą tradycją, ale okres prosperity ich nie ominął, też się rozbudowywały, a pracownicy zarabiali dobrze. Tomasz Moranowski, kwalifikowany tokarz, zbudował ten dom, zabezpieczył sobie i rodzinie starość (a przynajmniej tak się spodziewał) i stać go też było na kształcenie

potomstwa. Syn studiował na Politechnice Lwowskiej i miał zostać inżynierem, ukończył dwa lata, a córka miała ostatni rok do matury, też chciała rozpocząć studia.

Jeszcze na początku roku, Angus i matka poznali mieszkających przy ulicy Piaski, panią Moranowską, wdowę ze synem trochę upośledzonym, o kilka lat starszym od Angusa, uczył się on muzyki i miał ambicję zostać organistą. To ona wspomniała matce Angusa, że jej krewny, student politechniki Jerzy Moranowski, jeszcze ucząc się w gimnazjum ostrowieckim był wybitnie uzdolnionym matematykiem i cenionym korepetytorem. Podjęła się porozmawiać z nim. Jerzy nie udzielał teraz lekcji, ale wyjątkowo zgodził się, zresztą za dobrą cenę. Wysoki wydatek wzburzył skrupuły Angusa, poznał ten sam mechanizm, co w wypadku prywatnej i drogiej szkoły w Poznaniu, ale rodzice przekonali go, że obecnie mogą sobie na to pozwolić, a poza tym to dobrze użyte pieniądze, jeżeli nawet miałyby zmarnować się w jego wypadku, to i tak trafią do rąk innego młodego, zdolnego człowieka, który na pewno dobrze je zużytkuje.

Następnego dnia, krótki, kilkuminutowy spacer doprowadził Angusa do wskazanego domu, wszedł po schodkach na wysoki parter i zadzwonił. Otworzył szczupły a długi blondyn w okularach, pierwsze wrażenie nie zbyt korzystne, wydało się Angusowi, że nowy guru trochę pozuje, albo od początku chce podkreślić swoją wyższość, albo jest z natury zarozumiały. Nie mieli podręcznika algebry, ani geometrii, a nauczyciel stwierdził też, że zupełnie nie pamięta programu, ale to jest czysta formalność, coś wymyślimy na poczekaniu. Woli uczyć matematyki w sposób naturalny, program i podręcznik mają drugorzędne znaczenie. Między algebrą i arytmetyką jest zasadnicza różnica i lepiej od razu odrzucić wszystkie poprzednie nawyki. w ogóle w matematyce potrzebne jest tylko właściwe widzenie problemu i umiejętność logicznego myślenia, cała reszta, a zwłaszcza uczenie się czegokolwiek na pamięć jest zbędne, a nawet szkodliwe, gdyż jeżeli się czegoś nie wie, można, a nawet należy użyć własnego rozumu i wyprowadzić to sobie samemu.

Jako pierwsze zadanie dostał Agnus dwa dowolnie podyktowane, wielomiany, długi i krótki i miał podzielić pierwszy przez drugi. W obu występowało tylko jedno oznaczenie literowe, w różnych potęgach. Agnus nie wiedział, jak się do tego zabrać, dotychczas nie wykonywał działań na literach, najwyżej we wzorach podstawiając je konkretnymi liczbami i potem wykonując rachunek. Wtedy mistrz uporządkował wielomiany według potęg i potem wykonał normalne dzielenie, jak w przypadku cyfr dziesiętnych, potęgi odpowiadały miejscom cyfr. Agnus zamrugał powiekami i nagle zaskoczył, był po prostu wstrząśnięty. Nagle, instynktownie zrozumiał i poczuł zachwyt. Oczywiście, dzielenie wypadło z dość złożoną resztą, nauczyciel podał z głowy dowolne wielomiany i to się nie uprościło na końcu

tak ładnie, jak bywa w podręcznikach. W każdym razie, zasada postępowania była jasna. Przy następnym zadaniu, nauczyciel najpierw pomnożył na swojej karteczce dwa wielomiany i dopiero potem, polecił wykonać dzielenie Angusowi, tu oczywiście wyszedł wynik bez reszty, ten wyjściowy wielomian.

Potem wyjaśnił pojęcie równości i równania oraz podał zasady postępowania z równaniem. To też było całkowicie logiczne i oczywiste, a wyjątkowo definicje należało zapamiętać dosłownie, chodziło o precyzję sformułowań. Było to konieczne dlatego, że tkwiła tu jednak pewna pułapka: działania z nieskończonością i oczywiście konsekwentnie dzielenie przez zero, mogą prowadzić do absurdu. To ograniczenie wydało się Angusowi nielogiczne, przyjął na razie wyjaśnienie, że takie działania tracą sens, ale po przemyśleniu doszedł do wniosku, że to pojęcie nieskończoności musi być nieprecyzyjnie podawane, najwyraźniej istnieje wiele nieskończoności różniących się między sobą, ponieważ nie potrafimy ich określić, stosujemy jedno zbiorowe pojęcie dla wielu różnych wartości, na takiej zasadzie, jak dzieci mówią „dużo” np. powyżej dziesięciu. Ktoś powinien przemyśleć tą sprawę do końca, być może odkryłby nową dziedzinę matematyki, działania na nieskończonościach. Szkoda, że nie miał teraz czasu, było tyle nowych pojęć i rzeczy, musiał się śpieszyć.

Te pierwsze doświadczenia przyjął jak objawienie, bardzo mu się podobały, a nauczyciel miał prawo być zarozumiały. Nowe i niespodziewane było także określenie wymagań w ten sposób: najważniejszy jest sposób działania, dobrze jest też uporządkować wszystko i zawsze sprowadzać do jak najprostszej postaci, natomiast można tylko dokonać przekształceń i znaczyć działania, doprowadzenie ich do końca, jeżeli zasada jest prawidłowa, jest najmniej ważne. Jako przykład podał, że Newton, jeden z największych geniuszy matematycznych, który wniósł „nieskończenie” wiele do jej rozwoju, nigdy nie zdołał zapamiętać tabliczki mnożenia i dlatego tak udoskonalił logarytmy, że jednak pewniej czuł się przy dodawaniu niż przy mnożeniu.

Ojciec wymagał od Angusa całkiem innych zasad: obliczenie musiało być precyzyjne od początku do samego końca, owszem, jeżeli potrafi wykonać jakąś fazę w pamięci, to przeskoki są dozwolone, jednak absolutnie nie toleruje się błędu, wszystko jedno gdzie i w jaki sposób powstał, wynik może być tylko albo dobry, albo zły, nie ma prawie dobrych obliczeń, kropka.

Tutaj ważne było prawidłowe rozumowanie, dobrze zastosowana zasada, a jeżeli popełniło się gdzieś drobny błąd, zwłaszcza w cyfrach, to zwykle przeoczenie, drobnostka bez

większego znaczenia. W zestawieniu z tym czego się dotąd uczuł była to prawdziwa herezja. Ale jaka piękna herezja! Wrócił do domu wstrząśnięty.

Już na następnej lekcji, Agnus miał okazję zrewanżować się swemu mistrzowi. Pierwszy raz, kiedy przy jakiejś okazji zaczął on wspominać Keplera i w ogóle próby zastosowania matematyki do praktycznych celów i konkretnych zamówień. chodziło o obliczenie pojemności beczek, co się nie powiodło, natomiast elementy tego rozumowania znalazły zastosowanie do obliczeń ruchu planet. Tutaj zaznaczył, że beczka stanowi bardzo trudną figurę i dotąd nie udało się obliczenie ich objętości. Na to, Agnus zaskoczył nauczyciela stwierdzeniem, że on zna wzór na pojemność beczek i natychmiast może go podać. To był przypadek, ale z tym wzorem akurat miał do czynienia w ostatnim zbiorze zadań arytmetycznych, zapamiętał go jeszcze, chociaż się o to nie starał, ani tym bardziej nie uczył na pamięć. Zresztą potem oczywiście go zapomniał, po paru latach, pamiętał jedynie, że rozpoczął się on:  $V = 4/15 \pi$  [..tu długi nawias i jeszcze jeden w środku...

Nie miał pojęcia, kto i kiedy doszedł do tego wzoru, guru dotąd o tym nie słyszał, miał wątpliwości, spróbował więc jak to będzie wyglądać w wypadku kuli i walca. W obu wypadkach, wzór prawidłowo się uprościł i dał sprowadzić do powszechnie przyjętej postaci. To oczywiście nie przesądzało jeszcze sprawy, że wzór był prawidłowy. Mógł stanowić tylko przybliżenie, dające prawidłowe wyniki tylko w krańcowych wypadkach, ale przynajmniej stało się prawdopodobne, że Agnus nie wymyślił sobie na poczekaniu czegoś, lecz wzór do tego celu rzeczywiście istnieje. Logicznie, należało go z kolei sprawdzić w wypadku elipsoidy (obrotowej) ale to już było bardziej skomplikowane, wymagało wyszukania danych, krótko mówiąc nie dało się zrobić zaraz i nauczyciel zanotował wzór i odłożył sprawdzenie na później.

Jeszcze tego samego dnia udało mu się po raz drugi zaskoczyć nauczyciela, kiedy przy końcu lekcji, jako dodatek do zadań, ten polecił mu w domu obliczyć sumę wszystkich liczb od 1 do 50. Agnus odpowiedział chwileczkę, chwileczkę, ale zamiast zanotować zadanie, po sekundzie odpowiedział: - to albo 1275, albo 1225.- - Więc ile?- Agnus nie miał najmniejszego pojęcia o postępach arytmetycznych, ale już w szkole, dawno temu zauważył, że pary cyfr po obu stronach linijki mają stale tą samą wartość, na przykład 1+20, 2+19, 3+18 itd. Więc teraz wyjaśniając, odpowiedział: jeżeli wliczamy też ostatnie 50, to jest 25 par liczb po 51, a jeżeli liczymy tylko do 50, to 24 po 50 + jedna samotna dwudziestka piątka.

Po drugiej lekcji, ojciec wyszukał jednak podręczniki do algebry i do geometrii do klasy II kl. gimn. Ojciec chyba był rozczarowany, że nie miał okazji nic wyjaśniać ani pokazywać czy pomagać, a poza tym wyraził życzenie, żeby Agnus jednak rozwiązywał

wszystkie zadania znajdujące się w książce, jeżeli nie będzie ich miał zadanych, to dodatkowo w osobnym zeszycie. To zresztą nie był żaden problem, w porównaniu z poprzednim okresem Agnus miał bardzo dużo czasu, a mało pracy. Nawet za mało, bo teraz sprawiała ona przyjemność. Naprawdę!

Nauka geometrii to całkiem inne, ale też niezwykle przeżycie. Rozumowanie i logika nie w formie wzorów, ale widoczna na rysunku. Wyrafinowana, dojrzała od wieków forma, teza, dowód i twierdzenie. Pojęcia abstrakcyjne. Rysunek nie jako rzeczywistość, ale jako graficzne przybliżenie, istniejącej tylko w mózgu rzeczywistości, czyli idei.

Trochę kłopotu sprawiało jednak to, że Angus zawsze rysował kiepsko, teraz musiał się starać, żeby jego figury wyglądały poprawnie. Przy okazji zaczął się starać, żeby poprawić trochę pismo, szczerze mówiąc gryzmoły. Osiągnął postęp, wielki, teraz prawie zawsze udawało mu się własne pismo odczytać.

Lekcje zaczęły się przedłużać i to stale, z inicjatywy uczącego: po opłaconym czasie, wykorzystanym zgodnie z przeznaczeniem i trzeba przyznać naprawdę intensywnie, Jerzy Moranowski wprowadził zwyczaj dłuższych, swobodnych rozmów, Zabierały mu od jednej do nawet paru godzin i to jego własnego, nie opłaconego czasu. Swoją drogą mógł sobie na to pozwolić, bo po pierwsze lekcje, na które zdecydował się z początku z wahaniem, były wysoko płatne, a po drugie tempo nauki i postępy piorunujące. Zanosilo się, że wyczerpią cały program drugiej klasy i skończą podręczniki, nie opuszczając ani jednego zadania i to mimo licznych dodatków i uzupełnień, które sam wprowadzał, starając się na każdą lekcję przygotować coś ekstra interesującego, aby uniknąć monotonii, w dwa do trzech miesięcy zamiast roku. Unikał jakichkolwiek pochwał, ale już po zakończeniu lekcji, powiedział do kilku osób, że jeszcze nie miał takiego ucznia, który łapał wszystko w lot i przychodziło mu tak łatwo i naturalnie, jakby kierowała nim jakaś dziwna intuicja. Zresztą Agnus sam zauważył, że rozwiązuje zadania z reguły szybciej od nauczyciela, ale ani teraz, ani później, bo sprawa powtarzała się, nie przywiązywał do tego żadnego znaczenia: on akurat był na tym etapie, a uczący go dawno miał to już za sobą, teraz zajmował się wyższymi lotami. No i szybkie liczenie w pamięci jednak się przydało.

Moranowski z tego powodu wprowadził wymaganie, może trochę odmienne od początkowych, że wszystkie przekształcenia i operacje mają być zapisywane kolejno, a nie po kilka naraz, dłuższy ale za to wyraźny i przejrzysty zapis. Potem jeszcze, że wzory mają być zapisane wyraźnymi, jak wyryte, liczbami i literami, bo gryzmoły mogą spowodować zniekształcenia i w konsekwencji prowadzić do pomyłek. Bardzo dobra zasada specjalnie dla Angusa, chociaż chodziło o to, żeby go trochę przyhamować.

Wreszcie, z tego samego powodu wprowadził zasadę, że szkoda czasu na sprawdzanie wszystkich zadań i wybierał losowo tylko pewną część. Zwłaszcza wobec nalegania ucznia, który za każdym razem prosił go o zadawanie więcej materiału do domu, więcej zadań. Agnus nie przekazał, że to ojciec wciąż powtarzał mu, że powinien rozwiązać każde zadanie w podręczniku. Obawiał się, że powtórzenie takich uwag, może zostać źle odebrane przez nauczyciela, mającego wysokie mniemanie o sobie (pierwsze wrażenie trafne), ale słusznie, bo był kompetentny i więcej, wybitny. Dlatego prosił o więcej zadań, uzasadniając, że sprawia mu to przyjemność, co też nie było kłamstwem.

Satysfakcja jeszcze większa, gdy nauczyciel, oprócz zadań z książki, dodatkowo przygotowywał kilka specjalnych przysmaków: wypisanych na karteczce, bardziej skomplikowanych problemów ogólnych. Zwykle z algebrą Agnus radził sobie bez trudu, natomiast zdarzały mu się pewne trudności przy problemach geometrycznych.

Poza tym, z reguły poszerzali na każdej lekcji program: np., przy rozwiązywaniu układów równań z kilkoma niewiadomymi, Moranowski wprowadził i przekazał Angusowi zasadę obliczania za pomocą wyznaczników, szybką, wygodną i uniwersalną, pozwalającą na rozwiązywanie układów z dowolną liczbą niewiadomych. Zachwycająca, istne jajko Kolumba.

Co do innych rodzyneków, dodawanych do placka lekcji, Agnus po paru latach, kiedy wpadła mu w ręce „Od tabliczki do różniczki”, stwierdził, że wiele wzięte było stąd. Tak np. elementy rachunku prawdopodobieństwa, wraz z silnią, permutacjami, wariacjami itd. i prosta różniczka wraz z graficznym jej przedstawieniem.

Jednak rozmowy i dyskusje już po zakończeniu lekcji, były jeszcze o co najmniej jeden poziom lepsze. Zaczęły się od niektórych działów matematyki i ich praktycznego zastosowania, bodaj z okazji osi liczbowej, co nie mogło się obyć bez wzmianki o liczbach urojonych. Bardzo szybko jednak rozmowy poszerzyły się, przenosząc najpierw na fizykę i zwłaszcza kosmogonię, co siłą rzeczy zaczęło też o astronomię, a także potraçało w ogóle o filozofię, nawet o religię. A potem, nie było już żadnych granic, absolutnie o wszystkim, nawet historię ludzi, ducha czasu, sprawy współczesne z ostatnich lat, słowem wszystko co się nasunęło bez żadnych wyjątków, nawet i teorię szachów.

[Akurat wtedy Agnus podłapał gdzieś stary rocznik Tygodnika Ilustrowanego z początku wieku i oczywiście czytał go od deski do deski, niczego nie pomijając. Na końcu, w kąciku szachowym, publikowane były najgłośniejsze partie, między in. Aljechina, Capablanki i innych ówczesnych mistrzów, wraz z krótką analizą. Agnus spróbował zapamiętać jedną partię i rozegrać ja z Moranowskim, ale okazało się, że partner przewyższa go tak znacznie,

że gra nie miała sensu. Nawet w swojej najlepszej formie życiowej, Agnus prawdopodobnie nie byłby godnym przeciwnikiem, także w przyszłych latach nie spotkał nigdy gracza na podobnym poziomie.]

Dzięki tym rozmowom, Agnus przynajmniej pobieżnie usłyszał o różnych sprawach, które przy jego wieku, nawet mimo odczytania były mu całkowicie nieznane. Często były wręcz nie do pojęcia, w każdym razie nie na podstawie tak zwanego zdrowego rozsądku i nie zgadzały się z dotychczasowymi informacjami. Mniejsza już o teorię względności, bo o tej wprawdzie słyszał i czytał, ale akurat tyle, żeby wiedzieć że jest ona dostępna tylko dla nielicznych. Żartem mówiono, że gdy zgromadzili się znawcy tematu, to nie potrafili nawet ustalić, ilu ludzi rozumie tą teorię, wielu - tu wymieniano w anegdotach różne wielkie nazwiska,- było zdania, że łącznie z Einsteinem, może dwie albo trzy osoby.

Koncepcja rozszerzającego się, względnie cyklicznie rozszerzającego i kurczącego wszechświata, i koncepcja wielkiego wybuchu, nie były jeszcze oczywiście tak daleko rozwinięte i podbudowane modelami matematycznymi, brak było danych o stanach materii, dlatego analiza nie tylko pierwszych paru sekund, ale minut i nawet godzin nie była w ogóle dyskutowana, nawet nie spekulowano na temat stanów i nie wyobrażano sobie rodzajów cząstek elementarnych, przynajmniej aż do czasu powstania plazmy. Ale i tak sprawa była dostatecznie sensacyjna.

Nie tak jednak, jak sprawa czarnych dziur. Koncepcja i model matematyczny są znacznie starsze, niż zwykle wyobraża sobie obecne pokolenie i to łącznie z koncepcją mini-dziur, aż do małych i konsekwentnie najmniejszych cząstek materii, które po osiągnięciu pewnej granicznej gęstości, teoretycznie znikają, przestają się objawiać, a więc być może i istnieć?

Jeszcze trudniej pogodzić się z konsekwencjami zasady nieoznaczoności Heisenberga, która w Angusie budziła sprzeciw i zupełnie nie trafiała mu do przekonania, nie ze względu na materiał doświadczalny i interpretację matematyczną, ale ze względu na sposób rozumowania. Zgadzał się z tym, że pewnych danych nie możemy i może nawet nigdy, z założenia nie będzie można ustalić. Ale czy to oznacza, że realnie istnieje tylko to, co może zostać zaobserwowane? Przecież rozumując w ten sposób, można by powiedzieć że bakterie powstały i istnieją tylko od czasów Loewenhooaka, a atomów jeszcze niedawno, nie było. Dobrze, chodzi nie o to czy ktoś je zaobserwował, ale czy w ogóle, teoretycznie, możliwa jest taka obserwacja. Ale co w takim razie z czarnymi dziurami? Dlaczego na jednym podwórku przyjmuje się taką zasadę rozumowania, a na sąsiednim całkiem inną?

Moranowski nie snuł miłych opowiadań, ale przy każdej okazji wytykał ignorancję i błędy w rozumowaniu Angusa, często wprost ośmieszał jego poglądy i bardzo mocno podkreślał swoją wyższość. Ale nie miał też łatwego życia, Agnus uznawał oczywiście jego przewagę w znajomości faktów i informacji, ale się tym nie przejmował, starał się odrzucić granat, wykorzystać dostarczoną amunicję, odwrócić tok rozumowania, wyszukać luki i możliwości innej interpretacji, wątpliwości i ewentualne sprzeczności, często z sąsiedniego podwórka, jak wyżej. Nie uznawał niczego na słowo i czepiał się każdego szczegółu, który wydawał się wątpliwy lub podejrzany.

Przeważnie było to nieuzasadnione, ale czasem sprzeciw był teoretycznie możliwy do pomyślenia i logiczny, nie dał się sprowadzić do absurdu. Oczywiście, nie w sprawie obserwacji i faktów, ale w sprawie ich interpretacji, a więc tam gdzie sprawa dotyczyła logiki i może, filozofii. A już zwłaszcza, sprawy światopoglądowe i religii.

Ponieważ przedmiotem doświadczeń może być tylko materia i energia, nauki przyrodnicze z reguły ograniczają się do tego. W związku z tym Moranowski, nie wypowiadając się przeciwko religiom, stwierdzał fakt, że na tej podstawie nie można wnioskować o istnieniu Boga, że Bóg, jako pierwsza przyczyna, albo też jako siła napędzająca wszechświat, nie jest ani konieczny, ani niczego nie wyjaśnia. Jest to tylko przesunięcie niewiadomej na inny stopień. Natomiast wiele opowiadań legend i podań i nawet zapisów, podawanych w różnych religiach, ma charakter baśniowy i w rzeczywistości po prostu nie mogły mieć miejsca, to jest udowodnione wielokrotnie i ponad wszelką wątpliwość, nie można tego inaczej nazwać. Wreszcie samo pojęcie wszechwiedzy względnie wszechmocy jest pojęciem pustym, tkwi w nim wewnętrzna sprzeczność i nic takiego nie istnieje ani nie może istnieć.

Odpowiedź Angusa była zabawna, lecz nie pozbawiona szczypty logiki, obok dużego przejścia. Mnie więcej taka: - Co do tego ostatniego, to może być podobnie, jak z pojęciem nieskończoności w matematyce. Ponieważ czegoś nie umiemy precyzyjnie określić, ani nawet zrozumieć, stosujemy pojęcie - wszech-cośtam - na takiej zasadzie, jak człowiek nieumiejący liczyć używa pojęcia „dużo”, zamiast liczby, której nie zna i nie rozumie. Takie pojęcie, to nie tyle sprzeczność sama w sobie, co raczej niedostateczny rozwój naszego umysłu. Tak samo w przypadku nieskończoności jako pojęcia matematycznego, być może chodzi o nieskończoną ilość różnych nieskończoności i może kiedyś uda się tą sprawę chociaż w części przemyśleć i zastosować pewne reguły.

- Może być tak, że stopień potęgi i wiedzy, przekraczający nasze możliwości poznania, na podobnej zasadzie nazwano wszechmocą i wszechwiedzą, mimo że te cechy



podlegają pewnym ograniczeniom. Może w ogóle istnieje wiele stopni wszechmocy i wszechwiedzy, różniących się między sobą, a my też używamy takiego pojęcia, ponieważ nie umiemy wyrazić się lepiej.

- Co do legendarnych zapisów o stworzeniu, to właściwie wszyscy obecnie przyjmują, że nie należy ich traktować ciasno, ale że stanowią pewną przenośnię, lub może i zniekształcenie, jak przy zdarzeniach które stały się przedmiotem legendy. Uproszczenie dostosowane, lub nawet wynikające z poziomu prymitywnych umysłów ludzi, którzy je pierwsi zapisali, względnie przedtem powtarzali. Z drugiej strony, wielki wybuch może całkiem dobrze pasować do tego, co znajduje się, w formie zniekształconej, w tych opisach.

- A w sprawie czasu, jakkolwiek rozumiemy, czyli nie rozumiemy teorii Einsteina, to jeżeli powiedziało się A trzeba też powiedzieć B. jeżeli w jednym wypadku przyjęło się pewną zasadę, to trzeba też uwzględnić możliwe konsekwencje zastosowania jej w innych, a nie tylko przyjąć ją tam gdzie nam pasuje, a zamykać oczy i odwracać się w innych. Jeżeli przyjmujemy względność czasu, to na przykład wielki wybuch, minuty czy godziny jego pierwszego okresu, całkowicie niepoznawalne (wtedy! obecnie oczywiście istnieją bardzo interesujące modele), mogły dla inaczej usadowionego obserwatora stanowić lata, wieki, czy miliony lat. Przecież na przykład, czoło eksplozji musiało mieć szybkość. oczywiście nie ma danych i to czysta spekulacja, ale bardzo zbliżoną do szybkości światła. Jaki mógł więc mógł być czas, w wypadku obserwatora umieszczonego w tym strumieniu eksplodującej materii, czy wszystko jedno, jak to coś nazwiemy. Równie dobrze, można znaleźć dla obserwatora położenie, w którym czas powstania wszechświata wynosił, praktycznie każdą wybraną wartość, jeżeli trzymamy się teorii względności, to punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Oczywiście, że można dobrać takie położenia, w których czasy stworzenia świata będą pasować, np. do opisu Biblii.

- Co do istnienia Boga, możemy przypuszczać, że chodzi tu o potężną inteligencję. Nie mamy pojęcia, czym jest inteligencja, w jakich warunkach może powstać i czy w ogóle związana jest z tym, co nazywamy życiem, o którym też nic nie wiemy. Może być związana z materią, względnie energią, a może występować także w innych postaciach. W każdym razie można wyobrazić sobie, nawet w przypadku ludzi, że w miarę rozwoju istoty dysponujące inteligencją stają się coraz bardziej potężne i tym samym mają coraz większe szanse na przetrwanie, a więc i dalsze powiększanie inteligencji i tak dalej - jest to proces samonapędzający się. Z powodzeniem można przedstawić sobie, że jeżeli np. ludziom uda się przetrwać kilka milionów lat, to już dla nas, przedstawiliby się oni jak istoty wszechwiedzące i wszechpotężne. po prostu tak byśmy je określali z braku innej możliwości.

Z kolei oni mieliby duże szanse przetrwania, nawet w razie jakichś kataklizmów kosmicznych, następnych stu milionów lat, a rozwój ich inteligencji przewyższałby z kolei zdolność pojmowania istot poprzedniego stopnia rozwoju, być może byłiby wszechmocni i wszechwiedzący zarówno w ich pojęciu, jak i oczywiście w pojęciu współczesnych. Być może, że na przykład i człowiek współczesny mógłby się wydawać wszechwiedzący, pokoleniom z przed tylko kilkudziesięciu tysięcy lat. -

- Zmierzam do tego, że skoro nie umiemy zinterpretować inteligencji i świadomości, czy jest związek między nimi a życiem, albo czy są to formy organizacji materii, może niezależne i pierwotne, to nie ma żadnego powodu, żeby wykluczać istnienie ich tak dawno, jak samej materia i energii. Inteligencja może być pewną formą powszechną i pierwotną, istniejącą od samego początku powstania wszechświata. Możliwość, że taka inteligencja rozwijała się i nadal się rozwija, oczywiście niedostępna lub niedostępne dla nas - wiele inteligencji. A jeśli tak, to istnieje prawdopodobieństwo, że taka inteligencja zdoła lub zdołają przetrwać aż do końca wszechświata. Niektóre lub jedna może zdąży rozwinąć się do tego stopnia, że przetrwa i ten koniec. Tak jak ludzie, jeżeli będą mieli dość czasu na rozwój, mogą przetrwać koniec naszego układu słonecznego. Jeżeli przyznać teoretycznie, że nawet ludzie mogą mieć czas na taką ewolucję, to może na podobnej zasadzie, ale na odpowiednio innym poziomie wyższa forma inteligencji zdoła przetrwać koniec wszechświata i potem odtworzyć go, lub wytworzyć nowy wszechświat A w końcu równie dobrze, że to już się stało i że jakaś inteligencja starsza od naszego wszechświata, przetrwała z poprzedniego i odtworzyła go, lub wytworzyła nowy. -

- To są po prostu bajki bez żadnych konkretów. odeszliśmy od poważnej rozmowy, tracimy tylko czas. Dajmy sobie spokój, w ten sposób nie warto dyskutować - denerwował się Moranowski.

- Oczywiście, że fantazje. Ale w tych fantazjach nie ma nic, co by stało w sprzeczności ze współczesnym stanem wiedzy. Koncepcja istnienia Boga nie stoi w sprzeczności z tym stanem. Zmierzam do tego, że jeżeli koncepcja istnienia Boga może być fantazją, to taką samą fantazją jest zaprzeczenie. Nie ma wystarczających danych, ani do twierdzenia, ani do zaprzeczania. Jedno i drugie wynika nie z nauki, ale z wyobraźni. Możemy sobie wyobrazić świat bez Boga, ale równie dobrze możemy sobie wyobrazić istnienie Boga i żadne z tych wyobrażeń nie może być, na podstawie obecnego stanu nauki, ani potwierdzone ani wykluczone. Nic nie wskazuje, ani na jedną ani na drugą stronę. A w takim wypadku, zwykle polega się na instynktownym własnym przekonaniu. Możliwe, że to

skutek stanu, albo złej konstrukcji, wad i błędów mojego umysłu. Ale póki nie mam nic lepszego, trzymam się tego co mam, nazywając to wiarą.

- Żeby całkiem wyczerpać temat, jeszcze kilka zabawnych fantazji. Czy nie można, tylko teoretycznie przyjąć, że na przykład zasada nieoznaczoności Heisenberga, z która ja osobiście nie mogę się pogodzić, bo odbieram ją tylko jako kapitulację przed trudnościami, podważa zasadę zdeterminowanego wszechświata i stwarza wyższej inteligencji, jeżeli taka istnieje, możliwość niedostrzegalnej interwencji właściwie we wszystko? Także w bieg wydarzeń świata i ludzi? Przecież wystarczy, żeby jakiś elektron, w granicach niemożliwych do zaobserwowania, zmienił swój pęd, czy raczej znalazł się konkretnie w jednym z równie możliwych stanów, żeby w jakiejś przyszłości przesunąć trochę ten, czy inny atom, potem jakaś drobina wykona inny zygzak przy ruchach Brauna i kiedyś, na przykład, potknie się delegat na konferencję, albo wielki wódz prowadzący kampanię i w wyniku tego, zmieni się historia świata.

I jeszcze jedna fantazja. Jeżeli istnieje taka możliwość, że w pewnych wypadkach gęstość materii może osiągać takie wartości, że niejako chowa się ona sama w sobie, nie może być dostrzeżona, a więc praktycznie, dla nas przestanie istnieć, to może być i tak, że występują pośrednie wartości i materia może przestać być dostrzegalna tylko częściowo. To znaczy część jej pozornie zniknie, a pozostała część jeszcze nie, będzie jakby wystawać ponad horyzontem. Czy taka, czarna dziura albo mini-czarna dziura, albo zespół mini-czarnych - dziurek, ewentualnie większe zespoły lub twory nie nasuwa myśli o tym, co uważamy za zjawisko nadnaturalne, emanacje duchowe, może duchy albo ciała astralne? A zmieniając trochę gęstość, z przyczyn nieznanych, ale obserwujemy czasem analogiczne zjawiska w naturze chociaż nie umiemy ich wyjaśnić, mogły by one pozornie materializować się lub dematerializować. Jednym słowem, świat niematerialny, tak go obecnie nazywamy, może z braku lepszego określenia, bo w rzeczywistości pozornie. Chcę tylko powiedzieć, że jesteśmy głęboko w lesie, wiemy jeszcze bardzo mało i istnieją możliwości wielu nieoczekiwanych odkryć.-

Angusowi przyszła na myśl wyższa inteligencja, gdyż on właśnie spotkał taką, choć na ludzkim poziomie. Całkowicie zdawał sobie sprawę, że Moranowski absolutnie go przewyższa, nie tylko poziomem wiedzy, to da się nadrobić, ale także szybkością i konsekwencją myślenia. Ta dyskusja była jak walka z przeciwnikiem, dwa razy szybszym od niego, który z reguły wykonywał już ruch, o którym Agnus dopiero pomyślał. Ale chociaż bez zastrzeżeń przyjmował nowe informacje i zupełnie nowe horyzonty, całe światy których istnienia nawet dotąd nie podejrzewał, nie miał zamiaru zmieniać tej części swego

światopoglądu, który już sobie wytworzył. Tego trzymał się, zaparty kopytami w ziemię, z prawdziwie oślim uporem. Ale jednocześnie starał się znajdować argumenty o podobnej wadze, jak te które usłyszał. Ponieważ zaś jego znajomość faktów nie wystarczała, z reguły starał się wykorzystywać te informacje, które właśnie lub niedawno mu podano, dodając zmienioną własną interpretację. Zresztą nie da się zaprzeczyć, że przeważnie równie logiczną i możliwą, a może równie pokrętną i wymyśloną, jak strony przeciwnej.

W tym okresie życia, Agnus jeszcze ciągle był bardzo religijny. Można powiedzieć, głęboko wierzącym, grzesznikiem i właśnie dlatego, chwilowo niepraktykującym. Tym niemniej ta dyskusja pozwoliła mu przemyśleć i sprecyzować własne poglądy i właściwie od nich nigdy nie odstąpił, nawet gdy później przeszedł normalny w pewnym wieku i stadium rozwoju, okres gwałtownego buntu i opozycji względem religii, a potem korygował to stanowisko na różne sposoby.

W tym momencie te dyskusje przerwano, gdyż znów z znacznym opóźnieniem, Polacy dowiedzieli się o nowym ważnym wydarzeniu, które stanowczo zmieniało podstawy do oceny sytuacji, pozwalało wierzyć, że rzeczywiście Anglia będzie i potrafi się bić.

Uprzedzając rozpoczynając się ofensywę włoską w Północnej Afryce, Anglicy obeszlą tą armię głębokim łukiem i zrolowali front uderzeniem od tyłu i z boku. Efektowne uderzenie, bez najmniejszej wątpliwości lepsze od niemieckiego Blitzkrieg'u, wspaniałe. W gazetach pojawiły się nazwy nieznanych dotąd miejscowości, Benghazi, Sollum, Sidi el Barani. Anglicy prawie zwyciężyli, zabrakło trochę, żeby zepchnąć włoskie wojska z Afryki. Ale już nie zdążyli, na pozostałym kawałku lądowały niemieckie dywizje pancerne.

Wojna w Afryce Północnej weszła w nowy typ kampanii, nazwany później przez Polaków przetaczaniem wagonów. Nie, żeby była tam jakaś linia kolejowa, ale walczące armie co jakiś czas błyskawicznie przesuwały się jak na torach po wydłużonej trasie, biegnącej wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego. Ale to w przyszłości, na razie było pierwsze prawdziwe i wspaniałe zwycięstwo. Poprzednio Abisynia, to była tylko zapowiedź, którą tylko Agnus ze względu na swoje dawne sentymenty doceniał. Abisynia była zbyt daleko, i zbyt egzotyczna. Ale już Północna Afryka naprawdę się liczyła i miała poważne znaczenie militarne. Najlepszy dowód, to szybka pomoc niemiecka.

### **Zazdrość pcha Mussoliniego na drogę katastrof i klęsk.**

Swoją drogą jeżeli Hitlerowi na początku wszystko się udawało, to jego sojusznik Mussolini miał wyraźnego pecha. Wprawdzie Włochy wysiliły się we wojnie abisyńskiej i potem masową interwencją w Hiszpanii, nie jak Hitler, który wysłał tylko nieliczną reprezentację, chociaż wyposażoną w najnowocześniejszy sprzęt i raczej traktował sprawę

jako zebranie doświadczeń technicznych i szkolenie w prawdziwej wojnie. Włoska armia nie była jeszcze gotowa do nowej wojny, ale kiedy Francja już padała, il Duce zdenerwował się, że spóźni się na paradę zwycięstwa. Francuzi nie pozostawili prawie żadnych sił na granicy włoskiej. Ale być może sama straż graniczna, której wydano trochę broni, długiej i maszynowej, zdołałaby zatrzymać włoskie wojska, gdyby nie kapitulacja Francji przed Niemcami. Duce był bardzo rozgoryczony, dostał prawdziwego kompleksu, tym bardziej, że i udział w zdobyczach był niewielki, uwzględniono tylko same pretensje zgłaszane jako powód wojny. To tak, jakby Hitler miał poprzestać na Gdańsku i ewentualnie korytarzu. Najbardziej bolało, że Hitler zostawił nietknięte francuskie posiadłości w Afryce Północnej, rezerwując je jako kartę przetargową z jednej strony dla Hiszpanii, a z drugiej dla marionetkowego rządu francuskiego w Vichy.

To też zaczął postępować nieodpowiedzialnie. Forsownie i z wielkim wysiłkiem, rozpoczął rozbudowywać armię w Libii, która miała zdobyć Egipt i następnie, Kanał Suezki. Obecnie, armia ta przestała istnieć, to prawdziwa katastrofa. Ale jakby tego było mało, w końcu 1940 roku, choć Włochy i tak nie mogły podołać jednemu wysiłkowi, uderzył na Grecję, być może wydała się łatwym łupem. Trudno powiedzieć, skąd wzięło się ta nieodparta konieczność natychmiastowego sukcesu, czy kompleks niższości w stosunku do Hitlera, czy może zwykła zazdrość.

Włosi najpierw zatrzymali się na przedłużeniu linii Metaxas'a, która właściwie nie stanowiła silnej fortyfikacji. Szereg bunkrów dobrze usytuowanych w górzystym terenie, ale bez ciężkiej broni, nie wspominając w ogóle o kopułach pancernych ani jakichś innych poważniejszych inwestycjach. Grecja nie miała na to pieniędzy, nawet ten dość niewielki wydatek, poważnie zachwiał rządem i bardzo skomplikował wewnętrzną sytuację. Ale zanim napastnicy przełamali tę przeszkodę, Grecy zdołali uzbroić swoich górali z pogranicza. Można powiedzieć, że Grecy składają się albo z ludzi morza, albo gór, ci drudzy to prawdziwi potomkowie Heraklesa i urodzeni żołnierze. To głównie oni, z pomocą rodzin i całej ludności cywilnej, która wzięła na siebie cały ciężar zaopatrzenia, w najtrudniejszych warunkach, szalenie surowej zimy i górskich bezdroży, przeważnie na własnych plecach, zdołali najpierw zatrzymać, potem otoczyć i zlikwidować napastników. Najbardziej elitarne dywizje, prezentowane jako szczyt osiągnięć faszystów, przebijały się z trudem do Albanii, wróciła tylko garść niedobitków, które porzuciły całą ciężką broń. Następnie cały front przesunął się i Grecy zajęli prawie połowę Albanii. Mogliby zająć wszystko, ludność im sprzyjała, ale chcieli tylko zabezpieczyć własne terytorium.

Dla Duce to nie tylko klęska, ale i niesłychana kompromitacja, a Hitler musiał coś z tym zrobić, nie mógł pozostawić południowej flanki swoich podbojów w takim opłakanym położeniu. Po pokonaniu Włoch, Niemcy byłyby otwarte na uderzenie z południa, bardziej racjonalne było udzielić teraz pomocy kłopotliwemu sprzymierzeńcowi, niż potem walczyć samotnie. Dlatego wysłał Afrika Korps z jednym ze swych najzdolniejszych generałów, którego, oraz jego stałe dążenie do ofensywy, poznał, gdy Rommel dowodził jego strażą przyboczną. Dlatego też przesunął do Włoch znaczące wsparcie lotnicze, nawet chociaż te siły bardzo potrzebne były przeciw Anglii i, w najbliższej przyszłości, jeszcze w innym kierunku. Wreszcie, razem z Włochami, rozpoczął starania dyplomatyczne o pozyskanie Jugosławii.

Z wiadomości podawanych w gazetach wynikało, że te starania przynoszą lepsze rezultaty, niż podobna gra kiedyś w stosunku do Polski. Regent i rząd Jugosłowiański, może bez entuzjazmu, ale pod stałym naciskiem ustępowali i coraz bardziej wchodzili na drogę tzw. przyjaźni i współpracy. Wkrótce zapowiadane było przyłączenie się Jugosławii do Paktu Trzech, teraz nie używało się terminu Pakt Antykominternowski, ze zrozumiałych względów. W ten sposób prawie wszystkie państwa rejonu bałkańskiego uległyby Niemcom. Pierwsza padła ofiarą Rumunia, do niedawna sojusznik Polski i Francji. Chociaż nie wzięła udziału we wojnie, znalazła się w fatalnym położeniu między ZSRR i Niemcami, które kolejno z przeciwnych stron ściągnęły z niej kołderkę i gwałciły. ZSRR zagarnęło przemocą Mołdawię i Bukowinę, a potem Niemcy zmusili ją do oddania Siedmiogrodu Węgrom, a południa kraju Bułgarii, przekupując tym oba te kraje. Potem pozostała reszta, musiała podporządkować się Niemcom, oficjalnie przyjmując ich opiekę. Podobnie rozwijała się przymusowa przyjaźń Węgier i Bułgarii. Gazety komentowały to tak, że powstał potężny blok kontynentalny, złożony z Niemiec, Włoch i Rosji, z zaprzyjaźnioną Japonią z jednej strony i Hiszpanią z drugiej, oraz licznymi innymi sojusznikami. Anglia jest w beznadziejnym położeniu, nigdy jeszcze nie walczyła przeciw takiej potędze.

Jakoś jednak nie przeraziło to Anglików, którzy nie tylko się trzymali, ale nawet przeszli do ograniczonej ofensywy. Jednocześnie coraz bardziej wyraźniejsze stawały się, poparcie i materialną pomoc USA. Odżyły nadzieje Polaków, a wojna znów wysunęła się na pierwszy plan.

To też i dyskusje po lekcjach, zeszyły z wszechświata na sytuację tylko światową, chociaż aż dotąd i Moranowski i Agnus unikali tego tematu. Moranowski reprezentował niespotykaną dotąd opinię. że wojna jeszcze się na dobre nie zaczęła, na razie to tylko

przygrywka, zajmowanie dobrej pozycji i wyrabianie sobie małych punktów. Prawdziwa rozgrywka zacznie się dopiero po włączeniu się do niej ZSRR.

- Od początku, to ZSRR jest głównym celem ataku, zarówno Hitlera jak i Demokracji Zachodnich. Francuzi i Anglicy, od początku odnoszą się z większą wrogością do ZSRR niż do Niemców. Na przykład nie udzielili Polsce żadnej pomocy, choć się do tego zobowiązali, ale zaraz chcieli organizować ekspedycję do Finlandii, chociaż nie mieli z nią żadnych umów. Tylko dlatego, że tam przeciwnikiem byłaby Rosja.-

[Takie plany rzeczywiście istniały, ale wyłącznie na papierze. Poza tym, przecież w tym okresie ZSRR było bliskim przyjacielem, a od 17 września, rzeczywistym sprzymierzeńcem Hitlera. Albo więc albo świadome przekręcanie prawdy, w stylu, który tak dobrze poznaliśmy później, w okresie stalinowskim, albo to paranoja.]

- Także i podczas wojny z Hitlerem, Francuzi i Anglicy, w swoich własnych krajach pozostawiali w spokoju organizacje i znanych działaczy faszystowskich, a prześladowali i tępilli wyłącznie partię komunistyczną i jej działaczy,- ciągnął dalej Moranowski

#### **Rola komunistów francuskich w klęskach 1939/40 r.**

Niezupełnie tak, przecież w tym okresie obie orientacje były niebezpieczne dla kraju prowadzącego wojnę i musiały być kontrolowane, a właśnie partia komunistyczna, wbrew deklaracjom o gotowości do obrony Francji, stanowiła faktycznie największą masową siłę defetystyczną. Przecież to ona podtrzymała, wynalezione przez niemiecką propagandę hasło „Nie chcemy umierać za Gdańsk”, przecież ona spełniała polecenia najbliższego w tym czasie sojusznika Hitlera. Podobnie jak ZSRR jawnie wspomagające Niemcy, tak i partia komunistyczna Francji działała na jego korzyść, choć tajnie. Można powiedzieć, że miała drugie miejsce w szerzeniu niechęci żołnierzy do wojny, bo pierwsze bez kwestii należy do samego Naczelnego Wodza i dowództwa armii francuskiej. To się zmieniło dopiero w 41r., kiedy sam ZSRR padł ofiarą agresji.]

Wreszcie Agnus usłyszał niezwykłą interpretację, jak rzekomo dojść miało do wybuchu wojny:

- Również i w Polsce rząd i władze zajmowały się tylko tępieniem komunizmu, a faszyzm pozostawiały nienaruszony. Komunistów ścigano, wsadzano do Berezy, prześladowano na wszelkie sposoby, a jawnym faszystom, nikt nawet nie ośmielił się zwrócić uwagi. - **w Polsce, a w każdym razie wśród Polaków, nigdy nie było faszyzmu.** Znowu nieściśłość, gdyż jeżeli chodzi o najbardziej skrajne i nieliczne odpryski krańcowo prawicowej organizacji młodzieżowej, tzw. ONR, to wzorowały się one najwyżej na Franco, w żadnym wypadku na Hitlerze ani nawet nie na Mussolinim. Poza tym, ci ludzie też siedzieli

w Berezie, na równi i często razem z komunistami. Natomiast jeżeli chodzi o faszystów Niemców, to Polska miała skrępowane ręce zobowiązaniami o przestrzeganiu praw mniejszości, a poza tym starała się nie drażnić Hitlera, dlatego rzeczywiście często nie reagowała, choć powinna. To oczywiście nie znaczy, że Polska była rewelacyjnym krajem, w którym nigdy nie dochodziło do łamania prawa; owszem, dochodziło, ale wobec takich mniejszości, o które nie miał się kto upomnieć, jak Ukraińców i Białorusinów. Natomiast naruszenie niewątpliwie zbyt szeroko ujętych, praw mniejszości w stosunku do Niemców, było nie do pomyślenia. Funkcjonariusz, który by tak postąpił, narobiłby swoim zwierzchnikom kłopotów i nie zagrażał długo miejsca. Podobnie jak i w wypadku Żydów.]

Ale najbardziej absurdalne, wprost szokujące było twierdzenie, że:

- W 1939 r. ZSRR ofiarowało Polsce zawarcie porozumienia i przymierza, które zapobiegłoby niemieckiej napaści. Ale to oczywiście wymagało uzgodnienia prawa do wejścia rosyjskich wojsk do Polski i na to rządząca warstwa nie chciała się zgodzić. - To oczywiście wydało się Angusowi tak paradoksalne, że roześmiał się i powiedział: - Byłoby to zawieranie przymierza z Belzebubem przeciw diabłu, - i nie zdążył nawet dodać że Hitler też proponował właśnie porozumienie i przymierze, które też niby miała zapobiegać agresji, tylko co potem.

- Właśnie tak rozumowali ludzie znajdujący się u władzy i woleli wydać kraj na pastwę Hitlera, niż sprzymierzyć się z ZSRR. - Agnus usłyszał wtedy po raz pierwszy takie potworne kłamstwo, które później, w latach okupacji sowieckiej powtarzane było ciągle i przeszło do stałego asortymentu wypaczanie historii w ujęciu stalinowskim. Było nie tylko nieuczciwe, ale i idiotyczne, przecież ludzie, którzy musieli tego słuchać, bili się, jako pierwsi na świecie, z wojskami Hitlera. Gdyby oni i także ta klasa rządząca, do której odnosił się zarzut, chciała oddać kraj w ręce Hitlera, to mogłaby to zrobić, czerpiąc korzyści ze zdrady interesów narodowych, bardzo łatwo, tylko akceptując jego ofertę. Tymczasem i Polska i jej klasa rządząca rzuciły na szalę wszystko, co mogły - i wszystko straciły. Nie było to bynajmniej pozorowane działanie, ale maksymalny wysiłek, choć nie uniknięto wielu błędów, a pierwszym i największym było zaufanie do sojuszników. Nie ma sensu ponownie powtarzać, że gdyby Polacy trafili na uczciwych, albo chociaż przewidujących partnerów, to Hitler nie miałby żadnych szans w 1939 r. Ani, że Polacy walczyli, nigdy nie usiłując zmienić frontu ani współpracować z Niemcami, od samego początku do końca. Również i z tej, tak oczernianej przez Stalina i jego reżim, klasy rządzącej, nie znalazł się nikt, kto jak sam Stalin, nawet przejściowo spółdziałał z Hitlerem. Nie ulega wątpliwości, że ten zarzut spreparowany cynicznie został przez samego Stalina, po to, żeby uzasadnić szczególne traktowanie



Polaków, masowe mordowanie i ucisk większy, niż w krajach które rzeczywiście, choć z przymusu, poszły z Hitlerem. Stalin bez skrupowania posługiwał się fałszowaniem historii i wymyślaniem najbardziej oczywistych, absurdalnych kłamstw, zakładając że nikt nie ośmieli mu się zaprzeczyć, a prawda obiektywna i tak nie istnieje. Można powiedzieć, że to była jego standardowa metoda. Obaj, on i Hitler mieli do Polaków dokładnie ten sam zarzut: że stanęli im na drodze do podboju świata, zamiast w tym pomagać, że zachowali się, nawet nie jak święci, jak zwykli porządni ludzie.

Agnus powstrzymał się od tego, żeby powtarzać co wiedział i słyszał z opowiadań naocznego świadka, swego ojca. O tym, jak i kiedy ojcu udało się stamtąd uciec lepiej było milczeć i po pierwszych tygodniach, ojciec sam to zrozumiał i zaprzestał opowiadać. Ale było ogólnie znane, że terror na ziemiach zajętych przez ZSRR był gorszy, niż nawet pod okupacją niemiecką. To też powiedział:

- Trudno się dziwić. Przecież ZSRR jest strasznym krajem i każdy, kto może, stamtąd ucieka. To jest odczucie większości Polaków, a nie tylko dawnej klasy rządzącej.-

- Każdej rewolucji towarzyszy terror. Takie zjawiska występowały i podczas Rewolucji Francuskiej i dawniej na przykład w Anglii. A przecież mimo Robespierre'a i potem Napoleona, którego my Polacy darzymy wielkim sentymentem, ale inne narody niekoniecznie i który też był krwawą postacią, są narody mające o nim jak najgorsze zdanie i zapewne będą go porównywać do Hitlera, Rewolucja Francuska zostawiła wielkie i trwałe wartości. To prawda, że Stalin zabija na lewo i prawo, ale rewolucja nie zdołałaby się utrzymać bez takiego silnego i, powiedzmy szczerze, bezwzględnego przywódcy. Stalin przeminie, a trwałe wartości przetrwają go i pozostaną. Narazie trzeba pogodzić się z tym, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Także i Partia Komunistyczna Polski została niesłusznie oskarżona i zlikwidowana na polecenie Stalina, a jej przywódcy i działacze zginęli. Dla wyższych celów trzeba znosić nawet takie pomyłki i niesprawiedliwości. To jest cena, za jaką rośnie i rozwija się nowy świat. Stalin nie jest wieczny, a gdy minie najgorsze zagrożenie, komunizm sam zacznie się zmieniać i odrodzi. Nie można walczyć przeciw swoim, nawet gdy mylą się. Tą sprawę już rozważano nie tylko w Polsce, ale i w reszcie Europy, najbardziej racjonalne okazało się stanowisko partii austriackiej i nawet utarła się nazwa, Austro-socjalizm. - Angus, słuchając tego, stopniowo nabierał podejrzeń, które wydawały się wprost nieprawdopodobne. Czyżby rozmawiał z komunistą? Dotychczas nie spotkał ani jednego. To znaczy, na ulicy Piaski mieszkał człowiek, o który mówiono, że jest komunistą, nawet ksiądz tak uważał, ale ostrzegał, żeby tego nie powtarzać, bo Niemcy nie powinni się o tym dowiedzieć. Na ogół większość ludzi trzymała się od niego z daleka, może i dlatego, że nie

chodził on do kościoła, mieszkał i miał dzieci z kobietą, z którą nie zawarł ślubu - choć z drugiej strony podobno jest dobrym ojcem i dba o rodzinę. Trudno było powiedzieć na pewno, czy te plotki były prawdziwe, a Angus nigdy nie miał okazji z nim rozmawiać. Zresztą on podobno nie chciał prowadzić rozmów o swoich przekonaniach.

Natomiast jego nauczyciel wypowiadał się wprost i w sposób tak szokujący, że aż nie do wiary. Angus wciąż nie mógł zdecydować, czy mówi serio, czy też na przykład kpi sobie z niego, albo po prostu mówi to specjalnie, żeby wywołać dyskusję. Zwłaszcza, że wszystko co mówił, było zabarwione ironią lub nawet jakby szyderstwem i jak zawsze z wyraźnie zaznaczonym akcentem wyższości lub protekcjonizmu. Nawet jeżeli robił sobie żarty, taka rozmowa wydawała się Angusowi krańcowo nieostrożna, mimo to, że Moranowski miał czas go dobrze poznać.

A jednak, to było serio. Jeszcze za słabo powiedziane, bo tak naprawdę przypuszczenia Angusa nie oddawały nawet części rzeczywistości.

Jerzy Moranowski pochodził z rodziny robotniczej dobrze sytuowanej. Jego ojciec zarabiał znakomicie i mógł zapewnić dzieciom wszelkie możliwe wykształcenie, nie mówiąc o dobrych warunkach życia. Sam miał za sobą tradycje lewicowe, lecz i silnie patriotyczne, bo związany był a PPS., był czynnym członkiem, a nie zwyczajnym sympatykiem, a potem jednym z rozgoryczonych „zdradą ideałów socjalistycznych” Piłsudskiego i w ogóle kierunkiem rozwoju polityki w kraju. Jak się to często zdarza, dzieci początkowo wyszły z pozycji ojca, z jego świata pojęć, ale potem zaczęły myśleć jeszcze bardziej radykalnie i bezkompromisowo. Jerzy, a w ślad za nim następnie i jego młodsza siostra, jeszcze w gimnazjum związali się z młodzieżowym ruchem komunistycznym. Już na studiach, Jerzy nawiązał kontakt z partią komunistyczną, która właśnie przestawała istnieć. Po egzekucjach jej działaczy w kaźniach stalinowskich, gdyż ci na wezwanie posłusznie i karnie wyruszyli do Moskwy po własną śmierć, ocaleni nieliczni, którzy zgodzili się oskarżać swoich dawnych towarzyszy przed „sądami” GPU i uzupełniać zmyślane oskarżenia autentycznym zabarwieniem szczegółów i podbudować je, dodając fantastycznym zarzutom trochę autentyzmu i wymyślając własne denuncjacje. Ale nawet i tym donosicielom, zakazano dalszej działalności, a Komintern oficjalnie potępił i rozwiązał KPP.

### **Komunistyczna Partia Polski (KPP)**

Trzeba tutaj wyjaśnić, że była nie tylko mała, ale po prostu drobna, w porywach liczyła do kilkunastu tysięcy członków, a w okresach marazmu parę tysięcy. Właściwie nigdy nie stanowiła masowego ruchu politycznego i nie miała poważniejszych wpływów, przynajmniej od czasu wojny bolszewickiej, która oczywiście pozostawiła głęboki wpływ na

opinii publicznej. Dla władz państwowych, stwarzała problem nie z powodu znaczenia lub autorytetu wewnętrznego, ale jako organizacja kontrolowana z zewnątrz, z poza granicy wrogiego mocarstwa i wykonująca jego polecenia.

A jednak mimo to, część z jej członków i przywódców, to były jednostki wybitne, ideowe i zaangażowane, a także nieprzeciętne umysły. Dlatego właśnie partia ta wydała się szczególnie podejrzana Stalinowi, który z zasady nie znosił ludzi myślących, a teraz krótko i wężłowato polecił wymordować wszystkich takich, co zrobiono szybko i sprawnie. To jednak nie zniechęciło ani nie odstraszyło Moranowskiego, który oczywiście nie osiągnął takiej pozycji, żeby być zagrożony. Przeciwnie, przeszedł on na jeszcze bardziej skrajne, lub jak sam uważał, świadome i uzasadnione racjonalnie, w rzeczywistości sztuczne i abstrakcyjne pozycje. Dzięki temu, że wytworzyła się pustka, w której działały tylko luźno powiązane koła byłych komunistów, miał otwartą drogę i szybko zdobywał autorytet w środowisku.

Obecnie, na początku roku 1941, partia komunistyczna nadal nie istniała, ale nawiązywano znów kontakty. Jedną z takich nieoficjalnych grup, było Towarzystwo Przyjaciół Sierpa i Młota i Moranowski został jednym z lokalnych działaczy, jednocześnie pełnił pomocnicze funkcje techniczne dla grupki wywiadu radzieckiego (jako fototechnik). Potem został jednym z przywódców PPR w Ostrowcu i wydawało się że w okresie okupacji sowieckiej zrobi karierę, szybko szedł w górę, ale padł ofiarą jednej z kolejnych czystek, został wycięty wraz z większością intelektualistów. Po zakończeniu wojny i ustanowieniu przez Stalina, niewielkiej dotąd PPR wiodącą siłą polityczną, ideowo zaangażowani komuniści stali się niepotrzebni i niepożądani. Najbardziej poszukiwanym materiałem ludzkim byli tacy, co nie mieli żadnych przekonań, a robili to tylko dla kariery, ci, o których mówiło się powszechnie: to nie żaden komunista, ale umie się urządzać. Dokładnie tacy, jak napotkany w obozie koncentracyjnym Heniek, który marzył wówczas o zostaniu niemieckim donosicielem.

Może to normalna kolej rzeczy, że gdy do władzy dochodzi partia opozycyjna, stara ideowa kadra zostaje zastąpiona przez nowych oportunistów. Gdy przynależność do KPP nie zapewniała korzyści lecz wręcz przeciwnie, trzeba było odwagi i zdecydowania, żeby wkroczyć na tą drogę. W ciągu okupacji, Angus ze cztery lub pięć razy zetknął się z komunistami. Zwykle byli to ludzie na poziomie i chociaż nie podzielał ich przekonań, czuł do nich osobiście szacunek. Kilka razy spotykał też prawdziwe odpadki ludzkie, których nikt nie chciał i którzy w rezultacie, przyjęcie nawet do komunistów uważali za osiągnięcie pewnego statusu i awans społeczny, albo też wręcz za ułatwienie czy możliwość bezkarnego realizowania własnych, niskich celów. Nie wiele było takich spotkań bo i nie wielu

komunistów, nawet w Ostrowcu, który miał opinię „czerwonego”. zapewne trudno byłoby się doliczyć setki. Dopiero po wojnie nastąpił napływ, głównie w drugim typie.

Moranowski wprawdzie nigdy nie zadeklarował swojej orientacji wprost, ale zarówno ton wypowiedzi, jak i doskonała znajomość tematu, wkrótce nie pozostawiały żadnej wątpliwości. Przy końcu lekcji, chyba w marcu, wspomniał nawet, że do Polski przybyła grupa inicjatywna i wkrótce można się spodziewać, powstania nowej partii komunistycznej. Stalin w końcu zmienił swoje stanowisko, cywilizuje się. Oczywiście, dalsze szczegóły stały się znane dopiero wiele lat później.

Zresztą do dziś, z tymi grupami inicjatywnymi, pierwszą, drugą i trzecią sprawa jest niejasna. Trup padał gęsto, jak w filmie gangsterskim, ale szczegóły nie są znane. Najprawdopodobniej w zwalczające się wzajemnie grupy i koterie polskich działaczy komunistycznych, wtrącał się bezpośrednio także wywiad radziecki, zarówno wojskowy, jak i GPU. W każdym razie, w ostatecznym wyniku władza trafiła w ręce Bolesława Bieruta, który nigdy nie był członkiem partii komunistycznej (nawet w pierwszej ekipie, zgłaszany był oficjalnie jako bezpartyjny), natomiast był kadrowym pracownikiem radzieckiego wywiadu, inaczej mówiąc etatowym szpiegiem we własnym kraju.

Jakkolwiek Moranowski powiedział dużo, nie podawał żadnych konkretnych szczegółów, a swoje rozmowy wyjaśnił w mało przekonywujący sposób:

- Pana sposób rozumowania i reakcje interesują mnie po prostu dlatego że nigdy dotąd nie spotkałem tak kompletnego przykładu wychowania drobno-burżuazyjnego. To dlatego słucham i rozmawiam z Panem z ciekawością, mam okazję obserwować Pana jak niezwykle okaz. - To właściwie można uznać za lekceważące stwierdzenie, ale Agnus nie poczuł się urażony. Cenił ładunek wiedzy, jaki otrzymywał, ale z drugiej strony zawsze rezerwował sobie prawo do własnej interpretacji poznanych faktów. Co uznał za wartość trwałą, chciał zachować i bronić, nawet jeżeli czasem rozumował w naiwny sposób. Otwarty był na rzeczowe argumenty, ale nie przekonywały go takie, z których można wyprowadzić różne wnioski. Poza tym, on również obserwował Moranowskiego jak niezwykle okaz, chociaż tego akurat nie powiedział. Będąc zaś czytany, dostrzegał też jego ogromną erudycję, nie ograniczającą się do przedmiotów zawodowych, ale ogólną. Dobrze usystematyzowaną, podczas gdy on sam znał raczej mnóstwo niepowiązanych faktów.

Chociaż lekcje nie obejmowały fizyki, ale rozmowy tak, a z początku wyłącznie, więc dały przynajmniej ogólną orientację we wielu jej dziedzinach. Oczywiście głównie w najnowszych osiągnięciach, od kosmogonii do fal stojących Dirac'a, ale siłą rzeczy także elementarne podstawy. Przy tej okazji Angus ostatecznie położył krzyżyk na swoich

fantastycznych, aż dotąd we własnym mniemaniu genialnych wynalazkach i planach. Nareszcie zrozumiał gdzie leży błąd: wszystkie jego pomysły i mniej lub bardziej skomplikowane koncepcje sprowadzały się właściwie zawsze do wyobrażenia, że jedno ciało może działać na drugie z jakąś siłą, a to drugie na pierwsze nie, względnie przynajmniej że te siły mogą być nierówne. Albo też, że można będzie tak rozłożyć siły i przenieść ich punkty przyłożenia, że w wyniku powstanie samorzutny moment obrotowy. Całe szczęście, że trzymał rzecz w sekrecie, co za kompromitacja gdyby o tym ktokolwiek się dowiedział. Dopiero teraz pojął najbardziej oczywiste rzeczy. A jednak jakie to przykre, jaki żal, że ten cały wysiłek trzeba odrzucić. A z drugiej strony, otwierały się przed nim perspektywy, tak ogromne, że wprost trudno je ogarnąć. Przynajmniej dostrzegł teraz, jakim jest ignorantem skoro dopiero teraz zdał sobie sprawę dopiero z samej zasady zachowania energii oraz zasady akcji i reakcji, równowagi. Bo pojęcie entropii było mu jednak głęboko obce, a w zasadę rozpraszania energii i tym bardziej śmierć cieplną, absolutnie nie wierzył, rozumiał o co chodzi ale instynktownie nie chciał, żeby tak było. W każdym razie, teraz trzeba tylko jak najprędzej wypełnić te luki, nauczyć się wielu rzeczy, a wtedy otworzy się po prostu nieskończony bezmiar możliwości.

Co do kwestii światopoglądowych, to trudno powiedzieć, czy guru przypuszczał, że chela przejmie bezkrytycznie także jego przekonania, czy też może uważał, że dla oświeconego intelektu istnieje tylko jeden, całościowy i konsekwentny, pogląd materialistyczny. Jeżeli tak, to zaprzestał propagandy, zapewne rozczarowany uporem, gdy Angus ani na centymetr nie odstąpił ani od religii, ani od przekonań prawicowo-narodowych. Właściwie był to dość dziwny koktajl, gdyż z jednej strony wyrósł w Poznaniu, można powiedzieć że twierdzy endecji (Narodowej Demokracji) i jej zasady wyznawali ojciec i matka, a także prawie wszyscy krewni i znajomi, a z drugiej przyswoił sobie w szkole kult „dziadka” Piłsudskiego. Własne krytyczne poglądy miał dopiero ukształtować, ale w każdym razie na idee komunistyczne był całkowicie odporny.

Natomiast chciwie pochłaniał wszystkie nowe fakty, także historyczne i ogólne wiadomości nawet wtedy, jeżeli stały w sprzeczności z dotychczasowymi wyobrażeniami. No przykład w żargonie prawicowym, nazywano wszystkie orientacje lewicowe produktem żydomasonerii. Otóż Moranowski zwrócił mu uwagę na absurd takiego określenia i łatwo wykazał na źródłach, że masoneria była ruchem, który obejmował najbardziej oświecone, a w przypadku Polski także najbardziej patriotyczną część zarówno tzw. warstw wyższych, w tym dawnej szlachty, jak i tworzącej się nowej burżuazji polskiej. Natomiast w stosunku do ruchu komunistycznego, masoneria była jego naturalnym wrogiem i dlatego rozprawiono się z nią

niestety, ostatecznie i okrutnie. Nie było innego wyjścia, to konieczność w obronie rewolucji proletariackiej, dla której masoneria była bez porównania bardziej niebezpieczna, niż różne wyznania.

### **Typ nordycki, częstość występowania w Niemczech i w Polsce.**

Inną sprawą była teoria rasistowska. Pod wpływem propagandy hitlerowskiej, Angus właściwie przyjął zasady tej teorii, tylko oczywiście na odwrót: Niemców uważał za rasę bezwartościową i złą, gotów uznać ich zniszczenie za optymalne rozwiązanie, zaś w Polakach dostrzegał cechy najlepsze. Obecnie od Moranowskiego dowiedział się po raz pierwszy o pracach wybitnego polskiego uczonego i to na dodatek profesora Uniwersytetu Poznańskiego, Czekanowskiego. Właściwie rozpoczął on od badania grobów z różnych wieków i okresów historycznych w celu ustalenia zmian fizycznych ludności. A doprowadziły go one do podstawowego wniosku, że właściwie nie ma obecnie żadnych różnic cech fizycznych na obszarach, zarówno po obu stronach granicy polsko-niemieckiej, jak i na dużym obszarze środkowej Europy. Nie istnieją żadne różnice rasowe ani różne rasy, a dotyczy to nie tylko Polaków i Niemców, ale także Żydów, przypadkowy rozrzut cech fizycznych i odchylenia są we wszystkich wypadkach prawie takie same. Co więcej, paradoksalnie i wbrew teoriom głoszonym przez hitlerowców, ich ideał, domieszka cech nordyckich raczej trochę się zwiększa w samych Niemczech ze strony zachodniej na wschód, gdzie zasymilowała się duża ilość dawnej ludności słowiańskiej i jeszcze trochę w samej Polsce, gdzie ilość blondynów o niebieskich oczach jest przeciętnie nieco wyższa, niż w Niemczech. Nie są to jednak różnice znaczące, raczej zaznaczenie pewnej tendencji. Także i wśród Żydów osiadłych w Polsce, jest nieco więcej jasno - włosych, chociaż różnice są minimalne, to zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że praktycznie wszyscy Żydzi pochodzą z Polski, inni prawie nie przetrwali, różnice polegają jedynie na tym, czy wyjechali jedno, kilka, czy na przykład dziesięć pokoleń temu.

To oczywiście kładło całą koncepcję rasizmu i dla hitlerowców stanowiło herezję, dlatego wyniki prac i publikacje Czekanowskiego były najsurowiej zakazane. Prowadziły one do wniosku, że obecne narodowości nie mają nic wspólnego z rasami, a są sprawa świadomości i wyboru, także zapewne i tradycji, ale absolutnie nie tzw. krwi (po wojnie, badania te zostały poszerzone właśnie o statystyki grup i podgrup krwi; wynik taki sam, lecz dodatkowo lepiej udokumentowany). Dla Angusa to też szok, zmiana stereotypów.

A jeszcze większy miał nastąpić.

Już w styczniu okazało się, że materiał z matematyki szybko się kończy. Rodzice Angusa namówili wtedy Moranowskiego, żeby wyjątkowo podjął się również nauki łaciny, chociaż nie miał ochoty na ten przedmiot, to nie była jego dziedzina. Jednak zgodził się

wyjątkowo - tylko początki. To przeniosło temat rozmów po lekcjach, na dzieje i rozwój kultury, w pierwszym rządzie śródziemnomorskiej. Ale przy tej okazji, jedna z dyskusji dotyczyła także Niemiec, można powiedzieć rozwoju tradycji i walk wolnościowych w samych krajach Niemieckich i to bez nawiązania do tradycji komunistycznych, od dawnego wolnego osadnictwa, przez wojny chłopskie i aż po znakomite tradycje wolnościowe i liberalne w 19 wieku, których ukoronowaniem była oczywiście Wiosna Ludów, ale nie tylko, wiele ogromie ważnych zdarzeń miało miejsce przedtem i wiele później. Wprawdzie już matka usiłowała wyjaśniać Angusowi, że byli też Niemcy zupełnie różni od hitlerowców, i że stworzyli i wnieśli do ogólnoludzkiego dorobku wiele trwałych wartości, ale trafiała wtedy do głuchych uszu, jak wtedy, kiedy usiłowała namówić go do nauki języka niemieckiego, a Agnus aż trząśł się na myśl o takiej obrzydliwości. Teraz wyszło na to, że to jednak prawda, a zwłaszcza przez kilkadziesiąt lat, od wojen napoleońskich i aż do czasu ukształtowania się nowego militarizmu pruskiego i Cesarstwa, samo serce liberalizmu, postępu i tolerancji można powiedzieć, było właśnie w krajach niemieckich. Nie mówiąc już o trwałej spuściźnie literackiej, fermencie umysłowym i pięknej tradycji. Niemcy po prostu nie mieli szczęścia, ostatecznie zawsze zostawali osiodłani i wtłoczeni w ciężkie jarzmo i to powtarzało się już szereg razy w ich historii. Ale to bynajmniej nie znaczyło, że nie są zdolni odczuwać ludzkich uczuć i pragnień, tyle, że to się dla nich wiele razy wybitnie pechowo kończyło, nie mieli szczęścia.

\* \* \*

- Proszę Państwa, ja nie mówię wcale, że nie chcę dalej uczyć Angusa, zwłaszcza że warunki są bardzo dobre. Chodzi o to, że teraz w jego najlepszym interesie będzie, jeżeli zmieni nauczyciela. Powinien przejść normalnie przez gimnazjum, kolejno zaliczać klasy, w przyszłości będzie potrzebował świadectw. To wszystko może mu zapewnić tylko nauka w zorganizowanym trybie. Takim utartym torem jest nauka w tajnym gimnazjum. Tyle, że tam jest normalny, roczny cykl. Jest on wprawdzie bezpłatny, ale jeżeli nadal stać państwa na taki wydatek, to ja doradzałbym prywatne lekcje, płatne, u tych samych profesorów. Moim zdaniem, nauka w małej grupie daje bez porównania więcej, a poza tym także i profesorowie poznają lepiej ucznia i to zapewnia potem lepszy start.

- Pozwoliłem sobie już zasięgnąć wstępnych informacji u profesora Mazzurowicza, który mnie pamięta z nienajgorszej strony i powiedziałem mu, że znam chłopaka o naturalnych zdolnościach do matematyki, od moich czasów, w Ostrowcu nie było nikogo podobnego. Podam Państwu jego adres, możecie się dalej umawiać bezpośrednio, albo w sprawie lekcji, albo przyjęcia Angusa do tajnego gimnazjum. -

- Gdybym ja miał teraz dalej uczyć Angusa, to po pierwsze nie miałbym go już czego uczyć, w każdym razie nie z matematyki w zakresie gimnazjum. Parę rzeczy specjalnie nie ruszałem, na przykład równań kwadratowych, dlatego żeby się w przyszłości nie zmanierował, gdyby doszedł do przekonania, że już wszystko umie. Mógłbym go tego nauczyć w jeden dzień. Ale taka jednostronna nauka nie jest dobra, a chłopiec i tak ma tendencje do zarozumialstwa. Dlatego też nalegam na nie powtarzanie mu tej rozmowy. Macie państwo dwie możliwości.

- Albo Agnus będzie przygotowywał się do zdawania matury jako eksternista, bo przecież ja mu świadectwa nie zapewnię, a wtedy zapewne spotka się z niechęcią i kto wie czy zda za pierwszym razem, choćby wiedział więcej od egzaminujących. To najprostsza droga, żeby zaczął się uważać za zapoznanego geniusza. Albo też usłuchacie mojej rady i skomunikujecie się z profesorem Mazzurowiczem, który już jest zorientowany. Jeżeli was stać nadal na prywatne lekcje, to byłoby najlepiej, Agnus jest nie tylko zdolny, ale ma naturalny talent, więc taki wydatek byłby uzasadniony. Ale proszę pamiętać, że to tylko początek i trzeba postępować ostrożnie, żeby tego nie zmarnować. Dlatego jeszcze raz proszę o zachowanie tej rozmowy dla siebie.-

Ta rozmowa miała miejsce w domu Moranowskiego, który poprosił rodziców Angusa gdzieś w połowie marca. Matki Angusa nie musiał długo przekonywać, gdyż ona zawsze przekonana była, że jej syn jest siódmym cudem świata i nic nie jest dla niego za dobre, a prywatna, najlepsza dostępna edukacja była jej idea fixe jeszcze w Poznaniu. To też wkrótce Agnus powiadomiony został, że gdy zbierze się komplet, rozpocznie lekcje u profesora Mazzurowicza, który będzie go uczył matematyki, fizyki i chemii z trzeciej klasy gimnazjum, a jego córka, pani doktor Piesewicz, łaciny i polskiego w zakresie drugiej klasy, do tej pory jeszcze będzie chodził na lekcje i dokończy pierwszą klasę łaciny, a ponadto z ojcem uzupełni inne przedmioty pierwszej klasy, które już właściwie przerobił, jak historię, geografię i zwłaszcza zoologię oraz botanikę, Mazzurowicz był właściwie przyrodnikiem i zgodził się go przeegzaminować nieco później.

O samej rozmowie, opowiedział Angusowi ojciec, dopiero w ostatnim roku przed śmiercią i gdy wyjątkowo, udzielał Angusowi po raz drugi paru rad życiowych w związku z planowanym małżeństwem. Natomiast matka, swoim zwyczajem, nie wspomniała nigdy jednego słowa, chociaż w ogóle, nadal mówiła zwykle dużo i szybko, trąkotała. Jednak wtedy, zupełnie nieoczekiwanie kupiła mu pierwszy „dorosły”, prawdziwy wizytowy garnitur z granatowej wełny, do tego krawat i inne dodatki oraz wysokiej klasy wieczne pióro, prawdziwy „Mont Blanc”. Właściwie nie wymieniając żadnego powodu ani okazji, oprócz



tego, że musi przecież jakoś prezentować się, kiedy pójdzie przedstawić się u profesora. Ale przecież małoobrazkowy aparat fotograficzny też niezłej klasy, Retina, nie był chyba do tego celu potrzebny.

Agnus dotąd absolutnie nie zwracał uwagi na ubiór, tyle że przestał chodzić w krótkich spodniach i nosił, normalnie także później, pumpy. Teraz jak zwykle, z zasady bardzo krytykował taką rozrzutność, ale szczerze mówiąc poczuł się w tym bardzo dobrze. Nowy strój, nowy człowiek. Dopiero teraz, poczucie nicości, pustki wewnętrznej, depresji i w ogóle kompleksy zaczęły go opuszczać, zaczął odzyskiwać wiarę w siebie i chęć do życia. Bardzo potrzebował trochę sukcesu, a obecnie zanosilo się na taki okres życia.

Natomiast trzeba wyjaśnić, że nigdy nie został geniuszem matematycznym. Po prostu miał szczęście trafić na znakomitych nauczycieli. Pierwszy, jego ojciec nauczył go, można powiedzieć dobrego rzemiosła, szybkiej i wydajnej pracy, precyzji i zawodowego perfekcjonizmu od początku aż do końcowego wyniku, wyłącznie to się liczyło, jakby w systemie dwójkowym, albo wynik dobry, albo zero, bez względu na to jak drobna lub przypadkowa pomyłka. Drugi, przeciwnie, przywiązywał wagę do szybkiego pochwycenia, zrozumienia istoty i podania zasad postępowania, a szczegóły, wykończenie już go nie interesowały. Można było wcale nie wykonać działań na końcu, albo też darować sobie drobny błąd z powodu chwili roztargnienia, byle koncepcja była dobra, a zwłaszcza, jeśli z kilku możliwości, wybrało się najbardziej elegancką. Ten był raczej artystą, w każdym razie miał zacięcie, jak to się mówi, duszę artystyczną.

\* \* \*

Zima tego roku była, jak wszystkie wojenne, bardzo ostra, ale skończyła się stosunkowo wcześnie, a po wielkich mrozach, nawet prawie zerowe temperatury marca wydawały się ciepłe. Gdy tylko stopniały śniegi, Angus usłyszał znowu dochodzące z dołu odgłosy uderzeń piłki. Podeszedł do skraju i zobaczył na mokrym jeszcze, ale piaszczystym i bez kałuż placyku w lesie, sylwetki grających młodych ludzi. Nadal też pojawiali się oni codziennie, jeżeli tylko dopisywała pogoda. Agnus zaczął coraz częściej, schodzić na dół i przypatrywać się. Nie umiał sam grać, ale zaczął odczuwać ruchy i reakcje graczy własnym ciałem, nawet lot piłki, siatkówka go fascynowała.

Paru grających poznawał, mieszkali w pobliżu wyżej przy ulicy Traugutta. Jeden z nich, wysoki, muskularny, z „murzyńsko” wełnistymi, kręconymi choć krótko przyciętymi włosami oraz zapewne jego brat, zupełnie niepodobny, choć też wysoki ale szczupły i szybki w ruchach, na boisku poruszający się trochę jak kłown w cyrku, o długich włosach gładko przyklepionych do głowy, mieszkali w domu pani Godniowskiej, gdzie chodził po obiady - i

chyba byli jej synami. Parę dziewczyn też mieszkało w pobliżu. Inni młodzi ludzie przyjeżdżali na rowerach.

Przeważnie grały zespoły po 3 - 4 osób, rzadziej piątki, ale najbardziej ruchliwe i można powiedzieć popisowe, były gry dwójkami. Angus z początku przyglądał się z oddali, potem zaczął podchodzić bliżej, poznawał większość osób z widzenia i wymieniał krótkie pozdrowienia i skinienia głowy, a parę razy dostąpił nawet zaszczytu, liczenia punktów. Ale okazjnie zaproszony do gry, nie popisał się. Zawsze był dość niezgrabny, a w tym okresie, jeszcze ciągle zdeprimowany, z silnym poczuciem własnej bezwartościowości lub może kompleksem niższości. Z góry był przekonany, że się tylko skompromituje i tak też się stało. Wolał trzymać się na dystans, choć ogromnie ciągnęło go do tego grona. Wciąż jeszcze patrzył na siebie, jak na trędowatego i uważał że nie zasługuje na towarzystwo tych wspaniałych młodych ludzi, którzy przewyższali go pod każdym względem i na pewno nie mieli tak splamionej duszy, jak on. A poza tym starsi o dobre kilka lat, niektórzy właściwie dorośli. Dawniej, po prostu by mu imponowali, ale znajomość by potrafił nawiązać.

W drugiej połowie marca, gazety zapowiadały, że do osi Rzym-Berlin dołączy wkrótce Jugosławia. W końcu miesiąca zapowiadane było podpisanie paktu przyjaźni i współpracy, a faktycznie sojuszu wojskowego. Tymczasem na parę dni przedtem i to właśnie na tą wiadomość rozpoczęły się gwałtowne rozruchy wśród ludności, do których przyłączyło się wojsko. Rząd upadł, regent też, a władzę objął młody król Piotr. Dokładnie taka sama reakcja społeczeństwa, jaka nastąpiłaby i w Polsce, gdyby w roku 1939 ówczesna ekipa rządząca zechciała przyjąć nęcące propozycje Hitlera. I prawdopodobnie tak, jak Polska własnym ciałem zasłoniła i ocaliła wtedy Anglię, choć nie zdołała Francji bo ta sama nie chciała się ocalić - tak teraz Jugosławia własnym ciałem zasłoniła Rosję. Gdyby zgodnie z pierwotnymi planami, Hitler uderzył na ZSRR w połowie maja (a osobiście wyznaczył ten termin po rozmowach z wyszkolonymi w ZSRR pilotami niemieckimi, także i H. von Below, którzy na jego pytania poinformowali go, że błoto na poligonach, na których się uczyli wysychało zwykle najpóźniej do końca maja), zdarzenia potoczyłyby się inaczej. Trudno powiedzieć, czy osiągnąłby linię Uralu, ale na pewno zdążył zająć Moskwę, a prawdopodobnie przekroczyć linię Wołgi. Jugosławia stała się właśnie tą garścią piachu w trybach maszyny, najbardziej wtedy obciążonej z powodu napiętych terminów. To ona, wraz z Grecją, kupiły bezcenny czas, aż do 22 czerwca, dla Armii Czerwonej. Żadne późniejsze, najbardziej piorunujące, zwycięstwa Niemców, nie mogły tego nadrobić.

Z początku, żadna oficjalna reakcja Niemiec nie nastąpiła. Wydano jedynie obłudne oświadczenie, że ani Włochy, ani Niemcy nie wtrącają się do wewnętrznych spraw sąsiadów, a sprawa rządów jest ich suwerenną decyzją.

Wkrótce potem, wszystkie drogi w okolicy zarośli się od wojskowych pojazdów. Nie starczyło miejsca w zajętych dotąd budynkach, jak pobliskie Gimnazjum i gmach szkoły powszechnej naprzeciwko, ani na boiskach wokół. Liczne ciężarówki stały pod gołym niebem w laskach po obu stronach szosy. Sama piechota zmotoryzowana, w pobliżu nie było żadnych pojazdów pancernych. Żołnierze młodzi, opaleni i weseli, żartowali że zwiedzają za darmo całą Europę, jak na wielkiej wycieczce. Zupełnie inny nastrój niż w 1939 r. i nawet jeszcze rok temu, teraz byli zadowoleni, niektórzy wprost szczęśliwi, bezgranicznie ufali swemu Fuehrer'owi i dowództwu. Prosto z Francji przywieźli i sprzedawali teraz, wysokiej klasy koniaki i wina, kawę i herbatę, jedwabie, zwłaszcza tzw. apaszki i inne rzeczy - prawie za bezcen. Na przykład dobry koniak wymieniali za dwie, a bardzo dobry za trzy butelki zwykłej wódki. Biegłe znająca język niemiecki matka Angusa poszła kupować, nieosiągalną normalnie kawę dla siebie, ale potem także na zapas i jeszcze więcej. Ojciec i Agnus odnosili zakupy do domu. Gdy wkrótce potem dochody z koncesji się skończyły, zapasy kawy i herbaty stanowiły skarb, który umożliwił dalsze przetrwanie.

W tych dniach doszło do wyjątkowego międzynarodowego meczu. Kilku z tych młodych żołnierzy, podeszło do grającej w siatkówkę młodzieży i zapytało, czy mogliby z nimi zagrać. Pierwsze sety gładko przegrali, wtedy pobiegli po posiłki i ściągnęli swoich, widocznie najlepszych siatkarzy. Umówiono się na jeszcze jeden set, bo Polacy wyjaśnili, że o tej porze już kończą i wracają do domu. Takiego seta jeszcze Angus nie widział ani przedtem, ani potem. Z obu stron, grający rzucali się do każdej, nawet całkiem beznadziejnej piłki, ścięcia i obrony wydawały się wprost niemożliwe, cyrkowe, a gracze nie oszczędzali się, rzucali na ziemię. albo niespodziewanie wyskakowali jak tygrysy i z drugiej linii ścinali, często po poprzednim zwodzie. Gra trwała dłużej i przy końcu obaj Godniowscy, którzy należeli do najlepszych na boisku, dosłownie ociekali potem. W końcu jednak Niemcy wygrali. Fakt, że młodzież polska była już zmęczona, a nie było kogo wstawić na zastępstwo, Niemcy mieli większe rezerwy, ale trzeba przyznać że i grali doskonale.

Nagły przerzut wojsk, wielu ludzi brało za zapowiedź napaści na ZSRR, ale na razie nic podobnego nie nastąpiło. Piechota zmotoryzowana nagle znikła, a Niemcy, jak zwykle nie troszcząc się o wypowiedanie wojny uderzyli na Jugosławię i Grecję. Podobnie jak w Polsce, to nie była taka wesoła wycieczka krajoznawcza, jakiej oczekiwali Jednak sama przewaga techniczna szybko rozstrzygnęła wojnę. W kampanii 1939 roku wystawili 3 dywizje pancerne

przeciw jednej brygadzie, jaką dysponowała Polska, w tym samym czasie nie pozostawiając żadnych sił na froncie francuskim. Tymczasem Francja miała wówczas parokrotną, to nie pomyłka, parokrotną przewagę w czołgach w ogóle, a żadnych niemieckich sił pancernych naprzeciw. Tylko że wcale wtedy czołgów nie użyła. Do czasu kampanii francuskiej, Niemcy podwoili ilość sił pancernych tworząc trzy nowe dywizje pancerne na sprzęcie czeskim, albo przezbrojonym, albo wykorzystując podwozia czeskich czołgów do zunifikowanych wież swojej konstrukcji. Mimo to, mieli jeszcze ciągle mniej czołgów, niż Francuzi, którzy ponadto dysponowali jednolitym sprzętem.

Po zwycięstwie nad Francją, znowu więcej niż podwoili ilość czołgów, wykorzystując zdobyczny sprzęt, przeważnie same podwozia, a także potencjał przemysłowy zakładów francuskich, obok stojących na wysokim poziomie technicznym, zakładów zbrojeniowych czeskich i austriackich. Jest albo błędne, albo celowo fałszywe twierdzenie, że Hitler przystąpił do wojny uzbrojony po zęby, większość ciężkiego sprzętu, a zwłaszcza broni pancernej, dostał w prezencie. Dopiero dzięki temu i w toku samej wojny, wyrobił sobie ogromną przewagę, na początku roku 1941 miał już kilkanaście dywizji pancernych i zmotoryzowanych, którym obrońcy Jugosławii i Grecji zupełnie nie mieli co przeciwstawić.

\* \* \*

Niemcy przekroczyli Termopile, wkrótce dojdą do Aten. Kampania bałkańska była przesądzona, nie mogła tego zmienić pomoc, jaką mimo wszystko wysłał Wavell z niewykonalnym zadaniem, żeby pomogli utrzymać chociaż środkową Grecję i Peloponez. Przynajmniej wykonał przyzwoity gest, ale niestety osłabił też armię w Północnej Afryce, na którą już wkrótce miało spaść uderzenie, głównie czeskich, a częściowo też francuskich czołgów Afrika-Korps.

Tego słonecznego kwietniowego dnia, Angus wyszedł z jednej z ostatnich lekcji łaciny, bez pogadanki, wcześniej niż zwykle. Zamiast do domu, skierował się najpierw na boisko w lesie, gdzie dopiero zjeżdżali się chłopcy i dziewczyny. Parę osób siedziało na pieńkach lub nawet wprost na ziemi, na złożonych kurtkach, po południu zrobiło się ciepło.

Z góry zbiegł starszy Godniowski ze zmienioną twarzą, i nie witając się z nikim, przejęty, zaczął nieskładnie mówić: - posłuchajcie, właśnie to dostałem, posłuchajcie! - Grupka skupiła się koło niego, Agnus też podszedł, nie wiedział, czy może się przyłączyć, ale po chwili okazało się że musi, jeżeli chce coś usłyszeć, bo Godniowski nucił dość cicho, a przy tym głos mu się co chwilę załamywał, słowa uciekały, docierały tylko urywki. Zrozumiał dopiero kolejną zwrotkę:

- Dziś w nocy puszysty śnieg dach ubielił, a potem ponury poranek grudniowy gdy zajrzał do wnętrza naszej ciemnej celi, nas zastał jak zawsze na wszystko gotowych.-

(O co chodzi? Jaki śnieg, skąd grudniowy? Trochę to jakby spóźnione, pomyślał. Ale już docierały dalsze wiersze).

Ludzi, co mają na czołach wyryte zaszczytne przezwisko Polnische Banditen in Sonderabteilung.

Teraz załapał i to poraziło go, jak uderzenie prądem.

- Czasem nadzieje fantazje mą pieszczą, że może tu po nas ślad jakiś zostanie, że może nam wdzięczni rodacy umieszczą tablicę tu białą na szarej tej ścianie.

A na niej tu będą te słowa wyryte:

tu byli więźni Polnische Banditen...

(takie proste, wprost prymitywne słowa, czemu czuje ten nagły skurcz gardła, zaciskają się oczy, nie widzi i nie słyszy)

...to słowo, co boli, jak otwarta rana

Oświęcim...

### **Pierwsze wiadomości o i z Oświęcimia.**

Angus usłyszał wtedy po raz pierwszy nazwę Auschwitz, Oświęcim. Znak firmowy ogromnej fabryki śmierci, zbudowanej na terenach przyłączonych do Rzeszy, obecnie niemieckich, ale bardzo blisko nowej granicy i zagłębia surowcowego, jakim miało stać się według pierwotnych założeń reszta okupowanych ziem polskich. Zakłady istniały już od przeszło roku, ale na razie jeszcze trwał w nich rozruch technologiczny i okres produkcji doświadczalnej. Opracowywano dopiero najbardziej ekonomiczne i wydajne metody zabijania więźniów oraz przetwarzania zwłok.

Dotychczas wiadomości o tym jeszcze się szeroko nie rozeszły, społeczeństwo polskie, z hasłem obóz koncentracyjny nie kojarzyło jeszcze określenia „obóz śmierci”. Agnus, i zapewne większość Polaków, potrafiłaby raczej wymienić Buchenwald, Dachau i jeszcze parę tradycyjnych. Tutaj powstało nowe centrum doświadczalne, mające w przyszłości zapewnić szybki przerób masy ludzkiej metodami uprzemysłowionymi. Owszem na razie funkcjonował obok klasyczny obóz koncentracyjny, gdzie więźniowie umierali dopiero po pewnym czasie, przeciętnie od pół do jednego roku z powodu wyczerpania organizmu, przede wszystkim niedożywienia przy jednoczesnej ciężkiej pracy i złych warunków ogólnych. Jednym słowem z tzw. „przyczyn naturalnych”, z których najważniejszy był wydatek energetyczny organizmu znacznie przekraczający dostarczaną z pokarmem ilość

kalorii. Zależnie od odporności osobniczej i własnych zasobów organizmu, okres przeżycia mógł być bardzo różny.

Pierwsze informacje o nowych badaniach i przygotowywanym unowocześnieniu metod, dostarczył oficer dawniej Wojska Polskiego, a wówczas Tajnej Armii Polskiej, później włączonej do AK rotmistrz W. Pilecki, który na ochotnika dał się uwięzić za takie wykroczenie, które zwykle nie było karane karą śmiercią na miejscu, ale obozem. Po półrocznym pobycie zebrał informacje o Oświęcimiu i zapoczątkował tam działanie tajnej organizacji więźniów, po czym uciekł z obozu aby przekazać informacje i dodatkowo nawiązać łączność dla nowo powstałej jednostki konspiracyjnej. To właśnie w oparciu o jego dane, oczywiście po koniecznym okrojeniu i ocenzurowaniu, ukazały się pierwsze wiadomości o Oświęcimiu w podziemnej prasie. Wkrótce potem można było je przeczytać, a ponadto zostały również przekazane na Zachód, gdzie jak zwykle, nie dano im wiary.

W Oświęcimiu wypróbowywano wówczas różne metody zabijania, między innymi głodem, nawet i zimnem, ale najbardziej zaawansowana była metoda zastrzyków w różnych postaciach, przy czym prawie już zdecydowano się na najbardziej obiecującą, zastrzyk dożylny lub zwłaszcza kołosercowy fenolu, wywoływał szok i zatrzymanie akcji serca, śmierć natychmiastowa już przy dawce około jednego grama, a dla pewności zalecano 4 - 5 g fenolu. Robiono też badania z zabijaniem przy pomocy gazu, ale stosowano raczej gazy spalinowe. Według opinii specjalistów, metoda zastrzyków była zalecona jak mająca zalety produkcji ciągłej, a przy tym była bardziej elastyczna, w porównaniu do produkcji szarżami przy gazowaniu grup. A jednak tak dobrze opracowana technologia zmarnowała się, nie weszła w użycie, gdyż niespodziewanie, w innych konkurencyjnych ośrodkach badawczych, właściwie przypadkiem zastosowano cyklon, dotychczas środek owadobójczy, który do tego celu okazał się szczególnie korzystny. Wynalazki często bywają dziełem przypadku, ale tylko wtedy, gdy istnieje na nie zapotrzebowanie.

Co do Pileckiego, to dokonał on jeszcze czegoś, co przekraczało wszelkie granice ryzyka: po złożeniu raportu, jeszcze raz wrócił do obozu, w którym przecież mógł zostać zidentyfikowany jako niedawny uciekinier. Wrócił żeby przekazać kontakty założonej organizacji oporu, a także po więcej dowodów i informacji. Jednak i wtedy jego sprawozdania, przekazane przez polskie kierownictwo walki podziemnej, nie zostały przez zachodnie ośrodki informacyjne dopuszczone do wiadomości publicznej, podobnie jak dane Karskiego o Żydach. Na te informacje nałożono kaganiec, nie pozwolono ich publikować, ocenzurowano, a nawet wielokrotnie określano jako „Polskie kłamstwa”. Pilecki, odznaczony

parokrotnie Virtuti Militari, został zamordowany przez marionetkowe władze ustanowione przez Stalina, w Warszawie wkrótce po wojnie.

\* \* \*

W ciągu całej reszty życia, Angus wielokrotnie wspominał ten moment, gdyż wtedy czuł, że kilka szczerze wypowiedzianych słów zapewniłoby to, co było jego największym pragnieniem, udział w walce, przyłączenie się do ruchu oporu. Nastrój gwarantował, że zostałyby przyjęte. Są takie momenty w życiu, kiedy długo i daremne starania, nagle stają się możliwe. Na chwilę, otworzyły się zamknięte drzwi, opadły zasłony. Agnus wiedział gdzie się znajduje, czuł gorące uczucie patriotyzmu, ogarniający wszystkich poryw uczucia.

Nie otworzył ust. Nie zareagował, gdyż jeszcze wciąż był duchowym kaleką. Jeżeli już nie patrzył na siebie jak na kupkę łajna, które należy sprzątnąć ze świata, to jednak najwyżej jak robaka bez kręgosłupa, który zaszkoziłby, a nie pomógł. Nie był godny i co gorzej, pewnie załamałby się w krytycznym momencie. Na pewno nie posunął aż do zdrady, ale i tak mógł spowodować nieszczęście. Nie odzyskał tej wiary w siebie, siły przekonań, wewnętrznego żaru jaki cechował go dawniej. Wątpliwości, kompleksy pozostały. Na zawsze przestał istnieć ten, wprawdzie narwany i przemądrzały a dość głupi chłopak, który rzucał przed siebie serce i potem usiłował je dopędzić. Wegetował jak inwalida, dopiero trochę się podleczył i uczył na nowo żyć.

„...z grobuś nieraz wyjrzał w górę, czując dreszcze zmartwychstania, jam wciąż tylko patrzył w chmurę, która Boga mi przesłania.”

Chcesz być kimś w życiu, to się ucz..... Nauka to potęgi klucz, w tym moc, kto więcej umie.

### **Rozdział VIII. Zalety i wady sukcesu.**

Profesor Mazzurowicz, był częściowo spolszczonym Rosjaninem i uczył jeszcze przed I Wojną Światową, w rosyjskim gimnazjum. Dał się poznać, jako przyzwoity i kulturalny człowiek, nigdy nie uczestniczył w prześladowaniu uczniów Polaków, a do ich problemów narodowościowych odnosił się z życzliwą neutralnością, to znaczy zamykał oczy i uszy. Zresztą rzeczywiście był entuzjastą, wprost fanatycznym przyrodnikiem tzw. naturalistą, i o wiele bardziej interesowały go ameby, zwłaszcza że nawet te najbardziej złośliwe lub szkodliwe uważał za lepsze od ludzi. Nie mówiąc już o ulubionych okrzemkach.

„Nuu, ameba”, o tym mógł mówić godzinami i często przed wojną uczniowie miewali lekcje z głowy, gdy podpuścili go do rozwinięcia ulubionego tematu. Do skomplikowanych spraw ludzkich starał się nie mieszać, każdego traktował przyjaźnie i pozytywnie, sam pochodził z pokolenia, dla którego pozytywizm nie był pustym dźwiękiem, ale on rozumiał

go specyficznie, także jako stosunek do innych. To też po I wojnie światowej pozostał w Polsce i nadal uczył w gimnazjum, a nikt nigdy nie powiedział o nim złego słowa. Prowadził też badania naukowe, usiłując do pierwotniaków zastosować ujęcie matematyczne na wzór przyjęty w fizyce, ale to oczywiście, kiedy jeszcze był młodszy. Teraz zajmował się jedynie wykonywaniem zawodu, nauczaniem, a i tak właściwie przekroczył już wiek emerytalny. Uczył, oprócz przyrody, tradycyjnie matematyki, fizyki i chemii, w tym szerszym znaczeniu rozumie się słowo naturalista.

Zarówno pierwsza, jak i wszystkie następne lekcje odbywały się w jego domu, bo starszy pan co prawda chodził do miasta na lekcje tajnego gimnazjum, odbywające się w różnych miejscach, ale nie był już zbyt mocny w nogach. Zresztą mieszkał w idealnie położonym miejscu, przy samym końcu ulicy Wspólnej, około 1,5 km od miejsca, w którym znajdował się rzekomo handlowy lokal, w którym Angnus na przemian lub razem z ojcem pełnili dyżury.

Mazzurowicz posiadał rozległą posesję, pokrytą mocno zarośniętym ogrodem, w środku którego stał duży dom z czerwonej cegły. Bezpośrednich sąsiadów nie było, najbliższy po drugiej stronie szerokiej, piaszczystej ulicy. Paru przechodzących młodych ludzi absolutnie nie zwracało uwagi. Niemców też raczej nie widziało się w tych stronach, a jedyny ryzykowny moment zdarzył się w 1943 r. i to w sporej odległości od domu profesora, kiedy Niemcy znaleźli Żydów, których pewna rodzina ukrywała. Paskudny moment, Niemcy zastrzelili wszystkich mieszkańców i spalili tamten dom, ale na tym nie koniec, weszli jeszcze pewien czas po okolicy. Chociaż do domu Mazzurowicza nie dotarli, jednak na ten czas lekcje trzeba było zawiesić. Ale to jedyny taki wypadek przez wszystkie lata okupacji, normalnie miejsce uważane było za bezpieczne.

Na pierwszą lekcję Angus udał się z wielkim ładunkiem emocji, spięty i po prostu naładowany elektrycznością. Normalnie gadatliwy, teraz prawie nie wrywał się bez pytania. Starał się wykonać natychmiast każde polecenie w jak najkrótszym czasie. Nawet ubrany był, jak na niego, wyjątkowo poprawnie, w tym nowym, granatowym garniturze i jasnej koszuli, wprowadzie bez krawata, którego przez całe życie nie znosił, ale z wiecznym piórem, którego też w zasadzie nie używał, ale zatknął w kieszonce jako symbol. Wkrótce uznał ten garnitur za swoje szczęśliwe ubranie, ale przestał nosić go na codzień, szczęśliwą magię lepiej zachować na specjalne okazje. Właściwie po trzech lekcjach, pierwszym tygodniu, opinia Angusa była ugruntowana.

Jeden z nowych kolegów, Stach Konar, był synem dawnego legionisty i oficera. Ojciec już nie żył, a matka po raz drugi wyszła za mąż, za jednego z byłych podkomendnych



męża. Zarówno ojczym jak i matka, a w konsekwencji także i syn byli, i to nie dla chleba, ale z głębokiego przekonania, gorącymi zwolennikami Piłsudskiego, a następnie sanacji. Poza tym, matka miała tzw. głowę do interesów, a nowy młodszy mąż, godził się z rolą wykonawcy i pierwszego asystenta. Przed wojną, doszli do dobrej, nawet komfortowej sytuacji materialnej, teraz w okresie wojny, mała fabryczka słodyczy otrzymała niemieckiego Treuhaender'a, także kino przeszło pod niemiecki zarząd, i bardzo dobrze, bo nie wypadało wyświetlać niemieckich filmów i materiałów propagandowych, a nic innego nie było. Żyli, prowadząc sklep spożywczy, a ten, niewielki i przy położonej na peryferiach ulicy Pierackiego, prostopadłej do ul Wspólnej i zaraz przy jej wylocie, prosperował doskonale. Matka miała naturalny talent handlowy i nawet w tym skromnym wymiarze, czuła się w swoim żywiole, jak ryba we wodzie. Ojczym nadal akceptował rolę żony jako głowy rodziny, sam poprzestając na roli sprawnych mięśni. Z pasierbem utrzymywał stosunki koleżeńskie, coś co Agnus po raz pierwszy widział i szczerze mówiąc trochę zazdrościł koledze.

Stach był tzw. średnio dobrym uczniem, stracił wprawdzie dwa lata, ale teraz chciał je nadrobić. Na intensywnej nauce zależało mu głównie dlatego (oczywiście była to głęboka tajemnica), że dopiero po ukończeniu czterech klas gimnazjum mógł zostać przyjęty do konspiracyjnej podchorążówki, a to był najważniejszy cel i marzenie jego życia. Ale nie puścił pary z gęby i Angus nie miał o tym pojęcia.

Zarówno sam Stach, jak i jego ojczym, pan Marian, byli silnie zaangażowani w konspiracji, a pośrednio i matka też. Chociaż Stach nigdy nie zdradził motywów swego postępowania, Agnus w każdym razie zauważył, że kolega bardzo się śpieszy i szybko chce przerobić klasę, zależy mu na jak największej ilości materiału i dobrym tempie każdej lekcji.

To odpowiadało również Angusowi. Zresztą nic dziwnego. Na prywatnych płatnych lekcjach, z reguły nauka traktowana była jako cenny towar i większość uczniów, starała się maksymalnie wykorzystać każdą lekcję, nauczyć się jak najwięcej i jak najlepiej za swoje pieniądze. Każdy starał się wykazać, że dobrze opanował materiał i jest w stanie wykonać więcej prac domowych, bo w zasadzie lekcje odbywały się dość rzadko, co kilka dni i to była głównie kontrola samodzielnej nauki i pracy domowej. Mowy nie było, żeby uczeń mógł się nie przygotować, każdy wychodził ze skóry, żeby dostać jak najwięcej materiału na przyszłą lekcję i następnie wykazać że go opanował i stać go na jeszcze więcej.

Drugi nowy kolega, Stefan Wójciak, też był półsierotą ale stracił matkę, a jego ojciec, robotnik z Zakładów Ostrowieckich, nie ożenił się ponownie i poświęcił wychowaniu dzieci. Był dla nich matką i ojcem, Angusowi wydawało się czasem, że widzi przyszłego świętego o cechach apostoelskich. Miał dwoje dzieci, starszą córkę i młodszego syna. Córka podobno

przez pewien czas usiłowała zastępować zmarłą matkę, ale jeszcze przed wojną usamodzielniała się i wybyła z domu, o dziwo, zajmując się polityką. Bardzo inteligentna i uderzająco ładna, do tego zdecydowana i energiczna, pełniła jakieś ważne funkcje w mniej ważnym Obozie Narodowo-Radykalnym (ONR), znalazła się w ostrym konflikcie z władzami i według własnych słów, prześladowana politycznie. Także obecnie została przy tych przekonaniach. Tylko okazjnie kontaktowała się z rodziną, a jej pojawianie się czasem i znikanie, było dla Angusa niejasne. Później dowiedział się ze ta, amazonka czy też sawantka, organizowała przy ONR przybudówkę młodzieżową, tzw. Młodzież Wielkiej Polski, następnie brała udział w organizowaniu Brygady Świętokrzyskiej NSZ i ostatecznie, razem z nią odeszła na zachód. Brat podzielał i jej ambicje i przekonania, ale w organizacji nie awansował do takiej pozycji.

W podobnym wieku, może nieco starszy od Stacha, też ukończył dwie klasy gimnazjum (nie byli w tej samej klasie, ale w równoległych). Stefan był o pół głowy wyższym, mocno zbudowanym i śmiertelnie poważnym młodzieńcem o zapadniętych oczach i w ogóle twarzy. Był perfekcjonistą, a jeżeli miał jakąś wadę, to był nią zupełny brak poczucia humoru, traktował wszystko zbyt poważnie i prawie nigdy się nie uśmiechał. Bardzo ambitny, był zawsze prymusem w swojej klasie, a w czasie wojny pracował wraz z ojcem jako robotnik. Obecnie ojciec, sprzedał połowę swego dość skromnego domku, zachowując dla siebie i syna jeden pokój z kuchnią i wymógł na synu, żeby ten zwolnił się z pracy i wrócił do nauki, też jak najszybciej nadrabiając zaległości. Dla rodziny był to wielki wysiłek finansowy i jednocześnie poważna inwestycja, jednak ojciec stanowczo nalegał na płatne lekcje, a nie normalne tajne gimnazjum.

Obecnie Stefan zaczął od ostrej rywalizacji z Angusem. Był dotąd pierwszy w klasie i uważał to nie tylko za stan normalny, ale po prostu obowiązek. Niestety, w tym wypadku nie miał żadnych szans, to było jak zmagania człowieka z maszyną. Przez kilka tygodni, bodaj do miesiąca, dawał z siebie wszystko, aż Angusowi naprawdę robiło się przykro, odnosił wrażenie, jakby widział, w innym wymiarze, sytuację z kampanii wrześniowej, kiedy padający z przemęczenia piechurzy usiłowali prześcignąć motory. Angus pozorował równie ciężki wysiłek, przedłużał czas rozwiązywania zadań, namyślał się niepotrzebnie, jednym słowem starał się, jak mógł, ale i tak to się nie udało. Po mniej więcej miesiącu, Stefan Wójciak odszedł z ich zespołu i przeniósł się na inny komplet. Pozostali we dwójkę ze Stachem, który swoje ambicje ulokował w innym kierunku i chętnie akceptował młodszego Angusa jako wiodącego a sam z pełnym zaangażowaniem współpracował, żeby utrzymać ostre tempo. Utał się zwyczaj, że lekcje odrabiali wspólnie, a Angus wyjaśniał nowy materiał

i zadania, niby pomagał, a faktycznie korzystał przez to jeszcze więcej. Zresztą nie było z tym kłopotu, Stach łapał szybko i na pewno nie był tępy, a nie unikał pracy i starał się.

Dla Angusa, zaczął się najlepszy okres z całej wojny. Po pierwszych paru lekcjach, kiedy był spięty i naprężony, poczuł się swobodnie i na wozie, zaczął odzyskiwać wiarę w siebie i nawet mógł już patrzeć na swoją osobę, tolerować siebie. Nie starając się specjalnie, szedł od sukcesu do sukcesu, czuł swoją wewnętrzną przewagę nie tylko nad kolegą, ale i nad nauczycielem, choć oczywiście dbał, żeby tego nie okazać, zwłaszcza po zdarzeniu ze Stefanem. Nawiasem mówiąc, Stefan uczył się w jednym komplecie ze Stachem polskiego i łaciny, też III klasa i wszyscy nawiązali ponownie bliższą znajomość szachową. Zarówno Stach jak i Stefan grywali lepiej od Angusa, który podciągał się przy nich. Odejście Stefana z zespołu matmy nie miało żadnych ujemnych skutków, przeciwnie, dopiero potem rozwinęła się bliższa znajomość. Ogromnie cenił możliwość zyskania kolegów, a zwłaszcza Stacha Konara którego traktował jako prawdziwego przyjaciela, jakiego dotąd nie posiadał, starszego i bardziej doświadczonego we wszystkim z wyjątkiem matematyki.

Naukę polskiego i łaciny rozpoczął w innym komplecie, niestety w tym był opóźniony, przerabiał dopiero II klasę. Co więcej nożyce raczej się rozwierały, w przedmiotach humanistycznych nie dało się utrzymać takiego ostrego tempa, jak w matematyczno-przyrodniczych, chociaż usiłował. Nauczycielka, córka profesora Mazzurowicza, była doktorem medycyny, ale chyba poszła na medycynę pod wpływem ojca i tradycji rodzinnej, bo talenty miała humanistyczne. Potrafiła i naukę polskiego i łaciny uczynić wprost porywającą. To było całkiem nowe doświadczenie. Agnus używał raczej języka prostego i rzeczowego, nie znał piękna wyrazów, nie mówiąc już o poezji. Teraz zetknął się z tym wszystkim i to za pośrednictwem świetnej nauczycielki, umiejacej uchwycić i wskazać najbardziej ciekawe miejsca, ważne momenty, wrażliwej i komunikatywnej. Poza tym, trzeba przyznać, że i podręczniki były wspaniale napisane, można było wpaść w trans przy samym czytaniu. A już zwłaszcza, gdy ktoś potrafił podpowiedzieć i skomentować, np. zwrócić uwagę, jakie kolorowe są pierwsze wiersze, czy zdania - mój Boże to prawda, przecież tam są same kolory, jak mógł sam tego sam nie dostrzec! Albo we właściwym miejscu dodała wyjaśniający komentarz, dlaczego włożenie pierwszej togi traktowano tak uroczyście, itd.

Lekcje polskiego i łaciny odbywały się w komplecie trzyosobowym, Angus także był najlepszym uczniem, ale tutaj tylko dlatego, że koledzy nie stali na wysokim poziomie. Jeden z nich, wyrośnięty drągał, chociaż miał dopiero 15 lat, przyjeżdżał ok. 12 km z majątku swojego ojca, zwykle małym wózkiem, tzw. linijką. To taka podłużna ławeczka na czterech

kółkach, na której siadało się okrakiem i którą ciągnął nieduży konik. Właściwie nie potrzebowała drogi, można było przejechać wszędzie, gdzie dał radę przejść pieszy. Porównując bardziej współcześnie, wszędzie, gdzie dzisiaj zdołałby przejechać motocykl, a i jechało się trochę podobnie. Henryk Michorowski był jedynym uczniem jakiego Angus spotkał, który nie miał chęci i przy każdej okazji wykręcał się od nauki, chociaż jego ojciec nie tylko płacił ciężki grosz, ale i przysyłał do tego transporty żywności. Co jakiś czas, czasem co tydzień a czasem np. 10 dni, Heniek zamiast liniijką przyjeżdżał powozem z wiktuałami. Michorowski już raz zaczynał drugą klasę i jego nauczyciel zrezygnował wtedy z lekcji i pozbył się ucznia. Wtedy ojciec postawił synowi ostre ultimatum lub może przekonywującą perswazję i wyszukał nowe lekcje przy czym jednocześnie podniósł stawkę, a także stale kontrolował syna. W sumie, może dzięki temu, że materiał już raz częściowo przerobił, może dzięki rodzicielskim namowom, a może dzięki wyjątkowo utalentowanej nauczycielce, robił teraz postępy i nie opóźniał grupy, ale i tak on płacił wyższą stawkę, a pozostali dwaj uczniowie, także i Agnus, niższą.

Oprócz Henryka i Angusa, trzecim uczniem w zespole był Tadeusz Kopski, syn urzędnika miejskiego. Dobra posada przed wojną, ale teraz rodzina była raczej w kiepskich warunkach, dlatego też Tadek, normalnie uczeń dość przeciętny, czuł się w obowiązku nadrabiać wielką pracowitością i rzeczywiście, był zawsze najsumienniejszy i najsolidniejszy przygotowany. Zresztą po ukończeniu II klasy, przeniósł się na początku jesieni do tajnego gimnazjum, rodzice nie mogli sobie nadal pozwalać na prywatne lekcje.

Agnus też się starał, ale głównym powodem była osoba nauczycielki. Otóż nie tylko górowała nad nim absolutnie - sposobem wysławiania się, horyzontami, wiedzą i w ogóle poziomem kulturalnym i intelektualnym, Ale była też, jeżeli nie piękną, to niepowtarzalną, uroczą - tu trudno się zdecydować, raczej nie dziewczyną, ale też nie kojarzyła się z pojęciem tego, co Agnus uważał za kobietę. Wprawdzie pani Piesowicz była już po studiach i po stażu, doktorem medycyny, wprawdzie była zamężna i miała czteroletniego synka (dosyć rozpuszczonego), wprawdzie nie była piękną, ale po prostu świeciła jakimś wewnętrznym światłem. Zachowywała się jak nikt inny, była impulsywna i reagowała szybko jak powiew wiatru. Nie mówiąc o tym, że potrafiła zaraz wszystko wyrazić, uchwycić w paru słowach, precyzyjnie, czego on przedtem nie widział, a co było rzeczywiście najistotniejsze i takie oczywiste. Esencję rzeczy. Krótko mówiąc, Angus beznadziejnie zakochał się w swojej nauczycielce.

Może to niewłaściwe słowo, nawet nie myślał o miłości, on raczej uwielbiał miejsce, gdzie się akurat znajdowała, każdy jej ruch i słowo i co chwila odkrywał absolutne

niepowtarzalne piękno szczegółów, nawet zarys palca, nawet trochę zadarty nosek, nawet włosy, których nie zdołała nigdy całkowicie uporządkować. O miłości nawet nie śmiał marzyć, to nie ten poziom, raczej jak w piosence „czarny John, w kąciu swym skulony, o złocistej lady śni”, Ogromnie żałował, że nigdy nie będzie mógł nie tylko słowa powiedzieć, ale nawet zdradzić najmniejszym gestem swego uwielbienia, choćby tylko uklęknąć przed tym cudownym zjawiskiem, które napełniało pięknem cały świat nawet tego nie zauważając. Jego uczuć nie mogła dostrzec, nigdy, przynajmniej tak sobie wtedy wyobrażał.

W tym samym czasie, miały miejsce jeszcze dwa doniosłe wydarzenia. Jedno zaczęło się od zupełnie przypadkowego zakupu książki. Przechodząc koło rynku, zauważył księgarnię Wilaka, u którego kupował książki jeszcze w Poznaniu, wstąpił i wybrał „Zagadki zjawisk fizycznych”. Była to książka z serii o nazwie „Biblioteka Wiedzy”, bardzo znanego (lecz nie Angusowi) wydawnictwa, Trzaska, Evert i Michalski. Kiedy otworzył i zaczął czytać tę książkę, w drodze do domu, poraziła go jak grom, tak że stracił poczucie miejsca i czasu. Poszedł innymi ulicami, przysiadł gdzieś po drodze i najciekawsze miejsca, musiał przynajmniej przekartkować. Kiedy wreszcie docierał do domu z ogromnym opóźnieniem, zrobił się już wieczór, poczuł, że musi się zaraz podzielić tymi wiadomościami ze swoim pierwszym nauczycielem. Furtka była zamknięta, ale Agnus pamiętał miejsce gdzie jedna z desek w płocie uchylała się. Wszedł i stojąc na ganku, dzwonił i pukał do zamkniętych drzwi domu, co spowodowało duży alarm. Zjawił się bardzo nie w porę, Moranowski miał właśnie w domu radzieckiego wywiadowcę i sporządzał dla niego mikrofilm. (Swoją drogą, ciekawe po co ZSRR właściwie wysyłało wywiadowców, skoro ich meldunki były tak kompletnie ignorowane? A może należy rozumieć to jako „wywiad owcy”, który meldował tylko to, co Stalin chciał usłyszeć, co sugerowało kierownictwo i dlatego lekceważono jawne i oczywiste przygotowania niemieckie do napaści na ZSRR?).

W każdym razie, dopiero po dłuższym czasie, gdy Angus chciał już odejść, z zamkniętych drzwi rozległ się głos Moranowskiego. który dowiedziawszy się, kto się tak dobija powiedział po prostu, żeby Angus przyszedł jutro albo kiedy indziej, bo on jest teraz zajęty.

Angus zachowywał się tak, jakby to do niego nie dotarło. - Ależ ja tylko na chwilę. Mam coś bardzo ważnego do powiedzenia.-

- W jakiej sprawie? -

- E równa się mc kwadrat!!! -

- Ach tak. No trudno, teraz robię powiększenia w ciemni i nie mogę przerwać, zapalać światła, jestem na prawdę zajęty. Proszę przyjść jutro koło 11, do jutra chyba świat przetrwa jeszcze w starej postaci.-

W domu rodzice byli już zaniepokojeni. Ale jednocześnie dowiedział się, że w najbliższym czasie znowu się przeprowadzają i to znowu na ulicę Piaski. Jeden z gospodarzy, od dawna wynajmował pół domu wraz ze sklepem rodzinie żydowskiej, to tam właśnie mieszkał Moszek z rodzicami oraz żoną i dziećmi. Od połowy zeszłego roku, musieli oni ostatecznie przenieść się do getta i od tego czasu lokal stał pusty, z zamkniętymi okiennicami i zaniebanym ogródkiem pod oknami. Właściciel chciał go wynająć nawet za umiarkowaną cenę, bo nie tylko dom nic nie przynosił, ale i niszczał nie zamieszkanym. Rodzice zdecydowali się, nie tylko ze względu na większe mieszkanie, ale i na sklep na miejscu. Teraz nie trzeba będzie daleko chodzić i przesiadywać. Wprawdzie sklep był tylko fikcją, nie przychodzili żadni klienci, chyba przez pomyłkę, ale jednak musiał formalnie istnieć i być otwarty, choćby ze względu na możliwość kontroli. Stało więc na tym, że rodzice już zostali nowymi najemcami i w końcu maja lub na początku czerwca mieli się przenieść.

Fatalny rok poprzedni, 1940, upłynął w martwej atmosferze, przerywanej tylko wewnętrznym łamaniem się i planowaniem własnej śmierci. Ten rok zaś, już przyniósł tyle nowego, że wprost trudno było za tym nadążyć. Agnus odzyskał więcej, niż mógłby przedtem zamarzyć, nie czuł się już samotny, wyklęty i potępiony, miał nowy świat i poczucie że się rozwija, że nawet zyskał już uznanie otoczenia, że odnosi sukcesy i chyba rzeczywiście jest w tym dobry. To jego miejsce. A najważniejsze, że zyskał dobrego kolegę, wkrótce przyjaciela.

Natomiast rozmowa z dawnym guru, o garściach informacji zebranych z książki nie przyniosła nic rewelacyjnego. Moranowski znał te wszystkie fakty, oszałamiające perspektywy zamiany materii na energię uważał za prawdopodobne, ale w odległej przyszłości. Natomiast sam jest teraz zaabsorbowany innymi sprawami i niestety, w najbliższym czasie nie zanoszą się, żeby mógł prowadzić te interesujące rozmowy. Życzył więc Angusowi powodzenia we własnym odkrywaniu świata. Na pożegnanie lub może na odczepne, dał mu też książkę, którą sam uważał za doskonałą i z której, jak powiedział, sam korzystał w młodości, a ostatnio między innymi czerpał wiele z tych tak porywających ucznia, fragmentów i dyskusji matematycznych. Była to „Od tabliczki do różniczki”.

**Dobre wydawnictwa i TEM, klasa dla siebie. Jak ocalono sporo książek. Nauka zaangażowana.**

Niewątpliwie wyborna książka i Angus czytał ją później wielokrotnie, ale wtedy właśnie zafascynowała go seria „Biblioteki wiedzy”, to było objawienie. Już pierwszą

zdobycz, „Zagadki zjawisk fizycznych”, czytał za każdym razem doznając lśnienia, znajdując wciąż nowe zdumiewające fakty i oszałamiające teorie. Właściwie raczej dopiero możliwości teorii, nowe światy i nieskończoną ilość nowych pytań, na razie bez odpowiedzi. Ale oczywiście już nasuwały się drogi znalezienia ich, potrzebne były tylko bardziej dokładne wyniki, bardziej precyzyjne pomiary i nowe metody wykonania ich, same drobnostki. Już widział co trzeba by zrobić, choć oczywiście wymagało to jeszcze przemyślenia i koncepcji.

Oczywiście, zmobilizował wszystkie pieniądze jakie posiadał i jakie mógł zdobyć, zarobić lub wyciągnąć od rodziców, żeby kupić następne książki tej serii. W księgarni Wilaka został stałym klientem i można powiedzieć, czatował na każdą książkę, gdy tylko ją sprowadzono. Gdy przyszło kilka, przeglądał, wybierał i długo zastanawiał się, na którą stać go zaraz, a które musi odłożyć na przyszłość i jak zgromadzić pieniądze. To był duży wydatek, wydawnictwo Trzaski, Evert'a i Michalskiego stało naprawdę na najwyższym poziomie, wprost świetne. Ale nawet przed wojną te książki, zarówno z serii „Biblioteki Wiedzy” jak i innych, były nie tylko drogie, ale nawet, można powiedzieć, kosztowne. Szczerze mówiąc to raczej teraz, w okresie okupacji, stały się one bardziej dostępne, w okresie przedwojennym zapewne nie mógłby sobie na nie pozwolić.

Sprawa przedstawiała się prosto: wkrótce po zamknięciu bibliotek i zlikwidowaniu zbiorów książek, Niemcy przejęli również firmy wydawnicze i ich magazyny z książkami. Ustalono nad nimi zarządy niemieckich Trauhaederów, którzy rzucili się na majątek, najmniej jednak interesowali się magazynami wydanych już książek, przeznaczonymi w zasadzie na przemiał. Teoretycznie wydawca mógł wprawdzie starać się o zezwolenie na wprowadzenie książki do obiegu, jeżeli wykazał, że książka nie zawiera niczego, co mogłoby być uważane za w najmniejszym stopniu nieprzychylnie dla Niemiec i Niemców. Zwłaszcza zaś niczego, co stałoby w sprzeczności z ideologią i teorią ruchu narodowo - socjalistycznego. Praktycznie, a już zwłaszcza w sprawach nauki, było to nie do przebrnięcia, gdyż trzeba by odrzucić wszystkie fakty i teorie, tak zwane „zakazane zgniłym, dekadencjnym duchem zachodu, a zwłaszcza trującym wkładem myśli żydowskiej”. Czysta rasowo, germańska nauka to były tylko kalekie szczątki. Właściwie trzeba by odrzucić wszystkie nowoczesne osiągnięcia, np. samo wspomnienie o teorii względności stanowiło przestępstwo.

Nauka zwykła i nauka zaangażowana.

Jaka to różnica? Taka jak między krzesłem zwykłym, a krzesłem elektrycznym. To mniej więcej podobnie, jak w latach pięćdziesiątych, kiedy Łysenko na posiedzeniu Akademii nauk ZSRR, zamiast odpowiedzieć na fakty wynikające z eksperymentów oraz przedstawione mu w dyskusji zarzuty, po prostu pominął całą stronę rzeczową, natomiast udowodnił, że jego

oponenci nie wiedzą, co na ten temat sądzi Wielki Wódz. Po prostu wykazał, że to co mówią nie zgadza się ze słowami Stalina, po czym dyskusja skończyła się wielką czystką w Akademii, a oczyszczenie biologii radzieckiej powierzono właśnie Łysence. Przynajmniej w medycynie, rolę koryfeusza pełniła Olga Lepieszyńska, która nikogo nie tępiła ani nie rzucała dla wilków (czytaj NKWD), lecz poprzestała na bezsensownych teoriach o strukturze białek i możliwości odtworzenia struktury zolu, co miało podbudować raczej mało prawdopodobną obietnicę, zapewnienia Ojcu Narodów, jeżeli nie wiecznego, to przynajmniej niezwykle długiego życia. Rewelacyjnie łatwa metoda, polegała na moczeniu go na przemian w 1% i o.5% roztworze węglańu sodu, co samo w sobie było operacją nieszkodliwą, a choć raczej mało skuteczną, to przynajmniej poprawiającą higienę. Trzeba wziąć pod uwagę, że przedtem, oprócz okresowych łaźni połączonych z wygrzaniem się w specjalnie zbudowanym do tego celu piecu chlebowym, Stalin prawie wcale się nie mył.]

A więc praktycznie wszystkie te książki były przeznaczone na zniszczenie. Jednak wyznaczeni przez władze niemieckie Treuhaenderzy, nie byli w tym zainteresowani finansowo, raczej przeciwnie. Efekt ekonomiczny oddania makulatury na przemiał był raczej minimalny. A przecież trzeba uwzględnić, że ci ludzie, to były zazwyczaj po prostu szumowiny, które przybyły z Rzeszy do GG po to, żeby się szybko obłowić. Brak motywów finansowych oznaczał, że przestali się tym interesować. W tych warunkach często właścicielom udawało się opróżnić magazyny i uratować książki. Zwykle zastępowano je makulaturą, żeby waga się zgadzała, czasami po prostu załatwiano sprawę łapówką. Tak stało się w większości wydawnictw, zaczynając od popularnego, taniego i niekiedy trochę brukowego „Roju” aż do ekskluzywnego TEM’u. Książki trafiały na rynek, choć właściwie nielegalnie. Tanie wydawnictwa na ogół takie pozostały, natomiast te drogie i luksusowe znacznie potaniały. Na czarnym rynku trzeba szybko znaleźć klienta.

Dzięki temu, Agnus zdołał wkrótce nabyć „Od gwiazdy do atomu” i „Nowoczesna alchemia”, a potem prawie wszystkie inne, które go interesowały, to znaczy głównie z zakresu nauk ścisłych. Niestety na „Człowiek, istota nieznaną” albo „Wielka rewolucja Francuska”, nie starczyło mu chwilowo pieniędzy.

Nawiasem mówiąc, „Nowoczesna alchemia” stała się powodem jedynej kompromitacji na lekcjach. Czytając ją właśnie, był tak zaabsorbowany myślowo, że podręcznika chemii gimnazjalnej w ogóle nie otworzył i zupełnie nie umiał wyjaśnić różnicy między siarczkami i siarczanami, ani chlorkami i chloranami, nie mówiąc już o podchlorynach, chlorynach i nadchloranach. Krótko mówiąc, brzydko wpadł, nie nauczywszy się prawidłowej nomenklatury. Prawda, czysto pamięciowy materiał i nic tu nie trzeba było



rozumieć, ale on bujał właśnie w obłokach i część pamięciową w ogóle zlekceważył. Profesor Mazzurowicz i nawet kolega byli po prostu zaszokowani, To się jeszcze nie zdarzyło. Po raz pierwszy i jedyny zespół powtarzał wtedy lekcję z jego winy, po raz drugi zadano ten sam materiał. Sprawa jakoś przyschła, usprawiedliwił się typowo uczniowską wymówką, chorobą.

W miarę, jak Agnus wchodził w dobry okres życia, można powiedzieć od sukcesu do sukcesu, coraz bardziej odzyskiwał chęć do życia, dawną osobowość i wiarę w siebie. Coraz częściej też wracał myślami do najważniejszego celu życia - udziału w walce z wrogiem. Jeżeli nie jest aż tak nędzny i beznadziejny, jak przez ostatni rok myślał, jeżeli istnieje nadzieja, że jest jednak człowiekiem, a nie nędznym padalcem, to może mimo wszystko, będzie mógł się na coś przydać. Zaczął poszukiwanie od swojego dobrego kolegi. ten jednak udzielił odpowiedzi wymijającej. On się tym nie interesuje, gdy nadejdzie czas - itd., a na razie zajmijmy się nauką.

No tak, właściwie Angus trochę się tego spodziewał. Ostatecznie nie dlatego organizacje nazywają się tajne, żeby jeden kumpel klepał wszystko drugiemu.

Ale przecież czuł, pamiętał, wiedział gdzie znaleźć takie środowisko. Przecież jeszcze niedawno, słuchając „Wiele dni długich i nocy bezsennych” wtedy na dole w lasku... Gdyby czuł się godny, gdyby wierzył w siebie, otworzył usta i wyrzucił swoje najgorętsze pragnienia, swoje marzenia a walce i nawet ewentualnej zaszczytnej śmierci - pewien był, że mógł nawiązać upragniony kontakt. Stracił tyle czasu niepotrzebnie, dał sobie wmówić jakieś idiotyzmy, odsądzić od czci i wiary przez ograniczonego księdza. Przekreślił się całkowicie - i dla tego w chwili, gdy instynktownie czuł, że nadszedł odpowiedni moment, milczał. Zaniechał, stracił najlepszą okazję, jaka się trafiała. Teraz chciał spróbować jeszcze raz.

Mieszkali już na Piaskach, dość daleko i nie tak dogodnie, kiedy dosłownie wychodząc za dom, Agnus mógł zobaczyć grających na dole. Ale zaczął odwiedzać regularnie, każdego popołudnia, tamto boisko do siatkówki w lasku. Z reguły wkładał swoje szczęśliwe ubranie i dbał o wygląd zewnętrzny tak, że aż rodzice zaczęli przypuszczać, że spotkał jakąś dziewczynę. Owszem, dziewczyny też tam bywały, ale on ulokował swoje serce zupełnie gdzie indziej. Tutaj zaś starał się ze wszystkich sił nawiązać dobre stosunki ze wszystkimi. To nawet wydawało się odnosić skutek. Nie tylko tolerowano jego obecność, ale nawet czasem, zanim nadeszli lepsi gracze, zapraszano go na boisko. Niestety grał zdecydowanie źle, każdy tak zaczyna, więc się nie popisał. Ale bo też byli tam wprost nadzwyczajni siatkarze, rewelacyjni, na pewno nie miałby szans i później, zresztą nie widział

nigdy później takiego poziomu. Jednak wydawało mu się, że atmosfera jest coraz bardziej pomyslna. Ciągle jeszcze trzymał dystans, ale ten dystans stopniowo się zmniejszał.

Agnus nie zdawał sobie sprawy, że jego starania są dość przejrzyste, że grono ludzi, do którego się garnął, wiedziało już o nim sporo i w części go zaaprobowало, ale z istotnymi zastrzeżeniami. II kompania Ostrowiecka ZWZ i następnie wydzielony z niej Oddział Dywersyjny AK powstały, w zasadzie na bazie młodzieży z wyższych klas miejscowego gimnazjum, do tego doszli później i niektórzy starsi chłopcy z niższych klas, był także wychowawca oraz absolwenci z wyższych roczników. W własnym gronie informacje rozchodziły się szybko. Agnus miał już ugruntowaną opinię, cudownego dziecka i być może, przyszłego geniusza, także porządnego chłopaka i dobrego patrioty, ale przy tym absolutnego niezdary i niedołągi życiowego, bardzo niedojrzałego, dziecinnego i naiwnego. Wydawało mu się, że postępuje tajemniczo i anonimowo, tymczasem naprawdę był jak pod szkłem. Zakładano, że jego przydatność w konspiracji w tej chwili byłaby ograniczona, natomiast powinien przetrwać jako jednostka rozwojowa do czasów powojennych, kiedy brak będzie ludzi wykształconych względnie mogących się szybko doksztalić. Krótko mówiąc, zdecydowano o nim i za niego, o pewnego rodzaju parasolu ochronnym. Była to tylko decyzja lokalnego szczebla i miała ona swoje dobre i złe strony.

Bardzo dotkliwie odczuł, że pomimo wysiłków i poszukiwań, jeszcze przez dłuższy czas nie udało mu się nawiązać kontaktu i wstąpić do tajnej organizacji. Nie wiedząc, że ma tzw. szlaban i to w dodatku rzekomo dla własnego dobra, szukał winy w sobie. (To że nie wynikało z pozostałości dawnego kompleksu, ale z ogólnych przemyśleń. Właśnie Agnus przyswoił sobie książkową zasadę, że każde niepowodzenie, ma źródło z jednej strony w okolicznościach zewnętrznych, na które nie mamy wpływu, a z drugiej strony, choć tylko w pewnej części, zależy też od nas samych. Ponieważ tej pierwszej części nie możemy zmienić, trzeba szukać możliwości zmian i ewentualnie poprawić to, na co ma się wpływ. A więc przy każdym niepowodzeniu trzeba najpierw przyjrzeć się sobie. Może i dobra zasada, ale dosyć jednostajna i monotonna, bo w końcu wyczerpuje się możliwości i pozostaje frustracja. Na ogół lepsze rezultaty osiąga się, wybierając aktualny cel działania tam, gdzie zmieniające się okoliczności zewnętrzne ukształtują się akurat korzystnie, niż uparcie trykając głową w ścianę. Z drugiej strony, to pierwsze postępowanie motywuje dążenie do doskonalenia się. Chyba więc najlepiej wybrać drogę pośrednią, wyważyć obie zasady.)

Natomiast dobrą stroną tej sytuacji było może to, że coraz bardziej starając się włączyć do aktywnego uczestnictwa w ruchu oporu, w przyszłości dotarł do wielu różnych środowisk politycznych, od ONR do PPS-WRN, a nawet ponownie sam założył małą tajną

organizację. W końcu dostąpił zaszczytu pełnienia pewnych prostych usług dla Delegatury Rządu, cywilnej podziemnej władzy, na szczeblu powiatowym. Można powiedzieć, szeroki przegląd środowiska. Te dosyć nerwowe i gorączkowe poszukiwania własnego miejsca, w niektórych wypadkach zwracało uwagę i nawet mogło budzić podejrzenia w środowiskach konspiracyjnych, ale wtedy, za każdym razem, otrzymywał dobrą, czystą opinię z lokalnego oddziału AK. Także i wtedy, kiedy na własną rękę spróbował po raz pierwszy dotrzeć wprost do oddziału partyzanckiego.

Ale wracając do chwili obecnej: wśród młodzieży, grającej w siatkówkę w tamtej grupie, znajdowali się zarówno chłopcy jak i dziewczyny, niektórzy pojawiali się codziennie, inni od czasu do czasu. Kilka osób i to raczej stałej ekipy mieszkało bardzo blisko, przy ulicy Traugutta. Większość przyjeżdżała z daleka, na rowerach. Wszyscy oni byli aktywnie związani z konspiracją, można by nawet powiedzieć że stanowili jej zaczątek i rdzeń. Także dowódca kompanii, chociaż starszy wiekiem, pojawiał się tu często i grywał w siatkówkę całkiem nieźle, chociaż nie należał do tych najlepszych, raczej młodszych.

Natomiast nie oznacza to wcale, że wszyscy członkowie II kompanii grywali w siatkówkę. Na przykład, żołnierzem II kompanii był i Stach Konar i niektórzy inni koledzy, a żadnego z nich Agnus tam nie spotkał. Krótko mówiąc to było po prostu grono koleżeńskie, które tam zgromadziła tylko siatkówka, a to, że akurat podzielali te same przekonania i znaleźli się w tej samej organizacji, nie miało żadnego związku, chociaż było całkiem naturalne. Na ogół wszyscy pochodzili z dobrze sytuowanych rodzin, byli w kręgu o wysokim poziomie intelektualnym i kulturalnym, otrzymali dobre wykształcenie i w dużej części kształcili się dalej. Można powiedzieć, że byli pierwszym i najlepszym produktem nowo zreformowanych szkół średnich, które właśnie przed wojną wypuściły pierwszych absolwentów. Trzeba przyznać, że rezultaty reformy, sądząc po jej owocach, świetne.

Wspaniałe pokolenie i nie tylko ze względu na wyniesioną wiedzę - także inteligentni, wrażliwi, ofiarni i gotowi do poświęceń, na wspaniałym poziomie moralnym, co nie przeszkadzało im żyć pełnią życia i cieszyć się nim. Może na ten model, oprócz szkoły, miały też wpływ filmy, zwłaszcza amerykańskie. Gdyby nie wojna, ci młodzi ludzie wszyscy studiowaliby i potem, starali się budować nowe i wzbogacać stare. W wolnych chwilach pewnie marzyliby o motocyklu, jeżeli nie akurat o Harley-Davidson'ie, to przynajmniej o polskim „Sokole”, podobnie jak dziewczyny o małym otwartym kabriolecie, może francuskiej zabawce na trzech kołach, choćby na spółkę z koleżanką. Oczywiście o dalekich wycieczkach w czasie wakacji, poznaniu kraju i może później Europy, nawiązaniu ciekawych znajomości - „...pędziliśmy po szosach, na gaz, na pełny gaz”... Z taką samą pasją dziewczyny starałyby się

e realizować w życiu swoje ideały, stać się aniołami opiekuńczymi dla ludzi opuszczonych, biednych, starych. I natchnieniem młodych.

Bez wątpienia główną cechą tej grupy był gorący idealizm wszystkich, a w godzinie ciężkiej próby i klęski, całego pasma nieszczęść zjednoczyło ich pragnienie czynu, chcieli i byli gotowi na ofiarę i poświęcenie. I rzeczywiście tak się też stało. z tej wspaniałej młodzieży żaden nie przeżył. Nawet ci nieliczni którym udało się przejść przez wojnę, zginęli później w więzieniach, gdy okupację niemiecką zmieniła okupacja ZSRR.

Zapewne nie doceniali niebezpieczeństwa, ale nawet gdyby tak nie było, to i tak żaden by się nie cofnął. Żyli i umierali wspaniale, gotowi na całopalenie w imię swych ideałów. W międzyczasie, wesoło, z radością i wzajemną przyjaźnią cieszyli się każdą chwilą, jaką mieli, każdym dniem. To też nie należy ich wspominać z żalem, a raczej z zazdrością. Oni wybrali najlepszą część życia.

„Ten kto może ginąć z pełną wiarą, że umiera za ludu swobody, że krwi swojej serdeczną ofiarą zbawi w więzach jęczące narody, że Ojczyźnie cierpiącej otworzy nowe drogi szczęścia i pokoju, ten umiera jak sługa Boży...”

.....

„Lecz kto ginie jak niewolnik marny, zawleczony za włosy, przemocą i rzucony pod topór ofiarny, nic nie wiedząc dlaczego i po co...”

Ten wiersz nie stracił aktualności, ani wtedy, po prawie osiemdziesięciu latach, ani teraz, po stukilkudziesięciu.

Starania Angusa nie przeniosły na razie widocznego efektu. W szczególności nie udało mu się zbliżyć do jednego z braci Godniowskich, na boisku nazywanego powszechnie Filipem, chociaż nie było to jego imię (podobno nadano mu je w szkole, gdyż lubił wrywać się na lekcjach „jak Filip z konopii”). Chodziło o tego, który przyniósł wtedy i zaśpiewał piosenkę o Oświęcimiu. Także w wypadku innych młodych mężczyzn, nie udało się nawiązać kontaktu takiego, żeby rozpocząć szczerą rozmowę. Natomiast w pewnej chwili, wyglądało na to, że dziewczyny mają lepsze serca. Jedna z nich, siostra starszego nieco mężczyzny, (później już dowiedział się że to sam dowódca kompanii), przeprowadziła z nim dłuższą rozmowę, ogólną, ale wyglądała jak interview i mogła być faktycznie wywiadem kwalifikacyjnym. Bardzo możliwe, że jeżeli Agnus jeszcze nie nadawał się na żołnierza, mógłby jednak otrzymać i spełniać jakieś funkcje pomocnicze. Przecież także i te dziewczyny, nie będąc żołnierzami, wszystkie zaangażowane były w konspiracji i pełniły rolę łączniczek, sanitariuszek itd.

Jedno z pytań brzmiało, czy Angus umie dobrze jeździć na rowerze. Raczej stereotypowe, biorąc pod uwagę, że tutaj wszyscy umieli i wszyscy, z wyjątkiem tych mieszkających w najbliższej okolicy. przyjeżdżali i odjeżdżali na rowerach. Tymczasem, on właśnie nie umiał, niestety. Przed wojną, matka twierdziła, że jest jeszcze za mały na rower, chyba dziecięcy. Dopiero w 1939 r zaczął zbierać pieniądze, ale zamiast roweru wpłacił je następnie na FON. Jakoś nigdy nie próbował, a po wybuchu wojny nie było okazji.

- A czy mógłby się nauczyć?-

- Ależ naturalnie. Nic prostszego.-

Dwie dziewczyny, młodsze, od razu zaofiarowały się go nauczyć. Miał spróbować na damce, a więc żadnych problemów z wsiadaniem i zsiadaniem. Powinno udać się gładko. Tymczasem próba zakończyła się fatalnym niepowodzeniem. Angus nie był w stanie przejechać nawet kilku kroków, spadał raz za razem. Co więcej, przewracał się nawet podtrzymywany przez jedną z dziewczyn, które na zmianę, z pełnym poświęceniem biegly koło roweru. Jedynie kiedy obie we dwojkę prowadziły rower, Angusowi udawało się na nim usiedzieć ale wtedy wisiał jak worek. Biedaczki, starały się ze wszystkich sił i obie były już wykończone, zaś Angusowi szło coraz gorzej.

Sytuacja stała się kompromitująca i najchętniej zapadłby się pod ziemię, a to jeszcze bardziej deprymowało i pogarszało rezultaty. Nie pozostało nic innego, jak przerwać to żalosne przedstawienie i możliwie szybko się wycofać. W ten sposób ta druga część opinii Angusa, że jest skończonym fajtlapą i niedołągą, została ugruntowana.

Wyjaśnienie jest proste, Angus wciąż jeszcze cierpiał na poważne zakłócenia równowagi. Incydent, opisany w rozdziale II, kiedy Angus służył swym ramieniem jako podpórka do strzału, spowodował uszkodzenie błędnika. Powstaje pytanie, dlaczego przy tych próbach nie powiedział tego zaraz. Otóż o swojej przygodzie nikomu nie opowiadał, a zwłaszcza matce, nie radził się również lekarza, a sam nigdy nie spotkał się z podobnym wypadkiem i po prostu nie zdawał sobie sprawy z następstw. Zauważył tylko, że od pewnego czasu zmysł równowagi często go zawodzi, ale sytuacja powoli się poprawiała. W roku 1941 mógł już stać, a nawet chodzić z zamkniętymi oczami, względnie czytając, ale dopiero w zimie 1942 udało mu się zjechać z pagórka na nartach, przedtem owszem, jeździł, ale tylko po równym terenie, zjazd z górki kończył się szybko. Na rowerze zaczął jeździć dopiero od roku 1945 i to bez problemów, chociaż naturalnie początkowo przeszkody go przyciągały. Natomiast wówczas, przy końcu pierwszego tygodnia czerwca 1941 nie rozumiał, dlaczego mu tak źle poszło.

W tamtym okresie, Agnus raczej ułożył sobie dla wyjaśnienia następującą hipotezę: Jeżeli ktoś przez długi czas uparcie dąży do jakiegoś celu, prędzej czy później los da mu szansę. Jeżeli jednak tej szansy nie wykorzysta, albo nie rozpozna właściwej chwili w porę to już koniec. Druga szansa trafia się tylko pozornie, ma ukryte słabe ogniwo które w krytycznej chwili pęka i próba skorzystania z niej kończy się niepowodzeniem. Jakby los chciał ukarać albo zakpić, naigrawać się z tego, kto zmarnował pierwszą szansę, daje następną tylko na niby. Oczywiście teoryjka taka jest mało przekonująca, przecież zdarza się, że dopiero po wielu niepowodzeniach, udaje się osiągnąć cel. Ale może jednak coś w tym jest, w tym sensie, że wyjątkowego daru losu nie należy oczekiwać wielokrotnie.

To oczywiście nie znaczy, żeby po tym niepowodzeniu Agnus zrezygnował ze swych celów życiowych. Tego nie mógł zrobić bo to znaczyłoby, że w ogóle utracił sens życia. Ale po pierwsze czuł się głęboko skompromitowany, a po drugie wydawało się wątpliwe, żeby mógł jeszcze coś w tamtym środowisku osiągnąć. Zapewne nawet i te dziewczyny, które tak ofiarnie starały się mu pomóc, miały go już dosyć. Przez kilka dni, nie pokazywał się więc w tamtych stronach. A wkrótce potem, o grze w siatkówkę nie mogło przez pewien czas być mowy.

Po raz drugi w tym roku, szosa, drogi, pobliskie laski i cała okolica, zapęłniły się znów niemieckim wojskiem. Ale w porównaniu do teraz, poprzednie przesuwanie się armii niemieckiej mogło się wydawać wprost drobnostką. Od połowy czerwca szosą jechały bez przerwy takie masy wojska, ludzi, broni i wszelkiego sprzętu, że trudno było wręcz przejść na drugą stronę. Wydano nawet oficjalny zakaz korzystania z szosy przez prywatne pojazdy lub wozy. Z początku, niektórzy uważali to za powrót wojsk, które przedtem przetrucano z Francji na Bałkany, ale potem stało się widoczne, że to coś więcej. Całą szerokością szosy waliła zmotoryzowana piechota i masa innych pojazdów. Nawet matka Angusa, patrząc na to niewiarygodne widowisko, komentowała to tak: - Byliśmy ślepi, nie zdawaliśmy sobie sprawy, jaką potęgą Niemcy dysponują. Musieliśmy przegrać, od początku nie mieliśmy najmniejszych szans. Głupie hasła nam wmawiano, - nie oddamy ani guzika, obronimy się, pobijemy Niemców.-

Wbrew pozorom, nie były to słuszne twierdzenia. W tej chwili, po dwóch latach wojny siły zbrojne Niemiec były znacznie większe, niż na początku. Mieli małe straty i mnóstwo zdobyczy, kilkakrotnie więcej sprzętu niż gdy napadli Polskę (Angus oceniał, że ze cztery razy, a przecież nie na Polakach się tak dozbroili). Także i żołnierzy, wierzących teraz w swego Fuehrera jak w boga, wprost pełnych entuzjazmu zamiast wątpliwości i niechęci do

wojny, jak było na początku i jeszcze przy końcu kampanii 1939 r w Polsce, która nie była dla nich łatwa.

Najbardziej komiczne wrażenie robiły jednak tytuły gazet. Poświęcone były one już nie tylko wielkiej przyjaźni, ale gorącej, wprost płomiennej miłości między Niemcami i Związkiem Radzieckim. Wielkie litery na pierwszych stronach krzychały: „Nic nie zakłóci wieczystej przyjaźni, współpracy i sojuszu Niemiec i ZSRR przeciwko zgniłym demokracjom zachodu.”

Kontrast między tym, co widziało się na własne oczy i tym co pisano, był zabawny. Agnus i rodzice zaśmiewali się, rozważając czy Rosjanie dostają te gazety i jak można przypuszczać że Armia Czerwona dostrzeże te tytuły, a jednocześnie będzie na tyle ślepa, żeby nie zauważyć, że niemieckie armie już ruszyły „en masse” na wschód. Nawet ślepy by to dostrzegł. Prawie wszyscy Polacy nie mieli żadnej wątpliwości że to już początek nowej wojny, jednak zdarzały się też wyjątki. Może dlatego, że przed mniej więcej trzema miesiącami snuto podobne przypuszczenia, a jednak nie doszło wtedy do wojny między Niemcami i ZSRR, lecz rozpoczęła się wyprawa Niemców na Bałkany. Agnus słyszał nawet, wprawdzie tylko jeden raz, tak dziwną opinię, że przesunięcia wojsk dokonywane są tylko w celu odbycia wielkich wspólnych manewrów niemiecko rosyjskich. Potem zaś obie armie wyruszą, niemiecka na bliski wschód, przez Turcję na Bagdad, Kair i przede wszystkim Kanał Suezki, a rosyjska przez Persję na Indie. Rozmówca przy tym zaklinał się, że to absolutnie pewne i że w Warszawie, skąd przyjechał, większość tak uważa. Natomiast w czasie tych wspólnych manewrów, kiedy wojska będą skupione na małej przestrzeni, zaatakuje je brytyjskie lotnictwo i to będzie punkt zwrotny, a potem rozpocznie się polskie powstanie wsparte przez desant powietrzny Anglików. Oczywiście to był przysłowiowy sen pijanego ogrodnika, bredzenie człowieka, który nigdy nie widział wojny z bliska. Angus nawet nie usiłował wyjaśnić, że przecież ani brytyjskie lotnictwo nie mogło skutecznie działać na taką odległość, gdzieś po obu stronach Bugu, ani też same bombardowanie i ataki lotnicze nie mogą pokonać armii lądowych. Nawet z pomocą polskiego powstania.

Owszem, bombardowanie mogło spowodować pewne straty, zwłaszcza wśród bezbronnej ludności cywilnej. On to przecież już widział na własne oczy, a kto tego nie rozumiał, z tym nie warto było dyskutować. Takie nonsensy mogły powstawać albo pod wpływem gazet, albo celowo szerzone przez niemiecką propagandę.

Rankiem 22 czerwca ojciec Angusa cofnął się nagle z drzwi na podwórze i powiedział: - - Zaczęło się! -

- Skąd wiesz? -

- Wyjdźcie na dwór.-

Wyszli wszyscy i usłyszeli daleki, ciągły i głęboki pomruk, jedyny w swoim rodzaju.

- Musi tam być gorąco, - powiedział ojciec. Wydawał opinię jako niekwestionowany autorytet w tej dziedzinie, gdyż służył w artylerii w czasie bitwy warszawskiej, cudu nad Wisłą. Angus też słyszał już armaty, ale nigdy w takim zespole, tutaj ten pomruk trwał właściwie bez przerw, tylko pulsował. Do linii frontu mieli ok. 150 km. Odgłosy słyhać było przez kilka dni, coraz słabsze, odległość wzrastała.

Tego dnia gazety ukazały się bardzo późno. Mówiono, że podobno były już wydrukowane nakłady wychwalające pod niebo ZSRR i zapewniające o wieczystej przyjaźni i współpracy tegoż z Niemcami, co nie pozostawiało żadnych szans zdegenerowanym plutokracjom, obłudnie nazywającym się demokracjami. a naprawdę manipulowanym z ukrycia przez żydowskich kapitalistów i bankierów. Młode państwa, Niemcy i ZSRR zbudują nowy świat. Jednym słowem to samo, co ostatnio. Dopiero w ostatniej chwili te nakłady podobno wycofano i na gwałt drukowano nowe, o obronie wartości europejskiej cywilizacji przed dzikimi, krwawymi hordami azjatyckimi. Nie wiadomo, czy ta historia jest prawdziwa, ale jeżeli nawet nie, to dobrze zmyślona.

Sojusz Hitlera ze Stalinem był od samego początku wprost nieprawdopodobnym zjawiskiem. Przymierze najskrajniejszej prawicy z najskrajniejszą lewicą, ognia z wodą. A poza tym to jakby Lukrecja Borgia zawarła małżeństwo z Henrykiem Sinobrodym, obie strony bardzo ryzykowały i faktycznie, przesądziły fatalnie przyszłość swych krajów.

Ta absurdałna przyjaźń i współpraca wynikała stąd, że żadne z tych przyjemniaczków z osobna nie miało dostatecznych sił do rozpętania II Wojny Światowej. Hitler po połknięciu Czechosłowacji, został skutecznie zablokowany przez dyplomację brytyjską i choć sam nadal był pewien, że jest w stanie zwyciężyć, jego poddani nie podzielali tej wiary i nie poszliby za nim. Stalin niedawno zniszczył najpotężniejszy instrument agresji, armię od lat przygotowywaną do zajęcia od jednego zamachu przynajmniej centralnej części Europy aż do Atlantyku i choć nie zdawał sobie sprawy z tego, do jakiego stopnia osłabił wojsko, nie był skłonny samodzielnie podjąć ryzyka. Wolał czekać aż przyszli wrogowie wykrwawią się, walcząc między sobą. Obaj połączyli siły dla podpalenia świata, ale była to współpraca zbójców, którzy po udanej napaści planowali zabić współbandytę i zagarnąć cały łup.

Z początku, Hitler płacił hojnie swemu partnerowi, choć nie ze swojej kieszeni. Do aktualnej współpracy wojskowej doszło przeciw Polsce i następnie przeciw Rumunii, gdzie ZSRR pierwszy złamał rumuńską determinację neutralności i obrony swego terytorium, a potem Hitler pozbiierał owoce, rzucając spory ochłap na zachętę Węgrom. Ale ZSRR



spełniało też dla Niemiec podobną rolę, jak USA dla Anglii, pozostawało wielką bazą zaopatrzenia, z tą różnicą, że oprócz żywności dostarczało nie produkty przemysłowe, ale surowce strategiczne, które Niemcy, mając lepszą bazę przemysłową, przerabiali sami. Nawet funkcjonowało tu coś w rodzaju leand-leas'u, bo podobnie jak przedtem w handlu z innymi państwami, także i Polską, Niemcy celowo prowadziły politykę większego importu niż eksportu, utrzymywali ujemne saldo, które wciąż się powiększało. Mimo to pociągi z zaopatrzeniem strategicznym nie zatrzymały się ani na chwilę, ostatnie nadchodziły jeszcze po północy 22 czerwca, a dalsze Niemcy minęli, stojące na szlaku po rozpoczęciu ofensywy.

Natomiast Hitler nie skorzystał z ofert Stalina, dalszej współpracy wojskowej, między innymi na Półwyspie Skandynawskim. Za dotychczasowe cenne usługi zapłacił szerokim pasem ziem, odstępując prawie połowę Polski i akceptując z jednej strony zabór Litwy Łotwy i Estonii oraz części Finlandii, a z drugiej strony częścią Rumunii, ale zachowując uzasadnioną ostrożność nie chciał dopuszczać sojusznika zbyt blisko. W szczególności ostatnia przyjacielska wizyta Mołotowa, na której domagał się on zwiększenia udziału łupów, zwłaszcza ujścia Dunaju i prawa uprzywilejowanej żeglugi a także reszty Finlandii, spotkała się z odmową. Zresztą to najwyraźniej nie była już sprawa zapłaty czy podziału łupu, ale zajmowanie dobrej wyjściowej pozycji do przyszłej ofensywy i pozbycia się dotychczasowego partnera. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że gdy tylko Wehrmacht rozpocząłby inwazję Anglii, albo gdziekolwiek indziej zaangażowałby się na większą skalę, miałby na karku i plecach Armię Czerwoną. W tej chwili więc, Hitler miał do wyboru tylko jeden kierunek, gdzie mógł ponieść śmierć i zniszczenie, na wschód. Nadszedł czas poderżnięcia gardła współnikowi. Według opracowanych wcześniej planów, 22 czerwca Wehrmacht powinien już mijać Smoleńsk i przekroczyć Dniepr, to nieszczęsna Jugosławia była winna za powstałe opóźnienie.

W swojej mowie przedrukowanej przez wszystkie gazety, Hitler uzasadniał kolejną napaść, w której jak zwykle nie trudził się wypowiedaniem wojny, tym, że nikt widząc wymierzony w siebie karabin nie będzie czekał na strzał. Kłamał często i bez zmruczenia oka, ale to znowu nie znaczy, że nigdy nie powiedział słowa prawdy, zwłaszcza jeżeli to słowo prawdy mu właśnie odpowiadało, a poza tym mieszał trochę prawdy i trochę kłamstw dla zmylenia przeciwników. W tym wypadku szybki Adolf zaczął strzelać pierwszy, ale rzeczywiście Stalin też był mocno zaawansowany w przygotowaniu uderzenia.

Jeżeli w 1939 r Polacy spodziewali się, że dojdzie do zderzenia między Niemcami i wkraczającą Armią Czerwoną, to były to tylko pobożne życzenia. Oba wojska demonstracyjnie okazywały sobie koleżeństwo i zaufanie, „wykute we wspólnym boju”, a w

Brześciu odbyła się wspólna defilada zwycięstwa. Co więcej, przy okazji tej defilady z bezpośredniego rozkazu Stalina, przekazano w ręce Gestapo niemieckich uciekinierów, członków byłej Partii Komunistycznej Niemiec, która aż do dojścia Hitlera do władzy była wielką, milionową organizacją i której członkowie zaciekle walczyli z hitlerowcami na ulicach niemieckich miast. Stalin już przedtem zlikwidował wielu uciekinierów, a pozostałych, którzy i tak byli skazani, rozkazał przekazać Niemcom, pozostawiając tylko w głębokiej tajemnicy małą ilość z tych, którzy przedtem pełnili rolę donosicieli dla GPU i udowodnili czynnie, że gotowi są wypełnić każde najpodlejsze polecenie, zdradzić towarzyszy. Niewielka grupa takich, co w stadzie owiec woleli być rzeźnikami, została zachowana, gdyż mogli przydać się w przyszłości. W tamtych dniach, zawarto też oficjalne porozumienia w sprawie współpracy GPU i Gestapo w zwalczaniu i prześladowaniu Polaków, wspólne biuro łącznikowe zostało zorganizowane najpierw w Krakowie, a potem dla lepszego zachowania tajemnicy przeniesione w pobliże Zakopanego. Taka sama placówka powstała po stronie rosyjskiej.

Tym niemniej ojciec Angusa opowiadał, że żołnierze rosyjscy przekonani byli, że wejście do Polski jest tylko początkiem i że mają przed sobą daleką drogę na zachód. Ojciec opowiadał, jak podobno śpiewali już wtedy:

„Germańce, Germańce, job’ waszu mat’,

zawtra w Berlinie budu skuszat’...” Na razie jednak trzymanymi byli na krótkiej smyczy, a za rozmowy na ten temat groziły kary.

W 1939 i 1940 r. czas pracował dla Stalina. Po pierwsze odbudował częściowo armię, która podczas kampanii fińskiej przeszła próbę i obnażyła swoje słabości i braki. Ludzi nie brakło, a włożono morderczy wysiłek w produkcję sprzętu, za cenę głodu, niewolniczej pracy do zupełnego wyczerpania i wielu żyć ludzkich. Najgorzej było z kadrą dowódczą, nie dało się szybko zastąpić setek tysięcy wymordowanych oficerów, a tym bardziej wyższych dowódców, ale ci którym udało się przeżyć w obozach, „mniej winni”, byli teraz stopniowo zwalniani i po leczeniu i krótkim odpoczynku w kurortach Krymu wracali do służby. W 1940 r. wyznaczone zadania zostały na papierze wykonane i od początku 1941 r. Armia Czerwona zaczęła zajmować pozycje wyjściowe, czemu towarzyszyły kilkakrotnie ukazywały się komunikaty, powtarzane także w niemieckich gazetach, że nie ma żadnych ruchów wojsk po stronie rosyjskich, odbywa się tylko normalna rotacyjna wymiana oddziałów.

Zasadnicza różnica między Niemcami i ZSRR polegała na tym, że Niemcy dysponowały gęstą siecią dobrych dróg, nie wspominając już o autostradach i także gęstej sieci kolejowej, natomiast ZSRR miał kiepską infrastrukturę terenową, daleki transport

spoczywał praktycznie całkowicie na kolejach, których sieć też była stosunkowo rzadka, resztę nadrabiać musiały nogi piechura. Dlatego Niemcy mogły przerzucić wojska w ciągu kilku dni, najwyżej tygodni, podczas gdy ZSRR potrzebował na to miesięcy. Zdecydowawszy się na wojnę gdy wyczerpały się możliwości posuwania dzięki samym tylko prezentom Hitlera, Stalin potrzebował więcej czasu na przygotowania i starał się za wszelką cenę kupić ten czas. Dlatego wojskom pierwszego rzutu, kategorycznie zabroniono strzelać i nawet odpowiadać na ogień niemiecki, unikać za wszelką cenę jakichkolwiek konfliktowych sytuacji i w żadnym wypadku nie dać się sprowokować. Trudno powiedzieć, czy na bezpośredni rozkaz Stalina, czy z inicjatywy lokalnych generałów, panicznie obawiających się najmniejszego posądzenia, że mogli popełnić jakiegokolwiek zaniedbania lub niedostatecznie gorliwie wykonać rozkaz Stalina, oddziałom zajmującym pozycje w pobliżu granicy, nie wydano przeważnie nawet ostrej amunicji. Obowiązywał też bezwzględny zakaz strzelania do niemieckich samolotów wywiadowczych, które w ostatnich tygodniach całkiem jawnie i masowo prowadziły rozpoznanie lotnicze. Wreszcie dosłownie do ostatniej godziny, może nawet minuty, granicę przejeżdżały pociągi z zaopatrzeniem dla Niemiec.

Rozpoczęto intensywne prace, przy likwidacji potężnej linii fortyfikacji, zwanych Linią Stalina. Ten gigantyczny pas umocnień, głęboki na kilkadziesiąt kilometrów i nie do sforsowania przez nowoczesną armię zmotoryzowaną, stanowił poważną przeszkodę komunikacyjną i dlatego otwierano w nim szerokie przejścia, dla nadciągających mas Armii Czerwonej i transportu zaopatrzenia.

Nie ma sensu zgadywać, kiedy Armia Czerwona miała rozpocząć uderzenie, zwłaszcza że i tak ostatecznie zależało to od rozkazu Stalina, który często zmieniał decyzje, nawet cofał się jeżeli nabrał najmniejszych podejrzeń, że istnieje jakieś ryzyko i zapewne do ostatniej chwili kazałby się przekonywać zaufanym współpracownikom, że wszystko jest gotowe i zapięte na ostatni guzik. W dniu 22 czerwca, większość oddziałów armii była już w wyznaczonych rejonach i zakończenie koncentracji zajęłoby jeszcze parę tygodni. Ale wydaje się, że w ocenie sytuacji po stronie rosyjskiej, trzeba uwzględnić jeszcze inny czynnik.

W obozach koncentracyjnych ZSRR, na dalekiej północy, znajdowało się wiele milionów więźniów, którzy w czasie czystek w armii i w ogóle w latach terroru, nie dostali tzw. „czapy” to jest natychmiastowej kary śmierci. Normalnej egzekucji w ważniejszych i można powiedzieć reprezentatywnych wypadkach, albo, przeważnie, kuli w tył głowy w piwnicy i bez niepotrzebnych ceremonii. W skrajnie trudnych warunkach obozów odbyła się już naturalna selekcja, przeżyli tylko najsilniejsi, w tym wielu dawnych wojskowych. Obecnie ci „mniej winni” otrzymali możliwość „odkupienia dawnych przewinień” swą krwią.

Opróżniono obozy, dawni więźniowie zostali żołnierzami. Chociaż na razie bez broni i często nawet bez mundurów, popędzono ich najpierw pieszo i po dotarciu do linii kolejowych, pociągami na zachód. Ta ostatnia fala była dopiero w drodze. Jeżeli miała ona stanowić rezerwę, to w takim razie stan gotowości był sprawą paru tygodni. Ale jeżeli ci byli więźniowie mieli stanowić pierwsze oddziały szturmowe, które miały torować drogę zmobilizowanej regularnej armii, położyć pierwsze szeregi trupów, rozpoznając i przełamując obronę niemiecką, to znaczyło by, że Stalin planował początek wojny później.

Niemcy napotkali dywizje byłych więźniów dopiero we wrześniu, kiedy znaczna część armii z poboru już nie istniała. Ponieważ autor osobiście uważa, że miały one właśnie znajdować się na pierwszej linii, przypuszcza, że Armia Czerwona miała ruszyć dopiero jesienią, albo na początku zimy, ale jak zaznaczył, nie ma na to żadnych dowodów. Tylko przypuszczenie, oparte na prawdopodobnym obrazie rzeczywistości w tym ustroju. Najpierw pędzono by w ogień byłych więźniów, którzy mieliby do wyboru albo iść na przód, albo umierać od kuli w plecy, za nimi w drugim rzucie armia regularna i za nimi w trzecim rzucie wojska GPU, które zabijałyby tylko własnych żołnierzy, gdyby ci się cofnęli. Armia niemiecka wciąż jeszcze zupełnie nie była przystosowana do prowadzenia działań w zimie i to nie stanowiło żadnej tajemnicy, a rosyjska przeciwnie, z wyboru prowadziła ofensywy zimą.

W każdym razie, Polacy przyjęli ten nieoczekiwany zwrot z entuzjazmem. Bandyci, którzy napadli wspólnie ich kraj, teraz rzucili się sobie do gardeł. Dotychczas mordowali wspólnie Polaków. teraz zaczęli mordować siebie nawzajem. Bez względu na wynik, każda wiadomość mogła być tylko dobra, wspaniała po tych beznadziejnych latach. Jeżeli Niemcy tłukli Rosjan, to dobrze, jeżeli Rosjanie robią rąbankę z Niemców, jeszcze lepiej.

Na razie były dwa źródła wiadomości: gazety donoszące wyłącznie o wspaniałych zwycięstwach niemieckich, oraz cichnący pomruk armat, front wyraźnie się oddalał. Inaczej zresztą być nie mogło, obrona przygraniczna przeważnie nie miała zupełnie możliwości stawiania oporu, nie ośmieliła się strzelać do wkraczających wojsk niemieckich bez rozkazu lub nie miała czym i została gładko zmasakrowana. Główne siły rozłożone dalej też przez dłuższy czas czekały na polecenia z góry, po dotychczasowych doświadczeniach Stalin uważany był za bez porównania większe zagrożenie niż wkraczający wróg, którego jeszcze nie znali. A Stalin najpierw nie chciał wierzyć napływającym wiadomościom, a potem wpadł w panikę czy depresję i w ogóle na nic nie reagował. W tych warunkach pierwsza faza wojny wyglądała, jak przysłowiowy napad bandytów na dom wariatów, może należałoby jeszcze

dodać, dom w który właśnie strzelił piorun. Zresztą kiedy Stalin wreszcie się opamiętał i zaczął wydawać rozkazy i dowodzić, to jeszcze bardziej pogorszył sytuację.

\* \* \*

Od końca maja, gdy rodzice wprowadzili się na nowy adres, ponownie na ulicę Piaski, Angus miał stosunkowo blisko do domu prof. Mazzurowicza, gdzie odbywały się lekcje. Szedł przez podwórze i tylną bramę na pola, a potem dalej miedzą od tyłów ul Piaski do tyłów ul Wspólnej, mniej więcej 15 min wśród zbóż i wychodził na wielki, zarośnięty ogród, w środku którego stał dom profesora. Potem zwykle wracał tą samą drogą w towarzystwie Stacha, z którym następnie siadali razem do prac domowych, zwykle na godzinę lekcji przypadało 4-6 godzin pracy własnej, większa proporcja niż normalnie w szkole. Czasami mała zmiana, szli razem do początku ul. Wspólnej, gdzie już przy wylocie na ul. Pierackiego mieszkał Stach Konar, a jego matka prowadziła obecnie sklep spożywczy. Ale zwykle woleli jednak uczyć się na ul. Piaski dlatego, że tam mieli duże osobne pomieszczenie oraz spokój i ciszę, nikt im nie przeszkadzał.

Rodzice Angusa wynajmowali obecnie całą połowę zbudowanego z wielkich kamieni domu, idealnego w lecie, ale bardzo zimnego w zimie. Wynajmowana część składała się z dwu pomieszczeń w amfiladzie, większego dwuokiennego pokoju od frontu i mniejszej kuchni od podwórza oraz wielkiej, cementowej hali, prawie jaskini, obok. Miała one taką długość, jak oba pomieszczenia mieszkalne, a było od nich szersza, sporo ponad 60 m kw. i stanowiła lokal sklepowy.

Ten sklep całkowicie pusty, urządzili sprowadzając tą samą co przedtem ekipę stolarską, która na miejscu zbudowała długi kontuar i za nim bufet względnie tak zwana dzisiaj szafostiankę. (Jeszcze wciąż można było umówić się i sprowadzić rzemieślników z getta, wkrótce potem stało się to niemożliwe.) Przed kontuarem stało kilka stolików i kilkanaście krzeseł. Właściwie cała ta inwestycja okazała się o tyle chybiona, że przydziały alkoholu na koncesje zaczęły się gwałtownie kurczyć i przy końcu lata całkowicie ustały, nie było więc sensu dalej trzymać otwartego sklepu. W końcu sierpnia 1941 zamknięto go więc i już nie otwierano, ściślej mówiąc to oszklone drzwi były stale zamknięte okiennicą z zielonych desek, natomiast wielkie okno sklepowe odsłaniano, żeby wpuścić do niskiego, lecz rozległego wnętrza trochę światła słonecznego. Zwykle więc Stach i Agnus, odrabiali lekcje przy jednym ze stolików w pobliżu tego okna, w samotności cichej sali. Lato było znowu, nawet wyjątkowo gorące i upalne, ale tutaj zawsze było chłodno.

Zaraz kiedy rodzina Angusa sprowadziła się na Piaski, dowiedzieli się, że Jan Misiór nie żyje. Został aresztowany przez Gestapo i tak ciężko pobity, że kiedy go zwolniono, całego

sinego, z odbitymi nerkami, uszkodzoną wątrobą i prawdopodobnie pękniętą śledzioną, zmarł około tygodnia po zwolnieniu.

To było jeszcze w okresie, kiedy Angus mieszkał na Żeromskiego i wiadomość o aresztowaniu z początku była potraktowana jako normalna, bo w tym okresie, a właściwie już od początku roku, rozpoczęła się następna szeroka fala aresztowań, na przykład Gestapo wzięło też ich najbliższych sąsiadów z ul. Żeromskiego, dawnego lotnika oraz wysiedlonego z Poznania aktora teatru p. Stommę i wiele innych osób, z których też żadna nie przeżyła. Ponadto, ludzie niechętnie opowiadali o takich nieszczęściach, całkiem zrozumiale i nie wypadało wypytywać o szczegóły, rozdrapując świeże rany.

Ale w tym wypadku było inaczej. Dopiero po pewnym czasie rodzice, a od nich Angus dowiedzieli się, że aresztowanie i skatowanie ze śmiertelnym skutkiem Misiora nie miało bezpośredniego związku z tymi aresztowaniami, lecz stanowiło przypadek indywidualny. Otóż Słodkowie zażądali od niego zrzeczenia się i przepisania koncesji na ich rzecz, a gdy odmówił, zwrócili się w tej sprawie do znajomych gestapowców, którzy w tym czasie często i regularnie przesiadywali w ich lokalu, prawie urzędowali tam i załatwiali wiele ciemnych spraw. Gdzieś przy końcu 1940r, Słodek przekonany o zwycięstwie Niemców, został informatorem i współpracownikiem Gestapo, prawdopodobnie także i jego żona, o której mówiono, że utrzymywała też inne stosunki. Kariera za każdą cenę. Wprawdzie dotyczyło to tylko paru gestapowców niższego szczebla, szef ostrowieckiego gestapo nie odwiedzał tego lokalu. Ale i tak wystarczyło to do aresztowania Misiora, oficjalnie pod zarzutem, że uczestniczył w ukrywaniu porzuconej broni w 1939 r. Zarzut nawet dość prawdopodobny, biorąc pod uwagę silny patriotyzm tego człowieka, a także i to, że często samotnie jeździł do swego gospodarstwa, przejeżdżając przez lasy Kunowskie i Jłzeckie. Jednak w tym wypadku, oskarżenie to stanowiło tylko pozór, powiedziano mu wyraźnie, że kiedy tylko podpisze zrzeczenie koncesji na rzecz swego szwagra, zarzuty zostaną wyjaśnione i może liczyć na zwolnienie. Na nieszczęście, był to człowiek silny i uparty, a może i trochę nierozsądny, takie bezprawie wprost nie mieściło mu się w głowie, jakby mało widział bezprawia dokoła. Nie chciał się zgodzić. To też tzw. badania przeżył tylko o kilka dni. Żona podpisała wszystko co tylko chcieli oprawcy, ale Misior, zwolniony w stanie beznadziejnym umarł już w domu na jej rękach.

Paradoksalnie, ten haniebnny plan nie wiele przyniósł Słodkom korzyści, w ciągu paru następnych miesięcy koncesje praktycznie straciły wartość, przestały przynosić zyski, gdyż najpierw bardzo znacznie zmały. a następnie w ogóle skończyły się przydziały alkoholu, które właściciel miał prawo zakupić po obowiązujących, urzędowych cenach. Słodkom

pozostał więc tylko lokal, który i tak przedtem prowadzili, tyle, że obecnie z wywieszonym czerwonym kartonem z wielkimi czarnymi literami, że jest oficjalnie dozwolony dla „Angehörige der Wehrmacht, Waffen SS, SS i SD...etc etc”. Właściwie odwiedzany tylko przez funkcjonariuszy i żołnierzy niemieckich, gdyż Polacy wystrzegali się tego miejsca. Tym samym zmalała też użyteczność Słodków dla Gestapo, bo odkąd ich powiązania stały się znane, wszyscy unikali kontaktów z nimi.

Wydany został na nich wyrok podziemnych sądów, ale ze względu na niewielkie zagrożenie jakie stwarzali wykonanie odwlekało się. W pierwszym rządzie likwidowani byli bardziej szkodliwi zdrajcy. W rezultacie Słodkowie przeżyli wojnę i wysłużyli się później nowym okupantom, gdyż to że mieli czarną przeszłość czyniło ich szczególnie godnymi zaufania współpracownikami Urzędu Bezpieczeństwa.

Wkrótce po sprowadzeniu się znów na Piaski, matka Angusa udała się do pani Misiorowej złożyć kondolencje i zaproponować pomoc. Była to już musztarda po obiedzie, pani Misiorowa poradziła sobie sama. Wydzierżawiła gospodarstwo nieżyjącego męża wraz z koniem, wozem i narzędziami rolniczymi w zamian za wypełnianie obowiązkowych dostaw, tzw. „kontyngentów” dla władz niemieckich i dodatkowo pewnej ilości ziarna na własne potrzeby. Natomiast krowy zachowała, sprzedawała część mleka, a prosiaki też się jakoś uchowały, więc głód im na pewno nie groził i przyszłość mieli na razie zabezpieczoną.

Natomiast sytuacja materialna rodziny Angusa wkrótce poważnie się pogorszyła, gdyż koncesja przestała przynosić dochody. Wprawdzie z początku, mieli pewne zasoby, a potem matka rozpoczęła stopniowo sprzedawać zakupione przedtem zapasy, zwłaszcza kawy, ale wszystko to przekreśliła jedna nieudana transakcja. Po pierwszych niewielkich sprzedażach, matka nabrała zaufania do jednego z odbiorców, a on ją oszukał. Zenon Pacholski ofiarował początkowo najlepszą cenę, gdyż, jak mówił, załatwił sobie potrzebne przepustki i jeździ z towarem aż do Lwowa. Tam prawdziwa kawa i podobne burżuazyjne luksusy były dotąd absolutnie nieosiągalne, był więc duży popyt i odpowiednio wysokie ceny. Pacholski wziął następnie na kredyt całą pozostałą ilość kawy i wiele innych rzeczy. Po powrocie, nie spłacił jednak tej należności, ale opowiadał wiele o nędzy, głodzie i licznych nieszczęściach mieszkańców Lwowa. Fakty były przedstawione prawdziwie, ale on wyjaśnił że i swoje i rodziców pieniądze przeznaczył na doraźną pomoc dla tych nieszczęśliwych, po prostu nie mógł inaczej postąpić, ale suma ta zostanie wkrótce zwrócona, złożył ją do dyspozycji organizacji zajmującej się pomocą charytatywną i obiecano mu oddanie, jak tylko nadejdą inne środki. To, co opowiadał, było nawet prawdopodobne i zgadzało się z lokalnymi informacjami, rodzice Angusa byli pod wrażeniem smutnych losów ludzkich, jakich sami też

doświadczyli. Uwierzyli i dali mu nawet swoje oszczędności z prośbą o przekazanie na pomoc tej rzekomej organizacji, zwłaszcza, że ojciec na początku roku 1940 sam naprawdę doznał takiej pomocy i uważał to za swój dług moralny. Zastrzegli sobie tylko, że część sumy traktują jako bezzwrotną ofiarę, a część jako tymczasowa pożyczkę, gdyż wkrótce sami znajdą się w potrzebie.

Zenon Pacholski robił dobre wrażenie, wysoki, postawny i wymowny, naprawdę potrafił mówić przekonująco. W rzeczywistości był nie tylko oszustem, ale ogóle kanalią i zdrajcą, donosicielem i tzw. hieną. Został zastrzelony na ulicy w Ostrowcu już w zimie 1941/42 z wyroku sądu Polski Podziemnej i dopiero wtedy rodzice odetchnęli, gdyż wtedy mieli już poważne obawy, żeby nie złożył na nich doniesienia. Podobnie jak szantażował innych ludzi, próbował też szantażować i ich, a podobno wydał Niemcom wiele ofiar. Matka na koniec nie tylko nie mogła domagać się zwrotu pieniędzy, ale nawet musiała się szantażyście opłacać, chociaż przecież prawie wszystko już stracili.

Tym bardziej zadziwiająca jest, że chociaż warunki życia tak znacznie się pogorszyły, chociaż musieli dosłownie wysprzedawać świeżo nabyte osobiste rzeczy, żeby kupić żywność i zwłaszcza opał na zimę (tym razem tylko część potrzebnego drzewa, resztę uzupełnili tańszym torfem, który w piecu kaflowym wcale nie chciał się palić, a tylko z trudem w dostawionym okrągłym piecyku żelaznym), to jednak rodzice nadal zdecydowanie opłacali prywatne lekcje dla Angusa. Te wysokie opłaty, w budżecie rodzinnym wyższe od całej reszty, miały bezwzględne pierwszeństwo, nawet przed żywnością. Angus miał ciężkie wyrzuty sumienia, ale w odpowiedzi na swoje perswazje niezmiennie słyszał, że on stanowi najważniejszą inwestycję i ma się nadal uczyć, nawet gdyby cała rodzina miała głodować, a do tego jeszcze nie doszło.

To była dodatkowa motywacja. Początkowo, gdy nauka przychodziła łatwo i bez wysiłku, zaczął trochę lekceważyć pracę, teraz znowu starał się ze wszystkich sił. To też wraz ze Stachem Konarem, który zawsze miał silną motywację i też się starał, choć z innych, nie znanych wtedy Angusowi powodów, ukończyli roczny program w ciągu nie całych czterech miesięcy i to bardzo solidnie, nie opuszczając nawet jednego zadania ze zbiorów. Po paru tygodniach przerwy, rozpoczęli czwartą klasę gimnazjum we wrześniu 1941. Natomiast z przedmiotów humanistycznych, Angus wciąż jeszcze przerabiał II klasę gimn. w komplecie u pani dr Piesowicz. Po pierwsze, zespół był słabszy, a po drugie, także i Angus gorzej przygotowany. Jednak te lekcje były ogromnie atrakcyjne ze względu na osobę nauczycielki, która otwierała nowy świat. Agnus uważał ją za absolutnie genialną, a poza tym cudowną,



wprost nieziemską istotę. Korzystał też dużo, uzupełniając braki, które dopiero teraz dostrzegał w tych dziedzinach.

Niespodziewanie, córka prof. Mazzurewicza z własnej inicjatywy opuściła znacznie, o połowę chesne za lekcje, uzasadniając to tym, że jeden z członków zespołu płaci więcej, a przy tym uczy się wolniej (choć faktycznie się wtedy podciągnął), a więc pozostali członkowie zespołu powinni płacić mniej. Angus w głębi duszy podejrzewał, że może dostrzegła ona znaczne pogorszenie się warunków życiowych, gdy od czasu do czasu lekcje również odbywały się u niego w domu ze względu na dobre, odosobnione położenie i duży, wygodny lokal do dyspozycji. Szereg razy, zarówno Pani dr Piesowicz, jak prof. Mazzurowicz przychodzili wraz z całym kompletem na ul Piaski. W domu Mazzurowicza, jeden pokój przeznaczony był na prowadzenie lekcji, ale czasem występowała kolizja w terminach uczących się zespołów. Wtedy przydała się możliwość skorzystania z innego miejsca. Poza tym, gdy albo Mazzurowicz, albo pani dr Piesowicz szli do miasta lub wracali stamtąd, nakładali tylko niewiele drogi idąc przez Piaski i potem wracając wśród pól.

Jak wspomniano, lekcje z przedmiotów humanistycznych rozpoczęły się później i trwały dłużej, ponad pół roku, tak że Angus ukończył program II klasy dopiero, gdy z zakresu matematyczno - przyrodniczego był już w połowie IV kl. Z drugiej jednak strony, skorzystał bardzo wiele, solidną podbudowę. Tym bardziej przykre było, gdy pani dr Piesowicz wyjaśniła rodzicom, że właściwie nauczyła Angusa tyle, ile mogła i obecnie uważa, że dla dobra ucznia powinien on się teraz przenieść do prof. Jarugi, który jest od wielu lat etatowym nauczycielem gimnazjum, naprawdę znakomitym łacinnikiem i polonistą, natomiast ona jest tylko tymczasowo nauczycielką, dokooptowaną do grona pedagogicznego w okresie wojennym dla uzupełnienia braków. Rodzice bardzo poważnie potraktowali tą radę, chociaż opłaty u prof. Jarugi były bez porównania wyższe, zwłaszcza, że chcieli, aby nie czekając na zebranie się kompletu Angus zaczął III klasę natychmiast. To też wczesną wiosną następnego roku rozpoczął lekcje indywidualnie. Bardzo boleśnie przeżył rozstanie z dotychczasowym ideałem, panią Piesowicz widywał odtąd tylko przelotnie w domu prof. Mazzurowicza.

To wszystko oczywiście wybiega już w przyszłość. Na razie, w jesieni 1941 r. Angus był prawie szczęśliwy, jak nigdy przedtem ani potem w ciągu tej wojny. Wypełniał swoje zadanie, uczył się i to dobrze, co sprawiało mu ogromną satysfakcję. Czuł, że jest na dobrej drodze i może być ze siebie zadowolony, a pogorszenie warunków materialnych wcale go nie martwiło, przeciwnie, to właśnie przedtem, kiedy się im dobrze powodziło odczuwał z tego powodu zażenowanie i coś w rodzaju poczucia winy. Poza tym odkrył nowy świat w książkach Biblioteki Wiedzy z nieograniczonym polem dla fantazji i to był niejako jego

prywatny świat, nikt inny dokoła nawet nie zdawał sobie sprawy z tych perspektyw, chyba tylko we fragmentach.

A na dodatek, znowu zaczął pożyczać książki do czytania z biblioteki pana Grankowskiego, teraz przeważnie roczniki starych czasopism, jeszcze z początków wieku, albo roczniki bardzo interesującego, wprost świetnego pisma międzywojennego, *Kuźnicy Młodych*, potem po prostu *Kuźnicy*. Jako jedną z ostatnich inwestycji w domu, rodzice własnym kosztem doprowadzili instalację elektryczną, mógł więc nadal dużo czytać gdy dni się skracaly. Miał też dobrych kolegów, w pierwszym rzędzie Stacha Konara, ale także Stefana i innych, którzy wprawdzie nie uczyli się razem, ale często spotykali się grywając w szachy.

Wreszcie, miał także ruch i pracę fizyczną. Rodzice umówili się z księdzem Młynkowskim w zamian za pewną niewielką opłatę z góry i część plonów, o wdzierżawienie, czasowe pozwolenie uprawiania kawału ziemi pod lasem, przeznaczonego na budowę kościoła. Właściwie ta część przewidziana była na przyszłe probostwo, a graniczyła z podwórzem i ogrodem Kawiorskich. Ojciec oraz Angus, skopali łopatami spory szmat ziemi i posadzili na nim kartofle, a później dodano jeszcze pomidory. Szczerze mówiąc, to była ciężka i dokuczliwa praca i łopata obrzydła zwłaszcza Angusowi, ale bądź co bądź było to ćwiczenie fizyczne, wzmacniające i na świeżym powietrzu, a bardzo na czasie, w przyszłym roku dzięki temu przetrwali najtrudniejszy okres.

\* \* \*

Wprawdzie wiadomości z frontu wschodniego donosiły o samych niemieckich zwycięstwach, ale ogólnie uważano je za mocno przesadzone. Z początku traktowano to po prostu tak, że bandyci którzy napadli Polskę i potem resztę Europy, biją się teraz między sobą i obie strony ponoszą ciężkie straty. Mówiono o wielkich transportach kolejowych, rannych Niemców, natomiast z komunikatów przeczytać można było o ogromnych ofiarach po stronie Sowietów. Stopniowo, to właśnie propaganda niemiecka spowodowała zwrot sympatii na stronę ZSRR. Jak długo trąbiła ona, jakimi to wspaniałymi ludźmi są Sowietci i jak wspólnie z Niemcami zbudują oni nowy, wspaniały świat na gruzach zgniłej demokracji, sprawa była jasna: to śmiertelny wróg. Ale teraz, pod wpływem gazet, opinia publiczna zmieniła stanowisko. Wprawdzie ci nieszczęśnicy sprzymierzyli się z samym diabłem, Hitlerem, postąpili podle i często zachowywali się gorzej od Niemców, ale teraz gorzko za to odpokutowali i ponieśli dostateczną karę za swoje złe postęпки. Polacy przebaczyli im z serca w takiej sytuacji. Poza tym, podobnie zareagowali też sprzymierzeńcy, Anglicy i w ogóle opinia wolnego świata. Rosjanie byli teraz po tej samej stronie.

Jednak dane o ogromnych stratach i zwłaszcza o nieprawdopodobnych ilościach jeńców, traktowano z niedowierzaniem, wydawały się nie tylko przesadzone, ale wprost niemożliwe. Przecież w poprzednich kampaniach, mówiło się o tysiącach, dziesiątkach tysięcy. Wyjątkowo we Francji, gdzie Francuzi nie chcieli się bić i masowo poddawali do niewoli, o setkach tysięcy. Teraz cyfry zmieniały się, jak na bijącym liczniku nastawionym na mil jony. Wydawało się, że gdyby to była prawda, to opór Armii Czerwonej musiał by już dawno ustać, tymczasem walki trwały nadal z niesłabnącą siłą, chociaż gazety donosiły o dwu, dwu i pół, trzech, czterech milionach jeńców i te liczby ciągle rosły.

W związku z tym, że sprawy tej nie traktowano na serio, opowiadano sobie nawet taki kawał: po wzięciu do niewoli, powiedzmy dziesięciu czy może dwudziestu mil jonów jeńców Stalin dzwoni do Hitlera: - No i co, kapitulujecie, czy chcecie jeszcze następne dwadzieścia milionów? U nas ludzi dużo, jestem przygotowany poddać nawet pięćdziesiąt! - Te dowcipy nagle ustały, gdy rozpoczęły się makabryczne marsze śmierci. Później, już w końcowej fazie wojny, takie marsze zdarzały się częściej, bo w podobny sposób pędzono wyczerpanych więźniów obozów koncentracyjnych, czasami także resztki Żydów i innych więźniów lub jeńców. (Właściwie podobne sceny zdarzały się już w 1939 r., ale sporadycznie i dotyczyły niewielkiej części jeńców polskich, trwały na szczęście niedługo). Ale na masową skalę, zaczęło się właśnie od jeńców rosyjskich.

### **Los jeńców radzieckich.**

Eskorta niemiecka pędziła ogromne, wydawało się, że niekończące kolumny jeńców, praktycznie bez jedzenia i picia; ci, którzy padli, zostawali na miejscu dobici, zwykle strzałem, a czasem po prostu kolbą. Nie było mowy, żeby rzucić im kawałek jedzenia, eskorta strzelała nie tylko do jeńca, który choć o kilka kroków pozostał za grupą, ale także do każdego, kto się zbliżył. W przyszłym roku, kiedy eskortowano kolumny Żydów, można było z reguły rzucić im trochę jedzenia, strażnicy czasem grozili, ale nie strzelali. Tutaj, zbliżenie się do kolumny jeńców równoznaczne było z samobójstwem. Obszarpani, czasem obwinieci, bo obandażowanie to nie było, ludzie szli jak automaty, czasem padali, wtedy za kolumną zostawały zwłoki. Czasem jechał też wóz i zwłoki zabierano, ale zwykle kazano sprzątać pozostałe trupy lokalnym władzom. Trudno powiedzieć, czy na kilometrze przebytej drogi zostawało przeciętnie dziesięć, czy pięć, czy tylko dwa lub trzy trupy, to było różnie i nikt nie myślał o statystyce.

Szosa przeszła tylko parę takich kolumn, teraz i ponownie na początku następnego lata; na szczęście Ostrowiec nie leżał na głównej trasie pędzenia ich. Przechodzące kolumny, mówiono że w drodze z Przeworska do Częstochowy, gdzie istniały duże obozy,

zatrzymywały się, czasem na kilka dni, na przedmieściach miasta, właśnie w wspomnianych już budynku Gimnazjum i leżącym naprzeciwko gmachu zbiorczej szkoły powszechnej. To znaczy, w budynkach tych zatrzymywała się niemiecka eskorta, natomiast boiska i teren dookoła ogrodzono dodatkowo drugą linią drutów kolczastych i tam, wprost na ziemi, leżały setki lub tysiące śmiertelnie wyczerpanych ludzi, tam gdzie padli. Nawet wody dla nich nie wystarczało, nie mówiąc o chlebie. Niektórzy usiłowali popełnić samobójstwo, ale to też nie było łatwe w takiej masie ludzi, zwłaszcza że Niemcy w takim wypadku traktowali tych w pobliżu jako współodpowiedzialnych, a nie wszyscy akurat zdecydowali się na śmierć.

Jeńcy błagali o chleb i zwłaszcza o sól, okoliczni ludzie stopniowo znaleźli sposoby, żeby im trochę żywności podrzucić. Ale to było trudne i szalenie ryzykowne, więc oczywiście była to ilość niewielka, niewystarczająca. A następnie okazało się, że właśnie soli nie traktowano jako żywność. Służyła ona do popełnienia samobójstwa. Dla wyczerpanych, osłabionych, już odwodnionych i wygłodzonych organizmów, zjedzenie 100g, a często już nawet około 50 g soli powodowało szybką utratę przytomności, ale śmierć nie nadchodziła łatwo ani prędko. Jeńcy konali w drgawkach jeszcze cały dzień, a czasem nawet dwa. Niemcy traktowali to jako śmierć naturalną, może jakąś chorobę, albo się nie orientowali albo raczej było im wszystko jedno.

Agnus poszedł raz do domu na Żeromskiego, gdzie kiedyś mieszkał i z którego okna był dobry wgląd na boiska Gimnazjum. Na własne oczy zobaczył przy samych drutach, kilka leżących odsuniętych od tłumu zwłok. Ale po pewnym czasie okazało się, że te odsunięte zwłoki jeszcze żyły, co jakiś czas targały nimi gwałtowne drgawki, jakby dostali epilepsji. Początkowo miał zamiar pójść jeszcze do domku z czerwonej cegły po drugiej stronie szosy, tuż koło szkoły, gdzie możliwości obserwacji podobno były jeszcze lepsze, ale zrezygnował, nie chciał nic więcej widzieć. I tak nie mógłby nic pomóc, a widok był potworny, lepiej było odwrócić oczy. Prawdziwe piekło na ziemi.

Dane z komunikatów OKW nie były przesadzone, faktycznie Niemcy wzięli w roku 1941 około 4,5 miliona jeńców, a w pierwszej połowie 1942 jeszcze 1.5 - 2 miliona. Potem już wzięcie jeńca należało do rzadkości.

Jesienią 1941 Hitler oficjalnie ogłosił, że Armia Czerwona przestała już istnieć i zostały tylko resztki, które stopniowo ulegną likwidacji. To był pierwszy taki, zupełnie fałszywy komunikat, ale nie całkiem kłamstwo. Rzeczywiście, ta armia która istniała w chwili rozpoczęcia nagłej napaści, prawie cała została zniszczona. Bezpośrednio przed napaścią Hitlera, przy zachodniej granicy ZSRR zgrupowano ponad 5 mil jonów ludzi, z których praktycznie nikt nie ocalał. Stalin nakazał bowiem traktowanie wszystkich jeńców jako

dezertersów i zdrajców. To też nawet ci, których nie zdążył wymordować Hitler, zginęli potem z rozkazu Stalina.

Ojciec, który sam był w „raju” i uciekł stamtąd do GG, wyjaśniał Angusowi, że ci ludzie musieli już przedtem przejść piekło i cały czas wmawiano im, że za granicami ZSRR jest jeszcze o wiele gorzej. Gdy potem weszli do Polski i innych krajów, zobaczyli na własne oczy, że ludzie mogą żyć inaczej i lepiej. Dlatego poddawali się łatwo, po prostu woleli niewolę. Może nawet widzieli w tym swoją szansę życiową, żeby wydostać się z „raju”. Nie miał jednak racji, chociaż być może w odniesieniu do pewnej części mogło tak być. Ale większość, zapewne wolałaby trafić do tych innych krajów jako zwycięzcy. Na pewno nie planowali oni poddania się do niewoli, tylko po to, aby uciec od swego ustroju.

Z drugiej strony, na pewno większość z nich to byli zwyczajni ludzie, nie żadne potwory, jak wtedy uważało wielu Polaków. Po prostu zwyczajni żołnierze, przymusowo wcieleni do wojska, następnie poddani normalnej obróbce, zapewne nawet w większości przekonani o zwycięstwie, indoktrynowani. Jeżeli nawet nie byli zbyt szczęśliwi, to znosili swój los. W niewoli znaleźli się dlatego, że spotkało ich nieszczęście, nie z własnej winy ani tym bardziej chęci.

Założenie, że cała armia albo całe społeczeństwo może się składać ze zdrajców to już nie absurd, ale wprost obłąd, paranoja. W każdym społeczeństwie znajduje się pewien odsetek ludzi złych i ludzi dobrych i oczywiście większość przeciętnych. Jeżeli założymy, że odsetek potencjalnych zdrajców wynosi średnio, na przykład, 10%, to znaczy że społeczeństwo w którym odsetek ten wynosi 5% jest wyjątkowo solidarne i moralne, a społeczeństwo w którym może się znaleźć 20% wyjątkowo złe. Ale twierdzić, że gdzieś jest 90 lub 80% zdrajców to jest błąd w założeniu, to znaczy bowiem, że ocenia się tendencyjnie większość ludzi przeciętnych. W takim wypadku należałoby raczej przyjrzeć się uważnie temu pozostałemu małemu odsetkowi, a zwłaszcza temu, kto stawia taką ocenę.

Wiadomo, że Francuzi nie chcieli się bić i masowo poddawali do niewoli. Czy na tej podstawie można by uznać wszystkich Francuzów za zdrajców i nakazać wymordowanie wszystkich, którzy znaleźli się w niewoli? W takich wypadkach to prawie zawsze nie wina żołnierzy, ale właśnie dowództwa.

Dokładnie to samo odnosi się do milionów jeńców rosyjskich. To nie oni byli zdrajcami, to ich zdradzono.

Pierwsza linia Rosjan nie miała w ogóle żadnych szans, żadnej możliwości obrony, wystawiona była właściwie na pokaz i rozbrojona, przy dekoracjach umocnień granicznych, które skonstruowane były tak, że mogły tylko wywoływać śmiech Niemców. Stalin za

wszelką cenę starał się kupić jeszcze trochę czasu, aż on będzie gotów do uderzenia pierwszy, między innymi dlatego zachowywał się tak jakby, łasząc się, kładł się na grzbiet i wprost pod zęby przeciwnika nastawiał brzuch i gardło dla zademonstrowania swoich pokojowych intencji. Dla tego, między innymi obowiązywał zakaz otwierania ognia do samolotów wywiadowczych niemieckich, które w ostatnich tygodniach całkiem jawnie i masowo prowadziły rozpoznanie terytorium ZSRR. Co więcej, jeszcze w ostatniej chwili, w pierwszej godzinie dnia 22 czerwca, kiedy na podstawie napływających zewsząd informacji jasne się stało, że wojska niemieckie wszędzie rozpoczęły już swój marsz i dowództwo radzieckie przygotowało pilny rozkaz o postawieniu Armii Czerwonej w stan gotowości bojowej, Stalin określił to jako przedwczesne i nie pozwolił. Zamiast tego wydał rozkaz, który wprawdzie wspominał o obronie w razie potrzeby swego terytorium, ale na pierwszym miejscu stawiał bezwzględny zakaz unikania jakiegokolwiek prowokacji w stosunku do wojsk niemieckich. To oczywiście mogło być rozumiane tylko jako zakaz otwierania ognia do wkraczającego napastnika.

Także druga i trzecia linia nie była w wiele lepszej sytuacji. Zdążyli dowiedzieć się, że rozpoczęła się wojna, ale nadal nie mieli rozkazów i w tej sytuacji przeważnie nie śmieli reagować. Trzeba pamiętać że Armia Czerwona została niedawno zniszczona przez Stalina, który okazał się o wiele bardziej niebezpieczny niż najgorszy wróg i dopiero niedawno zaczęła się odbudowywać, w ślepych posłuszeństwie. Raczej nie było chętnych, którzy odważyliby wykazać się inicjatywą. Przecież ok. 90% wyższej kadry dowódczej i ponad 60% oficerów, zwłaszcza z pośród tych, co ośmielili się mieć własne zdanie, zapłaciło głową. Poza tym, nie było w ogóle planów sztabowych obrony, przygotowane były jedynie plany ofensywy. Kiedy nareszcie nadszedł rozkaz podjęcia walki, wykonywali zwykle planowane uderzenie do przodu bez rozpoznania, gdzie właściwie znajduje się nieprzyjaciel. Tak na przykład było w wypadku najsilniejszego zgrupowania, na występie białostockim, które uderzyło przed siebie w próżnię podczas gdy Niemcy uderzyli jednocześnie na flanki i ostatecznie zniszczyli te armie, zachodząc je od tyłu i otaczając.

Przeważnie zapanował najdzikszy bałagan, a potem paniczny odwrót, przy czym dowódcy radzieccy często nie wiedzieli nie tylko gdzie jest nieprzyjaciel, ale nawet gdzie są własne oddziały, jakie są cele i zamiary własnego dowództwa i co mają właściwie robić. W tych warunkach, w walce z armią dysponująca wyszkoleniem i doświadczeniem dwu lat wojny zawsze dotąd zwycięskiej, można powiedzieć u szczytu swoich możliwości, zostali szybko pobici.

Kiedy Stalin otrząsnął się wreszcie z rodzaju załamania nerwowego i apatii, mianował się niezwłocznie naczelnym wodzem. To było uzasadnione, gdyż dowodzący dotąd formalnie Timoszenko i tak nie mógł podjąć żadnej decyzji bez zgody Stalina, a najczęściej czekać musiał długo i czasem wręcz bezskutecznie na akceptację każdego wydanego przez siebie rozkazu. Ale z początku to nie poprawiło wcale sytuacji, gdyż Stalin zaczął dowodzić w sposób absurdalny, a czasem wręcz surrealistyczny.

Jako przykład mogą służyć losy Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego, z którego właśnie pochodzili pędzeni przez Ostrowiec, nieszczęśni jeńcy. Jego dowódcą w tym czasie był generał-pułkownik Michaił Pietrewicz Kipronos, jeden z zaufanych (choć na krótko) ludzi Stalina. W okresie wielkiej czystki w armii szczęśliwie zajmował dalekie i podrzędne stanowisko, komendanta szkoły oficerów piechoty w Kazaniu. W powstałej pustce szybko awansował, zawsze przytakując każdemu słowu Wielkiego Nauczyciela i starając się uprzedzić każde jego życzenie, a zwłaszcza podlizać, ukazując pełne uwielbienie. Początek wojny przetrwał dosyć szczęśliwie, gdyż niemieckie uderzenie skierowane było obok, na północ od niego. Poza tym, dysponował w sumie 32 dywizjami piechoty, 16 pancernymi i 8 zmechanizowanymi (nawet jeżeli uwzględnimy, że część tych sił to były wyspecjalizowane wojska górskie, przeznaczone do przewidywanej ofensywy w Karpatach a mało przydatne w obronie na stepach). Nie był to więc zły stosunek sił, gdy Niemcy zaatakowali jego front 24 dywizjami piechoty i 9 dywizjami pancernymi. Ale największym atutem było to, że dysponował Kijowskim Rejonem Umocnionym, najsilniejszą twierdzą tzw. Linią Stalina przystosowaną do obrony okrężnej i prawdopodobnie w ogóle najsilniejszą fortecą w Europie, może porównywalną z Sewastopolem, a bez porównania potężniejszą, niż Linia Maginot'a. Wprawdzie fortyfikacje te zostały rok temu rozbrojone na rozkaz Stalina, ale armia miała własne uzbrojenie, mogła wprowadzić je do bunkrów i tak też zrobiono.

Kipronos znalazł się więc w stosunkowo komfortowym położeniu, nie był mocno naciskany i miał mnóstwo czasu, prawie dwa miesiące na podjęcie decyzji. Mógł z palcem w nosie przeprowadzić planowy odwrót, wyprowadzić armię bez żadnych strat i z całym sprzętem ze strefy zagrożenia, albo też zamknąć się w twierdzy i przetrwać w niej każde oblężenie, a już na pewno do zimy. Przez dłuższy czas nie zrobił niczego, nie dostał rozkazów i nie próbował nawet przedstawić własnych sugestii, co mogłoby być źle przyjęte. Potem dostał rozkaz obrony umocnionej pozycji i zaraz potem rozkaz odwrotu, te dyrektywy zmieniały się kilkakrotnie, a on wykonywał każdą z nich jak głos boga. Wreszcie, gdy jego wojska były już otoczone, nakazano mu wyprowadzić je z fortyfikacji i to bez wsparcia lotniczego (gdyż na polecenie Stalina, samoloty pozostawały na pokojowych lotniskach i

dopiero 22 czerwca rozkazano je przenieść na lotniska polowe, na to było już za późno, nie zostało co przenosić). Oznaczało to, że trzeba zostawić w fortyfikacjach prawie cały ciężki sprzęt i przebijać się do swoich, stawić w otwartym polu czoła zwycięskiej armii niemieckiej, w stosunku do której wszyscy czuli prawdziwy kompleks, To się musiało źle skończyć.

Gdy armie te zostały rozbite na kilka części, ale wciąż jeszcze nie pobite, Kipronos otrzymał nowy rozkaz: miał pozostawić swoją armię a uciekać tylko ze sztabem i zameldować się u naczelnego wodza po przekroczeniu frontu. Nie ma tu żadnej pomyłki, takie haniebne postępowanie stanowiło przyjęty standard, Stalin nakazywał generałom porzucanie swoich żołnierzy zawsze, gdy jakaś armia znalazła się w kiepskim położeniu. W wypadku, gdyby któryś z nich nie posłuchał rozkazu i uważając, że prawdziwy człowiek tak nie postępuje, chciał pozostać ze swoimi żołnierzami, przydzieleni członkowie kompanii ochrony sztabu mieli polecenie go zabić. Podobno tak właśnie było z Własowem, który w wyniku strzelaniny został ranny i właśnie dlatego wpadł do niemieckiej niewoli.

W tym wypadku Kipronos nie miał obiekcji moralnych, wykonał dokładnie i bez wahania otrzymane polecenie. Wybrawszy najlepszych żołnierzy, sformował kolumnę liczącą ok. 2000 ludzi i w nocnym ataku, przebił pierścień okrążenia, po czym wraz ze sztabem i własną eskortą odłączył się również od tej kolumny, licząc na to, że za nią pójdzie pościg niemiecki, a on w tym czasie zdąży dotrzeć do linii frontu. Miał jednak pecha, właśnie główna kolumna przeszła szczęśliwie, a jego mały oddziałek wpadł na siły niemieckie i w krótkim starciu, wszyscy zginęli.

Opis tych zdarzeń, poznał Agnus już później z opowiadania jednego z jeńców radzieckich, który zdołał uciec z niewoli, w 1942 r. znalazł się w tzw. oddziale Saszki, a potem po jego rozbiciu nawiązał kontakt z polską partyzantką. Po wojnie został repatriowany do ZSRR i odtąd słuch o nim zaginął, nigdy też nie udało się z nim nawiązać żadnej korespondencji. Zapewne zadbano, aby nie miał już okazji, snuć więcej tych opowiadań.

Tych ludzi wyprowadzono na rzeź i pozostawiono na pastwę wroga, bez żadnej możliwości skutecznej obrony, dlatego, że ich pan i bóg, Stalin, uważał, że zdoła w ten sposób zmylić przeciwnika i ukończyć przygotowania do zaatakowania go zniemacka.

To się nie mogło udać, gdyż trafił na człowieka równie podstępnego, chytrego i podłego, jak on sam, ale jednak inteligentniejszego. Kiedy zaś ten plan zamienił się w katastrofę, postąpił tak jak postępował zawsze dotąd: zrzucił własną winę na innych i zabrał się do surowego, przykładowego karania tych ludzi. Wydał wyrok śmierci na wszystkich żołnierzach, którzy padli ofiarą jego idiotycznego działania.



Prawdopodobnie to najokrutniejsza zbrodnia popełniona w ogóle w tej wojnie. Właściwie, były trzy największe zbrodnie, z których każda zakończyła się bardzo podobną liczbą, około 6 milionów trupów, a mianowicie wymordowanie ok. 20% ludności Polski, najbardziej znany Holokaust którego ofiarą padli Żydzi i wreszcie to, wymordowanie całego pokolenia mężczyzn, pełniącego wówczas służbę wojskowa w Armii Czerwonej. Autor który sam jest Polakiem i mimo woli nie potrafi się w tych sprawach zdobyć na całkowity obiektywizm, jednak ostatecznie uznał tą trzecią za najbardziej makabryczną, między innymi dlatego, że trwała najdłużej i na oczach całego świata, który (jak przedtem przy Holokauscie i także w czasie mordowania ludności Polski) nic nie zrobił, a jedynie odwracał oczy i nie chciał niczego widzieć ani słyszeć. Ale w tym wypadku jeszcze gorzej, bo tzw. „wolny świat” aktywnie pomagał katom i zbirom Stalina, wyławiać i dostarczać do ZSRR tych nieszczęśników, którym udało się przeżyć wojnę.

Być może, niektórzy ludzie chociaż zaszokowani ogromem okrucieństwa, uważali że wprowadzenie takich drakońskich metod było konieczne i że Stalin zastosował nieludzkie metody po to, żeby opanować szerzącą się panikę i rozkład armii, dezercję, defetyzm i zdradę. To nieprawda, same metody Hitlera wystarczały żeby zamienić wojnę na froncie wschodnim z komfortowej wojny błyskawicznej na zoologiczną walkę do całkowitego wyniszczenia. Może i niektórzy żołnierze rosyjscy poddawali się z początku zbyt łatwo, chociaż faktycznie postawiono ich w takim położeniu, że nie mogli nic innego zrobić, w każdym razie tak się im wtedy wydawało. Ale kiedy rozeszły się i potwierdziły wieści, jaki jest los jeńców, rosyjscy żołnierze przestali się poddawać, szybka śmierć na polu walki była dużo lepsza. To Hitler zamienił ich w najbardziej zaciętych, nieustraszonych bojowników, Stalin zupełnie nie miał potrzeby nic dodawać.

Stalin miał inne motywy. Każdy fachowy szef gangsterów, doświadczony i kompetentny herszt bandytów zdaje sobie sprawę, jakim uciążliwym balastem, kłopotem i utrapieniem są świadkowie. Wystarczy zlikwidować świadków, rozwalić ich, wymazać, uciszyć czy jak się to jeszcze mówi i wtedy o każdej zbrodni można wymyślić i rozgłosić swoją własną wersję, zamiast potwora podać się za świętego lub bohatera.

Nie chodzi o problem dobra ani zła, ale Wielki Nauczyciel i Wódz popełnił idiotyczne błędy, wykazał się absolutną tępota, przeliczył się tak głupio, że to się wprost nie mieści w głowie. Po takiej kompromitacji, żaden inny polityk lub przywódca nie mógłby dalej rządzić, musiałby odejść lub zostać zmuszony do odejścia, jeżeli nawet udałoby mu się może uniknąć odpowiedzialności, to w każdym razie spotkałby się z powszechnym potępieniem. Ale Stalin uważał inaczej: on nigdy nie popełnił żadnego błędu, był więcej niż nadczołowiekiem, więcej

niż prorokiem, jeżeli nie kazał uznać się za boga, to tylko dlatego że nie było sposobu pogodzić tego z materializmem i marksizmem. Stalin nie dbał o fakty, tworzył swoją własną historię i każdy musiał ją uznać i w nią wierzyć, albo zginąć.

Jest wprost wstrząsające, że ciągle jeszcze, w dwudziestym wieku (a nie daj Boże, także w przyszłości) można zmusić ludzi do uwierzenia w całkiem nieprawdopodobne bzdury, do uznania niesłychanych kłamstw. Wprost zaczyna się wątpić, czy w ogóle istnieje jakaś prawda, czy ludzie posiadają jakąś godność i czy w ciągu tysiącleci miał miejsce jakiś postęp, rozwój umysłowy. Przecież już przeczytanie jedynej własnej pracy Stalina., Krótkiego Kursu Historii WKP(b) robi piorunujące wrażenie, odsłania poziom umysłowy troglodyty i kompletny debilizm. Ten zbiór prymitywnych kłamstw i oczywistych fałszerstw napisany jest tak prymitywnie, że wprost nie można pojąć, że ta niewielka książeczka nie tylko nie skompromitowała autora, ale przeciwnie, przez dziesięciolecia otaczana była czcią i szacunkiem, jak nowa Ewangelia. Już wtedy Stalin nakazał uznać swoją wersję historii, a wszyscy którzy w nią nie uwierzyli, a następnie nawet wszyscy, którzy wiedzieli albo mogli wiedzieć, że było inaczej, musieli zginąć.

Ten sam mechanizm, ale na jeszcze większą skalę powtórzony został w wypadku II Wojny Światowej. Stalin nie popełnił żadnego najmniejszego błędu, cały czas orlim wzrokiem i genialnym umysłem przenikał plany innych polityków i nawet wojskowych, ocalił i zwycięsko wyprowadził ZSRR z najgorszych niebezpieczeństw. Ocalił od pewnej zguby, która groziła z powodu spisku kapitalistów całego świata, którzy najpierw wszyscy sprzyśleli się w tym celu, a dopiero potem, dzięki genialnej rozgrywce dyplomatycznej pobili się między sobą. Stalin nigdy nie sprzymierzał się z Hitlerem, nigdy też nikogo nie napadał, on tylko początkowo ocalał ludy przed agresją wcielonego zła, objął je swoją opieką i umiejętnie przesunął do przodu rubież przyszłej obrony państwa. Następnie umiejętnie przygotował armię do obrony, co było niełatwe, ponieważ Hitler opanował do tego czasu całą Europę i ZSRR musiał walczyć przeciw ogromnej przewadze. Jednak dzięki wybitnej strategii i taktyce Stalina, Hitler wyczerpał siły swojej potężnej armii nie mogąc przełamać frontu przy umiejętnym, elastycznym odwrocie wojsk rosyjskich i w końcu, w miarę jak malała jego początkowa przewaga, poniósł klęskę. Cała zasługa pobicia nazistów i cały ciężar wojny spoczywał wyłącznie na ZSRR, które według danych radzieckich, poniosło 98% wysiłku wojennego i przez cały czas angażowało co najmniej 90% wojsk niemieckich. Znikoma, materialna pomoc aliantów nie przekraczała 2% produkcji wojennej ZSRR i była raczej bezwartościowa, niskiej jakości, a o rzekomych działaniach wojennych nie warto nawet wspominać, w większości były pozorowane. Stalin przez cały czas prowadził prawidłową

politykę i przygotowywał się na ewentualność wojny obronnej, a w najtrudniejszym okresie tylko dzięki niemu zdołano opanować trudną sytuację, wynikłą z braku czujności i czasem wręcz celowych działań wrogów ustroju, którzy próbowali wykorzystać tą okazję do swoich niskich celów i doprowadzić do upadku państwa, stanowiącego jedyną nadzieję ludzkości. Oczywiście, wszyscy ci wrogowie już ponieśli, albo też poniosą jeszcze sprawiedliwą karę. To nie miało znaczenia, że naprawdę chodziło o ludzi którzy spełnili tylko jego rozkazy i w tym leżał ich jedyny błąd i wina. Tym gorzej dla nich. Zostali przez swego pół-boga wyprowadzeni na rzeź i następnie porzuceni na pastwę. Kazano im ufać i ufali mu, a gdy następnie wszystko okazało się kłamstwem, przeżyli rozczarowanie. Ci ludzie wiedzieli, jak było naprawdę i nie mogli już żywić złudzeń co do Wielkiego Przywódcy. A więc musieli wszyscy umrzeć. Nie mógł pozostać nikt, kto mógłby zaprzeczyć fałszywej legendzie o Wielkim Stalinie. Znaczną część tej pracy wykonał już Hitler, z tych 6 lub więcej milionów zaraz na początku mordując może 20%, a a z pozostałych, jeszcze ok. 40 do 50% do końca wojny.

Jeszcze 6 czerwca, przeszło 2 tygodnie przed rozpoczęciem napaści, wydany został znany rozkaz o komisarzach politycznych. Hitler nakazał w nim, natychmiastowe wyszukanie wśród jeńców komisarzy i zabijanie ich natychmiast po przesłuchaniu, wyjaśniając, że po pierwsze, ZSRR nie podpisało konwencji Genewskiej, a więc jej postanowienia nie mają zastosowania do jeńców sowieckich, a po drugie jest to wojna na śmierć i życie dwu ideologii i systemów, nie ma miejsca na żadne względy lub sentymenty. Zgodnie z tym, zaraz na terenie operacyjnym lub zapleczu frontu, zabijano komisarzy politycznych oraz wszystkich funkcjonariuszy partyjnych, a przy okazji również wszystkich podejrzanych, a także rannych i chorych. Tej pierwszej segregacji dokonywał od razu Wehrmacht, w dużej mierze kierując się zasadą, że lepiej trochę przesadzić, żeby uniknąć kłopotów później. Potem, na podstawie specjalnej umowy między dowództwem Wehrmachtu a RHSA (Reichshauptsicherheitsamt), firmowanej przez Himmler'a a faktycznie organizowanej przez R. Heydrich'a, dalszym „eliminowaniem niepożądanych elementów” zajmowały się wyspecjalizowane jednostki, tzw SS-Einsatzkommando względnie przekazywano wyselekcjonowanych jeńców do uśmiercenia w fabrykach śmierci, obozach koncentracyjnych.

W pierwszej kolejności, można przypuszczać, że wymordowano w ten sposób około 900 tys ludzi, gdyż komunikaty OKW wymieniały 4,5 miliona wziętych do niewoli w 1941 r., a następnie władze obozowe rozliczają tylko 3,6 miliona jeńców. Oczywiście, o tych zlikwidowanych z najwyższego rozkazu, nikt nie odważył się nawet wspominać w rozliczeniu, tym bardziej niczego kwestionować. Ale w skali masowej, znacznie większa

śmiertelność spowodowana była przez absolutnie nieludzkie warunki bytowania jeńców, przede wszystkim głód, długotrwałe przebywanie poza jakimikolwiek budynkami mieszkalnymi i prymitywne warunki higieniczno-sanitarne.

W piśmie A. Rosenberga do W Keitla z dnia 28 lutego 1942r. stwierdza się: „... Z 3,6 miliona jeńców, zostało dziś tylko kilkaset tysięcy zdolnych do pracy. Wielka ich część zginęła z głodu, na skutek niepogody... od tyfusu plamistego. W wielu obozach nie zatroszczono się nawet o kwatery dla jeńców. Na deszczu i śniegu, pozostawali oni pod gołym niebem. Nie dano im narzędzi, by mogli sobie wykopać ziemianki lub jaskinie... Zaniedbano w sposób widoczny systematycznego odwyszawiania więźniów. Często słyszało się wypowiedzi w rodzaju: im więcej wymrze tych jeńców, tym lepiej dla nas...” Alfred Rosenberg nie pisał tego oczywiście z powodów humanitarnych, po prostu uważał to za niesłychane marnotrawstwo w warunkach, gdy przemysł zbrojeniowy cierpiał na wielki brak rąk do pracy. Przykład: Komendant Filii Oświęcimia w Brzezince (Auschwitz - Birkenau) w budowie, R Hoess, tak pisze w sprawozdaniu o 10 tys. jeńców, przydzielonych do budowy w listopadzie: „Wg zarządzenia Reichsfuehrera miano sprowadzić tylko jeńców szczególnie silnych i nadających się do pracy. Po drodze nie otrzymywali prawie żadnego pożywienia. Podczas przerw w marszu, prowadzono ich na najbliższe pole i tam mogli wyszukać sobie, co było jadalne. Jeńcy chętni do pracy, ale z powodu osłabienia niczego nie mogli dokonać. Marli jak muchy z wycieńczenia lub jakiegokolwiek choroby, przeciw której osłabiony organizm nie mógł się bronić. Wiem dokładnie, że po przybyciu do obozu daliśmy im specjalne dodatki żywnościowe, ale bez skutku, wyniszczony organizm nie był w stanie ich strawić. Widziałem, jak wielu umierało podczas łykania buraków lub ziemniaków. W 1942 pozostało kilkuset...” (Jest dość mało znanym faktem, że hektar uprawnej ziemi zawiera kilka ton, nawet do dziesięciu, biomasy typu zwierzęcego. Oczywiście, większość organizmów jest zbyt mała, ale i tak daje się wyszukać kilkaset kg. nieco większych. Ci ludzie, jeżeli nie zetknęli się z tym osobiście, to zapewne przynajmniej słyszeli o podobnym zachowaniu w czasie wielkiego głodu na Ukrainie, Choć trudne i uciążliwe, jednak okazało się wtedy bardziej racjonalne od kanibalizmu, umożliwiło przeżycie części ludności, za wyjątkiem okresu mrozów.)

[Obóz Hammerstein, Stalag 315. „Na piaszczystym terenie obozu, nie było krzewów ani roślinności, która mogłaby dać schronienie lub pożywienie. Jeńcy aż do grudnia przebywali stale na otwartym terenie, potem stopniowo budowali elementy budynków. Jeńcy ci łyżkami próbowali wykopać doły, w których chronili się na noc. Jamy wygrzebane w sypkim gruncie łatwo się obsuwały, zasypując śpiących, których rano wydobywano już

martwych. Inni jeńcy zbijali się w ciasne grupy, by się ogrzać. W czasie złej pogody ten tłum przesuwiał się od drutów do drutów, dlatego, że ci co byli na stronie nawietrznej po pewnym czasie przechodzili i chronili się po stronie zawietrznej. W tzw. batalionie chorych, którzy przeżyli tyfus lub inne choroby, jeńców zmuszano do codziennej gimnastyki, aby wyeliminować słabszych...” itd.]]

Trzeba wziąć pod uwagę fakt, że w piśmie Rosenberga najwidoczniej pomija się sprawę jeńców-renegatów, którzy zdecydowali się włożyć wrogi mundur. Z początku, Niemcy starali się o podsycanie różnic narodowościowych, oddzielali Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, nawet Gruzinów i inne narodowości, tworząc z nich oddziały pomocnicze do służb policyjnych lub przenosząc ich na statut przymusowych robotników, podlegających nadzorowi policyjnemu, ale w warunkach bez porównania lepszych. Wielokrotnie po wojnie mówiło się i pisało, że Niemcy zwerbowali do ROA (Rosyjskiej Oswoboditelnoej Armii) około miliona ludzi, co jest oczywistą nieprawdą. Faktycznie ROA dowodzone przez wziętego do niewoli generała Własowa, liczyła trzy zorganizowane dywizje o pełnych stanach i oprócz tego kilka mniejszych oddziałów w trakcie formowania, nigdy nie przekroczyła 100 tys. ludzi, gdyż Niemcy nie ufali ROA i jej dowódcy, który starał się utworzyć wojsko w starym, dobrym sensie, wykonujące rozkazy, ale karne, regularne i w miarę możliwości, o ludzkim obliczu. Sam Własow wpadł do niewoli dlatego, że nie chciał porzucić swoich ludzi, lecz dzielić ich los do końca, teraz starał się jak najwięcej ocalić choć tymczasowo. Toteż Hitler nakazał przerwać formowanie i dalszy wzrost ROA, zamiast tego utworzono wielu innych formacji i oddziałów o różnych funkcjach i podporządkowaniu.

Trudno osądzać tych ludzi, którzy znaleźli się w tak okropnym położeniu nie ze swojej winy. Po prostu nagle ziemia usunęła się im spod nóg i znaleźli się w piekle, wiele gorszym niż to, które znali u siebie. Niektórzy z nich chcieli się ocalić, mając nadzieję, że nie będą zmuszeni akurat do najgorszego, że zdołają jakoś w ten sposób przeczekać, aż wojna się skończy. Wielokrotnie też zastanawiano się, czy Hitler nie stworzył rozmyślnie takich warunków, żeby zmusić ich do aktywnej służby po niemieckiej stronie, pozostawiając im jedyną możliwość ocalenia. Jeżeli tak, to rezultaty były kiepskie. Dwa razy więcej zginęło, niż skorzystało z tej możliwości. Z pozostałych, Niemcy nie mieli wiele pożytku. Można przyjąć, że mniej więcej równa liczba wyginęła i pozostała przy życiu, a z tego w połowie wykorzystano ich jako siłę roboczą, a połowę jako żołnierzy. A więc bilans: około 20 % wymordowano od razu i ci mieli chyba szczęście, 40% zamęczono, po 20% robotników i zdrajców na razie przeżyło.

Po piśmie Rosenberga sytuacja się zmieniła. Jeńcy radzieccy nadal nie mieli żadnych praw, ale nie mordowano ich w dotychczasowy sposób ze względów ekonomicznych. Rzeszy nie stać było na taką rozrzutność potencjału roboczego. Nadal wszyscy przeznaczeni byli na śmierć, ale przedtem trzeba było wycisnąć z nich każdą kroplę potu i jednostkę siły, jaka jeszcze w nich tkwiła. Używano ich zwłaszcza do najcięższych zadań. Na przykład Bau - u Arbeitsbataillons budowały podziemne fabryki, zabezpieczone przed każdą znaną wtedy bombą bunkry i tajemnicze, „kolossal” objekty, których przeznaczenie do dziś nie jest znane, a z których budowy nikt nie wychodził żywy - po pierwsze praca nad siły i śmiertelność była wysoka, a po drugie resztę robotników grzebano przy zakończeniu budowy. „Geheime Riechssache”.

Mimo wszystko, do końca wojny dożyło jeszcze około dwa miliony jeńców, plus lub minus pół miliona. Tych sprowadzono, repatriowano do ZSRR i tam wkrótce, wszyscy wyładowali w obozach dalekiej północy. Nikt nie wyszedł żywy, ale podobnie jak przedtem, wyciśnięto z nich cały wysiłek, do jakiego jeszcze byli zdolni. Trzeba wziąć pod uwagę, że do końca przetrwali głównie ci najsilniejsi i najwytrzymalsi. Ci co mieli, może nie aż, jak się to mówi, dziewięć, ale co najmniej po kilka żyć.

Wreszcie była pewna liczba jeńców, która za wszelką cenę próbowała pozostać, nie chciała wracać do ZSRR. Może mieli złe przeczucia, może byli bardziej inteligentni i odgadli, co ich czeka, a może niektórzy mieli rzeczywiście nieczyste sumienie, albo zrobili coś złego, żeby przeżyć, albo tylko mieli dość ‘Raju’. Większość repatriowana była przymusowo, a na żądanie misji radzieckich, władze alianckie udzielały im pomocy łącznie ze stosowaniem przemocy.

Wreszcie nieliczni zdolali się ukryć, na przykład w masie tzw. DP-isów (Displaced Persons), ludzi przymusowo przesiedlonych, często z łapanek, wywiezionych na roboty do Niemiec. DP nie podlegali przymusowej repatriacji, a w każdym razie władze alianckie nie zgadzały się na stosowanie wobec nich siły, misje radzieckie mogły albo starać się zwabić tych ludzi, przekonać ich, albo same stosować przemoc, ale raczej po cichu i bez rozgłosu. Niektórym jeńcom udało się w ten sposób ukryć. Otóż właśnie dla wytropienia i wymordowania tych ludzi, a nie do walki z Jamesem Bondem, jak może przypuszczają teraz miłośnicy filmów sensacyjnych, powołano specjalny departament NKWD, później KGB, o wymownej nazwie smert’(smersz). Potężna organizacja, dysponująca priorytetem, w tym również finansowym, polowała na tych zbiegów we wszystkich krajach świata, nic sobie nie robiąc ani z prawa, ani jego strażników. A kiedy już wykonała te zadanie, trzeba przyznać, z powodzeniem, ludzie z dawnych oficjalnych misji repatriacyjnych, teraz już wybitni

fachowcy, wykorzystani zostali w innych działach, rozwiniętej do niebywałych rozmiarów siatki szpiegowskiej KGB.

Aż trudno uwierzyć, że cały ten wysiłek i ogrom środków, włożono tylko po to, żeby wytepić dość przypadkową grupę ludzi, którzy mieli to nieszczęście lub pecha, znaleźć się w nieodpowiednim czasie i miejscu. Samo prawo wielkich liczb wskazuje, że niektórzy musieli ocaleć, ale ci milczeli. Zdawali sobie sprawę, że mają małą szansę na przeżycie tylko w wypadku, jeżeli nie zwrócą na siebie uwagi, nawet nie pisną i jeżeli uda się im uniknąć identyfikacji. Zostali skutecznie wyciszeni.

\* \* \*

Lato 1941 było wyjątkowo upalne i gorące, a przy tym parne i przekropne. Jesień też ciepła i długa, chociaż nie dorównywała nawet w części wyjątkowej jesieni 1939 r. Również i zima, nadeszła dopiero w drugim tygodniu grudnia, a ostre mrozy rozpoczęły się koło połowy miesiąca. Podobnie jak wszystkie wojenne i ta zima była ostra, ale takich mrozów i opadów śniegu, jak w 1939 r nie było nawet w przybliżeniu. Angus przez całą zimę chodził na lekcje miedzą między polami (tą samą drogą, co w lecie, tylko że wtedy dokoła rosły wyjątkowo wysokie i dorodne zboża, pogoda sprzyjała bardzo dobremu urodzajowi tego roku). Nigdy nie zdarzyło się, żeby któregoś dnia musiał się cofnąć, żeby droga była zbyt ciężka, zbyt trudna, nie do przejścia (w 1939 by nie przeszedł). Nawiasem mówiąc była to i zasługa butów. Wczesną wiosną tego roku, Komitet opiekuńczy rozdał wśród wygnańców pewną ilość darów amerykańskich. Angus dostał to, co naprawdę najbardziej potrzebował, buty. Za wielkie nawet na jego dużą nogę i musiał je jeszcze wypychać, ale absolutnie niezniszczalne, z prawdziwej skóry, z miękką, cichą podeszwą, jakiś plastik na skórze. Wytrzymały później las, chociaż kula oddarła jedną podeszew w 1944 roku, dały się częściowo naprawić mimo, że mocno ucierpiały i służyły mu jeszcze po wojnie. W tych butach i oczywiście ciepło ubrany, szedł na skróty nawet przy ostrych mrozach, wietrze i zadymce. Droga teraz, w zimie trwała około pół godziny, chociaż czasem zdawało się, że nigdy się nie skończy i wprost trudno było zgadnąć, czy dobrze brnie, gdy niesiony wiatrem śnieg pozostawiał tylko kilka metrów widoczności, albo po wczesnym grudniowym zmierzchu, zapadła ciemność.

Jeszcze zanim rozpoczęły się mrozy i także potem, Niemcy ogłosili wielką akcję zbiórki ciepłej odzieży dla wojska. W Polsce oczywiście nie przynosiło to efektów, chociaż często przechodnie musieli wyskakiwać na ulicy z okryć i ciepłych rzeczy, zwłaszcza jeżeli byli na tyle nierozsądni, żeby wyjść z domu we futrze. Ale wszystkich, nawet i tych którzy zostali obdarci z ubrań, rozgrzewały bardzo pocieszające wiadomości o całych transportach żołnierzy niemieckich, przywożonych z frontu wschodniego z ciężkimi odmrożeniami, a

czasem całkiem zamrzniętych. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że jednak te straty niemieckie były dużo mniejsze, w porównaniu z ilością zamarzających jeńców, o których wspomniano wyżej.

Niemiecka armia nadal była wprost w kompromitujący sposób nieprzygotowana do działania w warunkach zimowych. Wprawdzie w stosunku do 1939 r. zrobili już duży postęp, wtedy byli przez zimę po prostu zupełnie bezradni i bezbronni, można by ich wybierać gołymi rękami jak ślepe szczenięta. Mieli już za sobą doświadczenia dwu ostrych zim, ale mimo to, nawet teraz nie usunęli nadal wielu braków. Ich pojazdy, w tym często i czołgi nie dawały się uruchomić przy ostrym mrozie, ich broń nie strzelała. To się wprost nie mieści w głowie, ale dotąd nie opracowali nawet smarów przydatnych w niskich temperaturach, nikt wcześniej tego nie przewidział i obecnie cała technika wojskowa z tego powodu zawodziła.

A już najgorszą rzeczą było ubranie, normalne mundury z wełnianego sukna, tzw. „zimowe” i także wełniane płaszcze ze śmiesznym ulepszeniem, pozwalającym zapiąć kilka guzików między nogami formując jakby namiastkę nogawek, podczas gdy, aby żołnierz mógł leżeć godzinami, a nieraz i dniami w śniegu i na ostrym mrozie, konieczna była odzież warstwowa i zapewniająca dobrą izolację. Zbiórka ciepłej odzieży zaś, to była wprost kompromitacja, publiczne przyznanie się do niedołęstwa i zaniedbań. Pod tym względem Rosjanie, ubrani w tzw. waciaki, prosta i tania, wręcz tandetną odzież z dwu warstw tkaniny wypchanych watą i przesywanych jak kołdra, mieli nieskończoną przewagę. Nawiasem mówiąc, była to typowa odzież więźniów z dalekiej północy i właśnie takie ciemne waciaki przywiozły ze sobą transporty pośpiesznie mobilizowanych więźniów, a następnie zapasy podobnych waciaków, tylko przefarbowanych (tzw. „gawiennaja odswieta”, Polacy mówili „kolor sraczkowy”, dosłownie byłoby „g”, „) zastąpiły mundury.

Najwidoczniej Niemcy na czele z Hitlerem, ale to również dotyczyło jego ekspertów wojskowych, zarówno w sztabie jak i w dowództwie, uważali że wojna jest tylko sprawą sezonową i prowadzi się ją tylko latem i jesienią, najlepiej po zbiorach, a już w skrajnej konieczności wiosną. Natomiast w czasie zimy, żołnierze powinni siedzieć w ciepłych pomieszczeniach i nabierać sił do nowej kampanii, ewentualnie przygotowywać się do niej. Prawda, że Hitler znał tylko front zachodni i nie miał pojęcia o kampanii w ciężkich warunkach zimowych. Brak mu było wyobraźni, a swoim potakującym generałom narzucił przekonanie, że do zimy zakończy kampanię na wschodzie, potem armia spokojnie przezimuje i w razie potrzeby, na wiosnę ostatecznie zakończy likwidację tych sił, które w zimie ZSRR zdoła jeszcze pozbierać lub na nowo uformować.



Ale jak to jest możliwe, że żaden z kompetentnych wojskowych nie ośmielił się zwrócić mu na to uwagi, zwłaszcza, że przecież sprzymierzona z Niemcami Finlandia miała armię doskonale przystosowaną do warunków zimowych. Żołnierze według regulaminu mogli i faktycznie często biwakowali w otwartym terenie przy temperaturze nawet do - 50 st. C, także wszystkie techniczne urządzenia i uzbrojenie przewidziane były na taki zakres temperatur. W okresie najcięższej zimy 1939, żołnierz fiński górował zdecydowanie właśnie umiejętnością przystosowania się do najtrudniejszych warunków atmosferycznych, wprost wtapiał się w przyrodę, stawał się częścią surowego środowiska. Między innymi dlatego nieliczni Finowie tak skutecznie opierali się ogromnej masie Armii Czerwonej i dopiero w miarę ustawiania najtrudniejszych warunków, stopniowo sama waga przeciwnika zdusiła ich obronę. Teraz przyłączyli się do Niemców, ale z innych powodów, żeby odzyskać swoje utracone ziemie.

[Jeszcze jeden przykład głupiej i zgrubnej polityki Stalina: gdyby w 1939 nie napadł na to małe państwo, rzekomo aby zabezpieczyć przedpole Leningradu, nie popchnąłby Finlandii w objęcia Niemców i kraj ten wraz ze Szwecją wytrwałby w tradycyjnej neutralności, a w tych warunkach nigdy nie doszłoby do straszliwej blokady Leningradu, która pochłonęła tyle ofiar, zwłaszcza wśród ludności cywilnej.]

Otóż teraz, gdyby Hitler i jego najbliżsi doradcy nie byli nieodpowiedzialnymi szaleńcami, to byliby poprosili swojego, dobrze znającego te problemy i technicznie przygotowanego sojusznika o pomoc i fachowa ekspertyzę w sprawie kampanii zimowej. Może nawet na przykład, o przekazanie kilkuset fińskich doradców i instruktorów.

Ale na szczęście, Hitler był właśnie takim pysznym i zarozumiiałym szaleńcem, który już kilka razy zaprzepaścił swoje własne szanse. Zresztą to nie przypadek i inaczej być nie mogło, to była część jego istoty, podstawowa cecha jego charakteru. Z jednej strony źródło początkowych sukcesów, ale z drugiej także przyczyna późniejszych klęsk. To zaś, że był ponadto i hazardzistą, coraz pewniejszym siebie i wciąż podnoszącym stawkę, to była stosunkowo jeszcze najmniejsza z wad.

Hitler, po rozgromieniu Armii Czerwonej na centralnym odcinku i zaciśnięciu pętli wokół Leningradu, nie usiłował od razu z marszu zająć Moskwy, gdyż nad flanką niemiecką, od strony Ukrainy wisiała potężna grupa armii frontu południowego, z bardzo silną bazą w Kijowskim Rejonie Umocnionym. Mogłaby więc powtórzyć się sytuacja podobna (choć w odwróconym położeniu), jaka w 1939 omal nie zakończyła się dotkliwą porażką w bitwie pod Kutnem (ew. nad Bzurą). Zarówno sam Hitler jak i dowództwo dobrze zapamiętali tę lekcję.

Kiedy wyeliminowano to zagrożenie, a zajęło to większą część września, Niemcy przystąpili do ponownego przegrupowania wojsk. Trzeba było podciągnąć zaopatrzenie i uzupełnienia, a to też nie było proste. Przebyli przecież ogromną odległość, tyły zostały daleko i problemy transportu stały się bardzo dotkliwe. Tym bardziej, że na zapleczu wojsk niemieckich rozpoczęła się dywersja, zapoczątkowana przez wychodzące z ziem polskich patrole Wachlarza, a bardzo szybko i to na znacznie większą skalę podchwycona przez ZSRR.

Dopiero na początku listopada, Hitler zdecydowanie rzucił wszystkie dostępne siły na Moskwę. Wtedy też ogłosił (oświadczenie to przedrukowały wszystkie gazety), że Armia Czerwona jest już praktycznie unicestwiona i że żąda od swoich żołnierzy jeszcze jednego, tym razem ostatniego wysiłku. Znalazł u Niemców oddźwięk i kredyt zaufania, bo dotąd wszystko co mówił, niestety jednak się sprawdzało.

Po przeciwnej stronie, ZSRR zgromadziło na tym odcinku wszystkie nowo sformowane jednostki i nawet ściągnięte z ogołoconej granicy japońskiej, wojska dalekiego wschodu. Największe znaczenie jednak miało, że Stalin wreszcie przestał wydawać bezpośrednio rozkazy i zdalnie dowodzić przez telefon, a przekazał uprawnienia dowódcy specjalnemu wysłannikowi, którym mianował generała Żukowa. Chociaż nawet i wtedy, przynajmniej raz narobił jeszcze niezłego bałaganu, kiedy na mapie pomylił dwie miejscowości o podobnej nazwie. Z tego powodu zaniepokoił się, że Niemcy przerwali front i niespodziewanie pojawili się całkiem blisko, po czym zaczął ściągać pomoc z innych odcinków. Ostatecznie Żukowowi udało się jakoś go uspokoić, choć nie było łatwo, bo Stalin był bardzo podejrzliwy.

Mimo wszystko, Niemcy spychali rosyjską obronę i udało im się oskrzydlić Moskwę. Ale do otoczenia już nie doszło, czas się im skończył. W trakcie najcięższych walk nadeszły wreszcie mrozy i armia niemiecka znalazła się nagle w katastrofalnej sytuacji. Ostatecznie klęski dopełnił Hitler, który kategorycznie nie pozwolił na jedyny racjonalny krok, szybkie wycofanie się. Zupełnie nie zdając sobie sprawy ze specyfiki ciężkiej zimy i niskich temperatur, z uporem maniaka nakazywał dalszą ofensywę, a kiedy ta załamała się, przynajmniej uporczywe trzymanie się osiągniętej rubieży, obronę każdego osiągniętego metra za wszelką cenę. A cena okazała się wysoka, kosztowała Wehrmacht setki tysięcy zabitych i zamarzniętych.

Nie znalazł się nikt, kto odważyłby się przeciwstawić, powiedzieć słowa prawdy dyletanckiemu dyktatorowi i ostatecznie Niemcy zakończyły rok 1941 utratą między 800 tys, a miliona ludzi. Wprawdzie to tylko ułamek strat rosyjskich, ale i tak zarówno to, jak i ciężka porażka w ostatniej chwili wstrząsnęły armią niemiecką. Jeżeli nawet udało się jeszcze

ściągnąć uzupełnienia i uzupełnić straty, a nawet powiększyć Wehrmacht, to jednak Niemcy mieli mniejsze rezerwy, niż ZSRR, które także wyszło ze starcia z ciosem. Poza tym, wojna przestała być dla Niemców dobrym interesem i być może, miłą zabawą. Entuzjazm dla wodza wygasł. W każdym razie wśród prostych żołnierzy i tych, co nie narabowali się w tej wojnie, nie znaleźli okazji do osobistych korzyści. Bo wielu znalazło szansę i ci nadal wierzyli w Fuehrera, ryzyko się im opłacało.

\* \* \*

Ale grudzień 1941 przyniósł jeszcze dużo więcej. Właśnie wtedy, kiedy czołgi niemieckie utkwily na dobre w ofensywie na Moskwę, a broń czasem strzelała, a czasem nie, z powodu niskich temperatur i niewłaściwych smarów - chyba właśnie 7 grudnia, Agnus obudził się jeszcze po ciemku i oznajmił rodzicom, że zaczęła się właśnie wojna między Ameryką i Japonią. Powiedział też to samo później do swoich kolegów, i jeszcze paru osób, które zapamiętały to i poświadczały później. W parę dni potem, gazet przyniosły wiadomości o Pearl Harbour.

Przez cały ten dzień, a specjalnie rano, Angus był pod wrażeniem niezwykle plastycznego i silnie przeżywanego snu. Od czasu wczesnego dzieciństwa, nie miał tak wyraźnego, przekonywującego marzenia, jeszcze po obudzeniu nie był pewien, co jest snem, a co rzeczywistością. Przekonał się jednak później, że nie był to absolutnie żaden sen proroczy, gdyż śniona sceneria była zupełną abstrakcją, nie miała żadnego związku z prawdziwymi zdarzeniami, jakie zaszły w tym czasie. W marzeniu sennym Agnus znajdował się w potężnej wieży pancerniej, w której wbudowane były trzy ogromne działa. Nigdy dotąd nie widział podobnej konstrukcji, ale czytał szczegółowe opisy i instynktownie wiedział, że to właśnie to, że jest to wieża artyleryjska okrętu, a nawet że druga z kolei, wyższa wieża na przodzie okrętu. Zapewne pancernika lub co najmniej ciężkiego krążownika, na co wskazywał ogromny kaliber dział, chociaż nie mógł dokładnie określić, czy to kaliber 406, czy 380, a może nawet tylko 300. Natomiast wiedział na pewno, że jest to okręt amerykański i że płyną całą szybkością naprzeciw zbliżającej się floty japońskiej, szukają jej. Właśnie tego Agnus wypatrywał przez jeden z prześwitów wieży, chociaż zdawał sobie sprawę, że to bezsensowne, bo z całą pewnością, zanim zdoła coś dojrzeć, o jej spostrzeżeniu poinformują najpierw głośniki. A potem, zapewne przez długi czas nie będzie nadal nic widział, chociaż te głośniki podawać już będą współrzędne celu. Nie mógł spodziewać się, że jego oczy mogą konkurować z potężnymi urządzeniami obserwacyjnymi i dalmierzami na wieży przeliczników. Ponadto nie widział, ale wiedział, że wystartowały też samoloty, poszukujące przeciwnika. Czuł całym sobą ten ruch naprzód, niepowstrzymane dążenie do przodu i

usłyszał pierwsze chrypienie głośników, pierwszą zapowiedź, że zaraz rozlegnie się komunikat. W tym momencie właśnie się obudził. Potem w ciągu dnia, a nawet jeszcze kilku następnych usiłował przypomnieć sobie wszystko, odtworzyć to uczucie. Strasznie żałował, nawet już nie tego, że to nie była prawda, ale że takie sny nie zdarzają się częściej, chociaż od czasu do czasu. Miał takie wrażenie, jakby naprawdę uczestniczył w tych wszystkich zdarzeniach.

W dwa czy trzy dni, wszystkie gazety doniosły o japońskim ataku na Pearl Harbour i zniszczeniu całej amerykańskiej Floty Pacyfiku. Jednak na tym analogie się kończyły. Nie było żadnego podobieństwa do zdarzeń, które widział we śnie, flota amerykańska w najlepszej spąw w porcie, kiedy spadł na nią niespodziewany atak lotniczy, druzgoczący, prawdziwy koniec świata. Nie było najmniejszego podobieństwa, nawet mowy, żeby ta jego wizja miała być najdalszą analogią do prawdziwych zdarzeń, żeby mogła być projekcją z dalekiej rzeczywistości.

A jednak wojna japońsko-amerykańska rzeczywiście się wtedy rozpoczęła. Jedyne wyjaśnienie, jakie Angus mógł skojarzyć z tym faktem, to że jakiś czas temu czytał, to znaczy z pomocą matki, tygodnik niemiecki „Das Reich” (którego tytuł przekręcał oczywiście fonetycznie na „da s...”). Obszerny art. w tym, więcej niż półoficjalnym piśmie, często wcześniej zapowiadającym, czego można się w przyszłości spodziewać, poświęcony był tzw. Karcie Atlantycznej. Oczywiście, publikacja ta nie była utrzymana w tonie przychylnym. Uwagę przyciągał poprzedzający ją rysunek satyryczny, raczej prymitywny, choć jeszcze nie aż tak, jak te, do których potem Polacy przywykli potem, już pod rządami Stalina. Na pokładzie krążownika stał Churchill, o wyraźnie psich rysach i z cygarem między wyszczerzonymi zębami i butelką whisky w ręku (ale jednak w ręku i na tylko dwóch nogach) obok wyraźnie chorego, cierpiącego Roosevelt’a w stroju niedbałym, patrząc na oddawaną przez krążownik salwę honorową na cześć podpisanej właśnie deklaracji. Pociski, koziółkując, spadają do morza lub nawet na pokład okrętu, a Churchill bełkocze: - Ich glaube, es war ein faules Pu... Pulwer (kiepski proch). - Z omówienia jednak wynikało najwyraźniej, że Niemcy robili dobrą minę do złej gry, a deklaracja intencji, bo tym była na razie ta Karta, bardzo im się nie podobała.

### **Hitler wybawia Roosevelt’a z kłopotliwego położenia, wypowiadając wojnę USA**

Stany Zjednoczone właściwie nie są w stanie rozpocząć wojny, a w każdym razie jest to bardzo trudne, gdyż wymaga zgodnej decyzji Prezydenta, Senatu i Kongresu. Sytuacja taka ma swoje dobre i złe strony. Praktycznie biorąc, USA nie mogą rozpocząć wojny agresywnej, bo po pierwsze do wojny takiej trzeba by przekonać wyraźną większość opinii publicznej, w

przeciwnym razie organy publiczne jej nie zatwierdzą. Ponadto, sama procedura jest nie tylko trudna, ale i długotrwała, nie ma mowy o elemencie zaskoczenia.

Natomiast w drugiej Wojnie Światowej, właściwie standardowym elementem postępowania ze strony agresorów, stała się nagła i niespodziewana napaść bez żadnego wypowiedzenia wojny i innych zbędnych ceregieli, najlepiej podstępna i poprzedzana wezwaniami do obrony pokoju albo zapewnieniami przyjaźni oraz zawarciem paktu przyjaźni a już najmarniej nieagresji. Ostatnio, deklaracje przyjaźni stanowiły po prostu wskazówkę, że szykuje się napaść.

W krytycznej chwili, takie postępowanie nie tylko oszczędzało fatygi dyplomatom, ale także zapewniało korzyść zaskoczenia. Jak widać, jeszcze w 1941 r. chociaż doświadczenia poprzednich lat powinny już wszystkich do takiego postępowania przygotować, nauczyć ludzi, czego mają się spodziewać - zaskoczenie wciąż jeszcze było skuteczne.

Tymczasem USA w założeniu nie mogły zadać niespodziewanego ciosu, każde zamierzenie się było wprawdzie dyskutowane i szeroko sygnalizowane. Właściwie USA mogły znaleźć się we wojnie tylko z powodu bardzo wyraźnego, bezpośredniego i zrozumiałego dla wszystkich zagrożenia. Wprawdzie teoretycznie istniała też możliwość wejścia w stan wojny automatycznie na podstawie systemu sojuszy, jednak sojusze takie muszą być uprzednio aprobowane przez Senat i Kongres, co oznacza, że niejako udziela się kredytu zaufania z góry. Otóż do końca I Wojny Światowej, Senat i Kongres odmawiały podpisania takiego zobowiązania, nie chciały nikomu udzielać takiego kredytu zaufania.

Także obecnie, mimo wyraźnych sympatii i uświadamiania sobie takiej potrzeby, mimo dążeń i usiłowań, Roosevelt i jego rząd nie byli w stanie doprowadzić do przystąpienia USA do wojny. Większość opinii publicznej nie widziała takiej potrzeby, nawet jeżeli sympatie były po stronie Anglii i na ogół akceptowano udzielanie moralnego i materialnego poparcia. Z drugiej jednak strony, także i Niemcy hitlerowskie i nawet, w mniejszym stopniu, faszystowskie Włochy miały wpływowych stronników i rozbudowały swoje lobby.

Teraz, ten trudny problem rozwiązał się sam, Już następnego dnia, 8 grudnia 1941 Senat i Kongres USA uchwaliły wypowiedzenie wojny Japonii, co stało się przedmiotem niewybrednych kpin w prasie niemieckiej. Właściwie nawet i Polakom wydało się to zabawnym gestem bez znaczenia. W końcu wojna już i tak się zaczęła i to ciężką porażką USA, po której nastąpiła cała seria dalszych ciężkich porażek. Początkowo Japończycy bili Amerykanów jak chcieli, zresztą bili też Anglików, Holendrów itd. Dotychczas żaden z napadniętych znieścaka krajów, nie składał ze swojej strony wypowiedzenia wojny. Przecież to była prosta obrona własna, a deklaracja tej treści wyglądała trochę tak, jakby ktoś, kto

dostał zniecka w zęby i nadal dostaje lanie, nie będąc w stanie oddać napastnikowi, groził tylko, że mu odda.

Tą serię dramatycznych gestów kontynuował następnie i Hitler, który w trzy dni później wypowiedział zupełnie niespodziewanie wojnę USA i wygłosił przy tej okazji pompatyczną mowę. Tym razem, był to rzeczywiście czyn szaleńca. Nawet po wypowiedzeniu wojny Japonii, przepchnięcie analogicznych uchwał w sprawie Niemiec zabrałoby mnóstwo czasu i gadania i nie wiadomo, czy dałoby się tak łatwo przeprowadzić, zarówno w Senacie jak i w Kongresie. W każdym razie trwałoby długo i pochłonęło mnóstwo energii Roosevelt'a i jego ekipy, tej energii, która obecnie mogła być użyta z pożytkiem do szybkiego przygotowania konkretnych i koniecznych kroków wojennych. Swoim pozerskim gestem, bo przecież żadnych dalszych działań przeciw USA nie był zdolny podjąć, Hitler bardzo ułatwił Roosevelt'owi życie, usunął mu wszystkie kłody z pod nóg.

Być może, pewne znaczenie miał fakt, że ostatnio Prezydent USA, zezwolił na uzbrajanie statków i otwieranie ognia w razie zaatakowania ich, a także nakazał flocie udzielanie im w takim wypadku pomocy. Może też, Hitler liczył, że w wyniku nieograniczonego zatapiania wszystkich statków na Atlantyku rozstrzygnie wojnę, a w każdym razie rzuci Anglię na kolana. Ale przecież i w takim wypadku, ten gest był niepotrzebny. Niemcy już wcześniej rozpoczęły na Atlantyku nieograniczoną wojnę podwodną i zatapiali wszystkie statki, jakie napotkali, także i amerykańskie, a także zapuszczali się i na wody terytorialne USA. Mimo to, USA nie wypowiedziały Niemcom wojny.

Teraz sytuacja strategiczna i taktyczna się nie zmieniła, tyle, że Niemcy zaatakowali wprost również żeglugę przybrzeżną USA. Ale na dłuższą metę to był błąd, bo chociaż w pierwszej chwili zatopili więcej statków, nie tak wiele, bo to zależało głównie od zdolności operacyjnej U-boot'ów, a ta była i tak wykorzystana do końca. Natomiast stworzenie zagrożenia dla żeglugi USA przy własnych brzegach, przyspieszyło opracowanie najskuteczniejszych metod zwalczania łodzi podwodnych przy pomocy lotnictwa. Ta metoda, zapoczątkowana już wcześniej przy wybrzeżach Anglii, a teraz forsownie rozbudowana, doprowadziła po jej rozszerzeniu do wyeliminowania U-boot'ów, chociaż potrwało to jeszcze półtora roku, a w tym czasie straty były ogromne.

Ponieważ Pearl Harbour przyniosło tak zasadniczy zwrot, po wielu latach pojawiła się taka teoria, że to właśnie Roosevelt oraz rząd i dowództwo amerykańskie, nie mogąc mimo największych wysiłków doprowadzić do włączenia USA do wojny, samo potajemnie wywołało ta klęskę, nie wysyłając w porę ostrzeżenia do Floty Pacyfiku i jej bazy. Zakrawa to

raczej na przysłowiowy sen pijanego ogrodnika, lub raczej jest bzdurną pogonią za sensacją jakiegoś zdesperowanego reportera, któremu zapewne od dłuższego czasu nie udało się znaleźć tematu ani wymyślić nic sensownego.

Owszem, to prawda, że izolacjonizm, a w tym wypadku nazywamy tak krótkowzroczny egoizm i ślepotę polityczną, żeby nie rzucać epitetów, wraz z wygodną sytuacją wielu ludzi, utrudniały bardzo rządowi USA przeforsowanie decyzji. Zwłaszcza, że daleka wojna sprowadziła dla USA i także innych krajów neutralnych falę prosperity, rozwoju gospodarczego, wraz z pełnym zatrudnieniem i wzrostem ogólnego dobrobytu. Nie tylko wtedy, także i kilkadziesiąt lat później największa tragedia nie odbiera sąsiadom apetytu i dobrego snu.

Przecież jeszcze w rok później, Żydzi amerykańscy, kiedy rząd polski przekazał informacje o Holokauście, kompletnie to zlekceważyli. Dotyczy to nie tylko zwykłych, szarych ludzi, ale i tych na wysokich pozycjach i odpowiedzialnych stanowiskach, którzy mieli albo mogli mieć dostęp do źródeł oraz wpływ na dalszy przekaz informacji i opinię społeczną, nawet światową. Na przykład pierwszy sędzia Sądu Najwyższego (Chief Justice), po wysłuchaniu wysłannika polskiego, odpowiedział (w skrócie): - Nie chcę zarzucać Panu kłamstwa, ale to wszystko jest nieprawdopodobne, a zezwolenie na publikację tych danych jest niedopuszczalne.- A to tylko typowy przypadek, jeden z wielu. Zresztą, inny przykład, także i sam Angus i jego rodzice z niedowierzaniem reagowali przed wojną na podobnie potworne wiadomości, które przesiąkały przez granice z obu stron Polski. Tyle, że oni nie ponosili takiej odpowiedzialności, byli jednymi z wielu szarych ludzi.

Roosevelt nie potrzebował podejmować aż takich desperackich kroków, żeby nakłonić współobywateli do wojny. Sama podstępna i zdradziecka napaść, nawet bez zatapiania całej floty, też by wystarczyła. Id fecit cui podest, a ani Roosevelt, ani rząd amerykański nie miał żadnego interesu w pozbawieniu się sił zbrojnych, przeciwnie, spowodowało to właśnie wielkie trudności w prowadzeniu wojny. Poza tym trzeba powiedzieć, że niezależnie od aspektów moralnych, atak japoński był świetnie zaplanowany i po mistrzowsku wykonany, niewątpliwie przez samych Japończyków, bez udziału Roosevelt'a ani któregokolwiek z dowódców USA. Dlatego te późniejsze sensacje stanowią tylko bzdurną kaczkę dziennikarską. Bez sensu.

\* \* \*

- Das Oberkommando der Wehrmach gibt bekannt: an der Ostfront griff der Feind mit starken Kraefte vergeblich an, - czytał głośno Agnus. Tak, jednak ta już praktycznie zlikwidowana Armia Czerwona atakuje i do tego zdołała jakoś zgromadzić duże siły.

Oczywiście zawsze atakuje daremnie, ale jakoś front cofnął się o dobre 100-200 km Nie ma szans na zdobycie Moskwy, Niemcy mogą na nią popatrzeć najwyżej na zdjęciach, które jeszcze niedawno robili, z całkiem bliska.

Zimą 1941 Agnus mógł uczestniczyć we wojnie tylko za pośrednictwem gazet. O podziemnej prasie raczej nie było mowy, więc codziennie, wyjątkowo co drugi dzień chodził do miasta po gazety, głównie niemieckie, ponieważ podawały one wiadomości wcześniej. Kupował najczęściej Krakauer Zeitung, poza tym zależnie od okazji, gazety berlińskie, czasem nawet obrzydliwy Voelkischer Beobachter. Także i tzw polską prasę gadzinową, która przeważnie powtarzała wiadomości, w tym i komunikaty, z wczorajszych gazet niemieckich.

Obecnie nie miał kłopotów z przeczytaniem i zrozumieniem komunikatu, matka poprawiała najwyżej akcent. Natomiast inne wiadomości pomagała mu tłumaczyć. W wątpliwych wypadkach, najpierw musiał zgadywać, a potem matka wyjaśniała szczegóły. W ten sposób, Agnus przyswoił sobie całkiem znośnie słownictwo wojskowe, chociaż nadal odmawiał uczenia się języka. Poza tym, mając już gazety polskie, często wracał do prasy niemieckiej z poprzedniego dnia. Kiedy znał już odpowiedni tekst polski, potrafił przeczytać i nawet zrozumieć tekst niemiecki, także jeśli nie pokrywały się dosłownie.

Front wschodni, po serii „zwycięskich wycofań się”, „planowego skracania linii”, „przejścia na nowe, lepsze pozycje” właściwie się ustabilizował. Niemcy jakoś uzupełnili najgorsze braki techniczne, dostarczyli do armii właściwe zaopatrzenie, ale i tak zdolni byli w zimie tylko do obrony. Tylko kilka razy przeprowadzili „zwycięskie ataki”, dzięki którym grupy ich wojsk zdołały posunąć się, niekiedy sto i więcej km, ale w kierunku zachodnim. Dzięki temu wyrwały się one z otoczenia i podobno udało im się osiągnąć własne linie.

Ale główną uwagę przykuwały, niestety, bardzo złe wiadomości z dalekiego wschodu. Po zniszczeniu floty amerykańskiej, Japończycy praktycznie panowali tam na morzu i w powietrzu i w pełni to wykorzystywali. Na mapach, widać było, że zdobyli spory kawał świata i posuwali się w takim tempie, że zostawiało to w cieniu nawet poprzednie, błyskawiczne kampanie niemieckie.

Na Filipinach, pobite oddziały amerykańskie zamykają się w twierdzy Corregidor i w skalistych pieczarach półwyspu Baatam. Wcześniej już, Japończycy opanowali francuskie Indochiny i bez walki podporządkowali sobie Syjam. Teraz lądują na Malajach i szybko posuwają się przez dżunglę, uznaną przez ekspertów angielskich za nie do przebycia.

Z powodu krytycznej sytuacji, Anglicy wysyłają swoje dwa najnowocześniejsze i najpotężniejsze okręty, pancernik Prince of Wales i ciężki krążownik liniowy Repulse z samotną, szybką misją niedopuszczenia do dalszych desantów w tym rejonie. Oba te okręty,



były specjalnie i świeżo modernizowane, przystosowane zwłaszcza do samodzielnej obrony przeciwlotniczej przez znaczne rozbudowanie stanowisk obrony artyleryjskiej i wyjątkowo grube opancerzenie i wzmocnienie pokładu, według opinii projektantów w zasadzie niezatapialne i zdolne do samodzielnych operacji. Misja miała polegać na skrytym podejściu w najkrótszym czasie, rozproszeniu lub zatopieniu floty desantowej i natychmiastowym odskoku. Jednak zbliżające się zagrożenie zostało odkryte przez lotnictwo japońskie i w bitwie między japońskimi samolotami, które wciąż wracając po paliwo, torpedy i bomby, przeprowadziły łącznie 47 nalotów, dosłownie co kilkanaście minut, a tymi okrętami, zostały one oba zatopione. To wywołało prawdziwy szok, a jednocześnie przesądziło wątpliwości co do znaczenia lotnictwa i tradycyjnej floty w wojnie morskiej. Opancerzone giganty straciły główną rolę, na korzyść lotniskowców.

W połowie lutego pada najpotężniejsza twierdza dalekiego wschodu i prawdopodobnie świata, Singapore. Forteca rzekomo nie do zdobycia, nieustannie umacniana i rozbudowywana przez Anglików, którzy teraz tłumaczą jej upadek tym, że Japończycy zachowali się niestosownie i zdobyli ją z niewłaściwej, nieumocnionej strony. Od dżungli malajskiej.

Po zdobyciu Singapore, Japończycy nie mieli już przed sobą żadnej przeszkody w dalszej ekspansji, skierowanej głównie na południe, aż do Australii, która też była poważnie zagrożona. Wyspy Indonezji, w tym czasie kolonie holenderskie, nazywane Indiami Holenderskimi, opanowali z łatwością, dalsze wyspy w posiadaniu Anglii również, gdyż Anglicy skupili się na rozpaczliwej obronie Birmy i wstępu do Indii. Dopiero w Nowej Gwinei, desanty japońskie uwikłały się w uparte walki z piechotą morską USA, wojskami australijskimi i wszystkimi innymi sprzymierzonymi, posiłkami lub rozbitkami starych oddziałów, jakie zjednoczone dowództwo, obecnie w rękach amerykańskich, zdołało tu ściągnąć. Sytuacja była tak ciężka, że rozpoczęto już ewakuację północnej części Australii wraz z Port Darwin, poważnie licząc się z ostateczną obroną dopiero za pasem pustyń. W gazetach, jeszcze nawet pierwszą bitwę na Morzu Koralowym, przedstawiano jako wielkie zwycięstwo Japonii, chociaż to był faktycznie koniec ich dotąd zawsze zwycięskiej agresji.

Agnus przegapił, nie dostrzegł w porę najważniejszej zmiany, która zaszła tu, w pobliżu, na ziemiach polskich, a był to przełom o decydującym znaczeniu. Od końca 1941, Polacy podjęli ponownie walkę zbrojną. Właściwie, jest to uproszczone twierdzenie, bo walka ta nigdy nie została całkowicie przerwana. Ale faktem jest, że aż do końca 1941 r. większość społeczeństwa nie widziała sensu jej kontynuowania, traktowała ją, jako rodzaj zbiorowego samobójstwa. Liczne tajne organizacje, przygotowywały swoich członków do zbrojnego

oporu, który miał nastąpić w sprzyjających warunkach. Nawet przetrwały do maja 1940 oddział Wojska Polskiego majora Hubala, otrzymywał od kierownictwa ruchu oporu kilkakrotnie polecenia zaprzestania dalszej walki i rozproszenia się, zanim został ostatecznie rozbity przez Niemców.

Mimo to, część ludności nadal walczyła zbrojnie, ale przeważnie chodziło o ludzi, którzy nie mieli innego wyboru, jak tylko umierać bez walki albo z bronią w ręku. Na przykład dotyczyło to grup Gryfa Pomorskiego na terenie, gdzie polskość była bezwzględnie tępiona i część Polaków, ściślej Kaszubów z góry przeznaczona była na odstrzał.

Otóż teraz sytuacja nagle się zmieniła, nastąpiły te oczekiwane, bardziej sprzyjające warunki. Po pierwsze, jak to w decydującej o dalszym pozostaniu przy życiu Angusa rozmowie trafnie przewidział ojciec, Niemcy rzeczywiście rozciągnęli swoje siły, zdobywając coraz większe terytoria. Po drugie, coraz większą część sił mieli zaangażowaną na froncie na stałe, a nie tylko w krótkiej kampanii, po której można je ponownie wycofać i skierować gdzie indziej.

Ale decydujące było, że właściwie nie pozostawili Polakom wyboru. Faktem jest, że to sami Niemcy dostarczyli Polakom motywacji do walki na śmierć i życie, do samego końca. Na tej samej zasadzie, jak również, swoim postępowaniem, zamienili z początku bez przekonania, dość niechętnie bijących się Rosjan w nieugiętych wojowników, przekładających śmierć w walce nad poddanie się.

W 1939, niezwłocznie po zajęciu ziem polskich, Niemcy rozpoczęli masowe mordowanie zakładników, co wtedy przeraziło ludzi i zdeprymowało ich. Ale w roku 1940, nasilono terror i zwiększono tempo mordowania, mimo, że społeczeństwo polskie nie dało żadnych powodów do dalszego rozlewu krwi, było już całkowicie sterroryzowane. Po akcji AB i następnych, o coraz większym zasięgu, w 1941 r. opinia publiczna doszła do przekonania, że Niemcy zamierzają planowo wymordować wszystkich Polaków i początek już zrobili.

Sytuacja przedstawiała się tak: Na terenie GG, obejmującym większość ziem polskich, Niemcy dysponowali siłami ok. 300 tys. ludzi pod bronią, w różnych formacjach i jednostkach, ale z grubsza odpowiada to mniej więcej 15 dywizjom. Nie były to jednak regularne dywizje, ani jednostki elitarne, ani nawet pełnowartościowe. W większości były to po prostu odpadki, śmieci ludzkie, to co pozostało nieprzydatnego na froncie; chociaż dobrze uzbrojone i nawet bardzo chętne do aktów terroru wobec bezbronnych, nie miały one najmniejszej ochoty do walki. Niewielką ilość pełnowartościowych oddziałów

porozmieszczano, jak rodziny dla ulepszenia kiepskiego ciasta. Głównie do ochrony ważnych osób lub urzędów i do priorytetowych celów.

Właśnie takim priorytetowym zadaniem stała się w rok później akcja na Zamojszczyźnie i tam skierowano lepsze oddziały, ale ilość okazała się niewystarczająca i nie były w stanie opanować sytuacji w terenie. Natomiast przy niebezpiecznym rozszerzeniu się walk na cały kraj, po prostu nie było czego przeciwstawić. Po raz pierwszy zaistniała sytuacja krótkiej kołdry, zgromadzone siły nie wystarczały i jednocześnie potrzebne były gdzie indziej, a wobec trudnej sytuacji na frontach ze wszystkich stron, nie było też możliwe ściągnięcie nowych. Dlatego eksperymentalną akcję Niemcy przerwali i w ogóle zmienili zasady postępowania z Polakami. Zaprzestali tymczasowo likwidacji i planowego mordowania ludności polskiej, a zamiast tego powrócili do stosowania zbiorowej odpowiedzialności, terroru i represji wszędzie tam, gdzie zdarzyły się działania przeciw okupantom. W ten sposób jednak, ogólna ilość ofiar wśród Polaków znacznie spadła, chociaż oczywiście trudno to było wytłumaczyć ludności akurat dotkniętej represjami. W 1941 r. wymordowano liczbę może o połowę mniejszą, niż w 1940 r. Rozpoczęła się ograniczona walka zbrojna, na razie organizacje wojskowe występowały raczej ostrożnie i po starannym rozważeniu każdej ewentualności ale i tak Niemcy utracili inicjatywę. Naprężona w jednym miejscu sieć rwała się w innym, siły okupacyjne działały w sposób podobny do straży pożarnej, tylko że oczywiście nie gasili lecz podpalali. W sumie, życie stało się jednak znacznie bezpieczniejsze, o ile oczywiście ktoś nie znalazł się w nieodpowiednim miejscu i czasie.

Jednak dopiero w rok później, w końcu 1942 r. ta sprawa wyjaśniła się ostatecznie. Bezpośrednim modelem tego co ma czekać ludność polską, stała się próba utworzenia jakby doświadczalnego państewka SS na Zamojszczyźnie, połączone ze stopniowym zlikwidowaniem całej ludności polskiej podobnymi metodami, jakie później zastosowano do Żydów. Zaczęto całą ludność polską wysiedlać i osadzać w obozach, przy czym nie były to nawet obozy takie jak w Wielkopolsce w 1939 r., przejściowe i o dość znośnych warunkach, ale obozy o wysokiej śmiertelności, podobne do typowych już obozów śmierci. Na miejsce Polaków, sprowadzano i osiedlano zwarcie ludność niemiecką, zwykle tzw. Volksdeutsche ze wschodu. Jednak największe wzburzenie wywołała sprawa dzieci. Otóż dzieci odpowiadające tzw. typowi nordyckiemu, według szalonych norm nazistowskich, odbierano rodzicom, (względnie dalszym krewnym jeżeli rodzice ponieśli już śmierć, co w tych strasznych warunkach zdarzało się często) i następnie wywożono jako cenny materiał genetyczny, przeznaczony do wychowania na Niemców w celu przyszłego ulepszenia rasy i

planowanej hodowli nordyckiej odmiany rasowej. To był potworny czyn nie tylko sam w sobie, ale też potwierdzający przypuszczenie, że pozostała część dzieci oraz dorosłej ludności, przeznaczona jest do wyćpienia.

Jeżeli takie przypuszczenie wydawać się może komuś przedwczesne, zbyt daleko idące lub w ogóle fantastyczne, to trzeba stwierdzić, że istotnie, takie właśnie postępowanie było planowane zarówno w odniesieniu do ludności Zamojszczyzny, jak i też, następnie i stopniowo, dla całej populacji Polaków. Akcja na Zamojszczyźnie stanowiła eksperyment, doświadczalne opracowanie postępowania, które miały być zastosowane na większą skalę.

**Teoria rasistowska i jej perspektywiczny cel: zmiana gatunku ludzkiego na bardziej wartościowy. Skoro i tak trzeba wymienić setki milionów, nieco wcześniejsze zlikwidowanie kilku milionów jest bez znaczenia.**

Trzeba przy tym od razu wyjaśnić, że Hitler planował wyćpienie nie tylko Żydów (wśród których nie planował pozostawiania nawet materiału genetycznego do dalszej hodowli), oraz Polaków, dla których chciał uczynić ten łaskawy wyjątek. Hitler pozostawił przecież swoje cele wyraźnie określone w postaci zapisu książkowego. Jest po prostu zdumiewające, że i wtedy i później, nawet do chwili obecnej tak mało ludzi zadało sobie fatygę, żeby przeczytać „Mein Kampf” i jeszcze mniej zdało sobie sprawę z konsekwencji przedstawionych tam teorii, których nie traktowali całkiem na serio. Natomiast ich autor w nie głęboko wierzył, a był zarówno zdecydowany na radykalne działanie, jak i bardzo konsekwentny. Zakładał on, że ze stada ludzkiego zamieszkującego Europę, trzeba wyeliminować osobniki bezwartościowe, mieszańce rasowe i całe zbiory skundlone, zastępując je w jego pojęciu najwartościowszą odmianą, przedstawicielami rasy nordyckiej. Ewentualnie dopuszczał przejściowo jednostki ulepszone domieszką cech nordyckich, najlepiej co najmniej półkrwi. Dla tego ulepszenia rasy. proponował zastosować metody wypróbowane i stosowane z powodzeniem w hodowli zwierząt.

Praktycznie oznaczało to ni mniej ni więcej, tylko potrzebę wyeliminowania około trzech czwartych stada, krótko mówiąc trzeba około 350 - 400 milionów mieszkańców Europy, przeznaczyć na rzeź. Oczywiście w sposób planowy i zorganizowany, po uprzednim wykorzystaniu całej wartości ekonomicznej. Chodziło przede wszystkim o zdolność do pracy, ale jak wiadomo, w obozach koncentracyjnych prowadzono także prace badawcze nad najbardziej celowym zużyciem zwłok, skóry, tłuszczu i kości (choć należy nadmienić, że zastępcze mydło, którego kostki znaczone były literami RJF, co powszechnie tłumaczono jako rein judisches Fett, nie było jednak naprawdę produkowane z takiego surowca).

W zasadzie wszystkie narody Europy, także i same Niemcy, miały dużo materiału ludzkiego, nie odpowiadającego tym standardom. Stosunkowo najlepszą szansę zachowania mieliby Holendrzy i Skandynawowie, Anglicy rzekomo stanowili mieszaninę, spora część której mogłaby pozostać jako materiał wartościowy, a na przykład jako najbardziej nieodpowiednie rasowo, skundlone narody, wymieniał Hitler Francuzów i Rosjan, tym ostatnim przypisując znaczną domieszkę krwi mongolskiej. Natomiast Polacy, ze względu na duży procent pożądanых cech nordyckich, mieli dostarczyć możliwie dużo materiału genetycznego, ale z całkowitym wyeliminowaniem osób dorosłych, które uważał za bezużyteczne, gdyż nigdy nie dadzą się trwale zasymilować. Pierwotne intencje przed 1939 r. były inne, zmiana nastąpiła gdy Polska, na którą liczył w swoich planach wojennych, budował swoje rachuby, rzekomo zdradziła Wielkiego Twórcę Nowej Cywilizacji, odrzuciła jego wspaniałe oferty po długiej grze dyplomatycznej, która wpędziła go w niedoczas i którą winił za wszystkie związane z tym niepowodzenia. To też od tej pory uważał, że Polacy są i zawsze pozostaną naturalnymi wrogami, którzy nienawiść do Niemców wysysają niejako z mlekiem matki i potem czerpią z całego wychowania i że nigdy nie będzie można na nich polegać, bo nawet jeżeli się ugną, wykorzystają następnie każdą krytyczną sytuację, żeby zaszkodzić Niemcom. A poza tym urażona pycha, czy raczej paranoja, powodowały, że chciał ich przykładowo ukarać za swoją pomyłkę. Tak, jak karze obrażony bóg.

Nie jest jasne, jak miały się układać w stosunku do siebie zależności rasowe i narodowe. Ogólnie mówiło się, o całej rodzinie narodów germańskich, w której wiodącą rolę oczywiście mieli grać Niemcy, ale oprócz nich wchodzić mieli m. in. Walonowie, Holendrzy, Anglosasi, Skandynawowie i ew. Narody Bałtyckie. Nie było też na razie bliżej sprecyzowane, które narody miałyby być tylko „oczyszczone rasowo”, to znaczy wymordowane częściowo, a które całkowicie. W każdym razie, w pierwszej kolejności mieli być całkowite wymordowanie Żydzi i Polacy, a potem prawdopodobnie znacznej części Słowian Wschodnich, gdyż według „Mein Kampf”, docelowo przewidywano utworzenie na urodzajnych czarnoziemach wschodnich, wielkiej bazy hodowlanej, która miałaby jak najszybciej dostarczyć co najmniej 100 milionów wzorowego materiału ludzkiego narodowości niemieckiej.

Nie jest też jasne, jaki miałyby w tym wypadku być los Rosjan, a jaki Ukraińców, bo z jednej strony te urodzajne ziemie leżały głównie na terenie Ukrainy, ale z drugiej, Niemcy od dawna stawiali na kartę ukraińską, a od początku wojny głosili, że przychodzą oswobodzić Ukraińców z ucisku rosyjskiego (podobnie, jak wcześniej z polskiego) i werbowali Ukraińców już w 1941 r. do SS (dywizja SS Galicien). [Ponieważ w półoficjalnych

wydawnictwach nazistowskich mówiło się, że Rosjan należy z Europy całkowicie usunąć, bez bliższego sprecyzowania sposobu, może więc następnie planowano „przesunięcie” Ukraińców na ich miejsce?]

Chociaż podstawą hodowli ulepszonej rasy, miały być wielodzietne rodziny, zakładano też, że „wartościowi rasowo” mężczyźni mieli dodatkowo przyczyniać się do rozwoju w specjalnych ośrodkach o nazwie „Lebensborn”, które miały zajmować się produkcją dzieci, a ponadto narodowym niemieckim wychowaniem dzieci o poszukiwanych cechach rasowych, pozyskanych z innych narodowości. Prawdopodobnie więc Hitler przyjmował, że zespół cech nordyckich oznacza, że dana jednostka pochodzi z krwi germańskiej, względnie, że wśród mieszaińców, nastąpiło naturalne „wymendlowanie” osobników o germańskim materiale genetycznym, chociaż pierwotna narodowość w wyniku łańcucha wypadków losowych mogła zmienić się i ulec zatarciu. Decyduje jednak pochodzenie, którego dowodzą cech nordyckie.

To były oczywiście ogólne założenia, natomiast szczegółowe wskazówki postępowania oraz ich konkretna realizacja, miała nastąpić w terminie, określonym przez Hitlera. Uzależniano to od rozwoju sytuacji i zaistnienia korzystnych okoliczności.

Stosunkowo niewielki eksperyment ostatecznego rozwiązania kwestii polskiej, zapoczątkowany na ziemi zamojskiej siłami SS, nieoczekiwanie spotkał się z samorzutnym, desperackim oporem zbrojnym tamtejszych mieszkańców. Pierwotnie nastąpiło to bez pomocy, a nawet wbrew wyraźnym rozkazom kierownictwa ruchu oporu. Zamieszkali tam chłopcy, którzy nie mieli nic do stracenia, a w każdym razie przekonani byli, że nie mają już nic do stracenia, przeciwstawili się tej akcji w sposób absolutnie zdecydowany. Wywiązała się zacięta, zoologiczna walka na całkowite wyniszczenie. Dopiero wtedy centralne kierownictwo podziemne, z opóźnieniem udzieliło niewielkiego wsparcia, kierując do tego rejonu kilku wyszkolonych oficerów i niewielka ilość broni. Nadal jednak sprawa pozostała całkowicie w ręku lokalnych dowódców Batalionów Chłopskich, względnie nawet poprzednich oddziałów Chłosty.

Zaskoczeni niespodziewanym oporem Niemcy, przerwali akcję żeby ściągnąć dodatkowe siły i ponownie rozpoczęli ją jeszcze tej zimy. W tym czasie również i lokalne oddziały polskie zostały wzmocnione. Ale co najważniejsze, na całym terenie GG przeprowadzono szereg skoordynowanych akcji o zasięgu ogólnokrajowym, dywersji wymierzonej w transport dla frontu wschodniego. W wyniku akcji Wieniec I i Wieniec II, transport ten został poważnie ograniczony, względnie całkowicie sparaliżowany na pokazowy okres 24 - 48 godzin.

\* \* \*

Gdzieś w połowie grudnia, wieczorem, już dobrze po godzinie policyjnej rozległo się pukanie do drzwi. Agnus poszedł otworzyć i w pierwszej chwili nie poznał, dopiero po chwili okazało się, że to dawny mieszkaniec tego domu, Moszek. W tym czasie, getto było już terenem zamkniętym i dokładnie strzeżonym, nie było mowy o wyjściu stamtąd, nawet o uzyskaniu przepustki. a co dopiero po godzinie policyjnej. Owszem, zorganizowane grupy robotników wychodziły do pracy, ale wyłącznie pod strażą, a przecież tak niedawno, jeszcze tego lata, gdy rzemieślnik żydowski wraz z pomocnikami, robił im nowe meble, nie miał żadnych kłopotów z uzyskaniem przepustki. Właściwie Angus nie wiedział nawet, kiedy się to zmieniło, zajęty był wyłącznie wojną.

Jasne, że Moszek znalazł się tu nielegalnie, może szukał pomocy u znajomych? Matka poprosiła go do stołu. Był zmarznięty i chętnie przyjął gorącą herbatę, ale nie chciał nic zjeść, zupełnie jak przy pierwszym spotkaniu, przed dwoma laty. - Nie, nie mam żadnej sprawy, przepraszam za najście,- powiedział. - Byłem w pobliżu, coś mnie naszło i chciałem jeszcze raz zobaczyć dom, w którym się urodziłem i wychowałem.-

Rodzice usiłowali go namówić, żeby jednak coś zjadł oraz wziął ze sobą coś do jedzenia, bo wiadomo było, że od zamknięcia getta brakowało tam żywności. W dalszym ciągu odmawiał, w końcu stanęło na tym, że wziął ze sobą tylko napoczętą paczkę cukru. Na pytanie, co sądzi o sytuacji odpowiedział, że lepiej nie mówić, a on stara się nawet nie myśleć. Agnus miał wrażenie, że powtarza się to wszystko, co już raz widział, deja vu.

- Nie warto martwić się na zapas, - powiedziała matka, jednak wszystko zaczęło obracać się na lepsze dla nas, a Niemcom idzie coraz gorzej. A pan jest ciągle sprawny i zdrowy, nic się pan nie zmienił, przynajmniej tak wygląda. Na pewno wkrótce zobaczymy wszyscy koniec wojny.- -

- Chyba jednak nie, ja nie doczekam. -

- Dlaczego, jak nie wytrzyma Pan jeszcze te pół roku, no góra rok, do tego czasu Niemcy się skończą. - Wtedy usłyszeli pierwszy raz tą nazwę, Babi Jar.

### **Przesunięcie Żydów na pierwsze miejsce wielkiego eksperymentu rasistowskiego.**

Mniej więcej w połowie 1941, kiedy tylko wojska niemieckie wdarły się głęboko do ZSRR i Hitler pewien już był sukcesu, podjął decyzję o Żydach, aż dotąd stale odkładaną.

Jeszcze wcześniej, od samego początku działań wojennych, obowiązywała instrukcja w sprawie jeńców. Komisarze polityczni oraz aktywni komuniści mieli być zabijani natychmiast po przesłuchaniu, a szczególnie polecono zwracać przy tym uwagę na Żydów, którzy automatycznie byli podejrzani o pełnienia takich lub podobnych funkcji.

Nie wiadomo, kiedy, czy i jak długo omawiano tą sprawę w najbliższym gronie, w każdym razie Hitler nigdy się na ten temat publicznie nie wypowiedział. Dokładniej, od przemówienia 30 stycznia 1939, tego samego, w którym nazwał Roosevelta błaznem, który nie powinien zabierać głosu w sprawach europejskich. Odnośnie Żydów rzucił wtedy przepowiednię, że jeżeli rozpętają nową wojnę, ta wojna spowoduje ich całkowite zniszczenie (dosł.: Vernichtung). Niewątpliwie jednak na polecenie Hitlera, Goering w końcu lipca nakazał Heydrich'owi wydanie odpowiednich dyrektyw w sprawie ostatecznego rozwiązania Kwestii Żydowskiej, bo tak brzmiał oficjalny eufemizm. Masowe mordowanie Żydów, zaczęło się najpierw na dalekich terenach wschodnich, skąd wieści nie rozchodziły się łatwo ani szybko. Babi Jar, był właśnie jednym z takich miejsc wczesnych mordów, gdzie zabito Żydów z Kijowa i okolic w listopadzie 1941. O wcześniejszych wieści jeszcze do Ostrowca nie dotarły.

Historycznie, wszyscy Żydzi przybyli kiedyś do Polski jako jedyne kraju w Europie, który zapewnił schronienie prześladowanym uciekinierom i osiedlali się następnie aż do granic dawnej Rzeczypospolitej. Osadnictwo żydowskie pokrywało się dokładnie z najdalszym zasięgiem tych granic. Kiedy następnie wielkie obszary na wschodzie zdobyła Rosja, a w końcu cała Polska utraciła niepodległość i popadła w niewolę. Żydzi pozostali w tych miejscach, w których się osiedlili. Nie mogli otrzymać zezwolenia na przeniesienie się w głąb Rosji, podlegali licznym ograniczeniom prawnym i celowym prześladowaniom, w tym również zorganizowanym, tzw. pogromom. To też już od początku 18 wieku rozpoczęła się reemigracja Żydów na zachód, część z nich pozostawała w Polsce, a później na ziemiach etnicznie polskich, a część docierała do Niemiec i Austrii, potem także do Anglii i Francji i jeszcze dalej, za ocean. W Polsce pozostawała przeważnie biedota.

Także i po I wojnie światowej utrzymał się ten trend, nadal znaczna ilość Żydów ze wschodu, legalnie lub nielegalnie, docierała do Polski, ale wkrótce dołączyła do niej i druga fala, z Niemiec hitlerowskich. Według danych statystycznych, między rokiem 1919 a 1939 ilość Żydów w Polsce wzrosła od 1,8 miliona do 3,5 milionów, mimo jednoczesnej znacznej emigracji. Ponieważ jednak część uciekinierów wolała nigdzie się nie rejestrować i nie zgłaszać, zwłaszcza jeżeli mogli korzystać z prywatnej pomocy krewnych, można przyjąć, że w rzeczywistości w Polsce zamieszkało ponad 4 miliony Żydów. Mimo to, na wschód od Polski, to znaczy głównie w ZSRR pozostało jeszcze 2,5 - 3 miliony. Utracili oni swoje dotychczasowe źródła utrzymani, gdyż ani handel, ani operacje finansowe, zarówno duże jak i małe, nie były tolerowane w nowym ustroju ZSRR.



Z drugiej strony, rewolucja zniosła w ZSRR, przynajmniej teoretycznie, nietolerancję rasową i narodowościową, Żydzi przestali być traktowani jako obywatele drugiej kategorii, straciły też znaczenie zakazy osiedlania się itd. (znowu teoretycznie, bo następnie potrzebne stały się pozwolenia i przepustki nawet na zwykłą podróż, nie tylko zmianę miejsca zamieszkania, a wiele miast i okręgów było w ogóle zakazanych, ale to już dla wszystkich). Jednocześnie otwarła się przed nimi nowa szansa. Ponieważ w trakcie rewolucji wymordowano 80-90 % dawnej inteligencji rosyjskiej (a to jeszcze nawet bez udziału Stalina, no, powiedzmy że z małą, okazijną współpracą przy różnych okazjach), było duże i pilne zapotrzebowanie, zwłaszcza na urzędników. Właściwie raczej na pracowników aparatu biurokratycznego państwa i partii, oba te aparaty zostały niebywale rozdęte i decydowały o każdym szczególe życia. W dużej mierze to właśnie Żydzi zapełnili tę lukę, znaleźli niszę ekologiczną. Ludzie pozbawieni swoich dotychczasowych źródeł utrzymania, mieli do wyboru tylko uciec, albo przekwalifikować się, z inteligencji finansowej na inteligencję biurokratyczną. Jedni wybrali tę drogę a drudzy inną, ale faktem jest, że wśród tych, co się przekwalifikowali i zajęli miejsca w aparacie państwowym lub partyjnym, niektórzy zrobili kariery, zajęli stosunkowo wysokie miejsca. W końcu, funkcjonując od pokoleń jako inteligencja finansowa, musieli wyrobili sobie zdolność bystrego myślenia i szybkiej reakcji.

Wielu zajęło stosunkowo wysokie miejsca, bo i w piekle można awansować, z potępieńca na diabła, z diabła na starszego diabła itd. W rzeczywistości nie stanowili klasy rządzącej, to po prostu Stalin przez pewien czas posługiwał się nimi podobnie, jak przejściowo posługiwał się także innymi mniejszościami narodowymi, w ogóle można powiedzieć, że dawał fory ludziom mniej związanym ze społeczeństwem, a którzy stawali się bardziej zależni od niego. Ale również i Żydów nie ominęły czystki, planowy odstrzał i różne formy prześladowań.

Ale pomimo to, Hitler na serio uważał, że ZSRR jest państwem, rządzonym skrycie przez Żydów, którzy na zewnątrz wystawili fałszywy front, dekoracje w postaci komunizmu, konstytucji, różnych fałszywych deklaracji propagandowych i ideologicznego maskowania, podczas gdy w rzeczywistości opanowali w ten sposób sporą część świata i rządzą nią dla własnych korzyści i celów. A z drugiej strony opanowują jednocześnie inną ważną część świata, jako wielcy kapitaliści.

Paranoja, szaleństwo? Oczywiście że tak. Ale przecież, historii nie można wyjaśnić inaczej, niż często właśnie brakiem logiki, rozumnego postępowania, a czasem nawet działaniami szaleńców. Największe błędy i tragiczne pomyłki zdarzały się, gdy zakładano, że ludzie postępują lub będą postępować w sposób rozsądny.

Hitler w chorym umyśle, wytworzył sobie teorię wielkiego spisku żydowskiego, obejmującego z jednej strony żydokomunę, a z drugiej plutokrację żydowską i dzieje co najmniej ostatnich pięćdziesięciu lat wyjaśniał w ten sposób. Natomiast siebie samego widział jako wspaniałego, nieugiętego rycerza, uwalniającego ludzkość, ale zwłaszcza jej najwartościowszą część, ludy germańskie w których przetrwały pierwiastki najcenniejsze, dawnej rasy nordyckiej. Oczywiście, to właśnie rasa nordycka powinna zdobyć władzę nad światem, zamiast dotychczasowych, pociągających sznurki z za sceny, Żydów. Ich, przedstawicielei nędznej rasy semickiej, (ciekawe, jak właściwie widział Arabów, przecież szukał kontaktu i nawet dopuszczał ich łaskawie do uczestnictwa w SS?) należy wysadzić z siodła i wytępić, gdyż stanowią niebezpieczną konkurencję, śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie ma na świecie miejsca dla dwóch panów, albo - albo. Ciekawe, że chociaż Hitler mówił i pisał o tym otwarcie, chociaż powtarzała to wciąż ogromna tuba propagandowa nazistów, nikt jakoś nie mógł uwierzyć, że to na serio, że wyjaśnia i określa zasady dalszego postępowania.

Zaczął się od mordowania Żydów jeńców, co można było rozumieć jako skrupulatne wykonywanie rozkazu o komisarzach politycznych, przy czym każdego wykrytego Żyda automatycznie podejrzewano o pełnienie funkcji partyjnych. Jednak wkrótce potem, zaczęło się mordowanie wszystkich Żydów, także cywilnych, zamieszkałych na terenie operacyjnym i na samym zapleczu frontowym. Babi Jar, był akurat prawie w prostej linii od Ostrowca i dlatego ta wiadomość doszła pierwsza. Ale oczywiście nie był niczym wyjątkowym ani jedynym. Masowa akcja likwidowania Żydów, ruszyła najpierw na terenach ZSRR ongiś należących do dawnego państwa związkowego Polski i Litwy, w głębi tradycyjnego obszaru osadnictwa żydowskiego, a więc również w Krajach Bałtyckich. Na ziemiach polskich, jeszcze do tego nie doszło. Rodzina Angusa usłyszała o tych faktach po raz pierwszy.

Zaczęli teraz przekonywać Moszka, że takie wypadki, bez wątpienia straszne, mogły zdarzyć się przy froncie, podczas działań wojennych, jeszcze przed zorganizowaniem stałej administracji. Przecież i w Polsce, wkraczająca armia niemiecka też przekraczała wielokrotnie prawo międzynarodowe i wszelkie normy ludzkie, mordując zarówno jeńców, jak i ludność cywilną. Prawda, że nie mordowano dotąd Żydów, lecz tylko Polaków. Prawda, że nie aż na tak wielką skalę, ale i skala obecnej wojny jest bez porównania większa.

- Ależ oczywiście, - zgodził się Moszek - ja nie mówię, żeby taka rzecz mogła się zdarzyć tutaj, prawie w środku Europy. Ale to oznacza intencje. Nie wielu Żydów przeżyje, nawet jeżeli nie zostaną od razu zamordowani. Czy wiecie, czym stało się Getto? To po prostu obóz koncentracyjny i zmierza do tego, żeby stać się obozem śmierci. Zamiast budować obóz od nowa, taniej było tymczasowo wydzielić część miasta i zbudować druty dokoła. W środku

głód, praca ponad siły, wielkie zatłoczenie i w związku z tym bardzo złe warunki zdrowotne i sanitarne, w ogóle złe warunki życia i w związku z tym wysoka śmiertelność. Ale nie to jest najgorsze. -

- Najbardziej obawiam się tego, kto przeżyje. Chyba najgorszy element, bo najmniejsze szanse mają porządni, przyzwoici ludzie. Czy wiecie, jak teraz jest w Getcie? Niemcy nie trują się sami, oni powołali policję żydowską. Nie mówię, że i tam nie trafiają się przyzwoici ludzie, ale najgorsi bywają tacy smarkacze, co jak tylko dostali czapkę i dębowa pałkę do bicia, to zaraz ze wszystkich sił wysługują się Niemcom. Uczą się na gwałt niemieckiego, a jak na ulicy uda się im porozmawiać z jakimś Niemcem, a jeszcze do tego z gestapowcem, albo przejść się z nim kawałek, to się tak cieszą, jakby im do kieszeni napaskudził. Gotowi są zabić i czasem zabijają tymi swoimi pałkami, a przynajmniej łamią kości. Rabują - nie, oni po prostu zabierają co tylko się trafi i zanoszą tym swoim Niemcom, a jeżeli tamci wezmą i są zadowoleni, to aż dziw, że ci policjanci nie merdają ogonami i się nie łaszą. Zupełnie jak psy, co umieją aportować i pan je za to chwali. Na ludzi to oni nawet nie patrzą, oni są nieskończenie ważniejsi. Zwykli Żydzi to po prostu błoto pod ich nogami, tyle tylko, że jak się depta to tak, żeby się za bardzo nie zachłapać.

- I tylko tacy zostaną, to oni przeżyją, może nawet się wzbogacą, a innych niewielu. Ludzie uczciwi, ludzie co myślą i czują, co w coś wierzą i potrafią rozumieć, mają najmniejsze szanse, bo oni nie zrobią takich rzeczy, nawet za cenę życia. - Moszek pomylił się o tyle, że Niemcy nie mieli zamiaru zostawić żadnych Żydów przy życiu. Najgorliwsi pomocnicy też w końcu przeszli przez komin, tyle, że mieli najgorsze rozczarowanie i z tego powodu najokrutniejszą śmierć. Ale to się wtedy nie mieściło w głowie.

Właściwie getto Ostrowieckie nie było jeszcze wcale najgorsze, w porównaniu do innych, a zwłaszcza do wielkich miast stosunkowo znośne. Miejskowa policja żydowska, chociaż zła, też nie zachowywała się najgorzej.

Ta część opowiadania nie była już taka niespodziana, bo matka Angusa kilkakrotnie jeździła do Warszawy, do brata. Zwłaszcza wtedy, gdy potrzebna była pomoc, ale także i wtedy, gdy przejściowo mieli sporo pieniędzy - po dobrej radzie i nawet wiadomości. Młodszy brat, któremu ona jeszcze przed pierwszą wojną zastępowała często matkę jako najstarsza córka w rodzinie, wycierała nos, szykowała jedzenie, wychowywała i czasem nawet biła po tyłku, był kimś i to dobrze sytuowanym. Jeszcze w okresie międzywojennym, został generalnym przedstawicielem Philipsa w Polsce, a obecnie, kiedy i przedstawicielstwo i centrala w Holandii wpadły w łapy Niemców, pełnił funkcje dyrektora oddziału w GG, chociaż pod nadzorem niemieckiego Treuhaendera. Mimo wszystko, to była nadal intratna i

ważna funkcja, dawała też okazję do wielu, tzw. lewych interesów na czarnym rynku, co umożliwiło skorumpowanie nadzorującego Niemca.

Dzięki temu stanowisku, mógł zorganizować dostawę części, radiowych i innych dla AK, w tym dla radiostacji i osobiście dla prof. Groszkowskiego, który w tym czasie pełnił funkcje głównego specjalisty organizacji w tym zakresie i jednocześnie prowadził ważne prace badawcze. W półtora roku później, pierwszy w Polsce cyklotron zbudowany został też przy wykorzystaniu wielu podzespołów z magazynów Philipsa. Jednym słowem, w pojęciu matki Angusa, brat był ważną i kompetentną osobą, z którego zdaniem się liczyła. chociaż z zasady nie przyjmowała niczego bezkrytycznie.

Otóż matka na podstawie własnych obserwacji i na podstawie informacji i opinii z drugiej ręki, głównie od brata i jego rodziny, także opowiadała sporo informacji o getcie warszawskim. Z jednej strony Rada żydowska i zwłaszcza jej przewodniczący, inż. Czerniakow, jedna z najwybitniejszych postaci przedwojennych i były senator Rzeczypospolitej Polskiej, cieszyli się na ogół dobrą opinią. Ale właściwie byli bezsilni, musieli tylko wykonywać polecenia Niemców i starać się wszelkimi, przeważnie nieformalnymi środkami, ulżyć doli Żydów i ocalić maksymalną ilość. W nieco ponad pół roku później, Czerniakow popełnił samobójstwo, gdy Niemcy od niego zażądali, aby przeprowadził selekcję dzieci przeznaczonych na śmierć. Nie mógł ani odmówić, gdyż spowodowałoby to jeszcze więcej ofiar, ani oczywiście wykonać takiego polecenia. Tej sprawy nie dało się również załatwić tak, jak dotąd, to znaczy pieniędzmi. Rozpoczęła się wówczas nakazana przez najwyższe czynniki, akcja wywożenia Żydów do gazu w Treblince. Rada Żydowska zobowiązana była dbać, żeby dziennie dostarczano co najmniej 5 tys. ludzi na Umschlagplatz na Stawkach. Ponad 60 % ludności getta, około 300 tys. osób wysłano na śmierć przy zaangażowaniu ze strony niemieckiej minimalnych sił, może 50 SS-manów, trzystu szaulisów, Kałmuków, Łotyszów i innych jednostek pomocniczych oraz około 3 tys. żydowskich policjantów, ponadto zapewne parudziesięciu gestapowców i do tysiąca agentów, którzy mieli nadzieję, że wysługując się zbrodniarzom, sami zostaną przyjęci do ich grona. W ZSRR zapewne mieliby szansę awansować z owiec do rzeźników i przeżyć, przy Niemcach nigdy, nie doceniali szaleństwa systemu.

Fatalną opinię miała Policja Żydowska, nie podlegająca Radzie ale bezpośrednio Niemcom, którzy mianowali na jej komendantów, kolejnych łotrów bez czci i wiary. Ale oprócz tego, tworzyli też niezależne struktury i organizacje, podległe bezpośrednio gestapo, jak na przykład Urząd do Walki ze Spekulacją, (nazywany popularnie trzynastką), pod kierownictwem Abrahama Gancwajcha. Zajmowali się oni albo bezpośrednim rabunkiem i

wymuszeniem, albo pośrednio, wywiadem gospodarczym, umożliwiającym celny i skuteczny rabunek ich mocodawcom. Ale obok tego także zwyczajnym szpiegostwem i prowokacją, zwłaszcza zaś poszukiwali zaczątków ruchu oporu i jakichkolwiek kontaktów z drugą stroną murów, możliwych powiązań z organizacjami polskimi. Po napaści na ZSRR, Niemcy nabrali podejrzeń, że do tego Urzędu przedostali się agenci komunistyczni i część pracowników zlikwidowali, a kilkuset przenieśli do Policji Żydowskiej. [Duch zła. Wybiegając teraz w przyszłość, trzeba powiedzieć, że następnie Gancwajch na zlecenie gestapo, utworzył rzekomą konspiracyjną organizację pod nazwą Żydowskiej Gwardii Wolności, znaną powszechnie później jako „Żagiew”, do której zebrał część swoich dawnych współpracowników. Członkowie jej otrzymali od Niemców broń i dokumenty, zezwalające im na opuszczanie getta i operowanie po obu stronach muru, stali się naprawdę śmiertelnym zagrożeniem dla organizacji Żydowskich i Polskich. To też zarówno Żydowski Związek Wojskowy w obrębie getta jak i polskie organizacje poza jego obrębem podjęły konieczne kroki, kierując sprawy znanych agentów gestapo do sądów podziemnych i w pierwszej kolejności wykonując te wyroki. Do powstania w getcie, ŻZW wykonał ok. 60 wyroków śmierci, polskie podziemie także kilkadziesiąt, z najgłośniejszą egzekucją „Lolka” zastrzelonego publicznie w restauracji przy ul. Nowogrodzkiej. Natomiast sam Gancwajch ocalał i zniknął, nigdy nie zdołano go odnaleźć mimo rozesłania listów gończych przez Kierownictwo Walki Cywilnej i dowództwo AK. Także po wojnie, mimo że tysiące ludzi znało tego potwora i nienawidziło go, a zapewne setki nadal szukało, ukrył się, jakby zapadł pod ziemię. Wprawdzie autor słyszał ludzi zaręczających, że był on czynny po wojnie w aparacie bezpieczeństwa, względnie nawet NKWD, ale brakuje przekonujących dowodów, są to tylko niesprawdzone pogłoski.]

Sytuacja w innych wielkich gettach była na ogół podobna, albo Judenrat pełnił formalną władzę, ale tylko w sprawach, które Niemców nie obchodziły, jak sprawy zdrowia i warunków życia, a ponadto organizował pracę na rzecz okupanta i zbierał wymuszane okupy, natomiast obok istniała niezależna Policja Żydowska z mianowanym przez władze niemieckie komendantem i równoległe działające bezpośrednio na rzecz gestapo szajki przestępcze, albo też sam szef Judenratu zajmował się gorliwie najściślejszą współpracą z Niemcami i wtedy sam miał wtedy pełnię władzy. Na przykład getto krakowskie działało na zasadzie modelu warszawskiego, z osławionym Spira Symche'm i potwornymi Odemanami, obok podlegającym wprost gestapo szajkami Diamonda i Słani. Natomiast getta łódzkie, górnośląskie (zlokalizowane w Sosnowcu) i przez pewien czas białostockie, działały według modelu dyktatorskiego.

Ruch podziemny był bardzo słaby, na przykład wzmiankowany ŻZW liczył wówczas w Warszawie prawdopodobnie stukilkudziesięciu ludzi, i tylko kilkadziesiąt sztuk broni, przeważnie pistoletów i dosłownie kilka sztuk broni długiej. Przy końcu, bezpośrednio przed powstaniem, kilkaset osób i wyraźnie więcej broni, ale nadal przeważnie krótkiej. Mógł już bardziej skutecznie zwalczać zdrajców, ale w stosunku do uzbrojenia Niemców była to sytuacja wprost rozpaczliwa. Później powstała Żydowska Organizacja Bojowa miała podobną ilość członków, ale broni jeszcze kilka razy mniej. O ile powojenne wiadomości są prawdziwe, niewielkie filie tych organizacji istniały tylko w Białymstoku, Krakowie i Częstochowie. To też walki przeciw Niemcom stanowiły tylko czyn rozpaczny i miały wprawdzie doniosłe znaczenie, lecz symboliczne i moralne.

Ogólnie biorąc, Żydzi znaleźli się w podobnej sytuacji jak dwa lata wcześniej Polacy. Sterroryzowani i masowo mordowani, mieli nadzieję przetrwać chociaż częściowo, jeżeli nie będą przeciwstawiać się swoim katom. Tylko nieliczne jednostki myślały poważnie o walce. Dopiero po około dwuletnim okresie, dojrzewać zaczęła myśl o zbrojnym oporze. Natomiast wśród mordowanych już wcześniej Polaków rozwinął się ponownie jeszcze w 1941 r., a właściwie nigdy zupełnie nie wygasł. Niestety, w 1943 r. już za późno było na organizowanie się. Do zbrojnego powstania doszło nie tylko w Warszawie, gdzie takie przygotowania były najdalej posunięte i walka najskuteczniejsza. Zbrojne akcje miały miejsce w gettach w Białymstoku, Częstochowie i jeszcze kilku miastach, a najtragiczniejsze był zrywy już w miejscach zagłady, w samych obozach.

Natomiast osobliwością Warszawy, niespotykaną nigdzie indziej, było tajne szkolnictwo, wzorowane na polskim, nawet aż do stopnia tajnego uniwersytetu. Ponadto tajna prasa i nadzwyczajny ruch umysłowy i kulturalny, Żydowska Organizacja Kulturalna organizowała odczyty literackie i naukowe, koncerty, nawet tajne przedstawienia teatralne.

Oczywiście, zarówno w gadzinowej prasie polskiej, jak i wydawanej pod kontrolą niemiecką gazetach żydowskich usilnie starano się o jątrzenie i wywoływanie wzajemnej nieufności, jednak zarówno Żydzi jak i Polacy przeważnie nie wierzyli tym gazetom. Ale jednak, pewien brak zaufania i w rezultacie współpracy wystąpił, a osoby na niskim poziomie umysłowym jednak ulegały w pewnym stopniu tej propagandzie.

[Prawo do obrony. Najgorsze skutki wynikły jednak z tego powodu, że Żydzi zupełnie nie przygotowani byli do ostatecznej obrony, do walki chociażby tylko w najgorszym wypadku, który właśnie się zdarzył. Żydzi wcale nie mieli większej, niż Polacy i inne społeczeństwa ilości zdrajców, kolaborantów i renegatów, jak niektórzy ludzie usiłowali później wmawiać. Być może, stosunek był przeciętny, lub nawet lepszy w porównaniu z

innymi grupami narodowościowymi, w każdym razie na terenach okupacji niemieckiej. Po prostu nie wypracowali oni metod i struktur, które mogłyby utrzymać w ryzach i w razie konieczności eliminować najbardziej niebezpiecznych z tych kilku procent złych ludzi, którzy występują w każdym społeczeństwie. Jednak Polacy, przy bardzo podobnym, a może nawet nieco większym procencie nędzników, gotowych do współpracy z okupantem, szantażu, względnie nawet do rozboju lub gwałtu za przyzwoleniem i cichym poparciem okupanta, zastosowali skuteczniejsze środki. Zło też występowało, ale starano się natychmiast je eliminować, co na wielu podobnych działało odstraszająco. Tymczasem w gettach, najgorsze jednostki znajdowały najlepsze warunki, były uprzywilejowane. Jakby hodowla wyrodków i renegatów, chociaż ostatecznie spotkał ich ten sam los. Niemcy nie oszczędzili także współpracowników.

To się może wydać wezwaniem do wzajemnego mordowania i stosowania przemocy, nieludzkich metod, lecz tak wcale nie jest. Podobnie jak pojedynczy ludzie, także i społeczeństwo ma prawo do samoobrony. Jeżeli ktoś powoduje śmierć innych ludzi, niestety nie ma wyboru, konieczne jest zabicie go, podobnie jak zabija się wściekłego psa. Nie chodzi o karę, to nie ma sensu, ale trzeba zabezpieczyć innych, tych co jeszcze żyją. Zwykle prawo natury pozwala zabić, aby nie zostać zabitym. Tym bardziej wolno zabić aby uniknąć śmierci wielu. Jeżeli ktoś tego nie uznaje, to tak, jakby wzywał do zbiorowego samobójstwa, takie społeczeństwa wcześniej czy później czeka zagłada.

Niestety, Żydzi pozwolili swoim zbrodniarzom pod niemiecką protekcją działać bezkarnie, zawiódł instynkt przetrwania.]

W getcie ostrowieckim też nie było wielu złych ludzi, ale niestety większość Żydów zostawiała im wolną rękę. Po prostu twierdzili, że to dopust boży, Bóg odwrócił swoją twarz. Moszek był sam bardzo religijny, ale zdawał sobie sprawę, że to fatalne rozumowanie. Jednak nie widział sposobu, żeby się temu przeciwstawić, nie był w stanie sam nic zrobić, albo przynajmniej tak mówił. Bo jednak, chyba nie jest całkiem pewne, czy ryzykował głowę opuszczając getto i to jeszcze po godzinie policyjnej tylko dla jakiegoś możliwego interesu. Fakt, że to w domu Kawiorskich, naprzeciw, w przyszłości miała działać Rada Pomocy Żydom. znana jako Żegota.

Wydaje się to tym bardziej prawdopodobne, że po tej rozmowie, Moszek zapytał matkę, czy przy jakiejś okazji jazdy do Warszawy nie zabrałaby prywatnego listu. Matka odpowiedziała, że owszem, jeżeli nie będzie to na adres w getcie. Najlepiej, gdyby ktoś zgłosił się po odbiór, albo żeby to był adres na Saskiej Kępie, w pobliżu domu, w którym mieszka jej brat. Na tym rozmowa się zakończyła Angus nigdy nie dowiedział się, czy z tego

coś wynikło, ale miał następnie pewne podejrzenia, zwłaszcza, że nawet już po wojnie matka nie odpowiedziała, gdy zapytał o to. Matka zawsze była aż za bardzo rozmowna, ale niektórych pytań jakby nie słyszała.

Moszek wyszedł z ich domu już po północy, przedtem Angus rozejrzał się, czy nikogo nie ma na ulicy ani od strony podwórza i pól, a następnie stanął przy psie podwórzowym i zajął go cichą rozmową, głaskaniem i paroma kąskami. Jeszcze tego by brakowało, żeby w ciszy nocnej rozszczeakały się psy wzdłuż ulicy. Zaraz potem poszli spać, późno lub raczej już wcześniej. Agnus nie spotkał Moszka nigdy więcej.

\* \* \*

W marcu 1942 Agnus ukończył komplet mat-przyr. z zakresu IV klasy gimnazjalnej, odtąd przestał się uczyć ze Stachem, ale nadal spotykali się często, żeby pograć w szachy i porozmawiać. Natomiast z przedmiotów humanistycznych, przerabiał nadal dopiero III klasę gimn., ale teraz mógł wzmóc tempo, u prof. Jarugi brał lekcje indywidualne, sam. Czasem idąc tam albo wracając, spotykał Stacha i Stefana, ale oni robili program klasy IV, też j. polski i łacinę.

Jednocześnie zarysował się pewien problem. Otóż prof. Mazzurowicz stwierdził, że nawet po uzupełnieniu wszystkich przedmiotów i przerobieniu całego programu, Angus nie może liczyć na formalne ukończenie gimnazjum, co nazywano uzyskaniem małej matury, chociaż nie łączyło się to z żadnym dalszym egzaminem, tylko z normalnym ukończeniem czterech klas. Powód był prosty, w tajnym nauczaniu nadal obowiązywały przedwojenne przepisy, a Angus nie miał świadectwa ukończenia szkoły podstawowej.

Z jednej strony, taka przeszkoda wydawała się formalistyczna i wprost absurdalna. Z drugiej jednak, podziemne szkolnictwo i oświata, podlegało delegaturze rządu emigracyjnego, w tym wypadku na stopniu powiatu Opatowsko-Ostrowieckiego. Właśnie ze względu na warunki konspiracyjne, wymagała ona jak najściślejszego wypełniania wszelkich przepisów, nawet tylko formalnych, tak żeby w sprawach przyszłych świadectw, które miały być wydane dopiero w wolnej Polsce, nie było żadnych wątpliwości i żeby nie obniżyć ich rangi. Nawiasem mówiąc, takie stanowisko zostało zaraz po wojnie bardzo poważnie złagodzone na okres kilku lat. Agnus mógłby po prostu nie dbać o żadne przepisy i świadectwa teraz i po prostu uczyć się dalej. Po wojnie, do otwartych szkół średnich można było po prostu zgłosić się do dowolnej klasy i na podstawie egzaminu na miejscu i uchwały rady pedagogicznej zostać zaakceptowanym i przyjętym do szkoły lub ewentualnie przesuniętym na właściwy poziom nauczania.



Jednak wtedy, w czasie wojny, a w każdym razie w Ostrowcu nikt nie dopuszczał takiej możliwości, obowiązywały nadal sztywne normy. Szkoły powszechne istniały i działały na terenie GG, co oznaczało że tajnego szkolnictwa na poziomie elementarnym nie było. Podobno tajne polskie szkoły powszechne, istniały na terenach włączonych do Niemiec, ale oczywiście nie wchodziło w rachubę, żeby uczeń starał się o uzyskanie świadectwa, na przykład z Wielkopolski, to była absurdalna myśl, która tylko na chwilę nasunęła się Angusowi.

Sytuacja była paradoksalna, ale Angusowi nie wydawała się śmieszna. Dość powiedzieć, że już po wojnie i w ogóle po ukończeniu Uniwersytetu, Angusowi przyśniło się, że nie może otrzymać dyplomu i jego studia okazały się nieważne, ponieważ nieważna była również matura, a to dlatego, że nie miał przedtem małej matury, formalnie nie ukończył gimnazjum, wszystko dlatego, że nie miał przedtem świadectwa ukończenia szkoły powszechnej. Nagle wszystko się wydało. Po tym koszmarze obudził się pokryty zimnym potem i omal nie spóźnił się na uroczystość wręczenia dyplomów.

Teraz ta sprawa wałkowała się przez dwa miesiące, prof. Mazzurowicz i Jaruga, zwrócili się w tej sprawie do dyrekcji tajnego gimnazjum i następnie przez nią z zapytaniem do delegatury powiatowej, która nie zmieniła stanowiska. Chociaż sprawa była jasna i nie budziła wątpliwości, to jednak wyjaśniono, że właśnie ze względu na specyfikę tajnego szkolnictwa nie można robić żadnych odstępstw od przepisów. Jednocześnie jednak wskazano, na pozornie prosty sposób pokonania tej przeszkody. Przecież Angus ma świadectwo ukończenia piątej klasy, wystarczy, że teraz na krótko zapisze się do ostatniej klasy szkoły powszechnej.

Zdania rodziców były w tym wypadku podzielone: matka uważała to za bezduszny idiotyzm, szczególnie kretyński biurokratyczny wymysł dla zatrucia życia zwykłym ludziom. Natomiast ojciec, który sam był do niedawna urzędnikiem państwowym, miał pełne zrozumienie dla wszystkich obowiązujących przepisów i uważał, że w szczególnej sytuacji państwa podziemnego, muszą one być specjalnie troskliwie zachowywane, inaczej łatwo mogłoby dojść do różnych nadużyć i cała struktura może utracić kredyt moralny, a tylko na tym przecież się opiera.

Angus nie miał z wyrobionego zdania. Z jednej strony rozumiał, że najprościej jest zastosować takie formalne rozwiązanie, mieć sprawę z głowy i zapomnieć o niej, ale z drugiej to że on, kończący gimnazjum, ma teraz niejako zdegradować się i wrócić między dzieciaki do szkoły powszechnej, odczuwał jako dotkliwe upokorzenie.

Nadszedł czerwiec i rozgrywała się bitwa pod Charkowem, ostatnia próba przeprowadzonej według planów „Genialnego Stalina” ofensywy wojsk radzieckich, zaraz po przeschnięciu wiosennych błot. Po początkowym przerwaniu frontu niemieckiego, zakończyła się ona podwójnym okrążeniem i katastrofalną klęską. Właściwie cały front południowy rozpadł się i to doprowadziło ZSRR najbliższej krawędzi załamania w tej wojnie. Ale i Hitler też popełnił swoje stałe błędy i działał jak hazardzista, który w żaden sposób nie może oderwać się od gry, gdy wygrywa, ani tym bardziej powiedzieć sobie stop, gdy zacznie przegrywać i ta passa zakończyła się dopiero w zimie, katastrofą pod Stalingradem gorszą niż kiedyś pod Moskwą. Na razie jednak, w ręce Niemców wpadła ostatnia, ogromna masa jeńców rosyjskich.

Od tej pory, Stalin wprawdzie pozostał nadal naczelnym wodzem, ale nie próbował już dowodzić osobiście. Poprzestawał na wydawaniu ogólnych rozkazów, w rodzaju „pobijcie ich”, pozostawiając realizację kompetentnym generałom pod warunkiem, że nie próbowali wysuwać się do przodu ani nie domagali się praw autorskich do swoich pomysłów. Na drodze naturalnej eliminacji, na polach przegranych bitew i w krytycznych sytuacjach wyłoniła się grupa zdolnych fachowych dowódców. W ten sposób najgorszy mankament Armii Czerwonej stopniowo zaleczył się sam, chociaż odbyło się to kosztem ogromnych błędów i życia milionów ludzi. W miarę upływu czasu, Armia Czerwona stawała się znów pełnowartościowym wojskiem. Utracono w tym czasie najcenniejszy materiał ludzki, ale pozostało jeszcze wielu ludzi zdolnych do służby wojskowej i w dodatku ci żołnierze wiedzieli już czego się spodziewać od Niemców i woleli umierać w walce, niż w niewoli. Warunki walki na froncie wschodnim zupełnie się zmieniły, właśnie w roku 1942.

Agnus nie obserwował tym razem tak dokładnie sytuacji na frontach i nowej serii zwycięstw niemieckich, także i w Afryce, gdyż od początku czerwca zdecydował się, co okazało się później wielkim błędem, na, jak mu wmówiono, konieczną choć przykrą ewentualność i zapisał się do szóstej klasy szkoły powszechnej. Ponieważ bliska, nowoczesna szkoła zbiorcza naprzeciwko gimnazjum była zajęta przez wojsko niemieckie, a także jeszcze i teraz zdarzały się od czasu do czasu transporty jeńców rosyjskich (choć nie był to już tak okropny widok, jak dawniej), miał dość daleką drogę. Zwykle chodził przez Błonia do ul. Wspólnej i następnie ul. Pierackiego aż prawie do końca, gdzie przy rogu ul. Ogrodowej znajdował się stary ceglany budynek jeszcze z przed I Wojny Światowej. Właściwie siedział tylko po kilka godzin dziennie w ławce, kierownik szkoły i nauczyciele znali jego wypadek i z reguły nie wywoływali, a jeżeli czasem, to tylko gdy nie mogli od klasy wyciągnąć właściwej odpowiedzi. Wprawdzie w licznej, ponad 40 osobowej klasie było kilkanaścioro

uczni i uczennic w jego wieku, ale ponieważ był znacznie wyższy, wydawał się także i starszy. Uważając, że jest tu tylko przypadkiem i na krótko, trzymał się osobno i nie nawiązywał bliższych znajomości, pewnie też i nie zdążył, chociaż szereg razy po lekcjach wracali do domu w grupie i gadając. Nie przywykł dotąd do szkół koedukacyjnych i obecność dziewczyn robiła dość dziwne wrażenie, ale były to raczej młode dziewczynki które go nie interesowały, chociaż garnęły się do niego, aż nadmiernie.

Owszem, był pewien wyjątek, do tej klasy chodziła też dziewczyna już piętnastoletnia i wyjątkowo ładna, która bardzo mu się podobała, Niestety, po pierwsze miała już swoją sympatię, a po drugie zaraz przy skończeniu szkoły ojciec, człowiek prosty i raczej prymitywny, jak mówiono sprzedał córkę, dokładniej mówiąc posłał ją do pomocy w domu majstra z Zakładów Ostrowieckich, gdzie sam pracował.

Ta sprawa stała się głośna, bo kiedy dziewczyna z płaczem próbowała uciec do domu, ojciec zastosował przymus fizyczny i zaprowadził ją tam ponownie, nakazując pełne posłuszeństwo nowemu panu. Powiedział, że wynajął ją do służby na rok, dzięki temu on sam dostał lepszą pracę i cała rodzina będzie miała się lepiej, a on nie tylko nakazuje córce posłuszeństwo, ale na okres roku przekazuje majstrowi swoją władzę rodzicielską i upoważnia go także do wymierzania kary w razie potrzeby.

Wyjątkowy wypadek, Angus nigdy przedtem ani potem się z podobnym nie spotkał, ale starsi ludzie mówili, że podobno dawniej takie się zdarzały. Jedyne sensacyjne zdarzenie z tego okresu, który w końcu minął, a Angusowi udało się w drodze do i potem ze szkoły, szczęśliwie nie spotkać nikogo znajomego, gdyż można powiedzieć, że określenie „deklasacja” nabrało wtedy dla niego nowego znaczenia.

Właściwie ten miesiąc, który Agnus traktował jako przejściową ale bardzo przykrą degradację, trwał tylko trzy tygodnie. Dwudziestego czwartego czerwca, zakończył się czyściec chodzenia do szkoły powszechnej w towarzystwie dzieciaków. W kilka dni potem otrzymał wreszcie świadectwo ukończenia szkoły. Ale skrupulatny prof. Mazzurowicz, który tak dokładnie wymagał dopełnienia wszystkich formalności, miał jeszcze coś w zanadrzu. Otóż w ostatnich latach przed wojną, zalecono, aby czwartoklasiści, przed zaliczeniem czwartej klasy gimnazjum i to na lekcjach fizyki, zapoznali się z motoryzacją i nabyli umiejętności prowadzenia pojazdów mechanicznych. W zasadzie mieli uzyskać prawo jazdy i była to wspólna powinność uczących fizyki oraz PW. To oczywiście nie było możliwe w warunkach tajnego gimnazjum. Ale część teoretyczna przynajmniej, wchodziła w zakres programu i to właśnie fizyki. Wprowadzie prof. Mazzurowicz w życie nie prowadził samochodu i całe szczęście, podobno próbował kilka razy zdobyć prawo jazdy i te próby

wywoływały prawdziwą panikę wśród instruktorów. Jednak wchodził w skład komisji egzaminacyjnej i wiedział wszystko o konstrukcji i pracy motoru, a także o podstawach fizycznych innych mechanizmów samochodowych. Często też stawiał bardzo trudne pytania, chociaż podobno pozostali członkowie komisji uważali, że nie mają one najmniejszego związku z praktyczną umiejętnością prowadzenia samochodu lub motocykla. Zgoda, kierowca musi wiedzieć, czym różni się motor dwutaktowy od czterotaktowego, ale np. co to jest idealny cykl Carnota, o tym sami instruktorzy mieli mętne pojęcie i uważali to za nieistotne, jednak słuchali tych pytań i odpowiedzi z poważną i obojętną miną.

Jeszcze przed otrzymaniem świadectwa szkolnego, Mazzurowicz pożyczył osobiście Angusowi dwa podręczniki, dla kierowcy - amatora, oraz dla lepszego objaśnienia szczegółów znacznie grubszy podręcznik kierowcy zawodowego. Po opanowaniu materiału, miał zgłosić się na egzamin i dopiero potem, profesor zaliczył mu jako ukończony cały program fizyki IV klasy i tym samym całość przedmiotów mat - przyr. Nawiasem mówiąc, treść tych podręczników uznał Angus za bardzo interesującą. Zawsze miał dużo wyobraźni i nic mu to nie przeszkadzało, że tylko czytał opisy działania mechanizmów i ich konstrukcji, ewentualnie oglądał rysunki, nie mogąc dotknąć prawdziwych części. Właściwie dobrze się złożyło, wolał teorię, a w praktyce miał raczej dwie lewe ręce. Nawet wiele lat później, kiedy miał i prowadził samochód, nie zawsze potrafił znaleźć i odróżnić właściwą część lub miejsce, chociaż wiedział o co chodzi i korzystając z pomocy mechanika, nie omieszkiał udzielić mu zawsze „fachowych” porad (naprawy wraz ze znakomitymi radami klientów kosztują zwykle drożej, ale sprawiają bez porównania więcej satysfakcji).

Szczerze mówiąc, dotąd w swoim życiu poznał dobrze tylko jeden jedyny mechanizm, to był polski karabin piechoty. Dotychczas pamiętał. po prostu czuł w palcach każdą część zamka i nawet teraz, po prawie trzech latach potrafiłby go złożyć lub rozłożyć z zamkniętymi oczami i to zbudzony ze snu, jednym dotknięciem rozpoznać każdy detal. No tak, ale po pierwsze miał w 1939 r świetnego instruktora, uczył się jeszcze jako dziecko z dodatkiem ogromnego zaangażowania emocjonalnego i najsilniejszej możliwej motywacji, a potem właściwie nigdy nie przestał o tym marzyć, często wyobrażał go sobie zasypiając lub budząc się. Teraz tak jak dawniej, oddałby nie jedno, ale dziesięć żyć za ten karabin i oczywiście możliwość strzelania z niego naprawdę, naturalnie do Niemców. Niestety, nie zanosilo się na to.

\* \* \*

W parę dni później 28 czerwca, Agnus ukończył 14 lat. W Polsce obchodzi się imieniny a nie urodziny, ale i tak rodzice pamiętali, a mama zrobiła mu ulubione śniadanie, z

jajecznica i dużą porcją truskawek. Angus nie mówił tego głośno, ale osobiście uważał ukończenie 14 lat za ważną okoliczność, dawniej właśnie od 14 lat można było zostać giermkim, podobnie jak od 7 lat paziem. Ale mniejsza o paziów. 14 lat to był już wiek wojownika. Giermek nie tylko służył rycerzowi, ale uczył się już walczyć aby sam zostać następnym rycerzem i czasem, jeżeli w walce okazał się dzielny i sprawny, no i oczywiście miał wyjątkowe szczęście, zdołał się wyróżnić, mógł zostać rycerzem nawet w tak młodym wieku, z dnia na dzień. Krótko mówiąc, Angus uważał, że od tego wieku już na pewno może oczekiwać, że przestaną go pomijać i traktować jak smarkacza, że będzie mógł wziąć udział we walce.

Spróbował spojrzeć na siebie z boku, jak na kogoś obcego. Nie czuł się już chłopcem, w wieku 14 lat przerastał o głowę profesora i o dobre pół głowy swego starszego, dorosłego kolegę. Jak na swój wiek bardzo wysoki, miał już 182 cm wzrostu i potem rósł już tylko o milimetry. Twarz miał szeroką i kształt głowy uważał za trochę podobne do Herberta Hoovera, oczywiście nie tego, od którego dostał wspomniane buty i inną pomoc po wysiedleniu, ale tego w młodym wieku, oglądał kiedyś fotografie z młodych lat i czytał życiorys (jeszcze w związku z działalnością w Polsce w krytycznych latach walki o życie 1919 - 1921 i dalej, chyba do 1923 r). Właściwie podobieństwo psuła tylko gęsta i zawsze potargana czupryna bujnych włosów, chociaż strzygł się dość krótko, nie sposób było sobie z nimi poradzić. Oczywiście, siłą i zwłaszcza wytrzymałością, nie mógł się jeszcze równać z dorosłym mężczyzną, Ale miał zamiar rozpocząć intensywny trening wkrótce, a poza tym miał nadzieję, że w czasach kiedy nie walczy się na miecze i tarcze, umiejętność strzelania jest bez porównania ważniejsza od siły fizycznej. Wreszcie, brak mu było za pewne rozsądku i doświadczenia, ale z drugiej strony prawie ukończył już gimnazjum, w tym wieku to był całkiem dobry rezultat, mimo wojny nie tylko żadnego opóźnienia, ale nawet nadrobił parę lat w porównaniu do normalnego trybu nauki. Prawda, że gimnazjum ukończył tylko częściowo, miał trochę do uzupełnienia u Mazzurowicza, a z przedmiotów humanistycznych, zostało mu jeszcze parę tygodni do ukończenia III klasy.

Na lekcje z polskiego i łaciny, chodził teraz do prof. Jarugi i różniły się one bardzo od tych, które prowadziła p. dr Piesowicz, przede wszystkim pozbawione były tego porywającego piękna, natomiast były trudniejsze. Prof. Jaruga miał opinię znakomitego pedagoga i wybitnego humanisty, zapewne słusznie, ale był bardzo wymagający i raczej oschły. Surowo żądał absolutnej perfekcji i szybko i precyzyjnie wskazywał wszystkie braki. Na pierwszej lekcji, która zaczął od wrywkowego sprawdzania wiadomości z poprzedniej klasy, między innymi polecił Angusowi napisać krótko, co wie o Piotrze Skardze. Angus

zrobił to, podając, swoim zdaniem wszystko najważniejsze na 1,5 strony zeszytu, podał nawet datę (przypuszczalną) urodzin i śmierci znakomitego kaznodziei, której się nie uczył, ale, mając pamięć do liczb, zapamiętał przypadkowo. Jaruga spojrział na te krótkie notatki i zapytał, czy to wszystko, co Angus na ten temat pamięta. Angus poczuł się dotknięty, powiedział: - przecież Pan profesor sam kazał krótko, podałem wszystkie ważniejsze fakty i właściwie nie dodałem tylko wody. - Wtedy Jaruga poprosił go, żeby spróbował na następną lekcję sporządzić dwa wypracowania, przykrojone na zamówienie. Jedno ma być na temat: „Wędrówka kropli wody na szybie” i ma mieć dokładnie osiem stron, ani linijki mniej ani więcej - i ani kropli wody, wyłącznie rzeczowe obserwacje i autentyczne fakty. Drugie pt.: „Z drzewa spadł zwiędły liść” i to może być trochę krótsze, no, powiedzmy siedem stron. Następną lekcją wypadła za trzy dni, dwa pierwsze Angus spędził, przyskajając wodę na szybę i notując, jak zachowują się spływające krople. Kilka razy zaczynał wypracowania, za każdym razem darł je i wyrzucał, były beznadziejne. Dopiero ostatniej nocy, kiedy poszedł do łóżka pełen rozpaczy, niespodziewanie wstał i napisał tekst, który po pewnych poprawkach spełniał wymagania, Potem z liściem poszło już łatwiej, ale i tak po nieprzespanej nocy, gotów był na ostatnią chwilę, był o krok od stracenia lekcji ze swojej winy. Była to prawdziwa praca Heraklesa, tymczasem Jaruga dość obojętnie odłożył oba wypracowania do późniejszego przejrzania, po czym jakby nigdy nic przystąpił do nowego materiału, który Angus ledwie przeczytał.

Być może, było to wstępne ustawienie ucznia i zapewne dobrze zrobiło Angusowi, który, jak się to mówi, „osiadłał” przedtem Mazzuowicza i miał tendencję do zarozumiałstwa. Po takim zimnym prysznicu na wstępie, starał się ze wszystkich sił, żeby nie stracić opinii u pedantycznego, nowego nauczyciela. Na ogół to mu się udało, ale i tak, chociaż lekcje były indywidualne i wychodził ze skóry, żeby utrzymać dobre tempo, lekcje przeciągały się, prawdopodobnie co najmniej do połowy lipca. Jednak w gruncie rzeczy szło mu dobrze, a mimo coraz gorszej sytuacji finansowej, rodzice nadal płacili bez zmużenia oka.

Obecnie Angus przechodząc do nowej fazy życia, dokonał jakby samooceny dotychczasowej części. Bilans za 14 lat nie był wcale zły, za kilka miesięcy spodziewał się uzupełnić i skończyć gimnazjum, dobrze przed czasem. Nie wątpił też, że prawdziwy licealista zostanie potraktowany odpowiednio poważnie i znajdzie wreszcie miejsce w ruchu oporu. Jednym słowem był pełen optymizmu. W sprawach religii, przestał tak bardzo przejmować się swoją duszą i ciężącymi na niej grzechami, w ogóle bardzo zobojętniał w tych sprawach, ale jeszcze nie wszedł w okres gwałtownej rebelii, występującej wcześniej czy

później w wieku dojrzewania. Do kościoła chodził nadal, ale głównie ze względu na rodziców i polegał raczej na własnej ocenie moralnej. Ostatecznie, już raz został wpuszczony w maliny i omal nie popełnił samobójstwa, z powodu grzechu, który, jak teraz oceniał, miał dość blache znaczenie i w gruncie rzeczy, był normalny w jego wieku i dość rozpowszechniony. Jeżeli nawet nie zrobił wtedy ostatecznego kroku, jaki dyktowała mu rozpacz, to jednak stracił rok życia i połowę osobowości, wyszedł z tego z ciężkimi ranami psychicznymi. Chociaż więc nie odnosił się jeszcze wrogo do kościoła to jednak wracał myślami do do wiersza Cypriana Godebskiego, który utkwiał w pamięci:

„Głos wolności zagłuszył poświęcone śpiże, A przed jej chorągiewami uciekały krzyże...

Ten niepotrzebny epizod, który tak fatalnie zaciążył nad jego życiem, był teraz ostatecznie zamknięty.

\* \* \*

A jednak, właśnie gdy Angus wyobrażał sobie, że jego życie się ustabilizowało i ma przed sobą prostą drogę i tylko od niego samego zależy, jaką na niej rozwinię szybkość, jego los został już przesądzony, a pasmo sukcesów zakończone. Kości padły inaczej.

Drobny szczegół, którego nikt nie przewidział, jakby przestawił zwrotnicę, zmienił tor przyszłości. Otóż każda szkoła, oprócz nauczania, sporządza też sprawozdania, także i teraz je składano. Władze niemieckie, a konkretnie Arbeitsamt, usprawniły właśnie pracę i postanowiły skorzystać z doświadczeń innych okręgów gdzie już wcześniej kontrolowano te sprawozdania, a zwłaszcza spisy uczniów kończących szkoły. To, że Angus skończył 14 lat, uznano też za ważną okoliczność, ale nie chodziło bynajmniej o wysłanie mu powinszowania.

„Może właśnie dziś, patrząc w szarą mgłę, prosi Boga, żołnierzyku, by zachował cię”

### **Rozdział IX. Nieubłagany potok niepamięci.**

W kilka dni później, 2 lipca 1942 Angus pobiegł do prof. Mazzurowicza aby zgłosić się na egzamin do prawa prowadzenia pojazdów mechanicznych, oczywiście wyłącznie część teoretyczną. W ostatnich latach przed wojną, był to warunek wymagany do zaliczenia fizyki w IV klasie gimn. Wprawdzie w obecnych okolicznościach raczej absurdalny, ale nie dla Mazzurowicza. Stary profesor był wprawdzie człowiekiem pełnym życzliwości, ale w tych sprawach już nie tylko formalistą, ale po prostu fanatykiem, najmniejsze odstępstwo od programu szkoły uważał za herezję. W poprzednim rozdziale opisano już, jak skomplikował życie Angusowi z powodu, jak się później okazało, zupełnie niepotrzebnego świstka papieru, którego nikt, nigdy więcej nie wymagał.

To też Angus przygotował się bardzo starannie. Wiedział wszystko o motorach, dwu i czterotaktowych, nisko i wysokoprężnych, znał wykresy spalania, potrafił na ich podstawie przedstawić teoretyczną wydajność pracy i stopień doskonałości przy danych założeniach, uzasadnić teoretycznie wpływ różnicy temperatur itd. Także zasady działania skrzynki biegów, sprzęgła, dyferencjału i innych mechanizmów, jak również instalacji elektrycznej niskiego i wysokiego napięcia, nie miały żadnych tajemnic. Z drugiej strony, jeżeli w ogóle potrafiłby uruchomić pojazd, to na pewno nie zdołałby przejechać kilkuset metrów bez poważnych kłopotów, bardzo możliwe, że np. przełączając biegi usiłowałby dźwignią hamulca i to byłoby jeszcze stosunkowo bezpieczne w porównaniu do innych możliwości. Nie mówiąc już o tym, że nie wiedziałby w ogóle, gdzie szukać zaworów, choć wszystko o nich wiedział, ani co pokazują jakie zegary, gdzie są i jak działają przełączniki itp. Krótko mówiąc, przed kierownicą znajdował się diabeł, a on nie wiedział jak go uszczypnąć, czym ugłaskać, ani ukłuć w tyłek.

Ale nie o to chodziło, a z teorii był przygotowany.

Mazzurowicza nie zastał w domu i nie wiadomo było, kiedy wróci - może niedługo. Angus postanowił poczekać, poszedł do ogrodu i usiadł w starej drewnianej altanie, obrośniętej wysokimi krzakami bzu lub może jaśminu, bez kwiatów nie był pewien. Nawet w głębokim cieniu robiło się coraz goręcej, więc zdjął marynarkę, poluźnił krawat, potem rozpiął koszulę i podwinął rękawy. Ubrał się tego dnia formalnie, biała koszula i granatowy garnitur, nawet wieczne pióro w kieszonce, raczej do dekoracji, bo z reguły go nie używał, wolał ołówek lub zwykłe pióro.

Z początku przeglądał jeszcze pożyczone podręczniki, ale w końcu odłożył je, otarł pot z czoła i wyszukał taki kątek w altance, do którego dochodziło trochę powiewów powietrza. Upał i brzęczenie pszczół rozleniwiały, pogrążył się w marzeniach. Widział pokój, w którym odbywały się lekcje, ale nie prowadził ich Mazzurowicz, nie była to ani fizyka, ani matematyka. Miał przed oczami te piękne czasy, kiedy uczyła go cudowna, niezapomniana pani Piesowicz. Może przejście do prof. Jarugi to był wyższy stopień i wymagania, może zmiana nauczyciela co jakiś czas jest potrzebna i celowa. Ale lekcje z panią Piesowicz były niepowtarzalne, a nauka u niej, w ogóle jej obecność wyjątkowym szczęściem. I to szczęście trwało tak krótko, wszystkiego kilka miesięcy. Trzeba było udawać krety, przedłużyć kurs II klasy.

Agnus uwielbiał swoją nauczycielkę z pełną czcią, nigdy nie pozwolił sobie na marzenia o niej nacechowane seksem. W momentach, gdy w ogóle sobie na coś pozwalał, przenosił myśli na inny obiekt. Teraz wyjątkowo, przez chwilę wyobraził sobie, że dotknął



swego bóstwa tylko na tyle, żeby przez moment poczuć ciepło jej skóry, To wyobrażenie doprowadziło od razu do tak silnej erekcji, że wprost nie mógł wstać z ławki. Natychmiast odwrócił myśli i jednocześnie z całej siły zacisnął mięśnie okrężne, co z początku jeszcze utwardziło erekcję, ale po chwili, powodując zmęczenie, zmniejszyło ją i gdy teraz rozluźnił zwieracz, erekcja minęła. W samą porę, gdyż wkrótce usłyszał na ścieżce jakieś kroki.

Z miasta, od strony pól za ogrodem, wracała właśnie osoba, którą uwielbiał. Zauważyła Angusa, podeszła się przywitać i zapytała co tu robi. Agnus wyjaśnił, że czeka na jej ojca. Pani Piesewicz usiadła i zapytała go jak mu teraz idzie, Agnus odpowiedział, że ma wreszcie to świadectwo szkoły powszechnej i z kolei, chce formalnie zakończyć kurs gimnazjum, na razie z przedmiotów matematyczno-przyrodniczych.

- A co z humanistycznymi? I jak ci się układa z profesorem Jarugą? - Agnus odpowiedział że profesor jest świetny choć bardzo wymagający, ale jednocześnie nie mógł przemilczeć swego żalu, że pani Piesewicz nie chciała go dłużej uczyć. On sprzedałby duszę diabłu, żeby to mogło trwać dalej choć kilka miesięcy. To były wzniosłe, wspaniałe godziny, nigdy już nic takiego nie spotka i nigdy też on sam nie starał się bardziej. Więc nie może pojąć, dlaczego jedyna osoba, na której naukach najbardziej mu zależało, nie chciała dalej się nim zajmować. Sto, tysiąc razy myślał o tym, godzinami rozważał każdą minutę i każde zdarzenie, nie może zrozumieć, co takiego zrobił.

- Przecież Pani prowadzi także lekcje z zakresu trzeciej klasy. Więc dlaczego ja, dlaczego nie mnie, czym zawiniłem? Tylko proszę nie mówić, że to dla mojego dobra, w moim najlepszym interesie. Już to słyszałem. Wyglądało, jakby pani Piesewicz zastanawiała się kilka sekund, w końcu odpowiedziała:

- Dobrze, pomówmy szczerze. Wiesz, że uczniowie często podkochują się w swoich nauczycielkach, uczennice w nauczycielach jeszcze częściej, a czasem i w nauczycielkach. Mnie też to nie ominęło, z własnego doświadczenia pamiętam, kiedy byłam uczennicą. Ale nauczyciel musi być obiektywny i zachować się na poziomie, a jeżeli nie może, jeżeli zauważy, że jednak zaczyna się angażować osobiście, to powinien zrezygnować, przestać uczyć. -

- Tak, ale ja przecież ani na chwilę tego nie okazywałem, nawet nie pomyślałem przez jedną sekundę. Dlaczego uznała mnie pani za coś tak wstrętnego, niskiego lub podłego, że nawet samej mojej obecności nie można znieść. Wiele razy robiłem rachunek sumienia i nic nie rozumiem. Bardzo ciężko mi z tym żyć, to boli. Chciałbym poznać swoje złe strony, wiedzieć jakie błędy popełniam. Dlaczego ludzie, na których mi zależy, odwracają się? -

- Słuchaj, ty rozumiesz kompletnie na odwrót. Zrozum, że jesteś całkiem atrakcyjnym chłopcem, jeżeli naprawdę jeszcze tego nie wiesz. Gdybym była młoda dziewczyną w twoim wieku i do tego wolną, to może bym ci się nie oparła. Zrozum, że nie tylko jestem od ciebie dużo starsza, ale mam też rodzinę, męża na którym mi bardzo zależy i czteroletniego synka. Przeanalizowałam sprawę i doszłam do wniosku, że trzeba to przerwać zanim wszystko się nie skomplikuje. Powód jest taki, że zaczęłam cię lubić za bardzo, a nie odwrotnie, jak sobie wykombinowałeś. Przykro mi, że tak to odebrałeś, ale to było jedyne rozsądne wyjście. Normalna rzecz, że pierwsze uczucia pozostają w strefie marzeń i wyobraźni. Pierwsze kotki za płotki... Znajdziesz sobie ładną dziewczynę w swoim wieku i będziesz szczęśliwy. Mnie to nawet pochlebia a ty się pocieszysz. Nie mówię banalnych słów, ale ty zapowiadasz się bardzo dobrze. Jest wojna, wyjątkowo trudna sytuacja, a już kończysz gimnazjum, o dwa lata przed czasem. Masz jeszcze do uzupełnienia przedmioty humanistyczne, ale jak wszystko pójdzie dobrze i nadal utrzymasz takie tempo, to masz szansę zdawać maturę za rok, w wieku 15 lat, to byłby wyjątkowy wypadek. Dziewczyny się o takich biją.-

- Dziękuję, mam nadzieję że wkrótce skończę u prof. Jarugi program III klasy, ale czwartej już nie będzie, ani tym bardziej liceum. Koniec pięknych planów. -

- Dlaczego? Co się stało?-

- Właśnie wczoraj dostałem wezwanie do Arbeitsamtu. Muszę się stawić w terminie tygodnia, a potem wysyłają mnie na roboty do Niemiec. -

- Jezus, Maria! - Pani Piesewicz impulsywnie chwyciła Angusa za rękę. - Co masz zamiar zrobić? - Angusa przeszedł długi dreszcz i na całym ciele zaczęła mu występować gęsia skórka. Co więcej zdawał sobie sprawę, że przy podwiniętych rękawach i rozpiętej koszuli, taka reakcja jest widoczna. Ta świadomość krępowała go jeszcze bardziej, najchętniej schowałby się pod ziemię. Nie mógł jednak nic na to poradzić i siedział jak sparaliżowany. Dwa razy otwierał usta i zamykał je znowu, gdyż zdawał sobie sprawę, że dźwięk jaki by się z nich wydobył, nie byłby w niczym podobny do głosu.

Czytał a także widział przed wojną na filmach komediowych, jak między zaangażowanymi sobą ludźmi następował jakby przeskok iskry elektrycznej i uważał to za zabawny wymysł autorów, śmieszna bujda. Teraz zwykłe dotknięcie dłoni ogłuszyło go jak rażenie pioruna, wprost nieprawdopodobne.

W końcu z trudem zdołał opanować siebie i swój głos: - Jedno jest pewne, nie pojedę do Niemiec. Cokolwiek się stanie, nie będę dla nich pracował, nawet gdyby się to miało skończyć obozem lub więzieniem. Ojciec też powiedział, że pewnych rzeczy nie można

zrobić bez względu na konsekwencje. Może uda mi się ukryć i nie złapią mnie. - W tym wypadku, zdanie Angusa rzeczywiście podzielała cała rodzina. Jeżeli ojciec nie całkiem odpowiadał wymarzonemu przez Angusa ideałowi, nie szukał okazji do czynnej walki i wolał siedzieć cicho, to również uważał, że obowiązuje zasada, że nie wolno pracować dla okupanta. Matka stała na podobnym stanowisku, choć z całkiem innego powodu: nie mogła dopuścić, żeby taka krzywda spotkała jej synka. Sam Agnus żywił nadzieję, że to zdarzenie wymusi jego przejście na statut nielegalny, nareszcie, po prostu nie będzie innej możliwości. To uważał za bardzo szczęśliwą szansę dla siebie, najlepsze wyjście.

Ale najwyraźniej pani Piesewicz nie podzielała tego zdania, przeciwnie, za bardzo się tym przejęła. Próbował jej wyjaśnić, że to nic ważnego, nie ma o czym mówić i wcale się tym nie martwi. Co więcej, od dawna już marzył, żeby wreszcie trafiła się jakaś okazja, wymuszająca męską decyzję, to po prostu wstyd, żeby młody człowiek w takich czasach żył sobie tak spokojnie i w ogóle się nie narażał.

Kobiety są dziwne, to do niej w ogóle nie docierało, albo nie słuchała. Przed chwilą, chyba zaskoczona jego silną reakcją, powoli cofnęła rękę. Teraz pochwyciła ją ponownie. Ponownie ten dotyk podziałał wstrząsająco, zaczął powtarzać w kółko to samo, gubić się i mówić od rzeczy. Po chwili pochwycił drugą rękę swojej byłej nauczycielki, potem przysunął się bliżej i otoczył ją ramieniem i nagle powiedział to, o czym naprawdę myślał:

- To, co ze mną będzie, nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko ta chwila i oby jeszcze się nie kończyła, trwała jeszcze trochę. - Pani Piesewicz odpowiedziała, że jeżeli tak, to nie powinien jej udusić, teraz i w tej chwili, więc zmieszany wypuścił ją z objęcia, ale nadal trzymał za rękę, obecnie oburącz. Usiłowała mu wytłumaczyć następnie, żeby był rozsądny:

- Słuchaj, bardzo cię cenię, znaczysz dla mnie więcej niż przypuszczasz. Ale to jest właśnie sytuacja, której chciałam uniknąć i dla której przestałam cię uczyć, pomimo całej sympatii. Mówiłam już, że mam rodzinę. Zrobiłabym dla ciebie wiele, ale jednak nie wszystko. Ustalmy od razu, że nie mogę i nie chcę mieć z tobą stosunku, to wyjaśni sytuację i oszczędzi ci rozczarowania. Możemy być przyjaciółmi, możesz mnie nawet traktować jak matkę albo powiedzmy, starszą siostrę. -

- Brrr,- wzdrygnął się Agnus,- to okropne, podejrzewałbym się o skłonność do kazirodztwa, albo kompleks Edypa. Przepraszam, mówię głupstwa. Ale daję słowo, przysięgam, że ja nigdy nawet nie ośmieliłem się o Pani pomyśleć w jakiś nieodpowiedni sposób. Pani uczyła mnie rozpoznawać piękno tam, gdzie ja go przedtem nie widziałem. Otóż Pani sama jest najdoskonalszym pięknem, jakie kiedykolwiek spotkałem i jakie w ogóle mogę

sobie wyobrazić. Dotąd pragnąłem tylko tego, żeby to piękno widzieć no i jeszcze słuchać, być w pobliżu. Nie mówię o pięknie tylko w sensie fizycznym, odczuwałem je wszędzie, w każdym ruchu, geście, myśli, tak intensywnie, przejmująco, że aż czasem dławiło. Dlatego tak dotkliwie odczuwałem, gdy nie chciała mnie Pani dłużej uczyć. Przecież nie było w tym zupełnie nic złego, gdybym mógł być szczęśliwy jeszcze przez kilka miesięcy. Teraz nie ma już takiej możliwości, najpiękniejszy okres życia mam za sobą i nigdy nie wróci. -

- Naprawdę mi przykro, ale to normalne w życiu. Wydawało mi się, że postępuję tak, jak muszę i chciałam ci też oszczędzić rozczarowania. Nie mogłam przewidzieć przyszłości, że to wszystko tak się ułoży. Gdyby to było możliwe, to teraz postąpiłabym inaczej, nie chciałam cię zranić, przyczynić ci ciężkich chwil, a teraz nie da się tego zmienić. - Agnus natychmiast podchwycił ten temat: - Jest jedna rzecz, której pragnę tak bardzo, że gdybym miał zaraz potem zginąć, to i tak uważałbym, że przeżyłem wspaniałe życie i niczego bym nie żałował. To, co mówiłem, że nigdy nie pozwoliłem sobie nawet na niewłaściwą myśl, to święta prawda, teraz też nie. Ale czy Pani zauważyła, jaki niebywały, nieprawdopodobny wstrząs wywołało jedno zwykłe dotknięcie, to przeniknęło mnie całego, a może i Pani odczuła, zauważyła tą iskrę. Gdybym mógł poczuć Pani dotyk całym ciałem, przez minutę, pół minuty, nawet tylko sekundy, nie dbałbym, co się potem ze mną stanie. To by zmieniło natychmiast cały świat. Przysięgam, że nie pragnę niczego więcej, to jest najwyższe szczęście, jakie człowiek może osiągnąć i jakie potrafię sobie wyobrazić, na zawsze zostałyby ze mną to wspomnienie. Gdybym miał zostać cesarzem całego świata, albo wznosił się do nieba, albo wpadł do piekła, żył tysiąc lat albo zaraz umarł, to nie miałyby potem żadnego znaczenia!-

Prawdopodobnie Angus mówił coś jeszcze, sam nigdy nie przypuszczał, że potrafi zdobyć się na tyle i takich słów. W każdym razie pani Piesewicz była wyraźnie wzruszona. Wstała nagle i powiedziała: - Dobrze, wierzę ci. Rozbierz się.- I po sekundzie dodała: - Tylko proszę, jeżeli to ci nie popsuje wszystkiego, odwróć się. - Agnus nie spodziewał się aż tego, w gruncie rzeczy nie miał nadziei, że jego prośba odniesie skutek. Wydawało mu się, że śni. Zerwał się, krawat już przedtem miał rozluźniony i koszulę rozpiętą z powodu upału, zapomniał o wszystkim w czasie rozmowy i nie poprawił tego. Gdzieś w tyle głowy mignęło mu, jak kiedyś rozmawiali ze Stachem o dziewczynach, kolega żartował sobie z niego i kiedy przechodzili koło wygniecionego miejsca w zbożu (a takich miejsc na polach spotykało się sporo, najwyraźniej ludzie tutaj byli inni, bardziej gorąckrwiści, niż w Wielkopolsce), powiedział, że prawdziwy gentleman układa najpierw swoje ubranie i dopiero na nim dziewczynę. Odruchowo rozłożył marynarkę i resztę rzeczy w miejscu, gdzie między altanką

a krzakami rosła trawa, a na niej padały plamy przebijających się promieni słońca. Ta kotlinka była osłonięta z wszystkich stron, jedynie ktoś, kto stanąłby w samej altance, mógłby mieć widok z góry ponad wysoką gdzieś do pasa boczną ścianą, drewnianą kratką.

Tego był świadomy tylko częściowo, jak na marginesie. Potem bez reszty zaabsorbowały go pierwsze zetknięcia, nowe przejmujące dreszcze i zaraz potężny prąd, elektryczny, magnetyczny, a może przepływ eteru, flogistonu, promieniowania czy cokolwiek to było, gdy ich ciała spotkały się i wreszcie splotły. Ze wszystkich sił pochwycił swoją panią, nawet nie usiłował jej pocałować, tylko przylgnął, jak przyssawka do skały, policzek do policzka i tak aż do stóp. Czuł potężny przepływ nowej formy energii, działanie tajemniczych sił, sklejących cząstki elementarne z potęgą, odwrotnie proporcjonalną nie do drugiej, ale czwartej lub piątej potęgi odległości. W jednej sekundzie przysiągłby, że to rezonans, w drugiej, że materia astralna, a w trzeciej że grecka legenda o odnalezieniu się rozdartych całości. Wypełniło go przemożne uczucie szczęścia, ale to uczucie nie było jeszcze kompletne.

Zapytał łamiącym się głosem: - czy mógłbym, na krótką chwilę wejść do środka? Zaręczam, że nic nie zrobię, nawet się nie poruszę, chcę tylko poczuć pełny kontakt. -

- Czy zdołasz to wytrzymać? Wiesz, że nie mogę dać ci więcej, zrobić tego na prawdę.-

- Dotrzymam umowy! Przysięgam na swoje głowę, na życie, niech zaraz zginę, jeżeli.

- Cicho, wystarczy, nie mów tak.! - Zmienili położenie, przedtem leżeli na boku, teraz Angus przesunął się na górę, a jego partnerka sama wsunęła jego członek, on zapewne nie wiedziałby nawet jak to zrobić. Angus koncentrował się w tej chwili na tym, żeby nie przyduszać swoim ciężarem najwspanialszej i najlepszej kobiety na świecie, wypełniało go poczucie wdzięczności i czułość do osoby, która tyle dla niego robi. Jednak obok tego pragnął ze wszystkich sił więcej, chociaż raz pchnąć z całych sił. Jednak udawało mu się panować nad sobą, pozostać nieruchomo, jedynie tylko drżał wciąż nieustannie. Choć nie wykonał najmniejszego poruszenia, serce biło mu jak oszalałe i brakowało powietrza. Ciśnienie krwi musiało przekraczać wszelkie rekordy, ale dla młodego organizmu wciąż jeszcze nie była to niebezpieczną granicą, chociaż starszy mężczyzna mógłby takich wrażeń nie przeżyć. To oczywiście nie miało znaczenia, dotrzymanie słowa było konieczne, a przeżycie nie konieczne. Czy nie słyszał czegoś podobnego na lekcjach? Ach tak, *vivare non est necesse*.

Trudno powiedzieć, jak to było ze wzrokiem, bo z bliskiej odległości obraz i tak był niewyraźny, zaś zamknięcie oczu jakby oszczędzało sił, ale w uszach dzwoniło mocno, a na ułamki sekund tracił chyba świadomość.

Odnosił takie wrażenie, jakby unosił się do góry, potem przebijał pułap i znajdował się w nowym świecie. prawie takim samym jak poprzedni bardzo podobnym, a jednak zupełnie innym. Po sekundzie a może jej ułamku, znowu przebijał nowy pułap i przechodził do kolejnego świata. Tak jakby jechał windą i mijał kolejne piętra. Ciągłe czuł przepływ cudownego promieniowania, a może jakiejś innej formy energii, lub nieznanej, niematerialnej substancji.

Jednocześnie całą siłą woli starał się nie poruszyć, za wszelką cenę wytrwać w bezruchu tak, jak obiecał. Tylko drżał coraz mocniej. a przy tym usiłował pamiętać, żeby nie przyduszać swoim ciężarem, żeby własny ciężar utrzymać na rękach i nogach. Ponieważ nie był do tego przyzwyczajony, to też był wysiłek (dość niezgrabnie spoczywał na dłoniach i palcach stóp).

Oddałby duszę diabłu, gdyby mógł wykonać parę, choć jeden ruch - ale to w żadnym wypadku nie wchodziło w rachubę. Nie mógł zawieść, oszukać tej niezemskiej, nieskończenie dobrej istoty, która bez reszty mu zaufała. Sto razy lepiej umrzeć, a w ogóle umrzeć teraz byłoby szczęściem, ale bardzo egoistyczne, nie, co za obrzydliwa bzdura. Właściwie powinien już się cofnąć, ale myśl o tym była okropna, nie do zniesienia, wołał zapomnieć o tym jeszcze na kilka sekund. Niech ta chwila jeszcze się nie kończy!

Kiedy tak trwał na samej granicy bytu i niebytu, w absolutnym bezruchu - no, niezupełnie tak, w bezruchu w sensie fizycznym, bo jednocześnie w szalonym pędzie przebijał kolejne sufity i wznosił się do nowych, mijanych jeden za drugim światów, wymiarów lub może pięter, nagle poczuł słaby, lekki, ale wyraźny skurcz lub uścisk w przestrzeni, w której się znajdował. To ledwie dostrzegalne uczucie, szarpnęło całą jego istotą, nadal zdołał się opanować i nie poruszyć, ale to nie pomogło, zaczął osuwać się w dół, znalazł się na równi pochyłej i choć ze wszystkich sił wbijał w ziemię dłonie i stopy, nie mógł się zatrzymać, spadał teraz w dół w niekończącym się pędzie. Nie miał na to żadnego wpływu, przelatywał przez nowe światy - a może to były te same światy, które przebył w odwrotnym kierunku, aż wpadł, jeszcze uchwycił się ze wszystkich sił, ale mimo największego wysiłku, powoli zaczął zanurzać się w oceanie niepojętej rozkoszy, coraz dalej, aż objęła ona stopniowo całe jego ciało. Minęło jeszcze parę sekund wyraźnej przerwy, zanim eksplodował. I w momencie, kiedy wydawało się, że niczego więcej już nie można czuć i że świat nie istnieje, ponownie poczuł lekki skurcz czy uścisk.

Efekt skrzydeł motyla, nie stał się jednak tym razem przyczyną odległego cyklonu, jak dopuszcza teoria chaosu. Zamiast tego, wśród rozbłysków światła, ostatecznie wyrzucił Angusa na środek tarczy słonecznej.

Cokolwiek twierdzi się na ten temat, przeżycie seksualne jest jednak w pierwszym rzędzie funkcją stanu umysłu, Angus nie miał wtedy żadnej techniki ani żadnego doświadczenia, a właściwie nawet nie wiedział dokładnie, co i jak mężczyzna powinien robić z kobietą. Nawet więcej, był zmanierowany, przyzwyczajony do innych pobudek, nastawiony w inną stronę, przywykł do zaspokajania się sam, do onanizmu. To zupełnie inny rodzaj podnieć i fizycznych czynności, Czyli nie tylko zero, ale mniej niż zero, ujemne uwarunkowanie.

Zresztą nie tylko nic nie wiedział i nie umiał, ale i faktycznie nic nie zrobił, ani też niczego nie zrobiła jego partnerka, może za wyjątkiem nieświadomego i mimowolnego odruchu. Mimo to, przeżycie którego doznał, absolutnie nie można porównać ani z niczym, co poznał dotąd, sam, ale także i z niczym co poznał kiedykolwiek w dalszym życiu. Doświadczenie, umiejętności i technika nie mają z tym nic wspólnego. Zresztą to logiczne: jeżeli te funkcje służą utrzymaniu gatunku, to muszą być atrakcyjne, pełniąc rolę tzw. pułapki biologicznej, ale nie mogą zbyt często prowadzić do aż tak wielkich przeżyć, bo to byłoby zbyt niebezpieczne, nie wiadomo, czy byłoby więcej narodzin, czy zgonów. Nie ulega wątpliwości, że Agnus znalazł się wtedy na samej granicy życia i śmierci. Wracał z bardzo daleka.

Kiedy odzyskał świadomość, szarpnęła nim straszna rozpacz. Chciał, nawet - nie usprawiedliwiać się, bo nie mogło być żadnego usprawiedliwienia, ale wyrazić żal, że tak zawiódł.

Ale Pani Piesewicz przytuliła go mocniej i szepnęła: - Nie mów nic. Zostań tak jeszcze chwilę. - Nie rozumiał, co to ma znaczyć, nie potrafił sobie wprost tego wyobrazić, ale to zabrzmiało, jakby mu wybaczyła. Ponownie przywarł do niej i nawet teraz czuł nadal to wspiane uczucie bliskiego kontaktu, zupełnie inne od doznanej rozkoszy, uczucie przenikania, promieniowania. Niestety, coś w tym przeszkodziło. Był jak świeżo wyjęty z wody, pocił się obficie, choć przecież nie wykonywał żadnej pracy, nie poruszał się w ogóle. Z twarzy, czoła i po nosie spływały mu całe strumyki potu, starał się, aby trafiały w bok, ale w pewnym momencie kilka kropel wpadło wprost do oka kobiety. Wzdrygnęła się, chyba zapiekło, czar prysnął. - Ponownie zaczął: - nie zasługuję na przebaczenie...

- Ale partnerka przerywa mu: - za co? Przecież byłeś jak rycerz bez skazy, po prostu cudowny. Do ostatniej chwili dotrzymałeś słowa, nie ponosisz żadnej winy, żadnej, najmniejszej. To raczej ja ponoszę odpowiedzialność, to ja jestem dojrzałą, doświadczoną kobietą, a ty, wybac, tylko niedoświadczonym chłopcem. Ale przysięgam, że choć jestem i dorosłą kobietą i ponadto jeszcze lekarzem, mającym fachową wiedzę o organizmie ludzkim,

nigdy dotąd nie przypuszczałam, nawet nie potrafiłabym sobie wyobrazić, że to co nas spotkało jest w ogóle możliwe. Nigdy nie słyszałam ani nawet nie czytałam o podobnym wypadku. Więc choć mówię, że tylko ja ponoszę odpowiedzialność, ja też nie czuję się winna, albo bardzo niewiele i nie potrafię za to żałować. Zaczęło się od współczucia, chciałam dać ci to, o co prosiłeś, ale nie więcej. Potem nie wiem i nigdy nie zrozumieć, jak się to stało, byliśmy w ręce niepojętej siły. Może to Bóg nas dotknął, może w ogóle stworzył nas i prowadził tylko do i dla tej chwili. Może szatan tak się wysilił, żeby ten raz dać nam poczucie wyjątkowego szczęścia i skusić do dalszych grzechów. Spotkało nas coś wyjątkowego, jak cud i nikt tu nie ponosi winy, nie ma i nie może niczego żałować. - Stopniowo te wspaniałe słowa docierają do Angusa. Przerywa je pierwszym w ogóle pocałunkiem. to znowu jest wielki wstrząs, bo to nie pocałunek samymi wargami, jak dotąd wyłącznie całował, ale poza, mówiąc językiem Homera, „przegrodę zębów”. Przed chwilą ledwie żywy, teraz ponownie czuje swoją męskość.

Lecz partnerka prosi go: - nie psuj tej jedynej chwili. Teraz, to byłoby ciężkim, świadomym grzechem. Przedtem nie chcieliśmy tego. Może i to, od czego zaczęliśmy to był też grzech, może nie mamy całkiem czystego sumienia, ale to mniejszy grzech, a reszta stała się bez naszej intencji i woli, nawet bez wiedzy. Ale gdybyśmy teraz zrobili to ponownie, nic by nas nie usprawiedliwiało. A poza tym, taka chwila nie może się powtórzyć, byłbyś pewnie rozczarowany. - Agnus znów jej nie rozumie, ale instynktownie jest przerażony: - Jaki grzech, jakie sumienie? Najpiękniejsza, najwznioślejsza i najwspanialsza rzecz, jaka zdarzyła się w całym życiu. Czy to możliwe, żeby ona wierzyła w te bzdury, właściwie takie same, jakie dwa lata temu tak ciężko zaważyły na jego losie, omal nie doprowadziły do nieszczęścia?

- O czym właściwie mówisz? - pyta.

- Kochany, to się nie może powtórzyć, musimy się rozstać i nigdy więcej się nie spotkamy. Proszę, postaraj się mnie zrozumieć. Ja nie jestem katoliczką, jak ty. Wasz kościół łatwiej wybacza, jest łagodny i bardziej tolerancyjny. Ja jestem prawosławna, cerkiew traktuje te sprawy bardzo surowo. Grzesznik sam musi się potępić i wszyscy go potępiają, jest napiętnowany i nie otrzymuje tak łatwo przebaczenia. Może tego nie rozumiesz, wyrosliśmy w innych światach, ale to moja wiara i nie mogę ani nie chcę jej zmienić. Czy chcesz wepchnąć już tutaj, na ziemi, do piekła kobietę za to, że zrobiła dla ciebie wszystko co mogła i przekroczyła granice? Ja naprawdę cię też pokochałam, myśl o rozstaniu rozdziera mi serce, ale nie mogłabym żyć z tobą ani nawet spotkać się więcej. Bardzo chcę spotkać się kiedyś, ale na innym świecie, przecież Bóg nie dopuści do tego, żebyśmy już nigdy nie mieli się zetknąć, Ale nie potrafiłabym też żyć w grzechu.



Jest jeszcze druga rzecz, pomyśl praktycznie. Czy wyobrażasz sobie, że gdybyśmy nawet teraz, szaleni, rzucili wszystko i próbowali odejść gdzieś razem, byłoby na świecie takie miejsce, gdzie moglibyśmy się schronić? Przecież ludzie nie pozostawiliby nas w spokoju, nie tylko wytykali, ale wprost zagryźli. Każdy poczytywałby sobie za zasługę prześladować nas. Spadlibyśmy na samo dno i w końcu znienawidzili i przeklinali siebie, winili się nawzajem. - Ta rozmowa trwa nieco dłużej, jest bardziej chaotyczna i może patetyczna, właściwie nie sposób ją odtworzyć. Ale też nie sposób niczemu zaprzeczyć. Przed chwilą otwały się bramy niebios, teraz się zatrzasnęły i widać tylko dno rozpaczy. We własnej głowie, Angus słyszy urywek wiersza, który uważał kiedyś, biedny głupiec, za nierealny, wymyślony, pretensjonalny, napuszony, bez sensu:

„Potępi nas świętoszek, rozpustnik wyśmieje, Że chociaż samotnymi otoczeni ściany,  
Ze choć..... on tak zakochany, Ona tylko rozpacza, on tylko łyzy leje. On chciałby zachować przynajmniej nadzieję, Ona zwłaszcza nadzieję chce na wieki zniszczyć...”

Mój Boże, w ciągu tysięcy lat, miliardy ludzi przeżywały wszelkie możliwe kombinacje zdarzeń. to nie były żadne sztuczne wymysły. Petrarca opisywał, w najprostszych, oszczędnych, aż za skromnych słowach prawdziwą, autentyczną sytuację. To wszystko już było, nawet jeżeli niezmiernie rzadko. Ilu mogło mieć podobne przeżycie? Jeden na dziesięć milionów? Na pewno nie! Jeden na sto milionów? Ale i przy minimalnym prawdopodobieństwie setki musiały już znaleźć się na asymptotycznie zbliżającej się do zera części krzywej Gaussa. Inni ludzie. przed nim, czuli ten sam ból i rozpacz, może takie same łyzy.

Ale nagle błysnęła myśl: - A jeżeli będziemy mieli dziecko?-

- Nie będziemy. Pamiętaj, że jestem nie tylko kobietą, ale i doktorem medycyny, wiem, że jestem w okresie niepłodnym. A nawet, gdyby pod wpływem niezwykle intensywnego przeżycia doszło do dodatkowego jajczkowania, to i tak może się zdarzyć dopiero po pewnym czasie, a ja wiem, co zrobić żeby nie doszło do zapłodnienia później. Ale daję ci słowo, że gdyby jednak doszło, tylko w tym wypadku, powiem ci o tym sama.-

- Idź już teraz kochany, nie żegnaj się i nawet nie odwracaj, bo będzie nam tylko jeszcze trudniej. Wierzę, że taki los zesłał nam Bóg i będę się za ciebie modliła. - Te słowa zapiekły, nie zasługiwał na nie. Agnus wyszedł z ogrodu, ale nie uszedł daleko. Przysiadł na chwilę na miedzy wśród zbóż i momentalnie przysnął. Zbudził się dość szybko, chyba było nie wiele po południu, może minęła godzina? Ale był z początku zupełnie nieprzytomny, nie miał pojęcia jak się tu znalazł i co robi. Powoli wracała pamięć. Jedno było pewne, nie mógł wrócić teraz do domu, musiał być sam. Po pierwsze musiał dojść jakoś do ładu ze sobą,

przemysleć i wszystko poukładać. Po drugie, był prawie nieprzytomny i musiał wyglądać jak pijany, zwłaszcza gdy rozmawiał sam ze sobą. Omijając zabudowania, przeszedł ulicę Piaski i zagłębił się w lesie po drugiej stronie, ale to też nie wystarczało, to był niezbyt duży, zagospodarowany las i można było w nim natknąć się na ludzi, nawet znajomych z Piasków. Po drugiej stronie szosy, ciągnęła się też wstążka lasu, młodego i częściowo ogrodzonego, kawałki stanowiły własność prywatną, a za tym pasmem teren opadał i dalej ciągnęły się bujne, wilgotne łąki do samego Romanowa. Tam poszedł, przeskoczywszy szosę.

Przez krótką chwilę widział niebo i znalazł się w nim, ale zaraz bramy się zatrzasnęły. Ta krótka chwila musi wystarczyć na resztę życia, nigdy nie mają się już spotkać, przynajmniej na tym świecie. Co więcej, powinien tego za wszelką cenę dotrzymać, nie mógł po raz drugi złamać słowa, Ale jednocześnie nie potrafi się z tym pogodzić, ani wyobrazić sobie dalszego życia.

Zawiódł i miał jednak poczucie winy, ale z drugiej strony częściowo uwierzył w to, co ten nieziemski anioł dobroci mu powiedział: Może ta wina nie była tak wielka, może rzeczywiście w pewnym momencie stali się tylko pionkami w ręku przepotężnych, nieznanych sił i nie mogli na to nic poradzić. Znaleźli się w potężnym prądzie, wodospadzie, który ich porwał i niósł mimo, że naprawdę nie chcieli i nie zrobili ostatecznego kroku i pozostali wierni swoim słowom. Ale mimo, że ona go usprawiedliwiła i nawet broniła przed samym sobą, nie czuł się usprawiedliwiony. Angus, pod wpływem głęboko wpojonego męskiego szowinizmu, uważał, że odpowiedzialność ponosi tylko mężczyzna, zawsze i automatycznie. Jednak, bez względu czy zachował się jak rycerz bez skazy, czy też najgorsza podstępna świnią, nie mógłby nigdy tego żałować. Gdyby był religijny jak kiedyś, to w tej chwili dziękowałby Bogu na kolanach za ciężki grzech jako za największą łaskę, jaka go w życiu spotkała.

Na dnie świadomości dręczyła go jeszcze jedno skojarzenie. Piosenka, którą kiedyś podśpiewywał on i jego koledzy w szkole, z przesadą wywracając oczami, parafrazując ją komicznie (teraz mógł tylko przy tych wspomnieniach powiedzieć sobie - z czego się głupi śmiejesz, z czego, co tam widzisz zabawnego?). Piosenka jeszcze z okresu branki moskiewskiej: 1863r

Idę na góry Kaukazu, Tak w rok Boski zażądał  
Może tam zginę od razu Już cię nie  
będę oglądał. Może tam pójde w niewolę..... Któż mnie pocieszy w niedoli  
Jeśli nie ty, lube serce.

Jeżeli było podobnie, jeżeli wziął ją na litość, znając jej impulsywność i szlachetne porywy, wykorzystał to, faktycznie byłby tylko nędzną, podłą świnią. W takim wypadku,

powinien wstydzić się do końca życia, schować się pod ziemię i nigdy więcej nie pokazywać na oczy. Samo dno, jednak litość. Bohater ma zginąć, dobry anioł rozjaśnia mu ostatnie chwile życia. Ale uczciwie, taka myśl nawet nie powstała mu w głowie. Tym niemniej, teraz podobne skojarzenie było nie do zniesienia. Jednak z drugiej strony, w ciągu tysięcy lat i milionów ludzi, pewne zdarzenia mogą się powtarzać, ale to nie znaczy, że są takie same.

A jednak, zapewne coś w tym było. Kiedy wspominał jej o wysłaniu na roboty do Niemiec, co w tych czasach uważano za zagrożenie prawie pewną zgubą, to było prawie tak, jakby wypowiedział „morituri te salutant”. Szlachetna i całkowicie, można powiedzieć sterylnie pozbawiona nawet resztek zdrowego i naturalnego egoizmu, z gatunku dawnych entuzjastek, zareagowała spontanicznie i porywczo, zgodnie ze swoją naturą. Chciała chronić go przed depresją i rozpaczą, przed sobą samym, dać mu chociaż dobre wspomnienie. Paradoksalne, że takiej obawy nie było, on zupełnie nie myślał wtedy o swoim losie. Obecnie, dalszy los nie miał dla niego najmniejszego znaczenia. Jak Tristan mógł powiedzieć - „a teraz niech przyjdzie śmierć”.

Jedyną co się liczyło to pamięć chwili, kiedy zetknęli się z przemożną, nadprzyrodzoną potęgą, która ich nieoczekiwanie ogarnęła i z którą, miał nadzieję, oboje się zetknęli. Właściwie, czy lepiej jest poznać takie najwyższe szczęście, nawet wtedy, jeżeli nie ma już szansy, żeby się mogło powtórzyć? Przecież gdyby żył miliony lat i ciągle szukał, a zapewne nawet gdyby mogli być razem, to prawdopodobieństwo drugiej takiej chwili byłoby znikome. Milionom ludzi nie zdarza się nigdy podobne przeżycie. Czy lepiej więc przeżyć normalne, zwykłe życie i nie odczuwać, nie zdawać sobie sprawy nie doświadczać żadnego braku? Czy też raz znaleźć się w otwartych bramach niebios i płacić za to całe życie wieczną tęsknotą?

Mimo wszystko, wewnętrznie absolutnie pewien był, że musi ją kiedyś jeszcze zobaczyć, niemożliwe byłoby, żeby mieli się nigdy nie spotkać, bez względu na to co postanowili i czego na pewno dotrzyma, tym razem. Może po wielu latach, już siwemu starcowi, będzie dane kiedyś paść do kolan staruszki, ale kiedyś, gdzieś to musi się zdarzyć. Miał nadzieję nie żyć do późnej starości, w obecnych latach jako górną granicę wieku wyobrażał sobie pięćdziesiąt lat, a właściwie już trzydziestolatka traktował jako starca.

Tymczasem jednak, nadal rozmawiał z nią przez cały czas, teraz, w swoim umyśle. To wyobrażenie zostanie z nim zawsze, tego nikt mu nie odbierze. A jednak, czy rzeczywiście potrafi sprawić, żeby zostało?

. „Jeżeli ciebie zapomnę....., niech zapomnę prawicy mojej.” Ale nie wymawiając w złą godzinę, widział ludzi, którzy zapomnieli naprawdę więcej, niż swoją prawicę. To byłoby

przerazające, nie chciał dożyć takiego momentu, w którym mógłby stracić te wspomnienie, wszystko byle nie to.

„Miłość, co tylko miłością się płaci Tak..... że aż zatrzymał się nią poruszony Nieubłagany potok niepamięci.” Stara i piękna poezja, ale niestety kłamliwa. Dawni trubadurzy, podobnie jak współcześni poeci, nadmiernie akcentowali, koloryzowali, przesadzali chcąc mocniej coś powiedzieć. Jeżeli nie było to zmierzone fałszerstwo, to jednak mijanie się z prawdą.

Nic, nigdy nie potrafi zatrzymać nieubłaganego potoku niepamięci, czasu. Żadne najbardziej rozpaczliwe postanowienie, najgorętsze pragnienie, modlitwy ani błagania, bunt ani desperacja nic nie pomogą. Kiedyś, po wielu latach, można nadal pamiętać poprawnie same fakty, ale ich znaczenie, odczucia, wewnętrzne światło je przenikające, znikną. Nawet w wyobrażeniu, nie da się wrócić do tego co było naprawdę, co się rzeczywiście przeżyło. Może zresztą to jest największe miłosierdzie jakiego doznaje człowiek. Inaczej nie dałoby się ciągnąć życia.

\* \* \*

Idąc na przełaj przez podmokłe, poprzecinane rowami łąki Angus doszedł do kanału wodnego, doprowadzającego wodę do huty i skręcił ścieżką biegnącą wzdłuż tego kanału w prawo. Prowadziła ona do zapory i mostów romanowskich. Był tam i kąpał się już przedtem. W Romanowie, rzeka Kamienna przegrodzona została wykonaną z drewnianych bali zaporą, dzielącą się na osiem szerokich bram, które mogły być unoszone do góry przy pomocy ręcznie nastawianych mechanizmów korbowych. Maksymalne spiętrzenie wody mogło wynosić do 6 m, a zwykle mieściło się w granicach ok. 4 m. Wraz z tamą, zbudowany był również drewniany most drogowy. Zarówno tama jak i most, miały wspólny szkielet metalowy, ze względu na znaczny napór wody, a przed tą konstrukcją zbudowano jeszcze szereg skośnych, klinowych osłon tak, żeby spływające kry lodowe nie uderzały w potężne bele i metalowe prowadzenia, w których osadzone były podnoszone wrota. Na tych osłonach, oddalonych ok. 6 m, od głównej konstrukcji, umieszczono dodatkową kładkę z grubych desek, z poręczą tylko od jednej strony, mianowicie od mostu. Kładka, o szerokości trochę mniej, niż 2 m., górowała znacznie nad mostem, a wchodziło się na nią po zbudowanych z obu stron schodach. Pod spodem, przypory osłonowe podnosiły się stopniowo z wody aż do wysokości kładki przy poręczu i opierały się o belki żelazne, wystające jeszcze kilkadziesiąt cm wyżej, natomiast druga ich strona, skierowana klinem przeciw prądowi, pokryta była dwoma listwami żelaznymi złożonymi pod ostrym kątem.

Przed zaporą, rzeka utworzyła spore rozlewisko, ok. 1 km powyżej, przy jego początku znajdował się most kolejowy ze stalowej kratownicy i na wysokich przęsłach. Natomiast przy drewnianym moście drogowym i zaporze, rozlewisko to zwężało się i pogłębiało, a na ostatnich kilkudziesięciu metrach ujęte było w drewniane ocembrowanie, opadające prawie prostopadle w dół, a ponad tym ocembrowaniem znajdował się płaski parapet z desek i dalej jeszcze skośnie wznoszące się, niskie obwałowanie pokryte murawą.

Obecnie, w lecie, w zaporze podnoszono zwykle jedną lub dwie, rzadko kiedy trzy przegrody na wysokość od kilkudziesięciu cm do 1 -1,5 m. i woda wyciśnięta ze spodu spiętrzenia, wrywała się białym, spienionym jęzorem najpierw w krótkie jakby korytarze między przegrodami zapory stanowiącymi jednocześnie podpory mostu i następnie spływała na drewniany pomost o szerokości ok. 15 m., a z niego dalej na duże wymyte zagłębienie tworzące owalne jezioro, otoczone piaszczystymi brzegami. Za tym jeziorkiem, otoczonym piaszczystą plażą i niskimi piaszczystymi wydhami, rzeka już spokojnie płynęła dalej.

Woda w jeziorku też była spokojna, za wyjątkiem tego jednego lub kilku języków wrzącej piany, które kończyły się pasami silnego prądu, aż w ok. połowy długości jeziorka, wtrzynięta woda rozpraszała się stopniowo w masie zbiornika, a po obu jego brzegach zaznaczał się powolny prąd wsteczny. Dzięki dobremu natlenieniu i stałemu mieszaniu, woda była stosunkowo bardzo czysta, o lekko zielonkawej barwie. Piaszczysty brzeg, najszerszy naprzeciw zapory, do kilkudziesięciu m., naprawdę przypominał prawdziwą morską plażę, tylko piasek był oczywiście ciemniejszy, a podobne do wydmy zwały piaskowe porośnięte innymi, niż nad morzem krzakami.

Konstrukcję zbudowano dla celów gospodarczych: z wyższego zbiornika, mniej więcej na połowie odległości między mostem drogowym i kolejowym, po lewej stronie rzeki, śluza doprowadzała wodę do kanału, dostarczającego ją do Zakładów Ostrowieckich. Huta potrzebowała wielkich ilości wody, a Kamienna była bardzo kapryśną rzeką o zmiennym poziomie, dlatego tama i zbiornik zapewniający stałą i znaczną rezerwę, niezależnie od wahań rzeki. Przekopany w łąkach kanał o starannie dobranym, prawie jednolitym spadku miał trapezoidalny przekrój, o szerokości ok. ok. 6m u góry a zwężający się do 4 m na dnie, na głębokości 2- 2,5 m.

Jednak na marginesie tych funkcji przemysłowych, oba zbiorniki w Romanowie stały się największym kąpieliskiem Ostrowca. Oczywiście, kąpano się też w wielu innych miejscach Kamiennej, a niektórzy pływali także i w kanale, chociaż tego nie było wolno robić (kanał był stale oczyszczany i konserwowany, a zajmujący się tym pracownicy opowiadali, że znajdują się w nim potłuczone butelki i różne podobne rzeczy, można łatwo rozciąć sobie

nogę itp.; to zapewne były bajki, które miały zniechęcić do kąpieli ludzi, którzy w drodze do Romanowa siadali i odpoczywali czasem na łąkach).

Natomiast w rzece kąpano się w wielu innych miejscach, bo wprawdzie Romanów był najlepszy, ale dość odległy od miasta. Na przykład, Angus mieszkał akurat od najbliższej strony i właściwie już na samym skraju miasta, ale i tak do Romanowa miał około godziny szybkim krokiem, albo około półtorej godziny wolnego spaceru, zwłaszcza przy upale.

Dotychczas chodził tam czasem w towarzystwie ojca. Tym razem, droga skończyła się dziwnie szybko, w ogóle nie zdążył nic przemyśleć. Automatycznie przeszedł zaporę i skierował się nad niższy zbiornik. Angus nie umiał pływać, chociaż zwykle udawał, że potrafi przebyć parę metrów. W rzeczywistości wchodził tylko do takiej głębokości, żeby móc podeprzeć się nogą i chociaż co jakiś czas odbić od dna, trzymając głowę tuż nad wodą i rozgarniając wodę rękami. Wprawdzie od dzieciństwa bardzo pociągała go woda i wszystkie wakacje musiały być nad wodą, w której moczył się długie godziny, ale jakoś nie nauczył się pływać. Może dlatego, że matka też nie umiała pływać i nie pozwalała mu wchodzić na głębszą wodę, bała się o jedynaka. Ojciec umiał, ale kiepsko, raczej utrzymywał się na wodzie i wyrażał wątpliwości, czy potrafiłby kogoś uratować. Obiecywał wprawdzie, że nauczy syna pływać, ale na tym się kończyło, na płytkiej wodzie to nie nauka. Dlatego właśnie, jak zwykle, Angus ominął głęboki zbiornik i poszedł do dolnego, który miał piaszczyste i płytkie brzegi, można było iść po dnie dobre kilkadziesiąt metrów.

Przy górnym zbiorniku było tylko kilkanaście osób, kilka pływało i po parę siedziało na brzegach, większość opalała się rozłożona na deskach wysokiej kładki. Nad dolnym zbiornikiem zwykle kąpały się dzieciaki, czasem z matkami lub pod opieką dorosłych. Teraz nie było nikogo, także i żadnych dziewczyn. Tylko jeden upust wody był podniesiony i środkiem jeziora biały strumień rwał ze sto metrów, potem zwalniał, było jeszcze z 50 m silnego prądu aż woda się rozproszyła i dalej aż do piasku ze 150 m spokojnej wody.

Angus nie miał ze sobą kąpielówek, ale ostatecznie postanowił wykapać się w krótkich białych majtkach. Zdąży przecież rozebrać się i wejść do wody, zanim ktoś nadejdzie, a po wyjściu z wody, mokrych rzeczy dobrze nie widać, z resztą nie zanosilo się tak szybko na nadejście ludzi, po prostu nie będzie się zbliżał, z pewnej odległości i tak nikt nie odróżni co ma na sobie, a potem szybko się przebierze. Po chwili był już w jeziorce.

Zwykle dochodził dotychczas do pierwszego białego w piasek pala. Rzędy tych pali, o grubości około 40 cm, ciągnęły się od mostu aż dobrze poza połowę jeziora. Może kiedyś drewniany pomost, po którym spływały potoki wody z upustów śluzy i który zabezpieczał zaporę i most przed podmywaniem od spodu, też ciągnął się dalej, aż do połowy jeziora, a

może te rzędy pali miały stanowić jakąś granicę spienionych potoków, albo ograniczać zawirowania wody z boków, trudno powiedzieć. Niektóre z tych rzędów kończyły się jeszcze na głębokiej wodzie, niektóre na płytszej. Angus dochodził zwykle do tego, przy którym woda podchodziła mu prawie do nosa, a czasem trochę ponad, zaczerpnięte przedtem powietrze wystarczało, żeby dotrzeć i złapać się drewna. Następny pał znajdował się w odległości ok. 10 m. Już dawno przychodziło mu na myśl, żeby spróbować sił, wydawało mu się, że miałby rozsądną szansę żeby tam dotrzeć, przecież te metry powinien jakoś pokonać.

Teraz zdecydował się nagle. Jeżeli nabierze powietrza, to powinno ono wystarczyć, żeby dopłynąć albo jakoś inaczej dotrzeć do tego drugiego pala, nawet gdyby poszedł pod wodę. Zapas powietrza powinien teoretycznie wystarczyć na dobre kilkadziesiąt sekund, właściwie jedyne co mogło mu grozić, to gdyby utracił samokontrolę i zaczął wykonywać bezsensowne ruchy. Jeżeli nie ulegnie niespodziewanej panice, to reszta drobnostka.

Po kilku głębokich oddechach, odepchnął się od pierwszego pala i ruszył w stronę drugiego. Połowę odległości przebył łatwo, ale potem wytracił szybkość i stopniowo poruszał się coraz wolniej. Ostatnie parę metrów było najgorsze, poczuł prawdziwą emocję i miał wątpliwości, czy uda mu się dotrzeć do celu. Był całkiem blisko, ale wciąż nie mógł dosięgnąć zbawczego drewna, zbliżał się dosłownie po centymetrze, gdyż rozgarniał wyłącznie wodę rękami, bez żadnej pracy nóg i dlatego przechodził coraz bardziej do ustawienia pionowego, co oczywiście powodowało duży opór. W końcu uchwycił się i ponownie mógł wykonać szereg głębokich wdechów. Powrót nastroczał więcej problemów, bo przedtem miał wybór, a teraz to była konieczność, musiał wrócić, a miał poważne wątpliwości, prześladowała go myśl, że może przekroczył granicę swoich możliwości i wypłynie, może wyłowią go dopiero po pewnym czasie. Za to po wylądowaniu, poczuł się wspaniale. Najchętniej spróbowałby teraz, czy potrafi także latać, ale rozsądek przeważył i ostatecznie tylko powtórzył to samo ćwiczenie jeszcze raz. Potem powiedział sobie, na dzisiaj dosyć, ubrał się bez przeszkód, bo wciąż jeszcze nie było nikogo i ruszył do domu.

Właściwie drobne zdarzenie, bez większego znaczenia, a jednak całkowicie zmieniło obraz świata, rozładowało napięcie nerwowe. To nie znaczy, żeby próba sił na głębokiej wodzie spowodowana była desperacją albo zgoła jakimś szukaniem ryzyka, lub w ogóle narażania życia. Właściwie tak do końca Angus nie potrafił wyjaśnić sobie swoich motywów, ale były one pozytywne a nie negatywne. Nagle poczuł się na siłach i rzeczywiście zrobił to, o czym myślał od dawna, a dotąd nie mógł się zdecydować.

Teraz w drodze powrotnej, celowo odwracał myśl od najważniejszego problemu, od swojej wielkiej miłości. Nie mógł dłużej o tym myśleć, czuł, że nie wytrzymałby tego. Będzie

wracał do tego jutro, pojutrze, może całą resztę życia, ale nie teraz. Znajdzie, musi znaleźć rozwiązanie, jakiś sposób, to nie może być rozstanie na zawsze, przed nim jeszcze długie życie i niepodobna przewidzieć wszystko, co się zdarzy. Jedno jest pewne: spotkają się, muszą się jeszcze spotkać. Tego był pewien, choć nie wiedział gdzie i kiedy.

Natomiast w tej chwili, skoncentrował myśli na tym drobnym sukcesie, bo to pozwalało przypuszczać, że jednak się rozwija, że może nie jest takim beznadziejnym niedołęgą, nieudacznikiem, jak sądził. Nauczy się samodzielnie pływać i stopniowo stanie się dobrym pływakiem, będzie ćwiczył często, może nawet codziennie. Dotąd szereg razy próbował różnych ćwiczeń fizycznych, bez większego powodzenia i po pewnym czasie zaprzestawał, choć zdawał sobie sprawę, że bardzo tego potrzebuje, gdyż jego sprawność fizyczna pozostawia dużo do życzenia. Teraz wydawało się, że znalazł to, co mu odpowiadało, czego szukał. Idealną drogę do rozwoju fizycznego, przecież pływanie to samo zdrowie i siła. A co najważniejsze, nigdy się nie zniechęci, bo to właśnie bardzo mu odpowiadało, czuł pełny entuzjizm. Tak, jeszcze ciągle szczeniak, ale dzisiaj przybyło mu co najmniej parę lat, czuł wewnętrzną siłę i widział dalszą drogę, poradzi sobie z wszystkimi problemami. Będzie się starał ze wszystkich sił rozwijać dalej. Kiedy osiągnie odpowiedni poziom, potrafi wszystko rozwiązać.

Tego dnia wrócił późno do domu. Jakoś udało mu się wytłumaczyć zaniepokojonym rodzicom, że czekał długo i bezskutecznie na prof. Mazzurowicza, a potem, ledwie żywy z upału, poszedł na Romanów trochę się ochłodzić i wykapać.

Było to jedno z niewielu postanowień, które udało mu się zrealizować. Przez następne kilkanaście dni chodził na Romanów rzeczywiście codziennie, zwykle po lekcjach polskiego, bo łacinę skończył nieco wcześniej. Podczas tych ostatnich lekcji, profesor Jaruga zaakceptował i ocenił dobrze dotychczasową pracę ucznia, ale miał też swoje uwagi. Między innymi, uznał, że Angus nie odczuwa ducha poezji i żeby temu przeciwdziałać, polecił mu nauczyć się na pamięć całej masy wierszy. To jeszcze było do zrobienia, gorzej, że następnie wymagał wygłaszania ich w sposób odpowiadający duchowi utworu, a to już bez porównania trudniejsze.

Fakt, że Angus od wczesnych lat dziecińczych, kiedy próbował układać trochę rymów, przestał interesować się poezją i stracił pociąg w tym kierunku. W gimnazjum tylko raz uczył się długiego wiersza, Maratonu Kornela Ujejskiego w II klasie i jeszcze ten temat bardzo mu odpowiadał, dlatego jakoś zdołał wydusić trochę uczucia. Natomiast profesor Jaruga miał swoje własne podejście. Był jakby bogiem olimpijskim, który obniżył swój poziom na tyle, żeby być zrozumianym przez maluczkich, ale nie na tyle, żeby ścierpieć byle co. Profesor



oceniał bardzo surowo nawet niewielkie potknięcia. Nauka pamięciowa nie wystarczała, on żądał perfekcji. Trzeba jednak przyznać, że to, co przekazywał, miało ręce i nogi, było dobrze uzasadnione.

Tak więc przez parę następnych tygodni, Agnus po lekcjach polskiego, szedł z książką do dolnego stawu, nie zawarł żadnej znajomości ani nawet nie rozmawiał z nikim, a tylko ćwiczył pływanie i uczył się na pamięć wierszy, względnie uczył się wierszy i w przerwach starał się pływać. Początkowo od pala do pala, potem wzdłuż rzędów tych pali aż do pomostu i z powrotem. Z początku nie było to pływanie, a raczej taplanie się, ale szybko nauczył się unosić na wodzie wykorzystując pojemność płuc i stwierdził, że pozycja pozioma, nawet bez prawidłowej pracy nóg, przyspiesza poruszanie się.

Dość często przed, albo po lekcjach Agnus spotykał Stacha i Stefana, którzy też chodzili na lekcje u prof. Jarugi, ale oni przerabiali już IV klasę. Nie mieli więc wspólnych zainteresowań, z wyjątkiem kontaktów przyjacielskich i od czasu do czasu, partii szachów. Natomiast kiedy Angus wspomniał, jakiej ilości wierszy musi się jeszcze nauczyć, obaj wybuchnęli śmiechem i powiedzieli że może się cieszyć, że nie przerabia jeszcze czwartej klasy i nie musi uczyć się wierszy po łacinie. Profesor Jaruga znany jest z tego, że swoim zamiłowaniem do poezji doprowadza uczniów do czarnej rozpacz i byli już tacy, którzy o mało nie zwariowali, według swoich własnych słów. Podobno niektórzy uczyli się „Przemian” Owidiusza bijąc głowami w ścianę, za to ręką, bo widzieli to osobiście. Więc nie ma co się przejmować tą odrobiną wyjątków z Mickiewicza i Słowackiego, a recytacja po polsku też jest dużo łatwiejsza, po łacinie nie tylko będzie musiał oddać uczucia i zachować akcenty, ale jeszcze do tego rytm. I to nawet wtedy, jeżeli ten rytm zmienia normalny akcent, albo podział słów i właściwie przekręca te słowa na zupełnie nowe, niezrozumiałe i niepodobne do normalnych, dźwięki.

Tak się złożyło, że jeszcze po zakończeniu programu trzeciej klasy, lub może należałoby powiedzieć, przezwycięzeniu pierwszego szoku, Agnus nadal uczył się wierszy, już sam. Pozostało przyzwyczajenie, ale wybierał sobie teraz taką poezję, która mu osobiście odpowiadała, w pierwszym rzędzie prawie całą Odyseję i wyjątki z Iljady (oczywiście polskie tłumaczenia), a poza tym odpowiadające mu nastrojowo wiersze Asnyka, Anczyca itp. Płynąc, jeszcze wciąż dość wolna, powtarzał sobie np.

„Arystomenes w świątyni Ateny...”, albo „Narody, plemiona, rasy, we krwi, poźodze i dymie, wchodzą ze sobą w zapasy, budują państwa olbrzymie. Te znowu nikną bez śladu...”

i tak do następnego oddechu Buddy. A zwłaszcza, do końca życia, pozostał mu zwyczaj powtarzania sobie, w chwilach trudnych lub bez wyjścia, albo po prostu oczekiwania lub bezsenności, np.:

... „skończył, a jam co żywo na siebie zarzucił ostry miecz srebrnokuty, łuk ze strzałą sajdakiem i każę się tym samym poprowadzić szlakiem. Ale on się oburzył u mych kolan wieszka i te lotne wyrazy roniąc, z łkaniem miesza. - O nie wlecz że mnie z sobą ty, boski Odysse, czuję, że sam nie wrócisz, że nie uda ci się...”

Albo nawet

„.....znów drudzy Radzą zgarnąć na okręt ten dobytek cudzy. Potem rozwinąć żagle i umykać cwałem...” i dla urozmaicenia, coś z Eneidy:...gdy z wielką rzeszą mężów, gniewem zapalony Lakoon ze stromego zamku zbiega śmieje i woła: Co za zgubny szal, obywatele! Wierzycie, że złość wroga nad wami nie zwisa? Że bez zdrady dar Greków? Tak znacie Odysa? Albo siedzą w tym koniu achajscy żołnierze, Lub na mury machina zdradziecka i wieże wpadnie...

\* \* \*

Prawdopodobnie w dniu 18 lipca 1942. Agnus usiłował przecisnąć się przez grupę młodzieży do wywieszanej na drzwiach listy z nazwiskami przyjętych do Szkoły Handlowej w Ostrowcu uczniów, po egzaminie wstępnym w połowie miesiąca.

Matka zadziałała w najprostszy sposób. Udała się do Arbeitsamtu, zabierając wezwanie Angusa i porozmawiała z niemieckim szefem swoim doskonałym berlińskim akcentem, wyjmując w odpowiednim momencie kopertę wypchaną banknotami. Od tej chwili wszystko przebiegło pomyślnie, Niemiec zgodził się, że jeżeli Agnus zostanie przyjęty, może po szkole powszechnej jeszcze dalej uczyć się w szkole zawodowej.

Oczywiście, to była tylko część nieformalna, następnie Agnus zgłosił się osobiście z otrzymanym wezwaniem i odbył normalną rozmowę, w czasie której siedział sztywno i odpowiadał na pytania tylko tak lub nie, w ogóle starał się mówić jak najmniej i tylko, gdy było to konieczne. Tak, aby nie okazać przepelniającej go nienawiści nawet spojrzeniem, tym bardziej słowem, choć przez cały czas czuł, że spięty siedzi naprzeciwko śmiertelnego wroga. Niewolnik wobec dozorca.

Na terenie okupacji niemieckiej, dzieci polskie miały w zasadzie uczęszczać tylko do szkół podstawowych, przeznaczano je do służby dla niemieckich panów i żadne wykształcenie nie było ani potrzebne, ani nawet dozwolone. Na tej samej zasadzie, jak i akcja mordowania dotyczyła zwłaszcza ludzi wykształconych, tych należało się pozbyć w pierwszym rzędzie.

Istniała jednak pewna liczba szkół, przygotowująca do konkretnych zawodów. W Ostrowcu istniały dwie takie szkoły, jedna zawodowa przygotowująca pracowników Huty i Zakładów Ostrowieckich (metalowych), druga to Szkoła Handlowa. Pierwsza była trzyletnia, ale połączona z praktyką i pracą w rosnącym wymiarze godzin w Zakładach, druga trwała tylko dwa lata, ale matka uznała ją za bardziej odpowiednią.

Angusowi wydawało się, że chyba egzamin zdał, w każdym razie pierwszą część, z arytmetyki, zadania rozwiązał po prostu z marszu i natychmiast po ich podyktowaniu podał wyniki. Kiedy oddawał arkusz, egzaminujący zapytał go, dlaczego chociaż nie spróbuje swoich sił. - Już wszystko zrobiłem, - odpowiedział.

Następnego dnia było dyktando i wypracowanie. Angus przedstawił postać kupca trochę nietypowo, w jego modelu był to ponury odludek i mizantrop, który jednak nieomylnie wyczuwał każdą dobrą okazję i po prostu nie popełniał błędów. Przedsięwzięcia ryzykowne, dla niego przebiegały pomyślnie. Jednak nie sprawia mu to żadnej satysfakcji, wygrywa bez emocji i może właśnie dlatego, że jest mu to obojętne. Podobno chciał w życiu czegoś innego, zająć się nauką, ale los zmusił do zmiany planów. Angus niepokoił się trochę, że może napisał to niepotrzebnie, może mu to zaszkodzić.

To też czuł się nieswojo, kiedy nie znalazł swego nazwiska w porządku alfabetycznym, a potem im bardziej czytał całą kolumnę od początku do końca, tym bardziej też go nie znajdował.

- Jak się właściwie nazywasz? - zapytał chłopak obok. Ach tak, przecież jesteś tutaj na samym początku. Angus zobaczył wtedy, że jego nazwisko znajduje się w dwu liniijkach tekstu przed kolumną, które pominął. Zdał egzamin z wyróżnieniem i dlatego został przyjęty od razu do drugiej klasy. To miała być nagroda, ale faktycznie zamiast schronienia na dwa lata, dawała schronienie tylko na rok.

\* \* \*

Pozornie wszystko dobrze się skończyło, ale była pewna komplikacja. Wykupienie syna, przeprowadzone tak skutecznie i pomyślnie przez matkę Angusa, ostatecznie podcięło sytuację materialną rodziny. Wprawdzie złożyło się na to wiele powodów i już przedtem bardzo się ona pogorszyła, ale dotąd nikt się tym nie przejmował. Po prostu traktowali aktualną sytuację, czy była ona przejściowo niespodziewanie dobra, czy też później zła, jako tymczasową. Przecież w końcu Niemcy muszą przegrać, co do tego nie mogło być wątpliwości, a wtedy wszystko wróci do normy, do przedwojennych stosunków. Wytrzymać jeszcze trochę, jakoś to przeżyjemy. Przekraczało możliwości ich wyobrażenia, że w rzeczywistości, w przyszłości nie odzyskają nigdy i niczego, a zamiast tego przy samym

końcu wojny zostaną po raz drugi obrabowani z tego, skromnego mienia, które zdołali w tym czasie zgromadzić. Że jeszcze raz będą musieli rozpoczynać, praktycznie, od zera. Chociaż ten drugi rabunek, dokonany nie przez władze III Rzeszy w pełnym majestacie bezprawia, ale po prostu przez cofających się żołnierzy niemieckich, może równie brutalny, nie był już tak kompletny i zorganizowany. Oni sami też nie przeżyli tego tak silnie, zapewne przywykli, mieli już za sobą poprzednie doświadczenie.

Nawet najbardziej pesymistyczna, czy raczej trzeźwa matka, miała jedynie wątpliwości, ile czasu to jeszcze potrwa i zwłaszcza, czy rzeczywiście uda się odzyskać całe zrabowane mienie. - Nie uwierzę w odszkodowanie, póki go nie zobaczę,- mówiła.- Po pierwszej wojnie światowej, Francuzi też mieli nadzieję, że dostaną odszkodowania, Niemcy nawet zobowiązali się do tego, a mimo to potrafili się wykręcić, A inni pokrzywdzeni w ogóle nie mieli żadnych szans.

Ojciec wraz z Agnusem nie mieli w tym zakresie żadnych wątpliwości. Przecież to, co ich spotkało było tak niesłychane, tak niezgodne z żadnymi normami prawa, nawet nie tylko międzynarodowego, ale w ogóle jakimkolwiek duchem praw, naturalnym poczuciem sprawiedliwości, normami cywilizacji, że po prostu świat nie może tego tolerować. Jakaś forma zadośćuczynienia musi mieć miejsce. Owszem, istniało wiele precedensów rabunku w czasie działań wojennych. Ale żeby ludzie już po zakończeniu tych działań, w miesiące po ustanowieniu cywilnej administracji mogli zostać pozbawieni całej własności bez żadnego postępowania prawnego, choćby nawet tylko fałszywego i niesprawiedliwego, jednym słowem bez zachowywania jakichkolwiek pozorów - samą decyzją administracyjną - to nie mieściło się w głowie. Nie istniał żaden podobny precedens historyczny, nawet w tzw. ciemnych wiekach, podczas najazdów barbarzyńców, nie zdarzało się, żeby ówcześni, powiedzmy okupanci, zabierali miejscowej ludności całe mienie, zwykle wyznaczali jakąś część, jedną trzecią lub wyjątkowo połowę. Nawet bolszewicy, uznawali przecież prywatną własność, przynajmniej teoretycznie czy raczej obłudnie, odbierając swoim ofiarom tylko środki produkcji i jak to wyjaśniali, nadmiar bogactwa powstały z bezprawnego zawłaszczenia tych środków. Natomiast Niemcy nie starali się nawet o zachowanie obłudy.

Zresztą, faktycznie im niczego nie zabrano, nie ukradziono, ani nie zrabowano, to raczej ich zabrano z domów, mieszkań i od swego majątku i stanu posiadania, przejściowo osadzono w obozie, żeby ostudzić ewentualne pierwsze protesty, szok i oburzenie i następnie wywieziono setki kilometrów i tam wykopano z pociągów, po prostu na ulicę. Nawet transport odbywał się w bydłęcych wagonach, zadrutowanych, jak w przypadku bydła wiezionego do rzeźni. To była presja psychologiczna, mieli się cieszyć, że uszli z życiem i

dobrze zapamiętać ostrzeżenie. Próba powrotu, sprawianie jakichś kłopotów, upominanie się o swoje prawa lub własność oznacza śmierć.

Nie było żadnych aktów konfiskaty, kontrybucji czy rekwizycji. Nie było żadnych spisów, pokwitowań, decyzji, w ogóle żadnych dokumentów na piśmie. To akt bandytyzmu państwowego w czystej postaci. Ojciec twierdził, że chociaż niewątpliwie ZSRR było samym złem aż do podstaw, systemem fałszywym, zakłamanym i opartym na powszechnej krzywdzie i przemocy, nawet tam coś podobnego nie mogłoby się zdarzyć. Owszem, metody postępowania nie były wcale lepsze, ale przynajmniej istniała szczegółowa dokumentacja, rozbudowana maszyna biurokratyczna. Hitler wzorował się na Stalinie ale przeszedł swego mistrza. rezygnując całkowicie z obłudy, zachowania pozorów, dopuścił się bandyckiego rabunku bez jakichkolwiek formalności, można powiedzieć w warunkach pełnej anarchii.

Można więc mieć wątpliwości, jaką część mienia uda się odzyskać. Ponieważ nie było żadnych spisów, zapewne złodzieje będą się wypierać, pomniejszać swój udział w łupie, zaprzeczać, kłamać i usiłować oszukać sprawiedliwość. Nie ważne, nawet jeżeli uda się odzyskać tylko jakąś część mienia, może połowę, coś przecież odzyskają, a następnie, gdy skończy się ten koszmar, już sami odbudują resztę.

W rzeczywistości, rację miała matka. W przyszłości nie mieli odzyskać nigdy i niczego, dostać nawet złamanego grosza odszkodowania, zamiast tego zostali przy końcu wojny jeszcze raz obrabowani przez cofających się żołnierzy niemieckich. Jednak ten rabunek w pośpiechu, chociaż równie brutalny, nie był tak kompletny i zorganizowany, jak rabunek dokonany oficjalnie przez Das Reich, a poza tym mieli już doświadczenie w zacyzaniu wszystkiego od zera.

Nastroje nie zmieniły się więc i obecną biedę traktowano jako stan przejściowy. Jednak trzeba było jakoś żyć. Szczerze mówiąc, to właśnie najtrudniejszy okres w czasie całej okupacji. Praktycznie przez ponad dwa miesiące, Angus prawie nie widział chleba i nie mógł kupić nawet gazet z wiadomościami frontowymi, chociaż gazety niemieckie i tzw. gadzinówki były prawie za darmo, bo po urzędowych cenach.

Całe szczęście, że w poprzednim roku odnajęli ten kawałek ziemi po drugiej stronie ulicy, odgradzony pod budowę kościoła i posadzili tam ziemniaki, a na wiosnę pomidory. Na śniadania mieli teraz sałatkę z pomidorów i ziemniaków, na obiad gotowane kartofle z pomidorami i na kolację pomidory z ziemniakami. Ewentualna odmiana polegała na tym, że czasem ziemniaki gotowano w łupinach a w wyjątkowych wypadkach pieczono.

W końcu lipca ojciec podjął prace w Cukrowni Częstocice, dokładniej mówiąc w punkcie skupu buraków, daleko od Ostrowca, aż za Waśniowem, tak, że do domu przyjeżdżał

tylko na niedzielę. Decyzja ta zapadła po rozważaniu wątpliwości, czy nie jest to czasem praca dla okupanta i może w pewnym sensie, pośrednio, jednak tak było, bo chociaż cukrownia była przedsiębiorstwem polskim, to była zarządzana przez komisarza niemieckiego i pracowała dla gospodarki niemieckiej. Ale z drugiej strony, to dotyczyło wszystkich przedsiębiorstw, z początku większych, a obecnie i średnich, także i majątków. Jedynie całkiem małe przedsiębiorstwa nie miały jeszcze Traeuhänderów, a w perspektywie, zarówno indywidualna własność ziemi jak i samodzielna działalność gospodarcza miały być całkowicie odebrane Polakom. Modelem była wspomniana Zamojszczyzna.

Nie jest tylko pewne, czy całą ludność polską przeznaczano od razu do likwidacji, czy też przewidywano pozostawienie przez pewien czas pewnej części jako nisko kwalifikowanej i nisko opłacanej siły roboczej, coś w rodzaju nowoczesnych niewolników lub przymusowych robotników. Na tą drugą ewentualność może wskazywać wspomniany fakt zakazu kształcenia, za wyjątkiem wykształcenia podstawowego i najniższego zawodowego. Autor osobiście jest przekonany na podstawie własnych obserwacji, że raczej los Polaków miał być taki sam jak los Żydów i że był to w ogóle wzorcowy model, opracowany dla znacznej części ludności Europy, przynajmniej na początek. Celem była przecież przebudowa struktury rasowej, eliminacja nierasowej części stada. Jak już wspomniano, metody masowego mordowania rozpoczęto najpierw opracowywać i wprowadzać eksperymentalnie dla ludności polskiej, a następnie przerzucono się na Żydów, tylko dlatego, że byli oni bardziej bezbronni. Łatwiej było ich wymordować przy zastosowaniu ograniczonych sił, podczas gdy rosnące zaangażowanie wojsk niemieckich we wojnie nie pozostawiało dostatecznej przewagi, potrzebnej do zlikwidowania szybko rosnącego, polskiego ruchu oporu.

W wyniku tych rozważań, ojciec doszedł do wniosku, że powinien wykonywać swoje obowiązki nierzetelnie, gdyż będzie to działanie na szkodę okupanta. Dlatego przyjmował zawyżone ilości buraków i przypisywał im wyższy procent cukru, z początku ostrożnie, żeby nie przekroczyć granicy prawdopodobieństwa. Stopniowo okazało się, że te metody postępowania są już od dawna opracowane i sam pomysł, to kolejne odkrywanie Ameryki. Wszyscy tak robili i można było działać śmieiej. Ponadto przywożący buraki rolnicy wręczają namacalne dowody wdzięczności. Jak to ojciec sam określił, stał się on przekupnym urzędnikiem.

To tak niezwykle, że zaskoczyło Angusa, dotychczas sama wzmianka, nawet żart, budziła najgłębsze oburzenie ojca. Teraz jednak uważał, że jest to nie tylko usprawiedliwione, ale godne aprobaty i pochwały. Ponadto przynosiło rosnące korzyści materialne, gdy nominalna płaca, nie wystarczyłaby nawet na same utrzymanie w nowym miejscu. W miarę

jak ojciec nabierał doświadczenia i przekonał do siebie chłopów, dawał się poznać z dobrej strony, jego sytuacja materialna poprawiała się.

Na razie, jeżeli ojcu udało się przywieść na koniec tygodnia trochę pieniędzy, matka przeznaczala je w pierwszym rzędzie na zakup mleka, dopiero za ewentualną resztę dokupywano chleb. Ale przy jego podziale wybuchały zwykle spory, gdyż każdy usiłował swoją porcję jakoś podrzucić innym członkom rodziny. Chwytano się przy tym różnych podstępów, symulowano chorobę, ból brzucha, zębów, albo też, że ten chleb jest bardzo niedobry i nie smakuje. Okupacyjny chleb rzeczywiście nie był specjalnie dobry, a już zwłaszcza ta drobna ilość, którą od czasu do czasu można było kupić na kartki. Ale tak szczerze mówiąc, Angusowi właśnie wtedy wydawał się wyjątkowym przysmakiem.

Z drugiej strony Agnus, który dopiero teraz docenił smak samego chleba, czuł się doskonale także na diecie z samych ziemniaków i pomidorów. Praktycznie całe dni spędzał teraz na Romanowie, zabierając ze sobą kilka kartofli w łupinach, parę pomidorów i szczyptę soli. Prowadził dokładnie taki sam tryb życia, jak w pierwszych dniach lipca, to znaczy jak najwięcej czasu pływał, a w przerwach na odpoczynek uczył się wierszy. Tych wybieranych przez siebie, bo lekcje skończyły się. Polski i Łacinę, w zakresie III klasy przerobili do końca, natomiast obecne warunki materialne nie pozwalały na rozpoczęcie IV klasy.

Nadal trzymał się zupełnie samotnie, nie zawarł żadnych znajomości oprócz całkiem przelotnych, z widzenia. Trochę i dlatego, że głupio mu byłoby odwijać przy kimś swój posiłek i obierać skórkę z zimnych kartofli, a nawet i ubranie starał się zdejmować tak, żeby nikt nie zauważył mocno podartych skarpetek, które zdejmował z nogą jeszcze w bucie. W rezultacie, nie szukał znajomości ani kontaktów, a kiedy już musiał odpocząć, to ten czas wolał przeznaczyć na marzenia.

Miał o czym marzyć. Na pierwszym miejscu, wciąż stawiał przyszłą walkę z okupantem. Mimo dotychczasowych niepowodzeń, ani przez chwilę nie wątpił, że ta wojna nie może obyć się bez jego udziału. Prędzej czy później, on też pomoże ją wygrać, albo zginie i dla tego celu starał się obecnie tak usilnie o rozwój fizyczny. To był nadrzędny, najważniejszy cel.

A ponadto oczywiście, marzył o swojej wielkiej miłości. Tutaj również był pewien, że kiedyś, gdzieś, mimo wszystko muszą jeszcze się zetknąć. To nie było przekonanie, to była wiara, która stopniowo nabierała prawie cech religijnych. Właściwie dziwna ewolucja uczucia, coraz bardziej abstrakcyjna i wyidealizowana sublimacja. Obiekt znajdował się wprost na ołtarzu. Nigdy też nie pozwolił sobie nawet na marzenie seksualne, a jeżeli mimo wszystko go czasem nieodparcie nachodziły, to odwracał myśli i przesuwiał wyobrażenia na

inne kobiety lub dziewczyny, najczęściej na jakieś ciała rozłożone nad wodą. Rzecz najzupełniej naturalna w jego wieku, ale i tak miał do siebie pretensje. Na szczęście przekonał się w tym czasie, że intensywny wysiłek i ćwiczenia fizyczne, hamują podniecenie seksualne. O dwa lata za późno, odkrył, jak można było sobie poradzić z problemem, który poprzednio doprowadził go niemal do śmierci z własnej ręki.

Natomiast to, że w wytkniętym celu od początku sprzyjało mu powodzenie, stanowiło motywację do jeszcze bardziej forsownego wysiłku. Można powiedzieć, że w naukę pływania wkładał przez pewien czas prawie tyle pracy, co poprzednio w matematykę i tutaj również poczuł ten niezapomniany smak sukcesu. Wkrótce przeniósł się całkowicie na głęboką wodę, do basenu przed mostem. Tam było sporo doskonałych pływaków i Angus, nadal trzymając się samotnie, zdołał podpatrzeć i przyswoić sobie wiele technicznych szczegółów. Jeżeli jego ruchy nie były jeszcze prawidłowo zharmonizowane, to jednak nauczył się najpierw używać i rąk i nóg, następnie łapać we właściwych momentach powietrze, a w końcu pływać z krytą głową. Wymyślał też własne ulepszenia i odmiany stylów. Na przykład krycie głowy przy przez cały czas szeroko otwartych ustach, przy czym wyczuwał językiem, czy w danej chwili może, czy nie, zaczerpnąć powietrza. Albo pływanie przy skręceniu o 90 stopni osi ciała, przy czym ręce rozgarniały wodę jak przy żabce, natomiast nogi wykonują ruchy boczne jak ogon ryby, jedyna kombinacja która okazała się przydatna jako zmiana przy dłuższych dystansach. Inne pomysły nie były tak ekonomiczne, w tym sensie że ilość włożonej pracy nie odpowiadała osiąganemu efektowi. Właściwie to wszystko rozstrzygał metoda prób i błędów.

Pod koniec sierpnia czuł się już całkowicie, jak ryba we wodzie. Wprawdzie jeszcze żaden z jego stylów nie był czysty i dobrze zharmonizowany i w związku z tym szybkość nie zbyt imponująca, ale za to mógł pływać całymi godzinami bez wychodzenia z wody i odpoczynku, zwłaszcza własną odmianą wolnego kraula. Teraz zaczął ćwiczyć pływanie z dodatkowym obciążeniem (naturalnie marząc o broni, która może będzie musiał unosić), a to już wymagało stałego wysiłku, sama wyporność ciała nawet z najbardziej rozepchanymi płucami, nie wystarcza. Przy tej okazji, mimo woli nauczył się nurkować i następnie pływać pod wodą i wykombinował nową odmianę żabki, przy której płynie się prawie cały czas pod wodą tylko od czasu od czasu chwytając powietrze (niestety wolniej, niż przy normalnej żabce). Potem, podpatrzywszy innych, zaczął skakać do wody, najpierw z niezbyt wysokiego, drewnianego ocembrowania zbiornika, a następnie z kładki i z poręczy mostu.

Wreszcie spróbował także wskakiwać w spieniony jezior wodny, wyrzucany z otwartych przepustów zapory do dolnego jeziora. To był jego własny pomysł i wbrew przypuszczeniom, wcale nie wymagało jakichś wielkich umiejętności. Trzeba było tylko



utrzymać się na nogach, aż udało się znaleźć na samym środku strumienia i skoczyć tak, żeby nie trafić w żaden z szeregów pali drewnianych, ogradzających z obu stron każdy taki jezor. Potem było kilka sekund jazdy jakby superekspesem i już prąd wyrzucał pływaka na spokojną wodę. Wkrótce spowszedniało to, okazało się zbyt łatwe, chociaż trzeba przyznać, że masaż wodny był intensywny. W gruncie rzeczy drobnostka, łatwa rozrywka, w porównaniu ze stałym ostrym treningiem. Pewną satysfakcję sprawiało tylko to, że nikt inny tego nie robił, lecz kiedy stwierdził, jakie to proste, starał się nie zwracać na siebie uwagi.

W ciągu tego lata, w pełni wykonał zamierzenia, a właściwie osiągnął więcej, niż wydawało się na początku możliwe. Po raz drugi w życiu autentyczny sukces. A choć było to mniejsze osiągnięcie niż poprzednie, to jednak o tyle cenniejsze, że w pełni samodzielnie. Uzyskane przy nauce matematyki wyniki, były niewątpliwie głównie zasługą znakomitych nauczycieli. To że różnili się w metodzie pracy, powodowało, że uzupełniali się nawzajem. Jego ojciec, można powiedzieć, reprezentował dobre rzemiosło, a Moranowski stronę artystyczną i prawdziwy polot, natomiast mniej dbał o szczegóły i dobre wykończenie, jeżeli idea była dobra. W chwilach wewnętrznej szczerości Agnus przyznawał, że jego własny wkład był minimalny. Byle głupek, a w każdym razie każdy przeciętnie uzdolniony chłopak na jego miejscu osiągnąłby to samo, gdyby trafił na takich mistrzów. Natomiast w nauce pływania, sam wszystko zaplanował i osiągnął. Wykonał to co zamierzał i potem nieustannie podnosił poprzeczkę. przekraczał wytyczone cele i wyznaczał sobie wciąż więcej. A przy tej okazji wzmocnił się fizycznie, stał się sprawniejszy i przynajmniej częściowo, pozbył się niezręcznych ruchów i poczucia niepewności. Odzyskał wiarę w własne siły, przestał przyglądać się krytycznie samemu sobie.

A tak na marginesie i całkiem ubocznie Angus przyswoił sobie, mówiąc językiem dzisiejszej młodzieży nagrał w pamięci, z pięć 90 min kaset wierszy. To był zapas, który mógł recytować sobie przez cały dzień bez przerwy i dzięki temu, wytrzymać nawet cały dzień bez książki. Bardzo przydatne, zwłaszcza w trudnych stresowych sytuacjach. Były to różne poematy lub części poematów, takie które polubił. Faktycznie okazały się przydatne w życiu, zwłaszcza przy długich oczekiwaniach na coś ułatwiały zachowanie równowagi.

\* \* \*

Na początku września rozpoczęła się szkoła, do której Angus nie miał początkowo zbyt wiele przekonania. Raczej miał nadzieję poznać nowych ludzi, nawiązać nowe kontakty i trafić do swojego głównego celu życiowego, do konspiracji. Jednak nasłuchiwał się też wiele o konieczności zachowania wielkiej ostrożności w stosunku do nowych, nieznanych ludzi oraz o możliwości spotkania niemieckich prowokatorów, agentów i szpicli gestapo.

Szkoła Handlowa w Ostrowcu, zwana popularnie Handlówką, mieściła się wraz ze Szkołą zawodową, czyli Zawodówką, po przeciwnej stronie Ostrowca, przy tzw. Szosie Opatowskiej - to jest wylocie z miasta na południe, w stronę Opatowa. Jak wiadomo, Niemcy zlikwidowali i zakazali jakiegokolwiek ponadpodstawowego szkolnictwa, bądź dlatego, że zamierzali zlikwidować Polaków, bądź dlatego, że jeżeli zmięli niektórych pozostawić przy życiu, to wyłącznie jako niewolników lub przymusowych pracowników do uciążliwych prac lub posług. Do tego wykształcenie nie jest potrzebne. Przeciwnie, wykształcony niewolnik jest kłopotliwy, trudniej utrzymać go w posłuszeństwie i przychodzi mu do głowy niewłaściwe myśli, skłonny jest do buntu. Zapotrzebowanie istniało na zwierzęta robocze bez wyższych myśli czy uczuć. Jedynie w ograniczonym zakresie, pozostawiono do uznania lokalnej administracji niemieckiej określenia zapotrzebowania na pracowników z pewnym przygotowaniem zawodowym i w związku z tym zezwolenia na otwarcie niższego stopnia, zwykle dwuletnich szkół zawodowych.

Ostrowiec, średniej wielkości miasto o kilkudziesięciu tysiącach ludności, miał wielki zakład przemysłowy, Hutę i Zakłady mechaniczne, które obecnie pracowały głównie dla potrzeb wojny. Zapotrzebowanie na wykwalifikowanych robotników decydowało o możliwościach produkcyjnych i dlatego Szkoła Przymysłowa czynna była bez przerwy, z wyjątkiem ostatniego kwartału 1939 r. Naukę w Szkole Zawodowej łączono z praktyczną nauką zawodu i rosnącej ilości godzin pracy w Zakładach względnie warsztatach produkcyjnych, dlatego wyjątkowo zezwolono tu aż na trzy lata nauki. Podobnie, jak w prawie wszystkich podobnych szkołach, część - ale dotyczyło to tylko najbardziej zaufanej i zdolnej części młodzieży - dodatkowo uzupełniała naukę na tajnych kursach lub czasem indywidualnie z wykładowcami tej szkoły lub dokooptowanymi, przeważnie z personelu inżynierskiego Zakładów. Zdobywali w ten sposób średnie i czasem nawet wyższe wykształcenie techniczne, bo istniały nawet kursy politechniczne, w każdym/ razie w zakresie pierwszych lat. Po uzupełnieniu przedmioty do matury, na kursach uczyli się przeważnie już młodzi ludzie po maturze, zwykle byli wychowankowie Zawodówki, pracujący w Zakładach.

Na otwarcie Szkoły Handlowej, władze niemieckie zezwoliły dopiero w 1941 r., zakładając, że duża ilość ludności i w związku z tym sieć zaopatrzenia i usług, a także obsługa „Rolnika” i eksploatacja okolicznych rejonów rolniczych wymaga pracowników o podstawowych kwalifikacjach w tym zakresie. Dodatkowo, te argumenty zostały poparte odpowiednimi łapówkami.

Przed wojną, Ostrowiec dysponował Gimnazjum Handlowym, a uprzednio tzw. Gimnazjum Kupieckim, ale obecnie budynek był zajęty przez Niemców, więc na początek

dwie pierwsze klasy Szkoły Handlowej znalazły gościnę w starym, długim budynku drewnianym Zawodówki. W roku 1942 otwarto dwie nowe pierwsze klasy. Agnus zaś trafił do obecnej klasy II A.

Klasy II A i II B liczyły prawie po czterdziestu uczniów, w sumie siedemdziesięciu kilku. Do nowo otwartych klas I A i B przyjęto ponad czterdziestu, ogółem przeszło osiemdziesięciu. Dyrektorem szkoły był przedwojenny dyrektor Gimnazjum Handlowego, pan Urbanowicz, wówczas jeszcze młody, obecnie na początku średniego wieku, tylko czoło mu się bardzo podwyższyło. Niesłuchanie sprawny, zorganizowany, sprężysty, precyzyjny - po prostu żywa dynamomaszyna, wprost czuło się energię, chociaż nie elektryczną. Zarówno obecna funkcja, jak i przedwojenna były na pewno poniżej jego możliwości, spełniał wszelkie warunki, żeby zostać prezesem wielkiej korporacji i niewątpliwie doprowadziłby ją najkrótszą drogą, w stylu amerykańskim, do błyskawicznego rozwoju. Ponieważ zarządzanie, z pomocą jednej sekretarki, małą szkołą, cztery klasy i około 160 młodzieży, nie wyczerpywało etatu, uczył też organizacji przedsiębiorstw oraz przedmiotu, który sam wprowadził, chociaż chyba nie było go w innych Handlówkach, techniki sprzedaży i zakupów. To było jego własne dziecko, pod tą nazwą kryła się psychologia negocjacji. Urbanowicz wierzył w nią głęboko i dlatego ją wprowadził. Angażował się bez reszty, sam wszystko opracował, bo nie było podręczników, sam tworzył pierwszy w postaci skondensowanych notatek które częściowo dyktował, lub w punktach wypisywał na tablicy, pedantycznie sprawdzając zeszyty.

Istotą rzeczy stanowiła umiejętność szybkiego wniknięcia w psychikę kontrahenta, zwłaszcza klienta, a także dostawcy. Należało go wysłuchać, broń Boże nie przerywając, ocenić zarówno na podstawie słów, jak i zachowania i języka ciała, w żadnym wypadku nie zaprzeczać ani niczego nie prostować. Następnie wykorzystać jego własne słowa, podkreślić lub jeszcze rozbudować dalej jego zdanie, tak żeby te wypowiedziane przez niego argumenty działały właśnie na naszą korzyść. Jak to komentowali niektórzy, odwrócić kota ogonem. Jednym słowem, praktyczne zastosowanie psychologii w potrzebnym przy załatwianiu interesów zakresie. Nie ma nic nowego na świecie, te zasady działania nie zostały wynalezione dopiero teraz, ani też ze dwadzieścia czy trzydzieści lat temu, jak, w zależności od daty urodzenia, sądzą młodzi ludzie.

To byłoby naprawdę nieocenione, nie tylko w interesach, ale w całym życiu, gdyby Agnus potrafił z tej wiedzy skorzystać. Niestety on był fatalnym znawcą ludzi, widział nie prawdziwe osoby, ale swoje o nich wyobrażenie na podstawie książkowych wzorów. Równie dobrze możnaby uczyć praktycznej psychologii Don Kichot'a. Owszem, z dużym opóźnieniem, zwykle po wielu latach, potrafił bezbłędnie rozumieć reakcje spotkanych

dawniej ludzi i trafnie wytłumaczyć, dlaczego jakiś człowiek po prostu musiał zareagować tak, jak zareagował i jakiś fakt się wydarzył. Po latach wszystko było oczywiste i jasne, wszystko musiało właśnie tak się wydarzyć, jak się wydarzyło, wystarczy trochę logiki żeby to zrozumieć.

Oprócz dyrektora, w skład grona pedagogicznego wchodziło jeszcze kilka osób, jeszcze przed wojną uczących w Gimnazjum Handlowym, jak na przykład pani Józwiak, prowadząca zajęcia z księgowości oraz arytmetyki handlowej. Po raz pierwszy Agnus spotkał wtedy osobę, licząca prawie równie szybko, jak on sam, a na pewno szybciej od współczesnych komputerów. Jeżeli wyprzedzał ją, to dlatego, że pani Józwiak nie uznawała przeskoków w pamięci, wszystko musiało być porządnie zapisane, a to zabiera czas. Ale i tak przekonał się, że nawet w prostej arytmetyce mógł się jeszcze wiele nauczyć, a dotyczyło to głównie uproszczeń, liczenia tylko z potrzebną dokładnością, na przykład do trzech lub czterech liczb znaczących. Wtedy nie zaokrąglą się dopiero końcowego wyniku, ale już w trakcie wykonywania działań opuszcza cyfry, które nie będą miały wpływu na wynik, na przykład słupki mnożenia lub dzielenia wyglądają jak amputowane w pionie lub na skos, a do końcowej liczby znaczącej, według przybliżonego szacunku, dodaje się lub odejmuje poprawkę. Także wiele podobnych sposobów szybkiej kalkulacji, na przykład jakaś wartość razy sto dwadzieścia cztery albo sto dwadzieścia sześć to jedna ósma z przesunięciem przecinka o trzy miejsca, plus albo minus jeden procent i ewentualnie poprawka wg. szacunku, albo szybkie sprawdzenie mnożenia przez dodanie cyfr poszczególnych składników i stwierdzenie, czy dzielą się lub nie przez trzy, albo wreszcie jeżeli wiadomo, że błąd powstał i różnica jest znana, to jeżeli ta różnica jest podzielna przez 9, można przypuszczać, że przy przepisywaniu cyfr, zaszedł tzw. czeski błąd, zmiana kolejności cyfr, itd. itd. Podobnych, praktycznych chwytów było dużo i każdy w pewnych wypadach oszczędzał czas.

W gruncie rzeczy pani Józwiak traktowała jednak arytmetykę jako zło konieczne, natomiast była wysoko kwalifikowaną księgową, rzeczoznawcą ze wszelkimi uprawnieniami. Obecnie nie pełniła jednak tych funkcji i podobnie jak większość grona, starała się po prostu być mało widoczna.

Agnus nie miał pojęcia o księgowości, brakowało mu początków, które przerabiano na pierwszym roku. A były to wstęp i tzw. księgowość włoska, oraz pierwsze zasady tzw. amerykanki (amerykański plan kont, teraz już wypełniali te szerokie, kolorowe arkusze na dość zaawansowanym poziomie). Tym nie mniej, wyczuł wewnętrzną logikę i racjonalność tych rozwiązań. W przyszłości, mieli poznać kombinację księgowości włoskiej i amerykanki

z najlepszym rozwiązaniem, księgowością przebitkową, która wówczas stanowiła koronę umiejętności, chociaż obecnie, w dobie komputerów, też stanowi muzealne wspomnienie.

Część grona uzupełniali nauczyciele dobrani obecnie, dość przypadkowo, zwykle o niespodziewanie wysokich kwalifikacjach. Podjęli oni te obowiązki dla zapewnienia sobie spokojnego i stosunkowo bezpiecznego miejsca pracy, można powiedzieć, dla dobrej legitymacji. Tak na przykład, byli pracownicy Uniwersytetu Krakowskiego, nawet jeżeli nie byli aż profesorami, mogli w perspektywie trafić do obozu. Podobnie dość znana artystka - malarka, jako przedstawicielka inteligencji, automatycznie znajdowała się na dość wysokiej pozycji list do odstrzału w pierwszej kolejności. Obecnie przycupnęła w cichej niszy, jako nauczycielka reklamy i stenografii (okazało się, że biegłość rysowania i szkicowania, pomogła opanować tę umiejętność).

Nie tylko dla części grona nauczycielskiego, ale także części młodzieży, Handlówka spełniała funkcje przechowalni, niszy ekologicznej. Dla wielu po prostu szkoła, jedna z niewielu dostępnych, ale dla znacznej części tymczasowe zabezpieczenie przed łapanką, wywiezieniem na roboty do Niemiec lub innej przymusowej, niewolniczej pracy. Przecież i Angus, przynajmniej z początku, nie był zainteresowany, traktował nową szkołę z góry i jako zło konieczne. W wyniku własnej ignorancji, nie doceniał zupełnie tego, co mógł stąd wynieść. Ważna była tylko legitymacja szkolna, konkretnie zaś to, że na razie dawała ona niezłe zabezpieczenie, miejscowy Arbeitsamt i władze okupacyjne jakoś ją uznawały. Nawet i po zakończeniu nauki, prawie wszyscy uczniowie, zostali skierowani do pracy w tym rejonie.

Angus trafił do klasy II A, gdzie na ogół znaleźli się uczniowie młodszy wiekiem i chcący się uczyć. Ale środowisko było różne. Zakres wiekowy też bardzo różny, w klasie było tylko trzech chłopców w wieku Angusa, po czternaście lat, oraz kilku piętnastolatków. Najwięcej chłopców miało po szesnaście, siedemnaście lat, ale najstarszy uczeń miał dwadzieścia cztery lata i nazywał się, nomen-omen, Pyskowski. Rzeczywiście, usta mu się nie zamykały, przy tym gadał i dowcipkował przez cały czas, także na lekcjach, nie zachowując nawet pozorów dyscypliny uczniowskiej. Stylizował się na warszawskiego cwaniaka który przypadkiem tu zabłądził prosto z felietonów Wiecha albo piosenek podwórzowych. Trudno powiedzieć, czy raczej Antek z Powiśla, czy też z Targówka, koloryt dzielnic się zmieniał, ale niewątpliwie prawdziwa osobliwość, warto to zobaczyć, a zwłaszcza usłyszeć. Pyskowski był nieco wyższym, niż średniego wzrostu i bardzo dobrze zbudowanym szatynem, szybki i bardzo sprawny, Angusowi przypominał postać Tarzana na okładkach komiksów, jedyna różnica, że prawie stale śmiał się albo co najmniej uśmiechał. Mimo swego zachowania, był jakoś tolerowany, a na niektórych lekcjach należałoby raczej powiedzieć, cierpiany przez

nauczycieli, dlatego, że przemawiały za tym jakieś specjalne, nieznanne powody. Jedno jest pewne, Agnus, a prawdopodobnie i nikt inny nie posądzał tego wciąż dowcipkującego w bardziej lub mniej udany sposób, zachowującego się jak przerośnięty łobuz wesołka, o poważne traktowanie czegokolwiek. A jednak już po wojnie, kazało się, że był mocno zaangażowany w konspiracji, w każdym razie na tyle, że następnie tropiły go i represjonowały władze komunistyczne. Była też inna teoria, że był, nie akurat królem, ale jednym z baronów czarnego rynku i mógł sobie pozwolić na sponsorowanie szkoły, która zapewniała mu potrzebną przykrywkę. Przesadzone plotki, ale nie pozbawione podstaw, a jeżeli ówczesny kamuflaż był prymitywny, to jednak okazał się skuteczny.

Oprócz niego w klasie było jeszcze kilku uczniów w starszej grupie wiekowej, ponad dwadzieścia lat i sporo bliskich dwudziestki. Wśród nich, jeden dziewiętnastolatek miał wygląd znacznie młodszego chłopca, jeszcze nawet bez śladu zarostu i najwyraźniej coś było nie w porządku z jego dojrzewaniem. Poza tym, mógłby nawet uchodzić za całkiem przystojnego chłopca gdyby nie zęby - miał wszystkie sztuczne i to złote, ale złota już nie było, złote płytki zostały zdjęte i sprzedane, zostały tylko słupki, przedtem obłożone złotem. Drobny i szczupły, Ziuk był wzrostu dwunastolatka i na podobnym poziomie umysłowym, choć bynajmniej nie upośledzony, znał najciemniejsze strony życia. Krótko mówiąc, był męska prostytutką i między innymi, miał przez pewien czas „opiekuna” o skłonnościach sadystycznych, który wybiwszy mu wszystkie zęby, w ramach rekompensaty sprawił następnie złote. Teraz też podobno miał stałego kochanka, który jednak traktował go dobrze i umieścił w szkole. Charakterystyczne, że chłopiec nie spotykał się w klasie ani z pogardą, ani z jakimikolwiek szykanami, raczej traktowany był ze współczuciem, chociaż nikt się do niego nie garnął i nie znalazł przyjaciół. Uczył się z trudem, ledwie - ledwie.

Innym przegrany typem, chociaż z całkowicie odmiennych powodów, był pewien chłopski syn, uparcie kontynuujący naukę, chociaż naprawdę nie miał do tego warunków. Mieszkał kilkanaście kilometrów od szkoły i szedł do niej codziennie ponad dwie i pół godziny, a wracał jeszcze dłużej, był najwyraźniej zabiedzony, niedożywiony i naturalnie stale niedospany, co jakiś czas zasypiał nawet na lekcji. Agnus patrząc na niego wyobrażał sobie, że tak zapewne wyglądał pierwszy rok nauki jego ojca w gimnazjum białostockim. Ale niestety była ta różnica, że ten biedak nie był zdolny, wszystko przychodziło mu z trudnością, nawet jeżeli koledzy tłumaczyli mu coś w kółko po kilka razy. Nadrabiał szalonym uporem, ale doprawdy był to wysiłek ponad możliwości. Też był mały, ale w tym wypadku zrozumiałe, dlaczego nie wyrósł.

W klasie było jeszcze kilku chłopskich synów, ale w dużo lepszej sytuacji. Dwaj dorośli już, Mandalski i Cielach, mieszkali we wsiach opodal Ostrowca. Pierwszy, wysoki i silny, trochę nawet toporny, chodził, względnie, zależnie od pogody dojeżdżał rowerem z Chmielowa, wsi leżącej po tej stronie miasta, gdzie mieszkał także Agnus, ale jeszcze około 6 km dalej, a więc nie zbyt daleko. Jeżeli coś sprawiało mu kłopot, to nie droga, ta nie przekraczała jego sił, ale jąkanie się na lekcjach. Właściwie raczej zaciął się na pierwszym słowie i trwało dość długo, zanim zaczął mówić, nawet jeżeli wszystko dobrze umiał. Poza lekcjami też, ale jeżeli trwało to zbyt długo, to koledzy wołali, „no dalej, zaśpiewaj to!” Nie śpiewał wprawdzie ładnie, raczej miał takie poczucie melodii jak Angus, aż przykro słuchać, ale w każdym razie głośno i wyraźnie, zupełnie się przy tym nie jąkał, a jak już raz ruszył z miejsca, to resztę mógł dopowiedzieć. Mandalski był dumny z Chmielowa, wszelkie zalety wsi, ale przy tym jakby dalekie przedmieście. Chłopaki tam nie byle jakie, przed wojną na każdej zabawie pogotowie parę razy nawracało. Podobno na wstępie, dla okazania dobrej woli wypadało wbić nóż (wielki - tzw. kosibę) w drewnianą ścianę i powiesić na nim czapkę. Jeżeli jednak doszło do nieporozumień towarzyskich, to mniejsza o nóż, najlepiej było zająć strategiczną pozycję koło pieca, bo kto pierwszy złapał zapas fajerek i nałożył je na przedramię, ten był jak mocarstwo atomowe wśród normalnie uzbrojonych państw.

Natomiast Cielach, miał znacznie bliżej, bo mieszkał od strony Opatowa, a więc po tej stronie Ostrowca co szkoła. Po jakimś czasie, Agnus miał okazję pogadać sobie z nim dość ciekawie, na temat o którym wiedział dotąd niewiele, o ewolucji człowieka. Agnus naturalnie słyszał o ewolucji, ale bardzo ogólnie, nie bardzo też się orientował w sprawie znalezionych dotąd szczątków ludzkich, pamiętał tylko jedną nazwę, *Pitecantropus erectus* i że kości szczęki i jeszcze jakieś fragmenty znaleziono na Jawie. Natomiast Cielach mógł w każdej chwili i na wrywki podawać wszystkie znaleziska i wszystkie szczegóły. Orientował się nie tylko w faktach, ale nawet kto, kiedy i jak je odkrył. Pożyczył Angusowi parę własnych książek i Agnus naturalnie je przeczytał, zawsze czytał wszystko, co wpadło mu w ręce, a w czasie okupacji każda książka to przysmak. Ale na długą metę, nie był zainteresowany tematem. W gruncie rzeczy, nawet materia i energia, w najprostszych układach, ledwie dawały się ująć w postaci matematyczną, natomiast w bardziej skomplikowanych układach, coraz mniej można precyzyjnie uchwycić. Świat ożywiony był już na takim poziomie złożoności, że na razie w ogóle nie dało się zastosować narzędzia matematyki, może kiedyś, w odległej przyszłości możliwe staną się jakieś przybliżone uproszczenia. A już o człowieku w ogóle nie warto mówić, zdaniem Angusa, nie było warunków na prawdziwą naukę, zbyt dużo niewiadomych. Zresztą nawet zwykły elektron opisano w sposób, którego na razie nie

był w stanie zrozumieć, obecnie i same wzory, i wnioski z nich przyjmował na wiarę, ale miał nadzieję, że kiedy nauczy się trochę więcej matematyki, ta sprawa otworzy się przed nim. Natomiast człowiek, nie, nie było takiej nadziei przez najbliższe kilkadziesiąt lat, żeby te sprawy mogły stać się nauką. Informacji opisowej nie uznawał za naukę, raczej trzeba pogodzić się z myślą, że mnóstwo rzeczy jest na razie niedostępnych poznaniu i koncentrować się na tym co już wiadomo. Poszerzać stopniowo krąg, a potem zobaczy się co dalej, kiedy już tam dojdziemy. Oceniał, że Cielach wybrał sobie konkretny zawód i zdecydował się bez reszty, podobnie jak ten znajomy, który chciał zostać organistą. Medycyny Angus nie uważał za naukę, ale za konkretną umiejętność, z pewnością trudniejszą niż szkoła handlowa czy też nauka rzemiosła, bo w końcu naprawiało się żywych ludzi, a nie maszyny, nawet zegarki, ale generalnie ten sam rodzaj zajęcia.

Nie tylko na wsiach, także i w samym Ostrowcu mieszkali rolnicy. Na przykład, rodzice Julka Żuka, mieszkali przy ul. Pierackiego, po przeciwnej stronie i trochę dalej niż Stach Konar, a ich pola przylegały do zagrody i ulicy. Trochę dalej mieszkał Alfred Pukalski, byli prawie nierozłączni z Żukiem, ale Pukalski był synem zamożnego przemysłowca, współwłaściciela Radomskich Zakładów Obuwia. Wprawdzie przedsiębiorstwo była zawłaszczona przez Niemców i nie mogło przynosić zysków, ale po pierwsze ojciec z dwoma synami (matka nie żyła) i tak byli dobrze zaopatrzeni materialnie, a po drugie pan Pukalski i teraz potrafił się urządzać, jako uprawniony przedstawiciel firmy prowadził różne interesy, między innymi sprzedawał niby wybrakowane obuwie, względnie wymieniał je na surową skórę itd. Przekupując Niemców, sam dobrze zarabiał.

Wreszcie przy ul. Pierackiego mieszkał jeszcze jeden uczeń w podobnym wieku, największy kozak i gorąca głowa, a jak się okazało w przyszłości, sympatyczny kolega, syn kierownika tej szkoły, do której w czerwcu musiał chodzić Angus. W najbliższym otoczeniu mieszkało jeszcze paru, inni dalej, a w ogóle taka grupa wiekowa, 16-17 lat, stanowiła właściwie trzon klasy. W znacznej większości dzieci rodzin inteligenckich, w bardzo różnych warunkach materialnych, do tego nie przykładali znaczenia, naukę traktowali zwykle serio, a przy tym interesowali się całym światem, przeważnie otwarte głowy. To nie wszystko. Klasa była koedukacyjna, z dziewczynami. Też bardzo różne, na przykład jedna, starsza, była pracującą prostytutką i chociaż w klasie nie mówiono o tym fakt był znany. Ale podobnie jak w wypadku chłopców, większość to uczennice traktujące naukę poważnie i z reguły uczące się dodatkowo na tajnych kompletach, przeważnie w wieku nieco starszym od chłopców, średnia 18 lat, chociaż było kilka znacznie starszych i parę młodszych.



No tak, dochodzimy do sedna sprawy. Angus nigdy dotąd nie uczył się w klasie koedukacyjnej i to był prawdziwy szok. Nie miał pojęcia, jak się zachowywać. Zaczął niezbyt mądrze, tak, jak postępował on sam i wszyscy jego koledzy kiedyś, jeszcze przed wojną - wygłupianie się i drobne psoty.

W ogóle, problem był szerszy. Angus odwykł od przebywania w grupie. Zawsze był złym mikserem i z trudem nawiązywał znajomości, między innymi dlatego, że wychowywany był w izolacji. Jakoś dostosował się w szkole w Poznaniu, chociaż i tam występowały trudności. Następnie, przez kilka lat uczył się indywidualnie, albo w małych zespołach, dwu-, lub trzyosobowych. Teraz trafił jako obcy, do klasy już żywej, znającej się od roku. Nie umiał się przystosować, nadal pozostawał obcy, nie łąpał kontaktu. Na początku tylko obserwowali się nawzajem, a szczerze mówiąc, parę razy zachował się głupio, popełnił kilka błędów. W dodatku niezwykła, koedukacyjna klasa zmyliła go zupełnie. Jego normy, pozostawały na poziomie wyniesionym jeszcze z ostatniej grupy, do jakiej należał, z przedwojennej V klasy szkoły powszechnej w Poznaniu, gdzie chłopcy i dziewczyny nie mieli okazji się stykać. Wtedy istniała między nimi, przykryte zasadami dobrego wychowania, nie żeby wrogość, ale jakby podejrzliwość, przekonanie, że to całkiem odmienny gatunek i to raczej niższy, powiedzmy pół człowieka. Po obu stronach poczucie własnej wyższości. A tutaj nagle takie pomieszanie.

Po jakichś dziesięciu dniach, sytuacja raczej się pogorszyła: wyobcowanie w klasie, brak kontaktów i chyba gorsza ocena opinii. Klan dziewczyn uznał Angusa za niedojrzałego głupka, z którym nie warto się zadawać. Ale zdarzeniem, które przeważało szalę było, że jeden z młodszych kolegów, właśnie w wieku Angusa zaczął się z niego prześmiewać i dokuczać mu. Mimo równego wieku, Gołębiowski był dużo mniejszy, sięgał Angusowi do piersi, ale chłopak żywy jak iskra, szybki, absolutnie nie można go dogonić.

W tej sytuacji Agnus uznał, że pozostaje tylko jedna rzecz do zrobienia, według wzorów, które miał dotąd wpojone. W jego dawnej szkole w Poznaniu, pozycję i hierarchię w klasie ustalano w wyniku stoczonych walk. To najzupełniej normalne zjawisko, ale ponadto w szkole prywatnej, do której uczęszczał w Poznaniu, wolno było zupełnie oficjalnie staczać walki z jednym tylko ograniczeniem, trzeba zachowywać zasady fair play. Jeżeli obie strony chciały się bić i robiły to czysto, to nauczyciele w ogóle nie interweniowali. W tych warunkach nie był obaw, żeby chłopcy zrobili sobie jakąś krzywdę, chociaż siniaki się zdarzały i na przykład matka Angusa nie rozumiała i nie mogła się pogodzić z tym, że Angus stale był nimi pokryty.

Istnieje kilka sposobów ustalenia swojej pozycji w grupie. Można zaczynać od spodu i stopniowo poprawiać swój ranking, albo od góry narażając się na kilka porażek, lub według własnej oceny wybrać sobie od razu odpowiedniego przeciwnika, gdzieś w środku. Angus zdecydował się zacząć od najsilniejszego i to nie zarozumiałstwo, ale przemyślana decyzja. Pokonując słabszych od siebie, na ogół nie zdobywa się dobrej opinii i sympatii w grupie. Walcząc najpierw z najsilniejszym, przegrywa się, ale taka walka nobilituje, przynosi zaszczyt i dobrą opinię. To jest ten sam mechanizm psychologiczny, dla którego kiedyś na dzikim zachodzie, młode szczeniaki wyzywały znanych rewolwerowców i zwykle ginęły jak muchy, ale jeżeli nie, to zaraz stawali się kimś. Tutaj oczywiście nie było mowy o takiej stawce, Agnus zakładał, że może trochę oberwać, ale trudno, jak trzeba. Przy pierwszej więc okazji zaczął bez wątpienia najsilniejszego, Pyskalskiego i po krótkim sporze w obojętnej sprawie, wyzwał go do walki.

W tej szkole, jak też w mieszczącej się na tym samym terenie zawodowce (obie szkoły miały przerwy inaczej ułożone), bicie się było absolutnie zakazane, musieli więc zejść z boiska i wyszukać sobie odosobnione miejsce poza terenem szkolnym. Pyskalski potraktował narwanego szczeniaka, który najwyraźniej szukał guza, z pobłażaniem i ulgowo, poobijał go lekko i z umiarem. Ale Angus tym się nie zadowolił, uznał walkę za nierozstrzygniętą i zażądał dalszej. Przez kilkanaście dni, bili się codziennie na dużych przerwach, albo po lekcjach. Angus od lat szkolnych znał zasady boksu i osłaniał się dość skutecznie, ale sam mało zadawał ciosów, po prostu nie miał na to czasu, zaledwie zdązał się zasłonić. Przeciwnik był o wiele szybszy, a przy tym wykazał naprawdę dużo cierpliwości i dobrej woli. Angusa szczególnie to denerwowało. Uparcie domagał się następnej szansy, warunków, że np. tym razem walka ma być „do pierwszej krwi” (oczywiście z książek i w tym wypadku bez sensu), a więc Pyskalski mimo całej tolerancji, po prostu musiał puścić mu trochę krwi z nosa albo z rozciętej wargi. Agnus bardzo przeżywał tą sprawę, nie dosypiał i już od wczesnego świtu układał sobie, jaką dziś zastosuje taktykę, a ponieważ nie przynosiło to powodzenia, po południu wpadał w depresję.

Ostatnie walka odbyła się w dużej przerwie dnia 30 września. Tego dnia, przechodząc przez Rynek w drodze do szkoły, widział, że prowadzone są tam jakieś prace, ale dokładnie się nie przyglądał. Natomiast w drodze powrotnej, zobaczył zgromadzony tłum ludzki. Podeszedł bliżej i wtedy otworzył się wstrząsający widok. Na środku rynku, ustawione było rusztowanie, wielkie kozły i między nimi długie belki. Na tych belkach, wisały trzy rzędy trupów, po dziesięć w rzędzie. Makabryczny, a jednocześnie jakoś nierzeczywisty widok. Podobnie, jak przedtem w grudniu 1939, kiedy zwłoki zastrzelonego dziecka żydowskiego

wydawały się kupką porzuconych szmatek, tak teraz miał ciągle wrażenie, że widzi rozwieszane na wieszakach rzeczy, a nie zwłoki ludzi.

**Kapsuła: Terroryzm państwowy, odpowiedzialność zbiorowa nawet bez dowodu, egzekucja jako ostrzeżenie na wszelki wypadek**

Jakie były okoliczności tej tragedii? Otóż 11 września, na Romanowie, doszło do wybuchu gazociągu, przebiegającego razem z mostem kolejowym - właśnie tym, do którego dobrzy pływacy dopływali od zapory. Po wybuchu, gaz uchodzący a wielkiej rury zapalił się i ten jakby palnik, przypominający ogromnego Merckla, stopił i przepalił jedno z żelaznych przęseł mostu, zanim zorientowano się na linii przesyłowej i wyłączono kompresory. Okoliczności zdarzenia osnute były tajemnicą i właściwie nikt nic nie wiedział. W Ostrowcu mówiło się powszechnie, że to rosyjski samolot zrzucił w nocy bombę, która miała trafić w most i zapewne spowodowałyby tylko niewielkie uszkodzenia, ale przypadkiem doszło do zapalenia gazu i takiego właśnie zbiegu wydarzeń.

W rzeczywistości była to akcja Oddziału Dywersyjnego, wzmiankowanych uprzednio młodych ludzi z boiska siatkówki w lasku koło ulicy Traugutta. W czasie wojny, Zakłady Ostrowieckie produkowały na potrzeby Niemców, także sprzęt wojenny. Konieczne więc było prowadzenie sabotażu i akcji dywersyjnych. Między innymi dwa razy poważnie uszkodzono piece zakładu, dokładając do złomu stary pocisk. Już raz przedtem, przy niewielkim uszkodzeniu gazociągu, udało się prawie całkowicie zastopować produkcję. Tym razem, nowa akcja była bardzo starannie obmyślona, dobrze zaplanowana i precyzyjnie wykonana. Okazała się też skuteczna. Produkcja wielkiej fabryki, zatrudniającej ponad 10 tys. ludzi, została najpierw całkowicie zastopowana, a potem przez długi czas poważnie ograniczona. Upłynęło 6 tygodni, zanim doszło do normalnej produkcji Zakładów, gdyż oprócz dostawy gazu, zdeorganizowany został transport zarówno surowców, jak i wyrobów, a przewozy samochodowe absolutnie nie mogły podołać takiemu tonażowi.

Akcję starannie zamaskowano. Patrol Oddziału Dywersyjnego, zdetonował dwa niewypały autentycznych bomb rosyjskich, jedną właśnie przy gazociągu i drugą opodal w polu, tak jakby chybiła ona celu, zatroszczył się też o widoczne odłamki, które wyraźnie dawały się zidentyfikować, jako produkcji rosyjskiej. Trzyosobowa grupa (w skład której wchodził m. in. jeden z „asów” siatkówki wzmiankowanego zespołu), wykonała swoje zadanie równie starannie i precyzyjnie, jak przedtem zespół planujący. Niemcy w czasie prawie trzytygodniowego śledztwa, nie znaleźli żadnych konkretnych dowodów wskazujących na dywersję, wszystkie ślady były zgodne z legendą o bombie lotniczej.

Jednak właśnie to, że akcja była tak dotkliwa i skuteczna, powodując wielkie straty w produkcji zbrojeniowej, wywołało wściekłość Niemców i szczególnie bestialską reakcję. Jej bezpośrednim autorem był szef Ostrowieckiego gestapo, Peters, który nawet nie dysponując żadnymi konkretnymi dowodami, ocenił, że przyłot rosyjskiego samolotu zrzucenie bomb i cała reszta, wyjątkowy zbieg okoliczności, jest wprawdzie teoretycznie możliwy, ale mało prawdopodobny. Poza tym, gdyby tak było, to zapewne ktoś musiałby wybrać i wskazać cel oraz naprowadzić samolot. Dlatego też, nawet bez konkretnych dowodów, zdecydował się na nieludzki akt terroru, mający na celu zastraszenie ludności okupowanego obszaru, mordując pokazowo i w szczególnie okrutny sposób więźniów, którzy od dawna siedzieli w więzieniu i nie mogli mieć nic wspólnego ze sprawą. Peters stwierdził, że nawet jeżeli ten straszny pokaz nie ma związku, to i tak przyda się jako nauczka dla Polaków. Zaś więźniowie po ponad rocznym śledztwie już i tak nie przeżyli by długo, a do egzekucji się jeszcze nadawali.

Przeskakując czas, można od razu dodać, że Peters został zastrzelony z wyroku sądu podziemnego latem 1944, ale już od roku 1943 był namierzony i kontrolowany przez wywiad AK przy udziale jednej z bliskich obecnych ofiar, Lali Skowronkówny (wysiedlona, przeszła przez ten sam obóz co Angus, ale nieco później). Ta piękna i reprezentacyjna dziewczyna, przy tym doskonale znająca język niemiecki, właściwie poświęciła swoje życie i dobrą reputację dla zemsty, zostając kochanką Petersa. W tym czasie, mówiono o niej wiele nieprzychylnych słów, Agnus słyszał takie fatalne opinie o niej nawet z ust własnej matki. W zwykłej, codziennej rzeczywistości nie brak tematów sensacyjnych.

Oczywiście, te sprawy nie były znane aż do końca wojny. Wszyscy ludzie, byli nadal przekonani, że to rosyjski samolot zrzucił celną bombę i ta stała się przypadkowym powodem tragedii. A chociaż reakcja Niemców była nieludzka i przerażająca (i o taką ocenę właśnie im chodziło, w tym zakresie Peters osiągnął swój zamiar), to była wojna i trzydzieści żyć ludzkich nie jest zbyt wygórowaną ceną za tak poważne straty. Uderzenie było celne, Niemcy odczuli je boleśnie, skoro aż tak się wściekli.

Obecnie tłum zgromadzony dokoła powieszonych jakby zmarł, nie było żadnych komentarzy, tylko czasem szeptem wymieniano znajome nazwisko którejś z ofiar. Angus po dłuższej chwili, dostrzegł w drugim rzędzie sąsiada z ulicy Żeromskiego, pana Pacułę, aresztowanego w zimie 1940/41. Właściwie nie rozpoznał go, usłyszał szepty i wtedy dostrzegł całkiem niepodobny strzęp człowieka. Agnus widział dotąd tylko jednego wisielca, samobójcę ze strasznych dni 1940 r, kiedy wydawało się, że już wszystko stracone. W Ostrowcu nie było dotąd publicznych egzekucji, tylko co jakiś czas publikowane były listy zakładników i następnie listy rozstrzelanych oraz nowe listy zakładników. Także i później

taka egzekucja więcej się nie powtórzyła, miały miejsce publiczne egzekucje, lecz przez rozstrzelanie, pozostawiano na ulicy. Jednak ludzie rozstrzelani, to coś innego niż te rzędy wisielców, przypominających stare łachmany, zwłaszcza, gdy po długim więzieniu przestali być podobni do ludzi.

To może się wydać dziwne, ale w ciągu następnych dni w ogóle nie rozmawiano na ten temat, nie było żadnych komentarzy, ani wiadomości. Oczywiście z jednym wyjątkiem, we własnym domu, raczej późno, a i to po cichu. Również i w szkole, ani wzmianki, tak, jakby nic się nie zdarzyło. Nastrój był - właściwe słowo to - cmentarny. Niemcy udowodnili ponownie, że mogą dowolnie popełnić najgorszą podłość i nic nie można na to poradzić. Koniec Kapsuły.

Oczywiście, dalsze walki w szkole skończyły się, to był głupi pomysł, od samego początku. W takich dniach, kiedy trwała prawdziwa wojna, ludzie ginęli jak muchy, on zachował się i rozumował jak smarkacz. Po prostu wstyd...

Jedyną ucieczką od rzeczywistości znajdował w marzeniach o przyszłej walce z Niemcami. Ale z drugiej strony, jaką mógł mieć nadzieję, że zdoła dotrzeć do właściwych ludzi, a zwłaszcza przekonać ich do siebie? Jaką szansę miał taki gówniarz, że ktoś potraktuje go poważnie, uwierzy, że dla niego to sprawa sto razy ważniejsza od życia? Nie wystarczy chcieć. Ogarniała go rozpacz.

W tym ponurym nastroju właściwie przestał interesować się wszystkim. Zresztą, nie wyróżniał się specjalnie od otoczenia, bo przygnębieni byli także inni, dookoła. Właściwie Angus, już znacznie wcześniej, niż mieszkańcy Ostrowca zetknął się z tego rodzaju działaniami niemieckimi i nie miał żadnych złudzeń, od początku spodziewał się tylko najgorszego, więc najszybciej się z tym pogodził.

Jednocześnie spadły na niego osobiście niepowodzenia. W połowie października, odbyła się w szkole pierwsza wywiadówka, ponieważ ojca nie było, poszła na nią matka i wróciła bardzo zdenerwowana. Same złe stopnie, w każdym razie z przedmiotów zawodowych i jeszcze gorzej, z części Angus nie był klasyfikowany, bo nie było z czego, poziom zerowy. Angus nie zaczął niczego uzupełniać, z pierwszego roku nauki, tym samym nie mógł normalnie uczyć się obecnie. Padło w ogóle twierdzenie, że przyjmowanie ucznia od razu na drugi rok od początku było błędem. Właściwie i rodzice i sam Agnus też tak uważali, to nie był ich pomysł, ale teraz oczywiście nie można było wracać do I klasy, to byłaby obelga połączona z obrazą, kompletna degradacja.

Miał tylko dwa stopnie dobre, z arytmetyki handlowej i polskiego, to raczej oczywiste - a przy tym wszystkim jak rodzynek, jeden jedyny stopień bardzo dobry, z religii. To

zdumiało Angusa, tym bardziej, że ksiądz nie dawał wszystkim standardowo stopnia bardzo dobrego, ale raczej dobrego. Poza tym, ksiądz specjalnie chciał rozmawiać z matką, starał się ją uspokoić i wyraźnie, energicznie bronił Angusa także wobec innych członków grona. Agnus nie widział żadnych powodów takiego postępowania, ani razu nie zabierał głosu na lekcji religii, owszem, w przeszłości był bardzo religijny, ale teraz wchodził właśnie w okres krytyczny, a już na pewno nie był znawcą przedmiotu. O powodach dowiedział się dopiero po latach. Otóż ksiądz Ruciński, był uprzednio prefektem gimnazjum, nadal utrzymywał łączność z wieloma wychowankami. Dla wielu członków Oddziału Dywersyjnego, był właściwie, choć nieformalnie, kapelanem, dla innych, starszych, kolegą, bo on też wyszedł z tego gimnazjum. Wprawdzie nie grywał sam w siatkówkę i nie bywał na boisku koło ul Traugutta, ale bardzo angażował się we wszystko, co dotyczyło dawnego środowiska gimnazjalnego i życia Oddziału. Angus wyobrażał sobie, że błądzi po ciemku szukając dojścia i nie może trafić do organizacji, tymczasem w rzeczywistości nie tylko go dostrzeżono, ale w ogóle był przezroczysty jak szkło.

Dlatego tolerowano go na boisku, gdzie widywał i poznał wielu członków Oddziału, a jego pragnienia i przekonania były doskonale znane, wiedzano o nim wszystko. Także i to, że uzyskał, ucząc się, opinię cudownego dziecka, (wprawdzie niesłusznie), a prócz jego pierwszego guru i Prof. Mazzurowicza tą opinię powtarzał także jego kolega, Stach Konar. Ten ostatni, sam też jeden z młodszych członków Oddziału, potwierdził już poprzednio istniejące zdanie, że przy tym wszystkim Angus jest jeszcze niedojrzały, może nawet dziecinny i do organizacji się na razie nie nadaje, z nadgorliwością mógłby sprawić kłopoty.

Życie składa się głównie z pomyłek, to prawdziwa ironia losu. Angus miał pecha, poznał przedtem zupełnie innego księdza, mówiąc językiem Biblii prawdziwego faryzeusza. Teraz był już w wieku, gdy wielu buntuje się i odchodzi od religii, a właśnie spotkał wspaniałego człowieka, jednak nie dostrzegł, lub raczej nie chciał dostrzec przyjaźnie wyciągniętej ręki. Ksiądz Ruciński nie znał go dotąd osobiście, jedynie ze słyszenia i od początku, a także i później zachowywał się przyjaźnie, może chciał otoczyć opieką. Lecz Angus trzymał się zdecydowanie z daleka. Gdyby miał choć trochę intuicji, znajomości ludzi, mogło być inaczej. To nie był człowiek potępiający surowo innych, a łatwo usprawiedliwiający siebie, dostrzegający źdźbło w oku bliźniego a nie widzący belki w swoim. To był człowiek szlachetny i pełen poświęcenia, może i miał też ludzkie wady, ale siebie stawiał na ostatnim miejscu, więc nie wiele było miejsca i czasu na te wady. Jednak Angus właśnie wszedł w okres zwątpienia i buntu. W dodatku i w klasie, nastrój był

zdecydowanie antyklerykalny i to jeszcze bardziej wzmocniło jego własne nastawienie (choć młodzież raczej była nadal religijna, z nielicznymi wyjątkami).

Mimo tego, że interwencja księdza zmieniła trochę atmosferę na wywiadówce i uspokoiła matkę, uznała ona sytuację za na tyle poważną, że należy omówić ją z ojcem. Angus usiłował ją przekonać, żeby tego nie robiła, on sam sobie poradzi. Jednak matka została przy swoim i ta trudna rozmowa się odbyła. Obawy były uzasadnione, ojciec rozmawiał z nim tak surowo, jak nigdy dotąd. - To nie ma żadnego znaczenia, co sądzisz o szkole, ani że traktujesz ją tylko jako przypadkową konieczność. Jeżeli tylko damy radę, to będziesz znów kształcił się ogólnie. Wiesz, że robiliśmy i zrobimy wszystko, żeby ci to umożliwić. Ale zapamiętaj sobie, że człowiek po prostu nie ma prawa rozpocząć czegoś i potem nie dopełnić swoich obowiązków. Poza tym, każda możliwość nauki, choćbyś nawet tego nie dostrzegł i nie docenił, przyda ci się kiedyś, wierz mojemu doświadczeniu. Nie należy z niczego rezygnować. W tym wypadku, zawiodłeś boleśnie matkę, która wierzyła, że jesteś mądrym chłopcem, nadużyłeś jej zaufania i mojego. Teraz weźmiesz się do pracy i nadrobisz wszystko, zaczynasz zaraz jak tylko ułożymy szczegółowy plan. Zachowałeś się jak smarkacz i nie wolno tego powtórzyć. - To w dużym skrócie.

Ponieważ Angusowi najgorsza wydała się stenografia, a miał już książkę, właściwie broszurę, o jej podstawach, rozpoczęto od tego. Też niedzieli nauczył się zasad i odtąd codziennie miał pisać duże dyktando, a potem je odczytać. Właściwie, zasady okazały się proste i logiczne: zapis całych sylab w ten sposób, że pisało się tylko spółgłoski, a samogłoski zaznaczało przez pogrubienie, wydłużenie lub podwyższenie znaku, kształt spółgłosek zmodyfikowany tak, żeby były przystosowane do szybkiego zapisu, uproszczone i bardziej wygodne. To właściwie wszystko, a na dodatek można było wprowadzać własne skróty częściej powtarzających się słów, a nawet całych zwrotów, tworzyć własny prywatny system, z jednym tylko warunkiem: Trzeba było następnie umieć to odczytać. Właściwie nic trudnego, trzeba tylko trochę pracy i nabrać wprawy.

Ale w wypadku Angusa, trzeba uwzględnić jeszcze jedno: otóż zawsze strasznie gryzmolił, właściwie nie miał nie tylko wyrobionego, ale w ogóle żadnego charakteru pisma, nawet kiepskiego, czy tzw. charakterystycznego. Zdarzało się, że miał kłopot z odczytaniem nawet normalnych zapisków, co tu mówić o stenografii. Bardzo na miejscu okazał się tu jeszcze inny przedmiot, reklama, oraz w skład jej wchodząca, nauka różnych stylizowanych rodzajów pisma, od prostego druku do pisma neonowego i także innych alfabetów. W sumie dużo mechanicznego kopiowania i ćwiczeń ręki, do czego Agnus odnosił się bardzo niechętnie i ustąpił dopiero pod przymusem ojca, ale faktycznie pozwoliło to zracjonalizować

przy okazji własne pismo, a także wyrobić sobie całkiem ładne pismo gotyckie, bardzo twarde i przesadnie kanciaste, jak wyryte w metalu (właśnie zaczynając całkiem od początku, Agnus wyrobił sobie dużo lepszy gotyk od używanego od lat, pisma łacińskiego). Jednak jak większość innych rzeczy, była to nauka dla szkoły i te wysiłki nie przyniosły mu żadnego dalszego pożytku po prostu dlatego, że ich nie kontynuował. Szkoda, bo np. stenografia naprawdę mogła się w życiu przydać, a już po miesiącu ćwiczeń, Angus faktycznie należał do najszybciej piszących, z łatwością nadążał za przeciętnie szybkim dyktandem i nie miał większych trudności z odczytaniem, niż inni uczniowie. Z drugiej strony, stenografia miała jednak, wydaje się, podstawową wadę: nie można jednym spojrzeniem ogarnąć tekstu. Jednym słowem, szybkie pisanie tak, ale co z szybkim czytaniem? A przecież ta umiejętność była dużo ważniejsza, przynajmniej dla Angusa, bo to ona decyduje o ilości dopływających informacji. Czytając masowo od lat, Angus przyswoił sobie zupełnie instynktownie taką technikę bez specjalnych ćwiczeń i szkolenia, zanim w ogóle dowiedział się kiedyś, że są ludzie którzy specjalnie uczą się całościowego ogarniania całego wiersza, lub nawet kilku linijek tekstu jednym spojrzeniem. Dla niego było to naturalne, ale przy stenografii jednak się nie udawało, do tej chwili nie jest pewne, czy taki efekt w przypadku stenografii daje się osiągnąć. Może gdyby istniał druk stenograficzny i książki? Bo jednak powszechna racjonalizacja pisma, łącznie z alfabetem, mogłaby okazać się pożyteczna.

Co do innych przedmiotów zawodowych, nie było do nich żadnych podręczników i dlatego, Angus musiał pożyczać zeszyty z poprzedniej klasy. Wynikało z tego, że trzeba postarać się o zeszyty dobrze i starannie prowadzone, z reguły najlepszych uczniów. Niespodziewanie przy tej okazji sam przez się rozwiązał się dręczący go dotąd problem, nawiązania kontaktów z nowymi kolegami. Zwracając się o pomoc, pożyczając zeszyty i czasem, prosząc przy tej okazji o dodatkowe informacje w wypadkach, gdy notatki były skrócone, niejako na marginesie poznał pierwszych kolegów.

Pierwszym uczniem w klasie był bez kwestii Tadek Grabiowski, on też miał absolutnie perfekcyjne zeszyty, w ogóle był perfekcjonistą, a przy tym wybitnie inteligentny. Niestety, mieszkał zbyt daleko, żeby utrzymać bliższą znajomość, a w dodatku stale zajęty, miał mało czasu i ściśle go planował. Tym nie mniej, można było sobie z nim ciekawie pogadać, zwłaszcza z początku. Ze zdumieniem, Angus zauważył u niego te same schematy i sposób myślenia, które przedtem słyszał od Moranowskiego, gdyby nie to, nie rozpoznałby tak szybko sedna sprawy. Tak, Grabiowski był komunistą z przekonań i wcale tego nie krył, przynajmniej od chwili, gdy stwierdził że Agnus wie, o czym on mówi. Może przypuszczał, że trafił na pokrewną duszę? Jeżeli tak, to wkrótce wszystko się wyjaśniło, gdy rozpoczął się



spór, zawzięty, ale na poziomie intelektualnej dyskusji. Agnus nie zmienił przekonań, nadal były prawicowo-narodowe, chociaż obecnie z dużą szczyptą liberalizmu, wolności intelektualnej i bez zabarwienia religijnego, raczej przeciwnie, dużo krytycyzmu. Najśmieszniejsze, że Tadek z pewną wyższością ocenił, iż Agnus nie jest jeszcze na tym etapie, wszyscy młodzi chłopcy, nawet i on sam zaczynają od takich przekonań, a potem je zmieniają, gdy zaczną myśleć bardziej samodzielnie. Było jeszcze coś dziwnego, z początku Agnus uważał to za wewnętrzną sprzeczność nie do pogodzenia. Otóż Grabiowski, zamiast Marksa studiował pisma Piłsudskiego, miał ich cały komplet i naprawdę znał na wyrywki, mógłby je recytować z pamięci jak Agnus wiersze. Zafascynowany był osobą Piłsudskiego, zwłaszcza pierwszym okresem jego działalności. Angus odniósł wrażenie, że tak naprawdę traktuje komunizm jako środek umożliwiający mobilizację mas, podobnie jak Piłsudski socjalizm i że ma ułożony plan postępowania i szczegółowo wytkniętą drogę, a na jej końcu przewiduje modyfikację komunizmu. Przypominał w tym Moranowskiego. Podobnie jak Moranowski, rozpoczął od szybkiej kariery, ale potem już we wczesnym etapie został wycięty i wyrzucony na śmietnik.

Jest zapomnianym faktem, że ekstremalne idee, w dodatku po różnych stronach, znajdowały zwolenników wśród ludzi nietuzinkowych i często nieprzeciętnych, myślących w samodzielny sposób. Trudno w to wprost uwierzyć, gdy później widziało się te masy tępych przygłupów, tłoczących się przy korycie i posłusznie powtarzających każde najgłupsze hasło, jeżeli miało aprobatę Biura Politycznego. To było jak zaraźliwa choroba umysłowa, a objawy samodzielnego myślenia były śledzone i surowo tępione. Największy głupiec, lecz obdarzony niezwykłym talentem szerzenia wokół siebie śmierci, wydawał przepisy, jak należy myśleć. Zdumiewające, jak to możliwe, że taki system mógł przyciągać nieliczne wprawdzie, ale bardzo wybitne jednostki. Lecieli jak ćmy do ognia w stronę, gdzie w żadnym wypadku nie mogli oczekiwać spełnienia swoich celów, gdyż była ona przeciwieństwem myśli lub inteligencji, te cech były zakazane, a każda próba swobodnej wymiany myśli ścigana jak przestępstwo. Może mieli złudną nadzieję, że dzięki własnej przewadze intelektualnej dadzą sobie radę i zdołają zmienić system, albo doczekać aż sam się zmieni. Jeżeli tak, to nie docenili przeciwnika, nie zdali sobie sprawy, że takich prób było już wiele i w związku z tym komunistyczny ustrój wytworzył specjalne programy i metody postępowania, powalające na wyszukanie i pozbycie się inteligentnych indywidualistów. Coś, jak specjalne opracowania z dziedziny tępienia chwastów. Objawy inteligencji były wysoce podejrzane, a ujawnienie ich natychmiast uruchamiało mechanizm eliminacji, dopiero po śmierci Stalina ta maszyna zaczęła się zacinać.

W przyszłości, Agnus poznał jeszcze jednego komunistę, ale ten nie był tytanem myśli, chociaż też miał własne zdanie i to samodzielne. Stach Stanek, miał niewyczerpane zasoby energii i wyszedł z autentycznego środowiska robotniczego. Młody, tylko o rok starszy od Angusa, wysoki i szczupły rudzielec, trenował przed wojną boks od dziecka i lubił się bić, także z Agnusem (raczej dla zabawy), ale była zbyt duża różnica wagi i także sił, jednak wakacje na Romanowie bardzo się przydały. Jego ulubione powiedzenie brzmiało, - Rozumiem, tylko pojąć nie mogę - i zapewne dlatego nigdy długo się nie namyślał, działał szybko i na gorąco, już w szkole mówiono na niego czasem „Gorący”. Miał szczęście nie doczekać panowania komunistów, zginął wcześniej w komunistycznej partyzantce, inaczej z całą pewnością też padłby ofiarą pierwszych czystek, przy jego usposobieniu na pewno by nie zdołał przeżyć.

Dwie osoby na klasę, to około 5% i tak więcej niż przeciętna krajowa. Komuniści mieli mało zwolenników w Polsce. Natomiast niezwykle było, to że uczniowie i inni ludzie wtedy, w warunkach okupacji, nie ukrywali swoich przekonań, rozmawiali o nich swobodnie, a nawet niefrasobliwie. Oczywiście, obowiązywała tajemnica organizacyjna, członkowie konspiracji dochowywali jej święcie, najlepszy dowód jaki trudności napotykał Angus chcąc wstąpić do tajnej organizacji. Ale nikomu nie przychodziło nawet do głowy, żeby nie przyznawać się do swoich przekonań, orientacji politycznej, a już zwłaszcza w rozmowach między Polakami ukrywać swoje zdanie. Każdy je wyrażał, znajomi wiedzieli o sobie, że ten był endekiem, a tamten ludowcem lub socjalistą. Dopiero w kilka lat po wojnie przykręcono śrubę i normalni ludzie zaczęli bać się mówić o swoich poglądach. Jeszcze w roku 1948, w trzy lata po wojnie, Angus przypadkowo znalazł się w pobliżu transportu tzw. repatriantów. Wracający do kraju wychodzili, obserwowani przez tłum ludzi i nagle z tego tłumu ktoś głośno krzyknął „Gdzie i po co wracacie, głupi? Czyście rozum stracili?” A na to któryś z transportu odpowiedział, „Ech, jeżeli można tak głośno krzyżeć, to znaczy że jeszcze wszystko po staremu, w porządku”. Jeszcze było można, ale już niedługo. W rok, a na pewno w dwa później nikt by się nie odważył. Wtedy już ryzykowało się życie po to, żeby z Polski uciec.

Przy następnym koledze, Alfredzie Pukalskim, natrafił Angus na pokrewną duszę. Fred też miał dobre zeszyty, a przy tym mieszkał dość blisko, przy ul. Pierackiego i był nie tylko inteligentny, ale i bardzo czytany. Co więcej, jego ostatnia pasją były również książki z Biblioteki Wiedzy TEM i polował na nie w tych samych księgarniach, co i Angus. Zaczął później i nie miał tych książek, które z początku upolował Angus, ale za to kupował inne, których Agnus już nie miał za co nabyć. Tym lepiej, bo obaj byli szczęśliwi, mogąc je

wymieniać. Jeżeli nawet Fred nie miał wyrobionego, całościowego poglądu na najnowszą fizykę, jaki Agnus zyskał dzięki dyskusjom i czasem zażartym sporom z Moranowskim, to jednak pamiętał mnóstwo szczegółów i sypał tymi sensacyjno-naukowymi jak z rękawa, na przykład w każdej chwili mógł określić rozmiary elektronu lub protonu w wypadku, gdyby jądro danego atomu miało, na przykład rozmiary boiska sportowego, czy można by go wtedy porównać do jabłka, czy do śliwki lub ziarnka maku, lub dużej dyni. Kiedy oprócz interesujących rozmów, okazało się jeszcze że obaj lubią grać w szachy i są na zbliżonym poziomie, był to już niezły fundament koleżeństwa.

Pierwszy dobry kolega miał z kolei swoich dobrych kolegów. Julek Żuk i Maciek Kwietniewski mieszkali przy ul. Pierackiego, też niezbyt daleko. Władek Winowski mieszkał przy ul. Sienkiewicza (to jest szosie Starachowickiej), poniżej miejsca zbiegu z ul. Pierackiego, tam, gdzie obniżala się ona przed zakrętem w lewo. Władek, duży i poważny okularnik, też starannie prowadził zeszyty, a ponadto podobnie jak Angus, miał troskliwą i nadopiekuńczą matkę, być może dlatego, że był jedynym synem wdowy. Jego bliski przyjaciel i kuzyn, Marcin Buski, grał świetnie na fortepianie, w tym na życzenie melodie patriotyczne i wiele przedwojennych marszów wojskowych, jak Marsz Lotników, Wizję Szyldwacha, także Madelon, Tipperary itp. Obaj kuzyni byli spokojni i zrównoważeni, a ponadto przeniknięci duchem chrześcijańskim i religijnym najsilniej ze wszystkich spotkanych dotąd przez Angusa ludzi. Poglądy mieli prawicowe, tradycyjne, tzn. w stylu starej endecji, bez domieszek radykalnych. Widoczny silny patriotyzm Władka i zamiłowania do tradycji nasunęło Angusowi przypuszczenie, że może natknął się na kogoś, kto wskaże mu kontakt do upragnionej działalności niepodległościowej i spróbował szczerzej rozmowy. Niestety, Władek dał matce słowo, że nie weźmie udziału w konspiracji ani w czynnej walce aż do czasu, aż wszyscy pójdą, tzn. do powszechnego powstania, którego wszyscy Polacy oczekiwali. Taki układ między rodzicami i dziećmi zdarzały się i Angus słyszał o nich także w innych wypadkach, na przykład dwaj jego koledzy, Andrzej Szulc i Zdzisiek Domański też, po długich nocnych rozmowach, złożyli rodzicom podobne obietnice, a jeszcze później Julek Żuk, po bohaterskiej śmierci starszego brata w jednej z akcji Oddziału Dywersyjnego, został zmuszony przez ojca do takiego przyrzeczenia.

Wielką niewiadomą stanowiły koleżanki. Dla Angusa szczególnie trudny problem, nigdy nie znał klas koedukacyjnych, nie potrafił się przystosować i z początku po szczeniacku wygłupił, co popsulo na długo sprawę. A trzeba przyznać, że niektóre dziewczyny były śliczne jak marzenie. Trzy, po prostu samo piękno: Basia Przewierska, fantastycznie zbudowana, tryskająca świeżością i zdrowiem, z jasnymi warkoczami i trochę naiwną buzią,

żywiolowa i impulsywna jak iskra; Tola Warcińska niezwykle delikatna, wypielegnowana i przesadnie dbająca o siebie i swój strój, ciągle poprawiała różne drobne szczegóły, przyglądała włosy, jedwabiste i ujęte w węzeł, dotykała cienką skórę, przez którą przeświecały drobne żyłki, wprost ciągnęło, żeby jej w tym pomóc; no i niepokojąca i tajemnicza Halina Kalinin, może odrobinę pulchna ale w ogromnie apetyczny sposób, wyjątkowo małowówna i trzymająca się na dystans i także otoczona pustką, jakby wokół nikogo nie było - krążyły plotki, że jest daleka krewną dostojnika sowieckiego i znajduje się pod inwigilacją, a z nieznanых powodów także i protekcją jakiegoś dostojnika niemieckiego, może dostrzegł on przyszłą kartą przetargową.

To prawdziwe piękności, ale w klasie było tylko kilka przeciętnych dziewczyn, zdecydowana większość ładnych albo bardzo ładnych. Jednak Angus był już zaangażowany gdzie indziej i bez reszty, nawet gdyby zwracały na niego uwagę, oddałby je wszystkie za samą możliwość jednego spojrzenia, choćby z dala na swą wielką miłość. Nie było mowy, żeby angażował się gdzie indziej, a także nigdy by sobie tego nie darował.

Ale dziwna rzecz, trudno jest zrozumieć manowce własnego umysłu: chociaż całą duszą i ciałem kochał panią Piesewicz, coraz bardziej stawiał ją na ołtarzu i czcił jak świętość - i tym bardziej nie ośmielał sobie nigdy pomyśleć o niej w sposób fizyczny, wyobrazić jako przedmiotu pożądania. Dlatego ile razy nachodziły go grzeszne myśli, starał się wyobrazić sobie inną dziewczynę. Paradoksalne. Być może działa się to na podobnej zasadzie, jak w znanych wypadkach, kiedy wielcy romantyczni kochankowie wprost ginęli z idealnej miłości, ale w przerwach co jakiś czas odwiedzali domy publiczne. Jest faktem, że w koedukacyjnej klasie w połowie zapełnionej młodymi dziewczynami, było na czym oko zawiesić i Agnus często, łączywie i z dużą pożądlivością łytał na dziewczyny, a zwłaszcza te najładniejsze. Jednak dalej się nie posuwał, zwłaszcza że te najładniejsze były mocno obstawione, więc i tak nie miały żadnych szans. A trochę też dlatego, że co innego zdrożne myśli - każdy je miewa - a co innego prawdziwa zdrada swojego pierwszego uczucia.

\* \* \*

Od pewnego czasu Angus mniej pilnie obserwował wiadomości z frontów. Narazie Niemcy znowu odnosili sukcesy, ich przestrzeń życiowa się rozdymała, ale te sukcesy nie były tak oszałamiające, jak przed rokiem. Rosja wytrzyma jakoś do zimy, a wtedy karta się odwróci jak poprzednio. Hitler niczego się nie nauczył i znowu, jak rok temu pod Moskwą, decydujące uderzenie na południu rozpoczął bardzo późno, w końcu października. Poza tym gdyby przeciął tętnicę transportową, Wołgę, to mogłoby mieć znaczenie, ale zdobywanie miasta to czysta głupota, uparcie bronione miasto nie da się szybko zająć. Bardziej

niepokojąca wydawała się sytuacja w Afryce, gdzie ciągle przesuwanie wagonów po wyimaginowanym torze, doprowadziło Rommla za głęboko na terytorium Egiptu, Tobruk tym razem się nie obronił i wyglądało na to, że Niemcy mogą dojść do Kanału Suezkiego. Niestety, duża część świata arabskiego sprzyjała Niemcom, którzy nawet tworzyli już oddziały arabskiego SS. Anglicy mieli duże kłopoty z Wielkim Muftim Jerozolimy, i dalej, nawet aż nad Eufratem i Tygrysem. Gdyby teraz ogromne kleszcze niemieckie między Nilem i Kaukazem jeszcze mocniej się zacisnęły, to może nawet Turcja, dotąd bardzo ostrożnie stawiająca raczej na aliantów, mogłaby zostać zmuszona do zmiany stanowiska, a wtedy sytuacja na Bliskim Wschodzie stałaby się rozpacзлиwa. Jednak to Anglicy przeszli do kontrofensywy i na początku listopada wygrali bitwę pod El Almain. Wyglądało to z początku na kolejne manewrowanie pociągu, który już kilka razy przesuwał się przez Libię. Ale 7 listopada rozpoczęła się operacja Torch, ogromna flota amerykańsko-angielska zbliżyła się do zachodnich wybrzeży Afryki, desant wojsk zajął Maroko i Algier i to był niewątpliwie wielki zwrot we wojnie. Mniejsza o to, że sytuacja Korpusu Rommla stała się teraz beznadziejna, bo ostatecznie te siły nie były tak wielkie, chociaż elitarne. Ale co najważniejsze, oznaczało to że krytyczna sytuacja na Atlantyku została opanowana, niemieckie łodzie podwodne nie były już tak groźne jak na początku roku i także w powietrzu Niemcy utracili trwale przewagę, inaczej taka wielka operacja nie mogłaby się udać. Ameryka wreszcie wysłała swoje wojska blisko. Wkrótce trafią i do Europy, w tym była największa nadzieja. Jednak Niemcy zajęli francuską Tunezję i 19 listopada zaskoczyli amerykańskie wojska, nadciągające z zachodu. Gazety pełne były szczegółów, jak ciężkie straty ponosili Amerykanie i jaką niespodziankę stanowiła dla nich ofensywa niemiecka. Cóż, Ameryka nie miała dotąd stałej armii, oprócz zawodowej liczącej sto tys. ludzi. Dopiero się pośpiesznie mobilizowała. Większość, to byli przeszkoleni rekruci, a mieli do czynienia z doświadczonymi żołnierzami frontowymi, to też zostali w pierwszych starciach mocno poturbowani. Niemcy twierdzili również, że brytyjska 8 armia, zatrzymana na linii Mareth, wcale nie śpieszyła się z pomocą, ale faktycznie to jednak zaangażowanie wojsk osi przez 8 armię zapobiegło całkowitemu rozbiciu czoła wojsk amerykańskich.

W listopadzie, rodzice Angusa otrzymali niespodziewaną, korzystną ofertę od dawnej klientki, której sprzedawali kiedyś wódkę z koncesji, pani Różanieckiej. Przez lata prowadziła ona mający największe powodzenie po tej stronie Ostrowca lokal, przy szosie starachowickiej, naprzeciw wylotu ul. Piaski. Teraz, dla nieznanych powodów musiała natychmiast zmienić adres, żartem wyjaśniła, że lekarz nakazał jej pilną zmianę klimatu. Chciała wszystko sprzedać i zgadzała się na umiarkowaną cenę, byle zaraz. Rodzice nadal nie

mieli pieniędzy, wprawdzie ojciec ostatnio trochę zarobił, ale to starczało tylko na zaliczkę i chcieli dwa tygodnie czasu - o tym nie mogło być mowy, stało na tym, że najwyżej tydzień, albo sprzeda komu innemu. Ostatecznie Matka pojechała do brata do Warszawy i ten jakoś wystarał się o krótkoterminową pożyczkę, ten interes wyglądał na złote jabłko, które można kupić za pół darmo.

\* \* \*

Połowa grudnia 1942, kilkanaście minut przed siódmą rano. Angus wyciągniętym krokiem, obchodził jak najdalej po przeciwnej stronie szosy, dwie kamieniczki, ceglana i otynkowana, położone kilkaset metrów za budynkiem gimnazjum, też zajmowanego przez Niemców. Wychodząc z ul Piaski, przeszedł obok ul Traugutta i Żeromskiego, potem między gmachem gimnazjum i położonej naprzeciw szkoły. Teraz mijał siedzibę Gestapo i za każdym razem czuł fizycznie skoncentrowaną nienawiść, niestety bezsilną, oraz wstręt i obrzydzenie. Zaszkodzić im nie mógł, więc chociaż koncentrował się cały na wysłaniu w myśli najgorszych życzeń, szkodzeniu siłą woli. Jak dziecko, wyobraził sobie przez chwilę, że znajduje gdzieś diabła i podpisuje kontrakt na swoją duszę, a potem szatańska moc wypala to miejsce do ziemi i zasypuje piaskiem ze solą, albo zalewa wodą. Niestety, było to wysypisko zła i brudu z samego piekła i bardzo wątpliwe, czy diabli zechcieliby zrobić tak marny interes.

Było bardzo zimno, znacznie ponad dwadzieścia stopni mrozu, ale te uczucie było tak gorące, że kiedy dalej schodził po opadającym w dół nasypie szosy, miał wilgotne czoło i intensywnie łapał powietrze, a po chwili poczuł zmęczenie i w końcu ulgę. Potem szosa skręcała w lewo, okrążając zbudowany na wzgórzu kościół. ale Angus, po cięciwie łuku, szedł prosto dalej wąską uliczką aż do Rynku. Po drugiej stronie Rynku, trzy żelazne słupki zakończone kulami uniemożliwiały przejazd, pozostawiając tylko przejście piesze stromo opadające do szerokiej głównej ulicy, dalszego ciągu szosy, która ominąwszy wielkim łukiem gęsto zabudowany teren oraz wzgórze kościelne, biegła dalej w pierwotnym kierunku przez miasto. To piesze przejście ogrodzone było drutem kolczastym do którego nie wolno było się zbliżać. Zwłaszcza z prawej strony, gdzie po drugiej stronie między drutami a niewysokimi domkami getta, znajdował się około metrowy odstęp, gdzie nikomu oprócz straży nie było wolno się znaleźć. Duże napisy na tablicach przypominały, że straż ma rozkaz strzelać bez ostrzeżenia do każdego, kto zbliży się do drutów, a nawet tylko zatrzyma się w przejściu. Ale domki i także odstęp między nimi a ogrodzeniem wyglądały pusto, ani strażników, ani żywego ducha. żadnego ruchu, wszędzie ciemno i głucho. Jedynie środkiem uliczki śpieszyli nieliczni przechodnie, w tym i Angus, nie zatrzymując się.

Przez cały czas szedł bardzo szybko i mimo dużego mrozu był zgrzany, tylko ręce miał zimne, zwłaszcza tą, w której, kolejno, niósł teczkę z zeszytami i przyborami szkolnymi. Z uporem, przez całą zimę nie wkładał rękawiczek, a właściwie, nie chcąc kłócić się z matką, nakładał przy wyjściu z domu i zaraz po wyjściu zdejmował i chował koło progu. Teraz jedną rękę miał ściśniętą w pięść i schowaną w kieszeni i ta się stopniowo rozgrzewała, natomiast druga trzymająca teczkę coraz bardziej marzła, kiedy już prawie tracił w niej czucie, zamieniał ręce. przekładał teczkę do pierwszej, a skostniałą wsuwał do kieszeni. Nie nosił także nigdy szalika, tylko nauszники od czapki narciarskiej jednak opuszczał, bo nie chciał stracić uszu, a przy podniesionych nausznicach odmroziłby je na pewno. Pędził tak przez szeroką aleję aż do mostu na Kamiennej, obecnie tutaj była połowa drogi, bo Handlówka przeniosła się i teraz miał do niej dalej o co najmniej półtora kilometra. Dawniej minąwszy bramę Zakładów skręcał w szosę Opatowską i już widać było drewniane budynki Zawodówki, ale aktualnie nie skręcał tu, lecz jeszcze spory kawał szedł prosto. Szkoła Handlowa zajmowała obecnie większą część piętrowego, murowanego budynku, a jego klasa mieściła się na pierwszym piętrze. Tam było ciepło, to znaczy ciepło było, kiedy spocony wpadał z dworu do środka, ale potem nie było już tak ciepło, czasami w klasie siedzieli w płaszczach.

Miejsce Angusa znajdowało się w połowie prawego rzędu stolików, drzwi wejściowe miał z prawej strony i ze dwa metry z przodu. Zmęczony forsownym marszem, opadał na krzeselko i oparty łokciami, zwiślał na stoliku. Jako sąsiada miał sympatycznego i cichego Zdziśka Domańskiego, nigdy żadnych nieporozumień i dobra przyjaźń. Niestety, chłopak był trochę wątłego zdrowia i mieszkał blisko szkoły, ale daleko od Angusa, więc ta przyjaźń nie miała warunków rozwinąć się w trwałe koleżeństwo. Charakterystyczne, że chłopiec ten, nie należący sam do konspiracji, ale bliski krewny jednego z oficerów Komendy Obwodu, a przy tym dobrze zorientowany w sentymentach i marzeniach Angusa, nigdy nie puścił nawet pary na ten temat. Zresztą to całkiem naturalne, tak samo było i w wypadku innych kolegów, na przykład dwaj bracia Maćka Kwiecieńskiego też „należeli”, najstarszy był nawet oficerem Komendy Głównej AK w Warszawie, drugi prostym żołnierzem, a brat Julka Żuka, dopóki nie zginął, był członkiem wspomnianego Oddziału Dywersyjnego, ale nabrali wody w usta, Agnus dowiedział się o tym dopiero później. Także i Agnus, gdy w przyszłości miał wreszcie jakąś tajemnicę do strzeżenia, przestrzegał jej nawet w stosunku do rodziców.

Tak więc nadzieje Angusa, że nawiązując nowe znajomości zdoła łatwiej dotrzeć do jakiejś tajnej organizacji, nie dawały rezultatu. Tym niemniej, nawiązał więzy koleżeństwa i przyjaźni, zyskał kilku dobrych kolegów i przystosował się do życia w grupie. Niewątpliwie,

dotychczasowa długa samotność nie była czymś normalnym, młody człowiek powinien wchodzić w życie w grupie rówieśników, inaczej nieuchronnie dziwaczeje.

Natomiast co do głównego celu życiowego, Angus postanowił czas spędzony w szkole spożytkować na lepsze przygotowanie się, a więc dalsze ćwiczenia fizyczne. Dlatego długą drogę do szkoły i z powrotem, dobre 9 km, traktował właśnie jako takie ćwiczenie. Dlatego starał się chodzić maksymalnie szybko i forsownie, nawet jeżeli miał czas. Zwykle wychodził półtorej godziny przed rozpoczęciem lekcji i stopniowo przychodził coraz wcześniej, był jednym z pierwszych w klasie, po czym kilka minut siedział i zipał. Czasem, gdy wyszedł z domu spóźniony, udawało mu się przebyć całą drogę w godzinę i kwadrans i jeszcze zdążyć. Wracał zwykle wolniej dlatego, że przeważnie szedł razem z kolegami (bywało, że i do szkoły spotkał któregoś z kolegów), ale to dotyczyło części trasy, a potem znowu przyśpieszał.

Rezygnacja z rękawiczek i szala wynikała też z tego programu dostosowawczego. Zaczęło się od tego, że usłyszał o kimś, kto marnie zginął wpadłszy niespodziewanie na niemiecki posterunek kontrolny, tylko dlatego, że miał na rękach rękawiczki. Szedł z bronią, ale nie miał szans na jej szybkie wydobycie. Zapewne i żołnierz podczas mrozu, ma małą szansę, jeżeli w krytycznej chwili musi dopiero zdejmować rękawiczki, aby chwycić za broń. Krótko mówiąc, Angus wymyślił sobie, że aby przygotować się na przyszłość, powinien wyrobić sobie odporność, przystosować ręce do mrozu. Bardzo często, gdy już wszedł do szkoły i rozgrzewał ręce, a zwłaszcza gdy robił to w domu szybkościową metodą, w miednicy z gorącą wodą, ból był piekielny, palce robiły się twarde, czerwone i gorące, a poruszanie nimi wprost nie do wytrzymania. Ale program okazał się skuteczny, zapewne wpłynął na krążenie krwi w rękach, najwyraźniej szło coraz lepiej. I chociaż nigdy nie okazało się to potrzebne we walce, to jednak zwyczaj nie używania rękawiczek bez względu na temperaturę pozostał mu na całe życie, aż do starości. Podobne przystosowanie, sypianie zawsze z nieprzykrytymi stopami też nieźle wpłynęło na krążenie w nogach, chociaż nie aż tak rewelacyjnie.

Po powrocie ze szkoły Angus miał jeszcze różne obowiązki domowe i zwykle kilka godzin dyżuru za bufetem, w rodzinnej piwiarni, klientów nie było tak dużo, więc jednocześnie wtedy robił lekcje. Przeważnie codziennie, co najmniej kilka razy w tygodniu, wieczorami odwiedzał kolegów, aby wymienić jakąś książkę, albo zagrać w szachy. Miał około trzech km do Pukalskiego, a prawie cztery do Maćka Kwiecieńskiego, w sumie dziennie chodził do trzydziestu km, nie licząc drobnych odległości w okolicy. Starał się zawsze jeżeli akurat nie był pogrążony w marzeniach, chodzić szybko, a nawet przebiegać



puste odcinki, na przykład przez Błonia i ulicą Wspólną, która zwykle była pusta. Częstsze bieganie, coś w rodzaju joggingu, choćby nie wiadomo jak zdrowe, nie było możliwe z prostego powodu: człowiek biegnący zwraca na siebie uwagę i to mogło okazać się bardzo niezdrowe, jako podejrzany mógł wywołać agresję ze strony spotkanych Niemców, albo psów. Więc można było przebiec kawałek polem lub lasem, ale kiedy na horyzoncie pojawiali się ludzie, lepiej nie biec.

Tym nie mniej, Agnus wszedł w okres rozwoju sił i zdrowia, przeziębiał się wprawdzie i to nawet często, ale jednocześnie, nawet zmęczony lub chory, szybko się regenerował, im bardziej wydatkował siły, tym szybciej je odzyskiwał. Czuł się tak intensywnie żywy, jak nigdy dotąd, po prostu świetnie, zmęczenie i zimno, nawet przemoczone nogi to były drobnostki. Tylko jazda na rowerze jakoś wciąż mu się nie udawała, chociaż próbował wiele razy, wciąż jeszcze nie odzyskał poczucia równowagi. Jego koledzy, jeżeli nie było dużego mrozu, zwykle przyjeżdżali do szkoły na rowerach, On wprawdzie chodził zdecydowanie szybciej, ale oczywiście z rowerem nie mógł się równać.

W końcu zimy, gdzieś w marcu, sytuacja się zmieniła i droga wydłużyła, gdyż nagle zamknięto i zagrodzono przejście koło getta. Obecnie można było iść tylko dokoła, po objeździe szosy. Niespodziewanie nadeszła tragedia. Pewnego dnia na początku kwietnia, Angus wracał do domu z trzema kolegami, którzy prowadzili rowery. Tego dnia lekcje rozpoczynały się koło południa i trwały długo, do wieczora. Ściemniło się już, ulice były mokre, śnieg topniał, ale leżały jeszcze duże płaty, a miejscami przyzmy starego śniegu. Z początku rozmawiali na różne tematy, po drodze na Alei usłyszeli, że wszyscy Żydzi zostali wysiedleni z getta tego dnia po południu. Doszli do końca Alei i zatrzymali się w miejscu, gdzie pod górę rozpoczynało się przejście przez getto, a szosa robiła wielki łuk w prawo. Przejście zostało najwyraźniej rozgrodzone i potem ponownie zagrodzone, ale tablice, zabraniające zbliżania pod karą śmierci, nadal wisały. Ale najwyraźniej domy za drutami były puste, z szeroko pootwieranymi drzwiami, a bruk pokryty jakimiś nieokreślonymi odpadkami. Stali tak przez chwilę, potem zbliżyli się do drutów, ale widocznie nikt ich nie pilnował. Ten obraz powoli docierał do świadomości. Mimo wszystko, co służyło się o getcie i losie Żydów, o tym, że warunki są złe i stale się pogarszają, to było zaskoczenie. Spodziewano się raczej, że ten stan będzie trwał nadal, nawet jeżeli śmiertelność zwiększała się. Warunki się pogarszały i śmiertelność wzrastała wszędzie. Tutaj, w getcie, zamieszkało około dwudziestu tysięcy ludzi. Ta liczba zmniejszyła się stopniowo do kilkunastu tysięcy, nawet nie tyle z powodu wyższej śmiertelności, ale z powodu kierowania niektórych, sprawniejszych, do różnych miejsc przymusowej pracy, niektórych w pobliżu. Takiego

masowego wywożenia, jak w Warszawie, nie było. Raczej wszystko wyglądało spokojnie. Choć w biedzie i nędzy, można było sądzić że ci ludzie przetrwają, Właściwie w warunkach podobnych, jak i część Polaków. I teraz w ciągu niewielu godzin, co się właściwie stało?

Agnus zareagował gwałtownie, w sposób nieprzemyślany: - chłopaki, cześć, pójdę tamtędy. Muszę zobaczyć, tam mogą kryć się jacyś ludzie, może potrzebują pomocy. Jeżeli natknę się na Niemców, to jakoś wytłumaczę, że chodzę do szkoły i wracam zwykle tędy, zobaczyłem przejście rozgrodzone i myślałem, że znów można przejść, a śpieszę się do domu przed godziną policyjną. Koledzy chwycili go z ramiona i usiłowali zatrzymać, ale ponieważ trzymali rowery, wyrwał się łatwo i rozchyliwszy druty, przytrzymał je nogą i precisnął na drugą stronę, potem zdjął czapkę, która zawisała na kolcu. Pukalski uciszył pozostałych, bo krzyki mogą tylko zwrócić uwagę i pogorszyć sytuację. Angus nie namyślając się, zdecydowanie ruszył pod górę. Gdy się obejrzał, zobaczył, że nie porzucili rowerów, przeciwnie, Pukalski i Żuk wsiadali na nie, Maciek Kwiecieński gwałtownie, lecz po cichu wymachiwał rękami i dobitnie stukał w czoło.

Było ciemno, ale jeszcze nie całkiem, bo dni się zdecydowanie wydłużyły, a resztki topniejącego śniegu też rozjaśniały tło. W połowie podejścia do rynku, Agnus skręcił jedną z wąskich, brukowanych uliczek w lewo. Prawie wszystkie domy stały z szeroko otwartymi drzwiami, na ulicy dużo szkła, większość szyb w oknach rozbita. Na bruku deptał i czasem potykał się o różne drobne przedmioty i rzeczy, nie widział dokładnie co, ale chyba czasem nawet wyrzucone meble, zupełnie jakby ludzie pakowali się w pośpiechu, mieli zamiar zabierać nawet meble, potem je wyrzucali, a część może zabrali, bo pozostałych mebli było mało, we wnętrzach też.

W rzeczywistości, prawda była inna. Getto, odgrodzone i coraz drastyczniej odcięte od świata, tej zimy było dotknięte nie tylko głodem, ale i zimmem. Jeszcze latem poprzedniego roku, transport drzewa którym zwykle palono w piecach nie stanowił problemu, do getta wjeżdżały liczne furmanki z drzewem. Potem Niemcy stale podwyższali utrudnienia, a w końcu 1942r już tylko najbogatsi, mogli czasem otrzymać pojedyncze zezwolenia na wjazd wozu, to była jedna z form rabunku, przepustka kosztowała grube pieniądze. Żydzi mogli przetrwać zimę tylko w jeden sposób, paląc sprzęty i stare zapasy, oczywiście bardzo oszczędzali, bo biedacy myśleli, że musi im wystarczyć jeszcze na drugą zimę i w ogóle, kto wie jak długo. Mój Boże, gdyby wiedzieli co ich czeka, mogliby przynajmniej tej bardzo surowej zimy nie marznąć. To dlatego ich domy, już wcześniej wyglądały jak opuszczone, ciemne i oczywiście zimne, ludzie ściśnięci razem.

Jeszcze ciągle Angus nie napotkał żywego ducha, skręcił w jeden z wąskich, brukowanych zaułków, potem inny, nikogo, tylko wszędzie ten sam widok (było coraz ciemniej, ale wciąż jeszcze nie całkiem), domy z szeroko otwartymi drzwiami, powybijane okna, jakieś rzeczy leżące na ziemi lub podłodze. Potem jeszcze raz i to dokładniej widział to i przeżył ponownie, w 1945 roku, w miastach i miasteczkach niemieckich. Tylko że tam mógł przyjrzeć się lepiej, a poza tym, tamte wnętrza były bez porównania lepiej urządzone, zamożniejsze, a tu, cóż, bieda z nędzą.

Przez dłuższy czas nie zauważał zwłok, aż w końcu potknął się na trupach, ludzi starych i niekompletnie ubranych i potem, niespodziewanie także dzieci. Przez chwilę miał nadzieję, że żyją i oddychają. Dotknął po kolei małych trupków. To, co niedawno było małym człowiekiem, żyjącym wśród starszych i ufającym w ich opiekę, wierzącym w obronę, było już całkowicie zimne. Te dzieci musiały nie żyć już od dawna.

W tym momencie opuściły go dotychczasowe, wyższe lub może wymyślone uczucia, ludzkie reakcje, ogarnęła dzika trwoga, po prostu włosy podniosły mu się na głowie i utracił zdolność myślenia. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło, a przecież bywały powody. Nawet gdy ta reakcja minęła, to zdał sobie sprawę, że wpakował się w miejsce, którego może już żywy nie opuści, po prostu jeszcze jeden trup zostanie między tymi. Jeżeli napotka jakiś patrol, to nikt go nie będzie nawet o nic pytać, Jakie tłumaczenia, co za idiotyczny pomysł, po prostu kropną go zaraz bez względu, czy zdoła otworzyć usta, czy nie. To już nie była lekkomyślność, to czysta, absolutna głupota za którą płaci się życiem. W sam raz pora, żeby zwrócić się do Pana Boga, aby zrobił cud i go stąd wyprowadził. Ale czy Pan Bóg ma czas wysłuchiwać kretyńców?

Nie było nikogo, komu można by pomóc, trzeba się jak najszybciej wynosić. Ale być może ten strach spowodował, że Agnus jakoś zaplątał się w zaułkach, przez pewien czas nie mógł znaleźć wyjścia, po ciemku niczego nie rozpoznawał. A przecież to był mały teren, którego środkiem codziennie przechodził. Kiedy wreszcie znalazł się na znanej drodze, dochodziła godzina policyjna. Mógł albo wrócić skąd przyszedł, albo iść dalej w stronę domu, odległość była prawie jednakowa. Ruszył prosto środkiem drogi i to głośno stukając butami, gdyż wydawało mu się, że w ten sposób, nie ukrywając się, ma lepszą szansę przeżyć pierwszą chwilę i może zdąży coś powiedzieć, wylegitymować się, gdy spotka Niemców. Z drugiej strony, między drutami znalazł lukę, nie musiał nawet ich rozsuwać.

Zbliżał się teraz do wysokości budynków Gestapo i rozsądniej byłoby skręcić w prawo, piaszczystym przejściem między płotami zabudowań do wylotu ul. Wspólnej. Ale rozszczękałyby się tam psy, a poza tym wprost nieodparcie ciągnęło go jak najszybciej do

domu, poszedł dalej szosą, a kiedy przeszedł między gmachami gimnazjum i szkoły zajętej przez wojsko, był już na swoim terenie, jak w domu.

Oczywiście Angus nie wspomniał rodzicom ani słowem o tym co zrobił, byli już i tak bardzo zaniepokojeni jego późnym powrotem. Nie mówił, a raczej pytał.

### **Kapsuła: Likwidacja Getta Ostrowieckiego; powstanie w Getcie Warszawskim**

Z tego, co słyszeli rodzice, wynikało, że ostrowieckie getto zostało zlikwidowane głównie przez żydowską policję, tych pałkarzy wysługujących się Niemcom. Nie było żadnego oporu i Niemcy skierowali do akcji minimalne siły, tylko do nadzoru. To renegaci i zdrajcy, w większości elementy kryminalne jakie występują w każdym społeczeństwie, a którym okupanci świadomie i celowo przekazali władzę aby wykonywały brudną robotę, teraz wykazali się ogromną gorliwością na pokaz. Rozpoczęli wypędzanie ludzi z domów już koło godz.10 rano i ustawiali, formowali i musztrowali ich na dworze. Najpierw kilka godzin nieludzkiej tresury, aż niektórzy padli, i dopiero koło godz. 15 wszyscy w karnych kolumnach i pełnej dyscyplinie, wymaszerowali z getta, dozorowani przez Niemców. Przez cały czas wysługujące im się kanalie wprost licytowały się w usłudze, a okrucieństwie dla swoich, mając nadzieję, że w ten sposób zapewnią sobie dobre traktowanie i osobiste bezpieczeństwo.

Straszny obraz, a podobna tragedia powtórzyła się jeszcze raz - podczas ewakuacji i wypędzania przez władze hitlerowskie ludności niemieckiej na początku roku 1945, przed załamującym się frontem wschodnim. Wiele elementów i całych sytuacji wyglądało dokładnie tak samo, jak skopiowane, ale wtedy to SS znęcało się nad własną ludnością.

Jeszcze po likwidacji getta, w okolicy pozostało kilka obozów z wybranymi wcześniej i skoszarowanymi robotnikami żydowskimi. Oni również wierzyli w swoje ocalenie, nie przez zbrodnicze wysługiwanie się hitlerowcom, ale w zamian za swoją pracę, licząc na to, że są nadal potrzebni, nawet po likwidacji getta. Na początku lipca 1943, oddział AK opanował obóz w Częstocicach, a więc najbliżej Ostrowca, część pilnujących ich Werkschutzów i Ukraińców zginęła w walce, resztę rozbrojono i uwięziono. Jednak nawet wtedy i pomimo, że robotnicy żydowscy zostali przed akcją uprzedzeni, odmówili oni wyjścia z obozu, pozostając tam nadal. Takich wypadków było więcej. Co można o nich powiedzieć? Otóż ludzie w krytycznych sytuacjach wierzą w to, w co chcieliby wierzyć. Nawet wbrew rozsądkowi.

Jednak dowodzi to, że między Polakami i Żydami nastąpił kryzys wzajemnego zaufania i współpracy. I wobec tego, nie można w tym miejscu pominąć kwestii, tzw. antysemityzmu w Polsce.

W tym okresie życia, Agnus zupełnie nie znał długiej, prawie tysiącletniej historii współżycia społeczeństwa polskiego i żydowskiego na ziemiach polskich, ani nawet ostatnich

paruset lat, wspólnej obrony państwa i walki o niepodległość, ani następnie wspólnej obrony przed tzw. pogromami, napadami terrorystyczno-rabunkowymi z aprobatą i przyzwoleniem zaborczych władz, a często przez nie zorganizowanymi. Wiedział tylko to, z czym zetknął się osobiście, przy czym trzeba zaznaczyć, że urodził się i wychował w tzw. rodzinie antysemitki, ściślej jego rodzice mieli przekonania zdecydowanie endeckie.

W skrócie można powiedzieć, że w odrodzonej w 1918 r Polsce, z początku przewagę mieli filosemici, większość znanych mężów stanu, polityków i wodzów, jak Piłsudski, Paderewski, Witos, Daszyński, Sikorski etc. uważani byli za filosemitów, natomiast antysemitą nazywano Dmowskiego i tzw. Endecję (Narodowa Demokracja). Później jednak ten stosunek zmieniał się na korzyść antysemityzmu, podobnie jak w całej Europie. choć z innych przyczyn.

Aby wyjaśnić różnice pojęć, trzeba dodać, że w Polsce całkowicie nieznanymi były drapieżny, morderczy antysemityzm w rodzaju hitlerowskiego, w ogóle te określenia mają zupełnie inne znaczenie w Polsce niż w reszcie Europy. Wszędzie, gdzie żyją obok siebie różne społeczeństwa, a nawet grupy ludzi, występują między nimi sympatie bądź antypatie. Na przykład niektórzy Norwegowie mogą lubić Szwedów a inni przeciwnie. Są Flamandowie filowalońscy i antywalońscy i Walonowie filo - i anty-flamandzcy itp. A nie szukając tak daleko, wielu Poznaniaków (albo np Krakowiaków) nie lubiło Warszawiaków i vice versa. Każdy ma prawo do osobistych uczuć, jego antypatia do innych ludzi jest kwestią osobistego poziomu umysłowego, rozwoju wyższych uczuć, może i moralności (a na pewno chrześcijańskiej), ale nie podlega nakazom ani zakazom. O ile oczywiście mieści się w granicach praw. Otóż prawo w Polsce było obiektywne i przestrzegane.

Oczywiście zdarzały się też i bójki, tak samo jak zdarzały się bójki i nieporozumienia między np. pobliskimi wsiami przy okazji zabaw. Część młodzieży bywa zwolennikami gwałtownych metod, ale nie aprobowały tego poważne autorytety po żadnej ze stron, a prawo działało skutecznie. Najlepszym przykładem może być, że gdy nie tylko w Niemczech lub Rosji, ale w krajach o takich tradycjach i kulturze jak Anglia i Fracja, co roku dochodziło przed wojną do zabójstw na tle antysemitkim, w Polsce tylko raz doszło do wypadku i to właśnie Żyd tak fatalnie rzucił kamieniem, że nieumyślnie zabił Polaka. Wypadek głośny, gdyż część prasy usiłowała go wykorzystać do celów propagandowych.

Antysemityzm polski wynikał całkowicie z powodów ekonomicznych. Jak to już uprzednio wzmiankowano, ze zbyt dużego napływu uchodźców żydowskich do Polski, co spowodowało, że liczba ludności żydowskiej w ciągu dwudziestu lat niepodległości podwoiła się i to mimo znacznej emigracji i niezależnie od przyrostu naturalnego. Ponieważ ludność

żydowska (chalupnicy, rzemieślnicy) nie zajmowała się rolnictwem, a tylko biedni tzw. bezpośrednią produkcją, czyli prawie wszyscy czynni byli w strefie usług lub tzw. strefie nieprodukcyjnej, stanowiło to po prostu zbyt duże obciążenie dla części zajmującej się produkcją bezpośrednią, zwłaszcza gdy ta produkcja nie była wysoko wydajna. Ponadto, istniała ostra konkurencja między powstającą polską inteligencją, zwłaszcza w obszarze wolnych zawodów, handlu itd. Konkurencja wprost zabójcza w warunkach, gdy obok bogatych Żydów, mieszkali i wciąż napływały masy biedoty, które właściwie mogły przetrwać tylko dzięki dobroczynności, między innymi z darów amerykańskich, a oczywiście chwyтали się absolutnie wszystkiego za pół darmo. To psuje rynek pracy, w podobnych warunkach, w wielu krajach nawet teraz doszło do poważnych kłopotów. A jednak endecja, czołowa siła antysemityczna wyraźnie podkreślała że ogranicza się do haseł ekonomicznych oraz wzmożenia emigracji żydowskiej.

Zresztą w tym wypadku istniała zorganizowana współpraca właśnie endecji z organizacjami syjonistycznymi. W ówczesnej sytuacji był to rozsądny postulat i rozumiały go także organizacje żydowskie. Ciągłe dosypywanie z za granic sąsiadów, uchodźców na polskie wysypisko powodowało, że gromadziła się zbyt gruba warstwa, której polska gospodarka nie była w stanie utrzymać. Polska międzywojenna mogła być tylko stacją przesiadkową, a nie docelową, po prostu nie miała na to warunków, inne rozmiary, o rząd wielkości mniejsze, niż w 17 wieku. Gdyby w porę rozładowano ten problem, także krwawy szaleniec, upatrujący własnej wielkości w wysokości stosu trupów, nie znalazłby takiego pola popisu.

Jest faktem, że w czasie okupacji niemieckiej, podobnie jak władze Polski podziemnej i Delegatura Rządu Emigracyjnego, także endecja angażowała się w udzielaniu wszelkiej możliwej pomocy prześladowanym Żydom. A że nie są to puste słowa, najlepiej dowodzi głośny w tym czasie fakt, że czołowy autor, teoretyk antysemityzmu, ksiądz Stanisław Trzeciak, zginął zamordowany na stopniach swego kościoła w Warszawie za ukrywanie Żydów. To był najgłośniejszy wtedy wypadek, ale podobnych było wiele (np. radykalny przywódca młodzieżowy, Jan Mosdorf etc.).

Trzeba bowiem uświadomić sobie, że ukrywanie Żyda traktowane było jako najcięższe przestępstwo, zagrożone śmiercią natychmiast i na miejscu, tak jak zamach na Niemca. Wspomniano już o spaleniu domu i zamordowaniu wszystkich jego mieszkańców, to było rutynowe postępowanie. Podobnie w jakiś czas później, spalono szereg domów i częściowo zastrzelono, a częściowo spalono w nich żywcem 46 mieszkańców wsi, Bór Kunowski, położonej kilkanaście km od Ostrowca, a może 10 km od mieszkania Angusa. W

warunkach konspiracyjnych, długotrwanie przechowywanie zaciekle tropionego uciekiniera często kosztuje życie wielu ludzi, o tym jeszcze będzie mowa. Średnia w wypadku Żydów wynosiła, być może 2-3. Szacuje się, że udało się ocalić ok. 5% Żydów zamieszkałych na terenie GG.

19 kwietnia wybuchło powstanie w getcie warszawskim. ściśle mówiąc nie pierwsze ani nie jedyne, gdyż już wcześniej doszło do otwartych walk z Niemcami w Warszawie, a także w Białymstoku i paru mniejszych miastach na kresach wschodnich, gdzie powstały Żydowski Związek Wojskowy i inne organizacje, ściśle powiązane z AK, a później także Żydowska Organizacja Bojowa. Przebieg powstania był przez cały czas relacjonowany przez prasę podziemną, a polska Armia Krajowa prowadziła walki i działania odciążające oraz w miarę swoich możliwości zasilala powstańców bronią, sprzętem i ludźmi. Znaczna część posiadanego wówczas uzbrojenia przekazana została dla powstańców, chociaż stan ten był bardzo niski. O tym, ile znaczyła i jak ceniona była wtedy broń, będzie mowa w następnych rozdziałach, na pewno bardziej od życia.

Nikt nie miał wątpliwości, że Żydzi uczynili tej broni zaszczyt. Powstanie trwało pełne 3 tygodnie. co wydawało się wprost nieprawdopodobne. Przez cały czas, codziennie wiadomości były traktowane z większym zainteresowaniem i rewerencją, niż wiadomości z frontów, a przecież w tym samym czasie trwała właśnie rozpaczliwa próba ewakuacji, a właściwie agonia niemieckiej i włoskiej armii w Afryce, zdarzenie nie mniej ważne, niż bitwa stalingradzka. A 26 kwietnia ZSRR zerwał stosunki z Polskim Rządem Emigracyjnym. Chociaż nikt nie zdawał sobie sprawy, że to przesądza przyszłość Polski, porzuconej przez innych sojuszników, kładło jednak złowrogi cień na przyszłość i propaganda niemiecka trąbiła o tym dzień i noc, niestety nie bez podstaw. Nikt w to nie wierzył. Pierwszym wiadomościom o Katyniu też po prostu nie dowierzano, to była zbrodnia nie dająca się pogodzić ani z prawem międzynarodowym ani traktatami, które ZSRR podpisał.

Mimo tak ważnych zdarzeń, sam Angus i wszyscy znajomi zwykle zaczynali rozmowę od - Jak tam (albo co słychać) w Warszawie?- Po czym na odpowiedź, - Biją się jeszcze, - następne standardowe pytanie - Jak to w ogóle możliwe, przy takiej różnicy sił?- Być może, taka beznadziejna, bohaterska walka szczególnie trafiała do Polaków, którzy dobrze to rozumieli i znali, z własnych tragicznych doświadczeń.

A już po 10 maja, powszechnie mówiło się: - teraz przyjdzie kolej na nas. Ale my będziemy walczyli wszyscy, nie damy się zarżnąć jak owce.- Bo jednak prawdą jest, że ta heroiczna walka ostatnich Żydów, podjęta została też w ostatniej chwili, za późno, gdy już ponad 90% zostało wymordowanych. Wspaniały czyn, budzący powszechny podziw i

szacunek, ale jednak nie mający już praktycznego wpływu na ich losy, a jedynie dla przyszłych pokoleń i dla świata, jako przykład i apel. Można tylko snuć przypuszczenia, jak potoczyłyby się te losy, gdyby społeczeństwa żydowskie i polskie przez cały czas utrzymały bliską, solidarną współpracę. Albo gdyby Żydzi chociaż o rok wcześniej dali się namówić do wspólnej walki i ścisłej współpracy wojskowej, bo szczerze mówiąc, Polacy też mieli swój punkt podobnego załamania pod terrorem niemieckim, w 1940 roku, chociaż czynna walka nie ustała całkowicie. Polacy wcześniej, już w 1941 r., a Żydzi dopiero w 1943 przekonali się, że nie ma innej drogi niż walczyć, dopóki można utrzymać broń w rękach. Lepiej ginąć we walce, bo jeżeli się tą broń wypuści, to nieprzyjaciel i tak będzie kontynuował walkę z bezbronnymi z tym większym okrucieństwem. „Ostateczne Rozwiązanie Kwestii Żydowskiej” przez hitlerowców, ostatecznie otworzyło też oczy Polakom, czego oni sami mogą oczekiwać. Nikt nie miał już potem żadnych wątpliwości. Mówiło się nawet, że już w roku 1939 trzeba było bić się w ten sposób, w każdym miejscu aż do śmierci i gdyby wiadomo było z góry, z jakim przeciwnikiem mamy do czynienia, to zapewne jednak Niemcy do Polski by nie weszli. Gdy tylko ustały walki, Niemcy zwielokrotnili tempo mordowania ludności.

\* \* \*

Wiosna 1943 i czas spędzony w Handlówce stanowiły dla Angusa czas szybkiego dojrzewania i dlatego, mimo wszystko najlepszy okres młodości. Tam nawiązał przyjaźnie i stosunki koleżeńskie. A znalazł również grupę młodych ludzi w pobliżu miejsca swego zamieszkania.

Piwiarnia, która stała się źródłem utrzymania rodziny, wynajmowana była od właścicielki obejścia i domu, wdowy z czwórką dzieci. Nieżyjący już mąż i ojciec, pochodził z pobliskiego Bodzentyna, lecz będąc cieślą i stolarzem, znalazł dobrą pracę w okresie przedwojennej rozbudowy COP-u, w Ostrowcu. Następnie kupił tutaj szmat ziemi przy szosie i wybudował w lasku, prawie dotykający szosy dom, a za nim jeszcze drugi. Przed samą wojną umarł (i to nie z przepracowania jak można by przypuszczać, ale na raka żołądka), ale rodzinę zostawił zabezpieczoną. Pani Szumilasowa miała stały dochód, wynajmując przylegającą do szosy starachowickiej przedni szczyt domu na restaurację położoną na zakręcie przy samym wjeździe do miasta, rodzina Szumilasów mieszkała w dalszej części tego podłużnego, obróconego bokiem do drogi domu, a ponadto wynajmowała jeszcze trzy mieszkania, właściwie trzy niewielkie kawalerki w domu na zapleczu. Z tyłu były jeszcze szopki i zabudowania gospodarcze, a dalej pas lasu ciągnął się kilkaset m. na dół, aż do łąk.



Drewniane domy miały nietypową budowę, stanowiąc z jednej strony nawiązanie do miejscowej ludowej tradycji, a z drugiej prawdziwe dzieło mistrza i trwałą pozostałość jego kunsztu. Znać było w każdym szczególe zaangażowanie i, powiedzmy wprost, miłość z jaką tworzył siedzibę dla siebie i swojej rodziny. Pierwszy, większy i obrócony do szosy dom, wszystkie pomieszczenia miał w amfiladzie. W lokalu gastronomicznym od strony szosy, kolejno wejście i główna część z bufetem, za nim drzwi do mniejszego wydzielonego pokoju, gdzie ewentualni goście mogli posiedzieć w spokoju i odpocząć i wreszcie do kuchni, obok której mieściła się spiżarnia i komórka, a na małym korytarzyku zejście do piwnicy i boczne wyjście na dwór. Dalsza część domu stanowiła mieszkanie właścicieli, wchodziło się od drugiego końca domu na dużą, oszkloną werandę, dalej w amfiladzie znajdowała się kuchnia i dwa pokoje. Cały dom przyozdabiany był różnymi aplikacjami i wycięciami w drzewie, a specjalnie belki werandy, która oszklona była kolorowym szkłem. Dom nie był cały podpiwniczony, a piwnica gospodarzy miała oddzielne wejście z dworu obok werandy, wymurowane schodki w ceglanej podmurówce, na której spoczywało dobrze zaimpregnowane drzewo. Wszystko mogło przetrwać wieki. Natomiast między piwnicami, gospodarzy i wynajmowanego lokalu znajdowała się duży przedział ziemi. Agnus marzył o wybudowaniu tutaj jeszcze jednej piwnicy, ukrytego pomieszczenia, ale brakowało mu kwalifikacji i umiejętności.

Przy lokalu, w kuchni na zapleczu zamieszkała matka, natomiast ojciec wraz z Angusem odnajdli jeden z pokoi w pobliskiej, byłej bursie gimnazjalnej, tej samej, w której mieściła się kiedyś kuchnia dla wypędzonych i skąd Angus przynosił wtedy zupę. Teraz mieszkało tam wielu wysiedlonych, ale cieplej strawy już nie rozdawano, wszyscy od dawna radzili sobie sami. Ten mały pokój mieścił tylko dwa łóżka, stół i szafę i służył jako sypialnia. Odległość od przydrożnej piwiarni i matki wynosiła niecałe 100m i tam spędzali całe dnie, oczywiście uwzględniając to, że Angus większą część dnia przebywał w szkole i jeszcze trochę u kolegów. Zwykle robił lekcje, czytał i w ogóle przesiadywał, gdy to jego odwiedzali koledzy, w małym pokoju środkowym, gdzie stały trzy stoliki z krzesłami, ale rzadko zasiadali klienci. Gdy rozległ się dzwonek wiszący przy wejściu, Angus wychodził, stawał za kontuarem i obsługiwał klienta, jeżeli osób było więcej i zamówienie duże, ewentualnie przychodziło jedno z rodziców. Kiedy nie było co robić, czasem grywali z ojcem w karty, nie takie mordercze maratony jak kiedyś, ale nadal preferansę w dwójkę (z tzw. dziadkiem). Agnusa to śmiertelnie nudziło, bo właściwie wszystko wiedzieli z góry, nie było co rozgrywać. Rozdanie kart, licytacja, potem krótka dyskusja i z góry zgoda na wynik, jeżeli tej zgody nie było, to jedno lub dwa wyjścia całkowicie wyjaśniały sytuację. Bez najmniejszej

wątpliwości, mogliby grywać zawodowo na turniejach albo w cyrku na pokaz, albo ogrywać ludzi na pieniądze, ale to oczywiście wykluczone. Przyjemności ta gra nie sprawiała, w każdym razie Angusowi, bo ojcu niestety tak.

Rodzina Szumilasów, oprócz wdowy, wysokiej, postawnej i zgrabnej kobiety około pięćdziesiątki, o zręcznych ruchach i niepospolitej sile, a przy tym dobrze zorganizowanej i rozsądnej, chociaż nie wykształconej - liczyła czworo dzieci. Najstarszy syn, Ignacy był już dorosłym mężczyzną, wysoki, suchy, trochę pochyłony i śniady, a przy tym też znany ze swojej siły. Drugi syn, prawie dwa lata starszy od Angusa, średniego wzrostu i bardzo dobrze zbudowany, wyróżniał się podobno w szkole i właśnie miał rozpocząć naukę w gimnazjum, ambicją jego stało się dalsze wykształcenie. Obaj bracia pracowali na czas wojny w Zakładach Ostrowieckich, starszy jako wytapiacz, młodszy w laboratorium. Młodszy nie uczył się na kompletach, ale dla laborantów organizowane były różne kursy dokształcające i miał okazję rozszerzyć horyzonty, czytał także wiele i w ogóle garnął się do wiedzy.

To też wkrótce zapoznali się z Angusem, który imponował mu czterema prawie już skończonymi klasami (choć się tym nigdy nie chwalił, jakoś ta wieść się rozeszła). Agnus pożyczył mu „Nowoczesną alchemię” Kendall’a i niektóre inne książki z Biblioteki Wiedzy, a zgromadził już na przyszłość kilka, których jeszcze sam nie rozumiał. Na przykład trochę obdartą „Chemię Organiczną” Tołłoczki do ósmej klasy gimn. starego typu oraz średnich szkół zawodowych, bardzo grubą i trudną, rozumiał z niej tylko miejscami urywki, ale co jakiś czas otwierał i próbował z zapalem, zwłaszcza opisy doświadczeń. Niestety, Adam też nie mógł jej dać rady, ale rozumiał czasem lepiej fragmenty, będąc bardziej obyty z samą techniką eksperymentów. Trochę sobie nawzajem wyjaśnili, ale większości nadal nie mogli pojąć, co nappełniło ich tym większym szacunkiem. Ponadto Angus pożyczył jeszcze kilka książek popularno naukowych i chemicznych, a parę sam dostał, na przykład metaloznawstwo uznał za ciekawe i dostępne. Wreszcie rozegrali kilka partii szachów, Angus grywał już lepiej ale różnica nie była wielka, spróbowali też potrenować wspólnie siatkówkę, obaj rozpoczynali od zera i na początek grywali jeden na jednego, ale tutaj Agnus robił słabe postępy, natomiast Adam będąc z natury zręczny i szybki, zostawił Angusa z tyłu.

Z obu młodszych córek, starsza była już obecnie uderzającą pięknnością, ale na razie nie interesowała się chłopcami, przebywała albo w towarzystwie siostry, albo grona dziewczyn. Angus nie szukał dziewczyny, nieustannie tęskniąc do jednej osoby, jednak na nią patrzył z prawdziwym podziwem, gdy na przykład grała w piłkę z koleżankami. Wreszcie najmłodsza córka stanowiła jeszcze brzydkie kaczątko, koścista chociaż wystrzeliła wysoko i też mogła w przyszłości zapowiadać się dobrze. Uchodziła również za mocną. Wyglądało na

to, że oboje rodziców dobrali się pod tym względem i przekazali potomstwu wyjątkową sprawność fizyczną. Ponadto rodzinę tą odwiedzał dość często kuzyn oraz imiennik Adama i chrześniak pani Szumilasowej, którego ojciec, brat nieżyjącego Szumilasa, był z kolei chrzestnym ojcem tutejszego Adama. Podobny do swego kuzyna i imiennika, chociaż starszy i większy, nawet w tej rodzinie miał opinię żelaznego człowieka.

Do młodych Szumilasów przychodziła grupa kolegów z pracy, młodzież robotnicza z Zakładów zamieszkała w sąsiedztwie. Jak nazywała ich pani Szumilasowa, „kawalerka” była ustawiona i wiedziała jak się zachować, inaczej nie mieliby się tu co pokazywać. Mieli wydzielony swój kąt, mianowicie w piwnicy właścicieli, która została specjalnie w tym celu podzielona na dwie połowy. To znaczy, przy ładnej pogodzie wygodniej było siedzieć na ławce na dworze, albo grać w piłkę, a przy brzydkiej przeważnie grano w pokera w piwnicy i oczywiście gadano. Pani Szumilasowa nie tolerowała przynoszenia wódki i tylko wyjątkowo zdarzało się, że przemycono parę kieliszków, rzadko też ktoś przemieniał się w klienta pobliskiego lokalu i szedł na kieliszek samogonu (tzw. bimbru). Znajomość z Angusem była raczej luźna, czasem przyłączał się do gry w siatkówkę, ale chociaż poziom tej gry był znacznie niższy, niż na boisku w lesie poniżej ul. Traugutta, i tak Angus był kiepskim graczem, w odróżnieniu od Adama Szumilasa, tego tutejszego, który znacznie szybciej został niezłym graczem. Nie pomogło nawet i to, że wśród kolegów z Handlówki też grało się w siatkówkę, w ogóle w latach wojny ta gra stała się główną i prawie jedyną dyscypliną sportową. Wystarczyło minimum wyposażenia, piłka i siatka a w najgorszym wypadku nawet kawał sznurka i niewielki placyk. Angus był niezgrabny, psuł dużo zagrań i zwykle wchodził na boisko tylko, gdy nikogo lepszego nie było w pobliżu. A bardzo chciał grać, marzył wprost o tym, żeby nauczyć się grać dobrze.

Gdzieś w połowie czerwca, Angus czytał na ławeczce, zrobionej prosto pod oknem środkowego pokoju, tak że mógł wyjść i wracać z powrotem przez okno. Było pod wieczór, ale dni były długie, a okno od strony zachodniej, także ławka w pełnym słońcu, położył się więc i trzymał książkę tak, żeby była w cieniu, gdyż zbyt jaskrawe światło oślepiło. W pewnym momencie usłyszał głosy dochodzące z uchylonego okienka od piwnicy które znajdowało się o parę metrów od jego głowy. Rozmawiali obaj Adamowie Szumilasowie, widocznie ten drugi przyszedł niedawno, ale że też przy takiej pogodzie chciało im się schodzić do piwnicy, na dworze byłoby dużo przyjemniej. Angus nie miał zamiaru podsłuchiwać i w ogóle nie miał zamiaru interesować się rozmową, ale nagle wstrząsnął nim szok jak prąd elektryczny. Adam „przybysz” powiedział, że jeśli można, chciałby przenocować, bo ma wyraźny rozkaz przynieść odpowiedź, a kogoś nie zastał. Ma nadzieję,

że jutro dostanie ją i to na tyle wcześnie, żeby przed zmrokiem dotrzeć do Michniowa. Ta nazwa nic Angusowi nie mówiła, ale zelektryzowało go słowo „rozkaz”. O ile się nie przesłyszał, to chyba musiało znaczyć...

Nie był pewien, ale teraz słuchał naprężony, bezwstydnie nie dbając o to, że tego się bezwzględnie nie robi. Może trafił na to, czego szukał całe swoje życie. Gdyby spotkał najpiękniejszą dziewczynę świata, albo niespodziewanie odkrył pod nogami kopalnię złota i diamentów, albo nagle wzleciał do nieba, nie doznałby takiej emocji i dreszczu szczęścia. Mówili cicho i przeważnie Angus słyszał tylko szmer, ale od czasu do czasu, jeden z głosów stawał się wyraźniejszy i wtedy udawało mu się rozróżnić, czasem pojedyncze słowa, a czasem zdania lub ich fragmenty. Wiele luk wypełniał własną fantazją i wcale nie był pewny, czy odgadł dobrze i czy całość się zgadzała: -

... małe zagłębienie... trzech żołnierzy... osłonili kurtkami... mapę i latarkę... na mnie, żebym szczegółowo objaśnił teren... znam tą okolicę, jak własną kieszeń... z łatwością i bardzo szczegółowo... taką fałdę terenu, umożliwiającą podejście do samej pozycji Niemców... Doskonale, powiedział (tu znowu nazwisko, ale niezrozumiałe, jakby wióry?)... tak dobrze znasz te strony, dobież sobie piętnastu ochotników... i prowadź pierwszy, a my przebijemy się zaraz za tobą. Wziąłem takich, co wiedziałem... że potrafią... Podeszliśmy bez najmniejszego potknięcia czy szelestu... zanim Niemcy w ogóle się zorientowali... cały oddział... i tylko trzech rannych. Wtedy Ponury (tak, to chyba było to nazwisko) kazał mi prowadzić dalej...po trasie, jak po sznurku... ale niespodziewanie...skręcić... i... czy się orientuję... do miejsca, gdzie byliśmy otoczeni... stanęliśmy niedaleko, kiedy zaczęło się już robić jasno... to jego ulubiony manewr... lis też zwykle wraca... to mu się prawie zawsze udaje. Sam PONURY (teraz był całkiem pewien tego słowa, „Ponury”) przyszedł... osobiście podał mi rękę i powiedział „dziękuję, kolego, bardzo dziękuję”. Uścisnął też rękę wszystkim chłopakom, którzy byli ze mną! - Agnus wprost czuł, jaki przejęty jest opowiadający i chce się pochwalić. To może była tylko ludzka słabostka, ale całkiem zrozumiała, przecież gdyby to on dożył kiedyś takiej chwili, to z całą pewnością pękałby z dumy. Adam Szumilas z Bodzentyna też w końcu nie mógł się powstrzymać, opowiadając to wszystko swemu najbliższemu krewnemu i imiennikowi, Szumilasowi z Ostrowca. Właściwie jakby bratu, bo sam brata nie miał, a kuzyn pełnił jakby te funkcje. Natomiast Adam Szumilas z Ostrowca wprawdzie miał brata, ale znacznie starszego, to właśnie kuzyn z Bodzentyna był mu bliższy i zawsze bardzo się przyjaźnili. Tak, chlapanął językiem, ale tylko do człowieka, którego był równie pewny jak siebie, najbliższego i z którym zawsze się rozumieli.

Nawet teraz poszli aż do piwnicy, w najbardziej ustronne i prywatne miejsce, gdzie nikogo nie było, a i tutaj mówili prawie szeptem, dopiero pod wpływem emocji, głos odruchowo nabierał siły. To, że akurat na ławeczce niedawno postawionej, może półtora do dwu metrów od uchylonego okna leżał z książką Angus, to był przypadek wprost nieprawdopodobny, jeden na tysiąc, nie, raczej jeden na milion. Ale nawet tam, gdyby leżał obrócony w drugą stronę, mając głowę w podwójnej odległości, nie zdołałby rozróżnić słów.

Angus leżał dalej jak skamieniały, nie drgnął nawet, gdy oddalali się od okienka i teraz dobiegał go tylko lekki szmer głosów. Chyba usiedli teraz na ławkach przy stole, gdzie co jakiś czas znajoma „kawalerka” przychodziła pograć w pokera. Leżał nieruchomo prawie nie oddychając, aż usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, w każdym razie tak mu się wydawało, nie był pewny, bo wejście do piwnicy, po schodkach, znajdowało się z drugiej strony domu i w najdalszym od niego kącie, zaraz koło werandy. Dopiero wtedy wślizgnął się przez okno do środkowego pokoiku, a choć nadal trzymał otwartą książkę w ręku, nie czytał ani w ogóle nie byłby w stanie zrozumieć ni jednego słowa.

To, co usłyszał, wydawało się niewiarygodne, wprost przechodziło jego zdolność pojmowania i dopiero powoli przenikało do świadomości. Ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć, że tak zupełnie przypadkiem, natknął się na kontakt, którego tak długo i daremnie szukał. Jego przyszłość zadecydowała się przed chwilą, wiedział, gdzie znaleźć ludzi, których już prawie tracił nadzieję spotkać. Po tylu próbach, wciąż bez powodzenia, zaczynał już wątpić, czy uda mu się kiedykolwiek zrealizować swoje marzenia. Co za szczęście, co za szalone szczęście!

No tak, ale przecież nie mógł podejść wprost do ledwie znajomego człowieka i powiedzieć mu że podsłuchał jego rozmowę. Trzeba to wszystko dobrze przemyśleć, postąpić bezbłędnie. Czuł się mniej więcej tak, jak zapewne czuł się Hrabia Monte Christo w pierwszych chwilach po odkryciu skarbu. Nie mógł teraz stracić tego wyjątkowego daru, który los przypadkiem oddał w jego ręce. Na myśl o tym, trząsał się cały i oblewał zimnym potem. Trzeba poczekać, opracować inteligentny plan i dopiero działać. A do tego czasu, pierwszym logicznym krokiem było niewątpliwie nawiązanie lepszej znajomości i nawet, co tu ukrywać, przypodobanie się, podlizanie, podobnie jak z żołnierzami Obrony Narodowej w Żydowie.

Jednak tego dnia, mimo usilnych starań, nie udało się już znaleźć właściwej chwili, a także obawiał się, że jest zbyt poruszony i można będzie to po nim widać. Tylko przelotnie i na krótko, zbliżył się do młodych ludzi, którzy prawie cały czas przebywali razem, a pod wieczór przyszło kilku odwiedzających dom znajomych i chyba siedli do pokera. Angus,

choć rzadko, bywał też czasem w piwnicy i także od czasu do czasu podgrywał trochę w pokera, lecz tym razem nie starał się tam wcisnąć. I tak nie było możliwości poufnej rozmowy. Zresztą „Przybysz” nie siadł do gry, ale w międzyczasie poszedł raz jeszcze do miasta, a następnego dnia, już go nie było.

Wobec tego Agnus starał się przynajmniej zbliżyć w międzyczasie do Adama Szumilasa z Ostrowca, grać z nim częściej w szachy lub piłkę i rozmawiać o jego planach życiowych, które zdecydowanie dotyczyły zdobycia wykształcenia. To pod wpływem tej znajomości, bo Szumilas zdecydowanie wybrał już zawód, to miała być chemia i już teraz zbierał wszelkie okruchy tej dziedziny wiedzy, także i Angus poważniej zainteresował się tą dyscypliną. W każdym razie na tyle, żeby znaleźć temat do rozmów, chociaż były to wiadomości tylko teoretyczne, a i to dyletanckie.

Jednym słowem, Angus przyczepił się do niego w tym okresie, jak rzep do psiego ogona. I dzięki temu, mniej więcej tydzień później udało mu się porozmawiać również z drugim Adamem Szumilaszem. Nie prywatnie, niestety, ale został przez jego kuzyna przedstawiony jako przyjaciel. Rozmawiali może kilkanaście minut i potem Angus zostawił ich samych, ale jeszcze dwa razy w ciągu tego dnia miał okazję zamienić po kilka słów. Niestety w następnym tygodniu „Przybysz” nie pokazał się już i Agnus daremnie wyglądał go aż do końca miesiąca.

Jednocześnie Angus przepelniony nową nadzieją, rozpoczął także rozmowy z matką. Nie mógł powiedzieć jej wprost, że w najbliższych dniach chce i musi opuścić dom. Wybrał metodę pośrednią, w ostatnich dniach coraz częściej mówiło się i słyszało o działaniach oddziałów partyzanckich i także coraz częściej trafiały się tajne gazetki. Parę z nich Angus przyniósł do domu, chociaż rodzice byli na tajną prasę wprost uczuleni, twierdząc, że jest to ogromne ryzyko bez żadnego pożytku dla sprawy. Niemcom, jak mówili, nie wyrządzają te gazetki żadnej konkretnej szkody, a wielu ludzi już przez nie zginęło, z reguły wylądowali w obozie koncentracyjnym, z którego się nie wychodzi. Nawet nie trzeba na to aż naglej i niespodziewanej rewizji, wystarczy, że jakiś konfident, donosiciel, albo po prostu podły człowiek napisze anonimowy donos do Niemców. Dawniej ludzie ginęli przeważnie za przechowywanie znalezionej w 1939 r. broni. Też szkoda tylu ofiar, ale w tym przynajmniej był jakiś sens, ta broń mogła i miała się w przyszłości przydać. Ale zginąć z powodu znalezionej przy kimś gazetki, to szczyt głupoty.

Mimo to, Angus przyniósł kilka gazetek i rodzice przeczytali je od deski do deski. Przeważnie był to Biuletyn Informacyjny, który oprócz bieżących wiadomości zwłaszcza z nasłuchu radiowego (za posiadanie radia oczywiście też kara śmierci) podawał komunikaty

kwatery głównej AK. Ale parę razy przyniósł też Informator, pismo wydawane przez NSZ (Narodowe Siły Zbrojne). W tych egzemplarzach, które podsunął specjalnie matce, znajdowały się bardzo plastyczne, a całkowicie zmyślane opisy całych bitew stoczonych rzekomo przez oddziały NSZ z Niemcami, kompletna fantazja. Styl trochę jak z Sienkiewicza, z dodatkiem niby-żołnierskiego żargonu i wizje strasznych klęsk, zadawanych okupantom. Czysta radosna twórczość, opisy zdarzeń, które nigdy nie miały miejsca, zapewne „ku pokrzepieniu serc”. To, że nie podawano miejsca ani czasu (z całkowicie zrozumiałych względów było regułą, nie wymieniano też żadnych konkretnych osób) ułatwiało zadanie. Aż dziwne, że po wojnie nie ukazało się mnóstwo tzw. powieści historycznych, a zwłaszcza fantastycznych, tyle natchnionych piór się zmarnowało, powinno znaleźć się co najmniej kilku nowych Sienkiewiczów.

Agnus z początku czytał sam z wypiekami na twarzy, a chociaż stopniowo nasuwało mu się coraz więcej wątpliwości, miał nadzieję, że matka się na tym nie pozna. Przygotowawszy w ten sposób grunt, wspomniał następnie, że on też ma obowiązek wobec kraju, że dojrzewająca młodzież pierwsza zwykle chwyta za broń i powinna bronić w miarę swoich sił swych braci i siostr, ojców i matki, nie chodzi w tym wypadku dosłownie o rodziny, ale w szerszym znaczeniu, rodaków. Na to matka, tak samo stereotypowo odpowiedziała, że to właśnie dzieciaki nie powinny się narażać, bo to jest nadzieja i przyszłość narodu. Takie sprawy powinni zostawiać starszym, bo jak zginie ktoś, kto już przeżył swoje życie, albo poważną jego część, to szkoda jest mniejsza. A konkretnie, to on nawet nie jest żadna młodzież, tylko wyrosnięty smarkacz. Na razie powinien zajmować się tylko jednym, uczyć się i rozwijać, a ponadto trzy razy dziennie modlić do Pana Boga, żeby mu dał szczyptę rozumu. Na wojnie, żadne wojsko nie bierze czternastolatków - na gwałtowne protesty Angusa, który przypominał, że w tym miesiącu skończy piętnaście, dodała że i piętnastolatków też. Więc gdyby nawet wszystko co mówi było prawdą to i tak ma jeszcze parę lat czasu.

- Przecież nie myślisz chyba, że wojna potrwa jeszcze parę lat, - argumentował Agnus, - a jeżeli ja będę przez cały czas siedział w domu i krył się za twoją spódnicą, to przez całe życie nie będę mógł nikomu spojrzeć w oczy, każdy będzie miał prawo mną pogardzać i ja też będę sam sobą pogardzał. Sto razy lepiej zginąć, niż ciągnąć takie życie. Zrozum - teraz on uprzedził protesty matki, - ja wcale nie mam zamiaru ginąć, ale żyć w ten sposób nie warto po stokroć. To byłby wybór między złym losem, a najgorszym nieszczęściem.

- Nieprawda, - stwierdziła matka - żywy pies jest więcej warty od martwego lwa. Żyję dłużej, widziałam więcej od ciebie, możesz mi wierzyć. A jak już o tym mówimy, czy

pomyślałeś o matce? Straciłam kiedyś jedno dziecko, gdybyś i ty teraz nie przeżył, to ja też nie miałabym po co żyć. Jeżeli zrobisz głupstwo, to będziesz miał od razu dwa życia na sumieniu. Gdy tak chcesz bronić innych, to pomyśl też o swojej matce, wobec niej masz też obowiązki. A ponad to, ty jeszcze nie nadajesz się do niczego, każdy Niemiec z łatwością zabiłby dzieciaka, a potem przechwalał się, że zwyciężył człowieka.

Angus poczuł się dotknięty, on uważał się za mężczyznę wartego tyle, co każdy inny. W tej chwili przyszedł mu do głowy wyjątek z marsza spartańskiego, Tyrteja...i matki te, co trwożnych synów dały Zeusie skarz, oblicza wstydem spał. Niech łona ich poszarpią lwy w kawały...

Na to matka oburzona powiedziała, że teraz żałuje tych pieniędzy, cała rodzina odejmowała sobie od ust, żeby on tam się uczył podobnych rzeczy. Że to są kretynstwa, które powinny być zakazane i wymazane, osobiście pójdzie porozmawiać na ten temat z nauczycielem.

Takie rozmowy powtarzały się kilkakrotnie, bez rezultatu, każdy zostawał przy swoim. Tym nie mniej, Angus starał się choć trochę przygotować matkę na to, co ostatecznie musi nastąpić, tak, aby nie było to dla niej zbyt dużym szokiem. Teraz nadchodziła wielka chwila, był do niej przygotowany, a w każdym razie wszystko, co robił przez ostatnie lata miało wyłącznie ten jeden cel. Był zdecydowany, gdy tylko ukończy szkołę, spróbować swego szczęścia, a reszta jak Bóg da.

Pierwszego lipca 1943 otrzymał świadectwo ukończenia Szkoły Handlowej. Fatalnie rozpoczęty pierwszy okres zaważył, że nie było najlepsze, ale i tak dobre. Doświadczenie na całe życie, że najważniejszy jest początek i pierwsze wrażenie, ba, gdyby tą samą pracę włożył zaraz na początku, a nie dopiero po pierwszej wywiadówce! Potem uzupełnił wszystkie braki i jakoś podciągnął, miał pół na pół, bardzo dobre i dobre, za wyjątkiem kaligrafii i pisma technicznego, mimo całego wysiłku i starania, artystka malarka ucząca tych przedmiotów trwale została przy pierwszej ocenie i nie zmieniła zdania. A zresztą miała rację, jego pismo nigdy nie stało się ładne.

Wrócił do domu wczesnym przedpołudniem i tam niespodziewanie zastał kolegę z tajnych kompletów gimnazjalnych, Stach Konara. W ciągu minionego roku widywali się dość rzadko, ale nie tracili kontaktu. Teraz Stach wyciągnął Angusa na przechadzkę, po drodze spotkali kilku młodych ludzi, których Agnus dotąd nie znał, a Stach przedstawił krótko jako kolegów. Angusowi wydawało się, że zachowują się trochę dziwnie, że oglądają go jak konia na sprzedaż. Natomiast Stach zachwalał go tak, jakby właśnie starał się go sprzedać, między innymi zapewniał, że rok w Handlówce dobrze Angusowi zrobił. Wprawdzie i przedtem był



niezły, ale tylko książkowo, a prawdziwego życia nie znał, natomiast teraz dojrzał. Ku zaskoczeniu Angusa, który uważał to za żarty, oni naprawdę zaczęli wydawać opinie, w rodzaju „obleci” albo „ujdzie”. Zupełnie jakby był wystawiony na jarmarku.

Nie bardzo to wszystko rozumiał, ale w tym momencie przyszła mu do głowy dziwna myśl, że może Stach zarekomendował go do tajnej organizacji i obecnie poddawany jest oględzinom przed ewentualnym przyjęciem. Ale dalej nie padło już ani jedno słowo na ten temat, rozmowa zesłała na zwykle bieżące tematy i po chwili Angus zaczął przypuszczać, że coś mu się przywidziało. Może w ogóle powinien się leczyć, ma halucynacje, wkrótce może obaczyć duchy w biały dzień, bo sny które się sprawdzają to już nawet miał. Odbyli dość długi spacer błoniami, potem ulicą Pierackiego aż do Ogrodowej i z powrotem, w końcu Stach zapytał Angusa, czy ma czas także po obiedzie. - Oczywiście.- To dobrze, bo chciałem ci coś pokazać. Ale proszę cię, żebyś niczemu się nie dziwił, ani niczego nie komentował, tylko uważnie się przyglądał. Zapamiętaj jak najwięcej szczegółów, pogadamy później i wszelkie uwagi zachowaj do tego czasu.

Było to dość dziwne i znów serce Angusa zabiło nadzieją, że może coś się szykuje. Ale gdy spotkali się po południu, wszystko wyglądało normalnie, ot zwykła rozmowa kolegów, którzy spotykają się po długim czasie, Stach skończył jakiś czas temu cztery klasy także z przedmiotów humanistycznych i wspominał, że przez łacinę przebrnął naprawdę z wysiłkiem, Angusa dopiero to czeka, więc niech się przygotuje na najgorsze. Z kolei pytał Angusa jak jemu wiodło się w szkole i trochę o kolegów, a jak tam z dziewczynami. Cóż, Angus nie miał wiele do powiedzenia, wprawdzie spoglądał na nie często, czasami wprost pożerał niektóre wzrokiem, ale zdecydowanie nie chciał się angażować. Ponieważ jednak każdy z chłopaków miał swoją upatrzoną, przy czym to wcale nie oznaczało, że cokolwiek mu się udało, nawet tylko zaprzyjaźnić, każdy marzył o jakiejś dziewczynie i zwierzał się ze swoich uczuć kolegom, więc i Angus, żeby się nie wyróżniać, wybrał rzekomy obiekt swoich uczuć. Wybrał zupełnie świadomie taką dziewczynę, u której nie miał najmniejszych szans. W tym wypadku nie kierował się nawet wyglądem, bo szczerze mówiąc bardziej podobały mu się inne i to im lubił się przyglądać na lekcjach, ale inteligencją. Twierdził, że najbardziej podoba mu się klasowa prymuska, Wanda Baraczówna. Była to dziewczyna rozgadana i żywa, mająca wciąż coś do powiedzenia, otoczona grupą dziewczyn którymi lubiła rządzić. Czasem Angus w skrytości ducha porównywał ją do rozgęganej gęsi, miała jednak dwie istotne zalety. Pierwsza, to autentyczna inteligencja, w tym także szybkość myślenia, dochodziła do trafnego wniosku w nowych sprawach o wiele szybciej niż inni, nie wyłączając samego Angusa. Druga zaleta wynikała z pierwszej, mianowicie o ile w ogóle mało zadawała

się z chłopcami, to Angusa tępiła od początku i konsekwentnie, przez cały czas. To było usprawiedliwione, bo Agnus znalazłszy się w koedukacyjnej klasie, z początku zupełnie nie umiał się zachować i postępował tak, jak chłopak ze szkoły dla chłopców, obcy światu dziewczyn..

W każdym razie, mógł Angus zupełnie bezpiecznie wlepić w nią przez kilka minut, zwykle na pierwszej lekcji, cielece oczy, a następnie przy kolegach, jeżeli była o tym mowa, tylko wzdychać i nie mówić nic. Nie istniało niebezpieczeństwo, że Wanda nagle zmięknie i zainteresuje się jego osobą i tak zostało do końca.

Głęboko na dnie duszy nosił Angus inny obraz i umieścił tam wszystkie swoje uczucia, chociaż bez nadziei. Ale z zupełnie innych powodów, bo tutaj był pewien wzajemności i to dawało trochę pocieszenia. Wielu rzeczy nie rozumiał, nie mógł się pogodzić zwłaszcza z tym, że mają spotkać się dopiero w życiu pozagrobowym. Ale nie traktował tego jako przesądzone, przeciwnie, w życiu tyle jeszcze mogło się zdarzyć. Wszystko mówiło mu, że na pewno się jeszcze spotkają, trzeba odczekać, kiedyś nadejdzie taka chwila. Ale nawet gdyby nigdy nie mieli się spotkać, to i tak obok miłości i uwielbienia zawsze zachowa największą wdzięczność i nic nie zmieni faktu, że samo wspomnienie stanowi największe szczęście jego życia. Nawet w nieszczęściu, wołał to uczucie od dziesięciu szczęśliwych. Był bezgranicznie zakochany, a ta tajemnica miała nigdy nie wydostać się na zewnątrz, w każdym razie nie za ich życia.

Opowiedział więc wersję oficjalną: owszem, jest pewna dziewczyna, same zalety, lecz niestety jedna wada: ma zły gust, on się jej zupełnie nie podoba. Stach roześmiał się protekcjonalnie i powiedział, że on już go podszkoli, jak zabierać się do dziewczyn. Szli podobną trasą jak poprzednio, ale tym razem z Pierackiego skręcili w Polną, potem jeszcze raz i Stach zatrzymał się i powiedział: - To jest fabryka mojej matki.- Jeżeli to ma być duma rodzinna, to nie brzmi zbyt przekonywująco, pomyślał Angus. Poza tym i sam obiekt nie był szczególnie imponujący. Ot, brukowane podwórze otoczone niskimi budynkami i z tyłu jeszcze jedno podwórze z paru szopami. Całość otoczona murem z jedną bramą i tablicą z napisem:

„Fabryka słodyczy i cukierków AMOR”.

Stach opowiadał uprzednio, że przed wojną fabryka była dochodowa, ale teraz zupełnie nie. Po prostu dlatego, że znajdowała się ona pod niemieckim zarządem. To znaczy, formalnie nie została ona odebrana właścicielce i niby nadal stanowi jej własność, ale faktycznie jego matka nie ma nic do powiedzenia, a także nie ma prawa wziąć ani grosza czy też ani cukierka. Nie ma też prawa głosu w sprawie zakupów, sprzedaży, produkcji,

zatrudnienia kogokolwiek lub wynagrodzenia, krótko mówiąc absolutnie niczego. Jedyne prawo, jakie matka zachowała, przynajmniej teoretycznie, to żądać co jakiś czas informacji o stanie interesów. To też z początku, matka Stacha chodziła do fabryki i zarządzający pełnomocnik niemiecki znajdował czas, żeby udzielać jej tych informacji, ale w końcu jej się to znudziło. Jej opinia i tak się nie liczyła, jako właścicielka nie miała żadnego wpływu, a na dodatek sam pełnomocnik zaczął robić się bezczelny. Zresztą zakład pracuje pełną parą i jeszcze więcej, widać to na pierwszy rzut oka, uruchomiono dwie zmiany, a często i trzecią, gdzie przed wojną była tylko jedna. Ale mimo, że produkcja tak się podniosła i wydawałoby się, że powinna przynosić dochód, nie przybyła ani jedna maszyna i nie ma żadnych inwestycji. Stare walcarki są tak wyeksploatowane, że wciąż się rozsypują i co chwila trzeba je naprawiać, a łożyska mają w takim stanie, że nie wytrzymują ciśnienia i tylko dzięki zwiększonemu dodatkowi wody do cukru jeszcze można prasować cukierki.

To, co mówił Stach, było w ogólnych zarysach znane, wszędzie podobnie, maksymalna produkcja, maksymalne wykorzystanie maszyn, żadnych inwestycji, rabunkowa gospodarka.

- Jedyne dobra rzecz, to że pracuje tu teraz dużo dziewczyn, niektóre całkiem ładne i o każdej porze, za jasna i po ciemku też. Można sobie z łatwością coś przygruchać, - żartował Stach. - Patrz, to jest właśnie moja obecna sympatia. - Stach przysiadł się do dziewczyny, ani specjalnie ładnej, ani brzydkiej, w małym kantorku koło sali z pracownicami, pakującymi cukierki i zaczął z niej żartować i przeszkadzać jej w pracy. Stopniowo przysiadł się coraz bliżej, aż wylądował na jednym krzeselku i podszczypywał ją przy tym tak fachowo, że Angusa zaczęło to żenować i poczuł się niezręcznie, zbędny. Parę razy mówił, że nie chce przeszkadzać i wstawał do wyjścia, ale za każdym razem Stach zatrzymywał go prawie na siłę, mrugał przy tym i dawał znaki, żeby został i nie ruszał się z miejsca.

Angus nie rozumiał tej sytuacji, ale coraz bardziej zaczęła go ona krepować. Owszem, w przeszłości zdarzało się, że wypytywał starszego i zapewne bardziej doświadczonego kolegę o sprawy seksu i o dziewczyny, starał się też dowiedzieć bardziej konkretnych szczegółów, ale daremnie. Chciał też wiedzieć, jak postępować z dziewczynami, już samo zawarcie znajomości było trudne, a potem jeszcze długa i skomplikowana droga żeby się zbliżyć. Gubił się w tym wszystkim i nie wyobrażał sobie, żeby możliwe było nie popełnić błędu, nie jednego, stu, ale gdyby nawet wszystko się udawało, to miał słabe pojęcie, co się robi potem. Dwa lata temu, kiedy chodzili razem na lekcje, usiłował wydusić od Stacha jakieś konkretne wskazówki, a starszy kolega albo zmieniał temat, albo odpowiadał żartem, a często wymyślał takie bzdury, robiąc sobie żarty z całkiem zielonego chłopaka, że dopiero po

pewnym czasie Angus był w stanie się połapać, a wtedy pokpiwał z niego jeszcze bardziej. Czy więc teraz chciał pokazać mu praktycznie, jak brać się do rzeczy?

W międzyczasie Angus już sam zdobył interesujące go informacje, najpierw praktycznie, a potem także wyczerpujące wykształcenie teoretyczne w Handlówce, gdzie język był bardzo plastyczny. Miał też różnych kolegów i koleżanki i spotkał się z różnymi sytuacjami. A najważniejsze, że właśnie znajdował się w okresie największej miłości, którą zachowywał w absolutnej, najgłębszej tajemnicy.

Bez wątpienia, instruktaz byłby nadal bardzo przyteczny, bo znał sprawy tylko w ogólnych zarysach i żadnych dalszych lekcji nie pobierał, był więc nadal niezdarnym chłopakiem. Ale w tej chwili było mu nie do tego, nie chciał się w nic więcej angażować. Krótko mówiąc, czuł się tutaj fatalnie, zwłaszcza że mimo wszystko te śmiałe przykłady jednak go podniecały. Ale mowy nie było, żeby on teraz mógł postąpić podobnie.

Nieporozumienie wynikło dlatego, że niedoświadczony chłopak błędnie ocenił sytuację, a Stach konsekwentnie trzymał go na ciemno, nie dawał poznać ani domyślić się, że to wszystko pozory, a w rzeczywistości chodzi o bardzo poważne sprawy. Stach właśnie osiągnął najważniejszy cel swego życia, ukończył z wielkim nakładem pracy i starań gimnazjum (tzn. cztery klasy, dalej uczono się w liceum) i po dalszych miesiącach oczekowań został wreszcie przyjęty do konspiracyjnej podchorążówki. Jednocześnie został przyjęty do Oddziału Dywersyjnego jako prawdziwy, rzeczywisty żołnierz, bo przedtem kręcił się tylko jako takie piąte koło u wozu, trochę łącznik, trochę pomocnik-wolontariusz.

To nie była łatwa droga, wprawdzie współpraca z Agnusem przydała mu się w przedmiotach matematyczno-przyrodniczych, ale potem, przy łacinie trafił na bardzo wymagającego i kochającego swój przedmiot nauczyciela, dość powiedzieć, że program przerobili prawie w nominalnym czasie. Nie wiele dało się przyśpieszyć, chociaż uczniowie wprost wychodzili ze skóry. Nic więc dziwnego, że osiągnąwszy wreszcie pełnię szczęścia, które widział w sposób zupełnie zbieżny z wyobrażeniami Angusa, chciał teraz się wykazać i zasłużyć.

Nie przyszedł tutaj dla zabawy, ani też, jak wyobraził sobie Angus, dać mu pogładowa lekcję, jak zabierać się do dziewczyn, ale aby wypełnić pierwsze samodzielne zadanie konspiracyjne. W gruncie rzeczy był tym przejęty i spięty jak diabli, starał się ze wszystkich sił, żeby wszystko wypadło dobrze, zgodnie z instrukcją. Trochę przy tym przedobrzył dlatego, że za bardzo się starał.

Zarówno to, że przyszedł w towarzystwie kolegi, jak i dziewczyna, to był kamuflaż. Nie miał doświadczenia bojowego, to było jego pierwsze poważne zadanie i dbał, żeby ten

kamuflaż wypadł naturalnie, a wszystko inne wzorowo. Właściwie niepotrzebnie grał aż tak dobrze swą rolę przed Angusem, czym zmylił zielonego chłopaka i nasunął mu te wszystkie prymitywne, może niskie i odrażające skojarzenia. Trzeba wyjaśnić kilka spraw techniczno-organizacyjnych, o których większość ludzi ma tylko ogólne pojęcie, a niektórzy fałszywe.

### **Kapsuła: Baza materialna konspiracji.**

Każda organizacja podziemna, oprócz pierwszego i najważniejszego czynnika, ludzi, ich zaangażowania i dobrej woli, a często ostatecznego poświęcenia, potrzebuje do działania również środków materialnych. Na przykład gdy ruch oporu wydawał w Ostrowcu tajne gazetki i inne publikacje, oprócz ludzi wykonujących tą pracę, potrzebne są papier, farba, tzw. woskówki i urządzenia techniczne, to wszystko trzeba kupić lub dostarczyć. Dla bojówek i tym bardziej większych oddziałów zbrojnych, potrzeba broni i amunicji, specjalnego wyposażenia oraz wielu innych rzeczy. Skoro część tej broni nabywano od zdemoralizowanych żołnierzy niemieckich, to tym bardziej trzeba było płacić i to dobrze, przecież jeżeli żołnierz decyduje się sprzedać wrogowi amunicję i broń, to robi to wyłącznie dla dobrej zapłaty. Nie zadowoli się byle czym, zdając sobie sprawę, że gdyby to wyszło na jaw, straciłby własną głowę, bo taki postępek traktuje się jako co najmniej Landesverrat - zdradę.

Wreszcie sprawa, którą zwykle traktuje się wstydliwie - istnieją również koszty osobowe. Na przykład ludzie, zaangażowani całkowicie i bez reszty w działalność podziemną, powiedzmy fachowi pracownicy tzw. techniki, pracujący w pełnym wymiarze czasu drukarz, albo wykwalifikowany rusznikarz, czy dajmy na to fałszerz dokumentów, zwykle zaangażowani są całkowicie w pracę podziemną i ta praca jest szczególnie cenna. Jednak ci ludzie muszą także jeść, ubierać się i gdzieś mieszkać, a często także zapewnić minimum egzystencji rodzinom. Krótko mówiąc, niektórzy członkowie organizacji muszą otrzymywać wynagrodzenie, zwykle najniższe możliwe, tyle, żeby móc przeżyć i działać, chociaż robią to, co robią głównie z pobudek ideowych. Podobnie w nagłych wypadkach wielu ludzi jechało gdzieś albo przewoziło coś na własny koszt, ale to jednorazowo. Nawet i w takich wypadkach zasadą jest, że należy zwrócić poniesione koszty przy pierwszej okazji, gdy to możliwe, a w wypadku stałych łączników to oczywiście rutynowe postępowanie. W oddziałach partyzanckich, żołnierz musi mieć pewne środki materialne przeznaczone na wyżywienie, względnie oddział dysponuje kasą, z której dokonuje wypłat, bo żołnierz musi jeść, a głodny mógłby dopuścić się rabunku. W każdym oddziale AK obowiązywała bezwzględnie zasada, że za żywność się płaci, nawet jeżeli ludność dostarczyła ją z własnej inicjatywy i jako dar serca. Ale istniały inne, tzw. dzikie albo zdemoralizowane oddziały,

rabujące żywność. Na przykład złą opinię miały, wprowadzicie bardzo nieliczne oddziały komunistyczne, a także o NSZ mówiono różnie. W każdym razie, w wypadku AK każdy wypadek rabunku miał być i rzeczywiście był bardzo surowo karany. Ale to oznaczało, że ludzie nie mogli być głodni i na to też potrzebne są środki materialne, o czym jakoś zwykle wstydliwie się milczy.

Dalej, każda organizacja stara się z zasady udzielić pomocy rodzinom ofiar, zwłaszcza rodzinom, które straciły swych żywicieli, ponosząc śmierć w służbie idei i organizacji, a także rodzinom więźniów. To jest tak oczywiste, że nie wymaga wyjaśnień. Niestety, często ta pomoc bywa niewystarczająca, po prostu zależy to, jakimi środkami organizacja dysponuje. Zwykle możliwe jest zaspokojenie tylko części potrzeb, wiele rodzin ofiar lub więźniów cierpi nie tylko z powodu utraty bliskich, ale także nędzę i to jest szczególnie bolesne.

Właściwie to powinno być jasne dla każdego logicznie myślącego człowieka, ale zwykle te przyziemne sprawy pomijane są milczeniem.

Teraz następna sprawa: skąd tajne organizacje biorą środki materialne, potrzebne na wyżej wymienione, a także inne cele? Otóż część tych środków pochodzi z dobrowolnych ofiar członków, a także sympatyków. Ludzie silnie zaangażowani uczuciowo, oprócz osobistego udziału w działaniu, wspierają także swoją organizację materialnie. Inni dają tylko pieniądze. Na przykład, tajne wydawnictwa, w zasadzie były bezpłatne. Ale każda gazetka, na końcu drukowała zwykle listę dobrowolnych darów, pod określonymi przez dawców pseudonimami. Ludzie w lepszej sytuacji, składali nieraz duże ofiary.

Wreszcie prowadzono też akcje zbrojne, dawniej zwane ekspropionacjami, mające na celu zdobycie większych środków. Angus i zapewne wielu nieorientowanych ludzi, wyobrażało sobie, że takie zdobycie pieniędzy stanowi po prostu napad zbrojny i skok na kasę. Już znacznie później, w latach 1946 i 1947, a więc po wojnie (albo i nie, bo wojna w Polsce właściwie trwała dla Angusa do 1947 r.), kilkakrotnie uczestniczył on w takich, raczej małych akcjach i wtedy miał okazję stwierdzić, że rzeczywistość wcale nie odpowiada tym wyobrażeniom. Miały tylko pozory napadu rabunkowego, w rzeczywistości była to jakby kolekta, kolektorzy przychodzili odebrać z góry umówioną ofiarę. Gdyby sprawa się wydała, ofiarodawca mógł się tłumaczyć, że działał pod przymusem i musiał tak postąpić wobec zbrojnej przemocy. Angus kilkakrotnie odbierał pieniądze, ofiarowane na cele niepodległościowe, przez właścicieli małych sklepów lub przedsiębiorstw, które jeszcze w tym czasie istniały. Odbywało się to w ten sposób, że zwykle o wyznaczonej przez samego właściciela godzinie, przychodziły w dane miejsce zwykle dwie osoby, ewentualnie oczekiwały chwilę aż zrobi się pusto i potem wyjmowały broń, albo tylko uchylały poję

marynarki i pokazywały kolbę pistoletu jakby to była legitymacja. Właściciel wskazywał kasę, w której leżała umówiona wcześniej kwota, kolektorzy sami ją brali i wystawiali pokwitowanie, na którym zwykle przykładali pieczętkę (może nie zawsze tak było, ale w każdym razie w tych wypadkach, w których uczestniczył Angus) i wychodzili, a po określonym czasie właściciel zgłaszał, że padł ofiarą napadu. Taki był scenariusz najmniejszych, ale i najczęstszych akcji, można powiedzieć typowy. Raczej przypominało to kwestę parafialną, ale zachowywano środki ostrożności, bo kiedy idzie się z bronią w rękę, zawsze może zdarzyć się coś nieprzewidzianego. Na przykład kolektorzy, powinni dobrze obejrzeć miejsce i teren gdzie mieć będą sprawę do załatwienia. Ponadto przed i w czasie samej akcji, inna osoba albo osoby obserwowały to miejsce i jeżeli zauważyły coś nieprzewidzianego, miały umówione sygnały ostrzegawcze. Zdarzało się, że zlecano to samym ofiarodawcom.

Oczywiście, w wypadku akcji w której brała udział większa ilość osób i chodziło o większe środki, to już nie był spacer dla przyjemności, a ryzyko znacznie rosło, więc wszystko wymagało starannych przygotowań. Ale jedna rzecz była niezmienna: zawsze odbywało się to przy jakiejś współpracy od wewnątrz. Jeżeli w takiej akcji nie uczestniczył sam właściciel albo kierownik, to przynajmniej ktoś z personelu, w wypadku większych przedsiębiorstw lub instytucji, często kilku pracowników.

W tym konkretnym wypadku, Stach osiągnąwszy pełnię wymarzonego szczęścia, zostawszy żołnierzem Oddziału Dywersyjnego i elewem tajnej podchorążówki, pragnął czymś się wykazać, a także okazać swoją wdzięczność. Zaproponował, co wydawało się łatwym i korzystnym celem, akcję na fabrykę swojej matki, przekonał i ją do tego projektu i zyskał jej aprobatę. Jego matka i przedtem wspierała materialnie ruch oporu, nie wspominając już o tym, że sama też czynnie uczestniczyła w konspiracji, podobnie jak przedtem, jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej brała udział w działalności POW. Tyle tylko, że fabryka była teraz całkowicie poza jej władzą, nie miała tam nic do powiedzenia. Nie mogła zrobić nic więcej, niż udzielić swego błogosławieństwa. To syn miał zająć się dostarczeniem wszelkich konkretnych informacji i opracowaniem planu. Koniec kapsuły.

Wydawało się, że wszystko zapowiada się pomyślnie, obiekt leżał na peryferiach miasta, nie był pod nadzorem i w pobliżu nie stacjonowali Niemcy. Produkował towar bardzo poszukiwany w czasie okupacji, za słodczyce partyzanci mogli we wsiach otrzymać inną żywność, po prostu płacić słodyczami jak pieniędzmi. Postanowiono więc załadować wyrobami fabryki całe dwa samochody ciężarowe, ewentualnie wypełniając resztę miejsca cukrem, który też był łatwo chodliwym towarem. Ponieważ na drugiej zmianie pracowało

około trzydzieści pracownic i kilku pracowników, nie było mowy żeby wszystkich wtajemniczać, zresztą nie znano nawet dobrze wszystkich, ktoś mógłby okazać się donosicielem lub sprzedawczykiem. Dlatego do akcji planowano skierować aż kilkunastu uzbrojonych ludzi, nie żeby kogoś terroryzować, ale jednak kilku z nich miało pilnować pracowników, gdy reszta otworzy magazyn i szybko załaduje towar.

W tej chwili, Stach po raz ostatni przed planowaną akcją sprawdzał, czy wszystko w porządku i nie zaszły żadne zmiany, a także, czy magazyny są wypełnione i nie było ostatnio przestoju w produkcji. Nie miał dotąd własnego doświadczenia w akcji bojowej, dlatego starał się postępować ściśle z wpajanymi mu regułami, trzymać się przepisów. Ani jednego zbędnego słowa, ani jednej niepotrzebnej informacji, każdy powinien wiedzieć tylko to, co niezbędne. Zasady może i dobre, ale w praktyce nie zawsze się sprawdzają. W wypadku dobrego zespołu więcej daje wzajemne zaufanie, gdyż ludzie polegając na sobie, osiągają lepsze rezultaty. Na przykład Angus w tym wypadku w rezultacie takiego postępowania, zaczął snuć bezpodstawne przypuszczenia, ale sytuacja nasuwała takie wnioski. Był zde gustowany tym co widział i szereg razy chciał wyjść, mówiąc że nie chce przeszkadzać i jest tu zbędny. W rezultacie, nie tylko nie było z niego żadnego pożytku, ale po prostu przeszkadzał. Być może gdyby, nawet nie dodając żadnych zbędnych szczegółów, Stach zapewnił sobie współpracę kolegi, zamiast traktować go tylko jako głupiego Jasia do dekoracji, sam mógłby lepiej skoncentrować się na zadaniu, a i Angus mógłby okazać się pożyteczny. Wielokrotnie przekonał się później w życiu, że współpraca ludzi kompetentnych nie tylko daje lepsze rezultaty, ale i sprawia mniej ryzyka, niż zachowywanie papierowych reguł. Oczywiście nie ma mowy o niepotrzebnym paplaniu i ujawnianiu szczegółów, potrzeba tylko tyle, żeby każdy mógł mieć świadomość wspólnego celu i głęboką motywację.

Cóż, nic z tych rzeczy. Atmosfera robiła się coraz gorsza i trudniejsza do wytrzymania, zwłaszcza, że Stach nie pozwalając mu nawet wstać, ani przejść do innego pomieszczenia, sam co jakiś czas wstawał i wychodził, zostawiając ich samych. Dziewczyna była mocno zaczerwieniona i zmieszana, Angus nie widział innego wyjaśnienia jak to, że kolega ściągnął go tutaj, żeby praktycznie wyjaśnić jego dawne pytania o sprawy damsko - męskie i jak się to mówi, pomóc mu dojrzeć. Jeżeli tak, to sposób traktowania zwłaszcza dziewczyny, wydawał mu się prymitywny, a nawet obrzydliwy, nie chciał w tym uczestniczyć. A co najdziwniejsze, także i dziewczyna wcale nie robiła wrażenia, żeby miała na niego ochotę, przeciwnie, była wyraźnie spięta i bardzo zdenerwowana. Miał takie wrażenie, jakby chciała wybuchnąć i z trudem się hamowała i że on sam nie jest mile widziany, choć perswadował sobie, że to przewrażliwienie i coś mu się увидziało. Późniejsze



doświadczenia życiowe potwierdziły, że takie wrażenia przez skórę, choć wydają się nieracjonalne, zwykle bywają prawdziwe. Więc siedział na miejscu i silił się na grzeczną rozmowę na tematy neutralne.

Jednak, kiedy wracał Stach i znowu zabierał się do podszczypywania jej, z początku przyjmowała to niechętnie, ale po pewnym czasie widać było, że te i inne niewybredne karesy robiły na niej wrażenie.

Chociaż pewne okoliczności tych zdarzeń będą omawiane dalej, autor musi przyznać, że sam nie ma pojęcia, czy ta dziewczyna po prostu była tak mocno pod wpływem Stacha, że robiła wszystko co jej kazał, czy wypełniała zadanie organizacji. Gdy w końcu wieczorem wyszli na dwór, Angus poczuł ulgę wdychając nareszcie świeże powietrze. Był psychicznie zmęczony, czuł się tak, jakby wyrwał się z jakiegoś nieprzyjemnego miejsca lub snu. Ostatecznie nic takiego, pomyślał, straciłem tylko niepotrzebnie trochę czasu, no dobrze, zmarnowałem go bez sensu. No to co? Nie pierwszy i nie ostatni raz, to nie nieszczęście. Tylko nie rozumiał kolegi, z którym dotąd rozumieli się bardzo dobrze i tolerowali nawet swoje wady i przywary. Na przykład, Stach dość często przybierał ton protekcyjny, podkreślając swoją dorosłość i to, że zniża się do rozmowy ze smarkaczem. Wtedy Angus patrzył z góry swojej wysokości nad głową Stacha, a jeżeli poczuł się dotknięty, to za karę dawał mu odczuć swoją przewagę w ogólnym zakresie informacji, ewentualnie zbaczając na tematy nauk ścisłych gdzie Stach był bez szans. Ale to były żarty, a w ogóle zgadzali się doskonale. Tym razem po raz pierwszy, Angus miał Stacha dosyć, w każdym razie na dzisiaj.

Stach był też milczący i pogrążony we własnych myślach. Wbrew wcześniejszym zapowiedziom niczego nie wyjaśniał, nie pytał także Angusa o wrażenia ani komentarze, pożegnał się wpół drogi i tylko na koniec powiedział coś w rodzaju: - Słuchaj, byku kraso, widziałem jak wytrzeszczałeś oczy niczym srający kot na puszczy. Poczekaj jeszcze trochę, pogadamy za kilka dni, a zresztą niedługo sam wszystko zrozumiesz. Zrobiło się już późno, a ja muszę jeszcze wpaść gdzieś po drodze, nie mówiąc o tym, że obiecałem matce być już przed dobrą godziną. - Podczas drogi do domu, Angus podjął postanowienie: nie ma co dłużej czekać, można stracić niepotrzebnie trochę czasu, ale nie marnować życie. Trzeba zrealizować ułożony plan i to zaraz od jutra. Nie miał pojęcia czy dobrze to wszystko obmyślił, trzeba spróbować, wtedy się przekona.

Wrócił do domu dość późno, ale rodzice czekali na niego z dobrą kolacją. Nie robili wymówek, tego dnia skończył szkołę i myśleli, że poszedł pożegnać się z kolegami. Przy stole matka snuła plany, jak wykorzystując utartą drogę, również na przyszłość zabezpieczyć syna przed Arbeitsamtem. Angusa to już nie dotyczyło, ale nie bąknął ani słowa na ten temat.

Następnego dnia wyszedł, raczej wykradł się z domu wczesnym rankiem, nawet ojciec, który wstawał pierwszy, jeszcze się nie obudził. Ponieważ pewien był, że ojciec zrozumie jego decyzję, nawet jeżeli jest innego zdania, zostawił list tylko do matki. Napisał krótko, że musi spełnić swój obowiązek, inaczej nie potrafiłby żyć. Daje słowo, że nie zginie, wróci jak zły szeląg. Pamięta wszystko, co matka mówiła, będzie na siebie uważał i nigdy sam nie wystawi się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Słowo honoru.

Angusowi nie udało się więcej spotkać Adama Szumilasa, tego z Bodzentyna, nie miał okazji z nim porozmawiać. Zresztą to dobrze, bo obawiał się, że z góry mógłby spotkać się z odmową. Lepiej zastosować taktykę faktów dokonanych. W pamięci wyrzyło mu się jedno słowo, Michniów. Nie wiedział dokładnie, gdzie to jest, ale orientował się w ogólnym kierunku.

Do wyboru miał dwie drogi: albo szosą do Starachowic i tam rozpytać się dokładniej, albo iść bardziej pustą, okólną trasą. Raz już na próbę zrobił wycieczkę szosą do okolic Kunowa, by tam dyskretnie rozpytać się o dalszą drogę, ale jakoś bez powodzenia. Były takie czasy, że ludzie niechętnie wdawali się w rozmowy z nieznanymi, nie udzielali informacji. A on, jakoś nie umiał dowiedzieć się mimochodem, tak na marginesie rozmowy o czymś innym. Prawdopodobnie w Starachowicach, tylko by zwracał na siebie uwagę, odstawał jak chory palec w bandażu, a i tak niczego się nie dowie. Druga możliwość, to było pójść najpierw do Chmielowa, wsi położonej ok. 6 km od Ostrowca, wysuniętej we właściwym kierunku. Tam mieszkał jeden z kolegów z jego klasy, Mandelski. Wprawdzie nie byli bliskimi przyjaciółmi, ledwie raz pogadali sobie trochę dłużej od serca, bo ten kolega trochę się jękał i może dlatego nie należał do rozmownych. Ale znali się na tyle dobrze, że mógł liczyć na otrzymanie wskazówek. Postanowił ruszyć najpierw do Chmielowa, a dopiero gdyby nie udało się tam zdobyć informacji, udać się do Starachowic, ale nie zatrzymywać się tam, lecz dopiero za miastem, ewentualnie na wylocie dowiadywać się o drogę. Gdyby natomiast Michniów okazał się już nieaktualny, albo nic nie dało się tam wskórać, to postanowił pójść następnie do Bodzentyna, odszukać dom Szumilasów, przedstawić się, powiedzieć, że w Ostrowcu mieszka w domu Szumilasów i dobrze zna Adama Szumilasa, tego z Ostrowca, przyjaźni się z nim. Jeżeli uda mu się jakoś odszukać i skontaktować z Adamem Szumilasem z Bodzentyna, to powie mu wszystko o sobie. Tak czy owak, powinien mieć lepsze szanse, niż gdyby prosił go o rekomendację i poparcie w przyjęciu do oddziału, będąc w Ostrowcu. O tym, co zrobi, jeżeli jednak go nie zechcą, wolał nawet nie myśleć.

W Chmielowie był przed szóstą rano i musiał trochę poczekać koło domu Mandelskiego, wszyscy jeszcze spali. Ale nie zbyt długo i na początek wszystko dobrze się

ułożyło. Kolega, chociaż zaskoczony i jego widokiem i prośbą, wskazał i nawet narysował na piasku, gdzie leży Michniów i drogi dojścia. Angus wybrał drogę, odchodzącą obszernym łukiem od szosy.

\* \* \*

Drzwi od wiejskiego sklepu brzęknęły, to odezwał się zawieszony nad nimi dzwonek. Pomieszczenie było równie duże, jak lokal przy ul Piaski, ale wszystko, zarówno podłoga jak i ściany drewniane, pociemniałe. Sklep był zamieciony i posprzątny, ale chyba od dawna nie myty, bez przesady. Do wnętrza wszedł wysoki i raczej masywny, młody człowiek z rozwichrzoną czupryną, spocony i zmęczony. Szczerze mówiąc, Angus wyglądał jak łajza. Ubrany był w dość solidne buty do kostek, krótkie skarpetki i spodnie, tzw. pumpy, zapinane nad kolanem i zwieszające się do połowy mocno opalonych łydek. To była ich dobra strona, gołe łydki działają jak naturalne chłodnica, a w razie chłodu pumpy opuszcza się i zapina na kostkach. Na ramionach miał zarzuconą bluzę, tzw. wiatrówkę, a pod nią koszulę z podwiniętymi rękawami i rozpiętymi guzikami. Matka Angusa wołała zwykle na taki widok:

- Bój się Boga, jak ty wyglądasz, rozpięty aż do pępka. - Było dobrze po południu, okropny upał. Przestał się już właściwie pocić, w każdym razie nie obficie, bo był odwodniony, choć po drodze pił z kilku studni. Starał się także splukać kurz i pot, ale oczywiście i tak wkrótce osiadały nowe.

Za ladą stał mężczyzna dobrze po czterdziestce, duże chłopisko, a z drugiej strony dwie albo trzy osoby, nic nie kupowali tylko rozmawiali. Przy wejściu Angusa przerwali zaczęli mu się przyglądać. Przez chwilę wyglądało to, jak scena z filmu kowbojskiego, podszedł do lady, ale zamiast rzucić srebrnego dolara, sięgnął do kieszeni po papierowe pieniądze i wskazując na drewnianą skrzynkę powiedział: - proszę dwie oranżady. Umierał z pragnienia, nie czekając na szklankę otworzył tzw. patentowe zamknięcie, butelki zaopatrzone były w obecnie już nieużywane, zatrzask z grubego drutu i porcelanowy kapsel, z gumową uszczelką. Z powodu gorąca, gaz gwałtownie spenił płyn i część oranżady oblała Angusa, który chciwie wypił resztę. Drugą butelkę otworzył niepotrzebnie ostrożnie, gdyż uszczelka nie trzymała dobrze i zawartość była bez gazu. Ale i tak oranżada miała wspaniały smak, dawno takiej nie pił, więc poprosił o następne dwie butelki. Osuszył je równie szybko i poprosił o dwie następne, co wywołało lekki uśmiech na twarzy sprzedawcy. Angus uznał to za dobry znak. Wziął te butelki, szklankę i siadł przy stoliku. Nie był to lokal gastronomiczny, jednak przed ladą, przy przeciwnych ścianach, stały dwa stoliki i parę krzeseł.

Zabrał się do oranżady już w wolniejszym tempie, ludzie w sklepie przestali się nim interesować i po chwili wyszli. Gdy tylko zrobiło się pusto, Angus podszedł do sprzedawcy

i... no tak, otworzył usta i zamknął je. Początek był trudny, nie przygotował sobie gadki. Dopiero teraz mógł ocenić konkretną sytuacją i nic rozsądnego nie przychodziło do głowy. Nie mógł tak po prostu zapytać, czy w pobliżu znajduje się oddział partyzancki. Zdecydował się pytać o osobę i po niepotrzebnie długim wstępie, przerywanym chrząkaniem i pauzami kłopotliwego milczenia, w końcu wykrztusił, że chce znaleźć niejakiego Adama Szumilasa. Nie miał absolutnie pojęcia jaki on nosi pseudonim i nie zdawał sobie w pełni sprawy, że stosuje się wyłącznie pseudonimy, a nazwiska nigdy nie są wymieniane i, przynajmniej w teorii, nie znane. Chociaż gdy kilkudziesięciu chłopaków pochodzi z jednej miejscowości, Bodzentyna, muszą znać się między sobą i wiedzieć, kto jest kto.

W każdym razie to był błąd. Sprzedawca uniósł brwi i zapytał, - A kto to taki? - Zdając sobie sprawę, że zrobił fatalne wrażenie, Agnus postanowił wyłożyć kawę na ławę. Opowiedział kto jest, skąd przychodzi, wszystko o sobie w skrócie i wyciągnął też z kieszeni wszystkie dokumenty, jakie zabrał ze sobą na wypadek, gdyby był legitymowany gdzieś przez Niemców. Oprócz Kennkarty i legitymacji szkolnej, miał jeszcze ze sobą świadectwo - nie ukończenia szkoły, bo to zostawił w domu - ale stopnie z półrocza. Miał też w kieszeniach kilka fotografii, siebie samego z zaprzyjaźnionym psem, dom w którym mieszkał w Ostrowcu, obejście, pobliski lasek itd. Tych fotografii nie zabrał celowo, plątały się w kieszeniach, gdyż od czasu jak matka kupiła aparat fotograficzny w nagrodę za pierwsze sukcesy w matematyce, robił zdjęcia amatorskie, co się trafiło. Z początku wywoływał i powiększał je u Moranowskiego, który pozwolił mu pomagać w ciemni, a potem zwykle oddawał do pracowni fotograficznej do wywołania.

W końcu z tych chaotycznych wyjaśnień, jakoś złożyła się logiczna całość: mieszka w Ostrowcu, u rodziny osoby, której szuka i musi przekazać pilną wiadomość, osobiście. Sprzedawca powiedział, że on naprawdę nikogo takiego nie zna i nie ma pojęcia o kogo chodzi. Wszystko, co może zrobić, to spróbować się dowiedzieć, ale nie tak zaraz. Czy Angus mógłby wpaść ponownie, za dzień lub dwa?

Na to Agnus, że nie zdawał sobie sprawy, jaka daleka jest droga i jest bardzo zmęczony (to było widać, zwłaszcza, że mylił drogę i potem, nie zważając na upał, starał się to nadrobić). więc czy nie mógłby tu gdzieś przenocować? Nie ma wymagań, może być słoma albo siano w stodole.

Wydało się, że te słowa, że chce zostać i poczekać jakby trochę uspokoiły rozmówcę Angusa. W każdym razie odpowiedział, że chyba ktoś zgodzi się przenocować Angusa, oczywiście nie ma co liczyć na luksusy. Jednak trzeba trochę poczekać, aż wyjaśni się, gdzie może Angusa skierować.

Powiedziano wszystko, co było do powiedzenia, a w sklepie było trochę duszno i trzeba było odganiać się od much (to znaczy, nie było ich tam aż tak bardzo dużo, bo zamykano drzwi i wisiało też kilka muchołapek, ale jednak trochę), więc wolał wyjść i poczekać w cieniu na dworze. Znalazł odpowiednie miejsce pod drzewem i usiadł, a po chwili wyciągnął się na trawie. Był zmęczony drogą, zapewne najkrótszą trasą byłoby ze 30 km, ale on szukał drogi, co najmniej raz się pomylił, uszedł kawał i potem wracał po tej samej drodze i w ogóle, na pewno przeszedł dobrze ponad 40 km, choć pewnie mniej, niż 50. Ale nie to go tak wykończyło - tylko ten upał ten przekłety upał - i to, że przez całą drogę śpieszył się ze wszystkich sił, ciągle powtarzał sobie - no to gazu! Gazu!!!

W miarę zbliżania się do celu rosło podniecenie nerwowe, wszystko miało się rozstrzygnąć. Czy jego przypuszczenia są słuszne, czy rzeczywiście dotrze do oddziału partyzanckiego, czy nie były to tylko wymysły jego własnej wyobraźni, oparte na paru podsłuchanych, niejasnych i niewyraźnych słowach. Może opowiadano rozdział z powieści. No, chyba jednak nie. Ale czy dostanie się do oddziału, czy zdoła osiągnąć cel swego życia, czy w ogóle uda mu się coś w życiu osiągnąć? Już parę razy wydawało się, że jest blisko, a potem wszystko okazywało się tylko złudzeniem. Coś się wydaje, mami, pociąga, a gdy się człowiek zbliży okazuje się zwykłą pomyłką. Kiedy tak myślał, ogarniała go gorączka i przyspieszał kroku, nie zważając na upał, zmęczenie i słabość własnego organizmu.

Teraz to gorączkowe podniecenie nie ustało, ale był otępiały, mieszało mu się w głowie. Miał jednak takie nieodparte wrażenie, jakby dobrze trafił, znalazł to, co szuka, w tym miejscu coś czuł. Za chwilę wszystko się rozstrzygnie, czy droga miała sens. Co do reszty, to czuł się jak przed jakimś najważniejszym egzaminem, miał nadzieję że zda, powinien chyba zdać, ale z drugiej strony był przerażony aż do szpiku kości, nie był w stanie nawet pomyśleć, co się stanie, jeżeli nie zda. To zbyt straszne, żeby mogło być prawdziwe, wszystkie nadzieje i plany życiowe na nic, lepiej nie zastanawiać się z góry. Nawet nie zauważył, kiedy zasnął.

Obudziło go potrząsanie za ramię. Wciąż było gorąco, ale słońce wyraźnie się obniżyło. Nad nim stał sprzedawca ze sklepu, a obok mały, bosy chłopiec - który miał zaprowadzić go do gospodarstwa, gdzie będzie mógł przenocować w stodole. Mężczyzna poradził mu, żeby chwilowo nie kręcił się po okolicy. Skoro chce, to może tam przenocować i potem niech spokojnie czeka na miejscu. Jest zmęczony i potrzebuje odpoczynku, nadmierna aktywność, dalsze męczenie się mogłyby okazać się niezdrowe. Aluzja przejrzysta.

Angus poszedł za chłopcem do zagrody, położonej daleko, całkiem na skraju wsi. Obejście raczej opuszczone, mieszkało tam samotnie dwoje starszych ludzi, może już nie dawali sobie rady z gospodarstwem. Gospodarz, jeszcze nie taki stary, ale mały i skurczony,

wskazał miejsce w stodole, w której, choć po zniwach, było niewiele zboża, natomiast część miejsca zabierał zapas jeszcze starej słomy, a w przejściu stała sieczkarnia. Do chałupy raczej nie zapraszał i w ogóle był małomówny, nie chciał też przyjąć pieniędzy, choć w końcu Angus wcisnął mu banknot. Kobieta, też starsza, prawie się nie pokazywała, natomiast za gospodarzem biegał cały czas biały, włochaty pies, bynajmniej nie groźny, lecz bojaźliwy, ciekawy i przyjazny, ale przy tym czujny i wyjątkowo hałaśliwy.

Nie było to luksusowe lokum, ale też niczego lepszego Angus się nie spodziewał, od chwili opuszczenia domu musiał przestawić się na nowe życie, zapomnieć o wygodach. Najważniejsze, że była tu studnia i mógł brać z niej wodę i umyć się obok, w drewnianym szafliku. Podobnie jak wszystko dokoła, studnia też była trochę zrujnowana. Wodę czerpało się wiadrem przypiętym na łańcuchu do kołowrotu, którego korba chodziła nierówno, a i przydałoby się wybrać całą wodę żeby nasza nowa, bo ta była jakaś zastała, nie najlepsza. Ale możliwość gruntownego splukania kurzu i potu i tak była cudowna, a co do picia, to postawił pełne wiadro i potem zlewał z niego czystszej wodę. Postanowił pić nie za dużo na raz, ale po kilka łyków, tak żeby nie rozcieńczać soków żołądkowych i nigdy świeżo po jedzeniu, to skutecznie zwalcza bakterie. Zresztą, po drodze pił już wodę z różnych studni, a tutaj też mieszkali ludzie i jakoś żyli, woda im nie zaszkodziła.

Wczesnym wieczorem wybrał sobie miejsca na starej słomie, w tej połowie stodoły leżało też trochę siana, ale pachniało zbyt mocno, a temperatura wciąż była wysoka i nie miało sensu się zagrzebywać. Zasnął natychmiast i noc przespał jak kamień, natomiast gdy rano obudził się, jeszcze nie całkiem przytomny i usiadł, zaraz opadł z powrotem na słomę. Coś było z nim bardzo nie w porządku.

Po chwili poczuł gwałtowny skurcz brzucha, musiał szybko podnieść się i pędzić za stodołę, ledwie zdążył odejść kilkadziesiąt kroków do pobliskiej kępy krzaków. Każdemu trafiają się niedyspozycje żołądka, ale to była wyjątkowo silna biegunka i bardzo wyczerpująca. Kiedy wstał, kręciło mu się w głowie pot wystąpił na czoło, był słaby jak kot, nie, jak kotek Musiał przytrzymać się młodego drzewka, dobrze że został na miejscu, bo po paru minutach poczuł nowy skurcz brzucha, jeszcze gorszy.

Wrócił do stodoły i położył się. W tej pozycji, słabość minęła i osądził, że ostatecznie to nie takie wielkie nieszczęście. Rozstrój żołądka zdarza się i przechodzi. Pech, że zdarzył się właśnie teraz, ale dobrze, bo ten dzień i tak musi czekać. Gdyby został właśnie przyjęty i taka rzecz mu się zdarzyła, to byłaby dopiero klęska. Powinno przejść mu do jutra, a pewnie zostanie jeszcze jeden lub parę dni w rezerwie. Postanowił tego dnia nic nie jeść, to najpewniejszy sposób. Gdyby tak mama ugotowała mu jutro płatki owsiane, to na pewno

byłoby po kłopotcie. A na razie przez cały dzień będzie leżeć i odpoczywać, co za szkoda, że nie ma żadnej książki.

Jednak choć nie tak gwałtowna, biegunka trwała cały dzień, tyle, że nie tak ostro i nie musiał obawiać się, że nie zdąży. Zupełnie nie rozumiał, jak to możliwe, przecież po którymś kolejnym wypróżnieniu musiał być już całkowicie pusty. Poza tym, wydzielina stawała się coraz jaśniejsza, w końcu prawie biała, natomiast mocz coraz ciemniejszy. Ale najgorsza nie biegunka, najgorsze było odbijanie. Za każdym razem robiło mu się niedobrze, ale bez skłonności do wymiotów. Niedobrze, to nie jest właściwe określenie, to było nie tylko uczucie mdłości, ale jednocześnie pustki, ogromnej samotności - nie w tym sensie, że z dala od ludzi i domu, gdyby był w tłumie albo przy rodzicach, to nic by nie zmieniło. To było uczucie pozostawiania samemu na obcym świecie, dziś powiedzielibyśmy, kosmicznej pustki. Był z dala od świata, wszystko na zewnątrz dalekie i obce, a jednocześnie przenikał go potworny strach, bał się tak, że tego nie podobna opisać. Próżnia, czczość i nieprawdopodobnie intensywne uczucie mdłości nasilały się, a nie miał niczego, co mógłby zwymiotować, aż w końcu następowała kulminacja, wydobył się gazów górą, wcale nie dużo. Kiedyś, jeszcze przed wojną, ucząc się o gazach trujących w programie LOPP, zapamiętał zapach fosgenu, określany jako „zapach zgniłych liści” lub „zgniłej kapusty”. Tu nie mogło chodzić o fosgen, ale zapach był właśnie taki, nawet nie specjalnie silny, ale tak przykry, że niepodobna go wytrzymać. Po każdym takim beknięciu, opadał na słomę i przez pięć do dziesięciu minut przychodził do siebie, pokryty zimnym potem. Stopniowo, zarówno biegunka jak i to okropne odbijanie powtarzały się coraz rzadziej, ale też i Angus był coraz słabszy. Oczywiście, tego dnia nie jadł zupełnie, ale postawił koło siebie zapas wody i co jakiś czas pił po parę łyków, bo zdawał sobie sprawę, że odwodnienie wykończyłoby go ostatecznie. Nie mógł zasnąć, chociaż co jakiś czas popadał w stan odrętwienia i przerw świadomości. Starał się zająć czymś umysł, odrzucić od siebie te okropne uczucia, wyizolowania, znajdowania się gdzieś na samej krawędzi czegoś i strachu wraz z odrazą i wstrętem. Nie tylko opisać, tego Angus nie potrafił sobie później nawet sobie dokładnie przypomnieć. W każdym razie nie był to lęk przed śmiercią, przeciwnie, w chwilach takiej męki, Angusa prześladowała myśl, jak dobrze byłoby wreszcie umrzeć, żeby się to nareszcie skończyło. Z całej siły nakazywał sobie, że nie wolno mu nawet o tym myśleć. Nie ma prawa umierać, po pierwsze obiecał matce, że wróci do domu, a po drugie, jeżeli miałby już umrzeć, to nie tak bez sensu i daremnie. Zginąć w walce z Niemcami to co innego, tylko taka śmierć byłaby usprawiedliwiona. Najbardziej przerażała go myśl, że wpada w natręctwo myślowe i w końcu, nie będąc już sobą, może sam się zabić. Jak to dobrze, że nie ma przy sobie noża.

Przedtem żałował, że zapomniał wziąć nóż choćby do pokrajania chleba, a teraz okazało się, że to szczęście. Żeby się czymś zająć, recytował swój zapas wierszy, starczyło na część dnia, a kiedy już go skończył zaczął od nowa.

Kiedy miał już tego dość, pod wieczór spróbował przenieść wyobraźnię na sprawy seksu, wyobrazić sobie najapetyczniejsze dziewczyny z klasy i znaleźć chwilową ucieczkę w onanizmie.

Tutaj krótkie wyjaśnienie: w minionym roku, Agnus oczywiście nie zaprzestał tego zwyczaju, tylko starał się ograniczyć go do niezbędnego stopnia. Od chwili rozpoczęcia funkcji organów płciowych, wydzielanie spermy stało się po prostu fizjologiczną koniecznością i nie mógł zmusić organizmu do zaniechania tego. Zresztą okazało się też, że prawie wszyscy chłopcy w klasie też się onanizowali i część przyznawała się do tego otwarcie, tylko paru podobno nie potrzebowało tego robić, bo mieli polucje i sny erotyczne. Absurdem było demonizowanie tego zjawiska. Straszenie chłopca piekłem dlatego, że rozpoczął produkcję spermy miało tyle samo sensu, co na przykład nakazywanie mu całkowitego wstrzymania wydzielenia moczu pod groźą najstraszniejszych kar i wiecznego potępienia po śmierci. Żywy organizm działa autonomicznie i nie jest możliwe narzucenie takich nakazów, próba musi skończyć się niepowodzeniem, a u dzieciaków egzaltowanych i wrażliwych może prowadzić do tragedii. Oczywiście, zdarzają się indywidualne różnice, u niektórych osobników pewne funkcje fizjologiczne mogą być z natury słabsze, albo i w ogóle nie występować.

W tym czasie Agnus zdawał już sobie sprawę z różnicy między całkowitym zaangażowaniem psychicznym i dopiero w konsekwencji tego również fizycznym, a zwykłą potrzebą fizjologiczną. W rezultacie, spowodziło to funkcje organizmu do właściwej proporcji i umożliwiło racjonalne postępowanie. Nie starał się teraz zachowywać całkowitej wstrzeźliwości, doprowadzając się do krańcowego napięcia, by potem, gdy już nie potrafił wytrzymać, onanizować się niezliczoną ilość razy aż do całkowitego wyczerpania. Przekonał się też, że intensywny wysiłek fizyczny stanowi naturalną konkurencję dla spraw seksu, chociaż nie zdawał sobie sprawy z tego, że po prostu organizm gospodaruje ograniczoną pulą protohormonów i zależnie od bieżącego zapotrzebowania, kieruje ją albo do wytwarzania hormonów anabolicznych, albo płciowych. Dlatego np. w czasie intensywnego treningu pływackiego, udawało się zachować długo wstrzeźliwość. Natomiast rezygnując z narzucania sobie reguł z góry, pozwalał sobie na pewną ulgę w wypadkach, gdy ciśnienie wewnętrzne stawało się za wysokie. Krótko, unikał onanizmu gdy mógł. Racjonalne postępowanie i miało ponadto tą dobrą stronę, że ograniczając ilość do najniezbędniejszej,



osiągało się lepszą jakość, większą przyjemność. Ponadto w ten sposób nie poświęcało się na te sprawy zbyt wiele czasu i energii, która powinna w pierwszym rzędzie być przeznaczona na rzeczy ważniejsze. Po prostu traktował tę sprawę jako pewną słabość, której nie da się całkiem usunąć, ale którą należy możliwie ograniczać. Zdarzało się, że onanizował się w drodze do szkoły, przy dużym napięciu wewnętrznym, wystarczyło tylko dobrać rezonans kroków, a czasem trochę dopomóc sobie wsuwając rękę do kieszeni. W tej chwili, nie miał nawet na nic specjalnych chęci, ale przyszło mu do głowy, że w ten sposób może uspokoić się, oderwać myśli i znieść napięcie nerwowe. Krótko mówiąc odprężyć się i może trochę zmęczyć, zwłaszcza, że o wykonaniu jakichś ćwiczeń fizycznych nie mogło być mowy. Znał doskonale reakcje swojego ciała, wykonał prawidłowo wszystkie ruchy i czynności, zwykłe etapy, dostosowując je do normalnego, wypraktykowanego mechanizmu. Tymczasem po raz pierwszy w życiu, zamiast uczucia rozkoszy lub choćby przyjemności czy ulgi, nadeszło uczucie wstrętu, męki, ogromnej odrazy i obrzydzenia. To była tortura, jakiej nie da się tego opisać. Okazało się, zamiast orgazmu można doznać tak przykrego uczucia, że jeżeli grzesznicy w piekle tak właśnie cierpią, to bez względu na winy można ich tylko żałować. A przecież wszystkie mechanizmy, automatyczne reakcje fizjologiczne, odruchy wydawały się w normie, maszynka działała jak zawsze i nagle takie przeszywające, wstrętne, obrzydliwe uczucie. Wprost nie do wiary.

To też stwierdził, że lepiej już pozostać przy wierszach, nawet odświeżanych kilka razy. Można zresztą wybrać te powtarzane rzadziej.

Arystomenes w świątyni Ateny..... W murach, co dawniej nie zaznały trwogi, sromotny popłoch dawne męstwo płoszy. Uchodzą wstydem pohańbione bogi, Arystomenes Lakonię pustoszy i w serce Miasta śle okrzyk zwycięski. A tam jęk, rozpacz. Przy wspólnym stole nikt głośno nie gwarzy, bo strach niewoli lodem usta ścina. A tylko radzą i radzą wciąż starzy i ślą do Delfów, do wróżb Apollina.

W którymś momencie, nadszedł wreszcie sen.

Następnego dnia, Angus był wprawdzie bardzo osłabiony, ale większość objawów choroby minęła. Rano tylko jedno umiarkowane wypróżnienie, bez mdłości i sensacji. Nie miał termometru, ale był pewien, czuł, że nie ma gorączki Tylko mocz miał nadal bardzo ciemną barwę, a nieduża ilość wydzieliny była nadal płynna i prawie biała. Nie umiał sobie tego wytłumaczyć, nigdy nie spotkał się ani nie słyszał o takich objawach. Najwidoczniej wstrzymywanie się od jedzenia dawało dobre rezultaty. Zaczynał już być głodny, ale postanowił przedłużyć tę kurację. Najtrudniej było poradzić sobie z samym czasem, czekaniem. Bez konkretnego zajęcia, stawało się to nie do wytrzymania. Gdy wszystkie

wiersze były już powtórzone, spróbował liczyć w pamięci, mnożenie najpierw trzycyfrowych, a potem czterocyfrowych liczb. Wyszedł też ze stodoły na świeże powietrze, ale wolał nie oddalać się daleko, gdy oczekiwał na wiadomość, od której miał zależeć jego dalszy los. Poza tym dano mu do zrozumienia, żeby nie włóczył się po okolicy. Po południu, czuł się już całkiem dobrze i zaczął układać sobie szczegółowo, co i jak chce powiedzieć najpierw Adamowi Szumilasowi, a potem dowódcy oddziału, gdy Adam zgodzi się go zaprotegować. Wprawdzie sytuacja się nie zmieniła i nadal nic pewnego nie wiedział, ale teraz był już przekonany, że trafił dobrze. Przecież nie przetrzymywano by go tutaj bez powodu. Ale w decydującej chwili nie mógł mówić chaotycznie i urywkami zdań, gonić myśli, zacinać się i powtarzać, jak przedwczoraj w sklepie. Powinien przygotować dobry tekst i powiedzieć go tak, żeby wywrzeć korzystne wrażenie.

Od chwili, gdy postawił sobie konkretne zadanie, czas przestał się dłużyć, przeciwnie, uciekał aż za szybko. Przed wieczorem przyszedł po niego ten sam chłopiec, który go tutaj przyprowadził. W sklepie, na jego widok prowadzący go mężczyzna już z daleka nadał przyjazne sygnały i potem zachowywał się bez poprzedniej rezerwy. Powiedział, że ma dla Angusa ważne nowiny, bardzo dobre nowiny.

Ale nie chodziło o to, co Agnus oczekiwał. Bardzo przejętym tonem jego rozmówca wyjaśnił mu, że stał się przedmiotem zainteresowania wywiadu AK, został dokładnie sprawdzony i otrzymał dobrą, nawet doskonałą opinię, jest bez zarzutu. Nie tylko jest rzeczywiście tym, za kogo się podawał, ale też można go traktować z pełnym zaufaniem.

Angus był trochę zaskoczony, a raczej rozczarowany. Przecież od początku doskonale wiedział, że jest tym, za kogo się podaje i był spokojny, że każde sprawdzenie to potwierdzi. Mówił prawdę jak na spowiedzi, chociaż czasem w sposób mało zrozumiały, albo trochę się powtarzał, z przejęcia. To, że można mieć do niego zaufanie też wiedział. Przyjemnie, że ma nienaganną opinię, ale nie po przyszedł, żeby aż tu się tego dowiedzieć. Jednak jego rozmówca był widocznie tymi nowinami bardzo przejęty, szereg razy powtarzał, że Agnus powinien bardzo się cieszyć i że teraz wszystko będzie dobrze.

No dobrze, cieszę się. Ale co z Adamem Szumilasem i kiedy będę mógł się z nim zobaczyć, - zapytał. - Czy udało się go znaleźć i przekazać wiadomość? -

- Owszem, jest taki, ale nazywamy go tutaj inaczej - odpowiedział mężczyzna, jednak nie wyjaśnił, jak go należy nazywać. - Niestety, jest teraz nieobecny, wróci za kilka dni. Ale to już nie moja sprawa. Jutro przyjdą jego koledzy i to oni powiedzą co i jak. Ja tego dokładnie nie wiem.

Wychodząc, Angus zauważył i natychmiast kupił płatki owsiane. Płatki, tzw. górskie leżały wprawdzie od dawna, ale to trwałe produkty i prawie się nie starzeje.

Po powrocie, widocznym znakiem, że status Angusa się poprawił, było zaproszenie do chałupy. Wszedł na krótko, przywitał się z gospodynią, która chyba nadal była trochę nieufna, ale podziękował za propozycję spania w chałupie, w stodole było mu całkiem wygodnie, a szczerze mówiąc chałupa nie wyglądała przyjemnie, choć tego oczywiście nie powiedział. Poprosił tylko o przegotowaną, gorącą wodę, poza tym ma wszystko, czego potrzebuje. Zostawił nawet stary chleb dla krowy, bo okazało się, że jest taka, ale właśnie się ocielila i mleko będzie za parę dni, pierwsze, tzw. siara, jest nie dobre. Na razie, może kupić mleko we wsi, najwidoczniej mógł już chodzić po okolicy.

Mając gotowaną wodę i płatki owsiane, Angus pewien był, że już wkrótce wyzdrowieje. Ale najważniejsze były dobre wiadomości, które bardzo podniosły go na duchu. Tego dnia napił się do woli i zjadł trochę płatków owsianych, rano więcej i świat znów pełen był nadziei. Gdy mył się potem, przyszło dwu młodych ludzi, może około dwudziestu i dwudziestu paru lat. Rozmawiali całkiem otwarcie, a Angus ze swojej strony powiedział to wszystko, co sobie wczoraj przygotował, tak jakby miał do czynienia z samym dowódcą oddziału. Rzeczywiście, oddział jest w pobliżu, ale na razie nie ma sensu, żeby Angus tam chodził. Dowódca, o pseudonimie Ponury, został już o Angusie powiadomiony, ale zdecydował, że ma czekać, aż wróci Leśnik (to był pseudonim Adama Szumilas) i potem porozmawia z nim i z Angusem. Leśnik będzie za trzy dni, ale oczywiście to w przybliżeniu, raczej później niż wcześniej. Angus może swobodnie poruszać się po wsi i najbliższej okolicy, ale daleko niech nie odchodzi, jeżeli nadal chce tego, po co przyszedł, to niech lepiej będzie osiągalny.

Przypuszczali (i słusznie), że samotne czekanie może Angusowi dokuczać, więc obiecali jeszcze wpaść i trochę pogadać, jeżeli czas pozwoli. Nie, nie chodzą bez potrzeby z bronią i nie mogą jej Angusowi pokazać, bardzo możliwe, że wkrótce będzie miał sam okazję. Bardziej rozgadali się, kiedy rozmowa zesłała na dowódcę oddziału, Ponurego. Nie wspomnieli na razie żadnych szczegółów, ale to był podobno niezwykle i wspaniały człowiek. Został ich dowódcą dopiero niedawno, ale od razu na wstępie, chociaż przyszedł jako sławny oficer, wymieniany w komunikacie Kwatery Głównej AK i odznaczony Virtuti Militari, proponował przegłosować, czy chcą go na dowódcę, a on się do tego zastosuje. I to nie żadne udawanie, dał im dwa dni do namysłu i głosowali sami, a dopiero potem powiadomili go o wyniku. Mieli czas, żeby dowiedzieć się, co ludzie o nim myślą, wszyscy co go znali mówili dobrze, ale już potem okazało się, że nawet w małej części nie zdawali

sobie sprawy, jakiego nadzwyczajnego dowódcę wybrali. Ponury nie korzystał z żadnych przywilejów, spał między nimi i jadł to samo, co oni, siedł między nimi i nawet sam niósł swoje rzeczy, a ponadto mieli okazję się przekonać, że przewyższa każdego z nich, chyba pod każdym względem, także i fizycznie jest lepszy. Oczywiście nie ma o tym mowy, ale gdyby go ktoś zaczepił, to każdemu bez trudu dałby rady, a potrafi też lepiej strzelać, dalej maszerować, unieść większy ciężar i nawet szybciej biec, niż ktokolwiek, po prostu żelazny człowiek. Mówi do nich przez kolego - i do siebie też tak może mówić, nigdy nikogo nie obraża, nie tylko nie opierdala, jak to w wojsku bywało, ale nawet w ogóle nie przeklina. Nie ma mowy, żeby się unióś, zawsze spokojny, choć reaguje szybko, a dyscyplinę utrzymuje nadzwyczajną. Zresztą każdy sam skoczyłby w ogień na pierwszy rozkaz. Jeżeli Angus dostanie się do oddziału (powiedziano to po raz pierwszy całkiem wyraźnie), to będzie miał szczęście służyć pod takim dowódcą, jakiego nie tylko Polska, ale cała ziemia dotąd nie widziała. Te słowa mówili obaj z przejęciem i pełnym przekonaniem - a takie same słyszał Angus potem wielokrotnie. Wszyscy żołnierze, którzy zetknęli się z Ponurym, po prostu go uwielbiali. Mimo tego, że koło niego szczególnie, ginęli ludzie, niestety. Był niezwykle człowiekiem i urodzonym dowódcą, miał wyjątkowy talent czy też dar od Boga, ale też, a może właśnie dlatego, tam gdzie on, było oko cyklonu.

\* \* \*

To były piękne wiadomości, ale dla Angusa, praktycznie, najważniejsze teraz było, czy on się zakwalifikuje. Czuł się coraz lepiej, może i dlatego, że bardzo go to wszystko podniosła na duchu. Teraz trzeba było jeszcze odzyskać siły, bo jasne, słabeuszem nikt się nie zechce obciążać.

Po tej wizycie, Angus ruszył do sklepu po zapasy. Z kiełbasami przy takiej gorącej pogodzie bywa różnie, ale był zupełnie świeży boczek, więc Angus zdecydował się na kurację tzw. witaminą B2 - bułki z boczkiem. Żartem wspomniano, że może też być witamina B3 - bułki z boczkiem i bimbrem. Ale Angus już wtedy nie pił, najpierw zniechęciła matka, wymagając, żeby próbował po kropki, jak lekarstwa, różnych trunków i umiał je rozpoznawać. A ostatecznie, kiedy stał za bufetem i nalewał wódkę albo bimber, nabrał obrzydzenia do pijących, widując ludzki zwierzyniec.

Dokupił jeszcze nóż, żeby wygodnie pokrajać boczek i bułki, ładnie je obłożyć. Wróciwszy do stodoły, był głodny jak diabli i zrobił sobie wspaniałe śniadanie. Mnóstwo kalorii, jeszcze więcej kilodżuli, będzie mógł podnosić góry. W godzinę później był chory, jak wszyscy diabli, a to co zjadł, wydawało się najwstrętniejszą trucizną na świecie. Teraz naprawdę się przestraszył, chociaż jeszcze ciągle mówił sobie, że to zwykła sraczka, która

musi w końcu minąć. Tak, ale jeżeli przeszkodzi mu akurat w decydującym czasie, to nie dostanie się do oddziału, teraz, kiedy po latach starań i poszukiwań prawie dotarł do celu.

Może objawy nie były takie silne, jak poprzednio, ale to dlatego, że on był dużo słabszy, wyczerpany i już tak silnie nie reagował. Natomiast samopoczucie było jeszcze gorsze. Przy pierwszym wyjściu, wyrzucił daleko nóż, bo obawiał się, że jeżeli depresja będzie taka straszna, to w chwili rozpacz i na pół przytomny, może zrobić jakieś głupstwo. W rzeczywistości, chociaż był chory może nawet bardziej, nie przeżywał tego aż tak bardzo właśnie dlatego, że był słabszy i mniej przytomny. Po prostu leżał, obojętny na cały świat i koncentrował się na jednym, żeby zdążyć wyjść w porę i żeby potem dojść, bo gdyby się jeszcze obrobił, to pozostało by mu tylko umrzeć we własnym gnoju. Może jeszcze jakoś odpełznąć na stronę, żeby go nikt nie znalazł. Jednak udało się uniknąć najgorszego.

Następnego dnia poprawiło się, niewątpliwie dzięki głodowej diecie. Z wysiłkiem wstał i zrobił codzienną toaletę oraz umył się, ale teraz już z daleka można było poznać, że coś mu dolega. Krótko mówiąc, wyglądał jak śmierć na urlopie i ledwie powłóczył nogami. Najwyższym wysiłkiem woli starał się trzymać normalnie, ale gdy przyszli wczorajsi znajomi, musiał przyznać, że dzisiaj jakoś trochę źle się czuje. Starał się to zbagatelizować, po prostu zwykła sraczka, widocznie coś takiego zjadł, każdemu może się zdarzyć, to minie.

Współczuli mu i zwrócili uwagę na oczy. Powiedzieli, że oczy ma całkiem mętne i mocno zaczerwienione, przekrwione, jakby z tydzień balował w najgorszym towarzystwie. Angus nie chciał wierzyć, ale jeden miał przy sobie lusterko i sam zobaczył, oczy miał rzeczywiście okropne, ale jeszcze nie znać było żółknięcia. Życzyli mu szybkiego powrotu do zdrowia i wkrótce odeszli. Historia się powtórzyła, pełna głodówka, a potem dieta, tylko woda i płatki, albo garść na sucho, albo dla odmiany zalane gorącą wodą i rozmieszane, zlikwidowała najgorsze objawy. Nie ryzykował zjedzenia czegokolwiek innego, postanowił wytrwać na płatkach dłuższy czas. Niestety choroba się przedłużała, a w tym stanie obawiał się, że nie podoła wysiłkom fizycznym. Po prostu do niczego się nie nadawał, a już zupełnie do walki. Chociaż, gdyby zostawiono go na tylnej straży, żeby opóźniał nieprzyjaciela i umożliwił oderwanie się własnego oddziału, to kto wie. W marzeniu zobaczył siebie leżącego za drzewem i strzelającego do nadchodzących Niemców. Tak, tyle mógłby jeszcze zrobić, zyskać z pół godziny, może godzinę i trafić paru, zanim by go inni zlokalizowali, obeszli i zlikwidowali.

Na razie postanowił skoncentrować się na pokonaniu choroby siłą woli i odzyskać choć część sił. Wychodził trochę na świeże powietrze, wykonywał lekkie ćwiczenia fizyczne, po których był jednak ciężko wyczerpany. Dodatkowo, zwrócił się o pomoc do Pana Boga, w

którego przecież przestał wierzyć. Modlił się gorąco o cud, przyrzekając własne nawrócenie i składając tak wielkie ślubowania, że zapewne nie zdołałby ich dotrzymać, gdyby udało się Pana Boga przekonać, że warto zrobić cud. Całe szczęście, że go Pan Bóg nie wysłuchał, bo pewnie przez najbliższe 50 lat, nie potrafiłby odklepać tyłu pacierzy, nie mówiąc o innych obietnicach. Nie zdołałby wywiązać się, zwłaszcza żyć przyzwoicie.

Mimo wszystko, pewna poprawa dawała się odczuć, a Angus za wszelką cenę starał się trzymać i liczył, że choroba wreszcie minie. Pewnego dnia, szóstego od wyjścia z domu, obaj znajomi przyszli jak zwykle rano, prowadząc ze sobą kogoś trzeciego. Nie był to jednak Adam Szumilas, chociaż Angusowi tak się przez chwilę z daleka wydawało.. Wkrótce jednak zobaczył, że ten trzeci jest znacznie mniej barczysty i mniejszy. - Oddział nie ma lekarza, a szkoda, gdyby był, przyprowadziliby go i zapewne potrafiłby pomóc, - powiedzieli. - Ten kolega pracował przejściowo w szpitalu w 39 r. i bardzo dobrze opatruje rannych. Może i tobie będzie mógł coś pomóc. - Nowy, no, jeszcze nie kolega, choć Angus bardzo by tego chciał, podał mu rękę i chwilę przytrzymał, dotykając pulsu. Był niewysokim, dość szczupłym szatynem o lekko rzędzących włosach. Miał bardzo pewny i silny uścisk ręki, Angus odniósł takie wrażenie, jakby jego dłoń na chwilę znalazł się w statywie, a także spokojne i ustabilizowane spojrzenie, nieruchome oczy. Powiedział, że z prostymi opatrunkami daje sobie radę, ale na chorobach raczej się nie zna. Tym nie mniej, wypytał Angusa, czy nie było śladów krwi, a także bólów brzucha albo od strony pleców, następnie podusił brzuch i opukał na wysokości pasa. Angus nie czuł żadnego bólu, a poza tym starał się trzymać i minimalizował swoje objawy, żartował i kpił ze siebie samego.

W każdym razie, nie była to krwawa biegunka, której wszyscy najbardziej się obawiali, ślepa kiszka też nie, a i nerki w porządku. A więc chyba jakieś zatrucie pokarmowe, po parę dniach diety, sprawa się wyjaśni. Jednak nie mógł nic na to poradzić, że wyglądał kiepsko i już trochę zaczął żółknąć, ale przy mocnej opaleniznie prawie nie było tego widać. Padła wprawdzie propozycja, żeby na kilka dni wrócił do domu i poleżał w łóżku, ale Angus gorąco protestował. Już czuje się lepiej, wyraźnie zdrowiej.

Dni klęski, fatalnych wydarzeń, mają też swoje odpływy i przyływy. Wydaje się, że wszystko już odwróciło się na lepsze, a potem okazuje się, że to tylko złudzenia. Właśnie ten dzień, z całego okresu był najlepszy, pełen nadziei. Młodzi ludzie traktowali go przyjaźnie, jakby już widzieli w nim przyszłego kolegę. Plan i domysły okazały się prawidłowe, wszystko układało się coraz pomyślniej, czuł się też naprawdę lepiej, chociaż oczywiście nadrabiał miną i starał się udawać lepszy stan zdrowia, niż było rzeczywiście. Tego dnia szczęście było blisko, celu życia w zasięgu.

Wieczorem, młodszy z odwiedzającej go stale dwójki wstąpił do zagrody jeszcze raz. Zapytał, jak się teraz czuje, na co Agnus powiedział, że sraczka całkiem minęła i czuje, że do jutra wszystko będzie w porządku. Potem wyszli na spacer, może to zresztą było sprawdzenie kondycji Angusa?

Faktem jest, że Angus nie wiele widział dotąd okolicy, nawet i Michniowa nie. Od chwili, gdy doszedł do zagrody, prawie jej nie opuszczał, nie licząc trasy do sklepu i z powrotem. Dlatego pierwsze wyjście, pierwsza przechadzka po okolicy bardzo go interesowały, rozglądał się dokoła. Starał się pokazać dobrą formę, iść wyprostowany, sprężystym krokiem, rozmawiać z ożywieniem - zresztą, naprawdę był podniecony i niczego nie musiał udawać.

W pewnym momencie rozmówca Angusa przerwał w pół zdania i powiedział: - coś takiego! Spójrz tylko.- W znacznej odległości na głównej drodze (oni byli na prostopadłej, bocznej ścieżce) przechodziły cztery osoby. - To sam Ponury, poznasz go jeszcze.- Wspaniała przepowiednia, anielska muzyka dla uszu Angusa, Niestety, nie miała się sprawdzić, nigdy więcej nie zobaczył legendarnego dowódcy partyzanckiego. Ten krótki rzut oka z daleka, to wszystko.

Ponury nie był wysoki, z tej grupki dwie osoby były wyższe, ale głowę miał wyraźnie większą. Z tej odległości Agnus nie rozróżnił rysów twarzy, dostrzegł tylko silnie zaakcentowaną krechę, ciemną linię, a raczej łuk brwi, zrosniętych a przynajmniej bliskich tego. W chwilę później cała czwórka zniknęła z pola widzenia.

Niezwykłe, jaki autorytet, uwielbienie i Bóg wie, jak to nazwać, miał Ponury wśród żołnierzy. W tych dniach, Angus uważał to za przesadę. Budziło to w nim sprzeciw i początkowo nawet trochę niesmaku, takie gorące uczucia do szefa, są podobne do podlizywania się. Ale nie znał człowieka, a później przekonał się, że w tym wypadku nawet mowy o tym nie było, to była szczerą i spontaniczną reakcją. W następnym roku, Ponurego tutaj nie było i nawet wtedy, gdy już nie żył, wszyscy jego byli żołnierze wspominali go w ten sam sposób, wierzyli w każde wypowiedziane słowo jak w Ewangelię, albo jak Turcy w Mahometa, lub Żydzi w Mojżesza.

Marginalny, ale charakterystyczny przykład: Ponury z zasady nie przeklinał, całkiem wyjątkowo wtrącił czasem jedno i to niezbyt mocne słowo, w rodzaju psiakrew. Nie zachęcał nikogo do wstrzemięźliwości, kiedyś podobno bąknął, że nie używa po prostu niepotrzebnie wielu słów, bo szkoda czasu. W ogóle był spokojny i opanowany w najtrudniejszych sytuacjach. Otóż taki zwyczaj, zupełnie bez żadnej zachęty, rozpowszechnił się w oddziale, a potem jego byli żołnierze roznieśli go także do innych. Rozpoznawano byłych żołnierzy

Ponurego po tym, że wcale, albo rzadko przeklinali. To z kolei naśladowało wielu nowych, którzy, jak Angus, nie mieli szczęścia służyć pod Ponurym i często wcale nie poznali go. Po prostu, mówiono, że Ponury nie przeklinał i to zaliczało się do fasonu. A trzeba uwzględnić, że większość młodych ludzi przyzwyczajona była do bardzo soczystego języka, im młodsze szczeniaki tym bardziej, na przykład sam Angus i cała Handlówka wyrażali się często tak, że uszy wędły.

Podobnie było ze wszystkim. W walce lub krytycznej sytuacji, Ponury nie musiał nawet rozkazywać, dość że skinął albo dał wskazówkę. Nikt nie zważał na trudności albo na niebezpieczeństwo, jeżeli takie było polecenie Ponurego. Fakt, że to było w pełni uzasadnione, Ponury jako dowódca sprawdził się wiele razy w najtrudniejszych sytuacjach, jak okazało się później. Po prostu był urodzonym przywódcą ludzi i miał naturalny talent taktyczny, specjalny dar, mniejsza o to, czy od Boga, czy losu. W lecie i na jesieni 1943 Niemcy bardzo starali się zlikwidować ten oddział, a jednak mimo wszelkich atutów w rękę, raz za razem przegrywali każdą rozgrywkę. Wprost nieprawdopodobne, ale nie zdołali tego dokonać, angażując druzgoczącą przewagę ludzi i środków, a nawet mimo tego, że mieli w oddziale Ponurego stałego, wysoko ustawionego informatora. Mowa o głośnej zdradzie Motora.

Na razie jednak Agnus traktował nieustanne pochwały Ponurego z rezerwą, wydawały mu się lekką przesadą, a słyszał je nieustannie, także i teraz to był główny wątek. Dopiero przy rozstaniu partyzant zapytał Angusa, czy pije. Agnus zdecydowanie powiedział - nie. - To bardzo dobrze, w naszym oddziale nie wolno pić, tylko w wyjątkowych wypadkach, dowódca udziela pozwolenia na jeden kieliszek. Ale może w twoim wypadku zachodzi taki wyjątkowy wypadek, chodzi o lekarstwo. Właściciel sklepu ma jeszcze przedwojenną pieprzówkę i zaprzysięgał się, że nie ma lepszego środka na wszystkie zatrucia pokarmowe. To prawdziwe diabelstwo, pali jak w piekle, ale podobno dezynfekuje i zabija wszystkie bakterie. Wziąłem małą buteleczkę, ćwiartkę, ja cię nie namawiam, ale możesz zrobić, jak uważasz. Na wszelki wypadek ci ją zostawię, to nie dużo i upić się nie upijesz. Możesz wypróbować jak to działa, póki jeszcze nie służysz.- Wetknął w rękę Angusowi buteleczkę i nie chciał absolutnie przyjąć zwrotu pieniędzy. Pozostawało tylko podziękować za życzliwość i przyjąć. Angus postanowił z kolei pozostawić ją w prezencie gospodarzowi.

O stosunku Angusa do alkoholu już wspomniano. Nawet wzmiankowany jeden kieliszek budził zastrzeżenia. Ojciec zawsze twierdził, że właśnie pierwszy kieliszek jest najwstrętniejszy, potem nie wyczuwa się już tego smrodu i to uczucie mija. Ale jeżeli tak, to



picie jednego kieliszka jest dla masochistów. Po co w ogóle zaczynać, chyba, że w stanie wielkiego wyczerpania lub szoku, chodzi o działanie stymulujące. To nie dla niego.

Potem jednak Agnus zaczął się zastanawiać. A może to rzeczywiście dobre lekarstwo? Dezynfekcja przewodu pokarmowego, to mogło mieć sens. Czytał, że w średniowieczu stosowano pieprz i inne ostre przyprawy nie tylko, żeby wytlumić smak nieświeżego mięsa, ale także żeby zabezpieczyć się przed skutkami. A przecież wtedy nie było lodówek ani nie umiano jedzenia konserwować, w rezultacie często konsumowano nadpsute potrawy, a jako środek zapobiegający chorobom sypano dużo pieprzu. Gdyby ta pieprzówka była naprawdę dobrym środkiem, a on z tego nie skorzystał, to byłby szczyt głupoty. Ostatecznie ćwiartka alkoholu i to niezbyt mocnego, na butelce napisane było 40%, to nie tak dużo, a poza tym nie potrzebuje przecież pić wszystkiego. Zawodowo, obsługiwał przecież także i pijaków, wiedział, że niektórzy potrafili znacznie przekroczyć 1 l. mocniejszego bimbrowa, a wielu wypijało 0,5 l. wódki lub bimbrowa i nawet trudno było to po nich poznać. Na jego wagę, 85 kg, ćwiartka alkoholu to wcale nie wiele. a przecież jeżeli zauważy, że to mu nie służy, to nie wypije tyle, albo zrobi jak ten pijak, który zapewniał przyjaciela: „wypiłem ci twoją wódkę, ale ja ci ją zwróóóóę.” Rozważał tą sprawę tak i owak, w końcu się nie zdecydował i położył spać.

Tym razem jednak sen jakoś nie przychodził i po pewnym czasie postanowił jednak spróbować. Oskrobał resztki laku i jednym ruchem, ostatecznie w tym akurat był fachowcem, wybił korek z butelki. Pociągnął łyk. Piekło jak ogień, ale to właśnie go przekonało. Jeżeli on tak cierpi, to co dopiero małe bakterie, na pewno masowo padają trupem. Wyobraził to sobie i zaczął stopniowo sączyć palący trunek, popijając go od czasu do czasu przegotowaną wodą. Nie miał później pojęcie, czy wypił część buteleczki, czy też całą.

\* \* \*

Agnus na chwilę wrócił z niebytu, słysząc koło siebie głos, który mówił: - Proszę pani, niech pani nie rozpacza, może jeszcze będzie żył.- Ten głos wydał mu się znajomy, na kilka sekund otworzył oczy i zobaczył wszystko białe dokoła, on też leżał na czymś białym, a na tym białym tle, chyba swoją matkę i obok niej najdroższą, utęsknioną, swoją dawną panią. Zdążył pomyśleć, że musi być w niebie i tam się naprawdę spotkali, potem powieki mu opadły i zapadł się w ciemność.

Ponownie odzyskał przytomność w dwa albo trzy dni później. Tym razem stwierdził, że to jednak nie niebo, odróżnił sufit i białe ściany oraz otwarte okno, przez które wpadało światło i powietrze, nad nim, zawieszona była butelka z wodą i odwróconym do góry nogami napisem, a gumowa rurka przywiązana była do jego ręki. Po chwili zorientował się, że jest na

zaplaczu piwiarni, ale zamiast stolików i krzeseł, wstawiono łóżko i on na nim leży. Jednak został jeden stolik i dwa krzesła, a na jednym z nich siedzi z głową opartą na rękach i wszystko razem na stoliku, jakaś postać...

Nie, to nie było złudzenie, tam naprawdę siedziała pani Piesewicz, głowa jej opadła, pewnie trochę przysnęła. A przecież to wcale nie było niebo. Poruszył się i ta najcudniejsza po słońcem, droga osoba podniosła głowę, spojrzała na niego i zapytała: - czy mnie słyszysz?

Otworzył usta, ale głos nie wyszedł. Wstała z krzesła, podeszła do Angusa i wzięła go za rękę. Potężny prąd, strumień życia spłynął na niego, nagle poczuł, że wraca, że staje się silny, że mógłby wstać i nawet natychmiast gdzieś iść, ponownie otworzył usta, żeby to powiedzieć i w tym momencie znów zasnął. Ale po paru godzinach, jeszcze tego dnia, obudził się ponownie. Wiedział gdzie jest, rozpoznawał miejsce i nawet pamiętał poprzednie dwa momenty odzyskania przytomności.

Tym razem pani Piesewicz też była koło niego, siedziała obok na krześle i gdy otworzył oczy, ponownie wzięła go za rękę. To nieprawdopodobne, zupełnie jak jakaś magia i czary, ale naprawdę czuł, jak nowe siły napływają do niego, jakby coś przenikało przez skórę, albo był wyczerpanym automatem, podłączonym do ładowarki. Tym razem głos nie zawiódł, zapytał - co się stało, skąd się tu wziąłem?- Odpowiedziała, - leż spokojnie, jesteś ciężko chory, ale będziesz żył.- Agnus i bez tego zdawał sobie sprawę, że wraca z bardzo daleka.

- Zawołam matkę.

Matka była zaraz obok, otworzyły się drzwi, weszła i rozpoczęła się chaotyczna rozmowa. Tym razem Angus pozostał przytomny dłużej i dowiedział się, co z nim się działo, to znaczy tyle, co wiedziała na ten temat matka. Przywieziono go dziesięć dni temu na wozie, w nocy, a właściwie już o bladym brzasku, w stanie głębokiej nieprzytomności. Zdjęto go i wniesiono do domu jak zwłoki, ale jeszcze oddychał. Matka rozpaczła, pobiegła budzić ojca i potem chcieli jak najszybciej sprowadzić lekarza, ale było jeszcze zbyt wcześnie, żeby kogoś ściągnąć, a poza tym daleko do miasta i także do szpitala. Wtedy matka nagle uświadomiła sobie, że Pani Piesewicz, została nauczycielką w tajnym gimnazjum właściwie z przypadku, a w zasadzie jest doktorem medycyny, chociaż przez ostatnich parę lat nie praktykowała. Wysłała więc ojca, który obudził i zapewne wystraszył wszystkich w domu profesora Mazzurowicza, ale pomoc sprowadził, pani Piesewicz przysłała w trybie alarmowym. Rozpoznała na pierwszy rzut oka żółtaczkę i to mocno zaniedbaną, w wyjątkowo ciężkiej formie, chociaż nie miała pojęcia o alkoholu, raczej uważała że jest to skutkiem dłuższego, nieodpowiedniego odżywiania. Matka za nic nie zgadzała się na oddanie Angusa do szpitala, chociaż właściwie powinien tam zostać przewieziony, na oddział zakaźny. Była

przekonana, że w takim wypadku już go więcej nie zobaczy i kategorycznie oświadczyła, że przy takiej próbie krew się poleje, bo ona stanie z nożem kuchennym w drzwiach i nikogo nie wpuści. Błagała o pomoc panią Piesewicz i ta niespodziewanie przyznała jej rację, powiedziała, że ona podejmuje się wziąć na siebie odpowiedzialność za zorganizowanie kwarantanny i leczenie chorego na miejscu. Chce jednak postawić sprawę jasno: także w takim wypadku rokowania nie są dobre, chociaż lepsze, niż w szpitalu.

Wydzielono i zamknięto jeden pokój, ojciec przywiózł z miasta wapno chlorowane oraz nadmanganian potasu. Zasadą było, że każdy wychodzący z pokoju musi przedtem umyć ręce w wodzie o malinowej barwie, spowodowanej dodatkiem tego ostatniego i wytrzeć buty w szmatę umoczoną w roztworze wapna chlorowanego, tym wapnem dezynfekowano także wszystko, co wynoszono z pokoju. Kwarantanna wystarczająco skuteczna, w pobliżu nie zdarzył się żaden inny wypadek choroby.

Pani Piesewicz stwierdziła, że szansę widzi w tym, że młody organizm sam poradzi sobie ze skutkami zatrucia, jeżeli tylko będzie miał czas. Leczenie musi ograniczyć się do tego, żeby po pierwsze nie szkodzić, a poza tym podtrzymywać funkcje życiowe. Podłączyła kroplówkę, roztwór glukozy z witaminą C i to było jedyne lekarstwo i pożywienie, jakie Angus otrzymywał. Jedyna trudność, to zapewnienie dostatecznej ilości roztworu, bo Angus dostawał go już dziesięć dni bez przerwy i tak jeszcze potrwa przez jakiś czas. Ale pani Piesewicz, wykorzystując swoje znajomości profesjonalne, zdobyła potrzebny zapas, osobiście zakładała wszystkie kroplówki i w ogóle w ciągu tego krytycznego okresu, spędzała tu całe dni.

Po tygodniu, gdy chory nadal nie dawał żadnych oznak życia, matka zaczęła rozpaczać i pani Piesewicz usiłowała ją uspokoić, gdy Angus otworzył oczy. Dostrzegła to, ale już i przedtem uważała, że skoro dotąd żyje, to szanse się powiększają, zapewne organizm się regeneruje, chociaż nie mogła być pewna, jak bardzo uszkodzona została wątroba i czy wróci do normalnych funkcji. W każdym razie, nowe uszkodzenia nie występowały.

Zaś matka dodała, że nigdy w życiu nie spotkała dotąd takiego lekarza i zawdzięcza wszystko pani Piesewicz, gdyby oddała jej cały posiadany majątek, teraz i w przyszłości, gdy skończy się wojna, to i tak nie odplaciłaby się nawet w drobnej części. Natomiast Angus, z głębokim wstydem wspominał później, że nie wie, co mówiono dalej bo od tego momentu znowu spał.

Od tej chwili, jego stan poprawiał się szybko. Niestety, pani Piesewicz nie przesiadywała już przy nim całymi dniami, ale nadal wpadała i osobiście zmieniała kroplówkę. Lecz Agnus odczuwał, że znacznie więcej niż kroplówka, ba, niż sto transfuzji,

zdrowie, siły i chęć do życia spływało na niego przy każdym dotknięciu, teraz też trzymała chwilami jego rękę. Dziwna rzecz, przecież teraz zupełnie nie odczuwał żadnych potrzeb ani chęci seksualnych, po prostu te funkcje były całkowicie zablokowane, a po ostatnim przeżyciu w czasie choroby niechętnie nawet o tym myślał, może to na stałe. A jednak każdy dotyk powodował natychmiast tak intensywny wstrząs, jakby dotknął naelektryzowanego przewodnika, a potem przepływał jakiejś formy energii. Zapytał nawet panią Piesewicz, czy oprócz fachowych kwalifikacji, nie zauważyła jakichś zdolności uzdrowicielskich. Zupełnie niespodziewanie, odpowiedziała, że to ona, gdy była wyczerpana, zmęczona i przygnębiona, brała go za rękę, to dodawało jej sił, a zmęczenie i zły nastrój mijały, odzyskiwała wiarę w siebie i w to, że on przeżyje.

Tego Agnus nie był w stanie pojąć. Wprawdzie czytał i słyszał o ludziach, którzy podobno mieli tajemniczą moc i zdolność przekazywać jej innym organizmom, ale traktował to z przymrużeniem oka, jako bajki. Ale gdyby nawet, to przekazywać coś i jednocześnie samemu czerpać od tej samej osoby to nieprawdopodobne, sprzeczne z zasadą zachowania energii. Zupełnie niemożliwe, absurd. Także przypuszczenie, że jakaś energia powstaje na granicy styku, na przykład w podobny sposób jak strumień ciepła na styku dwóch metali może częściowo zamienić się w energię elektryczną, też nie miało sensu, tutaj nic nie ubywało. Perpetuum mobile?

Wiele lat później, Angus doszedł do przekonania, że nie było i nie mogło być żadnego przepływu energii, wrażenie było złudne. To umysł wywiera potężny wpływ na ciało, ta moc, siła czy energia, cokolwiek to było, generowała się w ich własnych mózgach i zupełnie niezależnie. Natomiast dotyk był tylko sygnałem, który uruchamiał ten mechanizm. To jedyne logiczne wyjaśnienie, o ile tu można mówić tu o logice.

Każda inna interpretacja oznaczałaby rezygnację z myśli rozumnej, powrót do prymitywnego, magicznego myślenia. Wprawdzie Angus zachowywał się czasem trochę zabobonnie i nawet tolerował to, śmiejąc się sam z siebie, właściwie dla żartów akcentował to umyślnie. Wprawdzie często myślał nierozsądna i trudno byłoby jego postępowanie nazwać logicznym; jednak w magię i czary na pewno nie wierzył, no powiedzmy, od jakichś czterech lat.

Początkowo Angus dużo spał, budził się na krótko. Ale wkrótce to minęło, spróbował czytać i mógł więcej myśleć. Wydawało się, że szybko przychodzi do zdrowia, jednak pani Piesewicz stwierdziła, że ma w wysokim stopniu uszkodzoną wątrobę. Proces regeneracji będzie trwał w najlepszym wypadku pół roku i to tylko biorąc pod uwagę młody organizm i zdumiewającą poprawę obecnie. Po paru tygodniach na kroplówce, Agnus poczuł głód i po

raz pierwszy dostał na próbę łyżkę tzw. „polskiego ryżu”, gotowanego pęczaku. Potem mógł jeść kilka łyżek, a następnie pani doktor zezwoliła na dodanie paru kropli mleka, wlanych w dziurkę zrobioną łyżeczką w kaszy. Potem trochę więcej mleka, ale kwaśnego w szklance, po zebraniu śmietany. Gdy kroplówki stały się niepotrzebne, także i jej wizyty stały się rzadsze.

Tymczasem tego właśnie potrzebował bez porównania więcej, niż kroplówek i leczenia, więc przy najbliższej okazji spróbował o tym pomówić. Zaczął bez wstępu, nawet nie dziękując i bez zapewnień o wdzięczności, bo, to rozumiało się samo. Powiedział, że chorobę uważa za błogosławieństwo, warto było, nawet gdyby nie przeżył. Że ani na chwilę nie stracił nadziei, że ich rozstanie nie było ostateczne, że się jeszcze spotkają. I los tak zrządził, tak się stało.

Pani Piesewicz chwyciła go za rękę, tym razem ściskając ją aż do bólu. - Ja też tak myślałam, ja też chciałam cię zobaczyć. A potem, kiedy byłeś między życiem a śmiercią. modliłam się, przyrzekłam Bogu, że jeżeli zdołam cię wyleczyć, jeżeli przeżyjesz, nie zobaczę cię już nigdy więcej.

To było ostateczne. Agnus nawet nie próbował argumentacji. On sam, gdyby w podobnej sytuacji zrobił takie ślubowanie, też by go dotrzymał. Rozsądnie czy nie, inna możliwość nie istniała. W wyjątkowych okolicznościach, być może nie dotrzymałby słowa danemu komuś innemu, okłamał go, oszukał i może nawet, według znanego mechanizmu, dorobił później usprawiedliwienie dla siebie, przypisując winę temu poszkodowanemu, oszukanemu, motywował, że okłamany na to zasłużył. W tym wypadku, było to niemożliwe. Nie da się złamać słowa danego samemu sobie, siebie samego okłamać.

Więc to już koniec, nic więcej nie da się zrobić. Jakie będzie, to dalsze życie bez treści? - Przyjdę tu jeszcze raz, może kilka razy. Dopóki jesteś moim pacjentem, mogę. Potem pójdziesz na badanie do specjalisty, już to załatwiłam. Teraz najważniejsze, żeby zregenerowała się wątroba, tylko o tym myśl. Najważniejsza jest dieta, przez dwa miesiące musisz jeść tak, jak teraz, kaszę, najlepiej pęczak, może czasem trochę gotowanych ziemniaków, gotowana marchewka i stopniowo coraz więcej mleka, najlepiej kwaśnego. Za dwa miesiące, przetarte jarzyny, trochę białego chleba, białko z jajek, biały ser i tak dalej. Żadnego tłuszczu ani mięsa, dopiero na koniec trochę mięsa z drobiu, gotowanego, ale bez rosółu, a do kaszy można będzie dodać parę kropli oleju lnianego. Tłuszczu masz zapas i tak. Zapiszę to wszystko...

Agnus nie słuchał, było mu to całkowicie obojętne.

Pani Piesewicz powiedziała:- Słuchaj, ja nie wiem czy tak jak ty, ale też odczuwam podobnie, nawet twój dotyk. Ale uświadomiłam sobie, że wymieniliśmy płyny organiczne.

Może tego akurat nie wiesz, ale zapewniam cię, że ty też masz i zawsze będziesz miał trochę ze mnie w swoim ciele, chcę powiedzieć jako osoba kompetentna, że to także i ciebie dotyczy. Nawet i za sto lat, jeżeli dożyjesz, tysiące atomów które były mną, będą wciąż jeszcze w tobie. Tak naprawdę, nigdy się całkiem nie rozstaniemy. Nie potrzebujesz nawet mojego dotyku, potrzebna ci tylko świadomość, że zawsze jestem z tobą, tak jak ty ze mną.

Coś w tym rzeczywiście było, ale jednak się różnili w odczuciu. Tych atomów w Angusie, było stanowczo za mało.

„Ten się żali: Tak wesoło świecisz sobie słońko moje, promieniście błyszczysz w koło, gdy ja smutny we łzach stoję”...

### **Rozdział X. Zły los.**

W czasie, gdy rozgrywały się te wypadki, Michniowa już nie było. W pięć dni po tym, gdy Angus przywieziony został do domu, a w dwa dni po jedynym w dziejach oddziału Ponurego, uroczystym apelu, połączony ze składaniem przysięgi oraz przyjęciem nowych ochotników (czego Angus nie doczekał), na wieś spadła ekspedycja karna. Niemcy nadjechali niespodziewanie i błyskawicznie rozpoczęli podpalanie domów i wszystkich budynków oraz zabijanie wszystkich mieszkańców bez różnicy płci, w tym także i dzieci. Ale wtedy spalili tylko centrum wsi i szybko odjechali, zanim zaalarmowany oddział Ponurego zdążył nadbiec z pomocą z pobliskiego obozu w lesie. Ponieważ nie udało się zapobiec tej tragedii, Ponury zdecydował się na przeprowadzenie akcji odwetowej, polegającej na wykolejeniu i ostrzeleniu transportu frontowego z żołnierzami niemieckimi w dniu 15 lipca. Dziwnym przypadkiem zginęła bardzo podobna ilość żołnierzy niemieckich, co przedtem mieszkańców Michniowa, około 250 osób. Akcja ta była całkowitym zaskoczeniem i spowodowała tylko niewielkie straty własne. Ale jednocześnie, nowa ekspedycja karna otoczyła Michniów, to znaczy pozostała jeszcze reszta z położonym dalej domami, i systematycznie wymordowała resztę mieszkańców, którzy ocaleli za pierwszym razem, w tym również i gospodarzy, u których mieszkał Angus (sklep, leżący w centrum wsi, został spalony za pierwszym razem, wraz ze wszystkimi którzy się w nim znajdowali). Ponury ponownie odpowiedział uderzeniem na transport frontowy.

Prawdopodobnie w tym czasie Polacy w ogóle, a pierwszy Ponury, znaleźli jedyną skuteczną odpowiedź na niemieckie akcje terrorystyczne, prowadząc uderzenia odwetowe na czule punkty niemieckie, kolej. Kiedyś, jak w wypadku wzmiankowanego oddziału Hubala w 1940 r. palenie całych wsi wraz z zabijaniem wszystkiego co żywe, zastępowało niejako poszukiwanie i zniszczenie przeciwnika, który w otwartej walce okazał się lepszy i nie dał się pobić, a bił sam. Dopiero palenie wsi okropnie zaciążyło nad duchem oddziału i również

dowódcy, ponieważ to oni czuli się odpowiedzialni za wywołanie tych tragedii, a nie potrafili zapewnić obrony ludności cywilnej, na którą spadł terror. Teraz, po spalenia Michniowa, Niemcy już nie próbowali więcej takich metod, w każdym razie nie w wypadku Ponurego. Natomiast niezwłocznie rozpoczęli obławę na partyzantów, gdy ta się nie udała, drugą i następną, wkładając w to maksimum starań i wysiłku oraz angażując wszelkie dostępne środki. Okres obław trwał prawie bez przerwy dwa i pół miesiąca i angażował stosunkowo duże siły, od czterech do sześciu tysięcy żołnierzy, potem ze względu na pogorszenie sytuacji frontowej dalsze angażowanie takich sił przestało być możliwe. Jedynym efektem były bardzo duże straty Niemców, znacznie wyższe od całkowitej liczebności oddziału Ponurego (zmiennie, maksymalnie do czterystu ludzi). To w tym okresie powstała legenda o Ponurym jako o dowódcy absolutnie nie do pokonania, niejako pół-człowieku a pół-bogu. Ponieważ są to wiadomości z drugiej ręki, nie na miejscu byłoby ich powtarzanie.

Natomiast właśnie w tym czasie, kiedy Angus jeszcze znajdował się w Michniowie, oczekując na decyzję o swoim ewentualnym przyjęciu do oddziału, w Ostrowcu doszło do innej tragedii, w akcji na Fabrykę Słodocyzy Amor. Tą właśnie, w której przygotowaniu nieświadomie uczestniczył Angus, towarzysząc Strachowi Konarowi podczas ostatniego rozpoznania.

Jak zwykle w takich wypadkach, już po tym zdarzeniu wysunięto różne zarzuty i krytykę sposobu przeprowadzenia akcji, zdaniem autora niesłusznie. Bez względu na najstaranniejsze przygotowania, w każdej akcji zbrojnej istnieje element nieprzewidywalnego ryzyka. Czasem zdarza się szczęśliwy, a czasem wyjątkowo fatalny zbieg wydarzeń.

W tym wypadku, przygotowania były staranne, a zadanie dobrze wybrane i precyzyjnie określone, wydawało się proste i łatwe. Również i sam Oddział Dywersyjny, stanowił w tym czasie dobrze zgraną i doświadczoną jednostkę. Wykonywał już kilka podobnych akcji, a także znacznie trudniejsze zadania, jak na przykład rozbrajanie całych grup Niemców i to w pobliżu kwater innych oddziałów niemieckich. Dowódca oddziału miał pełne zaufanie swoich żołnierzy i bez wątplenia zasługiwał na nie, to była zgodna opinia również i po jego śmierci. Wykazał się dotąd zarówno osobistą odwagą, jak rozsądkiem i zimną krwią, obok szybkiej decyzji. Można powiedzieć, ideał według polskiego regulaminu piechoty, sam też osobiście na czele, prowadził swoich ludzi, tak jak było to zalecane w wypadku małych grup.

Wprawdzie akcja planowana była na wcześniejszy dzień, ale z nieistotnych powodów została następnie przełożona na 6 lipca. Niestety, tym razem wyznaczony dowódca grupy nie zdołał dotrzeć na czas i w ostatniej chwili zastąpił go sam dowódca Oddziału Dywersyjnego.

Nie znał osobiście tego terenu, ale przecież towarzyszył mu syn właścicielki fabryki, Stach Konar.

Akcja zaczęła się zgodnie z planem, zaszedł tylko jeden nieprzewidziany wypadek, mianowicie jeden z pracowników, widocznie niezbyt inteligentny, nie zorientował się w sytuacji i uciekł przed grupą uzbrojonych, nieznanych ludzi na teren sąsiedniej posesji, gdzie przebywało dwóch żandarmów niemieckich. To jednak nie miało większych konsekwencji, bo ci żandarmi śmiertelnie przerażeni zabarykadowali się w jakimś pomieszczeniu i siedzieli tam, jak myszy pod miotłą.

\* \* \*

W tym właśnie czasie, po zakończeniu seansu filmowego w kinie, które przed wojną też stanowiło własność matki Stacha, wracała grupa młodych żołnierzy niemieckich, na przepustce z frontu wschodniego. Ściśle mówiąc, byli już po urlopie, ale mieli podzielić się jeszcze swoimi doświadczeniami z autorami broszurki instruktażowej o zwalczaniu przez piechotę czołgów nieprzyjacielskich. To „arcydzieło” pt. „Der Panzerknacker”, ukazało się dopiero w r. 1944, ale za to zalecało żołnierzom takie akcje, jak np. ręczne przyczepianie ładunków wybuchowych przy tzw. szyi czołgu, między wieżą i pudłem i następnie padnięcie tuż przy kadłubie, co miało rzekomo osłonić od wybuchu. Krótko mówiąc, pewne samobójstwo, szkoda nawet fatygować się z tym padaniem. Trochę ponad rok później, Agnus miał okazję zobaczyć zupełnie nieuszkodzone zwłoki człowieka, który zginął za osłoną, gdy po drugiej stronie tej osłony, wybuchł ładunek 400 g trotylu, po prostu jedna żółta kostka, w której zamiast spłonki umieszczano się zapalnik granatu. „Mund auf, Ohren zu-”, tak „Der Panzerknacker” instruował biednych głupców, którzy mu uwierzą, ażeby sądzili, że mogą wyjść z takiej akcji żywi. Kompletne łajdactwo. Zalecano ładunek 3 - 7 kg mat wybuchowych.

Tym niemniej, były tam też informacje prawdziwe, pochodzące od żołnierzy, którzy mieli osobiste doświadczenia w zwalczaniu czołgów i właśnie w nagrodę otrzymali krótkie urlopy. Na przykład, prawdą jest, że w tym czasie widoczność z czołgu była fatalna, zwłaszcza w czasie walki albo pokonywania przeszkód naturalnych. Prawdopodobieństwo dostrzeżenia nieruchomego celu raczej znikome, w większości ofiarami padli dopiero żołnierze uciekający przed czołgiem, ogarnięci paniką.

Werner Handtke, właśnie wracał z 6 innymi kolegami z kina. W 1939 miał rozpocząć studia na Politechnice w Lipsku. ale po wybuchu wojny został zmobilizowany. Nie zdążył wziąć udziału w kampanii polskiej, ale uczestniczył już we francuskiej i od tej chwili nabrał pełnego zaufania do Fuehrer'a. Przedtem, nie był tak całkiem przekonany i powołanie do



wojska traktował zupełnie bez entuzjazmu, jako przykrą konieczność i to pomimo, że przez ostatnie trzy lata należał do Hitlerjugend. Ale Francja zmieniła wszystko. Kiedy wczesną wiosną 1941 po raz pierwszy przejeżdżał przez Polskę, to jest ściślej przez podbity kraj, który poprzednio był Polską, on i inni żołnierze z jego kompanii żartowali sobie, że Hitler jest najlepszym przewodnikiem wycieczek po Europie. Dzięki niemu zwiedzili już Paryż, teraz jadą obejrzeć Ateny, nigdy w życiu młodzi ludzie nie mieliby tak wspaniałych okazji, gdyby nie trafił im się taki nadzwyczajny przewodnik (gra słów, Fuehrer znaczy zarówno wódz jak i przewodnik).

Piechota zmotoryzowana, w której służył, jechała w ciężarówkach nakrytych plandekami, po 22 żołnierzy na drewnianych ławkach, oprócz oczywiście tych w kabinie. Może i nie zbyt wygodnie, ale jak na młodych i silnych chłopaków wystarczająco. Ciężarówki, oprócz bagaży, wypchane były w miarę możliwości dyskretnie rozmieszczonym łupem, w najróżniejszych zakamarkach mnóstwo kawy i herbaty, francuskich win i koniaków, papierosów i jedwabi. Mieli zamiar zostawić tą zdobycz w Niemczech, gdzie trudno było w czasie wojny o takie luksusy. Ale nie było czasu, rozbudowana sieć autostrad i dobrych dróg sprawiła, że przez Niemcy przejechali w błyskawicznym tempie. Utkwili dopiero w Polsce i właśnie wtedy Werner po raz pierwszy zatrzymał się na dwa dni w Ostrowcu, bo dalszy przejazd, w porównaniu do poprzedniego przez bezdroża - a i dalej nie lepiej, przez Słowację i Węgry do Bułgarii, trzeba było dopiero zorganizować, zrobiło się idiotyczne zatwardzenie. Jednak pogoda dopisywała, w końcu marca była ciepła i słoneczna, a wina francuskie też grzały, po trochu, nikt nie ryzykował mocniejszych trunków z możliwością upicia się. Skoro nie mogli zdobywszy podrzucić do domu, teraz ją zaczęli sprzedawać, a w zamian kupili zapasy jedzenia, takiego zarcia nie mieli jeszcze od początku wojny, ani też przed nią. Wprawdzie z relacji cen nie byli zadowoleni, uważali, że albo sprzedają zbyt tanio, albo też kupują za drogo, ale z drugiej strony, za to, co przywieźli z Francji, nie musieli przecież płacić.

Nocowali wtedy przy szosie w lasku, na szczęście noce nie były mroźne, choć jeszcze chłodne. Właśnie przed wieczorem drugiego dnia, rozegrali parę setów siatkówki z miejscowymi chłopakami, o dziwo, pierwszą partię gładko przegrali, dopiero drugą, w której Werner już nie uczestniczył, bo poszli do samochodów po pomoc i ściągnęli najlepszych graczy z całego batalionu, wygrali po bardzo zawziętej walce. Ta partia była jeszcze długo dyskutowana wieczorem, nie spodziewali się tutaj takich graczy. Do rewanżu nie doszło, następnego dnia odjechali, zabierając obfite zapasy jedzenia na dalszą drogę. Starczyło

jeszcze do Grecji, gdzie na ogół bywało głodno. W Grecji, właściwie tylko oddziały pancerne walczyły, dla nich to była kolejna atrakcja wycieczkowa.

Tak się złożyło, że jeszcze raz przejeżdżali przez Ostrowiec, w czerwcu 1941, ale teraz wieźli tylko greckie papierosy i zółwie, na które nie wielu było amatorów. Spędzili tu jeden dzień, a warunki były mniej przyjemne: gorąco, kurz i straszny tłok, wszędzie masa ludzi i sprzętu, który w żaden sposób nie mógł się zmieścić na drogach, nawet chociaż były już rozbudowane, a tylko w niektórych miejscach całe kolumny robotników, z żółtymi opaskami na rękawach, w najwyższym wysiłku kończyły jeszcze pracę. Zbita masa pojazdów blokowała całą szerokość szosy, wciąż trzeba było się zatrzymywać i czekać na możliwość ponownego ruszenia. Mimo to, nastrój nie był zły, byli pewni, że jadą już po raz ostatni, wypełnić swoje dziejowe przeznaczenie. Obiecano im, że teraz zajmą ogromne, puste ziemie i każdy z nich będzie mógł objąć w posiadanie tyle, ile tylko zdoła użytkować, każdy zostanie Gutsbesitzer - szlachtą ziemską i dostanie kilku albo i kilkunastu rosyjskich niewolników do pracy, to już zależy od osobistej dzielności, więcej dla lepszych. Kampania rosyjska z początku przebiegała podobnie jak inne, po prostu błyskawicznie.

W psychice ludzkiej zadziwiające jest, jak długi odstęp czasu mija do wyprowadzenia praktycznych wniosków z doświadczenia. Na przykład, Polacy, najwcześniej dotknięci zostali masowymi mordami, jeszcze w 1939r., zaraz po zakończeniu kampanii (w każdym razie na ziemiach zachodnich, bo masowy terror dotarł do centralnej Polski nieco później, na początku 1940r.). Jednak dopiero po dwóch latach utrwaliło się w świadomości i opinii publicznej przekonanie, że dalsza walka nie jest wcale romantycznym porywem młodzieży, ani też nieodpowiedzialnych szaleńców, jak niektórzy z początku twierdzili - ale jedyną szansą na przeżycie części narodu.

Natomiast Żydzi, którzy w pierwszym okresie byli oszczędzani przez Niemców, to znaczy w sensie masowej eksterminacji, bo oczywiście od samego początku byli gnębieni, prześladowani i rabowani - co stanowiło przecież nieodłączną istotę hitleryzmu - nie zdążyli przestawić swego nastawienia duchowego i z tego powodu prawie całkowicie zginęli. Zwrot do walki przy samym końcu miał oczywiście ogromne znaczenie moralne i wszyscy ludzie chylą przed tym czoło, ale praktycznie nie mógł już wpłynąć na ich los, nastąpił zbyt późno.

Rosjanie, którzy z początku dość łatwo poddawali się do niewoli (mając do tego powody), stosunkowo najszybciej zrozumieli, że nie ma innej szansy, niż walka do końca. Ale też poziom, tego nie można nazywać po prostu okrucieństwem, makabrycznego szaleństwa, jakiemu oni zostali poddani przekraczał wszystko, co dotąd zdarzyło się na ziemi od chwili powstania gatunku ludzkiego.

Także świadomość żołnierzy niemieckich ulegała ewolucji. Najpierw wepchnięci zostali we wojnę niechętnie i bez przekonania. Potem, prowadzeni od zwycięstwa do zwycięstwa, nabrali entuzjazmu. Teraz, mimo pierwszej tragicznej zimy na froncie wschodnim i nawet po katastrofie stalingradzkiej i fatalnym zakończeniu wielkiej przygody afrykańskiej, wciąż jeszcze zachowali głęboki kredyt zaufania dla Hitlera. Można powiedzieć, że dopiero bitwa kurska miała zmienić to nastawienie. Bitwa ta rozpoczęła się właśnie poprzedniego dnia, ale na razie nie było jeszcze wiadomości, a przez następne dni gazety były pełne triumfalnych zapowiedzi nowych, wielkich zwycięstw niemieckich. Dopiero po tygodniu, już po spalenia i wymordowania Michniowa, zaczął wyłaniać się obraz wielkiej klęski.

Hitler osobiście wybrał najsilniejsze zgrupowanie Armii Czerwonej i postanowił zakończyć całą kampanię decydującą bitwą właśnie tam. Wybitnie idiotyczny pomysł, zupełnie przypominający osobistą inicjatywę Kaiser'a we Francji, w bitwie pod Verdun. Dziwne, biorąc pod uwagę, że Hitler, pełen kiedyś najgłębszego uwielbienia do Kaisera, rozczarował się następnie do niego i wyrażał z pogardą (zapewne nie z tego powodu). Hitler od początku tęsknił do gigantycznego zwycięstwa, bitwy, uświetnianej milionami trupów z obu stron, coś naprawdę widowiskowego, pamiętnego przez całe wieki. Wspaniały los przyszłej tysiącletniej Rzeszy powinien być wykuty właśnie w taki sposób i oczywiście pod jego dowództwem, co trwale zapisze historia, a nie zapomną następne pokolenia. To też nie był wcale zadowolony z pierwszych sukcesów, które przyszły zbyt łatwo i zbyt tanio. To było dobre, żeby zapewnić sobie uznanie i lojalność armii, na początek. Żołnierze niemieccy i w ogóle całe Niemcy nie mieli pojęcia, że tak naprawdę znajdują się w rękach szaleńca, który dla nasycenia własnej pychy planuje miliony ich poprowadzić na śmierć. Podobnie i w przyszłości, gdy zwycięstwo nie w tej bitwie, ale i w całej wojnie okaże się niemożliwe, usiłować będzie, żeby oni wszyscy zginęli razem z nim, w jednej imponującej tragedii. Bitwa przygotowywana była długo i starannie, właściwie wszystkie inne operacje wstrzymano i nawet parokrotnie odkładano termin. W takich warunkach nie było mowy, żeby utrzymać planowaną operację w tajemnicy. Nie tylko nie było szans na zaskoczenie, ale Rosjanie mieli tak dokładne informacje, że to oni właśnie pierwsi zaskoczyli Niemców, ich artyleria obłożyła ogniem wojska zmasowane na pozycjach wyjściowych bezpośrednio przed wyznaczonym atakiem. Bitwa była przegrana już w tym momencie, prawdziwie wybitny dowódca wycofałby wtedy wojska na pozycje obronne.

Ale i wtedy, z początku zrozumieli to tylko wyżsi dowódcy wojskowi, żołnierze niemieccy (ci bardziej inteligentni) zaczęli sobie uświadamiać to wszystko dopiero gdzieś w

jesieni. Zaś ci młodzi ludzie, którzy we wrogich mundurach wyszli po zakończeniu seansu z kina i wracali teraz do Deutsches Heim, mieszczącego się w budynku szkolnym naprzeciwko dawnego gimnazjum, przy szosie starachowickiej, szli wesoło i w dobrym nastroju. Zadowoleni byli z życia i swego losu, na swój sposób pełni patriotyzmu i dumy narodowej, gotowi do poświęceń i ofiar, nadal pewni ostatecznego zwycięstwa i wciąż ani trochę nie stracili zaufania do swego Fuehrer'a. Młode chłopaki, jeżeli nawet to nie byli ci sami, to dokładnie tacy sami, jak żołnierze, którzy rozegrali wspomnianą partię siatkówki.

Gdy przechodzili koło Fabryki Amor, jeden z nich, Hans Voegelein, wesołek tego towarzystwa, przypomniał sobie, że kiedyś widział, jak tutaj przychodziło do pracy mnóstwo dziewczyn. Czego jak czego, ale znajomości dziewczyn im bardzo brakowało. Blitzmaedel tutaj praktycznie nie było, nawet dla oficerów, miejscowych Volksdojcetek też niewiele i nawet brzydkie już obstawione, a Polki unikały ich jak zarazy. Werner usiłował to wyperswadować, ale Hans koniecznie chciał tu spróbować szczęścia i namówił kolegów. Kilku było chętnych, podeszli do bramy, ale ta okazała się zamknięta. Właściwie chcieli już odejść, ale Hans zaproponował, żeby zajrzeć, dwóch kolegów do podniosło i wtedy dojrzał w głębi uzbrojonego człowieka w cywilnym ubraniu. Gestem przywołał innych, następny zajrzał Werner. Na podwórzu stały dwie ciężarówki i grupa ludzi ładowała je, niektórzy z nich mieli broń. Nie wiedzieli jak to sobie dokładnie wyjaśnić, ale sytuacja wydawała się bardzo podejrzana. Po krótkiej naradzie, paru z nich pobiegło do Deutsches Heim po kolegów i długą broń, a kilku pozostało w pobliżu, obserwując budynek. W trakcie tego, na zapleczu sąsiedniej posesji znaleźli też ukrytych żandarmów, którzy omal ich nie postrzelili. Teraz już byli pewni, że przypadkiem trafili na napad bandycki. W kilkanaście minut później nadbiegli ich koledzy z karabinami, a także inni i otoczyli obiekt. To byli doświadczeni żołnierze frontowi i właściwie rozumieli się bez słowa, wystarczyło kilka gestów.

Kiedy dowódca Oddziału Dywersyjnego, Wąsowski, usłyszał wezwanie do poddania się i zorientował się, że jego grupa została odkryta i otoczona, zdecydował się na natychmiastowe uderzenie. Założył, że Niemcy nie zdołali jeszcze zorientować się dobrze w sytuacji i tym bardziej trzeba reagować natychmiast, każda sekunda zwłoki może tylko pogorszyć położenie. Zapewne w zwykłych warunkach, zwłaszcza gdyby miał do czynienia z niemieckimi siłami policyjnymi, takie działanie mogłoby przynieść powodzenie. Ale tutaj trafił na doświadczonych żołnierzy frontowych, którzy zajęli pozycje strzeleckie i czekali z wymierzonymi karabinami. Wprawdzie Werner spóźnił się o sekundę, gdy w wybiegającym człowieku poznał niespodziewanie tego samego, którego widział pędzącego podobnie naprzeciwko do piłki przed dwoma laty, ale jeden z kolegów sprzątnął już ten cel. Inni też

zareagowali automatycznie, w krótkim starciu zginęło sześciu żołnierzy Oddziału Dywersyjnego, a co gorsza czterech rannych dostało się do niewoli. Tylko dwóch Niemców było rannych, ten mecz wygrali wysoko.

Jedynym, wprawdzie trudno mówić o szczęśliwym, ale mniej złym zbiegiem okoliczności, było to, że Gestapo zdecydowanie przecięło prowadzenie dalszego śledztwa. Powód prosty: prestiż, pozycja i opinie Gestapo w oczach zwierzchników były w tym wypadku narażone na szwank. Jak to, kilku przypadkowo zebranych żołnierzy niemieckich rozbija i likwiduje groźną organizację zbrojną, która od lat działała o kilkaset metrów od siedziby Gestapo - a co robią w tym czasie gestapowcy? Gdyby ta sprawa stała się głośna, to nie tylko Peters, ale także inni członkowie kierownictwa Gestapo na pewno nie mogliby oczekiwać pochwał, ani nie poglądano by ich po głowie. Lepiej sprawę wyciszyć.

W rezultacie, zakwalifikowano tą akcję jako napad bandycko-rabunkowy. To było przestępstwo, które przez cały czas okupacji Niemcy traktowali ulgowo, tolerowali, a nawet tworzyli specjalnie dogodne warunki do rozwoju bandytyzmu. To oddziały partyzanckie i podziemne władze konspiracyjne zwalczały bandytyzm, Niemcy z zasady nigdy. Prawdziwych bandytów można było często wykorzystać do współpracy, a jeżeli nawet trafili do obozu, i tam wykorzystywano ich jako pomocników. Takie cynicznie - praktyczne zasady stanowiły wzorzec systemu.

W tym konkretnym wypadku czterech ujętych rannych, zamiast tortur i śmierci, czekał po prostu obóz koncentracyjny. Prawie to samo, ale okazało się, że jednak nie, bo jednego nawet udało się po pewnym czasie rodzinie wykupić za grubą łapówkę, a drugi przeżył do końca wojny, pozostali niestety nie mieli aż tyle szczęścia. Ale na tym sprawa się jeszcze nie skończyła.

Po śmierci dotychczasowego dowódcy, komenda okręgu AK nie wyznaczyła dla Oddziału Dywersyjnego oficera z zewnątrz, co może ze względów konspiracyjnych i organizacyjnych byłoby bardziej właściwe, choć z drugiej strony zapewne nie oddziało by po poniesionych stratach dobrze pod względem psychologicznym. Dowódcą wyznaczony został Marcin Godniowski, właśnie ten, opisywany wcześniej wysoki, muskularny, najlepszy gracz siatkówki, z gęstą bardzo kędzierzawą burzą włosów na głowie. na którego na boisku wołano „Filip”, przezwisko jeszcze ze szkoły, a które, wbrew zasadom, stało się też jego pseudonimem.

Najbardziej aktywny, można powiedzieć już dotąd dusza oddziału (nie umniejszając roli poległego Wąsowicza, który był więcej niż autorytetem, - ojcem wychowawcą, alfą i omegą, słowem wszystkim), Filip, wkrótce przełamał kryzys psychologiczny i odrodził ducha

oddziału. Niestety, jego bliskie związki z grupą, która uczestniczyła w tragicznie zakończonej akcji, były zbyt oczywiste i widoczne. Wkrótce potem został aresztowany, raczej rutynowo. Nie postawiono mu zarzutów uczestnictwa w nielegalnej organizacji, raczej było to typowe zgarnięcie osoby, którą szczególnie często widywano w niewłaściwym towarzystwie i zatrzymanie na wszelki wypadek. Jednak jego koledzy, a obecnie podkomendni, nie zdawali sobie z tego sprawy. Nie mogli znać subtelnych rozgrywek, wewnętrznych konfliktów interesu niemieckich służb bezpieczeństwa ze zwykłym Wehrmachtem i może dalszych, bardziej skomplikowanych.

Zaistniała więc podobna sytuacja, jak w znanej z podziemnego wydawnictwa książce, „Kamienie na szaniec”. Członkowie Oddziału Dywersyjnego, związani byli wzajemnymi więzami silnej lojalności. Nie było mowy, żeby pozostawić nowego dowódcę swemu losowi, spisać go na straty. „Filip” był nie mniej ceniony i popularny, jak „Rudy”. Tym bardziej, że już raz udało się uwolnić jednego z członków organizacji, wspomnianego uprzednio „Murzyna”.

Tylko że „Murzyn” po przesłuchaniu trafił do szpitala, a „Filip” nie wychodził z piwnic gestapo. Te budynki były dobrze zabezpieczone, między innymi zewnętrznymi bunkrami z bronią maszynową. Żeby się tam dostać, trzeba by stoczyć większą bitwę, a o kilkaset m. znajdowały się niemieckie koszary i Deutches Heim.

Niestety, mimo wielu starań, nie udało się nawiązać łączności ze znajdującymi się tam więźniami, także z „Filipem”. A więc nie wyjaśniono, że jego sytuacja nie wymaga tak desperackich działań.

Powstał plan porwania niemieckiego komisarza miasta i wymienienia go następnie na „Filipa” i być może kilku innych więźniów. Wydawało się, że za tak cenny zakładnika, głowę administracji niemieckiej Gestapo zgodzi się oddać kilku więźniów, chcąc uniknąć nagłośnienia sprawy. Porwanie przeprowadzono sprawnie i z powodzeniem, ale mimo to sprawa zakończyła się tragicznie. Znowu nie miejscowe siły bezpieczeństwa, ale zdecydował ochotniczy udział w pościgu żołnierzy niemieckich, nie wiadomo, czy tych samych co poprzednio, czy też innych, ale również z Deutsches Heim. W wyniku tego, komisarz niemiecki został odbity, a porywacze zginęli w walce, albo może z własnej ręki, zachowując dla siebie ostatnią kulę czy też ostatni granat. Były różne wersje, na przykład że Niemcy dysponowali świetnym kierowcą i to był decydujący czynnik, natomiast Polak miał pewne trudności z samochodem (to dość prawdopodobne, może tak jak Angus zdał egzamin teoretyczny, mimo braku doświadczenia), ale to są pogłoski, uczestnicy akcji zginęli.

Nawet i potem, Gestapo wyciszyło sprawę, konsekwentnie przekładając własny interes nad „interes bezpieczeństwa Rzeszy”. Ponieważ nie doszło jeszcze do postawienia warunków przez porywaczy, Peters stwierdził, że chodziło zapewne o porwanie dla okupu. Nie łączono tego z Marcinem Godniowskim, który też trafił do obozu koncentracyjnego, a będąc wyjątkowo sprawny fizycznie, zdołał z niego zbiec i walczył w partyzantce. Na ten temat było dużo sensacyjnych wiadomości, ale nie z pierwszej ręki.

O tych wszystkich wydarzeniach Angus dowiedział się z opóźnieniem, gdyż rodzice w pierwszym okresie nie chcieli przekazywać mu złych wiadomości. Ponadto sami nie wiązali tych zdarzeń i miejsc, nazwa Michniów nic im nie mówiła, podobnie wiadomości o strzelaninie gdzieś na peryferiach miasta nie łączyli z Konarem ani żadnym innym kolegą.

Także gdy Agnus wracał do życia, jeszcze przez pewien czas zachowywano ścisłą kwarantannę. Żółtaczka jest chorobą zakaźną, nawet gdy ten okres minął, na wszelki wypadek zachowywano ostrożność. Krótko mówiąc Angus widywał tylko rodziców i nikogo więcej i wiedział tylko tyle, co usłyszał od nich. Przynajmniej nalegał, żeby kupowano dużo gazet, nie tylko polskie gadzinówki, ale także prasę niemiecką, nie poprzestając na Krakauer Zeitung, również prasę centralną, głównie wydania berlińskie. Komunikaty wojenne i wiadomości z frontu rozumiał już, natomiast inne fragmenty i komentarze czytał z pomocą matki. W ograniczonym zakresie, poduczył się trochę niemieckiego.

**Kapsuła: Stalin dąży do zerwania stosunków z Polską i konfrontacji, jako pozór wybiera zbrodnię katyńską. Alianci porzucają niepotrzebnego już sojusznika, Sikorski traci rację bytu.**

Wiadomości z frontu, były zdecydowanie pomyślne, nie tylko Niemcy dostawali w skórę, ale skończyła się też ofensywa Japończyków, przeszli oni do upartej obrony. Bardzo złą wiadomością były doniesienia o śmierci gen. Sikorskiego. Prasa niemiecka rozpisywała się na ten temat wyjątkowo obszernie, poświęcając bez porównania więcej miejsca niż angielska lub amerykańska. Może za wyjątkiem polskich gadzinówek, żadna prasa na świecie nie poświęciła temu zdarzeniu tyle miejsca, a to dla tego, że propaganda niemiecka starała się przedstawić ten wypadek jako morderstwo polityczne, przykład typowej angielskiej perfidii, szczególnie podstępny i haniebnny.

Jeżeli chodzi o część zaadresowaną do Polaków, ta kampania propagandowa nie zrobiła na nich absolutnie żadnego wrażenia. Polska opinia publiczna była już tak silnie uprzedzona, że żadna propaganda niemiecka nie docierała, nawet w takich wypadkach, gdy fakty nie były przedstawione fałszywie. Zakładano z góry, że wszystko co podają Niemcy jest tak kłamliwe, że nawet nie zasługuje na krytykę, najwyżej politowanie. A przecież nie zawsze

i nie w stu procentach wszystko było kłamstwem. Niemcy nie unikali prawdy, jeżeli ta prawda akurat im odpowiadała. Jednak ich tuba propagandowa do tego stopnia utraciła wiarygodność, że właściwie tracili pieniądze na darmo, bo każde słowo budziło od razu sprzeciw i niewiarę. W ten sposób, wśród bzdurnych fałszów, marnowały się także informacje z pierwszej ręki. Na przykład, gdy jeszcze działali w ścisłej współpracy i porozumieniu z ZSRR, wychwalali pod niebo swych sojuszników, a w każdym razie pisali same wiadomości pozytywne. Ale kiedy później, po podstępnej napaści na sprzymierzeńca, opisywali szczegółowo okropności totalitarnego systemu radzieckiego. To były przeważnie wiadomości kompetentne i można powiedzieć, fachowe. Po prostu dlatego, że sami dobrze znali ten temat, mieli doświadczenie. Mimo różnych ideologii, różnego podejścia teoretycznego, mechanizm działania był bardzo podobny. Ewolucja tych ustrojów przebiegała w równoległym kierunku i miała zadziwiająco dużo cech wspólnych, albo też to nie była całkiem niezależna ewolucja, miała miejsce jakaś wymiana genów. Trzeba by zastanowić się, które z podobnych rozwiązań i cech, zostało przejętych albo zapożyczonych od kogo.

Jest faktem, że wiele konkretnych informacji o okropnościach systemu radzieckiego Niemcy przedstawili tak trafnie dlatego, że sami mieli bardzo dobrych fachowców od tych spraw. Nie musieli posługiwać się fantazją, jak wielu pisarzy z innych krajów, w tym z zachodniej Europy i USA, którzy często wprost ośmieszali się wymysłami absurdalnymi, o sprawach, o których nie mieli pojęcia. Na przykład, kiedy Niemcy przedstawiali okropności obozów i więzień radzieckich, a w tym także i dalej wzmiankowaną sprawę Katynia, wiedzieli bardzo dobrze, jak się to robi, chociaż szczegóły rozwiązań technicznych mogły nieco się różnić. Także i w wypadku katastrof lotniczych zaufanych i wielce zasłużonych osób mieli niezłe doświadczenie. Przecież jeszcze na początku 1942r. w podobnej katastrofie zginął Fryderyk Todt, zaraz potem, jak, można powiedzieć, cudem i za uszy wyciągnął armię niemiecką z beznadziejnego położenia w głęboko zamrożonym szambie, w jakim znalazła się ona w wyniku kompromitujących zaniedbań w zimie 1941/42r.

Czasem lepiej być dłużnikiem, niż wierzycielem. Człowieka, któremu zbyt dużo się zawdzięcza, często likwiduje się po cichu, aby nie stracić twarzy i oszczędzić sobie zaambarasowania. Przeciwnie, dłużnika, zwłaszcza dużego, lepiej podtrzymać we własnym interesie. Świat nie jest pięknym, ani sprawiedliwym miejscem. Trzeba na nim uważać, a nie kierować się dziecinnymi iluzjami. Wiadomo, że dyktator nie toleruje koło siebie nikogo, kto poprawił jego błędy. A tym bardziej, jeżeli tylko to uratowało go od zguby.

Sprawa Katynia została nagłośniona przez niemiecką propagandę już około roku temu. Akurat w tym wypadku przedstawiono prawdziwe fakty, ale i tak nikt z Polaków w to nie



wierzył. Wystarczyło, że sprawa została odkryta przez Niemców, aby automatycznie oczyścić z podejrzeń ZSRR. Stopniowo jednak, obiektywna prawda zaczęła przebijać się przez uprzedzenia. Zbrodnia miała wyjątkowo obrzydliwy charakter: z wziętych do niewoli oficerów, wymordowano praktycznie wszystkich. Później okazało się, że nie przeżyło także prawie 90% zwykłych żołnierzy, chociaż to już nie stało się w Katyniu. Nawet Niemcy nie postępowali w ten sposób, aż do napaści na ZSRR.

W końcu Polski Rząd Emigracyjny nie mógł już dłużej zachować milczenia, choćby dlatego, że coraz większa ilość Polaków zaczęła zachowywać się nieodpowiedzialnie, narażając w imię grobów zamordowanych (a w tym czasie znaleziono ich dopiero kilkanaście tysięcy, wyłącznie oficerów) następne setki tysięcy. Właściwie Sikorski zwrócił się do Stalina z bardzo ostrożną i wstrzeźliwą propozycją przeprowadzenia wspólnego dochodzenia, albo powierzenie takiego dochodzenia komitetowi ludzi neutralnych i niezależnych, o uznanym autorytecie i opinii. Bez żadnej wątpliwości, chodziło o stworzenie jakichkolwiek podstaw, pozorów, które pozwoliłyby na dalsze ignorowanie kłopotliwych faktów. Sikorski zachowywał się dyplomatycznie, może nawet przesadnie ostrożnie i był gotów przyjąć za dobrą monetę jakiegokolwiek wyjaśnienie, które Stalin zechciałby dostarczyć. Ale Stalin nie miał takiego zamiaru, od chwili gdy sytuacja na frontach się poprawiła, zdecydowany był na zerwanie umów, które pod wpływem dyplomacji angielskiej zawarł z Polską w okresie gdy sytuacja ZSRR była krytyczna. Nie odpowiadając merytorycznie, zamiast tego wsiadł na wysokiego konia i traktując notę jako wysoce obraźliwą, zerwał stosunki dyplomatyczne z Rządem Polskim. To mniej więcej tak, jakby zbrodniarz nie poprzestał na zamordowaniu ofiar, ale jeszcze oskarżył ich bliskich o oszczerstwo i w rezultacie dostał odszkodowanie, w tym wypadku całą Polskę. Opinia wolnego świata zaaprobowała to równie łatwo, jak przedtem Holokaust.

Oczywiście, gdyby nie sprawa Katynia, to Stalin znalazłby inny pozór, tak czy owak zdecydowany był zerwać umowy i zagarnąć Polskę. Miał wolną drogę, sojusznicy Polaków nie mieli zamiaru mu w tym przeszkadzać.

Trzeba patrzeć na sprawy realistycznie. To nie jest tak, jak uważają niektórzy Polacy: że zostali wykorzystani, pchnięci do walki z Niemcami, żeby upuścić trochę krwi Wehrmachtowi, a zwłaszcza zyskać na czasie, inaczej to uderzenie spadłoby już w 1939r. na Francję i Anglię. Polska była cennym sprzymierzeńcem, gdy zajęła Hitlerowi krytyczny rok 1939, potem liczyła się jeszcze jako jedyny konkretny sojusznik w r 1940, gdy polscy lotnicy, tylko około 10% w stosunku do brytyjskich, w krytycznych dniach bitwy powietrznej zyskiwali do 20% zestrzeleń samolotów niemieckich, a polskie wojsko, choć nieliczne,

przydało się, żeby zapłacić dziury w obronie wybrzeży u boku też nielicznych wojsk brytyjskich. Następnie jednak, chociaż przez cały czas wojny kilkaset tysięcy Polaków biło się, i to dobrze, wszędzie tam, gdzie walczyli sojusznicy brytyjscy, wartość i znaczenie Polaków w stosunku do zaangażowanych sił stawała się coraz mniejsza. Polska miała coraz mniej do zaoferowania, zeszła do roli kłopotliwego wierzyciela, który włożył wszystko co miał we wspólne przedsięwzięcie, a którego korzystniej było nie spłacać. Więc po wygranej wojnie, rzucono go wilkom. Jednak Polacy upraszczają sprawę mówiąc, że najpierw zapłacili nieprawdopodobną ilością ofiar za wygraną wojny, a potem po raz drugi za pokój. To nie cała prawda, a tylko jej część.

W rzeczywistości, W. Brytania nie była w stanie fizycznie dotrzymać swoich zobowiązań. Trzeba uwzględnić fakt, że w drugiej wojnie światowej, ustroje totalitarne, łącznie, miały przewagę militarną nad demokracjami. W wypadku trwałego współdziałania Niemiec i ZSRR, nie mówiąc już o Japonii, cała reszta wolnego świata nie byłaby w stanie pokonać takiego bloku. Przecież w roku 1940. rząd USA liczył się poważnie z zajęciem Anglii i chciał przejąć flotę brytyjską, aby zorganizować obronę samego kontynentu amerykańskiego. Wielka Brytania, a w następnej kolejności i USA były jeszcze długo w krytycznej sytuacji. Jak wiadomo, w 1941 i jeszcze w 1942r. Stalin gotów był do zawarcia pokoju na warunkach, zapewniających hegemonię Niemiec, byle zachować chociaż część ZSRR pod swoją władzą. Ribbentrop był przez cały czas zwolennikiem takiego pokoju, a po 1942r w ogóle jakiegokolwiek pokoju; oceniając politykę ZSRR jako czysto (czy raczej brudno) utylitarną, zapewniał słusznie, że Stalin nie będzie miał absolutnie żadnych skrupułów. Na szczęście, taką koncepcję negował Hitler.

Dlatego dla W Brytanii i USA najważniejszym celem było trwale wyeliminowanie przynajmniej jednej z tych potwornych sił, która stwarzała największe bezpośrednie zagrożenie, przyjmując, że potem zdołają obronić się przed drugą. A więc zachowanie sojuszu z ZSRR było życiową koniecznością, wszystko inne, w tym również Polska, miało drugorzędne znaczenie. W Brytanii i USA po prostu walczyły o życie i miały szansę tylko dzięki temu szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że agresorzy pobili się między sobą, ale nawet teraz, ewentualna zmiana sojuszy mogłaby okazać się zgubna.

Natomiast Polska, od razu na samym początku włożyła do wspólnej kasy wszystko co miała, za cenę niewyobrażalnie wielkich strat, około 20% ludności (największych ze wszystkich uczestników wojny) kupiła dla aliantów cały rok 1939 i teraz jej jedynym udziałem pozostawało tylko te kilkaset tysięcy walczących wciąż ludzi, coraz mniejszy ułamek w porównaniu do zaangażowanych sił.

Winston S. Churchill był na pewno głównym architektem zwycięstwa i przy tym człowiekiem wielkiego formatu, a na dodatek, cokolwiek się mówi, także dość przyzwoity, jak na polityka. Jeżeli zdradził sojusznika polskiego, postąpił nieuczciwie, to dlatego, że działał w stanie wyższej konieczności. Na pierwszym miejscu postawił interes swego kraju i już to samo jest mocnym argumentem, a nie można zapominać, że dziwnym przypadkiem ten interes był wtedy zgodny z interesem całej ludzkości. Zdawał sobie sprawę zarówno z głębokiej niemoralności koniecznych rozwiązań praktycznych, jak i z tego, że na razie nie ma wyboru. W Brytania musiała podlizywać się ZSRR i to coraz bardziej, gdyż znaczenie tego potwora stale rosło. Także w przyszłości, Churchill nie zdołał przeforsować swego zdania - chociaż trzeba przyznać, że przynajmniej usiłował.

Lecz Franklin D. Roosevelt miał inną koncepcję pokoju i w ogóle polityki. To też bez wątpienia wielki człowiek, ale bez wątpienia, gdyby urodził się w innym środowisku i wybrał inny zawód, mógłby z powodzeniem zostać doskonałym capo di tutti capi, albo wybitnym szefem potężnego gangu. Nie dotyczy to poziomu moralnego, który jest może bez zarzutu, a tylko potencjału mózgowego. W konkretnym wypadku, Roosevelt starał się skumplować ze Stalinem, wystawiając Churchill'a na frajera. Trzymanie sztamy z tym pierwszym przeciw drugiemu, to była celowa rozgrywka na pokaz. Churchill może był o tym uprzedzony. jeżeli nie, to musiał się z tym pogodzić. Nie wiadomo, jak się z tym czuł, zapewne fatalnie, nawet, jeżeli to było z góry ukartowane. We wszystkich sprawach, które uważał za najważniejsze, Roosevelt przeprowadził swoje plany, poklepując Stalina po ramieniu, a podśmiewając się z Churchill'a, wprost robiąc z niego durnia. To była przemyślana taktyka, która miała podbudować psychologicznie zbliżenie. Ale Stalin zyskał nadspodziewanie dużo, więcej, niż pierwotnie uważał za możliwe. Zapewne w przyszłości Roosevelt zdołałby Stalina wykołować - gdyby dożył. Często jednak tymczasowe rozwiązania stają się trwałe, a świetne plany, udaje się zrealizować tylko w części.

Odnosnie Polski, Churchill po prostu nie mógł nic zrobić, chociaż próbował, trzeba przyznać, że starał się na miarę swoich sił. Ale nawet gdy odwołał się do honoru Anglii, Roosevelt i Stalin w pełnej komitywie poradzili mu, żeby nie uciekał się do takich niepoważnych argumentów w poważnej rozmowie. Roosevelt negocjował ze Stalinem, wzorując się ściśle na metodach szefów najpotężniejszych gangów, a z Churchill'a robił balona, demonstracyjnie pomniejszał go i nawet trochę ośmieszał. W sprawie Polski, Roosevelt nie miał żadnych zobowiązań, a USA jak dotąd raczej spory kredyt na plus. Istotną częścią długodystansowego planu Roosevelta było podłożenie Stalinowi miny polskiej. Rosjanie już uprzednio połykali Polskę, ale nigdy nie mogli jej strawić, mieli z tego same

kłopoty. Roosevelt zakładał, że Stalinowi trochę niestrawności dobrze zrobi, zajęty swoją strefą, będzie miał mniej czasu i możliwości do dalszej ekspansji. Faktem jest, że choć nie za Stalina, po długim odstępie czasu te przewidywania okazały się zadziwiająco trafne, polskie drożdże miały udział w fermentacji i rozpadzie ZSRR.

Wracając do śmierci Sikorskiego, ta sprawa nie została wyjaśniona do dziś. Wielu poważnych historyków, w tym również niemieckich, a nie tylko hitlerowskich (bez uprzedzeń, mowa o zupełnie innych ludziach i bez kwestii na wybitnym poziomie) zdecydowanie twierdzi, że katastrofa ta została zorganizowana przez tajne służby brytyjskie. Wiadomo też, że tak samo sądził De Gaulle, który za nic nie chciał skorzystać z angielskiego samolotu i do Francji wrócił wtłoczony do francuskiego myśliwca, w kompletnej tajemnicy, nie sprzedając nawet angielskiej obrony przeciwlotniczej ani kontroli powietrznej, a więc ryzykując zestrzelenie niezidentyfikowanego obiektu (podobno z takim komentarzem, że gdyby jego samolot był zidentyfikowany, ryzyko mogłoby stać się większe).

Trudno obecnie roztrząsać tą sprawę, gdyż nadal brak informacji, ale z drugiej strony właśnie ukrywanie wszelkich danych z rutynowego śledztwa i dalsza odmowa udostępnienia archiwów nawet dla ludzi nauki stwarza niezdrową atmosferę, mnoży podejrzenia i musi nasuwać różne skojarzenia. Konkretnie, że podobnie jak w sprawie Katynia, niemiecka propaganda czasem jednak posługiwała się także i prawdą.

Generał Władysław Sikorski był wybitnym przywódcą antyfaszystowskim popularnym na całym świecie, jego imię znane było powszechnie. Po kapitulacji Francji, to on osobiście zawarł porozumienie z Churchill'em, a nawet obaj mówili o osobistej przyjaźni, choć trudno interpretować, czy i jakie znaczenie ma przyjaźń dla polityka.

Żaden inny członek Polskiego Rządu Emigracyjnego nie miał nawet w przybliżeniu podobnego autorytetu, ani znaczenia w światowej opinii publicznej. Poza tym, tylko Sikorski mógł ze skutkiem osobiście bronić porozumienia, które zostało złamane. Jedno jest pewne, gdyby żył Sikorski, nie dałoby się tak potraktować Polski, pociągnęłoby to za sobą zbyt poważne konsekwencje w opinii publicznej, a nawet mogłoby dojść do skandalu. Inni Polacy, w większości ludzie nowi albo z tzw. drugiego garnituru nie mieli takiego znaczenia, ich głos nie miał tej wagi. Może więc, wyeliminowanie Sikorskiego z punktu widzenia brytyjskiej racji stanu stało się smutną koniecznością. Nie można wysuwać żadnych ostatecznych twierdzeń, ale jeżeli tak właśnie się stało, to zapewne Churchill musiałby zdecydować o tym osobiście i to bez wątplenia niechętnie i z oporami. Mąż stanu musi czasem podjąć trudną decyzję, nawet poświęcić człowieka lub ludzi których osobiście ceni, dla dobra kraju. Autor ma nadzieję, że te wątpliwości wyjaśnią się kiedyś w inny sposób. Ale nawet jeżeli tak się nie

stanie, nie zmieni to jego stosunku do Churchill'a. Podobnie jak wszyscy, którzy przeżyli drugą wojnę światową, będzie nadal podziwiał i cenił Churchill'a, nawet jeżeli musiał on podjąć tak tragiczną decyzję, w swoim pojęciu pro publico bono.

\* \* \*

Nikt z Polaków nie wyobrażał sobie wtedy takiego biegu wydarzeń, nie żywił podobnych obaw. Wprawdzie śmierć Sikorskiego odczuwano boleśnie, ale przecież była wojna, normalne, że ludzie giną. Co do Katynia, to przeważała opinia, że raczej zrobili to Niemcy, jedna ze specjalnych Einsatzgruppen SS, które przecież pracowały wtedy w pocie czoła, mordując ludzi „metodą radziecką”, ręcznie (przemysłowe metody przerobu, przy użyciu cyklonu jeszcze nie zostały wprowadzone). Po prostu, w ramach obowiązków pełnionych na zapleczu frontu, zajęli się też polskimi jeńcami, pozostawionymi przez uciekającą Armię Czerwoną. Tylko ojciec Angusa, który miał okazję widzieć warunki w ZSRR, wyrażał przypuszczenie, że zapewne NKWD rozpoczęło mordowanie, a Niemcy dokończyli, teraz zaś zwalają jedni na drugich.

Reakcja Stalina była niepojęta, ale nie budziła trwogi. Przecież Polska była, można powiedzieć, członkiem - założycielem koalicji antyhitlerowskiej. Pierwsza walczyła z Niemcami. Nie do pomyślenia wydawało się, żeby po zwycięstwie, które było coraz bliżej, miał oczekiwać ją tragiczny los. Polacy łudzili się, że to wszystko ugruntowało ich pozycję.

O wiele bardziej Angus, jego rodzice i otoczenie, interesowali się sytuacją we Włoszech. Po zajęciu Sycylii, wytworzyła się tam dziwna i bardzo podniecająca sytuacja, coś ważnego się szykowało. Mussolini został odsunięty od władzy, ale również Wielka Rada Faszystowska, która go obalała, nie utrzymała się przy niej. Władzę przejął król, aresztował Mussoliniego i mianował nowy rząd. Nie wiedziano wprawdzie, że to pierwszy Ciano zorientował się, że nie ma szans na wygranie tej wojny i w końcu 1942 r rozpoczął ostrożne kroki, żeby wyprowadzić Włochy z osi, ewentualnie kapitulować albo nawet przejść na stronę zwycięską. Zwolniony z funkcji przez teścia, który nie potrafił zdobyć się na żadne samodzielne działanie (gdyż Mussolini w obecności Hitlera był jak zahipnotyzowany), przygotował przewrót hierarchii faszystowskiej. Ale władza wyslizgnęła się z ręki Grandiego i przeszła do Badoglio pod egidą króla, a dowództwo Armii otrzymał Ambrosio, to wciąż jeszcze nazwiska z czasów Mussoliniego. Lepiej by się stało, gdyby Ciano choćby nieoficjalnie, mógł nadal realizować swoje koncepcje. Chociaż nikt nie zdawał sobie sprawy, pęknięcie osi było już faktem i mogło od razu doprowadzić do całkowitej katastrofy, już w 1943r. Przecież armia włoska osłaniała od południa granice Niemiec, a ponadto okupowała znaczną część Bałkanów, gdzie Rumunia i Węgry już wcześniej porozumiewały się z Ciano,

pragnąc wyjść z wojny razem z Włochami, ewentualnie zmienić front, rozpoczynając walkę z Niemcami. Przy zdecydowanym działaniu Anglii i zwłaszcza USA możliwe było szybkie zrolowanie obrony niemieckiej na całym południu Europy, może nawet i we Francji, gdzie wojska włoskie też brały udział w okupacji. Tylko Churchill miał wielką wizję, to co mówił o miękkim podbrzuszu Europy nie było pozbawione sensu. Amerykanie się sprzeciwili, zapewne obawiając się zdecydowanie negatywnej reakcji Stalina. Rzeczywiście, w tym czasie ZSRR przedstawiło pierwsze nieoficjalne warunki pokojowe Niemcom w Sztokholmie. Może nie serio, ale do postraszenia sojuszników wystarczyło.

Jak się później okazało, te wielkie nadzieje się nie spełniły, pozostały tylko w sferze marzeń. Zwłaszcza alianci, ale także i Włosi działali kompromitująco niezdarnie i niezdecydowanie, tracąc bezcenny czas. Natomiast Niemcy, a zwłaszcza wywiad SS, ale i armia, wprost przeszli sami siebie. Ogromną, może decydującą rolę odegrały w tym fałszywe angielskie banknoty, po raz pierwszy użyte wtedy na masową skalę przez Niemców. Jak wiadomo, osioł obładowany złotem, zdobywa łatwo fortece, których nie może wziąć żadna armia.

SS już od dawna rozpoczęło największą w historii operację fałszerską, wybierając do tego najlepszych fałszerzy z milionów więźniów, przeczesując zarówno więzienia jak i obozy śmierci. Wybrani fachowcy otrzymali szansę życia i to na stosunkowo niezłym poziomie, w zamian za swoje usługi profesjonalne. Ponieważ ponadto, umożliwiono arcy mistrzom korzystanie z najnowszych osiągnięć techniki i nauki, rezultat musiał być dobry. Tak dobry, że najbardziej kompetentni rzeczoznawcy z banków szwajcarskich i nawet angielskich, uznali ostrożnie podsunięte im próbki za prawdziwe banknoty.

Wtedy nie podjęto jeszcze decyzji, jak zostaną użyte te fałszywki. Były fantastyczne koncepcje, na przykład zrzucenie ich w wielkich ilościach na Anglię w celu wywołania zamieszania finansowego i przejściowego paraliżu gospodarki. Ale dla takiego celu, produkcja była jeszcze za mała.

Teraz nasunął się inny cel. Wywiad niemiecki, ściślej wywiad SS został zaopatrzone w prawie niewyczerpane fundusze. Użył je, wcale nie rozrzutnie, raczej ostrożnie, ale bez ograniczeń wszędzie tam, gdzie przynosiło to rezultaty. Już i przedtem, Niemcy czytali włoskie tajne szyfry, a więc mogli dowiedzieć się dosłownie wszystkiego. W krytycznej chwili, (później obwiniano za to niepowodzenie przedwcześnie informację radia angielskiego, niesłusznie, bo Niemcy i tak wszystko dokładnie wiedzieli), niezbyt duże siły niemieckie zdołały zaskakująco łatwo rozbroić Armię Włoską i opanować prawie cały kraj. Alianci lądowali tylko na południu i zajęli Neapol, natomiast działając zaskakująco ślamazarnie, nie

weszli nawet do Rzymu. Dywizje włoski, które zabezpieczały tam lotniska i oczekiwały daremnie na desanty, po minimalnym oporze zostały przez Niemców rozbrojone. Najbardziej pokazową operacją było uwolnienie Mussoliniego przez spadochroniarzy niemieckich i komando SS pod dowództwem Skorzenego, którego później Hitler wyznaczał do wszystkich efektownych akcji. Ta akcja też stała się możliwa, dzięki sowitemu opłaceniu informacji.

Również w Jugosławii, gdzie rozbrojona armia włoska stała się dla partyzantów wielką bazą zaopatrzeniową, Niemcy nie tylko masowo odkupywali uzbrojenie włoskie, ale także najnowocześniejsze uzbrojenie z bieżących dostaw brytyjskich, które docierało w wielkich ilościach z bliskich baz na obcasie włoskiego buta. Jest faktem, że za fałszywe funty, Niemcy wykupili na Bałkanach takie ilości broni, iż byli w stanie zaopatrzyć w nie całe, nowo formowane dywizje. Z tego źródła pochodziła głównie angielska broń, w którą zaopatrzone niemieckich dywersantów przierzucanych za linię frontu podczas ostatniej ofensywy w Ardenach, w końcu 1944r.

Trzecią ważną akcją, na szczęście zmarnowaną przez Niemców, była szpiegowska operacja Cicero, też opłacana z tego źródła. Została ona opisana w wielu sensacyjnych wydawnictwach, natomiast w tamtym czasie była oczywiście nieznaną.

Można powiedzieć, że w końcu lata 1943 Niemcy zdołali wyjść obronną ręką z nadzwyczaj niebezpiecznej sytuacji. To był istny cud. Wojna mogła, powinna skończyć się o rok, półtora wcześniej.

\* \* \*

Gdzieś w trzeciej dekadzie sierpnia, pewnego ciepłego, nawet gorącego popołudnia, Angus już na własnych nogach, przeszedł przez Błonia i potem ulicą Wspólna, aż do Pierackiego. To był duży wysiłek i tą trasę ledwie udało mu się pokonać. Właściwie, choroba całkowicie ustąpiła, ale pozostał duży stopień uszkodzenia wątroby, po badaniach określony na prawdopodobnie 75%, jednak można było oczekiwać dalszej regeneracji. Tymczasem nie można było nic więcej zrobić, oprócz zachowywania surowej diety, to znaczy nieśmiertelny pęczak, trochę gotowanego, albo więcej kwaśnego mleka i nadal dużo witaminy C, gdyż nie mógł także jeść owoców. Jednak czuł się już normalnie, oprócz tego, że oczywiście był zdumiewająco słaby, aż trudno uwierzyć, ale byle kot mógł go przewrócić.

Dopiero przed kilku dniami dowiedział się, co stało się w Michniowie, ale bez bliższych szczegółów. Zupełnie nie było słyhać o Ponurym, ale nie było też żadnych wiadomości o katastrofie oddziału, na razie sam brak wiadomości można było uważać za pomyślny.

Dotąd wychodził tylko na ławeczkę pod oknem, teraz po raz pierwszy wyruszył dowiedzieć się czegoś więcej od kolegów. Nie mógł już znieść dalszego zawieszenia w próżni.

Doszedł do końca Wspólnej, przeszedł Pierackiego i wszedł do sklepu. Matka kolegi stała za ladą, kilka osób w sklepie. Na widok Angusa zapadła cisza, przez chwilę skojarzyło mu się to ze sklepem w Michniowie, a po sekundzie poczuł różnicę, wydało mu się, że jest tu niechętnie widziany. To z pewnością musiało być przywidzenie. Starając się otrząsnąć z niego, zapytał, czy zastał syna. Na to wszyscy zaczęli mu się przyglądać, po chwili dopiero usłyszał, że msza żałobna za spokój duszy Stacha odbędzie się za sześć dni, w kościele na wzgórzu miejskim.

Wrażenie było niesamowite, Agnus zaczął zadawać pytania, właściwie raczej bełtać bez sensu, a wszyscy bez słowa patrzyli na niego tak, jakby mieli do niego pretensję i o coś go winili, to też szybko się wycofał. W drodze do domu mówił podobno sam do siebie i potrząsał głową, choć sam tego nie pamiętał. Rodzice Angusa nic o tych zdarzeniach nie wiedzieli. Dopiero następnego dnia, poszedł dalej, do Stefana i tam dowiedział się trochę więcej, ale szczegółów też nie. Odwiedzał potem innych kolegów, ale nawet ci, którzy mieli informacje, mówili mało, wzmiankami. Wtedy usłyszał też, że brat Julka Żuka zginął przy porwaniu komisarza miasta, ale sam Julek nie chciał o tym nawet wspominać. Stopniowo ze skąpych informacji wyłaniał się jakiś obraz całości, ale mglisty. Łatwiej byłoby ludziom wyrwać zęby, niż słowo komentarza.

Niespodziewanie, po wojnie okazało się, że Stach Konar jednak wtedy ocalał, Agnus spotkał go pewnego dnia na ulicy i zdziwił się tak, jakby ujrzał zjawę. Stach z jeszcze jednym uczestnikiem akcji, cofnęli się wtedy, a znając najlepiej teren, ukryli się na terenie fabryki. Po bardzo wylewnym powitaniu, Agnus umówił się wtedy na dłuższą rozmowę następnego dnia, ale do spotkania wtedy nie doszło, Konara zwinęło wkrótce UB.

Pod wpływem tych zdarzeń, a może i w wyniku choroby, Agnus wpadł w głęboką depresję. Dwa razy kolejno, można powiedzieć przeszedł przez miejsca, które wkrótce za nim nawiedziło nieszczęście. On ocalał, ale ci, co tam pozostali, zginęli. Zaczął się obawiać, że sprowadza na otoczenie pecha, ściąga zgubę, jest jonaszem, ma złą passę - różnie można to nazywać, ale jedno jest pewne: śmierć idzie za nim, kto chce przeżyć, powinien trzymać się od niego z daleka.

To głupie, bezsensowne, prymitywne, w takie bzdury może uwierzyć tylko kretyn, na najniższym poziomie umysłowym. Usiłował to sobie wytłumaczyć, powtarzał w kółko, ale bez skutku. Mimo wszystko, co mówił rozum, pozostała obawa. Nie, raczej paraliżujące



przerażenie, budził się i zasypiał patrząc na siebie, jak na roznoszącego zarazę, nosiciela jakiegoś okropnego bakcyła. Całe szczęście, że przynajmniej rozstał się teraz, już bez żadnych wątpliwości, ostatecznie i na zawsze, z najdroższą Panią. Gdyby nie to, zapewne i na nią ściągnąłby nieszczęście. Przez cały wrzesień, żałował tylko jednego. Tego, że przeżył.

\* \* \*

Angus nie leżał już w pokoju za piwiarnią, kwarantanna się skończyła, to znaczy, jeżeli chodzi o żółtaczkę, bo sam nie zbliżał się do nikogo, aby nie zarazić go swoim pechem. Znowu mieszkali w pokoju dawnej bursy, z ojcem, ale pozostawał tam i po wyjściu ojca, aż do południa albo i popołudnia. Nie miał po co wstawać i najchętniej w ogóle by tego nie robił, nawet nie czytał książek, nie spał też, tylko leżał z zamkniętymi oczami albo wpatrywał się w sufit lub okno. Gdy się wreszcie podniósł, szedł do domu, zjadał swoją kaszę z mlekiem, zwykle kwaśnym i potem szedł na samotny spacer, do lasu albo na łąki. Czasem dochodził aż do Romanowa, odpoczywając kilka razy po drodze, ciągle był bardzo słaby. Kąpał się krótko, raczej nie pływał i wracał do domu przed wieczorem. Rodzice pozostawiali go w spokoju, widząc że odsuwa się i unika towarzystwa.

Nie poprawiły nastroju wiadomości z gazet. Włosi wszystko spieszyli, a Anglicy i Amerykanie utknęli na dobre. Zamiast całych Włoch, zajęli tylko część Królestwa Neapolu i Obojga Sycylii, nie uratowali nawet samego Rzymu, chociaż wystarczyłoby rzucić komandosów, wojska włoskie zabezpieczające lotniska wokół Wiecznego Miasta czekały na to, jak na zbawienie. Wystarczyłoby tysiąc, może nawet symbolicznie, kilkudziesięciu spadochroniarzy, gdy żadna pomoc nie nadeszła, po prostu złożyli broń przed Niemcami. Alianci zamiast tego, po długich namysłach wysadzili desant pod Anzium, gdzie nie napotkali żadnego oporu, ale wtedy cofnęli się i przez dwa dni biernie czekali, aż w końcu nadeszli Niemcy i nie wdając się bezpośrednio w walkę, zajęli okoliczne wzniesienia. Mały skrawek wybrzeża i przyległych dolin, przestrzeliwany od końca do końca, zamienił się w masowy cmentarz żołnierzy amerykańskich i angielskich. W gazetach Niemcy szczegółowo opisywali swoje sukcesy, chełpili się nimi i niestety, słusznie. Niemiecki Wehrmacht naprawdę dokonał we Włoszech cudów. Samo Ancium podobno kosztowało aliantów sto tysięcy ludzi, więcej, niż w ogóle było tam Niemców. Faktem jest, że Niemcy działali we Włoszech po mistrzowsku, alianci poniżej wszelkiej krytyki. Wielka szansa na szybkie zwycięstwo została zmarnowana, prawie tak, jak przez Gamelin'a w 1939r. Właściwie, jeżeli jeden generał może z łatwością spowodować śmierć tysięcy swoich żołnierzy, to może i żołnierze, po bitwie, powinni mieć prawo stanowić, albo przynajmniej wypowiedzieć się w sprawie losu swojego dowódcy.

Paradoks, ten okres apatii przerwało najpierw całkiem trywialne zdarzenie. Otóż w godzinę lub dwie po wyjściu ojca i innych zamieszkałych w bursie mieszkańców - w większości byli to wysiedleni, którzy pozostali w swoim pierwotnym schronieniu, rozpoczął się dziwny ruch. Wysokie, białe drzwi pokoiku, w którym leżał Angus, przylegały do schodów do piwnicy i na nich rozlegał się tupot licznych, lekkich kroków, szepty, półgłosem wypowiedane słowa, ciche nawoływania, czasem brzęk szkła, czuło się dym papierosów. Głosy kobiece, a raczej dziewczęce.

Ten codzienny rytuał przeszkadzał i denerwował, Angus przewracał się, zatykał uszy, nakrywał głowę poduszką. Aż któregoś dnia zbudziła się ciekawość, podniósł się i nacisnąwszy dużą, mosiężną klamkę, uchylił lekko drzwi tak, że powstała mała szpara. Na schody biegły i wybiegały postaci, a głosy polecały przynieść jeszcze dwie szklanki, popielniczkę, zapalki itp.

Słowo wyjaśnienia. Ksiądz Młynkowski rozpoczął w międzyczasie budowę kościoła po drugiej stronie szosy ze zgromadzonego budulca, mury wzniesiono szybko, więcej wysiłku zajęło przykrycie dachu. Jak tylko nakryto budynek, ksiądz w surowym wnętrzu zaczął odprawiać nabożeństwa, jednocześnie uzupełniając co się dało - od prowizorycznego ołtarza do tymczasowej podłogi, fisharmonii zastępującej organy etc. Jednym z ważnych punktów było utworzenie chóru. To ambicja księdza, a trzeba przyznać, że był muzykalny i znał się na śpiewie. Zaczął sam, a gdy budowa kościoła i organizacja nowej parafii nie zostawiły dość czasu na grę i próby, wyszukał organistę i kierownika chóru. Angus nie był muzykalny i nie miał pojęcia, czy przesadnie dbający o wygląd i pretensjonalny młodzieniec w średnim wieku i wzrostu Napoleona już po podwyższeniu wkładkami, brunet owinięty cienkim, wzorzystym szalikiem, był wielkim śpiewakiem lub artystą dyrygentem. W każdym razie złożony z samych dziewczyn chór śpiewał dużo i głośno.

Otóż w bursie mieszkała rodzina, licząca cztery córki w wieku poborowym, zwane Aniołkami, wszystkie śpiewały, a miały też pokrewne dusze na miejscu, oraz dochodzące koleżanki. Gdy rano rodzice rozeszli się do zajęć, gromadziły się one w piwnicy, a zwykle przemykał się też kierownik. Próby się tam nie odbywały, śpiewu nie było słyhać, tylko śmiechy, czasem stłumione piski i wyciszone rozmowy. Ale ku rozczarowaniu obserwatora, nie dochodziło do orgii ani nawet biesiad pijackich, po prostu trochę swobody artystycznej i może cyganerii. Potem przechodziły naprzeciw, do kościoła. Angusa poniosła wyobraźnia, lecz faktem jest, że ciekawość i zwykłe wścibstwo wzięło górę nad najcięższą depresją i apatią.

Natomiast prawdziwą sensacją stał się wkrótce nieoczekiwany przyjazd do Ostrowca jednego z wujków, którego Agnus nie widział od lata 1939 r. Brat matki, znacznie do niej młodszy, był inżynierem i kierownikiem gorzelnii w Rogalinie koło Poznania, jak to wzmiankowano. W pierwszych latach wojny, jako potrzebny fachowiec, pozostał nadal na tym stanowisku, chociaż zdegradowany. Kierownikiem został Niemiec, a on pełnił tylko funkcje zastępcy. W każdym razie tak się to formalnie nazywało, bo Niemiec się do niczego nie wtrącał, brał tylko swoją pensję, a poza tym zachowywał się całkiem przyzwoicie. W ten sposób, uchowali się spokojnie do 1942 roku. Późną wiosną 1942 kilku Polakom udało się skontaktować z jeńcami angielskimi, lotnikami, więzionymi w obozie koło Poznania. Wśród jeńców, jak zwykle część chciała podjąć ucieczkę. Z pomocą tych pracowników polskich, którzy zostali czasowo skierowani do wykonania jakichś napraw instalacji na terenie obozu, udało się wyciągnąć czterech lotników, a gdy wszystko się powiodło, jeszcze po raz drugi taką samą grupkę. Oczywiście, przygotowano najpierw prowizoryczne miejsca ukrycia, ale nie dało się w tak szybkim terminie nawiązać dalszych kontaktów, zorganizować trasy przerzutowej, przewodników i stu innych rzeczy, to wszystko wymagało więcej czasu. Przez pewien czas obie grupki uwolnionych lotników trzeba było przechować i do tego celu zastosowano sposób, który uprzednio, na terenie Wielkopolski przyjęty był z powodzeniem od stukilkudziesięciu lat, gdy te ziemie wchodziły w skład zaboru pruskiego. Polegał on mianowicie na bardzo częstej zmianie miejsca przechowania ludzi, właściwie codziennie przetrzucano ich z miejsca na miejsce, czasem i w ciągu jednej doby przechowywano w kilku różnych domach. Gdy praktycznie cała ludność uczestniczy solidarnie w takiej akcji, niemożliwe jest dla najlepszej policji odszukanie zbiegów i tak stało się również tym razem. Była to metoda wielokrotnie sprawdzona i jak dotąd niezawodna.

Trzeba dodać, że przechowywanie lotników alianckich stanowiło dodatkowo atrakcję snobistyczną, w końcu lotnik to szczególnie cenny żołnierz, jego wartość już choćby ze względu na kwalifikacje i wyszkolenie jest wysoka. Amatorów na przyjęcie uciekinierów nigdy nie brakło, przeciwnie, liczne rodziny po prostu wydzierały sobie Anglików, zapraszały ich ponownie po pewnym odstępie czasu, a nawet kiedy plan cyrkulacji był już inaczej ułożony, zapraszały ich na różne atrakcje towarzyskie, zwłaszcza na brydża (no bo skoro Anglicy, to wiadomo, powinni grać w brydża; a najgorsze dla ukrywającego się uciekiniera jest beczynne czekanie, trzeba podtrzymać go na duchu, rozerwać; wielu ludzi marzyło, żeby po wojnie pochwalić się, że w czasie okupacji grali sobie w brydża z angielskimi lotnikami, których niemieckie siły bezpieczeństwa szukały jak wściekle).

Przygotowanie trasy przerzutowej dla 2 grup zbiegów po cztery osoby (taki podział okazał się wygodny i został zachowany na stałe), zabrało parę miesięcy czasu, potem lotników przerzucono do GG, gdzie przebywali raczej w wiejskich melinach pod opieką lokalnych placówek AK. W końcu przerzucono ich trasą polskich kurierów, przez Słowację na Węgry. Ta, wydawałoby się, najtrudniejsza i niebezpieczna operacja, udała się wzorowo. Normalnie, kurier lub uciekinier, który osiągnął Budapeszt, uważał się już prawie za ocalonego. Tymczasem tym razem wyjątkowy pech. W Bułgarii, już w pobliżu granicy tureckiej, jedna z czteroosobowych grup wpadła.

Złapani Anglicy w zasadzie nie byli w gorszej sytuacji, niż przed ucieczką z obozu jenieckiego. Jeniec wojenny ma prawo próbować ucieczki, jest to wyraźnie zastrzeżone w konwencji genewskiej i nie może być za to karany ani podlegać żadnym represjom. Wprawdzie w ostatnim roku wojny zdarzało się, że Niemcy łamali prawo i nawet dokonywali egzekucji, ale na pewno nic takiego nie groziło jeszcze w 1942, czy nawet 1943 r, a zwłaszcza w stosunku do Anglików. W zasadzie jeńcy musieli tylko zidentyfikować się, to znaczy wymienić swój numer jeniecki i obóz, z którego zbiegli, bez identyfikacji, byliby uznani za szpiegów. Od tego momentu, nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. W tym konkretnym wypadku, jeńcy wrócili do obozu. Nic złego ich nie spotkało, przeżyli wojnę.

A jednak jeden z uciekinierów, postraszony trochę przez Niemców, załamał się i zaczął sypać. Jego zeznania stały się zgubne dla mieszkańców Wielkopolski, u których zbiegowie znaleźli pierwsze schronienie, nie mówiąc już o osobach, które umożliwiły im ucieczkę. Właśnie te pierwsze znajomości, traktowane na pół towarzysko, pamiętał Anglik najlepiej, potrafił wskazać miejsca, w których się zatrzymywał i osoby, z którymi się poznał i niekiedy nawet zaprzyjaźnił. Dalej, w GG, był całkiem zagubiony, przeważnie nie miał pojęcia, gdzie ich przerzucono, ani jak nazywali się ludzie, którzy się nim opiekowali, a którzy nie posługiwali się nazwiskami. Także w dalszej drodze przez Słowację i Węgry, nie potrafił wskazać wielu osób, ale tym bardziej starał się wykazać „dobrą” wolą w Poznaniu i okolicy. To też aresztowania zatoczyły szerokie kręgi, a potem posypały się wyroki śmierci, przez ścięcie toporem („Landesverrat”), powieszenie, rozstrzelanie i wreszcie zakatowanie w obozie, bo część osób, którym nie udowodniono winy, bez wyroku sądowego skazano na obóz. Ludzie młodszy czasem go zdołali przeżyć, starsi przeważnie nie. Ogółem w Wielkopolsce 46 osób poniosło śmierć, w różny sposób. Kiepski interes, nawet uwzględniając, że lotnicy byli szczególnie cenni w tej wojnie, o wiele bardziej od zwykłych ludzi. 46 żyć ludzkich za samą próbę oswobodzenia czterech, która w dodatku się nie powiodła.

Ten przykład pozwala lepiej zrozumieć, jakie ryzyko i niebezpieczeństwo wynikało z przechowywania ludzi poszukiwanych. To dotyczy także Żydów. Często po latach, znajdują się tacy, którzy albo sami nie kiwnęli palcem i nigdy nie narazili się na żadne ryzyko, albo też znają te czasy i miejsca tylko ze słyszenia lub lektury, a jednak ośmielają się krytykować Polaków za rzekomy brak pomocy dla mordowanych Żydów. Rzeczywiście, pomoc była za mała, ale to jedynie Polacy jej udzielali, z całej reszty świata nikt nawet nie usiłował. Jednak zdołano ocalić, według bardzo przybliżonych szacunków, bo naturalnie niepodobna podać dokładnej liczby, około 150 tysięcy Żydów na ogólną liczbę ponad trzech milionów. To tylko około 5%, ale i tak wymagało ogromnego wysiłku i poświęcenia. Kosztować mogło, w przybliżeniu, życie podwójnej ilości, a więc 300 tysięcy Polaków. To znaczy, że ukrywanie jednego człowieka mogło kosztować śmierć dwóch innych, naturalnie wartość średnia, bywały indywidualne wypadki szczęśliwe, ale też wielkie wpadki i masowe tragedie. I niech nikt nie mówi, że w tej liczbie, 5% ocalałych, byli tacy, którzy ocaleli przypadkiem, albo mieli po prostu szczęście, albo sami zdołali się ukryć lub ocaleć. System eksterminacji był tak opracowany, że jednostka nie miała absolutnie żadnych szans, bez pomocy z zewnątrz. Owszem, szczęście było bardzo potrzebne, nawet jeżeli miało się taką pomoc, ale samodzielnie nie sposób było ocaleć. Jeżeli ktoś odważy się twierdzić coś innego, to jest albo kłamcą, albo ignorantem. Czy Polacy zrobili wszystko, co mogli, czy mogliby ocalić 3 miliony Żydów? Na pewno nie, nawet nie za cenę dalszych sześciu milionów trupów, bo taką ogólną liczbę ofiar ponieśli. Wydaje się, że zrobili tyle, na ile ich było stać, zapewne jeszcze mały dodatkowy % dałoby się ocalić, ale nigdy nie udaje się wykorzystać optymalnie wszystkich szans, w każdym razie nie znam żadnej akcji, która w 100% zakończyła się powodzeniem. Przynajmniej próbowali, starali się w miarę swoich możliwości i to tylko oni jedni, na całym świecie. Jeżeli to za mało, to co można powiedzieć o innych? O tych co nie zrobili nic i nawet niczego nie próbowali, a teraz zabierają głos?

Wracając do tego konkretnego wypadku, ofiary nie ograniczyły się do samej Wielkopolski. Uciekinier wskazał także dom pewnej kobiety w Łodzi, u której zatrzymał się na pierwszym etapie przerwania. Oczywiście została ona również skazana na śmierć, a ponadto bez żadnego wyroku, podczas badań w piwnicach Gestapo zginęły jeszcze cztery czy pięć osób. z pośród tych, z którymi utrzymywała ona kontakty i którzy albo nic nie wiedzieli o sprawie, albo bohatercko wytrwali do śmierci, nie składając zeznań (raczej to drugie, biorąc pod uwagę, że na torturach zginął między innymi wyższy oficer AK, mjr. Pomian nie rozszyfrowany przez Niemców). Zginęły też co najmniej dwie osoby w Warszawie i kilku przewodników i kurierów, także i na Węgrzech, a w Jugosławii Niemcy zlikwidowali polską

bazę przerzutową. Oczywiście te wiadomości nie były wtedy znane, ale można było się czegoś podobnego spodziewać, szczegółowe dane uzyskano po wojnie.

Jest powszechnie wiadome, że pomoc jeńcom, uciekinierom z obozów, pociągała za sobą wiele ofiar i ryzyko było na pewno nie mniejsze, niż w przypadku Żydów. Wprawdzie jeńcy angielscy i Amerykanie trafiali się raczej rzadko, w sumie przewinęło się ich przez ziemie polskie najwyżej kilkaset, ale inaczej było z jeńcami radzieckimi. W strasznych marszach śmieci, z ogólnej liczby ponad 6 milionów zginęło ponad milion, w tym na ziemiach polskich prawdopodobnie połowa. Tym rzeczywiście nie dało się pomóc, taka próba byłaby samobójstwem w obrzydliwej formie i bez żadnego pożytku. Jednak mimo strasznych warunków, a może właśnie z tego powodu, części jeńców udało się uciec. W warunkach, gdy widzieli oni przed sobą pewną śmierć, a czasem nawet jej świadomie szukali, ryzyko nie miało znaczenia. Oczywiście, najlepsze szanse mieli ci, którzy zdecydowali się szybko, najlepiej blisko za frontem, a w każdym razie zanim jeszcze utracili siły.

W dużym przybliżeniu ocenia się, że ucieczka powiodła się około 400 tys. jeńców radzieckich. Większość udanych ucieczek, jak to wyjaśniono, zdarzyła się na ziemiach rosyjskich, ale być może do 100 tys. tych jeńców uciekło już na ziemiach polskich. Ci jeńcy nie byli chronieni żadnym prawem międzynarodowym, w razie schwytania czekała ich tylko śmierć. Podobnie jak każdego, kto udzielił im pomocy. A przecież jest oczywiste, że bez pomocy nie mieli żadnej szansy przeżycia i że pomoc tą otrzymywali. Ale raczej nie w sensie stałej opieki, lecz raczej doraźnej pomocy od okazji do okazji. Ostatecznie silni mężczyźni w wieku poborowym, byli w stanie, a więc mogli i musieli troszczyć się sami o siebie. Stała, ciągła opieka nad tymi uciekinierami, którzy tropieni byli jeszcze bardziej zaciętej od Żydów, była po prostu niemożliwa, wręcz nie starczyłoby na to żywych. I tak ocenia się w dużym przybliżeniu (oczywiście brak dokładnych danych), że za udzielanie pomocy jeńcom, utraciło życie ok 100 tys. Polaków. a znaczna większość dotyczyła jeńców radzieckich, Anglicy i Amerykanie stanowili raczej rzadkie rodzyunki w cieście.

To są rzeczy, dobrze znane Polakom, zarówno mieszkającym w GG jak i na innych ziemiach polskich. Także Agnus, widywał obwieszczenia o karze śmierci za pomoc udzielaną uciekinierom, czytał listy wyroków śmierci za taką pomoc. To też nic dziwnego, że wielu ludzi, gdy spotkało takiego uciekiniera, dawało mu żywność i ewentualnie jakieś rzeczy, a potem starało się go skłonić do szybkiego odejścia. Zwyczajna ludzka reakcja, nie wszyscy marzą, aby zostać męczennikami lub bohaterami. A jednak powiedzmy szczerze, nie spotykało się żołnierzy radzieckich, którzy stawialiby zarzuty akurat Polakom, że właśnie na

tych ziemiach Niemcy tylu z nich zamordowali. W każdym razie autor nie spotkał się z takim absurdalnym zarzutem.

Prawdą jest, że też można było zrobić więcej. Dla tych ludzi zrobiono faktycznie mniej, niż dla Żydów, a w obu wypadkach nie wykorzystano wszystkich możliwości. Ale jeżeli jest na świecie naród, składający się z samych altruistów i bohaterów, to dlaczego się wtedy nie ujawnił, dlaczego nie dał z siebie więcej niż Polacy? Sześć milionów zabitych, to przerażający bilans. A z tego najostrożniej licząc, co najmniej 10% zginęło, niosąc pomoc innym. Za taką pomoc Niemcy znali tylko jedną karę, śmierć. Przeciętnie uratowanie jednego życia kosztowało drożej, niż dwa inne. To nie był dobry business, to w ogóle nie był interes, lecz kwestia sumienia i tego, czy ma się prawo nadal uważać siebie za człowieka, czy zachowało się ludzkie reakcje.

A poza tym, nie wspominamy już o tym, że nie tylko te 10%, ale wszyscy, całe 6 milionów zginęli dlatego, że wzięli na siebie pierwsze uderzenie i potem zemstę szalonego dyktatora, któremu zepsuli niezawodny plan opanowania Europy i w przyszłości, być może, świata. Działali naiwnie, wyrażając się ściślej, z bezgraniczną głupotą, wierząc sojusznikom. Jednak stanęli w pierwszym szeregu i ponieśli konsekwencje tego. Negatywna selekcja, zginęli najlepsi, przeżyli najmniej wartościowi? Też prawda, niestety. Ale jeżeli Polacy nie są tyle wari, co kiedyś, to za to inni ludzie zyskali lepsze szanse, mogli się rozwinąć.

Wracając do konkretnego zdarzenia: ucieczka Anglików miała miejsce w czerwcu 1941, a schwytano ich już w końcu roku, ściślej w listopadzie w Pirot w Bułgarii. Pierwszy pokazowy proces z siedmioma wyrokami śmierci przez ścięcie, pomoc jeńcom zakwalifikowano jako Landesverrat, odbył się w lipcu 1942, a śledztwo ciągnęło się następnie długo i zataczało coraz szersze kręgi. Sprawa stała się głośna i wszyscy, którzy mieli z nią styczność, wiedzieli czego się spodziewać. Chociaż trwały aresztowania, do wujka jakoś nie dotarły i po dłuższym czasie zaczął przypuszczać, że może SD i gestapo nie zauważy jego samotnie i na uboczu położonego domku, że go przeoczyli.

Dopiero późną wiosną 1943 samochód z funkcjonariuszami gestapo przyjechał do Rogalina i wujek był przekonany, że życie zawdzięcza przyzwoitemu zachowaniu zwierzchnika, Niemca, tego, który zajął jego miejsce jako kierownik gorzelni. Chociaż był u niego dosłownie przed paru sekundami i właśnie wyszedł, ten skierował gestapowców do biura zarządu majątku, informując, w jakim pokoju mają szukać podejrzanego. Według własnych słów, wujek stał wtedy w krzakach bzu przy otwartym oknie i słysząc tą rozmowę, nie wrócił już ani do pracy, ani do domu. Na taką ewentualność był już przygotowany i obmyślił sobie sposób postępowania, chociaż szczegółów nie opowiadał. W parę dni potem

przejechał granicę do GG podobnie jak kiedyś matka Angusa, korzystając z doskonałej znajomości języka niemieckiego i nadrabiając bezczelnością. Udał się do dobrze usytuowanego brata w Warszawie, a ponieważ istniała możliwość, że gestapo szukając go, sprawdzi to miejsce, nie zatrzymywał się tam i początkowo zamieszkał gdzie indziej, choć korzystając z jego pomocy. Następnie doszedł do wniosku, że najzdrowiej będzie na pewien czas oddychać powietrzem prowincji. Dowiedział się, że siostra mieszka w Ostrowcu i właściwie od czasu wysiedlenia z Poznania, nie miała żadnych kontaktów ani z rodziną ani ze znajomymi. Tylko w Warszawie bywała, bo też korzystała z pomocy tego samego brata, ale nawet ten nie znał dokładnego adresu i miał tylko przybliżone pojęcie. Przyjechał więc do Ostrowca i odszukał rodzinę, a nowy adres okazał się bardzo odpowiedni, całkowicie na uboczu i gdzie nikt nie interesował się nowym członkiem rodziny, a gospodyni i sąsiedzi nie byli wścibscy i widzieli, jak się zachować.

Wujek był wielkim i masywnym mężczyzną, energicznym, także głośno mówił, jednym słowem zwracał na siebie uwagę, ale nie tutaj. Zresztą wkrótce stał się osobą znaną i poszukiwaną, nie przez gestapo, lecz w kręgach fachowców. Spróbował raz tutejszego bimbrowa, nalewanego w lokalu przez Angusa i skrzywił się. Wujek był bardzo dobrym fachowcem w swojej specjalności i tutejszy produkt, całkiem słusznie, uznał za paskudztwo. Wkrótce zaprojektował kolumnę rektyfikacyjną dla dostawcy bimbrowa, według własnych słów wcale nie nadzwyczajną, a potem już projektował taśmowo coraz lepsze kolumny. W okolicy jakość bimbrowa podniosła się tak, że w końcu znacznie przewyższała monopolówkę, nie było sensu nalewać bimbrowa w butelki z nalepkami i lakować, bo po prostu nikt nie chciał monopolówki.

Po paru miesiącach okazało się, że w Warszawie nikt wujka nie szuka, gestapo przestało interesować się starą sprawą w której odniosło, niestety, wielkie sukcesy i zajęło nowymi, jedna zaginiona osoba nie wiele znaczyła. Wujek też miał już dość prowincji i wrócił do Warszawy. Ale teraz nie jak bezimienny, ukrywający się uciekinier. Teraz wracał jak wschodząca gwiazda, która zabłysła i wykazała się już na prowincji i obecnie zaświeciła nad Warszawą. Odjechał tam, żeby kontynuować karierę, podnieść jakość tamtejszych wyrobów alkoholowych, największej gałęzi nielegalnego przemysłu okupacyjnego. Fakt, że w okresie okupacji Polacy się rozpiłi i fakt, że przeciwko temu występowały tradycyjne koła społeczeństwa i także władze podziemne prowadziły akcję, wprawdzie nieciągłą i niekonsekwentną. Ale z drugiej strony, zrozumiało że w takich warunkach ludzie częściej sięgali do kieliszka, a pozostawianie monopolu produkcji w rękach Niemców, nie tylko podwyższało dochody okupantów, ale w ogóle mogło stać się niebezpieczne, dawać władzę



taką, jak obecnie narkotyki przestępcom nad ludźmi uzależnionymi. To też lokalna produkcja alkoholu była tolerowana. A skoro tak, to lepiej już produkować produkt mniej trujący, nikt tego nie potępiał. Zresztą przecież Angus też zarabiał na życie, stojąc za bufetem i nalewając alkohol, a czasem zastępowali go w tym rodzice - tam nabrał obrzydzenia do wódki i zwłaszcza pijaków. Od czasu choroby wprost uczulenia, na sam zapach alkoholu reagował jeszcze silniej od ojca.

Agnus uznał wujka za bardzo sympatycznego i ciekawego człowieka, w dodatku mającego dużo do opowiadania. Z kolei on też tolerował towarzystwo Angusa, można powiedzieć że się dobrze znosili i lubili przebywać razem. Niestety, on też nie mógł pomóc Angusowi w najważniejszej dla niego sprawie. Gdy w napadzie szczerości poprosił go o pomoc w kontakcie z podziemiem, wujek odpowiedział, że on sam ma szlaban, nie ma prawa uczestniczyć na razie w działalności konspiracyjnej, jako osoba poszukiwana i zagrożona. Więc ta nadzieja odpadła.

Z kolei Angus opowiedział trochę o zdarzeniach związanych z Fabryką Cukierków Amor. Nie wspomniał przy tym żadnej osoby, nawet kolegi, Stacha Konara, którego uważał za nieżyjącego, ani o swojej bytności w tym obiekcie i styczności ze zdarzeniami, lecz tylko to, co w tej sprawie mówiono. Może jednak wujek był domyślny, bo wyciągnął Angusa z domu i poszli obojętnie te miejsca w naturalny sposób, to znaczy najpierw do kina i potem tą samą drogą, którą szli wtedy tak pechowo niemieccy żołnierze. Trzeba wspomnieć, że w czasie okupacji kina były bojkotowane i Angus z tym jednym wyjątkiem, ani razu nie był w kinie. To też na początek, był zdziwiony i trochę oburzony, że jednak kino jest dość pełne. Wprawdzie niemiecka kronika filmowa, poświęcona budowie „niezdobytego” wału atlantyckiego, przerywana była przez widownię nieprzychylnymi odgłosami, ale sam fakt wysłuchiwania propagandy niemieckiej wydawał się naganny. Film był niemiecki, ale neutralny, żadnego związku z wojną ani polityką, ot komedia miłosna i sport, na tle krajobrazów Alp i sentymentalnej atmosfery ludowej. Tyle, że przedstawiał Niemców jak ludzi i w dodatku sympatycznych.

Angus surowo potępiał się za to, że kino sprawiło mu jednak przyjemność. Przed wojną chodził do kina co najmniej raz na tydzień, zwykle częściej. Widocznie jednak stare nawyki pozostają. Ale żeby patrzeć na niemiecki film, to prawie graniczyło ze współpracą z okupantem, bez względu na wymówki. Więcej to nie może się powtórzyć.

Wracając tamtą drogą, przechodzili koło fabryki Amor, ale oprócz wyboistej i dość ciemnej, brukowanej ulicy i zamkniętej bramy nic więcej nie zobaczyli. Agnus nie był w stanie wyobrazić sobie lepiej tamtych fatalnych chwil. Nie umiał sobie przedstawić, skąd

wybiegli i gdzie zginęli ludzie, których pamiętał i znał, ani co czuli i myśleli. To na nic, pomyślał, każdy umiera sam i nie dzieli się tym z nikim. Nawet w gronie rodziny, kolegów i tak zostaje sam. Tak będzie kiedyś i ze mną. To całkiem odrębny, niedostępny świat.

\* \* \*

Gdy Angus poczuł się trochę silniejszy, zaczął odwiedzać dawnych kolegów. Chciał po długiej nieobecności ponownie nawiązać kontakt z otoczeniem, dowiedzieć się, co się działo, a zwłaszcza znaleźć nową możliwość, jeżeli nie aktywnej walki, to chociaż uczestnictwa w konspiracji.

Dowiedział się, że jeden z kolegów z Handlówki, wspomniany już Tadek Grabkowski dopiero co wrócił do domu, po długiej nieobecności. Nikt nie twierdził na pewno, ale przypuszczano, że był w partyzantce. Angus niezwłocznie wybrał się do niego. Pamiętając poprzednie długie i szczerze rozmowy i ścieranie się poglądów, miał nadzieję, że i teraz porozmawiają otwarcie.

Rzeczywiście Grabkowski nie krył przed nim, że był w oddziale partyzanckim. Miał więcej szczęścia od Angusa. Trafił aż na Lubelszczyznę, ale zgodnie ze swoimi zapatrywaniami, do oddziału komunistycznej Gwardii Ludowej. Ale choć rozmawiali szczerze, to jednak krótko. Tadek nie chciał opowiadać, powiedział tylko, że teoria jednak bardzo różni się od praktyki i on sam musi najpierw dojść ze sobą do ładu, jeszcze się nie pozbierał. Wyobrażał sobie wszystko inaczej, a rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Ale to sprawa dojrzałości. Uważał, że ogromnie dużo się nauczył i przeżył. z różnych rzeczy nie zdawał sobie sprawy i musi zacząć żyć od nowa, a z innymi się pogodzić. Znowu nie chciał wyjaśnić, co to znaczy, bo po pierwsze to za trudno, trzeba samemu przeżyć, a po drugie nie ma na to czasu.

Angus jednak odniósł wrażenie, że Grabkowski nie tyle chce sam przemyśleć sprawy, ale nie ma czasu, gdyż od przemyśleń przeszedł do konkretnej działalności. Wyglądało to tak jakby wrócił ze stażu i teraz ma przed sobą konkretne zadania. Nie ma czasu, bo musi się wykazać. Ponieważ najwyraźniej pozostał komunistą, a nawet utwierdził się w tym programie, a zmiany polegały na tym, że akceptował wszystko, nawet to, czego przedtem nie chciał akceptować, odrzucił uprzednie wątpliwości, więc dalsza rozmowa nie miała sensu. Ich drogi się rozeszły na dobre. Angus nie przyjmie nigdy jego poglądów, wówczas czuł się związany z prawicą i przekonaniem narodowymi. To można nazwać uprzedzeniem, chodziło o nie tyle własne przekonania, ale wpojone mu od dziecka. Jednak gdy je później zmienił, tym bardziej nie mógł pogodzić się z komunizmem. Zbyt mu przypominał religię, za wiele rzeczy na wiarę, za mało na rozsądek. Wymagano ślepej wiary, istniały oczywiste

rozbieżność między malowaną teorią, a codzienną praktyką, a każda wątpliwość była traktowana jak herezja. Brak wiary w jedyny słuszny dogmat, a szczególnie brak zaufania do przywódcy, który jedynie był uprawniony do interpretacji likwidowano wraz z osobą niedowiarka. Nigdy inkwizycja nie osiągnęła takiego zakresu ani poziomu. A może to rozwinięcie starej ruskiej zasady: „Naczalstwo widit dalej i lepiej”, „Tom na wierszczynie widniej”? Angus miał silnie rozwinięty zmysł krytyczny, uznawał tylko to, co wskazywał rozum, obojętne, własny, czy cudzy, cudze racje uznawał, jeśli logika go przekonała. Na komunistę się nie nadawał.

Pozostała druga możliwość. Starszy brat Maćka Kwiecieńskiego, ten miał więcej szczęścia, dotarł do partyzantki, a teraz na jesień wrócił do domu. Na trudny okres zimowy zwykle redukowano stany oddziałów, wszyscy, którzy mogli i mieli gdzie wracać, zostawali czasowo zwolnieni. Niestety, z nim też nic nie wyszło, on nawet własnego brata traktował jak smarkacza i z góry, nie chciał nawet o tym gadać, a z kolegami brata tym bardziej.

Angus obszedł wielu kolegów, ale bez powodzenia. Po ukończeniu Handłówki starali się oni znaleźć pracę w Ostrowcu albo bliskiej okolicy. Pracę, zabezpieczającą przed wywiezieniem do Niemiec, przetrwanie na miejscu do końca wojny. Wynagrodzenie miało drugorzędne znaczenie, bo i tak drukowany pieniądz miał faktycznie bez porównania mniejszą wartość niż oficjalnie określana przez okupanta. Natomiast liczyło się, co można tam będzie ukraść, albo jakie inne formy rekompensaty zapewnia zakład, na przykład przydziały albo choćby stołówka lub różne dodatkowe korzyści. Na ogół wszyscy załapali się w jakiś centralach handlowych, najcenniejsza była praca w Rolniku, mniej dobre materialnie, ale lepsze zabezpieczenie dawała praca np. w urzędach, np. Miejskim lub Ubezpieczalni Społecznej itp. Większość chłopaków wchodziła właśnie w ten nowy świat, startowali w nim i byli tym zaabsorbowani. Myśleli o chwili obecnej. Kolegę widzieli chętnie, ale nie mieli zbyt dużo czasu i Angus wyczuł, że nie znajdzie tego czego szukał. Mówili o swojej nowej pracy i ewentualnie jeszcze o swoich dziewczynach, na ogół nie zmienili uczuć od czasów szkoły, ale teraz mieli większe trudności, żeby spotkać obiekt. Oczywiście każda rozmowa wtedy nie mogła po prostu pominąć sytuacji wojennej i wewnętrznej, ale to były raczej uwagi obserwatorów.

\* \* \*

Angus zaczął ponownie chodzić do kościoła, chociaż uważał się teraz za niewierzącego, podzielał antyklerykalne nastawienie byłych kolegów z Handłówki (także Szkoły Zawodowej, na kompletach nie spotkał się z takim stanowiskiem ale to tylko kilka osób i na tej podstawie nie umiał ocenić, jak to traktowano w gimnazjum). Jednak ze względu

na rodziców, zachowywał się jak nie wierzący, ale praktykujący. Otóż którejś październikowej niedzieli, wychodząc z kościoła położonego prawie naprzeciwko, po drugiej stronie szosy, przeszedł koło młodego człowieka, czy raczej chłopaka, który minął go w dziwny sposób. Poruszał się po linii równoległej w stałym tempie, nie zwalniając i także nie obracając głowy, można powiedzieć sztywno do przodu, ale z oczyma skierowanymi cały czas na Angusa pod coraz większym kątem. W chwili gdy się mijali, tęczęwki prawie zupełnie uciekły mu na bok, widoczne były same białka i w tym momencie uniósł rękę do kapelusza. Dzień był chłodny i raczej wilgotny, a chłopak ubrany w kurtkę i kapelusz z małym rondem.

Angus przeszedł jeszcze ze trzy kroki, potem zatrzymał się i obrócił. Nie miał pojęcia, kto to mógł być, ale odniósł wrażenie, że to musi być ktoś znajomy, albo przynajmniej, z kim już kiedyś się zetknął. Angus miał zawsze złą pamięć do twarzy i to nie zmieniło się z wiekiem. Nadal przedstawiał się po kilka razy, a rodzice często i to od najmłodszeo wieku zwracali mu uwagę, że nie kłania się znajomym, podczas gdy tak naprawdę to wszyscy dorośli byli dla niego jednakowi i nie bardzo ich odróżniał.

Ale w tym wypadku, chłopak w jego wieku i zachował się tak nietypowo, Angus mógłby przysiąc, że musieli się zetknąć. Gwałtownie przeszukiwał pamięć, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Przez chwilę poczuł zamęt w głowie, wrażenie, jakie odnosi człowiek, gdy o czymś na śmierć zapomniał, zajęty innymi sprawami. Nagle wraca niejasne, niewyraźne wspomnienie, zwykle łączące się z poczuciem niepewności. Brak zaufania do własnej pamięci zwykle spotyka się w wieku późniejszym, ale w wypadku Angusa zdarzało mu się to zawsze. Wynikało z ze zdolności do silnej koncentracji, do zaabsorbowania się jedną rzeczą, przy czym umysł wyklucza stopniowo inne. Podobno Napoleon miał wysoce podzielną uwagę, Angus przeciwnie. Trudno ocenić, czy to zaleta, czy wada, raczej zarówno jedno jak i drugie.

Angus dogonił idącego dalej wciąż równym krokiem chłopaka i zapytał: - Przepraszam, czy my się znamy?

Zapytany zatrzymał się i odwrócił, uśmiechając szeroko. Miał twarz jak stworzoną do takiego właśnie uśmiechu, szeroką już z natury, mocno rumianą i jak się to mówi, pyzată, z grubymi wargami i dużymi oczyma, jak młodociany Szwejk. - Trochę, z widzenia, - powiedział. Jestem Mateusz Jaruga. Kolega przychodził do mojego ojca na lekcje. - W tej chwili obraz wskoczył w klatkę. Rzeczywiście, gdy Angus chodził na lekcje, polskiego i łaciny do profesora Jarugi, widział tam jakąś panią, pewnie żonę i chłopaka, zapewne syna. Nigdy nie zetknął się z nimi z bliska, gdyż profesor prowadził lekcje w osobnym pokoju, do

którego wchodziło się też osobnym wejściem, po ganku od strony szosy, prosto z lasu, omijając zarówno ogród jak i podwórze. Czasem kłaniał się z daleka, nie miał jednak okazji zamienić ani słowa, a przy swoim braku spostrzegawczości nic dziwnego, że nie pamiętał jak wyglądali. Nie mówiąc już o tym, że z reguły koncentrował się na kolejnej lekcji. Nic dziwnego, że nie poznał chłopaka, podobnie nie poznałby też i pani Jarużyny.

- No tak, oczywiście, - powiedział, - inne miejsce, jakoś nie skojarzyłem sobie, przy niespodziewanym spotkaniu. Gdyby nie takie dziwne spojrzenie, przeszedłbym koło kolegi. -

- Zgadza się,- zaśmiał się Mateusz. - Już parę razy spotykaliśmy się i mijali po kościele. Tym razem przypomniał mi się taki film sprzed wojny, komedia. Coś mnie nagle napadło i zrobiłem taką samą minę, wydawało mi się, że to będzie śmieszne. A co kolega teraz porabia? - Rozmawiali z początku dość oficjalnie, przez kolega, jak przyjęte było między studentami, następnie także uczniami szkół średnich, ale przez naśladownictwo, przenosiło się także na wszystkich uczniów, nawet szkół powszechnych. Żartowano, że przed samą wojną mówili tak do siebie już i przedszkolacy. Trochę śmieszne, ale zwrot „Kolega” należał do obowiązkowej etykiety tak jak „Pan” między dorosłymi. Zwrócenie się przez „ty” mogło być albo pozostawione bez odpowiedzi, albo w najgorszym wypadku, przez uwagę w rodzaju „no, świń razem nie pasaliśmy”, prowadziło do bójki na pięści. Co zresztą nie było takie złe, w wypadku młodszych chłopców mała bijatyka często była najkrótszą drogą do nawiązania znajomości i przyjaźni. Te obyczaje poszły obecnie w niepamięć.

Potem rozmowa, jak zwykle w tych czasach, zeszła na książki i to nie z powodu jakiegoś rozkwitu intelektualnego, ale po prostu dlatego, że wobec zamknięcia i zniszczenia bibliotek i w ogóle większości księgozbiorów, trudno było zaspokoić głód czytania. Nawet kiepskie i o niskim poziomie książki stały się przedmiotem pierwszej potrzeby. Można było zaspokoić to zapotrzebowanie tylko w jeden sposób, przez wzajemne pożyczanie względnie wymianę tych nielicznych egzemplarzy, które prawie każdy posiadał. To też wymieniano je powszechnie i czytano powoli, od deski do deski. Oszczędnie. Na przykład Angus, gdy udało mu się pożyczyć jakąś ciekawą książkę, najpierw przeglądał ją, robił sobie plan czytania i trzymał się tego, każdego dnia czytał tylko wyznaczone rozdziały lub ilość stron, nie wybiegając na przód. Ewentualnie czytał to samo ponownie lub kilka razy, tak, żeby wyjeść cały smak i niczego nie opuścić. Jedyny wyjątek, to gdy złapało się czyjąś książkę w przelocie, albo trzeba było się z jakichś innych powodów śpieszyć i nie można jej było trzymać. Obowiązywała bowiem zasada, że książki musiały krążyć i za pożyczoną książkę trzeba było samemu też coś pożyczyć. Ale oprócz własnych książek, zawsze można było znaleźć sposób i sobie poradzić, Angus z reguły był na plusie pożyczając z kolei dalej

pożyczone książki. W ten sposób faktycznie był pośrednikiem, ale dokładając trochę starań, zawsze więcej książek pożyczał innym, niż sobie.

v Mateusz miał kilka książek młodzieżowych z okresu przedwojennego, przygody w rodzaju Dzieci Kapitana Granta i jeszcze kilka - Verne'go, Wakacje Karola Bertila itp., dadzą się czytać i teraz. Oprócz tego parę ulubionych popularno-nukowych, ale z dziedzin, których Agnus w ogóle nie znał, właściwie były one zawłaszczone z biblioteki ojca, dotyczyły spraw i stosunków ludzkich, w rodzaju Psychologia tłumu itp. Z drugiej strony, książki Angusa w rodzaju Zagadki Zjawisk Fizycznych, Od Gwiazdy do Atomu itp. TEM były dla Mateusza terra incognita. Obaj byli na podobnym poziomie, nie całkiem ukończone gimnazjum, ale konkretnie Angusowi do ukończenia czwartej klasy brakowało przedmiotów humanistycznych, a Mateuszowi ścisłych. to jest matematyki i fizyki, natomiast był wysoce zaawansowanym humanistą znacznie ponad obowiązkowy poziom, dzięki ojcu. I dochodziła jeszcze biblioteka ojca, ale tutaj trzeba było wziąć pod uwagę, że to były książki bardzo specjalistyczne i trudne, większość w językach obcych. Nawet te po polsku, tylko niektóre dają się strawić, a stwierdził to Mateusz, który był lepiej w tym zakresie przygotowany i wiedział, o czym mówi. Z drugiej strony, nawet część wydań w językach obcych, jeżeli były drukowane w Polsce, były zaopatrzone w polski komentarz. Profesor Jaruga pilnował swoich książek i nie wypuszczał ich z ręki, ale oczywiście syn potrafi to obejść.

Jednym słowem, wszystko zapowiadało się dobrze, ale przeważało sprawę to, że obaj byli zapalonymi szachistami. Angus ostatnio nie miał z kim grywać, Mateusz już od dawna nie, doszło do tego, że rozgrywał partie sam. Angus zaproponował, żeby zaraz poszli do niego i w pokoiku za lokalem rozegrali kilka partii. Ale Mateusz nie chciał zostać na dłużej, nie uprzedzając rodziców. I tak minęło dobre pół godziny po mszy, gdyby nie wracał zbyt długo, mogliby niepokoić się o niego, myśląc że spotkała go jakaś zła przygoda. Przez ten czas, przeszli kawałek leśnego szlaku wzdłuż szosy aż do pagórkowatego terenu, pokrytego wielkim, starymi sosnami, zawrócili do gęstego lasu i doszli z powrotem do kościoła. Umówili się na szachy następnego dnia od rana, po czym Angus chciał ponownie odprowadzić Mateusza tą samą drogą, ale okazało się, że ten ma przywiązany do drzewa rower, otworzył kłódkę i odjechał.

Mateusz Jaruga był jednakiem, podobnie jak Angus, lecz o ponad rok starszym. Też w pełni wyrosnięty, chociaż o dobre pół głowy niższy od Angusa, ale za to znacznie szerszy w ramionach i można przypuszczać, że fizycznie silniejszy, nawet kiedy Agnus był kompletnie zdrowy. Jednak byli dokładnie w tym samym wieku szkolnym: obaj prawie ukończyli gimnazjum, ale niezupełnie, Angusowi do kompletnych czterech klas brakowało

łaciny i polskiego, natomiast Mateusz nie przerobił jeszcze matematyki i fizyki z zakresu czwartej klasy.

Mateusz chodził jeszcze na wiosnę 1940 okazyjnie do szkoły, tyle, że wystarczyło to do otrzymania świadectwa ukończenia. Ale od wiosny 1940, kiedy makabryczna groza okupacji ukazała się w całej pełni, a także chłopak bardziej wyrósł, ojciec zdecydował trzymać go bezwzględnie w domu. Pod tym względem mieszkali, można powiedzieć, w idealnym położeniu. Zupełnie samotnie, nie tylko poza granicami miasta i jego administracji, ale ponadto ojciec załatwił jakoś tak sprawę z najbliższą gminą, że nie znajdowali się też tam w żadnym spisie. Jednym słowem, sołtys czy wójt traktowali ich jako należących do miasta, a miasto jako zamieszkałych poza nim. Położenie domu, schowanego w lesie i niewidocznego nawet z bliska, było wyjątkowo korzystne. Najlepszy przykład, że Angus, który w tym lesie spędzał najtrudniejszy okres życia w r 1940, (kiedy ojciec uratował go od samobójstwa zmuszając do pracy nad siły, tak że matematyka nie pozostawiła prawie chwili na rozmyślanie), w ogóle nie miał pojęcia, że na tym terenie znajduje się jakiś dom. Dostrzegł go dopiero dwa lata później, gdy poszedł tam na lekcje, z trzech stron osłonięty gęsto rosnącymi drzewami, a z czwartej ogrodem, który wyglądał jak zielony zagajnik.

Profesor Jaruga codziennie wyjeżdżał na rowerze do miasta i przed południem prowadził lekcje w tajnym gimnazjum. Nie był bohaterem, zwłaszcza z początku raczej się bał, ale był niezwykle obowiązkowy. Na obiad wracał do domu i potem udzielał prywatnych lekcji. Za pierwszą pracę otrzymywał bardzo skromne, nominalne wynagrodzenie, którego zresztą często nie odbierał, lecz przeznaczał na różne szczytne cele. Zarabiał na życie lekcjami prywatnymi i to całkiem dobrze.

Chociaż cały czas ryzykował, karę śmierci, a w najlepszym razie obóz, nigdy żadna wpadka się nie zdarzyła, Niemcy mieli pilniejsze zadania niż śledzić tajne szkoły. Ale pracując zawodowo nielegalnie, profesor chciał tym bardziej zapewnić bezpieczeństwo rodzinie, a zwłaszcza uchronić syna, który wchodził właśnie w niebezpieczny wiek. Dlatego ustanowił absolutny szlaban na odwiedziny w mieście. Miał duży autorytet w domu i żona przez całą wojnę nie wyszła dalej, niż do kościoła. Natomiast syn, który też miał rower, mógł nim jeździć kawałek szosą, ale nie dojeżdżając do budynków Gestapo, do których profesor miał szczególną awersję. W zasadzie miał polecenie zatrzymywać się jeszcze wcześniej, przed dawnym budynkiem gimnazjum, gdzie stały pierwsze posterunki niemieckie. Natomiast wytargował pozwolenie na boczną trasę do Szewnej i nieco dalej, gdzie mieszkała rodzina jego matki. To znaczy, omijając Ostrowiec, dojeżdżał szosą do ulicy Żeromskiego, gdzie skręciwszy koło domu, w którym dawniej mieszkał Angus, jechał w dół do mostku i dalej,

boczną drogą. Takie odwiedziny, zwykle co parę tygodni, stanowiły jedyny kontakt ze światem zewnętrznym.

Wprawdzie zasady ojca rzeczywiście zapewniły synowi bezpieczeństwo, ale młodzi ludzie potrzebują towarzystwa rówieśników i tego nie zastąpi nawet bliski kontakt z rodzicami, a przecież profesor miał dużo czasu zajętego. W rezultacie Mateusz był bardzo samotny, nawet bardziej od Angusa, który przechodził właśnie okres głębokiego załamania i też miał obecnie mało kontaktów z kolegami. To też nowa znajomość była bardzo potrzebna im obu i szybko zamieniła się w prawdziwą przyjaźń. Zaczęło się od szachów, w których z początku Angus miał lekką przewagę, ale wkrótce szanse się wyrównały. Zwykle spotykali się w domu rodziców Angusa, a konkretnie w pokoiku za lokalem, gdyż Angus miał dyżur za bufetem i od czasu do czasu musiał obsłużyć klienta. Gra była przeplatana dyskusją, często zapalczą i na różne tematy. To, że różnili się zainteresowaniami i można powiedzieć, specjalizacją, było bardzo korzystne. Mocną stroną Mateusza była podbudowa humanistyczna, ostatecznie był synem naprawdę wysokiej klasy humanisty, a ojciec uczył syna absolutnie bez taryfy ulgowej. W normalnych warunkach nigdy nie robiłby tego sam, uważał to za szczególnie niewłaściwe, ale w warunkach okupacyjnych zdecydował się być praktycznym. Zasady są mniej ważne od bezpieczeństwa. Ale starając się uniknąć nepotyzmu, wymagał od syna bez porównania więcej, niż od innych uczniów. Mateusz miałby na pewno łatwiejsze życie, gdyby uczył go kto inny. A może starał się przekazać synowi coś ze siebie.

Angus wkrótce zauważył, że w zakresie humanistycznym, Mateusz przewyższa go zarówno poziomem, jak i horyzontami. Ale z drugiej strony, to on był znacznie bardziej odczytany. Mateusz też sporo czytał, ale były to setki książek w porównaniu do tysięcy. Tak więc mimo braku znajomości metody, konkretnych umiejętności, a często podstaw i orientacji, Angus miał szeroką bazę danych i często w dyskusji, zaskakiwał niespodziewanymi sformułowaniami i argumentami. A poza tym, miał przewagę w zakresie nauk ścisłych i lepiej posługiwał się narzędziami matematycznymi, chociaż w potocznej dyskusji to nie miało dużego zastosowania. Nowe drogi nauki, jak brzmiał tytuł jednej z książek TEM i właściwie signum całej grupy, może nie budziły u Mateusza aż takiego entuzjazmu, jak u Angusa, ale były mu nieznane i niewątpliwie zaciekały.

W takich warunkach kilka pierwszych partii szachów, szybko zamieniło się w stałe odwiedziny, powiedzmy, co najmniej ze cztery razy w tygodniu. Stali się wprost nierozłączni. Ponieważ Mateusz jeździł na rowerze, a poza tym Angus wiele czasu przywiązany był do pracy, czyli, jak żartował, do bufetu, przeważnie przesiadywali w pokoiku za sklepem, ale kiedy trafiały się ładniejsze dni jesienne, także Angus odwiedzał Mateusza i jeżeli pogoda



dopisała, lokowali się z szachami na ławeczce ogrodowej. Bywało, że pół dnia spędzali u jednego, a po obiedzie u drugiego.

Z początku nie wglębiali się w tematy polityczne, poprzestając na ogólnych uwagach i komentowaniu wiadomości z frontów wojennych. To było normalne w każdej prawie rozmowie między ludźmi, ale z reguły nie prowadziło się rozmów o własnych sentymentach ani konkretnych wnioskach z sytuacji. Nie chodziło o to, czy rozmówca był, czy nie był osobą godną zaufania, ale po prostu taki przyjął się zwyczaj. Można powiedzieć, że takie normy zostały wpojone i uznane w ciągu lat wojny, trzymanie języka za zębami uznawano za cnotę, a każdy kto tego nie robił, traktowany był jako osoba albo podejrzana, albo nieodpowiedzialna. Zakładano, że wszyscy Polacy mają podobne odczucia, więc nie warto mówić niepotrzebnych słów.

Oczywiście było, że chłopcy pochodzą ze środowiska szczerze i zdecydowanie patriotycznego, obie rodziny mocno ucierpiały od okupanta i aktualnie żyją, przekraczając jego nakazy. Bez wątplenia myślą podobnie, ale nikt nie powinien zbędnie chlapać językiem. Dopiero przypadkowo doszło do szczerzej rozmowy.

Gdy Angus szedł w odwiedziny do nowego kolegi, był to piękny spacer, droga biegła naprawdę ładnym terenem. Cały czas lasem, szeroką ścieżką wzdłuż szosy, aż po dojściu do starych i wielkich drzew, teren robił się pagórkowaty i ścieżka odbijała w głąb lasu. Zaś szosa opadała najpierw ostro w dół, a potem równie ostro wspinała się do góry. Po przekroczeniu bocznej drogi, przy której znajdowała się wzmiankowana kolonia robotnicza, Angus zwykle wspinał się na wysokie zbocze koło następnego, młodego lasu, który ogrodzony był drutem, jednak raczej symbolicznie, bo w tym ogrodzeniu znajdowało się mnóstwo dziur. Można więc było albo iść ścieżką na samym skraju, wysoko nad szosą, albo też skręcić głębiej w las i ewentualnie wrócić później znowu na skraj jedną z kolejnych dziur. Angus tylko kilka razy szedł lasem, zwykle wybierał drogę na skraju, wysoko nad szosą ze względu na widok, wzrok wybiegał daleko w obie strony. Droga zabierała mu z początku prawie godzinę, ale to dlatego, że był jeszcze osłabiony. Później przechodził ją normalnie w 40 min, a kiedy się śpieszył, nawet około pół godziny. Natomiast Mateusz jadąc na rowerze, przebywał ją łatwo w 20 min., a przy pośpiechu kilkanaście, obejmowało to najpierw wspinanie się na wzniesienie, potem zjazd na dół. Zwykle bez hamowania pędził na łeb na szyję po pochyłości, ale i tak nie starczało rozpędu i siły, żeby podjechać następnie pod górę, przeważnie trzeba było przed końcem zejść z roweru i podprowadzić go pieszo mimo, że szosa biegła tutaj głębokim wykopem. Następnie opadała już mniej stromo na dłuższym odcinku, z lewej strony pas lasków kończył się i rozpoczynały się łąki do samego Romanowa. Widać było z odległości

nico ponad 2 km wysoki most kolejowy, a na lewo także zaporę i most drogowy. Natomiast z drugiej strony młody las kończył się i druczane ogrodzenie skręcało w prawo, mijając „dorosły” las ze starszymi sosnami. Ścieżka odchodziła tutaj od szosy, omijając podmokły teren i za kilkaset metrów znów do niej wracała, natomiast w prawo odchodziło odgałęzienie do domu Jarugów, który stał na wzniesieniu otoczony tak blisko drzewami, że prawie niewidoczny.

To, że kolega tak szybko dojeżdżał rowerem, zachęciło Angusa do ponownych prób. Ale choć Mateusz starał się dopomóc i naprawdę się wysiłał, podtrzymując go, a miał więcej siły od dziewczyn i dałby radę podeprzeć i utrzymać nawet słonia to i tak kiedy tylko puścił rower, Angus natychmiast tracił równowagę. W końcu stwierdzili, że to beznadziejna sprawa, a Mateusz dodał, że nigdy w życiu nie spotkał nikogo z takim beztalenciem. W rezultacie Angus opowiedział o kontuzji prawego ucha we wrześniu 1939 r.

Więc chodził pieszo i zdrowiał. Czasem obaj chłopcy chodzili razem, gdy albo Mateusz go odprowadzał, albo też gdy na przykład przyjechał rano do Angusa, a po południu to Angus szedł do niego, wtedy zwykle Mateusz prowadził rower.

Otóż pewnego razu szli tak w na pierwszym odcinku, w miejscu, gdzie zaczynał się stary las i pagórkowaty teren. Na szosie starachowickiej ruch był niewielki, od czasu do czasu przejeżdżała niemiecka ciężarówka, rzadziej samochód osobowy albo wóz konny. To oczywiście dziecinnada, ale Angus wiele razy marzył o zasadzce. Także teraz odruchowo, na dźwięk jadącego samochodu zatrzymał się, schował za grubym drzewem i próbował szybko ocenić odległość, tak jak uczono go w 1939 r. Mateusz bez zastanowienia, powiedział z rozpędu:

- Wiesz, ułożyłem taki mały wierszyk, jak się mówi, częstochowskie rymy: „Karabin wyjmę ukryty, naboju napcham w kieszenie, Stanę za drzewem, cel - szosa, takie jest moje marzenie.”

- Mniejsza o Częstochowę, ale na Boga, czy ty masz ten ukryty karabin? - zainteresował się Angus. - No nie, niestety, ale przyjemnie sobie pomarzyć. - Ta krótka rozmowa wyjaśniła pragnienia, o których dotąd nie mówili. Dokładnie tak samo jak Angus, Mateusz też miał nadzieje, że uda mu się załapać do czynnej walki, ale jak dotąd żadna okazja się nie trafiła. Ale nadziei nie tracił, chociaż może nie miało to charakteru aż tak usilnych, histerycznych prób, jak w wypadku Angusa.

Wyszło też na jaw, że Mateusz pisze czasem wiersze, Jak to sam określał, takie sobie drobiazgi. Z trudem i po licznych namowach, zgodził się kilka przeczytać. Zdaniem Angusa, wcale nie były złe, prawda, że krótkie i proste, ale trafiały do słuchacza.

\* \* \*

W końcu listopada rodzice zakomunikowali Angusowi, że zdecydowali się na dalsze lekcje u prof. Jarugi. Ich zdaniem, należało wreszcie zaliczyć całe gimnazjum, Uzupełnić braki z czwartej klasy i mieć to wreszcie z głowy.

To oczywiście logiczne, lecz łączyło się z wysiłkiem finansowym, lekcje prywatne były kosztowne, a warunki się pogorszyły. Jednak w tajnym gimnazjum musiałby powtarzać całą klasę, a miał do uzupełnienia tylko przedmioty humanistyczne, polski i łacinę. Poza tym chodziło o czas, przy intensywnej pracy można uzupełnić to w kilka miesięcy - no i wreszcie matka zawsze uważała, że płatne lekcje dają więcej, natomiast potem liceum może robić już w normalnym, to znaczy normalnie podziemnym i tajnym trybie.

Oczywiście profesor Jaruga był bezwzględnie najlepszy, chociaż i lekcje najdroższe. Prawdopodobnie także to, że Angus i Mateusz się zaprzyjaźnili miała znaczenie, chociażby przypominając istniejące braki.

### **Kapsuła: Bezpośrednie i pośrednie metody rabunku przez okupantów**

Wartość pieniądza zmieniała się szybko przez cały czas okupacji, ceny nieustannie rosły. Oczywiście powodowane to było stałym drukiem banknotów przez okupantów. Przez cały czas istniały dwa równoległe rynki: urzędowy, całkowicie fikcyjny, regulowany zarządzeniami niemieckimi; na tym ceny się nie zmieniały, ale to była czysta abstrakcja (z wyjątkiem gazet i przydziałów kartkowych, które zresztą w 1943 r spadły do takiego poziomu, że miesięczny przydział nie zapewniał nawet jednego dnia wyżywienia). Były jeszcze przydziały specjalne, które otrzymywali pracownicy wielkich zakładów, właściwie zamiast bezwartościowych pensji, a także tzw. Bezugscheiny, jednorazowe jakby kartki lub przydziały wydawane przez władze okupacyjne jako zapłatę za pracę, usługi i zwłaszcza za łapówki, poza tym nie istniało nic, co można by kupić po oficjalnych cenach. Drugi rynek, rzeczywisty, rzadko nazywany czarnym lub nielegalnym, był faktycznie jedynym funkcjonującym i na nim można było kupić wszystko, w pierwszym rzędzie żywność, bo nawet w warunkach wojny i po niej, aż do przejęcia pełnej władzy przez komunistów, ziemie polskie produkowały nadmiar żywności. Tutaj istniał stały ruch cen, w okresie okupacji wartość pieniądza spadła około sto razy, bo określenie 10.000% brzmi raczej śmiesznie.

Rabunek oparty na bezpośredniej przemocy stosowany był oczywiście przez władze niemieckie w zakresie, nie spotykanym nigdy dotąd w historii, Drobnym przykładem może być los około dwu milionów wysiedlonych, którym odebrano po prostu całe mienie wraz z rzeczami osobistymi, jak to dotknęło Angusa i jego rodzinę. A także wywłaszczenie większej własności, zarówno ziemskiej, przemysłowej jak i handlowej przez ustanowienie niemieckich

komisarzy i Traeuhander'ów, którzy pozbawili właścicieli prawa dysponowania tą własnością, chociaż proces zmiany tytułu prawnego nastąpił dopiero częściowo, w przyszłości miała ona albo zostać przejęta przez Das Reich, albo rozdysponowane szczególnie zasłużonym Niemcom. Z tym ostatnim aktem prawnym czy raczej bezprawnym się nie śpieszono. Praktyczne znaczenie miał pierwszy etap, a reszta formalności mogła dopiero uświetnić zwycięskie zakończenie wojny. No i oczywiście przymusowy wykup, z fikcyjną zapłatą bezwartościowym pieniądzem po dawnych, sztywnych cenach, a więc za ok. 1% rzeczywistej wartości, czego nie traktowano jako rekwizycje, lecz zarządzenie administracyjne. To dotyczy zwłaszcza tzw kontygentów, to jest zaboru żywności, którą produkowali i musieli oddawać rolnicy. Ale nie tylko, również zapasów magazynowych, zarówno rolnych jak i przemysłowych.

Oprócz bezpośredniego rabunku opartego na zbrojnej przemocy istniał rabunek pośredni, oparty na druku przymusowego środka płatniczego, pieniądza i „płacenie” nim po urzędowych cenach, bo fikcja stałych cen była przez cały czas utrzymywana. Oczywiście Niemcy mogliby od razu wydrukować więcej banknotów i płacić nimi bieżące ceny czarnorynkowe, koszty dodatkowe to i tak tylko koszt papieru. Ale w takim wypadku nastąpiłoby natychmiastowe całkowite załamanie się wartości pieniądza. Natomiast utrzymywanie fikcji pozwalało na utrzymywanie stałej inflacji w jakichś skończonych, chociaż wysokich granicach i prowadzenie stałej długotrwałej eksploatacji która w ciągu prawie sześciu lat była bardziej dochodowa dla Niemców, a rujnująca dla Polaków, niż jednorazowe rabunki dokonane przemocą. Wysoka reputacja przedwojenna waluty polskiej była w tych warunkach czynnikiem szkodliwym dla Polaków. Gdyby przedwojenny Rząd Polski sam dokonał dewaluacji swej waluty, co w warunkach najwyższego zagrożenia można by usprawiedliwić, to nie tylko mógłby uzyskać środki na dozbrojenie armii, ale także w dużym stopniu ograniczyłby podatność kraju na tą formę ukrytego rabunku. Kraje o słabej walucie, do której obywatele już uprzednio nie mieli zaufania, poniosły na tej drodze znacznie mniejsze straty, Na przykład z Polski (i także Czechosłowacji) wypompowali Niemcy w ten sposób relatywnie więcej, niż z Francji, która miała przedtem kiepski pieniądz.

Od 1943 r przyjęło się coraz częściej określanie cen nie w złotych, lecz w stosunku do żywności, zwykle w stosunku do 1 kg masła, a czasem przy mniejszej wartości do kg chleba. Otóż w tym czasie za jedną tzw. efektywną godzinę lekcyjną prof. Jaruga brał cenę odpowiadającą w przeliczeniu 2 kg masła, to znaczy około 300 zł. Nieco więcej, niż inni profesorowie gimnazjalni, a zdecydowanie więcej, niż za korepetycje, ale i tak raczej trudno było się do niego załapać, był nadmiar chętnych. Jednak rodzice Angusa, a zwłaszcza matka

mieli, jak się to później mówiło, burżuazyjne przesady, nic nie było za dobre dla jej jedynaka. Mówiąc serio, uważali że jakość nauki nie ma ceny, a absolutne pierwszeństwo, nawet jeśli to oznacza drastyczne ograniczenie warunków życiowych. Angusowi ta sprawa bardzo ciążyła na sumieniu, protestował wiele razy przeciw, jego zdaniem, nadmiernym wydatkom i czuł się winny z tego powodu, nie chciał takich poświęceń. Ale z dotychczasowych doświadczeń wiedział, że żadne protesty nie pomogą i że może starać się ograniczyć wydatki tylko w jeden sposób. Ucząc się jak najszybciej, a więc dobrze, bo kiepskie opanowanie materiału pociąga za sobą powtórzenie lekcji, a w perspektywie spowolnienie tempa, klęska finansowa. Zresztą logiczne i uzasadnione, że trzeba ukończyć wreszcie IV klasę i tym samym całe gimnazjum. Jeżeli się przyłoży, to sprawa paru miesięcy.

Odzyskiwał szybko zdrowie, jeżeli jeszcze nie siły. Najważniejsze jednak, że minął okres przygnębienia. Od samego początku zdawał sobie sprawę, że myślenie o sobie jako o osobie przynoszącej pecha, przynoszącej nieszczęścia jest aberracją umysłową, kompletnym idiotyzmem. Cóż, kiedy nie mógł nic na to poradzić, to coś w rodzaju natręctwa umysłowego. Po prostu wytworzyła się taka ścieżka wśród komórek mózgowych, w niepowodzeniach przypisywał sobie przynajmniej część winy, nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi.

To absurd, uczucie przyniesienia pecha wymordowanym mieszkańcom Michniowa, lub żołnierzom Oddziału dywersyjnego, którzy zginęli koło fabryki Amor i potem, miało akurat tyle wspólnego z realną rzeczywistością, jak na przykład przypisanie sobie winy za powieszonych na rynku zakładników, albo współwięźniów, którzy z nim znaleźli się w obozie koncentracyjnym, gdzie też wielu zmarło, a on przeżył. Albo w ogóle poczucie odpowiedzialności za całą wojnę, zarówno klęskę jego kraju jak i później Francji. Bzdura, majaczenia osłabionego chorobą umysłu. Na szczęście ten etap miał za sobą. Owszem, żył w ciężkich czasach i powinien starać się ze wszystkich sił spełnić swój obowiązek. W drobnym stopniu wszystko jest powiązane, a więc także i on miał jakiś, niewymiernie mały wpływ na rzeczywistość.

Do odzyskania równowagi psychicznej dopomogła nowa przyjaźń. Głównie jednak wynikało to z samego procesu odzyskiwania zdrowia, można powiedzieć, powrotu do sił i życia. Perspektywa ponownego rozpoczęcia nauki, mimo nadmiernej rozrzutności tego planu i choć nie chciał tego przyznać nawet w myślach, sprawiała satysfakcję. Chociaż nauki humanistyczne nie były jego mocną stroną, to jednak wtedy jeszcze lubił się uczyć.

Co do sytuacji materialnej, piwiarnia prowadzona przez matkę nie okazała się takim dobrym interesem, jak się tego spodziewała. Krótka próba prowadzenia interesów na intensywnym poziomie, jak za czasów poprzedniej właścicielki przyniosła straty, z powodu

złego kredytu dla konsumentów i nieuczciwej pomocy. Do tego trzeba mieć specjalne zdolności, znajomość ludzi i wyczucie, rodzice nie mieli tego daru. Gdy zorientowali się, że nie potrafią, zredukowali skalę i przeszli z metody intensywnej na ekstensywną, lokalik egzystował, zaopatrzone skromnie, ot, trochę zakąsek napoje zarówno alkoholowe, z bimbrem pod ladą, jak i bezalkoholowe. Papierosy, legalne i nie, z tzw. jasnymi „bezimiennymi” oraz jasno-blond, lubelski tytoń, także i na wagę, a trzeba powiedzieć że stosunkowo dobry, choć ojciec go nie lubił, przywykł w 1940 r. do ciemnej machorki i tak już zostało.

W sumie dochód nie duży, ale wystarczał na życie, wydatki ograniczono. Natomiast w sezonie, ojciec podjął znów pracę, ale teraz nie na punkcie skupu buraków, a w samej cukrowni. Płaca miała znaczenie symboliczne, ale można tam było ukraść cukier, ojciec co dzień przynosił po parę kg. w woreczkach, rozmieszczonych pod ubraniem. Obecnie nie miał z tego powodu żadnych wyrzutów czy zastrzeżeń, przeciwnie, odzyskanie czegokolwiek z dóbr, przywłaszczonych przez Niemców uchodziło w aktualnej sytuacji za działanie nienaganne, wręcz godne pochwały i uznania. Wprawdzie nie doszło aż do tego, żeby traktować to jako zasługę patriotyczną, takie określenie w odniesieniu do czegoś, co przynosi korzyść osobistą jest niesmaczne, ale aprobatą była powszechna. Niestety, później przeniosło się to, na tzw. przedsiębiorstwa uspołecznione w okresie narzuconego systemu komunistycznego. Może zrozumiała reakcja, ale niewątpliwie naruszająca pojęcia przyzwoitości. Pozostało: „Mniejsza o to, ile płacą, najważniejsze, co tam można ukraść.”

Otóż wszyscy pracownicy wynosili cukier, a ponieważ tak się złożyło, że w rodzinie Angusa nikt cukru nie używał, sprzedano go i przeznaczono na rodzinną inwestycję, bo tak traktowano dalszą naukę Angusa.

\* \* \*

Ale jeszcze przed ponownym podjęciem nauki, gdzieś na początku grudnia, zdarzyło się coś, co dla Angusa miało duże konsekwencje, wpływ na przyszłość. Pewnej nocy, jaka trafia się każdemu człowiekowi, bezsennej i pełnej rozmyślań - zamiast czarnych myśli, bania natchnienia rozbiła się nad jego głową. Prawie można by dodać, jak mawiał poeta, tylko że to nie była poezja i żadna muza nie miała w tym udziału, chyba że Klio.

Kiedy Angus, jak zwykle przed zaśnięciem, rozmyślał i marzył o walce z okupantem, nagle zobaczył całą sprawę w innym wymiarze. Wszystkie działania w kraju, owszem, godne czci i podziwu, wiele z nich bohaterskich, aż za bardzo - niestety - to były działania wymuszone. Polacy walczyli, ginęli, a na ich miejsce do nieustającej walki wchodziłi następni. Zdecydowani tak, jak żaden inny naród, od samego początku i aż do końca,

jakikolwiek będzie. Tak, ale to dlatego, że nie mieli innego wyjścia, że musieli. Zostali zmuszeni przez napastników. A wszystko jest konsekwencją dawnej krótkowzroczności, ślepej głupoty. Zgoda, nie tylko własnej, także i innych.

Wszystkie narody Europy też miały szansę zlikwidować wcześniej rodzące się zło, zanim urosło w siłę. Tej szansy nikt nie wykorzystał. Wszyscy, wraz z Polską, spokojnie patrzyli, jak słabi jeszcze bandyci najpierw terroryzują własny kraj, potem napadają dom sąsiada i wreszcie doczekali się, gdy zbóje wzrosła w siłę, że przyszła kolej na obojętnych, którzy w końcu nie zdołali obronić własnych domów.

To dotyczyło także Polaków. Nie jest żadnym tłumaczeniem, że nie oni sami popełnili błąd, że inni nie działali mądrzej. Przeciwnie, bo ci inni mieli, albo wydawało się im, że mają silniejszą pozycję. Zarówno Francja, która miała wszelkie warunki na zwycięstwo, a jednak nie zdołała się obronić, jak i Anglia, która rozsądniej wykorzystała podarowany przez los czas (mniejsza o to, czy ślepy los, czy opór Polski ten czas podarował), ciężko ucierpiały z powodu wcześniejszych błędów. Co nie stanowi żadnej pociechy, wręcz przeciwnie.

**Kapsuła: Analiza błędów i wnioski praktyczne dla polityki polskiej - burza mózgowa nastolatka.**

Głównym błędem Polski stało się to, że nie działała bardziej samodzielnie, lecz polegała na sprzymierzeńcach i była im zbyt uległa. Tu nie chodzi o to, że sprzymierzeńcy nie zasługiwali na zaufanie, w krytycznej chwili nie kiwnęli palcem i Polska sama musiała zmagać się z kilkukrotną przewagą najeźdźcy. Nikt w Polsce, także i Angus nie potępiał ich dlatego, że ten moment silnie podkreślała propaganda niemiecka, a to co głosili Niemcy nie mogło być prawdą. Zaraz po zakończeniu kampanii wrześniowej (należało by mówić jesiennej, bo przecież walki trwały jeszcze w październiku) ulice, domu i płoty pokryły niemieckie plakaty, przedstawiające jak zachodni sojusznicy wciągnęli w beznadziejną sytuację biednych i głupich Polaków, a teraz obojętnie się temu przyglądają. Agnus sam zrywał i darł plakaty, przedstawiające rannego polskiego żołnierza, o kulach, ślepego i z okrwawioną, obandażowaną głową, podpisane: „Twoje dzieło, Anglio!”

Gazety trąbiły na tą samą nutę. Zapewne dlatego, Polacy odnieśli się do tego negatywnie i nie przestali ufać swoim sojusznikom. Jesień i zima pełne były rozliczeń wewnętrznych, potępienia własnego rządu i dowództwa, często niesprawiedliwych, przesadnych, ale ani słowo nie padło przeciw aliantom. Panowała opinia, że teraz nie czas na wzajemne zarzuty, to tylko sprzyja wrogom. Może i popełniono jakieś błędy. Wszędzie też mogą się zdarzyć dranie lub kłamcy, ale tą sprawą zajmą się sami Francuzi i Anglicy u siebie,

znajdą ich i odpowiednio potraktują. A w ogóle, wzajemne rozliczenia należy odłożyć na później, po zwycięstwie, a teraz zająć wspólną walką.

Oczywiście, nikt nawet nie potrafił sobie wyobrazić późniejszej zdrady sprzymierzeńca, także po zwycięstwie. Tego, że w wyniku rzekomo zwycięskiej wojny, Polska w rzeczywistości poniesie najcięższą klęskę, a Polacy przez następne pół wieku będą mogli tylko zazdrościć losu pokonanym przeciwnikom. Także i Angus, niedoświadczony szczeniak, wyobrażał sobie wtedy, że na świecie musi istnieć jakaś sprawiedliwość, albo przynajmniej konieczne będzie zachowanie pozorów, choćby z powodu obłudy.

To też skupił się na analizowaniu polskiej przeszłości i to ograniczając się z konieczności tylko do tej części faktów, które znał. Wojna wypadła w latach, w których stosunek sił był dla Polski szczególnie niekorzystny. No tak, ale to przecież zawsze agresor wybiera moment napaści. Pytanie więc polegało na tym, czy Polacy mogli zachować się bardziej inteligentnie i przewidując to, co może się stać albo przygotować lepiej, albo jakoś temu zapobiec, albo wreszcie wywrzeć wpływ na wybór momentu agresji.

W wyniku Traktatu Wersalskiego Niemcy mieli prawo utrzymywać tylko ograniczoną armię i chociaż od pierwszej chwili postanowienia tego traktatu były skrycie obchodzone, to jednak przez kilkanaście lat Polska zachowała zdecydowaną przewagę militarną. Nigdy nawet nie usiłowała wykorzystać tej pozycji, nawet gdy słabsi wtedy Niemcy rzucali pogroźki. Agnus pamiętał z gazet ostatnie manewry, które prowadzone były pod nadzorem Hindenburga, wkrótce przed jego śmiercią: oficjalną konkluzją z nich było, że w razie konfliktu z Polską, Niemcy nie zdołalyby obronić Prus Wschodnich. To stwierdzenie sztabów niemieckich, szeroko nagłośnione przez niemiecką prasę i powtórzone także przez polską, bardzo wtedy ucieszyło Angusa. W swej dziecinnej naiwności nie zdawał on sobie sprawy, że ten obraz przedstawiono w tym celu, aby uzasadnić rozpoczęcie zbrojeń.

Wkrótce po śmierci Hindenburga, Hitler pełniący dotąd funkcje kanclerza na czele koalicyjnego gabinetu i partii nie dysponującej większością, przejął także funkcje prezydenta, wprowadził faktyczną dyktaturę i przeprowadził nowe wybory, o z góry ustalonym wyniku, złamał traktat i rozpoczął oficjalnie intensywne zbrojenia. W tym momencie żyjący jeszcze Piłsudski proponował Francji wojnę prewencyjną, czy raczej akcję zbrojną, uzasadnioną jawnym pogwałceniem Traktatu Wersalskiego. Właściwie wtedy Polska była w stanie przeprowadzić taką akcję samodzielnie, wystarczyłoby moralne poparcie Francji. Francja nie tylko odmówiła wspólnej akcji, ale stanowczo sprzeciwiła temu projektowi, nie zgodziła się nawet na życzliwą neutralność. Piłsudski nigdy nie był prawdziwym dyktatorem i nawet nie próbował, chociaż sprawował tzw. rządy autorytatywne i kilka razy mocno nagiął prawo. Nie



mógł działać wbrew opinii całej Europy, w tym własnych sojuszników, a tym bardziej własnego społeczeństwa. Znaczna większość Polaków po prostu zahipnotyzowana była Francją, wierzyło w nią ślepo. Francuzi mogliby nie ruszając własnej armii, napuścić Polaków, dysponujących wystarczającymi siłami, a potem na przykład proponować mediację. Wystąpić w już istniejącym konflikcie z misją dobrych usług lub z pozycji siły. Ale mowy nie było o tym, żeby rząd Polski mógł rozpocząć taką akcję wbrew sojusznikowi, to byłoby potraktowane przez własnych obywateli jako nieodpowiedzialna awantura i skończyłoby się kompromitacją, taki rząd by się nie utrzymał. Polacy zdecydowani byli bronić własnego kraju, w tym zostali wychowani, ale byli bardzo niechętni do wojen, może nawet za bardzo, obawiali się ich. Piłsudski doświadczył już tego raz, gdy po zwycięstwie nad Armią Czerwoną, wbrew jego stanowisku, zrezygnowali z planów federacyjnych, czy odzyskania dawnych granic na wschodzie i pośpiesznie zawarli pokój, taki, o którym sądzili, że usatysfakcjonuje pobitego. Teraz, gdy był starym i ciężko schorowanym człowiekiem, nie zdołałby koncepcji wojny prewencyjnej przeprowadzić. W tym momencie Hitler zrzęcznie zaproponował pięcioletni traktat o nieagresji. Dokładnie to, o co polska dyplomacja starała się od lat, odprężenie i normalizacja stosunków polsko-niemieckich.

Wydawało się, że jest to jakaś stabilizacja, przynajmniej na pewien czas. Gdy w dodatku wyraźnie stwierdzono, że układ nie zmienia już istniejących umów międzynarodowych, to dotyczyło oczywiście sojuszu z Francją, Piłsudski go zaakceptował. Zresztą już przedtem podobny układ zawarła Polska z Rosją i nowy prawie dokładnie powtarzał tamten poprzedni. Żaden z traktatów nie został dotrzymany, od początku służyły one tylko do wytworzenia złudnego poczucia bezpieczeństwa ofiary.

Hitler zaatakował natychmiast, gdy uznał że jest gotów, no, powiedzmy, że po półrocznym okresie, najpierw intensywnie zabiegał, by przeciągnąć na swą stronę Polskę dobrowolnie. Stalin dołączył choć jeszcze nie był gotów, ale trafiła się okazja. Faktem jest, że dla Polski był to akurat najgorszy moment.

Przez cały międzywojenny okres Polska utrzymywała stosunkowo dużą armię stojącą, gdyż znajdowała się w położeniu wysokiego ryzyka. Z obu stron, sąsiedzi niedwuznacznie ostrzyli sobie na nią zęby i nawet się z tym specjalnie nie kryli. Polska polegała na własnej sile odstraszałającej i sojuszu z Francją. Przez pewien czas ten model funkcjonował. Po przegranej wojnie Stalin nabrał obaw i chyba przeceniał polskie możliwości. Z drugiej strony, w razie napaści Niemiec Polska mogła nawet samodzielnie poradzić sobie, zanim Hitler rozbudował armię. Były jednak dwie niedogodności: po pierwsze Polska nie była nigdy traktowana jak równorzędny partner sojuszu, po drugie długotrwały wysiłek ekonomiczny i

finansowy był zbyt ciężki dla kraju, który praktycznie dopiero odbudowywał się z całkowitego zniszczenia.

Po raz drugi Polska sugerowała interwencję, gdy Hitler naruszył następne postanowienie traktatowe, o demilitaryzacji Nadrenii. To działanie bezpośrednio zagrażało Francji i było w nią jawnie wymierzone, więc wydawało się, że tym razem zareaguje. Polska przez specjalnego wysłannika przekazała wiadomość, że bezwzględnie wykona swoje zobowiązania sojusznicze, a pakt o nieagresji niczego w tym zakresie nie zmienia, gdyż podpisany został z zastrzeżeniem, że nie narusza dotychczas zawartych umów i układów. Ta sprawa, wzmiankowana została uprzednio i nie ma potrzeby do niej wracać. Jak wiadomo, Francja ograniczyła się do noty protestacyjnej, a po cichu powiadomiła o inicjatywie polskiej Berlin.

Jednak Hitler nie wściekł się wtedy i nie pogorszył stosunków z Polską, a przeciwnie, właśnie od tego momentu demonstracyjnie zaczął deklarować przyjaźń i starać się o nawiązanie dobrych kontaktów. Do tego stopnia, że nawet ograniczył przejściowo terror, wprowadzany już wtedy w Niemczech, w stosunku do polskiej mniejszości. Najwidoczniej liczył się z podobną reakcją i był na nią przygotowany, chciał ją wykorzystać do zachwiania zaufania sprzymierzeńców, a później przeciągnięcia słabszego partnera na swoją stronę.

Pierwsza Wojna Światowa pozostawiła w społeczeństwach europejskich odrazę i wstręt, powszechny strach przed wojną. Tylko w ten sposób można wyjaśnić brak reakcji na coraz bardziej oczywiste zmierzanie do nowej wojny. Ludzie nie wierzyli w to, co nie chcieli wierzyć, zamykali oczy, sądzili, że jeśli nie dadzą powodu, zdecydowanie będą trzymać się z dala, to zostawi się ich w spokoju. To dotyczyło prawie całej ludności i wiązało się z wyraźną utratą zaufania do elit politycznych, ale w rezultacie prowadziło często do wyłonienia nowych elit, które nie popełniały wprawdzie tak głupich błędów, lecz posługując się planowym oszustwem, w rezultacie wciągnęły swoje społeczeństwo w jeszcze gorszą rzeź. Przykładem może być Rosja, gdzie Lenin pod hasłem wyjścia z wojny zgotował ludziom nieprawdopodobnie krwawą łaźnię, wielokrotnie gorszą od poprzedniej wojny.

Nie tylko Francuzi, również i Niemcy obawiali się wojny. Hitler oszukiwał ich równie skutecznie jak Lenin Rosjan, przez cały czas zapewniał, że on jako dawny żołnierz frontowy najlepiej zna okropności wojenne i nikt bardziej wojny nie nienawidzi. Trzeba powiedzieć, że manewrował bardzo zręcznie i umiał pociągnąć ich za sobą, aż do przepaści.

Spółeczeństwo polskie przeszło najgorsze piekło, ucierpiało najwięcej, dlatego, powiedzmy jasno, bardzo obawiało się nowej wojny, Doświadczenia wskazały, że uleganie przemocy wcale nie zmniejsza skutków wojen, lecz przeciwnie, jeszcze pogarsza sytuację.

Dlatego Polacy w swoich przekonaniach mieli wyznaczoną granicę, zdecydowani byli bronić swojej niepodległości, ale na krótki dystans, angażując się dopiero przy własnej skórze.

Niewątpliwie to błąd, lepiej bronić się na dalekich przedpolach niż dopiero wtedy, gdy pali się dach nad głową. Jednak Polacy niechętnie odnosili się do każdego działania wyprzedzającego, podejrzewając, że może być ryzykowne, czy ryzykanckie, spowodować nieszczęście. Woleli siedzieć cicho, w nadziei, że najgorsze ich ominie. Brakowało świadomości: „nam paritur pax bello”.

W rezultacie poprzednie inicjatywy, całkowicie racjonalne, spotkały się z krytyką opinii publicznej, zwłaszcza w strefie plotek. Po doświadczeniach tych, w czasie Anschluss'u Austrii Polska się nie wychylała, pozostała bierna. Zresztą nie miała możliwości nic zrobić, gdy sojusznicy i teraz zostali bezczynni Polska nie zachęciłaby ich do działania, nawet gdyby znów próbowała.

Wielkim błędem ze strony Polski było to, że nie udzieliła pomocy, nawet samodzielnie, następnej ofierze agresji, Czechosłowacji. W tym wypadku poparła by to zdecydowanie opinia publiczna. Agnus pamiętał reakcje w Poznaniu, cała Wielkopolska była za udzieleniem pomocy Czechom. Potem słyszał, że podobne sympatie panowały w Krakowie i całej Małopolsce, chociaż nie miał pojęcia, co mówiono wtedy w Warszawie. Nie ulega żadnej wątpliwości, że wtedy trzeba było się bić, to był ostatni moment na własną decyzję. Nie oglądać się na zachodnich sojuszników, nawet na wspaniałą siostrę Francję. Przecież i tak w 1939 roku Polska była się całkiem samotna i jednak była się dobrze, cały czas utrzymując otwartą walkę i stwarzając czasem krytyczne dla Niemców sytuacje, mimo ich wielkiej przewagi.

W 1938r Polska i Czechosłowacja razem miałyby znacznie lepszą sytuację i całkiem niezłą szansę. Niemcy były o połowę słabsze, a Czechosłowacja byłaby cennym sojusznikiem, choćby dlatego, że była uzbrojona, jak się to mówi, po zęby i miała doskonały przemysł zbrojeniowy. Czesi jakością sprzętu, nadrabiali liczebność armii, mieli mało żołnierzy, bo i ludność nieliczną. Natomiast Polska miała znacznie liczniejszą armię, lecz słabo uzbrojoną. Wiadomo, że w wyniku zajęcia Czechosłowacji, Niemcy podwoili ilość czołgów, tworząc oprócz trzech dotychczasowych, trzy nowe dywizje pancerne. Wykorzystali w tym celu czeski sprzęt, a zwłaszcza podwozia czołgów znacznie lepsze, niż te, które produkowali dotąd sami. Tylko przebroili te czołgi, dostosowując je do własnych standardów. Samoloty bojowe wprawdzie mieli lepsze i na nich nadal polegali, ale mogli całkowicie skoncentrować się na myśliwcach, bombowcach i stukasach - bombowcach nurkujących, dzięki temu, że zyskali obficie zaopatrzone zaplecze lotnictwa, mnóstwo

samolotów transportowych, obserwacyjnych i innych pomocniczych, no i oczywiście fabryki, które pozwoliły na niezwłoczne i to duże podniesienie produkcji. Krótko mówiąc, Czechosłowacja razem z Polską, byłyby zupełnie równorzędnym przeciwnikiem i mogły stawiać długi i skuteczny opór. Nowy Grunwald może by to nie był, ale po pewnym czasie zachodni sojusznicy mogliby skorzystać z wygodnej pozycji arbitra. A nawet gdyby nie, to wątpliwe, czy Niemcy byłiby zadowoleni z długiej i krwawej wojnę, zamiast szybkiego zwycięstwa. Polska wraz z Czechosłowacją miały potencjał, zarówno ludnościowy, jak i przemysłowy. To właśnie łatwe, szybkie zwycięstwa i korzyści z nich płynące, w końcu wytworzyły w Niemczech ślełą wiarę we wodza. Agnus nie mógł zapomnieć, jak w r 1939, nawet po zwycięstwie nad Polską, Niemcy niechętnie odnosili się do wojny.

Wszystkie te rozważania opierały się oczywiście na niedostatecznych danych. Agnus znał tylko niektóre fakty, a i to powierzchownie, obce mu było tło i wiele zdarzeń, o innych ledwie coś słyszał. Na przykład, nie miał pojęcia o istnieniu generała Ludwig'a von Becka i jego planach zapobieżenia wojnie. A także, jak ogromna większość ludzi, nie zdawał sobie sprawy, że istnieje - chociaż jeszcze wtedy nie formalne, jak w roku 1939 - ale wspólne dążenie Stalina i Hitlera do rozpętania nowej wojny światowej. Wobec tego ostatniego, możliwości happy endu, uniknięcia albo zlokalizowania konfliktu były raczej niewielkie, niezależnie od rozwoju sytuacji. Właściwie nie podobna przewidzieć możliwego biegu wypadków, chociaż zapewne dla Polski żaden scenariusz nie mógł być jeszcze gorszy.

Ta bardzo niedoskonała i wręcz dyletancka analiza, nie była jednak nielogiczna ani pozbawiona sensu. Bez wątpienia, w 1938 r. Polska walcząc w obronie Czechosłowacji, byłaby w dużo lepszej sytuacji, niż w 1939 r, kiedy rozpaczliwą i beznadziejną obronę prowadziła całkiem samotnie. Jeżeli przez ten rok czekała na zmianę stanowiska sojuszników, to daremnie. Angus nie stwierdzał tego w formie zarzutu, stawianie wzajemnych zarzutów w czasie wspólnej walki uznano za niedopuszczalne. Było to proste stwierdzenie faktu. Przecież ci sojusznicy, ani przez chwilę nie mieli zamiaru traktować swoich zobowiązań na serio, po prostu korzystali z tego, że Hitler bije kogoś innego, daleko od nich, a oni sami dzięki temu nie są atakowani. Szukali głupiego, co się za nich nadstawi - i znaleźli. Sami nie uważali się za zagrożonych, Anglia za morzem, Francja zaś czuła się złudnie bezpieczna za linią Maginot'a. Hitler parł do dalszej wojny, choć alianci najchętniej zawarliby potem pokój, może trochę potargowali się dla zachowania twarzy, demonstrowali swoją siłę, ot, zwykłe napinanie mięśni na pokaz i poszukali nowej, tak zwanej równowagi. Typowe złudzenia owiec wobec złego wilka. Ale Hitler zorganizował zamach na siebie, pokaz, przypisany

anglo-francuskiemu wywiadom i na fali oburzenia, utrzymał Niemców w ryzach. Trzeba przyznać, że umiał manipulować emocjami i ludźmi, ten Fuehrer.

Tak, Czechosłowacja to jedyny pewny sojusznik, bo łączyłby go wspólny interes, kwestia wspólnego życia lub śmierci. To znaczy więcej, niż potężny sprzymierzeniec, który ma sojuszników - powiedzmy, że w nosie. W tym momencie, Angus spróbował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o historii stosunków czesko-polskich. Ten przegląd, też daleki od ścisłej prawdy i nieobiektywny, opierał się tym, czego uczył się w szkole (nie wiele) i bardziej o to, co czytał - to już więcej, chociaż te wiadomości były fragmentaryczne, często przyjęte bezkrytycznie i czasem fałszywe, bo oczywiście nie potrafił ich samodzielnie ocenić. Jedyna wątpliwa „metoda”, jaką się posługiwał, wzorowała się na dotychczasowym czytaniu gazet. Jeszcze przed wojną, czytywał różne gazety i zauważył, że różnie naświetlają one i komentują te same fakty więc próbował wyrobić sobie własny sąd ze sprzeczności.

Właściwie jeszcze z opowiadań ojca, po wyczerpaniu bardziej osobistych tematów, usłyszał Angus po raz pierwszy o dawnych plemionach słowiańskich. Obok dawnych ziem polskich, daleko na zachód mieszkali kiedyś pobratymcy, jeszcze na początku pisanej historii tego regionu, w IX wieku i wcześniej, zostali oni wytępieni przez bezwzględnych najeźdźców. Agnus słuchał o wielkich bitwach z wojskami cesarza niemieckiego, Ottona I „zabójcy Słowian”, gdy dzięki użyciu przez Niemców ciężkiej jazdy i lepszej taktyki wyrobionej w podbojach ziem rzymskich cała męska ludność tych Słowian, pospolite ruszenie, chociaż liczna i walcząca z rozpaczą aż do śmierci, nie miała szans, musiała zginąć. O ustanowieniu dwu nowych marchii, które specjalnie zajęły się dalszym mordowaniem ludności i poszerzaniem zdobyczy. Każda metoda była dobra, od prostego mordu do zdrady, łamania umów i trucizny. Wielkie wyprawy i wielkie bitwy zdarzały się od czasu do czasu, tutaj nowocześniejsze uzbrojenie i metody walki dawały bezwzględną przewagę Niemcom nad zaciekle broniącymi się, lecz mało ruchliwymi masami pieszych wojowników, niedoświadczonymi, wspomaganymi czasem nawet przez kobiety. W międzyczasie trwał stały podbój, najeźdźcy postępowali podobnie, jak wiele wieków później osadnicy amerykańscy z Indianami, starali się wytępić lub usunąć całą ludność. Wprawdzie nie podrzucali zakażonych ospą koców, ale za to na masową skalę posługiwali się truciznami, zarówno dla oczyszczenia zdobytego już terenu, jak usunięcia uczestników rokowań, czy porozumień pokojowych. Na przykład, otrucie trzydziestu książąt słowiańskich na ucztę pożegnalnej po zawarciu pokoju załamało ostatecznie opór plemion, na terenach obecnej Brandenburgii. Marchia na wschodzie była wprost organizacją drapieżników i opierała się pierwotnie na wojsku, zebranych z Cesarstwa na takiej zasadzie, że każdy zbrodniarz lub

człowiek zagrożony wyrokiem, mógł znaleźć schronienie i miejsce dla siebie. Nawet nie w rodzaju do Legii Cudzoziemskiej, bo nie byli utrzymywani w takiej dyscyplinie, w stosunku do miejscowej ludności mieli wolną rękę. Marchia wschodnia szybko rosła tucząc się na krwi Słowian, na zdobyte ziemie sprowadzała osadników. Ci przybysze, to też nie był akurat kwiat Germanów, lecz przeważnie tacy, którym grunt palił się pod nogami, poszukiwacze zdobyczy, w najlepszym razie nieudacznicy lub desperaci, których spotkała niesprawiedliwość lub nieszczęście. Jeżeli poprzednio Angus nie mógł sobie tego dobrze wyobrazić, to teraz lepiej to rozumiał, aktualnie też Niemcy na ziemie polskie wysłali przeważnie same odpadki.

Ojciec jako źródło wymieniał paru historyków rosyjskich, zaznaczając, że mogą oni nie być całkowicie wiarygodni. Napisali wielotomowe dzieła w duchu panslawistycznym, który rozwijał się wtedy, raczej tendencyjne i dedykowali je rodzinie carskiej. Jednak nie znaleźli jakoś ani potężnych protektorów, ani powszechnego uznania, chociaż w niektórych kołach mieli zaciekłych zwolenników i narobili wiele hałasu. Ojciec uważał, że te dzieła były bardziej propagandowe, niż naukowe i pisane wyraźnie pod ruch Wielkorusów. Jednak zebrali mnóstwo faktów, przeważnie z niemieckich, zapisów duchownych i mnichów, stosując tą samą technikę do czerpania danych z zapisów kościoła prawosławnego. Jednym słowem fakty były raczej bezsporne, a wątpliwości dotyczyły komentarza.

Te dane potwierdzały się z innych źródeł. Już Karolingowie rozbili potężne państwo Wielkomorawskie, być może pozostałość legendarnego królestwa Samona. Potem, zwłaszcza w 9 wieku, trwał wielki podbój ziem słowiańskich. Właściwie Polacy i Czesi byli jedynymi, którym udało się jakoś przeżyć i obronić. Liczne plemiona słowiańskie, Głomaczów, Połabian, Łużyczan, Obotrytów, później nawet najwaleczniejszych Weletów i wiele innych po prostu zginęły. Ta akcja odbyła się pod hasłem szerzenia chrześcijaństwa, ale na zasadzie, że pogan należy wytepić, a nie nawracać, coś jak konkwista albo zapowiedź późniejszych krucjat. Czesi uniknęli najgorszego, wcześniej przyjmując chrześcijaństwo, pozostałe po państwie Wielkomorawskim. Czesi utworzyli własne księstwo, później królestwo, które formalnie wchodziło w skład Cesarstwa, ale faktycznie żyli u siebie. Plemiona Polskie, za osłoną tamtych ginących od strony Cesarstwa, zdążyły w porę się zjednoczyć i potem polski książę też przyjął pośpiesznie chrześcijaństwo. Jednak chrzest i także organizację kościoła przyjął z Czech, a nie z Niemiec i to nie przypadek, ale niezwykle ważny akt polityczny. Gdyby Polska została podporządkowana jakiemuś niemieckiemu arcybiskupstwu, na przykład w Bambergu, na pewno by nie przetrwała, Polacy mieliby taką samą szansę, jak np. Połabianie. Polska wiele Czechom zawdzięcza w tym wczesnym okresie, bo wkrótce jako

premię otrzymaliśmy stamtąd pierwszego polskiego świętego i kosekwentnie polskie arcybiskupstwo, nie licząc pomocy zbrojnej w krytycznym początkowym okresie. Bo przyjęcie religii chrześcijańskiej nie uchroniło Polski od najazdów, tylko już bez motywacji religii. Wyprawy Wichmana i później Hodona, nie firmowana oficjalnie przez Marchię Wschodnią, była taką cichą próbą, groźne, ale niby prywatne przedsięwzięcie. Cesarz nie aprobował, ale też ich jednoznacznie nie potępił, raczej wystąpił potem jako rozjemca i arbiter, zarówno wobec agresora, jak i broniącego się.

Czesi mieli już wtedy nowoczesną ciężką jazdę, chociaż pomoc stanowiła tylko 300 ludzi, ale na owe czasy wielkiej klasy. Także i później, czescy rycerze mieli znakomitą opinię w Europie, o czym jeszcze będzie mowa. Być może to oni stali się wzorem dla polskiej drużyny książęcej.

Angus usiłował przypomnieć sobie zasięg terytorialny dawnych ziem słowiańskich i germańskich. Nie ma na ten temat ścisłych danych historycznych, źródła pisane nie sięgają tak daleko. Jednak na terenie Polski i Niemiec dokonano wielu badań archeologicznych, zarówno przypadkowych znalezisk jak i celowych wykopalisk, a zwłaszcza w okresie międzywojennym. Nie było wątpliwości, że dawne osady słowiańskie znajdowano nie tylko daleko na wschód od Odry, ale także od Łaby i Sali, mniej więcej aż do linii Wezery. Niestety, badania prowadzono nie w naukowej, lecz bardzo konfliktowej atmosferze. Rozpoczęli je uczeni niemieccy jeszcze na początku wieku, ale były one celowo tłumione ze względów politycznych. Spowodowały nagonkę nacjonalistów i zdecydowane wkroczenie czynnika politycznego. Reżim hitlerowski traktował odkrycie osadnictwa słowiańskiego wokół stolicy, Berlina wprost jako przestępstwo i prace nakazał zasypać i zniszczyć. Z drugiej strony uczeni polscy, zwłaszcza ze szkoły znakomitego archeologa Kostrzewskiego z Poznania, nie zawsze byli bezstronni i wolni od tendencji nacjonalistycznych. Na przykład bez wystarczających dowodów, najstarsze wykopaliska kultury łużyckiej, włączali w ciągłość rozwojową zachodniej słowiańszczyzny, a także usiłowali wyjaśnić wykopaliska z niewątpliwie germańskimi elementami w dość naciągany sposób.

Swoje wiadomości na ten temat czerpał Angus z książki popularno-naukowej, ale także polemicznej, „Ziemia gromadzi prochy” która ukazała się parę lat przed wojną i stała się bardzo głośna. Z niej głównie brał wiadomości, lub poglądy. Dla niego sprawa była jasna: ziemie dobrej połowy Niemiec należały kiedyś do Słowian, ich szlachetni i miłujący pokój mieszkańcy zostali podbici i zdradziecko wymordowani, Polacy, ostatni z tej grupy, zdołali za plecami swych ginących współbraci w ostatnim momencie zjednoczyć i zorganizować i

dzięki temu ocaleni, chociaż także i Polska utraciła w długich walkach swoje zachodnie prowincje.

Ten obraz nie odpowiada prawdzie, chociaż pewne elementy są poprawne. Jak wiadomo, plemiona Indoeuropejskie po przybyciu długo szukały swojego terytorium i osiedlały się w różnych miejscach, po czym znowu zmieniały adres. Ostatnie wielkie przeprowadzki, zwane wędrówką ludów, trwały w okresie upadku imperium rzymskiego dobre parę wieków, ale jeszcze i potem trafiały się przetasowania całych narodów z jednego końca Europy w drugi. Dość trudno przypisać komuś jednoznacznie określone terytorium. Obecnie uważa się za najbardziej prawdopodobne, że Słowianie, tzw. Zachodni, przez długi czas przebywali w dorzeczu Odry i Wisły, natomiast tzw. Wschodni między Bugiem i Dnieprem, a Dniestrem ale to duże przybliżenie. W okresie wędrówki ludów, gdy Germanie przesunęli się na wysoko rozwinięte i bogate ziemie w granicach dawnego Cesarstwa Rzymskiego, Słowianie ekspandowali za nimi na południe i zachód. Agnus uważał ziemie polskie za praojczyznę, a Słowian Zachodnich za praojców, faktycznie powinien uważać ich raczej za odległych kuzynów. Po prostu bardziej przedsiębiorcze i aktywne pokolenia, z inicjatywą, emigrowały, a na miejscu pozostawiali ci bez wyobraźni i ducha przygody, nieruchomości. Chyba jedna z pierwszych fal zajęła Czechy, może nawet jeszcze za czasów rzymskich, zastępując Celtów. W czasie, gdy następnie z ziem nad Odrą i Wisłą dalsze plemiona ruszały na zachód, najdzielniejsze niespokojne duchy z terytorium Czech i może także Moraw i południowej Polski wyniosły się dalej na południe, na Bałkany i aż do południowych wybrzeży Morza Śródziemnego i Azji Mniejszej. Agnus kiedyś, mimo woli, w myślach traktował te ludy i narody paternalistycznie, jako potomków dawnych Polaków, nonsens. Z drugiej strony, nielogiczne byłoby też uznawanie np. Czechów za wyższą formę rozwoju, gdyby tak było, to należałoby z kolei uważać, że są oni przejściową fazą w stosunku do doskonalszych, np. Chorwatów lub innych Słowian z południa. Fale Słowian na Bałkany i dalej, posuwały się przez obecną Czechosłowację, być może zmuszone do tego przez Awarów, którzy uczynili z nich przymusowych sprzymierzeńców, jakby analogia do tego, co Hitler chciał zrobić z Polakami. Później dołączyła domieszka Słowian wschodnich. Skomplikowana sytuacja, tym bardziej, że niektóre szczepy dzieliły się, migrując w różnych kierunkach. Na przykład obok Serbów bałkańskich, żyli i zginęli wymordowani Serbowie na terenach obecnej Saksonii, a obok Chorwatów w Chorwacji, jeszcze ciągle mieszkają i mówią bardzo zbieżnym językiem Chorwaci w Karpatach.

Czesi i Polacy są jedynymi Słowianami Zachodnimi, którym udało się przeżyć i właściwie Polacy zaczęli swoje istnienie z dużym długiem wobec Czechów. A co właściwie



stało się dalej? Tu już wiadomości Angusa były niewystarczające, nie potrafił przeprowadzić analizy. Wydawało się, że powstały dwa ośrodki organizacji państwowej o dużej atrakcyjności i doszło między nimi do ostrej konkurencji wewnątrzgatunkowej. Bolesław Chrobry próbował przyłączyć Czechy i prawie, na krótko mu się to udało, ale postawił na złego konia w wewnętrznych walkach czeskich, chociaż dzięki temu dorobił się świętego patrona dla niezależnej organizacji kościelnej i utrzymał się na Morawach. Po jego śmierci, waleczny Brzetysław czeski praktycznie zawojował Polskę, też nie zdołał się w niej utrzymać, ale przy tej okazji zniszczył gruntownie obie stolice, cywilną i kościelną, tak że nie było co odbudowywać. Gdy Kazimierz Odnowiciel przybył do Poznania, w ruinach katedry gnieździły się wilki i stolicę przeniesiono do Krakowa. To akurat Angus zapamiętał, będąc można powiedzieć, osobiście zainteresowany.

Sytuacja zmieniała się jeszcze parokrotnie, to jedna, to druga strona zdobywała przewagę bez decydującego rozstrzygnięcia. W okresie rozbicia dzielnicowego, silne królestwo czeskie opanowało prawie całą Polskę i wcale nie jest pewne, czy dobrze się stało, że legendarny król Łokietek obalił obce panowanie i zjednoczył kraj. Jego syn, Kazimierz Wielki, starał się utrzymywać dobre stosunki z Czechami i właściwie stamtąd czerpał wzory, rozbudowywał miasta wzorując się wyraźnie na Pradze, otaczał staraniem szlaki handlowe i wprowadził podobne zmiany organizacji wojskowej. W tym okresie Polska obficie czerpała ze wzorów czeskich, również odnośnie instytucji rycerstwa. Jak wiadomo, Czechy wydały w tym okresie nieproporcjonalnie dużo rycerzy, można powiedzieć na pokaz, turniejowych. W ówczesnej Europie znane było powiedzenie „przyjechał wspaniały rycerz, może z Czech”. Mniej znane jest, że to z Czech pochodził ród Zawiszów, do którego należał żyjący później wzór rycerstwa, Zawisza Czarny.

Myśl o Zawiszy prowadziła do bitwy pod Grunwaldem. To najważniejsze wydarzenie tamtych czasów, w którym dzięki Unii Polsko-Litewskiej udało się wyeliminować śmiertelne zagrożenie obu społeczeństw przez Zakon Krzyżacki, oczywiście nie obyło się bez udziału Czechów. Lecz walczyli po obu stronach, udział był mniej więcej zrównoważony. Natomiast najważniejsze jest, że w rezultacie Polska, kraj dotąd drugiej kategorii - i Litwa, krótkotrwała emfemeryda na dalekich peryferiach ówczesnej Europy, utworzyły wspólnie potężne państwo, do którego następnie dobrowolnie przyłączyło się wiele mniejszych narodów, a nawet resztek, niedobitków różnych ludów. Powstał wspaniały kraj, na owe czasy postępowy, wręcz super nowoczesna organizacja wielu narodów, wyposażona w demokratyczne instytucje i ogromnie atrakcyjna. Może dlatego, o tendencjach izolacjonistycznych i unikająca ekspansji, i obcych raczej, niż zachęcająca kogoś do przybycia czy dołączenia się.

W tym miejscu spłynęło na niego nagle natchnienia, oślepiające światło, zobaczył wszystko w innym wymiarze. Unia, Litwa i Korona, to wielkie hasło, w które i on dotąd wierzył, jest już martwe. Przeszłość jakkolwiek wspaniała, nie wróci i to nawet nie dlatego, że nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki. Wielu ludzi nadal tego pragnie, wierzy, ale większość nie, rozczarowani mają przewagę i nadal będzie przybywać. Po pierwsze nie chcą tego sami Litwini i to definitywnie załatwia sprawę. Po drugie, także wielu Polaków, przecież idee prometejskie głoszone przez samego Piłsudskiego, nie znalazły poparcia. Dlatego po wojnie bolszewickiej, Polacy tak szybko, wbrew Naczelnikowi Państwa zwarli pokój, oddali wiele zajętych terenów i nie zajmowali nowych, choć wtedy mogli. To dlatego tak szybko pozbyli się potem Piłsudskiego. I słusznie, idea się przeżyła, pozostały sentymenty, coś jak wspomnienia dawnego małżeństwa. Jaką korzyść może dać odnowienie związku z niechętnym partnerem?

Otóż to, dawny związek obecnie nie zapewniał partnerom korzyści. Dla Polski związanie się z Litwą, byłoby tylko obciążeniem, dwa z ułamkiem miliona ludzi nie wzmocni państwa, to żaden zysk, a problemów wiele. Myślał tak z żalem, bo sam nie tylko podzielał te stare sentymenty, ale podejrzewał, że on może być spolszczonym od pokoleń Litwinem.

Ale idea unii była słuszna, tylko należało ją odwrócić, szukać teraz drogi na południe, do Czechów. Najważniejsze, że jest taka potrzeba, obie strony odniosłyby korzyści, nikt z partnerów nie tracił, obaj by zyskali. Powiedzmy, że plusy przeważały nad minusami. Dokładnie jak w przypadku zwykłych ludzi.

Należało wykorzystać dobre doświadczenia, ale obecnie myśleć o nowej Unii raczej w innym, przeciwnym kierunku, nie północny wschód, ale południowy zachód. I Polska i Czechosłowacja tworzyły organizmy, które istniały i funkcjonowały, prawie mogły się obronić. Ale właśnie prawie, przy bardziej sprzyjającym zbiegu okoliczności, gdyby wszystko poszło tak jak powinno. A nie poszło. Razem, mogłyby utworzyć silny i stabilny organizm, zdolny do trwałego istnienia, do przeciwstawienia się współczesnym, większym zagrożeniom. Jak w przeszłości, mogłyby stać się początkiem państwa wielonarodowego, ośrodkiem krystalizacji, w którym każdy chętny mógłby przyjść i żyć we wspólnym domu, bez ograniczeń narodowościowych i religijnych, tak jak w dawnej Rzeczypospolitej wielu narodów. A takich chętnych zapewne i teraz by nie zabrakło, w tej części Europy pełno było małych narodów i resztek, rozbitków etnicznych, ciężko doświadczonych przez dzieje, którzy z radością powitaliby możliwość zostania obywatelami unijnego państwa, które nie uciskało by ich pozwalając zachowując swoją identyczność.

Może Polacy nabraliby też doświadczenia z przeszłości. Właściwie to nie Polacy kiedyś zaczęli uciskać współobywateli innych narodowości, to bez ich udziału ani zachęty, wyższe warstwy innych narodowości szybko się polonizowały i ta nowo spolonizowana, wyższa warstwa uciskająca niższe, tworzyła negatywne reakcje. Rozpad państwa związkowego, w rzeczywistości było spowodowane wyobcowaniem się własnej warstwy ucisku. Zresztą podobne doświadczenia mieli i Czesi, tylko u nich wystąpiła drobna różnica. Tam wyższe warstwy uległy germanizacji i reakcja nacjonalistyczna, wywołana przez nie, obróciła się przeciw Niemcom.

Angus doszedł już do najważniejszego wniosku, ale nadal sprawdzał, jak on pasuje aż do czasów współczesnych. Sytuacja się zmieniała i potem Czesi starali się zjednoczyć z Polską, ofiarując koronę Władysławowi Jagielle. Jednak nie przyjął on jej i nie pozwolił na to Witoldowi, bratu, jednocześnie zastępcy i konkurentowi do władzy. Właściwie nie mógł, gdyż nowo nawrócony „poganin” był celem złośliwej propagandy, rzucano podejrzenia na wszystkich europejskich dworach. Przejęcie w kraju ogarniętym schizmą Hus’a byłoby powszechnie podejrzewane. Faktem jednak jest, że dyplomacja polska usiłowała ocalić głowę Husa, niestety daremnie. Także w rozpętanych wojnach religijnych, konsekwentnie po cichu popierała Husytów, chociaż ci tego nie potrzebowali, doskonale radząc sobie sami. Dopiero po śmierci króla i przed objęciem tronu przez syna, Władysława znanego później jako Warneńczyk, ówczesny regent, biskup i kardynał Oleśnicki zgniótł zbrojnie stronnictwo otwarcie popierające Husytów w krótkiej, ale krwawej wojnie domowej. Podobno młody król miał wprost przeciwne zamiary, ale ostatecznie Oleśnicki namówił go raczej na tron węgierski, wskazując, że jeżeli ocali Węgry przed najazdem tureckim, to automatycznie zyska też tron Czeski. Cóż, po Warnie ten plan upadł, ale i tak, Jagiellonowie zasiedli na tym tronie, niestety na krótko. Związek był przejściowy i tylko z dynastą, nie z krajem.

W dalszych dziejach, doszło do bardzo niefortunnego wydarzenia. To udział Lisowczyków w bitwie pod Białą Górą, dokładniej mówiąc powstrzymanie przez nich Gabora, pomoc którego prawdopodobnie przeważałaby szalę na stronę Czechów. Lisowczycy byli najemnikami, jakich pełno było w tym czasie w Europie, a aktualnie nie mieli sobie równych. W czasie wojen z Moskwą, dotarli aż do Oceanu Lodowatego i na Syberię, a po Białej Górze w służbie cesarskiej, aż do Atlantyku. Po drodze sportretowani przez Rembranta, w nieprzyjacielskich krajach poruszali się swobodnie, można powiedzieć przechodzili, jak gorący nóż przez masło. Łupili i rabowali, to był ich cel, ale nie wyróżniali się specjalnym okrucieństwem, raczej na tle innych ówczesnych kawalerów fortuny wypadli jak anioły.

Wiele krajów wydało całe zastępy najemników, zawodowych żołnierzy, w tym także armie zbójów, korsarzy, piratów, filibusterów. Polska właściwie tylko ten jeden raz, Lisowczyków, ale też to, że przyjęli oni akurat wtedy służbę cesarską, to naprawdę fatalny przypadek. Zresztą zrobili tak wbrew zakazom króla i sejmu, tracąc potem prawa obywatelskie, choć ci którzy przeżyli i wrócili z łupami, jakoś je odzyskali. Przynieśli szkodę Czechom, ale także, choć nie świadomi wówczas tego, swojemu narodowi i państwu. Po bitwie pod Białą górą Czechy na długo straciły niepodległość, stały się jedną z prowincji Cesarstwa, omal nie tracąc identyczności narodowej. Odrodzenie w XIX wieku, graniczy prawie z cudem.

W XIX wieku Polacy też znaleźli się w niewoli i na początku, w zaborze austriackim mieli pretensje do Czechów, ponieważ to przeważnie z pośród nich rekrutował się personel biurokratyczny i aparatu ucisku. Z prostego powodu, Czesi mówiąc podobnym językiem, lepiej od Austriaków mogli się porozumieć z ludnością. Ale już od Wiosny Ludów, zaczął się okres solidarności i wspólnych planów. Niestety, nie trwało to długo, wkrótce te drogi się rozeszły. Czesi w XIX wieku przeszli odrodzenie narodowe, które było dziełem średnich i niższych klas społecznych, gdyż wyższa warstwa uległa germanizacji. Podobny proces, jak opisany w Rzeczypospolitej i w takim samym mechanizmie, nastąpiła też gwałtowna reakcja przeciw wyobcowanej górze społecznej, która wspierana była przez narodowość, z którą się obecnie identyfikowała. To wywołało duży poziom napięcia między Czechami i Austriakami, czy też Niemcami austriackimi wraz ze zgermanizowaną częścią arystokracji i plutokracji czeskiej. Natomiast Polacy byli w zupełnie innym położeniu, podzieleni na trzy zabory, z których austriacki był zdecydowanie najłagodniejszy, warunki najbardziej ludzkie. Nie chcieli walki z Austrią, gdyż tylko tu otrzymali szeroki samorząd i warunki do zachowania własnej kultury i tradycji, istny raj w porównaniu do ucisku w innych częściach Polski.

Jedyną trwałą wspólną wartością pozostał ruch Sokoli, pierwotnie utworzony w Czechach, oficjalnie towarzystwo gimnastyczne, faktycznie organizacja przygotowująca przyszłych bojowników do walki o niepodległość. Polacy, po próbach powstań zawsze kończących się klęskami, przez pewien czas znaleźli w Ruchu Sokolim najważniejszy ośrodek zachowujący tradycje walki. Związki między polskim i czeskim Sokołem były bliskie, podobnie między polskim i czeskim Harcerstwem, powstałym na bazie Sokoła.

W czasie I Wojny Światowej, Polacy mogli pragnąć tylko klęski wszystkich zaborców. Tak też się stało, choć wydawało się wprost nieprawdopodobne. Z początku jednak część społeczeństwa, szukała oparcia w Austrii, zupełnie przeciwnie niż Czesi. Jednak nawet wtedy, mimo sprzecznych celów, zachowała się współpraca i łączność na poziomie

organizacji Sokoła i Harcerstwa, utrzymywały one bliski kontakt przez całą wojnę. W każdym razie w Zaborze Pruskim i zwłaszcza Wielkopolsce, Angus słyszał o tym z pierwszego źródła od ludzi, którzy w tym uczestniczyli, przygotowując Powstanie Wielkopolskie. Jak wiadomo, Sokół i Harcerstwo byli spiritus movens tego powstania.

W ostatnim okresie, międzywojennym, zaszedł szczególnie paskudny epizod. Tą sprawę Angus pamiętał i myślał o niej ze szczególną przykrością. To sprawa Zaolzia, które Polska przyjęła z rąk Hitlera po Monachium. Angus wspominał zaskoczenie i powszechne oburzenie, całego otoczenia, wszystkich ludzi których znał, od kolegów w szkole i własnych rodziców, aż do przechodniów na ulicy i nawet rozmów w tramwaju. Podobno w Warszawie, tak pisały gazety, było inaczej, tam przedstawiano tą sprawę jako sukces. Podobno nawet doszło do manifestacji, popierających stanowisko rządu.

Zapewne i oficjalne samozadowolenie typu „byczo jest” jak „spontaniczne” wybuchy radości były montowane na pokaz, przygotowane i opłacone. Może nawet nie przez własne czynniki „zbliżone do kół rządowych” ale przez te właśnie, które parę miesięcy później sfinansowały demonstracje „Wodzu prowadź” i „Na Kowno”, wykorzystując impulsywność, naiwny patriotyzm z tendencjami nacjonalistycznymi i niedoświadczenie, szczerze mówiąc głupotę części młodzieży. To nie była czysta sprawa. Rząd polski, pomawiany o tendencje dyktatorskie a co najmniej autorytarne, nigdy nie organizował demonstracji i masowych przedstawień poparcia i entuzjazmu, co jest cechą dyktatur. Względnie, jeżeli takie małe próby się zdarzały, to były nieudane, sama chęć nie wystarczy, to trzeba jeszcze umieć. W Niemczech na przykład, masowe przedstawienia reżyserowane były starannie, zajmowali się tym i robili przy tym kariery najlepsi fachowcy. Na przykład tak wybił się Speer, a sam Hitler miał też niezły talent i zajmował się tą dziedziną sztuki z lubością.

Dlatego Angus podejrzewał, że te akcje były montowane i opłacane w celu przeciągnięcie Polaków na stronę Hitlera. Najpierw na zachętę wilk wypluł mały kąsek swojej pierwszej ofiary, potem podsuwał większą przynętę. Zabór Kłajpedy miał sens tylko wtedy, jeżeli rezygnowało się z reszty Litwy, która dotąd cała stanowiła niemiecką strefę wpływów. Kolejna prowokacja obliczona na zachęcenie Polski. Gdyby wzięła ona tą większą przynętę, to oczywiście wywołałoby oburzenie całej Europy, w czym pierwsze skrzypce niewątpliwie grałby Związek Radziecki, jedynie Niemcy skwapliwie udzieliłyby poparcia. Polsce nie pozostałoby nic innego, jak przyjąć oferowaną pomoc.

Nie ulega wątpliwości, że okazywanie radości z powodu odzyskania Zaolzia, było skrajną głupotą ze strony następnej potencjalnej ofiary. A już w latach wojny, Angus miał okazję dowiedzieć się, że podobne stanowiska jak Poznań, miał też Kraków i w ogóle

Małopolska. Także i mieszkańcy Ostrowca tak to wspominali, chociaż podobno byli tacy, którzy wtedy wyjeżdżali do Cieszyna po korzystne zakupy i cieszyli się z tego.

Jednak była i druga strona medalu. Agnus słyszał też o pewnych szczegółach, które chociaż nie usprawiedliwiały, ale jednak częściowo wyjaśniały postępowanie rządu polskiego.

Po pierwsze, Polska absolutnie i w najmniejszym stopniu nie brała udziału w haniebnym traktacie Monachijskim, nie podniosła nawet palca przeciw Czechosłowacji. Przeciwnie, w czasie kryzysu sudeckiego przeprowadzała wielkie ćwiczenia OPL, demonstrując przygotowania do ewentualnej wojny, rozumiało się samo, że wraz z sojusznikami zachodnimi. Faktem jest, że nie okazała Czechosłowacji pomocy w najgorszym momencie, ale jak niby miała to zrobić, jeżeli Czechosłowacja tej pomocy nie chciała, uprzednio konsekwentnie odrzucała wszystkie polskie próby zbliżenia. Co do zachodnich sojuszników, to przecież w przeszłości dwa razy nie tylko odrzucili propozycje Polski, zajęcie bardziej twardego stanowiska wobec Hitlera, ale nawet postarali się ten fakt nagłośnić i publicznie skompromitować Polskę, to bardzo złe doświadczenie.

Ostatecznie Polska przyjęła tylko te terytoria, które i tak według umowy Monachijskiej miały przypaść Hitlerowi, a więc nie pozostałyby przy Czechosłowacji. Okazując demonstracyjnie, że uznaje etniczną polskość Ziemi Cieszyńskiej, i przekazując kanałami dyplomatycznymi podziękowanie za wstrzeźliwość i propozycje dalszej przyjaźni, „Wielki Wódz” oddał kawałek łupu. To, że mieszkała tam ludność polska, akurat było prawdą i przekazanie jej pod władzę Hitlera też nie było lepszym rozwiązaniem, polska opinia publiczna przyjęłaby to źle. Czyli: w rozbiórce Czechosłowacji nie uczestniczyliśmy, sprawa załatwiona została bez Polski, ale po prostu nie można było odmówić i zgodzić się na przeniesienie Polaków, pod władzę hitlerowskich Niemiec. Właściwie był to wybór mniejszego zła, tyle, że okoliczności smutne, a urządzanie z tego powodu jakichkolwiek obchodów, okazywanie zadowolenia - to po prostu skrajny idiotyzm.

Po drugie, sprawa ta miała za sobą brzydko pachnącą prehistorię. Jak wiadomo, Ziemia Cieszyńska miała zdecydowaną większość polską i po I Wojnie Światowej, ludność oraz tamtejszy organ samorządowy, Rada Narodowa, zadeklarowała przynależność do Galicji i następnie konsekwentnie do Polski. Tak było do 1920r. W najgorszym okresie wojny bolszewickiej, Czesi dokonali zbrojnej agresji w brutalnej formie. Zmasakrowali słabe siły lokalnej obrony, wykorzystując fakt, że większa część zdolnych do służby wojskowej mężczyzn i wszystkie oddziały Wojska Polskiego znajdowały się na froncie wschodnim, skąd

zagrozało śmiertelne niebezpieczeństwo. Ci, którzy próbowali obrony, zostali bezwzględnie wystrzelani.

Polska nie mogła tworzyć nowego frontu i odwołała się do Francji, gdyż na Śląsku wojska koalicji, w tym francuskie, nadzorowały plebiscyt. Francja była sprzymierzeńcem zarówno Polski, jak i Czechosłowacji, a tak naprawdę to architektem nowych konstrukcji państwowych w całej środkowej Europie. Dyplomacja francuska doprowadziła do wstrzymania najazdu i zawieszenia broni, ale na aktualnej linii frontu, bez wycofania wojsk czeskich. Francja wolała zająć stanowisko arbitra, uchroniła Polskę od dalszego zaboru, chociaż Czesi mogli wtedy łatwo posuwać się dalej łamiąc wszelki opór aż do samego Krakowa, ale raz zajęte tereny już pozostały przy Czechosłowacji. Rozważając obecnie tą sprawę, Agnus nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to była celowa zagrywka dyplomatyczna. Praktycznie wszystkie nowo powstałe państwa tego regionu związane były sojuszami z Francją, a ta wolała mieć indywidualne sojusze z wieloma słabymi partnerami, skłóconymi między sobą, a całkowicie od niej zależnymi. Związane blisko, Polska i Czechosłowacja, byłyby silnym ośrodkiem który stać było na samodzielność. Dlatego jeżeli nie Francja oficjalnie, to tzw. wpływowe koła dyplomatyczne wolały w tym wypadku skorzystać z zasady „dziel i rządź”. W ten sposób wytworzyła się ostra konkurencja między Polską i Czechosłowacją o względy francuskie, nadal podsycana przez dyplomację francuską. W okresie międzywojennym Polska kilkakrotnie podejmowała zabiegi o nawiązanie bliższych stosunków z Czechosłowacją i za każdym razem spotykała się z bardzo zimnym przyjęciem i to nawet mimo, że nie podnosiła żądań rewindykacyjnych, poprzestając na staraniach o opiekę nad mniejszością Polską. (Na podstawie Traktatu Wersalskiego, Czechosłowacja, podobnie zresztą jak i Polska zobowiązane były do cywilizowanego traktowania wszystkich mniejszości.)

Trzeba dodać, że ilekroć w przeszłości podejmowano starania o poprawę stosunków, w prasie czeskiej ukazywały się komentarze, czy też ostrzeżenia, że Polska ma nieuregulowane stosunki z Niemcami i wiązanie się z nią może oznaczać w przyszłości kłopoty, lepiej pozostać przy samym sojuszu z Francją. Cóż, Hitler wolał zacząć od Czechosłowacji mimo, że nie miał z nią żadnych nieuregulowanych stosunków, aż do chwili, kiedy sam się o to postarał. Po prostu to był łatwiejszy kąsek, a o sojuszu z Francją lepiej nie wspominać. Natomiast w tym czasie, w stosunku do Polski miał jeszcze inne zamiary. Sądził, że uda mu się ją pozyskać, a wzmocniony na Czechosłowacji mógłby wtedy od razu utuczyć się Francją, przed upragnionym celem swego życia, „Drang nach Osten”.

Gdyby wtedy Polska i Czechosłowacja były związane bezpośrednim sojuszem, oprócz pośredniego związku przez Francję, to nie byłoby możliwe targowisko w Monachium bez udziału Polski. Otóż o Polsce można powiedzieć wiele dobrych i także złych rzeczy, ale jedno nie ulega kwestii: zawsze dotąd dochowywała wierności sprzymierzeńcom (nawet, jeżeli są ludzie, którzy twierdzą, że na zasadzie „honest John” - jak uczciwy, ale trochę przygłupi Jaś).

Oprócz Francji, Polska i Czechosłowacja miały jeszcze jednego wspólnego sojusznika, Rumunię. Zamiast naturalnego sojuszu z Polską, Czechosłowacja wraz z Rumunią i Jugosławią utworzyły lokalne powiązania, zwane Małą Ententą, ale ta organizacja faktycznie rozpadła się po Anschluss'ie Austrii.

Agnusowi przychodziło też na myśl, że jeżeli nie były to celowe inspiracje z zewnątrz, to może politycy czescy utrzymywali ten niezrozumiały i w konsekwencji zgubny kurs z powodu znanego prawa psychologicznego, tzw. nadkompensacji poczucia winy. Z pewnością, agresja Czechów na Polskę w czasie, gdy wojska bolszewickie zagrażały stolicy i samemu bytowi państwa, nie zrobiła dobrego wrażenia. Opinia publiczna może nie wiele interesowała się peryferyjnymi państwami na marginesie Europy, ale generalnie była przeciw, a nawet w samej Pradze oceny były podzielone. Otóż zazwyczaj, jeżeli komuś wyrządza się krzywdę, to jako nadkompensata powstaje niechęć do pokrzywdzonego. Na zasadzie: ofiara zasługuje na to, co ją spotkało. Owszem, my może postąpiliśmy nie zbyt elegancko, ale oni na to zasłużyli, trzeba było przyłożyć im jeszcze lepiej. Paradoksalne, że zupełnie podobnie reagowali też później niektórzy Polacy, jakby odzyskanie Zaolzia wzmogło ich niechęć do Czechów.

Wszystko to nie tylko bolesne, ale po prostu przynosi wstyd. Cóż, zarówno Polska jak i Czechosłowacja dopiero niedawno odzyskały byt narodowy i po prostu nie miały elit politycznych na odpowiednim poziomie, z tradycją. Choć z drugiej strony, wykształceni dyplomaci z tradycją w innych krajach, nie postąpili lepiej. Gra z Hitlerem obnażyła ich kompletny brak inteligencji.

Od chwili oślepiającego błysku, pierwszej myśli o unii, Angus jak mógł starannie sprawdzał wszystko, co wiedział na ten temat. Jak dotąd, wszystko pasowało do pierwszego natchnienia. Nie znalazł niczego przeciw, choć oczywiście jego wiadomości były powierzchowne i niekompletne. Także i gospodarki oby krajów uzupełniała się wówczas (to dopiero w latach podporządkowania komunizmowi nastąpił przymusowy jednolity rozwój, według tego samego szablonu wyznaczonego przez ZSRR). Przed II Wojną Światową, Czechy były wysoko rozwinięte i miały przemysł na najlepszym poziomie europejskim, Polska zaś stanowić mogła pojemny rynek, właściwie prawie wszystko co sprowadzała z zachodu, mogła otrzymać z południa, płacąc żywnością i surowcami. Oba kraje, mogłyby



bezpiecznie rozwijać się wspólnie, zyskiwały warunki do rozkwitu. Jeżeli występował też element konkurencji, dla polskiego przemysłu i czeskiego rolnictwa, to czy normalna wymiana handlowa też nie powoduje konkurencji? I czy należy zawsze bać się konkurencji, czy nie wnosi ona także korzyści?

Bez żadnych wątpliwości, oto spłynęło na niego natchnienie, objawienie, Enosis, wprost zesłanie Ducha Świętego. Agnus poczuł się prorokiem, głosicielem nowej wiary, jedynej słusznej. Od tej chwili stał się, jak się obecnie mówi, nawiedzony.

Potrzebne było konstruktywne myślenie. Walka jaka dokoła się toczyła, bohaterska, pełna poświęceniem i godna najwyższego szacunku, wspaniała, była jednak działaniem wymuszonym. To Niemcy ją spowodowali, doprowadzając sprawy do ostateczności, do samej krawędzi otchłani. Można było tylko walczyć lub ginąć, dzięki walce kupowało się trochę czasu. On znalazł coś więcej, wielką ideę, dla której warto żyć i umierać. Zaraz, jak to było?

„Ten, kto może ginąć z pełną wiarą, że umiera za ludu swobody, że krwi swojej serdeczną ofiarą. zbawi w więzach jęczące narody, że Ojczyźnie cierpiącej otworzy nowe drogi szczęścia i pokoju...”.

Ponieważ on to pierwszy zobaczył, na nim spoczywa obowiązek.

\* \* \*

Większość ludzi nie ma dobrego zdania o zawodowych politykach. Dla dyplomatów takie sprawy są marginesem, oni są fachowcami od drugorzędnych szczegółów, wiedzą, jak odpowiednio wygłosić jakiś frazes, jaki krawat będzie stosowny i czy lepiej zrobić to przed, czy po koktajlu. Nie mają wizji, z za pojedynczych drzew nie widzą lasu. W razie, gdyby nawet sprawa do nich dotarła, umieściliby ją na liście, traktując rzeczy najważniejsze kolejno za mało istotnymi. To sprawa zbyt poważna, żeby polegać na fachowcach. W gruncie rzeczy, myślał trochę podobnie jak Hitler, który też pogardzał rutyną.

Ta wielka myśl, twórcza idea, przekonanie musi stać się powszechne, trafić do wszystkich, a co najmniej wielu ludzi, być odczute jako ogólna potrzeba. Musi dotrzeć do świadomości Polaków - i oczywiście nie tylko Czechów też. Tak, jak w końcowym okresie rozbicia dzielnicowego, kiedy potrzeba połączenia stała się powszechnym pragnieniem, przeszła do wielu świadomości. Tak, jak potrzeba walki o wolność i niepodległość chociaż przyniosła tyle klęsk w okresie niewoli, przetrwała w świadomości Polaków, choć tylko części. Wystarczyło, żeby doczekać sprzyjających warunków i wtedy ją zrealizować. Najważniejsza jest świadomość. „Nam trzeba wiary, że my zawiśli od własnej woli i ręki...”. „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody...” (oczywiście te zainteresowane).

Tej nocy zrodziła się nowa organizacja, na razie jednoosobowa: „Związek Słowian Zachodnich”, czyli ZSZ. Zarówno nazwa jak i skrót nie brzmiały najgorzej, właściwie można było je uznać za całkiem niezłe. Miała się opierać na systemie trójkowym. Coś w rodzaju łańcuszka Świętego Antoniego, jedyne możliwe porównanie, bo w tych czasach nie interesowały nikogo piramidy finansowe, a o sprzedaży łańcuszkowej, w rodzaju Amway (lub innych instytucji, wciskającej towary za cenę odpowiadającą z grubsza potrójnej wartości i potem rozdzielającą łaskawie jedną trzecią ceny, czyli do połowy zysku wzdłuż łańcuszka) nikt nie słyszał. Wtedy rozpowszechniano tak różne modlitwy, podobno przynoszące łaskę z możliwością cudu. Przekazywanie złudnych nadziei, ale bezinteresowne, bez komercyjnej wulgaryzacji.

Tajny związek oparty na takiej zasadzie, że każdy już uświadomiony, nowy członek miał z kolei wyszukać, przekonać i zwerbować trzech nowych członków, każdy z tych trzech po trzech nowych i tak dalej. Dla lepszej konspiracji, mieli oni znać tylko osobę która ich zwerbowała i tych, których oni z kolei zwerbują, a więc trójki nawet nie miały znać się między sobą. Jedyne pionowy kontakt, kolejne przekazywanie sobie pałeczki. Jednak Angus pragnął zachować stałą więź, oprócz jednorazowej, aby wiedzieć czy wszystko przebiega dobrze, a do tego celu przynajmniej przez pewien czas informacje powinny docierać od łańcuszka. Ponadto warunki głębokiej konspiracji jednocześnie stwarzają łatwe warunki przypadkowego przerwania łączności. Wystarczy, że w łańcuszku powstanie przypadkowo przerwa, a już nie można jej odtworzyć. Dlatego rozważywszy tą sprawę, Angus przewidywał dwa typy członków, coś w rodzaju sympatyków i członków czynnych, rzeczywistych. Ci pierwsi mieli tylko przekazywać idee, lecz miał nadzieję, że część z nawróconych zdecyduje się na stałą współpracę. Otóż mieli on podać swoje nazwiska i adresy do bliżej jeszcze nie określonego, „Tajnego archiwum” organizacji. Po pewnym czasie, ktoś z góry łańcuszka skontaktowałby się z nimi, podając zaproponowane przez nich hasło.

Angus przypuszczał że z pośród tych, którzy przyjmą jego pogląd, tylko niewielka część zechce nawiązać trwałą współpracę, choćby dlatego, że łańcuszek w założeniu miał być powszechny, docierać do wszystkich, a więc również do osób, które już były członkami innych organizacji. Ci sami ludzie nie mogli oczywiście działać aktywnie w różnych organizacjach. Nawet jeżeli te działania dotyczyłyby innej dziedziny i nie były sprzeczne z celami i zadaniami tych innych organizacji, żadna z nich nie akceptowałaby tego.

Nie trzeba wyjaśniać, że Angus nie miał dotąd żadnego doświadczenia konspiracyjnego, a tylko trochę wiadomości teoretycznych, w dodatku bardzo niejasnych, bo

jednak żadne szczegółowe opisy ani podręczniki na ten temat nie były dostępne. No i oczywiście, o wiele za dużo wyobraźni.

Tym nie mniej, część tego pomysłu była wykonalna i nie całkiem pozbawiona sensu. Tylko niepotrzebnie tworzyć chciał taką dziwną hybrydę, łańcuszka oraz wybranej z niego, trwałej organizacji. Zastosowanie zasady łańcuszka, takiego jak szerzył się wtedy po kościołach, w celu świeckim, szerzenia przemyślanych i nieźle uzasadnionych poglądów to jedna sprawa, okazała się oryginalnym i skutecznym pomysłem. Można powiedzieć, że efektywna ponad pierwotne spodziewania.

Natomiast zgłaszanie się ochotników do dalszej współpracy, a już zwłaszcza przekazywanie ich danych personalnych wzdłuż łańcuszka i tworzenie jakiegoś tajemniczego archiwum, było propozycją zupełnie dyletancką i z daleka zalatywało głupotą. Gdyby Angus miał choć trochę do czynienia z konspiracją, musiałby wiedzieć że takich form nie da się łączyć. Zamiast tego istniały dwie możliwości ułożenia spraw: Albo należało oddzielnie potraktować sam łańcuszek i oddzielnie organizować ZSZ, albo też tworzyć organizację o dwóch, lub więcej stopniach wtajemniczenia, jak się to popularnie mówi, o strukturze masońskiej lub mafijnej (niesłusznie, gdyż mafia opiera swoje bezpieczeństwo nie na konspiracji, raczej konspiracja bywa niedoskonała, ale na dyscyplinie i terrorze, oraz, można by powiedzieć, wychowaniu w tradycji).

Struktura i zasady działania takich organizacji będzie wyjaśniona przy końcu książki. Można to porównać do znanych struktur finansowych, w których spółka - matka, kontroluje większą spółkę, ta z kolei np. przedsiębiorstwo akcyjne - i tak dalej, dowolną ilość razy. Teoretycznie, żeby mieć gwarantowaną kontrolę, trzeba w każdym następnym stopniu mieć 51%, ale praktycznie, zwłaszcza przy rozproszeniu posiadaczy, tzw. pakiet kontrolny wynosi poniżej 30%. W ten prosty sposób, posiadacz np. miliona dolarów, może faktycznie kontrolować znacznie większy końcowy kapitał, nawet dziesiątki czy setki milionów. Pieniądz wcale nie ma tej samej wartości, ale wszystko zależy, na jakim stopniu jest umieszczony. Podobnie i wpływ ludzi.

Na podstawie prawa, rejestry spółek i przedsiębiorstw są jawne i ogólnie dostępne dla zainteresowanych, ale często trzeba dobrego prawnika, albo nawet współpracy dobrego prawnika i biegłego księgowego lub fachowca finansowego żeby zorientować się, w czyich rękach jest faktycznie dane przedsiębiorstwo. Ale nawet i to zawodzi przy dużych firmach, które mogą sobie pozwolić na zatrudnienia najwybitniejszych umysłów i najlepszych prawników i finansistów, a ci z kolei wymyślać dalsze komplikacje i możliwości zaciemnienia. Swoisty wyścig, licytacja talentów.

Także tradycyjne organizacje i partie polityczne często miały wewnątrz niejawną strukturę kilkustopniową. Dotyczyło to w pierwszym rządzie partii konserwatywnych i prawicowych. Na przykład ogólnie znane jest, że Endecja, dawniej Liga Polska w pewnych okresach miała strukturę trzy-, a w innych czterostopniową, a może i bardziej skomplikowaną, bo istnieją przypuszczenia, że także najwyższy tradycyjny stopień, tzw. Koło Braterskie miało strukturę złożoną, tylko nie ma informacji na ten temat. Natomiast pozostałe partie, przeważnie miały nieformalne niby-struktury, określane potocznie jako kluby koleśków, sitwa itp. Obecnie coraz częściej odchodzi się od tych struktur i stopni wtajemniczenia dlatego, że w związku z szybszym obiegiem informacji nie sposób utrzymać przez dłuższy czas tajemnicę. Natomiast grupy nieformalne są płynne, szybko zmieniają się w czasie i informacje za tym nie nadążają.

Niestety, Angus nie miał nawet elementarnych wiadomości w tym zakresie. Dlatego ten punkt nie był dobrze obmyślony, z czego nie zdawał sobie sprawy.

Wszystko wydało się obmyślane, ułożone i nawet gdyby najbardziej się starał, obojętne czy poświęciłby jeszcze dzień, tydzień czy rok, nic więcej nie mógł dodać. Następna czynność, to przelać to wszystko na papier. Trzeba napisać płomienną odezwę, wyłożyć jasno i przekonywująco racje, zaproponować program działania. Podobnie jak modlitwy, każdy nowo nawrócony miał przepisać trzy razy i przekazać innym. Tylko, że nie chodziło o klepanie modlitw. to miało być wołanie, które zmobilizuje ludzi i przekona ich, a w odpowiednich okolicznościach popchnie do działania.

Musiał znaleźć potężne słowa, które trafią do wszystkich. Wziąć pod uwagę, że być może, wielu tym którzy będą to czytać i przepisywać, sprawi to trudności. Dla niektórych może to być zbyt ciężka praca, łatwiej byłoby im rąbać drzewo albo nosić wodę. Właśnie, wody tam nie może być, sama krew. Trzeba ograniczyć się do najważniejszego, tylko istotna treść. Mogą nie mieć wiadomości, nie znać historii, nie rozumieć długich rozważań, po prostu stracić cierpliwość. Górna granica to dwie strony papieru kancelaryjnego, na tym musi zmieścić się wszystko, życiowo ważne.

Teraz, zaraz, natychmiast, jeszcze tej nocy, chociaż już się kończyła. Angus naciągnął spodnie i ciepłą kurtkę, siadł do pisania przy jednym ze stolików w małym środkowym pokoju. Drewniane okiennice były zamknięte od środka na cztery masywne stalowe haki, większe i znacznie grubsze od pogrzebacza, wycięte otwory okiennic zasłonięte na stałe. Poza okiennicami, okna od środka zasłaniały jeszcze rolety z czarnego papieru, najmniejszy promyk światła nie mógł przeświecać, obowiązywało zaciemnienie. Tylko w wewnętrznych

drzwiach przeświecały jasne szpary. Angus zachowywał się cicho, aby nie obudzić śpiącej w kuchni matki.

Pisał jak w natchnieniu, to dobry pomysł, żeby robić wszystko na gorąco. Pomiął tło historyczne ograniczając się do najważniejszego: że Polacy i Czesi są jedyną pozostałością licznych ongiś Słowian Zachodnich, którym udało się przeżyć. I że Polska już w chwili swego powstania zaciągnęła poważny dług u swoich pobratymców, przyjęła od nich chrzest i organizację kościelną, która stała się też podstawą państwowej. A także pomoc zbrojną w pierwszych, najtrudniejszych latach, które ledwie zdołała przetrwać, gdyż zaniepokojeni zmianami Niemcy zaatakowali natychmiast.

Potem było różnie, ale pomoc zawsze przynosiła korzyści obu stronom, a tak się jakoś dziwnie zdarzało, że gdy jedno państwo upadało, to wkrótce i drugie wpadało w kłopoty. W końcu obie strony kolejno straciły wolność, a odrodziły się razem. Niestety zaczęły samodzielny byt skłócone i to z wcale nie z życiowego powodu, można było tego uniknąć. Gdyby Polska i Czechosłowacja trzymały się razem w 1938 i 1939 r., to miałyby szansę się obronić, Hitler nie pożarłby ich, może nawet by nie ryzykował. Polska na pewno byłaby lepszym sprzymierzeńcem, choćby dlatego, że nigdy nie zdradziła ani nie opuściła sojusznika. A żołnierze czescy i cała ludność chcieli się bić, wiadomo jak rozpaczali, gdy musieli składać tą doskonałą broń, dzięki której Niemcy stali się dwa razy silniejsi. Przy wspólnej walce, ta broń wzmocniłaby Polaków, wyrównała szanse, to był najdotkliwszy brak polskiego wojska.

I Polacy i Czesi popełniali ciężkie błędy w ostatnim okresie. Nauczeni doświadczeniem, nigdy więcej nie powinni ich powtarzać. Oba Państwa prawie okazały się zdolne do przetrwania, samodzielnego istnienia, ale tylko prawie. Gdyby połączyły siły, zapewniłyby sobie bezpieczną przyszłość. Dobrym wzorem może być Unia Polsko-Litewska, w niej każdy kraj pozostawał równy i samodzielny, tworząc przez setki lat potężne państwo. A na początku, Polska i Liwa stały na skraju przepaści, zagrożone zgubą.

Oba kraje znakomicie się uzupełniają, jeden dość rozległy i z liczną ludnością, drugi mniejszy, ale wyżej rozwinięty. Czechy zyskałyby ogromny teren ekspansji dla swego przemysłu i przedsiębiorczości, a także dostęp do mórz i wraz z tym całego świata. Polska rynek zbytu dla rolnictwa, jej znakomita i tania żywność i znaczne zasoby surowców stanowiłaby dobry fundament rozkwitu całego organizmu.

Resztę miejsca poświęcił Angus na wskazówki działania, wyjaśnienie schematu organizacji i podkreślenie, że jest to system najbezpieczniejszy, idealna konspiracja. Natomiast dla tych, którzy zechcą dać z siebie więcej i być czynni, istnieje możliwość wstąpienia do bardziej aktywnej gałęzi Związku, jeżeli zgłoszą taką chęć i swoje nazwisko

powrotną drogą w tym samym łańcuszku. Dane pozostaną absolutnie bezpieczne, bo tajne archiwum, gdzie będą przechowywane, ulega samorzutnemu zniszczeniu, gdyby niepowołana osoba usiłowała go otworzyć. To oczywiście fantazja, żadne takie archiwum nie istniało, Angus dopiero miał zamiar je utworzyć. Zakończył prośbą o bardzo wyraźne i czytelne przepisywanie tekstu.

To ostatnie odnosiło się także i do niego, więc teraz zaczął przepisywać tekst specjalnie dużymi literami i bardzo wyraźnie. Tu i ówdzie wprowadzał jeszcze poprawki, zwykle odchudzał treść, bo teraz stawało się jasne, że przy dużym i wyraźnym piśmie, w żaden sposób nie zmieści się na dwu arkuszach. Przed zakończeniem musiał przerwać i zatrzeć wszelkie ślady, bo noc się już kończyła, zaczynał dzień i wkrótce wejdą rodzice. Wrócił do łóżka zeszywniały i zziębnięty. Mój Boże, czy to możliwe, że to wszystko trwało tylko jedną noc, przecież przeżył wieki, a postarzał się co najmniej o lata, bez najmniejszej wątpliwości. Tymczasem wszystko jest jak dawniej, budynek, pokój i otoczenie, nawet żyje jeszcze ciągle kotka, która jak co rano miauczy właśnie pod oknem.

\* \* \*

Następnego dnia, ZSZ liczył już dwóch członków. Mateusz uznał wszystkie racje za oczywiste, nie tylko je akceptował, a entuzjazmu miał więcej od samego Angusa. Taki zapal wykazuje tylko ktoś, też od dawna marzący o uczestnictwie w tajnej organizacji, a dotąd zawieszony w próżni. Przepisał trzy razy swoją ulotkę nawet jeszcze, zanim Angus skończył swoje odpisy i kilka dni potem wyruszył w stronę Szewnej, wioząc zwinięte papiery, schowane w rurze roweru. Angus dopiero werbował drugiego kandydata, kiedy Mateusz miał już komplet i ci pierwsi rozpoczęli pozyskiwać następne pokolenie.

Angusowi nie szło tak łatwo. Od początku, już przy werbowaniu Mateusza pojął, że nie może mianować się szefem wymyślonej organizacji, trzeba kogoś bardziej poważnego i wiarygodnego. Zasady konspiracyjne ułatwiały sprawę, przy rozmowach z Mateuszem twierdził, że jest tylko ogniwem w łańcuszku.. Bąknął, że jego zdaniem, ale to w zaufaniu, a zresztą wcale nie jest pewien, idea została przeszczepiona do Polski z Czech. Ale tak czy inaczej, zasługuje na poparcie. Tej linii trzymał się konsekwentnie.

Wprawdzie następny kandydat, kolega z Handlówki, ten właśnie, co tak pięknie grał na pianinie, w kilku rozmowach dyskutował merytorycznie i dał się przekonać, a w ogóle to był spokojny, raczej cichy chłopak o dużej dozie zdrowego rozsądku i właśnie ten rozsądek przeważał, argumenty uznał za trafne. Lecz potem Angus natrafił niespodziewanie na trudności i to właśnie u kolegów, z którymi żył się znacznie bliżej i często przestawał.

Zamiast dyskutować rzeczowo o celach i podstawach, zaczęli wypytywać co to za dziwna organizacja, o której nikt nie słyszał. Odpowiedź, że to właśnie zaleta, rezultat pełnej konspiracji, ich jakoś nie satysfakcjonowała. Agnus chciał dyskutować o istocie zagadnienia i logice, na zasadach zdrowego rozsądku, oni zaś wiedzieć, kto i po co. Podejrzewali że to jakiś niepoważny pomysł i może sam Angus ma w tym udział. To było zbyt bliskie prawdy, żeby nie wywołać pewnego zmieszania. Angus poczuł się przezroczysty. Cóż, nie wystarczy sama decyzja, trzeba jeszcze umieć skłamać. Choć Angus gwałtownie zaprzeczył, jednak nie dość przekonywująco. W końcu znalazł trzeciego kandydata, ale nie z pierwszej ligi i trzecia generacja nie rozwijała się aktywnie.

Jednak wrócił do pełni życia, wchodził w jeden z lepszych okresów. Miał cel i rozpoczął z powodzeniem. Ponadto wielką satysfakcję sprawiało mu możliwość kontynuacji nauki, zdecydowanie lubił lekcje, chociaż żałował, że tym razem pobiera je sam. Ale dzięki temu, miał nadzieję szybciej uzupełnić braki, lukę po której wypełnieniu będzie miał ukończone gimnazjum. Fakt, że tak dużo materiału pamięciowego na raz jeszcze nie próbował opanować, miał na przykład po kilka stron słówek na jedną lekcję i jeszcze do tego całe zwroty, a Jaruga był wymagający, nie tolerował nawet krótkiego wahania. Całe szczęście, że Mateusz korygował kolegę przy recytowaniu wierszy, dzięki temu ta straszna katorga z rozstawianiem akcentów, postrach uczniów, przebiegła prawie bezboleśnie. A przecież, twardsi zawodnicy przed Agnusem wpadali w rozpacz. Język polski, wiersze polskie w porównaniu do łacińskich, to miły odpoczynek. Choć profesor zawsze potrafił znaleźć jakieś usterki, jedni uznawali go za geniusza, inni nazywali piłą. Angus dopiero w przyszłości potrafił go docenić i przychylił się do pierwszego zdania.

O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju...

### **Rozdział XI. Z nowymi siłami.**

1 stycznia 1944, rano. Angus starał się dotrzymać kroku Mateuszowi jadąc na nartach po świeżym, sypkim śniegu. Nie było to łatwe, Mateusz był bardziej wytrzymały i silniejszy, a ponadto miał większy zapas sił. Angus nie tylko był rekonwalescentem, ale miał też za sobą drogę do domu Jarugów, lasem, omijając szosę, to było do czterech km Ale nigdy w życiu nie przyznałby się, że już jest zmęczony, chociaż mimo kilkunastu stopni mrozu, miał całkowicie mokrą bieliznę i wyschnięte usta. Zmieniali się więc kolejno i żartowali, zarówno z kolegi jak i samemu z siebie, a od czasu do czasu liznęli trochę białego puchu, pilnując się jednak nawzajem, żeby żaden go nie jadł. Trudno było utrzymać tempo i Mateusz coraz częściej wychodził na przód jeszcze przed swoją zmianą, przy czym nie omieszkiał sobie pokpiwać ze słabszego.

Angus zdecydowanie odzyskiwał zdrowie i siły, jadł coraz więcej, także jakościowo, chociaż bardzo uważnie się obserwował i przestrzegał lekkiej diety. Musiał być rozsądny, ale też bardzo się śpieszyć, bezwzględnie konieczne było odzyskać siły do wiosny. Żeby tym razem, załapać się do partyzantki, choć tak fatalnie nie powiodło się poprzednio. Ale żaden pech nie trwa wiecznie, jeżeli się dobrze spręży i przyłoży, to najpóźniej do lata będzie gotów i znów sprawny. Teraz lepiej zna swój organizm i potrafi na siebie uważać, jak na cenną maszynę, albo doglądać, jak niezbędne zwierzę gospodarskie.

Ponieważ w zimie nie można pływać, wyciągnął swoje stare narty, trochę za krótkie, ale według ówczesnych norm, obecnie uważano by je za w sam raz. Zjazdy nie wychodziły zbyt dobrze, skoki zupełnie nie, ale spodobały mu się wycieczki, coraz dłuższe wyprawy na przełaj, głównie lasem. Na lekcje też dojeżdżał zwykle przez las, ale na lekcji nie mógł być tak zmęczony, więc dopiero w drodze powrotnej robił dłuższe objazdy. I oczywiście większe wyprawy w dni wolne, nie tylko święta jak dzisiaj, bo przecież lekcje miał tylko trzy razy w tygodniu. Jeżeli nie dało się, to wyruszał sam, ale zdecydowanie wołał z kolegą.

Mateusz nadawał tempo i wręcz kpił sobie z niego. Odpoczyneków nie robili, nie licząc minuty lub paru przy którymś z drzew. Nie była to długa wycieczka, może ze cztery godziny, ale na tyle forsowna, że nie chciał wstępować do domu kolegi, bo po pierwsze gdyby usiadł, to nie był pewien, czy potem wstanie, a jeszcze trzeba by zdejmować i znowu zakładać narty. Mateusz żartował także ze siebie samego, jaki jest głodny i marzył o obiedzie. Zaś Angus, jakoś utrzymał się na nogach aż do powrotu do domu, ale nawet myśleć nie mógł o jedzeniu. Zmienił tylko mokre rzeczy, od spodu własny pot, a z wierzchu od śniegu i zaraz położył się do łóżka, na koce przykrywając jeszcze matki pierzyną. Przez cały czas, mimo kilkunastostopniowego mrozu, było mu gorąco, ale teraz, kiedy poleżał chwilę bez ruchu, trząsał się z zimna i z całych sił zaciskał zęby. Piekło Eskimosów.

Przykrył się wraz z głową, pozostawiając tylko mały jasny tunel dla dostępu powietrza. W ten sposób całkowicie odizolował się od świata, jakby wszedł do ciemnej nory, zupełnie schowany. Ciągle jeszcze widział śnieg, w którym zapadały się narty, czuł nierówności terenu, nawet muskające kurtkę gałęzie, ale stopniowo te wrażenia wygasły się. Dziwne wrażenie, po pewnym czasie migotała tylko iskierka świadomości i wyraźnie odczuwał czy widział, że to tylko drobny punkt ukryty i to zmiennie, wędrujący w ciele. Z miejsca na miejsce, to czuł ją w głowie, to w piersi lub brzuchu, miał wrażenie, że przy pewnym wysiłku i koncentracji, mógłby ją skierować na zewnątrz i wyjść z samego siebie.

Ostatnia myśl była, że ten mały punkt jest może ośrodkiem życia, lub tym, co ludzie nazywają duszą. To koniec i kiedy się obudził, zaczynał się już zmierzch. To znaczy, że jak



na wczesną zimę, nie spał wcale długo i obudził się kompletnie wypoczęty, w każdym razie duchem, bo ciało miał jeszcze sztywne i bolące. Matka nie budziła go wcześniej i dopiero teraz podała obiad, świąteczny i obfity. Ale Angus i tak udusił sobie tylko papkę z kartofli i kapusty i wybrał mały kawałek chudego mięsa. Za to, jak zwykle, obficie popijał dużą ilością kwaśnego mleka, to mu naprawdę służyło.

Po obiedzie miał do nadrobienia zaległości: nanosić wody, wylać pomyje i zwłaszcza narąbać drzewa póki całkiem się nie zciemni. Potem poszedł na partję szachów, a bardziej na pogawędkę do pana Litwiniuka, znajomego listonosza i sąsiada, który mieszkał w tym poprzecznie ustawionym domku z tyłu, po przeciwnej stronie pojedynczego pokoiku, w którym teraz sypiali ojciec z Agnusem. Był on zaangażowanym i nadal silnie przeżywającym stare dzieje zwolennikiem Centrolewu i przeciwnikiem zarówno Sanacji, jak i Piłsudskiego, więc Agnus chciał usłyszeć więcej relacji z tamtej, nieznanej sobie strony.

Agnus nie zdołał wykonać całego programu treningowego, to jednak było mierzenie sił na zamiary. Po pierwsze, nie wszystkie dni były odpowiednie, a po drugie często wynikały różne doraźne konieczności. Ale nawet w tej pozostałej, może połowie planowanego czasu, nie był w stanie wyrobić wszystkiego co ułożył, mimo że starał się ze wszystkich sił, wkładał wszystko co miał w sobie. Pół razy pół, to może 25%, najbardziej optymistycznie do 30% zamierzeń. Jednak coś z tego zostało, nawet jeżeli się nie wzmocnił, ta końska kuracja pozwoliła wrócić mniej więcej do takiego poziomu, na jakim był przed chorobą.

Natomiast niespodziewaną, cenną korzyścią, stała się umiejętność szybkiego odpoczynku przez wyłączenie się. To wciąż niedoceniana prawda, że funkcje ciała sterowane są przez umysł. Wygaszenie świadomości, przejście w pełny relaks może nie wzmacnia bezpośrednio mięśni ani nie usuwa bólu i słabości, jednak szybko regeneruje zdolność do życia. Piętnaście minut, nawet dziesięć lub tylko pięć na pewno nie zastąpią snu, ale mogą dać więcej niż godzina lub dwie normalnego odpoczynku. Angus nauczył się koncentrować na własnych myślach i kolejno je wyłączać, w miarę jak po wygaszeniu jednego ciągu dostrzegał następne, wciąż głębiej i głębiej.

Obserwacja samego siebie i własnej świadomości pozwala stwierdzić, że istnieje nie jeden, ale wiele ośrodków niezależnego myślenia. Zapewne jeden dominujący, ale od czasu do czasu przerywa i wtedy dominujące funkcje przejmuje inny. Ten dominujący nie jest świadomy innych, poszczególne ośrodki mają dostęp do wspólnej pamięci i jakoś komunikują się między sobą. Jednak czasem linie są przeciążone, albo cała pojemność głównego w pełni wykorzystana tak, że nie może odbierać przekazów. Umysł nie jest więc siecią komputerową, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, a raczej przypomina organizację osób o różnych poziomach

kompetencji i możliwościach decyzji, lecz sztywnej hierarchii, na tyle skomplikowaną, że musi poświęcać znaczną część czasu na wewnętrzną komunikację. Organizacja, do której stosują się wszystkie prawa Parkinsona. Logiczne wydaje się przypuszczenie, że np. sen jest okresem, pozwalającym na wypełnienie tych luk, na komunikowanie się poszczególnych ośrodków myśli między sobą i może znalezienia wspólnego mianownika, bo różnią się one między sobą także i poziomem inteligencji.

Nie warto zagłębiać się już zbyt daleko w te przypuszczenia o strukturze ludzkiego mózgu (jak na przykład to, że poszczególne ośrodki nie mają możliwości wykonawczych i nie sterują ciałem, lub tylko niektórymi odruchami, np. reakcjami mimowolnymi, drganiami gałek ocznych itp., nie mogąc powodować skoordynowanej akcji mięśni itd. Znow inne ograniczony lub całkowity brak dostępu do świadomości i zdolności logicznego myślenia, zdolne są tylko do odczuć na infantylnym poziomie). To zajęłoby zbyt wiele czasu, a nie wniosło i tak nic nowego. Więc tylko krótka wzmianka o praktycznej technice, jaką stosował Angus. W rzeczy najważniejszej, nie odbiegała ona zbyt daleko od pierwszego doświadczenia: Koncentracja wewnętrzna i wygaszenie najpierw najgłośniejszej myśli i potem, w miarę ich zauważania, kolejnych poziomów. Nie najważniejsze, ale jednak pomocne było odcięcie się od nowych wrażeń napływających ze zmysłów, a w pierwszym rzędzie zasłonięcie oczu i uszu. Można wprowadzić wyłączyć się całkowicie nawet mimo natłoku docierających wrażeń, ale to znacznie trudniejsze. Właściwie nic nowego, Angus nie raz widywał ludzi, właściwie wyłącznie mężczyzn, śpiących z głową pod poduszką. Ta technika jest więc dobrze znana, jedyną nowością jest to, że nie chodzi o pełne zaśnięcie, wystarczy nawet krótki okres zredukowania aktywności umysłu, odcięcie się od świata zewnętrznego i od przetwarzania napływających danych. Krótko mówiąc, wyłączenie ważniejszych ośrodków myślenia, a może kanałów komunikacyjnych między tymi ośrodkami. Kilka lub kilkanaście minut takiego odpoczynku, nie jest wprawdzie równie cenne jak prawdziwy sen, ale przywraca spokojne i uporządkowane działanie umysłu, pozwalało podjąć aktywność z lepszą wydajnością, niż po dłuższym wypoczynku lub nerwowym śnie.

\* \* \*

Druga połowa marca 1944. Kilka razy już, temperatura podnosiła się i znow opadała, śnieg roztopiał się i roztopy znow przymarzały. Obecnie wielkie kałuże lub błoto pokrywały ziemię, nawet piaszczyste błonia i boki szosy. Dni były dłuższe i jaśniejsze. Angus ze zręcznością, jaką daje długie doświadczenie manewrował wśród kałuż, przeskakując głębsze i starając się obejść największe błoto. Czasem musiał się cofać i szukać innego przejścia, albo balansować na wrzuconych w głębsze baseny kamieniach, kawałkach desek albo cegieł. Tak

trwało do chwili, gdy w butach zaczęła chlupać woda. Gdy jednak nazbierało się jej tyle, że na zasadzie naczyń połączonych poziom już nie wiele się zmieniał, zaprzestał tej ekwilibrystyki, dalej obojętnie maszerując przez wodę i roztopy. Robił to automatycznie, całkowicie pogrążony był w myślach, bo miał większe i poważniejsze problemy.

Od chwili powstania Związek Słowian Zachodnich żył własnym życiem, przypominając kulę śnieżną, staczającą się po pochyłości. Po prostu co pewien czas, z początku co kilka tygodni przybywała podwójna ilość ludzi, a jedyne, co docierało do Angusa, to wiadomość o rozwoju w postaci funkcji wykładniczej. Jedno tylko było niezgodne z założeniem, mianowicie nie było zgłoszeń członków, którzy zdecydowaliby się na przejścia na pełny status, gotowi do podjęcia aktywnej współpracy. W pierwotnych przewidywaniach Angus przypuszczał, że taką chęć może wyrazić co piąty, a więc 20%. Liczył w wariacie optymistycznym do 30%, a w pesymistycznym 10%. Tymczasem za wyjątkiem Mateusza, nie zgłosił się nikt, dosłownie zero. Z początku Angus się specjalnie nie przejmował, tym bardziej że sam nie miał jeszcze konkretnych planów, jaka ma być ta aktywna działalność, ani nie przygotował tego idealnego, super-tajnego i bezpiecznego archiwum. Niech wszyscy mają czas na własną decyzję, gdyż on i tak musi jeszcze dopracować szczegóły. Także i to, że wiadomości o dalszym lawinowym wzroście docierały coraz rzadziej, było do przewidzenia. W końcu, wydłużała się coraz bardziej droga przekazywanych wiadomości, wzdłuż dłuższego łańcuszka, a szybszych ścieżek na razie nie było.

Ostatnio otrzymane wiadomości wskazywały, że wystąpiło zahamowanie rozwoju. Trudności dotyczyły najszybciej rozwijającej się gałęzi Związku, tej wychodzącej od Mateusza, To też nie było niespodzianką, raczej normalne zjawisko przy każdym łańcuszku. W końcu przy lawinowym wzroście, ilość nieobjętych nim ludzi musi się wyczerpać i to nie dopiero po ogarnięciu całej ludności Polski i Czech, ale lokalnie, na danym terenie i to nie po objęciu wszystkich potencjalnych kandydatów, ale tych, którzy się nadają. Łańcuszek, podobnie jak np. roślina, rozrasta się na nowym gruncie i po pewnym czasie ekspansja się kończy, nasiona trafiają na grunt już zajęty, przez inne, lub czasem te same rośliny, lub na grunt jałowy. ZSZ trafiał od początku na grunt bynajmniej nie pusty, ale na którym działają różne inne organizacje. Jeżeli nawet w założeniu ZSZ ma być strukturą otwartą, mając na celu tylko szerzenie jednej konkretnej idei i ogarniać ludzi o różnych poglądach politycznych i zaangażowanych w różnych formach działalności, krótko mówiąc ZSZ nie stawiał dla członków warunku wyłączności, to nie oznacza, że to samo akceptują inne organizacje.

Konkretnie, w tej wsi, do której jeździł Mateusz, mając tam znajomych i krewnych, rozwój początkowo był najszybszy, ale wyczerpał się można powiedzieć, po trzecim

pokoleniu, to znaczy po zwerbowaniu około 40 członków (3+9+27). Dalsi z trudem znajdowali jednego albo w ogóle nikogo, trafiali czasem ponownie na już zwerbowanych, albo spotykali się z odmową, nawet w nieprzyjemnej formie, jeżeli to była już któraś z rzędu negatywna próba. Natomiast przeniesienie werbunku na inny teren, poza lokalną społeczność okazało się nie takie proste i dla wielu nastęczało trudności. W tym okresie inne, początkowo wolno, nawet anemicznie rozwijające się dwa odgałęzienia, nie napotykały na te trudności i powoli nadrabiały utracony dystans.

Ale wystąpiły też inne, znacznie poważniejsze komplikacje. Kilku zwerbowanych członków przekazało, że byli rozpytywani o ZSZ, a niektórzy nawet otrzymali ostrzeżenia. Także Angus spotkał się z czymś podobnym. Pewnego dnia, wróciwszy do domu stwierdził, że nie ma przy sobie dokumentów. Z początku sądził, że niefrasobliwie nie zabrał ich ze sobą, wychodząc z domu, głupia lekkomyślność, mogąca narazić na poważne niebezpieczeństwo. Ale im bardziej przeszukiwał wszystkie możliwe miejsca w domu i swoje rzeczy, tym bardziej nie mógł tych dokumentów znaleźć. Niespodziewanie następnego dnia z rana, znalazł wetkniętą pod drzwi dużą szarą kopertę, w którym znajdował się jego portfel z całym kompletem papierów: była „Kennkarta”, książeczka pracy, dodatkowe zaświadczenie, że jest „kriegswichtig” jako zbieracz odpadków, co w razie kontroli było bardzo mocnym dokumentem i nawet złożony na czworo i wetknięty w to zaświadczenie „góral” (tj. największy znajdujący się wtedy w obiegu banknot 500 zł. który bardzo podnosił powagę takiego zaświadczenia w wypadku łapanek). Właściwie niczego nie brakowało, prócz kilku ręcznie przepisanych kartek „odezwy”, przedstawiającej ideę i cele ZWZ. Tego pisma, które przekazywano łańcuszkiem nowo zwerbowanym członkom.

(Elementarne, drogi Watsonie. Angus w żadnym razie nie powinien był nosić przy sobie tego rodzaju papierów w portfelu, zwłaszcza z osobistymi dokumentami. Była to więcej niż lekkomyślność, karygodne niedbalstwo; usprawiedliwiał je, że zapisane kartki nie wyglądają na ulotkę ani nielegalną gazetkę i nawet w razie przypadkowej kontroli, nie zainteresują żadnego Niemca.)

Niewątpliwie ZSZ znalazło się pod mikroskopem, jednak nic nie wskazywało, żeby to była obserwacja ze strony Niemców. Lecz jak do tego doszło, jak to w ogóle możliwe? W założeniu organizacja została pomyślana jako maksymalnie zakonspirowana, w pełnym tego słowa znaczeniu tajna. Teoretycznie nie istnieje schemat, który zapewniałby większe bezpieczeństwo niż system trójkowy, w którym każda trójka na tym samym szczeblu nie zna się wzajemnie. Raczej można mieć wątpliwości, czy przy tak daleko idącej konspiracji,

łączność organizacja będzie w stanie sprawnie funkcjonować, ale nie przewidywano działań, jedynie utworzenie z wybranych ochotników oddzielnej aktywnej grupy.

Można wyobrazić sobie dwa jeszcze bezpieczniejsze systemy, dwójkowy i łańcuszek pojedynczy. Ten ostatni nie bywa podstawą organizacji, gdyż nie jest zdolny do szerzenia się i nawet prostej reprodukcji, a w przypadku zerwania łączności nie ma szansy jej ponownie nawiązać. Prosty łańcuszek bywa czasem tworzony do wykonania określonych zadań w określonym czasie i o ile zdoła przetrwać, rozwiązywany. Także system dwójkowy, o ile mi wiadomo, nigdy nie stał się podstawą żadnej tajnej organizacji, gdyż praktycznie okazywało się, że nie rozwija się dostatecznie, a przy niewielkich zakłóceniach, wynikających z zagrożeń i ponoszonych ofiar (z którymi każda tajna organizacja musi się przecież liczyć), zwykle też nie wystarcza do prostej reprodukcji. Krótko mówiąc, organizacje oparte na nim nie zdołały samodzielnie przetrwać i działać. Natomiast wiele skutecznych, a nawet mających opinię doskonale i głęboko zakonspirowanych organizacji stosowało, np. struktury piątkowe (w tym dawne polskie niepodległościowe, ale także np. bolszewickie jacejki itp) lub nawet liczniejsze, do dziesiątek, a wyjątkowo nawet dwudziestek.

Angusowi wydawało się więc, że zaprojektował organizację super-tajną, której istnienie w ogóle nie powinno zostać dostrzeżone, będzie rozrastać się pod powierzchnią, nie pozostawiając na niej najmniejszej zmarszczki. Może dopiero po latach, jakiś sędziwy dziadek lub babcia wspomni o tym w opowiadaniach. Tak, ale istnieje ogromny rozstęp między teorią a praktyką, koncepcja może wydawać się bezbłędna i absolutnie pewna („foolproof czy Idiotensicher”), a w konfrontacji z życiem ujawniają się słabe punkty. Zazwyczaj nie sposób było ich przewidzieć, choć z drugiej strony już po fakcie, mogą się wydawać oczywiste. To jest taki sam mechanizm, jak z wynalazkami, zwykle wiele rzeczy wydają się jasne i proste, a okazuje się inaczej. Pozornie logiczne koncepcje trzeba sprawdzać praktycznie. Generalna koncepcja może być całkiem dobra, ale prawie zawsze wynikają różne niespodzianki i trzeba skorygować rzeczy, których nie przewidziano.

Doświadczenia Angus nie miał, swoje wiadomości czerpał z lektury. Jeszcze przed wojną trafił na skrót, właściwie notatki z książki historycznej jakiegoś niemieckiego autora pt. „Tajne związki w Cesarstwie Rosyjskim w XIX wieku”. Czytał ze zrozumiałą ciekawością, choć nie rozumiejąc większej części. Tym razem obmyślał schemat, który wydawał mu się doskonały, ale w tych rozważaniach nie uwzględnił jednego faktu: otóż każdy nowy członek, znany był nie tylko jednej osobie która go zwerbowała i trzem, które sam zwerbował i z którymi wyłącznie miał utrzymywać kontakt, ponadto stawał się znany także osobom które

usiłował zwerbować i odbył rozmowy, a kandydaci z różnych powodów nie zdecydowali się przystąpić do organizacji.

Właściwie Angus także osobiście spotkał się z takimi wypadkami i powinien przewidzieć konsekwencje. Gdy rozpoczął głoszenie swojej ewangelii, zaraz po Mateuszu, zwrócił się do swoich kolegów z Handlówki, w pierwszym rzędzie do tych, z którymi był najbardziej zżyty. Jednak jakoś nie dawali się przekonać i co więcej, zamiast dyskutować o istocie rzeczy, chcieli wiedzieć, co to za dziwna organizacja, o której nikt dotąd nie słyszał. Agnus od pierwszej chwili nie miał zamiaru występować w roli przywódcy. Twierdził, że on jest tylko jednym ogniwem i nic więcej nie wie, a gdyby wiedział, to i tak nie mógłby powiedzieć. Wydaje mu się, ale może to plotka, że ta idea zrodziła się właśnie w Czechach i została przeniesiona do Polski. Zresztą to obojętne, ważna jest logika i racja, wierzy w każde słowo. Prawda aż bije w oczy, ślepy by dostrzegł. Mimo to spotkał się ze sceptycyzmem. I jednocześnie zaskoczyła go sytuacja, gdy kolega z którym odbył rozmowę, przy której nieuniknione przecież było uchylenie rąbka tajemnicy, a który zobowiązał się do dyskrecji, jednak otworzył potem gębę. Kilku dotąd zaufanych kolegów omówiło tą sprawę między sobą, co prawda w najbliższym zaufanym kręgu. W dodatku, doszli do niepokojąco bliskich prawdy wniosków, to znaczy że jest to wymysł Angusa. On oczywiście zaprzeczył, ale zaskoczony zrobił to w sposób niezbyt przekonujący. Głupie uczucie, gdy człowiek przekonany jest, że działa inteligentnie, a nagle okazuje się, że jest całkiem przezroczysty. Już raz był w takiej sytuacji, ale to inna sprawa. W każdym razie nauka, że nie wystarczy zdecydować się na kłamstwo, trzeba to jeszcze umieć zrobić w sposób wiarygodny.

Jednak konieczne jest jeszcze pewne wyjaśnienie. Otóż wszystkie właściwie warunki, życia, ruchu oporu i czynnej walki, całej okupacji, a w ślad za tym i warunki konspiracji zmieniły się diametralnie w roku 1944. W latach 1940-3 niebywały niemiecki terror, powodujący ogromne straty i ofiary, wywołały szok i trzeba przyznać, zastraszenie. Gestapo i inne formacje policyjne okazały się, niestety, śmiertelnie skuteczne, właściwie każda nieostrożność przynosiła śmiertelne skutki. Istniała więc konieczność głębokiej konspiracji. W latach 1940-1 zbrojna walka trwała, lecz stanowiła margines, większość społeczeństwa uważała ją za szaleństwo, w 1942 coraz bardziej przenikało do świadomości publicznej, że to konieczność, w 1943 okazała się jedyną skuteczną formą samoobrony, a w roku 1944 stała się powszechna. W warunkach aktywnej walki konspiracja ogranicza operatywność i vice versa, walcząc, głębokiej konspiracji po prostu nie da się utrzymać. Można powiedzieć, że są dwa okresy: konspiracji, obejmuje przygotowania i to co nazywa się ruchem oporu oraz czynnej walki, gdy sztywny gorset konspiracji przeszkadza i coraz bardziej pęka.

W 1944 Polacy jakby przestali się bać. Na terror niemiecki i rozlew krwi odpowiadano czynnie, stał się więc mniej skuteczny, a także zapanowała atmosfera euforii, przekonania o bliskim zwycięstwie. Gestapo straciło większość szpiegów i informatorów, pozostali byli zastraszeni, zaś nowych kandydatów raczej niewielu. Było już wiadomo, kto kim i jaki jest, znikła wzajemna podejrzliwość, a w ślad za nią ostrożność. Ludzie nie obawiali się mówić. Z jednej strony doprowadziło to do niebywałego rozkwitu dyskusji, z drugiej także sporów i kłótni. Niebywały rozwój, prawie jawnego ożywienia umysłowego z odrzuceniem tajności i ostrożności, graniczył wprost z zanikiem instynktu samozachowawczego.

Nadzwyczajne zjawisko i niepowtarzalne przeżycie. Rok pełnej wolności słowa, dyskusji i życia umysłowego, naturalnie ograniczony do wewnętrznego, polskiego kręgu. Nikt, kto tego nie przeżył i nie zobaczył, nie jest sobie w stanie wyobrazić. Lecz gdyby Niemcy zdołali przetrwać rok 1945, zapłacono by za to ogromną ofiarę krwi. W dużej części i tak ją zapłacono: dekonspiracja, zaniechanie elementarnej ostrożności ułatwiły w przyszłości zadanie wkraczającym siłom sowieckim i ich aparatowi przemocy. NKWD i podporządkowane mu Bezpieczeństwo oraz Informacja zdołały uwięzić i wymordować najcenniejszych ludzi, celnie, bez pudła. Struktury polskiego państwa podziemnego błyskawicznie się załamały, jeżeli trochę ocalało, to dlatego, że zmiana okupacji zawsze powoduje pewien bałagan.

A jednak, mimo tej ceny krwi, wielu ludzi którzy zdołali przeżyć, zachowało w pamięci rok 1944 jako najpiękniejszy okres życia, rok wolności słowa i prasy, życia umysłowego i wymiany myśli, rok wzajemnego zaufania i solidarności mimo sporów wewnętrznych, rok otwartej walki z wiarą w bliskie zwycięstwo. Bez względu na cenę, taki rok warto przeżyć. Coś podobnego, musiało mieć miejsce i dawniej, tylko tak da się zrozumieć te fragmenty -

„O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju... „albo - „Z grobu-ś nieraz wyjrzał w górę, Czując dreszcze zmartwychwstania, Jam wciąż tylko patrzył w chmurę...”

### **Kapsuła: Cechy wrodzone, jeżeli takie istnieją.**

Pierwsza pisana wzmianka o Słowianach, prawdopodobnie tych, którzy pochodzili pierwotnie z dorzecza Wisły i Odry i po dłuższym lub krótszym pobycie w Czechach, ruszyli dalej na południe, brzmi w skrócie tak: „Nie mają ani królów ani książąt, lecz gromadzą się wszyscy i naradzają bez broni, a tylko z kijami tak długo, aż wszyscy się zgodzą. Nie podejmą bitwy, ani najbardziej pilnej decyzji, choćby groziło niebezpieczeństwo, aż się tak nie naradzą, a potem wszyscy trzymają się tego.” Pierwotna demokracja. Wprost

zdumiewające, jak mało w ciągu wieków zmieniły się cechy Polaków. Szkoda tylko, że zaniechano ustalania zdania większości przy pomocy kijów, bo tylko w ten sposób można by osiągnąć wymaganą zgodę. Zbyt daleko idące poszanowanie praw jednostki bez możliwości egzekwowania woli większości doprowadziło do „Liberum Veto” i w konsekwencji tragicznego upadku znaczenia Sejmów. „Jednemu wola a wszystkim niewola”, to sprowadzenie do absurdu idei demokracji.]

O roku 1944 mowa w dalszej części książki, te wzmianki mają na celu tylko wykazanie, że model organizacyjny wymyślony przez Angusa był nie tylko nieżyciowy, czysto książkowy, lecz i niezgodny z duchem czasu. Spóźniony, albo przeciwnie, przedwczesny.

Lecz chociaż Angus znowu minął się z rzeczywistością i nie dostrzegł w porę, co się dzieje, to jednak poczuwał się do odpowiedzialności za tych, których przekonał do swej idei i niechęć naraził na przykrości. Nie mógł pozwolić, by takie podejrzenia spotykały porządnych ludzi, zaś z drugiej strony nie miał pojęcia co zrobić. On sam został już raz fatalnie niezrozumiany, posądzony o napastowanie seksualne, gdy próbował założyć tajną organizację jeszcze w wieku dzieciennym, mimo że wtedy taka interpretacja była czystym absurdem. Wiedział z doświadczenia, że niepodobna bronić się przed plotką, gdy trzeba zachować tajemnicę. Ale wtedy insynuacja dotknęła tylko jego, teraz sprawa była większa. Po wielu rozważaniach doszedł do wniosku, że istnieje tylko jeden sposób: trafić pod egidę jakiejś dużej, uznanej organizacji.

To też nie łatwa sprawa. Nie miało sensu zwracać się do szeregowych członków, musiał dotrzeć do osoby poważnej, mającej wpływ na decyzję. Takie poszukiwanie zaś, zwłaszcza zbyt gorliwe, mogło rzeczywiście wywołać podejrzenia. Jak wiadomo, istniały rzekome organizacje, utworzone, względnie inspirowane po uzyskaniu pakietu kontrolnego (jak to się dziś mówi) przez Gestapo. Przykładem „Miecz i pług”.

W tej chwili właśnie Angus wracał z pierwszego takiego spotkania, które udało mu się uzyskać po rozpaczliwych staraniach, z doktorem Burbą. Antoni Burba był profesorem i przed wojną zajmował się zwłaszcza opieką nad młodzieżą chłopską, uczącą się w gimnazjum i szkołach zawodowych, czyli w drodze do tzw. awansu cywilizacyjnego. Raczej koryfeusz niż czynny działacz ruchu ludowego, okazał się starszym panem, który Angusowi wydał się kostyczny. Angus nie miał pojęcia, że był on inspiratorem i autorytetem dla grupy, wydającej wówczas w Ostrowcu lokalny periodyk młodzieżowy, „O lepsze jutro”. W każdym razie rozmowa nie wypadła obiecująco. Doktor Burba wysłuchał wprawdzie Angusa do końca, ale



ani się nie wypowiedział, ani nie obiecywał pomocy. Nie było również żadnego odzewu w przyszłości.

Zdeprimowany Angus wrócił do domu z lekką gorączką, najwyraźniej przeziębił się. Na razie wysiłek włożony w poszukiwanie dojścia, nie dał rezultatu. Dobrze chociaż, że stan jego zdrowia bardzo się poprawił, ani fatalna pogoda, ani przemoczone nogi jakby się go nie imały, poszedł do łóżka chory, a rano młody organizm był znów jak nowy.

Jednak nadal nic się nie udawało, szło jak z kamienia. Kiedy dalsze dni nie przyniosły postępu, zaczęła go ogarniać rozpacz. Zwijał się jak w ukropie, albo, jak mówiono wtedy, jakby usiłował się sam...z tyłu ugryźć, a wszystko daremnie. A przecież właśnie rok 1943 i jeszcze początek 1944 to okres ożywionego ruchu zjednoczeniowego, mniejsze organizacje dołączały do większych, trwał jakby proces krystalizacji. Nawet Armia Krajowa uformowała się ostatecznie z wielu organizacji wojskowych w tym okresie, poza nią pozostał tylko mały margines, skrajna prawica, z lewicy tylko komuniści.

Angus zakładał, że ZSZ jest neutralne i reprezentuje tylko jedną ideę, lub raczej rozsądną praktyczną drogę, która może być akceptowana przez prawie każdy program, polityczny i także wojskowy, bo odwołuje się po prostu do zdrowego rozsądku. Można więc szukać porozumienia z każdym, oczywiście przy zachowaniu pewnej niezależności, całkowite włączenie się w inne struktury było niemożliwe, bo mogliby tego nie zaakceptować ludzie. W założeniu członkami ZSZ mogły być osoby o różnych przekonaniach, zgodne tylko co do jednego, zasadniczego punktu. Niektórzy byli już zaangażowani w innych organizacjach, zgodzili się z racjonalną myślą, ale włączenie się ZSZ do kogoś mogliby traktować jako podstępłą próbę przeciągnięcia ich na obcą stronę. Najbardziej idealnym partnerem byłaby AK, która też jednoczyła różne orientacje i opcje. To też żałował, że nie może teraz trafić do dawnego Oddziału Dywersyjnego, bo wiedział, że jego przypuszczenia, czy raczej przeczucia były trafne. Ale nie miał pojęcia, gdzie ich szukać, w każdym razie nie na dawnym boisku, ani w okolicy ul. Traugutta. A był blisko, lecz popełniał znów poważny błąd. W ogóle nie pomyślał o zwróceniu się do księdza Rucianego, jakoś zupełnie nie skojarzył.

Natomiast gdy impas trwał, odszukał Stefana, kolegę krótko na kompletach i częściej od szachów, o którym wiedział już, że jest związany z Narodowymi Siłami Zbrojnymi. Angus w ślad za ojcem miał raczej poglądy endeckie, jednak jakoś nie miał przekonania do NSZ. Wątpliwości wynikały z tego powodu, że Informator, którego kilka egzemplarzy czytał, wydał się pismem niepoważnym, nie na poziomie. Przypominało przedwojenne brukowce i kilka razy czytał tam opowiadania, rzekomo z partyzantki, wyglądające na czystą bzdurę, z gatunku tzw. radosnej twórczości. Teraz jednak nie miał wyboru i poprosił o kontakt z kimś o

randze pozwalającej na samodzielna decyzję w sprawach organizacyjnych. Stefan obiecał tym się zająć, na efekt jednak trzeba było odczekać. Po pewnym czasie nadał kontakt i spotkanie odbyło się, przy prawej barierze mostku na dole ul Żeromskiego. O godz. 15.00 należało wrzucić do kanału kawałek drzewa, i gdy inny przechodzień zrobi to samo, zaproponować zakład, na co tamten proponował określoną sumę. Jednak okazało się to niepotrzebne, gdyż ku swojemu zdumieniu Angus zobaczył koło siebie doskonale znanego wysokiego blondyna, ostro grywającego w pokera w piwnicy Szumigajów i równie dobrego w siatkówce, lecz na innym boisku, gdzie zwykle grywała młodzież z kolonii robotniczej. W tych obu konkurencjach Angus go podziwiał, lecz propozycji, włączenia do NSZ (żartował, że nawet skrótu nie trzeba wiele zmieniać) i złożenia wraz ze wszystkimi członkami przysięgi NSZ, nie mógł przyjąć. Poprosił o czas, mówiąc, że musi przekazać propozycję.

A jednak, trafiają się w życiu także szczęśliwe przypadki. Pewnego dnia idąc główną ulicą miasta, koło mostu na Kamiennej, Angus spotkał profesora Niedzielskiego, jeszcze z Handłówki. Bez żadnej racjonalnej przyczyny, odczuł nagle wewnętrzny impuls, przekonanie, że to jest właściwa osoba, do której można się zwrócić. Drugi raz w życiu doświadczył takiego, z braku lepszego określenia nazwijmy to błyskiem podświadomości. Pierwszy raz zdarzyło się to przy boisku siatkówki, w lasku poniżej ulicy Traugutta, ale wtedy nie zdobył się na inicjatywę, milczał. Potem mógł tylko żałować. Znowu, był pewien, że się nie myli, chociaż właściwie nie miał powodu. Przeszedł przez ulicę i uklonił się. Niedzielski przywitał się, najwyraźniej życzliwie.

- Panie profesorze, czy mógłbym zabrać Panu trochę czasu,- zapytał Angus. - Mam sprawę ważną, a trochę nietypową, wyjaśnienie może zająć do pół godziny. - - Dobrze, a co to za sprawa? - - Otóż to, bardzo poufna. Chciałbym prosić, żeby wszystko co powiem zostało między nami. Gdyby okazało się, że temat Pana Profesora nie interesuje, bardzo proszę zapomnieć wszystko i raz na zawsze. - - W takim razie proponuję, żebyśmy poszli do mnie do domu. Poświęcę tyle czasu, ile będzie potrzeba i będziemy mogli porozmawiać spokojnie i prywatnie, - odpowiedział Niedzielski swoim zwyczajem cedząc słowa, nadal przyjaźnie. Od tego momentu, przecucie właściwie zamieniło się w pewność. - Właściwie wszystko na dziś już załatwiłem, reszta może poczekać. - Niedzielski prowadził Angusa dalej w tym kierunku, gdzie na samym początku mieściła się Handłówka, jeszcze w drewnianych barakach Szkoły Zawodowej, a potem dalej wzdłuż tzw. szosy opatowskiej. Mieszkał tam, właściwie już przy końcu miejskiej zabudowy, zajmując małe mieszkanie z wejściem po schodkach w szeregowym budynku z czerwonej cegły. W mieszkaniu zastali żonę profesora, której przedstawił Angusa, co zostało przyjęte z odcieniem lekkiego zdziwienia, jakby tego nie

oczekiwała. Zaraz potem przeprosiła ich, mówiąc że ma jeszcze trochę zajęć w kuchni. Agnus odniósł przelotne wrażenia, jakby zostawienie ich samych było naturalnym odruchem, typowym, gdy mąż kogoś przyprowadzał, to przedstawienie przybysza stanowiło raczej coś nietypowego.

Władysław Niedzielski był, jeżeli nie genialnym, to co najmniej wybitnym przedstawicielem gatunku zdolnych samouków. Pochodząc z biednej rodziny, tylko do szkoły powszechnej uczęszczał z obowiązku. Potem stracił rodziców i od 14 roku życia musiał pracować na swoje utrzymanie. W wieku 18 lat zdecydował się zdobyć wykształcenie, musiał jednak zrobić to od jednego razu, gdyż nie miał ani czasu, ani środków na normalną naukę w gimnazjum. W ciągu jednego roku przygotował się i zdał maturę jako ekstern, niewątpliwie pozostawiając za sobą Martina Eden'a i można tylko żałować, że nie pozostawił żadnej pisanej dokumentacji lub wspomnień z tego okresu. Jeżeli więc Angus był dotąd bardzo dumny ze swoich rezultatów, a zwłaszcza tego, że przerabiał szybciej program i wyprzedzał swoich kolegów, a obecnie świeżo uzupełnił w ciągu nieco ponad czterech miesięcy, łacinę i język polski zmuszając właściwie własnym wysiłkiem do przyśpieszenia tempa najbardziej wymagającego, jak sądził, perfekcjonistę wśród profesorów gimnazjalnych wszystkich czasów, to jednak Niedzielskiemu nie dorastał nawet do pięt.

Jednak albo ten ogromny wysiłek, podjęty w biedzie i przy fatalnym odżywianiu, albo też już wcześniej złe warunki bytowe spowodowały, że Niedzielski zapadł na, jak się wtedy mówiło, suchoty, czyli gruźlicę. Jednak mimo tak ciężkiej choroby, okres studiów był już łatwiejszy, gdyż wyróżniał się w tak wyraźny sposób, że wkrótce otrzymał stypendium, a potem asystenturę na wydziale historii. W chwili wybuchu wojny miał przyjętą pracę doktorską i ustabilizowaną pozycję adiunkta oraz żonę. W 1940 mógł spodziewać się aresztowania, rozsądniej było wynieść się z Krakowa. W 1941 rozpoczął uczyć w Handlówce w wymiarze tylko 16 godzin (od 14 zaczynał się tzw. niepełny etat, dający prawo do legitymacji), gdyż pełnił jeszcze inne obowiązki, o których będzie mowa.

W ciągu minionego roku, Niedzielski wcale się nie zmienił i wyglądał dokładnie tak samo, jak Angus zapamiętał go ze szkoły: dość młody jeszcze, 27 lub może 28 letni mężczyzna, wysoki blondyn o popielatych, niezbyt gęstych włosach. z twarzą bardzo bladą i zapadniętą. To nie oddaje wrażenia, dość powiedzieć, że w Handlówce Niedzielski miał przezwisko „Chrystus w cywilu” i drugie, „trup na urlopie”. Bez najmniejszych wątpliwości, była to najbardziej trupia twarz, jaką Angus widział, bardziej autentyczna, niż w wypadku prawdziwych nieboszczyków. Mówił raczej powoli, cedził słowa i trochę przez nos, ale miał

dar precyzyjnego wysławiania się i trudno byłoby znaleźć kogoś, kto potrafiłby tak dokładnie wyrazić każdą myśl.

Na lekcjach w Handlówce, właściwie nie utrzymywał żadnej dyscypliny w klasie i nawet się o to nie starał, ucząc tylko tych, którzy chcieli się uczyć. Od innych wymagał tylko, żeby zachowywali się tak, aby nie przeszkadzać. W klasie II A, uczył języka polskiego (właściwie tzw. korespondencji handlowej) oraz języka niemieckiego. Właściwie od wypracowania na egzaminie wstępnym, Angus z korespondencji miał bez pytań i dalszego sprawdzania stale piątkę, te lekcje jednak uważał za przydatne, pisanie listów ma swoje własne reguły. Natomiast z drugiego, zupełnie niesłusznie, miał też bez pytań stopień dobry, chociaż nadal i konsekwentnie nie uczył się języka niemieckiego. Tylko mimo woli tkwiło mu w uszach trochę z daremnych wysiłków matki, a ponadto znał słowa i wyrażenia powtarzające się w komunikatach wojennych i komentarzach o sytuacji na frontach. Na uparte go, Angus byłby w stanie wyrecytować taki komunikat ułożony przez siebie, a pasujący do każdej sytuacji, złożony z typowych zwrotów, lecz złośliwie sparafrazowany. Wreszcie, przez tylko jedno półrocze, Niedzielski prowadził lekcje o spółdzielczości, interesujące małą grupkę, w tym Angusa. Obok zasad działania, obejmowały także historię i założenia ruchu spółdzielczego, raczej krótkie wzmianki, budzące chęć na dalsze informacje i zaciekawienie, niż materiał pamięciowy, zresztą Niedzielski nie stawiał żadnych wymagań i właściwie wszystko traktował nieobowiązkowo.

Pani Małgorzata Niedzielska była o parę, chyba ze dwa lata młodsza od męża i ze dwie głowy niższa, bardziej pulchna, ale to w porównaniu, a nie tak w ogóle. Z początku Angus nie wiele ją widywał, a prawie wcale nie słyszał, dopiero później i z zaskoczeniem dostrzegł, że miała też encyklopedyczny umysł i zdecydowane poglądy, chyba bardziej nawet zaangażowane od męża. Wydała mu się trochę podobna do pani Piesewicz, entuzjastka pełna zapалу i poświęcenia. Z tym, że ona ten cały zapas entuzjazmu umieściła w mężu, patrzyła na niego, jak na proroka, bez najmniejszej wątpliwości akceptowała każde słowo, a zapewne wielbiła i czciła myśli. Niedzielski poznał ją, gdy była jeszcze zdolną studentką, a on asystentem. Aż do końca studiów, utrzymywali swój związek w tajemnicy, a zaraz potem pobraли się. Natychmiast zrezygnowała z własnej drogi i całkowicie poświęciła się mężowi, jakby uznając go za bardziej cenną jednostkę. Jeżeli Niedzielski stopniowo wyszedł z ciężkiej choroby i nie tylko przeżył, ale stopniowo zaczął odzyskiwać siły, to bez wątpienia zawdzięczał to jej staraniom i opiece. Zajmowała się nim jak mężem i jednocześnie jak dzieckiem, bo dzieci nie mieli. Uczestniczyła we wszystkim co robił i pomagała mu, w tym wypadku jak córka ważnemu i mądrymu ojcu. To nawet nie robiło wrażenia poświęcenia. ona

po prostu żyła życiem męża, rezygnując z własnego. Czasem mogło się wydawać, że to ma wprost wymiar religijny. Fanatyczny.

Teraz tylko na chwilę wyszła z kuchni, przynosząc dwa gorące kubki, z herbatą i czymś bardziej skomplikowanym dla męża przypominając, że koniecznie musi zaraz wypić coś ciepłego. Potem zniknęła.

Angus wydobyl swoje kartki, które nosił teraz głębiej schowane, już nie w portfelu i podał je Niedzielskiemu. Zaczął skracać argumenty i ideę, ale Niedzielski wolał czytać sam, powiedział, że pismo Angusa nie sprawia mu trudności (fakt, że starał się przepisywać szczególnie wyraźnie, ale i tak po raz pierwszy spotkał się z tak przychylną opinią). Skończywszy. powiedział: - No cóż, czy wie pan, że pomiędzy Beneszem i Sikorskim, została już podpisana umowa o unii? Na razie jest to porozumienie wstępne, po zakończeniu wojny ma zostać przyjęte przez parlamenty obu krajów. Ale raczej można się spodziewać, że zalecenia rządów emigracyjnych i tymczasowych rad, zastępujących chwilowo parlamenty, przejdą bez trudności, po zwycięskiej wojnie zatwierdzenie ich będzie czystą formalnością. Nie można odmówić logiki tym racjom, zbieżnym z pańskimi. - - Nie miałem pojęcia. Ale jeżeli tak, to tym bardziej trzeba się starać, żeby ta idea stała się popularna, powszechna. Nie wystarczy, że zdecydowały już o tym rządy, choćby nie wiem jak zasłużone i popularne, po wojnie mogą się one zmienić, sprawy wewnętrzne przemawiają mocniej do wyborców. Ugruntowana opinia publiczna przesądziłaby sprawę.- Następnie Agnus opowiedział, jak wygląda jego sytuacja i jakie sygnały otrzymał od członków ZSZ. Dodał, że nie ujawniał się nigdy jako założyciel, lecz przedstawiał jako jeden z członków, wykonujący polecenia organizacji. Wymienił kroki, jakie ostatnio podjął. - Niech pan przyjdzie ponownie pojutrze, około godziny 2 po południu. Myślę, że jutro będę mógł porozmawiać w tej sprawie. Nie spodziewam się żadnych problemów - zakończył rozmowę Niedzielski.

Lecz już następnego dnia Angus otrzymał wiadomość od poprzedniego kontaktu, (tzn NSZ), że ani NSZ, ani nikt inny, nie ma zastrzeżeń ani do jego osoby, ani organizacji. Po raz drugi w życiu, powiedziano mu, że został sprawdzony przez wywiad AK i okazał się czysty. Dowiedział się o sobie tego, co i tak wiedział, a za drugim razem nie zrobiło to na nim tak wielkiego wrażenia, jak w zeszłym roku w Michniowie. Był lekko zdziwiony tym, że NSZ powołują się na ustalenia innej organizacji, z którą, jak wiadomo, nie współpracują najlepiej. Przy tej okazji przekazał odpowiedź, że kierownictwo, rozumie się lokalne (bo niewyraźnie wspominał, że ZSZ działa także w Czechach), nie widzi możliwości takiej formy zjednoczenia, jak proponowana. Przekazanie członków do NSZ ze złożeniem przysięgi NSZ, prowadziłoby do rozpadu grupy, bo prawdopodobnie część ludzi poszłaby na to, a część i to

większa nie, a to prowadziłoby do zerwania systemu łączności, przy istniejącym systemie nie byłoby możliwości obejścia powstałych luk. Czyli cała organizacja przestałaby działać i nie istniałaby możliwość jej odbudowania. Może być mowa o współpracy, ale przy zachowaniu samodzielności organizacyjnej, inaczej wszystko na nic. Oczywiście, można mieć nadzieję, że stopniowo współpraca się rozwinie.

Jak już wspomniano, Angus od pierwszej chwili nie miał ochoty na to rozwiązanie, ale nie sprecyzował tego zaraz, gdyż chciał utrzymać wrażenie, że jest tylko posłańcem, przekazującym decyzje wyższego szczebla. Starał się też mieć zmartwioną minę, gdy jego rozmówca wyjaśnił, że z kolei struktura NSZ nie przewiduje możliwości instytucjonalnej współpracy z grupami, które wyznają inne zasady. Natomiast możliwe byłoby nawiązanie luźniejszej współpracy z organizacją o nazwie Młodzież Wielkiej Polski, która jest polityczną przybudówką ONR, Obozu Narodowo - Radykalnego. Najlepiej byłoby, gdyby ktoś z ZSZ mógł przyłączyć się do jednej z grup dyskusyjno-szkoleniowych MWP, to dałoby możliwość zorientowania się w ewentualnych zbieżnościach i lepszemu poinformowaniu swojej strony. Angusowi właściwie przestało zależeć na dalszym kontynuowaniu rozmów, zrobił kolejny unik mówiąc, że przekaże tą ofertę. Z drugiej jednak strony, ta propozycja była do przyjęcia i nawet ciekawa, nie miał bliżej sprecyzowanych poglądów politycznych, ale dotąd zawsze zakładał, że są one narodowe.

Następnego dnia po południu poszedł ponownie do profesora Niedzielskiego. Wiadomość, że działalność ZSZ nie budzi żadnych zastrzeżeń i sprawa została wyjaśniona, nie była niespodzianką, chociaż Niedzielski nie powoływał się na wywiad AK. - Delegatura Powiatowa Rządu Emigracyjnego nie ma żadnych zastrzeżeń do waszej działalności. Jeżeli w warunkach konspiracyjnych dojdzie do nieporozumienia i spotkają was jakieś niesprawiedliwe zarzuty, możecie się zwrócić, najprościej przeze mnie. Oficjalnie tą akcją traktuje się narazie, jako akcję uświadamiającą społecznie, zgodną z polityką Rządu Emigracyjnego To chyba załatwia sprawę, z którą pan się zwracał. Natomiast ze swojej wyłącznej strony chciałbym dodać, że szerzenie idei, przez wypuszczenie łańcuszka informacyjnego jest ciekawym pomysłem i rozszerza się, a więc zdał egzamin praktyczny. Ale podejrzewam, że werbowanie stałych członków nie poszło chyba najlepiej. Zapewne nie miał pan dotąd doświadczenia organizacyjnego i nie przemyślał dobrze tej sprawy. Ja na przykład, miałbym pewne opory, przeczytawszy w jakiejś ulotce, że mogę się zgłosić, a moje nazwisko i dane personalne, zostaną włączone do jakiegoś, tajemniczego czy tajnego archiwum. I to bez względu na wszelkie zapewnienia o 100% zabezpieczeniu. Być może, nie znajdzie pan wielu ochotników, takie rzeczy załatwia się w inny sposób. Teraz trudno to

zmieniać, sugerowałbym, żeby pan skoncentrował się na pierwszym celu, a zrezygnował z myśli o tworzeniu stałej organizacji. - Z drugiej strony, rozumiem pana myśl. Na przykład PPS, zawsze rozróżniało członków - sympatyków i członków rzeczywistych. A tak w ogóle, co pan sądzi o PPS i czy myślał kiedy o przystąpieniu do niej? - Angus właściwie nie zdziwił się, to co usłyszał było jakby dalszym ciągiem czegoś, co wyczuł już wcześniej, ale propozycja zaskakująca. - Ja właściwie mam inne przekonania,- powiedział. - Uważam się przede wszystkim za Polaka i stawiam na wartości narodowe.- Jeżeli zapozna się pan trochę bliżej z najnowszą historią, przekona się pan, że żadna inna partia nie ma tak pięknie zapisanej karty, jeżeli chodzi o walkę o niepodległość i patriotyzm, jak PPS. Może jej działania nie zawsze były dobrze przemyślane, może czasem za wiele wykazały entuzjazmu, a za mało rozsądku, ale na pewno żaden ruch nie może się równać, jeżeli chodzi o ofiarność.- To był bardzo celny argument.

- Właściwie nie wiem tego, widocznie nie jestem dobrze zorientowany. -. - Ale chyba słyszał pan to znane powiedzenie Piłsudskiego, że on wysiadł z PPS na przystanku niepodległość. Tak mogło się stać tylko dlatego, że PPS stawiał na pierwszym miejscu walkę o wolność i niepodległość, a dopiero potem budowa sprawiedliwego systemu już w Wolnej Polsce. Od chwili założenia, z inicjatywy Limanowskiego, który był gorącym patriotą, przyjęto na kongresie w Paryżu taką hierarchię priorytetów. Jednym z argumentów było, że w warunkach niewoli i tak wysiłki budowania sprawiedliwości będą daremne. Można powiedzieć, że istniały dwa obozy i wybrały odmienne drogi: PPS zaangażowała się bez reszty w walkę niepodległościową, natomiast tzw. SDKPiL, Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy zupełnie przeciwnie, przyjęła, że należy dążyć do budowy ustroju socjalistycznego obejmującego inne ludy i kraje, w perspektywie cały świat, a wtedy sprawy narodowości staną się w przyszłości bezprzedmiotowe. Nazwali to internacjonalizmem i walkę o niepodległość uznali za zbędną, a nawet błąd. Rezygnując z tożsamości narodowej, SDKPiL zyskała mało członków wśród Polaków, a jej działacze, raczej zmieniali adres i woleli pracować w innych krajach, na rzecz Rosji lub Niemiec.

**Kapsuła:** Na przykład głośna **Róża Luksemburg**, domagająca się pozostania Wielkopolski i ziem zaboru pruskiego w granicach Niemiec, zdobyła wielkie znaczenie w Spartakusie, zanim została uwięziona i bezlitośnie zamordowana przez członków Freikorpsu. (Chodzi, o najemników rekrutowanych wśród byłych żołnierzy I Wojny Światowej, którzy rozlewali jeszcze przez lata niemiecką krew na niemieckiej ziemi. Jak wspomniano, Hitler zaczynał karierę jako agent, propagandowy lub reklamowy, jednego z Freikorps'ów. Koniec kapsuły.]

Mój Boże,- pomyślał sobie Angus,- jeżeli tak, to biedak Grabkowski popełnił błąd w założeniu, pakując się w sytuację bez wyjścia. Nie uda się walka o wolność z komunistami i to wzorem Piłsudskiego. Bo przecież komuniści są spadkobiercami SDKPiL, to niedokładne sformułowanie, są linią rozwojową, te same idee i ludzie, nie licząc wymiany pokoleń z powodu wieku i także/zwłaszcza, wzajemnego wymordowania się.- Lecz ta myśl tylko mignęła, gdyż w tej chwili Niedzielski wyciągnął przygotowaną specjalnie niespodziankę. - Mam tu coś, co chyba pana zainteresuje. To jest pismo „Polska i Europa Środkowa”, wychodzi obecnie jako dwutygodnik i jest wydawane przez Delegaturę Rządu Emigracyjnego w Warszawie. Nakład niewielki i pismo dość rzadkie, ale wydane reprezentacyjnie. Poświęcone jest przyszłej Unii Czesko-Polskiej i nie tylko, bo możliwe jest, że stanie się ona fundamentem, do którego przyłączą się jeszcze inne małe państwa i narody. Oczywiście, mogą tu wystąpić duże trudności. Na przykład Słowacy bardzo popierają myśl o unii z Polską i wywarli nacisk na Czechów, ich głosy wpłynęły na zawarcie umowy Benesz - Sikorski. Ale z drugiej strony istnieje zadawniony antagonizm między Słowakami i Węgrami, którzy byli i są tradycyjnie naszymi przyjaciółmi i których chętnie widzielibyśmy jak przyszłych partnerów. Proponuję, żeby pan to sobie poczytał.- Angus nawet nie wspomniał o tym, że jego prywatna wizja z tej pamiętnej nocy, kiedy postanowił tworzyć ZSZ, była dokładnie taka sama: silnego państwa unijnego, wzorowanego na konstrukcji Jagiellonów, w którym różne narody mogłyby bezpiecznie żyć razem i rozwijać się, zachowując swoją identyczność. Mógł tylko cieszyć się, że ta idea znalazła się w lepszych i bardziej kompetentnych rękach. W końcu on był nikim i dlatego szukał anonimowości, a teraz okazało się, że to samo firmują wielkie imiona. Tym bardziej, należało nadal popierać dobrą sprawę. Z wielkim zainteresowaniem i wdzięcznością pożyczył gazetkę i przy okazji kilka innych, do szybkiego zwrotu.

W ten sposób zaczął się jego bliższy kontakt z prasą podziemną o szerszym zasięgu. Niedzielski, po przyjeździe do Ostrowca oprócz swych funkcji w PPS, gdzie związany był blisko z tzw. grupą Żuławskiego (mówioni też intelektualistów), został zastępcą Delegata Rządu na powiat opatowski z ramienia PPS. Delegatem był przedstawiciel Stronnictwa Ludowego. Często w Galicji przetrwały tradycje Centrolewu, tam gdzie pierwsze skrzypce należały do ludowców, zastępcą był socjalista, a gdy Delegatem socjalista, zastępcą ludowiec. W zasadzie cywilne struktury Państwa podziemnego były całkowicie oddzielone od struktur wojskowych i nie powinny mieć żadnej styczności, chociaż to oczywiście nie zawsze udawało się utrzymać. Na przykład, Komenda Obwodu Opatowsko-Ostrowieckiego przez cały czas funkcjonowała wyłącznie w Ostrowcu Świętokrzyskim, zaś Delegatura Rządu na powiat



opatowski podzielona, częściowo w Opatowie, a częściowo w Ostrowcu. Wymagane było, aby nikt z pionu cywilnego nie kontaktował się z pionem wojskowym i vice versa inaczej niż przez specjalną zakonspirowaną linię. To oczywiście było docelowe idealne rozwiązanie i zdarzały się odstępstwa, ale w zasadzie nikt z Delegatury nie powinien znać nikogo z Komendy Obwodu i odwrotnie. Niedzielski, gdy przez pewien czas jako zastępca pełnił funkcje szefa Delgatury, pedantycznie przestrzegał tej zasady. Jednak ta funkcja nie bardzo mu leżała, po pewnym czasie rozpoczął gromadzić ważniejsze źródła i przygotowywać się do napisania historii podziemia i walki wyzwolenczej, zwłaszcza strony politycznej, pod okupacją. To był oczywiście rozległy i pasjonujący temat, nie miał nadziei, że zdoła go wyczerpać, ale wciągało go to i absorbowало. Tym bardziej, że Niedzielski miał przygotowanie fachowe i dostęp do źródeł, który stał się jeszcze obfitszy, gdy się o to oficjalnie poprosił. W pierwszym rządzie poruszył wszystkie sprężyny, żeby sprowadzić jak najwięcej prasy, czytał i segregował pozycje, kierując część do specjalnego archiwum, a niektóre przechowywał w podręcznym. Stopniowo wycofał się z większości funkcji w Delegaturze, pozostał formalnie dlatego, że za jej pośrednictwem otrzymywał prasę podziemną. Dość powiedzieć, że w 1944 r na ziemiach polskich wychodziło ogółem około 700 tytułów, z czego 550 mniej więcej regularnie. Z tego do Niedzielskiego trafiło w sumie może do 350, ważniejsze dość regularnie, inne od przypadku do przypadku. Trafiły nawet tak unikalne i sprowadzane z nieprawdopodobnym wysiłkiem, jak „Gryf Pomorski” i „Słowo” wileńskie. Były też druki wydane w ZSRR, a zrucane następnie na ziemiach polskich z fałszywą datą i miejscem wydania. Co do pozostałej reszty czasopism, częściowo można było się zorientować w treści na podstawie wzmianek w innych, otrzymanych.

Dla Angusa zaczął się niezwykle okres, mógł czytać wszystko, pożyczał całe kilogramy konspiracyjnych pism, przeciętnie dwa razy w tygodniu, czasem trzy lub więcej. Dla chłopaka, który od najwcześniejszego dzieciństwa wychował się w świecie słowa pisanego i ten świat traktował bardziej realnie od rzeczywistego, a następnie przez lata cierpiał głód lektury, to było objawienie. Pakiety druków, podzielone na niezbyt duże płaskie paczki przynosił, przymocowane do ciała pod ubraniem tak, żeby były pewnie i bezpiecznie ukryte, wybierając najspokojniejsze, odludne trasy i czas dnia. Korzystał z okazji, ale i sam starał się być pomocny, zdarzało się, że dostarczał prasę dla Niedzielskiego albo pomagał ją przynosić. Jak zwykle, nieźle orientował się w zdarzeniach i szczegółach, z reguły mógł wskazać miejsce, gdzie znajdowała się przeczytana wiadomość.

Angus odwiedzał Niedzielskiego kilka razy w tygodniu i wiele czasu spędzali na dyskusjach. Niedzielski miał niezwykle dar rozmowy, traktując rozmówcę jak równego sobie.

Angus już raz miał styczność z wybitnym umysłem, pierwszym nauczycielem matematyki. Ale wtedy spotykał się z podkreślaniem swojej wyższości, akcentowaniem jej, do czego przywykł i po pewnym czasie nic sobie z tego nie robił. Tutaj czuł się zaszczycony, przez cały czas. Niedzielski mówił dość wolno i bardzo z sensem, bez zbędnego zdania czy nawet słowa, trzeba było cały czas uważać, żeby nadążyć za myślą, gdyż nie powtarzał się, jak wielu czyni dla podkreślenia ważnego wątku. Horyzont myślowy miał nadzwyczaj szeroki wraz z encyklopedyczną wiedzą, nie tylko obejmującą znajomość zdarzeń i faktów, ale także ich wzajemnych powiązań, można by prawie sądzić, aż do prehistorii. Agnus uważał - i takie zdanie wyrażali inni, że sam jest odczytany, lecz tutaj spotkał kogoś, kto dysponował wielokrotnie większą pojemnością i w dodatku nie były to przypadkowo nagromadzone strzępy informacji, ale uporządkowane zbiory. Krótko mówiąc, Angus znalazł nowego guru, i to większego formatu. Autentyczny wielki umysł, którego pracę mógł obserwować, sprawną i spokojną, a który mimo to przyznawał mu równe prawo do myślenia.

Jeszcze jedna rzecz: chociaż nigdy nie było w ogóle mowy o koniecznej ostrożności i konspiracji, Angus tym razem sam z siebie wypełnił wszelkie normy. Nigdy nie dał najmniejszego powodu do przypuszczeń, nawet rodziców, zachowywał się w sposób kompletnie naturalny wobec kolegów. Właściwie, mógłby wciągnąć w sprawę Mateusza i znaleźć dla niego jakiś udział, to był chłopak całkowicie pewny i spragniony działalności. Ale nie pisał słowa w i jego sprawie, może dlatego, że Mateusz nadal miał szlaban na chodzenie do miast, podczas gdy Angus od czasu powrotu do domu z pierwszej próby dostania się do partyzantki miał pełną swobodę ruchów i właściwie robił co chciał.

Zdarzył się tylko jeden wypadek, kiedy naruszył zasady konspiracji, zachowywaną nawet przed najbliższą rodziną. Było to dwudziestego któregoś maja, kiedy, z małym opóźnieniem, pojawiły się pierwsze wiadomości o zwycięstwie polskim pod Monte Cassino. W przyszłości wiele mówiono o tej bitwie, padały także zarzuty o niepotrzebnie i zbyt pochopnie przelanej krwi. Jak wiadomo, dyskusja na ten temat i tak doprowadziła do wniosku, że zarzuty te są absolutnie niesłuszne i bzdurne, a celowali w nich komuniści. Ale autor chce dodać jedno: dla Polaków w kraju, ta wiadomość o zwycięstwie było jak woda dla konających z pragnienia.

Można czcić pamięć tamtych poległych, ale trzeba też wziąć pod uwagę, że tysiąc, dwa, a czasem trzy i więcej ludzi ginęło lub umierało codziennie w okupowanej Polsce. Bez chwały, często bezimiennie, bez najmniejszej wiadomości, nawet najbliżsi nie znali ich losu. Ci zaś, którym tymczasem udało się przeżyć, bardzo potrzebowali takich wiadomości, które podniosłyby ich na duchu i pozwoliły żyć z nadzieją, bądź tylko łatwiej umierać. Trudno po

prostu opisać euforię, jaką odczuwał sam Angus i wielu innych ludzi, z którymi rozmawiał. Oczywiście, to nie dotyczy wszystkich, byli tacy, którzy nie wiedzieli dokładnie, co i gdzie się stało, a bieżące troski przesłaniały im perspektywę.

Nie jest też prawdą tendencyjne twierdzenie z okresu okupacji sowieckiej, że zwycięstwo zastało przereklamowane. W końcu, była to piąta kolejna próba zdobycia Monte Cassino, przedtem próbowali tego Kanadyjczycy i Amerykanie, Francuska Legia cudzoziemska wraz ze strzelcami marokańskimi, wreszcie oddziały Gurków, urodzonych, naturalnych żołnierzy i można powiedzieć, śmietanka piechoty angielskiej. Po przeciwnej stronie, pozycję zajmowali Fallschirmjaegers, też elita, najlepsi żołnierze armii niemieckiej. Pierwsza dywizja skoczków spadochronowych miała wprawdzie za sobą dni największej sławy, która zaczęły się od zajęcia przez zaledwie 160 żołnierzy legendarnej mającej opinię niezdobytej twierdzy, Fort Emmanuel i wzięło do niewoli 4 000 załogi a skończyły zdobyciem Krety. Potem, Niemcy utracili przewagę powietrzną i nie były w stanie wykorzystywać dywizji spadochronowej zgodnie z przeznaczeniem, stosowały więc ją po prostu, jako elitarną piechotę. Między innymi, jeszcze w Afryce użyty w krytycznej sytuacji oddział, uchronił samego Rommel'a od niewoli i odwrócił rezultat jednej z bitew. To też gazety niemieckie wprost zachłystywały się opisami ich obecnych sukcesów, tym bardziej, że żadnych innych obecnie Niemcy nie odnosili.

Wiele armii, a już szczególnie niemiecka oparte były na zasadzie żelaznej dyscypliny, wpajanej uprzednio żołnierzom przemocą na drodze wprost zwierzęcych metod tresury. Ale nawet tam istniały wyjątki, dotyczyły one wyborowych jednostek, jak spadochroniarze. Generał Student, który sformował tę dywizję, oparł ją na zupełnie nowych zasadach. Stosunki między żołnierzami i oficerami, a także między oficerami a nim samym opierały się nie na tresurze i ślepej dyscyplinie, ale na prawdziwym koleżeństwie, uznaniu i zaufaniu nie dla funkcji, ale dla najlepszych kompetencji. Wprawdzie spadochroniarze nie zwracali się do oficera per „kolego”, jak na przykład u Ponurego i w innych oddziałach, które Angus następnie widział, ale stosunki można by śmiało porównać do tych, jakie przyjęte były w polskich oddziałach partyzanckich. Jak już wzmiankowano, Ponury od pierwszej chwili akceptował też zasadę wyboru dowódcy przez żołnierzy, którzy chcą za nim iść. Może to był tylko taki chwyt psychologiczny, ale później, w ich oczach zdał egzamin i udowodnił, że przewyższa wszystkich i od tej pory nie potrzebował zajmować się żadną dyscypliną, na jedne jego skinienie, każdy bez słowa gotów był iść na pewną śmierć (to powiedziane z pewną przesadą, nie ma czegoś takiego, chodzi o duże prawdopodobieństwo śmierci, przy małych szansach przeżycia).

Także niektóre inne jednostki niemieckie, na przykład załogi okrętów podwodnych, zwolnione były z bezsensownej dyscypliny, ale dopiero po osiągnięciu odpowiedniego statusu; w okresie szkolenia przechodzili zwierzęcą tresurę.

Wojska polskie dawnej Rzeczypospolitej (państwa Unijnego), a zwłaszcza elitarne jednostki ciężkiej jazdy, ale w ślad za tym także część lekkiej jazdy oparta była na zasadzie równości, z tym, że pełnoprawnych żołnierzy nazywano nie kolegami, a towarzyszami. Dowódcą zostawał najbardziej kompetentny w ten sposób, że towarzysze wybierali dowódcę, nie głosując, a zaciągając się do tego z nich, do którego mieli zaufanie. Ta sama zasada obowiązywała od wieków i także do dzisiaj wśród tzw. najemników, a między innymi wspomnianych Lisowczyków, najskuteczniejszych w swoim czasie. Jednym słowem, dyscyplina i karność daje dobrze wyszkolonych żołnierzy, u których posłuszeństwo ma zastąpić wewnętrzną motywację, lecz w wypadku tych najlepszych, wyjątkowych, liczy się wewnętrzna motywacja, tego nie jest w stanie zastąpić żadna wpojona namiastka. A więc najlepszym dowodem, jak wartościowa i elitarna była niemiecka dywizja spadochronowa może być fakt, że bez bezmyślnej, nieludzkiej tresury i dyscypliny na pokaz, polegała na motywacji wewnętrznej, koleżeństwie i zaufaniu. To pech dla wojsk sojuszniczych szturmujących od ponad pół roku Monte Cassino, że mieli przeciw sobie akurat najwartościowsze siły niemieckie. Pech również i dla Polaków. Ale oni też byli wyjątkami. Nawet jeżeli nie aż tak świetnymi żołnierzami, to motywacją na pewno wszystkich przewyższali. No, może to było różnie, bo ludzie są różni i ich motywy też, ale dla większości, to była kolejno: klęska, rozpacz, długa droga przez pół świata, trudy, wysiłki i cierpienia, wszystko po to żeby się bić i wrócić do swojego kraju. I oto wreszcie doszli i mieli przed sobą wroga, który ich pobił, zabrał ich kraj i zagraża drogę. Po latach jeszcze jedna szansa. Jeżeli nawet nie zdołają dojść do kraju, to przynajmniej zdołali dojść do Niemców, dorwać ich, stanąć jeszcze raz oko w oko. Może i Niemcy górowali wyszkoleniem i doświadczeniem, tak jak pozycją, może mieli mniejsze straty, ale to się nie liczyło, była to gra na całkowite wybicie figur i pionków, z biegiem czasu szanse i straty się wyrównywały. To też już pierwsze polskie uderzenie doszło tak wysoko w góry, jak żadne dotąd, a drugie zdobyło wiele średnich szczytów, chociaż Niemcy zdołali utrzymać te najwyższe i potem odzyskać teren. Wreszcie trzecie niewątpliwie doszłoby do najwyższych, ale trafiło w pustkę, Niemcy się wycofali. Z pewnością to mądra decyzja, możliwości obronne pozycji i tak się wyczerpały, a oni akurat nie mieli aż tak silnego powodu, żeby zginąć tutaj na miejscu wraz z nacierającym nieprzyjacielem, od którego szczone w walce oddziały nie mogłyby się oderwać. Wycofali się sami, gdy już zwyciężyć nie mogli, lecz jedynie ginąć zabijając

również i Polaków. Prawdą więc było to, co trąbiła niemiecka propaganda: wojska niemieckie pod Monte Cassino nie zostały pobite, ale wycofały się planowo przed natarciem, które trafiło w próżnię. Ale prawdą też jest, że nastąpiło to po wstrząsie, jaki sprawiły dwa poprzednie polskie natarcia i w chwili, gdy szansa na odparcie trzeciego już nie było.

A więc bynajmniej nie umniejsza to polskiego zwycięstwa ani tym bardziej i tego, że dla ludności kraju zwycięstwo to miało ogromne znaczenie i było bardzo potrzebne. Wielki czas, żeby Polacy znów mogli o takim słyszeć i mówić.

Ta wiadomość napełniła Angusa takim entuzjazmem, że po raz pierwszy i jedyny zapomniał o zasadach. Odłączył od pliku czasopism Biuletyn Informacyjny i kilka gazetek warszawskich i dał rodzicom. Ojciec, który podobnie jak Angus czytał prędko, wyszedł żeby przetrwać to w samotności. Z kolei matka włożyła okulary i zagłębiła się w lekturę. Był późny wieczór, w sklepie i w domu zamknięto okiennice i drzwi, zapadł zmierzch, cisza i spokój. Nagle rozległo się łomotanie do bocznych drzwi, koło kuchni. Matka, sądząc że to zapóźniony klient, pyta, o co chodzi. Usłyszała: „Feldgendarmerie! Aufmachen, schnell!!!” Deja vu. Dla matki to powtórzenie zdarzenia, które zakończyło się obozem koncentracyjnym. Tylko tym razem, jeżeli Niemcy znajdą gazetki, to zguba całej rodziny. Z obozu nie wyjdą.

W piecu było jeszcze trochę żaru po kolacji, więc nie zważając na łomotanie, matka wepchnęła te gazetki i poruszyła, aż zajęły się płomieniem, następnie postawiła czajnik i dopiero otworzyła drzwi. Na szczęście, jej dobra niemczyzna pozwoliła załagodzić sprawę, wyjaśniła, że już kładła się spać i musiała się ogarnąć. Żandarmi dali się przekonać ale ostrzegli, że czarne rolety na oknach nie są dobrze zaciągnięte i że gdyby to był inny patrol a nie oni, to mógłby po prostu strzelić w miejsce, skąd przebija światło. Matka podziękowała im za troskę i swoją wdzięczność wyraziła butelką, nie bimbru, lecz monopolowej wódki, nie całkiem autentycznej, mimo że zapieczętowanej.

Matka nie miała oczywiście pojęcia, że w łóżku Angusa ukryty był co najmniej dwudziestokrotnie większy ładunek bibuły. Tym razem Angus nie był w stanie zwrócić całego otrzymanego pakietu. Myślał, jak pominąć to zdarzenie, w końcu jednak przyznał, że nie może zwrócić wszystkiego, kilka pism uległo zniszczeniu. Na szczęście, Biuletyn Informacyjny i kilka centralnych wydawnictw można było łatwo zastąpić. Żaden rzadki, trudno dostępny egzemplarz nie przepadł. Angus zamiast reprimendy, usłyszał pocieszenie, żeby się aż tak bardzo nie przejmował, szkoda czasu, gdy jest tak dużo do omówienia.

Nawet przed wojną nie było tak wspaniałego ruchu intelektualnego, rozkwitu wszelkich wydawnictw, dyskusji, sporów, fermentu umysłowego i zainteresowania wszystkim, co działo się w kraju i na świecie; nie tylko sprawy wojny, ale szerokie spektrum,

od wartości religijnych i moralności, aż do filozofii, wizji przyszłości i tematów popularno naukowych. Na przykład to samo czasopismo, oczywiście po wiadomościach z frontów i walk w kraju, opisywało, że już od ponad roku jedna z radiostacji w USA zasilana jest eksperymentalnie energią atomową (dla Angusa sensacja, gdyż z dotychczasowych informacji wnioskował że taka możliwość należy do odległej przyszłości, podobnie jak bomba atomowa może stać się rzeczywistością dopiero za dziesięciolecie). Jednocześnie, na dalszych stronach rozważano kwestię sprawiedliwości w Wolnej Polsce w związku z podjęciem przez Rząd Emigracyjny i Radę Jedności Narodowej uchwały, z mocą obowiązującą natychmiast, a nie dopiero po zatwierdzeniu przez przyszły Sejm, o reformie rolnej przy godziwym, ale tylko częściowym odszkodowaniu dla aktualnych właścicieli. Takich przykładów można by podać wiele.

W tym samym okresie czasu Angus kilkakrotnie odwiedzał spotkania jednego, a okazyjnie parę razy drugiego z kół Młodzieży Wielkiej Polski. Wybrał kółka, prowadzone przez znajomych i kolegów, poleconych od Stefana. Zwykle takie zajęcia trwały dwie do trzech godzin, obejmując referat przygotowany przez prelegenta, którego wprowadzał prowadzący kółko i następnie dyskusji. W porównaniu do rozmów i dyskusji z Niedzielskim, różnica poziomu tak duża, że aż żenująca. Zaczęło się od ogólnych wiadomości o Lidze Polskiej, później przemianowanej na Narodową Demokrację (endecję), o roli Jeża i wybitnego przywódcy Romana Dmowskiego, wraz z nie dopowiedzianą, ale wyraźną sugestią, że właśnie Dmowski, rozczarowany brakiem energii i siły przebiccia swoich dotychczasowych zwolenników, postawił na świeżą, młodą krew. Wynikało z tego, że stara Endecja zesła na psy, a przyszłość należeć powinna do ONR. Bzdury.

**Kapsuła: Zadziwiająca zgodność stanowisk ekstremistów w sprawie przyszłych granic. Walki bratobójcze ekstremistów ze skrajnej prawicy i lewicy, w tym także dotyczące Żydów, lub z ich udziałem.**

Zdarzały się jednak tematy całkiem nowe, z którymi dotąd Angus się nie zetknął. Jest faktem, że to ONR pierwszy nagłośnił sprawę dalekiego przesunięcia granic na zachód, odzyskania tzw. historycznych ziem piastowskich. W tym czasie, Polski Rząd Emigracyjny nie wysuwał w sprawie Niemiec tak dużych żądań terytorialnych. Owszem, bezprzykładna napaść i wojna z pominięciem wszelkich cywilizowanych norm i praw, powinna spowodować pewne przesunięcia granic, ale nie miały one stanowić kary, raczej chodziło o naprawienie punktów, gdzie uprzednio Polska została pokrzywdzona, względnie gdzie istniejące granice musiałyby wcześniej lub później powodować konflikty. Tak więc Rząd Emigracyjny w przyszłym traktacie pokojowym planował wystąpić z żądaniem Prus Wschodnich nie tylko

dlatego, że nadal miały one dużą ilość ludności mazurskiej, a do 17 wieku należały do Polski i w czasie niewoli działały tam liczne polskie organizacje, mimo prześladowań wychodziły mazurskie pisma po polsku, zachowała się mowa, nie tylko na wsi, ale i wielu większych miastach, na przykład Olsztynie, ale głównie dlatego, że sprawa tzw. korytarza i Prus Wschodnich została wykorzystana jako pretekst do napaści.

Ponadto Polska chciała odzyskać Śląsk Opolski i część Górnego Śląska, które w wyniku plebiscytu przypadły Niemcom, chociaż powstania śląskie wskazywały na etniczną większość polską. Niepomyślny wynik referendum z jednej strony wynikał z tego, że przeprowadzone było ono w niedogodnym terminie, gdy Polska wydawała się pobita w wojnie z Rosją i przegrywała, wyglądało, że w kilka miesięcy zostanie cała zajęta. Przez granicę Prus Wschodnich widać było Armię Czerwoną, dymy palonych wsi i zniszczenia.. Teraz ponownie miały zostać postawione sprawy ziem, mających większość polską albo liczną mniejszość, do niedawna większością, zmieniającą w wyniku przymusu i prześladowań. Oprócz wymienionych, dotyczyło to jeszcze ziemi Bytowskiej oraz skrawków na granicy z Wielkopolską, gdzie granice ustalono na linii frontu, pozostawiając za nią tereny z polską większością i Pomorza, gdzie Kaszubi mieszkali zwracając mniej więcej do Lęborka, a dalej pomieszani z pokrewnymi Słowińcami.

Natomiast ONR i NSZ, wysuwały głośno i konsekwentnie maksymalistyczne żądania, program powrotu na historyczne polskie ziemie, tzw. piastowskie. Do granic Mieszka I i Bolesława Chrobrego, tyle, że bez Miśni i Łużyc, ale i tam żądali prawa samorządu dla resztek dawnej ludności słowiańskiej, Sorbów i Łużyczan, gwarantowanej przez specjalną opiekę międzynarodową z udziałem Polski.

Był to chwyt obliczony na szybkie pozyskanie sympatii społecznej i wpływów politycznych, przejęty i podpatrzony z faszyzmu: przelicytowanie innych partii w domaganiu się wielkiego łupu, udziału w rabunku, możliwości wzbogacenia się. Przejęcie Ziemi Zachodnich w tym zakresie, lub jeszcze dalej, miało od razu rozwiązać wszystkie problemy gospodarcze i ekonomiczne, zapewnić domy i warsztaty dla zubożałej ludności, umożliwić znalezienie własnej drogi i kariery dla młodych, wytworzyć silną klasę średnią. Właściwie podchwytliwe wezwanie „bierzcie zdobycz”, podobne obietnice składał Hitler swoim żołnierzom. Na taki zarzut ONR odpowiadało, że po pierwsze to Niemcy pierwsi zaczęli taki rabunek i wprowadzili normy prawne lub raczej bezprawne, stosując je do milionów Polaków, wysiedlonych z Wielkopolski, Pomorza i innych terenów. A więc należy im dać pokosztować własnego lekarstwa, stosując te same normy, które oni wprowadzili. Po drugie, nie ma mowy o rabunku, ale chodzi właśnie o odzyskanie majątku zrabowanego, a jeżeli to

się nie da zrobić w całości, o zapewnienie odszkodowania. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, to właśnie Niemcy rabowali Europę i nawet jeśli przegrały wojnę, pozostawiano im zysk z tego procederu. To oczywiście zachęta do dalszych rabunków i musi się wreszcie skończyć. Jeżeli nie można uzyskać zwrotu ani odszkodowania, trzeba go sobie odebrać takimi samymi metodami, jak Niemcy przeprowadzili grabież. Podano przybliżony szacunek, trudny do sprawdzenia, z którego wynikało, że ogólne straty Polaków, tych wysiedlonych jak i pozbawionych majątku na drodze zarządzeń (a więc praktycznie wszystkich, którzy mieli jakiś majątek, patrz wyżej) i rabunku innymi metodami, np. przez oszukańczy druk bezwartościowych pieniędzy prawdopodobnie przekracza wartość majątku niemieckiego, znajdującego się na dawnych Ziemiach Zachodnich Polski (zwanym Ziemiami Piastowskimi). To wszystko nie uwzględniając w rachunku mienia zrabowanego w czasie I Wojny Światowej, gdyż te pretensje byłyby już przedawnione. Konkluzja taka, że to zaledwie wystarczy na odszkodowania i naprawienie krzywd, tylko dlatego, że znaczna część poszkodowanych już nie żyje, zostali najpierw obrabowani, a potem zamordowani.

Angus omówił później ten aspekt sprawy z Niedzielskim i całkowicie zgadzał się z nim, że takie stawianie sprawy nie przystoi ludziom cywilizowanym. Polacy różnią się od Niemców właśnie tym, że nigdy dotąd nie splamili się jawnym rabunkiem innych narodów. W żadnym wypadku nie mogą teraz stosować teraz w odwecie takich metod, od jakich sami ucierpieli od Niemców. To, co proponuje ONR, to po prostu zbiorowa odpowiedzialność w stosunku do Narodu Niemieckiego. Wprowadzając ją, postawilibyśmy się sami na poziomie nie lepszym od hitlerowców.

Jednak niezależnie od względów moralnych, Angus obserwując młodych ludzi na zajęciach kółek MWP, zauważył, że te hasła były chwytliwe i pociągnęły wielu młodych ludzi, nie widzących przed sobą perspektyw. Obecnie zainteresowali się oni ONR'em, który roztaczał miły obraz, łatwego i szybkiego dojścia do majątku i stabilizacji. Podobała im się taka wizja. Podobnie jak Niemcy do Polski, teraz oni wkroczą na terytoria dawnych Niemiec, wybiorą sobie domy lub mieszkania, warsztaty, sklepy i dochodowe zakłady pracy. Niemców wsadzi się do obozów, a po pewnym czasie do wagonów towarowych, dokładnie tak samo, jak oni robili z Polakami, wszystko stanie się własnością nowych osadników. Nie pomyśleli, że przedtem cierpieli inni ludzie, a teraz to nie dotknie winnych, chyba przez przypadek, lecz ucierpią inni, mowa o wyrównaniu krzywd jest więc absurdem, to raczej ich mnożenie ONR i MWP, dotąd organizacje raczej nieliczne i o marginalnym znaczeniu, spęczniały od nowych członków. Była to głównie tzw. pseudointeligencja i lumpenproletariat, ale także wielu ludzi z wygórowanymi ambicjami, którzy mieli o sobie wysokie mniemanie i duże plany, ale nie



widzieli drogi do ich realizacji. Tu obiecywano im to, czego sami by nie zdołali osiągnąć. Na całym świecie pociągając ludzi wezwaniem do zdobyczy. Rabunku.

Na pozór paradoksalne, ale jest w tym ukryta logika, że hasło skrajnej prawicy zostało podtrzymane i przejęte przez skrajną lewicę, komunistów. PPR i Gwardia Ludowa, przekształcona później na Armię Ludową, miały raczej niewielką liczebność i podobnie jak ONR i NSZ i nadrabiały znaczenie bujną fantazją. Tu i tam, zadawano szyku, nazywając na wyrost małe grupki kompaniami, a kilkudziesięcioosobowe batalionami, paruset ludzi stanowiło co najmniej brygadę. Ale PPR i GL względnie AL miało jeszcze jeden kłopot, nie stanowiły one autentycznych i samodzielnych organizacji, lecz zostały powołane z inspiracji ościennego mocarstwa, ZSRR, wobec którego pełniły rolę służebną. W rozdziale VII wspomniano o istnieniu luźnych grup komunistów, którzy nie uczestniczyli w ruchu oporu, gdyż ZSRR traktowało wtedy Niemcy jak sojusznika. Oczekiwali na sygnał, mówiło się o grupie inicjatywnej, która ma przyjechać z Moskwy. Oczekiwanie to się przedłużyło, a potem nasłano kilka takich grup inicjatywnych, które wymordowały się nawzajem. Scenariuszu jak z kiepskiego filmu gangsterskiego, lecz bez istotnego znaczenia. Jednym z pierwszych zadań PPR stało się niewdzięczne zadanie przekonania społeczeństwa polskiego, że konieczne, potrzebne i ogromnie korzystne będzie pozostawienie znacznej części Polski nadal w posiadaniu ZSRR. Chodziło prawie o połowę Polski, mianowicie część wschodnią, którą sprzymierzona z Hitlerem Armia Czerwona zajęła w 1939 r.

Wydawać by się mogło, że z chwilą, gdy ZSRR zostało napadnięte przez Niemcy i w rezultacie, z obozu hitlerowskiego przeszło do koalicji antyhitlerowskiej, dokonany wspólnie z Niemcami zabór Polski automatycznie stał się nieaktualny. Rzeczywiście, ZSRR uznało, że umowa Ribbentrop-Młotow (zwana umową zbójcecką) stała się nieważna. Było to tym łatwiejsze, że i tak ziemie zagarnięte przez ZSRR znalazły się we władaniu Niemców, a front przebiegał o setki, a potem tysiąc i więcej km od nich. ZSRR zawarło więc sojuszniczą umowę z Polską, ale Stalin unikał wyraźnej wypowiedzi w sprawie granic, poprzestając na ogólnym sformułowaniu, że rokowania w tej sprawie zostaną przeprowadzone po zakończeniu wojny. Jednak gdy ZSRR zaczęło uzyskiwać przewagę, a machina wojenna zbliżyła się do ziem polskich, okazało się, że Stalin nie ma zamiaru rezygnować z części łupu pozyskanej dzięki Hitlerowi. Najpierw, korzystając z pretekstu Katynia, zerwał umowę z Rządem Polskim i w ogóle stosunki dyplomatyczne i przestał go uznawać. Wiadomo, że Stalin kłamał o Katyniu w 100%, ale wcale nie chodziło o Katyń, ta cała wrzawa w drobnej dla niego sprawie była pozorem. Przecież on mordował miliony i dziesiątki milionów, wystrzelanie 20 tys. jeńców, oficerów z kraju, który napadł i którzy mogli stać się zaczątkiem

oporu, było dla niego logiczne, a skala przestępstwa, w stosunku do innych, znikoma. Przecież później w prywatnej rozmowie z Churchill'em, z dobrodusznym uśmiechem nadmienił, że najprostszym sposobem wyleczenia Niemców z militaryzmu byłoby zlikwidować z 50 tys., góra do 100 tys. niemieckich oficerów. Dopiero widząc szok rozmówcy i słysząc jego niezrozumiałe, dla Stalina wprost infantylne zastrzeżenia i protesty, wycofał propozycję, obracając ją w żart.

Na zapytanie Rządu Polskiego w sprawie wymordowanych oficerów Stalin mógł odpowiedzieć cokolwiek. Już sama forma pytania wskazywała na to, że Rząd Emigracyjny nie chce aktualnie drażnić tej sprawy i zadowoli się każdym wyjaśnieniem, mającym pozory prawdopodobieństwa. Po prostu nie można było uniknąć tego kroku ze względu na opinię publiczną, a i tak nic nie mogło wrócić życia wymordowanym jeńcom. Potraktowanie sprawy jako obraźliwe oszczerstwo przez winnego było szczytem obłudy, ale Stalin był zdecydowany zerwać zawarte umowy. Gdyby nie sprawa Katynia, znalazłby jakikolwiek inny pretekst. Po zerwaniu umowy i w ogóle stosunków dyplomatycznych z Rządem Polskim, Stalin zażądał, żeby granica Polsko-Radziecka przebiegała wzdłuż tzw. linii Curzon'a, a więc blisko linii Ribbentrop - Mołotow.

Linia Curzona została zaproponowana przez W. Brytanię 11 lipca 1920r., kiedy wojna polsko-bolszewicka przybrała katastrofalny stan, Armia Czerwona zbliżała się do Warszawy i wydawało się, że ostateczna klęska i zajęcie całej Polski jest kwestią paru miesięcy. W tej sytuacji Rząd Polski akceptował tę propozycję, ale Sowiety i tak ją odrzuciły, ponieważ ich celem nie była zasada etniczna lub inna, ani w ogóle żadna granica, lecz zajęcie całej Polski i podanie ręki rewolucji w Niemczech. To zaś miało być pierwszym krokiem do zajęcia Europy, a następnie reszty świata. Jednak w połowie sierpnia sytuacja się zmieniła, Armia Czerwona została pobita, a granica wynegocjowana i ustalona w traktacie Ryskim.

(George Nathaniel markiz i pierwszy baron Curzon z Kedleston jeszcze w 19 wieku uchodził za autorytet w sprawach Rosji i Azji. W 1919 objął ministerstwo spraw zagranicznych po Arthur'ze Baulfor, ale faktycznie i tak w jego funkcje bez przerwy wtrącał się ówczesny premier, Lloyd George, znany ze swych uprzedzeń do Polski - być może, wynikających z niechęci do wszystkich inicjatyw Wilson'a, lub też dlatego, że rolę przyjaciela i sojusznika Polski przejęła Francja).

W Traktacie Ryskim Polska celowo ograniczyła swoje żądania, mogła wtedy zażądać i otrzymać więcej, granice dawnej Rzeczypospolitej sięgały bez porównania dalej na wschód. Zgodziła się zadowolić ułamkiem dawnego terytorium. Z drugiej strony, nawet na tym ułamku stosunki etnograficzne były skomplikowane. Dawna Rzeczpospolita była państwem

wielonarodowościowym, a długi okres niewoli, w czasie którego Rosja stosowała okrutne metody ucisku narodowościowego, też spowodowały zmiany struktury etnicznej. W 1920 i 1921 r. na tych ziemiach nie było wyraźnej większości narodowościowej, większe grupy ludności według ich liczebności to Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Żydzi i Rosjanie. oprócz tego wiele mniejszych, jak Litwini, Tatarzy, Karaimi (resztką starego ludu Chazarów), Ormianie i jeszcze inni. Wprawdzie Polacy stanowili największą z grup, a ponadto wielu Żydów określało się jako „Polacy wyznania Mojżeszowego”, to jednak pewne tereny były zamieszkiwane przez zwartą ludność ukraińską, a inne białoruską i oczywiście także ludność polską. Żydzi i Rosjanie byli raczej równomiernie rozproszeni. Jest faktem, że ani lord Curzon, chociaż otoczony nimbem sławnego podróżnika, ani tym bardziej Lloyd George, nie odróżniali w ogóle tych narodowości. Linia Curzon’a pokrywała się mniej więcej z granicą tzw. Królestwa Kongresowego, ewentualnie późniejszego „Prywiślańskiego kraja”, nakreślanego przez okupantów, czy zaborców rosyjskich. Wcielone do Rosji ziemie poddawane były wynaradawianiu i „obruszczeniu” przy stosowaniu przemocy, ale na terenach tzw. Kongresówki zaczęło się ono później i przebiegało z przerwami, natomiast na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej dalej na wschód przez cały czas i intensywnie, przyniosło więc większe efekty.

Upadek państwa wielonarodowego zwykle powoduje wzrost antagonizmów między poszczególnymi narodowościami. To znaczy, antagonizmy istnieją od zawsze, ale dopóki wszystko dobrze funkcjonuje, przewycięża się je w imię wspólnej pomyślności, chociaż i tak to często bywa trudna sprawa. Lecz gdy takie państwo upada i zanika też wspólna pomyślność, wszystkie narodowości winią się nawzajem. Brak wspólnego interesu, który je wiązał. Na przykład można sobie wyobrazić, że gdyby Stany Zjednoczone poniosły klęskę, powiedzmy w rozgrywce ze Związkiem Radzieckim, natychmiast rozpoczęłyby się niesnaski czy nawet walki, biali protestanci pochodzenia anglosaskiego zaczęliby zwałać winę na czarnuchów i latynosów, nawet nie odróżniając poszczególnych narodowości, lecz wrzucając do wspólnego worka np. Meksykanów z Portorykańczykami, a może nawet Brazylijczykami etc. etc.

A w ogóle można by dyskutować, co jest przyczyną a co skutkiem, zupełnie tak, jak co było pierwsze, kura czy jajko. Czy dopiero upadek państwa spowodował wzajemną wrogość, czy też właśnie spory narodowościowe stały się przyczyną upadku Rzeczypospolitej. Wydaje się, że to proces samonapędzający, swego rodzaju błędne koło. Jest jednak faktem, że Polacy przez długi czas byli wyjątkowo tolerancyjni i dopiero prześladowania ze strony zaborców uformowały polski nacjonalizm i jednocześnie

spowodowały odwrót od idei federalistycznej. Rozczarowani niepowodzeniami, nastawili się na model innego państwa, jednolitego narodowościowo i najlepiej wyznaniowo, czysto polskiego i katolickiego. Naturalna ludzka reakcja, nie przyznawania się do popełnionych błędów, przerzucenia winy na tych innych, obcych, którym nie można ufać. Stosunkowo najdłużej, bo aż do roku 1864, przez wszystkie powstania, utrzymała się solidarna wspólnota Polaków i Litwinów. Ale pod wpływem frustracji po poniesionych klęskach, nawet i ta najtrwalsza więź pękła. Polacy zaczęli zarzucać Litwinom izolowanie się i brak zaangażowania i ofiarności, Litwini zaś Polakom dążenie do dominacji i brak poszanowania ich odrębności. Od roku 1865 coraz więcej było wzajemnych oskarżeń, coraz większy procent ludności chciał zerwania więzów, aż doszło do tragicznej wzajemnej wrogości. Oczywiście, że wszystkie tarcia i wzajemne spory były celowo rozbudzane przez wrogów, także w tym konkretnym wypadku. Nie można się temu dziwić, przecież to stara i powszechna zasada, divide et impera. Takie próby podejmowano już dawniej, ale z początku bez powodzenia.

Kierując się tymi względami, ONR akceptował odstąpienie Kresów wschodnich, gdyż według nich psuły jedność narodową i osłabiały państwo, a na pewno nie pasowały do modelu nacjonalistycznego. Już przy Traktacie Ryskim, przedstawiciel prawicy endeckiej przekraczając swoje instrukcje, skwapliwie zgodził się na obcięcie ogromnych obszarów, historycznie związanych z dawną Rzeczypospolitą w państwie federalistycznym, po to, żeby raz na zawsze odciąć się od, według swego zdania, głównej przyczyny strat i kłopotów. Po zwycięstwie Armii Polskiej, Rosjanie gotowi byli pogodzić się z utratą Mińska i nawet ziem na wschód od niego, chcieli jedynie zachować Bobrujsk i Smoleńsk. Nie spodziewali się, że zwycięzca nie tylko nie będzie stawiał dalszych żądań, ale nawet cofnie się z aktualnej linii frontu.

Otóż teraz, ONR stawiał sprawę jeszcze radykalniej: należy skupić się na terenach z wyraźną polską większością, tereny na wschodzie to same straty i im prędzej ich się pozbędziemy, tym lepiej, a broniąc ich możemy tylko wplątać się w brzydką awanturę. W zasadzie akceptowali więc linię Curzona, oczywiście pod warunkiem zachowania Lwowa i Wilna, które były zdecydowanie polskie, zresztą na ten temat Curzon się nie wypowiadał, pozostawiając jakby lukę. Okolice Lwowa, od strony Gródka i praktycznie cała Wileńszczyzna zamieszkałe była przez zwartą ludność polską i to wysoce patriotyczną, która w 1920/21 roku dowiodła tego czynami (na przykład uporczywa, aż do granicy samobójczej obrona przedpoli Lwowa spowodowała porażkę bolszewickiego frontu na południu, Stalin z tego powodu nie przekazał Konarmii Tuchaczewskiemu i to był jeden z powodów klęski tego ostatniego w bitwie Warszawskiej).

Często tereny zamieszkałe przez polską i nie polską ludność tworzyły wyspy, albo zawikłane wzory. ONR był zdecydowany na przenoszenie mieszkańców, tak, żeby wytworzyć na drodze przymusu jedność narodową i religijną. Pozostałości federacji narodów należało jak najprędzej wyeliminować. Mieszkańcy innych narodowości na polskim terytorium mieliby do wyboru, albo spolonizować się, albo odejść, podobnie Polacy mieszkający za granicą przenieść się do Polski, albo zapomnieć, że byli Polakami. Był to zwarty system i konsekwentnie należałoby jeszcze zadbać o oddzielenie Wielkopolski od Małopolski i Mazurów, deportować przymusowo Kaszubów, jeżeli znaleźli się poza Pomorzem i Górali, którzy ocierając łzy porzucili swoje góry - dla chleba, panie, dla chleba. W końcu, każdy znalazłby się na swoim miejscu, łatwiej byłoby utrzymać porządek, zapewne zatroszczono się też, by wyznawał właściwą religię - i to miało doprowadzić Polskę do potęgi, przed którą każdy najeźdźca cofnąłby się ze zgrozą.

Zapewne w oczach fanatyków oraz kilkunastoletnich chłopców takie monolityczne państwo wydawało się posiadać urojone zalety. W czasach rozbicia dzielnicowego, skurczone do czystego rdzenia części Polski wcale nie były bardziej bezpieczne ani szczęśliwe. Program obejmował wrogość do wszystkich obcych, egoizm narodowy i izolacjonizm oraz nierozsądną nadzieję, że dzięki temu nikt nas nie zaczepi, a jeżeli, to obronimy się jak jeden mąż. Nie trzeba dodawać, że proporcje ludzi wartościowych i poślednich wśród różnych narodów są bardzo podobne, chociaż każdy z narodów ma o sobie wygórowane mniemanie. Ksenofobia bywa często reakcją na klęski.

Dziwne zjawisko: skrajna prawica i skrajna lewica zgadzają się w sprawach granic - no, może nie całkiem, ale tak na 95%. Zgodnie też proponują plan, mówiąc dzisiejszym językiem, czystek etnicznych, które następnie rzeczywiście tragicznie dotknęły miliony ludzi. I to na dużo większą skalę, niż współcześnie po rozpadzie federacji Jugosłowiańskiej, tylko że wtedy świat się tym wcale nie przejmował. Obecnie niektórzy jeszcze ciągle nazywają to, cóż za wyrażenie, oczyszczeniem w ogniu.

Jednak zdecydowana większość społeczeństwa żywiła złudzenia, że do tego nigdy nie dojdzie, gdyż pozycja Polski jest silna. Sprawa granic może zostać określona dopiero na konferencji pokojowej, a tam będziemy dysponować mocnymi argumentami: przecież kraj, który pierwszy stanął do walki i proporcjonalnie dał największy wkład i poniósł największe straty, nie może w wyniku wygranej wojny utracić prawie połowy swego terytorium. To absurd. Bardziej naiwni powoływali się na brytyjskie gwarancje w sprawie granic, udzielone Polsce zanim znalazła się we wojnie po stronie koalicji. Zapominali o dotychczasowym

doświadczeniu, że W. Brytania wywiązywała się z traktatów i zobowiązań zawsze, gdy było to dla niej korzystne.

Przeważała opinia, że mimo niesprawiedliwości takiego rozwiązania, trzeba poczynić jakieś ustępstwa terytorialne wobec ZSRR, ze względu na proporcję sił. Jeżeli dojdzie do plebiscytu, to Polska nie ma powodów obawiać się wyniku. A jeżeli ZSRR, zapewne obawiając się rezultatu, nie zgodzi się na plebiscyt, to przecież mamy sojuszników i przyjaciół, którzy będą pośredniczyć tak, żeby zadowolić ZSRR, ale nie dopuszczą, żeby spotkała nas zbyt wielka krzywda. W końcu, nie tylko oni, ale cały wolny świat zaciągnął wobec Polski poważne zobowiązania.

A więc, na razie należało wykazać umiar i opanowanie, przede wszystkim nie dać się sprowokować do okazania wrogości Armii Czerwonej, cokolwiek by robiła, nawet w obronie własnej. Zaciśnąć zęby i traktować ich tak, jakby byli lojalnym sprzymierzeńcem, a nawet tym bardziej okazać własną użyteczność i przydatność. Krótko mówiąc, pozyskać do przyjaźni choćby tylko część prostych żołnierzy. Bo niestety, docierały sygnały, że wkraczająca na ziemie polskie Armia Czerwona, traktuje je jako część swego terytorium. Co gorsza, kontynuuje działania Niemców, więzi i wywozi lub morduje członków ruchu oporu i żołnierzy Polski Podziemnej, a więc formalnie sprzymierzeńców. Starano się nie podgrzewać nastrojów i nawet mordowanych proszono o spokój i umiarkowanie.

Tymczasem na zebraniach MWP. Angus spotkał się z innym zdaniem: że walka z Niemcami jest już właściwie wygrana i szkoda dalszego rozlewu polskiej krwi, kiedy Niemców z powodzeniem wykończą i tak sami alianci. Natomiast Polacy, powinni skupić się na ziemiach czystych etnicznie oraz na nowo zdobytych na Niemcach, dawnych piastowskich i w razie potrzeby, tam zdecydowanie bronić swojej niepodległości, której teraz zagraża ZSRR jako jedyny pozostały wróg. Jeżeli Polacy stawiają silny opór, to niewątpliwie alianci we własnym interesie potraktują ich, jako pierwszą linię obrony, gdyż sami też poczują się zagrożeni przez ZSRR. A więc jedyne racjonalne postępowanie, to zaprzestać dalszej walki z Niemcami za wyjątkiem obrony własnej, ale Niemcy są już w tak krytycznej sytuacji, że zapewne nie zajdzie taka potrzeba. Natomiast wszystkie siły należy gromadzić do przyszłej obrony przed ZSRR. Ten program ONR przedstawiało jako jedynie słuszną rację stanu, a większość Polaków traktowała jako koszmar chorej wyobraźni. Okazało się jednak, że mylili się i jedni i drudzy, zaś rzeczywistość przerosła najgorsze oczekiwania. Wyjaśnia to późniejsze pomówienia NSZ o współpracę z Niemcami. W rzeczywistości, takiej współpracy nie było, natomiast prawdą jest, że mniej więcej od tego czasu, oddziały NSZ zaczęły unikać walk z Niemcami.

W tym czasie, zaczęto mówić o organizowaniu tzw. Brygady Świętokrzyskiej NSZ, dużej jednostki przewidzianej na skalę nawet tysiąca ludzi, co wtedy wydawało się przesadą (faktycznie, Brygada przekroczyła poważnie tę cyfrę). Angus otrzymał propozycję przystąpienia do niej i to była silna pokusa, bo ciągle marzył o czynnej walce z bronią w ręku i poważnie się obawiał, że wojna się skończy, a on nie wypełni świętego obowiązku każdego Polaka. Jednak o negatywnej decyzji zdecydowała rozmowa z jednym ze znajomych, który w zeszłym, 1943 roku, był w oddziałach NSZ. Już od maja, a więc jeszcze wcześniej, niż Angus podjął swoją nieudaną próbę dostania się do oddziału Ponurego. W pewnym momencie ten chłopak wspomniał, jak w jednej ze wsi znaleźli kilku ukrywających się Żydów.

- No i co dalej, - zapytał Angus, przypominając sobie likwidację Getta Ostrowieckiego i swoją własną wyprawę w nocy w nadziei udzielenia jakiejś, niestety spóźnionej, pomocy. Normalnie. Nasz oficer przesłuchał ich, a potem...- chłopak wykonał gest ręką po gardle. Co ty mówisz, nie zrozumiałem cię. Nie chcesz chyba powiedzieć że ich zamordowaliście? - To nie żadne mordowanie. Był wyrok i trzeba było ich zlikwidować. - Angus przeżył szok i nie mógł zapanować nad oburzeniem. - Jak to, przecież to po prostu pomaganie Niemcom. Współpracujecie z okupantem wyłapując i mordując tych uciekinierów, którym udało się ująć śmierci. Czy Niemcy wam płacą stałą pensję czy od głowy? - Chłopak też się zdenerwował, zerwał z miejsca i brał do bicia, ale opanował.

- Jesteś głupi jak but, niczego nie rozumiesz. Przecież to nie byli po prostu żydowscy uciekinierzy, takich byśmy nie ruszyli. Najwyżej pouczyli, żeby odeszli trochę dalej ode wsi, nie narażali wszystkich mieszkańców. To nie zwykli Żydzi, ale żydowscy komuniści, pod opieką PPR-u. Przyszli komisarze i czerwoni agenci albo oprawcy. Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile polskich żyć mają na sumieniu tacy zdrajcy, którzy wyrosli i wykarmili się na polskiej ziemi, a potem powstępowali do GPU i innych sowieckich służb specjalnych i albo wskazywali Czerwonym, kogo aresztować i zgnoić, a potem zabić, albo sami wykonywali tę brudną robotę? Setki tysięcy Polaków zginęło na wschodzie z ich rąk. A teraz, Armia Czerwona tu przyjdzie i czeka nas nowa okupacja i walka, to co, nie wolno nam się bronić? Jeżeli zabijamy bez wahania agentów gestapo i zdrajców niemieckich, czy nie trzeba też likwidować agentów sowieckich, przyszłych aparatczyków i enkawudzistów? Najwcześniej, zanim jeszcze zaczną wyrządzać szkody! To zwykła samoobrona, jak nie my ich, to potem oni nas. Oni zagrażają bezpieczeństwu narodowemu i nie ma tu miejsca na żadne wątpliwości czy sentymenty. Ja nie mam nic do Żydów, sam znałem Żydów, których lubiłem i szanowałem. gdybym tych spotkał, to starałbym się pomóc. Ja się uczyłem od nich śpiewać

żydowskie piosenki i nawet teraz je lubię. - I jakby chcąc to udowodnić, zaczął śpiewać Angusowi jakąś nieznaną melodię, coś w rodzaju: - Ulicą idzie mały Żyd, śpiewa sobie „Aj sy git” - i jakoś dalej, kończyło się - ”Ta banda, ta banda cudnie gra”.

Ale Angus nie dał się zagadać a tym bardziej przekonać. - Gdyby ci ludzie w przyszłości popełnili zdradę, może trzeba by ich zastrzelić. Ale nie, dopóki nie udowodniono im winy. Jaki sąd ich sadił, na czym opierały się zarzuty? - Odpowiedź już słyszał, badał ich jakiś oficer i potem skazano ich na śmierć, to brzmiało w znajomy sposób, tak makabrycznie i nieludzko postępowali okupanci hitlerowscy, najgorsze skojarzenie.

Widząc gwałtowną wymianę zdań i dyskusję, najwyraźniej przybierającą coraz ostrzejszą formę, do spierających się przyłączył się prelegent, prowadzący tego dnia zajęcia kółka MWP. Usiłował załagodzić i wyjaśnić: - Słuchaj, to nie jest tak, jak sobie wyobrazasz. Jest faktem, że Niemcy rozwiązali za nas problem żydowski, ale my nigdy ani nie chcieliśmy, ani nie akceptowaliśmy takiego rozwiązania. W całej historii, Polacy nigdy nie mordowali nikogo za to, że jest tym kim jest, nigdy nie kierowaliśmy się względami rasowymi, sama taka myśl jest nam obca i odrażająca. Prawdą jest, że chcieliśmy, żeby oni od nas odeszli, emigrowali. Przez setki lat, kiedy cała Europa prześladowała Żydów, znajdowali oni w Polsce schronienie, drugą Ziemię Obiecaną. Ale nadszedł czas, żeby się pożegnać, dosyć już tego dobrego. Nawet małżeństwa kończą się czasem i można to załatwić kulturalnie, bez nienawiści i wzajemnych oskarżeń. Można nawet zachować dobre wspomnienie. Nigdy nie groziliśmy niczym Żydom, przeciwnie, ONR nawet czynnie pomagał emigrującym. - [To akurat okazało się prawdą, Angus miał okazję sprawdzenia już po wojnie; rzeczywiście organizacje syjonistyczne otrzymywały pomoc, w tym instruktorów i wyszkolenie wojskowe, a nawet broń od ONR i zbliżonych grup ekstremistycznej prawicy. Między innymi korzystały z niej w początkowym okresie istnienia grupa Stern'a i Irgun Zwoa Leumi, czy raczej ich załążki.]

- Po prostu Żydów osiedliło się zbyt dużo, stali się najliczniejszą z mniejszości narodowych. W końcu zaczęło zagrażać, że przejmą Polskę na własność, dążyli do tego, żeby to nie była Polska, ale Judeo-Polska (to już oczywiście nie prawda, ale paranoia). Według statystyk, przekraczali już 10% ludności, ale tak naprawdę to było ich więcej, kilkanaście procent. A przy tym przejęli, według statystyk, około 35% majątku narodego, a według nas naprawdę około 50%. To nie mogło tak dalej trwać, w końcu we własnym kraju pozostałaby nam rola parobków. - Angus słuchał, myśląc: - a więc tak wygląda ksenofobia i jej konsekwencje, program czystek etnicznych. Dotyczył on wszystkich mniejszości, a więc logicznie, też najliczniejszej. Ale przecież nie był to program mordów, chociaż jeden z kadrowych działaczy ONR wyraził się „Niemcy ostatecznie rozwiązali ten problem, choć w



inny sposób”. Z drugiej strony, właśnie jeden z twórców i przywódców ONR Jan Mosdorf zginął w Oświęcimiu, do ostatka ofiarnie niosąc pomoc Żydom, a o księdzu Stanisławie Trzeciaku już wyżej wspomniano. Ale z tej rozmowy wynikało pośrednio, że Niemcy wykonali coś pożytecznego, chociaż, drobny mankament, w niewłaściwy sposób. Nic dziwnego, że od tej pory Angus nie chciał mieć nic wspólnego ani z ONR’em i MWP, ani z NSZ. To był prawdziwy szok. Nie ma mowy, żeby zgłosić się do Brygady Świętokrzyskiej, Bóg ustrzegł przed ciężkim błędem. Szczęśliwie dla Angusa, w tym czasie w prasie podziemnej ukazał się rozkaz Dowódcy Armii Krajowej gen. Bora, występującego jako zwierzchnik Wojska Polskiego w kraju z upoważnienia i w imieniu Wodza Naczelnego. W rozkazie, chyba nr 476 albo podobnie, NSZ zostały potępione i uznane za organizację nielegalną dla wszystkich, uznających Rząd Emigracyjny, a obywatele polscy wezwani do zerwania więzów z tą organizacją. Angus natychmiast skorzystał z tej okazji, oznajmił, że i sam czuje się w obowiązku zerwać wszelkie kontakty i otrzymał też takie polecenie od swojej organizacji. Wielu ludzi postąpiło podobnie, jak się to mówi, uszło w tłoku.

Rozkaz potępiający NSZ, wydany został z następujących powodów: NSZ powstało z połączenia kilku organizacji, najważniejsze z nich to Organizacja Wojskowa endecji i grupa ONR, jednak nie cała, gdyż już przed wojną oderwały się od niego takie frakcje, jak Falanga, ugrupowanie ABC i inne. W czasie wojny najbardziej aktywny zespół Bolesława Piaseckiego, rezygnując z zasady izolacji narodowości, utworzył tzw Konfederację Narodu i przy niej filię wojskową, tzw. Bataliony Uderzenia (nie mające nic wspólnego z BCh).

NSZ, podobnie jak wszystkie organizacje zbrojne, podjął rozmowy zjednoczeniowe z AK, przeciągały się one długo, w końcu jednak doprowadziły do podpisania umowy zjednoczeniowej. Ale w NSZ trwały tarcia wewnętrzne i część wywodząca się z ONR dokonała wtedy wewnętrznego zamachu na kierownictwo i powołała nowego człowieka na Komendanta, zrywając umowę. Działo się to wszystko we wręcz gangsterskiej atmosferze, prawie, jak w wypadku Grup Inicjatywnych PPR, które wymordowały się wzajem. Nie padło aż tyle trupów, ale scenariusz zawierał porwania, zabójstwa itp. wprost kompromitujące, jak w kiepskim filmie sensacyjnym. Ostatecznie część NSZ, wywodząca się z dawnej Organizacji Wojskowej endecji, weszła w skład AK, natomiast nowy komendant z zespołem swych ludzi, żeby nie powiedzieć zbirów, opanował resztę oddzielnego NSZ.

Oдноśnie mordów NSZ na Żydach, to trzeba powiedzieć, że nie ograniczały się one do Żydów, ale w sumie dotknęły kilka tysięcy osób, z czego kilkaset to byli Żydzi (prawdopodobnie w przybliżeniu 10%). W prasie podziemnej, często padały oskarżenia pod adresem NSZ i PPR, obu skrajnych, o prowadzenie akcji terroru, zabijanie swoich

przeciwników politycznych, określane wtedy jako mordy bratobójcze. Zapewne oskarżenia były słuszne, bo jeżeli ekstremiści zabijali się nawet we własnym gronie, trudno oczekiwać, żeby okazywali względy przeciwnikom. Mimo silnej presji opinii społecznej, publikacji w prasie i interwencji zarówno Delegatury Rządu, jak i Armii Krajowej, sytuacja między NSZ i PPR często przypominała stan polowania, jedni starali się zabić drugich i vice versa. To jeszcze nic, bo obie strony w swoich gazetkach oskarżały się wzajemnie o coś o wiele gorszego: o składanie anonimowych donosów do Gestapo, a nawet nawiązywanie stałych stosunków, bezpośrednich tajnych linii, dostarczających okupantom danych, o rozpracowanych przez te organizacje przeciwnikach politycznych.

Czy jest możliwy aż taki stopień podłości ludzkiej, czy też były to tylko wzajemne pomówienia? Trudno odpowiedzieć, ale wybiegając do przodu, już po wojnie, w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, instytucji według stalinowskich schematów bardzo wysoko upartyjnionej i traktowanej jako najważniejszy masowy organ propagandy, a zwłaszcza w samej Redakcji Kroniki znalazł się szereg członków ówczesnego KC i to kadrowych, z długim stażem. Otóż tam właśnie Angus spotkał się tam z taką wersją: Mówiono, że Paweł Finder, jeden z krótkotrwałych I sekretarzy (czy może wtedy jeszcze sekretarz generalny) PPR, zrzucony ze spadochronem w drugiej grupie inicjatywnej, zginął z rąk braci Mołojców właśnie dlatego, że wydał im polecenie zorganizowania komórki, mającej zająć się dostarczaniem donosów i danych personalnych do Gestapo. Mołojcy wysłuchali polecenia w milczeniu, choć z rosnącym zaniepokojeniem i doszli do wniosku, że na samej górze partyjnej zagnieździł się niemiecki prowokator. Uznali to za sytuację w najwyższym stopniu alarmującą, w której nie ma czasu na normalną procedurę. Sami więc wydali i wykonali wyrok, a z kolei oni też zostali zabici przez Janka Krasickiego przy współpracy Hanki Sawickiej, młodych bojowców, którzy w pierwszych latach po wojnie ogłoszeni zostali przez regime komunistyczny bohaterami i wzorem dla młodzieży.

Oczywiście nie wiadomo, ile w tym jest prawdy, sprawy tych serii zabójstw do dziś są otoczone najściślejszą tajemnicą. To mogła być specjalnie złośliwa plotka, a w rzeczywistości chodziło o zwyczajne walki wewnętrzne. Być może, one z kolei były tylko odbiciem walki między ważnymi osobami lub grupami w samym ZSRR o przechwycenie wpływów w Polsce, na przykład między KGB (wówczas jeszcze NKWD), wywiadem wojskowym etc. Jak wiadomo, Stalin otaczał się ludźmi nienawidzącymi się nawzajem, walczącymi ze sobą, wtedy czuł się bezpieczny. Jest znanym faktem, że kilka kolejnych ekip, które miały odtworzyć partię komunistyczną w Polsce, wyginęło w nieznanych okolicznościach, prawdopodobnie wymordowało się wzajemnie. Doszło do tego, że w środowisku komunistów

polskich w Moskwie, polecenie wyjazdu z misją do Polski budziło wtedy takie odczucia, jak prawdopodobny wyrok śmierci. Natomiast na miejscu, w kraju, Angus słyszał wtedy takie komentarze o PPR: „przecież oni pożerają się nawzajem, jak pająki zamknięte w słoju; może zlikwidują się sami i nie sprawią kłopotu”. Jak już wspomniano, w kierownictwie NSZ także zdarzały się gangsterskie walki wewnętrzne, jednak tego nie da się nawet porównać, różnica co najmniej kilku poziomów.

Niestety, kilka tysięcy ludzi zginęło w wyniku morderstw bratobójczych. W proporcji do terroru niemieckiego znikoma cyfra, jeden lub dwa promile, ale kompromitująca. W tej liczbie mieści się kilkuset Żydów, zabitych przez NSZ. Nie zostali zabici ze względów rasowych, dlatego że byli Żydami, ale jako podejrzani o to, że stanowią tzw. „żydokomunę”, są powiązani z PPR albo z Sowietami. Faktycznie, po wojnie w aparacie bezpieczeństwa, prześladowającym i terroryzującym społeczeństwo, znalazło się wielu Żydów i wiadomo, że przynajmniej część szukała odwetu na byłych NSZ'owcach, zapisując się szczególnie krwawo. Bilans więc jest dla NSZ niekorzystny. Ale faktem jest, że zabicie nawet małej liczby Żydów i to niezależnie od podawanego uzasadnienia, był nie tylko zbrodnią, ale gorzej, skrajną głupotą. Przywodzi na myśl metody hitlerowców. Szybko zapomniano o znacznie liczniejszych mordach politycznych na Polakach, natomiast do dziś pamięta się tylko Żydów i w dodatku dorabia do tego rasistowską interpretację, całkowicie fałszywą.

Zapewne z tego powodu, AK przyjęło jako zasadę nie likwidować bezpośrednio nawet żydowskich konfidentów gestapo, szpicli i prowokatorów, lecz przekazywać organizacjom żydowskim dane wywiadu. A już wyrok musiał być wydany lub potwierdzony przez organizacje żydowskie, nawet jeżeli AK udzielić musiało pomocy w jego wykonaniu. Najbardziej znana jest oczywiście egzekucja, dokonana wkrótce przed powstaniem w Getcie Warszawskim przez Żydowski Związek Wojskowy na członkach „Żagwi”, organizacji powołanej przez Gestapo na kadrze dawniejszej „Trzynastki”. Co prawda, żydowscy odszczepieńcy i zdrajcy współpracowali z Niemcami głównie na szkodę swych własnych współbraci, mając raczej mało styczności z Polakami. Jak wiadomo, getta w Polsce zostały głównie zlikwidowane rękami żydowskich policjantów, przy pomocy szaulisów, czasem Ukraińców i Kałmuków, a minimalnym zaangażowaniu sił niemieckich jako nadzoru.

Jest paradoksalne, a raczej bezsensowne i nielogiczne, że bratobójcze walki między skrajną prawicą i lewicą, właściwie margines, obejmujący może po 5% społeczeństwa pozostawiły zatruty owoc, ostateczny rozłam i wrogość między społeczeństwem żydowskim i polskim. Wydawać by się mogło wręcz niemożliwe, żeby te dwie grupy narodowościowe, które najbardziej ucierpiały w tym makabrycznym okresie historii i które weszły w czas męki

i śmierci z tradycją setek lat współżycia, a w czasie tego okresu też współpracowały ze sobą, następnie trwale odwróciły się od siebie. No, nie wszyscy, ale część właśnie tych, którym udało się przeżyć piekło. Ta sprawa wymaga wyjaśnienia, a opisane wyżej fakty są pierwszymi rzeczowymi wyjaśnieniami tej zagadki.

\* \* \*

### **Kapsuła: Rozstanie polsko - żydowskie.**

Jak już wspomniano, Żydzi od zarania dziejów Polski współżyli z Polakami, a potem zamieszkiwali tereny dawnej wielonarodowościowej Rzeczypospolitej. Ich osadnictwo pokrywało się dokładnie z granicami federacyjnego Państwa, gdzie, uchodźcy prześladowani w Europie, znaleźli drugą Ziemię Obiecaną. W pewnych okresach ponad 90% populacji diaspory znalazło tu schronienie i przetrwało najgorszy czas, a z żyjących obecnie Żydów, w każdym razie Askenazy, prawie każdy znalazłby przodków pochodzących z Polski. Po utracie niepodległości Polski, pozostali na wschodzie na tych samych terenach, gdyż np. Rosja traktując ich jako ludzi niższego gatunku, nie zezwalała na „skażenie” rdzennej ruskiej ziemi. Wolno im było nadal mieszkać na ziemiach, które zamieszkiwali przedtem, zanim dostały się one pod władzę Rosji, ale nie mogli przenieść się dalej. W ten sposób dawna granica Rzeczypospolitej, przetrwała jako granica żydowskiego osadnictwa na wschodzie. Natomiast w zaborach pruskim i austriackim spotykały ich szykany i niechęć administracji, które jednak, przynajmniej w Austrii ustały w połowie XIX wieku. Prusy zaś lepiej było opuścić, a przynajmniej przenieść się w głąb kraju, gdzie w odróżnieniu od terenów nowo zagarniętych, prawo było bardziej przestrzegane, a samowola władz administracyjnych mniejsza. Jednak wszędzie warunki życia mocno się pogorszyły, co zresztą dotyczyło wszystkich innych mieszkańców kraju, który znalazł się w niewoli. W tej sytuacji, fala się odwróciła i rozpoczęła się reemigracja Żydów z powrotem na zachód, zwłaszcza że w Europie okres prześladowań się skończył i można było tam wracać stosunkowo bezpiecznie. Oczywiście dotyczyło to tylko zamożnych Żydów, którzy mieli odpowiednie środki, nie tylko na samą podróż, ale i na zapewnienie sobie egzystencji w nowym miejscu.

Pierwsza taka fala reemigracji na zachód, rozpoczęła się w czasie, gdy Rzeczpospolita jeszcze istniała, ale jej upadek już był widoczny i przetrwała ona pierwszy kryzys, można powiedzieć, siłą rozpędu. Mowa o okresie saskim i tzw. ruchu frankistów. W uproszczeniu, najzamożniejsi Żydzi, zorganizowani w postaci sekty religijnej (wyznanie Mojżeszowe nie ma centralnej, ani ogólnie przyjętej struktury organizacyjnej, istnieje wiele odmian lub sekt, z których żadna nie stanowi herezji lub schizmy, po prostu wierni grupują się wokół wybitnych przywódców, co oczywiście nie oznacza, że nie dochodzi czasem do kłótni czy

nieporozumień), przenieśli się wraz ze swym wielkim majątkiem, najpierw do krajów ówczesnego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, głównie do Nadrenii i poblizze. Było tam wiele królestw i księstw, w których można było się wkupić, znaleźć oferujące znośne warunki, oczywiście za odpowiednią rekompensatę. Potem ewentualnie przenosili się do innych ziem niemieckich, łącznie z centralną Austrią, względnie do Francji i Anglii. Migracja wielkiego kapitału, precyzyjna operacja logistyczna. Frankiści wybrali formę organizacji religijnej, stosunkowo liberalnej i szukali możliwej formy pojednania z kościołami chrześcijańskimi, prowadząc liczne dysputy i dialogi. Prawdopodobnie starali się o jakąś formę porozumienia, aby zabezpieczyć siebie i swój majątek przed prześladowaniami, które kiedyś w Europie wynikły właśnie na podłożu religijnym. To oczywiście skrócona i uproszczona wersja wydarzeń, które zasługują co najmniej na kilka dzieł historycznych i zapewne więcej książek sensacyjno-przygodowych. Zdaniem autora, była to mistrzowsko przygotowana i wykonana operacja. Frankiści właściwie dali początek wielkim fortunom żydowskim na zachodzie Europy.

Podobny schemat trwał w ciągu następnych dwu wieków. Bogaci i zamożni Żydzi, przenosili się stopniowo na zachód, biedota albo pozostawała na miejscu, albo też starała się włączyć w ten strumień, ale na ogół docierała tylko do ziem etnicznie polskich i tam się zatrzymywała.

Zwykle ci Żydzi ze wschodu, w wyniku silnego nacisku rusyfikacyjnego ulegli przedtem przymusowi i nie identyfikowali się już z Polakami. Natomiast Żydzi mieszkający na terenach etnicznie polskich, pozostawali nadal „Polskimi Żydami” lub określali się nawet, jako „Polacy wyznania Mojżeszowego”. Polscy Żydzi nie tylko starali się ułożyć poprawne stosunki z polskim społeczeństwem, ale często wyróżniali się gorącym patriotyzmem, brali udział w powstaniach narodowych, a przed samym odrodzeniem Polski również w Legionach i potem w wojnie polsko-bolszewickiej. Natomiast przybysze ze wschodu, zwani Litwakami, gdyż w większości wywodzili się z litewskiej połowy dawnej Rzeczypospolitej, ulegli zwykle od kilku już pokoleń rusyfikacji i nie czuli się w żaden sposób związani z Polską ani Polakami. Byli po prostu uchodźcami szukającymi możliwych warunków do życia i już w 19 wieku często współpracowali z okupantami, po prostu starając się nie popadać w konflikt z władzą. Znany autorytet, historyk żydowski i polski Szymon Askenazy, w tym właśnie dopatrywał się pierwszej przyczyny antysemityzmu w Polsce, gdzie dotąd nie był on znany. Autor nie podziela tego zdania, jak uzasadniał to wyżej.

W końcu XIX wieku i zwłaszcza przed I Wojną Światową, napływ Litwaków na ziemię polski wzrósł, a to z powodu tzw. pogromów, które niewątpliwie organizowane były

celowo przez władze rosyjskie oprócz dotychczasowego ucisku administracyjnego na ziemiach rosyjskich. Nigdy jednak nie udało się im zorganizować takich pogromów na terenach z większością etniczną polską, a i tam, gdzie obok mniejszości żydowskiej żyła liczniejsza mniejszość polska, zwykle dochodziło do wspólnej obrony przed przemocą. Po I Wojnie Światowej i rewolucji w Rosji, jeszcze bardziej zwiększył się napływ żydowskich (i nie tylko) uciekinierów. Jak już wspomniano, w okresie międzywojennym ilość Żydów w Polsce podwoiła się według statystyki, która zapewne nie oddawała całego obrazu, gdyż nie uchwyciła uchodźców unikających rejestracji. Napływała głównie masa żydowskiej biedoty oraz ludzie, którzy utracili całe mienie w makabrycznych warunkach rewolucji. To też sytuacja wielkiej masy Żydów była wprost katastrofalna, biedota żyła w skrajnej nędzy, około połowy jedynie dzięki dobroczynności gmin żydowskich i zasiłkom organizacji żydowskich z zagranicy. Niestety, droga którą można było w naturalny sposób rozładować ten problem, emigracja dalej na Zachód, zwłaszcza dotychczasowy szlak do USA, została odcięta. Kraje, gdzie jeszcze do 1914 roku kierował się znaczna część uchodźców żydowskich, przestały przyjmować emigrantów. Żydzi, którzy dotarli do Polski, wprawdzie ocalili, ale znaleźli się w pułapce. Z drugiej strony, Polska nie była w stanie funkcjonować dalej jako gigantyczna przechowalnia, po prostu przekroczona została jej pojemność, a poza tym Polacy nie byli w stanie konkurować z przybyszami godzącymi się na głodowe płace. To jak wiadomo, powszechnie znane źródło kłopotów.

Jaką zaś możliwość przeżycia, mieli Żydzi nadal pozostający na wschód od aktualnej granicy Polski? Oprócz, oczywiście przestępstwa, bo wielu desperatów decydowało się z konieczności i na to (także i wśród uchodźców w Polsce). Otóż nowa władza radziecka uniemożliwiła wprawdzie Żydom wykonywanie dotychczasowych zawodów, głównie handlu i operacji finansowych, ale zniosła, przynajmniej teoretycznie, wszelkie ograniczenia, prześladowania i dyskryminację Żydów, w tym także zakaz osiedlania się. Formalnie stawali się oni pełnoprawnymi, wolnymi obywatelami, mogli się przemieszczać i mieszkać wszędzie. Praktycznie, zrównanie w prawach niewiele dawało, gdyż okazało się zrównaniem w prawach niewolników w ustroju totalitarnym. Równe prawo do ucisku.

Ale otwarła się pewna nisza ekologiczna. Oto w ZSRR została wymordowana większość „służebnicy kapitału” jak Lenin określał inteligencję. Tymczasem władza radziecka organizowała swoją biurokrację, partyjną i państwową. Wkrótce to państwo stało się najbardziej zbiurokratyzowane na świecie. Do tego potrzeba było ludzi wykształconych, albo chociaż piśmiennych i właśnie Żydzi w dużym stopniu zapelnili tę lukę, a wielu z nich doszło nawet do najwyższych stanowisk. Ponadto znaleźli oni miejsca w Cze-Ka, później

GPU i NKWD, a także wywiadzie, zarówno politycznym jak i wojskowym, oraz zwłaszcza w Kominternie. Wreszcie wśród tłumu uciekinierów, przemycano też agentów i szpiegów, a ci werbowali innych już po drugiej stronie granicy, wśród desperatów bez środków do życia ani perspektyw na przyszłość. Jest faktem, że w ruchu komunistycznym, który w Polsce był wyjątkowo mało popularny (to zrozumiałe po wojnie 1920/21), także i w kierownictwie KPP znalazło się wielu Żydów, zupełnie nie proporcjonalnie do liczby ludności. Wielu działaczy komunistycznych i okresowo większość w kierownictwie stanowili Żydzi i stąd wziął się złośliwy termin „Żydokomuna”, ukuty przez prawicę, lecz przez resztę społeczeństwa raczej wysmiewany. Mówiono, że Żydzi dzielili się na religijnych i tzw., liberalnych, ale faktycznie poglądy tych ostatnich miały nie wiele wspólnego z liberalizmem. Znaczną część stanowili komuniści.

A więc siłą rzeczy, bratobójcze walki między skrajną prawicą i skrajną lewicą musiały dotknąć także i tych Żydów. Z tych powodów, a nie rasowych które nigdy nie miały znaczenia w Polsce, zginęło w czasie okupacji kilkuset Żydów, Te walki nasiliły się w pierwszych latach po wojnie. Właściwie trzeba by to określić inaczej, w Polsce wojna trwała dalej co najmniej do 1947 roku i jedynie z powodu nadziei związanych z przybyciem Mikołajczyka nie przybrała rozmiarów powszechnej wojny domowej i jednocześnie z okupantem, co spowodowałoby straszny rozlew krwi. Przez kilka lat, Polacy usiłowali przeciwstawić się następnej okupacji i utworzonej przez nią, marionetkowej tak zwanej władzy ludowej i wcale nie marionetkowemu aparatowi przemocy. Mowa o, cóż za paradoksalne nazwy, Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego i Urzędzie Bezpieczeństwa, oraz różnym służbach mundurowych i specjalnych i ich tajnych otoczkach. Po roku 1947 Polacy stopniowo ulegli przemocy, ale i tak aparat terroru prowadził tą wojnę dalej i zwiększył terror. *Vae victis.*

Otóż Ministerstwo (nie)Bezpieczeństwa Publicznego wprawdzie nie było, jak twierdzili skłonni do przesady Polacy, opanowane przez Żydów, jednak pracowało w nim nieproporcjonalnie wielu Żydów, zwłaszcza na kierowniczych stanowiskach. Sam minister Stanisław Radkiewicz nie był Żydem, ale także nie Polakiem, zanim zaczął pełnić funkcje Polaka, zdeklarował się sam jako Białorusin, a jedynym tytułem do polskości mógł być fakt, że ożenił się z autentyczną polską Żydówką. Jednak Żydem był jeden z wiceministrów i sześciu, a potem pięciu z dziesięciu dyrektorów departamentu. Poza tym wielu Żydów wchodziło w skład rządu, lub pełniło wysokie funkcje państwowe lub partyjne. Prawdopodobnie ok. 150 tysięcy Polaków zginęło po wojnie w wyniku terroru, a wielu było prześladowanych i więzionych, przy ich współudziale. Ale były też ofiary i po drugiej stronie,

choć prawdopodobnie tylko kilkanaście tysięcy, a w tym zginęło do dwu tysięcy Żydów. Najgorsze jest to, że wielu ludzi i to po obu stronach, zginęło absolutnie niewinnie, tylko dla tego, że padło na nich podejrzenie. Na przykład obawiam się, że nie tak wielu prawdziwych oprawców UB. udało się naprawdę zabić, niewinnie podejrzani bywali także i Żydzi. Utrwalił się raczej nie traktowany na serio wcześniej slogan „Żydokomuny” rzucający podejrzenie na Żydów, a w społeczeństwie polskim zaczął się szerzyć prawdziwy antysemityzm, dotąd pojęcie obce i puste. Po wojnie, która na ziemiach polskich trwała o kilka lat dłużej, do świadomości Polaków wreszcie dotarło, że dalsza walka jest beznadziejna i trzeba z niej zrezygnować. Zrozumiałe, że czuli się oszukani i zdradzeni. W pierwszym rządzie przez sprzymierzeńców, którzy pozostali sprzymierzeńcami tylko tak długo, jak długo potrzebowali Polaków. A więc najpierw w 1939r., kiedy uratowali zachodnie demokracje, z tego Francję tylko na krótko, ale Anglię na stałe - i jeszcze potem, gdy trwając w walce ponosili najcięższe ze wszystkich narodów sprzymierzonych ofiary. A po zwycięskiej wojnie, zostali potraktowani gorzej, niż gdyby opowiedzieli się po stronie Hitlera, tracąc nie tylko pół Polski, całą wschodnią część, ale w ogóle niepodległość, rozpoczął się nowy okres niewoli, marnie zakamuflowanej.

Odbiciem tych nastrojów była nagła popularność piosenki powstałej jeszcze przy końcu tej pierwszej, niemieckiej okupacji: (melodia „Naprzód drużyno strzelecka...”) „Walka na śmierć i na życie, walka o wolność i byt, a wy z za morza milczycie, o Anglio, czy Tobie nie wstyd! My kraj bez Quislingów, Petain”ów, my naród wolności i cnót za kilka koltów i stenów, walczymy od Odry po Bug.”

Ta frustracja, poczucie zdrady rozciągało się także na Żydów. Nie z powodu działalności poszczególnych odszczepieńców żydowskich w rządzie, władzach i aparacie bezpieczeństwa, ale dlatego, że to, co tamci robili, nie spotykało się z potępieniem społeczeństwa żydowskiego, ale z pełną aprobatą. W czasie wojny, nikt nie winił Żydów za działalność takich zdrajców, jak np. Symche Spira, który na zlecenie Niemców, organizował i wykonywał publiczne egzekucje Polaków, zapewne specjalnie po to, żeby fotografie żydowskiego zespołu wieszającego więźniów mogła potem zamieszczać niemiecka i gadzinowa prasa. To jednak nie robiło żadnego wrażenia na polskich czytelnikach tych gazet, gdyż było powszechnie wiadomo, że jest on przeklinany tak samo przez własnych ziomków, jak i przez Polaków. Kanalie bywają wszędzie. Ale tym razem, po wojnie żydowskie społeczeństwo zdecydowanie wypowiedziało się po stronie wroga, a nawet wydawało się być dumne z roli, jaką renegaci i zdrajcy w rządzie i partii, a nawet i zbrodniarze oraz oprawcy z UB. mają zaszczyt odgrywać. To byli ludzie możni i wpływowi, którzy dbali o swoich i



otaczali ich opieką. Taką znajomością można było się pochwalić, nie mówiąc o tym, że zapewniała ona doraźne korzyści. Dla Polaków wprost nie do pojęcia było, że tak postępują ludzie, których niedawno z pełnym poświęceniem i ofiarą własnej krwi uratowali od zagłady. To też doszło do tego, że wielu po prostu wstydziło się tego, że ryzykowali życie dla Żydów, albo ukrywali żydowskie dzieci, albo ich krewni zginęli niosąc pomoc Żydom. Powszechnym zjawiskiem było, że dawni bohaterowie prosili ocalonych przez siebie, żeby nikomu o tym nie wspominali, bo teraz jakby ciągnął się dalej koszmar wojenny: przedtem za ukrywanie Żyda groziła kara śmierci z rąk okupanta, a teraz wrogość i pogarda ze strony własnego społeczeństwa.

Ten obraz, jaki wytworzył się w świadomości Polaków, nie był jednak prawdziwy i po latach okazało się, że konieczna jest korekta. Po pierwsze, w nowym społeczeństwie żydowskim, dawni Polscy Żydzi znaleźli się w mniejszości. Według danych Żydowskiego Komitetu Historycznego, zgłosiło i zarejestrowało się 86 tysięcy ocalonych, różnica z szacowaną na około 150 tys. liczbą wynikać może stąd, że pewna liczba od razu zdecydowała się pozostać przy dokumentach i tożsamości, jakie nabyli w czasie okupacji, inni woleli się nigdzie nie rejestrować, to taki nawyk z lat wojny a może i jeszcze dawniejszych, a wreszcie była też pewna część dzieci. Natomiast zarejestrowało się ponad 150 tysięcy Żydów ze wschodu, znaczna część to dawni obywatele polscy, którzy przeżyli wojnę w ZSRR, ale także wielu innych skorzystało z okazji, żeby tamten kraj opuścić. Żeby w ZSRR przeżyć musieli wyrobić sobie odpowiedni program zachowania, przystosować się. Stąd taka paskudna, bulwersująca Polaków nazwa jak Centralny Komitet Żydów w Polsce, prowokacyjnie przypominająca Centralne Komitety partii komunistycznych, PPR i zwłaszcza z ZSRR. Stąd karne poparcie komunistycznego ustroju, manifestacyjnie okazywany entuzjazm dla PARTII i RZĄDU i nazywanie innych pachołkami reakcji (albo karłami, zapłutymi karłami etc. szeroki wybór epitetów). Być może część Żydów Polskich, którzy przebyli piekło, mogła szczerze uważać, że hojne dotacje i specjalne przywileje, to nie próba przekupstwa ze strony nowych okupantów i posłusznego im rządu, ale jakaś forma wynagrodzenia przebytych cierpień, która im się słusznie należy. A w każdym razie, że w ówczesnej sytuacji, bezpieczniej jest siedzieć cicho i nie protestować. Jednak chyba nie można było oczekiwać na to przychylniej reakcji ze strony Polaków. Wynikiem było właśnie to, co nazywa się spóźnionym polskim antysemityzmem.

Jeszcze w 1939 r. pewna część Polaków obawiała się, że Żydzi mogą spróbować porozumieć się z Niemcami, zdradzać i szkodzić aby ułożyć sobie lepsze stosunki na koszt Polaków. Może wynikło to z faktu, że jydysz jest podobny do niemieckiego, stanowi przecież

jedną z dawnych gwar niemieckich. Te obawy się na szczęście nie sprawdziły, ale z drugiej strony społeczeństwo żydowskie nie solidaryzowało się wtedy z polskim, izolowało się i usiłowało przetrwać osobno, okupując się okupantom. Oczywiście, każdy ma prawo szukać własnej drogi ocalenia, a przez dwa lata, właściwie nieco dłużej, wydawało się, że właśnie taka droga jest skuteczniejsza. Aż do późnej jesieni 1941 Niemcy nie mordowali Żydów, to znaczy nie mordowali masowo, nie licząc indywidualnych wypadków, zadawałając się ratunkiem, no i oczywiście uciskiem i ponizaniem. Natomiast masowo mordowali Polaków. Potem jednak sytuacja gwałtownie się zmieniła i wtedy dotychczasowa taktyka okazała się fatalna, gdyż pozwoliła Niemcom w latach 1942-43 wymordować Żydów właściwie bez zaangażowania własnych sił, rękoma rozplenionych zdrajców, wyrzutków i renegatów żydowskich. Jak wiadomo, ponad 90% Getta Warszawskiego, całe Krakowskie i wiele innych, zlikwidowali żydowscy policjanci oraz konfidenci i współpracownicy Gestapo, zwani Odemanami, z niewielkim dodatkiem niemieckich formacji pomocniczych, szaulisów, ukraińców i czasem także kałmuków i łotyszów. Udział Niemców ograniczał się właściwie do wydania rozkazów i kierowania akcją. Zdarzało się, że całe kolumny Żydów pod eskortą również Żydów pędziło kilku szczeniaków z hitlerjugend. Być może, że Niemcy przeszli na łatwiejsze zadanie właśnie dlatego, że wobec zaangażowania na frontach, zwłaszcza wschodnim, nie mogli wydzielić dostatecznych sił do masowego mordowania Polaków. Dlatego terror w stosunku do ludności polskiej zmniejszyli do czegoś w rodzaju akcji straży pożarnej, skupiając go na gaszeniu ognisk otwartej walki, ale i z tym nie mogli już sobie poradzić. Natomiast Żydzi w tym krytycznym okresie znaleźli się początkowo sami, bo nie daje się tak szybko odbudować kontaktów i stworzyć aparatu, zajmującego się niesieniem pomocy. Organizacje polskie udzieliły pomocy, między innymi w postaci broni, dla istniejącego już dawniej ŻZW i nowo utworzonej ŻOB a także uruchomiono program Żegota, ale to wszystko przyszło zbyt późno, w chwili gdy już nie wiele ponad 10% Żydów pozostało przy życiu. Jednak i tak rezultatem był okres bohaterskiej walki i nie mówię tutaj o samym powstaniu w Getcie Warszawskim, ale o podobnych i innych akcjach i o całym dorobku ŻZW i ŻOB. W tym okresie cały świat patrzył na tragedię Żydów biernie, tak samo jak na tragedię Polaków. Nawet organizacje i stowarzyszenia żydowskie na zachodzie nie chciały publikować głosu umierających. Nikt nawet nie usiłował udzielić najmniejszej pomocy, za wyjątkiem Polaków, których taki sam los spotykał przedtem i najwidoczniej miał oczekiwać w przyszłości. W każdym razie takie było powszechne przekonanie. Słyszało się wszędzie „teraz my jesteśmy następni”, „po Żydach nadchodzi nasza kolej”, zwykle z dodatkiem „ale z nami nie pójdzie tak łatwo”. Tak więc zwykle uczucie solidarności w obliczu zagłady

nakazywały udzielenie pomocy, choć już nie wiele można było zrobić. Polacy zdołali ocalić może 5% Żydów, ale okupili to obficie własną krwią.

Jak wspomniałem, wymienia się różne szacunki, od około 100 do 300 tys. ludzi, ale jeżeli ktoś te bardzo przybliżone cyfry traktuje jako powód wątpliwość, to równie dobrze mógłby twierdzić, że żadne obozy koncentracyjne w ogóle nie istniały, a Niemcy wcale nie mordowali Żydów ani Polaków, bo i takie głosy padały. Niepojęte, jak daleko sięga czasem ludzka ignorancja, albo też obłuda i kłamstwo. Przecież to działo się tak jeszcze niedawno, ja sam i wielu innych ludzi widziało i pamięta te fakty. Chyba każdy zdaje sobie sprawę, że można poszukiwanego przez sprawny i skuteczny aparat policyjny (a Niemcy, niestety, mieli ten aparat dobrze zorganizowany) przechowywać przez kilka dni, nawet parę tygodni, ale przy paru miesiącach rokowania są niedobre, a przy paru latach po prostu znikome.

Uprzednio przedstawiono wypadek, w którym próba ukrywania i pomocy w ucieczce dla czterech jeńców angielskich kosztował życie 46 ludzi. Podobnie za pomoc Żydom, jedyną karą była śmierć. O tym wszyscy mogli się dowiedzieć nie tylko z często rozlepianych obwieszczeń niemieckich, ale także naocznie, ponieważ w takich wypadkach Niemcy starali się o pokazanie odstraszonego przykładu i stosowali odpowiedzialność zbiorową. Wspomniano o spalonym domu w Ostrowcu, w którym zginęły dwie polskie rodziny, a niedaleko, może 10 km od Ostrowca znajdowała się wieś (zdaje się, że nazywała się Borek Kunowski?), która cała została spalona i wszyscy mieszkańcy zginęli, gdyż ukrywali grupę Żydów. Oczywiście to kwestia szczęścia, czasem się udało i nikt nie zginął, ale czasem próba ocalenia jednego kosztowała kilka, albo nawet wiele innych istnień. Niepodobna ustalić dokładnej cyfry i przybliżone szacunki różnią się, gdyż ludzie ginęli masowo z różnych powodów, ale uważam za pewne, że w takich warunkach więcej musiało zginąć niosących pomoc, niż było uratowanych. Szanse przy długim okresie ukrywania się maleją, prawie do zera. Autor zdaje sobie z tego sprawę gdyż sam korzystał z kryjówki, przygotowanej pierwotnie z myślą o Żydach i jednak został w niej znaleziony, ocalał tylko dlatego, że trafił na przyzwoitego Niemca, a to wydało mu się wtedy zdumiewającym zbiegiem okoliczności, wprost nie do wiary. W każdym razie rachunek prawdopodobieństwa wypadał niekorzystnie i przeciętnie życie jednego uratowanego kosztowało więcej niż jedno życie, utracone przy tych usiłowaniach, może dwa albo więcej, statystycznie, gdyby prowadzono taką statystykę. Jeżeli bilans zysków i strat był aż tak niekorzystny, to dlaczego w ogóle prowadzono tą akcję, albo dlaczego nie zaniechano jej, kiedy ten rachunek wskazał na takie wyniki? Odpowiedź jest prosta, po prostu dlatego że ludzie cierpieli i umierali, a nikt inny na całym świecie nie przyszedł im z pomocą i to był naturalny odruch. Nie było wyboru, nie można inaczej

postąpić. Istnieją takie pojęcia, jak poczucie obowiązku i sumienie. Może najprościej ujmując to zakończenie okupacyjnego wiersza:

„...że żyć nie warto dla siebie, dla siebie tylko się trudzić i los nasz nie jest ważniejszy od losu innych ludzi.” Oczywiście nie wszyscy rodzą się bohaterami. Ale ci, którzy pierwsi, wyprzedzając działania władz Polski Podziemnej i Armii Krajowej, można powiedzieć ochotniczo, z własnego popędu i serca, nie licząc się z niebezpieczeństwem, rzucili się na pomoc Żydom, chyba zasłużyli na tą nazwę. Dziwna rzecz, bo przecież byli wśród nich także i tacy, którzy raczej nie lubili Żydów, a nawet zaliczani przed wojną byli do polskich antysemitów. Tak, ale polski antysemityzm to specyficzna nazwa i nigdy nie zagrażał on Żydom, ani nie nawoływał, ani tym bardziej nie stosował przemocy. Wspomniano tutaj, jak silne były związki uczuciowe Polaków z Francją, a przecież byli i tacy Polacy, którzy nie lubili, ba nawet nie cierpieli Francuzów, a o Francji nie chcieli nawet słyszeć. Sympatie i antypatie to sprawa prywatna, mogą być i często bywają irracjonalne, ale i tak niczego nie można narzucić. Jest to sprawa wewnętrznej wolności myśli i przekonań, do których każdy człowiek ma prawo. Można kogoś lubić albo nie, i na tym, między innymi, polega wolność osobista. Więc nie miejmy za złe na przykład wspomnianemu już Janowi Mosdorfowi, albo dr Stanisławowi Trzeciakowi, przed wojną najbardziej znanym polskim antysemitom, że wyznawali takie poglądy, skoro w godzinie próby, bez wahania narazili się na śmierć i rzeczywiście zginęli, niosąc pomoc dla Żydów. Wybrałem te dwa nazwiska, gdyż wielu nie znam, choć kilka jeszcze mógłbym dołożyć. Ale nie o to chodzi. Przecież ci ludzie, którzy przed wojną nawoływali do odejścia, do emigracji Żydów z Polski, a których z tego powodu nazwano polskimi antysemitami, po prostu myśleli racjonalnie. Polska stała się największym skupiskiem Żydów w Europie i świecie. Oprócz Polskich Żydów ciągle napływała fala uchodźców ze wschodu, a dla tych, którzy chcieli odejść, droga była zamknięta, wyciekał tylko mały strumyczek i trochę kapąło nielegalnie. Potrzebę emigracji widziało także wielu Żydów i jak wiadomo, dlatego doszło do pozornie paradoksalnej współpracy syjonistów ze skrajnymi polskimi „antysemitami”. Gdyby ten problem został w porę rozładowany, nie doszłoby do najstraszniejszej w historii tragedii. Polska stała się pułapką, z której świat nie pozwalał Żydom uciec, pętla zaciskała się aż do chwili, gdy oni wraz z całym krajem wpadli oni w szpony Hitlera. Może niektórzy nieśli pomoc z motywów religijnych. Lecz byli też zwolennicy innych światopoglądów, całkiem ziemskich i cywilnych, zarówno lewicowych jak prawicowych, agnostycy i tzw. wolnomyślni, humaniści oraz jeszcze inni, jednym słowem coś w rodzaju pospolitego ruszenia. Można tylko żywić nadzieję, że bez względu na to czyj

Bóg i religia okazały się słuszne, czekały po tamtej stronie, wszyscy znaleźli się w jakiejś formie nieba.

Owszem, byli i tacy, którzy szli na świadome ryzyko po prostu za zapłatą. Gdzie na świecie nie zdarza się, że poszukiwany zdoła się ukryć dzięki temu, że ma pieniądze. Ale od razu na taki zarzut odpowiem, że w ramach akcji Żegota z reguły to ukrywający się Żydzi otrzymywali zasiłki, a nie odwrotnie, zaś około 90% tych środków wniosło społeczeństwo polskie, reszta to były fundusze przekazywane przez Rząd Emigracyjny.

Gdy następnie sprawa przeszła w ręce profesjonalnych konspiratorów i wojskowych, z pewnością bardzo poprawiło to wyniki. Nie polegano teraz na osobistym poświęceniu idealistów. Jeżeli udało się wyciągnąć Żyda z getta lub transportu, po przygotowawczym okresie przede wszystkim zapewniano mu nowe dokumenty. W tym celu wykorzystano doświadczenia istniejących dotąd, tzw. komórek legislacyjnych, a także uruchomiono nowe wytwórnie dokumentów, z reguły w ramach AK. Potem tak przygotowany Żyd, przerzucony w nowe środowisko, po prostu przestawał się ukrywać i samodzielnie udawał tam Polaka. Część najbardziej potrzebujących otrzymywała zasiłki, niestety od okazji do okazji i bardzo skromne. Jak już wspomniano ten problem dotyczył nie tylko Żydów. Na przykład także sieroty i wdowy po poległych w walce, a nawet i wojskowi na pełnym etacie w pracy podziemnej, którzy przecież musieli z czegoś żyć, też otrzymywali akurat tyle, że z trudem mogli przetrwać. Równość w biedzie, gdyż nie było co dzielić.

Nadal czyhały różne niebezpieczeństwa, od spotkania przypadkowego znajomego (co nie znaczy, żeby ten miał go wydać, ale niestety Polacy są gadatliwi), aż do, w najgorszym wypadku, agenta Gestapo albo zawodowego szantażysty, bo i tacy byli, zwano ich hienami. Te kanale trafiały się zarówno wśród Polaków, jak i samych Żydów. Oczywiście nie z powodu poziomu moralnego, lecz niebezpieczeństwa dla życia innych, był tylko jeden sposób postępowania z nimi. Odkrytych Żydów zabijali. ale teraz nie było aż tylu ofiar dokoła, gdyż otaczający ich ludzie z reguły naprawdę nie wiedzieli nic. A przynajmniej mogli się usprawiedliwiać, że nie podejrzewali, iż dokumenty były fałszywe i mieli do czynienia z Żydem. Oczywiście istniało niebezpieczeństwo, że sam skazany wskaże swoich opiekunów, ludzie są różni i część załamuje się w obliczu śmierci. Ale trzeba powiedzieć, że na ogół Żydzi zachowywali się dużo lepiej, niż wspomniani wyżej lotnicy angielscy, umierali sami, jednak rzadko kogoś wydali na śmierć.

Na koniec jednak, chociaż chciałoby się milczeć, nie można pominąć jednej tragedii, która pozostawiła paskudną plamę na historii stosunków polsko-żydowskich i w ogóle na honorze Polaków. Mowa o pogromie kieleckim, po oszustwie, jakiego dopuściły się władze

komunistyczne z rozkazu Stalina, przeprowadzając zamiast wolnych wyborów zagwarantowanych Polakom umową międzynarodową w 1946r., referendum. Począwszy od tej wstępnej niespodzianki, przygotowania do odłożonych wyborów przebiegały w atmosferze krwawego terroru, a ofiarą padło, oprócz ruchu oporu, tysiące działaczy teoretycznie legalnego PSL, z którymi i oczywiście Mikołajczykiem, Polacy wiązali z nimi ostatnie nadzieje na pewien samorząd wewnętrzny i trochę autonomii. Oczywiście jasne jest, że nawet i Mikołajczyk, gdyby wybory przeprowadzono uczciwie i utworzył większościowy rząd, musiałby jednak dopuścić do niego także komunistów mimo małego stosunku głosów dla nich, oraz w pewnym stopniu podporządkować się Moskwie. Ale Stalin nie życzył sobie żadnych kompromisów, ani nie starał się zachować pozorów. Nie poprzestając na normalnym terrorze Urzędu Bezpieczeństwa, dodatkowo polecił zabijać aktywnych członków PSL skrytobójczo, nie w więzieniach, ale w ich miejscach zamieszkania i często własnych domach, w ich otoczeniu i środowisku w celu zastraszenia. W miarę zbliżania się terminu wyborów, nasilano terror, mobilizując wszystkie siły aparatu przemocy. Bezpieczeństwo szalało. Głosowanie i tak nie miało żadnego znaczenia, wyniki zostały z góry podyktowane i chodziło tylko o to, żeby nikt nie odważył się głośno protestować. To wszystko odbywało się prawie jawnie i było oczywiste dla każdego, kto w tym czasie przebywał w Polsce.

Otóż pogrom kielecki nastąpił po referendum i właściwie jeszcze przed ogłoszeniem wyników. Społeczeństwo polskie uważało go powszechnie za prowokację władz. Wszyscy żyjący w tych czasach podzielali to zdanie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że cała odpowiedzialność zań spada na ustrój komunistyczny. Tym bardziej zdumiewający jest fakt, że obecnie niektórzy publicyści usiłują wmówić czytelnikom, że owszem taka teoria była, i nawet przeprowadzono w tej sprawie badania i poszukiwania, ale nie znaleziono konkretnych dowodów, który by ją potwierdzały.

Takie stawianie sprawy to po prostu obraza inteligencji i nie wydaje się prawdopodobne, żeby można tak twierdzić w dobrej wierze. Korzystając z pół wieku, które minęły od tych czasów i że duża ilość żyjących teraz nie pamięta, a nawet nie jest w stanie wyobrazić sobie dobrze ówczesnych stosunków, zainteresowani w zaciemnianiu faktów posługują się argumentacją, która dla ludzi przyzwyczajonych do normalnych warunków wydają się mieć pewne pozory logiki.

Nie znaleziono dowodów, zapewne rozkazów podpisanych przez samego Stalina, albo co najmniej któregoś z jego zaufanych współpracowników? Równie dobrze można by twierdzić, że nie znaleziono nigdy żadnych konkretnych dowodów, iż zagłada europejskich Żydów odbyła się z rozkazu Hitlera.

Mój Boże, przecież nigdy na serio nie kwestionowano faktu, że pogromy Żydów w Rosji przy końcu XIX i na początku XX wieku organizowane były przez władze, chociaż też nie znaleziono rozkazów Cara, ani żadnych dokumentów, np. rządu. Zapewne, gdyby ktoś wysunął propozycję poszukiwań, popatrzono by na niego, jak na głupiego. Skąd więc tak absurdalny argument w wypadku pogromu kieleckiego? Czy nie jest dostatecznym dowodem, że scenariusz tego pogromu jest dokładnie taki sam, jak tamtych? Nawet i ta sama prymitywna pogłoska o Żydach, którzy porwali chrześcijańskie dziecko aby karmić się jego krwią (sic! dosłownie), dodawaną do tzw. macy. Ta pogłoska krąży przez kilka dni i wszyscy o niej słyszeli, w końcu gromadzi się podburzony tłum, ale ten tłum nie wpada w amok tak od razu, sytuacja rozwija się długo, potem dochodzi do mniejszych aktów przemocy i w końcu, do mordowania. A przez ten cały czas - to typowe, tak właśnie zawsze bywało w Rosji - nie ma żadnej reakcji, ani milicji, ani służb porządkowych, ani Urzędu Bezpieczeństwa. Nawet więcej, bo pierwsze strzały w stronę Żydów oddaje patrol Milicji. W dawnej Rosji, mogło czasem dojść do zaburzeń, przy których reakcja władz nie nastąpiła na czas. Ale w wypadku państwa totalitarnego to absurd, niemożliwe, chyba, że ustrój się rozpada. To przywodzi na myśl późniejszy wiersz Mariana Hemara pt „Milicja była bezsilna”(napisany przy okazji jakiejś manifestacji przed ambasadami zachodnimi w Moskwie, też sfabrykowanej przez władze). W takim ustroju nie było mowy, żeby ktoś publicznie ośmielił się wyrazić swoje zdanie. Gdyby doszło do demonstracji przeciw reżimowi komunistycznemu, takie wystąpienie zgniecionoby natychmiast wszelkimi środkami. Do akcji rzucono by nie tylko milicję i siły bezpieczeństwa, w razie potrzeby także i wojsko, nawet z artylerią i bronią pancerną (jak było w Poznaniu), a interweniować mogły także okupacyjne wojska radzieckie. Przecież w tym samym okresie przeprowadziły one szereg ekspedycji karnych według metod hitlerowskich, niszcząc wsie w rejonie kanału Augustowskiego i okolicy, gdyż solidarny opór całej ludności powodował, że własne siły reżimu nie wystarczały. 1946? Przecież sporadycznie takie akcje okupantów zdarzały się jeszcze aż do roku 1948!

Tak więc sam sposób popełnienia zbrodni, modus operandi, wskazuje na zbrodniarza. A także i to, że nikt inny nie miał takich możliwości i potrzebnej władzy. Natomiast poszukiwanie jakichś dokumentów, rozkazów na piśmie lub czegoś podobnego, to w najlepszym wypadku nieporozumienie, jeżeli nie celowa próba siania zamętu, Poszukiwania, ale nie prawdy, tylko sztucznych wątpliwości. Przecież w archiwach dawnej Ochrony też niczego takiego nie znaleziono, chociaż jej powiązania z Czarną Sotnią były oczywiste i nikt nie miał takich wątpliwości. A tutaj? Czyż sam Stalin, bodaj na 16 zjeździe, nie pouczał: „Możecie robić wszystko.... ale nie pozostawiajcie żadnych dowodów, zwłaszcza

dokumentów na piśmie...”. Delegaci przyjęli wtedy te słowa śmiechem, traktując je jako żart. Co za fatalne poczucie humoru, wkrótce prawie wszyscy nie żyli.

Ale to jeszcze nie wyjaśnia sprawy. Pozostaje pytanie, dlaczego tym razem prowokacja się udała. Przecież w przeszłości, gdy Ochrańa próbowała zmontować podobne pogromy, nigdy nie udało się wciągnąć w to Polaków, którzy przeciwnie, z reguły starali się bronić Żydów nawet na tych terenach, na których znajdowali się sami też w mniejszości. Dlaczego ten jedyny raz w historii doszło do tak paskudnego i idiotycznego zakończenia? Czy to z powodu fali antysemityzmu i ksenofobii., jaka przeszła wówczas przez Polskę?

Raczej jednak nie. Polacy przeszli wiele klęsk, które zwykle u ludzi powodują uczucia ksenofobii i nawet paranoi, a jednak nie reagowali krwiożerczo. Po tragicznie wygranej II Wojnie Światowej, w wyniku której „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły” - Polska rozpoczęła nowy półwieczny okres niewoli, a Żydzi, co się dotąd nigdy nie zdarzyło, przeszli na pozycje wrogów, więc nastroje nie mogły być przyjazne. Ale to jeszcze by nie wystarczyło, Polacy z reguły nie reagują zbyt gwałtownie, raczej przeciwnie, zbyt słabo i opieszale, na tej ziemi nie zdarzały się takie rozlewy krwi, jak w innych państwach. Cudzoziemcy wręcz zarzucali, że to brak temperamentu. Na przykład w okresie Wielkiej Rewolucji, Francja spłynęła krwią, wybuchł wielki terror, a zaczęło się od tego, że niektórzy zwolennicy monarchii szukali pomocy zagranicą, co wtedy było właściwie normalne. W analogicznej sytuacji w Polsce, doszło zaledwie do kilkunastu samosądów, gdyż sami przywódcy rewolucji położyli temu kres. A patrząc bliżej, przecież w listopadzie 1939 r. Niemcy usiłowali sprowokować właśnie pogromy Żydów, w których sami w tym okresie nie brali udziału. Nastroje antysemityczne też wtedy były, z powodu wiadomości dochodzących z terenów sowieckiej okupacji, gdzie w NKWD i innych służbach specjalnych, zajmujących się mordowaniem i prześladowaniem Polaków - a rozpoczęli to i wcześniej i z większym natężeniem niż Niemcy, bardziej skutecznie - pracowało wielu Żydów. Świeża klęska też była i płynące z niej uczucie ksenofobii oraz wręcz paranoiczne szukanie winnych i zdrajców. A jednak nie udało się zachęcić Polaków do ekscesów antyżydowskich, choć agenci niemieccy w Warszawie zaczęli od rozbijania sklepów żydowskich, wzywając motłoch do rabunku bez żadnego ryzyka. Ani też w Łodzi, gdzie 11 listopada Niemcy wysadzili w powietrze pomnik Kościuszki, ogłaszając w prasie i wszystkich mediach, że to robota żydowska. A następnego dnia, 12 listopada wysadzili w powietrze świątynię żydowską, przedstawiając to z kolei jako zemstę Polaków. Jednak te próby spotkały się z niepowodzeniem.



Tak, ale od tej pory okupanci starali się zdekapitować społeczeństwo polskie. Pierwszym celem terroru stali się ludzie wykształceni, zwłaszcza z dyplomem uniwersyteckim, a także znani z autorytetu i poważani w otoczeniu, samodzielnie myślący. Akcja AB to polowanie i odstrzał inteligencji, w celu wytępienia naturalnych, potencjalnych przywódców i takie postępowanie było konsekwentnie kontynuowane podczas wojny przez obu okupantów, a po wojnie przez okupanta sowieckiego, który od początku, jak już wspomniano, stosował metody skuteczniejsze nawet od Niemców. Mimo woli ciśnie się na usta słowo Katyń, ale przecież to tylko niewielki symbol metody postępowania, trochę więcej niż 1% tych co zginęli, tyle, że najbardziej znany. Po wojnie zaś, pracujący pod bezpośrednim nadzorem sowieckim Urząd Bezpieczeństwa prowadził dalej bez pośpiechu, ale systematycznie akcję wyczesywania społeczeństwa. W okresie przed wyborami, terror znów gwałtownie się nasilił, ginęły tysiące, w pierwszym rządzie działaczy PSL i Mikołajczyka. Oprócz normalnych represji, działały skrytobójcze „szwadrony śmieci”, złożone często z tych samych ludzi, którzy w dzień wtrącali do więzienia (z którego też można było nie wyjść, albo wyjść złamanym na całe życie), a w nocy mordowali dodatkowo na drugi etat.

Właściwie po wojnie wszyscy ludzie myślący samodzielnie, ci, co stanowią sumienie i rozum narodu, albo nie żyli, albo siedzieli w więzieniach lub „obozach reedukacyjnych”, albo jeżeli mieli szczęście, uciekli i ukrywali się przed służbami bezpieczeństwa, a w najlepszym wypadku, nie ośmielając się wyjść z domu, dopiero czekali, kiedy po nich przyjdą. Rósł młody las, nowe pokolenie inteligencji z początku nadal wierzące w te same ideały, choć władze komunistyczne czyniły wszystko, żeby znaleźć i wychować ludzi sobie oddanych. Najpierw to się nie udawało, ale po latach jednak w pewnym stopniu. Ale to już dalsza sprawa, w tej chwili istotne jest, że naturalni przywódcy i wszyscy ludzie liczący się zostali zlikwidowani, albo przygwożdżeni, albo znajdowali się daleko od swego środowiska, albo, jak się to mówiło, na widelcu. Dekapitacja społeczeństwa jednak się częściowo udała i stąd powodzenie prowokacji służb bezpieczeństwa w Kielcach.

Nie ma potrzeby udowadniać, że na rozkaz okupantów, bo przecież wszyscy wiedzą, przez kogo i dla kogo zostały powołane te służby, a także że w tych latach bezpośrednio kierowane były przez licznych „specjalistów” i „doradców” sowieckich. Scenariusz uderzająco prymitywny: Wysłano patrol, w celu przeprowadzenia rewizji w poszukiwaniu rzekomo zaginionego dziecka. Mieszkańcy, Żydzi, boją się otworzyć, milicjanci nie mogą sobie dać rady. Proszą o pomoc żołnierzy, z których część potem tajemniczo znika. Nie było człowieka, który mógłby się przeciwstawić, własnym przykładem uspokoić podburzony tłum ludzi prostych, myślących niezbyt bystro i logicznie, podatnych na podszepty propagandy. Z

dalszych dochodzeń i procesów znane są postacie tych ludzi, których udało się odnaleźć: to prostaczowie o dość niskim poziomie intelektualnym, w gruncie rzeczy nie mieli złych intencji, sądzili, że pomagają władzy. Nie zdolni do samodzielnej refleksji, dali się popchnąć i posterować, a dalej sytuacja rozwijała się jak w podręczniku, „Psychologia tłumu”.

Dlaczego doszło do tej bezmyślnej, krwawej hańby, kto i po co ją zorganizował i pokierował?.

To proste, odpowiedź nasuwa się sama, jeżeli spojrzysz się na całokształt współczesnych wypadków. Oto w wyniku wojny, jeden z członków zwycięskiej koalicji zostaje zdradzony przez swoich sojuszników i po raz drugi wydany na łup wroga. Dla zachowania pozorów, osłonięto to umowami międzynarodowymi, które miały zapewnić Polakom przynajmniej prawo do przyszłych wolnych wyborów. Opinii publicznej wmówiono, że wszystko jest w najlepszym porządku. Czego ci Polacy krzyczą, przecież mają zagwarantowane prawa i to co się dzieje, to dla ich własnego dobra? A w ogóle, to niepoważni i wciąż niezadowoleni ludzie. Tymczasem teraz te rzekomo zagwarantowane wolne wybory zmieniły się w krwawą, farsę albo tragedię. Ludzie, dodani jako dekoracja do tzw. Rządu Jedności Narodowej, którzy przyszli z emigracji albo z autentycznego polskiego ruchu oporu z dobrą przeszłością, w nadziei, że uchronią współobywateli od najgorszego, będą mieli wpływ na ich los, sami znaleźli się w niebezpieczeństwie. Podobnie jak przedtem los Żydów Polskich, także i to co spotykało teraz Polaków okrywała zmowa milczenia. Po prostu nikt nie chciał o tym słyszeć, ludzie wolą nie wiedzieć czegoś, co niepokoi sumienie, a więc środki masowego przekazu nabrały wody w usta. Natomiast komunistyczna prasa i także wiele ośrodków na zachodzie z nią związanych (a po wojnie z początku wielu ludzi uważających się za postępowych, bezkrytycznie ulegało tym wpływom), posuwała się do tego, żeby nazywać ludzi którzy pierwsi walczyli z faszyzmem, biorąc na siebie pierwsze uderzenie i osłaniając w ten sposób innych - reakcjonistami i faszystowskimi pachołkami. Jednym słowem atmosfera dla Polaków nie była przychylna, lepiej od ginących odwrócić się plecami, a już zwłaszcza jeżeli ma się u nich dług..

Ale po odłożeniu wyborów i zastępczym referendum, co było jawnym oszustwem i złamaniem porozumienia, część prasy światowej zainteresowała się tą sprawą. Pojawiają się komentarze nie zbyt przychylnie dla Sowieców i komunizmu, niekiedy nawet na pierwszych stronach. W takiej chwili dochodzi do pogromu kieleckiego. Ginie 44 ludzi, a kilkudziesięciu do stu, zostaje rannych lub pobitych. Większość, 39 ofiar, mają tylko jedną cechę wspólną, są Żydami. W okresie przedwyborczym, co dzień ginęło więcej ludzi i nikt się tym nie przejmował. Tak, ale to zabójstwo ze względów rasowych, pierwsze po potwornej tragedii

żydowskiej i wrażenie na całym świecie jest fatalne. Nikt nie zajmuje się teraz wyborami, terrorem i związanym z tym, ponownym wprowadzeniem ludobójstwa, natomiast pogrom w Kielcach trafia na pierwsze strony gazet. Imię Polski i Polaków zostaje zbrukane. Wygląda na to, że komuniści mieli jednak rację, a ci Polacy to zbiry. Protesty PSL i Mikołajczyka, a także ambasadorów zachodnich, schodzą na ostatnie miejsca w wiadomościach..

Krótko mówiąc jest motyw. Wprawdzie to nie dowód, tylko poszlaka. Ale w połączeniu z jedyną możliwością popełnienia przestępstwa, gdyż do zapewnienia bezczynności milicji i sił bezpieczeństwa w totalitarnym ustroju, nieodzowne jest posiadanie pełnej władzy, to chyba dostatecznie poważne? Spiskowa teoria historii to bzdura. Ale w tym wypadku zbieżność przyczyn i skutków jest uderzająca. Czyż każdy sąd nie orzekłby winy, na podstawie motywu i jedynej możliwości popełnienia zbrodni?.

Fatalne zakończenie wspólnej historii, zwłaszcza w okresie, gdy mniejszość żydowska z ponad 10% stopniała do ok. 1% i nadal szybko malała, bo gdy tylko otwarty się takie możliwości, ta reszta szybko emigrowała do Izraela. Żadne komunistyczne przywileje nie były w stanie ich powstrzymać, chociaż sama możliwość emigracji była też swojego rodzaju przywilejem w czasie, gdy Polacy uciekali za granicę ryzykując życie. Ostatecznie w Polsce pozostało zaledwie około 0,1 % Żydów i to albo prawi (właściwie lewi) komuniści, którzy zapewnili sobie wysokie, a przynajmniej dobre stanowiska, albo też Żydzi naprawdę związani sercem z tym krajem, tacy, którzy deklarowali się kiedyś jako Polacy Mojżeszowego wyznania. Ci drudzy znacznie przeważali ilościowo, ale też nie mieli lekkiego życia, spotykały ich liczne przykrości z powodu tych pierwszych. To też i jedni i drudzy zmieniali nazwiska na polskie, ci pierwsi, żeby się zakamuflować, często wręcz na polecenie KGB, zaś ci drudzy jako dalszy krok do naturalizacji, a czasem pozostając przy takich, jakie otrzymali w nowych dokumentach stanowiących ratunek w czasie okupacji..

Co można d Żydów, który, kneblując rozpaczliwe wołania ginących i nazywając wiadomości o Holokauście kłamstwem, żeby do końca wszystko powiedzieć, polskim kłamstwem. Zmowa milczenia, z którą Polacy już wtedy się spotkali..

Znam wiele relacji, o dobrym, nawet serdecznym stosunku do uciekinierów i wygnańców, a potem także do turystów z Polski, zwłaszcza gdy żyło jeszcze starsze pokolenie. Zresztą Izrael powstał przecież w dużej mierze na bazie Polskich Żydów, a jak wiadomo, byli między nimi pierwsi przywódcy państwa i armii (nic dziwnego, bo praktycznie wszyscy Żydzi na świecie musieli mieć, wcześniej czy później, jakieś związki z tym krajem, w którym kiedyś przetrwali, a przy końcu ginęli). Wszystko to, pozwala nieco bardziej

optymistycznie spojrzeć na przyszłość i na świat. Swoją drogą to dziwne, jak piękny i w gruncie rzeczy prosty świat, został zapaskudzony i pokomplikowany przez ludzi.].

\* \* \*

Od czasu pamiętnej rozmowy, Angus ostatecznie zraził się do NSZ. Zresztą i przedtem, pociągała go jedynie łatwa możliwość dostania się do zorganizowanego oddziału i walki zbrojnej z Niemcami. Sądził że to najważniejsze, a różnice polityczne mają drugorzędne znaczenie. W rzeczywistości, Brygada Świętokrzyska miała inny cel..

Natomiast coraz więcej przekonania nabierał do PPS. Różnica poziomu między dyskusją na zebraniach kółek MWP, a rozmowami z profesorem Niedzielskim była ogromna, wiele poziomów. Niedzielski ani nie namawiał do niczego Angusa, ani nie usiłował go przekonać. Raczej sam Angus podczas rozmów wracał do tematu PPS. Z jednej strony to, czego dowiedział się i potem samodzielnie sprawdził, o tradycji walk o niepodległość, fascynowało, z drugiej miał nadal mnóstwo wątpliwości. Światopogląd ten był sprzeczny z przekonaniem, jakie wyniósł z domu i akceptował od dziecka. Tak więc to on zadawał pytania, a Niedzielski ograniczał się do odpowiedzi, nadal zachowując zasadę równości dyskutantów..

Pierwsze zastrzeżenia dotyczyły teorii marksistowskiej. Wprawdzie Angus nie znał jej dokładnie, raczej w dużym skrócie. Nigdy nie zdołał się zmusić do przeczytania pierwszego tomu „Kapitału” choć miał go w rękach, a zwykle to się nie zdarzało, każdą książkę czytał od deski do deski. Nawet jeśli nie rozumiał całości, to zawsze znajdował jakieś miejsca interesujące. Ale tym razem, ograniczył się do popularnych skrótów i omówień, jak się mówi o podręcznikach i lekturach, tzw bryków. Nawet skrót bardzo mu się nie podobał, a zwłaszcza zastrzeżenia miał do aparatu matematycznego Marksa. To nie była matematyka, ale nieporozumienie albo próba wprowadzenia w błąd. Samo pojęcie wartości nie było jednoznacznie zdefiniowane, więc co mówić o nadwartości, a cała reszta oparta na lotnych piaskach. Tam, gdzie Marks usiłował wyprowadzić żelazne prawo powszechnego ciężenia, raczej przydałaby się teoria względności. Wyglądało, że Marks uciekł się do wątpliwej matematyki, usiłując w rzeczywistości zyskać efekt propagandowy, przekonać chwiejnych i natchnąć wątpiących swoją wiarą. To się zemściło, gdyż następni „genialni” kontynuatorzy z kolei tak wykręcili kota ogonem, że i on sam nie poznałby swego dzieła..

Na pierwszy rzut oka widać, że pojęcie wartości, to nie tylko brak precyzji ani mała wada, ale zasadniczy błąd. Abstrahując od tego, że nie sposób określić absolutnej wartości, a tylko przybliżenie, pojęcie średniej czy przeciętnej nie ma sensu i niczego nie rozwiązuje. Nie istnieje bezwzględna wartość, tylko różne wartości dla konkretnego konsumenta, odbiorcy lub

producenta. Wprowadzenie pojęcia absolutnej wartości z nakładów producenta, ilości społecznej niezbędnej pracy(!) prowadzi konsekwentnie do wniosku, że postęp techniczny obniża wartość wszystkich dóbr, w tym i tych już wyprodukowanych. Nie ma miejsca na postęp techniczny i postęp w ogóle przy takim systemie wartości, a z drugiej strony w innych działach teorii pojęcia te są niezbędne, to wewnętrzna sprzeczność logiczna. Tym bardziej nie mieści się tu postęp naukowy i cywilizacyjny, ani wartości niematerialne, leżące w strefie myśli lub wiedzy. Reductio ad absurdum..

W przybliżeniu i dużym skrócie, to było to, co Angus z wielkim zaangażowaniem i ogniem, jednym tchem i w postaci niezbyt uporządkowanej, wyrzucił z siebie w rozmowie z Niedzielskim. Śpieszył się przy tym bardzo, bo szczerze mówiąc oczekiwał i obawiał się gwałtownej reakcji. Dobrze, jeżeli to będzie tylko ostry spór, ale gorzej jeżeli człowiek, którego już podziwiał i szanował, nie zechce z nim więcej gadać. Jednak „Amicus Plato...”, musiał trzymać się tego, co uważał za prawdę i tym bardziej chciał szybko powiedzieć wszystko, co miał do powiedzenia..

Tymczasem Niedzielski wysłuchał Angusa do końca nie przerywając mu i potem powiedział: - Marksizm jest tylko pewnym, minionym etapem z przeszłości socjalizmu. To normalne, że w pewnym okresie, przyjmuje się hipotezę roboczą, która wyjaśnia pewne zjawiska, ale później zaczynają się mnożyć obserwacje, których ta hipoteza już nie jest w stanie wyjaśnić i trzeba tworzyć następną i tak dalej. To zwykła kolej rzeczy i chyba zdaje pan sobie sprawę, że we wszystkich naukach. Socjalizm już wyrósł z Marksa, a obecnie wydaje się, że najbardziej cenionym teoretykiem jest, a w każdym razie był przed wojną de Man, polityk belgijski. Dla mnie osobiście jest on najbardziej przekonujący i chętnie pożyczę panu jego książkę, żeby mógł Pan sam ją przeczytać i osądzić.- To mówiąc podał „Psychologię socjalizmu” i dodał: Ale swoją drogą, myślę, że jest Pan niesprawiedliwy w stosunku do Marksa. Nie był on wcale takim zatwardziałym dogmatykiem, jak Pan sobie wyobraża. Niech Pan myśli o nim, jako o młodym człowieku, inteligentnym i pełnym zapału, szybkim w języku i piórze, o otwartej głowie i poglądach. Niestety, w średnim wieku gasł już szybko i dlatego śpieszył się, chciał rozpaczliwie przekazać to co czuje a po raz pierwszy w życiu jakoś mu nie szło i dlatego wiele rzeczy jest niedopracowanych. Poza tym, w sprawie wartości to nie jego własny pomysł, posługiwał się takim aparatem naukowym, jaki ofiarowała współczesna ekonomia, a był to aparat niedoskonały. Marks nie był ani ekonomistą, ani matematykiem, tylko filozofem, stąd i część matematyczna jest rzeczywiście naciągana. Ale i tak, jak na 19 wiek, wniósł zadziwiająco dużo i wiele wypowiedzi i uwag jest jednak niezwykle trafnych. A znowu te wątpliwe pojęcia, do dzisiaj sprawiają wiele

trudności. Jednym słowem, w swoim czasie to był postęp i spełnił pożyteczną rolę, a przecież w żadnej dziedzinie nie można kształtować współczesnych pojęć dokładnie według wzorów z przed wieków. Zresztą sam Marks wypowiedział się w tej sprawie, stwierdził, że nie pragnie zostać autorytetem i nigdy nie stworzył zamkniętej teorii, najważniejsza jest swoboda myśli i dalszy rozwój. Nie ponosi odpowiedzialności za to, co zrobili z niego epigoni.-.

Angus był zaskoczony, ale ta rozmowa była bardzo po jego myśli. po prostu przyjął ją z entuzjazmem, podobnie jak książkę. Żadnych pouczeń, przekonywania, czy może oburzenia, tylko materiał do samodzielnych przemyśleń. Nadal miał zamiar odnieść się do tych materiałów krytycznie. Argumenty jednej strony są z natury właśnie jednostronne, tak jak masło jest maślane. Ale trzeba je najpierw poznać, żeby samemu wyszukać kontrargumenty i móc zająć stanowisko, ewentualnie się przeciwstawić. Postanowił, stanąć na pozycji „advocatus diaboli” nawet, gdyby doszedł do innych wniosków, bo może od razu właściwe myśli nie napłyną, trzeba będzie więcej czasu. Ale nie wątpił, że coś do zakwestionowania znajdzie, wierzył we własną inteligencję..

Mimo tego założenia, książka zrobiła wrażenie. Spotkał się z nowym podejściem i naświetleniem znanych faktów. Wnioski, z którymi najzupełniej się zgadzał. Choć tak naprawdę nigdy nie myślał, były to jakby jego własne myśli, pasowały do tego co wiedział, lecz były lepiej, niż sam by zdołał, ujęte i sformułowane. Choć oczywiście, także wiele materiału zupełnie nowego, o którym nie był w stanie się na razie wypowiedzieć. Socjalizm nie jako naciągana, podparta dopasowanymi z góry wynikami doktryna, ale jako naturalna potrzeba umysłu, konsekwencja idei wolności i sprawiedliwości. Krótko mówiąc uzupełnienie i rozszerzenie demokracji..

Angus nie miał wyraźnie sprecyzowanych poglądów politycznych, z domu wyniósł raczej endeckie, ale dokładnie jeszcze nie ustalone. Natomiast jedno nie ulegało wątpliwości, oczywiście demokracja, całym sercem i bez reszty wierzył w ideały Rewolucji Francuskiej, Wolność, Równość, Braterstwo, względnie polską wersję, Wolność, Równość, Niepodległość. Ze wzruszeniem i entuzjazmem traktował nawet podręcznikowe lektury z polskiego i z historii, ujmujące te tematy, trzeba przyznać, wyjątkowo pięknie..

Tak się złożyło, że największa część organizacji PPS akurat też dodała to hasło do nazwy, PPS-WRN. Właściwie, gdy usłyszał o tradycjach niepodległościowych PPS, w znacznym stopniu sprawa była już przesądzona. Teraz, po przeczytaniu tej książki, podjął ostateczną decyzję. To były ideały, z którymi zgadzał się w każdym calu..

\* \* \*

Analiza historyczna autora wydawała się prawidłowa. W ustroju feudalnym, wolność i równość były ograniczone, ale istniała pewna forma rekompensaty. Jakby umowa społeczna, słabsi podporządkowali się silniejszym, ale za to ci silniejsi przyjęli na siebie pewne obowiązki, opiekując się słabszymi, dbali o dobro całości - przynajmniej teoretycznie. Natomiast gdy ustrój się przeżył, padł pod ciosami zwolenników wolności, nieograniczona wolność została z początku nadużyta przez silnych i bogatych, tylko oni mogli z niej korzystać bez wzajemnych zobowiązań. A ponieważ właśnie biedniejsi i słabsi ponieśli główny ciężar walki, poczuli się oszukani i pokrzywdzeni, socjalizm wyrósł z ich rozczarowania, czasem nawet tęsknoty za przeszłością. Jeżeli przedtem godzono się z brakiem równości, teraz nie było powodów, nic tego nie wyrównało..

Argumenty jakby specjalnie dobrane dla Polaków. Dla nich równość była od zawsze, bóstwem lub fetyszem, czasem wręcz przekleństwem, mieli to pragnienie we krwi. Może równość wynika z zazdrości, Polacy są ludźmi bardzo zazdrosnym. W innych krajach, ludzie którzy się wybili otoczeni są nimbem, w Polsce raczej niechęcią i podejrzeniami. Od prapoczątków demokracji pierwotnej, po republikę i równość szlachecką, często zachowując tylko pozory we wręcz absurdalnej formie i oszukując sami siebie, Polacy zawsze na pierwszym miejscu stawiali wolność i równość. Złota wolność i równość, tylko szlachecka wprawdzie, były powodem wielkości, a potem również upadku Rzeczypospolitej. Najpierw dlatego, że wszyscy ludzie pragnęli się dołączyć i korzystać ze swobód, to też Polska przeżyła swój okres świetności, przejściowo tworząc najbardziej postępowy ustrój w Europie o ogromnej sile atrakcyjnej i w wyniku potężne państwo. Potem, gdy znikła samokontrola i dbałość o interes wspólny, a tych wartości używano tylko dla egoistycznych celów, wolność i równość zwyrodniały do zaciekłych kłótni wewnętrznych. W rezultacie niczego nie dało się uzgodnić, nawet sposobów ratunku. W każdym razie demokracja i socjalizm wydawały się najbardziej logicznym systemem dla Polaków, zgodnym z ich charakterem. Tu nie ulega wątpliwości..

Mimo to, stosownie do wcześniejszego postanowienia, Agnus chciał dyskutować z przeciwnego stanowiska. Wobec braku podstaw, postanowił tymczasowo zaczerpnąć z Londona, którego czytał dawno, argumenty za i przeciw socjalizmowi. Chociaż wtedy ich nie rozumiał i nie interesował się tym tematem, coś nie coś utkwiło w pamięci..

A więc ewolucja, dobór i przetrwanie najlepszych, dzięki temu ulepszanie gatunku. - Wierzę w konkurencję, wybicie się najlepszych, najwartościowszych, - rozpoczął. - To jest motor postępu, tworzą go najwybitniejsi. Ludzie z natury nie są sobie równi. Jedni są więcej, inni mniej warci. Jeżeli zapanuje powszechna równość, to zniknie dążenie do postępu,

społeczeństwo przestanie się rozwijać, najpierw stagnacja, a potem zwyrodnienie i upadek, dokładnie jak w dawnej Rzeczypospolitej. Powszechnej równości i tak naprawdę nie da się osiągnąć, natomiast wszyscy zaczną się kłócić ze wszystkimi i nikt nie będzie górą, aż w końcu albo zginą, albo pójdą w niewolę.-.

- Widzę, że posługuje się Pan tzw. teorią przyrodniczą. No cóż, w naturze występują obok siebie konkurencja wewnątrzgatunkowa i współdziałanie, oba zjawiska mają doniosłe znaczenie i wcale się nie wykluczają. Na ogół im mniej rozwinięty gatunek, tym ostrzejsza selekcja i potem konkurencja, ogromna większość roślin i prostych zwierząt ginie z tego powodu, na tysiące, a czasem wiele tysięcy tylko pojedyncze osobniki odnoszą sukces i mają potomstwo. Na przykład, jedna sosna produkuje setki tysięcy nasion, z nich różna ilość zdoła zakiełkować, co można uznać za początek nowego drzewa, lecz bardzo szybko ulegają one unicestwieniu. Na etapie młodych drzewek, 90% lub więcej ginie w wyniku konkurencji wewnątrzgatunkowej i kilka % z innych przyczyn. Jednak mimo to, las daje lepsze szanse przetrwania, wytwarzając własne środowisko. Pojedyncze drzewo ma jeszcze mniejsze szanse. Podobnie zwierzęta, te, które żyją w stadach współdziałają dla wspólnego dobra, wcale nie przestają konkurować między sobą. Im wyższa forma rozwoju, tym bardziej skomplikowane stosunki, więc oczywiście w wypadku człowieka mamy najwyższy stopień komplikacji, ale generalnie słuszne są te same zasady, co w wypadku zwierząt stadnych. W każdym razie nie ma sprzeczności między konkurencją a współdziałaniem. Stanowisko, że jedno albo drugie, jest doktrynerskie i sztywne, lecz to nie tylko sprawa elastyczności rozumowania. Pewne filozofie, właśnie te, które dały początek faszyzmowi posługując się pseudonauką, fałszywie interpretują przyrodę dla podbudowania własnych teorii. Konkurencja wewnątrzgatunkowa stanowi jedną z podstaw ewolucji, gdyż zapewnia przewagę najwartościowszych egzemplarzy, to prawda. Ale żeby tak funkcjonowała, osobniki jej podlegające powinny mieć równy start. Oczywiście w przybliżeniu, bo nie da się zrealizować idealnych, wymyślonych warunków, rozumując w sposób sztywny doszlibyśmy do kolejnego absurdu. -.

- Co to za konkurencja, jeżeli pozycję z góry zapewnia pochodzenie, lub majątek rodziców? Ludzie najwartościowsi, ze względu na talent, inteligencję lub inne cechy, muszą przegrać ze średniakami, lub nawet miernotami, którym od najwcześniejszego wieku zapewnia się najlepsze warunki rozwoju i potem faworyzuje. Janko muzykant z góry skazany jest na tragedię, musi zginąć, a fotel wirtuoza zajmie, no, może nie aż taki, któremu słoń na ucho nadepnął, ale przeciętnie uzdolniony, nad którym zamożni rodzice skakali, zapuszczali mu długą grzywkę i zakładali aksamitne wstążeczki lub kamizelki. przedstawiając znajomym,



jako siódmy cud świata. No i oczywiście zapewnią najlepszych nauczycieli, najkosztowniejszą reklamę itd. Czy tak ma wyglądać ewolucja? Przecież to właśnie jej zaprzeczenie. Dlatego zorganizowane i skostniałe społeczeństwa przegrywały z barbarzyńcami, gdzie najbardziej utalentowane albo w inny sposób udane jednostki przebijają się łatwiej. Ich społeczeństwa wychodząc z gorszego położenia, ewoluowały i rozwijały się szybciej. Jeżeli na przykład, z jednej strony wodzem zostawał najbardziej doświadczony i najlepszy wojownik, a z drugiej musiał to być co najmniej książę, choć dziedzicznie obciążony wadami i nie nadający się na tą pozycję - to kto miał wygrać? -.

Angus miał inne zdanie: - Mnie się wydaje, że pozycja wyjściowa ma znaczenie tylko na początku, a potem decydują wartości osobiste. To tak, jakby z różnych miejsc na ziemi uniosło się wiele baloników, albo w morzu zanurzono wiele kul o różnym ciężarze właściwym. Z początku mogą znajdować się wyżej lub niżej, ale potem przebijają się do swego naturalnego poziomu, wznoszą się lub opadają, zależnie od tego, co mają w środku. -.

- No, niezupełnie tak. Na przykład, niektóre w czasie tego przebijania się, mogą ulec uszkodzeniu albo zniszczeniu. -.

Angus zamilkł. Uświadomił sobie, że rozmawia właśnie z człowiekiem, który wprawdzie przebił się do swego poziomu z złej pozycji wyjściowej, ale w trakcie tego uległ poważnym uszkodzeniom. Właściwie trwale stracił zdrowie i nie ma szans na odzyskanie pełnej sprawności, może żyć i funkcjonować (faktycznie żył długo, w dużej mierze dzięki opiece żony), ale tylko pod warunkiem, że będzie na siebie uważał..

- A przecież nie chodzi tylko o wyjątkowo uzdolnione jednostki, które może i zdołają przedrzeć się do góry, a przynajmniej część z nich. Ale dla ewolucji najkorzystniejszy jest taki ustrój, w którym i ci normalnie lepsi też znajdują swoją szansę. To trudna sprawa. Ponieważ nie można nikomu zabronić opiekowania się swoim potomstwem, stwarzania mu korzystnych warunków, trzeba stworzyć mechanizmy dla tych innych, pozwalające im także kształcić się i awansować..

W ustroju feudalnym, czasem wybitnemu człowiekowi udaje się stworzyć ród, a potem, nawet jeżeli jego dodatnie cech wcale nie dziedziczą się, a jego potomstwo ulegnie degeneracji i tak zachowuje nadal uprzywilejowaną pozycję. W kapitalizmie, ten kto się wybije i zwykle wzbogaci, przekazuje bogactwo potomstwu, ale jeżeli to potomstwo się do niczego nie nadaje, to zwykle traci majątek, po prostu ruch jest szybszy. Ale może być pan pewny, że wkrótce zostaną opracowane jakieś mechanizmy, zabezpieczające majątek i pozycję na dłuższy czas, może jakaś forma, podobna do ordynacji w wypadku dóbr ziemskich. Na przykład w Anglii, wysoki podatek spadkowy na pewien czas rozerwał

sztynny gorset utrudniający rozwój, ale wszystkie ustawy i akty prawne odnoszą tylko skutek przejściowy. Musi pan patrzeć na te zjawiska nie statycznie, ale dynamicznie. Niezwłocznie najwybitniejsze i najlepiej płatne mózgi zaczynają pracować nad tym, jak zmienić tą zmianę, wrócić do status quo ante. To jakby stały wyścig pomysłów. W ostatecznym wyniku rośnie tylko stopień komplikacji.-

Niedzielski i Angus dyskutowali jeszcze rolę jednostek, tych najwybitniejszych, w dziejach i rozwoju społeczeństw. W tym wypadku byli całkowicie zgodni, zakładając że społeczeństwo składa się przecież z jednostek. Materializmu historyczny twierdzi, że jednostki wypełniają tylko konieczność, kiedy w rozwoju społeczeństw wynika taka potrzeba i nie mają znaczenia same w sobie. Jeżeli nie ten, to potrzeba spowodowałaby, że byłyby inny. W gruncie rzeczy to ukryty mistycyzm. Konsekwentnie wynika z tego, że istnieje przeznaczenie lub jakiś wyższy stopień świadomości, a społeczeństwo stanowi prawdziwy organizm, a poszczególni ludzie są tylko jego komórkami. Marks nie doprowadza wniosków do końca, ale rysuje taki obraz: materia sama z siebie ewoluuje i organizuje się, aż powstaje życie, życie nadal ulega organizacji prowadzącej do powstania świadomości a potem te świadomości ewoluują aż do powstania świadomości zbiorowej, w której ludzie stają się komórkami wyższej osobowości. Nie ma dowodów, że tak nie jest, ale to wszystko co można powiedzieć. Bez wątplenia są to zbyt daleko idące przypuszczenia, spekulacje myślowe. Dawny obraz wszechświata, w którym nieznanne tajemnice wyjaśniane stworzeniem i istnieniem Boga, przeniesiono na materię, przypisując jej te tajemnicze, magiczne własności. Właściwie przerzucenie religii na inną płaszczyznę, wiara, a nie nauka..

Póki nie ma innych dowodów, należy przyjąć, że wybitne jednostki mają wybitny udział w tworzeniu postępu i od nich zależy los społeczeństw. Jest to zresztą jeden z punktów, gdzie między teorią a praktyką marksistowską, lub raczej aktualnych marksistów istnieją rozbieżności. Jeśli głośno mówią co innego, to oczywista obłuda, są pyszni jak diabli..

\* \* \*

Maj 1944r. Angus, pochylony nad brulionem, wpisywał kolejne pozycje: 1 stół z grubym blatem i 1 krzesło lub ławka, 2 wąskie półki na odczynniki, 1 szeroka półka na przyrządy, 1 zamykana szafka na niektóre niebezpieczne substancje, 1 palnik gazowy, albo 2 karbidowe, 2 statywy, łączniki i łapy, 2 gniazda zlewki o różnej wielkości, kilka parownic i kuwet porcelanowych, 1 mały i 1 duży moździerz, kilka tygli, retorty małe i średnie - itd. itd. razem cztery strony, zatytułowane: „URZĄDZENIE PRACOWNI”...

Czyżby nagle zainteresowanie stroną doświadczalną nauki, którą dotąd znał tylko z teorii? Do pewnego stopnia tak, ale bliżej wyjaśniają to dalsze notatki, na przykład:

Nr 2. PIORUNUJĄCY GAZ ŚWIATŁOCZUŁY Mieszanina chloru i wodoru w równych ilościach etc..... Uwaga: zbadać zastosowanie węgla aktywnego, może powodować rozpoczęcie reakcji i wybuch po upływie pewnego czasu (bez światła, opóźniony).

Nr 10 SZEDDYTY Przez zmieszanie z chloranami, zwykle chloranem potasu substancji palnych, jak siarka, fosfor czerwony, węgiel, a nawet cukier, trociny, sproszkowane metale etc. otrzymuje się silne materiały wybuchowe, bardzo wrażliwe na tarcie. Dlatego praktyczne znaczenie uzyskały dopiero mieszanki z olejami, naftą itp. wrażliwość jest zmniejszona dzięki właściwościom smarnym tych składników. Miedziankit otrzymuje się.....

Nr 14. PROCH STRZELNICZY...

Nr 15. AZOTAN AMONU (SALETRA AMONOWA)...

Nr 16 MASA GŁOŚNO STRZELAJĄCA

3 części saletry potasowej i 2 części wielosiarczku potasu, stopione reagują po chwili bardzo gwałtownie, przy czym prawie 90 energii przemienia się w efekt akustyczny, przeraźliwy huk.....

Nr 36. NITROBENZEN

otrzymuje się przez reakcję kwasu azotowego z benzenem, Substancja łatwo dostępna, produkowana przemysłowo. Ma zapach gorzkich migdałów i jest silnie trująca. Ze względu na dobrą rozpuszczalność w kwasie siarkowym, bardzo dogodna jako materiał wyjściowy do wytwarzania dwunitrobenzenu i trójnitrobenzenu, silnych materiałów wybuchowych (o wiele łatwiej wyjść z niego, niż bezpośrednio z benzenu).....

Nr 37. LONT

najprościej przez namoczenie papierowego albo bawełnianego sznurka w saletrze potasowej i wysuszenie. Należy pokryć izolacją, można użyć taśmy do izolacji przewodów. Tli się powoli, czas zależy od stopnia resztkowej wilgotności, trzeba więc każdorazowo wypróbować...

Nr 48, PROSZEK GOLDSCHMIDTA

tlenki metali miesza się ze sproszkowanym glinem. Do zapalenia konieczna wysoka temperatura, ale wytwarzają też bardzo wysoką temp, do 3 000 stopni. Tzw. termit, skład się z tlenku żelaza i proszku glinu, w stos 3:1. Zapala się wstążką magnezową lub rozżarzoną sztabką żelazną.....

i Nr 48 a)

Do zapalania dogodna jest mieszanina 2 części pyłu cynkowego i 1 części sproszkowanej siarki, łączy się bardzo gwałtownie, do rozpoczęcia wystarczy płomień zapalki. Dla pewności należy użyć co najmniej 25g (łyżka stołowa).

#### 52 MASA HEKTOGRAFICZNA

żelatynę, namoczoną w podwójnej ilości wody, rozpuszcza się w ogrzanej glicerynie. Jeżeli potrzebne dalsze ogrzewanie, naczynie zanurzyć w gorącej wodzie (nie grzać bezpośrednio). Ewentualne bańki powietrza na powierzchni usuwa się przez dotknięcie gorącym metalem.....

#### Nr 53. ATRAMENT HEKTOGRAFICZNY

zwykły ciemny atrament z dodatkiem gliceryny i substancji zwiększających lepkość, jak guma arabska, dekstryna lub nawet cukier.....

#### Nr 66. PODTLENEK AZOTU

otrzymuje się przez ostrożne prażenie niewielkich ilości azotanu amonu (por. nr 15). Jest narkotykiem i znosi samokontrolę (tzw gaz rozweselający, powoduje mówienie prawdy, chociaż chaotycznie)..... No i oczywiście najważniejsze: Nr 75 NITROCELULOZA (BAWELNA STRZELNICZA) Nr 76 NITROGLICERYNA Nr 77 ŻELATYNA WYBUCHOWA i może jeszcze Nr 81 PIORUNIAN RĘCI.

Na wiosnę 1944, przekonania polityczne i światopoglądowe Angusa uformowały się ostatecznie. Jak łatwo się domyśleć, został sympatykiem PPS-WRN, partii o wspaniałych tradycjach, która już wkrótce miała zakończyć istnienie.[Podobnie jak kiedyś najeźdźcy po wymordowaniu narodu Prusów, przejęli nazwę ofiar - tak teraz mordercy, agenci i kaci przywłaszczyli sobie nazwę PPS, jak firmę o starej i dobrej opinii, oszukańczo wykorzystali do własnych podłych celów i splamili.]

Angus przyjął te zasady nowoczesnego socjalizmu, o których dyskutowali z prof. Niedzielskim. Socjalizm, jako konsekwentny rozwój i nieodzowny warunek demokracji, ideału wolności i równości. Oczywiście z pełnym poszanowaniem praw jednostki, w tym prawa do odrębności i indywidualizmu, a więc także do własności duchowej i materialnej owoców swojej pracy, ale tylko swojej. (To trudne wymaganie, los i wojna spowodowały, że nigdy niczego nie dziedziczył i pozwoliły pozostać „self-made man'em”, oszczędzając konfliktu sumienia). W gruncie rzeczy, nowoczesna postać socjalizmu nie wiele różni się od liberalizmu, tylko założeniami teoretycznymi, wnioski praktycznie te same..

Ale uformowanie osobowości nie rozwiązało problemów. Jak większość młodych, Angus był pełen entuzjazmu i pragnął działać. Zrozumienie świata zwiększa motywację, poczucie obowiązku, mus podążania za sercem, albo traci się serce i świat. Poszukiwał już

przedtem aktywnej roli dla siebie, ale tylko w walce z okupantem, teraz im bardziej jasny i precyzyjny stał się obraz świata, tym silniejszy przymus wewnętrzny. Brak akceptacji dla bezczynności i samego siebie..

Kilkakrotnie Angus zwracał się do Niedzielskiego z prośbą o wskazanie konkretnych zadań. Za każdym razem odpowiedź była negatywna, przynajmniej w odczuciu Angusa. Niedzielski wyjaśnił mu, że jako członek cywilnej siatki konspiracji, nie ma prawa kontaktowania się z organizacjami wojskowymi, w szczególności z miejscową Komendą AK. Ostatnio otrzymał zadanie, opracowania historii lat okupacyjnych i zorganizowania źródłowego archiwum prasy konspiracyjnej, jest do tego fachowo przygotowany i uważa, że sprawa ma kapitalne znaczenie dla przyszłości. I tak by było, gdyby te zamierzenia udało się zrealizować..

Kiedy zaś został sympatykiem PPS i pragnął stać się członkiem rzeczywistym, usłyszał od Niedzielskiego, że nazwa rzeczywistego członka oznacza właściwie aktywnego działacza, a z tym trzeba jeszcze poczekać. Od czasu do czasu trafiały się jakieś drobne, marginalne funkcje pomocnicze, typu „zanieś, przynieś”, a poza tym nadal dostęp do całej prasy podziemnej (a więc przegląd wszystkiego, co się aktualnie działo) i rozmowy, których wprost nie podobna przecenić. Jednak słowa, to nie czyn. Aż wreszcie Niedzielski dał mu broszurkę dla żołnierzy niemieckich mówiąc, że przydałoby się dobre tłumaczenie; wprawdzie on sam zna dobrze język niemiecki, ale Angus wspominał mu kiedyś o wyjątkowej biegłości matki..

W ten sposób do rąk Angusa trafił jeden z pierwszych egzemplarzy „Der Panzerknacker” (w wolnym tłumaczeniu, „dziadek do czołgów” - nie do orzechów). Coś w rodzaju popularnego podręcznika zwalczania broni pancernej, częściowo pisany gwarą, wiele wyrażeń nie miało nic wspólnego z językiem literackim i pod tym względem matka Angusa była faktycznie właściwa i bardziej kompetentną osobą, żadne gwarowe określenie nie było dla niej zbyt zawile czy ciemne. Gorzej ze szczegółami czysto technicznymi i wtedy to Angus podpowiadał jej, o co chodzi. Temat zaś był fascynujący, po raz pierwszy miał przed sobą dokładną anatomię czołgów, wraz ze wskazaniem słabych punktów i „pięt Achillesowych” każdego typu. Niestety niekompletne, omówione były konstrukcje angielskie, amerykańskie i oczywiście rosyjskie, lecz brakowało niemieckich. Czytelnik mógł dokładnie dowiedzieć się, w których miejscach najwygodniej podpalić „Valentine”, „Crusader”a, czy np. „Churchill’a”, jaka grubość i wytrzymałość ma „szyja” „Sherman’a”, gdzie i od jakiej odległości istnieją martwe kąty uzbrojenia T 34, a także gdzie zlokalizowane są, zamocowane na łańcuszkach korki metalowe, umożliwiające załodze użycie ręcznej broni lub wyrzucenie granatu z bliska.

W broszurce zamieszczono przejrzyste, barwne rysunki i schematy ze strzałkami, wskazującymi wszelkie godne uwagi miejsca na sylwetkach czołgów, w kilku rzutach, ale te najbardziej interesuje czołgi niemieckie, pominięto..

Tym nie mniej, na podstawie opisów można było wysnuć pewne wnioski także w odniesieniu do czołgów niemieckich. Zaś na Angusie te informacje zrobiły wstrząsające wrażenie, wydawało mu się, że dysponując taką wiedzą, byłby w stanie niszczyć czołgi jeden po drugim. Nie zdawał sobie sprawy, że ta broszura była materiałem propagandowym, mającym zachęcić żołnierzy niemieckich do podejmowania walki z czołgami, gdy ich armia straciła przewagę w broni pancernej. W tekście znajdowały się celowe kłamstwa, stosując się do niego żołnierz miał pełną gwarancję na samobójstwo, przy którym ewentualnie mogło się zdarzyć także uszkodzenie lub zniszczenie czołgu. Ale i tu prawdopodobieństwo niewielkie, raczej pewien % czołgów mogło zostać ciężko przestraszonych i w wyniku tego działać ostrożnie i mniej zdecydowanie..

Chcąc opanować terminologię fachową, Angus zakupił na czarnym rynku, za własne oszczędności „Offiziers Taschenbuch”, dwa tomiki o wymiarach sporego modlitewnika. W jednym (chyba II tomie?), około 100 stron poświęcone było zastosowaniu materiałów wybuchowych, zasady ich użycia, obliczania ładunku i planowania, wreszcie rozdział o minach, przy czym wzmiankowano także zasady zabezpieczania, konstrukcji tzw. min - pułapek, ich uzbrajania i rozbrajania. To wszystko stanowiło dalszy ciąg rewelacji, prawie objawienie. Zwłaszcza dołączone uzupełnienie, broszurka o typach min, używanych przez Rosjan. Po przeczytaniu nasuwał się wniosek, że dla oddziału partyzanckiego użycie materiałów wybuchowych i min, zastąpić może ciężką broń i artylerię. Chodziło o tę samą zasadę, skontaktować materiał wybuchowy z wrogiem, tylko zamiast wystrzeliwać z dala, ładunki dostarcza się w inny sposób. Angus zaczął usilne poszukiwania, czy gdzieś mógłby załapać się na kurs minerski. Nie udało się z prostego powodu. Materiałów wybuchowych praktycznie nie było, a niewielkie ilości rezerwowano do najważniejszych akcji, jak wysadzanie torów. Polacy otrzymywali minimalne ilości broni ze rzutów, a jeszcze mniej materiałów wybuchowych i inicjujących, zapalników, spłonek etc. Trochę wydłubano ręcznie z niemieckiej amunicji. Krótko mówiąc, po prostu rozpacz. Nikt nie powierzyłby tak drogocennych substancji w ręce niedoświadczonego chłopaka..

W tym momencie Angus zobaczył swoją niszę, może nie ekologiczną, ale życiową, pole do działania. Postanowił zająć się produkcją materiałów wybuchowych. Nie miał żadnych wątpliwości, że potrafi to zrobić. Jeżeli inni umieją, to i on się nauczy. Pierwszy krok, to znaleźć odpowiednie książki. Do tego zawsze miał szczęśliwą rękę albo nosa, tym

razem też się udało. Nie był to wprawdzie fachowy podręcznik, a gdyby taki się znalazł, to przy przygotowaniu, jakim Angus dysponował i tak nie byłby użyteczny. Jednak dwie, wprost bezcenne książki stary podręcznik chemii organicznej do dawnej 8 klasy gimnazjum Tołłoczki oraz jeszcze starsze „Proste eksperymenty chemiczne dla entuzjastów”, wydanie zaraz po I wojnie światowej..

Na wstępie przekonał się Angus, że w ogóle nie ma pojęcia o chemii organicznej i nawet nie zdawał sobie sprawy, co to takiego. Był niezły z fizyki i matematyki, przeczytał dużo książek popularno-naukowych, w tym także o chemii i zdawał sobie sprawę, co oznaczają wzory i równania chemiczne. Teoretycznie nie powinno być trudności, a w klasie III gimn. zapoznał się z początkami chemii nieorganicznej. Dzięki temu przygotowaniu a także odczytaniu i wyobraźni zorientował się szybko, na czym polega istota chemii organicznej i mniej więcej mógł zrozumieć sens wzorów i zapisów reakcji. Ale od tego daleko od znajomości przedmiotu, dopiero teraz mógł ocenić, ile rzeczy nie wie i jak brakuje mu przygotowania. Nawet nie usiłował się uczyć, po prostu w ciągu tygodnia przeczytał całą książkę, a kiedy już przestawał myśleć, odkładał ją i brał tę drugą, łatwiejszą. Wybierał i notował interesujące fragmenty, te dni jakby wymazały mu się z pamięci, oprócz tego, że bolała go głowa. Po tygodniu, nadal nie znał przedmiotu, ale mniej więcej książkę i mógł po sekundzie trafić w każde miejsce, które go interesowało, a w notatkach miał najbardziej potrzebny materiał na najbliższy użytek..

Nie zdając sobie z tego sprawy, Angus miał szczęście znaleźć wprost genialną książkę. Autor, chemik starszego pokolenia, był niewątpliwie zakochanym w przedmiocie i natchnionym poetą, a to co stworzył, wykraczało daleko poza potrzeby podręcznika szkolnego (choć materiał nadobowiązkowy oddzielony był od obowiązkowego, wyraźnie zaznaczony i przeznaczony zapewne dla takich, jak on sam zapaleńców). Jednym słowem arcydzieło, nie tylko nauki, ale miłości i natchnienia, nawet dziś materiał, chociaż przestarzały, nie stracił aktualności, urzeka i zachwyca..

Nie było jednak czasu na zachwyty, należało być praktycznym i jak najszybciej przystąpić do pracy. Pierwsza rzecz, to jakiś ką. Matka zgodziła się odstąpić większą część piwnicy. Trochę zdziwiona zainteresowaniami naukowymi syna, ale raczej zadowolona, że znalazł sobie zajęcie, które przytrzyma go w domu i odsunie od niebezpieczeństw zewnętrznych. Rodzice nawet obiecali w skromnym zakresie dofinansować nowe hobby. Oprócz tego Angus przeznaczył na ten cel wszystkie swoje oszczędności, musiał jednak obiecać, że nie naruszy żelaznej rezerwy na wykup w razie niespodziewanej łapanki..

Teraz powiadomił o swoich zamiarach Niedzielskiego. Nie wiedział właściwie, co i jak zostało załatwione, bez wielkiego entuzjazmu, ale po paru dniach dowiedział się, że może liczyć na ograniczoną pomoc, nieco odczynników i drobnego sprzętu z laboratorium Zakładów Ostrowieckich. Zaskoczyło go, że ma się to odbywać z pomocą Adama Szumilasa, wzmiankowanego wyżej syna właścicielki domu i posesji, w którym Angus z rodzicami mieszkał. Angus z Adamem, może nie byli bliskimi kolegami, ale znali się i dosyć przyjaźnili, mieli wspólne zainteresowania naukowe, grywali w szachy i czasem w siatkówkę i przegadali sporo godzin. Otóż Adam, pracujący jako laborant w Zakładach, miał przekazać na zasadzie przyjacielskiej koledze, który interesuje się chemią, parę drobiazgów, lecz nie brać udziału w doświadczeniach, ani nie orientować się w celu prywatnego hobby Angusa. W ten sposób, w razie jakiejś niespodziewanej wpadki ryzykował mniejszą karę lub doraźne pobicie za wykroczenie, zapewne uznane w najgorszym wypadku za drobną kradzież. Raczej nie zagrażałoby narażania życia..

W ciągu kilku dni, Angus otrzymał parę butelek z kwasami, wodorotlenki i węglany sodu i potasu, amoniak i stopniowo inne sole i odczynniki. Ale chlorany okazały się nieosiągalne, w razie potrzeby laboratorium otrzymywało je w gramowych ilościach do rozliczenia i za pokwitowaniem. Zapewne nie tylko Angus wpadł, że to stosunkowo prosty sposób otrzymania materiałów wybuchowych, okupanci też to wiedzieli. Po namyśle, Angus postanowił skoncentrować się na otrzymaniu nitrocelulozy i nitrogliceryny, a z nich tzw. żelatyny wybuchowej. Niestety, także gliceryna okazała się niedostępna, ale miał nadzieję, że uda się ją kupić w jakiejś drogerii, pamiętał, że kiedyś matka używała jej często do celów kosmetycznych, smarowania rąk. Powinna być się na czarnym rynku, za odpowiednio wyższą cenę. Na razie zaś zacznie od nitrocelulozy, waty nie powinno zabraknąć..

Wystąpiły trudności. Po pierwsze, z chłodzeniem. „Pracownia” nie miała bieżącej wody, dom ani ulica też nie, wodę trzeba było przynosić ze studni wiadrami do piwnicy, raczej niewygodne. Według przepisów nitrowania, nie wolno było przekroczyć pewnej temperatury, tymczasem przy reakcjach wydzielano się dużo ciepła, a ogrzanie mieszaniny powoduje według opisów coraz gwałtowniejszy rozpad aż do niekontrolowanej reakcji utleniania. Wprawdzie wypróbował sposób na otrzymanie roztworów wodnych o niskiej temperaturze, przez rozpuszczanie azotanu amonu udawało się zejść do -20C, lecz Angus nie miał większych ilości saletry amonowej, a to co miał, przeznaczył do innych celów..

Już przy wstępnym obejrzeniu otrzymanych chemikalií napotkał na niespodzianki. Kwas siarkowy, wodorotlenki i sole odpowiadały opisom, które przedtem czytał, ale kwas azotowy zupełnie nie, wydał się jakiś dziwny. Po pierwsze polecano ustalić ciężar właściwy,



ten wcale nie miał gęstości około 1,40 ale znacznie więcej, przekraczał 1,50 i pomyłka była wykluczona. Ponadto, według książki zalecano ogrzać go do wrzenia dla usunięcia tlenków azotu, tymczasem ten wrzał w temperaturze znacznie niższej niż około 120 stopni C, już ok. 80 stopniach C i przez cały czas dymił wprost wściekle, w środku białe pary na zewnątrz robiły się brązowe. Wreszcie okazał się niesłychanie żący i agresywny, natychmiast niszczył skórę i właściwie wszystko, na co padła choć kropla, przy czym też wydzielają się brunatne dymy. Zapytany o to Adam wyjaśnił, że jest to kwas tzw. „Hoco” (z niemieckiego „hoch konzentriert”, wysoko stężony), około 100%, a nie około 60%, który powszechnie stosowany był dawniej i opisany w książkach posiadanych przez Angusa. Oczywiście wyższe stężenie, a więc mniejsza zawartość wody teoretycznie należało uważać za zaletę. Ale jednak niespodzianą i trzeba było oswoić się z tą tajemniczą substancją, która nawet przy rozcieńczeniu woda rozgrzewała się wydzielając brązowe dymy tlenków azotu. Według notatek, nawet normalny kwas azotowy miał silne własności utleniające i mógł w razie rozlania spowodować zapalenie się słomy, wiórów itp. Angus stwierdził, że w wypadku tego wysoko stężonego kwasu, zapalenie zdarza się częściej, a przy większych ilościach to właściwie reguła..

Różnice receptury i przepisów nitrowania były właściwie do przewidzenia, a nawet do obliczenia, ale jednak to wszystko powodowało, że poczuł się niepewnie, jak na ruchomych piaskach i tempo pracy nie było zbyt imponujące. Najpierw, nie mając możliwości intensywnego chłodzenia, stwierdził, że mieszaninę nitracyjną, powstałą przez zmieszanie kwasu azotowego z siarkowym można i należy zostawić na dłużej i użyć dopiero, kiedy jej temperatura opadnie. Woda świeżo zaczerpnięta ze studni była średnio chłodna, jej temp wynosiła ok. 8 stopni C i zapewne w lecie jeszcze się podniesie. Przynosząc często wiadra i pracując z niewielkimi ilościami substancji, mógł utrzymać temp. na poziomie 15-20 stopni C. Wreszcie, stosując bardziej stężony kwas azotowy, miał mniej wody do związania. Trzeba jeszcze wyjaśnić, że w procesie nitrowania, zawarty w mieszaninie nitracyjnej kwas azotowy bierze udział w reakcji, natomiast kwas siarkowy właściwie wiąże wodę, i to zarówno tą zawartą od początku w mieszaninie, jak też i powstającą w procesie. W wypadku, gdy kwas azotowy oraz mieszanina nitracyjna zawierają tylko małą ilość wody, wystarcza też mniejsza ilość kwasu siarkowego. Dla doświadczonego fachowca rzecz oczywista sama przez się, ale niedoświadczony szczeniak, chociaż to właściwie logiczne i do przewidzenia, a różnicę i ilości substancji powinien umieć sobie policzyć, czuł się bardzo niepewnie i nie miał zbyt dużego zaufania ani do logiki, ani obliczeń. Na razie zauważył, że kwas azotowy po zmieszaniu z siarkowym nie wydziela brunatnych dymów, a ponadto że wydzielanie tlenków

azotu przez sam kwas azotowy też można ograniczyć, dodając do niego trochę azotanu amonu (przypadkowe spostrzeżenie, gdy wypróbowywał chłodzenie wodą z dodatkiem azotanu amonu). Ponieważ przeczytał, że pojawienie się tlenków azotu w procesie nitrowania jest alarmującą oznaką i wskazuje, że zaczął zachodzić rozkład, czemu towarzyszy wzrost temperatury, więc uznał, że mały dodatek azotanu amonu do reagentów powinien być korzystny. Ostatecznie do pierwszych nitrowań użył mieszaniny nitracyjnej składającej się od dwu części kwasu azotowego i tylko jednej siarkowego objętościowo, do równych ilości wagowych i dodatku 1-2% azotanu amonu. Mieszaninę ta zostawiał na noc do ostygnięcia i potem wczesnym rankiem dodatkowo chłodził świeżą wodą ze studni..

Próbki waty celulozowej wyglądały na oko tak samo przed, jak i po nitrowaniu, więc znowu ogarnęły go wątpliwości. Nie miał pojęcia, jak zbadać i ocenić produkt. Po wypłukaniu we wodzie, kolejno rozcieńczonym roztworze sody i znów wodzie i wysuszeniu paliły się one i to gwałtownie, ale nie wybuchały, czego zresztą według opisu nie należało oczekiwać. Żeby się przekonać, z jaką substancją właściwie ma do czynienia, obmyślił taki sposób: próbki włożył do małych buteleczek od lekarstw i wprowadził do nich dwutlenek węgla, wypychając nim powietrze. Oczywiście zwykła wata zapalona gasła, ale ta po nitracji nie i po chwili buteleczka pękła. Właściwie ta próbka paliła się podobnie, jak stary film fotograficzny, i rzeczywiście w książkach znalazł, że błona celulozowa to głównie nitroceluloza, a ta substancja w roztworze wchodzi też w skład kleju, tzw. krystal - cementu. Jednak produkt jakoś nie chciał się rozpuścić w typowych rozpuszczalnikach a tylko pęczył. Szukając dalej dowiedział się, że istnieją nitrocelulozy o różnych stopniach znitrowania, to znaczy różniące się ilością przyłączonych reszt kwasu azotowego. Nie miał pojęcia jak to sprawdzić, problem zdecydowanie przekraczał jego umiejętności. Ale istniała nadzieja, że jeżeli ta nitroceluloza pęcznieje w rozpuszczalnikach, to powinna się też nadawać do związania nitrogliceryny..

Tak, ale gliceryny nie udało się nigdzie zdobyć i po intensywnych poszukiwaniach uznał, że sprawa jest beznadziejna. Bez gliceryny zaś nie mogło być nitrogliceryny, więc sprawa traciła sens, wysiłki do niczego nie prowadziły. Czy gdyby udało się zdobyć glicerynę, zdołałby wytworzyć nitroglicerynę? Według opinii ekspertów zdecydowanie tak, tak samo jak z całą pewnością trafiłby się poważny wypadek. Czy zdołałby go przeżyć? Na to nie sposób odpowiedzieć, nie ma wystarczających danych, możliwe są różne wersje. Ale jak niedawno mówili o nim lekarze, rokowania chyba nie byłyby pomyślne. Raczej kiepskie szanse wyjść cało i było w tym sporo szczęścia, że tej gliceryny nie udało się nigdzie kupić..

Jednak wtedy odczuł to jak katastrofę dobrze zapowiadających się planów. Zaczął szukać innych możliwości, zastąpienia nitrogliceryny czymś o podobnych własnościach, co można by zrobić z dostępnego surowca. Jak się wtedy mówiło, Ersatz'u. To normalne, w czasie wojny pełno było Ersatz'ów dokoła, a trudno o coś prawdziwego. Może więc inne wielokrotne alkohole, a może nawet proste alkohole, przecież teoretycznie ze wszystkich powinny powstać estry azotowe? Nasuwały się dwie najbardziej oczywiste możliwości, glikol i alkohol etylowy. Angus zdecydował się zacząć od alkoholu etylowego dlatego, że z tym pierwszym też były trudności, natomiast akurat o drugi miał pod ręką. Zawsze pod dostatkiem, przecież do knajpy stale kupowało się bimber, zwykle 50% roztwór alkoholu etylowego, ale byli też dostawcy 90, a nawet 95% spirytusu, taki towar rozcieńczało się samemu i można dodać trochę więcej wody, czysty zysk. W tym wypadku nie dodać, ale lepiej było pozbyć się wody, Angus wyszukał przepis odwadniania spirytusu palonym wapnem i przygotował spirytus około 99%. Niewielka zawartość wody nie powinna mieć większego znaczenia, przecież gdyby udało się znaleźć glicerynę, to też nie czystą, ale zanieczyszczoną i zawierającą wodę, techniczną lub kosmetyczną. (Dowiedział się potem, że nitroglikol też znalazł zastosowanie, ale to była wtedy kompletna nowość i brak dostępnych informacji. Być może, właśnie dlatego okazał się też trudny do zdobycia.).

Agnes rozpoczął doświadczenia z alkoholem etylowym ale nie udawało się opanować reakcji. Zawsze po pewnym(zmiennym) czasie, rozpoczynała się gwałtowna reakcja utleniania, połączona z wydzielaniem brunatnych dymów tlenków azotu. Prowadził te doświadczenia w różnych warunkach, zmieniając parametry, ale rezultat był niezmienny, a efekt egzotermiczny (wydzielanie ciepła) tak wysoki, że po krótkim czasie cała reagująca masa gwałtownie wrzała i rozpryskiwała się, nie zdążał nawet dobrze zaobserwować, jak to przebiega. Co najmniej raz, Angus miał duże trudności z wytłumaczeniem się matce, co się stało, gdy przyszedł w łachach, które dosłownie rozłaziły się na nim i spadały w strzępach. W międzyczasie minął już dzień D, 6 czerwca alianci wylądowali w Europie, wojna na pewno wkrótce się skończy, a on wciąż nie był gotowy. Pracował pod ogromną presją, ale i tak musiał robić przerwy, dzień lub dwa na wygojenie się skóry rąk, ręce musiały być sprawne. Wtedy odwiedzał Niedzielskiego, albo grał w szachy z Mateuszem..

Po wojnie mieszaniny o takich własnościach zwane propergolami, stosowane były do napędu rakiet (dowcipnie dodawali - i jako lekarstwo przy kaszlu oraz zapchaniu nosa). Podobny dowcip: grupa zwiedzających stoi przy ścianie, na której wiszą portrety mężczyzn z opaskami na jednym z oczu. Jeden z oglądających pyta przewodnika: - Czy to portrety piratów? - Nie, to poczet wielkich chemików.- Angus nie był chemikiem, ani wielkim ani

małym i nie zasługiwał na takie wyróżnienie, oka nie stracił. Ale trafiła się taka krytyczna sytuacja, gdy cała ciekła masa reakcyjna zamieniła się nagle w gazy, brunatny dym. Zupełnie stracił orientację w piwnicy, nie mógł się z niej wydostać ani zaczerpnąć powietrza i omal nie przeniósł się do lepszego świata pomimo, że oba okna otwarte były na przestrzał i wiatr powodował wyraźny przewiew, atmosfera się szybko oczyściła. Odtąd takie doświadczenia robił na otwartym terenie, za domami i komórkami, koło studni i skraju lasu..

To zdarzenie nasunęło mu pewną ideę: czytał o zastosowaniu różnych cuchnących substancji, na przykład fosforiaków do wykurzania obrońców kazamat w fortyfikacjach. Podobno miały one tak miły aromat, że załoga momentalnie wyskakiwała na zewnątrz, nie zważając na ogień i kule. Oczyma duszy widział już, jak po rzuceniu tego ładunku na wentylatory doprowadzające powietrze do czołgu, załoga otwiera wszystkie klapy i włączy i momentalnie wyskakuje. Czołg można by zdobyć w stanie nieuszkodzonym i potem przewietrzyć. To lepsze, niż materiały wybuchowe. Nawet gdyby do tego nie doszło, na przykład gdyby ludzie w czołgu kompletnie stracili orientację i nie uciekali, na pewno nie byłiby przez pewien czas zdolni do walki..

W następnych kilku próbach, ustalił optymalny skład mieszanki do tego specjalnego celu. Właściwie nadawały się wszystkie w zakresie od 10 do 25%, przyjął 20% alkoholu i reszta kwasu azotowego. Projekt Angusa przedstawiał się w ten sposób, że w jednym naczyniu, lecz nie zmieszane miały znajdować się oba reagenty, zabezpieczone przed przypadkowym kontaktem. W kilkanaście, wyjątkowo do kilkudziesięciu, sekund po ich zmieszaniu rozpoczęłaby się coraz szybsza reakcja, prowadząca do pęknięcia naczynia, po czym całość gwałtownie zamieniałaby się w chmurę gryzących dymów. Na początek proponował użycie do tego celu litrowych butelek szklanych, które owijano by pierścieniami z rurki gumowej, albo plecionką z kabla, żeby zabezpieczyć butelkę przed stłuczeniem w czasie poprzedzającym akcję, a także przed zsunieniem się z miejsca na czołgu, gdzie zostanie położona, dodatkowo chciał zastosować kilka haczyków. Alkohol mógłby być umieszczony w gumowym baloniku, który przez pewien czas wytrzymałby działanie kwasu i został przekłuty bezpośrednio przed podłożeniem, albo w szklanej ampule, która byłaby tłuczona prętem, wystającym przez korek. Szczerze mówiąc, miał nadzieję, że w przyszłości ktoś opracuje lepsze rozwiązanie konstrukcyjne, ale od czegoś trzeba było zacząć. [Przy tej okazji dopiero Angus uświadomił sobie, jakie ryzyko ponosił Adam Szumilas, dostarczający chemikalię z laboratorium Zakładów, nie tylko z powodu możliwości kontroli. Przecież jazda rowerem z paru butelkami kwasu Hoco w teczce, była równie „bezpieczna”, jak gdyby przewoził wrażliwą na wstrząsy bombę. Zapewne okólną drogą, po wertepach. No cóż, był

kompetentny i doświadczony, zdawał sobie sprawę co robi. Choć nie wiedział po co, bo Angus nie mógł puścić pary z ust.].

Gdzieś po połowie czerwca Angus spotkał się z nieznanym człowiekiem, któremu miał przedstawić wyniki dotychczasowych prac. Trudno uznać to spotkanie za sukces. Wtedy po raz pierwszy dotarła do niego stara prawda, że klient czy zleceniodawca jak koń, ma kłapki ma oczach, z reguły zainteresowany jest tylko tym, czego oczekuje. Zrozumiałe, że twórca ma z reguły więcej wyobraźni, ale choćby proponował złote jabłko, to i tak nie ma żadnego znaczenia. W swoim dorosłym życiu, Angus spotykał się potem z podobnymi sytuacjami, nigdy nie zdołał przekonać nikogo do bardziej wartościowych pomysłów, jeżeli nie były ściśle na zadany i oczekiwany temat, powiedzmy wynikiły ubocznie. Mówiąc przykładowo, jeżeli zleceniodawca chce mieć projekt, jak najlepiej usuwać błoto, to choćby opracowujący tą sprawę znalazł sposób przemieniania tego błota w złoto, nikogo nie przekona i co najwyżej narazi się na potraktowanie siebie, jak szaleńca lub oszusta. To jest powszechne zjawisko i chyba spotkali się z nim i znają z doświadczenia wszyscy pracujący twórczo ludzie. Dlatego starają się osiągnąć samodzielną pozycję przed osiągnięciem starości, żeby nie być zależnym od krótkowzrocznych szefów. Chyba, że mają wyjątkowy dar przekonywania, ale to rzadko idzie w parze ze zdolnościami twórczymi. Jak się już go ma, to po co się jeszcze wysilać na dobre pomysły..

Nie było aż tak źle, przynajmniej rozmówca wysłuchał Angusa spokojnie i do końca. Powiedział, że ocenia dotychczasowe postępy i osobiście, nie spodziewał się nawet tego, ale interesowała go tylko sprawa materiałów wybuchowych. Zachęcił jednak Angusa do dalszej pracy i obiecał, że dotychczasowe poparcie (tzn. zaopatrzenie w chemikalia) nadal będzie trwało, więc niech się Angus nie zniechęca..

A Angus? no cóż, w innych okolicznościach uważałby, że jeszcze jedna przegrana sprawa, choć włożył wszystko ze siebie, stracił tylko niepotrzebnie czas. Zapewne też znowu wpadłby w depresję. Jeżeli tak się nie stało, nie zniechęcił się i nadal kontynuował pracę, to dlatego, że prowadzone doświadczenia i obserwacje toku reakcji nadal go fascynowały, po prostu same w sobie. Krótka przerwa pozwoliła mu się zastanowić, po czym przystąpił do próby wyjaśnienia tajemniczych zjawisk. Żeby im się przyjrzeć, trzeba było wydłużyć jakoś czas, rozciągnąć początek - teraz można już to powiedzieć, autokatalitycznej reakcji - ale przecież wtedy nie znał nawet tego określenia, polegał po prostu na tym wyczuciu i na tym, co widział..

Pierwsza rzecz, to problem lepszego chłodzenia, miał nadzieję, że utrzymanie niskiej temperatury pomoże w tej sprawie. Jednak środki, jakimi dysponował, nie wystarczały do

tego, wstępne ochłodzenie reagentów, wprawdzie wydłużyło początek, ale potem reakcja przebiegała błyskawicznie. Na dodatek nie miał mieszania mechanicznego, a ręczne było po prostu ryzykowne, postanowił więc zmienić sposób postępowania. Przede wszystkim zmniejszył ilości reagentów, a ponadto starał się umieścić je nie zmieszane, w postaci oddzielnych faz. Przeszedł na cienkie warstewki, spodziewając się, że w ten sposób wymiana ciepła będzie lepsza. Wyglądało to tak, że na dno porcelanowej kuwety, takiej jak do fotografii, nalewał ciekłą warstwę alkoholu, a potem przy pomocy lejka z długą nóżką podlewał pod spód warstewkę kwasu azotowego, a czasem jeszcze rozdzielał te fazy warstewką wody. Dzięki różnicy ciężaru właściwego te substancje początkowo się nie mieszały, następowało to dopiero w wyniku reakcji. Przy takim rozpoczęciu procesu rzeczywiście udało się rozciągnąć czas, a obserwacje stały się wprost fascynujące. Na granicy faz, pojawiała się najpierw plamka o zielonkawej barwie i nabierając intensywnie szmaragdowego koloru zaczynała się powiększać, rozszerzać i czasem lekko pulsować, jakby żyła swoim własnym życiem. W końcu zajmowała całą granicę płynów i rozpoczynało się wydzielanie pęcherzyków gazu, powodując wymieszanie. Jednocześnie szybkość reakcji rosła, ale w zależności od stężenia reagentów. Można było je tak dobrać, że nie dochodziło do gwałtownej reakcji a tylko do umiarkowanie intensywnego przebiegu. Zielona barwa znikwała, a roztwór przybierał kolor lekko żółtawy i gazował jak woda sodowa, lub raczej jasna lemoniada..

Angus zdawał sobie sprawę, że zachodzi tu reakcja utleniania, ale przypisywał jej jakieś wyjątkowe, wprost nadprzyrodzone albo magiczne cechy. Wydawało mu się, że obserwuje poszczególne, oderwane od całości funkcje lub czynności życia, że udało mu się uzyskać fragment takiego przebiegu reakcji, jaki zachodzi w żywych organizmach. Jeszcze bardziej utwierdził go w tych fantastycznych przypuszczeniach fakt, że światło promieni słonecznych miało wpływ na pojawianie się zielonej plamki, sprawdził nawet osłaniając kuwetę czarnym papierem z dziurą, że pojawia się ona zawsze w miejscu oświetlonym. Wprawdzie fotosynteza jest jakby odwrotnością oddychania, ale wydawało się, że oba procesy mogą mieć jakiś związek, może wspólny mechanizm, a ta reakcja utleniania jest fragmentem tego powolnego, w niskiej temperaturze przebiegającego procesu, jaki przebiega tylko w organizmach żywych i jakiego nigdy dotąd nie udało się powtórzyć w laboratoriach. Nie trzeba dodawać, że to bzdurne przypuszczenia, wynikające z ignorancji. W rzeczywistości zielona barwa wywołana była przez tworzący się przejściowo monomer glioksalu, o intensywnie zielonym zabarwieniu. Zresztą, te obserwacje rzeczywiście stały się w przyszłości podstawą patentów, dotyczących wytwarzania glioksalu. Sam Angus zdawał

sobie sprawę, że stoi przed sprawą, której na razie nie potrafi wyjaśnić ani zrozumieć. Więc postanowił, że kiedyś wróci do tej sprawy i lepiej przygotowany rozwiąże problem..

Angus był tak zaangażowany tymi badaniami, że po raz pierwszy we wojnie nie śledził szczegółowo rozwoju sytuacji. Szczerze mówiąc, inwazja w Normandii trochę go rozczarowała. Od początku nie bardzo wierzył w niemieckie fortyfikacje, osławiony „Wał zachodni” uważał za bluff. Niesłusznie, bo wprawdzie rok temu Niemcy rzeczywiście dużo zmyślali i reklamowali na pokaz ale do roku 1944 zbudowali imponujące fortyfikacje. Jednak i tak artyleria linii obronnej nie mogła się równać z potężnymi pływającymi bateriami ani beton ze stalowymi pancierzami, nie mówiąc już o zapasach i transporcie amunicji najdogodniejszą drogą morską, ani o tym, że alianckie pancerniki mogły dowolnie ustawiać się i zmieniać położenie, a niemieckie armaty i forty jednak nie. Wreszcie absolutna przewaga powietrzna zapewniała natychmiastową interwencję a specjalne bomby, zaprojektowane na rozbicie najsilniej zabezpieczonych obiektów w historii wojen, schronów okrętów podwodnych, łatwo radziły sobie ze zwykłymi fortyfikacjami. To też lądowanie musiało się udać, ale potem wojska sprzymierzone dreptały w miejscu. Hitler wyznaczył na stracona pozycję swego najlepszego generała. Gdyby marszałek polowy Rommel dostał odpowiednie środki i wolną rękę, to być może, zdołałby pobić amerykańskie i angielskie wojska w głębi lądu i potem znów zepchnąć do morza. Na szczęście Hitler uparł się dowodzić osobiście i trzymał wszystkich, także Rommla na krótkiej smyczy. Sam stracił nosa i szybko uległ degeneracji, szkodząc Niemcom coraz więcej. Teraz nie pozwalał ruszyć wojsk z nad Pas de Calais, gdzie wciąż oczekiwał głównego lądowania. W tych warunkach Rommel dokonał większego cudu, niż Kesselring zeszłego roku we Włoszech, właściwie powstrzymując aliantów tylko siłą woli i swoim talentem. Mijały tygodnie, a alianci nadal nie zdołali posunąć się poza kilkunastokilometrowy pas nadmorski. Wreszcie zajęli Caen, potem i Cherbourg i od tej pory ich pozycja stała się pewniejsza, ale te porty zostały tak kompletnie zniszczone, że w żaden sposób nie mogły pełnić roli centrów zaopatrzenia dla lądujących armii..

W innych warunkach Angus ogromnie by się denerwował, ale teraz nie miał na to czasu.. Nie zdziwiła go jednak podana przez gazety lipca wiadomość o zamachu na Hitlera. To, że wojna była definitywnie przegrana, nawet najgłupszy feltfel powinien dawno zrozumieć. Zaś każdy rozsądny Niemiec dążyć do usunięcia Hitlera. To najmądrzejsze, co można było jeszcze zrobić i właściwie patriotyczny obowiązek wobec swego kraju. Z Hitlerem jako uniwersalnym symbolem zła, nikt nie chciałby ani nie mógł paktować, ale po udanym zamachu i utworzeniu tymczasowego rządu, zaistniałaby pewna możliwość manewru i próby porozumienia się, albo ze wschodem albo z zachodem. Niemcy mogłyby zapewne

uzyskać lepsze warunki i ulgi, ale wszystko nastąpiło nie tylko za późno, lecz gorzej, nieskutecznie. Słyszało się takie komentarze, że jeżeli Niemcy sami nie mieli doświadczenia w konspiracji, mogli nawiązać ograniczone stosunki z Polakami. Mimo różnicy celów, na pewno nie spotkaliby się z odmową ze strony ludzi, których nauczono tej sztuki krwawymi masakrami i znali dobrze lekcje. Taka możliwość istniała, bo przecież oprócz Gestapo i RSHA, także i Abwehra usiłowała przeniknąć do polskiego ruchu oporu, a ponieważ nie wykorzystywała sukcesów do natychmiastowej zguby tych śledzonych, przynajmniej w niektórych wypadkach zachowała i utrzymała kontakty. Panowała opinia, że Polacy mogliby uzyskać lepszy wynik, gdyż byli mocniej zaangażowani. Wprawdzie ludzie tak mówiący nie zdawali sobie sprawy, do jakiego bohaterstwa wnieśli się niektórzy ze spiskowców, a także i z tego, że dla Niemców, załatwienie sprawy własnymi rękami zapewne było sprawą honoru. Jednak z drugiej strony, życie i los milionów ludzi jest ważniejszy od prestiżu i nawet honoru, a spiskowcy jednak nawiązali łączność z wywiadem brytyjskim, więc dlaczego nie z organizacją, które prawdopodobnie była najbardziej doświadczona? Może nie wierzyli w dyskrecję Polaków, ale ci na pewno przyjęliby każdy warunek i dochowali go..

Przy pełnym szacunku, spiskowcy jednak popełnili zbyt wiele omyłek i ciężko za nie zapłacili. Trudno wprost uwierzyć, do jakiego stopnia bestialstwa posunął się Hitler. To już nie bezprawie i okrucieństwo, ale zupełne zaprzeczenie cywilizacji i człowieczeństwa. Metody wyćwiczone na Polakach, Żydach i jeńcach radzieckich nakazał stosować do własnych ludzi, chociaż Niemców, w razie najmniejszego podejrzenia, że mieli jakiś kontakt z tymi, których uważał za zdrajców, a którzy przecież działali z gorącego patriotyzmu. Tak zwane sądy ludowe, stanowiące same w sobie pogwałcenie prawa i konstytucji, stosowały metody będące zaprzeczeniem rozwoju ludzkości, tradycje dawnej dziczy, najgorsze ze zbrojeckich. Nawet fotografie z niemieckich gazet, czytanych dlatego, że podawały nieco więcej szczegółów, pokazywały bez osłonek ludzi poniżonych i z maltretowanych bodaj gorzej, niż Żydzi i jeńcy, w mundurach wywróconych na lewa stronę i wybrudzonych własnymi odchodami, gdyż na przykład ci starsi nie byli w stanie kontrolować odruchów na torturach. Zamordowanych nie pokazywano, ale wiadomo, że Hitler kazał ich mordować tak, żeby umierali jak najdłużej, więc wieszano ich na hakach lub strunach fortepianowych i odtwarzano najokrutniejsze średniowieczne metody. Sam herszt zbrojów nie mogąc obejrzeć wszystkiego, nakazał sporządzić i przysyłać sobie filmy, oglądał je do woli w wolnych chwilach. Jeżeli przedtem starał się ukryć aberację umysłową, to teraz dla wszystkich musiało stać się jasne, że są pod władzą szalonego degenerata..



Wkrótce do tych wiadomości doszła jeszcze jedna, szczególnie fatalna dla Polaków. 22lipca Sowiety utworzyły komitet, stanowiący namiastkę przyszłego rządu marionetkowego oraz ogłosiły tzw. manifest Lubelski. To była ostatnia rzecz, którą Angus omawiał z Niedzielskim. Profesor powiedział wtedy, że druki tego manifestu miał już poprzedniego dnia, zostały one przerzucone z za frontu transportem lotniczym, a więc musiały być wydrukowane już wcześniej. Jednak jeszcze przez kilka dni agencje zagraniczne w ogóle nie odnotowały tego faktu, zajmowały się głównie jakąś konferencją monetarną w Dumbarton Oaks, co Angusa bulwersowało, gdyż wydawało mu się wprost niesmaczne zajmowanie się sprawami pieniężnymi, gdy waży się los milionów ludzi. Niedzielski wyraził nadzieję, że to dobry objaw, najwidoczniej świat nie traktuje serio, wręcz ignoruje sowiecką próbę utworzenia komunistycznego rządu w Polsce bez poparcia ludności. Niestety obaj się mylili. Nie rząd komunistyczny ignorowano, ale w ogóle Polskę, jak sprzymierzeńca który zrobił już swoje i przestał być potrzebny. Dlatego postanowiono rzucić go Stalinowi i wyciszyć sprawę. Z drugiej strony, konferencja w Dumbarton Oaks miała doniosłe znaczenie, tam utworzono Międzynarodowy Fundusz Walutowy i inne ważne dla przyszłości wielu ludzi (lecz nie Polaków), instytucje..

Już następnego dnia rozpoczął się odwrót, a raczej ucieczka z objawami paniki, zarówno władz jak i wojska niemieckiego. Wydawało się, że front przejdzie tędy w najbliższych dniach. Ze względu na trwające wciąż łapanki - (Niemcy coraz bardziej potrzebowali niewolników do pracy) rodzice wyekspediowali Angusa do ukrytego w lesie, z dala od szosy, domu Jarugów, gdzie wraz z Mateuszem miał przeczekać do odejścia Niemców. Gdy potem odwrót się nasilił, sami zamknęli na głucho dom i knajpę i korzystając z zaproszenia Jarugów, też przenieśli się do ich domu. Angus jeszcze raz wymknął się do miasta, ale profesora Niedzielskiego już nie zastał. Swoje prace też musiał przerwać, właściwie nie wykonał tylko jednego ostatniego punktu programu, piorunianu rtęci (szczerze mówiąc miał wątpliwości odnośnie opisu preparatyki, chociaż reakcja była w zasadzie znanego typu, też kwas azotowy z alkoholem, lecz dodatkowo jeszcze i rtęcią; zastrzeżenia nie były słuszne, ale potem dowiedział się, że ten inicjator dobrze spełnia swoją rolę w wypadku dynamitów, ale raczej kiepsko w odniesieniu do nowoczesnych wojskowych materiałów wybuchowych, więc nie było czego żałować)..

Jednak wbrew nadziejom, po kilku dniach paniczny odwrót ustał, a front ustabilizował się na linii Wisły, z pewnymi odchyleniami. To nie koniec, wojna miała trwać jeszcze długo. No cóż, życie nie układa się stosownie do naszych życzeń. Ale jednak, w ostatniej chwili,

Angus znalazł w nim swoje miejsce. Wiedział dokładnie, że chociaż jeszcze celu nie osiągnął, ma go przed sobą i musi do niego dążyć..

W latach wojny podjął wiele prób i aż dotąd wszystkie nieudane, chociaż nie dlatego, żeby wszystkie były beznadziejnie głupie. Powiedzmy, od chwili kiedy jeszcze w Poznaniu postanowił zostać wywiadowcą i notował numery wszystkich aut na ulicy Śniadeckich, bo jednak usiłowania wstąpienia do wojska we wrześniu 1939 raczej nie były realne. Za każdym razem starał się z całych sił, dawał z siebie wszystko co miał, a jednak spotykał się z niepowodzeniem..

Teraz też nie odniósł sukcesu, ale nie czuł zupełnie dotychczasowej frustracji, miał głębokie przekonanie - nie - wiedział na pewno, że jest na dobrej drodze. Nawet jeżeli to przesada, jeżeli to nie była droga, ale poplątane i zawikłane ścieżki - w każdym razie znajdował się na właściwym kierunku. Na swoim terytorium, chociaż trzeba jeszcze wiele wysiłku, żeby je poznać i umieć się poruszać. Da sobie radę, wcześniej albo później. Cokolwiek dowiadywał się, miał takie wrażenie, jakby rozpoznawał rzeczy znajome, jakby to wiedział, jakby to w nim tkwiło, albo było oczywiste, a tylko przypominał sobie czy uświadamiał. Dziwne uczucie, dotąd nigdy tego nie doświadczył..

Przedtem szukał, próbował szczęścia i miał zwykle pełno wątpliwości, teraz żadnych, czuł instynktownie. Nagle błysnęła myśl, że poprzednie usiłowania, próby i błędy, nawet okresy frustracji i depresji, to wszystko było potrzebne. Każde z tamtych doświadczeń wprowadzało cenną informację, wzbogacało go wewnątrz i przyczyniło się, doprowadziło do obecnej pozycji. Dzięki temu mógł rozpoznać bezbłędnie, instynktownie to, czego dotychczas poszukiwał na ślepo..

Za parę dni wróci do domu i zabierze się znów do wytwarzania materiałów wybuchowych. Wcześniej czy później osiągnie powodzenie, nauczy się, najwyraźniej do tego został stworzony czy przeznaczony, ma to we krwi. Istniała tylko jedna obawa, czy zdąży przydać się, zanim wojna się skończy. Ale po pobiciu Niemców prawdopodobnie trzeba będzie bronić niepodległości przed ich dawnym sojusznikiem, Sowietami. Bardzo możliwe, że znowu na nas wypadnie początek i podobnie jak przedtem w wypadku Hitlera, przez pewien czas Polacy będą musieli walczyć sami, nim sojusznicy zrozumieją zagrożenie i swój własny interes i udzielą wsparcia. Krótko mówiąc, że powtórzy się rok 1939..

A jeżeli te przewidywania są zbyt pesymistyczne, wszystko zakończy się dobrze, tak czy owak Polska będzie potrzebowała własnych sił zbrojnych. A więc także przemysłu obronnego, w tym i materiałów wybuchowych. Ponadto jeszcze jedna sprawa, ta niezwykła

reakcja, którą zaobserwował. W tym kryje się nie tylko tajemnica, ale i ogromny potencjał możliwości, czekający na odkrycie.

- ..... na swym życiu położył krzyżyk już. Nie ślijcie wierzby nam żalu, co serce rwie...

## **Rozdział XII. Zasadzka, pułapka, rozpacz.**

Było bardzo ciemno, jeszcze pełna noc. Ale niebo było już inne. Właściwie jeszcze nie było widać żadnej zmiany, tym bardziej żadnego koloru. Raczej czuło się niż widziało jakąś różnicę. Chwilowo światła przybyło tylko tyle, że jakby gwiazdy się przyćmiły. I odezwał się pierwszy ptak. Dłuższa chwila przerwy - i znowu. Z rzadka, od czasu do czasu odzywały się głosy ptaków. Angus zupełnie nie umiał rozpoznawać tych głosów - poza tym, że były to różne głosy, a więc prawdopodobnie różne ptaki.

Te głosy nie budziły, lecz przeciwnie, uspokajały, kołysły. Dziwna rzecz, ale głosy ptaków nie przerywały ciszy, lecz raczej przeciwnie, podkreślały ją, czyniły ją naprawdę pełną, bezpieczną, zafaną. To miało mu pozostać na całą resztę życia jak odruch warunkowy. Prawdziwy spokój, odprężenie, spoczynek, cisza były tylko wtedy, gdy w tle odzywały się głosy ptaków. Cała istota, ciało i umysł odprężało się wtedy, rozluźniało, człowiek stawał się po prostu częścią świata, roztopiał się w otoczeniu, przestawał istnieć. Kilka lub kilkanaście minut takiego stanu dawało więcej, niż całe godziny w innym otoczeniu.

Być może głosy ptaków działały tak dlatego, że kojarzyły się z poczuciem bezpieczeństwa. Las wrogi, lub zajęty przez uzbrojonych ludzi słyszało się zupełnie inaczej. To nie znaczy, że wszystkie ptaki milkły, - nie, ale czuło się różnicę fizycznie. Albo może, tak się potem wmawiało. To wszystko oczywiście dotyczy spoczynku, bo jeżeli oddział się poruszał to śpiew ptaków i tak się zmieniał, po większej części milkł. Oczywiście z jednym wyjątkiem, Jeżeli w pobliżu były wrony, to przeciwnie, stawały się głośniejsze. A zwłaszcza skrzekliwe, drapiące krakanie sroki stanowiło po prostu ostatnie głośne ostrzeżenie, że ktoś się zbliża - chyba, że odnosiło się to do własnego ruchu.

Dni były ciepłe, nawet upalne, ale teraz przy końcu nocy było zimno, nie żeby marznąć, ale na tyle, że Angus nie mógł już zasnąć. To chyba właśnie zimno go obudziło, trząsał się nieustannie, ale i tak nie było możliwości znalezienia cieplejszego miejsca, więc najlepiej było leżeć nadal, starając się zachować tą resztę ciepła którą zgromadził. Był całkowicie zawinięty, co prawda tylko w bardzo cienki, bawełniany koc, który jednak miał bardzo ważną zaletę: był lekki, naprawdę prawie nic nie ważył. Pod kocem ubrany był we

wszystkie rzeczy, których dotąd nie wyrzucił z niewielkiego plecaka z zielonego materiału z grubych nici. Plecak ten na wiosnę 1940 r. przyniósł ojciec, wracając z wojny. Prosty, starego typu plecak wojska polskiego, nawet zamiast skórzanych pasków miał taśmy z materiału i taką samą taśmę przyszytą w romb na klapie, można było do niej przyczepiać różne rzeczy. Angus właśnie do niej przyczepiał koc, za cienki i za wiotki żeby go rolować i opinać dokoła plecaka. Ten plecak też prawie nic nie ważył, zwłaszcza pusty. Właściwie dziwne, że robiąca wrażenie tandety rzecz w ogóle nie zmieniała się w ciągu lat, nie ulegała żadnemu zużyciu, wytrzymywała wszystko, każdą poniewierkę.

Trzydzieści lat później, dwadzieścia dziewięć po wojnie ten sam plecak utonął podczas wywrotki na bystrzynie. Gdyby nie to, być może za następne trzy tysiące lat byłby pokazywany jako starożytność w jakimś muzeum, trochę wyblakły od zewnątrz w kolorze, ale poza tym bez żadnej widocznej zmiany.

Angus leżał teraz na wznak, mniej więcej w trzech czwartych na plecach i jednej czwartej na prawym boku na kilku gałęziach sosnowych, na które nałożył warstwę coraz cieńszych gałązek i nieco zgarniętego igliwia. Po pierwszych doświadczeniach spania na gołej ziemi, podobnie jak wszyscy przekonał się, że choćby wieczorem dosłownie leciało się z nóg, padało ze zmęczenia, nie należało padać na ziemię. Zrobienie sobie posłania było absolutnie konieczne, bez tego noc nie dawała wypoczynku i rano ciało bolało tak, że trudno było zdobyć się na nowy wysiłek. Oczywiście, słoma albo siano byłyby znacznie lepsze, nie mówiąc już o wspaniałości spania w stodole lub choćby w stogu, ale tym razem oddział szedł na końcu i nie było szansy trafić na niezajęte miejsce pod dachem. Zwłaszcza że niewiele było budynków a masy ludzi, gdyż omijali zwykle większe miejscowości. Nie zawsze tak bywało, ale przy dobrej pogodzie noc na dworze nie była wcale najgorsza.

Tak więc pod głową miał ten prawie pusty plecak, a tuż przy ciele czuł swój automatyczny karabin, największy skarb swego życia, najwspanialszą broń, jaka istniała na ziemi, najcudowniejszy... Dotykał go nie tylko ciałem, ale co kilka chwil automatycznym gestem ręką, we śnie czy na jawie, jeżeli przypadkiem nie trafił ręką, budził się natychmiast i uspokajał dopiero po namacaniu go. Gdyby noc była wilgotna, zawinąłby broń razem ze sobą w koc, gdyby mokra, osłaniałby ją swoim ciałem albo w ogóle nie spał. Ponieważ jednak pogoda była dobra, więc mógł sam tylko owinać się kocem, przez który czuł twardy kształt jak przez bibułkę.

Chociaż nie spał już od pewnego czasu, nie był też całkiem przytomny. Co parę chwil, myśli wędrowały same do różnych zdarzeń, ale co jakiś czas łapał się na tym, że złudy mieszają się z rzeczywistością, że różne skojarzenia są nielogiczne albo całkiem fantastyczne.

Zresztą starał się usilnie nie myśleć o niczym, bo miał niejasne uczucie, że coś bardzo złego wisi nad nim i zanim wróci do rzeczywistości trzeba jeszcze odpocząć, wzmocnić się... A najlepiej byłoby już wcale się nie obudzić. Również bolący grzbiet kazał leżeć jak najdłużej spokojnie, ale w końcu przepełniony pęcherz zmusił jednak do wstania.

Podniósł się, czując jak gdyby to G. D'Arcy Cheesewright („Stilton”) zamierzając złamać kręgosłup Bertrama Woostera w czterech lub pięciu miejscach, idiotycznie pomylił osoby i zrobił to jemu, ale dla pewności co najmniej w sześciu miejscach. Odszedł na chwilę, ale ból kręgosłupa był tak silny, że nie mógł stać prosto i musiał oprzeć się o sosnę. Wrócił i omal nie krzyknął kładąc się ponownie, potem z poczuciem ulgi wyciągnął się, ale teraz był już zupełnie obudzony.

Niebo zaczęło już szarzeć, ale mógł jeszcze leżeć spokojnie dobrą godzinę, a może więcej. Potrzebował tego bardzo. Tak, teraz myślał logicznie i świadomość wróciła, niestety. Po prostu doszedł do końca swej drogi.

Przypomniały mu się słowa przeczytanego polskiego tłumaczenia „Domu w Kentucky” - „Jeszcze tylko czas krótki nosić będę ciężkie brzemię, jeszcze tylko czas krótki, potem zwalę się na ziemię...”. Jeżeli teraz jeszcze odpocznie, jeżeli będzie leżał spokojnie do ostatniej chwili, może zdoła dotrzeć do końca tego dnia. Ale nawet gdyby się to powiodło, na pewno nie zdoła już przetrzymać następnego.

Stracił wprawdzie dokładną rachubę dni i nie był pewien daty, ale zdarzenia ostatniego okresu miał przed oczami. Dopiero trzeciego sierpnia wraz z kolegą, w którego domu położonym poza miastem wtedy dla bezpieczeństwa nocował, dowiedzieli się o wybuchu powstania w Warszawie. Nie mówili nic przy rodzicach, tylko spojrzeli na siebie, ale sprawa była jasna. trzeba iść. Ale następnego dnia nie mógł znaleźć żadnego kontaktu do swoich kolegów i znajomych, których nerwowo szukał, gdy jednocześnie wszyscy ostrzegali go, żeby na miłość Boską nie kręcił się teraz niepotrzebnie po mieście. Ostatecznie te próby nie dały żadnego efektu, ale to rozumiałe.

W rezultacie, bez żadnego konkretnego planu, następnego dnia jeszcze przed świtem wykradli się z domu, zabierając trochę bielizny i rzeczy, najmocniejsze, nasmarowane olejem buty i trochę żywności. Ruszyli wzdłuż starachowickiej szosy na zachód, naturalnie nie asfaltem, ale w przyzwoitej odległości na przełaj, gdyż na szosie nie tylko odbywał się ruch, ale tuż przy szosie stały różne jednostki, między innymi obrony przeciwlotniczej. Właśnie parę nocy temu na tak grupę żołnierzy niemieckich całkiem blisko stąd nadleciał cicho, z wyłączonym motorem, rosyjski kukuruźnik i zrzucił kilka małych bomb, niektórzy mówili nawet o granatach, - czterech zabitych nieznaną ilość rannych, prawdziwe jatki.

Idąc równolegle do szosy dosyć szybko doszli do miejsca, gdzie krzyżowała się ona z linią kolejową. Obeszli z dala małą stację Bokszycka, położyli się w pewnej odległości od torów na ziemi i po zorientowaniu się, jak są one strzeżone, chyłkiem je przeskoczyli. Dotąd szli przeważnie skrajem małych lasów, teraz weszli do dużego kompleksu leśnego. Dzieliła go szosa, ale ruch pojazdów odbywał się tylko od czasu do czasu, grupami. Już dużo wcześniej, oglądali z satysfakcją wielkie żółte tablice z napisem: Achtung! Bandengefahr! Fahrzeuge nur in staerkstem Geleit...etc. Bandengefahr - to właśnie to, czego szukali.

Dalej szli prosto. Agnus zaproponował kierunek na okolice Michniowa, gdzie próbował szczęścia w zeszłym roku, ale choroba przeszkodziła w dostaniu się, jak miał nadzieję, do oddziału Ponurego. Teraz nie było już Michniowa, wieś została spalona i wymordowana przez niemieckie ekspedycje karne, a Ponury był gdzieś daleko. Jeszcze o wiele dalej niż sądzili, bo już poza tym światem. Angus po cichu żywił nadzieję, że kiedy znajdzie się w trochę już znajomych stronach, rozpozna jakieś miejsce gdzie był przeszło rok temu albo kogoś znajomego. Zresztą faktycznie, w dużym stopniu na bazie tego oddziału powstawały teraz trzy bataliony Armii Krajowej.

Jeszcze nie dochodząc do celu, natrafili przypadkiem na oddział powstający w ramach koncentracji. Z początku nie byli dobrze przyjęci, ale znowu szczęśliwy przypadek. Angus zobaczył znajomą twarz. Nie był to bynajmniej żaden kolega, ale jeden z tzw. granatowych policjantów z Ostrowca Świętokrzyskiego, u którego rodzice Angusa wynajmowali jeszcze w 1940 r. lokal i który znał Angusa i za niego zaręczył. (Na szczęście znajomość nie była aż tak dobra, żeby obejmowała dokładną datę urodzenia i Angus dołożył sobie rok, a potem poprawił prawie na półtora). Ostatecznie pozwolono im zostać, ale i tak nie byli zbyt mile widziani, bo przyszli bez broni. Młodych ludzi bez broni było dużo - za dużo. Ze zdziwieniem zauważyli, że w oddziale jest wielu już starszych mężczyzn, wszyscy dobrze uzbrojeni. Później dowiedzieli się, że tutaj właśnie zgłosiło się wielu tzw. granatowych policjantów, którzy podczas okupacji z konieczności pełnili służbę porządkową, ale w dużej części należeli też do konspiracji, albo też skorzystali z pierwszej okazji żeby pójść do swoich zabierając broń. Niekoniecznie tylko broń służbową, wielu z nich mimo ryzyka przechowało własną broń z przed wojny. Jednym słowem, porządni ludzie i dobrzy patrioci, jednak brakowało im doświadczenia partyzanckiego.

Angus z kolegą czuli się obco w tym towarzystwie także z powodu wieku. A także duża liczba nieuzbrojonych ochotników stanowiła dla oddziału poważne obciążenie, gdyż trzeba było ich ochraniać.

W dwa dni później duża grupa, w niej także Angus z kolegą, zostali odesłani do innego oddziału. A wkrótce potem ten pierwszy oddział został zaskoczony przez Niemców - i wprawdzie nie rozbity i zlikwidowany, bo bronili się skutecznie - ale poniósł bardzo duże straty. Odesłanie większości nieuzbrojonych młodych cywilów okazało się więc bardzo słuszną decyzją, ale ponadto oddział miał za mało doświadczonych ludzi a sama broń jeszcze nie wystarcza.

Na drogę Angus dostał - co uważał za swoją pierwszą broń - granat ręczny domowej produkcji, tzw. sidolówkę (w puszcze od środka czyszczącego o nazwie Sidol). Podniosło to jego samopoczucie - aż do czasu, gdy dowiedział się, że sidolówki bardzo często nie wybuchają.

Nowy oddział był wyraźnie lepiej zorganizowany i opierał się na kadrze doświadczonych partyzantów, z tradycją z oddziału Ponurego. Ale Angus nadal był tylko nieuzbrojonym cywilem i do tego szczeniakiem, którego ledwie tolerowano. Na szczęście nie przyjęło się określenie którego bardzo nie lubił - „nadliczbowy”.

Chociaż subiektywnie uczucie było paskudne, to jednak była to sytuacja normalna i powszechnie akceptowana i zrozumiała. Po prostu ludzi zawsze dotąd było więcej, niż broni i zakładało się, że we walce ci ludzie pójdą w drugim rzucie i podniosą broń zabitych kolegów. Oczywiście wszyscy mieli nadzieję, że raczej zabitych Niemców. Teoretycznie, w ten sposób w walce oddział mimo poniesionych strat, faktycznie się wzmacniał. Zakładano, że proporcja 20 - 30 % nieuzbrojonych jest do przyjęcia i właściwa, oczywiście gorzej, jeżeli ta proporcja kształtowała się odwrotnie (a to zdarzało się często w czasie formowania oddziałów i dużego napływu ochotników).

Zresztą nie ma w tym nic nadzwyczajnego i powszechnie wiadomo, że jeżeli walczą ze sobą armie, dobrze i źle uzbrojona, (oczywiście mowa o walce na serio i z pełnym zaangażowaniem), to po pewnym czasie poziomy się wyrównują, wojsko gorzej zaopatrzone nasyca się sprzętem lepiej uzbrojonego. Tak było i w tym wypadku, przy końcu walki oddziały Armii Krajowej miały dosyć broni, a nawet pewien zapas (w każdym razie ręcznej). Znanych jest wiele podobnych przykładów na całym świecie. A w przypadku Polaków to była sytuacja typowa i powtarzała się wiele razy w przeszłości podczas walk o niepodległość. „Kosami zdobędziemy karabiny, a karabinami armaty”.

Jednak ten sposób zaopatrzenia wojska jest bardzo kosztowny, bo za broń płaci się życiami. Dlatego też w oddziałach leśnych panował po prostu kult broni - stanowiła ona największy skarb, przedmiot pożądania i skąpstwa, czci i uwielbienia. Prawdopodobnie żaden właściciel najbardziej luksusowego i kosztownego samochodu obecnie nawet nie wyobraża

sobie takich uczuć, jakich doznawał posiadacz polskiego VIS'a. Dobrą opinię miał również niemiecki Parabellum, a oczywiście całkowicie poza zasięgiem marzeń był Colt, absolutnie nieosiągalny, mieli go tylko niektórzy oficerowie, „cichociemni”. Praktycznie jedyny sposób na posiadanie Colta to było wylądować na spadochronie z bronią osobistą. Zwłaszcza u młodych i jeszcze „zielonych” żołnierzy często rozwijała się prawdziwa obsesja, dokładnie taka jaką żywił Gollum do Pierścienia i przewyższająca instynkt samozachowawczy.

Dopiero mając broń, można było stać się prawdziwym żołnierzem, a niektórzy upraszczając kwestię mówili, że w ogóle człowiekiem.

Broń można było zdobyć osobiście i wtedy nigdy nie była ona kwestionowana. Albo też można było broń otrzymać, na przykład od kolegi, jeżeli np. zdobył lepszą i mógł oddać własną, ale to już wymagało aprobaty. Czasami zdobyczną broń mógł dać dowódca, lecz rzadko zdarzało się, żeby miał co do dania, czasem tym którzy wykazali się czymś nadzwyczajnym (odwagą, zasługą) - jednak na ogół dostać broń można było tylko wtedy, jeżeli miało się już przedtem bardzo dobrą opinię u kolegów i zgadzali się oni, że otrzymujący potrafi zrobić z tej broni dobry użytek. To oczywiście tylko zwyczaj, ale najczęściej nawet dowódca wręczając komuś broń, pytał obecnych, czy uważają, że broń idzie w dobre ręce. Krótko mówiąc, zanim otrzymało się broń, trzeba było mieć opinię dobrego strzelca i naprawdę znać się na tej broni.

Wszystko to może się wydawać zamkniętym kołem, ale tak wcale nie było. Istniał prosty, utarty zwyczaj i także Angus tak postępował. Po prostu, trzeba było zaprzyjaźnić się z kimś z prawdziwych żołnierzy, którzy mieli już broń. Właściwie tą lekcję Angus już raz przerabiał, we wrześniu 1939 r. w Żydowie, a teraz zasady były podobne. Takiemu żołnierzowi pomagało się w miarę możliwości, często po prostu podlizywano, częstując go papierosami, jedzeniem - nawet jeżeli samemu się nie miało. Pozwalał on za to wyczyścić swoją broń i czasem nawet rozłożyć i złożyć ją, wyjaśniał jak się obchodzić i zwłaszcza przy sprzyjających okolicznościach pozwalał czasem zabrać rozładowaną broń, odejść trochę na bok i poćwiczyć mierzenie i pozorowane strzelanie do drzew, chwytów broni itd. Zwykle każdy starał się być przy tym sam, bo rzeczywiście wyglądało to trochę śmiesznie. Również i to stanowiło dla Angusa powtórzenie już przerabianej w 1939r. lekcji, ale uważał że taka powtórka przyda mu się i wkrótce miał dobrą opinię, w każdym razie w odniesieniu do prostego karabinu (zarówno polskiego, jak i niemieckiego, były podobne).

Po kilku dniach jednak, udało mu się, dokładając do posiadanego granatu całą zabraną ze sobą czystą bielizną i różne osobiste rzeczy, zamienić się na prawdziwy pistolet. Chociaż tak naprawdę to właściwie wrak, o bardzo wysokim stopniu zużycia i ograniczonej



użyteczności. Najlepiej określa to powiedzenie, że ten pistolet czasem strzelał. Był to stary typ tzw. Hiszpana (9mm prod. Hispano-Suisse; Hiszpanem nazywano również jeden z pistoletów automatycznych Colt'a, ale o takich skarbach oczywiście nie mówimy). W każdym razie prawdziwy pistolet a nie żadna „damska muchobojka”. Niestety, z zamka bardzo łatwo wyskakiwała sprężyna, a następnie trzeba było dużej zręczności, żeby zamek złożyć. W magazynku było tylko pięć naboji, a poprzedni właściciel szczerze wyrażał wątpliwości, czy można używać niemiecką amunicję, np. typu parabellum, ponieważ on już próbował i stwierdził, że pistolet czasem strzela, ale rzadko. Oczywiście o starej amunicji 9 mm systemu Browning można było tylko marzyć, zresztą i naboje Parabellum było trudno dostać; nawet zwyczajny nabój karabinowy, których było najwięcej, wymieniało się między kolegami na pięć do dziesięciu papierosów a oczywiście papierosów też bardzo brakowało (Angus wraz z kolegą żalowali teraz, że nie zabrali zapasu, choć sami już trochę palili - ale o takiej przydatności nie pomyśleli).

Mimo wszystko Angus miał teraz broń, wprawdzie kiepską, ale prawdziwą. Zresztą w użyciu były wciąż jeszcze nawet zadziwiająco muzealne egzemplarze, jeszcze z przed I Wojny Światowej. Stare Mausery miały całkiem dobrą opinię, a Angus widział nawet Nagant jeszcze z carskich czasów, do którego właściciel własnoręcznie przerabiał naboje. Po dokładnym przemyśleniu sprawy, doszedł nawet do wniosku, że jako (wprawdzie umiarkowany) krótkowidz nie ma szans na zostanie bardzo dobrym strzelcem z broni długiej, natomiast przy odpowiednio intensywnym wysiłku i intensywnym treningu może zostać dobrym rewolwerowcem i przez pewien czas skoncentrował się właśnie na tym.

Jeszcze kiedy starał się o przyjęcie do oddziału Ponurego usłyszał, z drugiej ręki o nadzwyczajnych osiągnięciach i samego Ponurego i Nurta, który był jego zastępcą, a obecnie jakby następcą. Zbierał też każde źdźbło informacji jaką powtórzyć umieli partyzanci o tym, co Ponury sam mówił o sposobach uzyskania tych umiejętności.

Wprawdzie podobno miał stwierdzić, że korony umiejętności, instynktownego strzelania nie zdołają osiągnąć - „nie dlatego, żebyście byli choć trochę gorsi ode mnie, ale po prostu dlatego, że nie macie takich możliwości, ja w okresie treningu wystrzeliwałem ponad 200 naboji dziennie” - ale podawał zasady i szczegóły wszystkich faz dobrego szkolenia i to chciał obecnie Angus zastosować.

Pierwsze wstępne ćwiczenia polegały po prostu na intensywnym ćwiczeniu dłoni - szybkości rotacji i szybkości zamykania i otwierania - należało to robić wiele godzin dziennie i z najwyższym wysiłkiem, aż do wyczerpania. Te wstępne ćwiczenia, do których nie

potrzeba było w ogóle broni, wykonywał Angus już od ponad roku, chociaż nie akurat aż tak intensywnie. Teraz mógł nareszcie przejść do następnych elementów.

Należy od razu wyjaśnić, że w tym okresie przyjęty był inny styl strzelania, niż stosowany obecnie lub raczej znany z licznych filmów, telewizji itd. Przez cały czas wojny Angus w ogóle nie widział ani jednego strzału z broni krótkiej trzymanej w obu rękach, chociaż widział, raczej wyjątkowo strzały przy podparciu jednej ręki drugą.

W zasadzie na większą odległość strzelano, wyciągając rękę na prawie całą długość, a dokładniej na tyle, żeby ręka nie była sztywno wyprężona, ale ujmowała broń swobodnie. Dodatkowo często skręcano tułów bokiem, dla uzyskania większego wycięgu. Przy bliższych odległościach, a zwłaszcza przy wspomnianym wyżej strzelaniu instynktownym, ręka albo była zgięta do ok. połowy wycięgu i ewentualnie lekko wysuwana jakby wskazując cel w chwili strzału, albo też trzymana blisko ciała. Strzelanie tzw. instynktowne zalecano ćwiczyć z półobrotu lub ćwierćobrotu.

Technika strzelania dyktowała pewne wymagani odnośnie wcześniejszych faz treningu. Po uzyskaniu sprawności dłoni, następnym etapem było chwywanie pistoletu i sposób trzymania. Tzw. zonglowanie pistoletem nie było ani głupim popisem ani zabawą, miało konkretny cel. Chodziło o to, żeby zupełnie automatycznie pistolet był jakby przyklejony do dłoni, pewnie w niej spoczywał albo nawet znajdując się tylko obok, nie tracił z nią kontaktu. W walce, wykonuje się często gwałtowne ruchy, nie można było przy tym wypuścić a tym bardziej zgubić broni ani dać jej sobie wytrącić. Bez tego bliskiego związku, czucia pistoletu tak jakby stanowił on część ręki, byłoby to niemożliwe. Oczywiście, istniało jeszcze możliwość - przywiązania pistoletu, ale stosowano to raczej w kawalerii, gdzie bieg lub skoki konia mogą spowodować wyjątkowo nieobliczalne wstrząsy. Niektóre pistolety i zwłaszcza rewolwery starszych typów, miały przytwierdzone na dole kolby metalowe kółko, dla kawalerzystów, którzy przywiązywali do niego sznur i albo łączyli go do ramienia, albo też zakończony pętlą zakładali na szyję. Na przykład wspomniany wyżej Nagant miał właśnie taki kółko. Jednak zwyczaj ten należał raczej do przeszłości, niniejsza wzmianka o nim ma po prostu podkreślić znaczenie i potrzebę wyrobienia dobrego, niezawodnego uchwytu broni, co dla piechura wystarcza.

Ostatecznym celem całego szkolenia i ćwiczeń jest wyrobienie możliwości szybkiego oddania strzału w momencie potrzeby, co oczywiście poprzedzone musi być szybkim wyjęciem i uchwyceniem broni. Można powiedzieć, że istnieją różne szkoły, ba nawet różne specjalne urządzenia, ale o tym Angus słyszał tylko teoretycznie i oczywiście niedokładnie.

Zdecydował się więc na najprostszą ale dosyć dogodną technikę, stosowaną zwykle, gdy pistolet nosi się z przodu, najlepiej w wewnętrznej lewej kieszeni na piersi, ewentualnie zatknięty za paskiem (to ostatnie zawsze uważał za wyjątkowo niepraktyczne, ale znał zwolenników właśnie takiego noszenia i to bardziej od niego doświadczonych, pewnie to sprawa indywidualna). Otóż przy tej technice pistolet chwyta się najpierw zupełnie swobodnie w taki sposób, że właściwie spoczywa on na otwartej dłoni a palce tylko trochę go otaczają i lekko przytrzymują. Dopiero w momencie unoszenia pistoletu i zwracania go w stronę celu. wykorzystuje się jego wagę i bezwładność tak że bezpośrednio przed wycelowaniem i strzałem, pistolet sam jakby „wchodzi” w dłoń.

Angus wybrał ten sposób dlatego że nie wymagał on specjalnej zręczności, do uzyskania dobrych wyników wystarcza po prostu dużo pracy i ćwiczeń, a on był raczej niezgrabny, jak żartowali koledzy, dobry w teorii. Z tego co słyszał, za całkowicie zadawalające czas od podjęcia decyzji do strzału uważano 0,25 sek. a najlepsi strzelcy osiągali 0, 2 sek. - ale mówiło się, że w wyjątkowych wypadkach zdarzali się ludzie, którzy potrafili to zrobić dwa razy szybciej. Chyba w legendzie, chociaż być może istnieją ludzie o wyjątkowej szybkości reakcji nerwowej. Występują przecież różnice osobnicze, a fizjologicznie wiadomo, że niektóre gatunki zwierząt, zwłaszcza ptaki, czasy reakcji miewają nawet wielokrotnie krótsze niż u człowieka. Zresztą Angus nie miał w tej sprawie własnego doświadczenia ani nawet obserwacji, właśnie usiłował dopiero skleić jakieś ogólne zasady na podstawie fragmentów informacji uzyskanych z drugiej ręki. Nie znalazł też żadnych konkretnych opisów ani wskazówek w książkach, czasem tylko jakieś najwyraźniej bzdurne sensacje.

Do oddziału Ponurego się nie dostał i nigdy też nie zamienił z nim ani słowa - tyle. że widział go z pewnej odległości (co i tak uważał za zaszczyt i wielkie szczęście swego życia), nie mógł więc oczywiście poprosić o instrukcje. Był jednak pewien opis, który słyszał od osób, które podobno widziały to zdarzenie na własne oczy. Otóż Ponury właściwie nie demonstrował sam techniki strzelania, jeżeli już tak się złożyło, to raczej prosił o to swoich oficerów, podobno nazywał Nurta mistrzem broni krótkiej a Robota długiej i maszynowej. Tylko raz, podczas rozmowy przy ognisku (wprowadził taki zwyczaj i uczestniczył sam, ilekroć miał możliwość), dał się namówić. Ognisko się już paliło, ale zmierzch jeszcze nie całkiem zapadł, jednak takie zmieniające się oświetlenie jest właśnie najtrudniejsze. Podobno Ponury polecił jednemu z żołnierzy odejść o 25 kroków i rzucić dwie monety w góry. Sam stanął bokiem i kiedy jeszcze wszyscy patrzeli na rzut, Ponury się odwrócił, dwa strzały i monety odskoczyły, znaleziono je później, obie trafione. Nikt nie widział w ogóle, kiedy

Ponury sięgnął po broń ani kiedy ją schował, a on sam nigdy potem nie chciał powtarzać strzelania, żartując, że po takim szczęśliwym przypadku nie może więcej ryzykować reputacji. Angus rozmawiał z kilkoma osobami i zawsze słyszał tę samą relację, najwyżej drobne szczegóły się różniły, np. czy to było 25 kroków czy tylko 20, czy Ponury obrócony był bokiem, czy prawie tyłem itd.

Zresztą nieżyjący już w tym czasie Ponury był legendą, wzorem, ideałem i najwyższym autorytetem nie tylko młodzieży, ale dla wszystkich, którzy go znali. Jeżeli to, co Angus słyszał, było prawdziwe, to znaczyłoby że Ponury przewyższał wszystkich i każdą rzecz i czynność, nawet najprostszą potrafił zawsze wykonać lepiej, niż ktokolwiek inny. Jeżeli to nawet wątpliwe, bo przecież był tylko człowiekiem, to jednak świadczy, jaką opinię u żołnierzy miał ten dowódca.

Jednak Angus nie miał okazji sprawdzić, czy jego domysły i zbierane strzępy informacji były poprawną dedukcją i czy mógłby dzięki nim sam dojść do biegłości w użyciu krótkiej broni, ponieważ swoje szkolenie musiał czasowo przerwać gdyż bieg wydarzeń zdecydował inaczej. Wkrótce zdarzyło się coś, co przesądziło o dalszym jego losie.

Nie był w stanie przypomnieć sobie dokładnie, ale to mogło być w pięć dni od wyjścia z domu - wieczorem w oddziale zarządzono alarm i pogotowie, ponieważ w pobliżu pojawił się oddział niemiecki. Od czasu zbliżenia frontu, zwiększyło się znacznie nasycenie terenu wojskiem niemieckim, zwłaszcza w pobliżu linii komunikacyjnych. Ale tutaj przypadkowe rozłożenie się jednostek tyłowych albo np. artylerii przeciwlotniczej było mało prawdopodobne, można było raczej spodziewać się przygotowań do oblawy i nagłego ataku, takiego jak wspomniany wcześniej na oddział Potoka, z fatalnym skutkiem. Z drugiej strony, dziwne było, że nastąpiło to wieczorem. Niemcy z zasady nie wchodzili na teren zalesiony po ciemku.

Wkrótce jednak okazało się, że jest to tylko posiłkowy niemiecki oddział tzw. Kałmuków, a ani tam ani w pobliżu nie ma innych żołnierzy niemieckich. Kałmucy przyjechali konno i po prostu rozkładali się w lesie na biwak. W związku z tym alarm odwołano. Wiadomo, Kałmucy nie będą atakować. Chociaż rozłożyli się blisko, wysłano tylko w tamtą stronę posterunki obserwacyjne, a bliżej własnego obozu osłonę z bronią maszynową. Uprzedzano też, że ewentualnie przy odjeździe mogą oni urządzać strzelaninę w niebo, rodzaj przedstawienia. Jednak nic takiego nie miało miejsca i wczesny rankiem kałmucy znikli jak mgła.

Kolega Angusa namówił go, żeby poszedł z nim obejrzeć miejsce, gdzie kwaterowali kałmucy. Nie chodziło przy tym o ciekawość ani o atrakcję turystyczną, ale o przeszukanie

tego obozowiska. Obozy kałmuków nie były, tak jak to było w zwyczaju oddziałów partyzanckich, dokładnie sprawdzane i oczyszczane, często można znaleźć było różne pozostałości. W tym wypadku, skoro nie urządzili przedstawienia ze strzelaniną, być może uważając, że przy tak bliskim sąsiedztwie strzelanina pozorowana mogłaby przemienić się w prawdziwą, możliwe było znalezienie paru sztuk rozsypanej amunicji. Brak amunicji był w oddziale równie dotkliwy albo nawet większy, jak brak broni, a kałmucy przyjechali na pewno z dużym zapasem otrzymanym od Niemców, a swoje rzekome bitwy z partyzantami rozliczali jeszcze wtedy m. in. na podstawie zużycia amunicji. Skoro jej tutaj nie wysznelali, nadal musieli mieć duży zapas...

Chociaż więc patrole już tam dotarły, kilku partyzantów wybierało się, żeby szczegółowo przeszukać okolice. Prawie tak, jakby poszukiwaczom złota powiedziano, że w strumieniu ktoś widział samorodki i złoty piasek.

\* \* \*

W tym miejscu nieodzowne staje się parę wyjaśnień w sprawie uprzednio wzmiankowanej w Kapsule: los jeńców rosyjskich. Należy ona do największych zbrodni tej wojny, do nazwania których utworzono specjalne słowo: „ludobójstwo”. Prawie cały świat wie o Holokauście, większość ludzi przynajmniej słyszała o, praktycznie dwukrotnym zdziesiątkowaniu, wymordowaniu około 20 % ludności Polski, natomiast zdumiewające jest, jak wielu nie wie, albo może nie chce wiedzieć o okropnym losie tych nieszczęśników. Zginęli praktycznie wszyscy szczególnie okrutnie, nie mając nigdy nadziei ani żadnej możliwości ratunku. Żyjąc w kraju, który oficjalnie nazywał się rajem a został zamieniony w piekło, nie z własnej winy zostali zmuszeni do służby w armii, która początkowo czynnie wspomagała hitlerowską agresję rozpoczynając II wojnę światową. Bez zapewnienia tej pomocy oraz wsparcia materialnego Hitler nigdy nie odważyłby się na rozpoczęcie wojny, Ale była to zmowa bandytów, z których każdy planował zabić następnie drugiego, pochylonego nad łupem. Stalin planował zadać cios na jesieni, lub przy końcu 1941 r. Dla zmylenia przeciwnika, praktycznie rozbroił wojsko w strefie nadgranicznej, znosząc fortyfikacje, zakazując odpowiedzi w razie ataku i w ostatniej chwili zabronił zarządzenia alarmu i nawet rozprowadzenia ostrej amunicji. Wprost włożył głowę pod topór - oczywiście nie swoją głowę. Mimo wszystko szybki Adolf zaczął strzelać pierwszy.

Po upadku Francji przez pewien czas Stalin był pewien, że przechytrzył Hitlera, trzyma już cały świat w rękę i nikt nie może mu w tym przeszkodzić. Ryzykował dużo i chyba świadomie. Można powiedzieć, że Stalin rozpoczął już wyprowadzać cios od pracy

nóg, ale nie podniósł rąk ani zacisnął pięści, żeby przeciwnik tego nie dostrzegł. Brakowało niedużo, może kilku tygodni, lecz jednak się spóźnił.

Za jego zbrodniczy obłąd zapłacił jego kraj i świat, a w pierwszym rzędzie wyginęła właściwie cała populacja młodzieży rosyjskiej, wszyscy mężczyźni w wieku poborowym i sprawni fizycznie. Prawie rozbrojeni i postawieni na pokaz na niemożliwych pozycjach, otwartych i odsłoniętych, zupełnie nieprzygotowani na atak ze strony, którą oficjalnie kazano nazywać przyjacielem i sojusznikiem, źle dowodzeni. Więcej, surowo zakazano im obrony w razie jakiegoś „lokalnego starcia”, nawet otwierania ognia do często przelatujących samolotów niemieckich. Zostali po prostu wyprowadzeni na rzeź i potem porzuceni na pastwę wroga. Stalin rozkazywał sztabom armii ewakuować się porzucając żołnierzy (przynajmniej generałowie nie powinni znaleźć się w niewoli; gdy nie słuchali rozkazu i chcieli pozostać ze swoją armią, własna ochrona miała ich zlikwidować, jak w znanym wypadku Własowa, który właśnie w wyniku tego ranny, wpadł do niewoli).

A jednocześnie nakazał ogłosić wszystkich żołnierzy, którzy się poddali, zdrajcami i skazać ich na śmierć. Z drugiej strony, również Hitler rozkazał, że prawo międzynarodowe nie może odnosić się do jeńców rosyjskich. Zupełnie jakby mimo obecnej wrogości, nadal trwała współpraca, te dwa potwory nadal czuli tak samo i instynktownie rozumieli się. Szlag alle todt!

Od tej chwili jeńcy mogli tylko cierpieć i umierać. Najpierw byli traktowani z takim okrucieństwem, że hańbą byłoby tępić w podobny sposób zwierzęta, umierali jak muchy albo zabijali się sami. Po pewnym czasie, władze Rzeszy doszły jednak do wniosku, że to rozrzutność zabijać tak niewolników których siły mają jeszcze wartość ekonomiczną i że można to zrobić dopiero po wyciśnięciu z nich wszystkiego. Pozwolono im pracować ale wśród innych niewolników byli najgorzej traktowani. To oni budowali podziemne fabryki i tajemnicze obiekty, z których na koniec nie wychodził żywy żaden robotnik, zostali tam, pochowani wraz z tajemnicą.

Fakty przedstawiają się tak: oczywiście dokładnych cyfr nie można ustalić, ale w r 1941 (to jest w okresie pół roku) liczba wziętych do niewoli przekraczała 4,5 miliona, w tym wypadku Niemcy nie przesadzali; w pierwszej połowie 1942 przy większych bitwach zmalała ona do 1,5 miliona, potem już utrzymywała się na nieznanym poziomie, a proporcja między zabitymi w walce i wziętymi do niewoli przekraczały 20: 1 (żołnierze wiedzieli już, czego się spodziewać), poprzednio ten stosunek wynosił między 1:6 a 1:8 (ta rozbieżność wynika z faktu, że nie wiadomo dokładnie, czy niektórzy zostali zabici jeszcze we walce, czy bezpośrednio po poddaniu się. Hitler nakazał mordować zaraz po przesłuchaniu

funkcjonariuszy bezpieczeństwa i komisarzy politycznych (jedna z głupich pomyłek, jakich popełnił wiele, ponieważ ci właśnie ludzie mogli mu się najbardziej przydać, doświadczeni kaci i oprawcy, gotowi do wszelkich usług i zawodowi zdrajcy bez skrupułów). Ogółem Niemcy wzięli do 6,5 miliona jeńców, z tego pierwszy okres, kilku tygodni lub może miesięcy przeżyło ok. 4,5 miliona. Do końca wojny zginęło jeszcze około 3 milionów.

Pozostałe 1,5 do może 2 mil. było sądzonych i umarło w Związku radzieckim, zwykle w obozach, bo wartość pracy więźnia umiano tam ocenić lepiej, niż w Niemczech, w ogóle hitlerowcy często przejmowali metody pracy i uczyli się, wprowadzając rzeczy znane uprzednio w Rosji. Prawo wielkich liczb powodowało, że mimo wszystko wystąpiła pewna ilość mało prawdopodobnych sytuacji, pewna ilość ludzi miała to, co nazywa się wyjątkowym szczęściem - zdołała uciec lub ukryć się.

W celu ich odnalezienia i zabicia, a nie jak obecnie przypuszczają niektórzy, do walki z Jamesem Bondem, utworzono osobny dyktoriat KGB (dawne NKWD) o niedwuznacznej nazwie „Smert”, który planował i realizował polowania na całym świecie. Nikt nie mógł przeżyć, bo żywi mogliby świadczyć, że to nie oni byli zdrajcami, lecz ich właśnie zdradzono i oszukano, rzucono na zgubę a teraz rzeczywisty winowajca rzuca oszczercze oskarżenia.

Nie można porównywać ze sobą ludzkiej krzywdy i makabrycznych zbrodni, taka próba zakrawałaby na cynizm. Jednak wydaje się, że przy zbliżonej liczbie ofiar - po około 6 milionów - najcięższy był los jeńców rosyjskich i oni cierpieli największą mękę dlatego, że fizycznie byli zdolni najdłużej ją wytrzymać. Pierwszy wybór mężczyzn w wieku poborowym, grupa osobników młodych, silnych i wytrzymałych, umierali starając się znaleźć ratunek długo i bezskutecznie. Jednak nie mieli żadnej szansy ocalenia, musieli wszyscy zginąć z rąk wrogów bądź swoich. A na koniec cały świat, również państwa demokracji zachodnich pomagał ich katom - tzw. misjom repatriacyjnym ZSRR w polowaniu na resztkę uciekinierów.

Poza tym Polacy umierali walcząc i wierząc, że już blisko do zwycięstwa i nawet jeśli oni nie doczekają, to ich dzieci, rodziny i bliscy będą żyć w spokoju i lepiej. Nawet Żydzi mieli prawo wierzyć, że zostaną pomszczeni i pamięć o nich pozostanie, a poza tym po prostu umierali szybciej i ich męka była krótsza bo byli słabsi fizycznie. Natomiast ci nieszczęśnicy, jeżeli nie zginęli dość wcześnie, spotkali się z wrogością i pogardą całego świata, tzw. wolne kraje współdziałały w wysyłaniu ich do „raju”, pomagały ich katom i grabarzom, wylapywały jak hycle bezpańskie psy, a w kraju przed sądem i wyrokiem dowiadywali się o represjach spadających na ich rodziny.

Negatywna segregacja: z pośród normalnie obecnych w społeczeństwach i dużych grupach, różnych jednostek, większą szansę czasowego przeżycia mieli ludzie bez żadnych zahamowań, źli i podli, a najłatwiej ginęli szlachetni i dobrzy. Pierwszym stopniem takiej negatywnej segregacji była służba w pomocniczych oddziałach armii niemieckiej, ale to oczywiście tylko początek. Włożenie wrogiego munduru jest zdradą, ale można też zrozumieć, że niektórzy ludzie znalazłszy się w tak okropnych warunkach, po prostu załamali się i szukali chwilowego ocalenia, nie mając akurat najgorszych intencji. Nie wszyscy rodzą się bohaterami, trudno ocenić co oni przeżyli i gdzie są granice wytrzymałości. Tym bardziej, że to oni najpierw zostali zdradzeni.

Z pośród tych kolaborantów lub renegatów, najbardziej znaną formacją była ROA (Rosyjska Oswobodzicielska Armia) - ale to było tylko kilka dywizji regularnych i ani Angusi, ani w ogóle polska partyzantka nigdy nie spotkali się i nie walczyli z nimi. Podobno usiłowali postępować przyzwoicie i Niemcy nie mieli z nich pożytku, to też zrezygnowali z rozbudowy ROA. Prawie wszyscy zginęli już po wojnie, z wyjątkiem tych, którzy zdecydowali się pomagać w wyłapaniu i wymordowaniu kolegów, zostali najpierw pomocnikami w rzeźni a najgorsi z nich mogli ewentualnie liczyć na stałą pracę w GPU - z poziomu owiec awans do rzeźników. Ostatni stopień negatywnej segregacji i dno człowieczeństwa.

Oprócz ROA Niemcy utworzyli następnie wiele drobnych formacji i jednostek pomocniczych, które Polacy nazywali ogólnie kałmukami. Nie ubliżając prawdziwym Kałmukom, było to określenie perojatywne, miało oznaczać Rosjan częściowych, z dużą domieszką krwi mongolskiej, tureckiej - w ogóle azjatyckiej. Ludzi, których Niemcy, ze swymi znanymi poglądami rasowymi, nie kierowali do regularnej armii, lecz powierzali im funkcje podsów używanych do pilnowania, funkcji policyjnych, ucisku okupacyjnego i brudnych czynności.

Zwykle oderwani od swego środowiska, kompletnie wyobcowani i sami prymitywni, często gorsi od Niemców i bardziej od nich nienawidzeni przez ludność, chociaż trafiali się również całkiem przyzwoici. Z tych najgorszych część znalazła później swoje miejsce w KGB, ze względu na fachowe przygotowanie, przeszkolenie i praktykę.

W 1944 r Niemcy tworzyli jednostki konnicy również nazywane kałmukami, specjalnie do zwalczania partyzantki. Jednostki te, często złożone z byłych koczowników - ruchliwe i zdolne do przetrwania w terenie, noclegu pod gołym niebem bez względu na warunki atmosferyczne, nie mające też żadnych oporów przed wejściem do lasu - mogłyby być niebezpieczne dla polskiej partyzantki, łącząc elementy walki partyzanckiej z atutem zaopatrzenia od armii niemieckiej. Tak się jednak nie stało. Po prostu unikali oni walki, nie



mając do niej ani motywacji ani serca - z jednym tylko wyjątkiem. Jeśli nie mieli innego wyjścia, potrafili walczyć zawzięcie i do końca, skuteczniej od Niemców. Po pewnym czasie okazało się, że trzeba im zawsze zostawiać wolną drogę odwrotu i to rozwiązuje problem. Oni po prostu chcieli zachować życie i to wszystko.

Jeżeli tylko nie krzywdzili ludności cywilnej, nie było w tym sprzeczności interesów. Często na początku imitowali starcia używając amunicję, albo przy okazji drobnych potyczek strzelali i przeprowadzali ostre natarcia w stronę, gdzie w ogóle nikogo nie było. Usiłowali prowadzić samodzielne akcje jak najdalej od swych panów, ale również unikając konfliktu z partyzantami. Starali się zachować pozory, wystrzelać amunicję i co jakiś czas zgłosić po zaopatrzenie do Niemców. Oczywiście, to mogło udać się tylko na krótki czas, Niemcy nie byli idiotami i zareagowali we właściwy sobie sposób. Jednak na pewien czas był to sposób na przetrwanie.

Otóż taki oddział, w sile stu parudziesięciu ludzi, kwaterował w nocy w pobliżu i oddalił się, nim sytuacja się wyjaśniła. Nie wywołało to niepokoju prócz normalnych środków ostrożności, ale trzeba było liczyć się z możliwością, że w pobliżu szykuje się niemiecka obława. Kałmucy musieli zorientować się i szybko odeszli.

\* \* \*

Janek Klita miał prawie 12 lat, ale był małym chłopcem i wyglądał ledwie na 9. Miał jasne, lniane włosy, ale oczy silnie czerwone, co jednak nie było spowodowane chorobą, ale ciągłym niewyspaniem. Ubrany w krótkie spodnie i koszulę, chodził boso, co nawet jak na wiejskiego chłopaka było w jego wieku raczej rzadkie. Gdy chodził, bardzo daleko, do szkoły, nosił ze sobą buty i wkładał je przed szkołą, przy powrocie zdejmował znowu. Ze swoich już wyrósł, te były zużyte, po starszym bracie wywiezionym do Niemiec, na razie za duże, a musiały starczyć jeszcze na długo.

Można by zauważyć, że życie go nie rozpieszczało, nawet galernik albo niewolnik w rzymskim ergastulum zrobiłby marny interes, zamieniając się z nim. Bynajmniej nie dlatego, żeby nie miał albo miał złych rodziców, przeciwnie, cała rodzina była ze sobą silnie związana, a on pozostał teraz jako jedyny w domu. Po prostu wszyscy nie byli w lepszym stanie, dla nich wojna okazała się wyjątkowo pechowa.

Ojciec urodził się jako biedny komornik, lecz był człowiekiem wyjątkowo upartym i zawziętym. Był parobkiem, a postanowił zostać gospodarzem i swoim dzieciom pozostawić dziedzinę, choćby małą. Znalazł sobie równie robotną dziewczynę, też biedną, ale jednak z własnym zagonem 1 1/2 morgi (to mniej, niż 0,5 ha), a właściwie piaszczystą polaną w lesie,

daleko od skraju, nawet las nie chciał tam rosnąć, kilka pokrzywionych sosen, ostra trawa i piasek.

Rodzice umieli pracować i na wsi znano ich z tego, ale nawet najlepszy parobek nie dorabiał się. Więc ojciec ruszył z łopata na budowy, a matka musiała sama utrzymać rodzinę. Na początku 1936 zdołał kupić wóz i konia. Właśnie rozpoczęła się rozbudowa COP, a on mógł wozić ziemię z wykopów w Starachowicach lub Ostrowcu, teraz na sobotę wracał do domu, a raczej stajni lub szopy, którą postawił już na swoim. On mógł nie jeść i tylko pracować, ale koń nie, więc dokupił trochę łąki i ziemi na skraju lasu. Potem krowę też było gdzie paść i postawił chatę, tylko dwie izby - dzieciaki miały już swój dach i mleko. Krowa była w chłopskich rodzinach podstawą bytu, żywiła bo to i mleko i ser - ale też masło i śmietana, które można było sprzedać. Zwykle dwa razy w tygodniu matka obarczona bańką mleka, a także masłem, śmietaną i jajami wychodziła jeszcze przed świtem do Ostrowca i po południu, uszedłszy dobrze ponad 30 km wracała do domu z zakupami i trochę grosza.

Oboje nadal pracowali bardzo ciężko, cała gospodarka spoczywała na kobiecie, która miała tylko dwoje małych dzieci i do opieki i do pomocy. Ale odżywiali się już nieźle, oprócz nabiału który na wsi był zawsze podstawą - i bardzo dobrze, temu pokolenia na wsi i w końcu wszyscy Polacy zawdzięczali swoją żywotność - mogli już uchować świniaka, dwa do roku. Mieli już dwa i pół ha. ziemi, mało, ale już umówili się o nową, a na razie był własny owies dla konia i pasza dla krowy, już i drugą krową dało się wyżywić. Ojciec wracając w soboty zaczął przywozić zawsze pełny wóz z rozbiórek, szykowali się do zbudowania domu.

W 1939 ojciec nie został zmobilizowany, ciągła praca nad siły spowodowała, że zmarniał i komisja lekarska uznała go za niezdolnego do służby wojskowej. Ale bez powołania, wojsko przy odwrócenie potrzebowało jego konia i wozu, a woźnica pojechał z nimi dobrowolnie. Wrócił w październiku, cień człowieka ale z koniem, też cieniem. I z głęboką nienawiścią do Niemców, nawet nie wiadomo dlaczego, bo równo nic nie mówili.

Za nic nie pojechałby teraz na budowę. Zresztą Niemcy tego nie potrzebowali, nie rozbudowywali nawet zbrojeniowych fabryk tylko wprowadzili ciągłą produkcję w już istniejących. Nie wynajmowali również wozów, zamiast tego wprowadzili przymusowy szarwark i tutaj były możliwości wynajęcia się na zastępstwo w szarwarku bogatszych gospodarzy, ale na to też nie chciał się zgodzić. W końcu trzeba było coś znaleźć żeby jeść i koniecznie dać jeść koniowi i krowom. Najął się do wożenia drzewa, potem sam rąbał i woził drzewo do Ostrowca, chyba „brał” je z lasu. Nawet nieźle to szło, zima była ostra, choć w grudniu spadły takie śniegi, że nawet sanki nie mogły przejechać. Ale i drzewo poszło w cenę. Jeszcze w 1940 jakoś szło, wprawdzie pieniądze straciły wartość i zamiast umówionej

ziemi dokupili tylko mały skrawek pod ziemniaki, ale ojciec wyrabiał się z drzewem i miał już znajomych odbiorców, matka nadal nosiła nabiał, nawet dzieciaki zbierały jagody i wtedy starszy brat pomagał matce nieść je do miasta.

Ale w 1941 zaczął się zły los. Najpierw popsuły się stosunki ze wsią. Ktoś rozpuścił oszczerze plotki, nazwał ich spekulantami, którzy bogacą się na wojnie - mimo, że przecież stracili oszczędności, które gromadzili przed wojną.

Polacy mają swoje zalety, ale i wady. Jak wszyscy ludzie, chociaż te wady i zalety bywają różne. Jedną z najczarniejszych cech ujemnych Polaków jest zawiść. Niektórzy próbują wywodzić to od pragnienia równości, zawsze tak brzmi ładniej, ale polska zawiść przekracza wszelkie granice patologii. W USA panuje kult sukcesu, „self-made man” jest ideałem. W Polsce człowiek któremu się powiodło, osiągnął sukces - otoczony jest niechęcią, przypisuje mu się najgorsze cechy - i jeżeli je naprawdę ma - to w porządku, bo wszyscy tego oczekują. Ale jeżeli to człowiek porządny, niechęć tym bardziej zmienia się w nienawiść, bo ludzie których się skrzywdziło bez powodu zawsze wywołują nienawiść, to znane prawo psychologiczne (kompensacji). Cecha powszechna i dotyczyła nawet najwyższych warstw narodu. Kiedyś mówiło się: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”, „kto chce poznać jak nasze wyostrzone pałasze - niech łeb wzniesie nad braci”. Dzisiaj opowiada się anegdotę o polskim piekle, którego diabli wcale nie potrzebują pilnować, bo jeżeli jakiejś duszy potępionej uda się wyleźć z ognia, inne ją natychmiast ściągają z powrotem.

Klita może nie osiągnął za dużo, ale sam fakt, że parobek własną pracą doszedł do małego, ale własnego gospodarstwa, że w trudnych warunkach dawał sobie radę a przy tym nie pił, żył jak najskromniej, oszczędzał i bez przerwy pracował wystarczyła do niechęci, zarówno wśród chłopów, do których dopiero się wspinał, jak i wśród komorników i parobków którzy nie mogli znieść, że ktoś opuszcza ich piekło. I do tego samodzielnie, jakby ośmielał się dawać przykład. Seria nieszczęść wcale nie zmniejszyła potem tej niechęci. Wywołały raczej komentarz: - a nie mówiłem? Wiedziałem, że tak się to skończy.

Najpierw w 1941 jedna krowa poszła na kontyngent. Podobno wójt wyznaczył ich niesprawiedliwie, bo Niemcy wyznaczali na wieś, a wójt rozdzielał. Oni mieli tylko 2,5 ha a musieli zastąpić znacznie większych gospodarzy. Matka jeszcze miała nadzieję, że to się odrobi, chciała odchowac jałówkę. Ale w 1942 spadło wielkie nieszczęście, obrabowali ich bandyci. Wprawdzie pieniędzy niewiele zostało i rzeczy też nie były wiele warte, ale zabrali konia i wóz, a na nim zabiła jałówkę. Od 1940 napady bandyckie stały się plagą chłopów, Niemcy nie tylko nie dbali o to ale wprost je tolerowali, odpowiadało im, że społeczeństwo miało swoje własne, wewnętrzne problemy. Popularność oddziału Hubala, a potem Ponurego

i oddziałów partyzanckich między innymi wynikała z tego, że tępil bandytyzm, a za zabranie czegokolwiek chłopom groził sąd polowy i natychmiastowe rozstrzelanie.

Ale to tylko początek, najgorsze miało nadejść. Wkrótce potem stracili starszego syna, który został wysłany do Niemiec na roboty, chociaż nie miał jeszcze 15 lat, a wyglądał jeszcze drobniej. Wysyłanych można było wykupić - i przedtem by się to udało, ale tylko jedna krowa na to nie wystarczyła i stracili ją na darmo.

Obecnie Klita mógł wozić drzewo tylko wynajętym koniem albo wchodząc w spółkę z właścicielem zaprzęgu, ale ten brał lwią część i właściwie pozostawiał zarobek wyrobnika. Przez całe życie znał tylko jeden sposób na to: pracować jeszcze więcej. Tym razem jednak przekroczył granice wytrzymałości i przyszła choroba - nabawił się ruptury. Nie mógł już pracować.

Jasiek nie mógł zrozumieć, jak zmienił się ojciec. Przedtem zawsze był bardzo wymagający, ale i dobry, o syna dbał aż za bardzo. Teraz stał się wiecznie niezadowolony, popędliwy, łatwo wpadał w gniew - na szczęście łatwo było mu uciec. Nie mogąc sam, kazał teraz ciągle pracować synowi, tak, że po prostu nie dawał on sobie rady, a jeszcze musiał ciągle pomagać ojcu. Jedli głównie kartofle, które sadzili na skopanym łopatą polu. Mieli też własne pomidory i inne jarzyny, tyle ile zdołali skopać, za orkę nie mieli czym zapłacić ani odpracować. Jednak rodzice nadal kazali mu chodzić do szkoły, gdzie był tak zmęczony że prawie nic nie rozumiał i po prostu zasypiał co chwila - aż w końcu nauczyciel posadził go w ławce z dwoma chłopakami, którym kazał go budzić - a oni robili to szturchańcami.

Jasiek miał żal do ojca - aż do chwili, kiedy ten pewnego razu upuścił łopatę, położył się na polu i zaczął płakać. Nigdy dotąd nie widział ojca płaczącego. Nadal nic nie rozumiał, ale od tej pory nie uciekał i starał się zrobić wszystko, co mu kazano, pracować bez przerwy. W lecie nie było szkoły, ale i tak nie mógł się wyspać, gdyby miał zegarek, to wiedziałby, że śpi tylko 5, rzadko 6 godzin na dobę.

Matka też się zmieniła, ale inaczej. Tak, jakby była nieobecna. Prawie się nie odzywała, czasem ustawała i patrzyła przed siebie, albo się modliła. Chodziła do Ostrowca i próbowała uprosić coś w szpitalu, ale nie mieli czym zapłacić za operacje, ani nawet dowieźć męża. Chodziła jeszcze do wsi za robotą i jeżeli się coś trafiło, przynosiła trochę chleba, ale rzadko go jedli, prawie tylko kartofle. Chleb matka suszyła i co kilka tygodni starała się wysłać paczkę do starszego syna - i koniecznie postarać się o kawałek suszonego boczku albo solonej słoniny. Żył jeszcze, bo czasem pisał. Właściwie przestała się czymkolwiek interesować, trzeba było mówić po kilka razy, jakby ich nie dostrzegała. Jeszcze tylko te paczki ją interesowały...

Kiedy oddawali krowę na kontyngent, wójt obiecał, że będą codziennie dostawać trochę mleka od tych, co dzięki temu krowy zachowali. Ale to było dawno i teraz rzadko kiedy dostawali mleko i to jak jałmużnę. zostawiali je na kwaśne, jako omastę. To jednak dużo znaczyło - kwaśne mleko, od wieków najważniejsze źródło witamin, zdrowie biedaków. Wielu przeżyło tylko dzięki temu - a z drugiej strony ilu Polaków rzuconych daleko od kraju nie mogło przywyknąć do innego jedzenia, chorowało, marniało dlatego, że brakło im tego typowo polskiego składnika. To nie chodzi o białko, które też staje się zdrowsze i lepiej przyswajalne niż w świeżym mleku, ale całe bogactwo witamin grupy B a także i innych. W tym samym czasie Hitler chorował na przewód pokarmowy i jego lekarz wyleczył go (niestety) podając mu kultury bakterii przewodu pokarmowego krowy. W gruncie rzeczy to samo.

Ale tego zdrowego białka było mało. Na szczęście z inwentarza zostało im jeszcze kilkanaście kur i teraz, kiedy matka o nich też zapomniała, Jasiak przejął je pod opiekę. Nie niosły dobrze, ale co dzień było kilka jaj. Nie łatwo uchronić kury w lesie, a trzeba było strzec je nie tylko przed drapieżnikami, ale i przed ludźmi, już kilka razy niemieccy żołnierze kwatrowali we wsi. Dlatego kurnik nie był przy domu, ale trochę głębiej schowany w lesie, mniej bezpieczny gdyby zakradł się lis - ale bardziej od żołnierzy. Właśnie dlatego tego wieczoru, kiedy kałmucy przyszli do domu szukać jedzenia, nie zorientowali się, że są kury. Zabrali tylko cały suszony chleb, trochę kartofli i pomidorów - wyraźnie nie mieli na nie ochoty. Szczęście, bo kury były absolutnie jedynym inwentarzem, nie mieli nawet psa, bo nie mieli go czym żywić i pewnie żywiłby się sam - ani kota, bo i myszy nie miały co jeść.

Właśnie w obawie o kury, Jasiak wymknął się z chałupy i poszedł za kałmukami - musiał się zorientować skąd przyszli i jak długo tu zostaną. Szedł ostrożnie, ale pewny siebie - znał tu każde drzewo.

Zmierzch zaczynał szybko ciemnieć, ale w dwadzieścia minut doszli do obszernej poręby, już porośniętej małymi drzewkami, krzakami i ziołami - najbliższe ich chaty miejsce, gdzie zbierał jagody. Dziwna rzecz, nie było ani jednego ogniska, słychać było tylko niezrozumiałe rozmowy, ale dosyć ciche. W kilku miejscach na skrajach polany zobaczył jakie duże cieni, to były konie i przy nich rozmieszczone straż. Kiedy chciał podejść bliżej, konie się zaniepokoiły, zaczęły tupać i parskać, straż też się poruszyły, klęli głośno i rozglądali się - musiał się ostrożnie wycofać. Nie widział jeszcze takich koni, małe, mniejsze od chłopskich - a czujne niczym psy.

Obszedł to miejsce dokoła i spróbował jeszcze raz dalej. Tym razem dostał się na porębę. Szedł nisko pochylony znajomą ścieżką i dobrze, że pochylony, bo mógłby nadepnąć

- ktoś leżał wprost na ziemi i spał. Po chwili zorientował się, że jest więcej śpiących, a gdzieś niegdzie stoją koło nich konie, co dziwniejsze, zobaczył też chyba konie, leżące. To po prostu niesamowite, zobaczył już dosyć i lepiej teraz się cofnąć. Żadnych szałasów, żadnych namiotów, wprost na ziemi i nawet bez ognia - to mogło znaczyć tylko że sobie szybko pójdą. Ale żeby konie leżały obok śpiących ludzi - tego jeszcze nie widział. Kiedy wracał, znowu omal się nie potknął. Ale tym razem to nie był człowiek - owszem, człowiek leżał też niedaleko. Strzelba! Prawdziwa. Mój Boże, to chyba nie będzie grzech, a jeśli to i tak nie mógł jej zostawić. Ale kiedy ją chwycił, znowu się zdziwił. Nie miał pojęcia, że strzelby są aż tak ciężkie. Widocznie żołnierze są strasznie silni. Zorientował się, że nie da rady wycofać się niepostrzeżenie z takim ciężarem - ani potem donieść to do domu. Ale pamiętał, że niedaleko tego miejsca była nora, sprawdzał ją kiedyś, bo myślał że lisia, ale okazała się pusta. To powinno być tylko kilkanaście metrów. Rzeczywiście, wkrótce namacał otwór i od góry rozgrzebał go nieco szerzej, potem udało mu się wsunąć strzelbę do środka a otwór zamaskował ziemią i gałązkami, na wierzchu posadził krzaczek czernic. Odpoczął chwilę i szczęśliwie się wycofał, wrócił do domu. Ojcu powiedział, że niepokoił się o kury i pilnował, a potem jeszcze dokładnie obszedł okolicę, co właściwie nie było nieprawdą.

\* \* \*

Teren był rozległy, ok. 300 x ponad 150m, porośnięty małymi drzewkami i krzakami, mniej więcej do pasa, ale trafiały się i takie nad głowę. Od starego lasu odgradzały go jeszcze dwa pasy trawy i zwichrzonych zieleni, teraz wygniecione, na nich trochę ekskrementów ludzkich i końskich. Z jednej strony tego prostokąta widać było parę postaci, które pochylone snuły się z miejsca na miejsce, jakby w zwolnionym tempie szukały grzybów. Angus i Mateusz przeszli na drugi koniec, gdzie nie było jeszcze nikogo i też zaczęli przeczesać teren - a zwłaszcza miejsca wygniecione. To oczywiście nie znaczy jeszcze, że zbierali tu naboje - ale po dobrej pół godzinie Angus znalazł jednak dwa, a Mateusz, który zawsze był bardziej spostrzegawczy, o kilka więcej. Niewątpliwie, kałmucy byli po prostu przeładowani amunicją, aż żal pomyśleć o takim bogactwie.

Okazało się, że i z tej strony nie byli sami - nie od razu dostrzegli, że chodzi tu też mały chłopak, dziecko jeszcze i też coś wypatruje. Nie byli zadowoleni z konkurencji, odczuli ukłucie zazdrości kiedy dostrzegli, że chyba lepiej mu to idzie i zamierzali się go pozbyć. Kiedy się mijali. Mateusz powiedział:

- Cześć, a co ty tu robisz? - Zbieram - odpowiedział chłopiec. - To mój las. - O, na prawdę? Ten cały wielki kawał jest twój? To jesteś bogaty. I zawsze tu zbierasz naboje? - Nie, ja tu zawsze zbieram jagody, - wyjaśni poważnie dzieciak - i potem nosimy do miasta. -

Aha, a te naboje też chcesz zanieść do miasta na sprzedaż? To może my je kupimy? Damy po złociaku. - A po dwa? - To już była dobra cena, odpowiadała czterem papierosom „bezimiennym” z najprzedniejszego jasnego tytoniu „Virginia”. Ale oni i tak chcieli mieć trochę swojej amunicji, może będzie wolno oddać kilka próbnych strzałów. A gdyby nawet nie, to ich „guru” będą chętniej użyczać karabiny do ćwiczeń po takim prezencie. - Drogo chcesz. Ale trudno, weźmiemy.- - Sami mówiliście, panie, że zawsze lepiej się trochę potargować.- Ja? Skąd. Słowa o tym nie powiedziałem.- - Nie teraz, kilka lat temu tatko zabrał mnie na furze do Ostrowca. Tatko przywiózł drzewo i już się ugadzał za 400 zł, a wy to powiedzieliście do mnie, a ja potem powtórzyłem tacie i on sprzedał za 500 zł.- - O, to dopiero niedobrze zrobiłem. I jeszcze do teraz za to muszę cierpieć! - Teraz Angus przypomniał sobie, jak na wiosnę 1941 r. kiedy mieszkali na Piaskach woźnica z dzieckiem przywiózł furę drzewa a on zgrzał chłopcu mleko. - I opowiadaliście, panie, o dwu takich chłopcach, co to mleko im dawał wilk. Ale tatko powiedział że to tylko taka bajka, bo wilki zjadają a nie karmią chłopców.- To mogło być z Księgi Dżungli - ale raczej de Urbae condita, bo akurat wtedy przerabiał II klasę łaciny, nie pamiętał tego. - No dobrze, ale nie mów do mnie „panie”, bo się od tego odzwyczaiłem. Jak koniecznie chcesz, mów mi „kolego”, - ten zwyczaj powstał w oddziale Ponurego i przyniosło go kilku „starych” partyzantów, chociaż właściwie teraz nie często był w użyciu. - A teraz załatwmy nasze sprawy.- Chłopiec miał aż 25 naboń, a kiedy je wszystkie wzięli, dołożył jeszcze dwa za darmo, a potem zapytał: - Panie kolego, a czy macie strzelbę?- - Niestety, jeszcze nie, ale niedługo będę miał.- - A czy macie rewolwer?- Tak, mam, - powiedział Angus, nie wdając się w wyjaśnienia, jaka jest różnica między rewolwerem a pistoletem. - A czy zmienilibyście się na strzelbę?- Angus stanął jak wryty. - Czy to ma znaczyć, że ty masz strzelbę?- - Mam, ale jest dla mnie za duża i za ciężka. Nawet tatce się nie nada, bo jest teraz bardzo chory i bez sił. Ale rewolwer to co innego, moglibyśmy się bronić przed Niemcami i rabusiami w razie czego.- Angusowi z wrażenia zrobiło się gorąco. - Słuchaj, jeżeli to prawda, to pokaż mi tą strzelbę, a ja pokażę ci mój rewolwer i potem możemy się umawiać. Mój rewolwer nie jest zbyt dobry, ale strzelbę i tak chcę mieć i to bardzo. Może ją kupię od ciebie, albo co, jakoś to załatwimy. Chodźmy zaraz do ciebie, to daleko?- - Ja ją mam tutaj, blisko.- Chłopiec zaprowadził ich do ścieżki i kawałek wzdłuż niej, potem kilkanaście kroków w bok i zaczął się chwil rozglądać, aż podszedł do małego mrowiska, ustawił się przy nim i poszedł prosto jeszcze kilka kroków i zaczął rozgrzebywać ziemię. Po chwili odsłonił otwór i powiedział:- O, to tutaj. ciągnijcie!

Angus a także jego kolega zdumieli się na widok broni, czegoś takiego jeszcze nigdy nie widzieli. Karabin był bardzo ciężki, kolba jeszcze normalna, z okuciem, zamek inny, z

krótszym rygłem, jeszcze nie różnił się tak rażąco, ale lufa! Była gruba na dobre 5 cm i zakończona jakby żelazną gruszką, dokładniej były to dwa ścięte stożki i między nimi kawałek cylindra. To dziwne zgrubienie miało trochę ponad 10 cm średnicy i ok. 15 długości, a na końcu znajdował się otwór wylotowy normalnej średnicy. Jasne więc było, że właściwa lufa musiała znajdować się wewnątrz grubej rury. Następnie znaleźli na broni wybity numer i napis - Steyer 1918. Broń chyba w doskonałym stanie, wyglądała na nową a raczej jakby te wszystkie lata przeleżała grubo nasmarowana i zawinięta w magazynie - choć oczywiście po schowaniu w ziemi trzeba ją dokładnie oczyścić.

Ale co to w końcu było? Nie wyglądało na broń maszynową, chociaż według wagi, było cięższe od polskiego RKM, a chyba nawet od LKM. Trzeba było zdecydować się i ruszyć zamek. Na szczęście działał on w zasadzie dosyć podobnie do normalnego, w każdym razie na tyle, że dał się otworzyć, a następnie wyładowali z niego, jeden po drugim, 10 normalnych naboju karabinowych. To wyjaśniło sprawę - mieli do czynienia z automatycznym karabinem 10 - strzałowym starej konstrukcji, opartej na prymitywnie zaadaptowanej zasadzie takiej, jak niektóre typy pistoletów. W nietypowej „gruszce” metalowej znajdowały się boczne otworki do pobierania gazów prochowych, które za pomocą pierścieniowego tłoka powodowały wsteczny ruch zamka. W ogóle automatyczne karabiny znali dotąd tylko ze słyszenia. To była antyczna, rzadka konstrukcja austriacka, wyprodukowana pod koniec I Wojny Światowej, widocznie nie zdążono już jej wprowadzić na front, ale nie wyrzucono też z magazynów. Dopiero teraz ten typ „starzyzny” znalazł zastosowanie do uzbrojenia „pomocników”.

Jednak fakt, że używało się do niej normalnej, najłatwiej dostępnej amunicji karabinowej - przesądzał sprawę. To była bardzo cenna broń, Angus chciał ją mieć za wszelką cenę. Wyciągnął swój gnat i pokazał chłopcu, nie ukrywając, że pistolet czasem nie strzela, a także że łatwo wyskakuje zamek i potem trzeba szukać sprężyny. Niestety, nic lepszego nie posiada. Mały chciał zaraz poznać wszystkie szczegóły, ale to była trudna sprawa, wielu rzeczy nie był w stanie nauczyć się, albo nawet zrozumieć, nie miał przecież żadnego przygotowania mechanicznego. W końcu poprosił, żeby mógł sam teraz wystrzelić.

- To niemożliwe - perswadował Angus. - Nie wolno ani mnie samemu wystrzelić, ani dać to zrobić tobie. To jest wojsko, żołnierz musi słuchać, a mamy surowy zakaz strzelania. Nie wolno strzelać bez pozwolenia dowódcy, a tym bardziej jeżeli wydano zakaz. Odgłosy strzałów mogłyby sprowadzić nieprzyjaciela, a przynajmniej narobić zamieszania we własnym oddziale. Jedyne jaką mogą zrobić, to poprosić o pozwolenie sprawdzenia broni. Jeżeli nawet teraz dowódca nie pozwoli, to pewnie powie, czy wolno będzie wystrzelić



jutro albo pojutrze, co jakiś czas dostajemy pozwolenie do oddania kilku strzałów, bo w końcu to niezbędne dla wypróbowania broni - i ludzi.

- Słuchaj, - dodał po chwili widząc rozczarowanie chłopca - może mógłbyś po prostu sprzedać mi tą strzelbę, tak jak przedtem naboje? - dla uproszczenia rozmowy, mówił też „strzelba”. - Nie, nie, ja nie chcę sprzedać, mogę tylko się zamienić na ten rewolwer! - chłopiec nie wyjaśniał, czy uważał propozycję za niestosowną, czy też poczuł do pistoletu tak fascynację, jak Angus do karabinu. - Dobrze, ale muszę ci powiedzieć, że twoja strzelba jest chyba warta dużo więcej niż mój rewolwer, to tak, jakbyś zamieniał krowę na świniaka. Jeżeli chcesz, to rewolwer jest już twój, a wypróbujemy go kiedy dostanę pozwolenia, ale dopłacę ci do niego. Mam pieniądze, więcej niż potrzebuję.

W tym miejscu trzeba wyjaśnić stosunki okupacyjne. Otóż Angus miał niewiele własnych pieniędzy, ale nosił zawsze ze sobą tzw. „górala” był to największy okupacyjny banknot, 500 zł., na wykup. W wypadku jeżeli zostało się zatrzymanym do kontroli dokumentów, podawało się Niemcowi tzw. „Kennkartę” (ID) wraz z wsuniętym w nią, złożonym banknotem, po sprawdzeniu tożsamości wracała ona już bez tego banknotu. To było po prostu powszechnie przyjęte i robiło tak wielu ludzi. Żandarmi lub żołnierze zwykle traktowali rzecz „uczciwie” i po kontroli pozwalali odejść, zatrzymując jako kandydatów na wysyłkę na roboty, lub do dalszej dokładnej kontroli tylko tych, którzy nie mieli czym się okupić. Oczywiście jeżeli nie wtrącił się oficer lub zwierzchnik. Ale na ogół można było się okupić na każdym poziomie, tylko kosztowało to coraz drożej. Po prostu trzeba pamiętać, że wojna to był również business, napad rabunkowy na ogromną skalę i prości żołnierze, którzy nie mieli wielkich możliwości też chcieli mieć jakiś, choć drobny udział, a przynajmniej starali się postępować solidnie. Angus już raz był w takiej sytuacji i wszystko poszło bezbłędnie. Oczywiście, trzeba było tylko jak najszybciej wsunąć nowy „amulet” do kennkarty.

Oprócz Kennkarty, obowiązywało również okazywanie „Arbeitskarty” (książeczka pracy, Works-ID). Ponieważ Angus miał w niej wpisane słabe zatrudnienie - bufetowy w piwiarni, a więc po prostu jakby specjalnie do wywiezienia do Niemiec, matka postarała się, mówiąc wprost, kupiła w Arbeitsamcie dodatkowe zaświadczenie stwierdzające, że syn pełni ważną funkcję zbieracza odpadków i w tym charakterze jest niezbędny dla losów wojny („kriegswichtig”) - to już był bardzo dobry dokument, ulepszony jeszcze bardziej wsunięciem w niego drugiego złożonego „górala”.

Oczywiście, idąc do lasu Angus i Mateusz nie brali ze sobą żadnych dokumentów. Zresztą zabieranie ze sobą jakichkolwiek papierów umożliwiających ustalenie tożsamości -

nie tylko dokumentów, przy udawaniu się na jakąkolwiek akcję było zakazane. To zupełnie zrozumiałe, po prostu elementarz, biorąc pod uwagę, że np. identyfikacja zwłok w najlepszym razie mogła pociągnąć za sobą niezwłoczną (albo powolną, w obozie) śmierć rodziny, a w najgorszym wzięcie pod obserwację i po dłuższym czasie aresztowanie nie tylko rodziny, ale i szerszego kręgu znajomych i w razie ustalenia dalszych konspiracyjnych kontaktów, początek nitki aresztowań i zgubę wielu ludzi.

Jednak pozostawiając w domu dokumenty, Angus wyjął z nich oba „górale” i oprócz małej kwoty własnej, dysponował poważną sumą. Co prawda cena broni kupowanej wprost ze źródła, od przejeżdżających żołnierzy niemieckich wynosiła zwykle dwa do pięciu tysięcy zł., ale i za tysiąc złotych można było czasem coś kupić, a wielu posiadaczy broni twierdziło, że kupili ją jeszcze taniej - ale to była nadzwyczajna okazja (być może przechwalali się przed kolegami, bo to właśnie był wtedy fason, twierdzić że oszwabiło się szwabów).

Tak czy owak było to prawie wszystko czym dysponował (pomijając kilkadziesiąt zł., które zostawił na nieprzewidziane okoliczności) i wszystko co miał, chciał dołożyć do zamiany. Z drugiej strony chłopiec był taką kwotą oszołomiony i początkowo nie chciał jej przyjąć, mówiąc, że jeden banknot na pewno wystarczy dla całej rodziny do końca roku. Tak więc nastąpiło „targowanie się na odwrót”, aż w końcu Angus przekonał chłopca, żeby zaniósł pieniądze rodzicom, a jeżeli oni będą oponować, to przyjdzie porozmawiać z nimi.

Po zakończeniu transakcji należało teraz udać się do dowódcy po pozwolenie na strzały próbne - i nie tylko. Szczerze mówiąc Angus szedł z ciężkim sercem i pełen obaw, z prostego powodu: Wprawdzie w partyzantce przestrzegane było prawo do własnej broni, ale w pierwszym rzędzie odnosiło się to do broni zdobytej osobiście w walce. W wypadku broni nabytej, dowódca miał jakby prawo pierwokupu, mógł zwrócić cenę mówiąc, że broń tą nabywa dla oddziału. Wprawdzie cenę tą podawano „na słowo”, ale było absolutnie wykluczone, żeby ktoś podał cenę zawyżoną, raczej odwrotnie z wzmiankowanych wyżej powodów. Jednak zdarzało się to tylko wyjątkowo. Natomiast bardziej możliwe było, że dowódca może uznać, że dla dobra oddziału - albo na jedną akcję, albo na określony czas, albo nawet bez określenia czasu, do odwołania, jeżeli były wątpliwości, czy posiadacz broni jest jej wart i potrafi z niej zrobić dobry użytek, a ktoś inny jest od niego lepszy - broń powinna zostać zamieniona, lepsza w ręce lepszego strzelca a gorsza w ręce gorszego. Krótko mówiąc, okresowa zamiana użytkownika, choć własność broni się w zasadzie nie zmieniała. Wprawdzie to zdarzało się rzadko, jednak Angus był bardzo zdenerwowany. W końcu nadchodziła decydująca o jego życiu chwila, mógł teraz albo wreszcie osiągnąć to, o czym marzył i czym żył od początku wojny, albo znów cofnąć się do pozycji zera, niedorostka

ciągle bezskutecznie marzącego żeby zostać żołnierzem. Prawie tak, jakby po długim utrzymywaniu się na oceanie, nagle i niespodziewanie złapał koło ratunkowe, gdy już prawie zwątpił, czy mu się uda - ale jeszcze mógł je stracić. Starał się uspokoić, powtarzając, że przecież umie obchodzić się z bronią, nawet wyrobił sobie dość dobrą opinię - ale cóż to znaczyło, jeden z lepszych wśród tych najgorszych, znalazł się znawca między nieuzbrojoną cywilbandą. Pokonując opory sumienia, postanowił zameldować, że broń znalazł osobiście, to nie było jeszcze zdobycie, ale w każdym razie lepszy tytuł niż otrzymanie z innych rąk lub odkupienie. Po drugie postanowił postarać się najpierw o przychylną opinię w oddziale, zanim zgłosi się do dowódcy - na tej samej zasadzie, jak modlitwa do świętych zanim ktoś zwróci się do Pana Boga. To mu się w znacznej części udało, karabin rzeczywiście wzbudził ogólne zainteresowanie. Nie tylko Angus, nikt w ogóle nie widział jeszcze takiej broni, a Angus podawał objaśnienia z taką miną, jakby rzeczywiście znał konstrukcję, choć naprawdę ledwie trochę obejrzał i dopiero miał ją szczegółowo zbadać.

Broń na ogół podobała się aż do momenty zważenia jej w rękę, wtedy komentarze brzmiały: - No cóż, jest młody, wyrośnięty i tłusty (to już przesada! niesprawiedliwa) - niech sobie wyrobi trochę mięśni, to mu dobrze zrobi. Ja bym tej armaty nie wziął, choćby mi dopłacali.

Angus nie protestował, był szczerze ucieszony z takiej opinii i sam starał się ją powtarzać, podkreślać wady. Prośbę do dowódcy zgłosił u swojego plutonowego, który po pewnym czasie przekazał mu, dowódca jest zajęty, ale jutro prawdopodobnie będzie mógł broń przestrzelać i że on sam, a nawet paru oficerów przyjdą popatrzeć. Już to że do jutra broń została u niego, uznał Angus za bardzo dobry znak. Wyglądało na to, że jeżeli tylko jutro nie wypadnie źle to broń zostanie w jego rękach, a na razie miał czas na dokładne zapoznanie się z karabinem. Ale choć jeszcze w 1939 nauczył się składać i rozkładać „na czas” i „na ślepo” zwykły karabin, to tą skomplikowaną sprawę wolał powierzyć najpierw koledze. Mateusz miał po prostu talent do takich rzeczy, np. z amatorstwa naprawiał zegarki i zawsze z powodzeniem, choć często zostawały mu jakieś części i Angus żartował zwykle, że nie bierze nic za naprawę dlatego, bo jak naprawi dziesięć zegarków to ma z czego złożyć jedenasty. I tak rozumiało się samo przez się, że póki co, mają jakby wspólnie jeden karabin.

Teraz Angus poszedł w stronę domu chłopca, powiadomić go o tym co załatwił, a szczerze mówiąc niespokojny, że dał nabity pistolet dzieciakowi - chociaż w tamtych czasach nie było to takie niezwykle, dzieci z konieczności dorastały szybko, a chłopak obiecał, że do czasu ponownego spotkania pozostawi pistolet w spokoju.

Nic złego się nie stało, Jaśka spotkał w lesie koło kurnika w opisanym miejscu. Dobrze że przyszedł, bo chłopiec przypomniał sobie, że obok jest też schowany w lesie loszek na kartofle, teraz pusty i miał wielką ochotę wypróbować tam pistolet. - Tu na pewno strzałów nikt nie usłyszy, nawet kury!

Angus obejrzał loszek. Okazało się, że jest to po prostu szeroki rów, nakryty połówkami pni i ziemią a w środku nawet nie obudowany tylko w paru miejscach gdzie ziemia była bardziej sypka podparty drzewem. Można w nim było rzeczywiście strzelać nie obawiając się ani rykoszetów, kule musiały ugrzęznąć, ani odgłosu strzałów, jeżeli zastawiło się wejście (drzwi nie było, wejście zastawiało się tak że było trudne do zauważenia, cały loszek był zresztą schowany i prawie niezauważalny). Zrobiło się wtedy dosyć ciemno, bo zostawała tylko mała szpara w przykryciu, trzeba było pomóc sobie świeczką.

Wynik strzelania był naprawdę deprymujący.

Po dość długich pouczeniach, pistolet dostaje do rąk chłopiec, Angus każe mu go trzymać oburącz (choć w tym czasie tak się nie robiło, jak wspomniano poprzednio) i jeszcze podtrzymuje jego rękę swoją. Chłopak naciska cyngiel - i strzał nie pada, chociaż wyraźnie słychać uderzenie iglicy. Angus jest skonsternowany, wyrzuca nabój, który ma wgłębienie na spłonce, ślad uderzenia iglicy i sam teraz pociąga za spust. To samo, to znaczy nic. Dopiero trzeci nabój strzela prawidłowo, tyle, że zużyty zamek trochę przepuszcza gazy, które lekko parzą rękę Angusa. Teraz ponownie daje pistolet chłopcu i układa mu rękę tak, żeby ich sobie nie oparzył, sam ponownie zabezpiecza z wierzchu swoją ręką jego uchwyt. Strzał pada prawidłowo i chłopiec jest chyba uszczęśliwiony. Piąty ostatni nabój znowu nie wypala. Więcej naboju w magazynku nie było. Na pięć, dwa wypaliły a trzy nie, to znaczy zawodność broni wynosi 60 %. To szokujący wynik, może można by próbować coś poradzić, gdyby było odwrotnie. Praktycznie taka broń w krytycznej chwili, to prawie pewna, no nie, tylko w 60 % śmierć. (i rzeczywiście nie wiele brakowało, ale o tym dalej). Może jednak to wina przestarzałej, nietypowej amunicji, na to wskazują ślady iglicy na spłonkach. Angus prosi więc chłopca, żeby zostawił mu pistolet jeszcze do jutra, spróbuje coś na to poradzić. Pójdzie jeszcze raz do podoficera, pełniącego tymczasowo funkcje rusznikarza (co prawda widział on już raz pistolet i powiedział, że nie podejmuje się naprawy).

Teraz jednak musiał to odłożyć, bo najważniejsze było przygotowanie się na jutro. Mateusz jak zwykle okazał się niezawodny i wszystkie szczegóły zamka wyjaśnił, a Angus jeżeli nawet nie znał dotąd mechanizmu, wiedział jak się przygotować i jakich spodziewać się wymagań, a miał dość czasu na ćwiczenia. Następnego dnia, dwa pierwsze strzały z pozycji podpartej oddał plutonowy Angusa jako bardzo dobry strzelec i stwierdził, że karabin ma

dobrą celność i stabilność strzału, trzeba tylko uwzględnić małą poprawkę w prawo. Potem trzy razy strzelał Angus z ręki, z wynikiem w pełni zadawalającym, uzyskał aprobatę, a wreszcie raz Mateusz. Oczywiście, to o wiele za mało, ale te 6 naboji to już było prawie 20 % stanu amunicji.

Broń miała pewne nietypowe własności: po pierwsze (pewnie z powodu wagi) zadziwiająco mały odrzut. Po drugie stosunkowo cichy, głęboki, głuchy odgłos wystrzału i prawie zupełnie brak błysku. Właściwie dobrze, że na tym zakończono strzelanie, bo mogłaby w końcu wzbudzić za dużo zainteresowania.

Niestety z pistoletem nie dało się na razie nic zrobić. Wprawdzie drogą wymiany, Angus zdobył trochę amunicji od Parabellum, ale po naradach z doświadczonymi osobami, stanęło na tym, co od początku podsuwał i Mateusz: trzeba wymienić iglicę na dłuższą i ostrzejszą, a przy okazji przejrzeć dobrze cały zamek. Na to jednak potrzeba dobrego rusznikarza, a więc trzeba poczekać na okazję, podobno I batalion ma cały zespół. Angus nie wiedział jak ma to powiedzieć Jaškowi, po drodze chciał wprost zapaść się pod ziemię. Zwłaszcza, że nie było już czasu, wkrótce miał nastąpić wymarsz. I tak przebywali już za długo w jednym miejscu, z powodu organizacji oddziału. Z resztą można było domyślić się z góry choćby po tym, że zezwolenie na przestrelanie broni dawano zwykle (choć nie tylko) przed wymarszem.

Nieoczekiwanie problem rozwiązał się sam. Zanim zdążył zacząć, chłopiec pierwszy powiedział, że jednak nie chce pistoletu, zostawia go Angusowi, bo ten zrobi lepszy użytek - przekonał się, że strzelanie nie jest takie proste i ani on ani nawet tatko by nie umiał. Chciałby tylko jednego: żeby Angus odstąpił na jego konto jednego zabitego żandarma, „najlepiej takiego w czarnym mundurze”. To oczywiście nie byli żandarmi, a Angus jeszcze nikogo naprawdę nie zabił, ale nie wyjaśniał tego. Prawdopodobnie chłopiec odbył rozmowę z ojcem.

Tak, to był naprawdę najlepszy dzień jego życia, dzień w którym wszystko się udawało, dzień złudnego szczęścia i nierealnych marzeń, dzień w którym wydawało się, że zdoła zrealizować swoje największe pragnienia, że to już następuje, jest w zasięgu ręki. Do diabła, czy nigdy nie przestanie być dzieciakiem, wierzyć w bajki?

Jeszcze przez pewien czas w nie wierzył.

Wspomnienia jakby się rozmyły i przyśpieszyły, bo i zdarzenia nabrały tempa, wprost nie było czasu myśleć. Oddziały partyzanckie zbierały się, najpierw oni dołączyli do dużej grupy, teraz do nich przychodzili inni, rosło serce i siły. Angus był pewien, że to zaczyna się ogólne powstanie. wkrótce zgodnie z planami uderzą i opanują fabryki

zbrojeniowe rejonu, wtedy będą mogli uzbroić masę ludzi, staną się naprawdę wielką siłą i pobiją Niemców, w każdym razie w swoim terenie.

Cały wolny czas wykorzystywał na ćwiczenia z karabinem wkładał w to maksimum wysiłku, tak, że większość zdarzeń ledwie do niego docierała. Gdy Mateusz zdobył własny karabin to on zauważył to tylko z tego powodu, że przestał pożyczać od niego. Chciał być gotowy na nadchodzące wielkie chwile, powtarzał w nieskończoność wszystkie elementy, żeby doprowadzić je do perfekcji i chyba jego instruktor z 1939 r byłby zadowolony. Jak wielu, szukał ustronnego miejsca, żeby się nie ośmieszyć i mierzył szybko do drzew, zmieniał pozycje, ćwiczył szybkie przerzucanie się na inny cel, na kilka różnych, padał i zrywał się starając się szybko i miękko naprowadzić karabin na cel. Dodatkowo wprowadził też elementy, które podpatrzył u Niemców, na przykład siadanie ze skrzyżowanymi nogami i podnoszenie się, w wojsku Polskim nie uczono strzelania z takiej, w gruncie rzeczy praktycznej pozycji. W sumie wyczerpująca gimnastyka z ciężarami.

Zupełnie nie obchodziło go to na co zaczęli uskarżać się w oddziale doświadczeni partyzanci ze stażem, że wraz ze wzrostem zgrupowania, z organizacją dywizji - tak, to nie pomyłka, oficjalnie stanowili już wielką jednostkę, II dywizję AK i nadal rośli w siłę - wracają oficerowie starzy, którzy nic się nie nauczyli i chcą wprowadzać zwyczaje z przed wojny, bezsensowne salutowanie, bezmyślną tresurę, sztuczne ruchy automatów, nawet marsz w nogę - w oddziałach partyzanckich wręcz niedozwolony.

Angus nie miał żadnego zdania w tych sprawach i po prostu przyznawał rację każdemu rozmówcy, cokolwiek mówił. On osobiście gotów byłby stać na baczność albo maszerować na czworakach, byleby móc wreszcie walczyć.

Koło połowy miesiąca wiadomość, że idą na Warszawę, wywołała powszechny entuzjizm, mimo, że oznaczało to porzucenie dotychczasowych, dobrze przygotowanych planów powstania. Dołączyła jeszcze duża grupa z zachodu, teraz, po zakończeniu formowania II dywizji część nowych jednostek miała stać się zaczątkiem nowej dywizji częstochowskiej, a zgrupowanie miało rozwinąć w korpus. Całość ruszyła forsownie na północ, masa ludzi, ponad sześć i pół tysiąca - to już nie przemieszczanie się oddziału partyzanckiego, to szła ogromna siła, potęga, niewidziana dotąd armia. Z przodu drobne oddziały niemieckie po prostu uciekały, z tyłu posuwały się ostrożnie za nimi, cofając się, gdy tylne strażnice się odwróciły.

Strzały słyhać było prawie cały czas, drobne potyczki miały miejsce ciągle z tyłu, a podobno i z przodu. Nie kluczyli już, nie omijali miejscowości, dróg - to szła ogromna moc zdolna skruszyć każdego wroga i przeszkodę. Po 39 roku, po latach okupacji trudno było

wprost uwierzyć w coś podobnego, dla tego przeżycia warto było żyć i umierać. Tak chyba czuje się zmartwychwstanie. A przecież przy tym było też coś, co dręczyło go coraz boleśniej, myśl którą odsuwał od siebie, straszne, najgorsze uczucie do którego sam przed sobą nie chciał się przyznać - a im bardziej zagłuszał je i zamykał oczy, tym bardziej stawało się rzeczywiste. Nie było od tej myśli ucieczki to coś tkwiło w nim jak ostrze w otwartej ranie.

Nie walczył dotąd i najwyraźniej nie chciano go. Od chwili kiedy poczuł się gotów, pewny swej broni i ręki, zgłaszał się na ochotnika do każdej akcji, każdego patrolu i raz po raz, zawsze był pomijany.

Zwykle dowódca kompanii, wyjątkowo batalionu pytał o ochotników - zgłaszało się wielu i Angus starał się zawsze być z przodu. Potem pomijano formalność - to była prosta rutyna, dowódca mówił: ten patrol pójdzie tam, a tamten tamtędy, dobierzcie sobie ludzi. Więc prowadzący patrole rozglądali się i po prostu kiwali głową lub dawali znak ręką. Angus nadal pchał się do przodu ale nigdy niczyj wzrok nie spoczął na nim. Wreszcie postanowił poruszyć tą sprawę.

Otrzymał odpowiedź, która go zdruzgotała.

- Słuchaj, przecież każdy dowódca patrolu ma święte prawo wybrać sobie takich ludzi, do których ma zaufanie, których jest pewien i wie, że nie zawiodą w trudnych chwilach. Gdybyś był na jego miejscu, też byś tak robił i nie zgodził się, żeby kto narzucał ci wybór. Decyduje doświadczenie.

To prawda, nie miał doświadczenia, niczym się nie wykazał. Ale jak miał zdobyć to doświadczenie, w jaki sposób wykazać się? Powtarzały się tylko te złe doświadczenia, już kilka razy był tak blisko celu i tyle razy po prostu go odsuwano jak smarkacza który się nie nadaje. Przecież nawet jego pierwszy kolega i przyjaciel, Stach Konar z którym chodził na lekcje matematyki, fizyki i chemii i który zginął w tragicznie zakończonej akcji koło wytwórni słodczy „Amor” nie pisał ani słowa, nawet wtedy, kiedy zabrał go ze sobą na ostatnie rozpoznanie. A przecież doskonale się orientował, że Angus szuka i marzy o udziale w walce z okupantem. Ale nie umożliwił mu tego, uznał go za nieprzydatnego, i dopiero po jego śmierci Agnus się wszystkiego dowiedział. (W tym wypadku Agnus był źle poinformowany, zginęło szereg wspaniałych chłopaków, w tym wzmiankowani później dalsi znajomi z siatkówki, ale Stach akurat przeżył, to rodzina bardzo mądrze rozpuściła te wiadomości, Angus był nawet na mszy żałobnej. Lecz Stach przetrwał wojnę w innym oddziale i spotkał Angusa po wojnie, nie zdążyli jednak porozmawiać, bo wkrótce potem znalazł się w więzieniu kieleckim.)

A jeszcze przedtem, w końcu 1940 i zwłaszcza na wiosnę 1941 roku, gdy prawie każdego popołudnia przychodził na boisko siatkówki w kotlinie w lasku między ulicą Traugutta i Żeromskiego - tylko podziwiać graczy, bo grający chłopcy i dziewczyny byli starsi i on był wyraźnie szczeniakiem. To oni właśnie stanowili trzon II kompanii ostrowieckiej ale znów o tym dowiedział się dopiero po brawurowej lecz tragicznej akcji porwania niemieckiego komisarza miasta. Znali przecież Angusa, tolerowali jego obecność - ale też nie zaproponowali niczego, choć musieli sobie zdawać sprawę, że wprost umiera z pragnienia. Raz tylko była taka chwila, kiedy zdawało mu się, że zaraz nastąpi jakaś rozmowa. Ale kiedy okazało się, że nie umie nawet jeździć na rowerze i że nie potrafi w żaden sposób się nauczyć, utrzymać nawet wtedy kiedy jedna z dziewczyn najwidoczniej o dobrym sercu usiłowała go podtrzymać, że przewraca się raz za razem, wyraźnie poczuł, że postawiono na nim krzyżyk. Być może, powinien był wtedy powiedzieć, że ma zakłócenia równowagi od czasu tego strzału z jego ramienia we wrześniu 1939r. (zresztą, to stopniowo mijało i po paru następnych latach prawie znikło).

Były jeszcze inne momenty, ale istotne w tym było to, że Agnus nie umiał się ocenić i oscylował od wysokiego mniemania, nawet zarozumiałości do przygnębienia i głębokiej pogardy dla siebie. W tej sytuacji jedynym obiektywnym miernikiem mogła być opinia innych. A te opinie wypadały widocznie negatywnie. Nie zasługiwał na zaufanie, mógłby zawieść w trudnej sytuacji. Te wszystkie śmieszne zabiegi, starania to po prostu wyglupianie się. Próbował się maskować, ukryć, ale z zza pozorów wylaniała się prawdziwa twarz: był zerem, nikim - nie, jego właściwie nie było, nie istniał. Po co się wysilać, i tak wszystko na nic.

Z góry znał wszystkie dalsze pocieszenia, nie musiał ich nawet słuchać, sam umiałby je powiedzieć: przecież dopiero zaczyna, niejedna okazja jeszcze przed nim, będzie ich miał aż brzydko, aż za dużo. Teraz to po prostu sprawa czasu i cierpliwości, nabrania tego tam, doświadczenia.

Chodziło jednak o to, że on wiedział o sobie więcej, coś, czego jeszcze nikt inny nie wiedział. I nawet on sam dopiero sobie to uświadomił, kiedy była już najwyższa pora spojrzeć prawdzie w oczy: jego czas nie dopiero się zaczynał, ale już się kończył - i to szybko.

Wprawdzie po kilku bardzo forsownych marszach wszyscy byli wyczerpani. Na przykład Mateusz w ogóle przestał się odzywać a wieczorem okazało się, że ma obtarte nogi, jedną zwłaszcza fatalnie, tylko ją wymoczył i nawet nie chciał jeść, po prostu padł. Ale oni wszyscy dadzą sobie radę, a Agnus wiedział, że on na pewno nie.



Agnus teraz zdał sobie sprawę, że już raz był w dokładnie takiej sytuacji, że już raz to wszystko przeżywał. Ponad rok temu kiedy miał nadzieję dostać się do oddziału Ponurego i czekał w Michniowie na ostateczną decyzję. Zamiast tego, rozchorował się ciężko, po tygodniu nieprzytomnego odwieziono go do domu. Przeżył prawie cudem, przez pół roku był cieniem rekonwalescenta, powoli odzyskiwał siły, ale wreszcie doszedł do siebie. Teraz, od czasu gdy znów trafił do lasu, obserwował uważnie swój organizm i starał się dbać o niego - nie żeby jakaś hipochondria - ale tak jak dogłąda się mechanizmu, od którego funkcjonowania zależy wykonanie ważnej pracy albo jak dba się o potrzebne zwierzę domowe. Nie miał akurat warunków, żeby na siebie chuchać i dmuchać - ale starał się usilnie zachowywać dietę, jeść o stałych porach, wypoczywać w każdym możliwym momencie i stale sprawdzać stan swojego brzucha i wątroby. Wszystko aż dotąd szło dobrze, nie było żadnych nieprawidłowości - nie tylko śladów nawrotu choroby, ale w ogóle żadnych niepokojących symptomów. Wydawało się, że organizm funkcjonuje, jak szwajcarski zegarek.

Tak, ale on skoncentrował się na wątrobie, a tu wysiadło zupełnie coś innego, kręgosłup. Przedtem wierzył, że poprzednie niepowodzenie to przypadkowy pech, zły los, nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Nadejdzie jeszcze jego dzień i zdoła to naprawić. I oto dostał od życia drugą szansę - a historia znowu się powtórzyła, tyle, że teraz zawodzi inna część organizmu. Czas spojrzeć prawdzie w oczy: po prostu był z marnego, słabszego materiału. Był tylko kiepskim śmieciem, który pcha się między wspaniałych ludzi, będąc od nich gorszy. Tak, nadawałby się na partyzanta, gdyby miał tu ciepłe, wygodne łóżko, mało wysiłku i dużo jedzenia - i najlepiej jeszcze nianię, która by się nim opiekowała.

Przeżywszy już raz analogiczne doświadczenie i teraz z góry mógł przewidzieć, co będzie dalej. Próbując poprzednio przewyciężyć siłą woli chorobę i swój organizm, przekonał się, że tego po prostu nie da się zrobić. To tak, jak nie można na słabym papierowym sznurku podnieść stukilowego ciężaru, żadna siła woli tu nie pomoże. To się musi skończyć tak samo, jak kiedyś,. Stoi bezpośrednio przed momentem załamania i nic na to nie można poradzić.

Czy miałby jakąś szansę, gdyby oddał swój wspaniały, bezcenny ale niestety tak ciężki skarb, karabin? Chyba jednak nie. Przecież z początku chciał się wzmocnić i zahartować i dodatkowo wypchał jeszcze plecak kamieniami, żeby przyzwycząić się do większego ciężaru. Potem je powyrzucał i od tej pory ciągle wyrzucał, oddawał, a jeśli się udało to wymieniał na naboje wszystkie rzeczy aż prawie nic nie zostało, tylko trochę amunicji, częściowo naprawiony pistolet i kromka chleba, a nic to nie pomogło.

Gdyby nawet oddał broń, powiedzmy że to jedna siódma wagi jego wraz z całą resztą - to co, uszedłby o jedną siódmą dalej? Powiedzmy, że nawet o dziesięć kilometrów - do Warszawy jest blisko sto. A co by tam miał robić? Nawet gdyby dostał jakąś broń, nie byłby już w stanie walczyć. Ale przede wszystkim, nigdy, absolutnie nigdy nie odda broni póki żyje.

Właśnie, póki żyje. Może to jakieś wyjście - iść naprzód póki nie padnie i potem wpakować sobie kulę w łeb, żeby nie obciążać innych, a wtedy jego broń poniesie i da Bóg użyje z lepszym pożytkiem ktoś lepszy od niego. Ale tą myśl zaraz odrzucił. Owszem, myślał wcześniej o samobójstwie, a w 1940 kiedy wydawało się, że nie ma już nadziei, proponował je nawet rodzicom. Omówili wtedy tą sprawę i od tej pory uznawał samobójstwo tylko w takim wypadku, jeżeli byłoby konieczne. Na przykład gdyby wpadł w ręce Niemców i miał zacząć sypać. A teraz to byłaby zasługująca na pogardę, psia śmierć (dlaczego niby psia, nonsens, psy się nie zabijają, tylko skorpiony). Gdyby ktoś powiedział jego matce, że on sam się zabił... Nie, tego absolutnie nie może zrobić.

Jedynym wyjściem to zginąć w walce, z honorem. Gdyby udało mu się zabić kilku wrogów - a powinno się udać jeżeli tylko do tego będzie dążył, nie zważając na własne bezpieczeństwo i nie oszczędzając siebie - nikt nigdy nie dowiedziałby się, jak mało wart był naprawdę, zostałoby po nim dobre wspomnienie i przynajmniej tą pociechę mieliby rodzice, kiedy minie pierwszy smutek.

Z drugiej strony, nie ma czego żałować, gdy i tak nie ma żadnej szansy. Dojść na pewno nie zdoła, tu nie było najmniejszej wątpliwości. Kiedy padnie, nie będą go przecież nieśli, zostałby na jakiejś melinie. Ale nawet gdyby wyzdrowiał i zdecydował się potem ze wstydem wracać do domu, to i tak byłoby praktycznie niemożliwe. Raz mu się to w podobnej sytuacji udało - ale to było tylko 25 km, od domu lotem ptaka, powiedzmy że 30 drogami, odwieźli go w ciągu jednej nocy, a i tak to szczęśliwy przypadek, że się wtedy udało. Teraz do domu miał, powiedzmy 150 km, nikt go w ciągu nocy nie dowiezie, ani też on sam nie zdoła wrócić przez teren obecnie przyfrontowy, pełny niemieckich wojsk. Nie miał się czym wylegitymować ani jak wytłumaczyć, w najlepszym razie trafi do obozu lub więzienia, a tego oczywiście też nie przetrzyma. Więc nie ma czego żałować.

Tak czy owak nie może przeżyć, najlepiej zginąć tak, żeby chociaż był z tego jakiś pożytek - a więc we walce. Ale trzeba się z tym pośpieszyć, póki zostało jeszcze trochę sił.

Sam się zdziwił, zorientowawszy się nagle że się modli. Przecież od paru lat myślał racjonalnie i przestał wierzyć, a tymczasem okazało się, że zachował jakąś swoją prywatną linię łączności wprost do Pana Boga, jak za dziecinnych czasów. - - Panie Boże, pozwól mi

umrzeć w walce. Niech to będzie nawet najgorsza, okrutna śmierć - ale w walce z nieprzyjacielem. Jestem u kresu i to jest jedyna i ostatnia rzecz, o którą proszę. Jeżeli mi to podarujesz - szukał gorączkowo w myślach, jaką transakcję może zaoferować, zawsze dotąd przy takich modlitwach coś obiecywał (i zwykle dotrzymywał): - będę w ostatniej chwili żałował i przepraszał za całe moje życie.

Kiedyś często umawiał się tak nieformalnie z Bogiem, ale tym razem właściwie nie miał nic do zaoferowania - ani ofiary, ani konkretnej ilości modlitw, ani jakiegoś wyrzeczenia, gdyby nawet to zrobił to nie mógłby potem dotrzymać. Mimo wszystko sam poczuł, że taka linia jeszcze nadal istnieje i że mógł z kimś rozmawiać, była mu potrzebna i zmniejszyła napięcie. Nagle zobaczył konkretny plan, im bardziej się nad nim zastanawiał, tym bardziej wszystko było realne i możliwe.

Powinien zostać na miejscu, tutaj i teraz. Powinien sam zdecydować o własnym losie, od razu, póki jest jeszcze zdolny do logicznego myślenia i podjęcia decyzji. I póki ma jeszcze trochę sił, żeby ją wykonać.

Jak? To proste, widział wszystko wyraźnie. Przecież wszyscy wiedzą, że codziennie ćwiczył z karabinem. Tylko kilka ostatnich dni nie, bo nie miał ani czasu ani sił. Więc ma zaległości, jeżeli teraz wstanie i odejdzie z karabinem, wszyscy co to zobaczą będą myśleli, że odchodzi żeby w samotności poćwiczyć, nadrobić trochę te zaległości. Oprócz karabinu żadnych rzeczy nie będzie zabierać, bo i tak nie będzie ich już potrzebował. Po prostu oddali się, schowa i gdy oddział odejdzie, wybierze dobre miejsce na zasadzkę i zaczeka na pierwszych nadchodzących Niemców. Paru zdąży zastrzelić, nim się zorientują, a i potem, zanim zginie, będzie miał ciągle równe szanse trafić jeszcze kogoś, nim jego trafią. Nie, jeszcze ciągle będzie miał lepsze szansę, bo wybierze miejsce i przygotuje stanowisko, a Niemcy padną na ziemię tam gdzie zdołają.

Zupełnie rozsądny plan, może, co tam, powinien, musi się udać. Nie ma co się dłużej namyślać, za pół godziny może być pobudka.

Podniósł się, dociągnął tylko sznurowadła i biorąc karabin poszedł w tą samą stronę co poprzednio. Ktoś mruknął - zupełnie zwariowałeś, ale zdrowie to ty masz, - inni spali.

Po drodze zastanawiał się, gdzie się ukryć. Las był miejscem najbardziej oczywistym i tu też koledzy będą go szukać, kiedy nie zjawi się na wymarsz będą przypuszczać, że stracił rachubę czasu i jeszcze ćwiczy, albo też, że może pozwolił sobie na chwilę przerwy i zasnął z przemęczenia. Postanowił więc wyjść z lasu i schować się na otwartej przestrzeni. Tam na pewno nikt nie będzie go szukał. Zanim weszli wczoraj do lasu, przechodzili przez dużą łąkę, lub może nie obsiane pole, pokryte wyschlą trawą, tylko część przyległa do lasu miała trawę

zieloną i wilgotniejszą. Po drodze zauważył płytki rów, zarośnięty zielskiem. Wyglądał jak stary rów melioracyjny, a raczej od dawna nie używane pozostałości, częściowo zasypany i zarośnięty, teraz suchy. Jeżeli położy się w pokrzywach, praktycznie na otwartej łące, będzie nie do znalezienia. Tyle, że na skraju lasu wystawiono na pewno czujki, trzeba podejść bardzo ostrożnie i dobrze się rozglądać. Po chwili zauważył, że rów ma kształt dużej litery L, a może to pozostałości kilku rowów. W każdym razie jeden koniec dochodził aż do zagajnika małych sosenek, wysuniętego przed skraj lasu. Czujki patrzą w dal, miał dużą szansę prześlizgnąć się rowem aż do załamania. Albo się uda albo nie, w każdym razie nie ma na co czekać.

Przeszedł kawałek skrajem lasu aż do zagajnika i to była ta część drogi, gdzie trzeba było zachować się najostrożniej, ale nikogo nie spotkał. Wkrótce dotarł do rowu. Był dosyć płytki, miejscami prawie do pasa, miejscami nieco ponad kolana. Nie czołgał się, bo jakoś chowanie przed własnymi kolegami robiło nieprzyjemne wrażenie, tylko mocno schylony, ruszył jak najszybciej, w parę minut dotarł do załamania i skręcił w prawo, zaraz potem zaczynały się pokrzywy i tam był prawie niewidzialny, chyba że sam by się pokazał.

Posuwając się częścią rowu prawie równoległą, no, może nieco oddalając się na skos od lasu, nieoczekiwanie natknął się na mostek. Ściśle mówiąc była to raczej rura cementowa zakopana w ziemi, tworzyła ona przejście a może przejazd dla wozów z sianem, szeroki na dobre półtora m, średnica rury ok. 70 - 75 cm, pewnie kilka kręgów. Oba końce trochę zagrodzone osypaną ziemią i zarośnięte, ale oczywiście warto było przyjrzeć się bliżej i ewentualnie udroźnić, po pierwsze wtedy można by przechodzić z jednej strony na drugą bez wynurzania się z rowu, a po drugie mogłaby to być idealna kryjówka. Najpierw wysunął nieco głowę i kilka minut poświęcił na dokładne zlustrowanie okolicy. Słońce już weszło ale tarczy jeszcze nie można było rozeznaczyć, pewnie będzie świecić za jaką godzinę, bo niebo bez chmur ale mgliste. W każdym razie słońce było z lewej strony, a więc przed nim jest południowy wschód, a las za nim ze strony północno zachodniej, to znaczy że światło będzie miał niekorzystne, w oczy. Wszędzie dokoła cisza i spokój, nigdzie żadnego ruchu ani odgłosu.

Odłożył karabin i ostrożnie zdjął chwasty z kożuchem darni a ziemię zaczął usuwać rękami i w chusteczce wnosić dalej tak, żeby nie zostawić śladów rycia. Potem umieścił chwasty w tym samym miejscu, skąd je zdjął, tylko głębiej. Po pewnym czasie, otwór z jednej strony był udroźniony, druga strona nastroczała więcej kłopotu, bo pozycja niewygodna. Wprawdzie dno rury było suche i nie zasypane, nie licząc trochę piasku, ale wąsko, mieścił się z trudem i tylko z ramionami przed sobą. Zajęło to dość dużo czasu, ale w końcu przeszedł. Cofnął się po karabin i popychając go przed sobą przeszedł jeszcze raz i teraz już z

drugiej strony obserwował okolicę i odpoczął. Po raz trzeci zawrócił i jak mógł najlepiej posadził na poprzednim miejscu rośliny. Indianin na pewno zaraz by się zorientował, ale w najbliższych godzinach nie spodziewał się tu Indian - potem rośliny i tak pewnie powędzną i to już będzie widoczne dla wszystkich. Kiedy przymierzył się teraz nogami do już zamaskowanego otworu, to z drugiej strony nie mieściła się głowa i ramiona. Jeżeli jednak wykorzysta pozostawioną z drugiej strony roślinność i dodatkowo wepnie we włosy, no, nie kwiaty, ale pokrzywy zerwane nieco dalej, a także dodatkowo przyozdobi podobnie kołnierz, to dopiero szczegółowa kontrola rowu, pozwoliła by go zauważyć. Miał więc przygotowane miejsce, gdzie mógł czasowo dać nura w razie nagłej potrzeby.

Teraz należało obejrzeć rów dalej. Ciągnął się on jeszcze ze 200 m, kilkakrotnie przerwany płytszymi miejscami i na końcu przechodził w szerokie a płytkie jakby zagłębienie terenu, fałdę w której można było przebywać wyłącznie na brzuchu. Pokrzywy nie zarastały całego rowu, ale tworzyły jakby trzy gąszczy, między którymi rów był porośnięty innymi, też dość wysokimi, ale rzadziej rozmieszczonymi ziołami.

Nie pozostało nic więcej, tylko czekać. Słońce świeciło dość blado, niewiele jeszcze dawało ciepła. Wybrał sobie miejsce między dwiema kępami pokrzyw niezbyt daleko od mostku i usiadł wygodnie oparty o stronę zwróconą ku słońcu, co jakiś czas szczegółowo przepatrując okolicę. Od strony lasu nie było słycać żadnego dźwięku, a przecież oddział albo musiał już wyruszyć, albo co najmniej być gotów do dalszej drogi, jego nieobecność zauważono i musiano go szukać.

W pewnej chwili z pozycji siedzącej osunął się w bok i zorientował się, że musiał się zdrzemnąć, a na to stanowczo nie mógł sobie pozwalać. Natomiast mógł i powinien wykorzystać każdą chwilę na odpoczynek, ułożyć się wygodnie, ale w żadnym wypadku nie zasypiać. Postanowił co około dziesięć minut podnosić się i dokładnie oglądać cały horyzont. Nic się nie działo, słońce zaczęło grzać, brzęczały owady. Żeby opanować senność, zaczął myśleć o czekającej go walce, planować szczegóły i ewentualności, wyobrażać sobie konkretne sytuacje, kolejność czynności.

Ciekawe, czy nadejdzie Wehrmacht czy SS, ach, gdyby tak SS, już wszystko jedno czy Waffen SS czy tylko pułk policyjny. Właśnie w chwili gdy zabijał kolejnego wyższego oficera, ubranego całkiem niestosownie w paradny czarny mundur i ze srebrnymi „scull and bones”, obudził go skrzek sroki. Głos, o którym myślał jeszcze rano i na który był uczulony, otrzeźwił go momentalnie.

Na horyzoncie zobaczył dwie sylwetki feldgrau, nadchodziło dwóch żołnierzy. Byli jeszcze daleko i nie mógł ich dobrze rozróżnić, ale szli raczej wolno, z bronią nie w rękę, ale

zawieszoną z przodu i robili niedbałe wrażenie. Patrol. Mógłby z łatwością jednego z nich, a jak podejda bliżej to i obu uziemić, ale przecież nie przyszedł tu sprzedać swojej skóry za takich łazęgów. Gdyby chociaż mieli na sobie panterki albo zawinięte rękawy, wyglądali bardziej niebezpiecznie. Oczywiście, patrol trzeba przepuścić i spokojnie odczekać na większy oddział, właśnie na taki wypadek przygotował sobie schowek.

Porazkował do mostku i sprawdził roślinność, nie zdążyła jeszcze zwiędnąć. Starannie obejrzał jeszcze raz drugą stronę i poprawił jakąś drobnostkę, potem odwrócił i nogami naprzód wsunął do rury. Głowa i ramiona wystawały, to dobrze, karabin też wsunął przy piersi tylko kawałek, tak, żeby w jak najkrótszym czasie móc wysunąć się i strzelić w razie nagłej potrzeby. Potem przyozdobił się pokrzywami wetkniętymi we włosy i za kołnierz i na koniec poukładał darń z większymi chwastami tak, żeby móc nagarnąć na głowę i wystającą część korpusu dłuższe źdźbła. Ciągłe jeszcze miał dużo czasu. znowu czekanie. Czemu to trwa tak długo? Biernie czekanie powodowało, że coraz bardziej się denerwował. Czy aby dobrze wszystko zakrył? A może coś poprawić?

W końcu usłyszał jak nadchodzą, najwyraźniej zamierzali przejść przez mostek. Słyszał ściszone głosy - to chyba nie był język niemiecki. Rzeczywiście, rozróżnił dźwięk słów rosyjskich. Znowu oni - no cóż, Niemcy nie mieli ochoty sami chodzić na rozpoznanie, to zrozumiałe, wypuścili swoje podpsy.

Żołnierze zatrzymali się na mostku i umilkli. Rozglądali się pewnie. Sekundy ciekły a oni nie ruszali się z miejsca. Po chwili już był pewien, że musieli coś zauważyć. Mijały coraz straszniejsze sekundy. Agnus czuł się jak zwierzę schwyte w pułapkę, znajdował się w miejscu i czasie nieuchronnie prowadzącym do katastrofy. Jeszcze go nie dostrzegli, ale coś musiało zwrócić ich uwagę, teraz stali na końcu mostka nad jego nogami i czemuś się przypatrywali, albo niezręcznie przesadzonym roślinom, albo zdrapanej ziemi, a może nie zatarł jakiejś rysy, albo nie daj Boże, wystaje koniec jego buta.

Za chwilę pochyła się - a może już to zrobili i po prostu wsuną pod mostek granat, albo strzelą - nawet nie będąc pewni, czy tam naprawdę coś jest, po prostu na wszelki wypadek. Najbardziej na świecie pragnął teraz wyrwać się z tej pułapki, stanąć twarzą w twarz, zginąć ale chociaż spróbować walczyć. Ale teraz dopiero obliczył, że to cała seria ruchów, albo najpierw musi wysunąć karabin i potem uchwycić się rękami żeby wydobyć się z miejsca gdzie tkwił, albo najpierw wyszarpnąć siebie i potem dopiero chwytać i wyciągać karabin. Źle to przedtem ocenił, to musi potrwać cztery, pięć sekund, a zginie najdalej po pierwszej. Przymknął oczy, bo wydawało się że potok myśli, niedorzecznych pomysłów,

planów, które zaraz odrzucał rozsadzi mu głowę, a jednocześnie cały wysiłek, całą siłę woli skupił na tym żeby ani nie drgnąć, nawet nie wciągnąć głośniejszego powietrza.

Ruszy się dopiero jak oni coś zrobią - dlaczego ciągle stoją nieruchomo? Granat to chociaż szybki koniec, ale jeżeli strzelą na wszelki wypadek w otwór od dołu i pójdą dalej - cóż to za obrzydliwa śmierć. Długie, powolne konanie, widział takie rany, jeszcze na początku wojny i słyszał o nich, nic nie można zrobić a umiera się godzinami. Gdyby chociaż stali z drugiej strony i strzelili w głowę. Nagle poczuł, że znajduje się już w gotowym grobie, z którego nigdy nie zdoła wyjść. Poczuł, że ta ciasna cementowa trumna chwyciła go ze wszystkich stron i trzyma, że go dusi - to było najstraszniejsze uczucie. Czuł, jak w gardle narasta mu krzyk którego nie zdoła opanować, za chwilę on wyrwie się z tego miejsca a krzyk z niego. Nigdy przedtem ani potem nie miał ataku klaustrofobii. Teraz nadchodził taki atak. Lecz ani nie drgnął i wciąż kontrolował oddech.

W ostatnim ułamku sekundy, kiedy już nie mógł się dłużej opanować i gotów był na wszystko byle wyrwać się z tego grobu który go pochwyił i chciał udusić, już w ogarniającej go panice natrafił na słuchawkę wewnętrznego telefonu - Panie Boże, to jest moja ostatnia sekunda, jeżeli zdołam się stąd wydostać to będzie cud i ja przyznam, uwierzę, będę widział że zrobiłeś cud i nigdy nie będę w to wątpił. Wiem, że czas umierać, ale zrób nareszcie ten cud i pozwól mi umrzeć na otwartej przestrzeni, we walce, a nie tym obrzydliwym miejscu. - Czas jest względny. To wszystko trwało może kilka, kilkanaście sekund, ale z drugiej strony pół życia, zanim usłyszał w końcu i odróżnił charakterystyczny plusk. Ci żołnierze na górze sikali, prawie na jego buty.

Po chwili coś mruknęli i ruszyli dalej. Agnus odczekał chwilę, nawet nie z rozsądku, ale po prostu był tak słaby, że nie był w stanie się ruszyć i pokryty zimnym potem. W końcu jakoś się wygramolił. Słońce nagrzało rów, wyszedł na ciepło. Betonowa kryjówka w której siedział była zimna i jeszcze czuł to piekielne zimno - dziwna rzecz, mimo to kleił się od potu, nawet ręce miał wilgotne, a ręce nigdy dotąd mu się nie pociły. Jeszcze nad słuchiwał, oddalające się kroki i jakaś uwaga, a może przekleństwo żołnierzy - wyrzwał za nimi, szli wolno w stronę lasu. Po chwili, daleko z boku dostrzegł inną dwójkę też zmierzającą do lasu. Z drugiej strony horyzont był pusty, nie dostrzegł nikogo.

To dobrze, potrzebował kilkunastu minut, żeby dojść do siebie. Przesunął się rowem w prawo, w stronę dużej kępy pokrzyw. Na razie położył się w rowie i odprężył, a kiedy trzeba będzie się ukryć, wracać będą patrole lub nadejdzie nieprzyjaciół, położył się płasko w pokrzywach. Nigdy już, za żadną cenę nie pochowa się żywcem w tej betonowej rurze, nawet gdyby to była najlepsza i jedyna kryjówka na świecie.

Minęło z piętnaście minut i czuł się już całkiem normalnie. Kiedy teraz się rozejrzał, zobaczył wreszcie w oddali zbliżający się oddział. Nie szli w kolumnie, ale i nie tyraliera, grupami lub może rojami. Nie widział ich jeszcze dokładnie i mógł sobie pozwolić na co najmniej dziesięć minut. Ostatni, najważniejszy odpoczynek przed walką.

Potem obserwował, jak się zbliżali. Pierwsze grupki zatrzymały się na wysokości kilkuset metrów przed nim i kilkuset w bok, to dobrze, strzały z boku zawsze są skuteczniejsze niż z przodu. Widocznie robili krótki odpoczynek na odległość dalekiego strzału przed wejściem do lasu, być może czekali tu na wiadomość od patroli.

Spoglądał także do tyłu, ale patrole nie wracały ani się nie pokazywały. Natomiast kilka nowych odeszło od oddziału, ale nie wchodząc do lasu przypadły za fałdami terenu, to nie patrole lecz ubezpieczenia. Na szczęście byli z boku i nie zbliżali się do rowu. W międzyczasie dalsze grupy dochodziły do pierwszych i też się zatrzymywały. Mógł się im przyjrzeć.

Wszystko przepadło. Plany tak starannie ułożone, realne, prawie namacalne, znowu okazały się czczym wymysłem, rzeczywistość była całkiem inna. Owszem, przed nim było pełno żołnierzy, wiele po prostu doskonałych celów - jakby się specjalnie upozowali. Ale to nie byli niemieccy żołnierze, sami kałmucy. To co chciał zrobić, traciło sens. Po co ma zabijać kałmuków?. Po pierwsze, to nie byli prawdziwi wrogowie - no, chyba, żeby nagle sami zaczęli i gdyby musiał się bronić. Ale i tak, gdyby zabił któregoś w obronie własnej - to nie powód do chwały.

Pamiętał jeszcze te ogromne, zakurzone kolumny jeńców, traktowanych tak, że hańbą byłoby postępować tak ze zwierzętami. Biedacy szukali śmierci, zabijali się sami - i to w jaki okropny sposób. Te jeszcze drgające zwłoki, które widział pod drutami kolczastymi boiska koło dawnego gimnazjum. Pewnie, że musieli trafić się tacy, którzy po prostu się załamali, nie mogli już więcej wytrzymać i w końcu poszli wysługiwać się Niemcom, zostali zdrajcami - ale przecież nie z własnej woli i winy. Nie każdy zdoła pozostać porządnym człowiekiem aż do samego końca. Kto wie, czy on sam zdołałby na ich miejscu, potrafiłby się w porę zabić - a innej drogi nie mieli. Wiadomo też, że z zasady unikali walki, a kiedy się nie dało, to raczej tylko pozorowali.

Mógłby bez trudu zastrzelić kilku - ale bez potrzeby, to by było po prostu złe. I tak pewnie będzie musiał, kiedy będzie się bronić. Gdyby chociaż mógł wiedzieć którzy z nich byli najgorsi, zwłaszcza mieli na sumieniu ludność cywilną - wiedział że bywali tacy i choć zastrzelić ich też nie było wielką zasługą, to jednak była to konieczna, choć nieprzyjemna czynność.



Na miłość Boską, przecież muszą tu być gdzieś Niemcy! Czy jego plan, tak dobrze obmyślony, logiczny, ma skończyć się kompletnym niepowodzeniem? No, niezupełnie, bo chyba jednak tutaj zginie - ale tylko jako nieudacznik jakim był całe życie, bez powodu, bez celu, nic nie osiągnąwszy. Bez sensu życie i bez sensu śmierć. Jakby istniał w jakimś nierzeczywistym, zaczarowanym świecie. Wszystko tak dobrze wygląda w wyobraźni, a potem rzeczywistość okazuje się inna - to z pewnością wada mózgu, coś musiało w nim źle funkcjonować. Wszystko jedno, tak czy inaczej, to już koniec.

A może miałby szansę przeczekać, za kałmukami muszą iść jakieś oddziały Niemców. II Dywizja AK to wielka siła i Niemcy nie byli w stanie sobie z nią poradzić. Ale z tyłu postępowały mniejsze oddziały żandarmerii, SD, także mniejsze oddziały Wehrmachtu, wszystko co mieli pod ręką, także własowcy - no nie, to nie byli własowcy, ale różne inne formacje pomocnicze z „ochotników” rosyjskich. Szczerze mówiąc, różne śmiecie, które nie nadawały się na front, ale zdaniem generałów mogły być wykorzystane na zapleczu.

Więc może jeszcze raz schować się pod mostek, i przeczekać aż kałmucy sobie pójdą, a za nimi nadejdzie jakiś oddział niemiecki? Przecież nie mogą tu zostać na długo, powiedzmy godzinę, w najgorszym razie kilka, niemożliwe, żeby zostali do jutra, Niemcy by nie pozwolili. Kiedy ktoś najął się za psa, musi biegać i szczekać.

Jednak nie miał ochoty wracać do pułapki, w której byłby całkowicie bezradny w razie wykrycia i jak przed godziną, tylko biernie oczekiwać na śmierć. Dotychczas jeden przechodzący patrol go nie zauważył, ale pozostawać tak przez dłuższy czas w pobliżu całego oddziału to co innego. Żołnierze będą się rozglądać, być może użyją ten rów jako latrynę - ci z patrolu mogą po powrocie powiedzieć innym, że to wygodne miejsce. Musi się zastanowić. A najpierw dokładnie rozejrzeć w położeniu.

Jeszcze raz ostrożnie wysunął głowę na dłużej, starając się dostrzec i zapamiętać wszystkie szczegóły. Kałmucy wyraźnie roztasowywali się na postój na łące, najbliżsi koło 200 m przed nim. Chyba nie na dłużej, ale to trudno ocenić. Słyszał ich głosy, chociaż ich nie rozumiał - w każdym razie nie starali zachowywać się cicho, ani nie szykowali do walki.

Chyba po prostu krótki postój przed wejściem w las. Czekają na patrole, które poszły sprawdzić w głąb i już dość dawno minęły lizjerę lasu, ale na pewno nie wejdą daleko, raczej po kilkudziesięciu, może trochę więcej metrów położą się i poczekają, a potem powiedzą że byli daleko i nic nie widzieli.

Kilka czujek wystawionych od strony lasu minęło go, ale żadna nie była bezpośrednio za nim. Zobaczył dwóch z lewej strony, ułożyli się za fałdą terenu, osłaniającą ich od strony lasu ale akurat zwróconą ministokiem dobrze widocznym z jego strony. Oni też mogliby go

zobaczyć, więc przesunął się tak, żeby zasłoniły go pokrzywy. Zresztą byli obrócen i obserwowali las. Z prawej strony nie widział nikogo, ale miał wrażenie, że był tam jakiś ruch nieco dalej. W każdym razie na pewno też zwróceni byli w stronę lasu, to logiczne. Od kilku dni druga dywizja AK posuwała się forsownie w ogólnym kierunku północnym, pomijając mniejsze odchylenia, przesunięcia poszczególnych oddziałów. Różne drobne formacje niemieckie, w tym także kałmucy postępowali z tyłu (inne cofały się z przodu) nie szukając walki, ale tak, żeby nie tracić na dłużej kontaktu. Jeżeli wywiązała się potyczka, szybko się cofali.

Ważne dla nich było, jak daleko są za Polakami, z tyłu mogli spodziewać się tylko oddziałów niemieckich. Mógł dokładnie przyjrzeć się miejscu postoju.

Nagle Agnus poczuł gwałtowne uderzenie krwi i falę gorąca. No chwilę przymknął oczy i otworzył je ponownie. Potem opadł do rowu i po raz trzeci tego dnia zwrócił się do Boga, chociaż od paru lat uważał się za niewierzącego: - Panie Boże, dziękuję Ci za to, że nie muszę umierać bez celu. O nic innego nie proszę, nawet o przebaczenie, tylko dziękuję, że moje życie i śmierć mają jakiś sens. Nie wiem, czy to cud, czy łaska dla mnie, nie mogę się teraz zastanawiać, ale bardzo dziękuję, że nie muszę umierać w rozpacz za zmarnowanym życiem i z pogardą dla siebie.

Przed nim w odległości może 250 m z przodu i 150 w bok, a więc nieco mniej niż 300m po przekątnej, jak na ilustracji rozstawiony był znajomy kształt MG 42, a za nim leżało dwóch Niemców. To było po prostu niesamowite, przez chwilę nie był pewien czy to nie złudzenie, czy zachował zdrowe zmysły.

Oczywiście, zorientował się co to znaczy. To nie było z ich strony bynajmniej wsparcie sprzymierzeńca bronią maszynową. Już od pewnego czasu mówiło się o tym, że Niemcy zorientowali się, czego można oczekiwać od rosyjskich ochotników i zaczęli ustawiać karabiny maszynowe które miały strzelać im w plecy „zachęcając” ich do walki. W Warszawie, niestety, dało to oczekiwane przez Niemców rezultaty. ciśnieni z dwu stron, między bezlitośnie strzelającymi do nich z tyłu Niemcami a Polakami, ochotnicy rosyjscy w służbie niemieckiej walczyli z niespotykaną u samych Niemców zaciętością, zdając sobie sprawę, że małą szansę na przeżycie mają tylko wówczas, jeżeli posuną się do przodu.

Zyskali smutną sławę mordując bezwzględnie cywilną, jakby znaleźli wreszcie kogoś, na kim mogą się zemścić za swój własny los. W końcu doszło do tego, że same dowództwo niemieckie na widok tej rzeźni wycofało pomocnicze oddziały „ochotników” rosyjskich z miasta (tak zeznawał po wojnie dowodzący pod Warszawą generał von Bach, chociaż tak

naprawdę to raczej zamiast krwawej a nie dającej efektów walki twarzą w twarz, Niemcy przeszli na niszczenie celów z daleka za pomocą ciężkiej broni i lotnictwa).

W każdym razie nie mógł spodziewać się bardziej pożądanego celu. Marzyć, owszem. Gdyby tak mógł napotkać wysokiego funkcjonariusza partyjnego, gestapowca, generała... No tak, ale to całkowicie nierealne. Skoro nie mógł dosięgnąć ręki, to chociaż wysoko wyspecjalizowane narzędzie mordy. Oto prawdziwi zawodowi zabójcy i kaci, wyszkoleni, doświadczeni, sprawni - każdy z nich wart kilku takich smarkaczy jak on. Bardzo opłacalna wymiana, dwie figury za pionka.

Czuł się wspaniale. Od momentu powzięcia decyzji rano pech minął, nastąpił przełom, wszystko układało się samo. Momenty zwątpienia przedtem były bez sensu, to po prostu tak, jakby spadał wprost do swego przeznaczenia najkrótszą drogą, roztrzając przeszkody, nic nie mogło go powstrzymać. Albo jakby prowadziła go jakaś niewidzialna ręka. A może, świat jest tylko złudą, jak twierdził biskup Berkeley i on po prostu śnił swoje życie i teraz doszedł do kulminacji tego snu?

Wiedział dokładnie, co dalej nastąpi. Najpierw musi zabić tego drugiego, w hełmie, to był trudniejszy strzał - mniejszy cel, praktycznie tylko głowa, bo był częściowo zasłonięty przez pierwszego i leżał nieco niżej, płasko na ziemi. Potem pierwszy, uniesiony na łokciach, z lornetką - no i jeszcze - chyba trupia czaszka na czapce. Łatwy strzał, ale trzeba się śpieszyć.

Tak jak go kiedyś uczono, spojrzął na niebo i najbliższe drzewo a potem zamknął oczy i usiłował zachować ten obraz pod powiekami, wyrzucić, zastopować wszystkie myśli. Zamiast tego zobaczył pola za majątkiem w Żydowie i swego pierwszego nauczyciela, żołnierza, który pokazał i objaśnił mu karabin, prawie usłyszał głos: - Spokojnie, swobodnie. Rozluźnij się! - Przez chwilę, był poza czasem, daleko stąd. Otworzył oczy, pewien, że nie może chybić.

Dwa strzały prawie jeden za drugim, tak szybko jak tylko po odrzucie, pierwszym spojrzeniem uchwycił nowy cel. Może nie osiągnął ćwierci sekundy, co podobno teoretycznie było dobrym wynikiem i o co usilnie starał się w ćwiczeniach, ale na pewno zszedł poniżej połowy. Czuł, że to najlepsze strzały jego życia i nie czekając na nic, znurkował do rowu i jak szalony popędził na upatrzone wcześniej nowe miejsce. Na rękach i nogach dotarł do mostku, teraz przepychanie się przez cementową rurę zajęłoby zbyt dużo czasu, poza tym odrzucało go wspomnienie miejsca, gdzie raz już siedział jak w ciasnej pułapce, nie zdolny do żadnej obrony. Ubita na rurze ziemia wznosiła się nieco, tworząc wypukłość i powinna osłonić go z przodu, może tylko czujki z tyłu mogłyby go dostrzec. Spojrzenie w tą stronę, nic nie

dostrzegł, trawa dosyć wysoka. Moment wahania, sprężył się i rzucił naprzód jak wystrzelony z procy, resztę odległości ślizgnął się na murawie brzuchem jak naoliwiony węgorz i już wpadł do rowu po drugiej stronie. Około 50 m dalej rów skręcał pod kątem prostym w stronę lasu. Może 10 m wcześniej kawał ziemi oberwał się i rozsypał, rów był nieco płytszy ale szerszy, wygodny i z dobrym wyglądem w przód. Dopadł tego miejsca i ostrożnie uniół głowę.

Pierwsze wrażenie to nienaturalny spokój i cisza. Wprost nierzeczywiste uczucie, jakby przy filmie nagle zatrzymał się aparat. Większość widzianych przedtem leżała na ziemi, niektórzy tylko zastygli na miejscu, Żadnego ruchu, żadnego dźwięku, wydawało się, że nawet owady przestały latać.

To przelotna migawka, bo przede wszystkim spojrział w stronę karabinu maszynowego. Dwaj Niemcy koło niego, widoczni teraz nieco bardziej z frontu i jeszcze lepiej, leżeli spokojnie w tej samej pozycji, jakby zupełnie zignorowali albo w ogóle nie zauważyli że ktoś do nich strzelał. Jezus, Maria, czy to możliwe żeby spudłował aż tak? Kule nawet nie padły koło nich, nawet nie przypadły do ziemi. Ten pierwszy tak jak przedtem, oparty był na łokciach, tyle, że opuścił lornetkę. Obejrzał już całe przedpole albo jak inni nadśluchiwał.

Agnus cofnął się. Wszyscy czekali na wyjaśnienie sytuacji, nie wiedzieli kto i gdzie strzelił. To mogło być wszystko, ostrzeżenie, sygnał, nawet przypadek. Najbardziej mogli się obawiać niespodziewanego ataku, tzw. „przeważających sił”. Nie potrwa długo, aż się otrząsną i znajdą tutaj tego nieszczęsnego błazna. Zresztą im prędzej tym lepiej. Po co brał się do czegoś, czego nie umie zrobić, ba, w ogóle nie ma pojęcia. Po co w ogóle zajmuje miejsce na świecie, zjada chleb który może przydać się innym, psuje powietrze. Niech się to wreszcie skończy z tą kupką nieszczęścia siedzącą tu na rozsypanej ziemi między pokrzywami, z trzęsącymi się rękami, poczuciem bezsilności i mdłościami w brzuchu. Opanuj się, człowieku! Przynajmniej tego jednego, uniesionego, możesz jeszcze dostać jeżeli się uspokoisz. Przecież to tak blisko i widać go doskonale.

Agnus oparł się plecami o tylną ścianę i zrobił pięć głębokich oddechów. Potem otworzył oczy i spojrział na swoje ręce. Już nie drżały. Dotąd tego nie robił, ale teraz wplótł kilka zerwanych nowych pokrzyw we włosy. Przez moment chciał też nimi owinać karabin, ale czuł, że teraz musi się śpieszyć, że czas mu się kończy więc zrezygnował. Ostrożnie wysunął karabin opierając go starannie tak żeby spoczywał pewnie jak przy sprawdzaniu celownika. Nie ma mowy o żadnym swobodnym strzelaniu, mierzył teraz bardzo starannie. Już.

Mocny Boże! Byłby przysiągł, że widział jak ciało drgnęło od uderzenia kuli, a na pewno przechyliło się na bok. Strzelał do trupa. Zabił obydwu za pierwszym razem. Znurkował do rowu i z niedowierzaniem spojrzął na broń.

Przed nim wybuchło piekło. Gwałtowna strzelanina ze wszystkich stron, po prostu burza ognia. Krzyki. Klątwy, ale i dzikie wrzaski, jakby kogoś raniono. Ale zadziwiające, że w pobliżu nie sypią się kule. To chyba strzelanina na wszystkie strony. Czyżby mogli jeszcze go nie zauważyć? Przecież uczył się, że trzeci strzał zawsze ujawnia stanowisko, dlatego uważa się go za feralny. A tymczasem wydaje się, że większość strzałów skierowana jest w stronę linii lasu. Jedyne rozsądne przypuszczenie, to że zmylił ich nietypowy, głuchy odgłos strzału. To ta obudowana lufa i ta dziwna narośl zmieniły i wyciszyły huk tak, jakby dochodził on z dalszej odległości.

Co ma robić dalej? Mógłby naturalnie zastrzelić jeszcze jednego Ruska, ale po co. Obrona własna by to nie była, przeciwnie, jeżeli strzeli teraz to pokaże miejsce, jeżeli w tym bałaganie choć jeden go dostrzeże, to po chwili cały ten grad kul spadnie na niego. Nie będzie mowy, żeby się ruszyć, przyciśnięty do ziemi nie będzie mógł nic więcej zrobić i wkrótce go dostaną. Widząc przedtem MG miał nadzieję, że może gdzieś znajdzie się niemiecki oficer. Gdyby był, to zupełnie co innego, wtedy byłoby warto. Ale niestety.

Czy zdoła jeszcze teraz się wycofać? Właściwie rów, za załamaniem prowadził aż do lasu, a raczej do zagajnika młodych sosenek na jego skraju. Czujki za nim pewnie nie mogą podnieść nosa, ta strzelanina w stronę lasu - kule lecą nad nimi i przyciskają ich do ziemi. Ewentualnie może spotkać jeden z patroli, które weszły do lasu.- No cóż, to już na los szczęścia. Pewnie też się położyli, jeżeli nie wpadnę, nie nadzieję się wprost na nich, to nie ma się czym przejmować.

Czas jest najważniejszy, trzeba decydować natychmiast. W kilka minut wyszedł już z rowu koło małych drzewek, Kule owszem, padały, ale nie tak gęsto jak się spodziewał. Strzały rozkładały się na długiej linii lasu. Mocno zgięty, także dlatego, żeby nie wynurzyć się między małymi sosenkami, dotarł do lasu i zaczął biec.

Nagle dość daleko, z tyłu usłyszał Pam! i w sekundę Woom! z lewej strony. Zupełnie nie widział, żeby mieli też moździerz. Może to też Niemcy? Ale chyba nie, do zachęcania żołnierzy strzałami w plecy stosuje się karabin maszynowy, cięższe pociski raczej tylko po kilka w linii i to na froncie, nie tutaj. Ponownie, z tyłu Pam! Pam! i bliżej Woom! Woom! Przyśpieszył.

Po dobrym kwadransie biegu był pewien, że jest już poza strefą, do której mogły dotrzeć patrole. Był spocony, a raczej umierał z gorąca - całkowicie wyczerpany. Zdecydował

się na 10 min. odpoczynku. Rozebrał się też ze wszystkiego za wyjątkiem spodni i koszuli, przy której zawiązał rękawy i rozpiął przód. Zdjętych rzeczy oczywiście nie wyrzucił, to było kategorycznie zakazane i te polecenia i zakazy miał wpojone, lecz złożył w mały węzełek i wsunął za pazuchę koszuli. Plecak i reszta zostały w miejscu noclegu, ale na pewno oddział je zabrał, zawsze sprawdzało się miejsce obozowania, czy wszystkie widoczne ślady zostały usunięte. Do niesienia miał więc tylko tą ciężką strzelbę. Strasznie ciężką - ale, teraz się okazało, co to za wspaniała broń.

Przez następne godziny na przemian szedł i kawałek biegł, znowu odpoczywał idąc i znów biegł i tak dalej, na zmianę. Z początku posuwał się w ten sposób szybko. Ale przy końcu biegł już tylko symbolicznie, niewiele kroków, zataczając się i nie mogąc utrzymać linii prostej, a szedł też niewiele lepiej.

Nie pocił się już prawie, usta miał całkowicie wyschnięte i oddałby wszystko za kubek wody. Kierunek utrzymywał instynktownie według słońca, ale utracił świadomość gdzie i po co idzie. Ból kręgosłupa był straszny, nie w kilku miejscach, ale ogarniał całe ciało. Wyznaczał sobie wzrokiem miejsce do którego ma dojść zanim upadnie na ziemię, a potem wybierał jeszcze następne i tak dalej. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli upadnie, nie będzie już miał siły wstać.

Aż w pewnym momencie usłyszał z jednej strony, niezbyt głośno - stój! Kto idzie? - a z drugiej wydało mu się, że też jakiś szmer.

Zatrzymał się na miejscu i uniósł ręce. Teraz uświadomił sobie, że nie zna hasła na ten dzień. Za wszelką cenę starał się dogonić swoich, ale nie pomyślał, jak to będzie praktycznie wyglądało. Chciał powiedzieć - Swój! Polski żołnierz-, ale z ust wydobył tylko niezrozumiały skrzek.

- Po jakimu on gada? - zapytał głos z drugiej strony, skąd przedtem doleciał cichy szcęk. - To nie po niemiecku, ale i nie po polsku.

- Spróbował ponownie i tym razem zakrzakał:- Wody! Wody!

- Stój spokojnie i upuść karabin. Nie dotykaj go, tylko pozwól mu się zsunąć z ramienia - powiedział pierwszy głos. - Nie rób żadnych gwałtownych ruchów. Dobra, a teraz podejdź trzy kroki do przodu, ale ręce trzymaj do góry.

Po upuszczeniu karabinu Agnus był wprawdzie nadal słaby ale dziwnie lekki. Z zarośli wyłoniło się dwóch młodych ludzi, jeden trzymał go na muszce karabinu, drugi z pistoletem obszedł go z tyłu i obmacał.

- Nie ma więcej broni, tylko trochę naboju w kieszeniach i te łachy za koszulą. Dziwne, nie ma nawet noża ani nic więcej. To na pewno znów Niemcy próbują nasłać jednego z

Rusków, żeby udawał uciekiniera i szpiegował, a te szmaty ukradł gdzieś po drodze. Najlepiej kropnąć od razu, - zaproponował. - Spójrz, jak on wygląda. Niepodobny do człowieka. Pewnie Niemcy przesadzili, wyobrażając sobie że partyzanci tak wyglądają i chodzą jak zasrańcy -.

- Jestem Polakiem i żołnierzem, nie mogę mówić. Wody, - powiedział niewyraźnie Angus, jednak coś z tego musiało trafić do pierwszego, bo powtórzył; - Daj mu wody, on nie może mówić.-

- Sam mam resztę i oszczędzam, a pić mi się już dawno chce. Mam marnować na takiego, - mruzczał drugi, ale podał butelkę omal w połowie pełną i cofnął się szybko. Angus w pierwszej chwili nie mógł przełknąć i pierwszy łyk pociekł mu po twarzy. Żałował każdej kropli, następne były wspaniałe. Oddał pustą butelkę, gdy właściciel mówił, - hej nie wszystko! zostaw trochę.

Chociaż jeszcze z trudnością, mógł teraz mówić, ale w głowie wciąż mu się kręciło. Podał swój pseudonim, oddział i pseudonim dowódcy, oraz to, że więcej nie ma prawa mówić.

- Przecież to od razu widać, że kłamie. Niemcy próbują wsadzić szpiega, mało takich było - zatrącał z wiejska niższy, barczysty i od pierwszego spojrzenia wyglądający na osiłka młody mężczyzna, który go zrewidował. - Po co mamy się z nim wozic, trzasnąć szpicla i spokój.

Nawet to ledwie dotarło do Angusa, miał takie wrażenie, jakby był w kinie lub teatrze i rozmawiały inne osoby, jakby on też był obcą osobą: - Hasła rzeczywiście nie znam, ale to się chyba czasem zdarza. Czy wszystkich, którzy przychodzą bez hasła, traktujecie w ten sposób? Mówię prawdę i to można sprawdzić. Musicie zaprowadzić mnie do oficera. Znam wczorajsze hasło, już nieaktualne, ale zgadza się, prawda?-

- Rzecz pewna - odpowiedział wyższy, z karabinem i tak mocno opalony, że twarz miał ciemniejszą od jasnych włosów. - Ty, Słaby, się uspokój, bo nawet jeżeli to podejrzany ptaszek i tak mamy obowiązek zaprowadzić go do oficera. A ty - zwrócił się do Angusa, - nie powiedziałaś co tu robisz i dlaczego jesteś tutaj a twój oddział daleko, nawet nie wiemy gdzie, ale właśnie dlatego mówię, że daleko. I dlaczego nie znasz tego hasła?-

- Zgubiłem się jeszcze w nocy i właśnie próbuję dogonić mój oddział - Agnus czuł, że teraz mówi nieprzekonywująco i naprawdę budzi podejrzenia, ale nie umiał myśleć i na to nie było rady. - Zresztą i tak to można sprawdzić.

- Rzecz pewna. Ale na razie musisz tu z nami poczekać. Nie możemy się teraz ruszyć, przed nami są czujki i tam jest nasz dowódca, a my mamy przekazywać meldunki i mamy tu

zostać, aż czujki się zwiną i wtedy plutonowy po nas wstąpi i nas zwolni. Do tej pory zostaniesz z nami i to bez broni.

- Ja bym mu przynajmniej związał ręce, - dodał „Słaby”.

Ale wyższy z karabinem tylko się skrzywił. - Daj spokój, Słaby, widzisz przecie, że on naprawdę jest wykończony, a jakby nawet nie był, to i tak dwóch takich mógłby wziąć na plecy i zanieść do postoju, jakby się nie bronili. Nie warto go wiązać, tylko - tu spojrzął na Angusa - umawiamy się tak: ty sobie usiądź i pamiętaj, że nie wolno ci wstawać. Gdybyś chciał się podnieść to zawołaj, bo jak nie to może cię spotkać przykrość.

Agnus wybrał miejsce w środku plamy słonecznej, bo choć dzień był ciepły, nawet upalny, a on dopiero wysychał z potu, zaczęło mu się robić zimno. Nasunęło się dziwne skojarzenie, poprzedniej choroby, jakby oczekiwał kroplówki z glukozy. - Czy mogę się położyć?

- Możesz, tylko nie wstawaj, a jakbyś chciał, to najpierw nas zawołaj. - A co to za żelaziwo niosłeś,- zapytał „Słaby”, który podniósł i oglądał karabin. - Czy to strzela? - Czasem. To automatyczny karabin, dziesięciopięciopalcowy.- - Aha, dziesięciopalcowy. Ruska?- - Nie, to stara, jeszcze z I wojny. Teraz robią inne.- - Jak to działa?- - Pokażę - machinalnie wyciągnął rękę Agnus, ale „Słaby” szybko odsunął broń. - Taki głupi nie jestem. Lepiej uważaj, bo żarty mogą ci nie wyjść na zdrowie.- - No to jak ci mam pokazać? Poczekajmy z tym, aż sprawa się wyjaśni i oddasz mi broń z powrotem - powiedział Agnus. Od chwili gdy się położył, miał wrażenie że płynie, kołysze się na wodzie i coraz trudniej mu było, nie tylko mówić, ale i skupić uwagę. Po prostu tracił kontakt, zapadał się. Zamknął oczy i świat przestał istnieć. Obudziło go szarpanie za ramię. - Słuchaj coś tu śmiesz. Plutonowy już dawno miał przyjść, nasze czujki odejść, a tu żadnej wiadomości. Ostatnia była o jakiejś dużej strzelaninie i plutonowy wziął chłopaków i poszedł, czekamy i czekamy i nikogo nie widać. Słuchaj, jeżeli ciągniesz za sobą Niemców, to lepiej powiedz teraz, jeszcze uratujesz życie. Bo jak przyjdą za tobą, to jednak naprawdę będziemy musieli stuknąć cię pierwszego. Słaby cały czas namawia i wygląda, jakby miał rację.- - Z Niemcami mam tyle wspólnego, co wy. Jeżeli koniecznie chcecie mnie stuknąć, to czemu nie zrobiliście tego kiedy spałem. Mnie jest wszystko jedno, - powiedział Agnus i w tej chwili naprawdę tak było. Jednak nie zasnął już ponownie i powoli wracał do świadomości. Wyprostował się i przeciągnął, całe ciało bolało, ale mógł się ruszać i zaczynał czuć się żywy. Po pięciu minutach zapytał: - Czy mogę wstać i pójść się odlać?- - Nie, lepiej nie ruszaj się z miejsca. Możesz lać na miejscu, na siedząco albo na leżąco, a potem się odsuń albo odkulnij i spokój. Tu nie salon.- Angus po odkulnięciu się nadal szybko przychodził do siebie, przypominał sobie i uświadamiał wszystko, a



tymczasem próbował wyciąga to rękę, to szyję, to głowę, naprężyć się, skrócić, wyraźnie odpoczynek bardzo mu pomógł, mógłby już wstać o własnych siłach. Zaczął rozcierać ramiona i kark, bolało, ale czuł, jak wraca do życia i to było przyjemne.

Jednocześnie myślał już logicznie i dopiero teraz dotarło do jego świadomości to, co usłyszał. Rzeczywiście, obaj chłopaki wyglądali na podenerwowanych. Czyżby naprawdę mogli go zastrzelić? To by było naprawdę śmieszne, zginąć po tym wszystkim, dopiero teraz i to od swoich. W gruncie rzeczy jego historia rzeczywiście była nieprzekonywująca, lepiej było coś wymyślić - choćby, że wraca z jakiegoś zadania, - a potem tłumaczyć się już przed swoim dowódcą. Ale doszedł tutaj w takim stanie, że jego umysł prawie nie funkcjonował. Teraz wyglądało na to, że jeżeli zdarzy się coś niespodziewanego - a w końcu to wojna i różne niespodziewane sytuacje mogą się zdarzyć - zapłaci za to własną głową. - Przynajmniej usprawiedliwiłem swoje istnienie - pomyślał, - a jeżeli rzeczywiście mnie zastrzelą, to w każdym razie szybsza i lżejsza śmierć, niż oczekiwałem parę godzin temu. Głupio, że w ten sposób, ale z lepszych rąk. -

- Jeszcze pół godziny, potem musimy ostrzec oddział, że coś się stało. Pójdiesz z nami, ale sprawy się zmieniły i jednak musimy ci związać ręce. Jeżeli się co zdarzy, to nie miej do nas pretensji, ale zrobimy to co musimy. Spaleś martwym bykiem i dlatego nie chce mi się wierzyć, żebyś był niemieckim szpiegiem, ale nie mamy prawa ryzykować. Wygląda na to, że tylko my sami ubezpieczamy teraz oddział.- - Masz ómika, Kosa? - zapytał barczysty. - Dobrze wiesz, że nie wolno palić. Ale mam jeszcze kawał chleba, podzielimy się, nie będę go nosić z powrotem. - Nie chcę. nie mógłbym teraz jeść. - Ale ja bym mógł, i to bardzo. Więc jeżeli są jakieś trudności, to chętnie się poświęcę - wtrącił Angus.

Słaby zachnął się, ale Kosa powiedział: - rzecz pewna, starczy na trzy kromki. Jeżeli ty, Słaby, nie zjesz, to możesz mu potem dać swoją porcję. Mam nadzieję, że nie będziemy tego musieli zmarnować.

Agnus bardzo się starał rozgryzać jak najdrobniej każdą odrobinę i jeść wolno, Ale i tak skończył pierwszy. - Uratowałeś mi życie - powiedział na koniec.

- O, to może nie trzeba było ci dawać i problem sam by się rozwiązał.

Jednak problem i tak się rozwiązał, gdyż wkrótce potem nadszedł plutonowy, podchorąży „Ego” i powiedział, że mogą wracać, czujki już zwolnił. Chodzili dość daleko do tyłu sprawdzić, co się dzieje (dlatego wraca później), ale nic nie stwierdzili, prawdopodobnie to znowu kałmucy urządzili przedstawienie w lesie. Dziwne, bo w okolicy wiele jednostek niemieckich i pewnie z tego powodu, kałmucy już dawno nie urządzali strzelaniny w powietrze.

Kosa zameldował, że przyszedł nieznajomy człowiek podający się za partyzanta, chwilowo rozbroili go i zatrzymali. Ego kazał go przyprowadzić, nie zadowolili go jednak poprzednie wyjaśnienia Angusa, zwłaszcza chciał dokładnie wiedzieć, skąd i dokładnie którędy szedł. Najwyraźniej wkurzał go fakt, że Agnus przeszedł niedostrzeżony linię czujek i żądał teraz podania sposobu, jak zdołał się przekraść. Ponieważ Agnus nie potrafił tego opisać i wyjaśnić, sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Agnus mógł tylko poprosić o przekazanie go do swego oddziału, co jeszcze bardziej zadrażniło sprawę.

- Jeżeli naprawdę jesteście żołnierzem, to chyba umiecie się poprawnie zameldować? -  
- Tak jest. Melduje się strzelec (powiedzmy) „Mara”, II kompania II batalionu, II pułk II dywizji piechoty legionów - (normalnie opuszczali zwykle ostatni dodatek, ale teraz chciał wypaść służbiście, może to zadowoli tego dupka). - Kto jest waszym dowódcą? -  
- Podporucznik „Leśnik”. -  
- Przedtem podawaliście inaczej! - Wymieniałem dowódcę batalionu. Dowódcą kompanii jest podporucznik „Leśnik”. -  
- A czy was tam nigdy nie uczyli postawy przy meldowaniu? Bacność! - Angus rzeczywiście miał pewne trudności z postawą. To, że wstał, chodził i jako-tako się poruszał, uważał i tak za spory sukces. Odkrył, że to wszystko mu się udaje, kiedy opiera się obu rękoma z tyłu, za miednicę, a jeszcze lepiej przyciskając końcowy odcinek kręgosłupa. Natomiast bez tego, co chwila przeszywał go ostry, nagły ból. Nie, żeby nie mógł się opanować, ale po prostu zupełnie nieświadomie sam organizm oczekiwał tego, zawsze niespodziewanego bólu i to przeszkadzało, hamowało go. Rzeczywiście, wyglądało, jakby założył ręce do tyłu. Gdyby miał je związane, to wypadłoby dużo lepiej, zupełnie naturalnie. Próbował to powiedzieć, ale nie mógł, bo podchorąży Ego stał tuż przed nim, a właściwie przysuwał się coraz bliżej i nie przestawał krzyżeć:

- Ty h... złamany..... znalazł się w d... j..... Napoleon, ja ci zaraz..... powiedziałem bacność to... - to był dopiero początek, dalej wiązanka stawała się barwna i naprawdę nabierała rumieńców. Agnus pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji i nie wiedział, jak się zachować. Owszem, czytał o opierdalanii żołnierzy przez oficerów, ale to było przed wojną. Owszem, nie raz spotykał się z klątwami i wyzwiskami, choć nigdy na tak wysokim poziomie, zresztą i sam ich używał, starał się ale i tak często zajmował w dyskusji drugie miejsce. Właściwie przestał się w ten sposób wyrażać dopiero, kiedy usłyszał, że Ponury nigdy nie klął, choć podobno wyjaśniał to czysto praktycznie, oszczędnością czasu. O tym się mówiło - podobnie jak o wielu innych, nawet drobnych szczegółach - i przez pewien czas powszedni język w partyzantce bardzo się poprawił. W każdym razie nigdy nie prężył się przy tym na bacność i nie wysłuchiwał takich ciężkich obelg w pozycji posłusznego... Ego przysunął się tak blisko, że Agnus poczuł drobną kropelkę śliny i pomyślał: - jeżeli mnie teraz

uderzy, to oddam, bez względu na stopień i na to, że wygląda jakby mógł ze mnie zrobić marmoladę nawet, kiedy byłem w najlepszej formie. Ego rzeczywiście poruszał się sprężysto i energicznie, uderzała może przesadna pewność siebie, ale miał też do tego powody, w tych czasach się mówiło - prawdziwy pistolet.

Krzyk nagle umilkł, Ego stał przed nim tak blisko, że niemal dotykał jego twarzy i najwyraźniej oczekiwał odpowiedzi na jakieś pytanie albo polecenie. Agnus nie miał pojęcia, o co chodziło. Otworzył usta, zamknął je i nagle bez sensu wyrecytował: - atquita - composi - taspar-vocur - vamine - fflexit, - utve - rasimi - tetur - a-ves.

Ego ze zdumieniem zamrugał oczami. Niespodziewanie jakby cień uśmiechu przemknął mu po twarzy.

- O, - powiedział,- czyżby - PuerI - carus - una stabat? - etigna - tussua - suase-tractarepe - ricla...- Rzeczywiście, Angus nie wiedział czy na serio był w niebezpieczeństwie i do jakiego stopnia. - Gimnazjum Ostrowieckie?- zapytał zupełnie normalnym głosem 'Ego', - chyba mieliśmy wspólnego nauczyciela łaciny. - Nie znam nikogo w Ostrowcu, - stereotypowo odpowiedział Angus. - No dobra, Ego odwrócił się do swych żołnierzy, sprawdziłem powierzchownie, ale myślę, że to jednak nie jest Rusek, ani żadna swołocz. To może naprawdę być nasz kolega, ale nie mogę ręczyć na pewno, czy nie szpieg. Odprowadźcie go i na razie uważajcie, dalej już nie ja decyduję, ale myślę, że każą go dostarczyć do jego oddziału i tam niech się z nim męczy jego dowódca. Jeżeli wam każą odprowadzać, to mogę dać zmianę bo wy kończycie służbę, a jego batalion o ile się orientuje, był o dobre kilka kilometrów tam - pokazał ręką, - we wsi... No to cześć.

Mimo wszystko Słaby nie był całkiem przekonany. - Że ktoś nauczył się na pamięć kawałek pacierza, to żaden dowód. Pamiętaj, że to ja go rozbijałem. Ja teraz poniosę jego karabin, ty już masz swój, a ten by mi się w sam raz nadał. Jeżeli go jednak rozwalą, to mnie się należy broń.-

- Chciałbyś zabić kolegę, bo podoba ci się jego karabin?- - Eee, no nie, jeżeli to naprawdę kolega.

Kosa był najprościej trzymającym się człowiekiem, jakiego Agnus dotąd spotkał. Kiedy zauważył, jak mu się Agnus przygląda po drodze, rzucił dobrodusznie: - Trochę cię pokreśliło, co? Jakbyś tak pokosił przez tydzień, chociaż parę godzin dziennie, też byś chodził prosto. A widząc zdziwienie Angusa, dodał - ty myślałeś że kosa, bo taki ostry. A ja naprawdę nieźle koszę, nie spotkałem jeszcze takiego, co by mnie przegonił albo potrafił zrobić w dzień większy kawał łąki ode mnie. Ale wracałem już taki obolały, jak ty teraz. Mówię ci, z rana to przyjemność, ale wieczorem różnie. Tak, on jest „Słaby” żeby było

trudniej zgadnąć, a ja „Kosa” żeby łatwo. A „Ego” widziałeś, jak już trochę żeśmy go utemperowali, przedtem było gorzej. On się uczył na oficera, był w podchorążówce i to artylerii. Więc może mu brakuje armat, ale cóż, u nas tego nie znajdzie. W każdym razie, choć dużo ryczy, to daje mleko, to znaczy jest z niego pożytek. Można na nim polegać, a to się liczy. -

\* \* \*

Podporucznik „Leśnik” miał około 30 lat, był średniego wzrostu, raczej krępy blondynem o nieco rzadkich włosach, chodził zawsze w butach z cholewami, chociaż nie były to lśniące oficerki. Nie jąkał się, ale trochę zacinał się w mowie i może dlatego mówił lakonicznie i zawsze rzeczowo. Poza tym miał jeszcze inną przywarę, zamiast „o” mówił zawsze, i to z dużym naciskiem, akcentując, „ło”.

Trzeba zaznaczyć, że dopiero TV tak naprawdę ujednoliciła, ale i zubożyła wymowę, nadając jej trochę sztuczny, afektowny charakter. W tych latach różnice języka były większe, ale traktowano to jako coś zupełnie naturalnego, najwyżej czasem wywoływały uśmiech, ale i koloryt, po którym nic obecnie nie zostało. Nawet wykształceni ludzie zachowywali swoją wymowę, z miejsc urodzenia lub nabytą później, na przykład dyrektor tajnych „kompletów”, a przed i po wojnie dyrektor Gimnazjum i Liceum im J. Chreptowicza w Ostrowcu, choć humanista, wymawiał „s” jako „z” i to z ciężkim, brzęczącym akcentem „ZZZ”, tak że jego „jeZZZdem” było przedrzeźniane i zawsze budziło uśmiech, podobnie jak „ło” Leśnika. O podporuczniku opowiadano podobno autentyczne zdarzenie, jak wyjaśniając zasady ubezpieczenia oddziału narysował pionową kreskę i powiedział - to jest łoś, co wywołało zdumienie słuchaczy i któryś zapytał - nie rozumiem, co to jest, kolego poruczniku?

- No łoś!

Teraz już kilka zdziwionych głosów - ale przecież u nas w lasach nie ma łośi,- na co „Leśnik” - no łoś, łoś, łoś marszu łoddziału! - Co prawda podobną anegdotę opowiadano też w innej wersji, że to było na lekcji fizyki i że chodziło o - łoś, no łoś, łoś łodciętych, - a raczej tylko raz taki wypadek mógł się zdarzyć, podobnie jak z - łodyńdz łobuzie łod łokna.

Leśnik urodził się na wsi i był chłopskim synem, własną pracą przepchał się przez szkoły i ukończył politechnikę jako inżynier-mechanik. Ukończył też podchorążówkę, a potem odbył praktyki i akurat miał rozpocząć a może rozpoczął pracę w jednej z fabryk zbrojeniowych COP’u, kiedy wybuchła wojna. Kampanię 1939 odbył jako chorąży, starając się według sił i możliwości, ale niczym specjalnym się nie wyróżnił. Następnie nie stawiał się w fabryce zbrojeniowej, lecz wrócił na wieś i zaczął uczyć fizyki i chemii na tzw. kompletach, tajnych szkołach średnich, powołanych przez władze Polski Podziemnej, kiedy

wyjaśniło się, że okupant nie zezwoli na kształcenie się Polaków ponad szkołę podstawową i wyjątkowo szkołę zawodową w takim zakresie, jaki potrzebny był do efektywnej eksploatacji nisko kwalifikowanej siły roboczej na potrzeby niemieckiej gospodarki.

Wkrótce otrzymał też propozycję wykorzystania wykształcenia wojskowego: w tym czasie Ruch Ludowy zaczął organizować własne oddziały zbrojne, Chłostra, przekształcone następnie na Bataliony Chłopskie. Problemem był brak wyszkolonych oficerów i oczywiście człowiek ze wsi i który nigdy nie tracił kontaktu ze swoimi korzeniami, a przy tym zdobył wykształcenie wojskowe i wykształcenie techniczne, był bardzo cennym nabytkiem.

Został więc przyjęty i wstępując do konspiracji, otrzymał od razu awans na podporucznika BCh, potwierdzony następnie przez dowództwo Armii Krajowej po zjednoczeniu. Z drugiej strony, ten pierwszy awans przeszkadzał w dalszym awansowaniu. Chociaż więc wkrótce znalazł się w partyzantce, i wykazał bardzo dobrze w jednym z najbardziej, obok zgrupowania Ponurego, głośnym i naprawdę wyborowym oddziale „Wybranieckich”, a teraz był już doświadczonym oficerem i miał na swoim koncie KW (do uzyskania Virtuti trzeba było jeszcze odrobiny szczęścia, nie wystarczały cechy osobiste, zaangażowanie i odwaga), nadal był podporucznikiem.

Tym jednak, że nie awansuje, najmniej się martwił, przeciwnie, byłby szczęśliwszy mogąc dowodzić nadal plutonem, bezpośrednio prowadzić za sobą ludzi i dzielić niebezpieczeństwa. Natomiast jako dowódca kompanii musiał robić to, czego nie lubił, decydować o życiu i śmierci innych, wysyłać ludzi i patrzeć jak giną, gdy on sam nie dzielił bezpośrednio niebezpieczeństwa, no powiedzmy nie w tym stopniu i nie wprost. Nie dramatyzował sprawy, bo miał za dużo zdrowego rozsądku i trzeźwego chłopskiego sensu. Po prostu wykonywał to co było celowe i konieczne, ale to, że ciągle giną ludzie i to z powodu jego decyzji i dokoła niego, jednak dokuczało.

Posługując się zawodową terminologią, zauważył, że okres połowicznego zużycia w partyzantce wynosił około pół roku, ale nie rozkładał się równo. Średnią obniżał zwłaszcza pierwszy miesiąc, w którym śmiertelność była największa. Natomiast jeżeli żołnierz przeżył pierwsze dwa miesiące, to potem przewidywany okres życia znacznie wzrastał, być może nawet do roku. Nie była to żadna rewelacja, wiadomo, że podobne zjawisko zaobserwowano na przykład w wypadku żołnierzy frontowych już w pierwszej Wojnie Światowej.

Natomiast wyprowadził z tego naturalny wniosek, że może ograniczyć śmiertelność w oddziale po prostu przez kierowanie do bieżących akcji przede wszystkim ludzi ze stażem i doświadczeniem, a trzymanie młodych, gorących głupców, przynajmniej, o ile to było możliwe w istniejących warunkach, przez pierwszy miesiąc w tyle. Poza tym stosował nadal

metody do których przywykł, zwracał się do żołnierzy per „kolego” i tylko przy rzadkich okazjach i etranżerach tolerował zwracanie się do niego „panie podporuczniku”. Ograniczał także wydawanie rozkazów i poleceń do najniezbędniejszych, praktycznie stosując zasadę, że im mniej dowodzenia w oddziale tym lepiej i że dowódca wypełnia funkcje najlepiej, jeżeli ma zaufanie do doświadczenia swoich ludzi i do nich samych (tzn. tylko tych doświadczonych). Krótko mówiąc zamiast sprawnego narzędzia w jednej ręce, za bardziej efektywne uważał coś w rodzaju wolnego stowarzyszenia kompetentnych fachowców.

Tego dnia zgłoszono mu brak jednego z młodych żołnierzy, czym nie bardzo się przejął, bo uważał, że nowe nabytki nie mają jeszcze wartości dla oddziału, a jeżeli mają się wykruszyć, to lepiej wcześniej. Jednak czegoś tu nie rozumiał: jeżeli to była dezercja, to zupełnie niepotrzebna, bo przecież gdyby delikwent zgłosił się i po prostu powiedział, że nie daje rady, to i tak by go zwolnił, może jeszcze dopomógł, jeżeli to była np. choroba. Wszyscy ludzie którymi dowodzi znaleźli się tu z własnej woli, co więcej często nie mógł przyjąć wszystkich zgłaszających się ochotników - a zdarzało się też, że niektórzy żołnierze zgłaszali się i z różnych ważnych powodów chcieli odejść. Chociaż w takim wypadku decyzja należała do dowódcy batalionu, on zawsze usilnie popierał taką prośbę - i to znowu nie z powodu sentymentów, ale ze względów czysto praktycznych. Aż dotąd nie spotkał się z odmową, najwyżej czasem na decyzje trzeba było nieco poczekać.

Logicznie nie widział więc żadnego powodu do dezercji. Z drugiej strony, żadne inne wyjaśnienie też nie było prawdopodobne. Żołnierz wstał wcześniej, wziął tylko karabin, odszedł z nim na bok, jak robił to wielokrotnie przedtem i nie wrócił. Nie mógł przecież zabłądzić, bo nie powinien odchodzić daleko, nie mógł również ulec wypadkowi bo po prostu nie było gdzie. Zresztą zostawił tam nawet patrol dla przeszukania otoczenia. No cóż, mała strata, najwyżej będzie musiał wysłuchać jeszcze kilka cierpkich uwag od innych oficerów, zwłaszcza starszych, którym od dłuższego czasu nie podobał się jego styl dowodzenia, a obecnie istniał silny nacisk na wprowadzenie znów regulaminu wojskowego. Był dla niektórych solą w oku, ale był dotąd zawsze efektywny i miał dobrą markę u dowódcy batalionu, więc niewiele na to zważał. Teraz nareszcie będą mieli do czego się czepiać.

Po kilku dniach forsownych marszów dzisiejszy odcinek był krótszy, może dlatego, że kończyły im się lasy, choć podobno w pobliżu była Spała, gdzie przed wojną pałacyk myśliwski miał Prezydent Mościcki. W każdym razie zbliżyli się już do Pilicy i teraz zapewne dowódca 2 dywizji pułkownik (a może wtedy jeszcze podpułkownik) „Lin” i dowódca całego Korpusu Kieleckiego pułkownik „Mieczysław” przymierzali się do przeskoczenia tej rzeki wysyłając rozpoznania. Batalion tym razem kwaterował w luksusowych warunkach,

zajmował wieś, a właściwie parę wsi, bo ich kompania stała w odsuniętej grupce chałup, które stanowiły osobną wioskę i miały nawet osobną nazwę, chociaż właściwie stanowiły wszystkie jedną całość.

Przyszli stosunkowo wczesnym popołudniem i mogli porozmieszczać się wygodnie, głównie po stodołach, chociaż niektórzy woleli stajnie, albo same chałupy. „Leśnik” zajął jedną z izb w chałupie, ale nie miał jej dla siebie, na razie był tam ciągły młyn bieżących spraw. Przede wszystkim rozkazał, żeby wszyscy starali się maksymalnie odpocząć, bo był pewien, że jutro, najdalej pojutrze znów zaczną się duży wysiłek, a już w tej chwili byli u kresu sił. Kolejną ważną sprawą było wyżywienie, dzisiaj jeszcze nie było z tym kłopotu bo wieśniacy z początku dzielili się chętnie wszystkim co mieli, ale trzeba było myśleć o jutrze i dniu następnym, a w oddziałach Armii Krajowej nie wolno było brać żywności przymusowo i to było bezwzględnie przestrzegane.

W czasie tej krzątaniny zameldowano mu, że właśnie znalazł się brakujący żołnierz, wyszedł daleko, aż w rejonie formującej się 7 dywizji, a właściwie dopiero załączka dywizji (liczyła niewiele ponad tysiąc ludzi). Przyprowadziło go dwu żołnierzy z batalionu „Centaur”, rozbrojonego, ale przynieśli też osobno jego broń. Proszą o identyfikację i potwierdzenie jego dowódcy. Ponieważ „Leśnik” cały czas był ciekaw, co właściwie i jak się stało, wyszedł przed dom i kazał żołnierzowi z obstawy, żeby na razie odsyłał na później innych interesantów, chyba, że zdarzyłoby się coś pilnego, a sam przeszedł w stronę szopki na drzewo, podziękował dwóm żołnierzom konwojującym „Marę” i potwierdził jego identyfikację, sam wziął do ręki karabin i skinął na Angusa, że chce z nim porozmawiać w cztery oczy. Szopka była dość ciemna z małym i brudnym okienkiem, więc drzwi zostały szeroko otwarte, „Leśnik” przysiadł lub oparł się o wysoki, podłużny stół pod okienkiem, na którym leżały piły i różne inne narzędzia, wskazał Angusowi ręką pień do rąbania drzewa i powiedział:

- Dobra, kolego, mam mało czasu, więc dajmy sobie spokój z formalnościami. Siadajcie i mówcie, tak żebym zrozumiał nie tylko co, ale jak i dlaczego.

- Więc Agnus opowiedział, że rano odszedł w las poćwiczyć z bronią, ostatnio to zaniedbywał, widocznie musiał być bardzo zmęczony, bo przysiadł na chwilę i chyba zasnął, a kiedy się obudził zobaczył, że oddział już odszedł. Starał się go dogonić, ale musiał widocznie iść pod kątem (omal nie powiedział do osi marszu oddziału, ale szybko ugryzł się za język; natomiast domyślił się teraz, dlaczego wyszedł tak daleko: wyznaczył sobie azymut według słońca i początkowo szedł dobrze, ale później półprzytomny ze zmęczenia przestał zdawać sobie sprawę, że powinien uwzględnić poprawkę na zmianę położenia słońca i szedł,

a czasem podbiegał ciągle pod tym samym kątem (a więc po łuku), Dlatego zamiast na swoich, wyszedł na batalion Włoszczowski. Ponieważ zaś nie znał hasła ani nikogo z tamtego zgrupowania, został doprowadzony pod eskortą.

- No tak, kolego, - powiedział Leśnik - ale widzę tu pewne niejasności. Po pierwsze spójrz, przecież z twojej broni dzisiaj strzelano. Czy chcesz powiedzieć, że twoje ćwiczenia były aż tak realistyczne, a my tak twardo spaliśmy i nic nie słyszeli, czy też przeciwnie, już po naszym odejściu strzelałeś, żeby zwrócić naszą uwagę? A druga rzecz to twój wygląd. Gdyby konwojenci włożyli ci na głowę koronę cierniową i kazali dźwigać ten karabin to byłby komplet. A tak, wyglądałeś i nadal wyglądasz jak ostatnia łajza, którą wyświęcają z miasta, a może z oddziału. Kiedy się do ciebie przyznałem, po prostu musiałem świecić oczami ze wstydu. Więc może nie traktuj mnie jak idiotę, dobrze?

Agnus właściwie od początku zastanawiał się czy powiedzieć prawdę, właściwie jeszcze kiedy mówił „uproszczoną” wersję nie był pewien, jak postąpić. Nawet nie dlatego, że podświadomie szukał zrozumienia, ale uważał, że dowódca ma prawo i powinien wiedzieć co się stało. Może tylko osobiste myśli i przeżycia oraz motywy jako bezprzedmiotowe należy pominąć. Powtórzył więc poprzednią wersję dodając, że w zasadzie jest ona prawdziwa, trzeba jednak ją uzupełnić tym, że w międzyczasie wyszedł też na łąkę, ukrył się w rowie i zdjął dwu Niemców z oznaką SS., obsługę karabinu maszynowego, po czym gdy kałmucy zaczęli bezładną strzelaninę, udało mu się wyczołgać.

- Ile ty masz właściwie lat - zapytał nieoczekiwanie Leśnik. - Osiemnaście - odpowiedział Agnus. - Prosiłem, żebyś nie uważał mnie za durnia.- - Siedemnaście - a gdy Leśnik nic nie mówił, nie spuszczał z niego oczu, poprawił się - to znaczy siedemnasty. To prawda, jak Boga kocham, skończyłem szesnaście. - Domyśliłem się, że jesteś smarkaczem. Słuchaj, tego wszystkiego nie powinieneś mi mówić. Czasem człowiek podejmuje jakąś osobistą decyzję, ale nie powinien dzielić odpowiedzialności, przerzucać ją na innych. Zapamiętaj w przyszłości, niektórych rzeczy nigdy się nie mówi, rozstrzygasz tylko we własnym sumieniu i jeżeli uznasz, że tak musi być to je robisz i potem osądzasz się też we własnym sumieniu. - Wiesz co powinienem zrobić, gdybym to wszystko usłyszał? Musiałbym oddać cię pod sąd wojenny, albo zameldować o tym wyższemu oficerowi, a wtedy on musiałby to zrobić. Nie wiem, czy sąd wydałby akurat wyrok śmierci. Ale wiesz, że mamy teraz dużo oficerów bez funkcji, niektórzy z nich byłiby szczęśliwi mogąc się jakoś wykazać.

Jestem ostatnio tak zmęczony, że myślałem o czymś innym i nic nie słyszałem, ani słowo z tego co ostatnio mówiłeś do mnie nie dotarło. Powiedz jeszcze raz jak to było, oddaliłeś się i zasnąłeś, a potem goniłeś oddział? - Wysłuchawszy ponownie Angusa



powiedział: - Rozumiem, że postąpiłeś bardzo nieodpowiedzialnie, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji. Jednak dla dobra nas wszystkich, w mojej kompanii toleruję tylko ludzi pewnych i całkowicie odpowiedzialnych. Stwierdzam, że nie pasujesz do oddziału i najlepiej byłoby, gdybyś odszedł. Może przyjmą cię gdzie indziej, spróbuj, jeżeli masz gdzieś kolegów. Ja daję ci wybór, albo usunięcie z oddziału, albo też wyznaczę wysoką karę, to może być nawet kara chłosty. Decyduj.

Kara chłosty była uważana za hańbiącą i Agnus nie widział dotąd takiego wypadku, chociaż o nich słyszał. Była stosowana w wypadku pijaństwa, w razie poważnego zaniedbania obowiązku, mogącego narazić innych, jak na przykład spanie na posterunku, oraz samowolne zabranie czegoś ludności, nie na tyle poważne, żeby kwalifikowało się jako rabunek - krótko mówiąc w wypadkach, które w większym wymiarze zasługiwałyby na kulę, ale nie były na tyle poważne, żeby uciekać się od razu do ostateczności. Tak czy owak, brzydka sprawa.

Agnus nie namyślał się ani sekundy.

- Chcę zostać. Akceptuję, proszę o każdą karę, byle zostać - mignęła mu myśl, że cokolwiek się zdarzy, było warto. - Dobra, zastanowię się do jutra, ty też nie musisz decydować zaraz. Na razie idź na odpoczynek, nie wolno ci jednak o sprawie z nikim rozmawiać dopóki nie wydam decyzji. Możesz powiedzieć, że to rozkaz dowódcy. Broń na razie zostanie u mnie, dostaniesz ją jutro, jeżeli po mojej decyzji pozostaniesz w oddziale. To wszystko.

Agnus poszedł więc do stodoły, wyjaśnił krótko że jest tymczasowo zawieszony i dopiero jutro dowie się decyzji, a także dopiero potem wolno mu będzie mówić. Trzymał się osobno, wybrał niezajęty kąt i położył w nim. Stodoła była pełna, zeszłorocznej słomy, a częściowo świeżego zboża, a więc wyjątkowo wygodna, chociaż więc sądził, że w tej sytuacji nie zmruży oka, zasnął zaraz na początku rozmyślań i spał wyjątkowo długo, podobnie jak inni. Żołnierze pozostawali na miejscu całe następne przedpołudnie, sądząc, że to ostatni odpoczynek przed końcowym odcinkiem marszu na Warszawę. Jeszcze 3, 4, najdalej 5 dni i wejdą do walki, przynajmniej na przedmieściach lub obrzeżach.

Dowódca kompanii wezwał Angusa dopiero wczesnym popołudniem, tym razem w izbie znajdowali się jeszcze plutonowy i podoficer zajmujący się zaopatrzeniem kompanii i sprawami gospodarczymi. Leśnik kazał raz jeszcze powtórzyć opis zdarzeń i następnie powiedział, że daje Angusowi do wyboru, wydalenie z oddziału, albo 25 gum.

To bardzo wysoka kara, dla przykładu za pijaństwo lub inne wymieniane karano 10 do 15 uderzeń, kary 25 -40 nie stosowano w ogóle wobec żołnierzy, taką karę przeznaczano np. wobec donosicieli - oczywiście nie konfidentów Gestapo, tych trzeba było likwidować zaraz

ze względu na zagrożenie, jakie stwarzali. Mowa o takich wypadkach, gdy np. sąsiad miał złość do sąsiada i donosił na niego do władz okupacyjnych, od niedopełnionego kontyngentu aż do broni zakopanej na jego terenie jeszcze w 1939 r. albo o pomocy Żydom. Takie oskarżenie stwarzało bardzo poważne zagrożenie, nawet nie udowodnione mogło skończyć się więzieniem lub obozem koncentracyjnym, w najlepszym razie ciężkim pobiciem na przesłuchaniu. Nie była to jeszcze może zdrada narodu i nie stanowiła niebezpieczeństwa dla całego społeczeństwa, nie zawsze kwalifikowała się od razu na karę śmierci, ale jako czyn podły karane było zwykle 25 - 40 uderzeń. Przyjmowało się, że 40 gum to jest maksymalna kara jaką człowiek może wytrzymać - i to rezerwowano zwykle dla tzw. hien - rabusiów i szantażystów, którzy zabierali dobytek Żydów, grożąc im Niemcami jeżeli będą próbowali się bronić albo nie zapłacą. Oczywiście, jeżeli nie współpracowali naprawdę z Niemcami, bo wtedy aktualna pozostawała tylko kula.

**[Kapsuła:** Powyższe uwagi nie przedstawiają społeczeństwa polskiego w zbyt dobrym świetle. Już wcześniej wyjaśniano jednak, że w każdym narodzie jest pewien procent odchyleń od normy, w tym wypadku ludzi dobrych i złych. W innych podbitych i okupowanych krajach ludzie nie zachowywali się lepiej, przeciwnie, wypadki kolaboracji z Niemcami, zdrady, lub działania, które właściwie też stanowią zdradę na mniejszą skalę, zdarzały się w Polsce wyraźnie rzadziej. Jednak ponieważ się zdarzały, reagowanie na nie stanowiło konieczność jako forma obrony własnej społeczności. Te funkcje spełniała od początku partyzantka, i podobnie jak wspomniana uprzednio walka z tolerowanym przez Niemców, bezkarnym bandytyzmem, był to jeden z powodów powszechnej sympatii ludności dla partyzantów, gdyż przynosiło to doraźną i natychmiast odczuwalną ulgę. Od sierpnia 1944 zorganizowano służby mające spełniać rolę zandarmerii, o nazwie SOP - służba ochrony powstania, przemianowane następnie na KB - korpus bezpieczeństwa. Niestety w latach późniejszych rządów komunistycznych nazwa ta nabrała znaczenia pejoratywnego, gdy powołane przez nich do najgorszych celów SB stało się jakby przedłużeniem Gestapo).

Tak więc chociaż Agnus był przygotowany, zrobiło mu się nieprzyjemnie, powiedział jednak, jak wczoraj: - Proszę o pozostawienie w oddziale, zgadzam się na każdą karę. - Tak, ale jest pewien problem - dodał Leśnik. - W najbliższym czasie idziemy do walki, być może jeszcze dziś będziemy forsować Pilicę gdzieś koło Nowego Miasta, dostałem rozkaz przysunięcia się do rzeki. W tych okolicznościach wykonanie kary odkładam, gdyż spowodowałaby ona niezdolność do służby i walki. Ale nie ciesz się przedwcześnie, masz to jak w banku, kiedy zrobi się spokój.

- Należy ci się jeszcze nagana za nie wyczyszczone broń. Weź ją teraz i natychmiast porządnie wyczyść, ale potem zostaw jeszcze, chciałbym ją dokładniej obejrzeć. Broń jest twoja i dostaniesz ją z powrotem, ale dopiero wieczorem, a na razie niech zostanie w izbie. Możesz czyścić tam na progu. - W jakiś czas potem, gdy Leśnik wychodził, zatrzymał się przy Angusie i powiedział: - Siedzisz - to siedź lepiej mocno. Dostaliśmy wiadomość, że w jednym z oddziałów kałmuków, które posuwają się za nami, doszło wczoraj do strzelaniny. Zginęło dwóch Niemców, oraz jeden kałmuk i jest sporo rannych. Przypuszczalnym powodem jest, że ci Niemcy niedawno zastrzelili przez pomyłkę kilku Rosjan, udzielając im wsparcia ogniowego. Cały oddział Niemcy wycofali a potem rozbroili i zabrali. Pewnie koniec z nimi. -

- Teraz rozumiesz, co mówiłem o własnej decyzji, własnej odpowiedzialności i sumieniu. Ja mam takie problemy częściej, choć przyznaję, na mniejszą skalę. Chcę ci powiedzieć, że coś podobnego musiało się zdarzyć, nie ty, to byłby ktoś inny. Właściwie żał mi tych s...synów. Gdyby mieli szczyptę rozsądku, to po takim wypadku powinni spróbować porozumieć się z nami. Przyjęli byśmy ich na pewno, choćby ze względu na uzbrojenie. Przecież jak nic moglibyśmy uzbroić cały dodatkowy batalion, a oni jeszcze mieliby dosyć luf. Mamy już trochę Rosjan w naszym zgrupowaniu. A teraz, nie chciałbym być w ich skórze. Czego właściwie się spodziewali? Na wojnie, trzeba szybko myśleć - albo wcale. No cóż, teraz nie ma o czym mówić, bierzmy się za swoje zajęcia - zakończył.

\* \* \*

Nie tyle wyznaczona kara i reprimenda, ale uwaga o prawdopodobnych konsekwencjach jego działania - spowodowaniu tragedii i śmierci tylu ludzi, ciężko zaważyła na stanie Angus'a. Po powrocie do oddziału był najpierw jeszcze oszołomiony i nie całkiem przytomny, ale rozpoczął już wchodzić w stan euforii po przebyciu - wydawało się pomyślnym, jednej z najtrudniejszych chwil życia. Tę euforię przerwało zwałenie się na jego sumienie strasznego poczucia winy i odpowiedzialności. Nie był w stanie rozmawiać o tym nawet ze swoim przyjacielem ani nie odpowiadał na pytania kolegów, niczego nie wyjaśniał, przez resztę dnia trwał jak uderzony obuchem w głowę. Następnego dnia nadal prawie się nie odzywał. Co dziwniejsze, tak skupił się w swych myślach, że właściwie czas ten jakby został wymazany z jego pamięci. Wiedział wprawdzie, że tego dnia oddział uszedł tylko mniejszy kawałek drogi - i że oficer nie zwrócił mu jeszcze broni - ale te szczegóły były jakby nie rzeczywiste i albo zatarły się, albo ich nie zauważał.

\* \* \*

[Kapsuła: Odpowiedzialność za nieprzewidziane konsekwencje swego działania.

Nad wszystkim górowała straszna myśl, że tak na pewno się stało. Wszystko, co wiedział o sposobie postępowania Niemców, o ich normalnych reakcjach nie pozostawiało żadnej wątpliwości. Stał się mimowolnym sprawcą śmierci wielu ludzi. Prawda, ludzi w nieprzyjacielskich mundurach i po przeciwnej stronie frontu, ale część z nich to byli nieszczęśliwi biedacy, których jedyną winą był zły los. Te biedne bestie nie chciały nikogo napadać ani mordować. Wyciągnięci przemocą z domów, nieprzygotowani i źle dowodzeni, postawieni od początku na straconej, niemożliwej pozycji - zdradzeni przez swoje dowództwo i straszny system, który wszystkim rządził, zostali następnie rzućeni na pastwę drugiego nie lepszego potwora, który pastwił się nad nimi systematycznie i programowo, jak jeszcze nikt nigdy w historii. Nie mieli żadnych szans.

Znieśli straszniejsze okrucieństwa niż Żydzi - gdyż byli silniejsi fizycznie i więcej mogli wytrzymać. On sam widział Żydów i jeńców rosyjskich, własnymi oczyma mógł porównać, o ile w ogóle można porównywać tak straszne rzeczy.

Jeżeli u części z tych, sprowadzonych do poziomu cierpiących i umierających zwierząt ludzi, przeważał naturalny instynkt samozachowawczy, strach i męka, jeśli próbowali przeżyć nawet za cenę zdrady (a przecież to oni zostali pierwsi zdradzeni przez swoje władze i swoje nieludzkie państwo) - to jeszcze sam ten fakt nie czynił z nich zbrodniarzy. Nie chciał sprowadzać na nich nieszczęścia, a tak się stało. Zapatrzony w swoje problemy, działając egocentrycznie, to właściwe słowo i głupio, ach jak głupio, nie zauważył w ogóle, co wyrządza innym ludziom.

Czy gdyby dał się potem zastrzelić, tam, na miejscu, to w ten sposób Niemcy przynajmniej dowiedzieliby, co się naprawdę stało? Ale chyba nic by to nie zmieniło, znając Niemców, zastosowaliby takie same represje.

To słowo, represje, pozwoliło mu ocenić trzeźwo sytuację, przestać nurzać się w poczuciu winy. On sam i wszyscy dokoła żyli w piekle. Nie on to piekło zbudował, nie on ponosił za nie odpowiedzialność. Rozumując w ten sposób dochodzi się do viktyologii: winny jest nie zbrodniarz, lecz winy należy szukać w ofiarach. To czyste szaleństwo. Przecież represje to znane pojęcie. Nie mówię tutaj o rozstrzeliwaniu zakładników. To stało się tak powszechne, że prawie nie uważano tego za represję, raczej codzienne wydarzenie.

Na przykład jeden z oddziałów regularnej armii polskiej, resztką pułku kawalerii pod dowództwem majora Hubala przetrwał jesień 1939, zimę 1940 i walczył jeszcze aż do chwili, kiedy klęskę ponosiła armia francuska. Do jej zwycięstwa - o klęsce nie myślano - chcieli Hubalczyki walczyć jako ostatni oddział regularnej Armii Polskiej z 1939 r. Niemcy szereg razy ponosili porażki, a w odwecie spalili i wymordowali ludność kilku wsi, gdzie ten pułk

się zatrzymał. Albo wieś Michniów, gdzie Agnus był, pragnąc dostać się do oddziału Ponurego i z której następnie chory odwieziony został do domu, też wkrótce potem została spalona i wymordowana. Niedaleko swojego zamieszkania w Ostrowcu Agnus widział dom, którego mieszkańcy (podobnie jak w poprzednich wypadkach wraz z kobietami i dziećmi) zostali wszyscy zabici, niektórzy na miejscu, a inni po krótkim uwięzieniu, być może badaniach, ponieważ jedna z mieszkających tam rodzin próbowała ukrywać Żyda. Czy ktoś miałby prawo oskarżać o śmierć tych ofiar Hubala, Ponurego albo chociażby tego ukrywającego się Żyda? Absurd, padli ofiarą zbrodniarzy bo akurat byli w niedobrym miejscu o niewłaściwym czasie.

To tak, jakby ktoś napadnięty i ostrzelany, szczęśliwie ocalał i miał się czuć winny, bo koło niego zginęli inni ludzie. Chociaż faktem jest, że Hubal okropnie przeżył te zdarzenia. Ponury też, mówiono, że jego osobista brawura to było świadome poszukiwanie śmierci. Żyd przynajmniej zginął na miejscu i nie miał tych problemów, lecz gdyby żył dłużej, czy miałby też doświadczać poczucia winy?

Sprawa represji była od dawna dyskutowana w prasie i jasna: Walka z okupantem zawsze pociąga represje, ale to wcale nie oznacza więcej ofiar, Niemcy i tak mordowali przedtem i robiliby to nadal. Przeciwnie, walka pozwala zmniejszyć ilość ofiar, bo zbrodniarze nie mordowali tak łatwo. Najlepszym przykładem była właśnie sprawa Żydów, oni padli ofiarą dlatego, że byli posłuszni i nie stawiali oporu, byli najłatwiejszymi ofiarami (oprócz powstania w Getcie warszawskim, które miało wielkie znaczenie moralne i honorowe, ale nie mogło już zmienić sytuacji ponieważ Żydzi już w większości byli zlikwidowani; może gdyby podobne wypadki nastąpiły wcześniej, hitlerowcy odkładaliby dłużej „ostateczne rozwiązanie” do zgromadzenia dostatecznych sił - tak jak planowali to z Polakami i w końcu nie zdążyli).

Oczywiście, gdyby tam zginął, to by nic nie zmieniło. Niemców prowadzących dochodzenie w ogóle to nie interesowało. Przecież znał ich sposób postępowania i doskonale mógł sobie wyobrazić ich reakcję. Było bezprzedmiotowe, kto był bezpośrednim sprawcą i czy w ogóle istniał, stosowano odpowiedzialność zbiorową. Gdyby nawet znaleziono jego ciało na miejscu tych wypadków, zapewne zostałoby ono po cichu wyrzucone, a fakt pominięty. To się nie liczy, jedyne ważne to że dwaj żołnierze niemieccy i to szczególnie cenni, wyćwiczeni mordercy, zostali zabici wśród zmuszonych do zdrady jeńców. Dwaj diabli między umęczonymi duszami, które mieli też przemienić w diabłów, albo wysłać do piekła.

Niemcom chodziło o odstraszący przykład. W najlepszym wypadku, zabili na początek ze dwudziestu Kałmuków, a pozostałych skierowali do nowych zadań o wysokim

współczynnika śmiertelności. W najgorszym, zabili natychmiast wszystkich. Najbardziej prawdopodobne, że jednostkę rozwiązano; na części wykonano egzekucję, a resztę, po indywidualnych badaniach i wybraniu najbardziej nadających się na donosicieli i prowokatorów, włączono do innych jednostek. Prawdopodobnie z pouczeniem, że na swoim koncie mają wielką plamę i pozostaną żywi tylko, jeżeli sprawdzą się w najbliższych zadaniach.

Rozsądek mówił, że to nie jego wina. Mordercy nie potrzebowali powodów ani wymówek, mordowali nie dlatego, że istniał jakiś powód, ale że taka była ich natura, ich zakodowany instynkt. Po prostu wykorzystywali całą zdolność przerobową. Jedyna możliwa różnica polegała na tym, że gdyby nie byli akurat zajęci tutaj, mordowaliby inne ofiary gdzie indziej.

Wszyscy rosyjscy jeńcy byli przeznaczeni na śmierć i nie było nadziei ani sposobu, żeby ich ocalić. Być może, szybsza śmierć była najlepsza. Przez cały czas trwała negatywna segregacja, w pierwszej kolejności zabijano tych przyzwoitszych. Pierwszy stopień to obóz jeniecki, następny to służba w charakterze zdrajców. Ale i tak następnie, jeżeli dożyli do końca wojny i bez względu na to, czy i jak splamili się, zostali jeszcze okrutniej wykończeni przez NKWD, które powołało specjalny departament o nazwie „śmierć”.

Ponownie negatywna segregacja. Tym razem już tylko najpodlejsze jednostki, zdradzające swoich kolegów i to najbardziej wydajne w dostarczeniu ich katom, służące równie dobrze NKWD jak przedtem Gestapo miały szansę przeżycia. Jeżeli sprawnie pomagali w rzeźni, mieli okazję awansować z owiec na rzeźników. Wydawało się, że porządny człowiek nie miał szans na przeżycie. Ale zadziało też prawo wielkich liczb, wśród milionów, trafiały się wyjątkowo szczęśliwe jednostki. Jednak i na tych, przez dziesiątki lat trwało polowanie po całym świecie, zajmowały się tym wyspecjalizowane ekipy NKWD (KGB).

Cokolwiek mówił rozsądek, to wydarzenie pozostało jako największy ciężar w sumieniu Angusa. Każdy człowiek usiłuje się wybielić, ale mimo usprawiedliwień pozostaje poczucie winy i odpowiedzialności. W tej sytuacji zrobił to, co zapewne robią wszyscy źli ludzie - usiłował zatrzeć te zdarzenie w swojej pamięci, usunąć z mózgu. Naturalnie bez skutku, jednak starał się z całych sił, bez tego zwariowałby.]

\* \* \*

Można na tej podstawie wysnuć wniosek, że Agnus miał nie zrównoważoną i słabą psychikę. Łatwo wpadał w stan euforii i wówczas czuł się lepszy i wyższy od wszystkich dookoła, a potem jeszcze łatwiej w stan głębokiej depresji, poczucia niższości i czarnego

przygnębia, aż do odmawiania sobie jakichkolwiek dobrych cech i prawa do miejsca na ziemi.

Jest to częściowo słuszne. Młodzi chłopcy normalnie nie znają jeszcze siebie i nie potrafią się sami ocenić, ich skala wartości jest zmienna. Najprościej porównać siebie z innymi podobnymi osobnikami, a do tego potrzebne jest życie w grupie rówieśników. Agnus był jedynakiem i żył samotnie, jak wielu jedynaków szukał raczej towarzystwa starszych. Jego skala wartości opierała się na informacjach przeczytanych w książkach i nie przyjmował do wiadomości, że zachodzi wielka rozbieżność między książkami a rzeczywistością. Spełnienie wzorców był często niemożliwe, a to powodowało frustrację.

### **[Kapsuła: Późniejsza analiza i ocena moralna. Okoliczności łagodzące?]**

Opisane zdarzenia w gruncie rzeczy są banalne, łatwo je wyjaśnić. Przeanalizowawszy sytuację, Agnus uznał, że ma słabe szanse na przeżycie, zbliżone do zera. Doszedłszy do granic wytrzymałości fizycznej, wyprowadził wniosek, że znowu zawiódł. Wszystko czym żył od lat się nie udało, jest nierealne, z powodu jego niskiej wartości. Nie nadaje się na partyzanta. Jedyne, co pozostaje to zginąć, lecz chciał zabrać ze sobą kilku Niemców. Dlatego ukrył się i przedostał w środek nieprzyjacielskiego oddziału. Jednak wniosek okazał się przedwczesny.

Od momentu powzięcia decyzji, Agnus uważał się za praktycznie nieżyjącego i pragnął śmiercią usprawiedliwić swoje istnienie. Wynikało to z dotychczasowego doświadczenia, przy pierwszej próbie pójścia do partyzantki przeżył tylko dzięki wyjątkowemu zbiegowi okoliczności i opiece ludzkiej. Teraz sytuacja była trudniejsza i nie oczekiwał cudu po raz drugi. Krótko mówiąc, jego działanie nie wynikło bynajmniej z nadmiaru odwagi, a wręcz przeciwnie, z rozpacz.

Wypadki potoczyły się inaczej, niż przewidywał. Prawdopodobnie zmieniony, nietypowy odgłos strzałów spowodował, że po zastrzeleniu dwóch SS-manów i mimo aż trzech strzałów, ciągle nie został zlokalizowany. W rezultacie w oddziale kałmuków wybuchła chaotyczna, bezładna strzelanina. W powstałym zamieszaniu, nieoczekiwanie zdołał się wycofać i następnie dotrzeć do swoich. Tam, znowu szczęśliwie, trafił na kilka dni oczekiwania i zdołał odzyskać siły, Ciekawe, że nawet w tej sytuacji, akceptując nieuchronny koniec, przeżył atak paniki i hysterii, który wytłumaczył sobie jako atak klaustrofobii w ciasnej rurze, z której mógł już nie wyjść i która omal nie stała się jego grobem. Nigdy potem nie doznał podobnego uczucia ani niczego, co wskazywałoby na klaustrofobię. Może to raczej wskazywać na irracjonalne cechy ludzkiego umysłu, który pozornie pogodzony z ostatecznymi konsekwencjami, wpada w nielogiczny stan dzikiego wstrętu i lęku z powodu

jakiegoś drobnego, właściwie marginalnego zdarzenia lub okoliczności. Równie dobrze jak betonowa rura mógłby to być na przykład wielki pająk lub wstrętny robak. To działanie wyobraźni i tylko z najwyższym wysiłkiem zdołał ją opanować równie irracjonalnie - przez osobistą rozmowę, nawiązanie bezpośredniego połączenia z Bogiem.

Agnus zetknął się w historii filozofii z nazwiskiem Berkeley'a i interesował się jego systemem. W uproszczeniu zakładał on, że rzeczywistość obiektywna nie istnieje, a raczej istnieje tylko w naszym umyśle jako pewnego rodzaju sen lub film dostarczany przez Boga. Jedyny fakt jakiego można być pewnym, to że istnieje się samemu i że istnieje ktoś, kto przekazuje nam kasetę z obrazami i wrażeniami.

Stąd bliska droga do znanego kompleksu piechura - że wszystko, co się dokoła dzieje nie ma znaczenia, to rodzaj widowiska i audycji która nie może dotknąć śniącej osoby. Często towarzyszy temu przekonanie, że w wyjątkowych, ważnych sytuacjach może zaistnieć jakieś sprzężenie zwrotne i nasz własny umysł może wpłynąć na dalszy ciąg wyświetlanego dla nas filmu. W zasadzie wszystko to jest znane i zakatalogowane, przeżycia Angusa nie są niczym wyjątkowym. Mimo cienkiej zewnętrznej powłoki logiki i rozumu, człowiek nie jest zwierzęciem konsekwentnym i rozsądnym, zwłaszcza w kryzysowych sytuacjach.

Chociaż zabił wtedy pierwszy raz, Agnus nigdy w dalszym życiu nie miał żadnych wyrzutów z powodu tych dwóch SS-manów. Uważał zawsze, że to był jeden z najlepszych uczynków jego życia, duży plus dla świata i ludzi, nawet u samego Boga. To, że następnie w spowodowanym zamieszaniu i strzelaninie już bez jego udziału, ktoś jeszcze zginął i byli ranni, to trudno, gdzie drwa rąbią... nie poczuwał się też do winy. Ale myśl, że z jego powodu kilkuset kałmuków zostało przez Niemców może wymordowanych, a w najlepszym razie zdziesiątkowanych, była jak uderzenie obuchem w głowę. Nigdy nie chciał śmierci tych nieszczęśników, Tym bardziej, że zdawał sobie sprawę, przez co przeszli zanim włożyli wrogi mundur i znaleźli się tutaj. Nie był w stanie przewidzieć, że jego rozpaczliwa decyzja może mieć takie następstwa. W książkach o tym nie pisano. Dobrymi chęciami piekło brukowane, ale on sam stworzył kawał piekła ma ziemi. Zapewne z tego powodu, od tej pory stał się zbyt wstrzemięźliwy i niezdecydowany, gdyż nigdy nie można być do końca pewnym wyniku swojej akcji.

Daremnie próbował sobie tłumaczyć, że to nie jego wina, że po prostu znalazł się w takiej piekielnej rzeczywistości, a ci ludzie i tak nie mieliby szansy przeżyć. Nie pomagała perswazja, że Niemcy i tak mordowali taką liczbę ofiar, jaka była technicznie możliwa w danej chwili - i ta sprawa najwyżej zmieniała porządek i kolejność zbrodni. Gdyby w tych dniach nie zabili tych kałmuków, to po prostu skierowaliby do przerobu inny surowiec ludzki.



To wielkie poczucie winy nie opuściło go nigdy, a najgorsze było na początku. Na szczęście rozpoczął się okres, kiedy skrajne zmęczenie uniemożliwiało rozmyślanie i to trwało, aż nauczył się żyć ze swoją udręką.

\* \* \*

„...kości moje mchem porosną i użyźnią ziemi szmat. W pole wyjdź pewnego ranka, na snop żyta ręce złoż i ucałuj jak kochanka, ja żyć będę w kłosach zbóż.”

### **Rozdział XIII. Overkill.**

Prawdopodobnie 11 lub 12 października 1944.

Na polanie, ustawiony po trzech bokach prostokąta dwuszereg słuchał słów dowódcy. W sumie, batalion skurczył się do ok. 300 ludzi, z tego ok. 250 ustawionych było dokoła, kilkunastu w środku, wśród paru osób za dowódcą, dwie nieznane twarze, podobno oficerowie z okręgu. Reszta na ubezpieczeniach, ale ci ostatni zdaniem Angusa nie wiele stracili. Po raz pierwszy i jedyny uczestniczył w pompie pełnego apelu, w partyzantce zjawisko raczej wyjątkowe. Podobno w niektórych oddziałach apele miały miejsce jeszcze przed wymarszem na pomoc Warszawie, względnie na początku II koncentracji, ale Bóg ustrzegł, nie widział dotąd cyrku w pełnej gali. Jednak tym razem rozumiał powody tego przedstawienia, to była tragedia i trzeba było jakoś uchronić ludzi przed rozpaczą, podnieść na duchu, ułatwić im dotrwanie i przetrwanie. Ostatni obowiązek dowódcy wobec swoich żołnierzy.

Jeszcze przed przejściem w rejon lasów Iłżeckich, rozniosły się pogłoski o rozwiązaniu Armii Krajowej. Nikt nie wierzył, nikt nie traktował ich serio, to najgłupsze z absurdalnych plotek. To tak, jakby ktoś próbował głądzić, że jutro nie wstanie słońce.

Nieruchomy, nie czuł nic, głowę miał pustą, Właśnie tutaj, w lesie Iłżeckim. Iłżeckim? Coś tłuło mu się po głowie: „Nie płacz ty moja dziewczyno, że jestem taki skrwawiony, w Iłżeckim lesie pod sosną zostałem ciężko raniony”.

Skąd się to wzięło? Co to jest? Przecież nigdy nie był raniony w Iłżeckim lesie, w ogóle nigdy tu nie był. Ale już napłynęły dalsze słowa:

„A w ostrowieckim szpitalu, niewielu jest tu lekarzy naczelnym lekarzem Brandtowa o jakiejś pomocy marzy”.

Już zaskoczył, pamięć wróciła. To natręctwo myślowe, to wspomnienie z grudnia 1939, szpital w Ostrowcu, dwa tygodnie które spędził wśród rannych żołnierzy. Matka kontuzjowana w głowę przy transporcie leżała na parterze ale szybko wracała do zdrowia i najwyraźniej starała się tego nie pokazywać, wołała jeszcze kilka dni spędzić otoczona opieką. - Panie doktorze, leczę...- mogła to wmówić lekarzowi, ale nie zdołała ukryć przed

rentgenowskim wzrokiem własnego syna. Tak, matka już dawała sobie radę sama, a on zniknął w górnych salach, gdzie leżeli bohaterowie, którzy dostąpili najwyższego zaszczytu przelewania swej krwi i osłaniania piersią Ojczyzny. Jak im zazdrościł i pragnął się przydać choćby do najdrobniejszej pomocy. Kilku z nich uczyniło mu ten zaszczyt i grało z nim w szachy (choć grał kiego, ale na szczęście oni też), a on „naciągał” ich na opowiadania, Tych opowiadań usłyszał mnóstwo, ale nie było w nich tego, czego szukał, blasku, pogłosu chwały. No cóż, to byli głównie żołnierze pułków rezerwowych, drugiego rzutu, mobilizowani dopiero w czasie wojny. Armia odwodowa ‘Prusy’. Zostali zaskoczeni w czasie organizacji przez szybkie kolumny zmotoryzowane. Świeżo zmobilizowani, niedoświadczeni, ranni w pierwszej bitwie, byli bez szans. Ale nie czuł się rozczarowany, wierzył, że za ich krótkimi, prostymi słowami kryje się więcej.

„Baczność uczniowie i czapki z głów żołnierz o sobie nigdy nie powie, bo z karabinu nie strzela słów, ale to wszystko bohaterowie. Ten za was wylał serdeczną krew...”

Mój Boże, jaki prosty i nieskomplikowany był wtedy świat, jaki zrozumiały i naiwny. Nie mówili wiele, ale i tak wszystkiego się domyślał..

Powtarzało się tam jedno nazwisko, nietypowe, pułkownik Muzyka - wymawiane jak Nauzyka-a. Pułkownik Muzyka powiedział, pułkownik Muzyka kazał. Nie wiadomo czy był dobrym dowódcą, ale naprawdę szedł na czele między żołnierzami i wśród nich zginął prowadząc natarcie. To wystarczyło, żeby o nim nigdy nie zapomnieli, biedacy na których świat się zawalił.

Dość mały ale nowoczesny szpital Ubezpieczalni Społecznej w Ostrowcu, przeznaczony na 80, potem ok. 100 łóżek, po rozwinięciu na szpital polowy musiał przyjąć ok. 800 rannych, i to prawie wszystkich ciężko, przy takim tłoku nie przyjmowano nikogo z lekkim postrzałem. Po kilku dniach, udało się rozładować do 600 i odtąd liczba rannych stopniowo się zmniejszała, niektórzy odeszli, innych pochowano.

W grudniu, kiedy on tam był, ilość ta wahała się między 300 a 200, ubyły najcięższe i najlżejsze wypadki, pozostawali ciężko ranni, ale już nie budzący obaw o przeżycie, choć wielu inwalidów nigdy nie mogło wyzdrowieć. Natomiast szpital funkcjonował coraz sprawniej, z początkowego krwawego piekła w którym brakowało wszystkiego, zamienił się w gładko działający mechanizm, począwszy od lekarzy, którzy zadziwiająco podnieśli swoje kwalifikacje i umiejętności, z tej szkoły wyszli znakomici późniejsi chirurdzy, powojenne sławy - do organizacji pomocy rzeczywiście wnoszonej przez społeczeństwo które samorzutnie zapewniło wszystko co konieczne, począwszy od prostych, ale wystarczających

środkach utrzymania do całego niezbędnego zaplecza. Solidarność, poczucie ofiarności było powszechne.

„A teraz nieco o siostrach tego miłego szpitala, która z nich jest najmilsza, serca tajemnie rozpala. Wszyscy my chórem powiemy, że jest to siostra Bajdzianka gdy wróci znów do szpitala, będzie to dla nas niespodzianka.”

Jedna z ochotniczych sióstr pomocniczych zastosowała ofiarnie własne metody leczenia. Podobno miała niezwykle poprawy najcięższych wypadków, przywróciła wielu chęć do życia, ale wyprzedziła swoje czasy i przyjęte przesady. Kiedy sprawa się wydała, wyleciała z hukiem ze szpitala. W wypadku siostry, potraktowano to jak masowe kazirodztwo. Trudno tolerować. Ale została w piosence.

W tym szpitalu, we wspomnieniach rannych, usłyszał już raz prawie te same słowa, które ich dowódcy mówili do nich na końcu, przy rozwiązywaniu pobitych oddziałów. Stąd wzięło się wspomnienia, wrażenie że uczestniczy po raz drugi w czymś, co już raz kiedyś widział czy słyszał.

- Żołnierze, dziękuję wam za wspólną walkę. Dobrze wypełniście swój obowiązek. Chwilowo dalsza walka staje się niemożliwa, przestała mieć sens i mogłaby tylko prowadzić do ogólnej zguby... ale nadejdzie jeszcze ta chwila. Jeszcze Polska...- Słowa nie całkiem identyczne, ale sens podobny.

Dowódca odczytywał ostatni rozkaz komendanta Armii Krajowej. Tak, te wszystkie niemożliwe, nie mieszczące się w głowie plotki były prawdą. To był po prostu pogrzeb, uroczysty pogrzeb Armii Krajowej, ich oddziału, ich pragnień, idei, wiary - a bardzo możliwe że ich samych, bo tam gdzie teraz będą musieli wrócić, mogą się już pogrzebu nie doczekać.

A przecież, w odróżnieniu od skojarzeń z 1939, wcale nie byli pobici. Przeciwnie, teraz właśnie stali się najgroźniejsi, sprawni, zgrani, mogli się bić nadal i to lepiej, niż przedtem, znacznie skuteczniej. (Zresztą rzeczywiście niektóre oddziały nie mogły się rozwiązać bo ludzie nie mieli dokąd pójść i w walce doczekały przejście frontu, ale już nie pod nazwą AK). To nie była prawda, że w warunkach przyfrontowych, w terenie nasyconym zgrupowaniami wojsk i przy przechodzeniu frontu oddziały partyzanckie nie mogą działać i przetrwać, to była tylko oficjalna wersja, wymówka, bo nie można było wprost powiedzieć prawdy.

Prawda była taka, że nawet po pobiciu Niemców i przejściu frontu, czekała ich likwidacja przez oddziały NKWD idące na tyłach wojsk rosyjskich, a może nawet i przez te frontowe oddziały rosyjskie, które nie traktowały ich jak sprzymierzeńców, ale jak zwierzynę łowną. Znany był już los I dywizji AK na Wileńszczyźnie, oddziałów na Lubelszczyźnie i w

ogóle z terenów całej wschodniej połowy Polski, zajętych już przez ZSRR. Nie mieli żadnych szans, żołnierzy AK czekała zguba. Jeśli nie zabiją ich Niemcy, to zginą z rąk Rosjan, a przecież z Rosjanami nie wolno walczyć, należało traktować ich jako sprzymierzeńców. Komenda AK nie mogła prowadzić świadomie wszystkich ludzi wprost na śmierć, a w najlepszym razie do więzień sowieckich i na długotrwałe konanie w obozach dalekiej północy, przeważnie z tym samym skutkiem.

Beznadziejne położenie, najkrócej mówiąc. Znana z niemieckiej propagandy, choć z tego powodu traktowana długo z niedowierzaniem - tragedia katyńska to wcale nie była historia, lecz ten sam scenariusz miał się powtarzać jeszcze i jeszcze, na większą skalę, a dotyczył teraz bezpośrednio ich. Ostatecznie Katyń był szczególnie paskudnym przykładem, symbolem pogwałcenia wszelkich norm cywilizacji - nawet hitlerowcy nie zdobyli się na takie planowe wymordowanie jeńców wojennych - ale nie była to bardzo wielka grupa - tylko około dwudziestu tysięcy ludzi. Natomiast teraz w taki sam sposób zagrożonych było dalszych 300 tysięcy - wszyscy kombatanci polscy walczący czynnie o wolność swojego kraju. A że nie była to bynajmniej przesada, dowodziła ilość ofiar która już dotąd była większa od tych, których wymordowano w Katyniu, tyle że obecnie nie ginęli w jednym lub kilku określonych miejscach.

Jedyna szansa ocalenia, to „ratuj się kto może”. Rozproszenie oddziałów, rozwiązanie organizacji, liczenie na to, że wszystkich nie wyłowią. Oczywiście, to nie znaczyło, że zdołają przeżyć, przeciwnie, wybiegając w przyszłość wielu się to nie udało, zbyt wielu. Kolejno mieli nadal łowić ich Niemcy, potem Rosjanie, a w końcu stworzone i kierowane przez Rosjan tzw. polskie władze bezpieczeństwa. Przez całe dziesięciolecie, choć stopniowo coraz mniej gorliwie. Komendant AK, którego ostatni rozkaz właśnie czytano, już wkrótce miał zginąć na Łubiance, a koledzy Angusa jeszcze po latach umierali w więzieniu kieleckim.

Jeżeli nawet nie był to Katyń, to w końcu śmierć jest ostatecznie wszędzie taka sama. Gdyby nie szczęśliwa ucieczka w maju 1945 roku, również i Agnus przekonałby się o tym, prawdopodobnie w kieleckim więzieniu.

Trudno ocenić, ilu się udało a ilu nie. Przez analogię, w roku 1939 prócz około dwudziestu tysięcy oficerów, Rosjanie wzięli też do niewoli 115 tys. prostych żołnierzy i z nich przeżyło tylko ok. 15 tys. Być może, po roku 1944 cyfry były zbliżone.

Sytuacja była bardzo prosta, choć pozornie paradoksalna. Niemcy i ZSRR, dwa mocarstwa, które pięć lat temu jako sprzymierzeńcy napadli Polskę, to obecnie śmiertelni wrogowie, ale w stosunku do Polaków ich postępowanie nadal było zgodne. Dwaj bandyci pobili się o łup, w tym wypadku nie tylko o Polskę, - taka myśl zakrawałaby ze strony

Polaków na manię wielkości - ale o całą Europę, w której podboju przecież Stalin Hitlera aktywnie wspierał także w 1940 i jeszcze przez część 1941 roku. Nie mówiąc już o tym, że w ogóle umożliwił mu rozpoczęcie I Wojny Światowej, zachęcił, więcej, właściwie popchnął, (przecież w 1939 roku wyśmiewana później dyplomacja Brytyjska jednak doprowadziła przejściowo do skutecznego powstrzymania Hitlera, który dwa razy odkładał wyznaczony już termin rozpoczęcia wojny. Dopiero aktywne wsparcie Stalina, któremu zależało na zniszczeniu dotychczasowej Europy tak samo, jak Hitlerowi, ale wolał zrobić to cudzymi rękami, stworzyło szansę). Obecnie formalnie Rosja była sojusznikiem i Polacy ze wszystkich sił wspierali lojalnie Rosjan w walce przeciw Niemcom, ale ta lojalność była jednostronna: Rosjanie zostawiali wszelką możliwość Niemcom, zniszczenia Polaków, a potem sami likwidowali pozostałe jeszcze szczątki.

Oddziały Armii Krajowej we wschodniej Polsce, formalnie sprzymierzeńcy, były po prostu mordowane lub rozbrajane i zsyłane do obozów na dalekiej północy, skąd nikt wtedy nie wracał. A świeżym przykładem było Powstanie Warszawskie, gdzie Żukow na rozkaz Stalina zatrzymał zwycięską ofensywę i spokojnie czekał całymi miesiącami, aż Niemcy zniszczą zarówno powstańców, jak i partyzantów. Jeszcze i po upadku powstania pozostawił Niemcom mnóstwo czasu na porządne zniszczenie resztek miasta i wyłowienie ukrywających się niedobitków.

Jeżeli jednak ktoś mimo wszystko zdołał przetrwać, to później wyszukiwali go Rosjanie i to w sposób systematyczny i bardziej nawet skuteczny niż mogli to zrobić Niemcy, choć praktyczniej było zostawić najpierw jak najwięcej brudnej roboty Niemcom. Najgorsze było to, że Polacy nie mogli się bronić, nie mogli występować zbrojnie przeciw ZSRR, który przecież był członkiem koalicji antyhitlerowskiej, choć przypadkowo, tylko dlatego, że Hitler uznał w 1941r., że jest już dość silny żeby połączyć swego dotychczasowego wiernego sojusznika. Polacy musieli zważać na opinię publiczną, natomiast ZSRR samo sobie tworzyło własną opinię publiczną, żadna inna się nie liczyła oprócz głoszonej przez oficjalną tubę propagandową.

Nawet bez powodów, i tak Polacy byli oskarżani o wrogie wystąpienia przeciw ZSRR, natomiast żaden głos na świecie nie podniósł się w sprawie zbrodni popełnianych przez ZSRR, Sojusznicy nałożyli cenzurę na wiadomości z Polski, podobnie jak przedtem przy eksterminacji Żydów przez Niemców. Dowództwo AK nie mogło tego powiedzieć wprost, dobierało ostrożne określenia. Jednak nawet rozwiązanie organizacji nie pozwoliło uratować wielu ludzi. Przez dziesiątki lat względnie bezpieczni mogli czuć się tylko ci, którym udało się ukryć przynależność do AK.

Przed oczyma Angusa przesuwają się obrazy z przebytej epopei. Często szczegóły myliły się i zacierały, nie by w stanie ich uporządkować, zapamiętać, biegły zbyt szybko po sobie. Ale z drugiej strony, poszczególne drzewa nie zacierały teraz obrazu lasu, łatwiej dostrzegał ogólny kształt.

Pierwszy okres tworzenia oddziałów wydawał się przebiegać żywiołowo - ale w rzeczywistości była to realizacja od lat przygotowywanych i ciągle uzupełnianych planów powszechnego powstania. Tylko niektóre fragmenty tych planów realizowano, ale to wystarczyło, żeby z kilku oddziałów partyzanckich, powstała wielka jednostka i wkrótce zaczął się szkielec następnej wielkiej jednostki. Pochód na pomoc Warszawie był improwizacją i zastąpił plany powstania w terenie, ale i tak przebiegał sprawnie i pomyślnie jakby siłą rozpędu. Wojsko dotarło bardzo forsownym marszem aż do linii Pilicy i tam się zatrzymało, co dla niego osobiście było ratunkiem w ostatniej chwili, te parę dni pozwoliły mu przyjść do siebie. Niezapomniane, dramatyczne dni oczekiwania, chociaż przeżywał je mniej intensywnie niż inni, po własnych wstrząsających przeżyciach. Okres wahań, niepewności dowództwa - i w końcu rozkaz odwrotu. Po raz jedyny w życiu widział wtedy tłum żołnierzy, którzy nie chcieli słuchać rozkazów, jakby nie dbali, czy przeżyją, czy nie - chcieli iść na przód z oficerami lub bez nich. Oraz oficerów, apelujących do żołnierzy, dosłownie błagających o posłuch, przedkładających racje taktyczne i położenie wojskowe. Ostatecznie szale przeważył sam pułkownik „Lin”, cieszący się pełnym zaufaniem żołnierzy i ich sympatią, gdy osobiście zaczął wyjaśniać powody decyzji rady wojskowej, w której uczestniczył.

Czy decyzja odwrotu była słuszna? Agnus nie uczestniczył sam we wiecu, bo tak chyba można to nazwać, i nie forsował swojego zdania, zupełnie „odbryknięty” poprzednimi zdarzeniami i zgnębiony poczuciem winy za pomyłki jakie popełnił. Ale przez cały czas uważał, że argumenty za odwrotem nie były słuszne. Prawda, linia Pilicy była umocniona przez Niemców rozbudowanym systemem okopów i fortyfikacji, ale nie była obsadzona dostatecznymi siłami i nie ulega wątpliwości, że II Dywizja AK, a właściwie Korpus Świętokrzyski (wraz z kadrą VII dywizji AK) mogłyby się przez nią przedrzeć. Większe zagrożenie stanowiło, że za Pilicą, aż do Warszawy było jeszcze około sto kilometrów odkrytego terenu, odległość, której nie można było szybko przeskoczyć, a na której niemieckie siły pancerne, których obecność meldowano w okolicy Warki, mogły bez trudu zniszczyć pozbawioną ciężkiej broni piechotę.

To podstawowy argument, mówiono, że dlatego trwały narady i przegrzewała się pozostawiona nieco z tyłu, w okolicy Ruskiego Brodu, radiostacja. Dowództwo Korpusu

usiłowało doprosić się o zrzut lotniczy najbardziej podstawowej broni przeciwpancernej (piatów) i zwłaszcza świec dymnych. Jeżeli rzeczywiście tak było, to nasuwa się przypuszczenie, że nie tyle chodziło o niemieckie czołgi, gdyż te były tam rzeczywiście, ale na froncie i prawdopodobnie nie można by ich szybko wyciągnąć. Po prostu siły pancerne były dla żołnierzy bardziej obrazowe i zrozumiałe, natomiast chodziło raczej o lotnictwo.

Dowództwo wzięło zapewne pod uwagę świeże doświadczenia I Dywizji AK, której piechota w marszu na Wilno została zaskoczona w czasie próby przeskoczenia od jednego zamachu otwartej doliny Wilji przez samoloty niemieckie startujące z lotniska w Pohulance. Stacjonowało na nim tylko kilkanaście sprawnych samolotów i wystartowały one, kiedy przednie oddziały były tylko o 30 km od miasta. A jednak samoloty te, lądując co chwilę po nowy zapas amunicji i startując ponownie, zamieniły dalszą drogę w prawdziwe piekło na ziemi, zwłaszcza dla oddziałów partyzanckich nie posiadających żadnej obrony przeciwlotniczej. Przeszli mimo wszystko, dzięki wysokiemu poziomowi morale i poświęceniu żołnierzy, ale dywizja była tak skrwawiona (40% strat), że do Wilna dotarła pozbawiona siły uderzeniowej i nie była w stanie zdobyć miasta. Garnizon niemiecki obronił się następnie również przed atakami wojsk rosyjskich i po długich walkach, wyrwał się ostatecznie z oblężenia i zmyliwszy rosyjski pościg, zniknął w lasach. Zapewne dotarłby w pełni chwały do linii niemieckich, gdzie czekał osobiście Hitler z Eichenlaubami potrzebując pilnie bohaterów, gdyby w drodze nie odnalazły ich, w ostatniej chwili, właśnie oddziały AK. Ostatecznie z 5000 wycofujących się Niemców tylko 1500 dotarło do swoich, ale następnie I Dywizja AK została „zaproszona” dla rzekomej reorganizacji i dozbrojenia na wskazany przez sztab rosyjski teren, otoczona, rozbrojona i internowana, częściowo wymordowana na miejscu, a częściowo wysłana do obozów śmierci. Fakty te nie były jeszcze znane żołnierzom, ale zapewne już dowództwu korpusu.

Powtórzenie tego scenariusza było możliwe. Z drugiej jednak strony, po przejściu tej strefy śmierci, dywizja miała szansę, gdyż nie musiałaby szturmować pasa niemieckich umocnień, ale wyszłaby na prawie odsłonięty i pozbawiony sił niemieckich teren aż do południowych granic miasta, razem z Czerniakowem, Wilanowem i być może nawet Grójcem. To na pewien czas przerwałoby niemiecką ofensywę i znowu oddało inicjatywę w ręce powstańców a także pozwoliłoby przygotować obronę miasta. Jednym słowem powtórzyłaby się sytuacja z 1939r, kiedy samobójczy atak armii Poznań umożliwił długotrwałą obronę Warszawy. Dla takiego wyniku, warto było poświęcić zgrupowanie partyzanckie. Chociaż poznane później fakty znowu odwracają ten obraz. Jeżeli Stalin i tak zdecydował o zgubie polskiego powstania - to co dałaby dalsza walka - prawdopodobnie

jeden miesiąc dłużej, a w tym czasie dalsze 15-20 tys. zabitych żołnierzy i co najmniej 100 tys. strat ludności cywilnej więcej.

W drodze powrotnej, ciągle nie było za późno na realizację przygotowanych uprzednio planów powstania w okręgu. Jednak pierwsze uderzenie, na rozmieszczoną za frontem artylerię niemiecką wprawdzie zakończyło się zniszczeniem 2 baterii ciężkich haubic, podobno o kalibrze 210 mm, ale jednocześnie zaalarmowało armię niemiecką. Dotychczas dowództwo niemieckich wojsk frontowych odmawiało udziału w operacjach przeciw partyzantce, uważając że to należy do obowiązków oddziałów policyjnych i nie powinno obciążać frontu. Teraz sytuacja się radykalnie zmieniła i oddziały frontowe miały w miarę możliwości wspierać oblavy na partyzantów. A możliwości takie w związku z wyciszeniem frontu i ustaniem nacisku sowieckiego były. Toteż od tego momentu plany powstania w okręgu, przewidujące zajęcie Kielc, Starachowic, Pionek, Radomia i innych miast, opanowanie fabryk zbrojeniowych i uzbrojenie dużej liczby ludzi, stały się nierealne.

Podzielone znów oddziały, toczyły ciągle walki, częściej broniąc się ale na zmianę i atakując. Czas, kiedy oddziały niemieckie tylko postępowały za wielką jednostką unikając walki, minął bezpowrotnie. Ale i tak podzielone mniejsze jednostki mające teraz do czynienia ze znaczną przewagą nieprzyjaciela, radziły sobie całkiem dobrze. Trudno nadążyć za ciągłym kalejdoskopem walk, odskoków, pościgów i obław, przedzierania się, ukrywania i manewru. W każdym razie bili się teraz często, jeżeli nie codziennie to co najmniej co kilka dni. Nie tylko bronili się i robili uniki, ale sami atakowali przy każdej okazji. Przynajmniej Angus nie miał teraz czasu, ani siły na kompleksy, rozpamiętywanie swoich win.. I tak trzeba było całego wysiłku i sporo szczęścia, żeby to jakoś wytrzymać, myśleć się nie dało. Pozostały tylko strzępy wspomnień, wszystko się mieszało. Zasnął w każdej chwili, jaka się trafiła, na pewno musiał coś jeść, ale pamiętał tylko kilka spokojniejszych dni, kiedy leczył uszkodzoną nogę w jakiejś chacie i potem jeszcze ze dwa, kiedy zabrano go na wozie, choć właściwie już mógł chodzić. W ten sposób wyładował w nowym oddziale, ale i już przedtem, i aż do teraz nie był sam, właściwie zdołał wytrwać tylko dzięki kolegom.

Po odczytaniu rozkazu, dowódca wraz z towarzyszącymi mu osobami zaczął kolejno obchodzić trzy boki prostokąta, przyjmując meldunki od dowódców pododdziałów i zamieniając po parę słów z ludźmi. W trakcie tego odbywało się wymienianie odznaczeń, awansów i słów uznania. Mimo, że Agnus uważał to na początku za absurdalną ceremonię, nieoczekiwanie poczuł kilkakrotnie gwałtowne ściszenie w gardle.

Może przedstawienie, ale naprawdę dobre przedstawienie, chwyciło za serce. Nagle zaszokowany Agnus usłyszał, że wymieniono i jego, otrzymał pierwszy i jedyny w życiu



awans na starszego strzelca. Rozumiał, że to w gruncie rzeczy pusty gest, ale zaskakujący, gdyż służbę kończył obecnie w innym oddziale, bo po wyleczeniu nogi nie powrócił jeszcze do swojego dawnego batalionu. A przecież na dobrą sprawę, należało mu się jeszcze 25 gum i tego nie kwestionowałby ani przez chwilę, ale nie zdecydował się sam o tym przypominać.

Odpowiedział regulaminowo i głos mu się nie załamał tylko dlatego, że już skończył, kiedy z całej siły ścisnął zęby i powieki, usiłując opanować skurcz policzków i kilka śmiesznych, głupich łez które gwałtem usiłowały się wycisnąć. Czy to mogło znaczyć, że doszedł do celu swego życia, spełnił marzenia, został przyjęty i zaakceptowany do grona tych wspaniałych ludzi, został jednym z nich? I czy w ogóle wart był tego?

Na chwilę spojrzął na siebie z boku, jak na obcą osobę. Duży, dość ciężki, pochylony, może i robił na pierwszy rzut oka odpowiednie wrażenie, ale sam wiedział najlepiej, że brak mu było rzeczywistej siły, wytrzymałości, że po prostu ulepiony był z gorszego i słabszego materiału. Musiał to nadrabiać tak zwaną siłą woli, a mówiąc bez ogródek, chciejstwem, ukrywaniem własnej słabości i maskowaniem się dobrą miną. Owszem, został wreszcie zaakceptowany i to całe szczęście, bo sam na pewno by się załamał już wiele razy, czerpał siłę z innych. Oceniając się dzisiaj, pomyślał że jest jak uczeń który opanował część materiału - choć ma nadal wielkie braki, ma swoje słabe, ale i dobre strony.

Był zdecydowanie niezgrabny i chyba raczej temu, a nie posturze zawdzięczał przydomek „Niedźwiadek”. Sam wybrał pseudonim Karol, a kiedy to nie wyszło, próbował nazwać się Marą i właściwie to powinien być jego pseudonim. Ale wszyscy nazywali go tylko Niedźwiadkiem i nic na to nie mógł poradzić. Co więcej, praktycznie ciągnęło się to za nim i później, nawet po wojnie i dopiero z dużym wysiłkiem, przy zastosowaniu zabiegów dyplomatycznych i osobistej propagandy zdołał zmienić to przydomek na podobne, a które wydawało mu się bardziej sympatyczne. Dobrze się złożyło, bo na pewno nie zasługiwał, żeby dzielić ten poprzedni pseudonim z prawdziwym bohaterem, wtedy nie miał jeszcze o nim pojęcia, ale później musiały się czuć okropnie skrępowany i zażenowany.

Mówiąc o braku zręczności, tym bardziej dziwne jest, a to właśnie była jego jedyna zaleta - że jednak dość dobrze radził sobie pod ogniem. Prawdopodobnie podstawy zachowania wyrobił sobie we wrześniu 1939, leżąc pod karabinami maszynowymi samolotów, choć wówczas też oceniał siebie negatywnie.

Jednak faktem jest, że kiedy w sierpniu 1944, w drodze powrotnej znad Pilicy, wkrótce po wzmiankowanym nocnym uderzeniu na artylerię niemiecką za frontem, w którym Agnus nie brał udziału, nie należąc do szczęśliwców wyznaczonych do tego zadania - znalazł się po raz pierwszy pod silnym bezpośrednim ostrzałem, okazało się, że reaguje bez emocji i

instynktownie prawidłowo. Grad pocisków nie robi na nim większego wrażenia, w każdym razie nie ogranicza zdolności myślenia i podejmowania decyzji. Zdał sobie z tego sprawę dopiero, kiedy leżący obok, bardziej doświadczony żołnierz zaczął doradzać nowicjuszowi, - spróbuj zrobić kilka ruchów, zmień położenie, przesuń się do przodu, najlepiej zrób to czego w tej chwili boisz się najbardziej, a zobaczysz, że obawa ci przejdzie.

Agnus spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem i swobodnie posunął się do przodu, sam zaskoczony, że nie odczuwa tego uczucia, które jeszcze pamiętał z 1939r., kurczenia się całego ciała, oczekiwania na uderzenie na raz w sto punktów i jakby narzuconej z zewnątrz konieczności skupienia całego umysłu na tym jednym. Teraz jego ciało jakby samo wyczuwało, że mieści się w strefie cienia, w osłoniętej niszy i odgłos przelatujących kul był tylko beznamiętą rejestracją zjawiska Miejsce, gdzie się znajdował, było bezpieczne. Stopniowo zaczął coraz lepiej wyczuwać, czy też oceniać rzeźbę terenu, nawet w czasie marszu łapał się czasem na tym, że ocenia fałdy i nierówności pod względem zakrycia z różnych kierunków, a w ogniu po prostu automatycznie rozpoznawał miejsca, których przyzwocie zachowujące się kule z broni płaskotorowej nie powinny osiągnąć.

W wyniku tego wyrobił sobie konkretną umiejętność, we walce nurkował do ziemi i zawsze starał się skrócić dystans. Słyszał przelatujące nad nim kule i pacnięcia dokoła, ale wiedział też że jest względnie bezpieczny i dobrze wybiera fałdy terenu, posuwając się na przód aż do momentu, kiedy mógł rozsądnie założyć, że sam ma wystarczającą szansę na trafienie czegoś, a był niestety, trochę krótkowidzem (jeszcze w domu mama stale wytykała mu, że to od ciągłego czytania). Strzelał mało, dotychczas nigdy nie wypróżnił magazynka, jeżeli oddał pięć strzałów, to potem robił sobie wyrzuty. A przecież od momentu nasilenia walk, stan zaopatrzenia bardzo się poprawił, zarówno w broń jak i w amunicję i postępowanie takie było właściwie anachronizmem. Teraz zdarzało się, że do zbliżającego się wroga otwierano gwałtowny ogień, co prawda zwykle dopiero z bliska. Ale nawet w razie takiej zasadzki ogniowej, Agnus starał się przed nią wysunąć. Jeżeli nawet z początku zwracano mu uwagę, stopniowo przyjęło się, że jest to jego indywidualny sposób walki i przywyknięto do tego i zaakceptowano Angusa i jego zachowanie. Zwłaszcza, że stopniowo wyrobił sobie opinię nienajgorszego strzelca. Leśnik tylko raz wydał mu polecenie, żeby nie oddalać się zbyt daleko od linii i od tego momentu Agnus starał się nie wysuwać więcej niż 100-200 m tak, żeby w razie wycofania można było go zawołać.

Krótko mówiąc to była jego ścisła specjalizacja i zyskał do niej prawo, bo okazał się w tym niezły. Choć z drugiej strony, z upływem czasu stał się zbyt pewny siebie i został dwa razy ranny. Bardzo lekko, właściwie nie było o czym mówić - raz kula przeorała

powierzchniowo łydkę, nie uszkadzając ani kości ani dużych naczyń. Widocznie sam krył się, ale nie zwrócił już dostatecznej uwagi na nogę z tyłu, a może uniósł ją. Agnus nie wiedział sam, kiedy się to stało, bo w gorącym momencie w ogóle tego nie zauważył, dopiero później koledzy zobaczyli, że krwawi. Sanitariusz obejrzał draśnięcie i po chwili dwóch ciężkich chłopów siedziało na Angusie, trzeci trzymał nogę, a sanitariusz dezynfekował po staremu jodyną. Unieruchomienie nie byłoby konieczne, bez tego Agnus zaakceptowałby tę końską kurację, bo od wczesnej młodości, kiedy nosił jeszcze krótkie spodnie i miał stale pozbijane kolana, miał dużo do czynienia z jodyną i sam uznawał, że po jodynie wszystko goi się bezbłędnie i szybko, a opatrunki powodują długie papranie się skaleczeń. Więc warto znieść nieprzyjemną chwilę, tak też było i tym razem.

Gorzej w drugim wypadku, choć sam postrzał był jeszcze lżejszy, kula zdarła zelówkę buta - i to właśnie tego nie do zdarcia, jeszcze z 1941 z amerykańskich darów - i zahaczyła lekko podeszwę stopy, Ale przy chodzeniu wywiązała się infekcja i to była fatalna sprawa, został pozostawiony na kilka dni w chałupie wiejskiej i tam w desperacji sam się „operował”, rozcinając zdezynfekowaną żyłką i potem przemywając mocnym bimbrem stopę. Ropa wytrysnęła jak z szybu i odtąd stan się szybko poprawiał, w parę dni potem trafił na wóz innego batalionu (jego batalion utracił swoje wozy przy wycofaniu) i spędził tam około tygodnia, a teraz już zapomniał o ranie, ale jeszcze nie dotarł do swojego oddziału.

Na tym jednak kończyły się dodatnie cenzurki, jeśli można uznać je za dodatnie, a zostawały same minusy. Przede wszystkim wysiłek fizyczny, który od powrotu znad Pilicy stawał się coraz bardziej forsowny, znosił znacznie gorzej od innych. Krótko mówiąc czasem osiągał granice swoich możliwości i wtedy spisywał się marnie. Mimo pozorów w wyglądzie, był wyraźnie słabszy i na przykład w razie nieporozumienia towarzyskiego, nie miałby chyba szansy z nikim z kolegów. To raczej była tylko myślowa abstrakcja, ale zdawał sobie sprawę, że nie nadawał się po prostu do walki wręcz i całe szczęście, że do tego nie doszło. Z drugiej strony, starał się z obowiązku przyswoić sobie chociaż pewne podstawy. Z powtórzenia kolegów, usłyszał o wskazówkach legendarnego ideału i wzoru, Ponurego. Podobno w taki sposób miał on rozmawiać ze swoimi żołnierzami:

- Czy ktoś z was boksował się, uczył zapasów, albo jujitsu lub coś podobnego? - Niewielu było takich. - To nawet lepiej, nie będziecie mieli złych przyzwyczajęń. W tych sportach dla gentlemanów zabroniono wszystkiego, co naprawdę skuteczne, żeby broń Boże nie zrobić komuś krzywdy. Wy jesteście w zupełnie innym położeniu, partyzant musi przywyknąć, że ma z reguły do czynienia z przewagą liczebną. Musicie pozbyć się przeciwnika w jednej chwili, najlepiej jednym ruchem. Jeżeli nie zabijecie lub chociaż

tymczasowo nie unieszkodliwicie go, to już potem będzie wszystko jedno, czy to wy, czy was będą bili, bo rzuci się na was kilku albo kilkunastu i to będzie koniec.

Kierując się tymi zasadami, Agnus przyjął, że nie będzie nigdy wdawać się w bijatykę, ale wykorzystując swoją masę i wagę po prostu przyjmie ewentualne ciosy i będzie dążył do pełnego zwarcia, a wtedy zastosuje jeden z kilku skutecznych, prawdopodobnie śmiertelnych sposobów, których się nauczył. Oceniał, że nawet jeżeli oberwie na początku, powinno udać mu się skrócić dystans i wejść w przeciwnika.

Podobnie miał tylko teoretyczne pojęcie o użyciu noża. Wiedział akurat tyle, że należy go w razie konieczności użyć najkrótszą drogą i bez zbędnego wymądrzania się, a po zaznajomieniu się z zasadami postanowił też, że w razie czego najpewniej będzie samemu przyjąć pchnięcie, możliwie w miejsce mniej fatalne i jednocześnie samemu zadać.

Tak czy owak uważał, że w walce z bliska rozpowszechnienie broni krótkiej właściwie zastępuje wszystkie inne dotychczasowe formy, co wkrótce okazało się błędne. Nie poczynił jednak postępów w umiejętności użycia pistoletu, nie było na to ani czasu, ani warunków. W dalszym ciągu potrafił tylko stosunkowo szybko sięgnąć po pistolet i to było właściwie wszystko, strzelania nie mógł ćwiczyć, a także miał nadal ten sam zawodny pistolet, tyle, że trochę poprawiony, obecnie mógł liczyć na udanych 60 % wystrzałów (a 40% zawodności).

W sumie więc ocenił, że na pewno nie zasługiwał na awans i w większości punktów, stanowił raczej karykaturę tego, co w swoich wyobrazeniach uważał za prawdziwego partyzanta. Z drugiej strony, zrobił co mógł i tyle, na ile było go stać. Quantum in me fuit. Gdyby miał więcej czasu, rezultat byłby lepszy. Otrzymał nagrodę pocieszenia.

- Chociaż jeszcze - pomyślał sobie - może znalazłyby się jakieś małe plusy. Okazało się na przykład, że widzę dobrze w ciemności.- Rzeczywiście, ostatnio przy poruszaniu się po ciemku, a zwłaszcza w trudnym terenie chodził z przodu, a czasem, co było jego własnym pomysłem, zawiązywał sobie na karku coś białego. - Mam też w lesie naturalne poczucie kierunku, no może nie zawsze - tu przypomniał sobie swoją pogoń za oddziałem przy końcu drogi nad Pilicę - ale wtedy nie byłem przecież sobą i tylko cienka nić łączyła mnie z rzeczywistością, ze światem zewnętrznym.-

\* \* \*

Reszta dnia ciągnęła się nieznośnie. W jednym z szalasów znajdowało się kilku oficerów, w tym obaj przybyli z komendy okręgu i tam kolejno zgłaszali się żołnierze w wyznaczonej kolejności, zwykle po trzech, chociaż bywało, że pojedynczo, a niekiedy także parami. Jednak po wyjściu byli mało rozmowni i tylko machali rękami. Twierdzili, że nie

było tam żadnych tajemnic, - sami się wkrótce przekonacie, głównie udzielają tam dobrych rad jak się zachować i co robić dalej, ale to rady takie, że o dupę je rozbić, brakuje tylko, żeby pogładzili po głowie na do widzenia.

Uparcie krążyły pogłoski, że niektórym - ale tylko niektórym, diabli wiedzą dlaczego uprzywilejowanym - proponuje się jednak przejście do innych oddziałów, które na razie mają być zachowane. Nastrój robił się aż gęsty, ponury a przy tym bardzo nerwowy. Większość snuła się po terenie obozu i najbliższym otoczeniu, niektórzy rozmawiali z cicha po kilku, czasami nawet szeptali na ucho, z czym dotąd Angus się nie spotkał. Nikt jakoś nie zbierał się do odejścia, nawet z tych już odprawionych.

Angus raczej nie miał ochoty na rozmowy, ani na żadne wiadomości, chciał być sam i odszedł na bok, ale z drugiej strony nie mógł pozbyć się, gdy ktoś najwyraźniej potrzebował i szukał rozmowy. Trafił kolejno dwóch takich. Dla obu wojna już się skończyła i myśleli tylko o tym, jak będzie i co oni będą robić po wojnie, nawet nie chcieli zastanawiać się nad międzyczasem do tego „po”. Wyobrażali sobie najprościej, że wrócą podobne stosunki jak przed wojną, na początek naturalnie czasy będą biedniejsze i trudniejsza, ale w zasadzie takie same. To, że Niemcy przegrywają i wojna się kończy było dla wszystkich widoczne, to że znów będzie Polska oczywiste, przecież po tym co zrobili i przeszli nie mogło być inaczej i także ZSRR nie mogło temu zagrozić. Nasi sojusznicy nigdy by na to nie pozwolili.

Być może, straci się coś na wschodzie, to niesprawiedliwe ale tak już jest na świecie - no to dostaniemy za to coś na zachodzie. To są odległe sprawy, dla polityków i niech oni się o to martwią. Najważniejsze teraz, ułożyć sobie co robić po wojnie - chłopski syn, podobnie jak i następny, mimo wszystko nie chciał wracać do wsi, na gospodarstwo, ale wcale nie dlatego żeby trafić do miasta, albo szukać lżejszego chleba. Marzyło mu się zostanie leśniczym, no choćby nawet tylko gajowym, zawsze lubił las, a teraz poznał go z bliska i chciał w nim zostać. Agnus zaczął namawiać go na rozpoczęcie studiów na leśnictwie, co tamtemu wydawało się zupełnie nierealne, a sama myśl o uniwersytecie absurdem.

- Człowieku, zrobiłeś już trudniejsze rzeczy, co to dla ciebie. Boisz się uniwersytetu, ty, który nie zląkłeś się niemieckiej armii? Jeżeli nawet będziesz musiał trochę biedować i ciężko pracować - to i tak niebo w porównaniu do tego, jak żyjemy teraz, jeżeli to wytrzymałeś to dasz sobie radę wszędzie. Po pierwszej wojnie też wielu ludzi już dojrzałych uzupełniało naukę, nawet oficerowie chodzili do gimnazjum i to nie żaden wstyd, przeciwnie, powód do dumy i okazja jakiej nie miałbyś w normalnych czasach. Nie bądź głupi, nie namyślaj się. Parę lat, a potem masz to, co chcesz w kieszeni, - odszedł zamyślony.

Drugi, już podoficer i to wysoko ceniony w oddziale, trochę tutaj jakby opiekun Angusa, poznali się przypadkowo jeszcze w Ostrowcu, chociaż on mieszkał w Bodzentynie i już wtedy miał za sobą długi staż partyzancki i konspiracyjny a Agnus był po prostu zwykłym gówniarzem, też chciał rozmowy, ale raczej słuchając swego głosu. Dość wysoki i bardzo barczysty, o dużej głowie i żelaznym organizmie, był właśnie głównym źródłem wiadomości Angusa o Ponurym, w którego oddziale służył od samego początku i na którym we wszystkim starał się wzorować, a był w zbliżonym typie fizycznym, choć większy.

Ciekawe, że chociaż teraz nie było już żadnej wątpliwości, nie chciał zupełnie uwierzyć w śmierć Ponurego, o której dokładne wiadomości do II dywizji przynieśli rozbitkowie z puszczy Nalibockiej, którzy dotarli pod Warszawę, a potem paru z nich przez Kampinos trafiło aż tutaj. On nadal wierzył że taki człowiek nie mógł zginąć. Bez względu na wszelkie potwierdzenia, znajdzie się jeszcze i to w najbardziej niespodziewanych okolicznościach. - Ukończyłem rok podchorążówki i mam nadzieję, że przebrnę przez całą, to nie moja wina, że nie było czasu i możliwości skończyć jej już teraz. Chciałbym po wojnie zostać we wojsku na zawodowego, podobno nadają się i może da Bóg, że trafi mi się jeszcze służyć u Ponurego. - Na to, oczywiście trudno było coś odpowiedzieć.

To też z pewną ulgą Agnus przyjął, gdy napatoczyło się kilku chłopców, którzy koniecznie chcieli namówić „Przybysza” na pokazanie rzutu granatem. O jego umiejętnościach opowiadano legendy, a teraz była ostatnia okazja dowiedzenia się, jaka jest prawda: - Słuchaj, od dłuższego czasu trzymamy się ciebie, żeby zobaczyć, co potrafisz, a jakoś okazja się nie trafiała i teraz już koniec. Chcielibyśmy móc się czegoś nauczyć, w końcu to jest chyba warte jednego granatu, przecież teraz zostaną nam niepotrzebne. Możemy nawet pójść poprosić o pozwolenie, tylko daj się namówić.-

- Chyba jesteście chorzy, mowy nie ma. Już nie chodzi o marnowanie granatu. Co, wam niepotrzebny? To nie znaczy, że się jeszcze nie przyda. To jak, może teraz zechce się wam jeszcze postrzelać w powietrze, albo w ogóle zachowywać się jak kałmucy. Widzę, że przestaliście się już czuć polskim wojskiem, szybko wam to przyszło - obruszył się Przybysz. Ostro powiedziane, w innych okolicznościach wprost ostatnie słowo do bicia. Ale nie w partyzantce, gdzie bójkę nie mogą być tolerowane, i zwłaszcza nie kiedy mówił ktoś tak szanowany przez kolegów.

Ostatecznie Przybysz zgodził się zaprezentować rzut, ale w żadnym wypadku nie prawdziwym granatem. Poleciał, żeby każdy poszukał i przyniósł kilka kamieni o wadze zbliżonej do „cytrynki” albo inaczej „jajka”, bo uważał, że niemieckim trzonkowym granatem potrafi rzucić każdy, a poza tym to i tak zabawka dla dzieci, trzask ale mało skutku.

Agnus, jak można już łatwo domyślić się z dotychczasowego opisu osoby, rzucał bardzo marnie - kamieniami także. Nawet już nie starał się poprawić, zakładając, że i tak nigdy dobrze nie potrafi, a tylko zmarnuje czas na daremnych usiłowaniach. Po prostu był niezgrabny, a było wiele rzeczy, które mu się nie udawały - lepiej skoncentrować się na tym, co wychodzi, np. strzelanie. Ale teraz zobaczył coś, w co doprawdy trudno uwierzyć.

Przybysz najpierw, wążąc w jednej ręce prawdziwą „cytrynkę” a w drugiej kolejno przyniesione kamienie, wybrał bardzo starannie dwa z nich, potem poprowadził ich kawałek, nie na polanę, ale do starodrzewu, gdzie dość daleko od siebie stały wielkie pnie. Wybrawszy miejsce, wskazał na jeden z pni, który według oceny Angusa znajdował się w odległości podwójnej, a może nawet potrójnej od najdalszego możliwego rzutu (nie mówiąc już w ogóle o celowaniu). Przybysz podał jednemu z obecnych swój zegarek prosząc, żeby od podanego momentu obliczył dokładnie siedem sekund i oznajmił to głośno, powiedział już - i po paru sekundach kamień wyleciał nieprawdopodobnie wysoko i szybko, jak wystrzelony. Uderzył we wskazane drzewo na wysokości głowy dokładnie w momencie, gdy rozległo się „siedem”. Drugi kamień Przybysz rzucił z pozycji leżącej i do bliższego drzewa, cztery sekundy w ręku i trzy w powietrzu.

- Najlepiej, jeżeli wybuchnie trochę przed celem, ze dwa metry nad ziemią, ale tego oczywiście nie można zagwarantować, bo zapalniki nie są idealne. Czasem zawiedzie zapalnik, ale człowiek nie powinien. - Więcej nie rzucał, być może powtarzając wzmiankowany żart Ponurego stwierdził, że nie może teraz narażać reputacji, skoro niespodziewanie mu się tak dobrze udało.

- Człowieku, ty wcale nie powinieneś zostać zawodowym wojskowym, ale sportowcem. Na pewno zdobyłbyś złoty medal, a może i inne rodzaje rzutów też by ci tak wychodziły, pojechałbyś na Olimpiadę!-

- Dobra, dobra, ale trzeba z czegoś żyć, wiem, do czego się nadaję. Pewnie, w wolnej chwili chętnie się trochę zabawię, ale cyrkowcem na pokaz nie zostanę.-

\* \* \*

Następnego dnia przed południem przyszła wreszcie kolej na Angusa. W składzie normalnej trójki przekroczył wreszcie próg szalasu i stanął, a raczej zasiadł przed areopagiem, bo nieoczekiwanie poproszono ich do stołu. Rozpoczęła się trochę dziwna, naduprzejmą rozmowa, pełna ogólników, o planach osobistych, życiu i jego warunkach, pracy i sąsiedztwie, ale bez żadnych konkretów, miejsc, nazwisk i w ogóle wymieniania osób. Po pewnym czasie oficer, zastępca dowódcy poprosił Angusa o złożenie przyrzeczenia zachowania tajemnicy, jeszcze dziwniejsze, zważając, że był on przecież i tak związany

przysięgą AK. - Tak, wprowadzie organizacja została rozwiązana, ale tamta przysięga nadal obowiązuje. Tym razem chodzi jeszcze o coś innego, to czego kolego się zaraz dowiecie, ma wam ułatwić przetrwanie, ale w razie naruszenia sekretu może być przeciwnie, może to ściągnąć nieszczęście i śmierć na wielu ludzi. Dlatego, żeby to wszystkim przypomnieć i uświadomić, prosimy was raz jeszcze o przyrzeczenie, chociaż i tak obejmuje to wasza przysięga. Jedno nieostrożne słowo może spowodować, że wielu wartościowych ludzi stanie się zwierzyną łowną i straci życie zamiast je zachować a nasza akcja pomocy stanie się akcją zguby, dlatego proszę was o zachowanie absolutnej tajemnicy. Nikomu i nigdy nie możecie tego powiedzieć. Jeżeli tego nie dotrzymacie, wasze sumienie was osądzi.

Zaskoczony i niepewny, o co może chodzić Agnus złożył przyrzeczenie i zauważył, że jego koledzy którzy prowadzili oddzielne rozmowy, choć przy tym samym stole, też to robią.

- Rozumiem, że nie macie gdzie się udać i po prostu wracacie do domu, do swojej rodziny, tam spróbujecie cicho przycupnąć i doczekać końca. Nie będziemy teraz w stanie wam pomóc ani w żaden sposób się zaopiekować, po prostu porzucamy ludzi którzy powierzyli nam swój los i na to nie ma rady. Możemy zrobić tylko jedno, przy rozstaniu każdy otrzyma jedną sztukę złota. To nie jest absolutnie żadna zapłata, ale po prostu jedyna forma pomocy, jakiej możemy obecnie udzielić, ma wam ułatwić przetrwanie do końca wojny i ewentualnie w razie zaistnienia niespodziewanej trudnej sytuacji. Pamiętajcie, że AK nigdy nie miała nic wspólnego z tym złotem, monetę otrzymaliście jako prezent przy chrzcie, wszystkie są z datą z początku XX wieku, a dla starszych znajdują się nawet z końca XIX. Jeżeli sądzicie, że mogą być kłopoty ze sprzedażą, to możecie teraz dostać odpowiednią sumę w obiegowych banknotach, ale nie wiadomo jak długo zachowają one jeszcze wartość. Jednak nigdy, przenigdy nie wolno wam w razie niebezpieczeństwa próbować okupić się bezpośrednio samą monetą, ani przyznać, że ją posiadacie. Schowajcie ją teraz dobrze na ciele albo w ubraniu, a kiedy już dotrzecie do domu, nie noście więcej przy sobie i nie pokazujcie nikomu. Jeżeli będzie trzeba, sprzedajcie dyskretnie i to najlepiej przez matkę albo kogoś z rodziny. A przede wszystkim pamiętajcie, że gdyby wiadomość o tym się rozeszła, to tak, jakby zamiast pomocy ktoś wyznaczył cenę na wasze głowy, nagrodę za upolowanie was. Nawet na torturach nie możecie wspomnieć słowa - kłamcie, zmyślajcie. Naszej rozmowy nigdy nie było, nigdy nic się nie zdarzyło i niczego nie pamiętacie. Nawet komentarze między sobą są niedopuszczalne. Teraz załatwmy tą sprawę i potem koniec z tym, na zawsze. Jeden z żołnierzy nie odezwał się, tylko kiwnął głową. Drugi zaprotestował: - zawsze dotąd to ja dawałem na organizację, nie mówię że dużo, tyle ile mogłem i ile było mnie stać. Niech już tak zostanie, nie chcę, żeby było odwrotnie. - Agnus odezwał się ostatni, bo z trudem



znajdował słowa i krztusił się nimi, nie chciały przechodzić mu przez gardło: - nie wiem, co ja takiego zrobiłem, jaki dałem powód albo zrobiłem wrażenie, ale nigdy, przenigdy nie chciałem, żeby mi płacono. Przeszedłem tutaj, żeby...Dla...- zająknął się,-NIE!

Oficer też się zdenerwował. - Chwileczkę, nawet gdybyście przyszli tutaj i pobierali wynagrodzenie, to by nikomu nie ujmowało godności czy honoru, jeżeli tylko wypełnia swoją powinność. Wielu wspaniałych ludzi, poświęcających się całkowicie dla Polski, pobiera wynagrodzenie dlatego, że musi z czegoś żyć, a bez tego nie mogliby zaangażować się całym czasem, w pełni wydajnie. Więc nie sądźcie innych i nie wywyższajcie się. To prawda, że wy nie żądaliście nic dla siebie, dawaliście swoje życie i krew i nikt wam za to nie płaci, ani to nie ma ceny. Ale czy wy właściwie rozumiecie, gdzie jest ta Polska, dla której przyszłście walczyć? Przecież ona fizycznie nie istnieje, nie ma ani kawałka ziemi oprócz tego gdzie wy stoicie, ta Polska jest obecnie tylko w nas samych. Czy śpiewając hymn, rozumiecie właściwie, co śpiewacie - „póki my żyjemy”? To o was chodzi, wy jesteście tym najcenniejszym, co ma nasza sprawa i teraz wszystkim, co jeszcze zostało i dlatego próbujemy zrobić co można, żebyście mieli szansę doczekać. Tak, to są pieniądze organizacyjne i właśnie przeznaczone na najważniejszą sprawę, jaka w ogóle teraz istnieje, bez porównania ważniejsza niż zakup broni czy amunicji, ważniejsza od wszystkiego innego. Przecież nie proponuję wam, żebyście wzięli zapłatę za to co robiliście i przepili ją albo poszli na dziwki, tylko żebyście wzięli teraz ten krążek metalu i użyli go w potrzebie jako koło ratunkowe dla siebie, albo i dla kogo innego jeżeli taka sytuacja się trafi. A jeżeli nie będzie potrzeby a macie takie drażliwe sumienie, to możecie po wojnie oddać to wolnej Polsce, albo sami użyć dla Jej dobra. Popatrzcie, ten człowiek przyszedł tutaj przynosząc ten pas ze złotymi monetami i nie miał lekko, nie tylko z powodu wagi ale żeby dojść cało, przedtem inni przynosili to przez tysiące niebezpieczeństw, w razie czego nie mieliby cienia szansy, przedtem inni lecieli z tym tysiące kilometrów przez ogień po to, żeby właśnie trafiło to tutaj, gdzie może przynieść najwięcej dobra, a to znaczy teraz trafić do was i innych. Pomyślcie, że to Ojczyzna powierza wam do wiernych rąk - i nic innego nie można z tym teraz zrobić, wy macie z tego zrobić najlepszy użytek albo kiedyś przekazać jej z powrotem. I co, na to chcecie powiedzieć - nie? Przemyślcie to jeszcze raz, bo jeśli tego nie zrozumieliście, - to będę myślał, że jesteście po prostu głupie, napuszone i zarozumiałe sukinsyny! Słyszeliście kiedy takie określenie - „bardziej katolicki od papieża”? - Dopiero później, przy wyjściu, ten milczący odezwał się do kolegów - ale ma gadane, co? Nieźle wam wygarnął, - i dopiero wtedy Angus uświadomił sobie, że właściwie te słowa padły bez wewnętrznego ognia i gniewu, zbyt dobrze były ułożone - jakby już wielokrotnie powtarzane.

Następnie wysłuchali jeszcze rzeczowych, technicznych informacji wyjaśnianych przez nieznanego człowieka z komendy okręgu, poczynawszy od rozpoznawania dźwięku złota monety położonej na podkładce z wełny, aż do wagi, wartości i przyjętych zwyczajów przy obrocie, także o najczęstszych sposobach używanych przez oszustów, jak szukać okazji i kontaktów na czarnym rynku i jak się wycofać, jeżeli coś wydaje się podejrzanе. Za szybko, sucho i beznamiętnie, to była tylko informacja, która ewentualnie może być potrzebna, bez żadnego osobistego zaangażowania.

Potem jeszcze krótkie wskazówki o nowych sytuacjach w terenie, sposobie zachowywania się - nie angażować się już w nic więcej, nie zwracać na siebie uwagi, siedzieć cicho i ograniczyć wszystkie kontakty do minimum, zwłaszcza nie rozmawiać i najlepiej przez pewien czas nie oddychać, albo bardzo rzadko. Na koniec życzenia szczęścia, którego dużo teraz potrzeba i pożegnanie, już nie od oficerów lub przełożonych, ale teraz tylko kolegów, którzy chcą im podziękować.

Ostatnia rzecz, którą Agnus jeszcze załatwiał, to zdanie swego ukochanego karabinu. Mógł go zabrać, ale był zbyt ciężki do ukrywania i dosłownie też, więc zachował tylko pistolet.

Tego dnia załatwiono wszystkich i formalnie oddział przestał istnieć, ale jakoś niewielu wyruszyło w drogę, wszyscy się ociągali i znaczna większość została do następnego dnia. Nie było żadnego alkoholu na pożegnanie i to tylko zostało z dawnych zwyczajów. Natomiast prawdziwym wstrząsem dla Angusa był widok, już przy świetle ogniska, grupki graczy w pokera. Nie na pieniądze ale o papierosy, ale wiadomo, papierosy wymieniało się na naboje. Obecnie wartość się zdewaluowała, jeden papieros - jeden nabój.

Nagle Agnus wzdrygnął się, bo przez chwilę wydało mu się, że za grupką pokerzystów zobaczył ojca i samego siebie grających w preferansa. Oni też robili to, żeby nie myśleć. Wrażenie było niesamowite.

- Tfu, do diabła, czyżbym stawał się przesądny albo co. Wszędzie widzę jakieś obrazy z przeszłości, jak się to nazywa, de ja vu, albo jakoś tak. A może przypomniał mi się ten perski zabobon o zobaczeniu, napotkaniu nagle samego siebie, podobno najstraszniejsza rzecz jaka się może człowiekowi przydarzyć. Za dużo bzdur czytałem i teraz odnoszę je ciągle do prawdziwego życia, gdzie wcale nie pasują. Trzeba iść spać póki można, jutro wstaję najwcześniejszym rankiem jak tylko dam radę i prosto do domu - powiedział sobie.

Następnego dnia obudził się rzeczywiście najwcześniejszym rankiem, pod burzą ognia.

\* \* \*

Grad kul z broni maszynowej sypał się na obóz z zupełnie ciemnej jeszcze strony północno - zachodniej w stronę wschodnią, lekko dopiero się rozjaśniającą. Kule szły dość wysoko, przeważnie po drzewach, z góry sypał się drugi grad szyszek, gałęzi i po prostu igieł, ale odróżniało się też pacnięcia kul o ziemię. Obudzeni ludzie chwyтали broń, wyskakiwali z szałasów i pędzili w stronę, skąd dochodził ogień, naprawdę jak do pożaru.

Pełne zaskoczenie. Nie było żadnego uprzedniego ostrzeżenia, najmniejszej zapowiedzi. Nie było dowódcy, który odjechał wczoraj z przedstawicielami Komendy, bo zresztą nie było już i oddziału. Nie było też żadnych rozkazów, a zresztą i tak nie było czasu na rozpoznanie sytuacji, zorientowanie się w położeniu i podjęcie jakiegoś rozsądnego planu. Zadziałał po prostu instynkt, odruch warunkowy, wpojone lub wszczepione w czasie wspólnej walki automatyczne mechanizmy zachowania.

Oddziały partyzanckie były z reguły słabsze liczebnie, a przede wszystkim dużo gorzej uzbrojone i zaopatrzone, szczególnie w amunicję. Niemcy mogli wystrzeliwać setki i tysiące pocisków wszelkiego rodzaju na jeden partyzancki, Oczywiście mowa o broni ręcznej, bo jeżeli dysponowali czymś więcej, to było naprawdę wyjątkowe zdarzenie. Gdy Niemcy wystrzelali całą amunicję, po prostu żądali i otrzymywali nową. Gdyby partyzanci wystrzelali wszystko, zostaliby bezbronni, w najgorszym wypadku nie mieliby nawet czym się zabić.

Był tylko jeden sposób na - oczywiście nie wyrównanie szans - ale pewne zmniejszenie tej różnicy. Przez skrócenie dystansu, maksymalne zbliżenie.

Dlatego właśnie pierwsi, jeszcze niezbyt przytomni ze snu ludzie odruchowo rzucili się w stronę, skąd padały strzały i pociągnęli w ślad za sobą innych. Partyzanci oczywiście nie mieli armat i także dosyć rzadko spotykali się z ostrzałem artyleryjskim, ale stara napoleońska zasada, że wojsko ma nie myśleć, ale automatycznie kierować się na głos armat, nadal zachował aktualność, choć w nieco zmienionej postaci.

Jeszcze około roku temu, w 1943 w wolnej prasie miała miejsce dyskusja o sposobach prowadzenia walki, i to zarówno w oddziałach partyzanckich, jak też i aktywnie walczących zespołach konspiracyjnych. Przyjęty sposób był wprawdzie skuteczny, ale miał wadę, wysoką śmiertelność. Niektórzy więc twierdzili, że jest to kosztowne dla narodu jako całości, zwłaszcza że dotyczy najlepszych, najbardziej zdolnych do sampoświęcenia jednostek. Negatywna segregacja.

Przeważało jednak zdanie, że przy innym modelu zachowania straty byłyby większe a nie mniejsze, a ponadto że walczący są wszyscy ochotnikami i nie przyszli do oddziału, żeby spokojnie przeżyć wojnę. Gdyby chodziło o taki cel, to oczywiście powinni wybrać inne opcje. Głównym zadaniem musiało więc nadal pozostać: walczyć jak najskuteczniej, zabić

możliwie wielu wrogów a bronić swoich. Oczywiście, jeżeli możliwe to lepiej zostać przy życiu, ale to trzeba uznać za zadanie drugoplanowe.

A Ponury, który jako wybitny dowódca partyzancki na tym terenie stworzył wzorce i praktykę postępowania, wyjaśniał te zasady bardziej obrazowo i przystępnie: - Jesteście o tyle słabsi i gorzej uzbrojeni, że przy ucieczce nie macie w ogóle żadnych szans, walkę zastąpiłoby wówczas polowanie z nagonką, w którym wszyscy, do ostatniego zostalibyście wytropieni i zabici. Możecie zmienić tę sytuację tylko w jeden sposób, przez ulokowanie tej niewielkiej ilości amunicji którą macie z jak największą dokładnością, zadanie jak największych strat tak aby zrobić wrażenie na nieprzyjacielu, wstrząsnąć nim. Nie ma takiej bitwy, w której wszyscy by zginęli. Szanse we walce są zawsze lepsze, niż przy ucieczce. Dopiero potem, kiedy odbierzecie nieprzyjacielowi ochotę do bliższego kontaktu, zaszokujecie go, można się oderwać. Jeżeli wpoicie im najpierw trochę respektu, nie będą potem zbyt gorliwi w pościgu.- Słowa Ponurego stanowiły nadal dla całego pokolenia ludzi, którzy wyszli z jego szkoły, prawdziwa Ewangelia. A ponadto Agnus od dzieciństwa zapamiętał, do końca życia, jak starszy kuzyn któremu widocznie w zasmarkanym wieku za bardzo się naprzykrzał zaprowadził go do pasieki i powiedział, że jeżeli dmuchnie mocno w otworek uła, to zobaczy coś bardzo ciekawego. Otóż obecna sytuacja, pod pewnym względem, była trochę podobna, jeżeli karabiny maszynowe przyjąć za analogię podmuchania, to Niemcy właśnie podmuchali w ul.

\* \* \*

Angus stracił trochę czasu i wystartował jako jeden z ostatnich a może ostatni. Złożyły się na to dwa powody: po pierwsze poprzedniego wieczora do spania zdjął buty, a były to buty na całą stopę, sznurowane grubymi rzemieniami zamiast sznurowadeł. Mimo najbardziej naglącej sytuacji, nie ubiegłby daleko, ani szybko, nie zawiązawszy ich, zresztą zrobił to leżąc i nie był przy tym specjalnie zagrożony. Po drugie, potem jeszcze nie miał broni, oczywiście nie licząc dość zawodnego pistoletu, nie byłoby więc z niego pożytku. Rzucił się najpierw w stronę, gdzie wczoraj zdawał swój karabin. Po okresie intensywnych walk, oddział był dobrze uzbrojony, a odejście ludzi, częściowo bez broni spowodowało wyjątkową sytuację - była broń nadliczbowa. Angus nie znalazł swego karabinu, nie miał czasu - ale chwycił niemiecki MP, broń, o której wszyscy marzyli i zazdrościli, oraz jeden zapasowy magazynek, więcej nie znalazł.

Teraz pędził już jak na skrzydłach, bardziej fruwał w powietrzu niż biegł po ziemi, wprost przepełniony szczęściem. Pogodził się już z myślą, że to koniec - a oto Niemcy sami przyszedli do nich, oszczędzając długich planów i namysłów, morderczego wysiłku, marszów,

oczekiwań i niepewności, może daremnych starań i rozczarowania. Byli tam przed nimi, a on stanął częstkę, w jego odczuciu, zbiorowej siły, która niepowstrzymanie sunęła na wroga, żeby zwyciężyć lub zginąć. Bez względu na ostateczny wynik, był to najwspanialszy dzień jego życia. Przed sobą w oddali widział sylwetki kolegów i ze wszystkich sił starał się zrównać z nimi.

W dwadzieścia minut i kilka kilometrów później Angus najbardziej ze wszystkiego łaknął powietrza i już nie fruwał, ale biegł z wysiłkiem. Był nadal na końcu, ale już na ogonie innych, przed sobą nie widział żadnych Niemców, z wyjątkiem paru trupów, uciekli. Jedynie w oddali migały sylwetki feldgrau, oddalające się na boki. Kilka razy strzelał, starając się żeby serie były jak najkrótsze, ale czuł, że choć może broń jest cudowna, być może trafiła w nieodpowiednie ręce, on nie był do niej przyzwyczajony. Starał się zatrzymać za każdym razem, opanować ręce i chociaż bokiem oprzeć je o drzewo, uspokoić oddech i zwłaszcza nie przekraczać trzech strzałów na raz. Jednak tak szczerze to nie był przekonany o swojej skuteczności. Najbardziej, nie wiadomo dlaczego dekoncentrowały go drobne krople potu przyskające za każdym razem na twarz i padające czasem w oczy, wydawało się że to przyczyna marnowania strzałów, choć jednocześnie zdawał sobie sprawę, że to całkiem irracjonalne wrażenie i sam sobie powtarzał - nie bądź idiotą, to naprawdę nic nie znaczy, tylko zły tanecznicy fartuszek przeszkadza.- Właśnie skończył mu się pierwszy magazynek i zakładając drugi i ostatni, zaprzysiągł sobie bezwzględna dyscyplinę ogniową. Strzelać wyłącznie do absolutnie pewnych celów.

Stopniowo wszyscy, wyczerpani zaczęli zwalniać, kiedy z przodu znów zaczęła się gęsta strzelanina i jednocześnie tempo wzrosło. Nie było żadnej wątpliwości, to znane oznaki: dochodzili już do drugiej, zewnętrznej linii okrążenia, z pewnością słabszej i mniej obsadzonej, niż wewnętrzna która została za nimi, ale zwłaszcza teraz nie można było sobie pozwolić na odpoczynek, dać się zatrzymać. Ostateczny wysiłek i szybki przeskok, od jednego zamachu, albo Niemcy mogą znowu odtworzyć kocioł. Tym razem żołnierze niemieccy nie cofnęli się, przez chwilę sytuacja niejasna, typowe zamieszanie, aż w serii krótkich chaotycznych potyczek zostali wybici. Obsada tej linii nie była zbyt gęsta. Chłopcy przeszli z rozpędu jak gorący nóż przez masło i jeszcze biegli, ale już zwalniając ostre tempo, które Agnus z trudem wytrzymywał. Znów był na końcu, nigdy dotąd nie biegał takiego dystansu i tak forsownie. Zdążył pomyśleć, że gdyby miał ze sobą swój ciężki karabin, to absolutnie nie dotarłby tutaj, choć z drugiej strony gdyby go miał, to niewątpliwie osiągnąłby dzisiaj swój rekord życiowy, nigdy dotąd i na pewno w przyszłości nie powtórzy się okazja z taką ilością celów.

W tym momencie nagle kilkanaście metrów przed nim podniosła się sylwetka niemieckiego żołnierza. Nieprawdopodobne, wyglądał zupełnie jak na obrazku z „Die Welle”. W hełmie przyozdobionym gałązkami, plamiastej panterce i nawet w rękach miał karabin z regulaminowym bagnetem, co nadawało mu wprost nierzeczywisty wygląd. Pojawił się jak zjawia na zupełnie pustym terenie, który Agnus przedtem doskonale widział i mógłby przysiąc, że tam absolutnie nikogo nie było. Wrażenie niesamowite, jakby znalazł się w innej rzeczywistości. Czary czy co? Raptem czas zwolnił, sekundy rozłożyły się na szereg oddzielnych jakby migawek, zupełnie jak na zwolnionym filmie.

Agnus odruchowo podnosi swój MP żeby wystrzelić krótką, a może tym razem wyjątkowo dłuższą serię i ta seria nie pada, wystrzelał już cały magazynek. Jednocześnie Niemiec strzela z karabinu i karabin również nie wypala. Teraz Agnus wyćwiczonym przez codzienne godziny ćwiczeń, ruchem błyskawicznie sięga po pistolet, ma go w ręce i wyciąga, wszystko w ciągu jednego następnego kroku - i z pistoletu wylatuje sprężyna, trzyma w ręku zwykły, bezwartościowy kawałek metalu który też nie strzela. Obecnie bagnet daje bezwzględną przewagę. Agnus rzuca z całej siły swój bezwartościowy teraz pistolet w Niemca, nawet gdyby trafił niewiele by to dało, ale pistolet przelatuje tylko obok hełmu. Na dodatek chybił, zawsze rzucał kiepsko. Rozpaczliwie, całym wysiłkiem próbuje wyhamować pęd, który niesie go wprost na bagnet Niemca, już tylko kilka kroków, ale nie jest w stanie utrzymać nóg, ciągle posuwa się do przodu.

Następuje zupełnie nietypowy fenomen. Granice pola widoczności Angusa ciemnieją i zacierają się. To jest tak, jakby na oczach miał krążki czarnego papieru z dziurą w środku, a ta dziura, początkowo duża, stopniowo się zmniejszała. Boki obrazu zasłania czarna obwódka i ta obwódka się powiększa, widzi tylko centralną część, a średnica powoli maleje. To znaczy, w centrum obrazu znajduje się bagnet i ten bagnet rośnie bo się zbliża, ale maleje cały środek pola widzenia. W końcu pozostaje mały krąg zajęty tylko przez ten bagnet, górną część tułowia żołnierza, jego głowę i ręce trzymające część karabinu. Mimo nadludzkich wysiłków Angusa, to wszystko ciągle się zbliża i zbliża, w końcu jest tuż przed nim, rezygnuje więc z daremnej próby zatrzymania się i stara się przynajmniej uchylić. W tym momencie koniec bagnety przesuwają się z centrum obrazu, jakby też odchyła, Agnus rozpaczliwie szarpie się w drugą stronę, bagnet, a z nim reszta karabinu i popiersie żołnierza rzeczywiście przesuwają się w bok i pochylają skośnie, Agnus odbija się od ziemi i przeskakuje, czuje muśnięcie i jednocześnie ma wrażenie, że na górnej części odchylonego tułowia Niemca przy szyi, już na granicy obrazu dostrzega przypięty kwiat, czerwony goździk leśny, ale one przecież tak szybko bledną - nie, to mak - a raczej wielka czerwona róża.

Po przeskoczeniu padającego ciała, które musnął, poczuł dotyk, potyka się, ale jakoś udaje mu się utrzymać na nogach, przebiega jeszcze kilka kroków i w końcu zatrzymuje się chwytając się za drzewo. Przez dalsze sekundy jedyny kontakt ze światem to tylko spazmatyczne łapanie powietrza - to teraz najważniejsza rzecz na świecie. Jak niesłychanie ważny jest dostęp powietrza, ciągle go brakuje, ciągle mało, ma wrażenie że płuca mu pękają. Stopniowo zaczyna się odwrotny proces, ciemna obwódka ustępuje, kurczy się, średnica obrazu się powiększa, widzenie wraca do normy.

Agnus pół stoi, pół wisi trzymając się drzewa, po chwili czuje, że ktoś szarpie go za ramię i krzyczy: - Co z tobą? Dostałeś? - Agnus wydobywa z siebie głos, - nic mi nie jest. W porządku. - To ruszaj się człowieku, nie stój tak, biegnij! Czy ty zwariowałaś, patrz, tutaj już nikogo nie ma, zostaliśmy sami.- Jeden z chłopaków, nawet nie żaden bliższy znajomy, był jeszcze za nim a teraz wykrzyczawszy te kilka słów rusza do przodu, Agnus za nim, ale wolniej, po chwili jeszcze ktoś go mija. Grupa jest już daleko z przodu, stracił ją już z oczu, kieruje się za tymi pojedynczymi postaciami. Jest słaby i porusza się wolniej, ale wszystko wraca do normy. Już widzi, słyszy i reaguje normalnie.

Wspomnienie tych kilku, a może kilkunastu sekund, które rozciągnęły się jakby w długi przedział czasowy, pozostało na całe życie i wracało bardzo realistycznie w niebezpiecznych momentach. Można nawet powiedzieć, że dodawało mu wtedy pewności. Analizował to wiele razy i był zadowolony zwłaszcza z tego, że nie czuł wtedy strachu - faktycznie po prostu nie miał na to czasu, bo jednak następnie w momentach blisko śmierci czuł strach, a przynajmniej raz (mniej więcej rok później, spodziewając się egzekucji) strach po prostu dojmujący, aż na granicy fizycznej choroby.

Największe wrażenie wywoływało jednak wspomnienie działania własnego organizmu. Agnus długi czas żywił przekonanie, że to właśnie był moment jego najbliższego spotkania ze śmiercią i że tak wygląda proces umierania. Po prostu sądził, że miał wtedy śmierć na centymetry i ułamki sekundy od siebie, że prawie go już dotykała i potem nagle cofnęła się, jakby odwróciła od niego. To, co przeczytał w literaturze jeszcze bardziej utwierdziło to przekonanie - opisywany efekt tunelu, jakby przechodzenia przez wielką rurę na drugą stronę itd. Tak, był przekonany, że wtedy już prawie zaczął podróż na drugą stronę i nieoczekiwanie wrócił, a widział właśnie to, co wielokrotnie opisywano w opowieściach życia po życiu. I ta pamięć okazała się niezła, w przyszłości stabilizowała go psychicznie w niebezpiecznych chwilach, w trudnych momentach.

Istnieje jednak inne wyjaśnienie, wprawdzie mniej malownicze, romantyczne lub fantastyczne, mniej piękne i nie dające takiej satysfakcji - ale bardziej proste i rzeczowe

fizjologicznie. Być może, że w rzeczywistości to były tylko fantastyczne pomysły zaczerpnięte z literatury, a zjawisko ograniczonego widzenia które tak silnie zapisało się w jego pamięci nie miało żadnego związku z samą bliskością śmierci - chyba tylko z umieraniem setek tysięcy komórek mózgowych w warunkach skrajnego niedotlenienia, które rozpoczęło się już w czasie forsownego biegu, a doszło do szczytu w ostatnich sekundach rozpaczliwego wysiłku, mobilizującego wszystkie pozostałe siły. Jeszcze przez następne chwile tlen był zużywany przede wszystkim na autowzbudzenie i podtrzymanie pracy pompy, roznoszącej go po organizmie - i dopiero potem krew doprowadziła większą dawkę do mózgu. Więc zamiast mistyczno - romantycznych wizji zostaje proste fizjologiczne wyjaśnienie zjawiska, które zdarza się czasem po maksymalnym wysiłku. Podobne przeżycia miewają sportowcy, na przykład biegacze, nerw wzrokowy zużywa wiele tlenu.

Agnus został praktycznie bezbronny, po karabin zabitego Niemca nie wrócił, bo przecież też był pusty. Chociaż zapewne znalazłby przy nim naboje, to była raczej wymówka usprawiedliwiająca niechęć do wrócenia po niedobrze kojarzony przedmiot. Jednak dalej spotkał inne zwłoki i karabiny, wziął bez bagnetu i bardzo dobrze, bagnet nie był jego ulubioną bronią i jakoś go nie pociągał. Parę chwil później dotarł do większej grupy partyzantów, skupionych koło jednego z oficerów. Koło niego stał Przybysz i właśnie kończył odpowiadać, - tak, znam te strony naprawdę dokładnie, każdy kąt. Prowadziłem nawet samego Ponurego, w pobliżu, w zeszłym roku, podczas jednej z wielkich obław -.

- Tak, to fakt - potwierdził ktoś w pobliżu. - Więc dobrze, nas teraz też poprowadzisz, i nie tylko. Ty będziesz obecnie dowodził, a my wszyscy słuchamy twoich rozkazów, ja też - zdecydował oficer. Większość spojrzała na niego z pełnym uznaniem, przytomny i równy gość. - Czy ktoś ma mapę? Nawet jak się zna teren, mapa ułatwia myślenie -. Mapa się znalazła i po chwili Przybysz zaproponował: - wracamy tutaj, nie do obozu ale kawałek dalej, tam się rozejrzemy i potem zależnie od sytuacji. - Trochę nas za mało, żeby ich zaatakować, - wyrwał się ktoś, a Przybysz odpowiedział - jeżeli ktoś myśli, że zaproponuję kretyństwa, to wolna droga. Oni już zdejmują teraz okrążenie i pójda w tym kierunku gdzie jesteśmy, za nami. Zewnętrzna linia okrążenia pewnie już jest zdjęta albo się grupuje, my pójdziemy w bok i wrócimy na teren byłego kotła, ale nie w pobliże obozu, bo oni na pewno tam będą zbierać zwłoki, swoje i naszych. Poczekamy kawałek dalej, na pewno znajdzie się jeszcze trochę rozproszonych ludzi. Zabezpieczyć broń i nikomu nie wolno strzelać. Jeżeli nas zauważą, to będzie źle, więc starajcie się. Potrzebuję paru cichych ochotników, którzy najlepiej umieją poruszać się po lesie i pójda przodem. Idziemy do takiego młodego gęstego zagajnika może kilometr za obozem i z prawej, tam poczekamy aż większość sił niemieckich



odejście. Dobrze się rozglądajcie i kryjcie. Jeżeli zobaczycie naszych w opresji, to wolno udzielić pomocy tylko bez strzału i bez hałasu. Mamy jeden atut, oni teraz uważają, że nie ma już powodu żeby zachowywać się cicho i na pewno usłyszymy ich pierwsi - a reszta jak Bóg da.

Po fatalnym początku dnia, reszta przeciwnie, układała się teraz pomyślnie i zgodnie z planem. Na miejsce wybrane przez Przybysza dotarli szczęśliwie i zapadli w nim, a choć Niemcy parokrotnie przeciągali w pobliżu, nie zauważyli niczego. Natomiast własni zwiadowcy rzeczywiście, znaleźli jeszcze rozproszonych partyzantów, tak, że w sumie zgromadziło się ponad stu ludzi, niewątpliwie najlichniesza grupa z dawnego batalionu. Większość Niemców rzeczywiście wyruszyła już, lub wyruszała w pośpiechu, zapewne organizować nową obławę przewidzianą przez Przybysza, obławę która miała trafić w próżnię.

Jeszcze tylko na terenie obozu pozostała część Niemców, gromadząca, układająca i fotografująca zdobycze - zrujnowane szalasy, trochę pozostawionych rzeczy osobistych itd. Niestety, została tam również broń - to naprawdę bolesne. Utrata broni decydowała, że to co się stało trzeba było uważać według partyzanckich zasad i kryteriów wartości za ciężką klęskę.

To też niektórzy proponowali, żeby uderzyć znienacka na tych pozostałych w obozie Niemców, którzy obecnie między innymi zbierali ciała zabitych, być może przygotowując je do transportu. Ale Przybysz kategorycznie się nie zgodził.

- Nasza wojna już się skończyła i nie będę wbrew wyraźnym rozkazom zaczynał nowej, własnej. Owszem, prawdopodobnie uderzenie znienacka by się udało - i co dalej? Widzieliście, że to nie siły policyjne ani jakaś zbieranina, to prawdziwi doświadczeni żołnierze i nawet zaskoczeni, nie daliby się tak łatwo rozbić, a inni nie odeszli jeszcze daleko. Gdyby mieli naszych jeńców, to mimo wszystko bym się zdecydował, ale sami widzieliście, że nie mają ani jednego, a niemieckich trupów jest więcej, niż naszych. Więc o co chodzi? Że straciliśmy broń? Pewnie że to nie powód do dumy, przeciwnie, wstyd, hańba i przegrana, ale gdybyście nawet ją teraz odzyskali, a na dodatek zdobyli nową - to co, będziemy potem uchodzić przed pościgiem, niosąc każdy po kilka karabinów? To absurd, a chcę tylko jednego, doprowadzić was cało do domów, mimo wszystko. Pamiętajcie, że naszego batalionu nie ma już od dwóch dni, a wy co najmniej od wczoraj nie jesteście już żołnierzami. Dostaliśmy ostatni rozkaz - przeżyć, i tylko to się dla mnie liczy. A to wcale nie będzie łatwe, nawet bez nowej bitwy. Dobrze wam radzę postarajcie się trochę odpocząć, za godzinę ruszamy. - Wyruszyli o jedenastej, najpierw prosto na południe, a potem na zachód

równoległe do szosy i nieoczekiwanie blisko, dalej już Agnus nie wiedział, gdzie się właściwie znajdują, marsz był bardzo forsowny i tylko z krótkimi przerwami mniej więcej co dwie godziny. Tylko na początku pierwszej Przybysz wysłał patrol, najwidoczniej do znajomej zagrody po trochę żywności, poza tym złożyli te odrobiny, które przypadkiem niektórzy mieli przy sobie i wszyscy trochę przegryźli, ale mało i więcej tego dnia już nie jedli, a wysiłek był naprawdę ogromny. Przybysz prowadził pewnie i bez wahania, bardzo obszernym kręgiem. Nadrabiał dużo drogi, już dużo później Agnus próbował dowiedzieć się i ustalić, ile właściwie przeszli, ale z uczestników tego morderczego marszu każdy rozmówca podawał inną odległość, od 70 do 90 km. Ustalono, że każdy, kto nie da rady, a będzie w pobliżu stron, gdzie ma rodzinę albo krewnych, albo gdzie mieszkają jacyś znajomi którzy zechcą go przechować, może zostać i odejść, byle o tym zameldował. Wielu tak robiło, grupa malała.

Już o zmierzchu przeskoczyli szosę, tym razem odeszli od niej daleko i rozpoczęli obszerną cyrkulację z powrotem w drugą stronę. Późną nocą obchodzili już z daleka okolice Starachowic. Wreszcie dobrze po północy, już ledwie żywych, Przybysz zatrzymał i poszedł sam rozpoznać miejsce, gdzie mieli przenocować. W nocy zaczął padać drobny deszcz, ale ludzie pokładli się wprost na drodze i prawie natychmiast zasypiali, nawet jeżeli leżeli w kałuży. Gdy po niecałej pół godzinie Przybysz wrócił, nie można było ich po prostu podnieść, ci co już wstali na nogi potrząsali innymi, tłumaczyli że blisko jest dużo lepsze miejsce, prosili, w końcu błagali albo nawet kopali leżących zanim się w końcu udało wszystkich podnieść. Rzeczywiście, blisko była leśniczówka i mała osada, a co najważniejsze stodoła z suchym sianem.

Późnym przedpołudniem, kiedy przyszli do siebie i zaspokoili głód, Przybysz powiedział, że teraz już każdy wraca na własną rękę, on idzie w stronę gór i kto chce, może zabrać się razem w tą stronę. Agnus postanowił pójść z kilkoma chłopakami, którzy wracali do Chmielowa, stamtąd miał już około 6 km do swego domu w Ostrowcu, postanowił więc wyjść potem o zmroku z Chmielowa tak, żeby do Ostrowca dojść w ciemności. Nie znał jeszcze Chmielowa, wiedział tylko, że jeszcze z przed wojny cieszył się on opinią wsi, gdzie przy każdej zabawie pogotowie musiało ciężko pracować. To się mogło zgadzać, chłopaki z Chmielowa bywali zadziorni.

\* \* \*

**Kapsuła: Przyczynek do teorii chaosu: w sytuacji bez wyjścia, zrobić coś nieoczekiwanego.**

Opisaną tutaj drugą i ostatnią tej wojny bitwę w lesie Iłżeckim stoczyli Niemcy z nieistniejącym już oddziałem AK. Można powiedzieć, że z gromadą osób cywilnych, pozostałych jeszcze na miejscu po rozwiązaniu oddziału, które nie zdążyły się rozejść, a więc z punktu widzenia interesów okupanta zupełnie niepotrzebnie.

Ze strony niemieckiej, w bitwie tej wzięły udział pododdziały wydzielone z jednej z najbardziej elitarnych jednostek, grenadierzy z Panzerdivision der Waffen SS Hermann Goering. Obie strony kolejno zaskoczyły przeciwnika zachowując się w sposób przez niego całkowicie nieoczekiwany.

Żołnierze niemieccy weszli do lasu w którym mieli znaleźć partyzantów w nocy, co dotąd nigdy się nie zdarzało i co uważano za absolutnie niemożliwe. Nawet sama taka myśl wydawała się na podstawie dotychczasowych doświadczeń niedorzeczna. Działając śmiało - tak, zdecydowanie śmiało - i naprawdę zręcznie przy tak niezwykłym postępowaniu, dokonali faktycznie całej serii niemożliwości, znaleźli i otoczyli wroga w nocy, zajęli pozycje i bezgłośnie zlikwidowali polskie placówki - no, niezupełnie, to się nie całkiem udało i to był powód, że ostatecznie atak zaczął się o kilkanaście minut wcześniej niż pierwotnie planowano. A plan był staranny i poprawnie opracowany, trzeba powiedzieć, że istniała szansa zupełnego zlikwidowania partyzantów tak, że nie uszła by żywa noga.

Wraz ze świtem, od strony zachodniej atak miała rozpocząć nagonka tak, że cofający się partyzanci zostaliby zepchnięci na dogodny teren rozciągający się ok. 1-1,5 km na wschód, gdzie przygotowano ukryte stanowiska karabinów maszynowych, które miały otworzyć krzyżowy ogień. Potem z obu boków miały uderzyć, właściwie już tylko wyruszyć spacerkiem oddziały piechoty likwidując tych, którym udało się ewentualnie przeżyć i biorąc do niewoli lub też likwidując rannych.

Gromada cywilów, zapewne nieobliczalnych amatorów, na dodatek właściwie przez nikogo już nie dowodzona, zareagowała z punktu widzenia fachowców wojskowych w zupełnie nieprawidłowy, nieoczekiwany sposób, rzucając się wprost na nagonkę. A ta przygotowana była wprawdzie do pościgu, ale absolutnie nie spodziewała się walki obronnej. Dzięki temu właśnie partyzanci wyszli z kotła.

Przez pewien czas i Agnus i wielu innych sądzili, że ponieśli prawdziwą klęskę, ale w miarę uzyskiwania pełniejszych informacji obraz się zmieniał. Faktem jest, że oddział został rozproszony i nigdy już się nie zebrał, ale to przecież rozpoczęło się już wcześniej i miałyby miejsce w każdym wypadku, również i bez tej walki. Natomiast straty wyniosły 13 zabitych partyzantów i jeszcze 3 zmarłych następnie z powodu ran, nawet nie ciężkich, a więc właściwie z braku odpowiedniej opieki lekarskiej. Natomiast Niemcy pochowali następnego

dnia w Bałtowie 44 zabitych, a ponadto mieli znacznie więcej rannych, którzy jednak mieli dużo lepsze rokowania i szanse przeżycia w szpitalach.

16: 44, prawie jeden do trzech między amatorami i fachowcami. To nie był zły wynik z najlepszymi żołnierzami frontowymi, jakimi Niemcy w ogóle dysponowali. No, bez przesady, Fallschirmjaeger to jednak nie byli i może ci z Grossdeutschland też byliby lepsi (czy raczej gorsi, jak dla kogo), ale powiedzmy, że z pomiędzy tych, których wtedy mieli na tym froncie. A w dodatku to wszystko jeszcze zaczynając z zupełnie beznadziejnej, wydawałoby się straconej pozycji wyjściowej. Od chwili samorzutnej i pozornie całkiem szalonej decyzji zaskoczonych we śnie partyzantów, cały przygotowany plan bitwy przestał istnieć i rozpadł się na szereg zaskakujących, improwizowanych potyczek (pall-mall fighting), w których jednak partyzanci okazali się wyraźnie lepsi, mając silniejszą motywację i atut własnego terenu. W rezultacie szybko i z umiarkowanymi stratami wyszli z okrążenia.

Możnaby powiedzieć, że gromada amatorów, przez nikogo już nie dowodzona, pobiła najlepiej wyszkolone oddziały wojskowe dowodzone przez najlepszych ówczesnych zawodowców, i to kierując się tylko instynktowną nieoczekiwaną reakcją w pozornie beznadziejnym położeniu. Oczywiście, wszystko to mogło się zdarzyć tylko dlatego, że obie strony zupełnie się nie znały, nie wiedziały czego się spodziewać, obie zrobiły coś zupełnie nieoczekiwanego. Za drugim razem, Niemcy na pewno nie pozwoliliby, żeby prawie upolowana ofiara wyrwała się w podobny sposób. Ale z drugiej strony i partyzanci nigdy nie daliby się po raz drugi w taki sposób zaskoczyć, dotąd nigdy nie mieli do czynienia z tak działającym przeciwnikiem i szczerze mówiąc naprawdę wszyscy wierzyli, że Niemcy absolutnie nie zdobędą się na odwagę wejścia nocą do lasu.

\* \* \*

Angus był szczególnie zainteresowany ustaleniem okoliczności swego prawie cudownego ocalenia. Z początku przyjmował, że to któryś z kolegów dostrzegł jego krytyczne położenie, strzelił i ocalił mu życie. Jeszcze w czasie ostatniego marszu odnalazł tego, który zatrzymał się przy nim przy drzewie i który widocznie biegł niedaleko za nim - ale ten niczego nie widział i nie wiedział, po prostu sądził, że napotkał rannego i chciał udzielić mu pomocy. Potem więc odszukał drugiego, który ich minął a więc musiał być za nimi, jednak z tym samym skutkiem. Po drodze Angus upewnił się, że żaden ze znajdujących się w tej grupie nie interweniował w jego wypadku, a następnie jeszcze przez długi okres zasięgał informacji u innych dawnych członkach oddziału oraz także prosił tych, z którymi się już zetknął o dalsze zapytania. Wszystko daremnie.

Nie znajdowali się już wówczas pod żadnym huraganowym obstałem, właściwie prawie wyszli z okrążenia. Miała miejsce tylko sporadyczna wymiana ognia - do upatrzonego, zwykle przy krótkich, przypadkowych spotkaniach.

Daleka, zabłąkana kula? Takiej możliwości nie da się wykluczyć, ale w zakrytym, leśnym terenie prawdopodobieństwo raczej niewielkie. Powoli Agnus zaczął dochodzić do przekonania, że to strzelił jeden z pozostałych na zewnętrznej linii okrążenia, wyminiętych żołnierzy niemieckich. Po prostu strzał do tyłu, do jednego z „polnische Banditen”, który właśnie przebiegł, przedostając się przez perymetr. A więc być może to kula, która miała go zabić, chybiła celu i właśnie ocaliła mu życie. Najbardziej rozsądnym przypuszczeniem wydaje się, że miał zostać w tej samej sekundzie zabity podwójnie, strzałem z tyłu i jednocześnie bagnetem z przodu. Klasyczny „overkill”.

W odległej przyszłości, kiedy znajdował się w samym środku między walczącymi ze sobą zawziętymi własnymi dziećmi, przychodziło mu na myśl, że już kiedyś był w podobnym położeniu i jednak udało się mu, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności, ocaleć. Nil desperandum.

Lecą liście z drzewa, co wyrosły wolne... wszystko się skończyło...

#### **Rozdział XIV. Czasowo pełniący obowiązki duchów.**

Koniec października 1944r., godzina około 9.30. Agnus zamarł nieruchomo na drewnianych deskach ok. 2 cm grubości, między którymi w półmroku przeświecały szparki jasno oświetlone światłem dnia z pomieszczenia na dole. Nad dużą powierzchnią prostokąta podstawy wznosił się nisko dach też z drewnianych desek, pokrytych z zewnątrz papą, czterospadowy o dwu płaszczyznach czworobocznych długości ok. 12,5 m. na dole i ok. 8 m na górze i dwu trójkątnych o podstawie ok. 7 m. Mrok pomieszczenia rozjaśniały tylko dwa małe okienka umiejscowione na tych trójkątach. Natomiast na dużych czworokątnych płaszczyznach znajdowały się po dwie znacznie większe klapy, które mieszkańcy tego pomieszczenia podnosili i zabezpieczali na metalowych oparciach, aby w dzień mieć światło do czytania, pisania lub gry w szachy. Ale kiedy otwierano dolne wejście między fałszywym i prawdziwym dachem, zawsze zamykano górne klapy, żeby w razie nagłego alarmu ewentualny prześwit światła z góry nie zdradził kryjówek.

Mateusz leżał też na deskach nieco dalej, a po drugiej stronie, pod przeciwległym czworokątem dachu jego ojciec, profesor Jaruga, żaden nawet nie drgnął. Jednak na tle ciszy przerywanej przez odgłos kroków żołnierza niemieckiego na dole, rozlegało się donośne sapanie profesora.

- Dobry Boże - myślał Agnus - on pod wpływem emocji zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy, ale sapie tak, że śpiącego by obudził. Gdybym mógł go szturchnąć, albo w jakiś inny sposób zwrócić jego uwagę. - Ale było za daleko, a próba poruszania się mogła tylko pogorszyć położenie.

Kroki na dole umilkły, żołnierz stanął i nadśluchiwał.

- Wer ist da - krzyknął. Cisza. - Wer ist da?! - ponownie. Wydawało się niemożliwe, żeby sapanie mogło stać się jeszcze głośniejsze, ale teraz profesor prawie rzeźił. - Antworte, oder ich werde schissen! - krzyknął żołnierz wyraźnie zdenerwowany. Agnus pomyślał, że nic dziwnego, on sam czułby się nieswojo słysząc podobne odgłosy. Żołnierz sięgnął do kabury i rozległ się dźwięk przeładowanej broni. Z pistoletem w ręku podszedł pod poszycie desek, gdzie leżał profesor i skąd rozlegał się niepokojący odgłos. - Wer ist da?! - Der Wirt dieses Hauses - profesor zdecydował się wreszcie odpowiedzieć, wstał i podniósł klapę wejścia, co spowodowało jednocześnie opuszczenie na dół krótkiej drabiny. Agnus zrezygnowany podniósł się i usiadł, bo w miejscu, gdzie leżał, dach był niższy i wstać nie było można.

Dalsze milczenie nie miało sensu, bo przecież gdyby padł strzał, nawet choćby nikogo nie trafił, i tak zaalarmowałby cały oddział niemiecki. - Swoją drogą odważny drań, ale i nierozsądny, włazi śmiało głową w ciemny otwór, a przecież póki oczy mu się nie przyzwyczają, niewiele może widzieć - najwyżej mrugać. Mógłbym go załatwić jak nic. Ale co stałoby się potem z moimi i Mateusza rodzicami - oceniał sytuację Angus.

Nad deskami poszycia wynurzyła się głowa żołnierza i ręka z uniesionym pistoletem.

\* \* \*

Profesor Jaruga, który uczył Angusa łaciny i języka polskiego i z którego synem, Mateuszem, następnie Angus się zaprzyjaźnił, rozpoczął studia w Krakowie jeszcze przed I Wojną Światową. Związał się wówczas z tzw. Młodą Polską, chodził w krótkiej czarnej pelerynie i szerokim kapeluszu i pragnął zostać poetą. Kraków roił się wtedy od znakomitych poetów i pisarzy, burzył się życiem intelektualnym, było więc na kim się wzorować. Jednak młody student literatury polskiej i łaciny doszedł do wniosku, że jego wiersze, formalnie poprawne i odpowiadające aktualnej modzie, stanowią właściwie imitację, nieświadomy plagiat, że brak im osobistej treści i wewnętrznego ognia, zaangażowania i oryginalności. Mógłby być raczej uważnym i trafnym krytykiem, niż twórcą.

Sprawdził to na sobie i także na innych, naprawdę miał ten właśnie talent, ale w tych czasach żeby zostać krytykiem trzeba było najpierw wykazać się własnym dorobkiem i wyrobić sobie nazwisko. Żeby ocenić kurę nie trzeba samemu znosić jajek. A spostrzegawczość, dociekliwość i wyostrzony zmysł krytyczny stanowią właśnie przeszkodę

do rozwinięcia własnych skrzydeł. Dostrzegał własne wady jeszcze znacznie ostrzej, niż cudze i w rezultacie przestał wierzyć w siebie.

Postanowił więc przynajmniej zrealizować inny swój ideał, iść w lud i związać się z ludem. Ukończywszy dwa fakultety, został tzw. bezpłatnym praktykantem w gimnazjum. Po I wojnie Światowej, gdy otworzyły się nowe możliwości, od razu przeszedł na nauczyciela gimnazjum i wkrótce otrzymał nominację profesora mianowanego, z opinią doskonałego choć bardzo wymagającego pedagoga. Może też dowartościowywał się, czując swoją przewagę intelektualną nad prostymi chłopakami, bo mimo wszystko zachował poczucie zawodu i - niesłusznie - poczucie jakby niższości, która była wynikiem nadmiernie rozwiniętego i skierowanego głównie do siebie, zmysłu krytycznego.

Idąc za wzorem swego młodzieńczego ideału, Lucjana Rydla, ożenił się z prostą dziewczyną ze wsi i ta, z początku trochę sztuczna intelektualna decyzja wypadła najpierw bardzo pomyślnie, rozwijając się w silne uczucie, którego wynikiem był właśnie starszy o nieco ponad pół roku od Angusa Mateusz. Ten szczęśliwy okres już się skończył, małżeństwo wprawdzie nadal się kochało, ale nie mogło nawiązać więzi intelektualnej. Co więcej mimo wysiłku prosta dziewczyna ze wsi nie była w stanie dostosować się do nowej pozycji towarzyskiej i socjalnej - a z drugiej strony sama żyła w próżni, oderwana od swojego środowiska. Stopniowo wytworzyło to w obojgu rodzaj mizantropii, poczucie niepowodzenia i chęć izolowanie się od ludzi. Sam profesor jako intelektualista szybciej przyzwyczał się do izolacji i nawet zaczął kultywować ten stan. Oprócz pracy umysłowej i związanego z tym czasu na rozmyślania znalazł bardzo absorbujące go hobby - zajęcia gospodarskie. Nie umiał wprawdzie i nie mógłby prowadzić normalnego gospodarstwa, ale stał się zamiłowanym ogrodnikiem, z prawdziwą pasją zwłaszcza do hodowli śliw. Sprowadzał i sam szczepił mało dotąd znane gatunki, a nawet wyhodował nowe ich odmiany.

Poza tym lubił i umiał majsterkować, zwłaszcza w drewnie. Urządził sobie warsztat stolarski i prawie codziennie spędzał w nim godziny. Tutaj czuł się swobodnie, traktował to jako rozrywkę i odpoczynek, tak dalece, że często brał swoje prace, albo np. zeszyty do poprawiania do warsztatu i gdy poczuł się zmęczony - odpoczywał zajmując się swoim ulubionym drewnem, dotykał je, wybierał, odkładał do suszenia, usiłował wczuć się w jego strukturę, wnikać we wnętrze. W końcu bez pośpiechu, dawkując przyjemność przycinał, nadawał mu obmyślony kształt, wygładzał, składał i wykańczał. Jeżeli był niezadowolony z wyniku, to po prostu likwidował gotowy przedmiot i zaczynał od nowa. Tutaj nie było miejsca na kompleksy, zwykle tak krytyczna samoocena nie miała większego znaczenia, błąd

można było w każdej chwili wyeliminować - tu czuł się swobodny, wolny i zrelaksowany. W rezultacie stał się naprawdę dobry w stolarce i ciesielce.

Oczywiście, nie miało to przed wojną żadnego praktycznego znaczenia, oprócz komfortu psychicznego. Profesor gimnazjum, to była bardzo wysoka pozycja społeczna i wiązała się z odpowiednio wysokim wynagrodzeniem.

**[Kapsuła: Szkolnictwo średnie i pozycja nauczycieli w przedwojennej Polsce.** Przedwojenne Państwo Polskie miało swoje silne i słabe strony, zaniedbania i osiągnięcia. Jednym z największych plusów była organizacja nowoczesnego szkolnictwa, zwłaszcza w zakresie szkolnictwa średniego. W tym przedmiocie osiągnięcia były naprawdę ponad średnią europejską miarę. Przez pewien czas reforma szkolnictwa była bardzo silnie dyskutowana w społeczeństwie i nawet poważnie kontrowersyjna. Ostatecznie odejście od starego modelu, ośmioletniej szkoły średniej do czteroletniego gimnazjum i następnie dwuletniego, a tylko wyjątkowo trzyletniego liceum oraz związana z tym reforma szkolnictwa podstawowego z rozbudową jednolitej sześcioklasowej szkoły powszechnej z dodatkową siódmą klasą dla tych, którzy na tym kończyli nauki i w związku z tym mieli tutaj chociaż krótką okazję zetknąć się z otwartym, swobodnym, dyskusyjnym sposobem stawiania problemów zamiast dotychczas rygorystycznego „siedzenia w klasie” - było inteligentnie przemyślane i starannie opracowane. Świetne, nowoczesne programy oraz odpowiednio doskonale i przy tym pięknie napisane podręczniki miały pełną szansę postawić szkoły naprawdę w czołówce światowej. Nigdy przedtem ani potem Polska, a prawdopodobnie większość krajów na świecie nie miała tak dobrze pomyślanego szkolnictwa - w każdym razie w skali ogólnej, nie można tego naturalnie twierdzić o niektórych znacznie lepszych, ale ekskluzywnych i pojedynczych szkołach prywatnych.

Oczywiście, reforma i nowa organizacja szkolnictwa wchodziły w życie z trudnościami. Przez kilka ostatnich lat Drugiej Rzeczypospolitej nie zdążyły dać pełnych efektów ani nawet w pełni zafunkcjonować, ale i tak dały krajowi kilka pokoleń na wysokim poziomie. Wprawdzie ani szkoła ani wychowanie nie może zasadniczo zmienić natury człowieka, tylko ją rozwija lub ogranicza, ale bez najmniejszej wątpliwości, te młode roczniki wspaniałych a często ponadprzeciętnych młodych ludzi, które weszły w świat i przeważnie zginęły we wojnie, to była zasługa tych - naprawdę dobrych i pięknych szkół. Co więcej, ten system z rozpędu i bez zmian funkcjonował jeszcze w czasie wojny, w konspiracji i następnie przez kilka pierwszych lat po wojnie, zanim został przemocą zmieniony na wzór sowiecki. Ale zmiana nie posunęła się nigdy tak daleko, jak w ZSRR, raczej stanowiąc kompromis między narzuconą formą i dobrą poprzednią tradycją.



Pozycja profesora szkoły średniej, w konsekwencji powyższego, była komfortowa. Po kilku latach przepracowanych jako nauczyciel kontraktowy i wykazaniu się w środowisku, kiedy otrzymał pozycję profesora mianowanego, stawał się praktycznie niezależny i prawie nieusuwalny, a odpowiednio do tej pozycji społecznej, także dobrze wynagradzany. Za równoważność jednej godziny pracy, profesor Jaruga mógłby zapewne kupić np. kilka drabin ogrodniczych, natomiast zrobienie jej zabierało mu parę tygodni. Ale oczywiście nie byłby w stanie kupić związanej z tym przyjemności. Było to więc autentyczne hobby, chociaż może niepraktyczne i przez otoczenie uważane za dziwactwo.

Gimnazjum i liceum im. J. Chreptowicza mieściło się na zachodnich peryferiach Ostrowca. Właściwie już poza terenem zabudowanym, na tzw. Błoniach, po obu stronach szosy starachowickiej, zbudowano dwa nowe, wielkie gmachy. W położonym po stronie południowej, właściwie południowo - wschodniej mieściła się szkoła średnia, a po przeciwnej stronie szosy największa w Ostrowcu, zbiorowa szkoła powszechna. Przy obu obiektach znajdowały się wielkie boiska i teren rekreacyjny, co i tak zajmowało tylko mały odcinek rozległego pustego obszaru dookoła. Dalej po południowej stronie od szosy odchodziły jeszcze dwie małe uliczki, po kilka domów i następnie już dokładnie przy granicy miasta znajdowała się tzw. bursa dla uczniów zamiejscowych, a naprzeciwko odchodziła jeszcze jedna ulica, dawna wioska Piaski. W bursie mieszkało tylko parudziesięciu uczniów zwykle starszych klas, większość zamiejscowych rodzice umieszczali na tzw., stancjach w domach prywatnych położonych w dużym promieniu dookoła gimnazjum.

Gdy profesor Jaruga ustalił się w gimnazjum Ostrowieckim, kupił grunt i zbudował dom dla rodziny jeszcze dalej poza miastem, około dwa i pół kilometra szosą starachowicką na zachód i ze trzysta metrów w głąb lasu od strony północnej. Nie był to bynajmniej jakiś reprezentacyjny budynek, dom ten zaprojektował profesor osobiście stosownie do swego gustu i wyobrażeń, jak na te czasy nietypowo. Konstrukcja zbliżona do chaty góralskiej, ale zamiast wysokiego dachu miał łamany dach mansardowy, kryty papą z wykończeniami z blachy cynkowanej, chociaż przed wojną przewidziane było jeszcze sprowadzenie gontów i pokrycie nimi dachu. Poza tym nie było żadnych góralskich ozdób i rzeźb w drzewie, tylko zasadnicza konstrukcja drewniana z kamiennym podmurowaniem. Przed wojną profesor zdążył osobiście wyrzucić dwie pary fabrycznych drzwi wejściowych i dorobić własnego pomysłu, bardzo solidne i starannie wykonane, reprezentacyjne, ale również gładkie, bez rzeźb lub ozdób, a następnie przerobić ganek i schodki przy jednym wejściu.

Dom znajdował się na skraju rozległego lasu. Jak wspomniano szosa starachowicka od gimnazjum, mijała jeszcze z lewej dwie małe, a z prawej większą ulicę, potem budynek bursy

i tam kończył się teren miasta. Dalej szosa biegła wśród lasu, z prawej był to początkowo pagórkowaty starodrzew, a z lewej pas młodniaków, zwężający się klinowo i za nim teren się obniżał i na dole ciągnęły się wielkie łąki dochodzące do przekopanego kanału dostarczającego wodę do huty i zakładów ostrowieckich, a za kanałem do rzeki. Około kilometra za granicą miasta las z prawej strony przerywał się przy tzw. kolonii robotniczej. Składała się z stuparędziesięciu niewielkich jednakowych domków z czerwonej cegły i krytych takąż dachówką i ogródków zamieszkałych przez pracowników Zakładów Ostrowieckich.

Mówiona, że kolonia ta została zbudowana i usytuowana specjalnie poza granicami miasta, żeby przy wyborach samorządowych pozbyć się ludzi o przekonaniach radykalnie lewicowych, a nawet komunistycznych. Jednak chociaż Agnus znał kilku chłopaków z kolonii, nie spotkał ani nie słyszał o żadnym, któryby miał jakieś specjalnie radykalne poglądy, nie mówiąc już o komunistycznych. Przeciwnie, znał, a nawet przyjaźnił się z kilkoma chłopakami z miasta, którzy bardzo jawnie, demonstracyjnie prezentowali i mówili o swoich komunistycznych przekonaniach, a wcale nie mieli nic wspólnego z kolonią. Agnus miał więc duże wątpliwości w tej sprawie a także spotykał ludzi wręcz wyśmiewających taką teorię i mówiących, że chociaż mają inne przekonania, to chętnie byliby gotowi udawać komunistów, gdyby w ten sposób mogli z miasta zostać przeniesieni i mieszkać w tak wygodnych i zdrowych warunkach i za niską, symboliczną opłatą. Wyglądało, że „ci wstrętni kapitaliści” w tym miejscu posłużyli się tak cywilizowanymi metodami, że to wprost zamaskowana akcja charytatywna.

Biorąc pod uwagę rewelacyjnie piękne położenie i inne zalety, należy raczej przypuszczać, że była to pokazowa akcja socjalna, zaniechana albo przerwana następnie z braku funduszków. (W tym miejscu trzeba dodać, że w okresie okupacji Polacy we własnym gronie wymieniali komentarze i dyskutowali o wiele bardziej otwarcie, śmiało albo nieostrożnie, jak kto woli to nazwać - niż w latach następnych pod reżimem komunistycznym. Nigdy nie widziało się takiej wolności słowa, jak w konspiracji).

Za kolonią robotniczą, do szosy przylegał spory kawał lasu ogrodzonego, a więc zapewne prywatnego. Jednak widocznie właściciel nie dbał o niego w czasie okupacji, gdyż w ogrodzeniu które ciągnęło się od północnej strony szosy może 1- 1,5 km, były liczne dziury, podobne znajdowały się również w ogrodzeniu od strony kolonii robotniczej i od trzeciej strony, którą stanowiła piaszczysta polna droga, przy której stały trzy duże niewykończone domy albo raczej surowe mury trzech domów, usytuowane w rozległych, oparkanionych ogrodach. Budowy rozpoczęto w 1939 r i następnie, z powodu wojny, przerwano.

Jedynie całe ogrodzenie tego kawału lasu, o powierzchni prawdopodobnie stokilkadziesiąt ha, znajdowało się od strony wielkiego i starego lasu, do którego przylegał on od czwartej strony, natomiast od pozostałych trzech praktycznie co kilkadziesiąt metrów znajdowały się przejścia, z których korzystali zbieracze jagód, grzybów, suszu drzewnego na opał, a być może i amatorzy grubszego drzewa, chociaż raczej mało, bo z jednej strony las ten był jeszcze zbyt młody, a z drugiej dziury w płocie nie były wygodne do transportu pni drzew, a większych przejść nie było. Także i Angus chodził tam parę razy, bardziej z ciekawości niż na zbieranie czegokolwiek, później jednak wolał iść nieco dalej do dużego lasu.

Za tym ogrodzonym, ciągnął się następny znacznie większy teren leśny, bardzo urozmaicony. Były tam ostępy starego lasu sosnowego, ale także las mieszany, partie młodniaka, polany, miejsca pokryte chaszczami i krzakami, przeplatające się również z polami uprawnymi. Las ten zachował się w nieregularnym stanie naturalnym, a szczególnego uroku nadawało mu to, że był to tzw. las o dnie bujnym, zupełnie odmienny od jednostajnych lasów o tzw. dnie suchym, zwykle monokulturowych, do jakich Agnus był dotąd przyzwyczajony.

W tym to lesie Angus spędził większość koszmarnych dni czerwca i reszty lata 1940 roku, tragiczne dni kapitulacji Francji i pierwsze miesiące straszego przygnębienia, utraty wszelkiej nadziei - kiedy ojciec, można powiedzieć, twardą ręką utrzymał go przy życiu, zmuszając do bezustannej pracy nad zadaniami arytmetycznymi. Do tego lasu chodzili razem i tutaj, wybrawszy odpowiednie miejsce na rozłożenie koca, Agnus liczył przez sześć do ośmiu godzin, przedtem jeszcze rano w domu i potem znów po powrocie wieczorem. Wówczas uważał to za znęcanie się nad synem, bezduszną tyranię i miał ogromne pretensje do ojca. Dopiero później zrozumiał, że w taki sposób ratował go on od zupełnego załamania, rozpaczki i prawdopodobnie zrobienia głupstwa. Zaczęło się to bowiem potem, jak Agnus zupełnie serio zaproponował rodzicom popełnienie zbiorowego samobójstwa, gdyż po kapitulacji Francji wydawało się, że wojna jest już ostatecznie przegrana, a hitlerowskie Niemcy staną się panami świata, na którym nie da się już żyć. To był sezon samobójstw, wielu ludzi też tak sądziło.

Zajęcie się pracą omal nad siły dzieciaka i wymuszoną stanowiło ratunek psychiczny i pozwoliło przetrwać kryzys. Potem, gdy przerobili już wszystkie podręczniki i zbiory zadań arytmetycznych, różnych klas i szkół, jakie ojciec zdołał znaleźć i kupić w mieście, głównie w księgarni Wilaka koło Rynku, szalony maraton liczenia skończył się. Spełnił swoją rolę, po

latach Agnus uznał, że to nie było żadne znęcanie się, ale że w ten sposób ojciec uratował mu życie i rozum.

A ponadto przy okazji zaszczerpił to co sam miał najcenniejszego, umiejętność szybkiego liczenia. Przy końcu tego okresu, Angus nabył zdolność rozwiązywania najdłuższych i najbardziej skomplikowanych zadań w pamięci. Czasami tylko działania na długich, wielocyfrowych liczbach, zwłaszcza jeżeli było ich wiele, zapisywał na marginesie i od razu podawał odpowiedź do zadania - tak, że nawet ojciec często dłużej sprawdzał zadania niż Agnus je rozwiązywał. W zasadzie wszystko w pamięci, jedyna rzecz, której jeszcze później się nauczył, to upraszczanie działań, podawanie rozwiązań tylko do wymaganej dokładności, ilości cyfr znaczących i związane z tym uproszczenie działania. Po tym uzupełnieniu przez cały okres swojej aktywności, w szkołach i następnie w życiu, był w stanie wykonać każde obliczenie szybciej niż ktokolwiek inny. Szybciej miał przybliżony wynik, nim ktoś zdołałby wyciągnąć kalkulator.

Jesienią to już raczej Angus pomagał ojcu przetrwać kryzys, grając z nim w preferansa. Podobnie stało się z tą grą - z początku grywali albo w trójkę albo we dwójkę „z dziadkiem”, ale po miesiącach po prostu trudno było znaleźć kogoś trzeciego, bo każdy „dochodzący” gracz był po prostu bez szans i nie chciał więcej grać, więc z konieczności rozgrywali partie „z dziadkiem” tylko między sobą. W końcu, gra uprościło się do rozdawania kart i licytacji, potem reszta ograniczała się to do odkrycia kart „dziadka”, wtedy ustalali wynik bo wszystko było jasne, wykluczone, żeby ktoś popełnił błąd; w wyjątkowych wypadkach, jeżeli zdarzała się różnica zdań, rozgrywali jedno lub kilka wyjść i to już wystarczało. Tak grali przez cały dzień, od wstania z łóżka do wieczornego snu. Dopiero kiedy stało się jasne, że Anglia jednak się obroniła i będzie kontynuować wojnę, skończył się i ten drugi szalony maraton.

Otóż do tego obszaru leśnego Angus względnie Angus z ojcem dochodzili zwykle nie od szosy, ale od strony odwrotnej, polnej drogi i skręcali zwykle w lewo, na południe albo zaraz za ogrodzeniem, albo dopiero spory kawał dalej. Agnus wiedział wprawdzie, że w tym kierunku w lesie znajdują się jakieś samotne domy, ale raczej nie zbliżali się i nie zauważał tych domów.

Właściwie dom Jarugów poznał dopiero w lecie 1942, kiedy zaczął tam chodzić na lekcje polskiego i łaciny. Potem była dłuższa przerwa, aż do ukończenia szkoły handlowej i następna spowodowana ciężką chorobą, która przekreśliła jego pierwszą próbę pójścia do partyzantki. Kontynuował naukę mniej więcej w rok później, od jesieni 1943. Przy tej właśnie okazji poznał i następnie zaprzyjaźnił się blisko z synem, młodym Jarugą. Stopniowo zaczęli

bywać u siebie, naprzemian, prawie codziennie. Teraz jednak Agnus przywykł do drogi szosą i po minięciu ogrodzonego lasu skręcał na północ, w prawo.

W czasie wojny rodzina Jarugów miała dużo szczęścia. Przede wszystkim samotny dom, prawie pustelnia pozostał niewidoczny i niezauważony, nie widział w ogóle najeźdźców aż do jesieni 1944, kiedy teren bliskiego zaplecza frontowego nasycił się wojskami.

**[Kapsuła: Szkoły średnie i nauka w okresie okupacji.** Jak wiadomo, nauka w gimnazjum była zabroniona, a budynek gimnazjalny, duży reprezentacyjny gmach wraz z przyległym terenem, a także budynek naprzeciwko położonej szkoły powszechnej z boiskami został zajęty przez Armię Niemiecką, stacjonowało tam wojsko. Potem, w r 1941 i pierwszej połowie 1942 boiska ogrodzono dodatkowo drutem kolczastym i urządzono wprost na dworze obóz przejściowy dla jeńców rosyjskich. Tam właśnie obserwował Angus opisane poprzednio, makabryczne sceny.

Jednak już w 1940 r gimnazjum zaczęło znów funkcjonować, chociaż oczywiście nie w dawnej siedzibie i nie legalnie. W kraju pod okupacją, powstały podziemne władze legalnego rządu emigracyjnego, a delegatura tego rządu zorganizowała następnie delegatury okręgowe i powiatowe, spełniające rolę dawnych województw i powiatów. Jedną z pierwszych spraw było odtworzenie systemu oświaty. Również i w Ostrowcu zaczęło działać w konspiracji gimnazjum, a wkrótce także drugie.

Oczywiście, warunki nauki były całkiem inne, lekcje odbywały się w różnych i zmieniających się miejscach, przeważnie w prywatnych domach i małych grupach, po kilka, wyjątkowo kilkanaście osób. Zespół nauczycielski pozostawał prawie ten sam, co przed wojną, ale chociaż zmniejszono liczbę godzin każdego przedmiotu, co oczywiście powodowało położenie większego nacisku na pracę domową uczniów, małe grupy wymagały więcej nauczycieli. Dlatego szkoła sama dobierała sobie nauczycieli pomocniczych - formalnie, według dawnej terminologii byli to nauczyciele kontraktowi. Praktycznie przyjmowano wszystkich z wyższym wykształceniem w danym zakresie, a dawni profesorowie mianowani formalnie odpowiadali za poziom swego przedmiotu i egzaminy.

Nauka w zasadzie była bezpłatna, względnie wprowadzano pewne niskie, właściwie symboliczne opłaty, od których zresztą uczeń w razie trudnych warunków bywał całkowicie zwalniany - ale ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, deklarowali dobrowolne opłaty albo składali fundusze w miarę swoich możliwości. Personel pedagogiczny opłacany był z funduszy miejscowej delegatury rządu Polski Podziemnej. Oczywiście, pensje nie były teraz wysokie i nie mogły być porównywalne do przedwojennych, ale i tak były lepsze niż płacone oficjalnie w przedsiębiorstwach i przez okupanta. W stosunku do cen podstawowych art.

pierwszej potrzeby a zwłaszcza żywności, wartość pieniądza spadła wielokrotnie i nadal spadała od końca 1939r. w roku 1940 kilka razy, potem kilkanaście, a obecnie nawet kilkadziesiąt, ale władze okupacyjne nie przyjmowały tego do wiadomości i stale płaciły pensje w tej samej wysokości. Właściwie miało to sens tylko łącznie z tzw. przydziałem kartkowym, również po urzędowych cenach, ale te przydziały praktycznie zwały do ok. 10-20% żywności potrzebnej do przeżycia. Jeszcze tylko opłaty urzędowe były wciąż w tej samej wysokości. W tych okolicznościach mimo utrzymywania systemu pracy przymusowej, zakłady musiały jakoś organizować warunki żeby utrzymać pracowników, na przykład starać się o jakieś dodatkowe przydziały albo w inny sposób dostarczyć im też po tych nierealnych, niskich urzędowych cenach jakieś towary lub usługi. Pracownicy zaś, oprócz wypełniania obowiązku pracy, co nie tyle zapewniało utrzymanie lecz raczej chroniło przed więzieniem lub innymi represjami, musieli sami starać się o znalezienie możliwości utrzymania i przeżycia, o dodatkowy zarobek.

Pod tym względem pensje płacone nauczycielom w konspiracji, nie były całkowitą fikcją i miały pewną wartość realną. Niemniej były one skromne, właściwie na granicy możliwości przeżycia, bo cała struktura podziemna miała zawsze za mało środków i było niemal cudem gospodarowanie nimi tak, żeby zabezpieczyć najważniejsze cele. Podobnie i inni pracownicy czynni w pełnym wymiarze w strukturach państwa podziemnego, a także oficerowie AK, otrzymywali pensje ściśle na granicy przeżycia, można powiedzieć, że częściowo żyli ideą. Żeby to jakoś skompensować, nauczyciele oprócz normalnej pracy w dotychczasowym wymiarze, mogli udzielać lekcji prywatnych.

Otóż lekcje prywatne były stosunkowo bardzo wysoko płacone a mimo to znajdowały nadmiar chętnych, można powiedzieć, popyt przekraczał znacznie podaż. Na przykład w Ostrowcu cena godziny lekcyjnej - tradycyjnie było to 45 min., odpowiadała cenie do 2 kg masła - a przecież w czasie wojny miarą wartości stała się przede wszystkim żywność i dwa kg masła odpowiadało miesięcznym zarobkom niewykwalifikowanego robotnika. Mimo tego, rodzice Angusa posyłali go przez całą wojnę wyłącznie na lekcje prywatne i to bez względu na sytuację, dosłownie czy w domu było co jeść czy nie. Co więcej, pod tym względem Agnus nie był wcale wyjątkiem, na przykład uczył się z kolegami (lekcje prywatne zwykle odbywały się w małych grupkach, 2-4 osób) zarówno takimi, którzy żyli w dobrych warunkach materialnych - rodzice mieli duże gospodarstwo, a nawet jednego majątek ziemski, jak i przeciętnych, a nawet z młodymi ludźmi, którzy sami byli robotnikami w Zakładach Ostrowieckich podobnie jak ich ojcowie, a za swoje zarobki mogli zapłacić ze

dwie lekcje, na resztę pieniądze musieli zdobyć, na przykład w jednym wypadku sprzedając część swego domu.

Zadziwiające jest przy tym, jak wysoka cena lekcji prywatnych wpływała na motywację do nauki. Uczniowie dosłownie stawali na głowie, żeby dobrze opanować materiał i wykazać, że mogą przerobić więcej. Nauczyciele nie potrzebowali żadnych innych form nacisku, wystarczyło, jeżeli po zawsze uczciwym choć surowym sprawdzeniu zdarzyło się czasem, że uczeń czegoś jeszcze nie rozumiał albo po prostu nie zauważył lub opuścił i ten sam materiał trzeba było jeszcze raz powtórzyć. To była największa możliwa kara, finansowa.

Tylko raz, kiedy rodzice znaleźli się naprawdę w krytycznej sytuacji, przez kilka miesięcy w domu jedzono tylko kartofle, nawet bez mleka i prawie bez chleba, lekcje trzeba było przerwać a Agnus miał rozpocząć naukę w normalnym, tajnym gimnazjum - za darmo. Ale kiedy pierwszy raz poszedł na zajęcia i rodzice dowiedzieli się, że w większym zespole byli uczniowie, którzy nie umieli materiału, a także że nauka odbywać się ma w takim rozkładzie i tempie, jak w normalnym gimnazjum przed wojną, jedna klasa cały rok - na tym się skończyło.

Faktem jest, że stosunek do nauki i atmosfera pracy na lekcjach prywatnych był całkiem inny, niż Agnus widział kiedykolwiek przedtem albo potem, a najbardziej starali się, pracując do upadłego zwłaszcza ci najbiedniejsi, których właściwie nie było na to stać. Tylko raz - i to jednego przedmiotu uczył się Angus właśnie z synem właściciela majątku (z rodziny szlacheckiej) - i tylko ten uczył się kiepsko, może nawet i starał się, ale jakoś mu nie wychodziło. W rezultacie nikt więcej nie chciał uczyć się z nim razem, bo po prostu opóźniał zespół i zwiększał koszty - brał potem nadal lekcje prywatne sam, jako jedyny uczeń.

Profesor Jaruga rozpoczął najpierw pracę w konspiracyjnym gimnazjum, a potem zaczął również przyjmować uczniów prywatnych. Był znany jako znakomity nauczyciel, więc mógł wybierać wśród uczniów i przyjmował tylko niewielu, tylu ile czuł się na siłach dobrze uczyć. Stopniowo życie potoczyło się prawie normalnie. Udawało mu się uniknąć wszelkich kontaktów z władzami okupacyjnymi i nadal wykonywał tą samą pracę, z tym, że teraz jeździł do miasta na rowerze i po różnych czasach i przebyciu różnych odległości przyjeżdżał do miejsc, w których odbywały się lekcje. Nie woził ze sobą żadnych podręczników ani w ogóle nic kompromitującego. Trochę trudniej było ze zeszytami, ale po namyśle postanowił po prostu zostawać dłużej tam, gdzie akurat miał lekcje i poprawiać lub przeglądać je na miejscu, a nie wozić do domu.

Mężczyzna już w starszym wieku, a przy tym zaopatrzony we wszystkie wymagane legitymacje, właściwie nie był narażony na większe niebezpieczeństwo, chociaż oczywiście

gdyby Gestapo zaskoczyło ich w czasie lekcji zarówno uczniowie jak i nauczyciele zagrożeni byli karą śmierci, a już co najmniej obozem koncentracyjnym, co zresztą praktycznie oznaczało to samo. Ale właściwie wszyscy ludzie żyjący w GG zagrożeni byli stale karą śmierci - władze okupacyjne ciągle ogłaszały nowe zakazy lub nakazy, niezmiennie kończące się formułą, że kto się do nich nie zastosuje - „wird mit dem Tode bestraft”. Nie tylko sprzedanie, ale nawet kupienie żywności, a to przecież przy zupełnie niewystarczających przydziałach kartkowych musiał robić każdy, też zakazane było pod karą śmierci.

Więc choć wciąż doznawał emocji jadąc do pracy i rozglądał się dookoła, stopniowo przywykł do ryzyka, zwłaszcza że żadna wpadka się nie zdarzyła i tropienia, śledztw w sprawie tajnych szkół nie było. Bardziej realne niebezpieczeństwo wiązało się z tym, że większość uczących się młodych ludzi brała jednocześnie udział w różnych innych formach konspiracji i należała do podziemnych organizacji. Wprawdzie szkoła żądała, żeby uczniowie nie nosili ze sobą żadnych kompromitujących materiałów a zwłaszcza broni, i żeby również domy i miejsca, gdzie odbywają się lekcje były zupełnie „czyste”, nawet od tajnych gazetek. Ale mogło się czasem zdarzyć, że te zalecenia nie były przestrzegane, ludzie nie zawsze postępują odpowiedzialnie. A najbardziej niebezpieczne mogłoby być, gdyby ktoś z tych młodych ludzi był śledzony lub Gestapo sprawdzało jego wszystkie kontakty w związku z inną sprawą. Z początku więc te, kilka razy w tygodniu wyjazdy do miasta i do pracy w konspiracyjnej szkole stanowiły sensację, ale stopniowo stawały się rutyną. Tylko jeszcze od czasu do czasu do czasu rozlegały się dzwonki alarmowe o niebezpieczeństwie, na przykład gdy któryś z uczniów został aresztowany lub zabity, albo zdążył uciec przed aresztowaniem, lub gdy na mieście coś się działo, jakaś akcja policyjna lub oblawa. Nie trzeba było nawet niczego robić, można też było zostać zatrzymanym albo zabitym przypadkiem, tylko dlatego, że o niewłaściwym czasie było się w niewłaściwym miejscu. To rozwinęło w nim pewną słabość, której dotychczas nie miał, gdy po silniejszych wrażeniach znalazł się z powrotem w domu, wypijał jeden kieliszek. Nigdy więcej.

Rodzina - żona i syn żyli jak w pustelni, prawie nie wychodząc z domu. W każdym razie Jaruga nalegał, żeby szosą nie chodzili nigdy dalej, jak do wysokości dawnego gimnazjum a zwłaszcza nie zbliżali się do miejsca, gdzie kończyły się już błonia i zaczynała zwarta zabudowa a z prawej strony szosy, która w obrębie miasta nazywała się dawniej ulicą Sienkiewicza a obecnie Radomską, stały dwie dwupiętrowe kamieniczki, jedna otynkowana i druga z cegły, zajęte przez Gestapo.



Nawet on sam nie lubił tamtędy przejeżdżać, jeżeli cel drogi na to pozwalał, zwykle skręcał przed gmachem gimnazjum w prawo ulicą Żeromskiego i przez mostek do wału przeciwpowodziowego, a następnie po nim do miasta.

Żona, na którą miał wielki wpływ, posłuchała i prawie nie wychodziła z domu, a raczej z lasu, gorzej ze synem. Chłopaka w wieku kilkunastu lat trudno utrzymać w domu, więc wymógł chociaż jedno: nigdy prosto szosą do miasta, najdalej do wysokości gimnazjum, w ostateczności dalej tylko tą bezpieczniejszą drogą którą sam jeździł. Syn wprawdzie miał Kennkartę, ale gorzej było z Arbeitskartą i w razie czego jak nie mógłby trafić na roboty do Niemiec. Próbował zainteresować go swoim hobby - majsterkowaniem w drzewie i ogrodnictwem i to się częściowo udało; chłopiec miał wyraźnie dar do majsterkowania. Chociaż w odróżnieniu od ojca wołał mechanikę od stolarki, a co do ogrodnictwa, wołał raczej zjadać stanowiące dumę ojca śliwy niż je hodować.

Wreszcie, uczył też syna, chociaż było to sprzeczne z zasadami, bo uważał, że rodzice nie powinni uczyć własnych dzieci. Kompromis z przekonaniem polegał na tym, że nigdy nie uczuł syna z innymi uczniami tylko zawsze osobno, całkiem prywatnie - i był dla niego jeszcze bardziej wymagający niż dla innych, a to znaczy sporo.

Jednak synowi nadal brakowało towarzystwa i między innymi dlatego tak szybko i blisko zaprzyjaźnił się z Angusem. Pewną okolicznością sprzyjającą było także to, że Agnus mieszkał wtedy akurat przy granicy miasta, przez pewien czas dokładnie w budynku starej bursy, a później też bardzo blisko, a więc był to ciągle teren stosunkowo bezpieczny i rodzice chłopców nie mieli żadnych obaw co do częstych wzajemnych odwiedzin.

Ostrowiec Świętokrzyski był miastem z dużym, prawie 40% odsetkiem ludności żydowskiej i było nieuniknione, że między społecznościami zdarzały się zadrażnienia. Pewna część Polaków nie lubiła Żydów (nie nazywano tego wówczas antysemityzmem, a zresztą zwykle ci Polacy mieli „swoich” Żydów z którymi się przyjaźnili), a z kolei niektórzy Żydzi nie lubili też Polaków, też z pewnymi wyjątkami.

Oczywiście w Polsce nigdy nie było usankcjonowanego antysemityzmu, tym bardziej praw lub przepisów tego rodzaju. Jedyna ustawa stanowiąca przedmiot sporu, nazwana przez część prasy brukowej niezbyt trafnie zakazem rzezi rytualnej była czasem wskazywana niesłusznie jako wymierzona przeciw Żydom chociaż w rzeczywistości nie zakazywała ona nigdy zabijania zwierząt zgodnie z przepisami religijnymi Starego Zakonu, a tylko zakazywała zadawanie cierpień zwierzętom. Nie było to więc uniemożliwienie, a tylko być może pewne utrudnienie produkcyjne, zwiększające nieco koszty, ale w ogólnym poczuciu słuszne. A co do komentarza, krótko mówiąc polski antysemityzm, jeżeli będziemy to tak

nazywać, miał może czasem charakter złośliwy lub dokuczliwy, ale nigdy morderczy. Małpi, ale nie wilczy.

Tym niemniej, w warunkach gdy nawet nie lubiące się wsie albo sąsiednie dzielnice pozostawały nieraz ze sobą na stopie wojennej, zdarzały się też często bójkami między Polakami i Żydami. Zresztą w tym wypadku Żydzi nie byli też aniołami ani bezbronnymi ofiarami, a zaczepieni bronili się na ogół skutecznie. Czasem nawet sami byli stroną zaczepną, chociaż trzeba przyznać, że rzadziej. Nie jest przypadkiem, że kluby Makabi dostarczyły kilku najlepszych bokserów, którzy występowali w reprezentacji Polski.

Również w Gimnazjum Ostrowieckim dochodziło do konfliktów i profesor Jaruga, a także całe grono nauczycielskie nieraz miało wiele kłopotów, żeby te konflikty wyciszyć. Zarówno on jak i całe grono nauczycielskie było dalekie od antysemityzmu, może z jednym tylko wyjątkiem, który jednak nigdy nie okazał tego publicznie, a tylko uważano, że miał cichą sympatię do uczniów nastrojonych nieprzyjaźnie do Żydów. A tak w ogóle, to był, także i po wojnie, niechlubny wyjątek wśród grona.

Natomiast sam Jaruga starał się o zachowanie pełnej olimpijskiej bezstronności i traktowania wszystkich jednakowo. Lecz miał też pewną słabość do jednego z uczniów, może połączoną z odrobiną zazdrości, bo uczeń ten potrafił coś, co nie udało się kiedyś samemu profesorowi - pisał wiersze i to dobre wiersze. Nie tylko pięknym językiem, ale i pełne tego, co sam Jaruga uznał kiedyś za swój wielki brak i dlatego zrezygnował - wewnętrznego piękna i treści, z prawdziwą iskrą bożą. Tak się właśnie złożyło, że to akurat Żyd zapowiadał się na wybitnego polskiego poetę.

Jaruga obserwował go z mieszanymi uczuciami podziwu i zazdrości, jednak nie okazywał tego, ani też w żaden sposób go nie faworyzował. Gdy wojna przerwała naukę, uczeń ten był akurat rok przed maturą. W czasie wojny nie mógł już oczywiście uczyć się w tajnym gimnazjum po prostu dlatego, że oddzieliła go granica getta, a społeczność żydowska wypełniała dokładnie wszystkie polecenia okupanta i nie prowadziła podziemnej działalności. Początkowo uniknięto masowych mordów które dotknęły Polaków, ale potem okazało się jednak, że z fatalnym skutkiem na końcu. W Getcie Ostrowieckim nie działało w tych warunkach konspiracyjne gimnazjum, choć w gettach niektórych wielkich miast takie jednak istniały, w warszawskim nawet Uniwersytet.

**[Kapsuła: Los Żydów w okupowanej Polsce, zwłaszcza w getcie ostrowieckim**  
Tutaj trzeba zwrócić uwagę na jeden ważny, a mało znany opinii światowej fakt Otóż przez pierwsze dwa lata mniej więcej - być może były to niepełne lata, w każdym razie do jesieni 1941 Niemcy poddawali masowej eksterminacji wyłącznie Polaków, a nie Żydów. Mówiło

się nawet wtedy, że lepiej być Żydem niż Polakiem. Owszem, zdarzały się indywidualne wypadki mordowania Żydów, ponadto padali oni ofiarą ucisku, upokarzającego traktowania i oczywiście rabunku. Zostali zmuszeni do noszenia widocznych oznaczeń i odzieży, potem zamknięci w gettach, przy czym z początku segregacja nie była zupełna lecz stopniowo zaostrzana, a w końcu Niemcy położyli specjalny nacisk na pełne oddzielenie od siebie społeczeństwa polskiego i żydowskiego. Jednocześnie sączyli a wkrótce lali strumieniem jadowitą propagandę nienawiści i pogardy, propagandę antysemityzmu, podkreślając w niej sfabrykowany przez siebie rzekomy fakt, że Żydzi nie tracą własnej krwi, a popychają i popychają do walki Polaków.

Wystarczy przejrzeć wydawane wówczas gazety, zwane gadzinówkami, żeby zobaczyć jak pokrętnie i złośliwie przekręcane były fakty. - Patrzcie, tchórzliwi Żydzi podporządkowali się wszystkim zarządzeniom władz niemieckich, nie próbują oporu i dlatego mogą żyć bezpiecznie. Pewnie, Niemcy nauczą ich teraz uczciwej pracy bez pasożytowania na innych, nie będą mieć tak dobrze jak dawniej, ale za to nic im nie grozi. A Polacy ciągle się buntują, ośmielają się stawiać opór, nawet walczyć z Niemcami i dlatego trzeba ich zabijać. - Wymyślano też zupełnie absurdalne bzdury, o rzekomym zniszczeniu przez Żydów pomnika Kościuszki, co miało spowodować wysadzenie przez Polaków w powietrze synagogi w Łodzi, kłamstwa tak głupie, że aż śmieszne.

Na ogół, społeczeństwo polskie było odporne na hitlerowską propagandę, nawet aż za bardzo, nawet zupełnie przypadkową prawdziwą wiadomość z gazety uważano z góry za kłamstwo. Ale ta odporność wytworzyła się stopniowo. Na początku podstępna i perfidna propaganda jednak trafiała do niektórych ludzi. Natomiast w następnych latach, już pod okupacją sowiecką, to wyrobione uwarunkowanie trwało nadal.

Przez pierwsze dwa lata nie mordowano Żydów, w każdym razie nie masowo. Nie było zbiorowych egzekucji, pokazowych masowych rozstrzeliwań ani obozów śmierci, wszystko to dotyczyło tylko Polaków. Mało kto pamięta obecnie, że Oświęcim i inne masowe fabryki śmierci, zanim użyto je do eksterminacji Żydów, służyły do więzienia i mordowania Polaków. Przeszły okres próbny, produkcję eksperymentalną, opracowanie najbardziej wydajnej i ekonomicznej metody zabijania - od zagłodzenia, mordowania metodą radziecką strzałem w tył głowy, przez zabójcze zastrzyki, do najbardziej rozwiniętego technologicznie zagazowania, a także badania i opracowanie optymalnej metody pozbycia się zwłok oraz częściowej ich utylizacji. To wszystko przeprowadzono posługując się jako surowcem Polakami.

Jesienią 1941 sytuacja nagle się zmieniła. Niemcy rozpoczęli masowe mordowanie Żydów. Nie zaprzestali przy tym bynajmniej mordowania Polaków ani zsyłania ich do obozów koncentracyjnych, ale tempo wyraźnie się obniżyło, a to po prostu dlatego, że najbardziej nowoczesne i udoskonalone fabryki śmierci mają określoną zdolność przerobową i ta zdolność była już wykorzystana do granicy możliwości. Potrzebna więc była rozbudowa istniejących obozów i budowa nowych, względnie oddziałów i filii już istniejących. Ponadto i personel sił specjalnych miał pełne ręce roboty i był przeciążony pracą. Tak czy owak, Polacy odczuli to jako czasową ulgę, a niemiecka propaganda miała znowu materiał do wszczepiania jadu antysemityzmu, z którego jednak teraz tylko bardzo mała część przeniknęła, po prostu dlatego że teraz Polacy nie mieli żadnej wątpliwości, że po wymordowaniu Żydów przyjdzie znów kolej na nich. Przejściową ulgę przypisywano raczej położeniu geograficznemu. Hitler prowadząc ciężką wojnę na wschodzie nie życzył sobie zamieszania na liniach komunikacyjnych. Właśnie wtedy ostatnie doświadczenie, eksterminacji ludności polskiej na Zamojszczyźnie, dało wynik negatywny. W bezwzględnej wojnie na całkowite wyniszczenie siły niemieckie, nie tylko zaangażowane na froncie ale i rozciągnięte na nowych ogromnych terytoriach okazały się niewystarczające.

Jest wiele sprzecznych, a czasem zupełnie fantastycznych teorii, dlaczego aż do jesieni 1941 r hitlerowcy nie prowadzili eksterminacji Żydów, lecz tylko ich nękali i upokarzali - a potem nagle rozpoczęli mordować na totalną skalę. Niektórzy wiążą to z atakiem Hitlera na ZSRR. Rzeczywiście, zdarzenia te oddziela nie wiele czasu, a jeżeli przyjmiemy, że akcję tą rozpoczęto dopiero, gdy Hitler nabrał już przekonania o powodzeniu, to można przyjąć, że nastąpiły one jednocześnie.

Jednak bardziej racjonalna i prawdopodobna wydaje się teoria, że ta zbieżność jest przypadkowa i bez większego znaczenia, a ważniejsze są przyczyny ekonomiczne. II Wojna Światowa nie mieści się w normalnych kategoriach, to nie tylko barbarzyński napad mający na celu podporządkowanie sobie Europy i w perspektywie reszty świata wymuszone masowym terrorem i nieludzkimi metodami, z programowym mordowaniem ludności cywilnej dla złamania morale przeciwnika. Ignoruje się podstawowy fakt, że to był „Mord und Raub” - wojna miała charakter największego w historii napadu rabunkowego - i to nie dodatkowo ani na marginesie, według zasady „niech wojna żywi wojnę” ale jako cel główny. Rabunkiem zajmowała się III Rzesza jako całość, wszystkie jej organy państwowe i agencje. Pewne ochłapy pozostawiano także dla bezpośrednich wykonawców, ludzi którzy w tym brali udział. W pierwszym rządzie dla tych na wpływowych pozycjach, ale także dla funkcjonariuszy i nawet dla prostych żołnierzy stwarzano liczne okazje. Udziałem w rabunku

lub stworzeniem okazji do także indywidualnego rabunku zapewnił sobie Hitler masowe poparcie. Wprost zdumiewające, że zapomina się fakt, że Niemcy wchodzili we wojnę bardzo niechętnie, absolutnie bez entuzjazmu, a dopiero następnie popularność Hitlera i masowe poparcie ogromnie wzrosło - kupił je za tę cenę. I to było celowe i świadome działanie nawiązujące do teorii Hitlera opartej na selektywnie dobranych przykładach z historii, które miały gwarantować prowadzenie skutecznej wojny, z powołaniem się na Czyngis Chana, Vikingów itd.

Terror i rabunek, rabunek i terror. W tym programie Żydzi, jako najzamożniejsza warstwa stanowili szczególnie tłusty i łatwy kąsek.

Od samego początku władzy Hitlera, zanim jeszcze zaczął podbijać inne kraje, niemieccy Żydzi poddani zostali wymuszeniu i rabunkowi, w ten sposób zapewniając finansowe zaplecze i motywację dla zwolenników reżimu. Wiele, a chyba nawet większość poparcia zawdzięczał Hitler tylko temu, że umożliwił swoim stronnikom rabunek mienia Żydów. To zaś, że zbrodniarz swoje ofiary przedstawia w najpaskudniejszym świetle, oczernia je i zożydza, to przecież jedno z najbardziej oczywistych i podstawowych praw psychologii.

Jest więc logiczne i prawdopodobne, że organy państwa niemieckiego i ludzie, którzy mieli w nich coś do powiedzenia po prostu wymusili najpierw cały możliwy okup od gmin żydowskich, ludność których w tym celu zgromadzili i zamknęli w gettach, żeby tam wyssać z nich całą krew, wydusić majątek. Wiadomo, że bandyta który od razu zabija ofiarę musi zadowolić się czasem tylko niewielkim łupem, tyle ile zdoła znaleźć. Niemcy postępowali jak porywacz, wymuszając najpierw cały majątek, wszystko - i dopiero potem mordujący ofiarę całkowicie obrabowaną, gdyż dalsze pozostawianie jej przy życiu jest bezcelowe, a w przyszłości może okazać się niebezpieczne.

Stąd wniosek, że Niemcy zmusili Żydów do opłacania się i dopiero kiedy zabrali im już wszystkie dobra, kosztowności, dewizy i zwłaszcza możliwe do ukrycia cenne elementy majątku, przystąpili do ich fizycznej likwidacji połączonej z rabunkiem resztek majątku, mniej wartościowych a objętościowo i wagowo większych. Naziści działali w oparciu o doświadczenia uzyskane przedtem w samych Niemczech, gdzie też rabowali i zabijali Żydów, ale nie zawsze zdołali przechwycić cały majątek. Wiele ofiar zdołało zbiec i odwołać się do opinii światowej - wprawdzie nie odniosło to skutku, ale jednak okazało się kłopotliwe. Teraz ulepszono metody rabunku.

Inna hipoteza jako punkt wyjście przyjmuje źródło natchnienia Hitlera, z którego zaczerpnął swą rzekomo mistyczną koncepcję antysemityzmu. Otóż na początku 20 wieku w

Rosji ukazał się pamflet, paszkwil i zarazem brukowa broszura sensacyjna pod tytułem: „Protokoły rady mędrców Syjonu”. Autorstwo tej publikacji jest dotąd sporne, nie ulega jednak wątpliwości, że została napisana na zamówienie przez kogoś z grupy skrajnie szowinistycznych, tzw. czarnosecinnnych pisarzy lub raczej pismaków. Ta grupa istniała w Rosji od kilkudziesięciu lat i Polacy znają ją z własnego doświadczenia. Na przykład w podobnych sensacyjnych wydawnictwach opisano polskie powstania i walczących o niepodległość ludzi jako zgraję zbrodniarzy o rękach ociekających krwią, polskie duchowieństwo jako głęboko zakonspirowaną, przestępczą organizację mafijną bynajmniej nie podlegającą hierarchii kościelnej, lecz przeciwnie, dowolnie nią manipulującą, kościoły pełne kryjówek i pułapek, tajemnych przejść, magazynów broni i składów łupów itd. Podobnie absurdalne, straszne wizje i plany przypisali ci autorzy „Mędrcom Syjonu” - świat opanowany przez tajną organizację żydowską, która przybierając w różnych krajach różne maski i wykorzystując swe wpływy oparte na sile pieniędzy, steruje państwami i narodami w celu ich wzajemnego zniszczenia i w ostatecznym celu, osiągnięcia całkowitego i w końcu jawnego panowania Żydów nad całą kulą ziemską.

Otóż ta broszura, właściwie brudna szmata, jedna z wielu podobnych tej grupy „wściekłych” pamflecistów napisana została na tyle sensacyjnie, że znalazła czytelników i została przetłumaczona na kilka języków europejskich. Jest faktem, że w książce Hitlera „Mein Kampf” znajdują się miejsca i ustępy wykazujące uderzającą zbieżność z tą broszurą, a nawet fragmenty o prawie dosłownym lub nieznacznie zmienionym brzmieniu. Krótko mówiąc nie ulega wątpliwości, że Hitler czytał tę książkę, że pobudziła ona jego wyobraźnię i stała się podstawą poglądów na kwestię żydowską. Jeżeli tak, to mógłby wyobrazić sobie, że w rzeczywistości zarówno ZSRR i ustrój komunistyczny jak i tzw. zgniła plutokracja zachodnia są sterowane przez tę samą światową organizację żydowską, co zresztą prasa hitlerowska twierdziła wielokrotnie, - a reszta to tylko sprawa różnych masek w różnych krajach. Dlatego też mógł odkładać ostateczną rozprawę z Żydami do napaści na swego, dotychczas potrzebnego sprzymierzeńca i sojusznika ZSRR a ściślej aż do czasu kiedy ta nowa wojna przybrała pomyślny obrót.

Oczywiście, trudno jest zrozumieć tak spaczoną psychikę. Raczej jednak wydaje się, że Hitler nie był bynajmniej idiotą, a jego rzekomy mistycyzm i okryty tajemnicą obraz świata był zwykłą bajką dla mas. Był hipokrytą, oszustem i szalbierzem a fantastyczne koncepcje, w które sam nie wierzył podawał w ściśle praktycznych celach dla swoich fanatycznych wyznawców. Wielu przywódców bandyckich, a na wielką skalę mafia i także

niektóre przestępcze sekty też tworzy sobie legendę. Od czasu starca z Gór wiadomo, że choćby pewien procent ogłupionych fanatyków ułatwia przestępcom skuteczne działanie.

W Niemczech nie było nigdy kilku różnych zdań, różnych dążeń, ścierania się poglądów, z których jeden następnie przeważał. Tylko Hitler planował, osobiście wizje przyszłości i następnie nie zajmując się już osobiście wykonawstwem dobierał odpowiednich ludzi do ich wykonania. Jeżeli zawiedli albo nie umieli sobie poradzić to dobierał nowych. Podobnie jak w wielu innych rzeczach i w tym wzorował się na Stalinie, którego jednak znacznie przewyższał umysłowo a rozumiejąc bratnią duszę, bez trudu wykołował.

W każdym razie w jesieni 1941 Niemcy od ucisku, upokarzania i rabunku przeszli do masowego mordowania Żydów. Jednak i wtedy, przez ponad rok stwarzano pozory, że nie chodzi o zupełną eksterminację wszystkich Żydów; że będą mieli szansę przeżyć ci, którzy nadal będą w stanie się okupić, najbogatsi - oraz ci którzy najgorliwiej się wysługują. Zdrajcy znaleźli się wśród Żydów, podobnie jak w innych społecznościach.

Od tej tragicznej chwili polski ruch oporu rozpoczął akcję pomocy Żydom. Niestety było już za późno - a możliwości i rozmiar tej akcji musiały być skromne.

W pierwszym rządzie, władze Polski Podziemnej przekazały na początku roku 1942 informację o zbrodniach do wolnego świata. Te informacje zostały najpierw przyjęte z niedowierzaniem, potem zlekceważone, na koniec ocenzurowane i całkowicie zakazano ich publikacji. Rząd Polski nie zrezygnował, zebrano i przekazano nowe dokumenty i oczywiste dowody, dwukrotnie wysyłając specjalne misje pod kierunkiem odpowiedzialnych i reprezentacyjnych emisariuszy z kraju, będących jednocześnie naoczными świadkami tej akcji. Zebrane dowody były tak oczywiste, że nie można było im zaprzeczać, nadal mówić o „polskim kłamstwie” - jak dotąd.

Jednak i tak zakazano podawania tego do wiadomości opinii publicznej i na polecenie rządów walczącej koalicji nakazano ocenzurowanie tych doniesień. Rząd Polski zdecydował się w tej sytuacji na podanie informacji wprost do organizacji żydowskich. Na osobisty apel prezydenta Roosevelta organizacje te, z Światowym Kongresem Żydów na czele, zgodziły się na dalsze wyciszenie sprawy i nie zrobiły nic dla udzielenia jakiegokolwiek pomocy ginącym ludziom. Wyglądało, jakby to Niemcy wykonywali brudną robotę, ale cały świat ją milcząco aprobował. Jakby sami Żydzi, żyjący w lepszych warunkach, na wyższym poziomie i względnym dobrobycie w bezpiecznych krajach, godzili się z koniecznością likwidacji swoich, przeważnie biedniejszych i mniej wykształconych więc może kompromitujących dalszych krewniaków, spisali ich na straty i nie chcieli o nich ani mówić, ani słyszeć. Głos

Polski nikogo nie obchodził. Po prostu zaistniała, na nieporównanie większą skalę, choć na krótszy czas, sytuacja taka jak w znanym wypadku „sprawy katyńskiej”.

Państwa demokratyczne bez wątpienia są wyższą formą ustroju, ale niech nikt nie twierdzi, że idealną. Najlepszym przykładem jest ten kaganiec informacyjny. Cenzura bynajmniej nie wynikająca ze względów wojskowych, lecz mająca na celu świadome okłamywanie, dezinformację własnych społeczeństw. Ten konkretny przypadek był nie mniej haniebny, jak najbardziej brudne wzory propagandy hitlerowskiej lub komunistycznej.

Wobec tego, że Żydzi nie otrzymali żadnej pomocy od wolnego świata, a dowództwo Armii Krajowej, Delegatura Rządu i podległa mu administracja cywilna ruchu oporu na swoje sugestie i meldunki do sprzymierzeńców jedynie negatywne odpowiedzi lub w ogóle ich brak wraz z sygnałami dezaprobaty i niezadowolenia, polskie kierownictwo walki podziemnej powołało własnymi siłami program, oraz specjalną organizację mającą nieść pomoc Żydom - pod kryptonimem Żegota. Mimo skromnych rozmiarów, była to jedyna na całym świecie realna pomoc i próba wsparcia, jak ginący Żydzi otrzymali, a dzięki niej udało się uratować tysiące i krok po kroku, dziesiątki tysięcy - a można było zrobić jeszcze dużo więcej. Właśnie ta droga okazała się jedyną skuteczną.

Akcja „Żegota” nie stała się tak efektywna, jak mogłaby, z dwóch powodów: Przede wszystkim z powodu nie dysponowania dostatecznymi środkami, a ponadto z powodu braku, względnie zbyt późno nawiązanej i niedostatecznej współpracy między organizacjami polskimi i żydowskimi.

Faktem jest, że początkowo Żydzi i Polacy wybrali inną taktykę wobec okupanta. Biorąc pod uwagę oczywistą nierówność sił, Żydzi raczej starali się przetrwać, ugłaskać Niemców, w razie potrzeby składać okup i nie dać żadnego pretekstu do represji przez posłuszne wypełnianie wszelkich poleceń. Jak opisano wyżej, przez pewien czas wydawało się, że ta taktyka przyniesie powodzenie: Żydzi wprawdzie byli dotkliwie prześladowani i upokarzani - ale nie podlegali masowym mordom jak Polacy. Jednak często okupanci zabijali poszczególne ofiary, aby szerzyć postrach, wzmóc presję psychologiczną, - i oczywiście dla wymuszenia większego okupu.

Krótko mówiąc zdarzały się indywidualne morderstwa, ale przez mniej-więcej dwa lata nie było powszechnej akcji exterminacji Żydów, rozstrzeliwania zakładników, zabijania dziesiątek i setek tysięcy ludzi. Początkowo spotykało to wyłącznie Polaków. Dotyczy to także obozów koncentracyjnych, w których opracowywano nowoczesne, „naukowe” metody organizacji pracy, wybór ekonomicznego systemu palenia zwłok (na stosach, czy w piecach krematoryjnych), minimalizacja kosztu dodatkowego opału przy uwzględnieniu zasobu



tłuszczu organicznego, wydajność w wypadku stosowania metody radzieckiej (strzał w tył głowy), powieszenia, trucizny biologiczne lub powodujące szok i śmierć przez zatrzymanie akcji serca. W końcu wyselekcjonowano metody, do finału zakwalifikowały się zastrzyk dotętniczny fenolu względnie gaz i z tym wiązało się nastawienie się na produkcję ciągłą lub okresową, szarżami. To wszystkie prace przeprowadzono na Polakach.

Oba społeczeństwa, żyjące w Polsce miały inne tradycje historyczne. Polacy wybrali od początku walkę i również pod okupacją ani na chwilę tej walki nie zaprzestali. Podobnie jak przedtem, przez 150 lat wszystko odbywało się według stałego scenariusza: Pokolenie po pokoleniu, niczego się nie nauczywszy z poprzednich doświadczeń, powstawało i walczyło, ponosiło klęskę i przeważnie ginęło, po czym martwy spokój trwał, aż dorosło nowe pokolenie, które było pewne, że potrafi zrobić to lepiej. Tak aż do I Wojny Światowej, kiedy warunki polityczne ułożyły się korzystniej i nareszcie taktyka ta przyniosła sukces. Ale po 18 latach pokoju Polska znowu musiała bronić swej niepodległości i do walki z Hitlerem przystąpiła tak zjednoczona, jak nigdy. Powszechnym przekonaniem było, że nie ma innego wyjścia jak zwyciężyć lub zginąć i nie ulega wątpliwości, że to przekonanie było słuszne, Hitler rzeczywiście zamierzał zlikwidować fizycznie Polaków, jak Żydów. Natomiast drugie przeświadczenie, że zwycięstwo jest bardzo blisko - było oczywiście tylko pobożnym życzeniem, pocieszaniem się. W tej sytuacji kierownictwo Polski Podziemnej musiało raczej przez cały czas hamować ludzi, wstrzymywać ich przed przedwczesną walką w sytuacji bez szans, samobójczej, co musiałoby prowadzić do ogólnej zagłady. Dlatego pytania, czy na powstanie wybrano właściwy moment są właściwie absurdalne. Należałoby raczej pytać, jakim cudem kierownictwu AK udało się aż tak długo odwlec powstanie i ograniczyć jego zakres, pomniejszyć straty.

W tam miejscu trzeba wyraźnie powiedzieć, że powyższe stwierdzenia w żadnym wypadku nie sugerują przypisywania Żydom asekuranckiego, małodusznego zachowania. Przeciwnie, Żydzi w swej historii i walce najpierw o niepodległość a potem przetrwanie mieli okresy bohaterskie, rozpaczliwe i pełne samopoświęcenia do granicy samobójstwa. Nasze 150 lat to małe piwo w porównaniu do ich przeszło 2000. Istota sprawy leży w tym, że w ich historii najbardziej ofiarne wysiłki kończyły się zawsze klęską, a efektywne okazywały się starania o przetrwanie, połączone z rozsądnymi dobranymi ofiarami materialnymi. Polacy i Żydzi mieli więc inne doświadczenia historyczne i postępowali zgodnie z nimi. Dzieje Żydów determinowały kurs na rozsądek. Przetrwać nawet za cenę utraty majątku, lepiej dać się obrabować niż zamordować.

Nasuwa się więc pytanie, dlaczego te dwa różne typy zachowania, przyniosły skutek tak niezgodny z logicznymi przewidywaniami. Dlaczego Polacy mimo poniesienia ciężkich strat, a mówiąc to mam na myśli straty przewyższające zdolność wyobraźni czytelników, jednak w większości ocalili, a Żydzi na tym terenie zostali praktycznie całkowicie wymordowani.

Doświadczenia historyczne w tym wypadku nie mogły być przydatne, ponieważ nigdy dotąd ani Polacy ani Żydzi nie byli w takiej sytuacji, nie mieli do czynienia z takim wrogiem. III Rzesza była państwem opartym i w założeniu zaprogramowanym na podstawie nieracjonalnego, „wściekłego” terroru. Można powiedzieć, tam ukształtował się nowoczesny terroryzm w swojej koszarnej, nieracjonalnej postaci. Z poprawką, gdyż należy też uwzględnić ZSRR.

Dotychczas terroryzm, zarówno na mniejszą skalę, jak i państwowy, zamykał się w jakichś racjonalnych ramach, albo traktowany był jak interes, albo miał jakieś konkretne cele. Także Czyngis-chan i Tamerlan, na których powoływał się Hitler w swoim głośnym przemówieniu do dowódców wojskowych na początku wojny - „Zabijajcie wszystkich, kobiety, mężczyzn, dzieci... Historia dzisiaj nie pamięta o milionach zamordowanych... lecz tylko... wielkie czyny...” - nigdy nie stosowali bezcelowego ślepego terroru, lecz posługiwali się nim wprawdzie z piekielną, ale jednak logiką. Owszem, od najdawniejszych czasów znane były wypadki patologicznych terrorystów, działających z nieracjonalnych pobudek, na przykład megalomanii lub dla przyjemności, ale takie przypadki traktowane były właśnie jako rodzaj wścieklizny i stopniowo wytępione. Od II Wojny Światowej znów odrodził się „wściekły” terroryzm odrzucający logikę i rozsądek, niewątpliwie pod wpływem III Rzeszy i także ZSRR. Oba te państwa uczyniły z terroru i państwowego terroryzmu podstawowy dogmat, rdzeń norm ideologicznych i prawnych - i przyczyniły się następnie do rozpowszechnienia modelu postępowania oraz znalazły dalszych naśladowców.

W naturze występuje podobne zjawisko. Większość drapieżników zabija z potrzeby, dla zaspokojenia głodu, ale na przykład lampart albo rosomak zbijają zawsze, jeżeli mogą, bez względu na dostęp do pożywienia. Można oswoić lwa lub tygrysa, ale nie da się ułożyć współżycia z grzechotnikiem albo skorpionem. Rozsądna taktyka postępowania nie mogła powieść się w wypadku Hitlera, który po prostu zabijał dlatego, że miał możliwość to zrobić. To leżało w jego naturze.

Współcześni psychologowie zalecają ofiarom terroru „appeasement”, próbę zaprzyjaźnienia się ze swoim katem, nawiązania porozumienia i kontaktu. W gruncie rzeczy właśnie to, co i tak podsuwa człowiekowi jego podświadomość i naturalne obawy.

Prawdopodobnie nie ma to żadnego znaczenia w wypadku zbrodniarzy traktujących swoją działalność profesjonalnie, natomiast w wypadku patologicznych może stanowić poważny błąd psychologiczny. Posłuszeństwo i uległość ofiary zwiększa satysfakcję kata, podnosi smak okrucieństwa. Oczywiście, w takiej sytuacji żadne dobre wyjście nie istnieje - ale stosunkowo najmniej złe jest zaakceptować możliwość własnej śmierci i walczyć do końca. Ból i nawet śmierć w walce jest po prostu lżejsza i lepsza, czasem w ogóle przychodzi niezauważona. Ponadto pozwala ograniczyć ilość dalszych ofiar, chociaż nie zawsze ginący teraz ma ochotę zastanawiać się nad losami tych, którzy mają zginąć po nim. To też jest zjawisko znane w naturze. Ranny bawół, szarżując przed śmiercią na swego prześladowcę, nie wiele poprawia swój los i trudno spekulować, czy jego śmierć jest czy nie jest lżejsza i łatwiejsza, niż gdyby uciekał i ukrywał się i został zaszczuty po długim i pełnym cierpieniu i strachu pościgu. Ale jego reakcja jest bez wątpienia korzystna dla gatunku - jeżeli myśliwy ocaleje, namyśli się dwa razy zanim zapoluje na następnego bawołu.

Dlatego wydaje się, że te wszystkie pseudonaukowe teorie o pozyskaniu przez ofiary zrozumienia i ewentualnie nawet nici sympatii terrorystów dla polepszenia swego losu są po prostu nonsensem. Jediną nicią porozumienia może być tylko interes, a jeżeli nawet on nie wystarcza, to znaczy że, pech, trafiło się na najgorszą możliwość, spaczoną, patologiczną psychikę, która potrzebuje dowartościowania się przez zadawanie cierpienia, poniżenia i ostatecznie zawsze śmierci. W takim wypadku każda próba *appeasement* dostarcza jej satysfakcji i pobudza do jeszcze większego okrucieństwa. Przeciwnie, człowiek, który dla poczucia swojej wielkości stara się wzbudzać strach, z reguły sam jest też podatny na strach jeszcze bardziej niż ci, nad którymi się znęca. Tylko spaczona, słaba i chora psychika kompensuje swoje poczucie niższości dręczeniem i poniżaniem innych. Oczywiście, dążenie do rewanzu, odpłacenie tą samą monetą nie jest uczuciem szlachetnym, ale bardzo ludzkim. Jeżeli zaś ktoś jest zdolny do bardziej szlachetnych uczuć nawet w ostatnich momentach życia, to podtrzymuje go myśl, że prawdopodobnie ocala inne ofiary. Nie ma innej ewentualności, poza walką do końca.

Naprawdę dziwne jest w tym wszystkim tylko to, że ludzkość tyle razy staje przed takimi samymi problemami, po wielu błędach znajduje rozwiązania - i potem tak szybko zapomina o poprzednich doświadczeniach i ponownie zaczyna od popełniania starych błędów.

Faktem jest, że przez pierwszy okres Polacy masowo ginęli nie zaprzestając walki właściwie bez żadnych szans i wydawało się, że postępowanie Żydów jest bardziej racjonalne. Potem jednak sytuacja się odwróciła, po prostu dlatego, że Żydzi byli zupełnie

bezbronni i Hitler miał możliwość, mógł ich łatwo wymordować. Natomiast w stosunku do Polaków miał te same plany, ale musiał odłożyć je dla zgromadzenia odpowiednich sił. Było to zadanie trudniejsze - a jak często bywa, chwilowe trudności mają tendencję do przedłużania się.

Natomiast nieszczęściem stało się to, że okupantom udało się już doprowadzić do pełnego odizolowania obu żyjących na polskiej ziemi społeczeństw. Ponadto społeczeństwo żydowskie faktycznie nie utworzyło nawet rezerwowych struktur ruchu oporu, za wyjątkiem ŻZW (od początku współpracującego z polskim podziemiem, a być może powstałym z polskiej inspiracji) i słabszej, ale bardziej znanej bo autentycznej ŻOB w Warszawie. Właśnie Żydowski Związek Wojskowy i Żydowska Organizacja Bojowa stworzyły, we współpracy z AK, najchlubniejsze karty ruchu oporu Żydów, uwieńczone bohaterskim zrywem powstania w Getcie Warszawskim.

Ci wspaniali ludzie zginęli wszyscy - i sami od początku zdawali sobie sprawę, że jest to jedyny możliwy los, ale wskazali drogę właściwego postępowania w tej konkretnej sytuacji. Nie ulega wątpliwości, że gdyby tego rodzaju przygotowania organizacyjne, struktury ruchu oporu i również współpraca z polskimi organizacjami podziemnymi zostały nawiązane wcześniej, a nie dopiero w ostatniej chwili, bez okresu właściwego przygotowania - Niemcy mieliby o wiele twardszy orzech do zgryzienia. Kto wie, czy również nie musieliby odłożyć czasowo powszechnej eksterminacji Żydów do czasu zgromadzenia dostatecznych sił, a w warunkach wojny na wszystkich frontach to mogło się przeciągać. Faktem jest, że dla niemieckich komand śmierci zbrojne powstanie stanowiło nie tylko niemiłą niespodziankę, ale spowodowało szok i panikę w szeregach zbrodniarzy, przywykłych do lekkiej pracy i łatwych morderstw. Nawet dowództwo niemieckie nie mogło z początku opanować sytuacji i stanęło przed problemem ściągnięcia poważnych posiłków oraz ciężkiej broni.

Tu nie chodzi o pomnik historyczny - ale o to, że w tym momencie Żydzi stworzyli normę postępowania oraz przedmiot podziwu i szacunku nie tylko dla swoich rodaków, ale dla wszystkich narodów, w tym oczywiście i Polaków. Można by nawet wysunąć przypuszczenie, że to właśnie od powstania w Getcie Warszawskim zaczęło się odnowienie tradycji waleczności Żydów, która uprzednio zanikła, a następnie odrodziła się w ich nowej Ojczyźnie i obecnie jest powszechnie uznawana za rzecz oczywistą. Niewątpliwie współpraca wojskowa Polaków i Żydów, zapoczątkowana przez ŻZW, ŻOB i AK stanowi jedną z najpiękniejszych kart historii.

Natomiast brak współpracy, wzajemna izolacja wojenna społeczeństwa polskiego i żydowskiego z jednej strony była dziełem bardzo zręcznej i podstępnej polityki okupanta - ale

z drugiej również oddzielnej drogi w szukaniu ocalenia, wyłącznie dla siebie. To dotyczy obu stron i było wynikiem utraty kontaktu już w poprzednim okresie. Zarówno po stronie polskiej, jak i żydowskiej istniały od dawna wzajemne uprzedzenia i napięcia. Choć trzeba wyraźnie powiedzieć, że nigdy nie osiągnęły one takiego poziomu jak w innych państwach europejskich, np. Francji czy Anglii, nie wspominając już Niemiec. Pierwsza połowa XX wieku w całej Europie przyniosła wzrost antysemityzmu i to było zaraźliwe, nie ominęło również i Polski. Jednak tutaj nigdy nie doszło aż do ofiar śmiertelnych, co zdarzało się przecież w krajach demokracji zachodniej.

Niemcy mistrzowsko wykorzystali te możliwości i najpierw przez krótki czas dając Żydom bezpieczniejsze warunki, potem opluwając i poniżając ich za to, co sami stworzyli, wykorzystali propagandę do wmówienia obu stronom wzajemnej nielojalności, zwiększyli wzajemną nieufność. Jednak jak wskazuje przykład Getta Warszawskiego ta przepaść nie była tak duża, żeby nie można jej przekroczyć. Ze strony polskiej, byli wprawdzie ludzie temu niechętni, ale nie mieli oni wielkiego znaczenia ani wpływów, związani głównie z mało znaczącymi, marginalnymi organizacjami. Władze Polski Podziemnej ze względów zasadniczych nigdy nie dopuszczały w ogóle możliwości czynienia różnic, różnego traktowania obywateli polskich ze względów rasowych. Gorzej, że nieufność zapanowała również i w środowiskach żydowskich, często po drugiej stronie drutów getta brak było po prostu partnera, któremu można by podać rękę.

\* \* \*

Profesor Jaruga nie miał radykalnych poglądów, nie był ani antysemitą ani filosemitą. Nie miał też zamiaru ratować wszystkich Żydów, co oczywiście nie było realne. Chciał po prostu ocalić jednego, konkretnego Żyda. Właśnie tego, na którego spoglądał z odrobiną zawiści, tego, który miał w sobie tą iskrę, której jemu Bóg odmówił. Swojego byłego ucznia i jak sądził. przyszłego polskiego poetę.

Jaruga przemyślał tą decyzję starannie i dokładnie, świadomy, że narazi przy tym na śmierć nie tylko siebie, ale i całą swoją rodzinę. Wprawdzie właściwie wszystko co robił związane było z niebezpieczeństwem i jak wyjaśniono powyżej, w zasadzie zagrożone karą śmierci, ale była jedna istotna różnica. Niemcy w tym czasie mieli ważniejsze sprawy na głowie, niż zajmowanie się tropieniem tajnych szkół, więc chociaż zaczynał pracę z dreszczykiem i przez pewien czas jadąc rowerem na lekcje czuł się konspiratorem i super agentem, wkrótce przywykł do tych obowiązków i chociaż nadal starannie przestrzegał zasad konspiracji, to doszedł do wniosku, że właściwie wpaść mógłby tylko z powodu pechowego zbiegu okoliczności, na przykład przy okazji innego śledztwa.

Na przykład kupowanie żywności zagrożone było teoretycznie karą śmierci, ale praktycznie wpadka kończyła się zwykle utratą zakupionego bez kartek towaru. Niemcy zabierali sobie, jak to nazywali, szmugiel i czasami zarabiano się dodatkowo kilka siniaków. Natomiast polowanie na ukrywających się Żydów należało do podstawowych priorytetów, najważniejszych zadań Niemców i kara śmierci obejmowała bez wyjątku wszystkich, którzy udzielili w tym pomocy, a egzekwowano ją zwykle dla przykładu na miejscu i natychmiast.

Jednak po szczegółowym namyśle, Jaruga doszedł do wniosku, że potrafi rozwiązać wszystkie problemy tak, że za wyjątkiem jakichś nadzwyczajnych, nieprzewidywalnych zdarzeń, niebezpieczeństwo nie powinno przekroczyć rozsądnych granic. Sam fakt, że mieszkał w samotnie położonym domu, już stanowił poważny atut. Ale najważniejszy stanowiły jego własne zdolności manualne, jego hobby. Teraz to nabierało decydującego znaczenia. Mianowicie doszedł do przekonania, że w nowo zbudowanym, a nawet nie całkiem jeszcze wykończonym domu jest w stanie, bez zwrócenia na siebie uwagi zbudować prawdziwe kryjówki, w których będzie w stanie przechowywać człowieka przez dowolny czas i praktycznie nie do znalezienia.

Trzeba tylko wykonać to technicznie doskonale, bez najmniejszego błędu. To co dotąd było tylko miłym spędzaniem czasu i duchowym wypoczynkiem, miało teraz decydować o życiu i śmierci całej grupy ludzi, w tym jego wraz z rodziną. Jeden zwracający uwagę szczegół, drobna usterka mogła zgubić ich wszystkich.

Dla dalszej części opisu oraz akcji, istotne znaczenie ma wyjaśnienie położenia i konstrukcji kryjówek, a to wiąże się również z opisem domu i jego otoczenia. Otóż dom rodziny Jarugów znajdował się w głębi lasu, oddalony około 300-400 m od szosy przy samym szczyście wzniesienia. Z jednej strony, aż do szosy teren opadał, a po drugiej stronie ok. 0,5 ha płaskiego terenu stanowił sad i ogród, ze wszystkich stron otoczony lasem, a sam dom i cały teren ze wszystkich stron otoczone drzewami były z daleka niewidoczny. Dom zbudowany był z drzewa i przykryty również drewnianym, krytym papą dachem. Planowano na wierzch jeszcze gonty, ale wojna przerwała prace wykończeniowe. Stał na kamiennym podmurowaniu, które od strony szosy miało wysokość ok. 1.40 m, a od strony sadu tylko 30- 40 cm Dwa wejścia do domu prowadziły, z przeciwnych stron do dwu sionek, od strony ogrodu po 3 stopniach, a od strony szosy po 8 schodach i ganku drewnianym. Prawdopodobnie konstrukcja domu wzorowana była na chatkach góralskich, chociaż bez ornamentacji i ozdób.

Z drzwi od strony ogrodu, przez sionkę wchodziło się wprost do kuchni i przez nią do pokoju - dom nie miał centralnego korytarza. Przez ten pokój przechodziło się do dwóch następnych pokoi w amfiladzie i następnie do drugiej sionki i frontowego wejścia na

ganek. W drugiej sionce znajdowały się też schody, prowadzące na piętro. Na piętrze wydzielone były ścianami z surowych belek drewnianych dwa duże pomieszczenia, jedno przy schodach stanowiło pokój gościnny już dobrze urządzone, ale bez własnego pieca, ogrzewanie zapewniał jedynie przechodzący przez pokój ceglany komin kuchenny. Pomieszczenie z drugiej strony stanowił bardzo dobrze wyposażony warsztat stolarski, nawiasem mówiąc jeden z trzech profesora. Większa część piętra była nie zabudowana, stanowiła dużą podłużną halę strychową lub coś w rodzaju bardzo szerokiego korytarza z bocznym rozszerzeniem w środku, które być może miało stać się po odgradzeniu trzecim pomieszczeniem, ale nie miało własnego okna i na razie stanowiło po prostu dość ciemny kąt. Dach nie był prosty dwuspadowy, ale łamany, mansardowy, z oknami na osi. Dom podpiwniczony tylko częściowo, miał dwie oddzielne małe piwnice, do których dostęp przez podnoszone klapy znajdował się w sionkach. Piwnica od strony sionki kuchennej przeznaczona była na zapasy zimowe, a piwnica od strony ganku frontowego stanowiła drugi warsztat i magazynek drzewa (trzeci warsztat znajdował się w oddzielnej szopce).

Oczywiście w tych warunkach najprostszą możliwością było zbudowanie pod niepodpiwniczoną dotąd częścią domu nowej ukrytej piwniczki, oddzielonej od istniejących nie tylko ścianą, ale i warstwą ziemi, tak żeby ani opukiwanie ani nawet przebicie otworów próbnych w ścianach istniejących niczego nie wykazało. Taką właśnie ukrytą piwniczkę typu „priest-hole” Jaruga zbudował pod kuchnią z dostępem koło pieca kuchennego w miejscu, gdzie podłoga zabezpieczona była blachą. Zapewniało to dobrą szczelność pokrycia, szczególnie dlatego ważny, że jak wiadomo, przy szybkich rewizjach Niemcy zwykle dla znalezienia skrytek wylewali na podłogę wiadro wody i obserwowali jej wsiąkanie.

„Priest-hole” oparta była z jednej strony o fundamenty komina i właśnie to wykorzystał profesor do zrobienia kanału wentylacyjnego i zamykanego wyciągu powietrza, tak że osobie ukrytej nie groziło uduszenie, nawet jeżeli powietrze nie było po dłuższym czasie najlepsze. Oczywiście jednak był to tylko schowek tymczasowy, w razie nagłej konieczności mogła się w nim szybko ukryć jedna, w ostateczności dwie osoby - ale nie nadawał się do dłuższego zamieszkiwania. Trzeba było obmyślić kryjówkę, która umożliwiałaby przebywanie w niej miesiącami, może nawet i latami. Chociaż przez cały czas wojny Polacy wierzyli, że już niedługo Hitlera wezmą diabli. po prostu dlatego, że w ten sposób łatwiej było wytrzymać piekło na ziemi, profesor był mniejszym optymistą. Oceniał sprawy trzeźwiej i zdawał sobie sprawę, że są to po prostu pokrępowane na duchu życzenia. Jak wmawianie sobie śmiertelnie zmęczonego wędrowca, że musi dojść już tylko do widocznego punktu i to już będzie koniec.

Jaruga długo rozważał, gdzie zaplanować główną kryjówkę. Budowa podwójnej ściany na parterze odpadała, ponieważ różnica w wymiarach podpadłaby natychmiast. Kilkakrotnie przymierzał się do budowy skrytki na I piętrze, tam różnica wymiarów w pokoju gościnnym lub warsztacie mniej rzucałaby się w oczy, zwłaszcza że każde z tych pomieszczeń miało tylko jedno drzwi - ale doszedł do wniosku, że najprostszy pomiar od razu by wszystko zdradził. Chodząc na górze i zastanawiając się nagle doznał olśnienia: dach! Tak, sam łamany mansardowy dach był z zewnątrz praktycznie niewidoczny. Z bliska nie można było dostrzec załamania, a z pewnej odległości zasłaniały go rosnące wszędzie dookoła drzewa. A więc podwójny dach!

Między pozornym szczytem dachu (od środka) a zewnętrznym prawdziwym dachem można było zbudować wprawdzie nie wysoką, ale bardzo rozległą kryjówkę, trzeba tylko wykonać kilkadziesiąt metrów kwadratowych poziomu, pozornego szczytu dachu, będącego podłogą kryjówki. Obliczył powierzchnię na ok. 12 x 7 m, deski na belkowaniu o wyglądzie identycznym, jak te z których zbudowany był strych, o podobnym wieku i nawet stopniu zabrudzenia, tak żeby nowa konstrukcja nie odróżniała się od starej i pasowała do całości. No i oczywiście ukryte, dobrze zamaskowane wejście.

To była trudna i duża praca, zwłaszcza jeżeli miała być wykonana całkowicie przez jednego człowieka, a to profesor uważał za niezbędny, podstawowy warunek bezpieczeństwa. Mógł wprawdzie liczyć na pomoc syna, chłopca wówczas 14-letniego, a przy końcu pracy 15-letniego, ale silnego i zdrowego. Tajemnica oczywiście nie mogła dotyczyć członków najbliższej rodziny, bez ich zgody nie podjąłby pracy. Jaruga omówił najpierw projekt z żoną i synem, którzy przecież mieli dzielić ryzyko i zapewnił sobie ich akceptację.

Tym niemniej nawet budowa małej, ukrytej piwniczki trwała kilka tygodni, a podwójny dach był pracą bez porównania trudniejszą. Jaruga ocenił, że zajmie mu ona ok. pół roku - a okazało się to zbyt optymistyczne. Był jednak pewien, że pomysł jest dobry i zda najtrudniejszy egzamin, a on potrafi go wykonać. Wobec tego już nie czekając na zakończenie pracy, przystąpił do nawiązywania kontaktów i organizowania ucieczki z getta dla przyszłego podopiecznego.

To również wymagało starannego planowania. Podobnie jak i przy budowie kryjówki, Jaruga postanowił niezmiennie trzymać się jednej zasady: załatwiać w miarę możliwości wszystko osobiście, bez wtajemniczania niepotrzebnie nikogo obcego - jak się to mówi, trzymać karty przez cały czas przy orderach. Jaruga raczej nie był człowiekiem czynu, nie potrafił szybko podjąć decyzji i gubił się, zaskoczony szybkim rozwojem wydarzeń, do przemyślenia sytuacji potrzebował czasu. Z drugiej strony, był niewątpliwie człowiekiem



umiejącym myśleć logicznie i raczej pewien, że jeżeli jakiś problem przemysli, to jego analiza jest zwykle poprawna i rozsądna i może na niej polegać.

Zdawał sobie sprawę, że w tym wypadku porywa się na wielkie ryzyko, gdyż Niemcy mogli nie przykładając wielkiej wagi do szmuglu żywności lub nawet tajnych działań organizacji w zakresie oświaty, jeżeli nie stwarzały one zagrożenia bieżących interesów, natomiast reagowali bardzo gwałtownie i starali się wręcz o efekt pokazowy, jawny terror oraz tzw. zbiorową odpowiedzialność w przypadku spraw które traktowali priorytetowo. Tak było w przypadku masowej egzekucji zakładników - wszystkich prawdopodobnie niewinnych i w ogromnej większości nawet nie wiedzących, dlaczego zostali skazani na śmierć, po przerwaniu gazociągu na Romanowie. Tzw. kwestia żydowska należała do spraw prestiżowych i priorytetowych. Osoby podejrzane o udzielanie pomocy Żydom podlegały natychmiastowej publicznej egzekucji.

Obserwując i słuchając tego co się dokoła działo, Jaruga doszedł do wniosku, że duża część zagrożeń jest po prostu wspomagana przez charakter narodowy Polaków. Nie miał złudzeń w tym zakresie - uważał swoich rodaków za gadatliwych, nawet krzykliwych i nie zrównoważonych, pobudliwych plotkarzy. Wieki życia w warunkach konspiracyjnych nic tu nie zmieniły, nie poprawiły sytuacji. Często mówi się o Polakach jako o Francuzach północy, pewnie dlatego, że w odróżnieniu od Anglików, z ich zasadą izolacji i nie wtrącania się, bardziej zajmują się oni sąsiadami niż sobą. Nie ma żadnej wątpliwości, że duża, a może i większa część tragedii, nieszczęść i ofiar okupacyjnych wynikała z niepoprawnej skłonności do paplania i komentowaniu szczegółów, które nikogo nie powinny obchodzić. Na przykład zdrada „Matora”, która spowodowała niepowetowane straty ludzkie, wynikała z towarzyskiej wiadomości, że „niech pani sobie wyobrazi, syn tamtej pani, oficer, wrócił i wiem z całą pewnością, że jest już w kraju”.

Dlatego profesor Jaruga postanowił załatwiać wszystko osobiście i nie wtajemniczać niepotrzebnie nikogo. O ile jednak udało się to w wypadku skrytki, to nie mógł sam zorganizować ucieczki z getta.

Sytuacja w gettach zmieniała się. Początkowo, jeszcze w 1939r. zarządzenia w sprawie getta wydawały się czystą formalnością, po prostu część miasta wydzielona dla Żydów ze względów administracyjnych, z prawem do własnego samorządu. Właściwie jedyne bezwzględne zarządzenie w tym zakresie dotyczyło wyraźnego oznakowania noszonej przez Żydów odzieży tzw. „Gwiazdą Dawida” na żółtym tle. Brak tego, co Niemcy określali jako „hańbiące piętno” - powodował natychmiastowe zastrzelenie winnego, wprost na ulicy. Taki właśnie wstrząsający wypadek widział Agnus na początku 1940 r. Żołnierz niemiecki

wyciągnął pistolet i po prostu zastrzelił na rogu ul. Piaski i Sienkiewicza kilkunastoletnią dziewczynkę żydowską, właściwie jeszcze dziecko. Podobno był potem z uznaniem poklepywany przez kolegów jako przykład bystrego i spostrzegawczego hitlerowca, a trupa pozostawiono na miejscu przez dwa dni jako przykład (był wtedy duży mróz). Widok zwłok był wtedy częsty, zwłaszcza podczas działań wojennych. Ale to było coś innego, makabrycznego, po prostu trudno było się z tym pogodzić, zwłaszcza że nastąpiło w taki sposób - nic nadzwyczajnego, „Ordnung muss sein”.

Podobnie i w wypadku godziny policyjnej, władze okupacyjne przyznały sobie prawo strzelania bez ostrzeżenia. W tym wypadku jednak zarządzenie to dotyczyło zarówno Żydów, jak i Polaków. Wydaje się, że godzina policyjna dla Żydów i Polaków była inna, ale nie jestem pewien, czy zawsze, czy tylko niekiedy.

W każdym razie w roku 1940 nie było większych utrudnień przy samym wchodzeniu i wychodzeniu z getta, jeżeli tylko zachowało się przepisy. Jeszcze w roku 1941, kiedy rodzina Angusa nareszcie mogła sprawić sobie trochę mebli, Agnus podjął się wyszukać stolarza i rozpytując się, trafił prosto do Getta i ostatecznie do brodatego Żyda, który wyglądał zupełnie jak św. Józef z obrazka, wiszącego w Poznaniu nad łóżkiem Angusa. Ten rzemieślnik wykonał najpierw na zamówienie jedno łóżko, a gdy zrobił to dobrze, rodzina zamówiła go do domu wraz z pomocnikiem. Ta ekipa wykonała przez tydzień różne meble, bez których rodzice Angusa i również on od wysiedlenia aż dotąd musieli się obywać. Cały dom pachniał świeżym drzewem, użyto tylko tanich desek sosnowych, ale praca była porządnie wykonana, a meble wytrzymały do końca wojny i prawdopodobnie wiele lat dłużej.

W roku 1942 nic podobnego nie mogłoby się już wydarzyć. Getto było ściśle zamknięte i odizolowane, otoczone drutami kolczastymi i strzeżone. W zasadzie nie istniała możliwość komunikowania się. Żydzi wychodzili jeszcze z getta, ale wyłącznie grupami pod strażą, albo wyjeżdżali na ciężarówkach w których zwykle było po dwóch strażników z bronią gotową do strzału. Prawie wszystkich mężczyzn, zwłaszcza młodych, a nawet część kobiet zatrudniano przy przymusowych pracach. Przez pewien czas Agnus widywał te ciężarówki codziennie na szosie starachowickiej, woziły robotników do unowocześniania i konserwacji dróg, gdyż z tej strony Ostrowca nie było zakładów przemysłowych zatrudniających Żydów. To właśnie ci młodzi Żydzi, którym eskorta nie rozumiejąca zwykle ni słowa po polsku kazała głośno śpiewać - śpiewali zwykle polskie piosenki wojskowe, a czasem nawet pieśni narodowe i patriotyczne. Można było usłyszeć „Z dymem pożarów” i „Jeszcze Polska nie zginęła”, jedynie „Roty” nie śpiewano, bo podobno właśnie tą melodię niektórzy Niemcy znali i raz doszło do jakiegoś tragicznego zdarzenia. Zwykle były to

„Ułani, ułani „albo „Przybyli ułani”, „Wojenko, wojenko „itp., ale czasem, widocznie zmuszani przez rozumiejących po polsku konwojentów Żydzi musieli śpiewać jak to „przyszedł Hitler złoty i nauczył Żydów roboty”. Ludzie, a zwłaszcza dzieci starali się rzucić kromki chleba, eskorta groziła bronią, ale na ogół na tym się kończyło. Na przykład raz zdarzyło się, że przejeżdżający rowerem żołnierz niemiecki zawołał Angusa, a kiedy on się nie zatrzyma, odstawił mechanicznego rumaka, dogonił Angusa i uderzył go kilkakrotnie aż czapka i za chwilę również Agnus upadli na ziemię, ale nic więcej się nie stało.

**Kapsuła: „Żegota”- organizacja, powstała ze spontanicznej akcji ochotników.**

Początkowo nikt nie podejrzewał, że Niemcy postanowili wymordować wszystkich Żydów. Owszem, wiadomo było, że Niemcy mordują również i Żydów, podczas gdy przedtem mordowali tylko Polaków, a także że w gettach z powodu głodu i bardzo złych warunków sanitarnych, braku leków i opieki lekarskiej śmiertelność jest wysoka. Właściwie getto stało się jakby zbudowanym na miejscu obozem koncentracyjnym, w którym Żydzi stopniowo wymierali. Obecnie Niemcy koncentrowali się na odcięciu wszelkich kontaktów getta z Polakami, zwłaszcza szmuglu żywności, który jednak mimo wszystko się odbywał, być może nie tylko z pobudek altruistycznych, ale i dlatego, że przynosił spore zyski. Dostyc często słyszało się o zastrzelonych przy przemyśle żywności do getta.

Wyglądało więc, że obecnie Niemcy wzięli się ostro za Żydów i prawdopodobnie wielu z nich zginie, ale nie, że wszyscy. Nikt nie spodziewał się komór gazowych, raczej tego że w gettach przetrwają tylko najsilniejsi, lepiej przystosowani - albo najbogatsi. Krótko mówiąc, że spotyka ich to samo, co przedtem Polaków, którzy ponieśli już ogromne straty. Jedni i drudzy liczyli się z całkowitym wytępieniem dopiero, gdyby Hitler zwyciężył. Trudne położenie Żydów polegało obecnie na tym, że byli całkowicie odosobnieni - i zaskoczeni, nie przygotowani do obrony licząc raczej na przetrzymanie złego okresu.

Od chwili, gdy Niemcy rozpoczęli jawne mordowanie Żydów, mimo że ci podporządkowali się wszelkim zarządzeniom okupanta i nie stawiali oporu, a także unikali starannie najmniejszej prowokacji - polskie władze podziemne podjęły wszelkie możliwe kroki dla ratowania Żydów, jakie były w stanie zrobić. Ponieważ wysiłki te, jak wyżej wspomniano, nie znalazły zrozumienia w reszcie świata, w prasie podziemnej ukazały się apele o przekazywanie ofiar pieniężnych na akcję pomocy dla Żydów, ze wskazaniem powstałej samorzutnie do tego celu organizacji „Żegota”. Podobnych apeli, było wiele i to na różne cele, poczynając od potrzeb samej prasy konspiracyjnej, zbiórek na wyposażenie i nawet ciepłe ubrania dla oddziałów leśnych itd. Zbiórki odbywały się na tej zasadzie, że ofiarodawca przekazywał swoje pieniądze wraz z wybranym pseudonimem lub hasłem tą

samą drogą, którą przedtem otrzymał gazetkę. Po pewnym czasie w prasie ukazywało się potwierdzenie. O ile mi wiadomo, nigdy nie zdarzył się wypadek sprzeniewierzenia ofiarowanych w ten sposób pieniędzy, mimo, że przechodziły one przez wiele rąk. W ogóle nie do pomyślenia było, żeby ktoś próbował przechwycić pieniądze organizacyjne, to po prostu nie wchodziło w rachubę ze względu na nacisk opinii publicznej. To byłoby traktowane gorzej od świętokradztwa.

Otóż Profesor Jaruga, zauważywszy taki apel o dobrowolne ofiary w Biuletynie Informacyjnym (oficjalny organ AK) skorzystał z okazji deklarując całość swojej pensji otrzymywanej w tajnym gimnazjum dla „Żegoty” i jednocześnie wezwał do zbiorowej ofiary całe grono. Nikt się też nie uchylił, choć z drugiej strony nikt nie był aż taki hojny. Stała ofiara całej pensji zrobiła zamierzone wrażenie i profesor otrzymał indywidualne podziękowanie od „Żegoty”. O to mu właśnie chodziło, o nawiązanie osobistego kontaktu i przy tej okazji wyjaśniło się, że w akcji Żegota biorą udział znani mu od dawna osobiście, jego dawni uczniowie. Najpierw krótkie podziękowanie złożył mu, zamieszkały wówczas w Warszawie, lecz odwiedzający swą rodzinę w Ostrowcu, rotmistrz kawalerii (a obecnie oficer komendy AK i jeden ze współpracowników Bora, jednocześnie pełniący jedną z centralnych funkcji w „Żegocie”). Był on przeszło dziesięć lat temu uczniem Jarugi i jak sam teraz wspominał, łacina w szkole była jego zmorem. Jaruga przedstawił mu swój pomysł i rotmistrz Kwiecieński obiecał osobiście przekazać go ze swoim poparciem kierownikowi akcji „Żegota” w Ostrowcu.

- Wyprowadzenie teraz kogoś z getta nie będzie łatwe - wyjaśniał, - dlatego, że nie mamy w Ostrowcu dobrych kontaktów w getcie. Współpracujemy najbliżej z ŻOB (Żydowska Organizacja Bojowa), ale to w Warszawie i paru większych miastach, natomiast w Ostrowcu ŻOB w ogóle nie istnieje. Niestety, żaden inny ruch oporu też tutaj nie istnieje, getto całkowicie znajduje się we władzy Judenratu, który we wszystkim ulega Niemcom, a z kolei żydowska policja jeszcze gorliwiej słucha Niemców, niż nawet Judenratu, wprost licytują się w podlizywaniu. Podobno działają tu jakieś komórki komunistyczne, ale nie mamy żadnej pewnej wiadomości. Właściwie jesteśmy prawie bezsilni, mamy tylko parę osobistych kontaktów z pojedynczymi osobami, głównie wśród inteligencji żydowskiej, z których część udało się dawniej wyprowadzić z getta i wyrobić polskie papiery. Ale to dotyczy przeważnie rodzin już dawniej spolonizowanych, którzy mogą ujść w nowym środowisku za Polaków. W pełnym zaufaniu powiem panu, profesorze, że przecież nawet ziemiańska rodzina Halpernów, mająca majątek w pobliżu i spolonizowana od kilku pokoleń, podpada pod ustawy norymberskie.

Właściwie więc mamy bardzo skromne możliwości. Parafrazując Ewangelię, staramy się zebrać i ocalić kilka muszelek nad oceanem nieszczęść. Próbujemy wyciągnąć choć parę jednostek najbardziej wartościowych - albo po prostu wypadki najłatwiejsze, ludzi którzy mają dużą szansę uchodzić za Polaków. I tylko przez tych ludzi mamy łączność. Nie ma kontaktu z żadną tajną organizacją i chyba żadna w tutejszym getcie nie istnieje. Oprócz tego staramy się chociaż przetrząsnąć do getta trochę żywności i to najprostszej, głównie mąki i kaszy, bo lepsze produkty za pieniądze i tak skuteczniej od nas przemycają handlarze dla tych, których na to stać. Cały czas borykamy się z brakiem środków, starcza na jedno a dziesięć rzeczy trzeba zostawić. Dlatego pańska tak wspaniałomyślna ofiara zrobiła duże wrażenie. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że może moglibyśmy pozyskać pana do współpracy w programie i dlatego rozmawiam z panem tak szczerze. A sytuacja jest taka - ogrom potrzeb, nieszczęść i tak mało można zrobić.

- Niestety do pracy w konspiracji po prostu się nie nadaję i nie miałobyście pożytku, - odpowiedział Jaruga. - Nie potrafię zmieniać świata ani nawet jego małej cząstki. Chciałbym zrobić tylko jedną małą rzecz, tyle, ile czuję, że podołam. Nie mogąc ratować wszystkich Żydów, chciałbym chociaż jednego ponieważ czuję, że jego życie może być ważne, jeśli nie teraz, to może dla przyszłych pokoleń i jeszcze dla literatury. -

- No cóż, to Pan, profesorze, jest w tej sprawie osobą kompetentną i Pan ocenił, że tego właśnie należy wybrać. Zrobię co mogę i przekażę Pana do lokalnego kierownika akcji Żegota. - - Dziękuję, ale jest jeszcze jedna sprawa. Starałem się bardzo dyskretnie o rozmowę z kimś z waszej organizacji w tej myśli, żeby mieć do czynienia tylko z jednym człowiekiem. Gdyby rozeszła się wiadomość, że chcę ukryć Żydów lub Żyda, wystarczy że kto rzuci kilka nieostrożnych słów, a nie tylko nie ocalę nikogo, lecz zgubię moją rodzinę i siebie też. - - To niestety niemożliwe, mam inne obowiązki i nie mógłbym pozostać tutaj i poświęcić tyle czasu, ile wymagać może ta sprawa. Ale poznam Pana z jednym tylko i całkowicie pewnym człowiekiem, którego zresztą Pan doskonale zna, to też Pański były uczeń. Poproszę go, żeby ściśle stosował się do pańskich życzeń. A ze mną rozmowy nigdy nie było i w ogóle nie spotkaliśmy się. - W ten sposób profesor nawiązał kontakt z młodym Kawiorskim, który rzeczywiście był też jego dawnym uczniem i zdawał maturę w roku 1938., a mieszkał blisko, po tej samej stronie miasta na Piaskach. Mimo to nie spotykali się nigdy ani w domu profesora, ani w domu Kawiorskich, ani nawet w osobnym małym pawilonie, który młody człowiek miał opodal w dużym ogrodzie, ale wyłącznie i na krótko w mieście.

**Kapsuła: Daremna próba ocalenia jednego człowieka i niespodziewane zastosowanie skrytek.**

Kawiorski zdołał przekazać wiadomość do młodego poety w getcie. Zaproponował dwa plany wyprowadzenia go, wykorzystując doświadczenie i utarte szlaki, którymi dostarczana była żywność: jeden przez Żydowski cmentarz, tzw Kirkut, który leżał na granicy getta i właściwie był pod ścisłym nadzorem - ale tylko w dzień, kiedy też odbywały się pogrzeby. W nocy, kiedy obowiązywała godzina policyjna a cmentarz był strefą zamkniętą i pustą, dostarczano tam, zwykle ok. 10-15 kg worki z kaszą, mąką, czasem grochem lub innymi art., które były chowane w umówionych grobach i następnie zabierane w czasie pogrzebów, worki długie i o małej średnicy można było zawiesić pod odzieniem. Może stąd rozpowszechniło się powiedzenie „martwa skrzynka kontaktowa”, od trumny. Z drugiej strony, zdarzały się już próby schowania się ludzi, ale bez powodzenia. Jednak Kawiorski uważał, że przy odpowiednim przygotowaniu uda się przygotować pewny schowek.

Druga możliwość, którą ostatecznie postanowiono wybrać, opierała się na pewnym nietypowym układzie terenowym getta. Otóż w Ostrowcu było ono przedzielone na dwie części, biegnącą przez środek dróżką dla pieszych. Zaczynała się ona może 500 m za Gestapo, na dole ul Sienkiewicza (wówczas Radomskiej), w miejscu gdzie już za okupacji zbudowano szeroki objazd wzgórza z kościołem, a prowadziła prosto do Rynku. To przejście piesze było najkrótszą drogą do centrum miasta i mocno uczęszczane, a czasem nawet zatłoczone. Wprawdzie z obu stron ogrodzone drutem kolczastym i strzeżone, jednak Kawiorski stwierdził, że właśnie w czasie tłoku organizuje się krótkie „zatwardzenia”, wykorzystywane do szybkiego przerzucania paczek. Kiedy bierze w tym udział grupa ludzi, jest to właściwie najpewniejszy sposób, tyle że niezbyt wydajny ilościowo - nie można przerzucać dużych ładunków i nie za wiele. Kawiorski uważał za możliwe, uprzednie przygotowanie miejsca gdzie druty dadzą się rozchylić. Następnie należało zorganizować krótki tłok i na kilka sekund odwrócić uwagę policji Żydowskiej i nadzorców niemieckich przy ogrodzeniu, tak, żeby jeden młody i zwinny człowiek mógł szybko prześlizgnąć się między rozchylonymi na moment drutami, po czym natychmiast narzucono by na niego wierzchnie okrycie i poszedł dalej wśród grupki w towarzystwie przewodnika, też młodego człowieka, rozmawiając z nim z ożywieniem jak z kolegą.

Niestety ten całkiem realny i mający szanse powodzenia plan nie został zrealizowany. Na początku, sam młodzieniec odmawiał opuszczenia getta, chciał pozostać ze swoją rodziną, gdyż niedawno utracił jednego z rodziców, a drugie było ciężko chore (trudno już obecnie powiedzieć, czy chodziło o ojca, czy matkę, ale nie chciał ich opuścić do końca). W tej sytuacji Jaruga zdecydował się na krok, który dotąd sam uważał za całkowicie nieodpowiedzialny - napisał kartkę do tego z żyjących rodziców, oczywiście nie podpisując

się, ale zrozumiałą dla odbiorcy, prosząc o natychmiastowe spalenie po przeczytaniu. Ten krok odniósł zamierzony skutek i młody poeta zdecydował się albo też został w końcu przekonany na tak, ale tylko jeżeli będzie mógł ze sobą zabrać jednego młodszego brata, w tym czasie kilkunastoletniego dzieciaka. To jednak komplikowało sprawę. W tym czasie nadeszła już jesień, Jaruga wciąż jeszcze budował kryjówkę, a wszystkie wojenne zimy były nadzwyczaj ostre, kryjówka nad strychem, w podwójnym dachu w czasie czterdziestostopniowych mrozów oznaczałaby prawie pewną śmierć dla dziecka, nawet jeżeli dorosły mężczyzna w ciepłej odzieży jakoś by przetrzymał. Drugim powodem był bardzo głośny w końcu jesieni 1942 w Ostrowcu wypadek. Otóż właśnie też w samotnie położonym domu na skraju miasta - było to na końcu, a właściwie jeszcze za ulicą Wspólną, na którą Agnus chodził na lekcje matematyki, już przy ul. Bałtowskiej - Niemcy znaleźli ukrywających się Żydów, całą rodzinę. Niewątpliwie był to wynik jakiego donosu, ale na pewno nie żadnego z mieszkańców tamtego domu, gdyż żaden z nich nie przeżył (zamieszkiwało tam kilka rodzin). Również i dom Niemcy spalili. Wielu mieszkańców Ostrowca, w tym i Agnus chodziło obojętnie pogorzelnisko. To bestialstwo miało stanowić przykład odstrasżający - i stało się rzeczywiście. Profesor Jaruga był w końcu człowiekiem i też się przestraszył, podobnie jak i jego żona (bo syn nie był wtajemniczony we wszystkie szczegóły, a jak to młody chłopak nie przejmował się ryzykiem). Jednak po paru tygodniach Jaruga przekonał żonę, że jego plan jest dobrze obmyślony i prawie 100% pewny, po prostu wpadka nie może się zdarzyć. Zdecydowano więc że akcja będzie wykonana przy pierwszej sprzyjającej okazji zaraz po zakończeniu mrozów.

Niestety jednak, dosłownie w przeddzień wykonania warunki nagle się zmieniły. Dotychczasowe przejście przez getto zostało nagle zamknięte z obu stron, a całe getto otoczono wzmocnionymi strażami, pojawiły się tablice z napisami, że nawet samo zbliżenie do ogrodzenia stwarza niebezpieczeństwo śmierci, gdyż strażę mają rozkaz strzelania do każdego kto to zrobi bez ostrzeżenia.

Właściwie trudno było wyjaśnić co się naprawdę stało, przypuszczano, że albo wykryto jakiś większy przeciek, albo też getto zostanie zamienione w prawdziwy obóz koncentracyjny na miejscu i to jest kolejne obostrzenie przepisów jakich już było szereg. Bądź też, że chodzi o wymuszenie nowego wielkiego okupu od gminy żydowskiej. Ale sprawa wyjaśniła się już wkrótce: tego tragicznego dnia, gdy Niemcy ogłosili, że cała ludność ma się zgromadzić godzinę przed południem, po czym ustawili ich w kolumnach i popędzili, tak jak wziętych do niewoli jeńców i wywieźli do Oświęcimia. Kolumny otoczono uzbrojoną eskortą, która strzelała do każdego kto się wyłamał, nawet jeżeli np. upadł. Jednocześnie

uzbrojeni zbrodniarze rozbijali drzwi i okna, przeszukując domy uliczka za uliczką, zabijając na miejscu obłożnie chorych lub znalezionych ukrywających się i przy okazji rabując, chociaż nie wiele do rabunku zostało. Żydzi byli już wyciśnięci z majątku.

To był właśnie ten opisany wyżej dzień, kiedy wracając wieczorem z Handlówki, Agnus nagle zdecydował się na szaleństwo i pożegnawszy się z kolegami, zanurkował między druty kolczaste i poszedł dalej w stronę domu dawnym przejściem przez getto, przez puste, pokryte rozbitym szkłem, mokre uliczki na których leżały jeszcze resztki pryzm topniejącego śniegu, wyrzucone z domów rzeczy i ludzkie zwłoki. Na jakiegokolwiek udzielenie pomocy było już o wiele za późno, przeszedł aż na drugą stronę nikogo nie napotykając - co i tak było szczęśliwie, bo od połowy drogi strach zaczął mu podnosić włosy na głowie i dopiero teraz uświadomił sobie, co zrobił. Jednak ani nikt do niego nie strzelał ani też go nie zatrzymał, mimo że zaczął teraz iść środkiem i specjalnie głośno, a nawet pogwizdując, gdyż naiwnie pomyślał sobie, że w razie zatrzymania łatwo udowodni, że nie jest Żydem i będzie się tłumaczył, że musiał iść tą drogą bo bał się przekroczyć godzinę policyjną. Oczywiście, gdyby trafił naprawdę na Niemców, szansa że w ogóle ktoś zechciał by go słuchać byłaby znikoma. Budynki Gestapo i dawne gimnazjum minął faktycznie tuż przed godziną policyjną.

Oczywiście Agnus (ani nikt inny) nie miał najmniejszego pojęcia o zamiarach profesora, nawet gdy już przyjaźnił się z jego synem i brał lekcje u ojca. Ale uderzyła go wówczas i zaniepokoiła jedna rzecz: wkrótce po tych zdarzeniach zaczęło zdarzać się, że przed drzwiami piwiarni, w której Agnus pracował, zatrzymywał się profesor Jaruga wracający z miasta, odstawiał rower i podchodził do kontuaru i kazał nalewać sobie szklaneczką, tzw. setkę mocnego bimbru, który Agnus trzymał pod kontuarem (na wierzchu stała jako dekoracja wódka monopolowa), Chwilę patrzył na Angusa naprawdę błędnym wzrokiem i wychodził, a czasem kazał sobie nalać jeszcze drugą setkę. Agnus dosłownie nie wiedział gdzie patrzeć i jak się zachować względem swego profesora, oczywiście nie śmiał zrobić żadnej uwagi, choć przerażała go myśl, że może ten tak wykształcony i nieporównanie górujący nad nim człowiek którego podziwiał, właśnie na jego oczach staje się pijakiem. To było o tyle naturalne, że stojąc za bufetem i patrząc jak w zwierzyńcu na to, co czasem dzieje się po drugiej stronie, można albo samemu się rozpić, albo nabrać głębokiego wstrętu do alkoholu - co miało miejsce w jego wypadku. Na szczęście profesor przestał przychodzić, a po pewnym czasie nawet bąknął, że nie chciał żeby ktoś zauważył trudny okres jaki minął. ale spodziewał się, że jego uczeń potrafi zachować dyskrecję. Faktem jest, że profesor Jaruga wyrzucał sobie wtedy zwłokę i własny brak zdecydowania, winił siebie choć zupełnie niesłusznie - „inni szatani byli tam czynni”.



Należy dodać, że chociaż Agnus nadal i to nawet coraz częściej odwiedzał dom kolegi, a w czerwcu i lipcu 1944 nawet mieszkał w nim przez większość czasu, a przy tym często przesiadywali również na strychu, nie miał absolutnie pojęcia o znajdujących się tam ukrytych pomieszczeniach. Gdy w drugiej połowie października Agnus wrócił z lasu do domu, pierwszego dnia w ogóle nie wychylał nosa za próg, a następnie, po naradzie z rodzicami, wyprawiony został właśnie do domu kolegi, który już o niego zapytywał i wrócił też od kilku dni do Ostrowca. Dom położony całkowicie na uboczu, to było właściwe miejsce na przycupnięcie i rozejrzenie się w sytuacji. Od rodziców wiedział już, że w czasie nieobecności nikt się nim specjalnie nie interesował, przyszło tylko jedno pismo wzywające go do Arbeitsamtu, ale na początku sierpnia Arbeitsamt już się ewakuował podobnie jak wiele innych urzędów. Ostrowiec był obecnie pod zarządem komendantury wojskowej, jako strefa przyfrontowa. Jednak początkowa panika wśród Niemców już się uspokoiła bo front zamarł i nie wykazywał w ogóle żadnej aktywności. Od chwili wybuchu powstania Rosjanie wstrzymali wszelką działalność. Podobno wróciła nawet część Gestapo, które przedtem ewakuowało się pierwsze, ale nie ono stanowiło teraz główne zagrożenie. Teraz każdy młody człowiek musiał liczyć się z tym, że może zostać w każdej chwili zatrzymany i natychmiast wysłany na roboty do Niemiec. Nawet więźniowie, o ile ich już wcześniej nie wykończono - po prostu byli dołączani do transportów a dochodzenia przerywano. Po prostu Niemcy gwałtownie potrzebowali siły roboczej i robili wszystko, żeby wyłowić potencjalnych robotników czy też niewolników, zanim stracą te tereny.

Jeszcze przed świtem następnego dnia, Agnus udał się do domu Jarugów i tam przeżył prawdziwe zaskoczenie. Skrytkę pod kuchnią uznał za arcydzieło, chociaż nadawała się ona tylko do doraźnego, szybkiego ukrycia się w razie nagłego zaskoczenia. Ale na strychu, tam gdzie nieraz przesiadywali z kolegą, grając w szachy albo pomagając czy raczej przeszkadzając przy majsterkowaniu w warsztacie, niespodziewanie zobaczył, że tam gdzie zawsze widział tylko pokrycie dachu, podnosi się kłapa i opuszcza drabina. Wielkość skrytki, prawie 80 m.kw. była po prostu nieprawdopodobna, chociaż tylko na środku można było stanąć. A najważniejsze było, że nikt o tym nie wiedział, cała ogromna praca wykonana została własnymi rękami profesora, który oprócz syna nigdy nie zatrudniał żadnego pomocnika. Wszystko gotowe było na początku 1943, ale jeszcze teraz podczas nieobecności syna, przewidując, że kryjówka jednak może się jeszcze przydać, profesor poprawiał i wykańczał różne szczegóły. Chociaż nie zdołał przeprowadzić wtedy swoich zamierzeń, przynajmniej dzieło, które wykonał miało przyczynić się do uratowania własnego syna. A przy okazji i Angusa. Jakby nagroda pocieszenia.

W pierwszych dniach Mateusz z Agnusem zainstalowali się w skrytce międzydachowej zabierając materace i ciepłe przykrycia, stół i wszelkie niezbędne oraz osobiste rzeczy. Tam teraz sypiali, lecz na dzień schodzili do domu, a także wychodzili do ogrodu - w tym czasie ktoś zwykle wyglądał przez górne okno od strony szosy albo też siedział na ganku. Przez kilka dni odespali się i wypoczęli, a także kilkakrotnie dobrze wymyli aż do stracenia charakterystycznego, „leśnego” zapachu, dymu i, szczerze mówiąc smrodku, wynikającego z braku możliwości zachowania właściwej higieny (bo wszy w zasadzie pozbyli się jeszcze w lesie, przy mrowisku). Ten aromat mógł ich zdradzić z daleka. Dopiero potem zaczęli się odjadać.

Niespodziewanie jednak, trzeciego lub czwartego dnia do domu przyszło kilku żołnierzy niemieckich. Mateusz i Agnus nie mieli czasu dojść do strychu, ale znurkowali do skrytki pod podłogą kuchni i to właściwie jedyny wypadek, kiedy ta priest-hole znalazła zastosowanie. Żołnierze chodzili po całym domu i rozmawiali z profesorem, który dobrze mówił po niemiecku, przez pewien czas studiował we Wiedniu, a także przed tą wojną uczył czasem, oprócz łaciny i języka polskiego, również niemieckiego. Siedząc w piwniczce, odróżniali tylko niezrozumiałe głosy, dopiero potem dowiedzieli się, że Niemcy przyszli zająć kwaterę w domu i po jego obejrzeniu, pozostawiają gospodarzom do użytkowania kuchnię i jeden pokój, a sami zajęli dwa pokoje od strony szosy, to jest jadalnię oraz gabinet i bibliotekę profesora, a ponadto pokój gościnny na górze. Na dole kwatrować mieli oficerowie, a na poddaszu jeden oficer i trzech podoficerów. W lesie przy ogrodzeniu między starym lasem i młodym była duża polana, na której rozstawiano namioty w których zamieszkali żołnierze, oficerowie oprócz domu Jarugi zajęli również drugi, położony dalej dom.

Mateusz i Agnus przenieśli się szybko na strych. Kryjówka miała teraz zdać swój najtrudniejszy egzamin. Niemcy nie przyszli tylko na krótko, ale mieli zamieszkać tu na dłuższy czas, a Mateusz i Agnus mieli stale przebywać tuż nad ich głowami, oddzieleni tylko cienką przegrodą z desek. W dodatku to tak starannie wykonane dzieło profesora, jednak w ciągu kilku lat zeszło się i skurczyło, miejscami między deskami powstały małe szpary i szczeliny, na szczęście niewidoczne z dołu, gdyż górne pomieszczenie było zawsze ciemniejsze, nawet w dzień panował tu półmrok - ale z góry można było sobie wybrać jakąś szparę i leżąc na deskach obserwować pod spodem pokój gościnny albo strych patrząc wprost na Niemców. Na szczęście, przychodzili oni na górę tylko spać wieczorem i zwykle wychodzili rano, nawet gdy byli w domu, to czas spędzali w dolnych pokojach.

W każdym razie projektant tej kryjówki nie przewidział aż tak surowego sprawdzianu. Ale to normalne, we wszystkich projektach, wynalazkach lub wyprawach nie da się przewidzieć wszystkiego, co może się zdarzyć. W tym wypadku profesor liczył się z możliwością przeszukania, rewizji, może nawet kotła w domu np. na 24 lub 48 godz., ale nigdy długotrwałego zamieszkania tutaj okupantów.

Pierwszy problem to było przywyknąć do stałego zagrożenia i nauczyć się zachowywać cicho, już nie jak mysz pod miotłą, ale jak prawdziwe duchy. Przebywając dosłownie tuż przy, a raczej nad Niemcami, odgradzeni tylko cienką warstwą desek i to ze szparami przez które mogli dosłownie wszystko widzieć - na szczęście tylko w jednym kierunku, od strony ciemnej do jasnej, nie mogli niczym zdradzić swej obecności. Nie mogli oczywiście użyć światła, spowodować skrzypnięcia desek, a zwłaszcza źle obliczyć najmniejszego ruchu, na przykład przewrócić cokolwiek, ani spowodować najmniejszego hałasu. Trzeba było poruszać się jak obłok na niebie, miękko, cicho i płynnie, odróżniać i wyczuwać na odległość każdą rzecz względnie mieć w głowie dokładną mapę gdzie co leży i nawet we śnie nie wydać najmniejszego odgłosu. Zachowywać się nie jak żywy człowiek, ale jak własny cień.

Z początku wydawało się to nawet podniecające i ciekawe. Przywykli do pełnej koncentracji, nauczyli poruszać na rękach i nogach próbując każdej deski, pamiętać miejsca, które mogłyby skrzypnąć, widzieć w półmroku, a w nocy w prawie pełnej ciemności rozpoznawać kierunek i orientować się po słabych prześwitach, raczej mniej czarnej ciemności od obu końców wzdłuż osi pomieszczenia. Wyrobili w sobie automatyczny odruch słyszenia wszystkiego, nie będąc słyszalni sami. Poza tym, z wyjątkiem czasu który spędzili leżąc na brzuchu i obserwując Niemców pod sobą, przenieśli się ze wszystkimi rzeczami na drugi koniec kryjówki, tak że zwykle znajdowali się w odległości kilku do około dziesięciu metrów a nie wprost nad żołnierzami.

Wkrótce też stwierdzili, że Niemcy wychodzą rano pełnić służbę i nie było ich nigdy do popołudnia i wtedy można było zachowywać się swobodnie, otworzyć większe kłapy na dachu i wpuścić więcej światła, czytać - bo grać w szachy nauczyli się nawet po ciemku, częściowo na pamięć, podając pozycję cichym szeptem i tylko w wątpliwych wypadkach pomagają sobie niekiedy dotykiem. Po otwarciu kłap w dachu, słychać też było doskonale wszystko co się działo nie tylko w domu pod nimi, ale także dookoła domu. Jeden czytał pod jedną klapą, od strony ogrodu, a drugi z przeciwnej strony szosy, tak żeby cały czas móc usłyszeć nie tylko osoby wchodzące do domu, ale już zbliżające się, gdyż ciężkie buty Niemców zapowiadały ich z daleka. Widać ich jednak nie było, bo środkowa część

mansardowego dachu była prawie płaska i teoretycznie można by dostrzec ziemię dopiero o kilkadziesiąt metrów, gdyby nie zasłaniały jej wokół korony drzew. Oprócz odgłosów z otoczenia, w oddali ok. 200 m pracowała radiostacja i co jakiś czas słychać było wołanie - Hauptman Kroooll!- i po chwili stentorowym głosem - Hauptman Kro-o-o-oll!! Stacjonujący tu oddział składał się z paru baterii lekkiej artylerii przeciwlotniczej, działa rozstawiane były przy szosie dojazdowej oraz pobliskim moście kolejowym w Romanowie, a także ujęciu wody i gazociągu dla Zakładów Ostrowieckich, które wciąż jeszcze pracowały na potrzeby wojenne. Na miejscu znajdowała się baza, zaopatrzenie materiałowe i zaplecze, z którego wychodziły pododdziały pełniące służbę.

Zresztą zupełny spokój panował nie tylko na froncie, ale i w powietrzu. Od wybuchu powstania Rosjanie zawiesili wszelkie działania ofensywne, dając Niemcom mnóstwo czasu i całkowicie wolną rękę do rozprawienia się z walczącymi powstańcami i oddziałami partyzanckimi. Stalin wołał, że to Niemcy wymordują Polaków uparcie walczących o wolność, niż zrobić to samemu, tym bardziej, że uprzednie zlikwidowanie oddziałów polskich w już zajętej części Polski, jak głośne unicestwienie I wileńskiej dywizji AK, formalnie przecież sojusznika i sprzymierzeńca, wywołało pewne, bardzo nieśmiałe i łagodne zapytania ze strony zachodnich aliantów. Wygodniej było pozostawić to Niemcom, a i teraz, już po upadku powstania i rozwiązaniu AK było niezręcznie natychmiast rozpoczynać przerwana przedtem ofensywę. A może chodziło o to, żeby Niemcy mogli z właściwą sobie solidnością dokończyć dzieła, wygarnąć porządnie wszystkie resztki powstańców i partyzantów. W każdym razie zarówno na froncie, w powietrzu i właściwie wszędzie zapanowała pełna idylla, artyleria przeciwlotnicza nie miała do czego strzelać, pełniła służbę regulaminową, właściwie wypoczywała.

Dla chłopców, najbardziej atrakcyjny widok z góry to była broń, trzy wiszące zwykle na ścianie pasy z kaburami i pistoletami oraz jeden leżący zwykle na stoliku, obok dokładnie zasłanych materaców. Oczywiście wiedzieli, że nie ma nawet mowy, żeby mogli dobrać się do tych pistoletów, ale jednak ciągnęły ich one w magiczny sposób, zwłaszcza gdy Niemcy pozostawiali je w kwaterze, uważając, że nie ma celu się obciążać. W końcu nie wytrzymali, któregoś dnia zeszli na dół kiedy Niemców nie było - i poszli do pokoju gościnnego chociaż obejrzeć broń. Było to jedno parabellum, łakomy kęs, dwa waltery, które już widzieli, ale znali raczej teoretycznie i jeden pistolet, którego zupełnie nie znali, to Mateusz powinien go bliżej zbadać. Ale tylko obejrzel broń i dotknęli, Mateusz nie pozwolił Angusowi nawet zarepetować ani wyrzucić jednego naboju ani sam nie chciał sprawdzać mechanizmu.

- Moglibyśmy chociaż wyjąć po pierwszym naboju i usypać część prochu, tyle, żeby pierwszy strzał był nieszkodliwy, a przy odrobinie szczęścia w ogóle utkwiał w lufie - proponował Agnus.

- Ty chyba oszalałeś. Możesz sobie ryzykować sam, co tylko chcesz, ale pamiętaj, że za najmniejszy głupi pomysł tutaj odpowiedzialiby życiem moi rodzice. Czy to do ciebie dociera? Nawet tutaj nie powinniśmy schodzić, ale mam nadzieję, że zdążymy uciec, jeżeli usłyszymy że na dole otwierają się drzwi. Ale na nic więcej nie pozwolę - stanowczo odpowiedział głos rozsądku przez usta Mateusz. - Kładź broń na miejsce i zjeżdżamy stąd. - Więcej nie schodzili już do pokoju gościnnego, żeby uniknąć pokusy. Na stale już przesunęli się na drugi koniec pomieszczenia nad warsztat stolarski i stracili zainteresowanie także do patrzenia w dół. Zaczęło im dokuczać zachowywanie opanowania, beczynność. Owszem, czytali w miarę możliwości, grali w szachy, ale Agnus łapał się nieraz na tym, że myśli o jakim zupełnie bezsensownym zachowaniu, coś co przerwałoby ten martwy spokój. Zaczął po prostu obawiać się tej natrętnej myśli. Nie pytał się Mateusz, czy on też odczuwa coś podobnego, bo rzeczywiście obawiał się podsuwać mu swój nastrój, ale zapamiętał na całe życie, że stan psychiczny przy beczynnym czekaniu jest bardzo trudnym problemem.

Mniej istotne były zmiany temperatury, ale faktem jest, że doświadczenia przekraczały wszelkie spodziewania. Mimo jesieni zdarzało się w pogodne słoneczne dni. Niski, obity czarną papą dach nad nimi rozgrzewał się tak, że rozebrani do spodenek patrzyli z niepokojem, czy spływający z nich pot nie przekapie na dół i nie zdradzi ich obecności. Agnus myślał wtedy o tym, jak zimno będzie tu w nocy i że przecież kilka czy kilkanaście godzin temu tęsknił do chwili, kiedy robi się tu gorąco, a teraz ta upragniona chwila właśnie nadeszła i powinien się z tego cieszyć. Czemu, do licha nie można było schować trochę tego gorąca, albo też zimna na później?

Książki mieli w znacznym zapasie, ale raczej w nietypowym wyborze, niestety, żadnych tzw. lekkich do czytania. Do dyspozycji była duża biblioteka profesora, gromadzona przez humanistę o konkretnych zamiłowaniach i potrzebach, w dużej większości w językach obcych. Oprócz tego w domu tylko kilka młodzieżowych książek, ale to była lektura z której wyrosli. Jaruga zupełnie na serio zaproponował im na początek jako znakomite zajęcie, dla Angusa „De bello Gallico”, a dla syna, który już to pierwsze z nim przerobił, „De bello civile”.

- To naprawdę niezwykle ciekawa sensacja i jak zwięźle napisana, żadnych zbędnych słów, zdarzenie goni zdarzenie, a wszystko działa się naprawdę. Przerabiałeś już IV klasę i wyjątki z tej książki, więc dasz sobie radę, w razie czego Mateusz ci pomoże, a przy

trudnościach możesz zwracać się do mnie, gratis i franko, to naprawdę życiowa okazja. Trzeba trochę popracować, ale to ci właśnie wypełni czas i utrzyma we formie, tego potrzebujesz, a gwarantuję, że się nie znudzisz. Zobacysz, jak ta książka pobudza wyobraźnię, najgorętszy kryminal potem będzie się wydawał tylko bladym i nudnym głędzeniem. Ty masz tendencję do mówienia i pisania mnóstwa zbędnych słów, zobacz jak można przekazać ogromną ilość informacji w oszczędny sposób, ani jednej litery niepotrzebnej, po prostu wyższa szkoła jazdy, Nikt przedtem ani potem tak dobrze tego nie potrafił - zachęcał Jaruga. (Przepowiednia?!)

Agnus akurat w tym wieku miał kryminałki w głębokiej pogardzie i nie czytywał ich nigdy, więc te stwierdzenia nie skłaniały go do kupienia pomysłu. Ale pamiętał, jakimi metodami jego własny ojciec zachęcił go do matematyki, a jednak po przełamaniu lodów naprawdę otworzył się przed nim nowy świat. Trzeba spróbować.

Widocznie jednak nie miał odpowiednich zamiłowań, bo nawet po tej książce nie rozsmakował się w łacinie ani też nie pozbył się nigdy rozwlekłego stylu i nadmiaru słów, które tylko jemu wydawały się niezbędne a i tak nie trafiały do słuchaczy, nie przenosiły zamierzonej dodatkowej informacji. Z drugiej jednak strony, codzienna porcja systematycznej pracy wpłynęła dobrze i ustabilizowała go psychicznie w czasie tego trudnego okresu, napięcia i przymusowej bezczynności. Natomiast trwała wartość, którą z tego wyniósł, to odkrycie, że obcych języków, w każdym razie w piśmie, skutecznie można się uczyć czytając ciekawe, najlepiej sensacyjne teksty. W przyszłości ta metoda pozwoliła mu szybko nauczyć się ważniejszych języków i to przez wykorzystaniu pogardzanych dotąd kryminałów, horrorów i trilerów. Odtąd Angus znalazł własną metodę nauki języków, zupełnie zaniechując klasycznych i po latach pokonał nawet swoje absurdalne uprzedzenie do języka niemieckiego, spowodowane jedynie ówczesnymi okolicznościami, które nie pozwalały dostrzec jego niewątpliwego piękna.

Co do książek polskich, to Agnus nie miał jakoś ochoty na poezję, mimo że przedtem czytywał i nawet pamiętał liczne wyjątki i to nie tylko Mickiewicza czy Słowackiego, ale także prywatnie lubianych Asnyka, Ujejskiego i Kasprowicza. Tym razem nie miał jednak właściwego nastroju. Ostatecznie, chociaż nie lubił czytać sztuk teatralnych, wziął na początek 10 tomików tłumaczeń Sheaksper'a, zamamiony do tego czytana ostatnio książką F.Harris'a „W pogoni za pełnią życia”. Przebrnął jakoś tą pierwszą dziesiątkę i potem następne, ale zupełnie nie zgodził się ze zdaniem Harris'a, który zachwalał je w sposób przesadzony i wydaje się, afektowany. No cóż, tak czy inaczej trzeba było to kiedyś przeczytać. Ówczesna opinie, trzeba pamiętać że młodego, niedowarzonego i pewnie

przemądrzałego chłopaka brzmiała, że Sheakspere ma tylko jedną mocną stronę, znakomitą znajomość natury ludzkiej, cała reszta jest sztuczna.

Oprócz ducha istniały jeszcze i potrzeby ciała. Ukrywający się musieli jeść - i odwrotnie. Spędzając pierwsze dni w domu Mateusz i Agnus schodzili po prostu na posiłki, tyle że kolejno, żeby w razie nagłych nieproszonych odwiedzin zbyt duża ilość nakryć na stole nie budziła zainteresowania. Po zakwaterowaniu Niemców w domu sytuacja się zmieniła, teraz trzeba było żywność i wodę dostarczać na górę. Ta funkcja spadła na profesora, który zastrzegł sobie pozwolenie na korzystanie z frontowego wejścia, wyjaśniając że często potrzebuje dostępu do swojego warsztatu na górze. Żałował on teraz, że przy okazji przewodu wentylacyjnego od „priest - hole”, nie zrobił też w kominie kuchennym małej windy do skrytki na strychu i zapowiadał, że już obmyślił jak to w przyszłości ulepszyć. Natomiast niesłychanie krępujące było, zwłaszcza dla Angusa, gdy podawał dwa przykryte nocniki, które profesor wynosił w koszyku zamaskowane z wierzchu jakimiś kawałkami drewna i deseczkami.

Tym razem Profesor właśnie przyniósł zaopatrzenie, kiedy do domu wrócił niespodziewanie jeden z podoficerów, o całkowicie nietypowej porze, zaledwie w pół godziny po wyjściu, zapomniał czegoś i dowódca kazał mu to zaraz przynieść. Wejście oczywiście było słychać i profesor Jaruga zdążył się cofnąć do schowka i zamknąć klapę.

Niestety, oddychał za głośno jak na Indianina.

\*\_ \*\_ \*

Niemiecki żołnierz wszedł na górę i z podniesionym w górę pistoletem stanął i rozglądał się wokoło. Rzeczywiście, przychodząc z jasnego dnia, w półmroku niewiele widział i musiało minąć kilkanaście sekund, aż wzrok mu się adaptował. Angus zrezygnowany siedział na podłodze i nie ruszał się, Mateusz podobnie nieco dalej. Nic nie miało sensu, gdyby cokolwiek zrobił, ściągnął by nieszczęście na innych ludzi. Po prostu przegrał, zły los, pech i sprawa się ryła. Mógł jedynie zachowywać się tak, żeby nie pogarszać sytuacji Jarugów, miał nadzieję że może chociaż profesora i jego żonę zostawią Niemcy w spokoju. Że mówiący dobrze po niemiecku profesor coś wymyśli i jakoś się wytłumaczy. Jak dotąd, o dziwo, kwaterujący tu Niemcy zachowywali się całkiem przyzwoicie, wcale nie tak, jak okupanci których dotąd spotykał. Może Wehrmacht to jednak coś innego, może byli w nim normalni ludzie?

Co do siebie i kolegi, to spodziewał się, że nie zabiją ich zaraz, bo w tym czasie do domu Jarugów dochodziły już wiadomości z miasta i okolic. Wiadomo było, że Niemcy wyłapywali powracających partyzantów, często z domów i zwykle wiedzieli, gdzie ich

szukać, widocznie nadal funkcjonowali donosiciele. Ale teraz nie rozstrzeliwali ich natychmiast i nawet nie prowadzili dochodzeń. Trzymali ich z południowej strony miasta, koło Szewnej w wykopanych zagłębieniach w ziemi, jakby wielkich dołach otoczonych drutem kolczastym i okresowo transporty wysyłali do Niemiec. Podobno nawet nie do obozu, tylko na roboty, przemysł niemiecki znalazł się w przymusowej, krytycznej sytuacji i to decydowało.

- Dass ist mein Sohn - rozpoczął Jaruga - und sein Freund. Alle beide noch ganz jung, aber die Zeiten sind jetzt so...

Żołnierz przerwał mu: - Ich verstehe schon. - I po paru sekundach dodał: - Ich verstehe alles. Sie brauchen nichts mehr zu sagen. - Chwilę milczał i nagle zdecydowanym ruchem schował pistolet i podniósł do góry pustą rękę, a potem wskazując na rozłożone szachy, zapytał: - Kann ich manchmal hier kommen, ganz privat, Schach zu spielen? -

- On mówi - tłumaczył profesor, - że chciałby pograć w szachy i mógłby przyjść tak co drugi dzień przed południem, jeżeli jak zwykle będzie miał wtedy wolny czas. O tej porze jego koledzy są zajęci. Jeżeli jednak, co raczej mało prawdopodobne, ktoś inny przyszedłby do domu, to on wyjdzie naprzeciw i chwilę go zagada, a wy przez ten czas zdążycie się schować. -

- Jeżeli ja w ogóle coś z tego rozumiem, - dodał bezradnie Jaruga, - to chyba znaczy że on będzie milczał i nikomu słowa nie piśnie, że was tu znalazł. -

\* \* \*

- To wydaje mi się niemożliwe, oceniał kilkanaście minut później sytuację Angus, gdy żołnierz niemiecki zabrał z pokoi na dole jakieś papiery, po które przyszedł i udał się w stronę radiostacji i namiotu dowodzenia. - Na pewno zamelduje teraz dowódcy i za parę minut przyjdzie ich więcej i nas wygarną. Pewnie sam poczuł się nieswojo. Trzeba się ubierać i przygotować do drogi. -

- Ja też tak myślę - przytaknął Mateusz. - Więc zejdźcie teraz ze mną i zjedzcie śniadanie na dole. Jeżeli po was przyjdą, to lepiej być najedzonym. Możemy się tłumaczyć, że mieszkaliście stale w domu, a kiedy Niemcy zakwaterowali, to chodziliście spać na strych żeby nie robić tłoku w jednej izbie. Ostatecznie musimy mówić, że to nie żadna skrytka, po prostu strych zawsze był tak urządzony, a wy nie chcieliście nikomu przeszkadzać, robiliście tak i przedtem. Zawsze to jakieś tłumaczenie, może nie najlepsze, ale lepszego i tak nie ma. Zapasy jedzenia weźmiemy na dół, a nic kompromitującego i tak tu nie ma, zostaną tylko posłania,- proponował Jaruga.



Zabrali więc ze sobą wszystko, co mogłoby wskazywać na stały pobyt, a więc zapas jedzenia, wiadro z wodą i oczywiście nocniki. Potem ubrali się jak na długą drogę, przygotowali małe węzélki, trochę rzeczy i jedzenia. Gdy w dalszym ciągu nic się nie działo, zabrali się w czwórkę, razem z łykającą łzy panią Jarużyną do śniadania. Minęła godzina i ciągle jakoś nikt po nich nie przyszedł.

- Chodźmy do ogrodu i usiądźmy na ławeczce przy altance. Ogród jest mocno zarośnięty i będziemy tam niewidoczni, a gdy Niemcy przyjdą to nas zawołacie. Pogoda jest piękna, możemy mówić że często tu przesiadujemy i dlatego w domu nas nie było widać, bo tam chodzimy tylko spać. Napompujemy dużo wody i podlejemy ogród, a przy okazji sami się dobrze umyjemy, bo po pierwsze najwyższy czas, a po drugie nie wiadomo, kiedy będziemy mieli następną okazję. - Następne godziny upłynęły w oczekiwaniu na pojawienie się Niemców i prawdopodobne wywiezienie na roboty, po przejściowym pobycie w jednym z opisanych, ogrodzonych drutem kolczastym dołów w Ostrowcu. Pocieszali się, że to nie potrwa długo, bo wojna wyraźnie się kończyła. Nie dodali tylko zwykłego „może kilka tygodni, najwyżej parę miesięcy”. Agnus proponował nawet, żeby skorzystać ze sposobności i po prostu wykraść się lasem, ale Mateusz nie zgadzał się.

- Pamiętaj, że jeżeli uciekniemy, odpowiedzialność poniosą moi rodzice. Ja w każdym razie zostaję, a ty rób co chcesz. Ale nie ma przed czym uciekać. Jeżeli nawet zawiozą nas do Niemiec i trochę potrzymają, to jakoś damy sobie radę, byliśmy już w trudniejszej sytuacji. Długo to już nie potrwa, Niemcy muszą się wkrótce poddać, przecież gdyby mieli szczyptę rozumu, to już dawno by to zrobili, ich położenie jest beznadziejne. -

- Dobra, ja nic nie mówiłem a teraz już będę całkiem cicho. Prawdopodobnie i tak bym nie przeszedł, bo tylko dom i ogród są wolne od Niemców, ze wszystkich stron jesteśmy prawie w środku obozowiska. Może po zmroku byłaby szansa, ale teraz na pewno bym wpadł.

- Przygotowani na wywóz do Niemiec, czekali tak do obiadu, który jeszcze zjedli na dole w domu. Gdy ich oczekiwania nie spełniały się, a wkrótce można było spodziewać się powrotu Niemców na kwatery, ponownie poszli na górę do skrytki, ale ciągle nie brali ze sobą żadnych zapasów, tylko wodę. Niemcy wrócili, słyszeli ich odgłosy z dołu, lecz nikt ich nie szukał.

- Słuchaj, - szepnął Agnus, gdy czytali, korzystając z resztek światła pod okienkiem - czy w czasie wojny domowej Cezar jeszcze ciągle był takim szalonym automobilistą? - - Czy ci się pogorszyło, nie masz czasem gorączki? - - No jak to, przecież ile razy czy Wercyngetorix, czy inni Gallowie, albo inne szczepy próbowały coś zrobić, zaraz „Cezar autem venit” - Cezar przybywał autem i robił porządek. Szatan nie kierowca. Dzisiaj byłem pewien, że nas też powiozą autem. - - Rzeczywiście, nie rozumiem, dlaczego nas nie zgarnęli.

Ale nie ciesz się jeszcze przedwcześnie. - - Nie mam zamiaru. Może on, ten Niemiec szykuje jakiś efektowny numer, odkryje nas w jakiś specjalnie dramatyczny sposób, żeby inni go podziwiali.- - Nie wiem. Ale przez chwilę wydawało mi się, że ten podoficer wyglądał na porządnego, przyzwoitego człowieka. - - Jeszcze nie spotkałem ani jednego porządnego Niemca.- - Ja też nie. Ale ilu Niemców właściwie spotkałeś? Może kilku i to przeważnie z daleka. A przysyłają tutaj najgorsze świnię albo śmieci. To może być tak samo mylące, jak różnica między tymi wyskrobkami, z którymi na początku walczyliśmy, a prawdziwymi żołnierzami frontowymi. Zupełnie inni ludzie, choć też wrogowie. Ci pierwsi uciekali dziesięciu przed jednym, a drudzy uczciwie musisz przyznać, że nie gorsi od nas, może tylko mniej samodzielni i zdecydowani, za bardzo przywykli słuchać. Ale gdyby byli w naszej skórze, pewnie też nauczyliby się reagować podobnie.- - Myślę, że najdalej do jutra sprawa się wyjaśni. Ale zrozum, przecież jeżeli on nas naprawdę nie zgłosi, to sam ryzykuje własną skórę. Jeżeli jego władze dowiedziałyby się, że wiedział o naszym ukryciu i milczał, to sam miałby poważne kłopoty. Nie wiem dokładnie, co oni robią z porządnymi Niemcami, ale podejrzewam, że to samo, co z porządnymi Polakami. Może dlatego tak trudno spotkać porządnego Niemca, bo oni muszą udawać, maskować się nawet przed swoimi. - Mimo wszystko spali tej nocy mocno jak zwykle, przyzwyczajeni spać kiedy i dopóki można. Ranek minął bez niespodzianek, a przed południem podoficer niemiecki przyszedł w towarzystwie profesora, może chciał w ten sposób podkreślić, że nie ma powodu się niepokoić. Lub może chodziło o to, żeby ktoś przetłumaczył choć pierwsze zdania, ponieważ ani Agnus ani Mateusz nie znali prawie wcale języka niemieckiego z wyjątkiem paru słów z komunikatów wojennych. Wiadomości z frontów ukazywały się w „Krakauer Zeitung” o dobę wcześniej, niż w polskiej prasie tzw. gadzinowej i dlatego wielu ludzi kupowało tę gazetę mimo że nie rozumieli języka, lecz nauczyli się już właściwie odgadywać i nawet między wierszami. Od „An den Ostfront griff der Feind mit staerken Verbaenden vergeblich an...” do wiadomości o nalotach, kończących się niezmiennie - tyle a tyle „feidliche Flieger wurden abgeschossen”, (co Agnus zawsze odczytywał głośno „feidliche Fliegen” - zestrzelono tyle nieprzyjaznych much; podobnie przekręcał przesadne wiadomości o tonażu zatopionych statków).

Profesor został tylko przez kilka minut, przelożył kilka zdań wstępnej rozmowy, a w szczególności propozycję, żeby jednak grali nie w samej kryjówce, ale na strychu w dolnej części, nie w pokoju gdzie kwaterował, ale w części stanowiącej przejście przed nim. Może rozstawić stolik ze swoimi szachami (woził ze sobą własne) i w razie, gdyby ktoś niespodziewany się pojawił, przestawi figury tak, żeby wyglądało to na rozwiązywanie

problemu. Oni zaś w tym czasie zdążą z łatwością wycofać się do kryjówki międzodachowej, zwłaszcza jeżeli klapa pozostanie otwarta i drabinka opuszczona.

- To bardzo rozsądna propozycja, a wasz gość mówi, że na pewno usłyszycie każdego nadchodzącego, a poza tym w razie potrzeby on sam postara się spowodować kilka sekund opóźnienia, tak że bez problemów się schowacie. A teraz was zostawiam, a sam też będę uważał na dole, - powiedział profesor.

Sytuacja jednak była trochę dziwna, i chwilę nie wiedzieli jak zacząć, a potem przedstawili się i podoficer też się przedstawił. Niespodziewanie okazało się, że nazywa się Kroll - podobnie, jak oficer którego nazwisko słyszeli wywoływane do radiostacji - ale jak podkreślił, - mit zwei I. W baterii, - powiedział - jest aż siedmiu Kroll'ów i Krol'ów, to bardzo popularne nazwisko na dolnym Śląsku, skąd pochodził i gdzie stacjonowała bateria.

- Po polsku król to znaczy Koenig, - wyjaśnił z kolei Mateusz, - więc to bardzo zaszczytne nazwisko.

Stopniowo okazało się, że mimo słabej znajomości języka, a przy wydatnej pomocy rąk i nóg jakoś się porozumiewają, zwłaszcza, że z kolei Niemiec chociaż nie znał języka polskiego, rozumiał względnie wychwytywał kilka słów polskich. Zaznaczył, że on nie poczuwał się nigdy do żadnego polskiego pochodzenia i uważa się bezwzględnie za Niemca, ale owszem, na dolnym Śląsku stykał się z Polakami i nawet sąsiedował z Niemcami polskiego pochodzenia.

- No to teraz zabierajmy się do pracy - zaproponował Agnus - proszę wybierać, - i podał dwie zamknięte dłonie z czarnym i białym pionem.

Pierwsze dwie partie Angus i Mateusz gładko i szybko przegrali. Niemiec stosował standardowe otwarcie dwoma centralnymi pionami i potem bardzo szybko wyprowadzał figury nie tracąc ani jednego ruchu bez celu, od razu i prawie bez przerwy utrzymywał stały i skuteczny atak. Poczuli się nie tylko pokonani, ale wprost skompromitowani, nie spotkali się jeszcze ani z takim stylem gry, ani z przeciwnikiem na takim poziomie. Trzecią partię rozgrywał Angus. Mimo, że wypadły mu białe, od początku przeszedł do defensywy, ustawił obronę sycylijską i jeszcze wzmocnił ją dodatkowo podwójną linią obronną. Niemiec z początku był lekko zdziwiony, ale przejął inicjatywę. Tym razem partia trwała dłużej, Agnus starał się cały czas o pełną asekurację i przyjmował każdą wymianę, chciał osiągnąć remis. Jednak po zawziętej grze mimo wszystko przegrał.

- Na dzisiaj dosyć - powiedział Niemiec - a jutro pewnie nie będę miał czasu, ale pojutrze mam nadzieję, że pogramy dłużej.

- Ja, wir werden dann Rache nehmen! - zażartował Mateusz, który przedtem zaglądał do słownika niemieckiego.

Wieso Rache, was hab' ich denn getan? - zapytał zdziwiony lub może zaniepokojony Niemiec.

- No hier, Rache hier in den Schach - niezdarnie usiłował wyjaśnić Mateusz. - Ach ja, so sagen Sie doch: revangieren! - W czasie okupacji gra w szachy była bardzo popularna, znalazła wielu młodych zwolenników. Angus już przed wojną grywał trochę, z wielkim entuzjazmem, ale naturalnie słabo, jak to dzieciak. W każdym razie przekładał ją o niebo nad warcaby, jako znacznie ciekawszą i wymagającą prawdziwego myślenia, ale z trudem znajdował partnera. Nauczył się unikać mata w kilku ruchach, np. „szewskiego” i starał się maksymalnie przedłużyć grę, za honorową przegraną uważał, jeżeli przekroczył 20 ruchów.

Tak więc mając bardzo skromne początki, Angus właściwie zaczął grać w okresie wojny. Intensywnie najpierw w szpitalu ostrowieckim w grudniu 1939, gdzie codziennie spędzał kilka godzin przed południem i kilka po południu w salach, gdzie leżeli ranni żołnierze. Gorąco pragnął kontaktu z uwielbianymi bohaterami, którzy nie tylko walczyli ale przelali własną krew w obronie Ojczyzny, chciał słuchać ich wspomnień i opowieści a okazją do tego była gra w szachy. Wielu rannych też uczyło się początków tej gry, niektórzy dopiero w łóżku szpitalnym, więc nie grali zbyt dobrze i mieli trudności ze znalezieniem partnera, zwłaszcza ciężej ranni którzy sami musieli leżeć i mogli grać tylko z kimś, kto podszedł do ich łóżka. W tych warunkach Angus znalazł pierwszego chętnego zaraz pierwszego dnia i na pierwszej sali, do której wszedł i potem zawsze już szybko trafiał na kogoś, co dawał mu znak ręką - jeżeli nie na pierwszej to na drugiej, trzeciej lub kolejnej sali. Później często Angus zaczynał od wyższego piętra żeby było sprawiedliwie. W szpitalu nie było oficerów, tylko żołnierze, zwłaszcza początkujący gracze nie przewyższali wiele umiejętnościami Angusa. On uczył się wraz z nimi i szybko podciągał, a to, że częściej przegrywał niż wygrywał wszystkich zadawało. W końcu zaczął już grać z planem i czasem nawet przegrywał umyślnie.

Potem nastąpił okres przerwy, z braku partnerów. Z ojcem, kiedy wrócił, nie mógł grać, bo wprawdzie ojciec miał doskonałą opinię o szachach, ale uważał, że dla niego na naukę już jest za późno i dobrym graczem nie zostanie, a kiepskim być nie chce. Ojciec zgadzał się tylko czasem pograć w warcaby, ale to nie była trudna i ciekawa gra, więc robili to tylko niekiedy, w przerwach między kartami i dla urozmaicenia. Potem Angus miał okazję zagrać ze swoim pierwszym nauczycielem matematyki, ale tylko kilka razy, różnica w poziomie była zbyt duża i skończyło się na wskazówkach i pożyczeniu resztek książki, w

której było około połowy kartek - pierwszy podręcznik gry. Z otwarć był tam prawie kompletny rozdział o gambitach, przez dłuższy czas Angus nie umiał z niego skorzystać, ale przy końcu wojny było to jego ulubione otwarcie. Również w starych rocznikach czasopism, które Angus pożyczał i czytywał, ponieważ trudno było znaleźć książki do czytania, znalazł zapisy sławnych partii, jeszcze z przed pierwszej wojny światowej a nawet z końca ubiegłego wieku i niektóre z nich powtórzył. Powoli zaczął jednak tracić entuzjazm, aż znalazł znowu partnerów do gry na żywo. Tak się złożyło, że większość kolegów, których poznał na kompletach wśród uczącej się młodzieży, grywała w szachy, niektórzy nawet z pełnym entuzjazmem. Angus znalazł partnerów lepszych i gorszych, sam szybko się podciągnął. Wkrótce grał dość dobrze.

Okazało się że nie tylko znajdowało się partnerów wśród znajomych, ale i vice versa, gra w szachy pozwalała właśnie poznawać nowych ludzi i nawiązywać znajomości. Koledzy, z którymi się uczył i grywał mieli własnych znajomych partnerów i tak dalej. gdy podciągnął się, sam stał się poszukiwanym partnerem. Teraz on czasami pozwalał grać ze sobą słabszym graczom z dobrego serca, bo sam zawsze wolał przegrać z lepszym niż wygrać z słabszym. Także w Handlówce kilku kolegów grywało w szachy i z nimi szybko nawiązał bliższą znajomość, przyjaźń przetrwała również i po ukończeniu Handlówki. Na koniec zaś znalazł stałego partnera i przyjaciela Mateusza, w czasie wolnym grali przy każdej okazji i wszędzie gdzie mogli, nawet zajmując się czymś innym, podchodzili od czasu do czasu do rozstawionych figur. Oczywiście, kilka ostatnich miesięcy obaj brali udział w ważniejszych sprawach, nie mogli grać i trochę utracili biegłość - dopiero od paru dni zaczęli grać na nowo. Ale żeby ponieść taką klęskę?

Bulwersująca sytuacja - gra z Niemcem, żołnierzem wrogiej armii, pierwszym i jedynym którego poznali, na dodatek który okazał się porządnym człowiekiem. A przy tym wszystkim, bił ich w szachach jak chciał. To że gra odbywała się w głębokiej tajemnicy i wiązała się z niebezpieczeństwem dla nich, ale chyba jeszcze większym dla niego, podnosiło jej wartość i znaczenie. Ale bez względu na okoliczności, na pierwszym miejscu była teraz urażona ambicja - przegrana i to właśnie z Niemcem, nie, z tym nie można się pogodzić.

Resztę tego dnia i następny spędzili przy szachownicy, starając się odnowić i powtórzyć to co zapamiętali z podręcznika. Jaka szkoda, że kończył się on na starszych otwarciach, rozdziału o nowoczesnych szkołach już nie było. Odczuwali teraz te braki teoretyczne i dopiero teraz stwierdzili jak brakuje im nowych systemów, szybkiego wyprowadzenia wszystkich figur, żadnego zbędnego, „dekoracyjnego” ruchu, stały nacisk w

ofensywie i ciągłość obrony z dążeniem do przejścia do jak najszybszego własnego ataku kiedy tylko nasunie się pierwsza okazja. Trzeba przeciwżyć to, co zauważyli.

Następna rozgrywka była bardziej zrównoważona. Wprawdzie Niemiec wygrał pierwsze partie, z Agnusem, Mateuszem i jeszcze raz Agnusem, ale po zawziętej walce i z wysiłkiem. W czwartej partii, z Mateuszem, popełnił niewielki błąd i od tej chwili Mateusz zyskał i stopniowo powiększył, przewagę. Kiedy stało się to wyraźne, niespodziewanie Niemiec poddał partię, chociaż wydawałoby się, że może jeszcze dążyć do remisu. Piąta partia ciągnęła się długo i w końcu też to Niemiec zaproponował remis, choć miał dobrą pozycję i chyba mógł wyrobić sobie przewagę, ale trzeba było już kończyć.

Odtąd grywali stale co drugi dzień, a czasem codziennie. Podoficer przeważnie był lepszy, ale nie rażąco, wygrywał do 75% partii. Powoli ten stosunek się poprawiał, zwłaszcza że Agnus i Mateusz grywali też między sobą i starali się powtarzać i analizować później zaobserwowane na szachownicy sytuacje. W każdym razie gra była na dobrym poziomie i dostarczała mnóstwo satysfakcji.

Stopniowo zaczęli też więcej rozmawiać, zarówno podczas gry jak i w przerwach. Agnus i Mateusz znali tylko pojedyncze słowa, ale profesor dostarczył im parę słowników, w tym jeden obszerny, kilkutomowy a drugi mały podręczny do szybkiego znajdowania prostych wyrażen. Ale najbardziej ożywiona była gestykulacja, rozmowa rękami i nogami. Również Niemiec miał chyba wyjątkową jak na Niemca zdolność do języków (ta uwaga powstała z ich uprzedzenia), bo dość szybko chwycił, a może też przypominał sobie wiele polskich słów. Najwyraźniej interesowała go sytuacja rozmówców i właściwie wszystko, a z drugiej strony może i sam łaknął możliwości szczerego wypowiedania się. Na początku zrobił całkiem zrozumiałe i wyraźne zastrzeżenie: - Wir sprechen niemals ueber Politik und Kriegssituation. Ale i tak Agnus i Mateusz rozmawiali bardzo ostrożnie, nie mogąc ciągle wykluczyć pewnych podejrzeń, dopiero na końcu okazało się, że bezpodstawnych. Zaczęli od rozmów o własnej młodości i latach przedwojennych.

Z tego co Niemiec mówił zrozumieli, że urodził się w 1922 i w 1939 kończył jeszcze gimnazjum. Został zmobilizowany w 1940, za późno żeby wziąć udział w kampanii francuskiej, ale był już w Grecji, choć nie brał udziału w walkach. W ogóle o wojnie nie mówił, z jednym tylko wyjątkiem. Wspomniał jeden incydent, wyjaśniając dlaczego postąpił właśnie tak w ich wypadku. Otóż już teraz, w październiku jego bateria, podobnie jak inne jednostki stacjonujące za frontem otrzymały polecenie wyznaczenia pewnej ilości ludzi do akcji specjalnej, określonej jako czesanie zaplecza. W tym wypadku zbiorczy oddział, w towarzystwie kilku funkcjonariuszy SD umundurowanych oraz w ubraniach cywilnych

przybył do jakiejś wsi, w której na podstawie posiadanego spisu wyszukiwali wskazanych przez funkcjonariuszy SD ludzi i prowadzili poszukiwania broni i rewizje. Cywilni funkcjonariusze, widocznie działając na podstawie dokładnych informacji, wskazywali gdzie, co i u kogo szukać. W jednej z chałup, gdzie zabrali młodego człowieka, który zachowywał się całkiem spokojnie, znaleźli następnie w znanym z góry miejscu skrytkę z bronią. Dopiero wtedy chłopak wpadł w rozpacz i zaczął nawet płakać - sądzili wtedy, że to z obawy i usiłowali mu wytłumaczyć, że oni go nie rozstrzelają, mają takich więcej i nie mają rozkazu zabijania, a tylko zabiorą go do Ostrowca i potem zostanie wysłany do Niemiec na roboty. Jednak, kiedy chcieli zabrać znalezione broń, on rzucił się na nich i usiłował ją wyrwać - został przy tym zastrzelony. To stało się dosłownie kilka dni temu, zanim znalazł ich tutaj na strychu, miał jeszcze ten obraz przed oczyma i nie chciał, żeby powtórzył się jeszcze raz.

Akurat to opowiadanie i tego chłopaka doskonale rozumieli. Wprawdzie przy końcu partyzanckiego szlaku broni było dosyć i nawet nadmiar, ale Angus pamiętał pierwsze tygodnie, pragnienie posiadania broni, ślepego uwielbienia, a potem szczęścia i przywiązania dla swojego ukochanego karabinu (choć prawie złamał mu grzbiet), po prostu zauroczenie, miłość ponad życie. Dopiero później ten irracjonalny stosunek uległ stopniowej zmianie ale być może tamten chłopak otrzymał broń dopiero niedawno.

Oczywiście, ani Agnus ani Mateusz nie wspomnieli wtedy ni później słowa o partyzantce. Faktem jednak jest, że Mateusz przyniósł do domu i schował broń - karabin ukryty był w wydrążonej belce w warsztacie. Dawali do zrozumienia, że zupełnie nie znają się na broni, nigdy nie mieli jej w ręku i nawet nie wiedzą, jak działa. Było to po prostu stereotypowe kłamstwo z obowiązku i niewątpliwie i Niemiec zdawał sobie z tego sprawę, ale nigdy nie próbował poruszać drażliwego tematu i niczego komentować. Zresztą gdyby nawet mogli szczerze rozmawiać, to jak mogliby wytłumaczyć to co czuli oni sami i inni podobni komuś, co nigdy nie potrzebował osobiście zdobywać broni ani amunicji, wszystko dostawał gotowe.

W jakiś czas później, Niemiec opowiedział im inne zdarzenie. Jako uczeń gimnazjum, podobnie jak wszyscy był w Hitlerjugend. Na jednej ze zbiórek czy wycieczek, bodaj rok lub dwa przed wojną, dwaj instruktorzy kazali swoim podopiecznym złapać i przynieść jakieś stworzenie, dowolne, w ramach ćwiczeń. Kilkunastu przyniosło koty, dwóch psy, kilku kury, a jeden złapał innego ptaka. Przy wieczornym ognisku, instruktorzy kazali chłopcom wyobrazić sobie, że te zwierzęta są wrogami Rzeszy i że w interesie państwa trzeba je zgładzić. Polecili, żeby każdy zabił przyniesione zwierzę i poddał je przy tym najbardziej okrutnym torturom, jakie potrafi wymyślić. On sam zaczął przypalać kota przy ogniu, ale

robił to niezdarnie, żeby kot mu się wyrwał i uciekł. Oczywiście zaprzeczał, żeby zrobił to celowo, ale i tak przez dłuższy czas był potem karany. Natomiast dwaj, którzy zamordowali ofiary najokrutniej, wkrótce potem zostali nagrodzeni przeniesieniem do, o ile tą nazwę Angus dobrze zrozumiał, Korpusu Kierowców SS, albo jakiejś innej organizacji o podobnej nazwie. W 1939 spotkał ich jako pełnoprawnych esesowców, potem szybko awansowali i teraz byli już oficerami.

To opowiadanie było tak trudne do przyjęcia, że Angus i Mateusz dyskutowali nad tym przez długi czas, raczej niedowierzając samym sobie, czy wszystko dobrze zrozumieli i czy czego nie dorobili, wypełniając niejasne fragmenty własną wyobraźnią. Jednak po latach, Angus zetknął się z podobnymi relacjami. Nie ulega wątpliwości, że było to typowe i standardowe postępowanie przy sprawdzaniu doboru właściwych ludzi do służb specjalnych w hitlerowskim państwie.

#### **Kapsuła: Rekrutacja odpowiednich kandydatów dla terroru państwowego.**

Rosjanie mieli pod tym względem łatwiejsze zadanie. Już Dzierżyński zajął się ogromną ilością bezdomnych dzieci, których rodzice i rodziny zginęły podczas wojny domowej i które łączyły się w gromady i zajmowały się kradzieżą, a w miarę sił i możliwości rozbojem i wszelkimi przestępstwami. W gromadach tych panowały prawdziwie wilcze prawa, dzieciaki zaznały wszystkiego z wyjątkiem opieki i miłości, tego, co dzieci mają w rodzinach. Dlatego właśnie, a nie z żadnych humanitarnych pobudek, Dzierżyński się nimi zajął: to było nieograniczone źródło narybku, wybrani z nich, najbardziej bezwzględni, a podniesieni najpierw do uprzywilejowanej pozycji i następnie do elity chłopcy stawali się wymarzonymi czekistami. Śmiesznie brzmi przedstawianie autora tego szatańskiego planu jako człowieka szlachetnego, o gołęmbim sercu i pełnego dobroci dla bezdomnych dzieci.

W wypadku Niemiec nie było aż tak wspaniałej bazy rekrutacyjnej, w każdym razie wśród młodego pogłowia, bo wojna pozostawiła wiele dorosłych jednostek o spaczonych psychice, to nieuniknione. Mimo wszystko młodzież wyrastająca w rodzinach ma z natury pewne zahamowania i ograniczenia, to co my ludzie nazywamy ludzkimi cechami i odruchami. Dlatego potrzebna była selekcja, wybranie jednostek z natury najgorszych, najbardziej bezwzględnych, a potem okres odpowiedniego wychowania względnie tresury.

\* \* \*

- Nie wiem co ty sądzisz - mówił Mateusz do Angnusa, ale ja jestem zupełnie zmylony i nie wiem co sądzić o Niemcach. Dotąd wszystko było jasne i byłem pewien, że wiem czego się spodziewać. A teraz - pamiętasz Mickiewicza -"i Niemcy są ludzie"? Bez wątplenia tacy sami ludzie jak my, a niektórzy chyba nawet lepsi, w każdym razie ode mnie.



Szczerze ci powiem, nie wiem, czy potrafiłbym się zdobyć na takie postępowanie jak Kroll. Przecież gdyby się wydało, że my się tutaj ukrywamy, a on o tym wiedział i nie doniósł, to rozwaliliby go jak dwa razy dwa, a co najmniej poszedłby do kompanii karnej i na najgorszy odcinek frontu. Nie wiem jak ty, ale ja nie potrafię sobie wyobrazić, czy zdobyłbym się na takie ryzyko. I to dla zupełnie nieznanymi ludzi. I taki naturalny sposób, nawet się nie namyślając i bez mówienia o tym później. My też chcieliśmy kogoś ukryć - popatrz, ile to było wahań, obaw, namysłów i w końcu nic z tego nie wyszło. A on zareagował jakby to była najprostsza, najbardziej zwyczajna rzecz pod słońcem. Jeżeli jest więcej takich Niemców, ta wojna to jest najgłupsza i najbardziej bezsensowna rzecz jaką można sobie wyobrazić. I zupełnie zmienia to mój obraz świata. To oni, Niemcy, najpierw wpadli we władzę zbrodniarzy i pierwsi ucierpieli, a potem, kiedy ci bandyci zgnębili już cały naród, zmusili do uległości normalnych ludzi - poprowadzili ich do napaści na dalsze kraje. Gdyby zgnoił teraz inne narody, to z kolei ich, tych ludzi poprowadziliby do napaści na resztę świata. Przecież to mogłoby się, nie daj Boże, wszędzie zdarzyć. Przeraza mnie myśl, że na przykład Polska też mogłaby się znaleźć w takiej sytuacji, pod władzą jakichś szalonych zbrodniarzy bylibyśmy wychowani i zmuszeni do napadania i gnębienia innych.-

- Bardzo to ładnie mówisz, ale może jeszcze przedwcześnie. Ja też dotąd myślałem, że dobry Niemiec to martwy Niemiec. To uproszczenie dokładnie odpowiada temu, z czym się dotąd spotkał. Może się jednak mylimy i po wojnie trzeba będzie zmienić cały obraz. A czy pomyślałeś, że ten Niemiec może tylko chce pozyskać nasze zaufanie, wyciągnąć jakie informacje, które być może byłoby trudno wymusić z nas na badaniach? Musimy być cały czas ostrożni. Kto wie, czy na koniec nie wygarną nas i nie przesłuchają, powołując się na każde słowo, które powiedzieliśmy przy nim. Nie możemy podać najmniejszej informacji. - Agnus sam nie wierzył w to co mówił, ale uważał, że trzeba brać pod uwagę każdą ewentualność.

- Mówisz jak niespełna rozumu. Jestem gotów postawić swoją głowę i wszystko, co zechcesz, że Kroll to szczerzy chłop i podejrzewanie go o dwulicowość to absurd. -

- Ja też tak uważam, ale co innego nasze przekonanie, a co innego obowiązek ostrożności. Własną głowę możesz nadstawiać, ale nie wolno ci ryzykować życia innych. Jasne, że on wszystkiego o nas się domyśla, głupi nie jest, ale musimy trzymać się dotychczasowej linii, a gdyby rozmowa miała stać się bardziej konkretna, to po prostu my rżniemy głupków i koniec. Dopiero kiedy on odjedzie, będziemy pewni. Szkoda ale trudno.

- Ale żadna konkretna rozmowa lub łowienie informacji nigdy nie miało miejsca. Zresztą gdyby o to chodziło, to niewątpliwie do tego celu wytypowano by człowieka o

lepszycy możliwościami choćby porozumiewania się, jakie informacje można pozyskać, gdy rozmowa przebiega w dużej części na migi i obie strony raczej domyślają się, co kto chciał powiedzieć.

Jednak gdy mniej więcej w połowie listopada Kroll powiedział, że to prawdopodobnie jego ostatnie odwiedziny, bo oddział otrzymał rozkaz przeniesienia się i odejść w najbliższych dniach, Agnus nie wytrzymał. Zapominając o poprzednich zastrzeżeniach pozwolił sobie na kilka szczerych słów.

- Was meinen Sie - zapytał - ist der Krieg nicht verloren, Hitler kaput? Niemiec po chwili milczenia potwierdził, że sytuacja wojskowa jest beznadziejna i tylko szybki pokój może uratować Niemcy przed zniszczeniem.

- Und wie lange wird es noch dauern?

Kroll rozłożył tylko ręce.

- Wir haben eine Proposition. Bei den naechsten Stop, verloren Sie sich und kommen zurueck hier. Wir werden einen zivil Anzug besorgen und sie bleiben mit uns bis zum Frieden. Wir sagen dann, Sie sind ein anstaendiger und guter Mensch - niezbyt gramatycznie, ale jednak zrozumiale ciągnął Angus.

- Danke, aber ich kann's nich tun,- odpowiedział Kroll. Znowu chwila milczenia, i potem Kroll również niezręcznie, powtarzając po kilka razy to samo innymi słowami tak żeby to dotarło do rozmówców, zaczął wyjaśniać, że może go dobrze nie zrozumieli, ale on... - Ich fuehle mich und bin ein Deutscher, - jest mimo wszystko Niemcem i tego nie można zapominać. - Wy macie swój kraj i ja mam swój kraj, nie mogę porzucić rodaków i swojego kraju, cokolwiek się jeszcze zdarzy. Bardzo chciałbym, żeby nastąpił pokój, zwłaszcza, że to jest jedyne rozsądne wyjście, bo w cuda nie wierzę. Ale muszę zostać ze swoimi do końca i spełnić swój obowiązek. Muszę wam jeszcze powiedzieć, że gdybyśmy spotkali się kiedyś po przeciwnych stronach, to choć z żalem, strzelałbym do was i starał się zabić. Przykro mi, że mówię to, ale przypuszczam, że wy tak samo myślicie i rozumiecie mnie. - Znowu dłuższa pauza i odezwał się Mateusz. Powiedział, że uważałby za honor, gdyby teraz mogli podać sobie ręce. Trzeba wyjaśnić, że dotychczas witali się i żegnali tylko słownie, nawet już z uśmiechem, ale bez podawania rąk.

Następna krótka pauza i Kroll wstał ze stuknięciem i wyprostowany, sztywno wyciągnął rękę. Podobnie postąpili Angus i Mateusz. Drugiego dnia rzeczywiście panował ożywiony ruch a następnego Niemcy odeszli.

Żaden niemiecki oddział nie zakwaterował już w pobliżu, a tym bardziej w domu. Właściwie rozpoczęło już się oczekiwanie na szybki koniec wojny. Było widać, że Niemcy

tutaj nie dysponują już żadnymi poważniejszymi siłami, ale front całkiem zamarł, nawet żadne odgłosy nie dochodziły, a jeszcze Niemcy wyciągali z pasa przyfrontowego i przesuwali w głąb wciąż nowe jednostki, jak się później okazało, szykując ostatnią ofensywę tej wojny na zachodzie. Na linii Wisły pozostała raczej dekoracja.

- Wiesz, miałeś całkowitą rację co do tego Niemca - powiedział Agnus - i czuję, że przez podanie ręki to on zrobił nam zaszczyt. Chciałbym kiedyś być człowiekiem na takim poziomie. -

\* \* \*

Mur szkolny fui, fuisti powtarza po łacinie i wielu z nas poznało śmierci prawdziwe imię... ostatnie przeszły tą bramą gruz i kamienie, zastygły w przejściu.....żyć nie warto dla siebie, dla siebie tylko się trudzić, a los nasz nie jest ważniejszy od losu innych ludzi.

### **Rozdział XV. Zmiana okupacji.**

31 grudnia 1944, około godz. 9 wieczorem. Panował mrok, tylko na kaflach kuchenki co jakiś czas pojawiały się ciemno-czerwone odblaski. To co jakiś czas rozżarzały się na krótko podwieszono na haczykach spirale grzejne. Trzy oporowe druty 400 W połączono szeregowo i potem złożono równoległe w połowie, dołączając prąd w środku nowej całości i drugi raz wspólnie na końcach, tak że przy zwiększonym o około 50% oporze, moc spadała w każdym odgałęzieniu prawie o połowę, a całość miało znowu około 400 W. Ale to tylko w porywach, to jest kiedy od czasu do czasu napięcie w sieci zbliżało się do prawie normalnego. Napięcie zmieniało się całkiem nieregularnie, w zasadzie stale niższe, ale czasem wysiadało prawie całkiem, a czasem przez kilka lub nawet kilkanaście sekund osiągało wartość bliską nominalnej, 220 V. Do oświetlenia to się zupełnie nie nadawało, co najwyżej migocące żarówki mogłyby doprowadzić do oczopląsu, dlatego po domach paliły się albo lampy naftowe, albo dające jasne światło, lecz niemiły zapach karbidówki. Zastosowanie elektryczności do innych celów poza oświetleniem był surowo zakazane, dlatego Angus zawiesił na haczykach na sprzęt kuchenny to dziwne urządzenie. które miało niższą temperaturę i jarzyło się w sposób mało widoczny, a także szybko stygło, można je było w parę sekund zdjąć i schować. Poza tym przy mniejszym obciążeniu jednostkowym i niższej temperaturze, druty przepalały się rzadko. Z drugiej strony, takie ogrzewanie miało niewielką moc i to z przerwami, jak się to mówi, błyskało jak kotowi w ślepiach i niewiele więcej grzało. Tyle, że bez konieczności rozpalania ognia temperatura w małym narożnym pokoiku drewnianego domu, jednak była nieco wyższa od zera, gdy na dworze panował spory mróz, minus dwadzieścia kilka stopni. Zima wprawdzie nie była aż tak ostra, jak poprzednie

wojenne, ale i tak dostatecznie. A więc fakt, że woda nie zamarzała w pokoju, można już uznać za sukces techniczny.

Za zamkniętymi okiennicami i drzwiami tego pomieszczenia, którego okno było szczelnie zasłonięte po obu stronach szyby, a umeblowanie składało się z dwu łóżek, stolika, szafy i krzesła, na jednym z łóżek leżał Angus, w ubraniu, a tylko bez butów. Przykryty kołdrą i z poduszką na głowie, usiłował zasnąć, a przynajmniej odpocząć, bo zapowiadała się aktywna noc. Sen jednak nie nadchodził, a tylko przed oczyma przesuwały się obrazy poprzednich dni.

Święta Bożego Narodzenia, mroźne i śnieżne, spędzili jeszcze w domu Jarugów. Wilia z konieczności bardzo postna i skromna, ale pierwsze święto wypadło wprost imponująco, na obiad była pieczeń z zająca z buraczkami. Szczerze mówiąc, obowiązki zająca pełnił Tom, ogromne czarne kocisko, ulubieniec rodziny Jarugów. Kocur wrócił do domu poraniony, tak czy owak nie można było mu pomóc i dobiecie zwierzęcia stanowiło akt miłosierdzia. Trudniej było go pochować przy wysokim śniegu i mocno zmarzniętej ziemi, więc został na dworze przysypany śniegiem do czasu, kiedy się ociepli. W tej sytuacji matka Angusa zaproponowała, że ona obedrze go ze skóry i upiecze. W pierwszej chwili wszystkich tym zaszokowała, nikt z Jarugów nie chciał przyłożyć ręki, ale w końcu głód przeważył. Tom już oprawiony ważył prawie 5 kg, to był naprawdę imponujący kocur, prawie jak mała pantera i dobrze odżywiany. To też świąteczny obiad był obfity i dobry. Trochę przypominał stypę, kota wspomniano z żalem.

Mateusz powiedział po cichu do Angusa, że teraz powinni pociągnąć losy na przyszłość, czyja kolej. Dość osobliwy żart. Na to Angus szepnął mu, że czytał, jak przed kilkunastu tysiącami lat zwyczaj stypy powstał jako pewnego rodzaju okup. Rodzina zmarłego składała takowy głodnym gościom pogrzebowym, gdy zapłakana wdowa przypaliła zwłoki. Stąd przyjął się następnie zwyczaj pogrzebów całopalnych i rekompensata w postaci poczęstunku dla gości. Chłopcy przywykli do obrzydzania sobie jedzenie i nie takie rzeczy potrafili wymyślić na poczekaniu. Kto nie jadł, jego strata.

Zaraz po Świętach matka i ojciec Angusa powrócili do swego mieszkania i knajpy przy szosie. Lokal był cały czas zamknięty na głucho i okiennice zabezpieczone żelaznymi sztabami. Ale ponieważ położony przy łuku szosy dom, a zwłaszcza wysunięty w stronę drogi lokal po prostu zachęcały do rabunku i czegoś takiego przy przejściu frontu należało się spodziewać, ojciec wpadł na niefortunny pomysł i postanowił jakoś zabezpieczyć mienie. Miał za sobą doświadczenia jeszcze z rewolucji w Rosji i świeższe z 1939 r, więc wiedział, jak się to robi. Wybrał za komórkami kilka metrów ziemi osłoniętej gęstymi świerkami i nie

zamarzniętej i w piaszczystym gruncie wykopał dół, a potem razem z matką wybrali lepsze rzeczy, jak np. ciepły płaszcz na futrze oraz futro matki i w ogóle wszystko, co wydało się cenniejsze. W ciągu kilku dni, w piasku i przy mrozie, to wszystko nie powinno ulec uszkodzeniu. I rzeczywiście nie zdążyło. Już następnego dnia, grupa zdziczałych maruderów w niemieckich mundurach wtargnęła do domu sąsiada, wzmiankowanego już, starego dziadka, który od lat prowadził piwiarnię, ale prawie nie miał klientów i właściwie żadnego towaru. Zaczęli domagać się alkoholu, natychmiast i grożąc mu zastrzeleniem. Odludek, mocno zdziwaczały i prawie nie widujący ludzi, gdyż odstraszał ich między innymi absurdalnymi, podwójnymi cenami, był śmiertelnie przerażony i na kolanach błagał o życie. Trudno powiedzieć, czy rzeczywiście nic nie miał, czy też chciwość i skąpstwo nie opuściły go nawet w obliczu śmierci, bo niewątpliwie były to nienormalne cechy spowodowane zmianami starych. W każdym razie zaprzysięgał, że on nic nie ma, ale obok, tak, tamten lokal dobrze prosperował, a właściciele są bogaci i zakopywali skarby.

Wtedy maruderzy włamali się do ich domu, wyciągnęli matkę ojca i dali im do wyboru, albo natychmiastowa egzekucja, albo mają wskazać i odkopać te skarby. To też ojciec i matka, z łopatami w ręku odkopywali skrytkę. Najgorszy moment nastąpił, gdy Niemcy rozczarowali się na widok ukrytego tam, dość mizernego łupu. Zapewnienia starego Wasikowskiego spowodowały, że spodziewali się czegoś lepszego. Wyglądało na to, że rzeczywiście chcą zastrzelić właścicieli i zostawić ich trupy w tej jamie, nie zważając na ich błagania. Ostatecznie, biegły niemiecki matki spowodował, że od tego odstąpili. Wzięli futra i część ciepłych rzeczy, natomiast większość innych, które im się nie podobały rzucali na ziemię i deptali, a często niszczyli. W końcu jednak zostawili rodziców Angusa przy życiu. Potem rozwalone drzwi i okiennice ze śladami uszkodzeń wskazywały, że ten dom został już obrabowany i dalsze gromady, ciągnące szosą, omijały go, natomiast rozbity został także lokal po drugiej stronie szosy, gdzie nie było nikogo. Jednak popłoch jakoś został tym razem opanowany i Niemcy jeszcze się nie wycofali, a następne dni minęły spokojnie.

Angus wrócił dwa dni później. Bardzo przejęty tym opowiadaniem zastanawiał się, co on by zrobił w takiej sytuacji. Zapewne jednak, coś głupiego i wszystko skończyłoby się znacznie gorzej.

Ale zauważył ważną zmianę. Wzdłuż pierwszego domu, ale już za płotem, na małej przesiece na której grywali kiedyś w piłkę, ułożona była prostopadle do szosy przyma amunicji. Długa na kilkanaście metrów, szeroka na trzy lub nieco więcej i wysoka około metra, same pociski moździerzowe, podłużne jakby bombki ze skrzydełkami na ogonie, oczywiście wszystkie bez zapalników, a więc absolutnie niewrażliwe. Choć z drugiej strony,

w razie bezpośredniego trafienia artyleryjskiego, kto wie. Eksplozja takiej ilości amunicji w odległości około 10 m od okien, no nie, nawet nie warto by chować się w piwnicy. Raczej tylko szybki start przed i oddalić się o co najmniej kilkaset metrów, a potem dopiero szukać schronienia. Lecz przede wszystkim myślał o czymś innym, czy potrafiłby rozebrać te pociski i odzyskać z nich materiał wybuchowy. Wkrótce potem jednak dowiedział się, że niedaleko, przy ulicy Piaski znajduje się drugi, jeszcze większy magazyn. Zaraz poszedł to sprawdzić - i rzeczywiście na skraju lasu, dokładnie tam gdzie ponad dwa lata temu uprawiał ziemniaki i pomidory, był, ale na ogrodzonym terenie kościelnym, dodatkowo okolony drutami kolczastymi i pilnowany przez wartownika. Tutaj przyzmy zakryte były płachtami przysypanymi śniegiem i ustawione na deskach, wyglądały inaczej, nie jak pociski. Przez chwilę myślał, że zwariował albo coś mu się w oczach, gdy w jednym miejscu dostrzegł płachty rozsunięte na dole i ustawiony z jasnych cegiełek jakby mur. Najwyraźniej kostki trotylu. Całe rzędy, zestawione z tych kostek, mój Boże, to wprost nieprawdopodobne. Zapasy złota w Fort Knox nie zrobiłyby na nim takiego wrażenia. Gdyby nawet powiodły mu się poprzednie zamierzenia, to ile materiałów wybuchowych mógłby zrobić - kilka Kg, w wyjątkowym wypadku kilkanaście? Kiedy próbował się dostać do oddziału Ponurego, to tam mieli akurat na dwa pociągi, podobno sześć kg. Tutaj leżały tony, całe podziemie polskie nie dysponowało chyba taką ilością. Okazja życia.

Musiał istnieć jakiś sposób, żeby się do tego dostać. Ten dzień oraz noc z 27 na 28 grudnia poświęcił na zorientowanie się w sytuacji. Jeszcze za dnia przeszedł parę razy ulicą Piaski i następnie obszedł teren od strony lasu, aż do parkanu Kawiorskich. Po zmierzchu też i wreszcie wykradł się w nocy z domu w ciepłym ubraniu i kożusku. Leżał na śniegu ze trzy godziny na skraju przy drutach kolczastych od strony lasu, obserwując zachowanie i poruszanie się wartownika aż do końca jednej zmiany i jeszcze jakiś czas. Nie ulegało wątpliwości, że warta pełniona jest niedbale. Strażnicy w ogóle nie obchodzili terenu dookoła, najwyżej dreptali trochę od strony ulicy i chowali się w małej budce. Co jakiś czas odchodzili do domu Kawiorskich, gdzie widocznie zajęli kwatery, pewnie aby się ogrzać.

Następnego dnia Angus obszedł obiekt jeszcze raz, przypominając sobie każdy metr kwadratowy, teren ten przekopywał łopatą i znał tu każdy kamień, a między drzewami, pod którymi rozmieszczono materiały wybuchowe, nieraz siedział albo leżał z książką, odpoczywając. Wszystko opasane starym ogrodzeniem kościelnym, tylko od ulicy dodano bramę z kratownicy drewnianej i drut kolczasty. Ponadto jeszcze parę zasieków od strony lasu, byle jak, prowizorka.

Tej nocy, Angus znowu wykradł się z domu, chyłkiem przeskoczył szosę i zagłębił w las. Przekradając się od drzewa do drzewa dotarł do drutów kolczastych. Śnieg nie był sypki i świeży, ale mocno zlodowaciały, w czasie dnia operowało słońce i nadtopiło go, a potem znów przymarzł, utworzyła się skorupa. Ślady nie odbijały się, w każdym razie niewyraźnie, ale za to śnieg był „głośny”. trzaskał i trzeba się było ostrożnie poruszać. Szczęście, że poprzedniej zimy, podczas forsownych wypraw na nartach, oswoił się ze strukturą śniegu, umiał go wyczuć. Ale i tak trzeba było poruszać się bardzo wolno, próbując każdego kroku. Tyle, że i bez jego ruchu w lesie rozlegały się różne trzaski, może to poruszające się gałęzie kruszyły lodowa powłokę, a może takie dźwięki ze zlodowaciałej skorupy wydobywał mróz. Odczekał przy zewnętrznych drutach, aż był pewien, że dobrze zlokalizował wartownika i potem rozchylił druty, zaczepiając dolny o średni i przeczołgał się dołem. Teren za ogrodzeniem był udeptany, tak, że nie zachodziła obawa zostawienia śladów. Druga linia drutów przybita była wprost do drzew, pod którymi składowano materiały. Choć ta linia nie była znana, po chwili znalazł miejsce, gdzie możliwy był dostęp. Miał przed sobą wysoki na półtora metra wał czy mur, ułożony ze znajomych kostek, podobnych do kawałków twardego mydła, każda w środku z okrągłym otworem mniej więcej na mały palec. 400 g kostki trotylu, były też połówkowe, płaskie tabliczki, po 200g w skrzynkach z cienkich deseczek. Trafił na szczerze złoto. Ile to rzeczy mógłby dokonać przed paru miesiącami, gdyby posiadał choć trochę tego bogactwa. A w poprzednim roku, mój Boże, przecież sam Ponury nie tylko przyjąłby do oddziału, ale wprost nieba przychylił żołnierzowi, który przyniósłby ze sobą torbę takich kostek.

Było dość jasno, właściwie za jasno na śniegu, zwłaszcza gdy często ukazywał się księżyc. Jednak Angusowi udało się uszczknąć sporo kostek trotylu do każdej z dwu toreb i wycofać do domu. Tej nocy powtórzyć wyprawę jeszcze raz. Na razie umieścił przyniesiony trotyl w pokoiku i położył się, żeby do rana choć trochę pospać. Na prowizoryczny schowek wybrał komórkę, którą dysponował jako zbieracz odpadków, wykorzystując trochę pustych butelek i starego żelastwa, które trzymał w celach dekoracyjnych, jako zasłonę. Następnej nocy udało mu się przynieść jeszcze więcej, a ponadto zauważył miejsce, gdzie osobno leżały płaskie kręgi, miny talerzowe do zwalczania czołgów i ciężkich pojazdów, jednak na razie ich nie brał.

Tego wieczoru wcześniej położył się do łóżka, ale był zbyt podniecony i sen nie nadchodził, więc zaczął recytować z pamięci wiersze. Miał zamiar wyjść gdzieś po pierwszej w nocy, gdyż to najbardziej sensowne, a więc bezpieczne godziny. Ale przed nim jeszcze sporo godzin. Nie warto wstawać i próbować przy tych czerwonych błyskach odczytać coś na

zegarku. Gdyby tak udało mu się w dwu torbach przynieść po dwadzieścia kg trotylu i nawrócić drugi raz, to by wystarczyło na... ile pociągów? Mógłby wysadzić w powietrze nawet budynek Gestapo, tylko że gestapo już uciekło. A taka mina talerzowa, to po prostu potęga, Jeżeli jakiś czołg dobrze opancerzony wytrzyma, to i tak co najmniej straci gąsienicę...

Był przekonany, że wcale nie zasnął, gdy z tego stanu wyrwały go odgłosy coraz gęstszej strzelaniny. Zerwał się do zamkniętego okna, a nie mogąc się zorientować wyszedł do sionki i otworzył drzwi. Ze wszystkich stron w niebo biegly kolorowe paciorki, a od czasu do czasu rozbłyskały nawet rakiety. Nalot, czy może już przejście frontu? Nie, to była strzelanina zupełnie bez sensu, wyglądała jak zbiorowe szaleństwo. Dopiero po chwili dotarło do niego: to żołnierze frontowi, cieszyli się, że dożyli roku 1945. Każdy walił w niebo wszystko co miał, marnowali cały posiadany zapas amunicji. Nigdy czegoś podobnego Angus nie widział. To się mogło zdarzyć tylko w zdemoralizowanym wojsku, w którym nie istniała dyscyplina. Na pewno mieli nadzieję, że to już ostatni rok, ale i tak, to po prostu nie do wiary i dawniej nie mogłoby się zdarzyć. W każdym razie dzisiejszą noc mógł sobie darować, nie było mowy o wyprawie, wrócił do łóżka się wyspać. Niemców ogarnął amok, zaczęło się jeszcze dobrze przed dwunastą i hałas wciąż rósł. Tej nocy wątpliwe, żeby poszli spać, pewnie będą się włościć i pić do rana.

Następny dzień był cichy i spokojny, trochę mglisty, niby mróz lżejszy, ale przykry ziąb. Angus wyruszył wyjątkowo wcześniej i korzystając z sytuacji przyniósł dwa wielkie ciężary, tak, że potem już nie miał siły wyruszyć trzeci raz, nawet gdyby tam było już nie złoto, ale nawet diamenty. Chyba, że spłonki i zapalniki, ale nic z tych rzeczy, spłonek i zapalników nie wolno magazynować przy materiałach wybuchowych. Niby oczywiste, ale wielka szkoda, bez tego ma tylko pół szczęścia. Kostkami trotylu można by palić w ognisku, a i tak nie mają prawa wybuchnąć, chyba przypadkowo. Ale miał nadzieję, że jak zdobędzie materiały wybuchowe, to znajdą się tacy, co będą mieli dodatki. Muszą się znaleźć. Na razie zastanawiał się, czy numer 48a z jego zeszytu, mieszanina pyłu cynkowego z siarką, zdołałaby zdetonować trotyl. Może większa ilość jednak tak? Co za szkoda, że pomyślał o tym tak późno, wczoraj w tym zamieszaniu można by wypróbować.

Trzeciego stycznia Niemcy zniknęli nagle, jakby ich nigdy nie było. Ludzie mówili, że uciekli już na dobre i że widziano żołnierzy rosyjskich. Ale nikt nie wychodził z domu, dopiero koło południa Angusowi udało się na krótko wyrwać i rzeczywiście zobaczył z dala, na równoległej do szosy ścieżce którą często chodził do kolegi, trzech żołnierzy w bardziej



zielonkawych mundurach i w hełmach innego kształtu idących ostrożnie w kierunku kolonii. Wolał się nie pokazywać ani nie zbliżać, szli z gotową bronią w rękach i chyba spięci.

Ostrowiec miał szczęście, żadnego przejścia frontu nie było. Niemcy uciekli w nocy, a Rosjanie wkroczyli bez walki, z początku ostrożnie i dopiero pod wieczór zaczął się intensywny ruch na szosie, którą ciągnęły oddziały wojska. Okazało się, że jeden z większych huków w ostatnich dniach, to było wysadzenie mostu kolejowego, więc cały transport odbywał się szosą, pojazdami motorowymi. Wielkie szczęście, że uciekający Niemcy nie wysadzili w powietrze żadnego ze składów amunicji, ani tego na wprost okien z pociskami moździerzowymi, ani materiałów wybuchowych przy ul Piaski. Potwierdzałoby to brak dyscypliny i demoralizację tyłowych oddziałów. A może to niżsi dowódcy zdali sobie sprawę, jaka masakrę ludności to mogło spowodować i świadomie zrezygnowali z wykonania rozkazu. Wiadomość o przerwaniu frontu na przyczółku Baranowskim przyszła niespodziewanie i podobno nie starczyło czasu na ewakuację ludności. Autor nie ma pojęcia, jacy to byli ludzie i czego można było po nich się spodziewać, ale spotkał już jednego przyzwoitego człowieka między Niemcami, mogli być i inni.

Jedyne trupy, jakie można było zobaczyć, to ci Niemcy, którzy nie zdążyli uciec. Tu i ówdzie, Rosjanie znajdowali jeszcze pojedynczych Niemców, Jeżeli nie zabili ich natychmiast gdy szli jeszcze z palcem na spuście, jeżeli odprowadzili pod strażą do swego oddziału lub na tyły, to jeńcy mieli niezłą szansę na przeżycie, lepszą od polskich partyzantów, których żołnierze rosyjscy wprawdzie traktowali z początku przyjaźnie jak sojuszników, ale potem musieli przekazywać służbom specjalnym i rzadko kto wrócił po wojnie. No i oczywiście bez porównania większą, niż jeńcy rosyjscy, którzy wpadli w ręce Niemców. Ale jednak kilka trupów leżało przy szosie. Źle trafili, gdy wyszli z ukrycia, na nerwowych Czerwonarmistów. Ale Angus widział też takich, których prowadzono w stronę miasta, bez żadnych szykan czy prześladowań.

Kilka dni przez Ostrowiec jechały oddziały Armii Czerwonej, bardzo różnie się prezentujące, ale potem koło mieszkania Angusa zatrzymał się całkiem inny oddział. Żołnierze nie mieli karabinów, tylko łopaty i nie wolno im było wchodzić a nawet zbliżać się do domów, w ogóle oddalać się dalej niż na kilka kroków. Byli niezwykle zdyscyplinowani i posłuszni, natomiast ich szarże traktowały tych żołnierzy - nie jak zwierzęta, bez porównania gorzej. Ponieważ nie wolno było podejść do domu, ukradkiem podawało im się „kipiatok” (gorącą wodę) i właściwie niewiele więcej, ci ludzie obywali się niczym. Cywile wprawdzie z konieczności też, ale jednak mieli domy, a ci biedacy leżeli pokotem na dworze, na śniegu. Ubrani byli podobnie, jak wszyscy rosyjscy żołnierze w nie widywane tutaj ubrania,

pikowane jak kołdry. Ludzie mówili, że te tzw. waciaki, wywodzące się z więzień i obozów dalekiej północy, zdecydowały o zwycięstwie nad Niemcami. Proste, tanie i szczerze mówiąc nędzne ubrania, umożliwiały jednak przeżycie przy niskiej temperaturze. Nie mówmy teraz o tym, co to było za życie, ale faktem jest, że na przykład skazańcy na Syberii, miesiącami nie wychodzący z takiej brudnej i odrażającej powłoki, mieli jednak znaczny procent szans na przetrwanie zimy, a przed wprowadzeniem tego prostego wynalazku, raczej nie.

W 1941 roku, ostatnie docierające na front rzuty Armii Czerwonej już w okresie wielkich mrozów, to byli przeniesieni do wojska więźniowie, często całe oddziały więzienne przemianowano na wojskowe i tylko wydano broń, a ludzie ubrani byli jeszcze nadal w ciemne waciaki, te same stroje, które nosili dotąd jako więźniowie. Okazało się, że zachowują oni zdolność do działania tam, gdzie inni żołnierze tysiącami zamarzali. W magazynach ZSRR były miliony takich strojów, wystarczyło te zapasy pofarbować nie na czarno, ale na kolor sortów mundurowych i ubrać w nie całą armię. To takie proste, dwie warstwy impregnowanej tkaniny i warstwa waty w środku, a rozstrzyga o życiu lub śmierci, Nie było kłopotów z zaopatrzeniem, bo produkcja od dawna szła w masowej skali. A tymczasem po drugiej stronie, z frontu do Niemiec, jechały pociągi zamrożonych trupów i odmrożonych kalek, a Wehrmacht rozpaczliwie ratował się zbieraniem, czy raczej zdzieraniem futer lub skór z cywilów, w ogóle konfiskatą bez zbędnych formalności, rabunkiem każdej sztuki ciepłej odzieży. Armia Czerwona, nie stroniąca bynajmniej od rabunku, tego problemu akurat nie znała. Obecnie wszyscy żołnierze nosili te waciaki. Tyle, że żołnierze mieli czasem możliwość zdjąć je i ewentualnie się umyć, natomiast ci z batalionów karnych nie. Nosili wojskowe zielone, a nie czarne ubiory, odróżniały się one jednak nie tylko tym, że były brudniejsze, ale i bardziej podarte, przeważnie wata wylazła w kilku miejscach i to był problem, bo przenikała do środka woda.

W ciągu paru dni, Angus ani razu nie widział kuchni polowej i ci ludzie chyba ani razu nie dostali ciepłej stawy. Jedynie od czasu do czasu niektórzy z nich odważyli się poprosić o gorącą wodę, po czym natychmiast odchodzili, nawet dziękowali po cichu. Raz dziennie wydawano im porcje jedzenia i szczytem luksusu było, jeżeli suchy chleb i co tam jeszcze dostali, mogli pokruszyć i wrzucić do wrzątku. Angus nie spotkał się z wypadkiem, żeby ich podoficerowie, czy może strażnicy naprawdę kogoś zabili, ale na własne oczy widział, jak bili, kopali lub uderzali kolbą, bez widocznego powodu.

Niektórzy podziwiali nadzwyczajną odporność tych ludzi. Mówili na przykład: „Patrz, Ruski potrafi spać na śniegu jak my na pościeli. A Niemiec w takich warunkach dawno by

umarł”. Ci, co tak mówili nie zastanawiali się, ilu Ruskich umarło przedtem i że z tego powodu właśnie wprowadzono tą odzież. A poza tym, wytrzymali i przeżyli tylko najsilniejsi.

Parokrotnie przechodzące wojsko kwaterowało także w domach, za każdym razem krótko, spieszyli dalej. Zachowywali się jednak poprawnie i tylko raz doszło do sytuacji, mrożącej krew w żyłach. Otóż jak wspomiano, na małej łączce czy też polanie za ogrodzeniem, na wprost okien domu, Niemcy zmagazynowali wielki stos pocisków moździerzowych. Początkowo były przykryte, ale następnie ktoś zabrał płachty, a podłużne pociski, przypominające małe bomby z lotkami na ogonie, obsuwały się. Początkowo prostokątna pryzma zamieniła się na usypisko. Otóż kierowca wojskowej ciężarówki założył się z dwoma innymi żołnierzami, którym takie sąsiedztwo przy kwaterze się nie podobało, że te pociski są absolutnie bezpieczne i na dowód, on wjedzie na tą pryzmę swoim samochodem. Zakład stanął o litr spirytusu i od tego momenty nie było siły, żeby to powstrzymać, stawka była zbyt poważna. Niedwuznacznie zaznaczono, że protestujący mogą zarobić kulę w brzuch, a zresztą nie było czasu na zorganizowanie opozycji, ani na nawet na poinformowanie innych mieszkańców, co się dzieje, gdyż zainteresowane strony natychmiast przystąpiły do rozstrzygnięcia. Angus powstrzymał matkę od schodzenia do piwnicy, nie było sensu się chować, a tylko mogłaby skrócić nogę na drabinie. Wybuch był raczej nieprawdopodobny, ale gdyby jakimś cudem się zdarzył i taka masa amunicji eksplodowała, to piwnica i tak zostałaby zgnieciona i zasypana. Nastąpiłoby istne trzęsienie ziemi, a na ucieczkę gdzieś dalej i tak nie starczało czasu. Ale oczywiście jej tego nie powiedział, tylko zapewnił, że nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa i ciężarówka równie dobrze mogłaby wjeżdżać na stos kamieni. Najwyżej się przewróci, a kierowca potłucze.

Wielka maszyna, jeżeli się nie mylę, produkcji amerykańskiej, z rykiem rozrzuciła przez chwilę pociski i w końcu wspięła na pryzmę, kierowca był jednak niezły i dał sobie radę. Dla zademonstrowania klasy jazdy jeszcze ze dwa razy podjechał do przodu i ponownie do tyłu, rozrzucając dalsze pociski i potem triumfalnie zjechał na ziemię. Nie było żadnej wątpliwości, wygrał zakład i zasłużył na nagrodę.

W tym okresie Angus miał mało okazji na nocne wyprawy do składu materiałów wybuchowych przy ul Piaski, mógł robić to tylko wtedy, gdy w pobliżu nie kwaterowali żołnierze. Potem jednak oddziały wojska przesunęły się do przodu i zapanował względny spokój, a żadnej straży ani przy nieforemnym stosie rozsypywanych pocisków moździerzowych, ani przy porządnie ułożonych materiałach wybuchowych koło ul. Piaski nie było. Tyle, że to drugie znajdowało się za ogrodzeniem z drutów kolczastych.

Angus w sumie odbył kilkadziesiąt takich kursów, należało korzystać z okazji, bo przecież taki stan nie mógł trwać wiecznie. Zachowywał jednak absolutną tajemnicę, nie zdradził się przed żadnym człowiekiem, nie tylko przed rodzicami, ale nawet Mateuszem Jarugą. Wymykał się w nocy jak duch, zachowując wszystkie środki ostrożności, aby się na nikogo nie natknąć. Nie musiał wprawdzie obawiać się wartownika na terenie składu, ale wystrzegał się, żeby go nawet przypadkiem nie zauważono na przykład z okien domów po drugiej stronie ulicy, a nawet żeby okoliczne psy nie zaczęły szczekać. Okna wprawdzie były ciemne i zapewne wszyscy spali głęboką nocą, ale przecież wystarczyłoby, żeby ktoś przypadkowo przebudzony dostrzegł ciemną sylwetkę poruszającą się na terenie magazynu. Zaczęto by o tym gadać, a przecież w jednym z tych domów mieszkał znany, przedwojenny komunista wraz z rodziną, obejmującą też gromadę bardzo wścibskich bachorów. Teraz ich ojciec był członkiem jakiegoś ważnego komitetu, gdy nie żarli się między sobą, naradzali się, jak najlepiej zwalczać „reakcję”. Na razie władza PPR nie była jeszcze wprowadzona i nie odczuwano jej, ale tym bardziej na pewno rozdmuchaliby sprawę jako spisek na bezpieczeństwo Armii Czerwonej, żeby się wykazać.

Angus stosował więc taką ostrożność, jak za czasów niemieckich i wszystko szło dobrze. Jedynie w komórce rósł stale stos kostek trotylu, zastawiony od frontu odpadkami użytecznymi, stary metal i szkło. Przy końcu stycznia, zgromadził już ponad 600 czterysta gramowych kostek i sporo 200g, a ponadto kilkanaście min talerzowych i nadal nie szczędził sił.

Żeby usprawiedliwić swój wyraźnie zmęczony wygląd i ospałość we dnie, zaczął demonstracyjnie powtarzać cały program gimnazjalny, robiąc notatki - i nawet zeszyty przedmiotowe, a raczej coś w rodzaju starożytnych zwojów, wprawdzie nie papirusu, ale papieru. Wobec braku zeszytów, pociął arkusze papiery pakowego na długie pasy i nawijał na patyki, przywieszając do nich etykiety, na wzór ksiąg starożytnych, np. z Biblioteki Aleksandryjskiej.

Nowa okupacja nie była z początku zbyt dotkliwa, zwykli ludzie mieli wiele innych powodów do zmartwienia. Przejście frontu mogło być groźne, ale obawy okazały się większe niż rzeczywistość, raczej niespodzianka na plus. Później doświadczenie nauczyło, że każda nowa zmiana z początku przynosi ulgę, a dopiero po pewnym czasie zaczyna się dokręcanie śruby i ucisk rośnie. Zresztą na okupację obcych wojsk i na wynikające z tego stosunki, patrzono wówczas jako na sytuację przejściową, która ulegnie poprawie, gdy tylko skończy się wojna. To, że nowy okupant władze administracyjną przekazał całkowicie w ręce PPR, jedynej nielicznej organizacji, całkowicie podporządkowanej okupantom, nie było niczym

dziwnym. Przecież PPR utworzono z inicjatywy samego Stalina, przez nadesłane z ZSRR i zrzucone na spadochronach grupy inicjatywne, właśnie w tym celu. Z początku to nie wydawało się mieć większego znaczenia, gdyż ta władza była niesprawna. W pierwszych tygodniach władze, przy minimalnym poparciu nie zainteresowanego społeczeństwa tworzyła różne komitety, które zajmowały się głównie organizowaniem się - i po prostu podgryzaniem we własnym gronie. Ewentualnie robiona pewne gesty na pokaz, w rodzaju wieców, których organizatorzy wobec raczej milczącej widowni wyrażali wdzięczność Armii Czerwonej za wyzwolenie. Pewnie, że gdyby ta Armia po pobiciu Niemców sobie poszła, to mimo tego, że przecież przyszła ona tutaj we własnym interesie, a nie w celu niesienia pomocy Polakom i pomimo fatalnej przeszłości, kiedy Polaków mordowała wspólnie z Hitlerem, mogłaby liczyć na wdzięczność. Na razie taki sojusznik budził uzasadnione obawy. Lepszy efekt dawało pokazywanie polskich żołnierzy w autentycznych polskich mundurach, chociaż trochę zbliżonych do rosyjskich. Jeżeli jeszcze ci żołnierze, a zwłaszcza także oficerowie, umieli mówić po polsku, to czasem budzili prawdziwy entuzjazm. Zwykle w takich wypadkach, w prywatnej rozmowie, po cichu, wyrażali oni te same uczucia, które miało społeczeństwo, nadzieję na nadejście prawdziwej wolności. Takie informacje przynoszono z wieców i powtarzano po cichu.

Władza nie mogła działać efektywnie po prostu dlatego, że nie miał jej kto sprawować. Okupanci powołali i obsadzili struktury w rodzaju Rządu Tymczasowego w Lublinie, ale nie starczyło kadry ludzi, już nie mówię wykształconych, ale w ogóle jakkolwiek przygotowanych do pełnienia funkcji w terenie. PPR, powołana na rozkaz Stalina w roku 1942, miała mało członków i nie wiele więcej zwolenników choćby z tego powodu, że dawna kadra komunistyczna została przetrzebiona jeszcze przed wojną na rozkaz tegoż Stalina. Wszyscy ważniejsi działacze komunistyczni otrzymywali wtedy pilne wezwania do stawienia się w ZSRR (wtedy jeszcze działał Komintern i KPP mu podlegała), wyruszali i znajdowali tam śmierć. Wprawdzie była pewna szansa: jeżeli dany komunista był akurat aresztowany i siedział w więzieniu, albo z innych powodów mimo najlepszych chęci nie zdołał nielegalnie przekroczyć granicy i nie dotarł do ZSRR, to dzięki temu ocalał życie. Pod tym względem, tragedia KPP nawet się nie umywała do tego, co działo się w KPZR, gdzie kadrę wymordowano znacznie dokładniej, możliwość uratowania się z tzw. czystek praktycznie nie istniała. To zasadnicza różnica, mimo wszystko władza Stalina nie sięgała do Polski, a w każdym razie nie była tak wszechmocna, dlatego wymiana kadry kierowniczej partii nie tak sprawna. Ponadto często na miejsce zamordowanych automatycznie wchodzi ich zastępcy, dawni towarzysze i przyjaciele. W tej sytuacji, Stalin nakazał całkowite

rozwiązanie KPP z uzasadnieniem, że roi się ona od fałszywych komunistów, kapitalistycznych agentów i prowokatorów do tego stopnia, że naprawa sytuacji jest niewykonalna.

W rezultacie Komunistyczna Partia Polski nie istniała przez ostatnie trzy lata przed wojną, a nie mogła działać także przez pierwsze dwa lata wojny. Nawet na terenach pod sowiecką okupacją, dawni komuniści mogli co najwyżej prosić o przyjęcie do Komunistycznej Partii Ukrainy lub Białorusi (co według pokrętnej argumentacji podobno nie stanowiło zaparcia się narodowości, tu następował dłuższy wywód o świadomości internacjonalistycznej), ale nawet wtedy staż w KPP nie stanowił dobrej rekomendacji, traktowano ich podejrzliwie. Natomiast na terenie GG, dawni komuniści byli w niektórych wypadkach wręcz wskazywani Gestapo. Jak wcześniej wspomniano, w GG istniała i działała misja łącznikowa NKWD przy Gestapo, przez krótki czas w samym Krakowie, potem przeniesiona do Zakopanego, a następnie nie wiem już gdzie, gdyż celem tych zmian było przecież właśnie zachowanie tajemnicy. Ta misja nie oszczędzała nawet własnych towarzyszy, a o wydaniu działaczy KPN już pisano wyżej, więc naturalnie nie miała też żadnych zastrzeżeń w wydawaniu komunistów polskich, o ile oczywiście nie szkodziło to wywiadowi ZSRR. Zwykle nie było takiej sprzeczności, gdyż przyjętą zasadą było, że człowiek pracujący w wywiadzie nie może mieć powiązań z ruchem komunistycznym.

#### **Kapsuła: Stalin rozbudowuje swoją agenturę w Polsce.**

Dopiero spory kawał czasu po napaści Hitlera na ZSRR, na początku 1942 r., za pozwoleniem Stalina rozpoczęła się odbudowa partii, ale bez nazwy komunistyczna, nazwa miała brzmieć Polska Partia Robotnicza. Do jej reaktywowania Stalin polecił dobrać ludzi bezwzględnie mu oddanych, ale i tak na ziemię polskie wysłano kilka konkurencyjnych tzw. grup inicjatywnych, które następnie wymordowały się wzajemnie, tak, aby pozostali tylko najbardziej posłuszni. Może właśnie celowo, żeby utwierdzić ich lojalność, uświadamiając, że w każdej chwili mogą być zastąpieni. W końcu zaś i tak pełnia władzy przypadła nie żadnemu z tych działaczy, ale kadrowemu oficerowi wywiadu ZSRR, który zgodnie z zasadami nie miał dotąd powiązań z ruchem komunistycznym i wielokrotnie deklarował się jako bezpartyjny, aż do chwili, gdy po kilku latach został nagle i niespodziewanie pierwszym sekretarzem partii, bez żadnego w ogóle stażu. Mowa oczywiście o Bolesławie Bierucie.

W miarę poprawy sytuacji wojennej ZSRR i zbliżaniu się frontu do Polski, Stalin wrócił do planu trwałego podporządkowania tego kraju. Przeznaczono więc coraz większe środki na rozbudowę PPR, i tzw. Gwardii, a następnie Armii Ludowej, jednak mimo to baza ludzka była wciąż nieliczna. W dużym przybliżeniu można przyjąć, że do chwili przejścia

frontu, wpływy PPR obejmowały ok. 5% ludności a więc prawdopodobnie mniej nawet od ONR i NSZ, oba ekstremalne kierunki miały raczej charakter marginalny.

Dlatego też, po osiągnięciu ziem polskich, a nawet jeszcze z pewnym wyprzedzeniem, ci nowi okupanci oraz ich dotychczasowe ekspozytury, rozpoczęły montowanie kolejnych pochodnych ekspozytur, posługując się oszustwem. Tak na przykład, wykorzystując nazwę istniejącej, znanej i dobrze notowanej w opinii publicznej PPS, utworzono nową PPS, jednocześnie uniemożliwiając działanie dotychczas istniejącej partii, aresztując i mordując jej działaczy. Tutaj sytuacja była taka, że o wiele bezpieczniej mogli się czuć ludzie zwalczający dawniej komunizm, nawet skrajni zwolennicy stosowania gwałtów i przemocy (nie mam na myśli, wzorujących się na Hitlerze, bo w Polsce takich nie było, ale np. przywódcy ONR, nawet Falangi). Działacz skrajnej prawicy, trafiał nieraz do więzienia jeżeli był wierny swoim przekonaniom, a mógł zwykle liczyć na ciepłą posadkę, jeżeli się ich wyrzekł. W wyławianiu oportunistów specjalizował się np. Borejsza. Natomiast znany działacz PPS z reguły nie miał prawa żyć, a trzeciorzędny tylko jeżeli porzucił swoje ideały i przeszedł do sztucznego tworu, montowanego przez wywiad ZSRR oraz polskich komunistów. Zaprzaniec mógł nawet zrobić karierę, np. Cyrankiewicz. Uczciwych socjalistów czekał zaś los Pużaka, ale częściej likwidowano ich bez sądu i zbędnych ceregieli, po prostu kula w łeb i do piachu. Jeżeli już metod nieuczciwej konkurencji, to lepiej konkurentów likwidować szybko i bez rozgłosu. Autentycznych socjalistów traktowano właśnie jako konkurentów środowiskowych, bardziej niebezpiecznych, niż wrogowie. Wiadomo przecież, że także bolszewicy likwidowali mieńszewików, eserów i innych konkurentów do wpływów w tej samej klasie w pierwszej kolejności. Stalin mógł wchodzić w układy z wrogami klasowymi, siąść przy jednym stole z kapitalistą, ale nigdy z trockistą, czy, jak to określał w najpoczytniejszej książce wieku wyszukany językiem, zwyrodnialcami, degeneratami z własnej partii, zgniłymi zinowiewcami, zwierzęcymi bucharinowcami i jak tam brzmiały te jego ulubione, barwne określenia. Wykończyć konkurentów to obowiązek, więc musi być na pierwszym planie, zając się wrogami to przyjemność na potem.

Z początku trochę lepiej przedstawiała się sytuacja Stronnictwa Ludowego. Też zagarnięto starą, dobrą nazwę dla zupełnie nowego tworu agenturalnego, ale tu za cenę podporządkowania się przynajmniej oszczędzono ludzi. Ruch ludowy, w dużej mierze dla ocalenia ludzi, poszedł na wymuszoną współpracę i dopiero po powrocie Mikołajczyka, gremialnie przeszedł do PSL i zapłacił cenę krwi za bohaterski opór. Lecz chociaż Stronnictwo Ludowe przed zniszczeniem PSL i potem, pełniło rolę, według słownictwa komunistycznego, transmisji PPR do mas chłopskich, a mówiąc normalnym językiem,

pomocniczej agentury całkowicie podporządkowanej komunistom, jednak trzeba przyznać, że zawsze starało się bronić swoich ludzi. Dzięki temu, zdołało się uratować wielu dawnych żołnierzy BCH, a przy tej okazji i AK, bo ponieważ organizacje te były scalone (choć niecałkowicie), dawni partyzanci AK często podawali się za żołnierzy BCH.

Może się to wydawać nie zbyt wielką zasługą. Jednak agenturalna PPS, też posługująca się dobrą starą nazwą, gorliwie pomagała likwidować fizycznie dawnych działaczy nawet, a może zwłaszcza, kiedy chodziło o takich ludzi, którzy mieli znane nazwiska, kryształową opinię i autorytet społeczny. Różnica taka, że na przykład Witos umarł śmiercią naturalną we własnym łóżku, podczas gdy Pużak zginął skazany i zamordowany, chociaż obaj popełnili dokładnie to samo przestępstwo, zgodnie ze swoim sumieniem odmówili współpracy. To też tą agenturalną PPS stać było na zwerbowanie do kierownictwa najwyższej działacza powiatowego szczebla, jak wspomniany Cyrankiewicz, który nie miał żadnych skrupułów unurzać ręce we krwi. Ten nigdy nie kiwnął palcem, żeby kogokolwiek uratować i akceptował mordowanie nawet ludzi, z którymi niby się przyjaźnił i osobiście dużo zawdzięczał w przeszłości.

Wreszcie utworzona została jeszcze jedna taka transmisja PPR, pomocnicza agentura. Nosiła ona dość dziwną nazwę, Stronictwo Demokratyczne, co mogłoby fałszywie sugerować, że w odróżnieniu od innych, ma coś wspólnego z demokracją. Było ono przewidziane do objęcia swoim wpływem środowisk, z których pochodził elektorat dawnej endecji i chadecji (dokładniej tzw. Stronictwa Pracy, z którym luźno związany był sam Sikorski), chociaż dorabiano legendę, wywodzącą je od przedwojennych Dyskusyjnych Klubów Demokratycznych, a te miały charakter lewicowy.

Wiadomości o zmianach politycznych można było znaleźć w prasie, która zdrożała, lecz nadal był stosunkowo tania. Oczywiście podawane one były w innym sosie, ale po wieloletniej praktyce w odczytywaniu prawdy między wierszami tzw. gadzinówek, wydawanych przez propagandę niemiecką, przyzwyczajono się z kolei do odgadywania prawdy z podawanych tam informacji, zwłaszcza, że stopień zakłamania był bardzo podobny. Mogło się wprost wydawać, że gazety redagują ci sami ludzie, tylko dla innych zleceńodawców.

Z tych informacji wylaniał się prosty obraz: ponieważ samo PPR nie było ani reprezentatywne, ani nawet dość liczne, aby utworzyć rząd, zmontowano nowe dekoracje, na których umieszczono nazwy starych, dobrych firm, które przywłaszczono bezprawnie i siłą, zaś kierownictwa tych partii i każdego, kto ośmielił się zaprotestować, po prostu zlikwidowano, a co najmniej wyciszono. Następnie na drodze mianowania względnie



dokooptowania starannie dobranych osób, powołano tzw. Krajową Radę Narodową, dekorację wyższego rzędu, która miała czasowo sprawować rolę przynależną parlamentowi. KRN miała stanowić legitymację dla tzw. Rządu Tymczasowego, który nie miał żadnych legalnych podstaw, a utworzony został z mianowania Stalina mimo, że istniał i działał przez całą wojnę legalny Rząd Polski na Emigracji wraz z Delegaturą w kraju. Oczywiście to wszystko stanowiło jedno wielkie fałszerstwo, ale tym akurat Stalin się nie przejmował, ani teraz ani nigdy przedtem czy potem. Zawsze postępował w taki sposób, że polecał stworzyć pozory i następnie po prostu nakazywał w nie wierzyć. Jeżeli ktoś spróbował wysunąć jakieś wątpliwości, no cóż, ten sam siebie skazywał - to tak jakby popełnił samobójstwo. Nie wierzy - znaczy wróg, należy z nim postąpić jak z wrogiem.

Przecież nawet wiele lat po śmierci Stalina metody się nie zmieniały. Pod koniec ery Breżniewa, Rosjanie zrzucili najpierw w Afganistanie spadochroniarzy, ci zlikwidowali pośpiesznie stary rząd, a powołali nowy, Babraka Karmala, który natychmiast zwrócił się z prośbą o pomoc w postaci przysłania wojsk ZSRR. Nie mówiąc już o Węgrach i Czechosłowacji. Wydaje się, że najśrodsze marzenie Stalina i jego następców wyglądało tak: gdyby możliwe stało się kiedyś zrzucenie desantu w USA, to spadochroniarze natychmiast mianowaliby kogoś Prezydentem i sformowali Kongres. Te osoby zwróciłyby się niezwłocznie do ZSRR z prośbą o braterską pomoc i przysłanie swych wojsk. Związek Radziecki nie mógłby zostać obojętny. Dla dobra pokoju i w interesie całej ludzkości tą prośbę by spełnił...

Na razie jednak społeczeństwo Ostrowca z tymi sprawami się bezpośredni nie zetknęło, wydawały się odległe i jakby mało ważne. To stan przejściowy, z którym należy się na jakiś czas pogodzić. Wkrótce wojna się skończy, a wtedy na konferencji pokojowej sprawy się ułożą i niewątpliwie Polacy będą mogli sami zdecydować o swym losie. Przecież to Polska była się pierwsza i zarówno swoją polityką, jak i walką zabrała Hitlerowi czas, cały bezcenny rok 1939, co zrujnowało jego plany i rozkład zajęć. Gdyby Hitler już w 1939r. pobił Francję - i następnie Anglię, albo zneutralizował ją, zmuszając do jakiegoś kompromisu, wypadki na światowej scenie potoczyłyby się inaczej. W każdym razie wojna byłaby dłuższa i bez porównania krwawsza. Trudno zgadnąć, skąd wzięła się patologiczna nienawiść Hitlera do Żydów, ale nie trudno, jeżeli chodzi o Polaków: to za to właśnie, że przeszkodził mu na starcie, uratowali skórę Anglikom, a pośrednio zapewne i innym, w tym także Rosji. Z tego powodu Polska płaciła przez cały czas wojny niewyobrażalnie straszną cenę, a przecież nie tylko wypełniła swoje zobowiązania sojusznicze, ale nadal nie ustawała w walce. To też nikt nie wyobrażał sobie takiej możliwości, że kraj ten zostanie rzucony na pastwę Stalina,

zdradzony i opuszczony przez sojuszników. Oni tą wojną właśnie wygrywali, nie podobna było przypuścić, że swego sprzymierzeńca strąca na samo dno klęski, na los jakiego nie zaznały nawet Niemcy, ani państwa walczące po stronie Hitlera.

Teraz najważniejsze były wiadomości z frontów, a wynikało z nich, że koniec wojny rzeczywiście jest bliski. Ofensywa zimowa w Ardenach była ostatnim wysiłkiem Niemiec, beznadziejną próbą odzyskania inicjatywy. A swoją drogą, także czymś w rodzaju cudu, Hitler jeszcze nigdy nie osiągnął tak wybitnych wyników jako dowódca wojskowy. Być może front zachodni znał najlepiej z własnych doświadczeń, być może czerpał idee z ostatniej ofensywy niemieckiej w 1918 roku, gdy rozczłonkowane i pozostawione własnej inicjatywie i inteligencji pododdziały niemieckie, bez planowanych odgórnie operacji przełamania frontu, zdołały w setkach miejsc przeniknąć tą linię, nie do sforsowania pod dowództwem rutynowanych generałów. Można by przyjąć, że Niemcy wprowadzili wtedy po raz pierwszy i jedyny do taktyki i strategii, pewne elementy walki partyzanckiej.

W każdym razie rozpoczęli z wielkim sukcesem, absolutnie ponad wszelkie spodziewania. Ale potem powtórzyła się sytuacja taka sama, jak i w ostatniej ofensywie w 1918: zabrakło sił do dalszego kontynuowania natarcia. Już w momencie, kiedy Amerykanom udało się w rozpaczliwym zrywie bohaterstwa zorganizować okrężną obronę Bastonge, Niemcy mieli tylko dwie możliwości: Albo przerwać bitwę, gdy minął moment zaskoczenia i jak najszybciej oderwać się od nieprzyjaciela, którym jednak wstrząsnęli i który nie był w stanie ruszyć tak zaraz w pościg, raczej przez pewien czas zachowałby się ostrożnie. Tak należało postąpić w wypadku konsekwentnego stosowania zasad walki partyzanckiej. Natomiast druga ewentualność polegałaby na wprowadzeniu w wyłom nowych jednostek i parciu za wszelką cenę do przodu, pozostawiając tylko niewielu ludzi do blokowania otoczonych Amerykanów i pozorowania przygotowań do szturmów. Ale Niemcy wybrali trykanie głową w mur, a potem nie mieli już rezerw, które mogłyby przejąć i dalej prowadzić atak. Sam Hitler zaś postąpił jak nieodpowiedzialny dzieciak któremu nie udało się zbudować z klocków zamierzonej budowli: pozostawił więc rozrzucone zabawki i poszedł do łóżka. Jeszcze gorzej, bo także potem nie pozwalał bałaganu po sobie posprzątać generałom, których przecież sam wybrał jako najlepszych. Tylko, że pozostawił na zniszczenie nie zabawki, a ostatnie dyspozycyjne siły niemieckie, cała reszta związana była rozpaczliwą obroną.

Gazety komunistyczne twierdziły, że to Związek Radziecki, w odpowiedzi na rozpaczliwe błagania Aliantów o pomoc, rozpoczął ofensywę i uratował sytuację. Nie była to prawda. Armia Czerwona uderzyła dopiero wtedy, kiedy bitwa w Ardenach była już rozstrzygnięta, wykorzystując sytuację, że front wschodni został огоłocony, gdyż najpierw

już od miesięcy nie otrzymywał żadnych posiłków, ludzie i sprzęt kierowani byli na zachód, a w ostatniej chwili Hitler wyciągnął stąd jeszcze wszystko, co się dało wyciągnąć. Teraz przy pierwszym silniejszym nacisku ten front po prostu się załamał i Wehrmacht przeszedł do panicznej ucieczki, której nie zdołano opanować ani na pozostałej części Polski, ani na wschodnich ziemiach Niemiec. Zapewne Armia Czerwona mogłaby od razu zająć i Berlin, ale zatrzymała się na rozkaz Stalina na linii Odry, gdyż ten nie chciał wcale przedwcześnie kończyć wojny, ta końcówka bardzo mu odpowiadała. Nadal był cenionym sprzymierzeńcem, porządkował zaplecze, zwłaszcza likwidując siły niemieckie wiszące nad Bałtykiem i opanowywał Bałkany, miał wolną rękę w grabieży. A zwłaszcza wzmacniał armię w centrum, tak, żeby spotkać się z Amerykanami i Anglikami dopiero dysponując dużą przewagą liczebną.

Od chwili zmarnowania w samobójczy sposób ostatnich sił, jakimi jeszcze Niemcy mogli dysponować, nie było mowy o odzyskaniu inicjatywy. To już nie była wojna tylko agonia, ale wódz kazał ją kontynuować tylko dlatego, żeby odejść z wielkim hukem i zostawić po sobie imponujący ślad w historii. Skoro przegrał i sam musiał zginąć, świadomie dążył, aby z nim zginął cały kraj i naród niemiecki. Pełne szaleństwo, choroba psychiczna, ale na szczęście tracił kontrolę na rzeczywistością i nie miał realnego obrazu, a coraz więcej z jego rozkazów pozostało nie wykonanych. Nawet większość bliskich współpracowników i wielkich dygnitarzy nie miała ochoty ginąć z nim razem, co traktował jak zdradę. Tym bardziej nie mieli takiej ochoty wszyscy Niemcy, których świadomie wciągnął do wojny, na którą z początku wcale nie mieli chęci i usilnie pragnęli uniknąć. Początkowe sukcesy były najgorszym, co mogło się zdarzyć, bo zjednały mu posłuch i zaufanie, a teraz przyszedł czas zapłaty, a Hitler nie przypisywał sobie winy, lecz stwierdził, że skoro naród niemiecki nie potrafił zwyciężyć, powinien zginąć. Oczywiście miała to być gigantyczna tragedia, w rodzaju Zmierzchu Bogów. Na szczęście, rozkazy pozostawiania spalonej ziemi na zachodzie nie były realizowane. Natomiast ogromnym nieszczęściem była wykonana zgodnie z rozkazem ewakuacja całej cywilnej ludności z terenów wschodnich, do linii Odry. Przebiegała w makabrycznych warunkach. Niewyobrażalna tragedia, wprost obraz piekła na ziemi, gdyż chociaż tłumy uciekających kobiet, starców i dzieci nie stały się celem lotnictwa, w każdym razie nie w takim stopniu jak we wrześniu 1939r, to jednak śmierć zbierała gęste żniwo z powodu surowej zimy, mrozu i śniegu. Faktycznie cywilna ludność niemiecka znalazła się w niewiele lepszej sytuacji, niż więźniowie obozów koncentracyjnych we wspomnianych już wyżej, marszach śmierci. Tyle, że jednak lepiej odżywieni, dysponowali na początek większym zapasem sił, no i konwojenci ich nie dobijali po drodze. Chociaż, to

bywało różnie, doraźne egzekucje dla utrzymania dyscypliny wcale nie należały do rzadkości, wydano bowiem specjalne przepisy (słowo „prawne” nie pasuje), które nie tylko zezwalały, ale to wręcz nakazywały. Po drodze można było zobaczyć trupy, albo wisielców z przypiętymi na kartkach wyrokami, zwykle wykonanymi przez SS. Wystarczało podejrzenie, że ktoś zostaje, aby się poddać.

Oczywiście, tych ostatnich informacji nie uzyskał Angus z prasy. Opowiedział mu o tym znacznie później ojciec, który z kolei (na kolei) miał je bezpośrednio od naocznych świadków. O tym mowa dalej.

To wszystko były tylko dochodzące odgłosy, natomiast w samym Ostrowcu na razie nie wiele się działo. To, że zaczęły działać jakieś komitety PPR, było raczej ich sprawą wewnętrzną. Powstała tzw. Milicja Obywatelska, ale też nie przejawiała większej aktywności, chociaż podobno składała się ona z byłych członków Armii Ludowej i partyjnych, a dodatkowo przyjmowano każdego, kto chciał się dostać. Nie mieli dobrej opinii, w sumie niezbyt sympatyczne towarzystwo i niemile się zachowujące. Wprowadzono ponownie godzinę policyjną. Angus przesiedział kilka godzin na posterunku, zatrzymany tylko za to, że przechodził nie tą stroną ulicy, nie spodobał się wartownikowi. W dodatku gdy siedział, pilnujący go z bronią w rękę i przez większą część tego czasu bawił się zamkiem. Jeżeli chodziło mu o zrobienie wrażenia, to musiał być rozczarowany, ale Angus ocenił fatalnie poziom i wyszkolenie MO, w oddziale partyzanckim wartownik nigdy by się tak nie zachował nawet w stosunku do jeńca, nie do pomyslenia.

W końcu stycznia zaszły dwie ważne zmiany. Po pierwsze, wiadomości o otwarciu gimnazjum i w ogóle szkół, okazały się jednak prawdziwe. Po drugie ojciec, który od pewnego czasu częściej bywał poza domem, oznajmił niespodziewanie, że w najbliższych dniach wyjeżdża, wraz z grupą zbiorczą dawnych pracowników Dyrekcji Kolei w Poznaniu, wysiedlonych do różnych miejscowości. W Poznaniu trwały walki od szeregu dni i miały trwać jeszcze około miesiąca, gdyż Niemcy zaczęli bronić teraz miast jako punktów oporu - taktyka, którą dotąd wyśmiewali i piętnowali. W Poznaniu, garnizon wykorzystał pas starych fortyfikacji z końca 19 wieku, ale ta nowa taktyka nie przyniosła sukcesów i nie spowolniła posuwania się Armii Czerwonej. Rosjanie najpierw dość szybko zdobyli nie ufortyfikowane dzielnice miejskie, a potem ograniczyli się do blokowania niewielkimi siłami cytadeli, nie forsując ostatecznego szturmów aż do dogodnej dla nich chwili i gdy Niemcy stracili ostatecznie ducha do walki. Owszem, Niemcy dokonywali wypadów i miasto mocno ucierpiało, zniszczone w 55%, lecz to nie martwiło specjalnie rosyjskiego dowództwa. A

choć trwało zdobywanie miasta, już wracały ekipy kolejarzy, aby zorganizować od nowa Dyrekcję i w ogóle kolej.

### **[Kapsuła: Dziedzictwo Polskiego Państwa Podziemnego, a odbudowa.**

Nasuwa się pytanie, jak wyjaśnić fakt, że nowa władza, z początku słaba i mająca minimum poparcia społecznego, a przy tym zajęta wewnętrznym zwalczaniem się oraz organizowaniem pozorów, wreszcie nie przygotowania do rządzenia i pozbawiona nie tylko fachowych, ale prawie w ogóle wykształconych ludzi, dawała sobie radę. A przecież wkrótce okazało się, że mimo tego wszystkiego, Polska zaczęła nader szybko organizować się i funkcjonować. Co więcej kraj najbardziej spustoszony i zdewastowany, w ciągu kilku lat zaczął prezentować się najlepiej z całej zniszczonej Europy, a warunki życia stały się zdecydowanie lepsze, a raczej bardziej znośne, niż w innych krajach, i to nie tylko w porównaniu do bardzo mocno, ale nie aż tak jak Polska zrujnowanych Niemiec, ale nawet Francji i innych krajów Europy zachodniej, nawet i samej Anglii, chociaż Polska startowała z dużo gorszej pozycji. Dopiero w roku 1949 ten szybki rozwój został przystopowany, a od roku 1950 Polska zaczęła cofać się do tyłu, coraz szybciej, właśnie wtedy, gdy wolna część Europy ostro ruszyła do przodu i zaczęła się rozwijać. Właśnie wtedy, władza komunistyczna opanowała cały kraj i wzmocniła się na tyle, że mogła rządzić samodzielnie. Wynik był tak fatalny, że doszło aż do ponownego wprowadzenia kartek żywnościowych, wyrównaliśmy, ale do Rosji. A przecież tak niedawno, w roku 1948 i 49, a nawet na początku 1950 r, kontrast w stosunku do innych krajów Europy istniał, ale zdecydowanie na korzyść Polski.

Otóż ten szybki rozwój i sukces w pierwszych latach po wojnie nastąpił dlatego, że odbudowa niejako automatycznie rozpoczęła się i przebiegała według planów, wypracowanych w okresie okupacji (pierwszej) przez Polskie Państwo Podziemne.

Dla zobrazowania, jak wielkie znaczenie ma dobrze opracowany wcześniej plan, przykład z niedawnej przeszłości. Otóż Powstanie Wielkopolskie z 1918 r, jak wiadomo jedyne udane w naszej historii, w okresie międzywojennym wywołało wiele sporów. Kontrowersje dotyczyły tego, dlaczego się udało i jak do tego doszło, skoro było całkowicie spontaniczne i w pierwszym, decydującym okresie nikt nim nie kierował. Rzeczywiście, struktury organizacyjne społeczeństwa wielkopolskiego podporządkowały się całkowicie Naczelnej Radzie Ludowej, która konsekwentnie zakazała wszelkich działań zbrojnych. Dążyły do nich tylko grupy młodzieży, konkretnie przybudówki młodzieżowe Sokola i harcerze (a więc też przybudówka, ale jakby w drugim pokoleniu: ponieważ Sokół nie miał pozwolenia policji niemieckiej na pracę z młodzieżą, powstały te niby samodzielne klony) Harcerze ze względu na wiek nie stanowili poważnej siły bojowej, a tylko zorganizowali

akcję witania na dworcu zdemobilizowanych żołnierzy i werbowania ochotników. Akcja wywołała nadszpiewany entuzjazm, chętnych rejestrowano w improwizowanych biurach werbunkowych i zaprzysięgano następnie na boisku Sokoła od połowy listopada.). Jednak autorytet NRL był niekwestionowany, także Komenda Chorągwi Wielkopolskiej i zakonspirowane koło wewnętrzne, które nią sterowało, podporządkowały się NRL. Zezwolono jedynie na opracowanie planu alarmowego na wypadek, gdyby Niemcy próbowali nagle zmienić obecny stan i siłą zdusić istniejące polskie struktury społeczne i organizacje. Nic jednak tego nie zapowiadało i NRL zdecydowała, doczekać spokojnie do Konferencji pokojowej, na której miała przedstawić postulaty ludności Wielkopolski.

A jednak doszło do takiego nieprzewidzianego wydarzenia. W dniu przyjazdu do Poznania Paderewskiego, ludność samorzutnie zorganizowała uroczyste powitanie, przy czym miasto udekorowano - jak wiadomo, Polacy kochają takie uroczystości i okazje. To z kolei spowodowało oburzenie Niemców, zwłaszcza skrajnie twardogłowych, którzy w tym momencie spróbowali rozwiązania siłowego. Wyprowadzono z koszar 6 pułk grenadierów, jednostkę w której panowały nacjonalistyczne nastroje i pod tą osłoną, grupy Niemców, zwłaszcza związane z antypolsko nastawioną tzw. Hakatą, zaczęły niszczyć wywieszone flagi i dekoracje, a następnie także wdzierać się do udekorowanych domów i demolować je. Ponieważ ten zbrojny pochód zbliżał się do Bazaru, gdzie gościł Paderewski oraz towarzyszący mu oficerowie alianccy i stworzył wyraźne zagrożenie, zadziałał automatycznie plan alarmowy. Chociaż nie było żadnego dowództwa, ani nawet jakiegoś centralnego ośrodka, do którego spływałyby informacje i który miałby rozeznanie sytuacji, każdy działał według tego z góry wyznaczonego planu i wykonywał swoje zadania z takim rezultatem, że do końca dnia całe miasto i cytadela znalazły się w rękach Polaków. Dopiero po paru dniach oraz burzliwych dyskusjach i sporach, NRL zaakceptowała fakty i wyznaczyła dowództwo wojskowe, a w tym czasie powstanie rozszerzyło się samorzutnie także na prowincje. Tam wprawdzie taki plan nie istniał, ale zadziałał przykład i moment psychologiczny, związany z pierwszym sukcesem.

Do tych wydarzeń doszło w zupełnie nieprzewidzianym momencie. Gdyby kierownictwo NRL z własnej inicjatywy zdecydowało się na działanie, mogło to korzystniej zrobić o pół miesiąca wcześniej. Wtedy, w związku z rewolucją w Berlinie władza i armia niemiecka były całkowicie bierne i bezradne, prawdopodobnie powstanie miałoby charakter zupełnie bezkrwawy i może nawet niezauważalny, po prostu jak zmiana warty. Lecz wtedy młodzież spiskowa daremnie nalegała na taki fakt dokonany, stanowisko NRL było nieugięte: tylko spokój. W końcu grudnia Niemcy już opanowali sytuację i wzmocnili swe siły w

Wielkopolsce, dlatego spróbowali rozwiązania siłowego, mając nadzieję zdusić dążenia ludności i zastraszyć ją, a być może stworzyć też odstrasżający przykład na przyszłość. Gdyby nie ta próba, do powstania by nie doszło i Polacy spokojnie czekali by do rozstrzygnięcia sprawy granic przez konferencję pokojową. Być może, załatwiono by wszystko polubownie i nie powstałyby międzywojenne napięcia między Polską i Niemcami. Choć bardziej prawdopodobne, że wobec znanego nieprzychylnego stanowiska Lloyd George'a, sprawy potoczyłyby się tak, jak na Śląsku, więcej, a nie mniej krwi... Trudno zgadywać co by było, gdyby - i nie o to chodzi. Ta krótka i uproszczona dygresja ma tylko stanowić ilustrację, że dobry plan może być czasem skuteczniejszy od kierownictwa.

Otóż w latach 1940 - 44, niezależnie od toczzonej walki i innych zadań, cywilna część konspiracji, tzn. struktury Polskiego Państwa Podziemnego ze współpracą czynników społecznych wykonały ogromną pracę przygotowawczą, opracowując plany odbudowy i rozwoju kraju po wyzwoleniu. Poniżej tylko te nieliczne fragmenty, z którymi Angus zetknął się osobiście. Natomiast nie należy tracić nadziei, że ktoś bardziej kompetentny przedstawi ten temat obszerniej.

Jednym z tych fragmentów jest właśnie szkolnictwo - i to zarówno legalizacja istniejącego dotychczas, konspiracyjnego, jak i organizowanie dodatkowego, jego intensyfikacja i wreszcie tworzenie całkiem od nowa, na terenach dotąd nie objętych. Nastąpił bowiem nagły run na szkoły, napłynęły masy uczniów, nie mająca dotąd dostępu do nauki i to było wynikiem nie tylko braków z lat wojny, ale także atmosferą. Każdy chciał się uczyć i traktowano to nadzwyczaj poważnie, pozostałość z lat, kiedy trzeba było dużo poświęcić i nawet ryzykować, żeby móc się uczyć. Po czterech, pięciu latach to zjawisko zaczęło zanikać, a o ile mi wiadomo, nigdy przedtem ani potem nie występowało tak intensywnie.

Ponieważ istniejące przy delegaturach Rządu na szczeblach wojewódzkich i powiatowych wydziały szkolnictwa i oświaty oczywiście nie mogły działać, a nawet lepiej nie myśleć, jak skończyłaby się próba ich ujawnienia, przekształcały się one - oficjalnie dopiero teraz powstawały społeczne rady, przedstawiając od razu gotowe rozwiązania i programy. Na ogół zostały one zaakceptowane przez tzw. Władzę Ludową, ponieważ ta nie miała żadnego planu działania, ani pojęcia, co należy zrobić. Tak też było w Ostrowcu, a sprawa uruchomienia gimnazjum tylko dlatego się przeciągnęła, że trzeba było odzyskać budynek, użytkowany dotąd przez Wehrmacht i który automatycznie przeszedł w posiadanie Armii Czerwonej. Potem zaś trzeba było jeszcze włożyć sporo pracy w jego przystosowanie do nowych potrzeb, na szczęście nie był zniszczony, tylko mocno zanieczyszczony. W tym

samym okresie powstała tymczasowa komisja administracyjna Uniwersytetu Poznańskiego, na bazie działającego w konspiracji, Uniwersytetu Ziemi Zachodnich.

Prawie równocześnie, wyjeżdżały pierwsze grupy wysiedlonych poznańskich kolejarzy, w tym także ojciec Angusa, aby wziąć udział w odtwarzaniu i reaktywowaniu Dyrekcji Kolei. Zaczęła ona funkcjonować na dotychczasowych, wypróbowanych zasadach, chociaż zakres zadań i teren operacji znacznie wzrosły. Dopiero po paru latach, reżim komunistyczny przystąpił do rozbijania starych, odtworzonych struktur i tworzeniu własnych, czemu towarzyszyła wymiana połączona z nagonką na ludzi, zwłaszcza na odpowiedzialnych stanowiskach. Rezultatem było duża dezorganizacja i zakłócenia działania kolei.

Kolejnym przykładem jest zagłębie węglowe Górnego Śląska oraz Górnos Śląski Okrąg Przemysłowy. Powołane przez Delegaturę Rządu zespoły kompetentnych fachowców przedwojennych, utworzyły biuro studiów, przygotowujące plany uruchomienia i rozbudowy wydobywania węgla oraz wznowienia produkcji przemysłowej. Plany tak dobre, że wystarczyły na kilka następnych lat i przez cały czas wszystko szło sprawnie. Tak się złożyło, że Angus spotkał trzech inżynierów, którzy w tym okresie nagle dostali wezwanie do objęcia funkcji. Przewidziani jeszcze w czasie okupacji, teraz na łeb na szyję wyjeżdżali z Ostrowca. A w latach pięćdziesiątych, czytał w prasie jak zarzut, że reakcyjne podziemie w czasie wojny, już z góry zadbało o dobre posady dla swoich ludzi. To przykład niesprawiedliwej oceny, faktem jest, że przewidziano możliwie najodpowiedniejszych ludzi do konkretnych zadań. Zaś najlepszym dowodem, jak funkcjonalne były założenia jest, na przykład dawne biuro studiów dla górnictwa węgla powstałe w konspiracji. Działo nadal pod inną nazwą, ale w tym samym składzie, tyle, że do każdego fachowca dodano co najmniej jednego funkcjonariusza UB albo partii, aby patrzył im na ręce. Dopiero kiedy później uznano, że ci dodani ludzie sami nabrali dostatecznej praktyki i mogą pełnić kierownicze funkcje, sprawy się popsuły, a dobrze rozwijający się okrąg, stał się zdevastowanym śmietniskiem, gdzie mimo szkód forsowano produkcję za wszelką cenę. Nie poprawiło sytuacji to, że ci działacze partyjni w nie wyjaśniony bliżej sposób, zaczęli uzyskiwać tytuły zawodowe i naukowe, a potem akademickie, (choć np. Gierek zadowolił się „skromnie” tylko tytułem inżyniera).

Niestety, nie istniały żadne plany w stosunku do tzw. Ziemi Zachodnich, Rząd Polski na emigracji nie przewidywał wchodzenia tak daleko na ziemię które wprawdzie kiedyś należały do Polski, ale już od dawna zostały zgermanizowane. Polacy liczyli na korektę granic z Niemcami, ale tylko na tych terenach, które zachowały ludność polską, albo miały do niedawna większość polską, zmienioną dopiero ostatnio na drodze przemocy. Tylko ekstremiści wzywali do powrotu do granic piastowskich. Jednak niespodziewanie, zwycięskie



mocarstwa narzuciły Polsce granicę na Odrze i Nysie, jednocześnie zmuszając ją do zrezygnowania z prawie połowy dawnego terytorium na wschodzie. Polska została przesunięta na zachód nie z własnej woli. Jednak nie chodzi o wspomnienie ogromu cierpień milionów przymusowych przesiedleńców, a jedynie niebywale marnotrawstwo, jakie temu towarzyszyło. Ponieważ wymuszona akcja była całkowicie nie przygotowana, powstały totalne straty materialne, praktycznie cały majątek tych ziem został rozgrabiony, lub zdewastowany bez żadnego pożytku. Najpierw Armia Czerwona traktowała wszystko jako swój łup, z którego zabierano dowolnie co kto chciał, a przy pełnej anarchii, na jedną rzecz zabraną, przypadało dziesięć zniszczonych. Następnie Rząd Tymczasowy, utworzył specjalne Ministerstwo Ziem Odzyskanych, ale działalność jego była nie tylko niezorganizowana i nieudolna, ale wręcz fikcyjna, gdyż umocowani przezeń urzędnicy nie mieli prawa do żadnej decyzji bez uprzedniego uzgodnienia ich z terenowym dowództwem Armii Czerwonej. Rosjanie przystąpili bowiem teraz do systematycznego zabierania tzw. zdobyczy, to jest demontażu fabryk, wszelkich urządzeń przemysłowych i zwłaszcza maszyn i urządzeń. Odbywało się to jednak w tak chaotyczny sposób, że jest wątpliwe, czy nieskończone rzędy pociągów i kolumny transportowe, ciągnące na wschód, przyniosły jakąś realną korzyść. To klasyczny przykład wadliwie zdefiniowanego pojęcia wartości, z którym sam Marks sobie nie poradził. Jaka była wartość tych urządzeń? Czy chodzi o wartość pracy, związanej z ich wyprodukowaniem, oraz pracy pośredniej tkwiącej w surowcach i urządzeniach przetworzonych uprzednio, myśli technicznej i włożonym kapitale, powiększona o pracę włożoną przy demontażu i transporcie, który też powinien być doliczony do całkowitej wartości? Czy też wartość złomu? A może wartość ujemna, zanieczyszczenie środowiska, obciążenia i problemy, z którymi dopiero przyszłe pokolenie musiało się uporać?

Ta wzmianka ma na celu tylko podać przykład negatywny, degradacji spowodowanej brakiem planu. Górnośląski Okrąg Przemysłowy rozpoczął produkcję i przynosił dochód. Natomiast zagospodarowanie Ziem Zachodnich kosztowało Polskę astronomiczne sumy przez wiele lat. To wymagało ogromnego wkładu kapitału, a łatwo zgadnąć, z kogo ten kapitał wyciskano. Był tylko jeden pożytek, choć trudno ująć go w rozliczeniach: na ziemiach zachodnich istniał pewnego rodzaju azyl, schronienie dla ludzi prześladowanych przez tzw. władzę ludową. Przez szereg lat Polska miała coś w rodzaju dzikiego zachodu, gdzie najpierw nie sięgało żadne prawo, a potem bardzo słabo. Gdzie zbieg i człowiek bez szans mógł uciec i ukrywać się. Wprawdzie w nader prymitywnych i trudnych warunkach, ale jednak przeżyć.

Wracając do przykładów owocnego działania planów, pozostawionych przez Polskie Państwo Podziemne, oto jeszcze jeden. Obecnie mało kto wie, że konstrukcja i szczegółowe

plany tzw. Star'a, popularnej ciężarówki, też zostały opracowane przez zespół konstruktorski, inspirowany i wspomagany przez cywilne struktury Polskiego Państwa Podziemnego (Delegatury Rządu). Zakładano bowiem, że w przyszłej odbudowie spustoszonego kraju, ważna rola przypadnie samochodom ciężarowym. Jeden ze współpracowników tego zespołu (zresztą nie specjalnie ważny, tzw. starszy pomocnik młodszego pomocnika starszego asystenta, jak się sam określał), mieszkał w Ostrowcu, w domu późniejszej koleżanki i sympatii Angusa z liceum. Produkcja Star'ów została później uruchomiona w Zakładach Starachowickich, które w czasie wojny produkowały uzbrojenie. Te świetne ciężarówki, utrzymały się w produkcji około pięćdziesięciu lat, stając się w końcu żywą skamienieliną, czymś w rodzaju dinozaurów, lub po prostu zabytkiem techniki. Ale w czterdziestych latach, to był po prostu rewelacyjny projekt, znacznie wyprzedzający aktualny stan techniki, super-nowoczesny jeszcze do lat pięćdziesiątych. Przy tym idealnie przystosowany do trudnych warunków, konkretnie wiejskich dróg. Nie jest winą projektantów, że Rząd Tymczasowy najpierw nie bardzo wiedział co z tym projektem zrobić i odwlekał decyzję, a potem wykonawstwo ślimaczyło się i napotykało na coraz nowe przeszkody biurokratyczne, tak że projekt nie był już całkiem świeży, kiedy uruchomiono produkcję. Mimo to samochód ten stał się jednym z najlepiej eksportujących się wyrobów i pozostawał przez szereg lat, mimo że przy bardzo niewielkich zmianach, z początku wprost genialna konstrukcja stawała się coraz bardziej przestarzała. Żartowano, Star od starość. Ale po prostu trudno przecenić jego rolę w okresie odbudowy kraju.

To tylko niektóre przykłady, że sukcesy w odbudowie kraju po wojnie, mimo braku kompetencji tzw. Rządu Tymczasowego utworzonego przez okupantów jako marionetkowa agentura, były wynikiem realizacji wcześniejszych projektów i planów Polskiego Państwa Podziemnego. Ponieważ Rząd Tymczasowy nie miał własnego programu, ani zdolności wypracowania takiego, pozwalał przez pewien czas na realizację projektów Polskiego Państwa Podziemnego, przedstawianych przez różne ciała społeczne. Oczywiście, przypisując sobie zasługi.

Nie mam informacji, czy istniał odpowiedni program odbudowy rolnictwa, ale tą sprawę załatwiło w niedalekiej przyszłości objęcie funkcji ministra rolnictwa przez Stanisława Mikołajczyka, który przybył z Londynu i wszedł do nowo utworzonego, tzw. Rządu Jedności Narodowej, usiłując choć w pewnym stopniu umożliwić Polakom wpływ na własny los. Niezależnie od utworzenia PSL, do którego przeszedł cały Ruch Ludowy i związanej z tym chwilowej ulgi politycznej, Mikołajczyk okazał się znakomitym organizatorem i zgromadził zespół świetnych fachowców. W rezultacie w rewelacyjnie

krótkim czasie chłopskie spichrze napelniły się zbożem, a po paru latach w każdym obejściu coś chrząkało, gdało i muczało. Od roku 1947 aż gdzieś do 1951 głód stał się w Polsce pojęciem nieznanym, a ludność odżywiała się wyraźnie lepiej, niż w reszcie Europy.

Niestety, ten dobry początek miał też swoje złe strony. Pozwolił on ekipie komunistycznej na propagandę sukcesu, bardzo podobną do tej, od jakiej rozpoczął rząd Hitler. Pewna część ludzi i zwłaszcza młodzieży, uległa tej propagandzie i pozostała w jej kręgu - mimo, że już w roku 1951 i ostatecznie w 1952 wyczerpał się zapas opracowanych wcześniej planów. Próby stworzenia nowych pod kierownictwem H.Minca, który otrzymał pełnię władzy, swojego rodzaju dyktaturę w dziedzinie gospodarczej i rozbudował ogromną maszynę biurokratyczną podporządkowaną tzw. PKPG, doprowadziły do zapaści i regresu gospodarczego. Na krótko przerwała to dewaluacja i wymiana pieniądza (to znaczy rabunek oszczędności obywateli, oficjalnie określany jako rabunek spekulantów). A jednak, nawet przejściowy postęp na początku w połączeniu z hałaśliwą i oglupiającą propagandą sukcesu spowodowały, że wprowadzony przemocą ustrój, jednak zwiększył bazę społeczną z początkowej, marginalnych 5%, do być może 10 do nawet 20%, a dotychczas jednolita i solidarna postawa społeczeństwa załamał się. Zwłaszcza, że po stronie okupacyjnej ekspozytury znaleźli się nie tylko oportuniści oraz ludzie źli i nikiemni, szukający okazji aby się wyżyć. Zaś autentyczni idealisci i ci wszyscy, którzy uwierzyli propagandzie popartej początkowym rozwojem i poprawa warunków życia, zostali oszukani. Nasuwa się przerażająca myśl, że gdyby Niemcy tak postępowali, bardziej inteligentnie i podstępnie, z mniejszym bestialstwem a lepiej wykorzystując psychologię, to być może mogliby osiągnąć podobny rezultat. Może to ich zaślepienie albo pycha, przekonanie że nie potrzebują tego, sprawiły, że Polacy zachowali tak piękną i czystą kartę z lat wojny. Chociaż autor woli wierzyć że to podobieństwo, zbieżność w ustanawianiu reżimu totalitarnego w Niemczech przed, a w Polsce po wojnie, jest wynikiem śmierci najlepszych. Skutkiem negatywnej segregacji.]

\* \* \*

Jeden z pierwszych dni lutego 1945, rano. Angus nie siedział w ławce szkolnej, w klasie było kilka takich, ale trochę za małych na jego wymiar. Lecz całkiem dobrze mieścił się na krześle za stolikiem, dwuosobowym, który dzielił z nowym kolegą. Siedzieli prawie w rogu pomieszczenia, od strony drzwi. Jeszcze jeden stolik stał za nimi. Klasa licealna Ia nie była zbyt liczna, tylko 26 osób, większość chłopców. Wszyscy w płaszczach lub kurtkach, bo wprawdzie budynek usiłowano ogrzać, ale to nie wystarczało. Mrozy nie były aż tak silne, jak w poprzednich wojennych latach, ale jednak minus kilkanaście stopni na dworze. a w nocy

odpowiednio więcej. W klasie temperatura była dodatnia, ale jednak oddechy parowały mimo, a może dlatego, że większość wypowiedziała się za uchynieniem okna. Pierwszy dzień i jeszcze nie wiele nauki, profesorowie raczej zapoznawali się z klasami, a uczniowie między sobą i z nowym otoczeniem.

Angus jeszcze wciąż nie mógł pogodzić się z myślą, że nie chodzi do jednej klasy z Mateuszem, swoim najlepszym przyjacielem. Jednak nie było sposobu, żeby mu to wyperswadować. Mateusz zapisał się do klasy IV gimnazjalnej, mimo, że byli właściwie na tym samym poziomie, wprawdzie nie przerobił w pełni matematyki i fizyki, ale poza tym wszystkie przedmioty miał zaliczone. Angus już poprzednio zaczął przerabiać z nim ten materiał i zaprzysięgał, że w ciągu kilku tygodni uzupełni wszelkie braki, przecież równania kwadratowe już zrobili bez najmniejszych trudności. Mateusz był bystry i szybko łapał, a Angus także uprzednio pomagał kolegom w matematyce, a teraz odkrył w sobie entuzjazm i talent do uczenia. Ale sam Mateusz i zwłaszcza jego ojciec byli perfekcjonistami, zapewne to cecha dziedziczna albo zaszczipiona. Poza tym profesor Jaruga uważał, że wysłanie syna do liceum bez 100% pełnego przerobienia całego materiału gimnazjalnego byłoby nadużyciem stanowiska i zwłaszcza nauczycielowi tej szkoły, nie wypada tak postąpić. A matka popierała go, gdyż chciała mieć syna jak najdłużej w domu, przynajmniej tak przypuszczał Angus. Daremnie Angus perswadował, że te niewielkie braki uzupełni łatwo; po prostu z palcem w nosie - i że nie ma sensu wracać do 4 klasy gimnazjum, gdy więcej, niż 90% materiału jest już znane, znakomicie opanowane, bo jak już wspomniano, Mateusz uczył się bez taryfy ulgowej i miał wyniki nadprzeciętne.

Jednak Mateusz zgodził się ze zdaniem ojca, że syn profesora uczący się w tej samej szkole, po prostu musi być prymusem, wzorem i przykładem. Nic mu to nie zaszkodzi, jeżeli jeszcze raz gruntownie przerobi czwartą klasę. Trudno, ale Angus nawet dla jego towarzystwa nie chciał wracać, przeciwnie, on miał wrodzony ciąg do przodu. Przerobił i ukończył cały program gimnazjalny, nawet mowy nie było, żeby teraz miał tracić niepotrzebnie rok, to byłoby niewybaczalne marnotrawstwo. Stało na tym, że pójdą do innych klas, ale przecież to ta sama szkoła i nadal zostaną przyjaciółmi. I zostali - przez pewien czas, bo jednak kontakt stopniowo słabł.

W każdym razie dzięki temu, że w styczniu prawie codziennie Angus widywał się z Mateuszem, miał stale bieżące wiadomości o tym jakie są perspektywy w sprawie otwarcia gimnazjum. Już w pierwszym tygodniu po odejściu frontu, Dyrekcja Tajnego Gimnazjum oraz dawny wydział oświaty Delegatury na powiat Ostrowiecko-Opatowski, przemianowane

na społeczny komitet, rozpoczęły starania w tej sprawie. O wyniku wspomniano, a bezpośrednim skutkiem było, że teraz Angus tu siedział.

Kilka dni temu ojciec Angusa wyjechał w drogę do Poznania. Szczerze mówiąc, po raz pierwszy w życiu Angus bardzo niepokoił się o ojca i współczuł mu, ale bynajmniej nie z powodu wyjazdu i związanych z tym niebezpieczeństw. Od pewnego czasu zaobserwował znowu u ojca objawy kryzysu. Już raz widział taki kryzys, zresztą sam też go przedtem przeszedł i wtedy ojciec go wyciągnął prawie przemocą za uszy. Potem zobaczył, jak to ojciec z kolei stał się apatyczny, tylko grał w karty, albo przy braku partnerów sam układał pasjansa i odpalał dosłownie jednego papierosa od drugiego. Sytuacja się zmieniła i znowu wróciły nadzieje. Ale ojciec coraz gorzej znosił wojenne lata i bardzo się postarzał, wręcz zdziaśniał. Może dlatego, że dokuczał mu brak aktywności. Za najważniejszy obowiązek uważał, nie pracować dla okupanta i dlatego trzymał się z dala od kolei, choć potem z konieczności trochę zmodyfikował te zasady i dwukrotnie pracował w cukrowni w czasie kampanii. Właściwie jednak to matka wykazywała inicjatywę i utrzymywała rodzinę, ojciec jej raczej pomagał. Ale ta pomoc nie zawsze było po jej myśli, zaczęła wypominać mu błędy, a w końcu go po prostu pomniejszać. Może to zresztą on sam wyolbrzymiał swoje błędy i stopniowo przeniosło się to na żonę. W każdym razie cierpiała jego duma, przed wojną to on utrzymywał rodzinę i był jej głową, co za degradacja. Rabunek przez maruderów niemieckich tuż przed przejściem frontu nie wynikł z jego winy, ale jednak i on sam uważał, że miał głupi pomysł, który pośrednio to spowodował i żona też mu to wypominała. A do tego jeszcze rozpoczęły się kłopoty z prostatą. Ta dolegliwość starszych mężczyzn, nie stanowi dzisiaj takiego wielkiego problemu, ale wtedy nie było nic można poradzić. A dla człowieka, może nie przesadnie eleganckiego, ale przywykłego do pedantycznego zachowania porządku i czystości (nawet jeżeli pobyt w sowieckiej strefie okupacyjnej częściowo wyzwolił go od „burżuazyjnych przesądów”) to była tragedia.

Teraz jednak wiadomość, że organizuje się na nowo Dyrekcja Kolejowa w Poznaniu, a nawet więcej, że ma ona objąć cały zachodni okrąg, o powiększonym obszarze, podziałała jak odgłos trąb archanielskich. To, że ekipa ma jechać w nieznane, jak się da i do miasta, gdzie wciąż jeszcze trwają walki z Niemcami, nie miało znaczenia. On miał robić właśnie to, w czym był dobrym specjalistą, jak sądził niezastąpionym. Na to czekał całą wojnę, obecnie wprost wróciło mu życie. Więc rwał się naprzód i nie chciał słuchać o żadnej zwłoce, ani dobrych rad, że lepiej trochę poczekać, bo to niebezpieczne. Dla niego to był najważniejszy, odnaleziony sens istnienia i całkiem się zmienił, nawet niepowodzenia traktował lekko i z humorem.

Agnus koniecznie chciał jechać razem z ojcem. Argumentował, przekonywał, że może się przydać, że potrafi lepiej i szybciej reagować, jest sprawniejszy fizycznie i ostatecznie sprawdził się już w trudnych sytuacjach. Ale ojciec był stanowczy. Nie ma mowy, rodzina na razie pozostaje w Ostrowcu, aż przyśle wiadomość, czy i kiedy można przyjechać. Przede wszystkim, to jedzie grupa samych kolejarzy i nie ma żadnych osób towarzyszących czy postronnych. To nie wycieczka, zabierają tylko najpotrzebniejszych i dopiero mają przygotować i w ogóle utorować drogę dla następnych grup i na razie nawet nie wiadomo w jaki sposób i czym tam dotrą. Na uwagę, że tym bardziej syn może się przydać, chce po prostu dołączyć jako jeden dodatkowy, silny a głupi, ojciec odpowiedział, że to nonsens. On nie jedzie się tam bić ani brać udział w strzelaninach, od tego są inni i zrobią to lepiej. Natomiast on zna się na tych sprawach fachowych, którymi zajmował się przed wojną. I o to właśnie chodzi, nikt inny nie da sobie tak łatwo rady. Było takie powiedzenie, „navigare necesse est, vivere non est necesse”, a kolej jest bez porównania ważniejsza od żeglugi. Więc jadą tylko ci niezbędni, koniec, kropka. Nie ma czasu na dalsze dyskusje i żaden smarkacz nie będzie mu przeszkadzał. Angus najlepiej robi, jeżeli zajmie się swoimi sprawami i zacznie znowu uczyć, to też ważne. Niech nie przepuści właściwego momentu, bo w przyszłości od tego zależeć będzie jego wartość.

Nie było rady, ojciec wyruszył w dniu chyba 25 albo 26 stycznia, nie mając pojęcia jak i kiedy dojadą. Zaś matka z Angusem zostali na razie w dawnym mieszkaniu. Sklep był zamknięty, choćby dlatego, że nic w nim nie było, zapasów żywności nie mieli żadnych, nawet dla siebie. Ale kto by się tym przejmował. Teraz już jakoś przeżyją, a i tak przecież po wojnie nie mieli zamiaru prowadzić knajpy. We wojnie, wiadomo, robiło się różne rzeczy żeby przeżyć, ale teraz już nie. To nie snobizm, ale po prostu taki sposób życia im nie odpowiadał, a zresztą nie umieli tego robić tak jak trzeba. Angus zaś po prostu nienawidził stać za kontuarem i nalewać wódkę, zwłaszcza gdy trafił się pijak. Czuł się tak, jakby znalazł się w jakimś zwierzyńcu z koszmaru po niewłaściwej stronie ogrodzenia.

Matka nadal mieszkała w kuchence, natomiast Angus przeniósł się do pokoiku na zapleczu, jak w czasie choroby. Sam sklep to puste półki nad pustymi szafkami, trzy stoliki i kilkanaście krzeseł, ale nawet nie dało się usiąść do czytania lub pisanania z powodu zimna, więc nie warto było odsłaniać okiennic i w środku było ciemno.

A jednak właśnie wtedy do sklepu przyszło dwóch ludzi, inspekcja czy też komisja do walki ze spekulacją. Matka tłumaczyła im, że od „wyzwolenia” żadnej działalności nie prowadzą, gdyż zostali obrabowani przez odchodzących żołnierzy niemieckich i nie mają w ogóle żadnego towaru, nawet i sami nie mają co jeść. Na dowód, pokazała im nie tylko lokal

sklepowy, ale i własną spiżarnię, w której rzeczywiście było tylko trochę ziemniaków i to samo gotowało się na piecu. W rzeczywistości, nie było aż tak źle, na śniadanie był chleb i nawet mleko. Matka, licząc się z przyszłym powrotem do Poznania, wyprzedawała po trochu różne rzeczy z mieszkania lub wymieniała na żywność. Jedli wprawdzie skromnie, ale to przecież normalne, w ówczesnej sytuacji potrzeby materialne nie liczyły się. Jeden z tych panów pisał protokół, ale drugi wszedł do ciemnego pomieszczenia i kolejno otwierał szuflady. Angusowi przypominało to scenę z Wiernej Rzeki, gdy oficer przeszukiwał ciemne pomieszczenie z ukrywającym się powstańcem. Otworzył więc okiennice, i wrócił, gdy szukający nagle zeszywniał, znieruchomiał na chwilę, a następnie podszedł do oszklonych drzwi i stanął przy nich, zwrócony do ulicy. Angus wiedział o co chodzi i nie dziwił się napiętemu wyrazowi jego twarzy. Jednak żadna dalsza reakcja nie nastąpiła, a po dłuższej chwili człowiek ten podszedł do swego towarzysza piszącego i powiedział, żeby się pośpieszył, bo mają jeszcze wiele podobnych kontroli i powinni ruszać dalej. Dopiero po ich odejściu, Angus pokazał matce zawartość tej przedostatniej szuflady.

Leżało w niej pełno niemieckich granatów zaczepnych, na drewnianych trzonkach. Pod nią, druga nie otwierana szuflad zawierała to samo. Akurat w ostatnich dniach, Angus znalazł całą skrzynkę i oczywiście przyniósł ją do domu. Miał obecnie upragnione zapalniki. Wiedział, jak się to robi: do takiego granatu można było przewiązać jedną, dwie, a nawet do trzech kostek trotylu. ewentualnie można było wykręcić sam zapalnik i włożyć w okrągły otwór w kostce, ale to nie zawsze gwarantowało wybuch, lepiej wcisnąć choć parę gramów plastyku i następnie wdusić zapalnik, który ponadto o wiele lepiej się trzymał, jak przyklejony. Oczywiście, jeżeli się miało plastyk, aż tak daleko jego bogactwo nie sięgało.

Oczywiście, granatów ani żadnych uzbrojonych pocisków nie wolno przechowywać razem z materiałami wybuchowymi. Granat nie powinien sam wybuchnąć, jednak istniała taka minimalna możliwość. Prawdopodobieństwo znikome, ale niekiedy zdarzały się takie wypadki, Jednak granat zaczepny nie ma wielkiej mocy i w razie czego, nie wyrządziłby aż tak wielkich szkód. Ale eksplozja kilkuset kg trotylu, nie mówiąc już o minach talerzowych, zmiotłaby wszystkie okoliczne domy. Dlatego Angus schował przyniesione granaty prowizorycznie w ostatnich z kilkunastu pustych szuflad w sklepie, tylko przejściowo, do czasu, aż obmyśli dla nich lepszy schowek. Granaty wymagają lepszych warunków przechowywania, niż kostki trotylu, są bez porównania bardziej wrażliwe na wilgoć, warunki meteo itd., więc było trochę trudności z obmyśleniem schowka, gdzie będzie mógł się nimi opiekować.

- Czy ty w ogóle sobie zdajesz sprawę ze swojej głupoty - wsiadła na niego matka. - Przecież teraz, jak po nas przyjdą, to nie będziemy mogli wziąć ze sobą do więzienia nic ciepłego do jedzenia, ani nawet naczyń na zupe (to przemawiało przez nią doświadczenie z obozu), bo będą podejrzewać, że przemycamy coś wybuchowego! - Na szczęście, matka nie zdawała sobie sprawy, co znajduje się w komórce za domem, gdyby jeszcze o tym wiedziała!

- Jakoś się wytłumaczę, powiem że właśnie znalazłem je tego ranka i miałem odnieść na milicję. - To zresztą było bliskie prawdy, granaty znalazł rzeczywiście niedawno.

- To lepiej weź je i idź natychmiast. - Matka wyciągnęła teczkę i Angus włożył do niej część granatów, ale zamiast na milicję, zaniósł je do domu Jarugów. Jednak Mateusz też nie chciał ich przechowywać i zgodził się tylko na krótko. Wprawdzie sam przechowywał karabin i amunicję do niego, wykonał w tym celu wprost artystycznie wydrążoną belkę - zawsze był złotą rączką. Ale granaty to co innego, długo leżący granat może stać się niebezpieczny, a w każdym razie on tak uważał. Może z powodu nienajlepszych doświadczeń z „sidołówkami” konspiracyjnej produkcji.

Gdy Angus wrócił do domu, zobaczył, że matka rzeczywiście przygotowała węzełek z najpotrzebniejszymi rzeczami, na wszelki wypadek (do więzienia). Wyniósł resztę granatów i wrócił, ale przez cały dzień nic się nie zdarzyło. Widocznie członek inspekcji czy komisji wolał milczeć. Bardzo rozsądnie, znając późniejsze UB, gdyby to zgłosił i do niego by coś przyłgnęło. Jeszcze po latach podejrzewano by, że to człowiek, który tak czy inaczej, już nie wiadomo dokładnie, ale jednak zamieszany był kiedyś w próbę zamachu na władzę ludową. Może zresztą sam by się przyznał na badaniach.

Następnego dnia Angus dowiedział się, że odzyskano gmach gimnazjum i wkrótce ma rozpocząć się nauka. Od zaraz mogą się zgłaszać ochotnicy do prac porządkowych. Jednak on tylko okazjnie i raczej mało pomógł, z bardzo prozaicznego powodu,. Okazało się, że ma tak obdarte i wystrzępione ubranie, że po prostu nie może się pokazać. Zwłaszcza spodnie, które matka łątała już przedtem, tym razem nie nadawały się do naprawy, za bardzo ucierpiały podczas jego nocnych wypraw, czołgania się po ziemi i przeciskania pod drutami kolczastymi. Matka dokonała przeglądu garderoby, ale po opisanym rabunku, właściwie nie było co przeglądać. Znalazła się wprawdzie marynarka od reprezentacyjnego garnituru ojca, granatowa dwurzędówka, długa, prawie zakiet. Na Angusie leżała jak ulał, akurat normalna długość i wyglądała wspaniale. Ale spodni nie było z czego uszyć. W końcu znalazł się worek z gęsto tkanego, „dychtownego” płótna, od cukru - pudru. Z tego mocnego materiału matka uszyła coś oryginalnego. Wzorowała się na starych pumpach, ale bardzo uprościła krój, jakby na nowo odkryła coś w rodzaju amerykańskich dżinsów ze ścięciem na wierzch i



nakładanymi kieszeniami, a po wzorze pozostały zapięcia na kostkach. W każdym razie, wytrzymałe, wprost nie do zdarcia. Prawie białe, spodnie z worka, w sam raz na łódkę i ciemny żakiet, w środku zimy, trochę to ekstrawaganckie. Dlatego matka ufarbowała je najpierw na kolor brązowy, potem po raz drugi w resztkach jakiegoś ciemno-stalowego barwnika. W sumie wyszedł kolor ciemny, ale w świetle słonecznym wpadał w orzech. W takim właśnie stroju, Angus rozpoczął naukę. Ale do wszystkiego można się przyzwyczać, poza tym stroje były bardzo różne. „Ubrałem się, w com tam mioł”, to dotyczyło większości. A zresztą i tak siedzieli się w kurtkach.

Głos dzwonka przejął Angusa dreszczem, miał uczucie jakby czas się cofnął. Do klasy wszedł mocno starszawy pan, to Mazzurowicz miał być opiekunem klasy. Najwyraźniej posunął się mocno w ostatnich latach, a może był wzruszony, bo dreptał w miejscu, wycierał okulary i pryskał śliną. Miał tylko jeden przedmiot, biologię, ale pierwsza lekcja to były pogaduszki. Oprócz Angusa, znał i uczył jeszcze sporo innych.

Następna lekcja potoczyła się raczej normalnie. Języka polskiego nie miał uczyć znany już profesor Jaruga, ale pani Filanowicz, zwana przed wojną Filomeną. Podobno bystra, ale miała swoją słabość czy raczej ulubionego konika. Uwielbiała poezję romantyczną i lepiej było czuć tak samo, a przynajmniej tak mówić, od razu zapewniając pełną harmonię między uczniem i panią profesor. Ale do tego zostało mnóstwo czasu, ta lekcja zaczęła się od „Dai, ja pobrusam, a ty pocziwai” i Kazań Świętokrzyskich, na następnej może dojdziemy do Bogurodzicy. Okazało się, że w Liceum przerabiają jeszcze raz znany już z gimnazjum materiał, tylko inaczej, w postaci otwartej dyskusji, własne sądy i myśli. Mogą być kontrowersyjne, nawet szokujące, nie ma żadnych ograniczeń.

Jednak dla Angusa dopiero następna, a właściwie dwie następne lekcje to był szok i wstrząs. Na lekcję fizyki wszedł - nie, - tak, - to niemożliwe, - a jednak - porucznik „Leśnik”, dowódca Angusa z tego najważniejszego i trudnego okresu życia, kiedy z zupełnie niedoświadczonego, pełnego marzeń i bzdurnych wyobrażeń ochotnika, przepoczwarzał się w żołnierza. Od dnia, kiedy nieuzbrojonych chłopaków (no, a granat to pies?) przerzucono z oddziału Potoka, do momentu, kiedy paskudna infekcja lekko draśnietej stopy zmusiła do pozostawienia go na kilka dni w przypadkowej chacie, skąd zabrał go już inny oddział i tam wkrótce potem doczekał końca epopei. Angus rozpoznał znajomą sylwetkę najpierw po butach z cholewami. Na chwilę zmyliło go to, że te buty nie były pokryte kurzem, ale lśniły od jasnych byczesów aż do ziemi. Ale to był na pewno „łóś łodciętych”, choć inny, ogolony, przylizany, bo uczesany to mało powiedziane, nie tylko w marynarce, ale i krawacie i chyba spięty, Angus po raz pierwszy widział go spiętego, przecież to człowiek znany z tego, że

zawsze był na luzie, nigdy nie okazywał najmniejszych objawów emocji. Czyżby nie prowadził jeszcze żadnej lekcji, to znaczy przed całą klasą i stanowiło to większe przeżycie, niż stanięcie przed frontem oddziału? Czy go poznał? Przecież musiał dostrzec znajomą twarz, w drugim rzędzie koło lewego kąta, ale jeżeli tak, to ani jednym mrugnięciem oka tego nie okazał.

- Jestem Alfons Wojszczyk,- przedstawił się i kolejno wyczytał uczniów. Gdyby Angus miał jeszcze najmniejsze wątpliwości, to teraz mógł usłyszeć głośno i wyraźnie, Łorłowski i Łokoń, ale gdy podniósł się on sam, to Wojszczyk nadal spojrzał na niego zupełnie tak samo, jak na innych. Potem bez żadnych wstępów, rozpoczął lekcję. Mówił dość szybko, zacinając się trochę, ale w sposób kompetentny i zorganizowany. Mechanika, ruch jednostajnie przyspieszony. Bez początków rachunku różniczkowego, wyprowadzenie jest trochę okólne, trzeba uzasadnić, skąd bierze się  $1/2$  przy  $gt$  kwadrat. Załatwił to trochę inaczej, niż w książce, posługując się pojęciem ciągu i rysunkiem graficznym. Inaczej, ale elegancko, można powiedzieć. Potem od razu rzut i rzut ukośny, przedstawiony jako funkcja i badanie tej funkcji, no więc wreszcie doszliśmy do łosi, rzędnych i łodciętych, a żeby był komplet, rysować je miał Łorłowski. - Na mnie nadal nie spojrz, widocznie i ja nie powinienem go poznawać, nadal jak za Niemców, - myślał Angus i automatycznie, przed oczy wracały obrazy z przeszłości. Ciężkie myśli, wciąż nie mógł zapomnieć, jak działając w najlepszych chęciach, ściągnął nieszczęście na innych ludzi, wprawdzie nie swoich, ale do których nie czuł żadnej nienawiści. Nawet nie miał pojęcia, ilu przez niego zginęło. A co do Leśnika, zachował niezmiennie wdzięczność i szacunek.

Tymczasem profesor (właściwie tytuł przysługiwał profesorom mianowanym, przynajmniej tak było przed wojną; Mazzurowicz, Jaruga - to byli profesorowie, nowi to nauczyciele kontraktowi; zwrot miał charakter grzecznościowy) mówił teraz mało, a atakował kredą tablicę, wyprowadzając kolejne wzory, aż rozlegał się stukot. W ciągu kolejnych lekcji, zrobił ładny kawałek materiału, tym bardziej, że nie było jeszcze matematyki i klasa nie rozpoczęła trygonometrii, więc to on przed czasem, musiał wyjaśnić pojęcia sinusa i cosinusa. Na deser podyktował szereg zadań do rzutów i od razu dla powtórki, trochę z rozkładania sił i proste ćwiczenia z poprzedniej klasy, w rodzaju, położonego asymetrycznie na stole ciężaru, jak obciążone są cztery nogi.

Trzeba powiedzieć, że zrobił wrażenie. Dziewczyny jak zwykle jęczały, że to straszne i nie dadzą sobie rady - choć wiadomo, zwykle dziewczyny są najlepiej przygotowane. Tu trzeba dodać, że w pierwszych latach po wojnie, panował jeszcze ten sam duch, co w czasie wojny. Naukę traktowano bardzo na serio i to za mało powiedziane, bez najmniejszej

przesady z szacunkiem i entuzjazmem. W każdym razie w szkołach, które poznał Angus. Nie to, żeby młodzież chciała się uczyć, oni tym żyli i starali się z całych sił. Od czasu, kiedy kształcenie się było niebezpieczne, kosztowne i wymagało wielu poświęceń i wyrzeczeń, ci co mieli taką możliwość, a nie wszyscy mieli, widzieli w tym swoją przyszłość i wprost wychodzili ze skóry. Potem stopniowo moda się zmieniła.

W tym pierwszym dniu były tylko cztery lekcje, ale ostatnie dwie wymagały prawdziwego wysiłku umysłowego. Z początku nikt nie wychodził, wszyscy wracali do materiału, starali się przyswoić wzory i wszystko zrozumieć, no i przymierzali się do zadań. To była wielka chwila dla Angusa, któremu strona matematyczna odpowiadała i nigdy nie nastęczała trudności. Od tej chwili jego pozycja w klasie była ustalona. Nie ważne, jakie miał ubranie, nawet gdyby przyszedł w starych podartych portkach, od teraz liczył się.

Jednak w czasie pierwszych dni Angus zachowywał rezerwę i nie zawierał bliższych znajomości. Owszem, wszystko układało się jak najlepiej, szkoła bardzo mu odpowiadała. W ogóle stwierdził jeszcze raz, że uczenie się jest rzeczą którą lubi najbardziej, a zwłaszcza dobrze czuł się w grupie. Przy tym doznawał największej satysfakcji i mógłby to robić całe życie, ale nie o to chodziło. Żadnego z nowych kolegów, ani koleżanek nie znał, ani nikt z poprzednich znajomych, nie uczył się z nim. A on miał konkretne plany i to nie tylko co do nauki, a więc wymagające ostrożności. Wprawdzie nie ulegał panice i nie wierzył w czarne prognozy, co teraz czeka Polaków, ale jednak dawało do myślenia, że wszystkie istniejące dotąd organizacje i struktury konspiracyjne zaprzestały działać, znani mu ludzie jakby zniknęli, albo pochowali się, a wszyscy zrobili się bardzo nerwowi. Wyjaśnienie było proste: w ciągu dotychczasowych lat wojennych, społeczeństwo wyrobiło sobie reakcje obronne i kamuflujące przed Niemcami oraz niemieckimi kolaborantami i zdrajcami. Istniał wspólny front przed dotychczasowym okupantem. Teraz zagrożenie się zmieniło. Część ludzi, walczących z dotychczasowym okupantem i wobec których nie zachowywano dotąd ostrożności, lecz zasadę, może ograniczonego, ale jednak zaufania, znalazła się po drugiej stronie barykady i teraz kolaborowała z kolejnym okupantem. Często uprzednio, traktując ich jako sprzymierzeńców o odmiennych poglądach, prowadzono zbyt otwarte dyskusje. No i znaleźli się oportuniści we własnych szeregach, którzy albo przeszli na stronę tego, kto na górze, albo byli gotowi tak uczynić. Wreszcie tacy, co spanikowali i nie chcieli uczestniczyć w beznadziejnej walce, albo przeciwnie, uważali że nie taki diabeł straszny i z komunistami też można się dogadać. Lub w ogóle współpracować i w ten sposób zdobyć wpływ, a potem użyć to w dobrym celu (niby dla kogo dobrym?).

Krótko mówiąc, dotychczasowe struktury konspiracyjne przestały być tajne, przeciwnie, widoczne jak na dłoni, gdyż niebezpieczeństwo przyszło z innej strony i dlatego nastąpił rozpad organizacyjny. Ale Angus oceniał tą nagłą zapaść i niemoc jako tchórzliwe podporządkowanie się przemocy i po prostu ani nie rozumiał ani nie mógł się z nią pogodzić. W jego pojęciu, należało zaakceptować ofiary i walczyć dalej. Ofiary były zawsze, jednak przedtem to nikogo nie paraliżowało. Przecież Niemcy byli nie mniej niebezpieczni, zdarzały się wielkie wsypy, aresztowania, czasem dekonspiracja na dużą skalę. Niemcy też nie byli idiotami, mieli sprawny aparat śledczy i przy nim rozbudowaną agenturę zdrajców i prowokatorów. A jednak po pewnym czasie udawało się odbudować struktury organizacyjne, nowi ludzie zastępowali tych, co zginęli i działalność podziemia trwała. Skąd więc teraz taki postrach?

Oczywiście, nie ma mowy o walce z Armią Czerwoną, W końcu to przecież wróg naszego wroga, w więc automatycznie sojusznik, powiedzmy że czasowy, aż do chwili ostatecznego pokonania Niemiec. Ale należy utrzymać i odbudować własne siły, organizacje polityczne i struktury wojskowe i cywilne. Przecież po tej wojnie, w której Polska odegrała tak wybitną rolę, nie do pomyślenia jest, żeby mogła utracić swój byt i niepodległość. W dodatku na rzecz agresora, który rozpoczął tą wojnę wspólnie z Hitlerem i dopiero po latach znalazł się po przeciwnej stronie, tylko dlatego, że dotychczasowy przyjaciel zniemacka go napadł (zresztą od początku było wiadomo, że z obu podpalaczy świata, każdy tylko oczekuje odpowiedniej chwili, żeby wbić nóż w plecy temu drugiemu. Spółka bandytów, którzy nie zamierzali się dzielić. Świat był za mały dla Hitlera i Stalina, gdyby oni mieli zwyciężyć.)

Angus był w błędzie. To, co odczuwał jako stagnację i rozpad, zaniedbanie dążeń niepodległościowych, to w rzeczywistości konieczna faza, powrót do głębokiej konspiracji i próba ocalenia kadr. Struktury Armii Krajowej i inne na razie przetrwały i starano się je zachować, Jednak nawet to minimum się nie udało, nastąpiły aresztowania kierownictwa AK i Delegatury Rządu, jak i kierownictwa innych organizacji. Struktury odtworzono, ale też nie przetrwały długo, kolejne również i tak dalej, w ciągu roku zniszczono do pięciu kolejnych kompletów. Mimo to organizacja nadal istniała. Zmieniono jej nazwę, z AK na NIE, a potem WIN, od „Niepodległość”, względnie „Wolność i Niepodległość”, a nowi ludzie zastępowali poprzednich „jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec”. Mimo kolejnych klęsk, organizacja wojskowa trwała i wciąż odradzała się, aż po latach służbom śledczym, udało się wprowadzić agentów i prowokatorów do samego centrum. Czyli powtórzyła się jakby historia powstania styczniowego, w końcu to UB i Informacja przejęły kierownictwo konspiracji.

Z drugiej jednak strony, tzw. doły organizacyjne, prości członkowie i żołnierze, nie rozumieli co się dzieje. A dotyczyło to zwłaszcza młodzieży, wciąż przepełnionej etosem walki, która toczyło się na jej oczach, przy udziale części, a pozostała część, która nie zdołała jeszcze wziąć w tej walce udziału, mimo najlepszych chęci, tym bardziej pragnęła to nadrobić. Nie rozumiejąc sytuacji, chcieli walczyć nawet jeżeli, jak niektórzy sądzili, kierownictwo ich opuściło. Prawie w każdej szkole średniej, spontanicznie powstawały tajne organizacje, czasem o fantastycznych nazwach, jak np. obrońcy Maryi, albo Wiary, albo najczęściej trochę na wyrost, jak Powstańcze Wojsko Polskie, Armia Wolności itp., chociaż te armie liczyły zwykle do kilkudziesięciu członków, w większości niepełnoletnich. Na razie, organizujące się dopiero Milicja Obywatelska i Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego wraz z Urzędami Bezpieczeństwa (jakie obłudnie sympatyczne nazwy, po prostu „diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni”) nie miały pojęcia o sytuacji nie umiały działać skutecznie. Aparat przemocy spełniał na razie rolę pomocniczą, naprawdę niebezpieczne były NKWD, przemianowane na KGB i wywiad radziecki. To one zajęły się kierownictwem Polskiego Ruchu Oporu i trzeba przyznać, śmiertelnie skutecznie. Natomiast MO i UB składały się z zupełnie surowych i prymitywnych chłopaków, dopiero materiał do przeszkolenia. Zajęli się tym „doradcy sowieccy”, których ilość rosła, gdyż szybko przysyłano coraz to nowych i po pewnym czasie to oni bezpośrednio przejęli kierownictwo nawet terenowych urzędów i odpowiednio szkolili i wybierali zbirów bez sumienia na swoje usługi.

Z początku, panowała duża płynność kadr. Stopniowo pozbyto się ludzi mających opory moralne, także i byłych partyzantów Armii Ludowej oraz uczciwych, ideowych członków konspiracji komunistycznej. Natomiast przyjęto ludzi, na których był tzw. „hak”, to znaczy takich, na których ciążyły różne plamy i przestępstwa i których, gdyby nie wypełnili poleceń, można było łatwo skazać za dawne winy. Nic dziwnego, że w ten sposób do UB trafił znaczny odsetek agentów i szpicli niemieckich, po pierwsze byli to już ludzie fachowo przeszkoleni, a po drugie szczególnie gorliwi, chcieli się wykazać bo się bali i chcieli uniknąć odpowiedzialności. W parę lat później, przyszła kolej i na młodzież szkolną, więzienia zapelniły się często-gęsto nawet dzieciakami. Wiele tysięcy młodych ludzi miało, jak się to mówi, przechłapano, to jest złamane życie. Jeżeli mieli szczęście i przeżyli, wyszli z więzień dopiero po pierwszej odwilży w 1956 r, gdyż wtedy zaczęto ich zwalniać bez względu na wysokość wyroku. Jednak ci co wyszli, często mieli zrujnowane zdrowie i śmiertelność po wyjściu z więzienia była wysoka od początku, a także potem większość zwolnionych

przewlekłe chorowała i przedwcześnie zmarła. Więzienia bowiem tak „usprawniono”, że nawet Niemcy mieliby się czego nauczyć.

Nie trzeba dodawać, że Angus miał te same, typowe, zamiary. Nawiązać jakiś kontakt, albo jeszcze lepiej odtworzyć stary, ale to się jak dotąd nie udało, a jeżeli nie, to utworzyć organizację i potem razem prowadzić poszukiwania dalej, a w najgorszym razie działać samodzielnie. Próbował tej drogi parę razy poprzednio, a obecnie miał już staż i doświadczenie, wiedział jak się to robi. Na początek trzeba ostrożnie poznać środowisko, przyjrzeć się otoczeniu. Jak już wspomniano, atmosfera była dobra, wręcz wspaniała, ale i tak był na razie wstrzemięźliwy z zawieraniem bliższych znajomości.

Dojrzałość nie zgadza się z pośpiesznym działaniem. Na razie wolny czas po lekcjach, spędzał z Mateuszem, nadal odwiedzali się prawie codziennie i trzymali razem. Ponieważ zaś ojciec Mateusza był jednym z filarów ciała pedagogicznego, należał do przedwojennych mianowanych profesorów i cieszył się jak najlepszą opinią jako jeden z najwybitniejszych, pełnił obecnie różne funkcje, związane z organizacją i odtwarzaniem Gimnazjum i Liceum Ostrowieckiego. Dyrektorem był nadal dyrektor konspiracyjnego gimnazjum w latach okupacji niemieckiej. Jarudze proponowano stanowisko wicedyrektora, lecz uchylił się, ale nie od aktywnej pomocy. Ciało pedagogiczne składało się z kadry przedwojennej, uzupełnione w czasie wojny przez nauczycieli pomocniczych, teraz kontraktowych. Zatrudniono ich więcej, poszukiwano kandydatów z wyższym wykształceniem, co nie było wcale łatwe, biorąc pod uwagę to, że Niemcy starali się wymordować przede wszystkim inteligencję. Jednym z takich nowych i cennych nabytków był właśnie Alfons Wojszczyk. Mateusz twierdził, że grono składało się prawie z samych porządných, wypróbowanych ludzi i najlepiej dowodził tego ich staż okupacyjny. Prawie, bo był jednak jeden niechlubny wyjątek.

Niestety, chodziło o przedwojennego nauczyciela języka niemieckiego, Furmanka. W gimnazjum nie było wyboru języków, z powodu braku innych nauczycieli uczono wyłącznie niemieckiego. Angus spotkał Furmanka jeszcze w 1940 roku, gdy rozpoczął naukę matematyki u Jerzego Moranowskiego, gdyż Furmanek mieszkał w tym domu. Zajmował dwa pokoje, lub raczej pokój z prowizoryczną kuchenką na pierwszym piętrze. Dziwne wrażenie budził starszy mężczyzna, nieco mniej, niż średniego wzrostu o potężnym bębnowatym kształcie, oraz dużej głowie, pokrytej prawie jednorodnie siwą szczecina, równej długości na brodzie jak i na czaszce, tak na trzy mm Dom był ogrzany, ale jednak nietypowo wyglądał w zimie człowiek w sandałach na bosych stopach, co rzucało się w oczy gdy schodził po drewnianych schodach. Trzymał się bardzo prosto, wręcz sztywno. W paru

rozmowach z Angusem wspomniał, że on nie interesuje się światem, bo wszystko na nim, to jedno wielkie gówno, lecz stara się przebywać w sferze ducha, wzniosłości i piękna; że w młodości należał do Eleuzis i wyznawał i wyznaje nadal zasadę potrójnej wstrzemięźliwości oraz inne zasady, których Angus dobrze nie rozumiał, był w końcu dwunastoletnim chłopcem. Gadanie o wzlotach duszy w krainę doskonałości wydało mu się mętne i nieinteresujące. Przyszło mu do głowy, że ten pan pozuje na filozofa i stoika dla tego, żeby oszczędzić sobie prania i z tego powodu też nie nosi skarpet, a krótko przystrzyżone włosy upraszczają toaletę...

Furmanek nie uczył w tajnym gimnazjum. Udzielał prywatnych lekcji niemieckiego, ale raczej rzadko, brakowało chętnych. Natomiast ze zdziwieniem Angus zauważył, że Moranowski liczy się ze zdaniem Furmanka i traktuje go poważnie. Wyraźnie coś ich ze sobą łączyło. Teraz, gdy Moranowski rozpoczął karierę jak wschodząca gwiazda ekipy komunistycznej, sprawa się wyjaśniła.

Mateusz podzielił się z Angusem tym, co dowiedział się od ojca oraz własnymi spostrzeżeniami. Otóż Furmanka w pokoju nauczycielskim otacza próżnia i wszyscy obawiają się z nim rozmawiać na tematy polityczne i raczej nawet o bieżących wiadomościach, praktycznie o wszystkim z wyjątkiem pogody i zdrowia. Wspomniano już uprzednio o nieracjonalnej awersji Angusa do nauki języka niemieckiego. Otóż ona jeszcze ciągle mu nie przeszła i nie był w tym żadnym wyjątkiem, podobne, powiedzmy szczerze, głupie uprzedzenie, żywiło wielu innych uczniów i to zarówno w jego klasie jak i Mateusza, a prawdopodobnie także w innych. Jednak Furmanek nawet nie usiłował uczyć swojego przedmiotu, natomiast zamiast tego rozpoczął na swoich lekcjach coś w rodzaju zajęć polityczno-wychowawczych (jak się to później nazywało), krótko mówiąc propagandę ideologiczną. Mateusz zdążył już ułożyć o tym jeden ze swoich wierszyków, który odczytał Angusowi:

Furman idzie, okiem błyska, głowa w górę podniesiona ze szczecina. Widać z pyska, Gęba z tydzień nie golona. Brzuch ogromny przodem niesie, gdyż się kaszy objadł rano, tej na rzadko, bo już wiecie, że słoninki mu nie dano. Wszedł do klasy, spojrzął dumnie, który z AK się zapytał i wywodzić jął „rozumnie”, czym w ogóle polityka. Łotrze stary, renegacie poza naszym tyś już progiem czyś zapomniał..... precz z Ojczyzną i precz z Bogiem.....

Furmanek rozpoczął studia w Krakowie, o parę lat wcześniej od profesora Jarugi, ale nie spotkali się tam, gdyż albo uniwersytet tamtejszy jemu, albo on uczelni jakoś nie przypadli do gustu, do dziś źle ją wspominał. Przeniósł się do Wiednia i studiował filozofię,

jednak chociaż studiował gruntownie, to znaczy dłużej niż przeciętnie, jakoś zrezygnował z uzyskania stopnia akademickiego. W tych czasach, stereotypem był stopień doktora, ale tego tytułu Furmanek nie używał i nie wrócił z żadnymi literami przy nazwisku, ani też nic nie wiadomo o jakichś jego teoriach, systemach czy wkładzie myślowym.

Natomiast wspominał podobno, że widział w tym czasie samego Hitlera, zapewne przelotnie, gdyż o żadnym zetknięciu albo rozmowie nie było mowy (może jednak oznaczało to znajomość z tego samego domu noclegowego). Powróciwszy do Galicji, przez pewien czas trzymał się w pobliżu W. Lutosławskiego, potem w Eleuzis nastąpił jakiś rozłam, albo zamieszanie, trudno powiedzieć, gdyż wzmianki, stały się podobnie jak idee, raczej mętne. W czasie I Wojny Światowej, został austriackim oficerem (ein Man, der doch studiert hat...), ale frontu rozsądnie uniknął i poprzestał na stopnia Leutnanta. Dobrze wspomina armię austriacką, jak najlepszy okres życia i może z tego powodu nosi się tak prosto, nawet sztywno. Zapewne do tego tematu trzeba by Haszka...

Po 1918 r zaczął uczyć języka niemieckiego. Chociaż nie studiował literatury lecz filozofię, Uniwersytet Wiedeński stanowił wystarczającą legitymację. Najpierw prywatnie, potem na statusie nauczyciela kontraktowego, bo jednak brak stopnia uniwersyteckiego stanowił przeszkodę przy mianowaniu, a i w zakresie filozofii pozostał nieznanym. Jednym słowem, życie nieudacznika, który jednak miał o sobie wyjątkowo wysokie mniemanie, a o innych kiepskie, zarozumiał i mający się za pokrzywdzonego przez los, świat i ludzi.

Może i nie przypadkiem wspominał Hitlera, początek życia jakby trochę podobny i kto wie, czy nie miał podobnych ambicji i rzeczywiście pewnych zadatków na dyktatora, no powiedzmy, o jeden lub dwa poziomy niższego rzędu. Też zszedł w dół, między lud, lecz wybrał komunistów. Raczej jednak nie stworzył własnej odmiany ruchu i nie pochwycił steru, a zadowolił się tym, że jako człowiek wykształcony stanowił wyjątek i w tym środowisku traktowany był z szacunkiem. Podobnie, jak przedtem w armii - „...ein Herr, der doch studiert hat...”, przewyższał ludzi w większości prymitywnych, półinteligentów.

Jest to o tyle dziwne, że absolutnie nie wierzył w materializm, ani zwykły, ani tym bardziej historyczny, raczej nadal przebywał w wyimaginowanym świecie wybrańców ducha, dziwnej mieszaninie Platona i nawet trochę Pitagorasa z Lutosławskim. Ponieważ jednak była to kraina dostępna tylko najświetlejszym umysłem, nie było sensu mówić o tym z pospółstwem. Było raczej obojętne, co myślą zwykli ludzie, tym bardziej nie było sensu zaprzeczać ich poglądom, skoro i tak nie były ani lepsze, ani gorsze od innych, równie błędnych. Zresztą kiedyś próbował ich oświecić, ale z tego nic nie wyszło. Więc prościej było im przytaknąć za cenę uznania i podziwu. Krótko mówiąc, rzekomy stoik w rzeczywistości



stał się jednak cynikiem, a jeżeli to, co czuł do swoich towarzyszy nie było pogardą, to różnica jest subtelna, aż trudna do zauważenia.

W dyskusjach, jakie prowadził zamiast lekcji swego przedmiotu, nie starał się wybielać komunistów, ani też przedstawiać ich tak, jak to robiła pisząca prymitywnie do granic naiwności lub głupoty, hałaśliwa prasa. Podobnymi zwrotami, jak przedtem o hitlerowcach, jako o jedynej słusznej, sprawiedliwej i wspaniałej partii. On stwierdzał po prostu, że cała polityka to jest jedno wielkie szambo i taplają się w nim jednakowo wszystkie partie. Jeżeli więc wszyscy są nieuczciwi, to niby dlaczego komuniści mieliby stosować inne metody, gdy zagrażałoby to zaprzepaszczeniem szans z powodu nadmiaru skrupułów. Krótko mówiąc, każde świństwo jest usprawiedliwione, bo wszyscy postępują jednakowo, a moralność jest obłudą, potrzebną do mydlenia oczu naiwnym.

Następnie, cierpliwie i wielokroć wyjaśniał, że istnieją dwie kategorie ludzi: ci, co znają wewnętrzny mechanizm, wiedzą, jak świat jest urządzony - i ci, którzy dają się oszukiwać i pokierować. Członkowie AK to właśnie ludzie naiwni, dali się złapać na piękne słówka. Sterowali zaś nimi i wysyłali na śmierć politycy, intryganci bez sumienia w imię własnych interesów. On właśnie dla tego pragnie otwarcie podyskutować, żeby uchronić niedoświadczoną jeszcze, chociaż mającą dobre intencje młodzież przed popełnieniem błędu. Należy wznieść się ponad własne uprzedzenia i kierować rozsądkiem. Wkrótce, ten tekst usłyszał i Angus w klasie. Była tylko jedna droga postępowania: wytrzymać w milczeniu, a nawet z lekko znudzoną miną słuchać słów, jak oczywistej prawdy. Bez dyskusji. Mimo to, Furmanek powtarzał swój monolog z niewielkimi odmianami wciąż na nowo.

Oczywiście, tkwił w tym widoczny na pierwszy rzut oka błąd: tych chłopców i dziewcząt nikt, nigdy i do niczego nie musiał namawiać. Raczej przeciwnie, to oni sami ze wszystkich sił starali się, żeby wziąć udział w walce, żeby ich to broń Boże nie minęło. I to wcale nie było łatwe. Byli wprawdzie tacy, którym się udało, trafili stosunkowo łatwo. Inni jak Angus, którzy starali się ze wszystkich sił, a jednak zaledwie otarli się o autentyczny udział (widać to z książki, opisuje ona same starania, z minimalnym efektem; trochę ponad dwa miesiące, to prawie zero). Wreszcie tacy, którzy bardzo pragnęli i traktowali to jako najważniejszy cel życia i najświętszą sprawę, a mimo to wcale nie zdołali się załapać. Ci czuli się z tego powodu niedowartościowani i starali się wykazać teraz.

Nikt nimi nie manipulował ani nie musiał sterować, chyba, że od urodzenia robili to rodzice, dom, potem szkoła, książki, może i kino, słowem wszystko, z czym się stykali. A może rzeczywiście głupcy, synowie głupców, często także wnukowie i prawnukowie głupców. Byli tam głupcy od pokoleń, ale również głupcy nie wiadomo skąd, tacy,

pochodzący z „rozsądnych” rodzin. Wśród tej młodzieży, głupcy byli w większości, chociaż potem zostali mocno przetrzebieni. Ale mimo intensywnej selekcji przez specjalne siły pod kierunkiem czołowych specjalistów radzieckich, wciąż jeszcze rodzili się nowi głupcy. Nawet gdy rodzice-głupcy milczeli, a dzieci poddawano w szkołach „rozsądnemu” wychowaniu, nagle po dojściu do samodzielnego myślenia one też zapadały na podobną głupotę. Jakaś skaza genetyczna, albo zaraźliwy wirus.

Oczywiście, byli też i „rozsądni”, ostrożni, - zawsze, w czasie poprzedniej okupacji też. I jednak stopniowo proporcje ilościowe zaczęły się zmieniać, „starania” władz działały. A także oportuniści, zawsze gotowi służyć temu, kto jest górą. Też ich przybywało. Po kilkudziesięciu latach słyszało się czasem: - Ten a ten to porządny człowiek, nikomu nie zaszkodził, no ale cóż, do partii musiał się zapisać po prostu dla kariery.-

\* \* \*

- Przecież to proste, zastosujmy ten sam wzór, co filomaci, filareci i promieniści, - zaproponował Gienek Forlarński.

Angus zamrugnął oczami, oszołomiony. Uczył się o Mickiewiczu, znał splątane wątki w Panu Tadeuszu, mógł dyskutować o okresie wileńskim, kowieńskim, o Marii Wereszczakównie albo salonach rosyjskich, o tle sonetów krymskich albo twórczości emigracyjnej. Wiedział też teoretycznie, co to jest konspiracja wielopoziomowa, zastanawiał się nad jej zasadami jeszcze w czasie tworzenia ZSZ. Jak to, do diabła możliwe, że nie skojarzył tego wcześniej? Przecież to takie oczywiste, tajne związki na Uniwersytecie Wileńskim, to klasyczny przypadek. Dlatego Nowosilcow tak długo prowadził śledztwo, wysiłał się, a i tak nie dotarł do sedna. Przecież to od razu wszystko wyjaśnia, te niskie wyroki, raczej środek ostrożności przy nieudowodnionym podejrzeniu i tajemnicze wzmianki w utworach i życiorysie. Znał wszystkie dane i nie powiązał ich ze sobą, co za osioł.

- Proponuję, żebyśmy my, jak tu stoimy, utworzyli ośrodek, który obmyśli metody aktywnej walki i wybierze taktykę oraz przygotuje metody osiągnięcia celu, wolności i niepodległości dla Polski. Z kolei dobierzemy sobie grono najbardziej zaufanych i pewnych kolegów, wraz z którymi utworzymy organizację. Może po pewnym czasie, kiedy ich lepiej poznamy, dobierzemy do wewnętrznego koła jeszcze jednego albo paru, ale w zasadzie organizacja będzie miała własne kierownictwo i działała samodzielnie, nie zdając sobie sprawy, że jest inspirowana od wewnątrz przez nas. Na razie, nie wspominamy o otwartej walce, raczej o wymianie myśli, swobodnej dyskusji. Bez zakłamania i tego wszystkiego co dzisiaj widzimy w gazetach. Nie ma się co łudzić, stopień zakłamania wkrótce wzrośnie w miarę jak wzmocni się cenzura. Gdy tylko komuniści się umocnią, przykręcą śrubę. Może

więc w przyszłości tajna gazetka, choć na razie nie widzę takiej możliwości. Ale na pewno dyskusje w grupkach, pielęgnowanie tradycji niepodległościowych i narodowych, zachowanie własnej myśli i umiejętności oceny, Jednym słowem przeciwstawianie się propagandzie okupantów i prawo do własnej świadomości.

I wreszcie trzeci stopień, coś w rodzaju promienistych, Ojczyzna, Nauka, Cnota. Duży nacisk na wzajemną pomoc w nauce, z uzasadnieniem, że najgorsze zło powstałe w wyniku wojny, to brak ludzi wykształconych. Przecież polska inteligencja poniosła największe straty, stanowiła główny cel okupanta, dokładniej mówiąc obu okupantów. Zginęła większość, a więc teraz, aby odbudować Polskę, trzeba wykształconych ludzi. Najlepiej także i mądrych, chociaż tego sama nauka nie gwarantuje. Stawiamy sobie za cel maksymalnie współpracować w tym zadaniu, pomagać i sobie i innym. Tylko tyle. To jest bardzo dobre dążenie i też powinno chwycić, w czasie wojny powstał ogromny ciąg do nauki i ten trend utrzymuje się nadal, jeszcze nigdy nie było tylu chętnych do uczenia się.

Żaden z tych celów nie jest pozorowany, wszystkie są autentyczne i bardzo potrzebne, także te wstępne można z powodzeniem traktować jako samodzielne, Dążenie do zdobycia wykształcenia, pielęgnowanie ducha patriotycznego, tradycji niepodległościowych i swobody myśli może z powodzeniem funkcjonować nawet niezależnie od ostatecznego celu, przygotowania do czynnej walki.

Dwaj pozostali biorący udział w tej rozmowie, Angus i Bobek Sójka, całkowicie się z tym zgadzali. Jak do niej doszło?

Przy końcu lutego, trafiały się już dni cieplejsze, śnieg to tajał, to znów zamarzał. Zima tego roku była zdecydowanie krótsza i łagodniejsza. Któregoś dnia, klasy licealne miały uczestniczyć w jakimś wiecu czy masówce, wyszli z gimnazjum w czwórkowej kolumnie i oczywiście ze śpiewem. Od razu jako pierwszy, zaczęto śpiewać marsz oddziału Ponurego:

„Hen z dala od naszej rodziny i bliskich my AK żołnierze od Gór Świętokrzyskich”...

Nie wszyscy znali, ale poszły wszystkie zwrotki i zaraz potem

„Hej, po polach dmie wichura, słońce, błoto, ładny kram, lecz co znaczy dla piechura choćby nawet diabeł sam”...

Następnie Marsz Mokotowa, a potem

„Hej chłopcy, bagnet na broń...”

Nadzwyczajne przeżycie, Angus musiał przymykać oczy i zaciskać ręce, nie chciał okazać, że łyż mu się cisną i jakiś skurcz chwyta za twarz. Czuł jedność z kolegami i takie uczucie, jakby w gronie bliskich przyjaciół wyruszał przeciw wrogowi. Chyba wielu się

wzruszyło, innych też chwyciło. Od tej pory marsz oddziału Ponurego śpiewano stale, przy każdej okazji, stał się jakby nieoficjalnym hymnem szkoły.

To była odpowiednia chwila i zaraz po powrocie, Angus zaczął do dawna planowane rozmowy z obu od dawna upatrzonymi kandydatami, proponując założenie tajnej organizacji, póki nie znajdą lepszego kontaktu. Obaj zgodzili się bez namysłu, gdyż też mieli podobne zamiary i teraz dyskutowali plan działania.

Bogdan Sójka, dla kolegów Bobek, był najaktywniejszą osobą, jaką Angus spotkał i zapasy jego energii wprost zdumiewały. O dwa lata starszy od Angusa, należał do częstszego rocznika 26. Był synem nauczyciela, ojca nie widział od 1939r. Ale według ostatnich wiadomości ojciec wciąż żył, jako oficer rezerwy spędził wojnę w niewoli w stalagu. Nawiasem mówiąc, mniej więcej w rok później szczęśliwie wrócił do rodziny. Na razie Bogdan, podobnie jak Angus jedynie, mieszkał samotnie z matką, która stała się bardzo religijna i prosiła wciąż Boga, żeby oszczędził jej syna. Rzeczywiście, miała powody lękać się o jego los, Bobek ze swoim charakterem nie mógł usiedzieć spokojnie, zresztą był harcerzem i w czasie wojny należał do Szarych Szeregów. Do partyzantki się nie dostał z powodu wady wzroku, bez okularów widział na dwa kroki, ale w konspiracji pełnił funkcje łącznika i to nie tylko w Ostrowcu, odbywał nawet długie trasy rowerem. Poza wzrokiem, po prostu tryskał zdrowiem. Bardzo dobrze i silnie zbudowany, chociaż od Angusa niższy o pół głowy, jakby w ogóle nie podlegał znużeniu, żelazny człowiek. Gdyby jeszcze miał to bystre, przenikliwe spojrzenie, można by prawie powiedzieć, że w typie Ponurego. I też nigdy nie zaklął, przez cały czas znajomości Angus usłyszał raz albo dwa, jakieś przypadkowe „do licha”.

Eugeniusz Forlański przeciwnie, był typem wydelikaczonego intelektualisty. Znacznie starszy, dwadzieścia jeden lat i nie jedynie, ale najmłodszy z kilkorga już samodzielnego rodzeństwa. Pochodził z tzw. lepszej sfery, w domu przechowywano portrety przodków i sygnet (którego nie zakładał, podobnie jak nigdy nie wzmiankował o majątku rodzowym, straconym jeszcze przed I Wojną Światową). Ojciec, działacz endecji zginął w jednej z pierwszych, tzw. akcji AB na wiosnę 1940r., matka otworzyła pralnię chemiczną, największą w Ostrowcu i radziła sobie nad podziw dobrze, choć nie miała żadnego przygotowania, a nie był to łatwy kawałek chleba. Wiele kobiet odkryło podczas wojny zupełnie niespodziewane zdolności, jak to już wspomniano. Zatrudniała kilka osób, syn też pracował i nie miał czasu na naukę. Niewątpliwie inteligentny, bystry i ocytany, także obyty, ale zmęczeniu podlegał łatwiej nawet od Angusa, nie potrafił robić czegoś bardzo intensywnie, na przykład pracować i jeszcze się uczyć. Teraz uczył się doskonale, ale nie wytrzymywał długich wysiłków. Jego

matka, przeciwnie, miała nadmiar energii, ale nie skierowała jej w stronę polityki ani nawet konspiracji, lecz kółek religijnych i parafialnych, do tego stopnia, że złe języki łączyły ją zbyt blisko z proboszczem Młynkowskim. Angus miał nadzieję, że to tylko plotki, gdyż o tym księdzu miał kiepskie zdanie. Chociaż jemu też nie można odmówić energii.

Początkowo Angusowi przychodziło czasem do głowy, że Forlański mógł znaleźć się w ich gronie na podobnej zasadzie, jaki oni przyjęli dla organizacji, jako czynnik inspirujący z czyjegoś ramienia, na przykład endecji. Ale nic na to nie wskazywało. To Angus zaczął rozmowy i dokonał wyboru i przeważnie to on dalej wykazywał inicjatywę. Forlańskiego trzeba było raczej nastawić, a potem, owszem, myślał dobrze, ale musiał mieć czas.

Ale kolejny wybór Angusa nie był tak dojrzały. Otóż należy zacząć od tego, że od pewnego czasu, Angus zdecydował się jednak zainteresować znowu dziewczynami. Nadal uwielbiał i czcił ukochaną kobietę, ale stopniowo pogodził się z tym, że sprawa jest beznadziejna, nie ma i nigdy nie będzie powrotu, a nie chciał jednak żyć wyłącznie wspomnieniami. No i pewnych funkcji organizmu nie mógł wykluczyć, chociaż na serio myślał, jak to będzie dobrze, gdy z wiekiem własne organy przestaną go dręczyć. Więc postanowił wybrać sobie dziewczynę, a ponieważ wydawało mu się, że taka zimna kalkulacja jest cyniczna, postanowił że rozejrzy się za taką, w której można się zakochać i będzie to miłość doskonała. Da z siebie wszystko i nie będzie żądał niczego w zamian, w każdym razie, dopóki jego wybrana nie odpowie mu takim samym uczuciem. Krótko mówiąc, że będzie postępował jak dawni rycerze wobec damy swego serca i dążył wyłącznie do jej szczęścia, bez względu na swoją osobę.

W klasie było mniej dziewczyn, niż chłopców, a więc to one mogły przebierać. Jemu podobały się z początku dwie, ale po kilku dniach skoncentrował się na jednej, drugą traktując jak urocze zjawisko. Hanka Zbiżyńska była trochę starsza od niego, podstawowy rocznik 26, ale bez porównania mniej dojrzała i doświadczona, można powiedzieć, jeszcze dziecinna. Jako córka i najmłodsze dziecko, stanowiła oczko w głowie ojca i bardzo ciężko przeżyła, kiedy został on w 1942r. aresztowany i osadzony w obozie. Ojciec, inżynier mechanik, przed wojną założył spory warsztat, zatrudniający kilkudziesięciu pracowników przy produkcji sprzętu rolniczego. Firma rozwijała się doskonale i właścicielowi powodziło się dobrze, obok zakładu wybudował piękny i duży dom dla rodziny. W czasie wojny wprawdzie przedsiębiorstwo oddano w ręce Treuhaendera, ale to Zbiżyński był znakomitym fachowcem i nikt nie potrafił go zastąpić, więc faktycznie nadal je prowadził. Jako patriota i fachowiec zajął się bronią i na tym wpadł, wraz z kilkoma współpracownikami. Wprawdzie znaleziono tylko takie części, które mogły służyć do różnych celów, a on tłumaczył się

zręcznie, niczego nie udowodniono, ale podejrzenie wystarczyło. Trafił do Oświęcimia. To było rok wcześniej nim zdarzyła się znana sprawa w Suchedniowie. Tutaj nie skonstruowano pistoletu maszynowego Sten, ulepszonego przez genialnego Korebkę. Chodziło o proste części, chyba do polskich Vis'ów.

Po aresztowaniach, warsztaty produkowały nadal maszyny rolnicze, zatrudniając parudziesięciu ludzi. Teoretycznie stanowiły wciąż własność Zbiżyńskiego i jego rodziny, ale praktycznie nigdy ich nie odzyskali. Jeszcze w czasie okupacji, żona czuła się właścicielką, gdyż Treuhaender nie znał się i sprawy fachowe pozostawił w rękach młodego inżyniera, którego dobrał sobie jeszcze Zbiżyński. Ten zaś pozostawał lojalny i starał się wszystko konsultować z panią Zbiżyńską, a nawet uczył dzieci, Hankę i jej starszego brata, mieszkając nadal w ich domu. Po wojnie jednak, chociaż zakład nie zatrudniał nigdy wyznaczonej przez ustawę liczby 50 zatrudnionych, wyznaczono zarząd przymusowy i zwolniono dotychczasowego kierownika technicznego. Starania rodziny oraz najstarszego syna, pełnoletniego i z niezłą praktyką zawodową, nie odniosły skutku, z wyjątkiem tego, że zabroniono im nawet wstępu. Wszyscy wysłuchali poważnego ostrzeżenia, gróźb, których trudno nie traktować serio. Ale ciągle mieli nadzieję na powrót ojca. Wiadomości były takie, że zdołał przeżyć do końca w Oświęcimiu, a widziano go w kolumnie więźniów, pędzonych przez SS-manów przed zbliżającym się frontem na zachód, w stronę Niemiec. Niektórzy więźniowie mieli szczęście i ocalili, a teraz zaczęli wracać i przynosili wieści. Mówili oni, że Zbiżyńskiego widzieli przy życiu i rodzina wypatrywała go wciąż, każdego dnia, w każdym powracającym spodziewała się zobaczyć znajomą twarz - daremnie. Nie docierała wciąż żadna wiadomość ani znak życia.

Uprzedzając czas, wyjaśnię, że człowiek ten przeżył do końca obozu, ale w złym stanie fizycznym, stracił około połowy wagi i był na granicy wyczerpania. Straszliwego marszu śmierci już nie wytrzymał, pędzeni więźniowie padali gęsto na śniegu i mrozie. Zbiżyński zmarł już w końcu pierwszego tygodnia, ale ponieważ zginęło też wielu innych, pierwsza wiadomość o jego śmierci dotarła dopiero w lecie. Na razie bliscy wciąż żywili nadzieję i oczekiwali go. Ponieważ zaś ojciec Hanki przewidziany był, w planowanej akcji odbudowy Śląska na kierownika wydziału mechanicznego jednej z hut koło Gliwic, a jego prawa ręka inżynier Stachurski też miał tam się znaleźć, jako jego zastępca, rodzina więc dopuszczała możliwość, że najpierw udał się tam objąć swoje nowe obowiązki i może przesłał wiadomość, która zaginęła, bo poczta wciąż działała niepewnie. To też inżynier Stachurski, będąc i tak zwolniony jako zaufany człowiek dawnych właścicieli, wyjechał na Śląsk na swoje nowe miejsce pracy, przy czym miał dać znać, gdyby się czegoś dowiedział.

Wydaje się, że Hanka była w tym opiekunie rodziny platonicznie czy dziecinnie zakochana i odczuła jego wyjazd.

Właśnie to, że Hanka była często zamyślona i daleka, spojrzenie w przestrzeń i nagle powaga od czasu do czasu (potem dowiedział się, jakie ma powody do smutku), zrobiły wrażenie na Angusie. Pragnął poprawić jej nastrój, sprawić, żeby uśmiechała się częściej i mogła cieszyć życiem. Zresztą to były tylko chwile melancholii, młoda dziewczyna, rozmawiała i śmiała się z koleżankami, myślała szybko i prawidłowo, jedna z najlepszych uczennic. Siedziała w sąsiednim rzędzie stolików i o jedno miejsce do przodu, a więc w stronę środka klasy, akurat na linii widoku katedry i nauczyciela, a także tablicy, bo ta nie była umieszczona na środku ściany, ale trochę przesunięta do okien.

Zwykle ładne dziewczyny dobierają sobie brzydszą koleżankę, ale ta akurat siedziała z drugą, może jeszcze ładniejszą i z początku Angus też się nią interesował. Marysia Leszczyńska wyglądała jak bujna polska dziewoja, większa, niebieskooka i o jasno-złocistych włosach, żywa, wesoła i nawet roztrzepana. W gruncie rzeczy to pozory, była bardzo dzielna, straciła matkę jeszcze w czasie wojny 1939 i faktycznie to ona opiekowała się ojcem i młodszą siostrą, lub być może wszyscy opiekowali się sobą nawzajem. Ale takie miała usposobienie, zawsze uśmiechnięta trzpiotka. Może nawet ładniejsza, w każdym razie na pierwszy rzut oka, bo Hanka miała urodę delikatniejszą, ale im dłużej się na nią patrzyło, tym więcej znajdowało się pięknych szczegółów. A zwrócony stale w tą stronę, po prostu nie mógł nie patrzeć.

Zarówno w okresie wcześniejszym jak wówczas, Angus oceniał się krytycznie, miał o sobie kiepskie zdanie. Po pierwsze, prawie nic mu się w życiu nie udawało, wciąż usiłował i nic z tego nie wychodziło, albo też dopiero po wielu nieudanych próbach, podczas gdy jego koledzy nie napotykali na takie przeszkody, dostali się łatwiej, do konspiracji i potem do lasu. Miał się więc za nieudacznika. Nie brał pod uwagę, że zwykle rzucał się na trudne rzeczy i przeważnie miał marne szanse, małe prawdopodobieństwo sukcesu już na starcie, ani że starał się z całych sił i mimo wszystko, czasem był blisko celu. Ponieważ zaś wzorował się na papierowych bohaterach z książek, kontrast był szczególnie wielki. Im zawsze wszystko się udawało, bez względu na trudności. A poza tym był zdania, że liczy się tylko ostateczny rezultat, tak jak w matematyce, wynik jest albo dobry albo zły, nie może być trochę dobry, takie pojęcie używa się na pociechę dla dzieci.

Matka strofowała go często, w najlepszych intencjach, podobno dla jego własnego dobra. Angus przekonany, że zasługuje na ciągłą krytykę, dopiero później zorientował się, jak wiele kobiet stosuje tą metodę. Matki, siostry, żony, kochanki (to znaczy stałe, bo z początku

nie), nawet córki za wszelką cenę chcą nas ulepszać. Zwykle nie mają zasadniczych zastrzeżeń, ale dostrzegają każdy szczegół na minus, w rodzaju: dobrze, zdałeś egzamin, ale jak ty mogłeś tak pójść, przecież róg kołnierzyka ci się podwinął, co sobie profesor pomyślał o twoim wyglądzie! Na dłuższą metę to delikwenta pomniejsza, w końcu wpędza w kompleksy. Z drugiej strony, taki trening od najmłodszych lat miał ten dobry skutek, że w przyszłości Angus został uodporniony na życzliwe uwagi. Mniej więcej podobnie, jak pobyt w lesie uodpornił go na niesmaczne dowcipy i kawały przy posiłku. Nic nie mogło obrzydzić mu jedzenia, po prostu nie zwracał uwagi. Jak się to mówi, jednym uchem słuchał a drugim wypuszczał.

Nie miał obycia ani doświadczenia z dziewczynami. Wprawdzie raz przeżył, największe uczucie i chwilę nadziemskiego szczęścia i uniesienia, ale to nie mogło trwać. Takie chwile zdarzają się niezmiernie rzadko, prawdopodobieństwo jest miliony razy mniejsze, niż pierwsza wygrana na loterii, a więc nie mogą się powtarzać. To mniej więcej tak, jak żądać, żeby jakiś cud powtórzył się kilka razy. Przecież nawet w grach nie zdarza się, żeby taka sama kombinacja lub te same numery powtórzyła się jeszcze raz. A wyjątkowy traf nie daje doświadczenia, wprost przeciwnie, w przyszłości może wprowadzać w błąd. Zwykle, rzeczy nie układają się w ten sposób między kobietą i mężczyzną. W tamtym wypadku, to było dokładnie tak, jakby dotknęła ich na chwilę ręka Boga i zaraz potem odrzuciła. Nie było w tym ich udziału, niczego, czego można by się nauczyć a tym bardziej powtórzyć. W gruncie rzeczy dobrze, że z powodu wiary i sumienia, powiedzmy szczerze - jednej strony, rzecz została definitywnie zakończona. Gdyby próbowali to kontynuować, przeżyliby straszną klęskę. Więcej doświadczenia dawał onanizm, bo tutaj chociaż tylko jedna osoba, ale reagując w typowy sposób, doznaje zwykłych przeżyć. Reasumując, można przyjąć, że Angus nie miał żadnego doświadczenia z dziewczynami, a w zakresie psychologii, nie wiedział nawet, jak się do dziewczyny zbliżyć i co zrobić, żeby zacząć się podobać.

W rzeczywistości to pesymizm, sprawy nie wyglądały aż tak źle. Po pierwsze, wprawdzie Angus osiągnął tylko słabe minimum w tym, co uważał za główny cel życia i najważniejszy obowiązek, lecz za to los podrzucał mu jakby nagrody pocieszenia. Miał dobre wyniki w nauce i orientował się szybko, wyprzedzając z łatwością kolegów. Po drugie, niepowodzenia nie były totalną stratą, przeciwnie, dzięki nim się uczył, dowiadywał i rozwijał. Właśnie powtarzane wciąż próby, usiłowania i dążenia miały decydujący wpływ na kształtowanie osobowości, sukcesy dają mniej. Wreszcie, Angus nie był aż tak nieatrakcyjny z wyglądu, jak sobie wyobrażał. Choć najmłodszy szczeniak w klasie, był najwyższy, na równi z jeszcze jednym kolegą, Felsensteinem (Polak mimo niemieckiego nazwiska, kiedyś z



dodatkiem von, jego przodkowie przybyli z Saksonii jeszcze za króla Sasa; należał do AK, lecz nie trafił do partyzantki ze względu na gruźlicę, którą udało się podleczyć). Ten kolega siedział bezpośrednio za nim, obaj przerastali resztę klasy, po 185 cm tzw. wojskowej miary, bez butów. Angus był młodszy, ale masywniejszy, trochę ponad 80 kg. Właściwie za dużo jak na chłopca w jego wieku, trochę nad tym bolał, ale bez przesady.

Lecz tak naprawdę, wtedy liczyło się, jak się kto uczy i co umie, a opinia wzajemna samych uczniów była ważniejsza, niż otrzymane stopnie i oceny. A w tym zakresie, Angus zaliczał się do ścisłej czołówki. Może nie zawsze wzorowy i obowiązkowy, ale najlepszy i o wiele długości najszybszy z matematyki, nawet długie obliczenia potrafił rozwiązać momentalnie w pamięci, pod przymkniętymi oczyma widział wirtualnie pół, a na upartego całą stronę zapisu zeszytowego. W innych przedmiotach, pamięć również mu dopisywała i szybkie myślenie. Gorzej wyglądały przedmioty humanistyczne. Wprawdzie historia starożytna, którą akurat przerabiano, zawsze stanowiła namiętność, dzisiaj powiedzielibyśmy hobby Angusa i jego wiadomości znacznie wykraczały poza obowiązkowy program, ale obraz mijął się z prawdą, były fałszywie wyidealizowane. A co do języków, no cóż, błędów w polskim na pewno nie robił, ale ciągle nie mógł zdobyć się na precyzję, myśl niosła go, gdzie chciała. Zaś języki obce, konkretnie jedynie niemiecki - to pełne zero, nie istniała ocena, można by jedynie napisać: nieklasyfikowany. Ale w podobnym położeniu była większość klasy, lekcje z języka niemieckiego były fikcją.

Pierwsze nawiązanie kontaktu, na myśl o którym Angus z początku panikował, poszło nadspodziewanie gładko. Wiadomo, samo patrzeć na siebie dziewczyny wyczuwają instynktownie. A potem, gładko rozpoczęli rozmowę na tematy przedmiotowe, zaczęło się od fizyki wraz z zastosowaniem matematyki jako narzędzia no i praktycznym wykonywaniem obliczeń. Rozmowy, owszem, dotyczyły aktualnie przerabianego materiału, ale i wybiegły poza to, Angus był mile zdziwiony, jak interesujące stały się dla obu stron. Wkrótce pod wrażeniem intelektu dziewczyny, Angus zaproponował przyjęcie Hanki do wewnętrznego koła. Przedstawił z dużym przekonaniem, że jedna dziewczyna będzie potrzebna jako przedstawicielka, chociażby ze względu na punkt widzenia i lepsze zrozumienie swojej płci. Uzasadnił to tak gorąco, że przekonał kolegów.

A jednak to był błąd. Hanka nie nadawała się na waleczną amazonkę, ani na dramatyczną bohaterkę, ani na fanatyczną działaczkę podziemia, żelazną damę lub Mata'ę Hari. To była delikatna, dobra i ciężko przez los doświadczona dziewczyna. Funkcje kierownicze nie leżały jej, lecz poważnie obciążały. Mimo to, jako dobra Polka i patriotka, propozycję przyjęła i starała się wykonywać je jak najlepiej.

Angus też do niej nie pasował, a dobry początek tylko pokomplikował sprawy na przyszłość. Zawracał tylko dziewczynie głowę, nie mając nic do zaoferowania. Ukochana i trochę rozpieszczona córka ojca, którego straciła, potrzebowała nie tylko pociechy, ale opieki i oparcia. Angus natomiast wyobrażał sobie wielką miłość na wzór książkowy. Zdecydował się na dalsze lata niebezpiecznego życia, jak więc mógł to pogodzić z troską o drugą osobę, dbanie o nią? Nie mówiąc już o tym, że żadna stabilizacja w ogóle nie była możliwa, nawet w perspektywie. Gdyby też się w nim zakochała, to byłoby fatalne. Gdyby po raz drugi utraciła człowieka z który byłaby związana, powtórzenie podobna sytuacji mogłoby ją załamać. Nie, Angus stanowczo źle to przemyślał, nie rozumiał innych ludzi, po prostu był egocentrykiem. W tej sytuacji mógłby myśleć o krótkim i miłym flircie z całkiem inną osobą, nigdy nie o wielkiej miłości z dziewczyną na serio.

Pomysł, żeby mieszać uczucie i poważne zadania, jakie sobie wyznaczył, był po prostu kretyński. Zdarza się czasem, że uczestniczące w konspiracji lub walce podziemnej osoby spotkają się i zakochają, gdyż po prostu nie mogą nic na to poradzić. To poważna komplikacja, niestety, muszą z tym żyć, jeżeli potrafią i jeśli im się uda, bo jednak często kończy się tragedią. Ale żeby zaoferować ukochanej osobie, uczestnictwo w niebezpieczeństwie i ryzyko u swego boku, to mniej więcej tak, jak zabierać dziewczynę ze sobą na wojnę. Nie wolno mieszać obowiązków z przyjemnością, albo - albo.

Całe szczęście, że ta wielka miłość nigdy się nie zrealizowała, a na razie była to raczej sympatia i przyjaźń ze strony dziewczyny, a ze strony Angusa z dodatkiem zadurzenia. Choć Hanka, nadszpedziewanie dobrze zadebiutowała jako członek tajnej organizacji, o czym mowa dalej.

Na wstępnych naradach, które odbywały się w byłej piwiarni, zamkniętej, nieczynnej i pustej, a więc idealnej do tego celu, obmyślili najbliższy plan postępowania: na razie typując czterech kandydatów do właściwej organizacji to jest tyle samo, ile liczyło wewnętrzne koło. Dzięki temu, działając solidarnie mieli zapewnioną kontrolę i mogli przeprowadzić swoje zasady oraz wybór przywódcy, na którego wytypowali Forlańskiego. Bez wątplenia reprezentacyjny i rozważny, najlepiej się nadawał, natomiast jak już wyjaśniono, ważniejsze decyzje miały należeć do wewnętrznego koła, w którym cała czwórka miała równe głosy i prawa, w rzeczywistości kierownictwo zbiorowe.

Angus upatrzył paru kandydatów, wspomnianego już Felsensteina i siedzącego w tej samej ławce Garbalewskiego. Był to już dorosły mężczyzna z wąsem, nieduży i szczupły, jeżeli nie pół Angusa, to powiedzmy dwie trzecie. Garbalewski nie miał rodziców, tylko dalszą rodzinę. Pod koniec wojny wylądował w tzw. junakach, to coś w rodzaju hufców

pracy. Junacy byli skoszarowani, a właściwie mieszkali w prowizorycznych obozach, zwykle koło jakiejś budowy i podlegali ścisłemu nadzorowi. Zaraz pierwszego dnia na wiadomość o rozpoczęciu koncentracji, wraz z pięcioma kolegami uciekł do lasu, za nimi inne grupki, następni mieli trudniej, a ostatnich złapano. Zawsze warto być tym pierwszym, Angus doszedł dawno do takiego samego zdania. Cały obóz poddany został bardzo ostremu nadzorowi i pozostali junacy wkrótce potem wywiezieni na roboty do Niemiec (ironia losu, bo przecież znaleźli się tam dlatego, że służba w junakach miała zabezpieczać przed wywożeniem do Niemiec). Garbalewski odbył staż partyzancki w tym samym okresie co Angus, też w II Dywizji Świętokrzyskiej, ale aż do demobilizacji nie spotkali się.

Forlański przeprowadził rozmowę werbunkową z Orłowskim, po Angusie najmłodszy uczeń i jeden z tych, co mieli szczęście mieć oboje rodziców, chociaż ojciec jeszcze nie wrócił, zagrożony aresztowaniem ukrywał się. Natomiast Begier miał tylko matkę, oprócz rodzeństwa. Wszyscy propozycje przyjęli bez żadnych zastrzeżeń, po czym zgodnie z uzgodnionym scenariuszem Gienek Forlański został wybrany pierwszym komendantem. Na razie nie rozszerzano organizacji, ale zgodnie z planem przystąpiono do tworzenia kółek samopomocowych.

Jednocześnie Angus zaproponował pierwsze zadanie, można je nazwać przygotowaniem do walki: należało jakoś zadbać o zapas zgromadzonych przez niego materiałów wybuchowych. Już i tak za długo leżały w gospodarczej komórce za domem, to niedopuszczalne. Aż dotąd nic się nie dało poradzić.

\* \* \*

- Półtora roku temu, jesienią 1942r. przychodziłam tu często, żeby się w spokoju wypłakać. Z początku, jak zabrali ojca, mieliśmy ciągle nadzieję, że go wypuszczą, a potem przyszła ta straszna wiadomość, że wysłano go do Oświęcimia, stamtąd się nie wracało, - mówiła Hanka Zbiżyńska. - Więc chodziłam na cmentarz, żeby nikt nie widział i najpierw płakałam za ojcem, aż nie wiem właściwie, co się ze mną działo, myślałam, że on już może nie żyje i potem wyobrażałam sobie, że ja też umarłam, a mama i brat nas razem oplakują. Nawet chciałam już umrzeć i widzieć i słyszeć po śmierci, jak nas żałują. Po pewnym czasie, gdy się ocknęłam, nie byłam pewna, czy jakoś zasnęłam, a może traciłam przytomność. Kilka razy późno wróciłam do domu, ale nic nie chciałam mówić, aż raz, już w listopadzie, matka znalazła mnie na cmentarzu. Byłam zziębnięta i mokra, bo zaczął padać deszcz i tego nie zauważyłam, matka prowadziła mnie do domu, a ja nie mogłam iść. Potem w domu matka zakazała mi przychodzić na cmentarz, bardzo mnie wykrzyczała i nawet groziła, że mnie zbije jak tam jeszcze raz pójde, choć na pewno by tego nie zrobiła. Zresztą i tak nie mogłabym bo

zachorowałam i musiałam leżeć w łóżku, a matka mówiła, że histeria i tak nikomu nie pomoże i że gdyby był ojciec, bardzo by go to zmartwiło. Ale jednak i tak czasem tu wracałam. Choć na krótko.

Hanka, Bobek, Gienek i Angus szli jedną z alejek cmentarnych, w mocno zarośniętej drzewami i krzakami, starej części cmentarza. Dużą jego część, od dawna nie używaną, zajmowały groby jeszcze z 19 wieku, przeważnie okazałe, murowane, duże i bardzo często zaniedbane. Obchodzili kolejno różne krzyżujące się dróżki i przejścia, tak jakby wybrali sobie ustronne miejsce na rozmowę. Co tu robili?

Otóż Bogdan Sójka i Hanka Zbiżyńska mieszkali po sąsiedzku, dość daleko od gimnazjum, przy ul. Ogrodowej. Szło się do końca ul. Pierackiego i jeszcze dalej prosto, około czterech km, właściwie to już były peryferie Ostrowca. Angus korzystał z każdej okazji, żeby odprowadzać ich część drogi, albo do końca, a Gienek Forlański zwykle szedł kawałek razem i potem skręcał do domu, mieszkał przy ul. Wspólnej. Angus i Gienek mieszkali w wynajętych mieszkaniach w cudzych domach, natomiast Bogdan w drewnianym domu z ganeczkiem, trzy pokoje i kuchnia, położonym w dużym i mocno zarośniętym ogrodzie na samym rogu ul. Ogrodowej. Zaś Hanka w większej willi naprzeciwko, z dala widać było dwa wielkie świerki srebrzyste, a do parceli na której stała willa przylegał duży, ogrodzony siatką teren, gdzie mieściły się zakłady mechaniczne. Obecnie właściciele nie mieli tam prawa wstępu, ale z tyłu znajdowały się nieużywane przybudówki i jak się znało teren, to można było się tam niepostrzeżenie przedostać. Gdy zastanawiali się, co zrobić z materiałami wybuchowymi, z początku padła taka propozycja, żeby się tam rozejrzeć, raczej na terenie ogrodu Bogdana, ale lepiej obejrzeć wszystkie możliwości, żeby wybrać miejsce na ukryty i dobrze zabezpieczony magazyn.

Blisko, już przy końcu strefy zabudowy, znajdował się miejski cmentarz, a nie daleko niego, w stronę centrum, na pagórku, kirkut, który ostatnio Niemcy zburzyli. Jeszcze w ostatnich miesiącach wysadzali w powietrze groby i nawet okalający je ceglany mur. Właściwie działanie bez sensu i po prostu dziwne, dlaczego tak się starali zatrzeć ślady po Żydach, gdy przecież mieli kłopoty na froncie i te Demol-kommando, czy może nazywało się jakoś podobnie, bardziej przydałoby się gdzie indziej.

W czasie, gdy jeszcze istniało getto, oba cmentarze stały się ważnymi punktami przeładunkowymi na trasie zaopatrzenia, zarówno tego, organizowanego przez polskie podziemie, jak i zarobkowego szmuglu artykułów żywnościowych. Zwykle ładunki transportowano najpierw na polski cmentarz i potem nocą przenoszono na umówione miejsca na kirkucie. Ten nie był specjalnie strzeżony, bo choć blisko, leżał poza ogrodzeniem getta.

Żydzi mogli tam chodzić tylko podczas pogrzebów, pod strażą. Przy tej okazji znajdowali zwykle jakiś sposób, żeby podjąć przesyłkę. Zresztą nie tylko cmentarz służył do tego celu, w każdym razie w zakresie działalności prywatnej. Także niektóre okoliczne domy należały do szmuglerów i oni wybierali raczej drogę bezpośrednio na kirkut. To było zajęcie, na którym nieźle zarabiali, ale mogli też zarobić kulkę, gdyż za jakąkolwiek pomoc Żydom nie było innej kary, jak tylko śmierć. Inni pobliscy mieszkańcy wiedzieli o tym co się działo, ale oczywiście starali się odwrócić oczy, gdy po ciemku i z reguły po godzinie policyjnej pojawiały się tajemnicze cienie.

- Pewnego razu, po likwidacji getta, w 1943 roku na wiosnę, były już liście, na tym cmentarzu jak z pod ziemi wynurzyło się trzech młodych ludzi. Zauważyli mnie i mówili, że są partyzantami i że nie mogę o tym spotkaniu nikomu mówić. Mówili też, że nocują czasem w jednym z grobów i nawet namawiali mnie, żebym zobaczyła jak to wygląda, że pokażą mi wszystko. Ja udałam, że się zgadzam, a w odpowiednim momencie uciekłam, zdążyłam dobiec do ulicy i jakoś nikt mnie nie gonił.- Angus słuchając tego pomyślał najpierw, że on by z samej ciekawości chciał zobaczyć, jak wyglądała taka kryjówka, po co ta ucieczka. Dopiero po chwili dotarło do niego, że tak, ale nie jest przecież dziewczyną, a one muszą być ostrożniejsze. Lecz nadal uważał, że to była przesada.

Jednak im dłużej chodzili po cmentarzu, tym bardziej Hanka nie była w stanie wskazać miejsca, gdzie to było, ani też konkretnego grobu. - Po prostu nie mogę się zorientować, teraz jak nie ma liści i tylko sterczą zarośla, to wszystko inaczej wygląda. Czasem mi się zdaje, że to tu albo tam, a potem nie jestem pewna.- Nie mogli również zauważyć żadnego grobu, który wyglądałby na używany do dodatkowych celów, ale to oczywiste: jeżeli stanowił kryjówkę, to użytkownicy musieli się starać, żeby się nie rzucał w oczy. A poza tym, od likwidacji getta minęły już lata i dawna linia przerzutów od dawna przestała funkcjonować.

Ale myśl była dobra. - Jeżeli nie możemy znaleźć żadnej starej kryjówki, spróbujmy sami wybrać coś odpowiedniego,- zaproponował Sójka. Tego dnia jeszcze nic nie zdecydowali, wybierali długo i starannie, bo to była nadzwyczaj poważna i trudna decyzja, nie mówiąc już o niebezpieczeństwie. Ale po przemyśleniu, na drugi dzień Angus był pewien, że to najlepsze rozwiązanie. W takim starym, zapomnianym już grobie, materiały wybuchowe mogą leżeć bezpiecznie do chwili gdy zacznie się nowa „wojna powszechna o wolność narodów”, czyli III Wojna Światowa. Im bardziej przyglądał się okupantom i nowym porządkom, tym wyraźniejsze się stawało, że nie mają oni zamiaru odejść, ani też poprzestać na tym, co już osiągnęli. Oceniał, że bez wojny się nie obejdzie, ale dojdzie do niej dopiero po

pokonaniu Niemiec. Przypuszczał, że to alianci wkrótce potem zdadzą sobie sprawę że oni i cały świat nadal znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wyciągną jakieś doświadczenie z historii, z tego jak było z Hitlerem i zdecydują się wcześniej na stosunkowo łatwą wojnę prewencyjną. Gdyby tak się nie stało, to zapewne Stalin wybierze odpowiedni moment i rzuci im się do gardła, tak jak to chciał zrobić z Niemcami. Ten nie spocznie póki nie opanuje całego świata. Polska będzie oczywiście walczyła po stronie aliantów, jako chyba jedyny sojusznik na kontynencie, bo Francuzi raczej pobiją się między sobą, o ile w ogóle wpływy rosyjskie tam nie przeważą, a co do Niemców, to cóż, być może alianci utworzą jakąś armię pomocniczą z jeńców, ale będą musieli na nich uważać. A kiedy rozpocznie się walka, taka masa materiałów wybuchowych stanie się po prostu nieoceniona. W starym grobowcu, mogą one bezpiecznie leżeć miesiące, ba, nawet lata. Jedno z ich czworga na pewno przeżyje do chwili, kiedy będzie można przekazać je polskim partyzantom lub powstańcom. Nawet gdyby nic więcej się nie udało, już to samo jest warte życia.

Następnego dnia z pełną energią zabrali się ponownie do poszukiwań i ostatecznie wybrali trzy możliwości. Kierowali się wielkością, to powinien być duży grób rodzinny, coś w rodzaju murowanej piwnicy i oczywiście stary, zaniedbany, taki, który ostatni raz był używany przed kilkudziesięciu laty i do którego nikt nie przychodzi. Znaleźli dwa takie, zamknięte mocno pordezewiałymi kłódkami oraz jeden całkiem bez kłódki, a tylko zastawiony ciężkim kamieniem. Kłódki po prostu przecięli i zamienili na nowe, które Angus sztucznie postarzał za pomocą kwasu na zewnątrz, natomiast w środku posmarowano je, właściwie wręcz wypełniono smarem. Jeden z tych grobów zdradzał ślady czyjejś obecności, zapewne dawno temu, ale woleli z niego nie korzystać. Drugi zawierał osiem trumien, po cztery z lewej i prawej strony ustawione po dwie jedna na drugiej, z wąskim przejściem w środku. Drewniane trumny zachowały się nadspodziewanie dobrze, natomiast w środku było już tylko trochę zetlałych szczątków i kości. Zawartość dwu trumien złożono do jednej z nich, tak że wolne były te dolne, a zajęte górne. To była najgorsza część przygotowań, wszyscy mieli opory przed naruszeniem spokoju zmarłym, ale cóż, to konieczność. Jeżeli powiem, że modlili się za nich i nawet zamówili potem anonimowo mszę za ich dusze, to zapewne brzmi trochę, jak gdy tzw. dzicy proszą o przebaczenie upolowane zwierzę. Cóż, w czasie wojny zdarzało się, że cmentarze i groby ulegały zniszczeniu. To nie była łatwa ani pochopna decyzja, lecz wyższa konieczność. Jeżeli istniały dusze tych ludzi i widziały to, zapewne zrozumiały, że stało się tak dla Wielkiej Sprawy i wybaczyły. Jeżeli nie, to przy całym szacunku dla zmarłych, jednak ważniejsi są ci, co jeszcze żyją.

Sprawa wymagała jeszcze wiele pracy. Trzeba było przerzucić ponad 400 kg trotylu, nie licząc min talerzowych, w sumie ponad pół tony ładunku przy zachowaniu pełnej tajemnicy i bez zwrócenia na siebie uwagi. Transportowano to stopniowo, po kilkanaście kg w dwu torbach, Niosły je na zmianę dwie osoby, to znaczy jedna niosła, u druga pozorowała w tym czasie ożywioną rozmowę, faktycznie zaś na niej spoczywał obowiązek rozglądania się. Bagaż przenoszono najpierw z mieszkania Angusa, który przygotowywał torby w komórce za domem, do ogrodu Sójków, z początku do starej altanki lub może szopki na narzędzia z tyłu za domem. Następnie wygodniejsze okazało się miejsce na froncie ogrodu, w gąszczu rosnących tam krzaków porzeczek. Przykryte kawałem papy torby były prawie niewidoczne, a w ten sposób unikało się długiego kręcenia się po posesji z bagażem, który mógłby w końcu wzbudzić zainteresowanie matki Bogdana. Oczywiście, była ona osobą absolutnie zaufaną, ale po blisko sześciu latach okupacji, wpojone były już podstawowe zasady zachowania, a pierwszą z nich było, że nie powiadamia się najbardziej zaufanych osób o sprawach, o których nie muszą wiedzieć. Ona sama przywykła już, że syn robił różne rzeczy o których jej nie mówił. Także i matka Angusa niczego się domyślała, oczywiście nie licząc wspomnianej sprawy niemieckich granatów, które jednak dawno zniknęły z domu i o których więcej nie mówiono.

Ostatnia faza przeniesienie bagażu z tymczasowego miejsca w ogrodzie Sójków na pobliski cmentarz i schowanie do grobowca, odbywała się zwykle po zmroku. Ponieważ okazało się, że cztery trumny nie zmieszczą jednak wszystkiego, ostatecznie ustawiono z kostek trotylu jakby nowy mur przy jednej ścianie, który następnie miał zostać lekko pociągnięty farbą w podobnym kolorze, a miny talerzowe zapakowano do trumien wraz z resztą trotylu.

Marzec (a potem jeszcze kwiecień) 1945r. stanowił najlepsze miesiące w całym życiu Angusa. To wszystko, do czego dotąd dążył z całych sił, ale aż dotąd się nie udawało, teraz wreszcie się spełniło. Żył intensywnie jak nigdy dotąd, w nieustannym wysiłku, ale, jak się to obecnie mówi, pełnił życia, albo inaczej, na kilku etatach. Wykonywał pracę paru ludzi, mało miał czasu na sen i jadał też mizernie, ale nie czuł wysiłku. W porównaniu z partyzantką i tak komfortowe warunki. Czuł się na fali, chodził z głową w chmurach i wszystko mu się udawało. Nieprawdopodobne, ale nawet rzecz, której próbował całą wojnę i nigdy nie zdołał tego zrobić, jazda na rowerze, też nagle okazała się możliwa, bez widocznej racji. Jak wiadomo, Angus i Mateusz znaleźli się w innych klasach, ale nadal się przyjaźnili. Lecz przy bardzo intensywnym zaangażowaniu, Angus miał coraz mniej czasu, a do domu Jarugów było jednak dość daleko, droga w obie strony zabierała dobre półtora godziny. Z powodu

pośpiechu, Angus pewnego dnia wsiadł na rower Mateusza - i niespodziewanie pojechał, bez żadnych problemów. To może budzić uśmiech politowania, wielka mi rzecz. Pamiętajmy jednak, że dotąd rower był dla Angusa równie niedostępny, jak, powiedzmy, latający dywan i powoli, pogodził się z tym. Kontuzjowany w 1939 r. błędnik w końcu się podleczył i zaczął funkcjonować, a Angus odczuł to tak, jakby nagle znikła jeszcze jedna z barier, ograniczających jego możliwości. Kto wie czy okres, dowartościowania i powodzenia nie wpłynęły na szybszą rekonwalescencję, bowiem zaburzenia równowagi i defekt błędnika jeszcze dawały się odczuć, zwykle gdy okres niepowodzeń pociągał depresję. Nie oznacza to, że Angus zaczął nagle znakomicie jeździć na rowerze. Jak zwykle u początkujących, przyciągały go drzewa, płoty, a zwłaszcza ogrodzenia z drutu kolczastego, poza tym nie zbyt dobrze dawał sobie radę z wjazdem pod górę, a ze zjazdem na dół było jeszcze gorzej i po paru wyłożeniach się na dużej szybkości, zjeżdżał i hamował z nadmierną ostrożnością (a trzeba pamiętać, że droga między mieszkaniem Angusa i domem Jarugów, to były dwa strome podjazdy i zjazdy). Mateusz nawet próbował mu pomagać, holując jeden rower drugim przy pomocy długiego sznurka, który jednak zrywał się zwykle po paru szarpnięciach. Jednak Angus robił szybkie postępy i już po kilku dniach jeździł przeciętnie, tak jak większość jego kolegów i koleżanek. Bo nie trzeba powtarzać, że w niewielkim mieście bez żadnej komunikacji publicznej, rowery stanowiły podstawowy środek lokomocji, zwłaszcza dla młodzieży. Większość uczniów, w każdym razie mieszkających dalej, przyjeżdżała do gimnazjum rowerem. To też po lekcjach, gdy szli rozmawiając w czwórkę - a czasami w większym gronie, Angus i Gienek, mieszkający stosunkowo blisko, szli pieszo, reszta prowadziła rowery. Przechodzili przez Błonia, po czym Forlański zęgnął się i skręcał na Wspólną, Angus też się zęgnął i zawracał, a Hanka i Bogdan wsiadali na rowery i odjeżdżali. Jeżeli zaś Angus szedł dalej do Bogdana (choć chodziło mu oczywiście o odprowadzenie Hanki), to nadal całą drogę prowadzono rowery.

Kiedy zaczęli przenosić trotyl, to z początku robili to dwójkami w opisany uprzednio sposób. Okazało się jednak, że rowery pozwalają na znaczne przyspieszenie transportu i właśnie wtedy Angus nauczył się jeździć. Zwykle on nie przewoził ładunku, a tylko jechał jako osoba towarzysząca. Dzięki rowerom, uwinęli się szybciej niż pierwotnie planowali, gdzieś do początku kwietnia.

- Proponuję, żeby ta sprawa nie miała żadnej łączności z utworzoną przez nas tajną organizacją, - Angus miał czas przemyśleć sobie wszystko. Nabrał teraz zaufania do siebie i swoich planów, aż nadmiernego. Uważał, że jeżeli ma czas zastanowić się, a najlepiej przespać, to na ogół jego decyzje są prawidłowe. Jednak świadomy był, że w razie



konieczności szybkiej decyzji i zwłaszcza zaskoczenia, postępuje często nieracjonalnie. W tym wypadku uważał, że chociaż bez pomocy koleżeństwa, sam nie zdołałby na pewno tak dobrze urzeczywistnić planów, w końcu to on zdobył te materiały wybuchowe i na nim spoczywa główna odpowiedzialność. Poza tym, zakładał, że to on najlepiej zorientowany jest w ogólnej sytuacji, choćby dla tego, że jak nikt inny, przez długi czas miał dostęp do całej prasy podziemnej i czerpał z niej mnóstwo szczegółowych informacji.

- Zrobiliśmy to tylko we czworo, do końca nikogo nie wtajemniczając i niech tak zostanie. Proponuję, żebyśmy teraz też całkowicie o wszystkim zapomnieli. Nawet gdybyśmy w jakiś sposób wpadli, zostali aresztowani, to tutaj nic się nie zdarzyło, o tej jednej rzeczy nigdy nie wspomnimy. Dopiero kiedy rozpocznie się powstanie, albo walka o wolność, prześlemy ten depozyt Armii Krajowej, Polskiemu Wojsku, albo jakkolwiek się to będzie nazywać. Nie wiem, co się może wydarzyć, może nie będziemy się mogli spotkać i porozumieć, ale jedno z nas pewnie dożyje, nawet gdyby innym trafiło się coś złego. Ustalamy, że każde z nas ma prawo decydować samo, kierując się własnym sumieniem i uznaniem, kiedy nadejdzie właściwa chwila. Aż do tego czasu, pozostanie to wyłącznie naszą tajemnicą i nawet sami starajmy się wymazać ją z pamięci.-

- Czy składamy przysięgę? - zapytał Forlański.

- Nie, to nie ma sensu, - odpowiedział Sójka. Podajmy sobie teraz ręce i od tej chwili nic nie pamiętamy. Nie ma co przysięgać, bo nic się stało.

Mała poprawka, bo jednak Bogdan i Hanka, jako mieszkający najbliżej, dostali po jednym kluczu od kłódki i mieli co jakiś czas spojrzeć, czy przy grobie nie dzieje się coś niezwykłego, albo na przykład nie pojawiła rodzina. Mieli to robić jak najrzadziej i przy okazji, tylko przechodząc w pobliżu. Właściwie, klucz miał symboliczne znaczenie, bo w razie potrzeby, kiedy wybijie godzina, równie dobrze będzie można obejść się i bez klucza, przecinając kłódkę tak jak zrobiono przedtem.

### **Kapsuła: Kiedy wybije godzina...**

To typowo polskie określenie. Opis zdarzeń, może być niezrozumiały dla czytelnika, nie będącego Polakiem, albo jeżeli nie zna on tradycji walki o odzyskanie wolności. Walki, która trwała, oczywiście z przerwami, około półtora wieku, wiele razy przegrywana i znów podejmowana na nowo; chociaż nigdy nie miała takich cech rozpaczliwych zmagania już nie tylko o wolność, ale o przeżycie w sensie fizycznym jak w ostatniej wojnie i okupacji.

Otóż faktem jest, że tradycja i oczekiwanie na następną okazję, na kolejny zryw, przechowywała się w wielu rodzinach z ojca na syna i z dziada na wnuków. Jednym z symboli tej tradycji były zegary, stare, zwykle duże i wahadłowe, z napisem: „O kiedyż

wybije godzina”. W Wielkopolsce takie symboliczne zegary zachowały się i na przykład Angus sam widział jeden taki w posiadaniu rodziny. Natomiast w dawnym zaborze rosyjskim takie i podobne symbole raczej się nie zachowały. Powód prosty: dawne Prusy mimo gnębienia i przymusowego wynaradawiania polskiej ludności, jednak były państwem prawa i policja nie mogła niszczyć lub zakazywać posiadania pamiątek, chociaż wiedziała, o co chodzi. Natomiast w zaborze rosyjskim, jak Angus słyszał od rodziców, można było zostać aresztowanym i skazanym przez sąd policyjny nawet za założenie żałoby w rocznice tragicznych wydarzeń, za pójście w tym dniu do kościoła, a już tym bardziej za przechowywanie takich pamiątek. Wprawdzie sądy przysięgłych funkcjonowały z zachowaniem prawa i przyzwoitości, ale to w głębi Rosji, natomiast w tzw. Kraju Prywiślańskim, bardzo często panował stan wyjątkowy, a policja i administracja miały całkowicie wolną rękę. Pozostało powiedzenie: „kiedy wybije godzina”, które stąd się wzięło i miało określony sens.

Natomiast przechowywanie ukrytej broni, oprócz tych dawnych tradycji, zostało zupełnie niedawno odświeżone. Najpierw w roku 1939, kiedy pobite Wojsko Polskie wraz z cywilną ludnością ukrywało i zakopywało broń, która potem bardzo się przydała przy rozpoczęciu wojny partyzanckiej. A jeszcze raz niedawno, po rozwiązaniu Armii Krajowej, też duża ilość, prawdopodobnie większa część broni trafiła do tajnych magazynów i różnych skrytek. W poprzednim rozdziale, jest zamieszczona relacja żołnierza niemieckiego, który odkrył kryjówkę Angusa i Mateusza, lecz zamiast ich wskazać, przychodził na szachy i pogawędki i między innymi opowiedział im (o ile go dobrze zrozumieli), jak sam brał udział w ekspedycji, która znalazła taki ukryty magazyn broni.

Tak więc to, co się obecnie stało, było całkiem naturalne i proste, zgodne z tradycją. Po prostu typowe postępowanie.

Można jeszcze dodać, że w czasie kiedy Angus poszedł do partyzantki, niecały rok temu, pięć kg materiałów wybuchowych można było wymienić na karabin, a karabin ceniono mniej więcej tak, jak życie żołnierza. Potem, w trakcie walki, broni przybyło i nie mierzono jej już życiem ludzkim, ale z drugiej strony właśnie brak materiałów wybuchowych stał się jeszcze dotkliwszy. A więc można przyjąć, że ten ukryty magazyn miał takie znaczenie, jak co najmniej 80 karabinów, albo życie wielu ludzi.]

\* \* \*

Na początku kwietnia, nadeszła od dawna oczekiwana wiadomość od ojca. Pisał dość lakonicznie, że pracuje na swoim starym stanowisku, a Dyrekcja Kolejowa w Poznaniu próbuje stopniowo opanować chaos. Sytuacja na kolei jest na razie trudna, a ojciec ma pełne

ręce roboty zarówno przed południem, jak po i często dyżury w nocy. Na szczęście Dyrekcja zorganizowała stołówkę i tam jada. Chociaż dostał dwa razy awans, zaraz po stawieniu się do pracy i potem jeszcze raz, a więc jest w tzw. piątej grupie, lecz pensji praktycznie nie dostaje, a jeżeli, to i tak na nic by nie starczyło przy rynkowych cenach, sytuację ratuje stołówka i to, że produkty żywnościowe wydawane są czasem w naturze. Udało mu się odzyskać mieszkanie, które szczęśliwie ocalało w czasie działań wojennych. Sąsiedni blok, obok którego mieszkali i gdzie zamieszkiwał stróż domu, Ratajczak, został zburzony aż do fundamentów przez dużą bombę lotniczą. Obecnie więc obok powstał spory trawnik, ale sklepik żywnościowy na samym rogu naszego bloku ocalał i funkcjonuje, to znaczy czasem można tam coś kupić, jeżeli kogoś na to stać. Mieszkanie jest zrujnowane, ze ścian zwisają strzępy tapet a o parkiecie lepiej nie mówić, okna mają część szyb, resztę prowizorycznie pozasłaniał, a wszystko kompletnie puste, to znaczy nie ma żadnych mebli, ale za to są roje pluskiew, z którymi nie sposób sobie poradzić. Udało mu się zdobyć jedno łóżko, stół i parę krzeseł, więc meble trzeba będzie sprowadzić z Ostrowca. Ma nadzieje, że uda się załatwić wagon albo choć pół na transport rzeczy, już mu to obiecano, ale sprawa jest trudna i trzeba jeszcze poczekać. Niech przygotują się do wyjazdu, kiedy tylko w Ostrowcu znajdzie się jakiś wagon jadący w tą stronę, do Poznania, to ktoś ich powiadomi.

- Mamo, ja pomogę ci tutaj ze wszystkim i załaduję do wagonu, ale sam chciałbym tu zostać do ukończenia tej klasy. Sama zawsze mówiłaś, że nauka jest najważniejsza, a tu mi dobrze idzie, parę miesięcy dam sobie radę sam. - Oczywiście obłuda, ale argumenty, że spełnia ważną misję w tajnej organizacji i na dodatek ma tu dziewczynę, pewnie by matce nie trafiły do przekonania. A właściwie nie kłamał, nie powiedział tylko wszystkiego. Wyglądało, że matka to chyba kupiła, szczęście go nie opuszczało!

Przy tak dobrej passie, Agnus postanowił pomówić z dziewczyną. Był na fali i czuł, że nie może mu się nie powieść, jednak powodzenie było ograniczone. Hanka zaakceptowała go jako przyjaciela, zresztą to faktycznie nastąpiło już wcześniej, ale nie chciała chwilowo słyszeć o miłości. Zaproponowała, żeby na razie traktował ją jak siostrę, dla niego dość szokujące skojarzenie, bo już raz to słyszał i jedną starszą siostrę już zyskał. Wtedy tak być musiało, ale raz dosyć. Naturalnie, nie mógł o tym wspomnieć, nigdy i nikomu.

Hanka nie pozwoliła się też pocałować, jedynie w policzek, pewnego rodzaju nagroda pocieszenia. Jednak wiele satysfakcji sprawiło mu, gdy poprosiła, żeby przestał palić. Uczniom liceum wolno już było palić, byle nie w budynku szkolnym i palenie stało się dość powszechne, jako swojego rodzaju przywilej dorosłości. Angus palił już od dawna, teraz zaczął kopać jak lokomotywa, robiąc własnoręcznie skręty z tytoniu i bibułki. Jednak

wiedział, jak się zachować: wyciągnął z kieszeni bakelitowe pudełko z surowcami oraz zapalniczkę i demonstracyjnie je wyrzucił. Nie pomyślał, że może smród tytoniu i żółte palce mogły być odpychające, raczej odebrał to albo jako troskę o siebie, albo może chęć dziewczyny do zmienienia go na lepsze. Obie ewentualności rokowały dobrze.

Nawiasem mówiąc, nie spodziewał się, że ta deklaracja sprawi aż tyle trudności, przez najbliższe tygodnie, brak papierosa szalenie mu dokuczał. Nie bez przerwy, ale nachodziły takie chwile, że wprost trudno było wytrzymać, na przykład rano, zaraz po obudzeniu się. Ale cóż, słowo się rzekło.

Szczerze mówiąc, był całkowicie zadowolony z tego, co osiągnął. Dokładnie to, co zamierzał, status rycerza przy damie. Miał prawo ją uwielbiać, towarzyszyć i oddawać drobne usługi. Mówiąc bardziej nowoczesnym językiem, został zaakceptowany jako stały chłopiec do chodzenia. O współżyciu seksualnym nawet nie myślał, to nie była dziewczyna tego rodzaju, co więcej od początku postanowił odnosić się z pełną czcią i nawet nie pozwalał sobie na konkretne marzenia. Jedyne, co chętnie by uzyskał, to prawdziwy pocałunek, ale przecież jeżeli zdecydował się na wielką miłość, to znaczy zarówno w wypadku, jeżeli zyska wzajemność, jak i nie. Czyli dotyczyło także czekania.

Z początku była to miłość wydumana, ale stopniowo zaczął odczuwać emocje, perspektywa spotkania przyprawiała go o wzruszenie z typowymi reakcjami, biciem serca, wydzielaniem adrenaliny etc. Dla samego widoku i rozmowy, gotów był pędzić na drugi koniec miasta, albo czekać godzinami. Praktycznie, nic więcej się nie zdarzyło, tylko czasem trzymali się za ręce, a niekiedy mógł pocałować ją w policzek. Jednak coś go trochę niepokoiło: otóż choć dotyk ręki też wywoływał na początek wzruszenie i satysfakcję, jednak po pewnym czasie trzymanie ręki stawało się uciążliwe. Pod takim lub innym pretekstem rozłączał dłonie i to kolejna przyjemność. Nigdy nie doznał tego przepływu jakiegoś tajemniczego prądu czy fluidu, poczucia bliskiego kontaktu, jedności i zespolenia. Pamiętał, że przedtem dotyk ukochanej kobiety działał dosłownie jak dotknięcie przewodu elektrycznego pod napięciem. No, może nie całkiem tak, w każdym razie co najmniej dreszcz aż do potężnego szoku. Tutaj odczuwał miłą, gładką skórę i trochę ciepła i to wszystko, po pewnym czasie to ciepło przestawało być atrakcyjne, miał go dosyć i przyjemność sprawiał mu znów wolny dostęp powietrza do skóry. Ale tłumaczył sobie, że to zapewne odróżnia przyjaźń i kontakt dusz, od miłości zmysłowej, a na razie ma prawo tylko do przyjaźni, na pełną miłość zaczeka. Poza tym, łapał każdą chwilę, a tych chwil nie było dużo, wciąż brak czasu i wciąż na wysokich obrotach. Nawet w szachy przestał grywać.

Do organizacji przyjęli następną czwórkę i potem po jednym, wyjątkowo paru członków z innych klas, na razie nie mieli zamiaru bardziej rozwijać spraw. Raczej pozostać do czasu w formie kadrowej i dobrze zakonspirowanej. Natomiast szybko rozwinęły się kółka samopomocowe, z mocnym akcentem patriotycznym. Miały ułatwić rekrutację w przyszłości, gdy nadejdzie pora na przejście do działalności masowej. Odpowiednia chwila nigdy nie nadeszła, ale za to organizacja nigdy nie wpadła, a jej członkowie nie trafili do więzień.

Kółka samopomocowe objęły obie klasy I licealne i większą część czwartych gimn. natomiast jakoś nie przyjęły się w II lic., być może dlatego, że ci uczniowie już nie czuli się uczniami. Byli na wylocie i myślami na studiach. Co do młodszych klas, to na razie terra incognita i trzeba się było dopiero zorientować. Pewną miarą wpływu kółek stanowi fakt, że w powołanych w tym czasie samorządach klasowych, wszędzie przeszli kandydaci, upatrzeni przez organizację.

Bez problemów, z jednym wyjątkiem właśnie w ich klasie. Opiekun, prof. Mazzurowicz, upatrzył z góry kandydatkę, Halinę Ostrzewską. Nikt z klasy jej dobrze nie znał i powstała głupia sytuacja, nie było żadnych konkretnych racji przeciw, ani za. Jednak już byli wyznaczeni własni kandydaci, a to koleżanka Zbiżyńska i kolega Orłowski i oni zostali jednomyślnie wybrani, kol. Ostrzewska nie otrzymała ani jednego głosu, gdyż sama na siebie nie chciała głosować. Jednak Mazzurowicz uparł się, unieważnił głosowanie i przełożył je na później. Taki sam impas powtórzył się nazajutrz i tak kilka dni. Ostatecznie to kol. Ostrzewska zrezygnowała i nalegając, przekonała profesora. Został jednak przykry osad, Halina Ostrzewska, inteligentna dziewczyna i dobra uczennica, trzymała się od tej pory z dala od klasy, a nikt nie podjął się z nią porozmawiać, nie czuł się dyplomatą na odpowiednim poziomie. W rezultacie do końca nie żyła się ona z klasą i nikt nie orientował się, co myśli.

Ale wracając do sprawy, w kwietniu rozpoczął się impas w rozwoju konspiracji, kadra organizacyjna już istniała, natomiast na podjęcie czynnej walki wciąż było za wcześnie i trzeba zdecydować, co dalej. Na ruch masowy przechodzi się dopiero, kiedy od tworzenia struktur można przejść do konkretnego działania, z drugiej strony bezczynność demoralizuje każdą tajną organizację, podobnie jak stojącą armię (wspomniano przykład bezczynnie stojącej armii francuskiej w 1939/40).

W tej sytuacji, Bogdan Sójka znalazł rozwiązanie, oddelegowując sam siebie oraz kilku innych członków do odbudowy ruchu harcerskiego. Z jednej strony, było to jakby rozszerzenie kółek samokształceniowych na młodsze roczniki i nieobjęte dotychczas młodsze klasy. Ale wkrótce okazało się, że zakres i pole działania jest znacznie szersze, po prostu była to jakby pusta dotąd nisza, odtworzenie harcerstwa nabrało zupełnie nieprzewidzianych

rozmiarów, stało się ruchem masowym. Niestety, z pierwotnej czwórki tylko on się do tego nadawał i rzeczywiście, miał fantastyczne osiągnięcia. Ani Angus ani Gienek nie byli przed wojną harcerzami, nie mieli doświadczenia, ani stażu, nie mogli być przydatni i musieli by zaczynać od zera, Hanka także. Właściwie mogli tylko z zazdrością patrzeć, jak grupka zapaleńców z Bobkiem na czele, w krótkim czasie sformowała na nowo Hufiec Ostrowiecki, dosłownie setki członków. Zresztą, zapewne nie byliby zdolni do takiego wysiłku, nie wystarczyłoby im energii. To, co wspomniano wcześniej o mobilizacji i wysiłku Angusa, to małe piwo. Bogdan i inni starsi harcerze z organizacji dokonali cudów. Trzeba pamiętać, że brak było starych, doświadczonych działaczy i dawnej kadry harcerskiej. Nawet ci, którzy nie wyginęli w czasie wojny (na przykład we wspomnianym Oddziale Dywersyjnym, większość to byli właśnie harcerze, starsza kadra), nie mogli obecnie działać, gdyż zaangażowani czynnie w ruch oporu, automatycznie stali się wysoce podejrzani dla reżimu. Nie wracali, aby nie zaszkodzić idei i ruchowi harcerskiemu.

Być może, była w tym pewna reguła: gdy jakąś organizacja nie może się rozwijać, rozmnaża się przez pączkowanie i jeżeli nowy pęd napotka odpowiednie podłoże, przerasta poprzednią, nawet wielokrotnie. Podobnie jak w Wielkopolsce na początku wieku, z Sokoła przez Iskrę, Ogniwo, Brzask i inne przybudówki dla młodzieży, doprowadziła do masowego ruchu skautowego. Ewolucja i rozwój idei.

W tym czasie zaszły dwa szokujące zdarzenia. Jedno, to odezwa do żołnierzy Armii Krajowej, wzywająca ich do ujawniania się, zdawania broni i obiecująca w zamian amnestię. Mieli zgłaszać się do najbliższej jednostki MO lub UB., ale oczywiste że kompetentne to UB. Amnestię stosuje się dla przestępców, czy mogła dotyczyć tych, którzy poświęcali życie i mienie dla kraju? Tą odezwę można by zignorować, gdyby nie była podpisana przez Radosława. Legendarny dowódca okręgu AK i faktycznie Powstania Warszawskiego nie mógł być kapitulantem, czy zdrajcą. Z początku podejrzewano, że podpis Radosława na tych plakatach jest oszustwem. Jednak napłynęły informacje, świadczące, że to nie prowokacja lecz prawda. Dla wielu szok i tragedia, nie aż taka, jak kapitulacja Francji w 1940 r, ale równie niepojęta. Trudno uwierzyć że tak wielki autorytet wziął na siebie tę odpowiedzialność. Teraz wiadomo, że była to odpowiedzialność dowódcy dla ocalenie życia swoim żołnierzom. Próba, której zapewne sami by nie podjęli lecz raczej zginęli, w każdym razie wielu z nich. Krajowe Siły Zbrojne usiłowały przetrwać, ale to oznaczało ograniczenie do ścisłej kadry i powrót do ścisłej konspiracji. Nie było szans na trzymanie w konspiracji pół miliona ludzi. Konieczne było masowe zwolnienie zwykłych członków, trzeba stworzyć im szansę przeżycia. Część bardziej znanych dowódców, Radosław i inni i tak nie mogli kontynuować swojej roli,

prowadzić dalszej działalności, gdyż byli zdekonspirowani. Dlatego ci członkowie dotychczasowej Kwatery Głównej wzięli na siebie fatalny obowiązek i odium, a w pracy zmienili ich inni. I tak nie zdołali zapobiec wszystkim tragediom. Przesiękały już wiadomości, że więzienie kieleckie o szczególnie złej sławie (nie ono jedno, ale w tym okręgu na pierwszym miejscu) pełne jest żołnierzy AK. Kapitulacja i ujawnienie się, ta haniebna amnestia też nie dała gwarancji przeżycia i nie powstrzymała UB. ale przynajmniej tworzyła jakąś postawę prawną obrony dla ofiar, tropionych zaciekle, choć na szczęście dość nieudolnie.

Mimo wszystko trudno to wyjaśnić młodzieży, którą tylko ogromny autorytet moralny Radosława powstrzymywał od głośnego rzucenia oskarżeń - i która dopiero na własnej skórze musiała poznać bezmiar klęski i katastrofy.

Tu doszła druga sprawa, która w połączeniu z tą pierwszą, wywołała straszne wrażenie. Obok ukazały się afisze, w najbrudniejszych słowach szlakujące AK, wyszydające i zohydżające jej żołnierzy. Zaczęły się one od znanego: „AK, zapluty karzeł reakcji - „i pełne były podobnych epitetów, wyzwisk i oskarżeń. Zbyt paskudne, żeby wspominać. Kampania zanieczyszczania najszlachetniejszej tradycji walki z najeźdźcą i ideałów patriotycznych, zohydżania ludzi, którzy starali się wypełnić swój obowiązek obywatelski i żołnierski. Nawet Niemcy nie używali tak brudnego słownika, ograniczając się do nazywania żołnierzy i partyzantów polskich bandytami. Dopóki jednak te brudne plakaty wisiały same, były one traktowane podobnie, jak kiedyś plakaty niemieckie, z pogardą. Ale kiedy obok ukazały się odezwy z podpisem Radosława, wrażenie było wstrząsające. Wyglądało tak, jakby przyznawał im rację. Plakaty nigdy nie wisiały długo, najdalej do zmierzchu. Potem były zdzierane, a wraz z nimi odezwy Radosława też, trudno było po ciemku je rozróżnić. Jednak afisze zerwane wieczorem, pojawiały się znowu rano, mury wprost tapetowano.

Założycielska czwórka rozważała, czy włączyć organizację szkolną do zrywania plakatów, wzorem małego sabotażu z 1939/40 r. Angus osobiście był przeciw, argumentując, że zdzieranie plakatów stało się spontaniczne i powszechne bez żadnego kierowania. Lepiej jednoczy to społeczeństwo, gdyż kto to zrobi z własnej potrzeby choć raz dając wyraz swoim uczuciom, deklaruje się na przyszłość sam przed sobą. Natomiast kierowana akcja nie zapewnia tego efektu, a ponadto w razie schwytania dzieciaka wysłanego w tym celu, mogłaby dekonspirować organizację. Przekonał koleżeństwo. Ale sam Angus, wbrew własnym słowom, nie potrafił się opanować i w chwili, gdy po raz pierwszy przeczytał to obrzydlistwo, natychmiast i nie czekając wieczoru, zerwał te i pobliskie plakaty, w obecności ludzi, którzy zresztą przyjęli to z aprobatą. W głupi sposób zwrócił na siebie uwagę, okazał

się narwanym szczeniakiem, a nie dojrzałym mężczyzną, za którego chciał uchodzić. Potem też zrywał plakaty, ale po ciemku i bez świadków.

Dzień 1 maja obchodzony był z dużą pompą. Nie było w tym nic nowego, bo tradycyjnie 1 maja stanowił także przed wojną Święto Pracy, ale tym razem cała szkoła musiała udać się w pochodzie na wiec i tam sterczeć godzinami słuchając przemówień propagandowych na żalonym poziomie. Następnego dnia, szkoła szła na film radziecki. Natomiast 3 maja, stanowił nadal święto, ale nie planowano żadnych uroczystości. Więc uroczystą akademię postanowili organizować Harcerze.

W dniu 2 maja uczniowie zbierali się w gimnazjum i stamtąd przemaszerowali do kina na film radziecki. Ponieważ sala nie pomieściła by wszystkich, na pierwszy, ranny seans miały iść starsze klasy, a na następny młodsze. Właściwie, wrażenie z początku trochę dziwne, przez 6 lat do kina się nie chodziło. Angus był w tym czasie jeden raz, ale w konkretnym celu, chciał przejść drogą tragicznych wypadków koło Fabryki Słodczy Amor. Jakby pielgrzymka na stację drogi krzyżowej Oddziału Dywersyjnego.

Film miał być specjalną nagrodą dla Gimnazjum i Liceum Ostrowieckiego za obecność na wczorajszym wiecu, gest przyjazny i próba pozyskania na swoją stronę. Wczoraj stali na wiecu karnie i nieruchomo, ale przepelnieni obcością i niechęcią, zaciskali zęby. Zaś w drodze, w jedną i drugą stronę śpiewali wyłącznie pieśni partyzanckie, w tym oczywiście kilkakrotnie -"Hen z dała od naszej rodziny i bliskich, my AK żołnierze od Gór Świętokrzyskich..." Ta pieśń, „zaplutyh karłów reakcji” stała się jakby hymnem, śpiewali ją przy każdej okazji. Teraz też.

Jednak Angus był ciekawy, zarówno kina jak i filmu radzieckiego, dotychczas jeszcze żadnego nie widział. Zwłaszcza tzw. „produkcyjniaków” i jedyne w swoim rodzaju arcydzieła tego gatunku pt. „Świniarka i pastuch.” Właściwie przez cały czas nie chciało się wierzyć, że film się już zaczął, aż do końca oczekiwano, czy nastąpi jakaś akcja. Nic z tych rzeczy. Przez cały czas przedstawiano szczęśliwe życie świń i baranów w ustroju radzieckim, bez żadnej przerośni. I jak one odwdzięczają się za ten zaszczyt, starając się dostarczyć maksymalną ilość mięsa i skór czy kożuszków. Ludzie też tam byli. Ci dobrzy dbali o trzodę i starali się ją dostarczyć do rzeźni we wzorowym stanie, ci źli przeszkadzali w uboju i nie dbali o wagę. Świniarka i pastuch zaczęli od ostrej rywalizacji o stachanowskie wyniki, oboje uzyskali najlepsze rezultaty w swojej kategorii i postanowili się ożenić dla utrzymania tradycji. Z kina, uczniowie wracali indywidualnie do domów, małymi grupkami. Pamiętali różne filmy, dobre i kiepskie, jednak tak prymitywnego nie, to się w głowie nie mieściło. Wielu jeszcze ciągle zastanawiało się, czy mógł w tym tkwić jakiś ukryty sens, może jakaś



alegoria albo co. To jeszcze nie te czasy, kiedy nie tylko za krytykę, ale nawet brak zrozumienia przodującej sztuki radzieckiej, można się było narazić.

W drodze powrotnej, Angus zobaczył nagle ducha. Zostawił kolegów i podszedł bliżej, nie wierząc własnym oczom. Powiedział - Stachu! - Stojąca tam i patrząca w stronę fabryki Amor postać odwróciła się. Rzeczywiście, był to Stach Konar.

- Bój się Boga, czy ty wiesz, że byłem na mszy za twoją duszę? Przecież wszyscy mówili, że nie żyjesz! Powiedz, co się z tobą działo. - Angus odniósł wrażenie, że nie jest mile widziany i że Stach chciałby się go jak najszybciej pozbyć. Był tym nie tyle dotknięty co zdumiony, jak to, przecież to jego najlepszy były kolega i stary przyjaciel.

- No to teraz widzisz, że to były nieprawdziwe wiadomości. Nie drzyj się tak i proszę cię, nie rozmawiaj o tym z nikim.-

- Dobrze, ale to i tak nic nie da. Masz pojęcie jak to sensacja. Wszyscy będą o tym mówić. -

- Właśnie wynoszę się z Ostrowca na dobre. Trzymaj się.- Angus jeszcze nie wiedział, że i on też. Gdy doszedł do końca tej ulicy, gdzie prawie dwa lata temu, w czerwcu 1943 pożegnał, a teraz spotkał Konara, co za nieprawdopodobna historia, gdy zbliżył się do domu Sójki, ten już z daleka zamachał na niego rękami i zaraz za furtką podał mu kartkę.

Pisała matka: - Jędrusiu, nie wracaj, broń Boże do domu, tu na ciebie czekają. Kiedy będę mogła, prześlę wiadomość, tymczasem pilnuj się! -

\* \* \*

Rano tego dnia, tak w godzinę po wyjściu Angusa, ktoś zaczął gwałtownie dobijać się do domu i zamkniętego sklepu. Matka, po otwarciu drzwi, sądziła, że trzech mężczyzn, jeden starszy z teczką i pozostali młodszy, to jakaś kolejna kontrola lub inspekcja i już na wstępie powiedziała: - Panowie, niedawno już była jedna kontrola i od tej pory nic się nie zmieniło. Nie mamy żadnego towaru ani też nie mamy za co kupić, bo odchodzący żołnierze niemieccy wszystko nam zrabowali. Ślady jeszcze widać. Dlatego nie otwieram sklepu i nie będę go już prowadzić, po prostu nie jestem w stanie. - Tak, ale my to musimy zobaczyć i już sami sprawdzimy, - odpowiedział ten starszy, - proszę, obywatelko, wpuścić nas do środka.- Więc matka cofnęła się i wszyscy przeszli, przez całe wnętrze, to znaczy korytarzyk. przy czym jeden otworzył drzwi do spiżarni i zajrzał także tam, przez kuchnię i pokój pośredni aż do sklepu, lecz tam ten mężczyzna powiedział: - Nie, proszę nie otwierać ani okien ani drzwi, najpierw porozmawiamy. A gdzie to jest wasz syn? - Co ma do tego mój syn? Przecież to ja jestem właścicielką i prowadziłam firmę, mój syn nie jest pełnoletni, ma dopiero 16 lat i nie

może występować ani w moim, ani nawet w swoim imieniu, - matka jeszcze się nie zorientowała.

- Wasz sklep nas nie obchodzi, a my przyszliśmy nie do, ale po syna obywatelki.- - Jak to? Przecież to jeszcze dziecko! - to zresztą było szczere przekonanie matki, bez względu na okoliczności, tak przedtem jak i potem, właściwie zawsze. - Ładne dziecko i ładnie żeście go wychowali. Teraz go obywatelka już prędko nie zobaczy. Jak dobrze pójdzie to ze trzy lata, a może być pięć albo i więcej.- - A jeden z milczących dotąd towarzyszy, roześmiał się i dodał, - albo może odeślemy do domu tylko wysuszoną skórkę, bo tak się dzieje teraz, z tymi w więzieniach, po prostu usychają!

W każdym razie tak dosłownie powtarzała matka później tą rozmowę Angusowi.

W odróżnieniu od Angusa, matka nie szukała kłopotów i szczerze mówiąc, nie zajmowała się tzw. dobrem ogólnym i nic w tym kierunku nie robiła, Nie wykorzystwała swych możliwości i doświadczenia, starając się przemilczeć ten temat. Dbała tylko o rodzinę, zwłaszcza o swego uwielbianego synka, starała się żeby wszyscy przeżyli i Angus zarzucał jej brak zaangażowania i ducha patriotycznego, a ona nawet nie powiedziała, że swój udział wniosła, kiedy jego jeszcze nie było na świecie i raz w życiu wystarczy. Chyba miała jakieś negatywne doświadczenia z tego okresu i unikała podziemia, a szkoda, bo mogłaby być bardzo pożyteczna.

Ale teraz, a zwłaszcza gdy usłyszała groźby wobec swego jedynaka, to zupełnie zmieniło sprawy. Również i w tym była inna, że nie wdawała się w długie rozważania i analizy, ale zagrożenie i stres właśnie ją mobilizowały. Nie traciła zimnej krwi, lecz wtedy stawała się bardziej sprawna, taki instykt. Teraz też pomyślała sobie, że to bardzo dobrze, że ci ludzie jej nie doceniają i w żadnym wypadku nie powinna wyprowadzać ich z błędu. Była już w trudniejszej sytuacji. Najpierw przeżyła rewolucję w Rosji i wydostała się z stamtąd, a potem przez pewien czas odbywała tajemnicze podróże do Niemiec, kiedy tam trwały walki wewnętrzne, a obie strony nie patyczkowały się ani ze sobą nawzajem, ani z osobami postronnymi, jeżeli padło najlżejsze podejrzenie, że pchają nos w nie swoje sprawy. Od tego czasu się postarzała, ale przecież i w tej wojnie potrafiła przebyć, w osobistych sprawach, z dziecinną łatwością w obie strony zamkniętą granicę w stylu, jakiego nie powstydziliby się doświadczony kurier.

- Wy dwaj zostajecie z obywatelką i macie ją pilnować. Kiedy wróci syn, aresztujecie go i wtedy możecie ją zostawić. Ja pójdę teraz do miasta, a gdybym znalazł tego ptaszka, to przyślę wiadomość. - Matka wydawała się porażona tymi słowami, jak piorunem. Błagała o darowanie Angusowi życia, zapewniając, że jeżeli cokolwiek zrobił, to widocznie nie zdawał

sobie sprawy, bo to dobre dziecko. W ogóle plotła bzdury, a słowo „dziecko” powtarzało się nieustannie. Poza tym, biedna, zrozpaczona staruszka poczuła się chora i wykończona. Będzie musiała zaraz, niezwłocznie pójść do ubikacji, bo na nią szok i zdenerwowanie tak działa. Zamiar przekazania wiadomości do Angusa, tym razem się nie powiódł. Pozwolono jej wprawdzie pójść, ale w towarzystwie aniołów-stróżów, no, nie całkiem aniołów, którzy eskortowali ją z obu stron, a potem stanęli przy budynekczku nie pozwalając nikomu się zbliżyć i na koniec sprawdzili, czy niczego dodatkowo nie pozostawiła. Miała wprawdzie nadzieję, że sąsiedzi, mieszkańcy posesji musieli coś zauważyć, ale to nie było równoznaczne z ostrzeżeniem Angusa.

Wobec tego dostała szalonego bólu głowy, migreny, palpacji serca i bodaj tzw. waporów oraz paru innych cierpień, musiała koniecznie położyć się na chwilę i odpocząć w samotności. Nie było powodu, żeby dodatkowo pogarszać ten dość kłopotliwy stan, więc jeden z pilnujących usiadł w pokoiku obok, a drugi w korytarzyku przy bocznych drzwiach wejściowych, pozostała sama, ale bacznie pilnowana z obu stron. Wtedy właśnie napisała kartkę i w dopisku do sąsiadki, poprosiła ją o przekazanie Angusowi, że jest uwięziona w własnej kuchni, a w mieszkaniu urządzono tzw. kocioł.

Jak wspomniano, całość pomieszczeń składała się od frontu z lokalu sklepowego, za nim mały pokój, dawniej zaplecza, a obecnie mieszkał w nim Angus, następnie kuchnia, w której sypiała matka. Wejścia były dwa, od frontu do sklepu, teraz zamknięte i z zaryglowaną okiennicą oraz z boku do kuchni przez małą sionkę, do której przylegała spiżarka. W niej znajdowała się kłapa do piwnicy i tej nikt nie sprawdził, ale rzecz nie miała w tym wypadku znaczenia.

Drogi wyjścia były sprawdzone i dokładnie zablokowane. Ale dawniej, były też drzwi prowadzące z kuchni do dalszej części domu, w której mieszkała właścicielka. Wszystko w układzie amfiladowym, najpierw duży pokój gospodyni i jej córek, potem mniejszy jej dwóch synów, za nim kolejna kuchnia i oszklona weranda. Obecnie przejściowe drzwi do tej dalszej części mieszkania właścicieli zostały nie tylko zamknięte ale zabudowane na trwałe, jednak na dole wciąż jeszcze znajdowała się szpara. Przez tą szparę matka Angusa przesunęła kartkę. Następnie odzyskała siły i zaproponowała pilnującym jej strażnikom, że zrobi sobie i im gorącej herbaty, po to, żeby krzątając się i rozpalając ogień w piecu, ustawionym od strony mieszkania gospodyni, mieć okazję zapukać do jej pokoju i zwrócić jej uwagę. Widziała, jak drobny rożek papieru ledwie widoczny w szparze, zniknął, a więc kartka została wyjęta.

Nie mogła naturalnie przewidzieć, jak zareaguje sąsiadka. Ale miała rozsądną nadzieję, że sprawa wyjaśni się w najbliższym czasie. O ile w ciągu najbliższych kilkunastu

minut ktoś nie przyniesie tej kartki, agenci nie dowiedzą się z niej, na jaki adres chciała ją wysłać i nie zaczną śmiać się jej w oczy, mówiąc; - Ach więc obywatelka nie ma pojęcia, gdzie może być syn”, lub nie zaborą jej wprost na przesłuchanie nic nie mówiąc i o ile Angus nie zjawi się w ciągu najbliższej godziny, przypuszczała, że w rozsądnym czasie może otrzymać ostrzeżenie, a potem bezpośrednie zagrożenie zacznie maleć.

To też w miarę upływu czasu, nastrój jej się poprawił, ale wciąż dbała o to, żeby wyglądać jak kupka nieszczęścia. Pod wieczór, biedna pokrzywdzona przez los staruszka czuła się już pewna swego i zupełnie nie przejmowała ani dozorem niezbyt sympatycznego indywiduum, ani tym, że drugi drągał wyraźnie miał już dosyć czekania, a całkiem niedwuznacznie wyciągnął i położył przed sobą na stole broń, obok zegarka. Przez cały dzień więcej się nie odezwała, zresztą dozorczy nie pozwalali, ale przed nocą, kiedy na krótko zajrzał ten trzeci, pewnie zwierchnik, ponarzekła, że syn często nie wraca na noc. - Czasem nie ma go po kilka dni, przez tą wojnę takie dobre dziecko całkiem się zmarnowało -. Łapacze zamienili kilka zdań na boku i szef znowu wyszedł, a pozostali dwaj jeszcze zostali. Dobrze im tak, tylko marnują czas, bo Angus nigdy nie wracał późno, a więc już się dowiedział, że nie może się tu pokazać.

Kocioł został zdjęty wczesnym rankiem, o świcie. Oczywiście, można było być pewnym, że jak zwykle w takich wypadkach, Milicja czy może Służba Bezpieczeństwa, bo ci ludzie nie okazali żadnej legitymacji, nic prócz bezczelnego zachowania, ma w pobliżu jakiegoś informatora. Ten otrzyma polecenie mieć dom na oku i niezwłocznie zawiadomić swoich mocodawców, gdyby Angus się pokazał. A gdyby matka wyszła z domu, miałyby za sobą ogon i doprowadziła go o do Angusa. Należało najpierw siedzieć cicho na... miejscu, a potem nie robić nic.

\* \* \*

Drugą, obszerniejszą wiadomość przywiózł następnego dnia Adam Szumilas. Wyjechał jak zwykle rowerem do pracy, nadal był laborantem w Zakładach, ale w mieście skręcił i trochę okólną drogą zawrócił na Ogrodową. Miał nadzieję, że spóźni się niewiele i bez większych problemów wyjaśni to defektem roweru, który odpowiednio „poprawi” prowadząc do bramy.

Matka pisała, że kocioł został już zdjęty, ale na pewno dom jest obserwowany, Jeżeli Angus się tu wybiera, to niech mocno puknie się w czoło. Przysyła mu ciepły sweter i tyle pieniędzy, ile miała przy sobie, około 300 zł. Niech Angus natychmiast jedzie do Poznania, do ojca. Nigdy by go nie wysyłała samego w taką drogę, ale jeżeli tu zostanie, to wcześniej czy później go dorwą. Więc wierzy, że da sobie radę i poleca go Bogu. A jak dojedzie, to

niech da znać listem, a lepiej dwoma, bo poczta już działa i czasem dochodzi, ale naturalnie nie na adres domowy, tylko do któregoś z kolegów, do którego ma zaufanie. Ona sama poczeka na ten wagon, który dzięki ojcu, kolej ma zapewnić i przyjedzie jak to tylko będzie możliwe. Niech Angus się nie przejmuje, da sobie radę bez niego nawet lepiej, niż z nim.

Mimo wszystko, Angus postanowił zostać jeszcze jeden dzień i pójść na uroczystość, organizowaną przez Harcerzy. Zdawał sobie sprawę, że to głupota i lekkomyślność. Postanowił trzymać się osobno od znajomych i cały czas w tłumie, nie zwracać na siebie uwagi i nie wystawiać na widok, unikając pustej przestrzeni - jednym słowem, jak się to mówiło gdy ktoś był na celu, utrzymywać niski i mały profil. Tak zaraz nie mógł się zdecydować na ucieczkę. Po pierwsze, Bogdan Sójka wychodził ze skóry, żył przygotowaniami do tej akademii, zaraził tym innych, a poza tym Angus chciał zobaczyć kolegów i pożegnać się. Szczerze mówiąc chodziło mu głównie o dziewczynę. Ponieważ nie szedł w jej towarzystwie (ani niczym), więc zobaczyli się krótko przed obchodami i co za szczęście, obiecała poczekać, aż los pozwoli się im znów spotkać.

Było na co popatrzeć i posłuchać, Hufiec Ostrowiecki przeszedł sam siebie. Aż trudno uwierzyć, że zdołali zorganizować taki program. To też liczebność widzów, po prostu przyćmiła oficjalną i przymusową akademię 1 maja. Zjawiała się masa ludzi, poczynając od mszy polowej, potem część artystyczna, której szczytem był pierwszy występ tzw. później Słowika Ostrowieckiego, Angus nawet nie wyobrażał sobie, że można mieć aż tak czysty i silny głos, na otwartym powietrzu dźwięczał on tak, że później nigdy nie słyszał podobnego na żadnej operze. Ładna dziewczyna, śpiewała pieśni Moniuszki, na bis parę wojennych, patriotycznych. O ile z daleko Angus mógł dostrzec, chyba Bogdan był tym razem poważnie zaangażowany, jak nigdy dotąd.

Po zakończeniu uroczystości, część ludzi została jeszcze, gdy odbywał się apel Hufca. Dziwne, ale wydało mu się, że przypomina bliźniaczo ostatni taki apel przed rozwiązaniem oddziału, w lesie Iłżeckim. Oczywiście, figurek harcerzy było więcej, za to mniejsze. Tutaj Bogdan Sójka, w towarzystwie starszyny przechodził przed ustawionymi wzdłuż trzech boków prostokąta oddziałami, kolejno występowali drużynowi i wywoływali zastępowych, którzy meldowali zastępy, a wszystko z pompą, uroczyście i długo jak pogrzeb. Dokładnie tak samo jak pogrzeb AK, w którym brał niedawno udział. Zrobiło mu się zimno i jakby ciemniej, poczuł dreszcz i nawymyślał sobie od starej baby. Ma już przecucia, jak tak dalej pójdzie to wkrótce i sny, które się sprawdzają. A przecież z ponad trzystu Harcerzy, co najmniej pięćdziesięciu do sześćdziesięciu miało przed sobą obóz w Jaworznie. Nie zaraz, trafili tam dopiero za kilka lat, gdy władza komunistyczna się wzmocniła i zabrała się także

za Harcerstwo. Wprawdzie rok do dwu „reedukacji socjalistycznej” w obozie to nie to, co lata w więzieniach, co spotykało uczniów w razie wykrycia tajnej organizacji w szkołach. Ale i tak, jeżeli nie prawdziwe piekło, to w każdym razie co najmniej piekielko.

Angus nie chciał dłużej narażać Sójków, nocując w ich domu. Zresztą tego dnia, z Bogdanem i tak nie sposób było pogadać, w domu był istny młyn, co chwilę ktoś wchodził i wychodził, a inni czekali z pilnymi sprawami. Więc gdy tylko zrobiło się szaro, ruszył okólną drogą ul Wspólna, miedzami do krzyża na Piaskach, w lewo koło lasu, potem krzyżując drogę do Kolonii Robotniczej i dalej tą piaszczystą drogą, którą chodził z ojcem w roku 1940. Dotarł do domu Jarugów i opowiedział, jak wygląda sytuacja. Umieszczono go w tym schowku na strychu, w którym kiedyś przebywał z Mateuszem, co teraz uważał za przesadną ostrożność. Profesor Jaruga doradzał, żeby matka Angusa za kilka dni poszła do szkoły i, zależnie od sytuacji, albo szukała tam syna, a jeżeli będzie spokój, zgłosiła jego wyjazd i poprosiła o zaświadczenie z I klasy lic, gdyż może być potrzebne do przeniesienia się. Jutro Mateusz miał ją powiadomić, czy w szkole czynione są jakieś poszukiwania. Profesor obiecał sam zająć się świadectwem, jednak uważał za konieczne, żeby matka osobiście zjawiała się w szkole i najlepiej poprosiła od razu o duplikat na wszelki wypadek, a potem sama je odebrała.

Angus pierwotnie miał zamiar następnego dnia pójść pieszo aż do Starachowic i tam szukać możliwości dalszej podróży. Ale tu dowiedział się, że podobno ludzie wskakują do pociągów, transportów wojskowych, na moście Romanowskim. Most, wysadzony przez Niemców prowizorycznie naprawiono, raczej połatano, pociągi przejeżdżały powoli i ostrożnie. Oczywiście, na most nie było wolno wejść, stały tam posterunki z bronią, ale można było wskoczyć albo przed mostem, albo za nim. Przy jasnym dniu, widać to było aż od skraju lasu koło szosy. To dobry pomysł, o wiele lepszy, niż pętanie się po stacji, gdzie mogła zdarzyć się kontrola.

Wczesnym rankiem 4 maja Angus, nakarmiony i zaopatrzony przez Panią Jarużynę w taki sobie mały, ale dosyć ciężki zapasik na drogę, ruszył na Romanów. Stanowczo nie zgodził się, żeby Mateusz go odprowadzał, nie było sensu, żeby ktoś jeszcze ryzykował. Na miejscu za mostem już kręciło się paru ludzi, Angus zatrzymał się na pewien dystans od nich i tak czekał ze dwie godziny. Wreszcie pociąg przejechał most i zaczął przyśpieszać. Angus przyglądał się, jak inni wskakują do pociągu, bo sam jeszcze nie znał techniki. Okazało się też, że stanął trochę za daleko, pociąg zdążył już zwiększyć szybkość. Angus skoczył i nie mając doświadczenia nie trafił dobrze. Upadł na ziemię, ale na szczęście nie pod koła, lecz odkulnął się ze wzniesienia nasypu. Kiedy się pozbierał, mijał go już koniec pociągu, więc pobiegł ostro i rzucił się na ostatni stopień ostatniego wagonu. Tym razem zaczął się, a po

chwili kilka rąk podciągnęło go do góry. Znalazł się na długiej, płaskiej platformie, której środek zajęty był przez coś zakrytego plandekami i okręconego sznurem, a na początku i końcu siedzieli ludzie. Jeden z nich poinformował go, że gdy przyjdzie żołnierz rosyjski, należy dać dwadzieścia zł, nie mniej i nie więcej. To nie gwarantowało podróży, po drodze mogła się trafić kontrola, w takim wypadku pasażerów wyrzucano, musieli szukać innej okazji, ale na ogół można było jechać do końca trasy. A dokąd właściwie? Tego nikt nie wiedział. W każdym razie do Skarżyska, a potem się okaże.

Jazda przypominała Angusowi pociąg ewakuacyjny z 1939r. A kiedy zapłacił żołnierzowi, coś mu strzeliło do głowy i zapytał, czy mógłby usiąść na samym przedzie, przed lokomotywą. Żołnierz wzruszył ramionami i powiedział „możno”, więc na najbliższym postoju pod semaforem, Angus pobiegł do przodu i po chwili siedział na blaszanym występie, jakby przejściu po ławeczce przed kotłem parowozu. Kiedy pociąg ruszył, okazało się, że nie był to najmądrzejszy pomysł, dmuchało, z przodu zimno, a w plecy nieznośnie grzało, ale widok i wrażenia warte były niewygody. Jakby leciał nad przesuwającym się torem, wzrok sięgał daleko do przodu. Oddalał się z każdą chwilą od Ostrowca, teraz był jak anonimowa kropla w płynącej rzece. Zmierza do nowej przyszłości i postanowił po drodze nie szukać nowych kłopotów. Do Poznania na pewno dotrze, już teraz miał to znane wrażenie, że jak kamień spada najkrótszą drogą do celu, to poczucie na ogół nie zawodziło. Powrót, w swoje strony. Co go tam czeka, czy pozostanie w Poznaniu i koło się zamknie, czy też będzie musiał podążyć dalej na „dziki zachód”, jak wówczas robiło wielu innych uciekinierów?

K O N I E C

Dalsze dzieje w książce pt. „BEZNADZIEJNA SPRAWA”